

Leszek Grabowski

**Obraz Krakowa lat 60.
we wspomnieniach z dzieciństwa**

Edycja XXII, skorygowana i uzupełniona

Kraków 2023

Leszek Grabowski

**Obraz Krakowa lat 60.
we wspomnieniach z dzieciństwa**

Ku wskrzeszeniu wspaniałych chwil z dzieciństwa oraz młodości
i przypomnieniu dawnych przyjaciół i znajomych z Piasku.
Pamięci zmarłej Matki.

Tekst spisany w latach 2003-2004, uzupełniany i korygowany do kwietnia 2023.
Część III z września 2007.

Kraków 17.04.2023

Na prawach rękopisu
© Copyright by Leszek Grabowski
Kraków 2023



Fot. nr 1. Na grzybach w Kobylcu koło Łapanowa. (2008)



Fot. nr 2. Panorama Zagórzan koło Gdowa z moją żoną Cecylią i Gucią, która w 2010 roku odeszła do krainy wiecznych łowów. (2008)

Spis treści

0.	Słowa od autora	5 - 21
I.	Moi rodzice, rodzina i dom	24 - 66
II.	Moja kamienica	67 - 126
III.	Sąsiedzi z okolicy dawnej dzielnicy Piasek	127 - 192
IV.	Ówczesny wygląd Krakowa	193 - 218
V.	Przydomowe i okoliczne usługi	219 - 265
VI.	Pobliski handel	266 - 317
VII.	Komunikacja	319 - 338
VIII.	Życie codzienne młodzieży	339 - 399
IX.	Kultura	400 - 415
X.	Rekreacja	416 - 491
XI.	Sport	492 - 520
XII.	Zwyczaje i obrzędy religijne	521 - 545
XIII.	Kuchnia tamtych lat	546 - 554
XIV.	Szkoła	555 - 653
XV.	Zakończenie	654 - 662
Załączniki:		
	Załącznik nr 1: Ważniejsze zmiany w dzisiejszym Krakowie	663 - 692
	Załącznik nr 2: Lista kolegów z innych klas – próba odtworzenia z pamięci stanu z lat 60-tych	693 - 713
	Załącznik nr 3: Rocznik 1944 – lata nauki w S.P. nr 6: 1951-58	714 - 718
	Załącznik nr 4: Przekaz Pana Ryszarda Manna, ucznia S.P. nr 6 w latach 1941-45	719 - 721
	Załącznik nr 5: Moje wakacyjne eskapady w czasach nauki w szkole podstawowej	722 - 754
	Załącznik nr 6: Spotkania po latach	755 - 757
	Załącznik nr 7: Moje opracowania dostępne w zasobach Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej i Europejskiej oraz publikacje prasowe i audycje radiowe z moim udziałem	757 - 786

0. Słowo od autora do edycji: XII, XIII i XIV

Szkielet obecnej postaci moich wspomnień, szczerego rozrachunku z moim dzieciństwem i młodością, których fabuła jest osadzona głęboko w realiach Krakowa sprzed pół wieku, głównie w czasach Gomułki, powstał po gigantycznym wysiłku w latach 2003-2004, kiedy ich treść dosłownie wylewała mi się spod ręki, a raczej prosto spod serca. Ich inspiracją była głównie nostalgia za zmarłą w 2000 roku Matką, ale także pojawiające się na horyzoncie problemy egzystencjalne, które ten okres pozwoliły mi ujrzeć w zupełnie innym świetle, wszak zrozumiałem, że pieniądze to nie wszystko, co człowiekowi potrzeba do pełni szczęścia.

Na początku XXI-go wieku niejednokrotnie przychodziłem przez ulicę Czystą, przystań mego dzieciństwa i młodości, gdzie spędziłem okres od grudnia 1953, kiedy się urodziłem, do sierpnia 1976, kiedy się stąd wyprowadziłem na Osiedle na Kozłówce i ze zgrozą stwierdziłem, że klimat dawnej dzielnicy Piasek gwałtownie zaczął się zmieniać, a z moich dawnych kolegów z ulicy Czystej bądź Placu Hanki Sawickiej pozostały tu tylko swoiste „niedobitki”. To zmobilizowało mnie jeszcze dodatkowo, by spróbować odtworzyć ten dawny świat, który już bezpowrotnie odszedł i przypomnieć postaci moich kolegów, tych mniej bądź lepiej znanych, sąsiadów i znajomych oraz charakterystyczne twarze mojego rewiru: sklepikarzy i innych handlowców, drobnych rzemieślników, sportowców, lekarzy, ludzi kultury, uczonych i nauczycieli szkolnych.

Była jeszcze jedna inspiracja mobilizująca mnie do podjęcia się przeze mnie, w końcu li tylko inżyniera górnika, tego karkołomnego zadania, które z czasem swym rozmachem i rozmiarem zaskoczyło i mnie samego. Otóż była to chęć spojrzenia już z dystansu dwóch pokoleń na okres PRL i próba jego osobistej, w miarę obiektywnej oceny, wszak coraz bardziej zaczęły mnie drażnić jednostronne oceny tej niejednolitej epoki, kreowane głównie przez IPN. Ja nie pamiętałem już okrutnych czasów stalinowskich, znanych mi też z opowieści Mamy, a skoncentrowałem się głównie na dobrze zapamiętanym przeze mnie okresie rządów Gomułki, zahaczając również o dobrze wspomniane przez moich kolegów i wielu Polaków czasy Gierka, kiedy w Polsce zapachniało Europą i poczuliśmy powiew nowoczesnych technologii, a sporadycznie też o dość ponure lata 80-te, kiedy Polską rządziła ekipa generała Jaruzelskiego, ale życie nadal toczyło się swoimi torami, choć nieraz człekowi marzyły się: lepsze czasy, mityczny „Zachód” i prawdziwa demokracja. Czasy były takie, że prawie nikt z nas nie przypuszczał, że w Polsce w ogóle kiedyś może „paść” socjalizm, bo „partyjny beton” i „bratni sojusznicy” trzymali się mocno.

Mam więc w swojej pamięci wystarczająco dużo wspomnień oraz wynikających z nich własnych ocen i spostrzeżeń, by móc zdobyć się na w miarę obiektywne porównanie tych dawnych czasów ze współczesnymi, wszak nigdy nie byłem beneficjentem żadnego z tych systemów, a ponadto posiadam już w stosunku do okresu PRL wystarczający z historycznego punktu widzenia dystans czasowy - pół wieku. Po okresie euforii z odsunięcia od władzy „komuny” musiał przyjść czas na refleksję.

Ciemne strony PRL, do których trzeba zaliczyć: fasadowość demokracji i nadmierną represyjność służb specjalnych w stosunku do „dysydentów” oraz grup ludzi o jawnie odmiennych poglądach, cenzurę, nadmierną korupcję, problemy mieszkaniowe, okresowe trudności życia codziennego, zwłaszcza w latach 80-tych, czasie pustych półek, kiedy wszędzie panowały „kartki”, przerosty zatrudnienia, a także polityczne i silne gospodarczo uzależnienie od ZSRR, nie stanowią dziś dla nikogo tajemnicy, natomiast nagminnie pomija się pozytyw systemu, odnoszące się choćby do: aspektów społecznych, w tym aktywizacji wsi, dostępności, komfortu i ochrony pracy, darmowego nauczania, jego świeckiego charakteru i wysokiego poziomu szkolnictwa oraz powszechnego dostępu do: kultury na wysokim poziomie, książek, wypoczynku, sportu i rekreacji. Nawet wadliwie finansowana służba zdrowia była nieźle zorganizowana i naprawdę powszechnie dostępna. Kto w tym czasie słyszał o hańbiących, niewyobrażalnie długich kolejkach do specjalistów, lekarzy pierwszego kontaktu bądź szpitali czy utrudnieniach w dostępie do pogotowia?

Częste niedobory z lat 80-tych spowodowały, że wykształcił się system drobnych łapówek, w tym czasie wręcz zwyczajowych, do których należały: butelka koniaku, czy flaszka dobrej „gorzałki”, torebka czarnej, niezmielonej kawy, czy czekolada, co oczywiście trudno pochwalać, ale do takich sytuacji „wyższej konieczności” niemal wszyscy przywykli. Korupcja i nepotyzm zawsze były, są i będą obecne w naszym życiu i można tylko próbować walczyć z ich skalą i zasięgiem, na co wskazują też liczne, współczesne przypadki. Dyskusyjne są też stwierdzenia o wyjątkowej zdolności inwigilacyjnej dawnego systemu, w którym funkcjonowało ledwie kilka służb specjalnych; obecnie mamy ich w Polsce kilkanaście, często wzajemnie ze sobą konkurujących, ale jakie są dziś możliwości techniczne!

Oczywiście poziom życia jest dziś bez porównania wyższy, a wielu grupom fachowców i ludzi biznesu żyje się o niebo lepiej i gołym okiem widać mnożące się wokół rodzime (i nie tylko) fortuny, ale wówczas, pół wieku temu, nikt nie pompował w naszą gospodarkę miliardów dolarów i nie stawiał w zamian za to drakońskich wymagań, więc dlatego nie mieliśmy: bezrobocia, „obozów pracy”, jak dziś choćby w hipermarketach, chamstwa na ulicach i stadionach czy zwalniania ludzi dla kaprysu bossa oraz niespotykanej wcześniej skali ubóstwa. Ludzie żyli o wiele biedniej, bo niełatwo było o dostęp do takich artykułów „luksusowych” (oczywiście w odniesieniu do poziomu życia sprzed pół wieku), jak choćby: samochód, lodówka, pralka, odbiornik radiowy czy telewizor, ale godnie, bo praca i ludzkie traktowanie człowieka dawały takie poczucie. Niestety wszystko ma swoją cenę, a ponadto punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

I jeszcze jedna uwaga. Nie my wybieraliśmy ten system, w którym przyszło nam żyć, mam tu na myśli dwa pokolenia powojenne, však o naszym losie zdecydowały zwycięskie mocarstwa, ale większość z nas starała się wykonywać swoje obowiązki zawodowe najlepiej jak tylko potrafi i przyswoić sobie wysokie standardy moralne oraz normy współżycia międzyludzkiego. Stosunki w pracy w większości przypadków były prawdziwie koleżeńskie oraz nacechowane duchem wzajemnej życzliwości i pomocy. Nie tylko mnie przyszło pracować w takim klimacie.

Dziś w dobie powszechnych w firmach „polowań na szczury”, bełkotu nowomowy i śrubowania ponad ludzkie możliwości różnych planów, brzmi to jak bajka. Obecnie, zwłaszcza młodym, łatwo pluć na te czasy, bo żyją w innej rzeczywistości i tak naprawdę nie rozumieją istniejących wówczas uwarunkowań historycznych. Siedząc w wygodnym fotelu można czuć się panem tego świata, a zza komputera wszystko to może wyglądać inaczej. Dziś nawet tragiczne wydarzenia historyczne z okresu II wojny światowej stają się przedmiotem różnych gier.

By dalej nie rozwijać w tym miejscu tego tematu dodam tylko, że te gorzkie czasami refleksje, związane zwłaszcza ze współczesnymi okresami: rządów solidarnościowych, tzw. „IV RP” czy „zielonej wyspy”, przewijają w kilku fragmentach moich wspomnień, które przez ostatnie dziesięć lat były systematycznie uzupełniane i korygowane, więc w ich treści gdzieś tam mogą być ukryte drobne anachronizmy, wszak czasy mamy niezwykle dynamiczne i nie możemy narzekać, że podobnie jak w PRL, żyjemy w „nieciekawych czasach”. Nie ulega wątpliwości, że satyrycy i kabareciarze, jak dawniej tak i dziś mają swoje prosperity. Może jednak przez te osobiste oceny, porównania i powroty do przeszłości, moje wspomnienia stały się bardziej autentyczne? Ocena należy oczywiście do czytelników.

Ostatnie wersje moich wspomnień: XII, XIII i XIV, zostały znacznie rozszerzone m.in. dzięki informacjom, jakie przewinęły się w dyskusjach na stronie internetowej: „Przystanek Karmelicka”, której celem jest społeczna ochrona zaplecza dawnych koszar wojskowych z ulicy Rajskiej przed agresywną zabudową mieszkalną i przeznaczenie jej na cele rekreacyjne, co daje większe szanse na zapobieżenie gwałtownemu wyludnianiu się śródmieścia. Na stronie tej, którą staram się współredagować, swoją obecność zaznaczyło wielu współczesnych i dawnych mieszkańców Piasku, do dziś tworzących jedną, wielką rodzinę, z których sporo znałem osobiście i to oni odkurzyli w mojej pamięci wiele zapomnianych już szczegółów i detali. W tym wspaniałym klimacie sprzed pół wieku człek jeszcze raz poczuł oddech tego przedsiönka wielkiego Krakowa z lat mego dzieciństwa i młodości i zdał sobie sprawę, jak wiele dla bardzo wielu ludzi, często rozrzuconych po całym świecie, znaczą wspomnienia i to bez względu na panujący kiedyś system, na pewno trudny do jednoznacznej oceny, o którym przez ostatnie lata narosło zbyt wiele mitów. To docenianie mojego trudu i bardzo pochlebne recenzje są najlepszą formą zapłaty za lata ciężkiej pracy nad tekstem, który został napisany z pozycji biednego chłopaka, pólsieroty, z konieczności spędzającego sporą część wolnego czasu na: podwórkach, ulicach, skwerkach, parkach czy boiskach sportowych, gdzie o wielu rzeczach piszę bez najmniejszych zafałszowań.

Dziś, już na szczęście dla mnie jako emeryt, staram się żyć z dala od obecnego systemu politycznego, pełnego gier, kłamstw i obłudy oraz współczesnych pracodawców, dla których wyrzucenie człowieka z pracy jest często tylko kwestią ich złego humoru.

Zagłębmy się zatem raz jeszcze w coraz pełniejszy i bardziej doprecyzowany, a przy tym możliwie obiektywny świat Krakowa z lat 60-tych, a po części też z późniejszego okresu: lat 70-tych i 80-tych, czyli w demonizowane przez wielu współczesnych publicystów i badaczy (głównie IPN) czasy tzw. „komuny”, okres, w którym przyszło mi przeżyć 36 lat mego życia.

Kraków 20.12.2013, 26.04.2014 i 18.10.2014

Słowo do edycji XV i XVI

Prezentowany poniżej tekst stanowi uzupełnioną wersję piętnastą moich wspomnień, które są stale aktualizowane i uzupełniane, wszak dokładne odtworzenie wszystkich wydarzeń, postaci oraz detali sprzed 50 lat często przekracza ludzkie możliwości, lecz czasem wystarczy tylko iskierka, by je wydobyć z zakurzonej pamięci. Wiele nowych informacji i korekt wnoszą: spotkania z dawnymi przyjaciółmi z lat szkolnych, zarówno SP nr 6, jak i Technikum Energetycznego, z którymi utrzymuję regularne kontakty towarzyskie, jak i moja aktywna obecność na wielu forach internetowych, gdzie czasem też przewijają się tematy dotyczące Piasku sprzed pół wieku, a niekiedy pojawiają się też bezcenne fotografie, z których niestety z wielu nie mogę skorzystać. Ostatnio moje opracowanie wzbogaciły dwa zdjęcia przekazane mi przez Zbyszka Adamczyka, dawnego znajomego z Piasku, które przedstawiają Bogdana Bruzdę- Grubego, mego najserdeczniejszego przyjaciela z czasów SP nr 6, wykonane po uroczystościach komunijnych na placu Sikorskiego.

Również dwie fotki, kiepskiej jakości, ale dla mnie bardzo cenne, udostępnił mi niedawno Jasiu Zieleniewski, z którym spędziliśmy mnóstwo wspaniałych chwil w czasach młodości, szczególnie w latach siedemdziesiątych (również w towarzystwie „Łysego” i Janusza Domagały), zapewne wartych szerszego opisanie.

Moja bliska przyjaźń z Jasiem rozpoczęła się od wspólnego uczestnictwa w obozach rowerowych, które nad morzem organizował mgr Zygmunt Kohut z Technikum Energetycznego i sięga ona początku lat siedemdziesiątych. Tam też bliżej poznałem Janusza Domagałę, mojego kolejnego druha na całe życie. O „Łysym” („Karolku”), Marku Pstrósiu, moim klasowym przyjacielem z TE, a wcześniej także dobrym znajomym z równoległej klasy w SP nr 6 przy ulicy Szujskiego 2, z którym łączyło mnie także wiele pasji, jak choćby wspólne kibicowanie krakowskim drużynom piłkarskim, choć on był kibicem „Pasów”, a ja fanem Wisły, czy reprezentacji Polski w jej złotym okresie oraz regularne grywanie w piłkę nożną na Błoniach bądź w gumiankę na podwórku naszego Technikum, więcej piszę w dalszej części wspomnień, bo dla mnie to postać szczególna.



Fot. nr 3. Spotkanie u Jasia Zieleniewskiego w gronie najbliższych mi przyjaciół.
Od lewej kwartet: Janusz Domagała, gospodarz domu, ja i „Łysy”.

Aby nie rozsadzać objętości opracowania, które i tak urosło już do ponad 600 stron, w zasadzie nie dodaję już nowych zdjęć obiektów znanych mi z dawnych czasów i przeze mnie opisywanych. Chętnych do zagłębienia się w te czasy zapraszam do powstających równolegle moich cykli fotograficznych (patrz załącznik na końcu opracowania), jak choćby: „Współczesny Kraków w klimacie z fotografii Ignacego Kriegera”, „Drzwi krakowskich kamienic czynszowych i domów podmiejskich”, „Detale krakowskich czynszówek i domów”, czy „Krakowskie panoramy i widoki”. Niezależnie od tego, kontynuację opisu czasów z przełomu lat 60-tych i 70-tych, z licznymi wstawkami z następnej dekady, stanowi druga część moich wspomnień, głównie szkolnych, a więc zapewne wartych uzupełnienia: „Moja przygoda z Technikum Energetycznym w Krakowie w latach 1968-73” – www.mbc.malopolska.pl/publication/11376.

Kraków 18.03.2015 i 21.08.2015

Słowo do edycji XVII i XVIII

Pokazane poniżej zdjęcia zostały wykonane w trakcie „Sentymentalnego spaceru po moim Piasku sprzed pół wieku” z dnia 23.04.2016 roku, którego miałem być przyjemność „duchowym” przewodnikiem. Inicjatywa zrodziła się oddolnie, a współorganizatorem spotkania, jak i serii poprzednich czterech penetracji Półwsia Zwierzynieckiego i Zwierzyńca, po których to dawnych przedmieściach Krakowa oprowadzał Pan Michał Koziół, znany powszechnie „Krakauer”, był Jarek Sokół. Uczestnikami byli w większości mieszkańcy dawnego Piasku bądź fani strony Przystanek Karmelicka z FB, którą mam przyjemność współredagować. Strona ta została założona przez Monikę Bogdanowską, mieszkankę Piasku i pracownika naukowego Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, znany w Krakowie autorytet w dziedzinie ochrony zabytkowej przestrzeni miejskiej. Przy okazji sam dowiedziałem się kilku nowych rzeczy, gdyż zwłaszcza Pani Ewa Morstin z ulicy Czystej opowiadała o rzeczach i sytuacjach z okresu okupacji i realiach zaraz po zakończeniu II wojny światowej, które po części były dla mnie nowościami.



Fot. nr 4. Pod Barem Górnik, reliktem dawnej gastronomii z czasów PRL, gdzie zaczął się spacer. Znani mi uczestnicy spaceru (od lewej): Jan Wiecheć (czwarty), Ewa Karasińska (piąta) i dalej (obok mnie) Ewa Morstin (siódma – mieszkanka ulicy Czystej), Kazimierz Lisowicz (ósmo) i Małgorzata Nowak (dziewiąta – również mieszkanka ulicy Czystej).

Druga z prawej to Anna Niewiara, zaś ostatnia w rzędzie Małgorzata Kałka.

Jasiu Wiecheć i Kazek Lisowicz to moi dawni koledzy szkolni ze Szkoły Podstawowej nr 6 z ulicy Szuskiego 2.

Planowane do przejścia były dwa „kółka”, ale ze względów czasowych udało się pokonać tylko jedno, najbardziej przeze mnie ulubione, którego początkiem był Bar Mleczny Górnik w narożu ulic: Czystej i Dolnych Młynów, od ponad pół wieku funkcjonujący naprzeciw dawnego Placu Hanki Sawickiej, dziś mocno okrojonego i mającego za patrona księdza Mieczysława Kuznowicza (1875-1945), postaci zasłużonej dla tej dzielnicy, organizatora „Związku Młodzieży Robotniczej i Rękodzielniczej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki”, dla której to organizacji, z jego inicjatywy, na rogu ulic: Krupniczej i Skarbowej powstała tzw. Bursa Kuznowicza, ukończona w roku 1929. Po spojrzeniu na „moją” ulicę Czystą, na której przeżyłem 23 lata mego życia, trasa wiodła dalej ulicami: Dolnych Młynów (z wypadem na ulicę Rajską), Czarnowiejską, Michałowskiego, Karmelicką, a dalej Krupniczą (z wizytą na ulicy Szujskiego), do styku z ulicą Dolnych Młynów, gdzie kiedyś stał sześciokondygnacyjny Dolny Młyn, najprawdopodobniej wyburzony przed rozpoczęciem II wojny światowej, gdzie w tle widać już było bursę.



Fot. nr 5 (5-5a). Pamiątkowe zdjęcia na zakończenie spaceru. Koło wspomnień zamknęło się na styku ulic: Krupniczej i Dolnych Młynów.

Druga pętla miała prowadzić spod Teatru Bagatela (kiedyś Rozmaitości), a dalej ulicami: Podwale i Straszewskiego, do pustego placu po dawnej „Barcelonie” – Barze Uniwersyteckim (na styku z ulicą Piłsudskiego), znanym jeszcze do niedawna i cenionym zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej lokalu gastronomicznym, z galicyjską tradycją, a następnie ulicą Loretańską, z którą wiążą mnie szczególne wspomnienia, wszak tu mieściło się Technikum Energetyczne, moja szkoła średnia i Kościół Kapucynów, mój „parafialny”, by zakończyć trasę przy wylocie ulicy Loretańskiej do ulicy Krupniczej, niedaleko mojej dawnej podstawówki - SP nr 6 z ulicy Szujskiego 2



Fot. nr 5a. Jarek Sokół szósty z lewej.

To na tym obszarze praktycznie zamykał się mój dziecięcy świat Piasku, który to temat szeroko rozwijam w poniższych wspomnieniach. Niektóre ze zdjęć, wykonanych w trakcie spaceru, dodatkowo wzbogaciły ich tekst, by go uatrakcyjnić wizualnie.

Do tekstu XVII edycji moich wspomnień dołączyłem też wybrane skany ze slajdów, które powstały w latach 1983-92, kiedy włóczyłem się po Krakowie i jego okolicach z moją małą córką Anią. Całość skanów z tych lat została zebranych w trzyczęściowym zbiorze: „Kraków i jego okolice na rodzinnych slajdach z lat 1983-1992” (patrz załącznik na końcu opracowania). Stan Krakowa z tego okresu w wielu przypadkach nie różnił się jeszcze wówczas znacząco od tego z lat 60-tych, więc zdjęcia te w pełni przystają do opisów. Ponadto raz jeszcze odszukałem w moim przepastnym archiwum zdjęcia zamieszczone w opracowaniu, co zajęło mi sporo czasu, by pod tymi starszymi podać datę ich wykonania. Kiedy przystępowałem do pisania wspomnień nawet przez myśl mi nie przeszło, że będą się one stale rozrastały, a prezentowane fotografie będą już miały z czasem wartość archiwalną, bo Piasek szybko się zmienia.

W edycji XVIII znów dodałem kilka nowych zdjęć i informacji, które w międzyczasie udało mi się pozyskać. Dodam jeszcze, że dwa albumy ze zdjęciami ze świata „mojego” Piasku, które dodatkowo uzupełniają poniższe wspomnienia, są już dostępne w MBC jako części VII i VIII z cyklu „Podglądanie starego Krakowa” (załącznik na końcu opracowania) sygnatury: www.mbc.malopolska.pl/publication/99083 i 99084.

Słowo do edycji XIX

Z wielkim sentymentem i wzruszeniem przekroczyłem znów progi mojej byłej "budy", dawnej SP nr 6 przy ulicy Szujskiego 2, gdzie nie byłem już prawie 50 lat, a więc od zakończenia tu edukacji w czerwcu 1968 roku. Chciałbym w tym miejscu podziękować pani Ewie Karasińskiej za zaproszenie, a Dyrekcji oraz personelowi Szkoły za okazaną życzliwość.

Fotografie z tego rekonesansu zamieściłem w części XIV opracowania, dotyczącej właśnie tej szkoły. Jeśli idzie o zmiany jakie zaszły w jej wyglądzie i funkcjonowaniu to trzeba stwierdzić, że najbliższy dawnym czasom jest parter. Dawna stołówka i szatnia, kiedyś zlokalizowane w przyziemiu szkoły, zmieniły się nie do poznania; w dawnej szatni funkcjonuje dziś księgarnia Podróżnika. Również dawne mieszkanie Pani Frani, słynnej woźnej, do którego wejście znajdowało się od podwórka, a okno wychodziło na chodnik ulicy Krupniczej, zamieniło się w szkolną siłownię. I piętro szkoły zostało mocno przebudowane i nie ma już dawnego korytarza ani dawnego pokoju nauczycielskiego, natomiast dawne mieszkanie Bolesława Czajkowskiego, równie znanego tercjana, zlokalizowane na II piętrze, ma teraz przeznaczenie szkolne i znajduje się tu sala lekcyjna. Dawny gabinet dyrektora na końcu I piętra jest teraz biblioteką, a dawna świetlica, zlokalizowana piętro niżej, chyba pełni teraz funkcję bufetu. Nie przetrwały na parterze pokoje higienistki i dentysty, przylegające do korytarza na jego początku, a zachował się jedynie spory fragment dawnej biblioteki, z której przetrwało oryginalne okno, wychodzące na korytarz.



Fot. nr 6 (6-6b). Mój sentymentalny powrót do mojej "budy", dawnej SP nr 6 z ulicy Szujskiego 2. Tak się składa, że nie byłem tu od 50 lat, kiedy w czerwcu 1968 ukończyłem tam edukację, a był to ostatni rok istnienia tej szkoły w tym miejscu. Stoję na korytarzu parteru, gdzie w zasadzie przez pół wieku niewiele się zmieniło, Do dziś spełnia swoją funkcję dawny dzwonek, posiadający przenikliwy dźwięk, który pół wieku temu przyciskiem uruchamiała Pani Frania, słynna woźna, postać wręcz legendarna. Miło było zwiedzać budynek szkolny w towarzystwie Pań: Ewy Karsińskiej i Renaty Pąchalskiej. (05.02.2018)



Fot. nr 6a. Przed dawnym gabinetem dyrektora na I piętrze budynku, gdzie dziś mieści się biblioteka, obok Pań: Renaty Pąchalskiej (z lewej) i Ewy Karasinskiej. (05.02.2018)



Fot. nr 6b. Przed dawnym gabinetem dyrektora SP nr 6. Dziś w budynku szkolnym mieści Specjalny Ośrodek Szkolno - Wychowawczy nr 1 im. Jana Matejki. Jeszcze raz chciałem podziękować za gościnę personelowi placówki, Paniom (od lewej): Ewie Karasińskiej <https://www.facebook.com/profile.php?id=100006449583395>, Monice Stec-Szymanowskiej i Renacie Pąchalskiej. Pani Ewa uczy w zespole szkół specjalnych języka polskiego, pani Renata jest tu bibliotekarką, a pani Monika sekretarką. (05.02.2018)

Do edycji XIX postanowiłem też dodać archiwalne zdjęcia opisywanych przez mnie fragmentów Piasku, które są dostępne w zasobach NAC bądź MHF, a także udostępnione mi przez Adama Wyrobka, mojego dawnego kolegę, wszak moje opracowanie nie ma charakteru komercyjnego.

Ponadto by uniknąć posądzeń o „grzebanie” w czyichś dziejach postanowiłem ponownie zaszyfrować personalia sporej grupy występujących w moich opisach mieszkańców kamienic z ulicy Czystej i ograniczyć się jedynie do podania pierwszej litery nazwiska bądź nawet tylko imienia. Raz jeszcze podkreślam, że moją intencją było tylko ukazanie możliwie szerokiego obrazu społeczeństwa Krakowa lat 60-tych, więc trudno było uniknąć pewnych opisów natury obyczajowej.

Raz jeszcze przekonałem się, że pisanie wspomnień, które mają być możliwie wiernym odbiciem sytuacji sprzed ponad pół wieku, a nie tylko lukrowanym falsyfikatem, jest rzeczą niezwykle trudną i niewdzięczną. Każde wspomnienia nie są wolne od subiektywnych ocen. Nie jestem zawodowym publicystą, więc pewnie i w tej materii można mi wiele zarzucić, więc krytyczne uwagi o charakterze merytorycznych zawsze staram się uwzględniać, a treść opisów bądź wydarzeń korygować. Ponadto pamięć ludzka bywa zawodna, więc bezdyskusyjnie poprawiam datowanie pewnych wydarzeń co do których mogłem się mylić z braku dostępnych źródeł.

Kraków 10.04.2018

Słowo do edycji XX

Wprowadzone do użytku przepisy RODO bardzo utrudniają pisanie pamiętników i wspomnień. Mam własne zdanie na ten temat, ale dla elegancji wolę go nie wypowiadać. By uniknąć jakichś niepotrzebnych zdrażeń zdecydowałem się zakodować większość nazwisk z mojej kamienicy i jej otoczenia, a także znacznie utrudnić rozpoznanie nazwisk moich kolegów szkolnych z SP nr 6, bo mogę przypuszczać, że wiele z tych osób może jeszcze żyć i nie wszyscy z nich mogą akceptować mój sposób opisywania dawnych czasów. Ponadto zdecydowałem się wzbogacić tekst o dalsze zdjęcia archiwalne z zasobów NAC i Archiwum Narodowego w Krakowie, wszak moje opracowanie nie ma charakteru komercyjnego. Przynajmniej na razie wstrzymuję się z dodawaniem innych cennych archiwaliów, głównie ze zbiorów MHK, a także MHF, choć wiele z nich bardzo by pasowało do ilustrowania tekstu. Może kiedyś.....

Raz jeszcze przejrzałem ten ogromny tekst i starałem się go skorygować, a także uzupełnić, by było w nim jak najmniej anachronizmów czasowych, które jest trudno całkowicie wyeliminować przy tak licznych edycjach. Mam nadzieję, że zmiany te dodatkowo wpłyną na zwiększenie atrakcyjności wspomnień, które i tak cieszą się wielką poczytnością, wszak w MBC w segmencie Regionalia – Kraków zajmują wysokie trzecie miejsce, a liczba wglądów zbliża się do 10000 tysięcy.

Kraków 10.02.2019

Uzupełnienia do edycji XX.

Z satysfakcją muszę stwierdzić, że za sprawą obecności w zasobach MBC moje opracowanie żyje, a ja ciągle otrzymuję wiele, w zdecydowanej większości bardzo miłych komentarzy, które po części stanowią też uzupełnienia do warstwy faktograficznej. W dniu 15.05.2019 odebrałem mail od Pana Bogusława Dycjana, bliskiego krewniaka w stosunku do rodziny moich sąsiadów spod nr 11. Jego przekaz jest sporym uzupełnieniem mojej wiedzy o tej rodzinie i choćby z uwagi na niecodzienne nazwisko warto go przytoczyć.

„Podczas grzebania w Internecie natknąłem się na Pana "Obraz Krakowa lat 60-tych."

Opracowanie to jest dla mnie o tyle interesujące, że przewija się tam nazwisko rodziny Dycjan (Dycyan). Ze zdziwieniem, kojarząc pewne fakty i opowiadania mojej matki skojarzyłem, że opisuje Pan część mojej rodziny (od strony ojca), o której nie miałem prawie żadnej wiedzy. Wspominany przez Pana Józef Dycjan był starszym (jedynym) bratem mojego ojca Ferdynanda. Jego dzieci rzecz jasna to moi kuzyni.

Z Pana opracowania dowiedziałem się szczegółów z ich życia, o których nie miałem pojęcia. Szczególnie jeśli chodzi o Jacka. Serdecznie Panu dziękuję za informacje które zamieścił Pan w "Obrazie..." . Są one dla mnie bardzo istotnym uzupełnieniem wiedzy o mojej rodzinie. Z rodziną mojego ojca nie miałem prawie żadnego (poza wczesnym dzieciństwem) kontaktu. Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem cztery lata i od tej pory kontakt się urwał. Pozostały mi tylko skrawki z pamięci mojej matki.

Wiem, że moja rodzina pisała kiedyś swoje nazwisko Dycyan, dziś Dycjan. Mój ojciec na przedwojennych dokumentach ma Dycyan, na tych po wojnie już Dycjan. Ta część mojej rodziny musiała być rzeczywiście uzdolniona sportowo, bo mój ojciec również był piłkarzem pierwszoligowego (wówczas) klubu „Tarnovii”. Niestety ani ja ani moi synowie nie odziedziczyliśmy tych talentów. Nigdy nie wyszliśmy poza amatorskie uprawianie sportu. Pozdrawiam serdecznie. Bogusław Dycjan”.

W dniu 29.06.2019 otrzymałem z kolei mail od Marka Lovella, znanego dziennikarza Dziennika Polskiego i publicysty.

„Witaj Kolego ze Szkoły Podstawowej nr 6!

Z największym zainteresowaniem przeczytałem Twój "Obraz Krakowa lat 60.", zarówno wątki "ogólnokrakowskie", jak i wszystko co dotyczy SP nr 6 (do której chodziłem w latach 1956-1963) oraz Piasku/Garbar (bo to świat mojego, podobnie jak Twojego, dzieciństwa). Masz zdumiewającą pamięć, doceniam też ogrom pracy szperackiej i dokumentalnej. Gratuluję!

Co rusz natrafiam na nazwiska kolegów, których kojarzę, lecz o których dalszych losach wiem bardzo mało lub zgoła nic, nie jestem nawet w stanie odtworzyć pełnej listy klasowej. Ale oto małe uzupełnienie dotyczące "Rocznika 1949" ("klasa Krzysztofa Niewiary").

(I tu padają nazwiska, które uzupełniam w rozdziale o SP nr 6)

Serdecznie pozdrawiam, naprawdę poruszony Twoim tekstem.

Marek Lovell”.

Na ciekawe uzupełnienie mojej wiedzy o rodzinie Chmielińskich, moich sąsiadach z kamienicy przy ulicy Czystej 8, natrafiłem na stronie KazimierzDolny.pl – informacja z dnia 22.10.2018.

Otóż okazało się, że Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym w roku 2004 zakupiło od Piotra Chmielińskiego, kiedyś mego kolegi z podwórka, który był czwartym ogniwiem w łańcuchu znanych krakowskich złotników, kolekcję blisko 300 narzędzi, maszyn i urządzeń złotniczych z jego rodzinnego warsztatu, który od roku 1858 do początku lat 90. XX wieku funkcjonował w lewym skraju parteru pałacu Zbaraskich-Potockich w Rynku Głównym 20. Zbiór ten jest obecnie eksponowany w Muzeum Sztuki Złotniczej, oddziale Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym, bo trzeba przypomnieć, że w czasie likwidacji warsztatu nie chciało go przejąć MHK. A wielka to strata dla naszego miasta, bo kolekcja stanowi ponad 130-letnie ogniwo w historii sztuki złotniczej. Najstarsze z eksponatów pochodzą z okresu powstania pracowni, ale można przypuszczać, że niektóre z nich mogą być jeszcze wcześniejsze, gdyż mogły zostać wówczas przejęte od właścicieli innych czy to upadających bądź likwidowanych krakowskich warsztatów.

Na końcu warto może przypomnieć cztery ogniwa z genealogii tego złotniczego rodu. Znanym mi protoplastą był Wacław Głowacki, działający w tym fachu od roku 1858, głównie w czasach galicyjskich, a następni w kolejności są już Chmielińscy: Seweryn (zm. ok. roku 1960), którego największa aktywność przypadła na okres XX wieku do początku II wojny światowej, Stanisław, aktywny w swym zawodzie zwłaszcza w trudnym, początkowym okresie PRL (zm. gdzieś na początku lat 70.) i Piotr, mój kolega z podwórka. Seweryn, pierwotnie zapewne rzemieślnik w zakładzie Głowackiego, musiał poślubić jego córkę i tak fach złotniczy pozostał w obrębie rodziny przez następne trzy pokolenia.



Fot. nr 7. Szyld „W. Głowacki jubiler. Obecnie Seweryn Chmieliński”. (NAC - 05.1938)

Ciekawe informacje o cukierni (piekarni) Galganka z ulicy Karmelickiej 23 uzyskałem w roku 2018 na stronie FB: „Przystanek Karmelicka”, na której również i ja działam bardzo aktywnie. Otóż kuzyn aktualnego właściciela – Jacka Galganka pisze tam:

„W sąsiedztwie, pod nr 23 (jeszcze?) działa cukiernia mojego kuzyna Jacka Galganka, który nieustannie wybiera się na emeryturę. Firmę założył po wojnie przybyły ze Lwowa Tadeusz Galganek (ojciec Jacka). Pracowało (tu) kilku cukierników, m.in. mój dziadek Karol (ojciec Tadeusza), kontynuując receptury lwowskie. Władza ludowa zabrała 2/3 lokalu na sklep Cepelii i stąd obecna mini część gastronomiczna. W czasie świąt młodzież rodziny roznosiła zamówienia do klientów. Codziennie babcia przynosiła obiad do pracowni, a ja czasem asystowałem”.

Może na zakończenie warto jeszcze przypomnieć historię rodu Zieleniewskich, która to rodzina jest mi szczególnie bliska z racji przyjaźni z Jasiem, prawnukiem Leona. Ja jestem nawet ojcem chrzestnym jego córki Magdy i znam wiele szczegółów z ich niezwyklej, rodzinnej historii.

Kraków nie potrafił należycie uczcić tego wybitnie zasłużonego dla Krakowa rodu rodzimych przemysłowców, który skutecznie wcielał w życie pozytywistyczne idee, głównie w galicyjskiej rzeczywistości, a przypomina o nim jedynie peryferyjna uliczka mająca za patrona Ludwika Zieleniewskiego, która została utworzona z fragmentu dawnej ulicy Wandy.

Protoplastą krakowskiej gałęzi tego rodu był Antoni – kowal (1770-1831), który na początku XIX. wieku przybył do Krakowa z Warszawy i tu rozpoczął pracę w kuźni Pawła Nowakowskiego. W 1804 roku, wnet po śmierci właściciela, ożenił się z Marianną (1779-1853), młodą wdową po swoim pracodawcy i przejął zakład. W 1810 roku kupił dom przy ul. Różanej 31 (potem św. Marka), przy której zbudował nowy warsztat (kuźnię).

Po jego śmierci zakład prowadziła jego żona i dopiero w 1839 roku przejął go ich syn Ludwik (1819-1885), który z rzemieślnika szybko stał się znanym i cenionym przemysłowcem. Na początku lat 50. (w roku 1851) na posesji przy ulicy św. Marka 31 powstała już fabryka maszyn rolniczych, a niedługo potem neorenesansowy pałacyk (w 1857 roku). Od początku lat 70. Ludwik stopniowo zaczął inwestować w nową, większą już fabrykę przy ulicy Krowoderskiej 63-65, początkowo otwierając tam odlewnię żelaza. Z czasem zakłady oprócz maszyn rolniczych i innych urządzeń przemysłowych, np. maszyn parowych i kotłów, zaczęły również wykonywać wielkie konstrukcje stalowe do budowy linii kolejowych i mostów, a także na potrzeby przemysłu naftowego, powstającego na Podkarpaciu.

Po śmierci Ludwika interes przejęli jego wykształceni synowie: Leon (1842-1921) i Edmund (1855-1919). Po pożarze fabryki przy ulicy św. Marka 31, co miało miejsce w 1886 roku, produkcja została przeniesiona do rozbudowanego zakładu przy ulicy Krowoderskiej 63-65 (dziś w tym miejscu stoją międzywojenne kamienice). W 1906 roku fabryka przekształciła się w spółkę akcyjną, której dyrektorem naczelnym został Edmund, a Prezesem Rady Nadzorczej Leon. Rok później spółka rozpoczęła budowę nowego zakładu na Grzegórkach, który przetrwał do początku XX. wieku. Może warto jeszcze dodać, że w starym zakładzie przy ulicy Krowoderskiej 63-65 przez jakiś czas w I ćwierci XX wieku działała jeszcze odlewnia.

W 1913 roku nastąpiło połączenie z sanocką Fabryką Wagonów i do 1928 roku funkcjonowały już Polskie Fabryki Maszyn i Wagonów L. Zieleniewski S.A., kiedy nastąpiła kolejna fuzja ze spółką akcyjną Fitzner-Gamper i rozszerzenie interesów na teren Śląska.

Przybranym synem Ludwika Zieleniewskiego był Władysław Kluger, inżynier budownictwa i wielki darczyńca zbiorów sztuki prekolumbijskiej dla Muzeum Archeologicznego w Krakowie (1849-1884). Matką Władysława była Anna z domu Buchel, żona Franciszka Klugera, kupca, który zmarł w roku 1849. Miała z nim troje dzieci, córkę i 2 synów. Po śmierci Franciszka wyszła za dr med. Mateusza Michała Zieleniewskiego, brata Ludwika i miała z nim syna Stanisława. Dr Mateusz Michał, zwany w rodzinie Zieleniewskich Michałem, był lekarzem zdrojowym w Krynicy.

Od roku 1936 ponad połowę udziałów w spółce posiadało państwo polskie, które lokowało tu wiele zleceń związanych z budowanym właśnie COP. W latach okupacji hitlerowskiej nazwa zakładu brzmiała: Vereinigte Maschinen Kessel und Waggon-Fabriken L. Zieleniewski und Fitzner Gamper Aktiengesellschaft. Po wojnie, w 1945 roku, zakład na Grzegórkach, największa wówczas fabryka w Krakowie, został upaństwowiony, a wcześniej ostatnim jego udziałowcem z rodziny Zieleniewskich był Mieczysław (1890-1970), syn Leona, który na swoje nieszczęście już od czasów bezpośrednio poprzedzających wybuch II wojny światowej skupował akcje fabryki, kiedy one dołowały i potem wyszedł na tym fatalnie. W powojennym czasie nazwa fabryki brzmiała „Zakłady Budowy Maszyn i Aparatury im. Ludwika Zieleniewskiego”, choć w latach 1952-1990, a więc w czasach PRL, miały one za tytularnego patrona Stanisława Szadkowskiego, robotnika, międzywojennego działacza KPP, współorganizatora gwałtownych protestów robotników z Grzegórek z marca 1936. roku, krwawo stłumionych przez policję. Wydarzenia te upamiętnia jest dziś Pomnik Czynu Zbrojnego Proletariatu Krakowa, usytuowany przy alei Daszyńskiego.

Dziś po fabryce Zieleniewskiego pozostał jedynie budynek administracyjny, a o tym zasłużonym dla Krakowa rodzie przypomina tylko wspomniana powyżej ulica Ludwika Zieleniewskiego. W roku 2008 zakład produkcyjny został wykupiony przez firmę Wolfram, która rychło sprzedała fabryczny grunt i przeniosła produkcję do Niepołomic, a w jej nazwie nie ma nawet śladu po dawnych właścicielach. Przylegające do budynku dawnej dyrekcji resztki hali fabrycznej straszą dziś swoim wyglądem, a rozległy teren fabryki przy ulicy Grzegórzeckiej 69 jest obecnie placem budowy nowego, wielkiego osiedla mieszkaniowego.

Potomkowie tego rodu nadal mieszkają w Krakowie, a ostatnio, w połowie marca 2014. roku, zmarł Artur (ur. 1923), syn Mieczysława. Bratem bliźniakiem Artura, inżyniera mechanika, był prof. Ryszard Zieleniewski (zm. 1997), zaś trzecim synem Mieczysława był Roman (1929-2015). Rodzinny grobowiec Zieleniewskich znajduje się na Cmentarzu Rakowickim (kw. 22) i co ciekawe spoczywa tu niemal całe pięć pokoleń.

Oprócz wspomnianego już powyżej Mateusza Michała, syna Antoniego (1821-1896), balneologa i lekarza zdrojowego w Krynicy oraz Michała Franciszka, zapewne syna Mateusza Michała (1849-1894), inżyniera i budowniczego, spoczywa tu też Stanisław, też raczej syn Mateusza Michała (1852-1890), dr praw i adwokat, a także Wiktoryn, zapewne syn Edmunda, oficer Legionów (1891-1921). Oczywiście w rodzinnym grobowcu spoczywają też małżonki w/w członków tego zasłużonego dla Krakowa rodu.

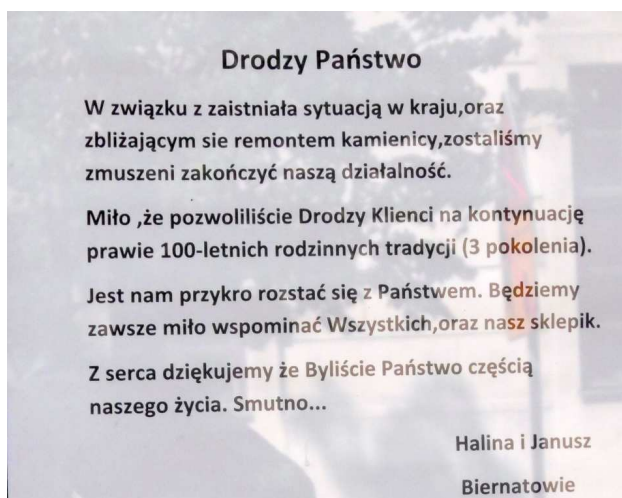
Kraków 11.07.2019

Słowo do edycji XXI

Piasek czasów mego dzieciństwa i młodości praktycznie przestał już istnieć. Sklepik ogólnospożywczy Łakomskiej przy ulicy Rajskiej 20, prowadzony potem przez jej córkę Zofię Biernat, a następnie jej wnuka Janusza Biernata pospołu ze swoją żoną Haliną, zaprzestał swą działalność w roku 2020. Po połowie roku 2019 z Baru Górnik zniknął dawny szyld (fot. poniżej), bo lokal przejęła sieć Miła. Zniknął wreszcie wiszący ogród przy ulicy Rajskiej 18, bo w tym miejscu powstała nowa kamienica. Nie da się ukryć, że teraz czuję się tu już gościem, bo i z moich dawnych kolegów praktycznie nikt tu obecnie nie mieszka. Czas mknie nieubłaganie.....



Fot. nr 7a. Ostatnie spojrzenie na czynny jeszcze sklepik spożywczy Biernatów. (03.2020).



Fot. nr 7b. Smutny komunikat na drzwiach sklepu Biernatów. (01.06.2020)

Doceniając mój wkład w dzieło dokumentowania przeszłości Piasku, głównie z czasów PRL, Pan Walery Bubień z Muzeum Krakowa zaproponował mi nagranie półgodzinnych wspomnień z czasów mego dzieciństwa i młodości, i tak w czerwcu roku 2020 powstał pięcioodcinkowy video reportaż, który jest również dostępny na facebook.com/watch (patrz załącznik na końcu opracowania). Ten dokument, pod nazwą „Spacer po Grabarach”, powstał w ramach projektu realizowanego przez Dom Zwierzyński, oddział MK: „Zwierzyńiec zaprasza Garbary”.



Fot. nr 7c. W trakcie nagrywania wspomnieniowego reportażu o Piasku z czasów PRL przez ekipę pracującą na zlecenie Muzeum Krakowa. W tle zamknięty już Bar Górnik, ale jeszcze ze starym szyldem.



Fot. nr 7d. Zaniedbany już wiszący ogród z ulicy Rajskiej 18 wg stanu z roku 2014.

Kraków 09.09.2021

Słowo do edycji XX

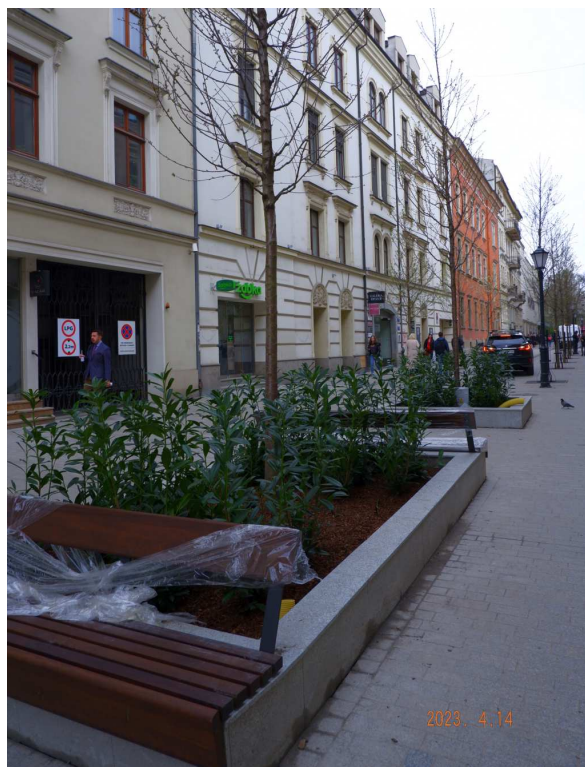
W kolejnej edycji epopei mojego życia dokonałem kilku uzupełnień i skorygowałem dostrzeżone nieścisłości. Nie przeredagowałem całości tekstu, więc zawarte w nim komentarze odnoszące się do teraźniejszości dotyczą stanu sprzed kilku lat. Uznałem, że nie warto podążać za współczesnością, bo staje się ona coraz bardziej ponura, a praktyki polityczne momentami stają się wręcz obrzydliwe i warto skoncentrować się na tym co było dawno temu. Przeszłość, którą starałem się dokładnie opisać, mam na myśli czasy PRL po okrutnym okresie poststalinowskim, na tle współczesności wypada z czasem coraz bardziej intrygująco. Niestety te naganne praktyki z dawnych lat, np. przekaz w tzw. mediach publicznych, jednostronne modyfikowanie historii czy narzucanie siłą pewnych rozwiązań praw, ewidentnie niekonstytucyjnych, powracają ze zdwojoną siłą. Staram się unikać polityki, ale nie mogę patrzeć na to obojętnie, bo mam ku temu doskonałe porównanie. Zmienili się ludzie: argumenty i wiedzę zastąpiła niespotykana dawniej agresja, a fałsz i zakłamanie wypierają przyzwoitość i wiedzę.

Wracając jednak na podwórko Piasku muszę zasygnalizować trzy przypadki istotnych zmian, z których o dwóch pierwszych trzeba się wyrażać z wielką dumą. Otóż wzdłuż początkowego docinka ulicy Krupniczej powstał okraszony zielenią deptak, a na dziedzińcu dawnych c.k. koszar przy ulicy Rajskiej 1-3, po wielu latach walk i zwrotów sytuacji, powstaje (już fizycznie) park im. Wisławy Szymborskiej.

Ta mniej satysfakcjonująca zmiana to przebudowa fragmentu zabudowy ulicy Rajskiej o numerach 16-18, gdzie zniknął wiszący ogród, a kamienica z naroża z ulicą Szujskiego 11 została podwyższona o kolejne piętro. W tym też czasie definitywnie zakończył swoją działalność ogólnospółczywny sklepik Biernatów, dawnej Łakomskiej, przy ulicy Rajskiej 20, a dawny Bar Górnik przejęła Miła, sieć barów mlecznych i tym samym zniknęły ostatnie relikty handlowo-usługowe z czasów mego dzieciństwa.



Fot. nr 7e. Końcowy etap prac w parku im. Wisławy Szymborskiej. (14.04.2023)



Fot. nr 7f. Deptak w początkowym fragmencie ulicy Krupniczej.



Fot. nr 7g. Nowa zabudowa we fragmencie ulicy Rajskiej o numerach: 16-18.
(14.04.2023)

Mam już swój wiek i korci mnie, by za kilka lat, jeśli dożyję, na koniec dokonywania zmian w epopei mojego życia odkodować znaczną część nazwisk, które w niej występują ukryte pod inicjałami, by świat sprzed 60. lat stał się bardziej autentyczny. A potem....."niech się dzieje wola nieba".

Kraków 16.04.2023

I. Moi rodzice, rodzina i dom

Urodziłem się w pewien przedzimowy poranek w dniu 03.12.1953 roku w Szpitalu Narutowicza w Krakowie, gdzie po porodzie omal nie zostałem pomyłony z innym dzieckiem, ponoć jakimś „rudzielcem”, co na szczęście w porę zauważyła mama. Byłem drugim dzieckiem Anny z domu Kędryna, pochodzącej z Podolan i Franciszka Grabowskiego z Bilczyc; obie wsie znajdują się w pobliżu Gdowa, a dzieli je z pięć kilometrów i rzeka Raba. Pierwszym ich dzieckiem też był syn Tadeusz, urodzony dwa lata wcześniej. W chwili mego porodu moja matka miała już prawie 40 lat. Od pierwszych chwil swego życia byłem ponoć, w przeciwieństwie do mego starszego brata, ogromnym głodomorem i rozdarciuchem. Dwuletni Tadziu był wtedy tak zde gustowany moim zachowaniem, że prosił mamę: „zabierz tego błaciska (braciszka) spowłotem (z powrotem) do szpitala”. Mój ojciec był jednak niezwykle dumny z faktu narodzenia drugiego syna, gdyż dawniej, zwłaszcza na wsi, panował pogląd, że chłopakowi zawsze będzie łatwiej iść przez życie i mniej z nim będzie kłopotu. Gdy tak wrzeszczałem, ponoć wiecznie głodny, ojciec podstawił mi butelkę z mlekiem, bo mama straciła pokarm i z uśmiechem na twarzy mówił: „masz głodomorze -duldaj tę flachę”. Nieraz więc, zwłaszcza nocą, dobrze zalażłem za skórę.



Rys. nr 8. Ze starszym bratem Tadeuszem na Plantach pod wodotryskiem (lato 1954).

Moja matka była pięć lat starsza od ojca i późno wyszła za mąż, gdy dobiegała już wieku 35 lat. Jej przyszły mąż mieszkał w Bilczycach i był sąsiadem Piotra Kędryny, jej brata, więc poznali się po kumotersku. On właśnie niedawno wrócił z Niemiec, gdzie był wywieziony na przymusowe roboty i nie miał za wiele do roboty na przeludnionej wsi. W jego rodzinnym domu, starej dwuizbowej chałupie krytej strzechą, mieszkało wówczas siedmioro osób. On i jego rodzina byli biedni, choć posiadali trochę pola uprawnego, ale były to resztki dużego kiedyś majątku rodziny Grabowskich, stopniowo zatracanego przez kolejne pokolenia.

Grabowscy byli bogatymi kmieciami, którzy przybyli do Bilczyc na początku XIX wieku z pobliskiego Liplasu, wnet po zniesieniu w Galicji poddaństwa i od 1848, kiedy uwłaszczono chłopów, byli właścicielami niespełna 10 ha „we Wsi”, czyli w jej centrum, a jak to nazwał jeden z miejscowych, kiedyś należało do nich „niemal pół wsi”. Moi odlegli przodkowie byli w Liplasie młynarzami. Historia tej rodziny, wraz z jej drzewem genealogicznym, nad którym pracowałem prawie 10 lat i które doprowadziłem do drugiej połowy XVII wieku, została opublikowana w zasobach Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej pod sygnaturą: www.mbc.malopolska.pl/publication/8610. Warto jeszcze dodać, że moje odległe korzenie (prapraprababka Zofia) sięgają artystycznego rodu Korneckich, który na przełomie XVIII i XIX wieku mieszkał w Gdowie i jego okolicach, a moim nie aż tak odległym krewnym, bo bratem mojej praprababki Józefy, był Wojciech Bednarski, założyciel parku w Podgórzu.

Geneza zubożenia rodziny mojego ojca wydaje się być prosta; jeszcze na początkach XX wieku znane tu było porzekadło, które przekazała nam babcia Karolina:

„Grabowscy, Grabowscy, marnie wy zginiecie
Między Gdowem, a Krakowem karczmy nie miniecie”.



Fot. nr 9. Dom rodzinny mojego ojca w Bilczycach, gdzie regularnie spędzałem wakacje. Od lewej: moja Babcia Karolina Bogda, Anna Nykiel, jej siostra, jej siostrzenice (Wanda Nyklówna i Halina Hablonka) oraz bratowa Helena Grabowska.

Zdjęcie z lata 1944-go roku, wykonane przez Andrzeja Grabowskiego, jej brata.

Ojciec był nieślubnym dzieckiem Andrzeja Bujaka, absolwenta Gimnazjum im. Jana III Sobieskiego, legionisty i znanego piłkarza Wisły z lat 1909-1924, którego rodzina pochodziła z Kępanowa koło Łapanowa. Gdzieś przy końcu I wojny światowej, już jako oficer c.k. armii, miał on jeździć samochodem ciężarowym w rodzinne strony swego ojca i z przystanku na bilczyckim „Pagorku” miał zabrać moją babkę do Krakowa, gdzie mieszkały jej siostry. Przypadkowe spotkanie przerodziło się w romans, który trwał może ze dwa lata, a jego owocem był mój ojciec, urodzony 17.05.1919 roku. W tym czasie moja babcia mieszkała w jego mieszkaniu przy ulicy Szlak 11/2b, bo taki adres figuruje na świadectwie chrztu taty, gdzie jednak nie ma danych jego ojca, choć podany powyżej adres był miejscem jego zamieszkania; jak widać zatem formalnie nie przyznał się on do ojcostwa. Co ciekawe, świadkiem przy chrzcie była Wanda Bujak, zapewne siostra Andrzeja. Potem z niewiadomych mi przyczyn, może z uwagi na dzielący ich poziom inteligencji, a także konieczność szukania przez niego pracy na Kresach Polski, ich drogi się rozeszły, choć ojciec miał go odwiedzać w jego krakowskim mieszkaniu zanim nie ożenił się on w połowie lat 20., a potem wyprowadził się do Warszawy, gdzie zmarł w roku 1940, mając zaledwie 49 lat. Jego oraz jego syna Mieczysława sylwetki oraz losy można prześledzić m.in. w notce biograficznej na stronie www.historiawisly.pl.

Długo o nim bardzo mało wiedziałem, ale ostatnio zrobiło się o nim głośno i teraz wiem, że żyje nawet Teresa, przyrodnia siostra ojca, bo jego syn Mieczysław, uczestnik Powstania Warszawskiego i członek WiN jako żołnierz niezłomny został uwięziony w roku 1950, a wkrótce skazany na śmierć po pokazowym procesie i zabity strzałem w tył głowy w roku 1951.



Fot. nr 10. Drużyna piłkarzy Wisły na starym boisku w roku 1924. Nieopisane osobowe zdjęcie autorstwa Jana Zimowskiego, datowane na rok 1924, jest zamieszczone w książce „Kraków w starej fotografii” (BOSZ 2017) i pochodzi z zasobów MHF. Kapitanem Wisły (pierwszy z prawej) jest najwyraźniej Andrzej Bujak, mój dziadek.

Moja babka ze strony matki pochodziła z Podolan, z zamożnej kiedyś rodziny Chanków, gdzie jej dziadek – Jan Chanek, był tu kiedyś młynarzem i wójtem, jednak i tej rodzinie nie dopisywało szczęście. Jej matka – Regina po mężu Kędryna, spadkobierczyni majątku po ojcu, na skutek niekorzystnego splotu wielu czynników losowych, a także własnej lekkomyślności i nieuczciwości ze strony sąsiadów - rodziny Wojasów, na początku XX wieku utraciła cały ten rodzinny dorobek. Moja mama, urodzona na progu I wojny światowej, żyła już w biedzie. Historię rodziny Chanków, aż po połowę XVIII wieku, odtworzyłem po ponad pięcioletnich badaniach i zawarłem w oddzielnym opracowaniu również dostępnym w MBC na stronie: www.mbc.malopolska.pl/publication/10372.

Po śmierci matki w 1928 roku i pokonaniu potem wielu przeszkód życiowych moja mama znalazła stałe zatrudnienie w Krakowie u rodziny Beigertów i Gawłów, w ich kamienicy przy ulicy Łobzowskiej 23. Do jej zadań należała opieka nad „panią Basią”, trzyletnią wówczas jedynaczką państwa Beigertów, pomoc przy kuchni i utrzymywanie czystości w domu. Mama poznała ojca w 1948 roku przy aktywnym udziale Julii Kędrynowej, jej bratowej z Bilczyc, kiedy było już ostatecznie dzwonienie na małżeństwo, jednak jej pracodawcy czynili duże przeszkody, by do tego związku nie dopuścić. By założyć rodzinę musiała wykazać maksimum determinacji, wszak niełatwo było się jej wyrwać się z tego galicyjskiego jeszcze duchem kotła pruderii i dulszczyzny i postawić na swoim. Że nie była to bezbolesna decyzja wkrótce sama się przekonała. Pewnie po tym 17-letnim okresie życia, kiedy dodatkowo obcowała z zanadto dewocyjną grupką swoich sióstr i rówieśnic, w tym: Helą Bartosik, Teresą Papieżówną i Rozalią Radoń, z którymi zasilala szeregi różnym bractw różańcowych i tzw. „trzeciego zakonu”, pozostała jej w życiu niechęć do mówienia o sprawach współżycia seksualnego, którą to sferę, podobnie jak jej siostra Karolka, nazywała „brudami”. Sam długo byłem przekonany, że dzieci były skutkiem usilnych modlitw, a przynosił je do szpitala „Bozia”.

Antoni Gawęł, ojciec pani Józefy Beigertowej, a dziadek „pani Basi”, był za „babci Austrii” nadzorcą („dysponentem”) w „Palarni Kawy M. Jawornickiego, której lokal handlowy znajdował się w Rynku Głównym 44 i tylko nieźle sytuowanym handlowcem. Tu rozsypywano do torebek różne gatunki kawy, a on, wg Stanisława Broniewskiego („Igraszki z czasem” WL 1973) siedział w rogu sali i obserwował, co się wokół dzieje. Jego sytuację rodzinną utrudniał fakt, że posiadał on aż cztery córki na wydaniu: trzy własne i jedną adoptowaną od najbliższej rodziny. Z tych czterech panien tylko jedna, Józefa, wyszła za mąż za Emila Beigerta, początkowo w subiekta w sklepie Kazimierza Ogorzałego przy ulicy Szczepańskiej 11, gdzie i ona pracowała jako kasjerka, a potem drobnego przedsiębiorcę, pozostałe zaś: Jancia, Zosia i Marysia nie zmieniły stanu cywilnego i z czasem, zwłaszcza te dwie pierwsze, stały się niezwykle zazdrosnymi i zgryźliwymi starymi pannami. Jak w tej sytuacji, kiedy moja matka miała okazję wyjść za mąż i założyć własną rodzinę, cały ten klan miał jej tego nie utrudniać i nie kłaść pod nogi ciągle to nowych kłód? Zdając sobie sprawę z ostatej szansa jaka jej się w życiu nadarza, mama postawiła na swoim, wykazując się przy tym niezwykle odwagą i determinacją.

Ślub odbył się w listopadzie 1948 roku, nawet nie wiem dokładnie w którym dniu, a na sfinansowanie wesela mama sprzedała pole na Jaroszwówe, które kupiła jeszcze przed wojną, jednak karą za tą niespotykaną samowolę i niesubordynację było puszczenie młodego małżeństwa od razu na głębokie wody, bez kąta dla siebie i jakichkolwiek perspektyw na samodzielne mieszkanie. W tej wielkiej kamienicy brakło dla nich najmniejszego bodaj pomieszczenia, choć przez siedemnaście lat swojej pracy mama była tu osobą niezwykle przydatną, wręcz niezastąpioną, co pokazała przyszłość. I tak po ślubie moi rodzice jeszcze przez rok mieszkali osobno, a ojciec plątał się po Krakowie, nocując najczęściej u Karolki, siostry mojej matki na Osiedlu Oficerskim, czasem zaś u Rózi Radoń, koleżanki mamy z ulicy Łobzowskiej, a sporadycznie mógł też liczyć na kąt do spania u swojej chrzestnej - Józefy Frankiewicz, siostry jego matki, która mieszkała w pobliżu, na ulicy Asnyka. Póki co matka nadal miała swój kąt w kuchni u swoich pracodawców, bo nadal tu pracowała, ale jakże niekorzystnie dla niej zmieniła się panująca tutaj wokół niej atmosfera. Ona sama miała już tego dość, bo potem przez długie lata nie mogła tego ponizania w sobie wyresetować



Fot. nr 11. Zdjęcie ślubne moich rodziców z listopada 1948 roku, wykonane w zakładzie Bielca przy ulicy Karmelickiej 50.

Po nieciekawym początku ojciec w końcu znalazł dobrą pracę w Krakowie, początkowo w Palarni Kawy Beigerta i Malinowskiego na ulicy Krakowskiej 5, co stało się podstawą ich wspólnej egzystencji. Niebawem, pod koniec 1949 roku, sukcesem zakończyły się też rozpaczliwe starania mojej mamy o zdobycie jakiegoś lokum w przetłoczonym do granic możliwości powojennym Krakowie i w zamian za opiekę nad starym „dziadkiem”, Andrzejem Nadolnikiem, moi rodzice dostali kąt w pojedynczej izbie przy ulicy Czystej 8/7. Pokoik był bez żadnych wygód, z dużym kuchennym piecem w jego rogu i z sękata, drewnianą podłogą. Po wodę chodziło się na podwórko, podobnie jak i za potrzebą do wspólnej ubikacji, a w nocy nieocenionym rekwizytem był zwykły nocnik i wiaderko. Od tej pory mama zaniechała pracy u Beigertów, co wywołało dodatkowe ich zgorzenie i wróżby rychłego tam powrotu na kolanach, ale ich przewidywania nie spełniły się, bowiem zarobki ojca wystarczały już na skromne życie, do którego oboje wcześniej przywykli. Jak się ostatnio dowiedziałem Andrzej Nadolnik miał jeszcze przed wojną, a potem w czasie okupacji i chyba jakiś krótki czas po jej zakończeniu, ogólnospółczyński sklepik na parterze od frontu kamienicy, gdzie potem mieszkali Kopciowie.



Fot. nr 12. Mój brat Tadeusz na Plantach koło fontanny. (1952)

Szczęście powoli zaczęło im sprzyjać, bo schorowany „dziadek” zmarł w lecie 1951 roku, po dwóch latach wspólnego zamieszkiwania, gdy mój brat był już „w drodze”, bowiem czas szybko uciekał i dla mamy było to przysłowiowe „ostatnie dzwonięcie” na dzieci.

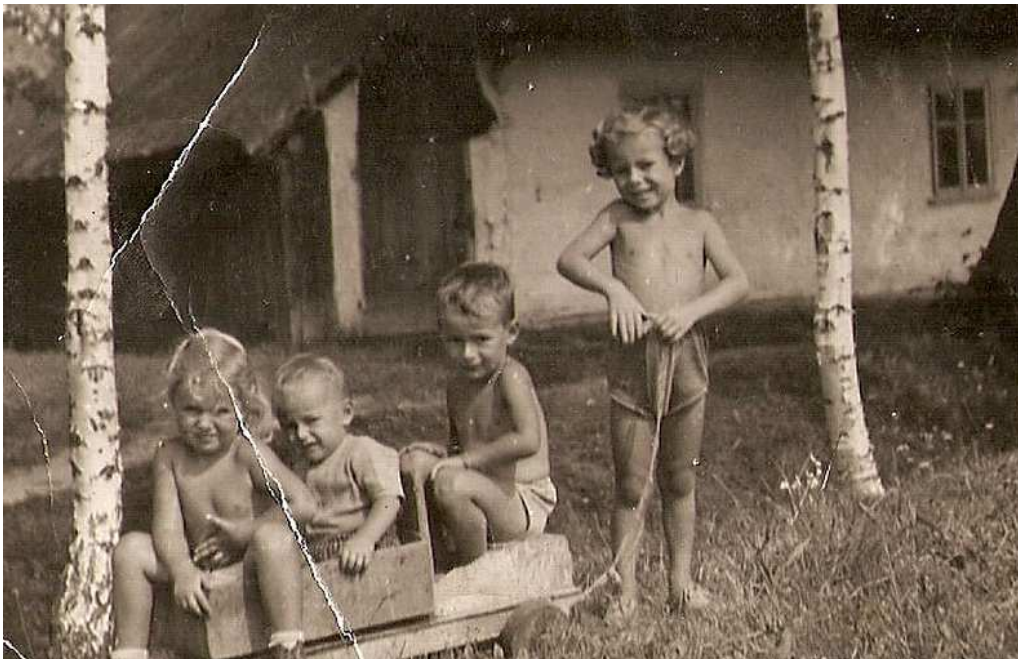


Fot. nr 12a. Mój brat ponownie na Plantach przed fontanną, tym razem w 1953 roku.



Fot. nr 12b. Kucyk z moim bratem na grzbiecie - aleje Mickiewicza przy Muzeum. (1953)

Był niezwykle troskliwie pielęgnowany przez moją matkę i podzięce za jakość świadczonej mu opieki pozostawił im po sobie i niewielkie mieszkanie, i jego skromne wyposażenie, w tym dwa stare, choć tylko odpustowe obrazy świętych, z których jeden wisi dzisiaj na ścianie mego mieszkania nieprzerwanie towarzysząc mi od najwcześniejszych chwil mego życia. Jego córka, pani Wilerowa – tak przynajmniej to nazwisko wymawiała mama (poprawnie Wiehlerowa), która mieszkała na ulicy Dolnych Młynów, bodaj pod nr 7, nie stwarzała w tej kwestii żadnych problemów i tak ich marzenia wreszcie się spełniły: mieli swój własny kąt i od tej pory mogli już żyć na własny rachunek. Od tej chwili nikt już im nie rozkazywał i nie przestawiał z kąta w kąt jak starego rupiecia; w tych czasach tak niewiele było potrzeba do pełni szczęścia. Wkrótce też przyszła na świat dwójka dzieci. Dodam jeszcze, że w dniu 24.12.2021 na cmentarzu Rakowickim natrafiłem na grobowiec Wiehlerów, rodziny ich córki, gdzie Andrzej Nadolnik (1867-1951) spoczywa z żoną Marią (1871-1945).



Fot. nr 12c. W Bilczycach przed domem Babci z kuzynami ze strony ojca. Od lewej: Anna Szostek, ja w samochodzie, mój brat Tadeusz i Jacek Szostek (lato 1955).

Nasze małe mieszkanko, pewnie dawna, przedwojenna dozorcówka, znajdowało się na parterze kamienicy, na końcu oficyny. Ta dawna „czynszówka” pochodziła z końca XIX wieku, z roku 1899 i wg Kalendarza Czecha z 1913 roku w tym czasie należała do Stanisława Czyżowskiego: dyrygenta i właściciela orkiestry oraz jego żony Józefy. Wchodziło się do niego z klatki schodowej oficyny wcześniej pokonawszy kilka stopni niewielkiego ganeczku. Ganeczek ten utkwiał mi szczególnie w pamięci, wszak do dzisiaj pamiętam wydarzenie, gdy jako mały bobas, jeszcze za życia ojca, huśtając się na koniku na biegunach spadłem po schodkach na „łeb i szyję”, wyrządzając sobie sporą krzywdę, z krwotokiem z nosa włącznie. Mój ojciec, posiadający gwałtowny charakter, po tym incydencie porąbał konika siekierą na strzępy.



Fot. nr 13 (13-13). Grobowiec Wiehlerów, rodziny zięcia Marii i Andrzeja Nadolników, na Cmentarzu Rakowickim.



Fot. nr 13a. Tabliczka na froncie grobu z nazwiskami Marii i Andrzeja Nadolników.

Ten pokój o powierzchni 18 m² musiał być sypialnią, salonem i kuchnią jednocześnie. Pod ścianami stały dwa solidne łóżka, bo na więcej nie było już miejsca i z tego co pamiętam w jednym sypiałem ja z matką, a w drugim brat z ojcem. Ale raz zapragnąłem się zamienić i spałem z ojcem, jednak w nocy zachciało mi się sikać, ale nie miałem odwagi obudzić taty, a mama nie słyszała mojego szeptu, więc w końcu i ja zasnąłem, a rano okazało się, że śpię w mokrej pościeli. Było kupę śmiechu, a mi było bardzo wstyd, bo byłem już przecież „taki dorosły”, wszak miałem pewnie ze dwa lata, a tu się śmiali z człowieka.



Fot. nr 14. Moja Mama z „kociarnią” przed gankiem prowadzącym do oficyny, gdzie na parterze znajdowało się nasze małe mieszkanie, zapewne dawna dozorczówka. (1968)

W przeciwległym od drzwi wejściowych kącie pokoju stał zużyty kuchenny piec kaflowy z szabaśnikiem z boku, na którego zapiecku z czasem wygrzewały się tylko koty, bo tych po śmierci ojca nigdy u nas nie brakowało. Od połowy lat 60-tych, mocno już wypalony, był na zimę zastępowany okrągłym kosiakiem, który stał niemal na środku pokoju na metalowej podstawie i był podłączony do pieca długą rurą. Jakiż miły żar wionął z tego walcowatego grzejnika; robiło się błyskawicznie gorąco, ale niestety piecyk szybko stygł i w nocy, przy mroźnej zimie, znowu panowała „lodownia”. Ileż dymu wydzielano się niekiedy przy rozpalaniu tego kuchennego pieca, zwłaszcza przy złej pogodzie! Do dziś czuję ten charakterystyczny sadzowaty smrodek.



Fot. nr 15. Moja Mama pod oknem naszego nowego mieszkania na Czystej 21. (1971)

Aż dziw bierze, że w tych warunkach uchroniliśmy się od pożaru czy jeszcze gorszego w skutkach zaccadzenia, wszak okno, które było podwójne, dwukwaterowe, było w zimie możliwie szczelnie zamknięte, a ponadto wszelkie szpary były dodatkowo opatulone przez różnego rodzaju uszczelniacze, jak: stary koc, czy zużyte koszule flanelowe. Mroźną porą jego zawilgocenie owocowało pięknymi wykwitami lodowymi na szybach okna, szczególnie efektownymi po nocy, które nas zachwyciły. Pomimo tych zabiegów zawsze jednak od niego „ciągnęło” chłodem i był to zapewne zbawienny dla nas przeciąg, o czym nikt z nas sobie wówczas nie zdawał w pełni sprawy. W zimie jego górna część musiała być czasem uchylana, by przewietrzyć mieszkanie z nadmiaru wilgoci i kuchennych zapachów. Z zewnątrz było stylizowane, z szeregiem zachowanych detali i zapewne pochodziło jeszcze z czasów budowy kamienicy w końcu XIX wieku, ale to pewnie z racji wieku było już nieco wypaczone i nieszczelne.

Piece szybko odciskały swoje piętno na ścianach i suficie, bo mieszkanie z czasem coraz bardziej szarzało i trzeba je było okresowo przemaalowywać. Aby sadze piecove i opary kuchenne nie były nazbyt widoczne na ścianach często malowało się ich powierzchnie najłatwiej dostępnymi, lichymi farbami klejowymi, zwykle na kolory: różowy, żółty czy beżowy, po czym poddawano je „rolkowaniu”. Przy pomocy ręcznie przesuwanych rolek na ściany nakładano desenie w różne kwieciste wzorki, czym przedłużano ich „świeżość”. W tym czasie nakładanie na ściany takich tandetnych wzorków było niemal powszechnym rytuałem.

Miejsca starczało jeszcze na dwie duże szafy, z których w jednej mieściła się pościel, a w drugiej ubrania. Jedna z nich była starsza i stylowa, ładnie intarsjowana drewnem, dziś wiem, że w stylu neorenesansowym, pewnie jeszcze z czasów młodości „dziadka Nadolnika”. Ileż problemów w tych czasach dla ubrań w nich przechowywanych stwarzały mole!!!! Nie było na nie siły ani skutecznego sposobu, choć mama próbowała je zwalczać różnymi sposobami, m.in. przecierała półki i wnętrze octem, więc nieraz pod dłuższym, letnim przechowywaniem swetry przypominały sitko. Polowaliśmy więc nieustannie na te fruujące po mieszkaniu małe „motylki” i dobrze w dzieciństwie musieliśmy się naklaskać. Obok śmierdzącej naftaliny stosunkowo najskuteczniejszym sposobem na ich zwalczanie było letnie wietrzenie ciuchów i wygrzewanie ich w słońcu, ale niełatwo było znaleźć do tego miejsce, bo np. trzepak na podwórku był wiecznie zajęty. Pozostawały więc metalowe poręcze ganeczku, bo dozorca za nic w świecie nie chciał użyć drewnianego płotu przy jego ogródku.

Blisko pieca stał kredens na naczynia, zapełniony pięknym serwisem naczyń stołowych, który moi rodzice otrzymali w prezencie ślubnym od Beigertów. W czasach mojego dzieciństwa ten piękny zestaw kurczył się systematycznie, regularnie wybijany przez nasze „zgrabne” ręczki, jednak do lat 70-tych uchowało się jeszcze kilka sztuk z tego kompletu, głównie nieużywane dzbanuszki i wazy oraz kilka talerzy. Do gotowania służyły aluminiowe garnki, wtedy, po otwarciu Huty Aluminium w Skawinie, bardzo modne, w przepotężnym zastawie: od „maluczkich”, po „wielkie byki”. Kupił je jeszcze ojciec, co dobrze pamiętam, gdzieś w 1956 roku, w Domu Towarowym na rogu ulic: Podwała i Krupniczej. Kilka z nich przetrwało do dziś.

W środku izby stał duży stół, który w dzień służył nam do nauki i zabawy, w nocy zaś mamie do prasowania. Tu często toczono były zacięte „cymbergajowe” mecze, o czym piszę w dalszej części.

Drzwi wejściowe były podwójne: te wewnętrzne, solidne i stylizowane, pewnie oryginalne, były już w tym czasie nieszczelne i pewnie to ojciec dobudował do nich jakby dodatkową drewnianą budkę, taki mini przedpokój, który od zewnątrz był zamykany przez następne, drzwi blokowane od wewnątrz przez metalowy haczyk. Od korytarza z kolei były one zamykane na kłódkę z użyciem metalowego skobla. Dzięki temu „patentowi” w zimie mniej „ciągnęło” z „pola”, broń Panie Boże nie z „dworu”, ale tylko mniej.

Gdzieś około 1965 roku mama sfinansowała wreszcie zabudowę kranu z zimną wodą, który stanowił dla nas spory luksus, gdyż nie musieliśmy już chodzić po wodę „na pole”. Stał on w rogu pokoju i był przysłonięty szafą, więc awaryjnie służył też za pisuar. Niestety ubikacja była wspólna, a na dodatek mieściła się na zewnątrz przy ganku Wojakowskiej, jakieś 30 m od naszego mieszkania i żeby tam dotrzeć trzeba było przejść całe podwórko. Była ona wyposażona w starą, obskurną, zardzewiałą muszlę klozetową, której stan dodatkowo zniechęcał do korzystania z tego przybytku. W zimie dodatkowo odstraszał ziąb docierający z pola, bo panowała tam istna lodownia.

Kąpiel odbywała się w dużej balii, która mamie zwykle służyła do prania, a wodę do pluskania gotowało się na blasze pieca, w garze do gotowania bielizny. W zimie po kąpeli i wytarciu się ręcznikiem od razu uciekało się do łóżka, chowając całą głowę pod pierzynę. Ale dopóki nie było u nas kranu ze zlewem był wielki problem z przyniesieniem z podwórka tak dużej ilości wody i nie mniejszy z jej wylaniem brudnej wody do kratki ściekowej, którą biedna mama sama musiała wynosić w dwóch wiaderkach, nie zważając przy tym na ślizgawice i mróz.

W oficynie budynku znajdowała się tylna klatka schodowa z niewielką sienią na jej parterze, z której prowadziło dojście do naszego mieszkania. Była ona ciemna i ponura, a w godzinach wieczornych było tu naprawdę nieprzyjemnie, wszak nie brakowało tu różnych ciemnych zakamarków, a na dodatek w rogu sieni znajdowało się dodatkowe wejście do piwnicy, zamykane tylko na zasuwę. Wracając wieczorem do domu nieraz przechodziły po mnie ciarki, gdyż na korytarzu ledwo tliła się tylko słaba żarówka.

Pod ścianami niewielkiego korytarza stały dwie nasze drewniane skrzynki, w których mama gromadziła podręczne zapasy węgla, raz na jakiś czas przynoszone tu w wiaderkach z piwnicy. W rogu korytarza, naprzeciw naszych drzwi wejściowych, a przy wejściu na schody wiodące na wyższe piętra, znajdowała się jeszcze nasza spiżarka, która stanowiła wgłębienie w ścianie zamykana drzwiczkami na kluczyk. Tu były przechowywane żywnościowe „skarby” z lata i jesieni, o których zapas zawsze dbała nasza Mama.

Oj twarda to była szkoła życia, bo w zimie co dwa, trzy dni trzeba było iść do piwnicy po kilka wiaderek węgla i drewnianą podpałkę. Drewno rąbało się na pieńku w piwnicy we własnym zakresie i czasem tylko chodziło się po gotowy pęczek („kółko”) do sklepu Łakomskiej na ulicę Rajską 20. Po wodę, nie zważając na lodowatą pogodę, kilka razy dziennie chodziło się do wspólnego kranu, który był usytuowany w rogu podwórka podwórku tuż przy wejściu do głównej piwnicy. W zimie często on zamarzał i nieraz trzeba było chodzić na żebry, najczęściej do Wojakowskich. Nieczystości z domowego wiaderka też trzeba było wylewać na podwórku do wspólnej kratki ściekowej, zaś za potrzebą także niezbędny był spacer do wspomnianego już obrzydliwego kibla, który znajdował się na ganku obok drzwi dozorczy. Obok siebie znajdowały się dwie, wspólne ubikację przedzielone tylko niezbyt szczelną ścianką z desek, więc wszystkie stękania sąsiadów i „zapachy” było słychać i czuć w detalach: bliższa dozorczy, bardziej elegancka, którą użytkowali oni sami, Książkowie, pani „Perzystowa” i inżynier Przybyła oraz zewnętrzna, w sąsiedztwie bramy, gdzie był przybytek ulgi dla nas i Kopciów. Ale człek był wtedy młody, pełen życia i od dzieciństwa przystosowany do niewygód, więc nie narzekało się na los. W naszym zatęchniętym mieszkaniu zwłaszcza w zimie nigdy nie panował zdrowy klimat, wszędzie czaiła się wilgoć i prawdę mówiąc już od czasów mego dzieciństwa mam do dziś swoistą pamiątkę, czyli bardzo czuły barometr w postaci „łupania w kolanie” na zmianę pogody.

Moja matka czyniła cuda by zamienić mieszkanie na większe, ale wtedy, w latach 60-tych, kiedy miasto konsumowało efekty powojennego przyrostu naturalnego, nie było praktycznie żadnych szans na coś większego. Wreszcie, na początku 1970 roku, wybłagała u jakiegoś ludzkiego urzędnika zgodę na przeprowadzkę do większego, ale wspólnego lokalu przy ulicy Czystej 21/10, w którym przydzielono nam dwa wielkie pokoje z używalnością kuchni, ale dalej bez łazienki. Tam też przeprowadziliśmy się w marcu tegoż roku, ale to już inna historia.

Tu może mała dygresja. Ojciec zmarł na raka po ponad półrocznym, wielkim cierpieniu, gdy miałem niewiele ponad cztery lata, ale w pamięci zachowało mi się kilka kadrów z tego okresu życia. Nie ulega wątpliwości, że po okresie poniżeń związanych z pobytem na wsi, gdzie jako „sietniok”, a więc młodzian nie posiadający ojca, nie miał łatwego życia, a potem po przymusowych robotach w Niemczech, gdzie stracił pięć lat młodości, wreszcie poczuł się w pełni wartościowym i szczęśliwym człowiekiem. Miał dobrą, kochającą żonę i ukochanych przez niego „chłopaków”, z czego czuł się niezwykle dumny. Choć miał porywczy charakter był jednak dobrym i czułym, a przy tym zdyscyplinowanym człowiekiem. W końcu zaznał w życiu ciepła rodzinnego, którego niezliczone pokłady dostarczała mu moja matka, niezwykła kobieta, która zasługiwała na pójsie „nogami do nieba”. Epatowała spokojem oraz wyrozumiałością i zawsze potrafiła szybko uspokoić jego porywy gniewu, czasami może nazbyt gwałtowne.

Pobyt w Niemczech na przymusowych robotach w latach 1940-1945, co było skutkiem łapanki w rodzinnym Gdowie i doznane tam krzywdy oraz upokorzenia pozostawiły trwałe ślady w jego umyśle, co wyrażał od czasu do czasu w strofach pieśni, którą przypominała nam Mama w nieco bardziej wygładzonym brzmieniu (tu przytaczam obozowy oryginał):

„Przyjdą te czasy, że te kutasy przed nami będą na baczność stać,
A my z kolei w pełni nadziei będziemy z góry na nich srać”.

Pamiętam wspólne z ojcem wypadki do jego ciotki i kuzynów na ulicę Miechowską 7, wyjścia na mecze piłkarskie, gdzie zabawiałem się na schodkach wiślackiej trybuny, wyprawy na cmentarz w dzień Wszystkich Świętych na grób Józki, przedwcześnie zmarłej siostry mamy czy wreszcie nocny spacer na pasterkę. To ostatnie wydarzenie miało miejsce w święta 1956 roku, gdy w kościele Kapucynów razem z bratem daliśmy popis kolędowania, co naszego tatę wprawiło w dumę, gdyż wszyscy ludzie w kościele oglądali się na nas z sympatią i uśmiechem. Niezbyt mile za to wspominam pobyt na weselu Henka Habla, jego kuzyna, gdzieś na wiosnę 1957 roku, gdyż ojciec zaniecierzył się wtedy tak mocno, że matka musiała go holować do domu z pomocą taksówki. Pamiętam, że już rano, gdy nieco wytrzeźwiał, okazywał w stosunku do nas wielką skruchę. Ojciec był osobą bardzo towarzyską, nigdy nie stronił od zabawy, ale czasem przeholował ze spożyciem gorzałki, co i mnie utkwilo w pamięci. Był to jego ostatni w życiu ostry „występ”, bo choroba nowotworowa zaczęła mu dokuczać coraz mocniej, a pojawiające się bóle w obrębie jamy ustnej, początkowo kojarzone z zębami, były nawet dla niego, wielkiego twardziela, który wiele w życiu przeszedł i wycierpiał, nie do zniesienia; i mamie, i nam trudno było znieść jego nieludzkie wycie z bólu.

Najczęściej odwiedzał swoich kuzynów z ulicy Miechowskiej: Henka i Bolka Habłów, gdzie na grze w kartach, zapewne w popularnego „zechcyka”, zwykle przy flaszczyce gorzałki i w kłębach papierosianego dymu, lubił spędzać czas po pracy. Razem z nimi chodził też na mecze na pobliski stadion Wisły, której fanatycznie kibicowały całe Kawiorzy, łącznie z ciotką Hablową, siostrą jego matki. Mama miała potem do niego uzasadnione pretensje, że chodzi tam za często i to poskutkowało, choć jego rodzina poczuła się tym faktem nieco urażona. Czasem zabierał nas tam ze sobą, ale my nie mieliśmy tam za wiele do roboty, bo nie było tu towarzystwa w naszym wieku i nudziliśmy się, najczęściej siedząc na ławeczce przed domem, a potem mocno marudziliśmy, przeszkadzając mu w oddawaniu się w karcianej rozrywce, wszak rozgrywki szły na całego i rozgrzewały ich uczestników do czerwoności. Heniek pracował jako sprzątający w pobliskich zakładach przemysłu tytoniowego i z tej okazji nieraz wpadał do naszego mieszkania przy ulicy Czystej 8. Jego służbowy ekwipunek stanowił wózek na dwóch kółkach, wyposażony w miotłę i łopatę, do którego zgarniał nieczystości na terenie zakładu pracy i z przylegającej do nich ulicy Dolnych Młynów. Korzystając z tej okazji często przemycił w swoim pojeździe papierosy, najczęściej popularne Sporty, które pakował w papierowe torebki i szybko podrzucał do nas do domu, a następnie, już po pracy, paczki te odbierał. Potem sprzedawał towar znajomym po niższej cenie i w ten sposób dorabiał do swej mizernej pensyjki, a przy okazji sam i jego rodzina kopcili na potęgę, bo za darmo, a ten proceder trwał jeszcze długo po śmierci ojca.

Niestety ojciec też był nałogowym palaczem i „kopcić” zaprzestał zbyt późno, gdy dowiedział się, że jest chory na raka. Wtedy też zaczął pić mleko, którego wcześniej o dziwo, wszak pochodził ze wsi, nie cierpiało i zapewne i ja odziedziczyłem po ojcu tę do niego awersję.

Barwna było to rodzina ci Hablowie, typowa dla podkrakowskich przedmieść. Kawiorzy tworzyły jeszcze wtedy lokalną społeczność, choć do centrum było stąd tak niedaleko, która żyła własnym życiem i rytmem, gdzie wszyscy świetnie się znali. Heniek już niemłodo, bo jako trzydziesto-trzy latek, w 1957 roku ożenił się z Marysią, dużo młodszą, miejscową dziewczyną, jakby nie do końca rozgarniętą, ale skąd inąd bardzo ładną, która od początku zdradzała cechy „dziewczyny z przedmieść”, więc był o nią potwornie zazdrosny. Gdy chodził do pracy ona czasem umilała sobie życie, nieraz pewnie przy gorzałce, pośród licznej rzeczy znajomych kumpelek i „andrów”, czemu nie potrafiła zapobiec nawet teściowa. Potem przez całe życie iskrzyło między nimi, bo on wiecznie ją podejrzewał o zdrady i pomimo, że urodziła mu dwoje dzieci w końcu, po kilkunastu latach, się z nią rozwiódł, a sąd przyznał mu oboje dzieciaków: chłopaka (Kazka) i młodszą córkę (też Marysię), bardzo podobną do matki, więc zapewne nie była ona także przykładną matką. Heniek przyżenił się później, już w latach 70-tych, do jakiejś wdowy i zamieszkał u niej na Osiedlu Podwawelskim.



Fot. nr 16. Zdjęcie ślubne Bolesława Habła, ulubionego kuzyna mego ojca, na progu podgórskiego domu jego żony Ziutki, przy ulicy Jerozolimskiej 10, który jeszcze do niedawna posiadał ową ceglana fasadę. (około 1956)

Bolek z kolei, młodszy z braci, bardzo przystojny chłopak, jeszcze za życia ojca ożenił się z Ziutką, śliczną dziewczyną z krańca Płaszowa i zamieszkał u niej w jej rodzinnym domu przy ulicy Jerozolimskiej, a potem kontakt między nami całkowicie się urwał, choć w naszej rodzinie zachowała się nienajlepsza o nim opinia, zwłaszcza z czasów tuż po śmierci ojca, kiedy usiłował matce sprzedać zepsutą maszynę do szycia za niemałe pieniądze jakie matka dostała od firmy w formie ubezpieczenia.

Hablowie mieli jeszcze siostrę Halinkę, która urodziła się pośrodku, ulubioną kuzynkę ojca, także śliczną dziewczynę, która gdzieś na początku lat 50-tych wyszła za mąż i wyjechała z mężem do Lewina Brzeskiego, a więc na Opolszczyznę, ale często odwiedzała rodzinny dom. Pamiętam ją jak przez mgłę, choć słyszałem, że bardzo nas lubiła. Długo jeszcze pisywała do mamy listy, kiedy ojca już dawno nie było na tym świecie, ale już nas nigdy nie odwiedziła. Jej nazwisko niestety umknęło mi z pamięci.



Fot. nr 17. Halina z Lesiem przed domkiem na ul. Miechowskiej 7. (pocz. lat 50-tych)

Będąc małym dzieckiem, czego ja nie pamiętam, w trosce o nasze zdrowie całe lato spędzaliśmy w Bilczycach, w domu mojej babki, a do Krakowa powracaliśmy dopiero na jesień. Ojciec bardzo cenił rodzinny klimat i utrzymywał bliskie stosunki z pozostałymi, oprócz Staszki Hablowej, swoimi ciotkami, które mieszkały w Krakowie: Hanką Nyklową z ulicy Długiej 62, którą i ja bardzo mile wspominam za jej gościnność, i Józką Frankiewiczową, nieco sknerowaną jego chrzestną z ulicy Asnyka 10. Zwłaszcza wizyty u tej pierwszej z jego ciołek, która samotnie mieszkała w maleńkiej dozorówce od strony porośniętego drzewami podwórka, do dziś dobrze pamiętam, bo była ona dla nas bardzo serdeczna i zawsze częstowała nas jakimiś cukierkami. Bywał też u nas Andrzej Grabowski, zwany Jędrkiem, brat babki, który na stałe mieszkał w Otwocku, ale ten sympatyczny i inteligentny człowiek pod koniec życia zmienił wiarę, został natarczywym „kociorem” i stał się trudnym do współżycia. Podczas próby nawracania mamy w maju roku 1959 omal nie zrobił krzywdy brzytwą choremu bratu, który ten próbował się z nim przekomarzać. Niedługo potem zwariował i wyładował na stałe w szpitalu.

Szkoda tylko, że te serdeczne stosunki z rodziną ojca wyraźnie osłabły, z wielką zresztą dla nas szkodą, po sławetnej kłótni majątkowej, która miała miejsce w Bilczycach w lecie 1960. roku, zaraz po śmierci Józefa Bogdy, męża mojej babki. Przy sprzedaży majątku my wówczas już sieroty mieliśmy zostać pokrzywdzeni, przynajmniej zdaniem mojej mamy, o czym dziś jestem tylko po części przekonany.



Fot. nr 18. W ogrodzie w Bilczycach pośród rodziny mojej babki. Od lewej siedzą: mój ojciec, mój brat, Wojtuś - syn Andrzeja Grabowskiego, który był młodszym bratem babci i wykonywał tę fotografię oraz Krystyna, starsza siostra Wojtka. Wyżej siedzą: ciotka Hanka Nyklowa i moja babka - jej siostra. Stoją: moja mama (ze mną w ciąży), Anielka, szwagierka wuja Pietrka - brata mamy i Helena - żona „Jędrka” - lato 1953.



Fot. nr 19. Takimi to pojazdami podróżowały dzieci na początku lat 50-tych. Tu Halinka Hablonka, kuzynka mego ojca ze swoim mężem i synem Lesiem. Zdjęcie wykonane w Lewinie Brzeskim, gdzie po wojnie osiedli na stałe.

Tyle pokrótce na temat najbliższej rodziny ojca.

Byłem przylepą, notorycznie pchałem się do ojca na kolana, a na zewnątrz kazałem się nosić na rękach („łączkach”), co mocno drażniło brata i po jego śmierci mocno marudziłem, gdy tylko poczułem się zmęczony, bo nikt nie chciał mnie dźwigać, a byłem już za duży do jeżdżenia wózkiem. Wzbudziłem powszechną wesołość rodziców, co akurat dokładnie zapamiętałem, kiedy po pożegnalnych pocałunkach ojca, gdy wychodził on do pracy, wycierałem sobie usta rękawem od koszuli na czym raz sam mnie przyłapał, gdy szybko otworzył z powrotem drzwi, bo widać już wcześniej musiał wiedzieć od mamy o takim stosowanym przez mnie procederze. Ta obca ślina na ustach najwyraźniej mi wówczas przeszkadzała.

Pamiętam jak już pewnie w lecie 1957 roku, a więc w trakcie ostatniego w życiu urlopu, ojciec zabrał nas ze sobą do siedziby swojej aktualnej firmy - Spółdzielni Mas Plastycznych na ulicę Krakowską 5, by pewnie pokazać nas swoim kolegom i współpracownikom. Szliśmy na nogach wzdłuż Wisły, a potem ulicą Dietla. W drodze powrotnej na straganie koło stadionu Nadwiślanu kupił nam jakieś pyszne, soczyste gruszki, pewnie bery, po których bardzo chciało się nam sikać, a nie za bardzo było gdzie, bo tym razem wracaliśmy przez Planty. Przypuszczam, że chciał się nami pochwalić w swojej firmie, bo zawsze rozpiekała go duma z faktu, że ma „dwóch chłopaków”.

Ojciec miał smykałkę artystyczną, najwyraźniej rodzinną i był domatorem. Z niezwykłą cierpliwością i precyzją wykonywał bożonarodzeniowe szopki, które były prawdziwymi dziełami sztuki i zasługiwały na pokazywanie na wystawie. Ileż tektury, celofanu, kolorowej bibuły i staniolu musiał on zużyć przy budowie takiego monumentu, którego wysokość przekraczała jeden metr. Aby zdążyć na święta zaczynał pracę w maju, mając już wtedy obmyślony kształt nowej budowli. Pamiętam ze trzy jego szopki, a każda następna była wyższej klasy. Niestety po jego śmierci matka nie potrafiła nas powstrzymać od „twórczej działalności” i szybko zaczęliśmy „majstrować” przy tych arcydziełach, więc nie ostały się one zbyt długo. Reszty dzieła zniszczenia dopełniła ciasnota i konieczność ciągłego przesuwania rekwizytów z kąta w kąt czy nawet w końcu przenoszenia do piwnicy, gdzie węglowy kurz i wilgoć okazały się dla nich zabójcze.

Był wyjątkowym pedantem, a te skłonności musiał odziedziczyć z domu z rodzinnego w Bilczycach, a pewnie też wynieść z wojska i zawsze był nienagannie ogolony, co czynił codziennie przed wyjściem do pracy. Pozostał nawet po nim przybornik do golenia: z maszynką, pędzlem, żyletkami, wtedy jeszcze bardzo „dziadowskimi” jednorazówkami, lusterkiem na nóżce, mydełkiem i ałunem. Zawsze nosił wyprasowane spodnie, na tzw. „kantkę” i błyszczące buty, w święta z reguły czarne.

Lubił chodzić w garniturze pod krawatem, koszula musiała być „trzeszcząca” od krochmalu, a kołnierzyk sztywny. Wszystkie te czynności po mistrzowsku wykonywała moja matka, więc był z niej dumny. Nosił długi, popielaty płaszcz w modną wtedy kratkę, a do tego czapkę z daszkiem w podobnym desenie i szalik, też pod kolor. Zawsze sumiennie dbał, by jego buty zawsze były solidnie podbite i „wyglancowane”; pozostał po nim cały zestaw do czyszczenia obuwia, a była to drewniana skrzyneczka, w której znajdowały się dwa pudełka z pastami: czarną i brązową, dwie włosiane szczotki: jedna do czyszczenia „na brudno”, druga na „czysto” i flanelka do nabłyszczania. W tej materii mama była jego przeciwieństwem i nigdy nie przywiązywała większej wagi ani do ubioru, ani do wyglądu, co i ja po niej odziedziczyłem.

Ojciec, w przeciwieństwie do mojej mamy, zawsze pełnej ruchu, był człowiekiem wyjątkowo nieruchawym, więc z czasem przybierał na wadze. Jego spacerów ograniczały się do pójścia do kuzynów na ulicę Miechowską, na mecze i na msze do kościoła. Tak się dziwnie złożyło, że wiele cech jego charakteru, w tym ową pedanterię, odziedziczył po nim mój brat, a ja ponoć jestem wierniejszym odbiciem mojej matki.

Do pracy jeździł „ósemką” spod Bagateli, wtedy Teatru Rozmaitości czy jeszcze Młodego Widza, wszak nie chciało mu się chodzić na nogach. Tramwaje zwłaszcza w godzinach szczytu były wyobwieszane przez pasażerów, którzy nie mogli się dostać do środka, bo drzwi w tym czasie były jeszcze zasuwane ręcznie i stąd przy nadmiernym tłoku nie dawało się ich domknąć. „Ósemki” były już nowymi, obszernymi wozami, w przeciwieństwie do składów jeżdżących na liniach nr: 2, 7, 11, 17, 18 i 21, które pamiętały jeszcze przedwojenne czasy i pochodziły zapewne z Sanockiej Fabryki Wagonów należącej do koncernu Zieleniewskiego.



Fot. nr 20. Zdjęcie znad Rudawy z lata 1956 lub 1957, wykonane w okolicy stadionu Zwierzynieckiego. W tle komin dawnej Fabryki Octu i Musztardy – Gablenz i Syn, wówczas już Zwierzynieckiej Fabryki Octu i Musztardy z ulicy Królowej Jadwigi 35. Ja, wówczas może czterolatek, stoję między mamą, a tatą. Brat jest ledwo widoczny po lewej. Zdjęcie nieudane, bo robione pod słońce, wykonał jakiś okazyjny amator.

Pamiętam jak pewnego letniego poranka matka wyciągnęła ojca nad Rudawę, ale on leżąc tam plackiem na słońcu spiekł się tak okrutnie, że na długo odeszła mu ochota do spacerów. Innym razem poszedł sobie pograć w piłkę na błonia, wszak w młodości kopał w Gdowiance, ale po tym wysiłku na skutek powstałych zakwasów cierpiał przez tydzień, więc później ograniczał się już tylko do kibicowania. A kibicem był zapiekłym, głównie swej ukochanej Cracovii, choć i do Wisły czuł duży sentyment, choćby z uwagi na fakt, że jego biologiczny ojciec, Andrzej Bujak, był w tym klubie znanym piłkarzem, o czym nieraz wspominał. Nieraz będąc w pomeczowym amoku opowiadał matce co się w trakcie meczu przydarzyło, używając przy tym zwrotu: „wyobraź sobie chłopie ...”.

Jego dobrym znajomym był Władysław Gędłek, sąsiad z kamienicy, znakomity piłkarz Cracovii, z którym razem wracali z meczów „pasiaków”. W ogóle sport oprócz życia rodzinnego i majsterkowania był treścią jego życia i nawet będąc już obłożnie chorym, na kilka dni przed śmiercią pytał matkę jak jego ukochana Cracovia wypadła w meczu z Gwardią Warszawa, wówczas wicemistrzem Polski. Zwycięstwo (1:0) w tym meczu i tak nie uchroniło tej drużyny przed degradacją do II ligi, więc może i dobrze, że nie dożył już tej chwili.



Fot. nr 21. Mój ojciec (kuca pierwszy z prawej) na wycieczce w Krynicy. (marzec 1957)

Choć był człowiekiem wesołym, często rozśpiewanym i umiejącym korzystać z życia: niestroniącym od towarzystwa, kart i okazyjnej wypitki, przez całe życie emanowała z niego jakaś dziwna melancholia i przecucie przedwczesnej śmierci.

Gdy przed „pierwszym” marnie było w domu z pieniędzmi zwykł śpiewać na modłę arii Jontka z opery „Halka” Moniuszki:

„Szumią wichry w mej kieszeni, bo mi forsy brak”.

Na dnię pamięci pozostała mi często śpiewana przez niego, jego ulubiona piosenka: „Cicha woda brzegi rwie”, a także fragment innej:

„Naszemu tacie ukradli gacie złodzieje,
Czymże się tedy na stare lata odzieje”.

Jeśli ktoś w radio bądź ze znajomych opowiadał (jego zdaniem) jakieś niesamowite bądź zmyślane historie, zwykł mawiać:

„Klituś, bajtluj, módl się za nami”.

Zapamiętałem też jego ulubioną ponoć piosenkę, wielokrotnie potem śpiewaną przez moją mamę, która była jakby kwintesencją jego tragicznego życia:

„Słoneczko zaświeciło
A mnie tak smutno było
Myślałem sobie,
Że w ciemnym grobie
Lepiej by może było”

Widać musiał śpiewać nam do snu kołysanki, bo w pamięci mojej mamy przetrwała jedna z nich, nieco przetranskrybowana przez mego dwuletniego brata, który też posiadał duży talent muzyczny i jak to się mówi potrafił z pamięci wygrywać wszelkie zasłyszane melodie czy to na organkach, grzebieniu, czy na odpustowej piszczałce w kształcie liry:

„Spij Tatusiu mój majeńki
Ciaś na Ciebie juś,
Tadziu będzie Cię kołysiał,
A ty oćka źmluż”.

Pamiętam kilka kadrów ze szpitala na Czerwonej Chirurgii przy ulicy Kopernika. Wysiadywaliśmy tam na korytarzu niemal godzinami, bo matka starała się być przy ojcu, ale on najczęściej nie chciał byśmy patrzyli na jego cierpienie i rozpacz. Pamiętam, że w kwietniu 1958 roku były tak wielkie opady śniegu, że matce trudno było z nami, małymi dziećmi, dotrzeć do szpitala, a nie miała nas z kim zostawić, więc nieraz korzystała z taksówki. W pamięci utkwił mi też jego ostatni pobyt w domu, w Święta Wielkanocne w 1958 roku, kiedy w trakcie odwiedzin całkowicie dobiła go własna matka stwierdzając: „Franuś, to ty już umrzesz”. On, który do tej pory nie zdawał sobie do końca sprawy z własnej sytuacji, popadł w szalony szloch, a potem całkowicie się załamał i pytał tylko matkę: „jak ty dasz sobie radę w życiu”, a przed śmiercią tylko szeptał: „bądź dzielna”. Można było podziwiać moją mamę, która przecież zdając sobie sprawę z sytuacji niezwykle cierpiała, a mimo to nie dała tego po sobie poznać. Resztkę nadziei rozwiął jej profesor Miodoński, u którego była z ojcem z prywatną wizytą jeszcze w styczniu 58 roku; powiedział jej wtedy jednoznacznie, że mąż umrze i nie przeżyje więcej niż pół roku.

Nieszczęście zaczęło się, jak pamiętam, przed połową 1957 roku, niedługo po wspomnianym weselu jego kuzyna Henka Habla, od szalonego bólu zębów. Po wyrwaniu wszystkich cierpienie nie ustało, choć na laryngologii operacyjnie wyczyszczono mu dziąsła, ale w jamie ustnej zamiast ropy ciągle pojawiała się krew i to zdaniem lekarzy źle wróżyło. A potem były już tylko przerzuty. Druga operacja na dwa dni przed śmiercią w dniu 04.05.58 roku była w zasadzie niepotrzebna i potwierdziła tylko całkowite zajęcie wątroby. Metody diagnostyczne w tych latach były jeszcze w powijkach i najpewniejsza była chirurgia.

W końcowym okresie życia ojciec świetnie zarabiał, pracując wtedy na akord i były rychłe widoki na spore mieszkanie, wszak jego firma budowała już blok w pobliżu placu Na Stawach, ale śmierć wszystko zniweczyła, wszak szybko o nas zapomniano.

Śmierć ojca była wielkim, choć spodziewanym wstrząsem dla mojej mamy. Zniosła to wszystko dzielnie, nie uświadczwszy przy tym żadnej pomocy ze strony rodziny, choć po pogrzebie, na skromnej stypie w naszym mieszkanku, padało aż nadto deklaracji pomocy, głównie z ust jej braci: Marcelego i Piotra. Ale jak pokazało życie to głównie niektóre ich dzieci w przyszłości wyciągały do niej rękę o pomoc. Nigdy nierozpieszczana przez życie potrafiła jednak udźwignąć ciężar odpowiedzialności chwytając się różnych zajęć, by podbudować skromną rentę jaką dostaliśmy po ojcu, początkowo chyba 800 zł. Prała i prasowała, a także sprzątała w KKSz (Krakowski Klub Szermierzy), który mieścił się w podziemiach Sokoła, za 500 zł, gdzie zajęcie znalazła jej życzliwa rodzina Sołtanów. Ale pierwsze półrocze po śmierci ojca było dla niej szczególnie krytycznym okresem, kiedy wycieńczona psychicznie bardzo chorowała i dopiero dr Ferek, znana lekarka z „Ubezpieczalni” na Batorego wyciągnęła ją z zapaści. A potem wziął górę jej życiowy optymizm i z czasem coraz skuteczniej zaczęła pokonywać trudne zakręty życiowe, choć była zdana na własne siły. Takie to dziwne są koleje losu. Przed wojną, gdy była panną, bardzo pomagała swej rodzinie, zwłaszcza najstarszej siostrze z Klęczany, której oddała nawet w użytkowanie zakupione przez siebie pole. Ten kawałek został później zawłaszczony bez jakiegokolwiek rekompensaty i nawet słowa wyjaśnienia, a niedawno sprzedany przez jej wnuka.

Pranie bielizny dla wybranych klientów, często polecanych przez życzliwych znajomych, z czasem zaczęło stanowić znaczące źródło dochodów. Ale na samym początku męczyła się okrutnie używając do tego celu żelaznej balii i metalowej tarki, a wyprane kawałki wykręcała w rękach. Pranie gotowało się w garze na piecu, a przy okazji wydzielały się nieprzyjemne wyciechy i wszędzie panoszyła się wilgoć. Pierwszą pralkę, taką zwykłą „Franię”, kupiła sobie dopiero gdzieś w 1960 roku, a lepszą, już wyposażoną w wyżymaczkę, dopiero po wygraniu „czwórki z plusem” w Lajkonika, co wydarzyło się w 1964 roku i od tej pory było jej trochę łatwiej. Mama była mistrzynią w prasowaniu koszul, za których wypranie i wyprasowanie pobierała 5 zł.

Część klienteli odbierała sobie pranie od nas z domu, ale od części trzeba było je przywozić, a potem odwozić. Woziliśmy więc wielkie walizy na ulicę Sarego tramwajem linii nr 8 lub 13, gdzie klientką była m.in. Maria Szymańska-Żmijewska, emerytowana aktorka Teatru Starego, a także do państwa Roztworowskich, do ich willi mieszczącej się na Salwatorze przy ulicy Gontyna, korzystając z tramwaju linii nr 21. Ponieważ walizy były z reguły bardzo ciężkie z czasem, na zmianę z bratem, staraliśmy się mamie coś pomagać, dźwigając nesesery za rączkę z drugiej strony.

Klientami mamy było wiele znanych postaci krakowskich, m.in.: Zofia Emeisen - profesor UJ z ulicy Krupniczej 9, Marek Paszucha - znany, międzynarodowy sędzia koszykówki, „Dzidka” Szendryk - znana florecistka KKS oraz Jan Masny, wysokiej rangi działacz sportowy, człowiek z hojną ręką, bardzo nam przychylny. Dzięki tym dodatkowym dochodom łatwiej było nam żyć, wszak renta po ojcu z czasem niewiele tylko przekraczała 1000 zł. Przy dobrym miesiącu, zwłaszcza w pobliżu świąt, dodatkowe dochody z prania też były w tych granicach, a do tego dochodziła jeszcze wspomniana już pensja z KKS w wysokości 500 zł i to musiało starczać.

Czasem dawał też mamie coś dorobić mgr Liszka ze Związków Zawodowych przy ulicy Skarbowej, dawny znajomy ojca ze Spółdzielni ulicy Krakowskiej 5. Mama sprzątała tam czasem pomieszczenia biurowe i sale przed propagandowymi wystawami. Był to starszawy już pan nieraz czerwony na twarzy, gdy czuć było od niego zapach alkoholu, ale zawsze elegancki i szarmancki. Cenił mamę za jej dyskrecje i nieraz prosił o zrobienie porządków po związkowych „naradach”, często suto zakrapianych, bo takie to były czasy. Nieraz, zwłaszcza w trudnych chwilach życiowych, był dla mamy swoistym „guru”, który chętnie i bezinteresownie służył bezcenną poradą, a także swoimi niemałymi znajomościami oraz partyjnymi wpływami. Takich uczynnych ludzi niewielu potem spotkałem na swojej drodze życiowej, zwłaszcza w tej „nowej” Polsce. Dziś wielu mędrkom wydaje się, że dawni towarzysze to była sama „zgnilizna”, co jest oczywiście grubą przesadą, bo w swoim otoczeniu spotkałem w przeszłości naprawdę wielu wartościowych członków „przewodniej siły narodu”, do której zresztą nigdy nie należałem ani się do niej nawet nie zbliżyłem. I to jest główny powód, że na ten socjalistyczny twór zmieniający się w czasie nigdy nie pluję bezkrytycznie.

Od wczesnego dzieciństwa, już po śmierci ojca dzieliliśmy nasze małe mieszkanie z „kocim bractwem”. Nasza matka bardzo lubiła zwierzęta, ojciec widać mniej. Mama zawsze odczuwała strach przed psami, gdyż, jak nieraz opowiadała, w jej dzieciństwie po wsiach wałęsało się pełno wściekłych psów, których ugryzienie groziło śmiercią i ten uraz do psów pozostał jej na całe życie. Ale inne zwierzęta uwielbiała, a zwłaszcza koty, które zawsze były obecne w jej rodzinnym domu w Podolanach. W zimie nosiła pokruszony chleb wygłodzonym wronom do Parku Jordana i te znając ją widać dobrze towarzyszyły jej wśród głośnych pokrakiwań już od początku ulicy Reymonta.

Pierwszego kota tuż po śmierci ojca przywlokła do nas ciotka Karolka, która całe życie mieszkała w otoczeniu ich stada, ale ten pojechał z nami na wakacje do Bilczyc i tam pozostał na zawsze. Był czas, że w swojej suterenie na Osiedlu Oficerskim ciotka posiadała piękną syjamską kociczkę, która urodziła nie mniej piękny miot, choć już nieco „skundlony”, ale te przepiękne koty ktoś jej potruł. Przez jakiś czas miała też pięknego persowatego kocura, którego nazwała Sukarno od nazwiska ówczesnego komunistycznego przywódcy Indonezji, który budził powszechny podziw, ale i on wkrótce gdzieś jej przepadł. I tak przetaczały się przez jej mieszkanie ciągle to nowe generacje kotów, z czasem coraz bardziej liczne, więc i ona zaczęła być uważana za dziwaczkę.

Gdzieś pod koniec 1959 roku przyplątała się do nas młoda, czarno biała kociczka, którą przygarnęliśmy do siebie. Ona to, zwana później „Stara”, stała się protoplastką całej kociej dynastii. Na wiosnę 1960 roku w paczce na węgiel, na korytarzu za drzwiami urodziła siedmioro osesków, z których trzy: kocur Burek oraz dwie kociczki podobne do matki - Pindzia i Krasia, pozostały u nas na dłużej. Ile uciechy było w domu z tymi kociakami tego nie sposób opisać. Harcowały po izbie za piłeczka pingpongową czy za guziczkiem nawiniętym na nitkę, przewracając dom do góry nogami. Bury kocurek - Burek, który był kotem brata, zaginął na zawsze podczas naszych letnich wakacji spędzanych w 1961 roku na Klęczanej koło Gdowa, a może rok później, gdy przez dwa miesiące byliśmy w Dobrej koło Limanowej. Pozostałe trzy koty nie opuściły podwórka i mocno wygłodzone doczekały się naszego wakacyjnego powrotu okazując przy tym nieopisaną radość.

Już później, w trakcie naszych wakacyjnych nieobecności dokarmiała je pani Antosia Łopatka, staruszka, wielki miłośnik kotów, późniejszy przyjaciel naszego domu. Część swojej marnej renciny przeznaczala ona na kocie zakupy: płucka, salceson, „gryf” czy pasztetówkę i obchodziła okoliczne podwórka, dokarmiając swoich bezdomnych „pensjonariuszy”, którzy doskonale znali i ją samą, i porę, o której chodziła. Przez długie lata podkarmiała też nasze kocie bractwo, zawsze wpadając na krótką rozmowę i stając się z czasem zawsze mile widzianą postacią.

Była starą panną i pochodziła z Biskupic Melsztyńskich koło Brzeska. Mieszkała na I piętrze w nieistniejącej już starej, może nawet drewnianej willi, wówczas po części ruderze, która mieściła się na rogu ulic: Chopina i Czarnowiejskiej, z wejściem od ulicy Chopina. Podczas odwiedzin w jej mieszkaniu podarowała nam starą maszynę do szycia, napędzaną ręcznie na korbkę. Nigdy nie zapomnę trzasków jakie wydawały mocno nadwątlone schody tego domu, który został rozebrany w drugiej połowie lat 60-tych, a w jego miejscu stanął 10-cio piętrowy wieżowiec. Potem przeniosła się na ulicę Czarnowiejską bodaj 4 i osiadła niedaleko swego bratanka, który mieszkał na tej samej ulicy pod nr 11. Dorabiała posługiwaniem w jakimś zamożnym domu gdzieś w naszej okolicy i stąd jej obecność w tym rejonie. Przychodziła do nas do końca lat 60-tych, a potem zaniemogła. Już w czasach, kiedy regularnie odwiedzała „kocie” podwórka miała bardzo opuchnięte nogi, cały czas bandażowane. Zmarła gdzieś w połowie lat 70-tych, przez ostatnie lata będąc pod opieką rodziny. Miała cichy, cieniutki i dźwięczny głosik. Była to prosta, ale jakże uroczą i dobrotliwą kobietą, niczym nasza Babcia z Bilczyc i dlatego nigdy nie zapomnę jej pogody ducha i dobrego serca.

Niedługo po Burku zaginęła Krasia, może otruta, więc pozostały tylko: moja ukochana kociczka Pindzia i „stara”, która była włóką i przychodziła do nas tylko od czasu do czasu, by odespać trudy eskapad i co nieco podjąć. Powracała również okocić się i wówczas pojawiał się problem, wszak mama nie miała innego wyjścia jak tylko topienie noworodków. Cierpiała przy tym okrutnie, ale takie wyjście było wtedy najbardziej humanitarne. Gdzie kto wtedy słyszał o „usypianiu” kociąt; najbliższy weterynarz urzędował aż na ulicy Brodowicza na Olszy.



Fot nr 22. Pani Antosia z moją mamą pod płótem ogródka Wojakowskich.
Na prawo, za siatką podwórko WRZZ. Zdjęcie wykonane aparatem Druh. (ok. 1965)



Fot. nr 23. Pindzia, mój ukochany przyjaciel z lat dziecięcych –
zdjęcie gdzieś z 1968-go roku, wykonane aparatem marki AMI.

Pindzia wypuszczała się na lumpy też dwa razy w roku: wczesną wiosną, często brodząc jeszcze w śniegu i w jesieni, by po tygodniu powrócić: brudna jak nieboskie stworzenie, wygłodzona i zmaltretowana. Spała wówczas ze trzy dni zanim nie przypomniała sobie o głodzie i stopniowo doprowadzała się do czystości. Pindzia więc też kociła się dwa razy w roku, ale mama tylko dwa razy pozostawiła jej po kociaku i jakaż to była troskliwa kocia mama! Niestety nie miała ona szczęścia do swoich dzieci: jedno kocię zaginęło lub ktoś je zabrał, może złośliwy dozorca, a drugiego kocurka, z racji ukształtowania sierści zwanego Półwyspem, zdeptał nieszczęśliwie wujek Bazyli, gdy ten leżał w słońcu na ganku koło mieszkania. Cóż to była za rozpacz: kocia i ludzka.

Pindzia, mój ukochany kot, jakże wierny przyjaciel i wspaniały towarzysz z czasów dzieciństwa, nie doczekała przeprowadzki wszak odeszła do krainy wiecznych łowów wiosną 1969 roku, zatruta pewnie jakąś trutką na myszy być może podrzuconą w pobliżu naszego mieszkania przez upiornego dozorcę. Ten złośliwiec nie mogąc ścierpieć naszych kotów często podkładał przynęty nafaszerowane trucizną i Niestety czasem udawało mu się dopiąć swego. Pamiętam, że do odstraszania kotów, których nie cierpiał, podobnie zresztą jak gołębi, potrafił ze swoich ust wydawać dźwięki podobne do syczenia węża.

Cóż to był za kot ta Pindzia. Spał ze mną łeb w łeb mrużąc pod pierzyną, a kiedy miała potopione kociaki traktowała mnie jak swoje dziecko, opiekując się mną jak najlepsza mama: liżąc mnie i pomrukując pieśczośliwie. Oczywiście mój zazdrosny brat nie mógł znieść takiego stopnia spoufalenia i wzajemnej „kocio-ludzkiej” miłości, więc czasem terroryzował to biedne zwierzę. Aż dziw bierze co w tym wszystkim mogło mu przynosić zadowolenie, zapewne chęć dokuczenia mnie samemu, wszak generalnie lubił zwierzęta. Wystraszona wtedy wpadała do mnie pod pierzynę i ze szczęścia mrużęła tak głośno, że słysząc ją było w całym mieszkaniu; tak biedne kocisko odwdzięczało mi się za ochronę wielką kocią miłością. Łasuch z niej był, czyścioszek oraz pieśczocho i przy każdej okazji, gdy tylko siadałem na krześle, wskakiwała mi na kolana i ocierała się swoim mokrym noskiem o mój policzek. A śliczny był to kotek: z białym pyszczkiem i pięknymi czarno-białymi kompozycjami na skórze. W zimie przytulała się czasem w łóżku do mamy, wygrzewając jej zreumatyzowane od prania i obolałe ręce. Czasem jej ciepło pomagało też na „postrzał”, jak mama nazywała bóle w karku czy kręgosłupie. Czasem pojawiały się one w lecie po zbyt długim kontakcie nagrzanego ciała z „przeciągiem”, czyli intensywnym, zimnym powietrzem buszującym po mieszkaniu, gdy przy silnym wietrze niedomknięte były: okno i drzwi.

Innymi, sprawdzonymi sposobami na wygrzewanie „postrzałów”, a także miejsc: obolałych, schorowanych bądź zreumatyzowanych, było przykładanie na nie gorącego piasku, który rozgrzany na patelni na blasze pieca kuchennego był potem przesypywany do płóciennego woreczka, dodatkowo owiniętego ręcznikiem. Niezawodny, Niestety okrutnie piekący, ale powszechnie w tych czasach używany, bo bardzo tani, był kapsioplast, zwany u nas „kapsioplastrem”, czarny, dziurkowany plaster płócienny, który po oderwaniu papierowej osłony przyklejało się w bolące miejsce.



Fot. nr 24. Pindzia w pełnej krasie – zdjęcie wykonane aparatem marki AMI. (1968)

Na poważniejsze choroby niemal zawsze skuteczne było „stawianie baniek”. Jako dziecko bałem się tego proceduru, który na leczenie: grypy, anginy i silnych przeziębień zalecali nawet znani lekarze jak choćby dr Rubczyńska z Ośrodka Zdrowia na Placu Sikorskiego i wówczas przykładała je pielęgniarka z ośrodka bądź jakaś sąsiadka dobrze obznajomiona z procederem, co w tym drugim przypadku kosztowało jedynie parę złotych. O ile dobrze pamiętam zabieg ten udanie wykonywała pani Janina Stechnijowa, znajoma mamy spod 14-ki, a jej jakoś nigdy się nie bałem. Plecy pocierało się wówczas jakimś roztworem spirytusowym, może denaturatem, a potem bańki, takie drobne szklane pojemniczki, stanowiące rodzaj słoiczków, ostrożnie ogrzane czy to nad palnikiem spirytusowym, świeczką czy rozgrzanym piecem, pojedynczo przykładało się na skórę w miejscu płuc i oskrzeli, gdzie same się zasysały. Przez godzinę grzało jak diabli i w tym czasie organizm dobrze się wypocił, a potem choroba szybko z człowieka „wychodziła”. Po „bańkach”, których przykładało się ze dwadzieścia, zostawały tylko sine placki na skórze, które rozchodziły się dopiero za jakiś czas.

Może przy okazji warto wspomnieć o innym niezwykle skutecznym patencie ludowym mojej mamy. Gdy zraniło się palec u ręki, który zaczynał „obierać” i puchnąć, co groziło zakażeniem, wsadzało się go kilkanaście razy do garnuszka z wrzątkiem dosłownie na ułamek sekundy i błyskawicznie wyciągało. Trochę to piekło, ale zawsze pomagało.

Ale wracając do Pindzi, była ona przyjacielem jakich w życiu nie ma się za wielu. I niech ktoś zaprzeczy, że zwierzęta nie czynią ludzi lepszymi, a w dzieciach nie potęgują ludzkich uczuć. Teraz obraz z jej podobizną wisi nad moim łóżkiem; jej obraz olejny został on namalowany przez Monikę Suder, córkę koleżanki z byłej pracy na podstawie jej fotografii zrobionej aparatem marki „AMI” i przypomina mi te wspaniałe czasy dzieciństwa: z mamą, kociarnią i beztroską życia codziennego.

Pod koniec lat 60-tych oprócz Pindzi mieliśmy jeszcze dwa czarne koty, chyba rodzeństwo: kotkę i kocura, kolejne dzieci „Starej”, która zaginęła gdzieś w 1965 roku, wcześniej podtruta. Czarna kocica nazwana przez brata Whisky już po śmieci Pindzi urodziła jeszcze jednego czarnego kocurka, który znów jakoś się uchował i u nas pozostał. Gdy dorósł był niespotykanym przedtem złośliwcem, który potrafił nasikać na środek łóżka i regularnie znakować meble w mieszkaniu. Ten starszy czarny kocur, którego imienia nie pamiętam, nie poszedł na nasze nowe mieszkanie pod nr 21, wszak wolał pozostać na starych śmieciach. Początkowo przychodził do nas jeszcze od czasu do czasu, ale po najedzeniu się i wyspaniu wracał na swoje „dawne włości”. Pozostałe dwa czarne koty poszły z nami, a trzeba przyznać, że pod nr 21 miały wspaniałe warunki do buszowania: rozległy ogród i możliwość wskakiwania na parapet okna, gdyż mieszkaliśmy na wysokim parterze. Tego drugiego złośliwca mama musiała się humanitarnie pozbyć, bo w mieszkaniu panował notoryczny smród, a Whisky, gdzieś podtruta, odeszła gdzieś w 1975 roku i tak zostaliśmy bez kota, choć trzeba przyznać te ostatnie koty nie były już tak przymilne i godne zapamiętania jak choćby Pindzia.



Fot. nr 25. Moja Mama z Whisky, czarną kociczką. (1968)

Później, może z pół roku przed przeprowadzką na osiedle Na Kozłówce, a więc pod koniec 1975-go roku, wzięliśmy pod dach jeszcze jedną kociczkę, którą sprezentowała nam „Maryśka Kociora” spod 19-ki. Ten biedny zwierzak był tak zestresowany, że przez tydzień nie wychodził spod łóżka, a zaakceptował nas w pełni dopiero po dwóch miesiącach. Kocica ta, już ciężarna, poszła z nami na nowe mieszkanie, które było zlokalizowane się na ósmym piętrze wieżowca, ale po próbnym sprowadzeniu jej na dół niespodziewanie uciekła i na nic zdały się rozpaczliwe próby jej odnalezienia – znikła jak kamfora. Wydaje mi się, że jakieś kilka lat później, gdy byłem na wiosennym spacerze z moją maleńką córką, widziałem ją w domku przy ulicy Obronnej przy nowych „akademikach” Akademii Medycznej, a więc z kilometr od miejsca mego zamieszkania, znów pośród młodych.



Fot. nr 26. Nasz koci tercet z moją ukochaną Pindzią po prawej stronie i rodzeństwem „czarnuchów”, z których kocica zwała się Whisky. (1968)

Wspaniale chwile przeżyliśmy w 1964 roku, kiedy ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu mama wygrała w Lajkonika „piątkę z plusem” i zagarnęła 20000 zł. Przy zgłoszeniu wygranej w kolekturze przy ulicy Smoleńsk 16 była tak zaafektowana, że początkowo podała swój przedwojenny adres: Łobzowska 23. Za część z tych pieniędzy: 5500 zł, kupiła skromny telewizor marki „Fala”. Może warto przypomnieć, że dobrej marki odbiornik o dużym ekranie, taki np. „Smaragd”, kosztował wtedy około 12000 zł, więc był dla nas zdecydowanie za drogi. Od tej pory cała wataha skwerkowa, często w sile z „piętnastu chłopów”, zaglądała do naszego malutkiego mieszkanka, gdy w poniedziałki, bodaj o w pół do piątej, wyświetlano znane seriale dla młodzieży: Zorro, Wilhelm Tell lub Robin Hood i wtedy dosłownie pękało ono w szwach, bo cała podłoga przed telewizorem była ściśle zajęta. Wcześniej, by oglądać te ulubione seriale chodziliśmy do kawiarni w Domu Literatów bądź sporadycznie do państwa Pałeckich, naszych sąsiadów z I piętra kamienicy.

Za około 1500 złotych mama zakupiła nową pralkę, podstawowe narzędzie pracy, już z wyżymaczką, urządzeniem do wyciskanie wypranej bielizny, złożone z dwóch przylegających do siebie gumowych wałków napędzanych ręczną korbką. Niełatwo było wprowadzić przeciskać pomiędzy wałkami wielkie płyty bielizny, ale i tak była to dla mamy duża ulga, bo dawniej całe wyciskanie, zwane „wykręcaniem”, wykonywała w rękach.

Znaczną część wygranych pieniędzy rozgrabiła rodzina, wszak matka zawsze miała w stosunku do niej litościwą rękę. Jej siostra Karolka dostała 3000 zł, których się szybko pozbyła na jakieś bzdury, bo miała ona wyjątkowo lekką rękę do szybkiego wydawania pieniędzy. Jeśli tylko coś zarobiła bądź dostała od kogoś w prezencie, szalała przez kilka dni, by później przymierać z głodu i pod koniec miesiąca znów żebrać u mamy. Mama robiła co tylko mogła by jej pomóc, m.in. oddała jej swoją starą pralkę Franię i odstąpiła jej część swojej klienteli, choćby wytwornych Roztworowskich na Salwatorze, by ta mogła dorobić do godziwego życia praniem, ale ona zawsze była tak niesumienna, beztroska i niestaranna, że tylko psuła jej dobrą opinię.



Fot. nr 27. Planty – zdjęcie z okolic 1950-go roku wykonane przy Collegium Novum; w tle wylot ulicy Jagiellońskiej. Od lewej: Mama, Tata, pewnie niedługo po ślubie i ciotka Karolka, moja przyszła chrzestna.

Pamiętam też inną sytuację, gdy zaraz po śmierci ojca matka dostała odszkodowanie, niecałe 10000 zł i wtedy też „napadła” ją ciotka Karolka, która zawsze udzielała jej „genialnych” porad. Ponieważ sama była domorosłą krawcową niejako przymusiła ją do zainwestowania tych pieniędzy w jakąś maszynę do szycia marki Singer. Matka nie była w stanie oprzeć się jej agresji i tak chyba z 7000 zł poszło na marne, wszak maszyna ta, nigdy nieużywana, stopniowo niszczała w jej suterenie na Osiedlu Oficerskim. Później, już w latach 70-tych, podczas jej przeprowadzki do nowego, komunalnego mieszkania na Osiedle Bohaterów Września została porzucona jak stary rupieć i znów wylądowała u nas, gdzie była totalnie bezużyteczna. Takie to szczęście miała mama i do pieniędzy, i do rodziny, i do różnych, często przypadkowych doradców.

Jak już wcześniej wspomniałem ciotka Karolka zamiast nas wspomagać regularnie ograbiła mamę z pieniędzy, a jej słynne powiedzenie: „pożycz stówkę” już wtedy w nas, małych dzieciach, budziło irytację, bo wiedzieliśmy, że były to „pożyczki” bezzwrotne. Również jej porady życiowe bywały z reguły najgorsze z możliwych, za to upór i pewność siebie niewyobrażalne. Z resztą jak mogło być inaczej skoro jej droga życiowa była jednym pasmem niepowodzeń, zwykle na własne życzenie. Będąc już blisko czterdziestki miała stałego towarzysza, milicjanta, który był nawet chrzestnym mego brata, ale podszept jej koleżanki Rózi, również starej panny, o jego rzekomej niewierności, wynikający ze zwykłej zazdrości bądź głupoty, który nazbyt poważnie wzięła sobie do serca spowodował, że pośpiesznie z nim zerwała, a była to jej ostatnia szansa na ułożenie sobie normalnego życia. Ślub był tuż, tuż, bo on nawet już u niej mieszkał i późniejszy żal oraz narastająca z czasem frustracja nic już nie mogły zmienić. Zażyłość między nimi, a także moimi rodzicami była tak wielka, że był on nawet chrzestnym ojcem mego brata. Ja już tego pana nie znałem, podobnie jak mój brat, choć raz wypatrzyła go mama na Dworcu Głównym PKP, gdy w połowie lat 60-tych pełnił tam służbę, ale on jakby nie chciał nas zauważyć. W przeciwieństwie do ciotki on sam jakoś ułożył sobie życie.

Pani Różia (Rozalia Radoń) przyznała mi się do swego postępuku niedługo przed swoją śmiercią, gdzieś w 2006 roku. Co ciekawe wcześniej, przed samą wojną, ponoć ciotka Karolka skutecznie obrzydziła jej przystojnego narzeczonego, Józka Turakiewicza, kandydata na męża, który pochodził z Klęczany. Niedługo przed wojną zaprzyjaźniła się ona z siostrami „Kędrzonkami”: moją mamą, Karolką i Józją, ich najmłodszą siostrą, a całe to towarzystwo często odwiedzało na Klęczanie gościnny dom Marysi Stawarzowej, najstarszej ich siostry. „Różia”, która pochodziła z Bystrej koło Jordanowa, była wówczas najserdeczniejszą przyjaciółką mojej mamy, bo los sprawił, że też mieszkała na Łobzowskiej 26, gdzie pracowała u swego stryja, sędziego, dbając o porządek w jego domu. Tu na Klęczanie miały one grono wiernych wielbicieli, w tym m.in. braci Wojasów: Józka i Julka, które to znajomości przeniosły się później na teren Krakowa, ale bez małżeńskich konkretów, w czym niemałą rolę odegrały ich wewnętrzne gierki; w końcu: „gdzie kucharek sześć...”.

Może dodam jeszcze parę zdań o wielkim oryginale jakim była moja chrzestna, ciotka Karolka. Sam pamiętam, że jak ognia bała się dentysty, więc chodziła z potwornie popsutymi zębami i wiecznie opuchniętą twarzą, bo co jakiś czas na jej szczęce pojawiało się zapalenie okostnej, ale ona i tak zawsze twierdziła, że korzenie jej zębów są zdrowe, a dentysta zbędny. Gdy już jednak ból stawał się trudny do zniesienia, na zewnątrz szczęki przyklejała do twarzy wycinki bardzo wówczas popularnych „kapsiplastrów”, które uważała za panaceum na niemal wszystkie dolegliwości bólowe i czasem nawet to jej pomagało. Co ciekawe, przed wojną pomagała ona dentystce żydowskiego pochodzenia w jej gabinecie przy ulicy św. Tomasza, więc o tym fachu miała sporą wiedzę. Innym razem, gdy złamała rękę, już na drugi dzień wydłubała ją sobie z gipsu i nie mogło potem dziwić, że kość źle jej się zrosła i pozostała karykaturalnie wykrzywiona na resztę życia. Lekarstw nigdy nie zażywała i za nic nie dawała się przekonać do wizyty u lekarza. Na rany zawsze sypała sól, a na zatrucia i dolegliwości trawienne regularnie stosowała mleko i węgiel apteczny; to była jej cała apteka. W kuchni jej mieszkania stał przepalony piec, który w późniejszym czasie nie nadawał się już do użytku, więc na środku izby ustawiła sobie koksia, a następnie podłączyła go rurą do komory pieca i żeby mieć lepszy ciąg kładła na jego blasze stare gazety, które regularnie polewała wodą, by uzyskać lepszą szczelność. Nietrudno sobie wyobrazić, że od tego ciągłego podlewania piec po prostu zaczął się rozłazić i tylko cudem udało jej się uniknąć pożaru czy zaccadzenia.



Fot. nr 27a. Ciotka Karolka i być może jej bardzo bliski poślubieny powojenny narzeczony, milicjant, który był nawet ojcem chrzestnym mojego brata.
Zdjęcie z Lasu Wolskiego, zapewne z okolicy roku 1950.

Zmarła szóstego stycznia 1992 roku, kiedy mieszkała już w nowym mieszkaniu kwaterunkowym na Osiedlu Bohaterów Września, dokąd w 1975 roku przeniesiono ją z sutereny willi przy ulicy Marchlewskiego 16a (dziś Beliny-Prażmowskiego), którą zajmowała od czasów wojny, gdzie początkowo u Niemców, a potem u prawowitych właścicieli, Wojewskich, pracowała za dozorcę z rzadka tylko dorabiając sobie szyciem, bo była osobą wyjątkowo niesłowną i niesolidną. W grudniu 1991 roku złamała sobie nogę w udzie (odłamanie szyjki uda), więc w szpitalu założono jej gips i odstawiono do domu. Potem pomimo załatwienia jej po znajomości miejsca w nowohuckim szpitalu, do którego po pół dniu perswazji dała się w końcu zawieść i tak nie pozwoliła się zoperować, a wkrótce z odleżyn przyplątał się stan zapalny, który doprowadził do rychłego jej zgonu.

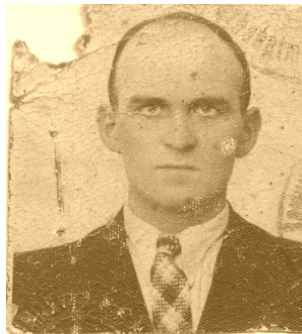
O innych jej dziwactwach, głównie z okresu jesieni jej życia, można by wiele napisać, ale niech lepiej zakryje je bariera niepamięci, bowiem samotność i upływający czas często płatają różne figle w ludzkim umyśle.

Na wiadomość o przyptywie „lajkonikowej fortuny” szybko odwiedziła też nas Lućka, jej bratanica z Bilczyc, dla której mama była chrzestną, by na własne wesele zainkasować następne 1000 zł. Jej oblubieniec długo nie chciał się z nią ożenić, wszak wcześniej miała już z innym nieślubne dziecko, a drugie, razem w nim, było już w drodze. Wg mojego brata, co mnie umknęło już z pamięci, 1000 złotych dostała też w prezencie Kopciowa, nasza sąsiadka z mieszkania posklepowego, której co prawda nigdy w życiu się nie przelewało, ale i ona nigdy nie potrafiła uszanować pieniędzy. I tak po „fortunie” wkrótce nie było już śladu, a my dalej klepaliśmy biedę. Nieraz się później jako dziecko zastanawiałem, czemu ten świat jest taki niesprawiedliwy i dlaczego nie rozdaje się ludziom tyle pieniędzy, ile im potrzeba – tak prosta wydawała mi się wtedy recepta na powszechny dobrobyt.



Fot. nr 28. Lućka Kędryna-Urban, moja kuzynka z Bilczyc. (1965)

Warto jeszcze dodać kilka zdań odnośnie wujka Marcela, starszego brata mojej mamy, który mieszkał niedaleko nas, na drugim piętrze oficyny przynależnej do kamienicy przy ulicy Garbarskiej 14. Ponieważ nigdy nie był on przez nas szczególnie lubiany, przytoczę małą anegdotkę. Po śmierci ojca cała rodzina mojej matki zebrała się w naszym małym mieszkanku przy ulicy Czystej 8/7, gdzie solennie obiecywała mojej matce pomoc. Biedna mama bardzo jej wtedy potrzebowała, bo była osamotniona i bezbronna, ale, jak pokazała przyszłość, nigdy jej nie uświadczyła. Jak to w życiu bywa skończyło się na obietnicach, w których, jak już wcześniej wspomniałem, prym wiedli obaj bracia mojej matki, głównie właśnie Marcel, co dobrze zapamiętałem, bo obaj głośno to wykrzykiwali. Z czasem sama zaczęła sobie coraz lepiej dawać radę i nie potrzebowała już wsparcia.



Fot. nr 29. Wujek Marcel – „Bazyli”, zapewne po połowie lat 40-tych, gdy miał może około 40 lat. Z racji swego wyglądu w Bilczycach nazywali go „Ghandim”. W czasach mojego dzieciństwa wyglądał już zupełnie inaczej, bo na stałe nosił silne okulary. Zdjęcie to, w zasadzie jedyne solowe jakie posiadam, przekazał mi niedawno mój brat.

Raz jednak Marcel próbował się wykazać inwencją twórczą na polu wychowawczym, choć generalnie rzadko u nas bywał, karcąc mnie klapsami, tak po ojcowsku, za jakąś błażostkę, co pamiętam do dziś, a również i brat odczuł na sobie jego cielesne metody wychowawcze, gdy ok. 1960 roku uciekł z targu w Gdowie do domu babci. W konsekwencji tego nadgorliwego postępu został przeze mnie przezwany „Bazylim” i taki przydomek przylgnął do niego na zawsze; w naszym domu nigdy potem nie mówiło się o wujku Marcelu, zawsze o Bazylim bądź Bazylu. Co ciekawe, choć Marcel ze swoją żoną mieszkali w Krakowie już co najmniej od lat 40-tych, niezmiennie używali wiejskiej gwary, a raczej swoistego wiejsko-miejskiego slangu, okropnie kaleczonej polszczyzny, co mnie z bratem niezmiernie śmieszyło i było powodem częstych naszych żartów. Niedawno sobie przypomniałem jak obaj „Bazylowie” na on mówili „ón”, z czego śmialiśmy się do rozpuku.

W latach 60-tych żyli jeszcze w świecie przedwojennego Krakowa i używali dawnych nazw ulic. Mnie wtedy bardzo dezorientowało, gdy ciotka Hanka np. ówczesną ulicę Bitwy pod Lenino nazywała Zyblikiewicza, a na ulicę Mikołaja Reja, gdzie bodaj jako palacz pracował jej mąż, Radziwiłłowską.



Fot. nr 29a. Ciotka Hanka – żona wujka Marcela. Ma tu pewnie z 50 lat, więc to zdjęcie pochodzi z okolic 1960 roku. Taką ją właśnie pamiętam z tego okresu. Nigdy nie zapomnę jej śpiewnego, labidzącego głosu i niepowtarzalnego języka, miejsko-wiejskiego slangu. Zdjęcie przekazał mi mój brat.

Pewnego razu mama poszła w odwiedziny do swego brata i stała już pod drzwiami jego mieszkania, przymierzając się do pukania, gdy niespodziewanie usłyszała ze środka głośną rozmowę jak to bardzo nas rozpuszcza, bo kupuje nam „pomorajce”, które Marcel musiał widzieć wcześniej w naszym domu. Mocno tym dotknięta cicho odeszła spod drzwi i z płaczem wróciła do domu. Była rozgoryczona, wszak pomocnej ręki nigdy od brata nie doświadczyła, bo był on wyjątkowym kutwą, a spotykała się tylko z aktami zazdrości, również i z innego powodu, że mnie z bratem nauka nigdy nie przysparzała problemów, a jego dzieci, z wyjątkiem Adama, z trudem kończyły podstawówkę. Trudno się zatem dziwić, że do większości rodziny matki nigdy nie czułem większej sympatii i do dzisiaj moje z nią relacje są bardzo wybiórcze. Wyjątek zawsze stanowiła ciotka Marysia z Klęczany i jej dzieci: Janek, Baśka oraz Edek.



Fot. nr 30. Jasiek Stawarz, nasz lubiany kuzyn. (ok. 1955)

Janek pracował wówczas jako nauczyciel w Tenczynie pod Myślenicami i czasem nas odwiedzał, a ponadto często spotykaliśmy się w jego rodzinnym domu na Klęczanie, gdzie zawsze poświęcał nam dużo czasu, m. in. zabierając nas nad rzekę w okolice kładki, gdzie było dość głęboko i tam pilnował nas, by nie przytrafiła nam się krzywda. Był od młodości bardzo inteligentnym i kulturalnym człowiekiem, a przy tym zagorzałym społecznikiem dzięki czemu w przyszłości z lubością oddawał się pracy w Domu Kultury w Myślenicach, gdzie został kierownikiem jakiegoś działu. Tu ostatecznie osiadł na stałe i wkrótce się ożenił.

Baśka przez jakiś czas pod sam koniec lat 50-tych, już po śmierci ojca, mieszkała nawet w naszej klitce, kiedy dojeżdżała do pomaturalnej szkoły handlowej w Krakowie, która mieściła się na rogu ulic: Kapucyńskiej i Straszewskiego. Pamiętam jak pod jej kierunkiem wykonywaliśmy ozdoby na choinkę: wielki łańcuch i papierowe anioły do wieszania na gałązkach, które sklejaliliśmy z tektury, kolorowej bibuły i gotowych główek anielskich kupowanych w sklepie papierniczym, a w jej obecności zawsze było jakoś weselej.



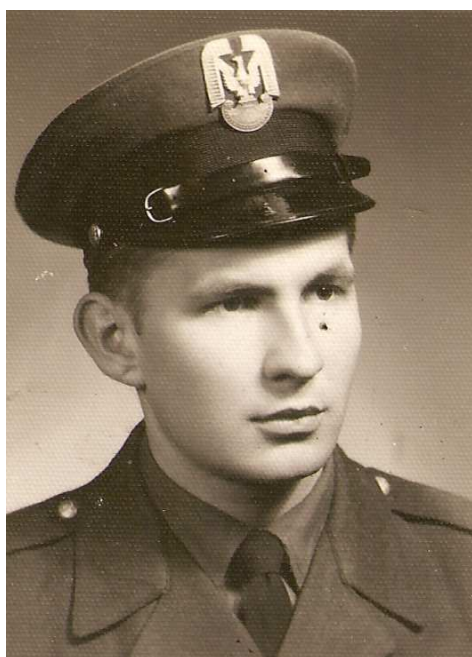
Fot. nr 31. Baśka Stawarzowa, nasza kuzynka z Klęczany, z jej charakterystycznymi, długimi włosami, które sięgały jej do kolan. (ok. 1960)

Nauka w Krakowie bardzo się kuzynce przydała, bo w niedługim czasie została główną księgową w GS w Niegowici, dokąd codziennie dochodziła ze swej rodzinnej Klęczany, choć było to 6 aż kilometrów w jedną stronę: łatwiej rano z góry, gorzej po pracy pod górkę. Gdy się tylko dało dojeżdżała tam rowerem, ale co działo się w zimie, aż trudno sobie wyobrazić.

Okazyjnie odwiedzał nas w Krakowie Staszek, młodszy brat Jaśka, który w latach 60-tych osiadł na stałe w Starczy koło Częstochowy, gdzie się ożenił i stał się rolnikiem na dużym gospodarstwie, a dodatkowo pracował jeszcze w jednej z bytomskich kopalni. Jego wizyty w Krakowie i okolicach wspominam wyjątkowo niesympatycznie, bo w czasie tych „urlopów” był on wiecznie zapity, a przez to bełkotliwy i bardzo wylewny.

Dużą sympatią darzyliśmy za to Edka Stawarza, najmłodszego syna ciotki Marysi, który pracował przy Hucie Lenina i mieszkał w hotelu robotniczym w Pleszowie. Na początku lat 60-tych ten lekko upośledzony fizycznie chłopak bywał u nas niemal w każdą niedzielę, zawsze goszczony przez mamę obiadem, a nam czasem udawało się go wyciągnąć na spacery bądź na mecze piłkarskie. Pamiętam, że bodaj w 1961 roku był z nami na drugoligowym meczu Cracovii z Unią Racibórz, zakończonym bez bramek, ale to widowisko jego najwyraźniej nie zafascynowało.

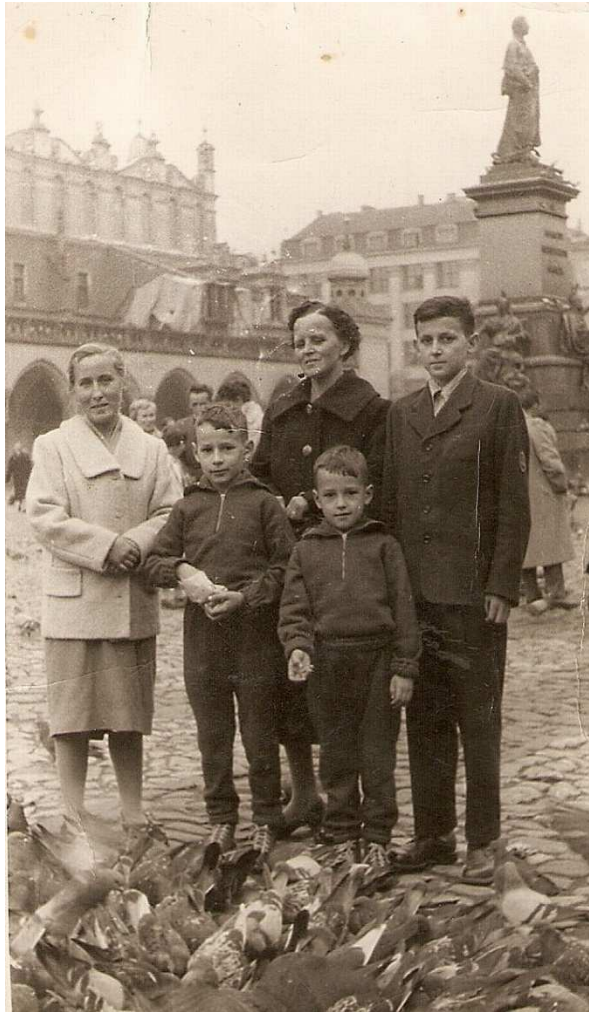
Bardzo ceniliśmy też towarzystwo Józka, starszego syna wujka Pietrka z Bilczyc, który przez jakiś czas, w drugiej połowie lat 50-tych, gdy chodził do Technikum Kolejowego w Krakowie, mieszkał u ciotki Karolki i też często nas odwiedzał. Józek też był bardzo kulturalnym chłopakiem, który później zrobił wieczorowe studia na Wydziale Prawa i Administracji UJ, a potem kierował stacją kolejową w Rudawie. W połowie lat 60-tych był nawet świadkiem mojego przy bierzmowaniu mojego brata. W tym czasie mama próbowała go nawet zaznajomić z „Panią Basią” Beigertową, która była od niego 10 lat starsza i szybko zbliżała się do 40-tki, ale ten bystry i inteligentny chłopak od razu wyczuł z jakim ma do czynienia „rodzynkiem” i skończyło się na bodaj kilku spotkaniach, z których pierwsze, co pamiętam, odbyło się w naszej klitce.



Fot. nr 32. Józek Kędryna, nasz ulubiony kuzyn z Bilczyc. (ok. 1960)

Zawsze sympatyczna i na poziomie była też Helka, starsza siostra Józka na stałe mieszkająca w Bilczycach, która często wpadała do nas w drodze do pracy bądź tuż po pracy, wszak pracowała na zmiany, bo była salową w którymś ze szpitali przy ulicy Kopernika. Długo była starą panną i dopiero dobrze po 40-ce wyszła za mąż za wdowca spod Skały, któremu pomagała prowadzić gospodarzkę i opiekować się dorastającymi dwoma córkami. Do dziś odwiedzam ją w Bilczycach, zwłaszcza w okolicach Święta Zmarłych, gdzie ma pokój w domu po rodzicach.

Dość bliskie, ale krótkotrwałe więzy łączyły nas z Adamem, najmłodszym synem wujka Marcela, który pod koniec lat 50-tych rozpoczął naukę w „zawodówce” przy Hucie Lenina i razem z rodzicami odwiedzał nas w niedzielne poranki, zaraz po porannej mszy, by razem z nami pograć w warcaby czy chińczyka. Jako dziecko Adam mieszkał w Bilczycach i tam też ukończył szkołę podstawową, w której poziom nauczania był jednak niski, choć on sam był prymusem. Jak się później okazało w zawodówce też był wyróżniającym się uczniem, więc niebawem ukończył Technikum Hutniczo-Mechaniczne i podjął pracę w pobliskim kombinacie metalurgicznym, czyli Hucie im. Lenina. Od czasu nauki w szkole średniej Adam mieszkał już na stałe u rodziców w Krakowie na Garbarach.



Fot. nr 33. Nowe zdjęcie rodzinne, niedawno przekazane mi przez brata, wykonane przed pomnikiem Adama Mickiewicza w Rynku Głównym. Od lewej: Basia Stawarzowa, mój brat Tadeusz, Mama, ja i Adam Kędryna. Fotografia pochodzi gdzieś z przełomu lat 1959-60.



Fot. nr 33a. Adam Kędryna, nasz często widziany kuzyn. (ok. 1960)



Fot. nr 34. Jaśka i Włodek Kędrynowie, często u nas bywający na przełomie lat 50/60, na ślubnym kobiercu. Włodek był z zawodu hydraulikiem. (1958 lub 1959)

W tym czasie często odwiedzał nas też Włodek, jego starszy brat, wraz ze swoją nowo upieczoną żoną Jaśką, ale i te stosunki zamarły gdzieś przed połową lat 60-tych, bo nazbyt często próbowali oni obarczać moją mamę opieką nad ich niedawno urodzoną córką Bogusią, co w końcu musiało wywołać jej sprzeciw, wszak sama miała zbyt wiele własnych problemów na głowie, by jeszcze znosić nocne wrzaski małego dziecka, co i nam się nie podobało i po którymś tam razie nie wytrzymała. Mieli do nas niedaleko, bo mieszkali koło Kościoła Karmelitów w oficynie zaniedbanej kamienicy przy Garbarskiej 14, razem z rodzicami Włodka.

Okazyjnie odwiedzał nas Kazek, zawsze wesoły chłopak, często w roboczym uniformie i torbą elektryka na ramieniu, gdy w okolicy miał jakąś fuchę. Był chyba chrześniakiem mojej mamy i może dlatego do niej lgnął.



Fot. nr 34a. Kazek Kędryna – brat bliźniak Włodka, z zawodu elektryk. Takiego go właśnie pamiętam z przełomu lat 50/60. Zdjęcie przekazane mi przez brata.

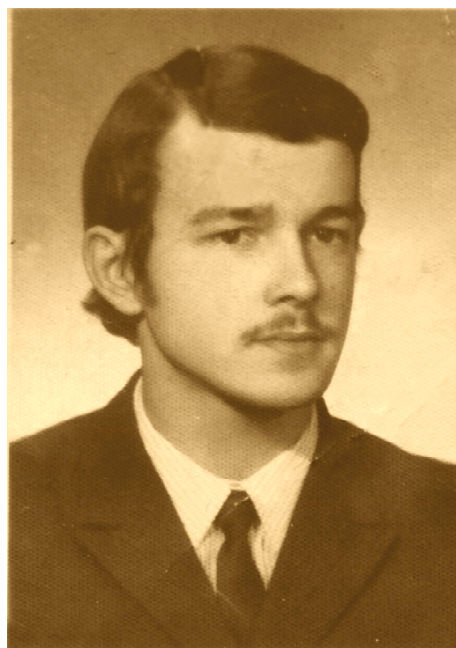
Z innych rodzinnych wizyt zapamiętałem odwiedzinę ciotki Zosi Mielczarek, starszej siostry mojej mamy, która osiadła w Wierzbicy w powiecie Radomsko, wraz z jej rodziną: córką Lusią, jej mężem Stanisławem i kilkuletnią córką Halinką, co miało miejsce gdzieś w roku 1963 oraz dość częste przyjazdy do Krakowa Julii Sionkowej, naszej ulubionej, bo bardzo pogodnej i życzliwej nam ciotki, chyba dalszej kuzynki bądź nawet ciotki mojej mamy pochodzącej z Podolan. Osiadła ona po wojnie w Rudzie Śląskiej wraz z mężem Antonim, który pracował tam jako górnik dołowy w kopalni węgla Bielszowice. Odwiedzała nas od śmierci ojca i niedługo potem jej męża, po początek lat 60-tych. Zapamiętałem jej śmierć na raka w 1963 roku, w domu jej siostrzenicy w Podgórzu, gdzie byliśmy nawet w ostatni wieczór przed jej zgonem.

Sporadycznie wpadały też do nas, by przespać się w naszej klitce w przerwie w ich dalszych podróżach dwie kuzynki mamy z „Zachodu”, obie Józie: jedna zamieszkała z córką niedaleko Głogowa, a druga gdzieś w województwie zielonogórskim, w krainie wielkich lasów, dokąd mieliśmy nawet pojechać na wakacje, ale ich ścisłych powiązań rodzinnych wówczas nie znałem. Pierwsza jeździła do drugiej córki do Mielca bądź do swojej rodziny z Wiatowic, o której mama czasem coś wspominała, druga zaś miała chyba siostrę niedaleko Krakowa.

Mama regularnie z nimi korespondowała i znałem ich nazwiska oraz miejsca zamieszkania, które potem, po ich śmierci gdzieś na początku lat 70-tych, zapomniałem i przypominałem je sobie dopiero przy pracy nad drzewem genealogicznym rodu Chanków: pierwsza z nich nazywała się Rudek i mieszkała w Obiszowie koło Głogowa, a druga, Krupa, nosząca charakterystyczne, okrągłe okulary, mieszkała w Skwierzynie koło Gorzowa, czyli jak mama mawiała na „Zachodzie” (Polski), dla mnie wówczas wręcz mitycznym miejscu.



Fot. nr 35 (35-35b). Jak zmieniła się mój wygląd w czasie.
Fot. nr 35. Zdjęcie z legitymacji szkolnej, zapewne we wrześniu roku 1967, gdy rozpoczynałem ósmą klasę w SP nr 6.



Fot. nr 35a. Zdjęcie z czasów nauki w TE, być może też do legitymacji szkolnej, około roku 1970.



Fot. nr 35. Tak wyglądałem na początku około roku 1972, być może w ostatniej klasie TE, gdy o długich włosach, które były pragnieniem niemal każdego młokosa, można było sobie tylko pomarzyć.

I tak w tej niewielkiej izdebce zlokalizowanej w oficynie dużej czynszowej kamienicy, która w trakcie wielu rodzinnych wizyt dosłownie pękała w szwach, spędziłem ponad szesnaście lat mojego życia do marca 1970 roku, w tym dwanaście lat w niełatwej sytuacji życiowej jaka powstała po śmierci ojca.

Gdy dziś cofam się wstecz w czasy mojego dzieciństwa oceniam je jako dla dziecka i młokosa cudowne, w czym ogromna była zasługa mojej Mamy. Choć pod względem materialnym były one dla mnie bardzo trudne, to dzięki jej heroicznej postawie, a także za sprawą otaczających mnie ludzi: kolegów, większości sąsiadów i znajomych, mogę spoglądać na ten okres przez przysłowiowe różowe okulary. I tu raz jeszcze potwierdzenie znajduje znana maksyma, że: „pieniądze to nie wszystko, co człowiekowi jest niezbędne do szczęścia”, choć zdaję sobie sprawę, że dla zdecydowanej większości współczesnej młodzieży, nieposiadającej niezbędnego bagażu doświadczeń życiowych i mamionej współczesną propagandą, jest to jedynie trudny do zaakceptowania slogan.

II. Moja kamienica

Ciekawa była to kamienica, pełna barwnych i interesujących postaci, prezentująca pełny przekrój społeczny powojennych czasów. Stanowiła przykład solidnego krakowskiego budownictwa z końca XIX-go wieku (1899) i była jedną z pierwszych zbudowanych na tej ulicy. Jej projektantem był Teodor Tlachna, autor wielu tutejszych kamienic.



Fot. nr 36. „Moja” kamienica z ulicy Czystej pod nr 8 w oryginale z roku 2008.
(16.10.2008)

W stanie pierwotnym, z wieloma ciekawymi detalami architektonicznymi, m.in. oknami z kolorowymi szybkami na klatkach schodowych i w bramie wewnętrznej oraz oryginalną po części stolarką drzwiową i okienną, przetrwała do 2008-go roku, kiedy to w sposób barbarzyński dobudowano do niej dwa piętra, zaburzając całkowicie dawne jej proporcje, jak i całego układu tej pierzei ulicy. Niejako „przy okazji” zabudowano też dawne jej podwórko, które stanowiło jej zielone płuca. Myślę, że pan Stanisław Czyżowski i jego żona Józefa, dawni jej właściciele, przewracają się teraz w grobie i obmyślają pozaziemską zemstę na urzędnikach wydających takie „dziwne”, wielce zastanawiające decyzje i drapieżnych deweloperach, dla których nie ma żadnych świętości, choć kamienica ta jest odnotowana w ewidencji zabytków.

Nazwisko Stanisława Czyżowskiego i jego żony Józefy Bronisławy, jako właścicieli kamienicy pojawia się w Kalendarzu Czecha z roku 1913. Z reklamy zamieszczonej w/w źródle można wyczytać, że Stanisław Czyżowski to: „dyrektor orkiestry subwencyonowanej przez Gminę stol. król. M. Krakowa, grywającej stale w teatrze miejskim”. I dalej, że była to orkiestra, którą na: „koncerty, festyny, zabawy itp., (która) w każdym żądanym komplecie dostarcza w Krakowie i na prowincję, na miesiące letnie także do uzdrowisk, Stanisław Czyżowski - zam. ulica Czysta 8, tel. 1405”.

Ulica Czysta		
1	224 Dr Bromberg Józef i Sydonia, Rattlerowa Fany 407.	10 279
2	25 Dr Schönberg Maur., Gustawa i Rozalia 406.	11 229
3	287 Warzeszkiewicz Kazimierz, Dr Mieczysław, Feliks i Józefa z Pawłowskich 409.	12 280
		13 299
4	239 Gmina m. Krakowa 405.	14 328
5	205 Matuszyński Stanisław i Ludwika 410.	15 308
6	26 Mossakowski Ignacy 404.	16 Zak
7	204 Barbacka Zofia z Warchałowskich i Warchałowscy Zdzisław Artur 2-ga im. i Tadeusz Nikodem 2-ga im. 411.	17 310
		cz
		A
8	291 Czyżowscy Stan. i Józefa Bronisława 403.	19 27
9	211 Bartel Stanisław 412.	21 30
		23 37

Fot. nr 37. Wykaz właścicieli kamienic z ulicy Czystej za Kalendarzem Czecha z roku 1913.



ORKIESTRY

na koncerty, festyny, zabawy, itp., w każdym żądanym komplecie dostarcza w Krakowie i na prowincję, na miesiące letnie także do uzdrowisk

STANISŁAW CZYŻOWSKI

dyrektor orkiestry subwencyonowanej przez Gminę stol. król. m. Krakowa, grywającej stale w teatrze miejskim.

Kraków, ul. Czysta 8. Telefon 1405.

Fot. nr 37a. Reklama orkiestry Stanisława Czyżowskiego z Kalendarza Czecha z 1913 r.

Nazwiska powojennych właścicieli kamienicy nie były mi do niedawna znana i dopiero w lutym 2018 roku nawiązała ze mną kontakt pani Danuta Ilnicka. Od niej się dowiedziałem, że od roku 1946 właścicielami tej kamienicy byli Ilnicy: Jan, jej teść i jego brat Bazyli. Właściciele nie mieli potem żadnego wpływu decyzje kto otrzymywał przydział na mieszkanie, co było w gestii urzędu kwaterunkowego ani jaki lokatorzy płacą czynsz. Czynsz za mieszkanie płaciło się w mieszkaniu dozorczy bądź u pani Józefy Piaseckiej, administratorki, która mieszkała na pierwszym piętrze narożnego domu przy ulicy Karmelickiej 17.



Fot. nr 38. Fragment ulicy Czystej od skrzyżowania z ulicą Skarbową; na pierwszym planie (z lewej) dawny budynek WRZZ, a dalej przebudowywana właśnie kamienica przy ulicy Czystej pod nr 8. (12.02.2011)

Niełatwo jest opisywać jej dawnych lokatorów, tak ściśle personalnie, by nie naruszyć prywatności kilku jeszcze żyjących osób, stąd w wielu przypadkach posługuje się jeszcze pierwszymi literami imienia i nazwiska lub tylko nazwiska, na czym na pewno traci wartość poznawcza pracy. Może kiedyś, za jakieś dwadzieścia lat, jak oczywiście dożyję tych czasów, odkodują te nazwiska?

Jej osobliwością była sowa, urzędująca tu przez lata, ukryta gdzieś na strychu, która od czasu do czasu nocną porą dawała znać o sobie, budząc zgrozę mojej mamy, bowiem była ona przeświadczona, że jej nocna aktywność zwiastuje nieszczęście i przynosi rychłą ludzką śmierć; tak miało być z moim ojcem, starym Chmielińskim czy panią Ostrogóorską. Nadśluchowała jej nocami, kiedy do późnych godzin prasowała koszule dla swoich klientów, a potem z przerażenia nie mogła spać, choć na polu często już świtało. Jej opowieści i w nas budziły niepokój, choć akurat w nocy sypialiśmy twardo, jak przystało na dzieci i nie słyszeliśmy zawodzenia tego rzekomo złowróbnego ptaka.

Okazały front tego dwupiętrowego wówczas budynku, obecnie szpetnie przebudowanego na obiekt czteropiętrowy i pozbawionego na fasadzie i we wnętrzu niemal wszystkich dawnych detali (poza drzwiami wejściowymi): zdobionych kolumnkami i głowicami okien, mozaikowych drzwi wewnętrznych, mozaikowych okien i drewnianej balustrady schodów na klatce schodowej, ozdobnej klamki od drzwi wejściowych oraz drobnej kostki brukowej w sieni (tyle tylko dałem radę dostrzec, bo dostanie się do jej wnętrza jest teraz sporym problemem), nawet w czasach powojennych zamieszkiwali na ogół ludzie lepiej sytuowani.

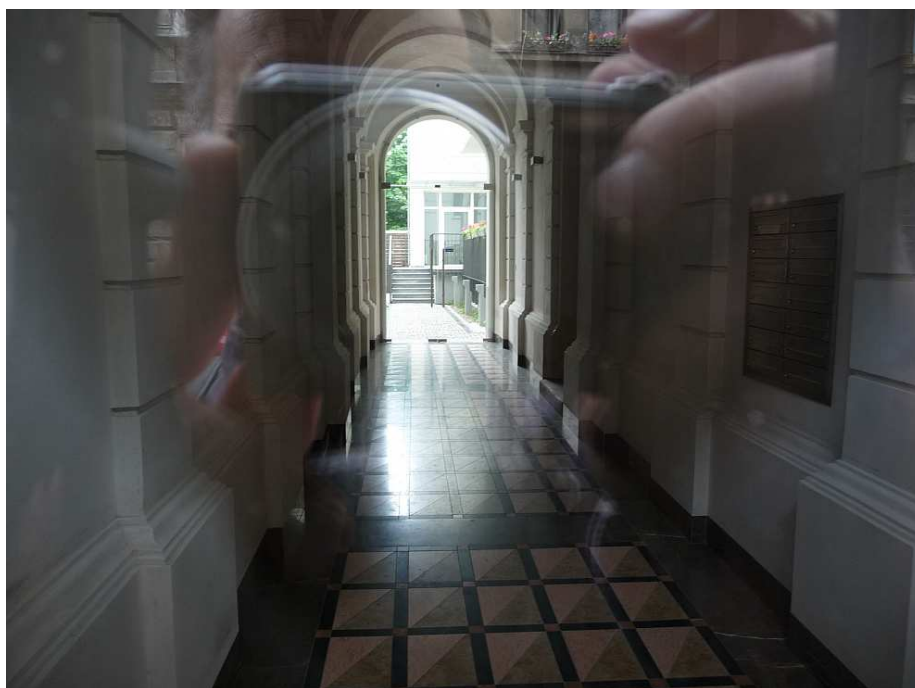


Fot. 38a. Szpetnie nadbudowana o dwa piętra i całkowicie wypruta z dawnego wyposażenia „moja” kamienica z ulicy Czystej 8, której podwyższenie doprowadziło do bezprzykładnego zaburzenia układu wysokościowego całej pierzei tej ulicy. Jakby na złość nie obeszło się bez problemów z jej zasiedleniem, co bynajmniej mnie nie dziwiło, wszak pan Stanisław Czyżowski, muzyk i jej właściciel przynajmniej we fragmencie I ćwierci XX wieku, ze złości musiał się przewracać w grobie. (11.02.2014)

Przed wojną od frontu zapewne mieściło się kilka reprezentacyjnych apartamentów, które potem podzielono na mniejsze. Oficyna, opleciona od strony podwórza wewnętrznymi gankami, była wówczas zasiedlona przez dozorcę i służby bogatych lokatorów. Mieściły się tam, na każdym poziomie, jednopokojowe lokale, przeznaczone dla tej służebnej kategorii mieszkańców, ale po wojnie nikt już tego nie przestrzegał. Kamienica ta bardzo zmieniła po wojnie swój skład osobowy i podejrzewam, że dawni jej mieszkańcy stanowili mniejszość, może byli to: Chmielińscy, Opolscy, Więckowie i Wojakowscy, a może i Pamułowie oraz panie: Wilgowe, Perzestowa i Ostrogórska.



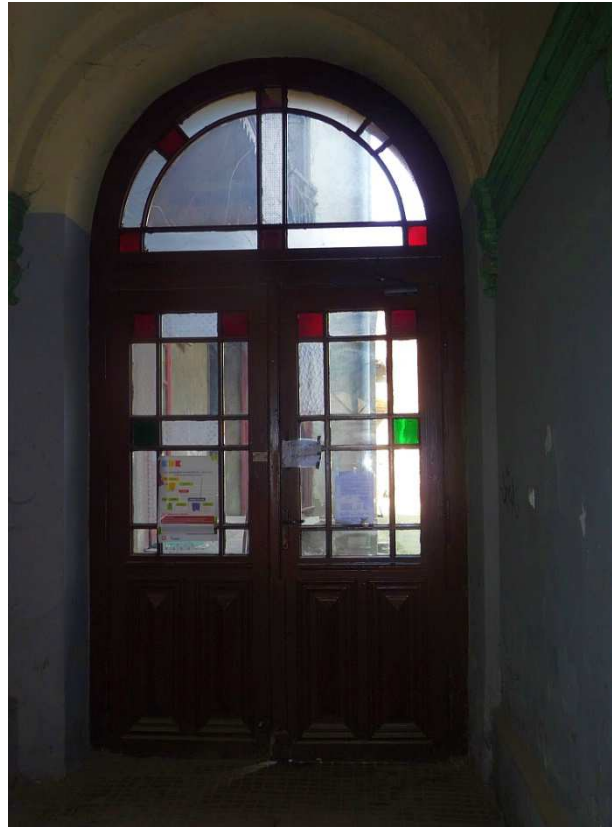
Fot. nr 39. Drzwi „mojej” kamienicy po remoncie, już bez klamki. (07.04.2014)



Fot. nr 40. Sień „mojej” kamienicy z wyprutą starą posadzką i wymienionymi drzwiami wewnętrznymi, wiodącymi na podwórko, gdzie została dobudowana oficyna. Do tylnej klatki schodowej, wiodącej do mego mieszkania (w tle), dobudowano widoczny w tle nowy twór. (04.06.2012)



Fot. nr 41 (41-42). Tak mniej więcej, jak w budynku przy ulicy Czystej 15, wyglądała sień i drzwi wewnętrzne kamienicy spod „ósemki” przed jej remontem. (07.04.2014)



Fot. nr 42. Może w drzwiach „mojej” kamienicy była jeszcze bogatsza mozaika i więcej kolorowych szybek, ale mniej więcej tak wyglądały. (07.04.14)



Fot. nr 43. Takie właśnie mozaikowe okna jak w kamienicy z ulicy Kochanowskiego 24 znajdowały się na głównej klatce schodowej. (28.07.2011)



Fot. nr 44. Karykaturalnie zawężone podwórko po „remontie” kamienicy i rozbudowie oficyny. Dziś po dobudowie dwóch pięter wygląda ono niczym więzienny spacerniak. A kiedyś było tu miejsce na ogród, owocowe drzewa i plac do harcowania. Z lewej u góry do ściany dawnego gmachu WRZZ przylegał ogródek Wojakowskich. (07.04.14)



Fot. nr 45. Moje dawne mieszkanie, które znajdowało się na parterze w lewej części oficyny, zniknęło po rozbudowie tej części kamienicy. Światło do podwórka dociera teraz z wielkim trudem. „Niech się mury pną do góry.....”. (11.02.2014)

W jednej z takich jednoizbówek, na parterze, spędziłem swoje dzieciństwo i kilka lat wczesnej młodości. Okno naszego mieszkania wychodziło na podwórko, miejsce spotkań dzieciarni. Nasz pokój był dość ciemny, bowiem okno przysłaniała boczna ściana wielkiego, kilkupiętrowego gmazyska siedziby Związków Zawodowych. Do jego odrapanego muru przylegały dwa ogródki i garaż Ch., lokatora z II piętra, wybudowany około roku 1960, który stał pośrodku, akurat naprzeciw naszego okna. Oba ogródki były odgródzone od strony podwórka drewnianym płotem, systematycznie naprawianym bądź łatanym przez dozorcę. Zwłaszcza ten większy ogródek, graniczący z podwórką należącym do WRZZ, gdzie rosła czereśnia, był zagrodzony gęstym płotem z wysokich, ale próchniejących już desek. Cóż można zatem było zrobić, gdy do środka ogródka wpadła piłka, a działa się to nagminnie? Trzeba było zrobić dyskretną dziurę, by w razie potrzeby niepostrzeżenie się tam wślizgnąć. Oba ogródki były zagospodarowane przez pana W., surowego dozorcę naszej kamienicy, który pospołu z żoną uprawiał tu warzywa, sadił kwiaty i hodował drób, więc stanowiły one namiastkę wiejskiego gospodarstwa i były przez niego pilnie strzeżone.

Dojście do sąsiedniego podwórka, otoczonego przez gmazyska: WRZZ i dawnej Bursy księdza Kuznowicza, odgradzała stara, metalowa siatka, wysoka na kilka metrów, w której nagminnie wydłubywane były dziury, gdyż po godzinach pracy tej instytucji było tam dużo miejsca do zabawy i panował spokój, który wyjątkowo rzadko zakłócał strażnik.

W dzień dominowali tu kierowcy, gospodarze rozległego garażu, który oddzielał to podwórze od ponurej willi malarza Wojciecha Weissa i ulicy Krupniczej. Ze swoimi Warszawami byli oni na usługach różnego rodzaju towarzyszy i sekretarzy z centrali Związków Zawodowych i zawsze rano z wielkim pietyzmem myli oni i pucowali swoje pojazdy. Pamiętam najbardziej charakterystyczne postacie kierowców, o imionach: Leon i Poldek. Ileż nieraz musieli się oni namęczyć w zimowe, bardzo mroźne w tych latach poranki, by korbą wsuniętą do silnika od przodu samochodu na wysokości jego zderzaka, po kilkuminutowym czasem kręceniu, w końcu „odpalić” swoje maszyny, złorzecząc przy tym, co niemiara. Korba była w tych czasach najpewniejszym narzędziem do zimowego uruchamiania ciężarówek, zwanych „ropniakami”, które najczęściej były jeszcze wyposażone w archaiczne, silnie kopcące diesslowskie silniki.



Fot. nr 46. Podwórze WRZZ z dawnymi garażami, gdzie swoje „Warszawki” pucowali i przechowywali kierowcy związkowych notabli i nic się tu nie zmieniło. (11.02.14)

W późniejszych latach przez dach garaży, które rozciągały się na przestrzeni około 200 m, również od strony ulicy Krupniczej, razem z „Grubym” robiliśmy sobie skróty w kierunku ulicy Krupniczej i Alei, zwłaszcza porą wieczorną, gdy nikogo już tu nie było, ot tak dla sportu. Po sforsowaniu siatki granicznej z WRZZ i pokonaniu podwórka, po rynnie i piorunochronie przyległych do pomieszczenia stołówki dostawaliśmy się na rozległy dach garaży, z którego po krótkiej wędrówce schodziliśmy w sąsiedztwie piętrowego budynku o charakterze baraku, a ten znajdował się na tyłach posesji należącej do wojska, gdzie mieszkali nasi szkolni koledzy: Rysiek Ćwięka, przezywany „Kondonem”, Zbyszek Lankamer z młodszą siostrą Danką i Zbyszek Twardosz, też chyba ze starszą siostrą. Budynek ten, jak i inny, bardziej reprezentacyjny, przylegający do ulicy Krupniczej (nr 33?), znajdował się na wysokości wylotu ulicy Wenecja.

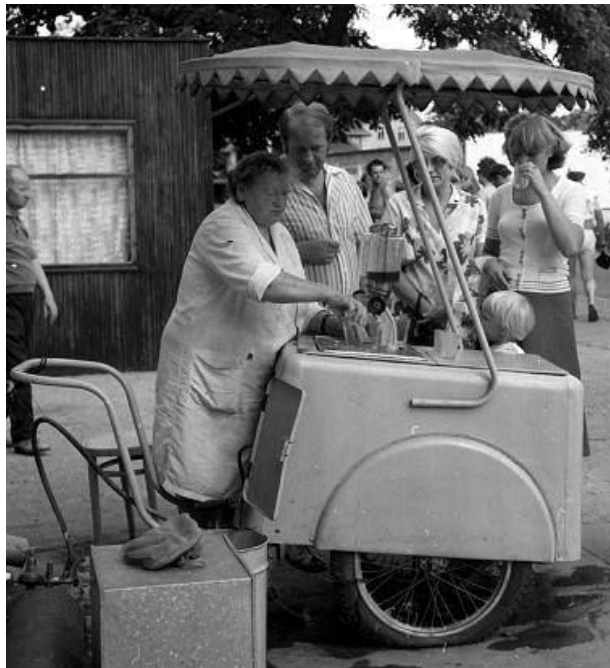
Danka była sympatyczną, ponadto bardzo usportowioną dziewczyną i w połowie lat 70-tych na dłużej została bramkarką pierwszoligowej drużyny szczypiornistek Cracovii, dopóki nie ze składu „nie wygryzła” jej doskonała Alicja Głowczak. Również i Zbyszek pogrywał w piłkę w drużynie juniorów Wisły, ale bez większych sukcesów.

Poza tymi dwoma budynkami, zamieszkałymi przez rodziny wojskowych i garażami, w których były przechowywane samochody jakichś wojskowych notabli, były to jeszcze puste tereny o charakterze ugorów, z jednej strony graniczące z willą Weissa na Krupniczej 31, z drugiej z kompleksem kamienic przy Alei Mickiewicza pod numerami: 13 i 15, gdzie mieszkał „Gruby”. Z kolei od ogrodów, które znajdowały się na tyłach ulicy Czystej, teren ten oddzielały wspomniane powyżej garaże. Wjazd na ten słabo strzeżony obiekt wojskowy, odgradzony od ulicy Krupniczej tylko lichym płotem, ale bez jakichkolwiek zabezpieczeń od strony Alei, prowadził przez opuszczaną rampę wjazdową, znajdującą się u wylotu ulicy Wenecja, przy wspomnianym już budynku mieszkalno - biurowym, gdzie zawsze stało ze dwóch dyżurnych żołnierzy. Po spuszczeniu się z dachu garażu, dróżką na tyłach piętrowego baraczkę, którą można było przejść niezauważonym przez wartowników, było już niedaleko do granicznego muru z kamienicą „Grubego”, który był niezbyt wysoki i łatwy do sforsowania. Z drugiej strony muru znajdował się betonowy śmietnik, który dodatkowo ułatwiał zadanie. Dziś teren został zabudowany przez nowe gmachy UJ i całkowicie zmienił dawne oblicze.

Na początku lat 60-tych na dziedzińcu WRZZ, tuż przy granicy z naszym podwórkiem, może gdzieś przez rok stała nieczynna, stara Warszawa, która nie była zamknięta. Po zapadnięciu zmroku, razem z Jackiem Gędłkiem, kolegą z kamienicy, robiliśmy tam wypadki i rozkoszowaliśmy się obecnością we wnętrzu tego pojazdu, dotykając wszystkich tak dla dziecka egzotycznych przyrządów, jak: kierownica, hamulec czy sprzęgło. A ponadto jakież to wtedy, w starej Warszawie, były wygodne siedzenia, jak na miękkiej kanapie.

W letnie poranki sąsiednie podwórko oprócz kierowców służbowych Warszawy opanowywali wytwórcy lodów. To tu na podwórku, blisko stołówki, stało kilkanaście wózków na lody, najczęściej z dwoma dziurami na metalowe pojemniki, mieszczące te smakołyki. Wokół tych „dwukótek” kręcili się „lodziarze”, którzy tutaj wykonywali cały proceder chałupniczego wytwarzania lodów, z ich ucieraniem w cylindrycznych pojemnikach. Po wsadzeniu pojemników z gotowymi już lodami do dziur, wewnątrz wózka upychano lodem w kawałkach. Cała operacja przygotowania lodów do sprzedaży trwała ze dwie godziny, po czym sprzedawcy ze swymi charakterystycznymi, białymi wózkami wyjeżdżali na ulice Krakowa. Jako dziecko z twarzą wciśniętą w siatkę, która odgradzała plac od naszego podwórka, z wyjątkową cierpliwością przyglądałem się procesom produkcji uwielbianych smakołyków, z czego bardzo zadowolona była moja mama, bo miała mnie na jakiś czas z głowy i mogła spokojnie przygotować: śniadanie, obiad bądź sporządzić jakąś przepierkę.

Oprócz wózków z lodami, innymi charakterystycznymi pojazdami na ulicach Krakowa były saturatory, czyli przejezdne wózki z wodą sodową. Wózki te, z metalowym, perforowanym blatem, do którego przymocowany był kranik zbiornika wody sodowej i dwa pojemniki na sok, stały niemal na każdym rogu śródmieścia, a także w parkach, na basenach, w pobliżu miejsc imprez sportowych i na odpustach. Na perforowanym blacie obciekały szklanki, wcześniej „umyte” w prymitywnym urządzeniu, uruchamianym ręcznym przyciskiem. Szklanka „czystej” wody kosztowała 20, a z sokiem 80 groszy. Oczywiście właściciele chętniej sprzedawali wodę z sokiem, bo na niej mieli lepszy zarobek, często odmawiając dzieciakom nalania „czystej”. Co jakiś czas „wodziarz” ze swym wózkiem musiał podjeżdżać do ulicznego kranu, by napełnić jego zbiornik wodą. Potem następowało „gazowanie” cieczy dwutlenkiem węgla, przy użyciu butli przykręconej do spodu wózka. Gazująca się woda wydawała wtedy charakterystyczny syk i po chwili była już gotowa do spożycia. „Sodówka” była więc czystą kranówką, zaś automat do „czyszczenia” szklanek najczęściej wielokrotnie wykorzystywał tę samą wodę, która ściekała do pojemnika pod wózkiem i była powtórnie zawracana. Ale w upały nie było wielkiego wyboru, więc wózki były zawsze obleżone.



Fot. nr 47. Saturator w pełnej krasie. „Gruźliczanka” leje się pełnym strumieniem.
Fragment fotografii krążącej na FB zapewne z zasobów NAC.

Któż już dziś pamięta te obwoźne pojazdy, które zaczęły znikać z krajobrazu miasta gdzieś pod koniec lat 70-tych, razem z pojawieniem się lodów Bambino i większej ilości wód butelkowanych, w tym „burżuazyjnej” Pepsi, której produkcja została uruchomiona w Nowej Hucie.

W/w plac powtórnie zaludniał się wczesnym popołudniem, kiedy to do stołówki znajdującej się na parterze budynku Związków Zawodowych zaczęli schodzić się na obiad wygłodzeni urzędnicy. Kierowniczkę tej stołówki i jej małego syna, który często bawił się na placu, dobrze znałem, ale tylko z widzenia. Była osobą rezolutną i jej głos często dolatywał na nasze podwórko. Wiedziałem ze słyszenia, że jej imię brzmiało Krystyna, a jej syn miał na imię Krzysiek, ale nazwiska ich nie znałem. Tak się złożyło, że ów chłopak, Krzysiek Kowalczyk, ksywa „Kowal”, był później kompanem klasowym moich serdecznych kolegów: Janusza Domagały i Jaśka Zieleniewskiego. Wszystkich ich miałem przyjemność poznać na szkolnym obozie rowerowym nad morzem, gdyż chodziliśmy do tej samej szkoły średniej - Zespołu Szkół Energetycznych na ulicy Loretańskiej, choć na różnych poziomach.

Po południu z kolei pojawiały się tu wiejskie baby, wraz ze swymi wozami zaprzęzonymi w konie i do baniek, w których rano przywiozły do miasta mleko, przelewały odpady stołówkowe dla swoich wiejskich trzód. Nikogo to wtedy specjalnie nie raziło, choć na pewno urągało wszelkim zasadom higieny. Czuć też było wtedy zapach koni i słyszeć ich rżenie.

Były jeszcze dwie charakterystyczne postacie związane z tym podwórkiem: nasz postrach - dozorca Sobojko, śmiesznie wyglądający starszy człowiek o płaskiej twarzy, który posługiwał się jakąś dziwną polszczyzną, jakby zniemczonym slangiem oraz może wtedy ze czterdziestoletni, szczupły mężczyzna w okularach, jakiś konserwator, taka złota rączka do usuwania wszelkich awarii. Sobojko z godnym podziwu uporem łątał nasze dziury w granicznym płocie, choć była to syzyfowa praca. Z kolei dopiero po latach, zupełnie zresztą niespodziewanie dowiedziałem się, że ten chudzielec nazywał się Kukuła, bo był on ojcem Jurka, który został mężem Baśki Ch., koleżanki mojej żony. Starego Kukułę osobiście poznałem w Łąncucie na weselu jego syna i tam pogadałem z nim o dawnych czasach i ludziach. Jurek był niemal bliźniaczo podobny do swego ojca, podobnie zresztą, jak i teraz jego syn. Jeszcze raz potwierdziła się stara maksyma: jaki ten świat jest mały.

Na tyłach czynszowych kamienic rozlokowanych wzdłuż ulicy Czystej i nie tylko, z których większość posiadała oficyny, rozciągały się ogrody z drzewami owocowymi i grządkami warzywami, tu i ówdzie poprzegradzane siatkami bądź płotami, takie zielone płuca podwórka, gdzie nieraz, zwłaszcza pod osłoną wieczoru, przyszło mi co nieco buszować. Tu wraz z kolegami, często podsiany strachem przed czujnymi i surowymi dozorcami kamienic, wypuszczałem się na tak zwaną „grandę”. My zawsze mieliśmy przewagę, bo byliśmy młodzi, szybcy i sprawni, dozorcami zaś byli na ogół ludzie już podstarzali. Co jakiś czas latali oni dziury w granicznych płotach, ale szkoda było ich pracy, biorąc pod uwagę natłok młodzieży wałęsającej się po podwórkach i jej „inwencję twórczą”. Były to bowiem czasy powojennego wyżu demograficznego i stary Kraków, wtedy jeszcze bez nowych osiedli mieszkaniowych, jak: Azory, czy „Kozłówek”, dosłownie pękał w szwach. Ludzie zamieszkiwali wszelkie wolne pustostany, w tym poddasza i sutereny czy pomieszczenia posklepowe, które na ogół były ciemne i zatęchłe od wilgoci.

Na skraju podwórka była zainstalowana kratka ściekowa kanalizacji, chyba z 1901 roku, wyprodukowana jeszcze przez firmę Zieleniewskich. Gdzież by mi wtedy, małemu bobasowi, mogło przyjść do głowy, że moim przyjacielem na całe życie, zostanie Jasiek, zwany „Serową”, wnuk Mieczysława, ostatniego współwłaściciela tej słynnej, krakowskiej firmy. Zwykle przy zmianie pogody z kratki tej wydobywały się niezbyt przyjemne zapachy, ale z upływem lat każdy kamienicznik zdołał się do nich przyzwyczaić. Na końcu podwórka, tuż przy siatce granicznej, w jej poprzek stał trzepak, miejsce ćwiczeń gimnastycznych i poprzeczka do gry w siatkówkę, początkowo z drewnianą żerdzią, więc łatwo łamliwy, potem (gdzieś od 1965-go roku) już metalowy, ustawiony od strony WRZZ wzdłuż ogrodzenia, a dalej w prawo, w kącie za ścianą, zadaszony blachą śmietnik, który z kolei często stanowił bramkę do piłkarskiego treningu. Oba te urządzenia były więc używane do innych celów, co wywoływało wściekłość „Filuta”, naszego dozorczy, typowego stróża porządku duchem jeszcze z czasów galicyjskich, z którym wszyscy na podwórku mieli zadarte i którego wszyscy się bali. My mieliśmy jednak nad nim przewagę, wszak byliśmy młodzi i nic nie było nas w stanie zniechęcić do zabawy i ruchu. Raz podczas takich niezbyt intensywnych ćwiczeń, ja, mój brat i Jacek Gędłek złamaliśmy drewnianą żerdź trzepaka i ze strachu pobiegliśmy na pobliski plac budowy WYSROL-u, by szukać nowej belki. Udało się ją podkraść i wieczorem zamontowaliśmy nową poprzeczkę, a następnego dnia „Filut” nawet nas za to pochwalił, bo stara już była w złym stanie, a on pomyślał, że zrobiliśmy to dla dobra kamienicy. A trzeba przyznać, że pochwały od dozorczy spotykały nas wyjątkowo rzadko.

Nowy, metalowy trzepak wkrótce znalazł nowe przeznaczenie, jako bramka do gry w hokeja, którą to dyscypliną zacząłem się fascynować gdzieś od roku 1967, gdy regularnie, najczęściej z Bogdanem Feldmanem, kolegą spod jedenastki, zacząłem odwiedzać lodowisko Olszy przy ulicy Siedleckiego, gdzie swoje I-ligowe mecze rozgrywała naprawdę dobra w tym czasie drużyna Cracovia, świeży beniaminek tej ligi. Nie mając możliwości częstej gry na lodzie, a to z racji braku w okolicy takich typowo hokejowych lodowisk, za namiastkę tej dyscypliny musiała nam wystarczać improwizowana gra, gdzie krążek zastępowała gumowa piłka, wielkości tej od tenisa. Uderzało się nią prawdziwym kijem hokejowym, który bez problemu można było kupić w sklepie sportowym przy ulicy Szewskiej 20. Ja stałem się „rasowym” bramkarzem, który wyjątkowo skutecznie strzegł bramki, jaką stanowiła dolna część trzepaka. Mama załatwiła gdzieś ochraniacze na kolana przeznaczone dla pracowników asfaltujących ulice, które dla nas stały się bramkarskimi „parkanami”. Aby „kij” bramkarza przypominał oryginał przybijało się do niego fragment deski i tak oto człek przeistaczał się w hokejowego bramkarza, ubierając dodatkowo na ręce skórzane rękawiczki.

Strzelanina odbywała się na całego przez kilka godzin dziennie, głównie w zimie, a „Filut” nieraz był wściekły, że blokujemy trzepak. Takie uderzenie „z klepki”, oddane z niewielkiego dystansu, było niełatwe do obrony, ale człek nabierał z czasem takiej sprawności, że rzadko przepuszczał piłkę do „bramki”. Jako obrońca, świetnie uderzający „z klepki”, szczególnie udanie prezentował się mój brat, ale i ja czasem zmieniałem się z nim rolami i waliłem na „bramkę” ile tylko sił w dłoniach, ale i on również dobrze potrafił bronić. Schodziło się do nas kilku usportowionych kolegów z okolicy, chyba nawet Tadek Kuciel, późniejszy, przez jakiś czas autentyczny hokeista zespołu juniorów „Pasów” i nasze podwórko zamieniało się w improwizowane „lodowisko”.

Takie to były czasy, że sport zapewniał godziwe wyżycie się, a do jego masowego uprawiania nie był potrzebny ani klub sportowy, ani tym bardziej jakikolwiek instruktor. Uroki i zawiłości gry podpatrywało się na meczach, a potem szlifowało się jej niuanse na podwórkach, w parkach, czy na Błoniach, gdzie nieraz pomocą służyli starsi koledzy. A ile było przy tym zacięcia i chęci samodoskonalenia umiejętności w detalach podpatrywanej dyscypliny, bo tak na dobre uprawiało się na przemian wiele z nich: piłkę nożną, szczególnie przeze mnie ukochaną, piłkę ręczną, siatkówkę, koszykówkę, łyżwiarstwo szybkie, czy mniej już „zawodowo”: kolarstwo, pływanie, narciarstwo zjazdowe, hokeja, czy lekkoatletykę.

Pamiętam zimę stulecia, bodaj z 1963 roku, a może rok później, kiedy śnieg na podwórku zalegał gdzieś do wysokości 2 m, a z naszego ganku do bramy prowadziła tylko wąska dróżka, z trudem wykopana w ścianie śniegu. Były wtedy, ku naszej radości, przymusowe przerwy w nauce, ale sporo wolnego czasu, głównie z uwagi na ogromne zasy, trzeba było spędzać w domu. Potem, już ku wiośnie, podwórko porządkowali wszyscy mieszkańcy kamienicy, bowiem tak dużo było śniegu do wyniesienia i załadowania na podjeżdżające pod dom samochody. W ruch poszły łopaty, taczki i nawet grubas Ch. nie odmówił pomocy. Wtedy na apel o pomoc udzielali się naprawdę wszyscy, a solidarna praca dodatkowo cementowała kamieniczne więzy.

Osobna wzmianka należy się piwnicy. Była niezwykle rozległa i rozciągała się głęboko pod całym korpusem budynku frontowego i oficyny. Prowadziły do niej dwa wejścia: główne, od podwórka oraz boczne, z korytarza klatki schodowej w oficynie, gdzie znajdowało się nasze mieszkanie z numerem 7. Pierwsze z nich było zamykane solidnymi, metalowymi drzwiami, od których klucz wisiał na haczyku, na ganeczku koło mieszkania dozorców, tuż przy wspólnych ubikacjach, drugie zaś było jedynie przymykane drewnianymi drzwiami na zasuwkę i rzadko wykorzystywane, tym bardziej, że nie miało połączenia z resztą piwnicy, bo po drodze znajdował się korytarzyk zamykany przez dozorcę na kłódkę.

Z piwnicznych czeluści wionęło chłodem i porażała panująca w nich wieczna ciemność, gdyż nigdy nie zainstalowano tam prądu elektrycznego, więc obowiązkowymi rekwizytami do ich eksploracji były: świeczka na lichtarzu i zapałki. Nie może więc dziwić, że lochy te od najwcześniejszego dzieciństwa budziły we mnie strach i grozę, a schodząc po schodach w dół, w tą z trudem rozpoznawalną przestrzeń, zawsze odczuwałem rozległą próżnię. Do poszczególnych komórek, przez wąskie okienka do wrzucania węgla docierało jedynie skromne światełko z ulicy, ale korytarz był już całkowicie ciemny. Oliwy do ognia dolewała dozorczyńni, pani W., która mnie, jako dziecko, straszyła mającymi tam grasować boginkami; pewnie w ten sposób chciała odstraszyć dzieciaków od buszowania po piwnicach, ale po części była to złośliwość, która niestety była trwałą cechą jej charakteru. W naszej kamienicy mawiało się, że tacy są ludzie spod Wiśnicza, bo stamtąd mieli pochodzić obydwój dozorczy. Dziś ich po części rozumiem, wszak byli to już ludzie starsi, którzy nie chcieli mieć kłopotów i dodatkowej pracy, ale z nami nie potrafili się porozumieć, wszak strasząc i grożąc nic nie osiągnęli. Tak, czy owak było tam naprawdę nieprzyjemnie, ciemność zagłębiała z każdego kąta i nawet później, już jako nastolatek, chodziłem tam zawsze z duszą na ramieniu: czy po ziemniaki, drewno, czy węgiel i do dnia dzisiejszego przechodzą mnie ciarki, gdy piszę o tych ciemnych zaświatach.

Jakaż zatem odważna musiała być moja matka, która zmuszona przez los sama musiała tam chodzić, nie zważając na strachy i niebezpieczeństwo. A było tam naprawdę groźnie, bo w każdej chwili mógł się tam ktoś dostać i ukryć w jakimś ciemnym zakamarku, wszak piwnica, gdy ktoś tylko w niej przebywał, pozostawała otwarta, a nasza komora znajdowała się na jej końcu. Dodatkową grozę spotęgowało zdarzenie, do jakiego doszło w kamienicy pod nr 21, w której później przyszło nam mieszkać, o czym więcej piszę w następnym rozdziale. Tu wspomnę tylko, że ta dobra znajoma Kopciowej, a potem i mojej mamy - Kunegunda B., wdowa, której nazwiska na razie nie chcę podawać, miała w latach 60-tych adoratora, starego emeryta spod „siódemki”, pewnie niezwykle zazdrosnego, może nawet nie do końca zrównoważonego psychicznie i to on pewnego dnia, gdy pani Kunda rąbała w piwnicy węgiel, zniemacka zakradł się i zdzielił ją siekierą w tył głowy, wywołując bardzo poważne obrażenia. Ona przez tydzień walczyła ze śmiercią, ale jakoś z tego wyszła, on zaś wylądował w szpitalu psychiatrycznym. Od tej pory strach przy chodzeniu do piwnicy był jeszcze większy i człek w każdym kącie dopatrywał się niebezpieczeństwa, a przy rąbaniu siekierą węgla bądź drewna często oglądało się za siebie, gdyż wyobraźnia mocno działała.

Dodatkowym niebezpieczeństwem była możliwość zamknięcia piwnicy od zewnątrz przez lokatora, który właśnie z niej wychodził i nie słyszał, że ktoś jest w środku. Zdarzyło się tak kilka razy i wtedy nie pozostawało nic innego, jak walić w drzwi z nadzieją, że ktoś usłyszy, pójdzie po klucz i otworzy to wejście do zaświatów. Nieraz na przeciągu zgasła świeca i był dodatkowy stres, bo w tych totalnych ciemnościach nie było łatwo znaleźć zapałki, a później je zapalić.

Pora przejść do mieszkańców kamienicy. Na pierwszy plan wysuwają się wspomniani już wyżej W., którzy byli tu dozorcami. Nie byli to ludzie, których można było darzyć sympatią; zwłaszcza dozorca był typowym służbistą, nadmiernie uniżonym w stosunku do ludzi „na stanowiskach”. Dzieciom ludzi dobrze sytuowanych nawet nie próbowali zwracać uwagi, choćby na to zasłużyły, za to oboje byli wybitnie nieprzyjaźni zwłaszcza w stosunku do ludzi biedniejszych od siebie, co wynikało pewnie z jakichś tłących się w nich kompleksów, więc moja matka miała z nimi wieczny kłopot. Nie pasowała im ta profesja, więc kiedyś namówili administratorkę, panią Piasecką, by ta zaproponowała mamie przejęcie ich funkcji, ale ta wzburzona taką propozycją wyrzuciła ją z mieszkania, czym po raz pierwszy na moich oczach pokazując charakter tygrysy. Takie to były wtedy czasy „sprawiedliwości społecznej”, której główną wyrazicielką była Kopciowa, sąsiadka mieszkająca na paterze, od strony ulicy: „kto się nie wydziera i nie jest pewny siebie, ten nie ma racji bytu” i czasem taka postawa rzeczywiście skutkowałą w tej „nowej” Polsce. Z rzadka i im się przytrafiały się jakieś ludzkie odruchy, zwłaszcza dozorczyńi, ale mnie w tych czasach oboje kojarzyli się raczej z czarownikami, postaciami budzącymi wieczny strach i przerażenie. Mieli wieczne utarczki i z nami, wszak jako dzieci byliśmy niezwykle ruchliwi i z naszą matką, która starała się nas bronić, jak tylko mogła. Zapewne i my nieraz zaleźliśmy im za skórę, jak i reszta podwórkowego towarzystwa i stąd ich postawa była tak nieprzejednana, ale po dobroci na pewno mogli więcej zyskać.

Stanisław W., zwany przez nas „Filutem”, a to z racji swych „detektywistycznych” skłonności, był typowym przedwojennym sługusem: beznamiętnym, skrytym, bez cienia uśmiechu i wesołości, wiecznie zapracowanym i szpiclującym. Jego żona, Janina, często niby uśmiechnięta, ale raczej fałszywie, wydawała się być prawdziwą lisicą. Mieli spore mieszkania na parterze, początkowo duży pokój z kuchnią od strony podwórza, lecz później, po śmierci pani Ostrogórskiej, ich sąsiadki, zajęli jej pokój, a dodatkowo zagospodarowali korytarz prowadzący z sieni głównej, który prowadził do obu mieszkań. Ponadto „Filut”, jak już wspomniałem powyżej, gospodarował dwoma ogródkami na podwórku: w jednym z nich hodował króliki i kury, a w drugim, bliżej granicy z WRZZ, razem z żoną uprawiali warzywa i sadzili kwiaty. W tym drugim ogródku, tuż obok starej wiśni, czy raczej czereśni, która rosła w bezpośrednim sąsiedztwie garażu Ch., na wiosnę 1969 roku została pochowana moja biedna kociczka Pindzia, najpewniej skutecznie przez nich podtruta. W pierwszym z nich, w szopach przylegających do ściany, „Filut” przechowywał całą graciarnię, gdyż wszelkie rupieci były mu przydatne: jakieś stare deski, narzędzia i żelastwa i aż dziw bierze, że administrator godził się na taką jego wszechwładzę i samowolę. Pełno gratów chował też w piwnicy, bo tam zawłaszczył sobie dodatkowe pomieszczenia. W zimie do jego stałych obowiązków należało posypywanie chodników i podwórka piaskiem (nie przypominam sobie, by dla poprawy bezpieczeństwa dodatkowo używał soli), zaś w lecie, w suche dni musiał on skrapiać trotuar i zakurzone podwórko wodą, co skrupulatnie czynił.

Praktycznie cały czas był ruchu i był bezustannie zapracowany, a gdy tylko miał nieco wolnego czasu dorabiał, jako „porządkowy”, na meczach Wisły i Cracovii, będąc niezwykle skrupulatnym służbistą. Może ze trzy razy zdarzyło mu się wpuścić mnie na mecz bez biletu, jako że stał na ogół „na bramce” i wpuszczał kibiców na mecz, ale raz, kiedy pod pretekstem pójścia na basen próbowałem przemknąć na mecz koszykówki do hali Wisły, obserwował mnie i zawrócił do wyjścia. W. wykształcili dwoje dzieci: syna Janusza i córkę Stanisławę – cichą i miłą dziewczynę. Stasia była nauczycielką, a swego przyszłego męża poznała podczas studiów. Po ślubie młoda para przez jakiś czas mieszkała na Czystej, ale potem wyprowadziła się na dobre. Janusz też był zdolnym chłopakiem i skończył chyba polonistykę na UJ. Pamiętam, że kilka razy zabrał nas nawet, jeszcze jako malców, nad Rudawę, gdzie na sporym odcinku rzeki spod starej ławy spływaliśmy na jego dętkę od traktora, powiązanej w środku sznurkiem, by można było na niej usiąść, ale i on nigdy nie był szczególnie miły i komunikatywny. Pod koniec życia mieszkali chyba samotnie, bo syn też się od nich wyprowadził, chyba do żony. Żyli długo i zmarli chyba pod koniec lat 90-tych, a wraz z nimi odeszły do lamusa postacie dozorców, jeszcze galicyjskich z charakteru: przesadnie służalczych i nadmiernie sumiennych. Ale gdyby nie oni, o ileż byłoby uboższe moje dzieciństwo. Niech spoczywają w pokoju. Dziś może na ich postawę spoglądałbym nieco bardziej łagodnie.

Od ulicy, niejako na tyłach mieszkania W., które zajmowało cały parter od strony podwórza, na lewo od bramy wejściowej były usytuowane dwa jednoizbowe pomieszczenia, z czego jedno posklepowe z wejściem z ulicy. Na początku lat 60-tych do pierwszego z nich, który przylegało do bramy, wchodziło się na lewo z sieni kamienicy i sąsiadowało ono bezpośrednio z mieszkaniem dozorców. Mieszkała tam pani Ostrogórska, starsza już osoba. Pamiętam jej śmierć na serce, co zdarzyło się około 1962-3-go roku. Lokal ten od razu przejęli dozorczy, zabudowując dodatkowo fragment sieni, która wiodła do obu mieszkań, tworząc w ten sposób dodatkowy, rozległy przedpokój.

Rozległa kamienicy sień była wyłożona drobną, oryginalną kostką, bodaj w kolorze żółtawym, a jej skrajne części zamykały bramy: ciężka, stylizowana od strony ulicy, która na noc (po godz. 23) była zamykana na klucz (znajdował się on tylko w posiadaniu dozorczy i za wstęp po tej godzinie trzeba było płacić kilka złotych, co było przyjętym od czasów galicyjskich zwyczajem; przycisk do dzwonka do dozorczy znajdował się z boku bramy) i ozdobiona mozaiką z kolorowych szybek, mniej masywna, nieco już wypaczona, ta druga od strony podwórka. Brama od strony ulicy, wykonana w stylu neorenesansowym, była wyposażona w ciężką klamkę, którą dziecku niełatwo było skutecznie nacisnąć, a z jej boku, gdzieś na wysokości półtora metra, znajdował się przycisk dzwonka, niełatwo dostępnego dla dzieciaków, połączonego z mieszkaniem dozorczy. Dzwonki te były ich utrapieniem, bo czasem stawały się przedmiotem zabawy młodych podrostków; naciskało się dzwonek, a potem uciekało się pełnym galopem.

Na ścianie sieni wisiał jeszcze alarmowy aparat pożarowy w kolorze czerwonym, w którym za szybką widniał guzik; w razie pożaru, o czym informowała instrukcja, szybko należało zbić, a guzik nacisnąć. Syrena alarmowa znajdowała się w pobliskim budynku Związków Zawodowych. Nie przypominam sobie sytuacji, by trzeba było z tego przycisku skorzystać.

Drugie pomieszczenie, posklepowe, do którego wchodziło się po schodkach, ale od ulicy, gdzieś od końca lat 50-tych zajmowali K.. Maria K., urodzona w 1909 roku, pochodziła z Poręby-Żegoty spod Alwerni. Była nieprawdopodobnym oryginałem, typowym dzieckiem socrealizmu, z „gębą” i tupetem, taką sztandarową postacią do filmu o tej epoce. Jej mąż Kazimierz, potężne chłopisko, schorowany na Parkinsona i częściowo niedowładny, dostawał częstych ataków ostrego bólu głowy i Pogotowie bywało tu nieraz nawet i dwa razy na dobę, a jego charakterystyczne wycie dolatywało nieraz aż na podwórko. Jego cierpienia budziły powszechną litość i współczucie. K. mieli jedyne dziecko, też Kazia, dobrze zbudowanego chłopaka, może nawet nieco przygrubawego, który był kolegą szkolnym mego brata. Kaziu, późne dziecko, był oczywiście oczkiem w głowie matki i jego wychowaniu poświęcała się ona bezgranicznie. Sama niewiele jadła, ale jej syn musiał mieć wszystko, co najlepsze: szynkę, po którą chodziła do sklepu mięsnego ze swym niedołącznym mężem, by nie stać w kolejce oraz banany i pomarańcze, które były wtedy niezwykle drogim rarytasem. W zimie za 500 zł własnej renty często kupowała dla syna 10 kg pomarańczy, po 40 zł za kilo i było po pieniądzach. Banany kosztowały wówczas 30 zł za kilo, a cytryny tyleż samo i tych rarytasów też nie mogło mu brakować. Z K. dzieliliśmy wspólny „kibel” na podwórku i z tego tytułu z rzadka dochodziło między nami do drobnych, ale głośnych scysji. Ona sama tak pewnie czuła się w socrealizmie, że w przypadku jakichkolwiek problemów od razu wzywała dzielnicowego, tytułując go: „panie władzo”, który miał egzekwować jej racje. Zresztą dzielnicowy świetnie ją znał i zawsze patrzył na nią z przyjaznym przymrużeniem oka, by mieć od niej spokój. „Członkiem” rodziny Kopciów była też popielata suczka, szczekliwy kundel o imieniu Pika, która towarzyszyła Kopicowej we wszystkich jej wyprawach do miasta i na spacerach do Parku Jordana. Tu często prowadziła, a raczej holowała pod rękę, swego schorowanego i wiecznie trzęsącego się męża, którego darzyła wielkim szacunkiem. Zwykle towarzyszył im Kazek, który trzymał psa na smyczy, a raczej na sznurku zastępującym uwięź. Widać było wielkie poświęcenie tej kobiety, której postawa wzbudzała w okolicy powszechny szacunek.

W gruncie rzeczy była to nader poczciwa i szczerą kobieta. Choć została ciężko doświadczona przez życie, znosiła swój los bez żadnych kompleksów: z godnością oraz pogodą ducha i mimo biedy, która nieraz doskwierała jej rodzinie, zawsze chodziła z podniesionym czołem. Szybko zaprzyjaźniła się z moją matką i bywała u nas częstym gościem. Nie umiała mówić po cichu, lecz zawsze się darła; wszystkie myśli wyrażała szybko i niezwykle emocjonalnie. Nieraz mieliśmy dość jej obecności, bo zachowywała się niczym dobra krakowska przekupa, ale mimo wszystko lubiliśmy ją, bo zawsze miała dużo do opowiedzenia, zwłaszcza wszelkich nowości z okolicy, co nieraz czyniła z dużym poczuciem humoru.

Używała niezwykle barwnego języka, kobiety z przedmieść, wzbogaconego kapitalnymi przekrętami i kiedyś, jako dzieciuch naliczyłem ich grubo ponad dwadzieścia, bo spisywałem je na kartce. Sporo z nich do dzisiaj zapamiętałem i poniżej wspominam co lepsze hity. Na AGH mówiła „GH” („ktoś tam studiuje na GH”), inżynier był u niej „niżynierem” („pani wie, że ten Zbyszek Dutkiewicz spod 19-ki jest niżynierem”), architekt - „erchitykiem”, PGR nazywała „PePeGieRem” (podpadnięte jej osoby wysyłała do PePeGieRu bądź - na wojnę - do „Wietmanu”), kalafior był u niej „karafiołem”, agrest - „angrestem”, a plomba dentystyczna - „blombą”. Na narkomanów mówiła - „markomani” (podczas Juwenaliów studenci zachowywali się jak „markomani”), włosy anielskie na choinkę nazywała „włosami angielskimi”, a na kiosk spożywczy mówiła - „kiosek” („Pani Grabosko, po co oni zlikwidowali ten kiosk koło skwerku”). Perfumy przemianowała na „perfuny”, a zemdlony człowiek, był dla niej „zemglonym” („Ale ta Dycjanka - sąsiadka z ulicy Czystej, spod nr 11 - się „wyperfunowała” się, że o mało mnie nie „zemgliło”). Nie mówiła „przez” tylko „bez” („ile ja mam kłopotu bez te Wojakowską”). Ulica Lelewela była dla niej ulicą „Welewela”, a w kościele na tacę dawała na „ochfiarę”, podobnie jak księdzu po kolędzie. Wielki był u niej „wielgim”, jak np. „Wielganoc” bądź „wielgi piątek”. Często dla syna Kazia robiła kompot z rabarbaru, który był dla niej „rombarbarem”, a czasem reperowała jego sweter, zwany przez nią „cwetrem”. Ze skręconą ręką nie chodziła do chirurga, lecz do „chirułga”, Ignacy Książek, lokator z pierwszego piętra był dla niej „panem Książka”, zaś dyrektor jakiejś instytucji, np. szkoły, panem „derektozem”. A jeśli ktoś już ją bardzo zdenerwował i nawet tej wyrzucającej tysiące słów na minutę kobiecie brakowało argumentów i siły głosu, kończyła rozmowę stwierdzeniem: „pocałuj mnie pani w rzyć”.

Do milicjantów, których często wzywała do obrony swoich racji, zwykle z błahej przyczyny, odzywała się poufale: „panie władzo” bądź rzadziej - „panie dzielnicowy”, a ci już ją dobrze znali i wiedzieli jak z nią rozmawiać, by ją ułagodzić. W gruncie rzeczy nikt nie zazdrościł jej garbatego losu i z reguły każdy traktował ją z lekkim pobłażaniem, choć z szacunkiem. Jaka szkoda, że reszta jej przekrętów wypadła mi z głowy, choć przypominają mi się całkiem przypadkowo, bo jako dzieci śmiałyśmy się z nich do rozpuku, a i moja mama w trakcie jej odwiedzin, podczas nie kończących się jej monologów, nieraz nie mogła ukryć uśmiechu. Potrafiła błyskawicznie opowiadać długie historie, nie dopuszczając nikogo do głosu, a słyhać ją było na pół kamienicy, dzięki czemu od razu wiadomo było u kogo bawi z gościnią. Nie miała przed nikim żadnych tajemnic. Przed wojną miała jakieś nieślubne dziecko, córkę Stasię, które pozostawiła u zakonnic, podczas gdy ona sama została zabrana na przymusowe roboty do Niemiec i niestety dziecko zmarło podczas jej nieobecności. Po powrocie do kraju już dobrze leciwa wyszła za męża za byłego więźnia z Oświęcimia, nieszczęśnika katowanego w obozie, gdzie m.in. spuszczano mu na głowę krople lodowatej wody, który już przed ślubem wykazywał pierwsze symptomy choroby Parkinsona, lecz w walce o jej względy wykazał się ogromną determinacją i przebił kręcącego się koło niej konkurenta, m.in. z uwagi na swój wygląd „przystojniaka”.

Początkowo, gdzieś do końca lat 50-tych, K. mieszkali w jakiejś suterenie pod nr 19. Potem, już pod „ósemką”, urzędowali gdzieś do 1966 roku. On zmarł gdzieś pod koniec lat 60-tych, jak rodzina wyprowadziła się już na Azory, gdzie w nowo wybudowanych gomułkowskich „slumsach”, przy ulicy Weissa, dostała dwupokojowe mieszkanie kwaterunkowe ze ślepą kuchnią, a więc pełny „Wersal”. Ale pani Maria nie potrafiła się tam zaaklimatyzować w obcym dla niej środowisku, z dała od jej dawnych znajomych i kumosek, z pyską Gilową, jej jakby „siostrą bliźniaczką” spod nr 19, przesadnie gadatliwymi: starą Bogaczową - „Bogaczką” i jej synową Kundą oraz Szczerbową spod nr 21 i Więckową spod „ósemki”, wszystko wiedzącymi: Pająkową spod nr 17, Huniową spod nr 19, Wojakowską spod nr 8 czy tajemniczą i dziwną Danczowską spod nr 15 na czele i gdzieś w połowie lat 70-tych znowu powróciła na Czystą. Swoje dwupokojowe mieszkanie zamieniła na dozorcówkę pod nr 14, gdzie mieszkało małżeństwo Bombów. Doprawdy dziwna to była zamiana na mniejsze i dużo gorsze mieszkanie, a i obowiązków i jej, i Kazkowi sporo przybyło.

Kiedyś, w 1960 roku pojechał on z nami do ciotki na Klęczaną, bo matce było go żal, że całe wakacje siedzi w mieście. Miał być tam trzy dni, ale spodobało mu się tam i wrócił dopiero po tygodniu. Biedna K. już wybierała się na jego poszukiwania, choć nie znała adresu, a moja matka po odstawieniu jej „kanocka” zamiast podziękowania zebrała burę. Tej nadopiekuńczej matce z czasem ciężko było się pogodzić z sytuacją, gdy Kaziu, którego nadal traktowała jak małe dziecko, w końcu już prawie trzydziestolatek znalazł sobie dziewczynę, z którą się niebawem ożenił, a z domu się wyprowadził. Zmarła na początku lat 80-tych, zgorzkniała i schorowana, a razem z nią odeszła na zawsze niepowtarzalna i niezwykle barwna część powojennego, socrealistycznego Krakowa, postać, która pod względem oryginalności i egzotyki nie miała sobie równych, stąd tak ją dzisiaj miło wspominam. Kaziu wyrósł na potężnego chłopaka, założył rodzinę i znikł mi z pola widzenia. Ponoć pracuje w Ośrodku Pomocy Społecznej na Łanowej.

Po prawej stronie od wejścia do kamienicy, w połowie dużej sieni zaczynała klatka schodowa, która prowadziła do najbardziej reprezentacyjnych mieszkań w kamienicy. Drewniane schody były bardzo masywne, ale przy tym trzeszczące, zaś balaski poręczy ozdobne, misternie toczone. Okna klatki, zlokalizowane pomiędzy piętrami, były wykonane w postaci mozaiki kolorowych szybek, która z upływem czasu ubożała, wszak w miejsce zbitych fragmentów dozorca wprawiał już tylko zwykłe szkło.

Na parterze znajdowały się wejścia do dwóch mieszkań: małego jednoizbowego, z oknem od ulicy, w którym mieszkała pani Anna Perzestowa (Perzesty), przez lokatorów przechrzczona na „Perzystową”, starsza, samotna osoba oraz wielkiego dwupokojowego, w którym mieszkała tajemnicza rodzina D, których nazwiska nie chcę otwarcie podawać z uwagi na ich tajemniczość i nie do końca sprawdzone o nich informacje, które tylko znam z kamienicznych przekazów z ust do ust.

Reprezentacyjny pokój tego apartamentu, z dwoma oknami frontowymi, znajdował się od strony ulicy. Przez drzwi wchodziło się do przedpokoju, z którego na prawo był wspomniany salonik, w lewo zaś wchodziło się do ogromnej, przejściowej sypialni, z zacięzionym oknem wychodzącym na podwórkę, z której przez ciemny korytarzyk przechodziło się do sporej kuchni. Do kuchni można było też wejść od strony podwórca, po pokonaniu kilku kamiennych schodków i betonowego ganeczku i stąd wchodziło się przez przeszklone drzwi, do których przylegało spore okno.

D. byli dziwną i tajemniczą rodziną, od której wiało chłodem. On (Zdzisław?) był „niżynierem”, jakby ten zawód nazywała poczciwa Kopciowa i pochodził pewnie z okolic Lwowa, bo śmiesznie zaciągał, ponadto dysponował oryginalnym kresowym nazwiskiem, zakończonym na „icz”, może jedynym takim w Krakowie, które uważny czytelnik odnajdzie gdzieś tam w tekście. Jawił się jako sąsiad nadzwyczaj miły, elegancki i pogodny; bywał niezwykle zapracowany, wszak musiał utrzymywać cały dom, z trójką dorastających dzieci.

Jego żona, której imienia nie pamiętam (Helena?), była postacią niezwykle mroczną i tajemniczą. W młodości musiała być piękną kobietą, bo jeszcze wtedy, na początku lat 60-tych, gdy mogła dobiegać do półwiecza, miała oryginalne rysy twarzy. Co robiła, czym się zajmowała, tego nikt nie wiedział. Też mówiła wschodnim dialektem, bo z kuchni, która graniczyła z naszym mieszkankiem, często dolatywał jej dźwięczny głos i dobry warsztatowo śpiew, np. fragmentu arii z opery Moniuszki - Halka: „Ej Halino, ej jedyno dziewczyno moja”. Kim była, nie wiadomo, choć różne o niej krążyły pogłoski, często wręcz niesamowite. Często nie widywano jej w domu całymi dniami, bo być może wtedy odsypiała swój nocny styl życia, ale jak już potem wpadała do kuchni często słychać było wrzask bitego Bogdana (ur. w 1949 r.), jej młodszego syna, bowiem starszy Bolesław – „Bolik” (ur. w 1946 r.), jak na niego mawiała matka, był jej ulubieńcem i ten nigdy nie dostawał cięgów. D. wyjechała ponoć do Ameryki, gdzie ściągnęła za sobą wszystkie swoje dzieci.

Bogdan, sympatyczny chłopak i nasz dobry podwórkowy kolega, ale nie przyjaciel, czasem oberwał od matki pod byle pretekstem, gdyż nie miał go kto bronić, wszak ojciec był wiecznie zajęty pracą w jakimś Biurze Projektów (chyba Miastoprojekcie na ulicy Kraszewskiego) i wracał późno do domu. Musiał wykonywać wszelkie zajęcia domowe, ale nie zawsze potrafił to zrobić w sposób satysfakcjonujący matkę, a ta była wyjątkową choleryczką. Prawie nikt tam nie gotował, jedynie stara D., zwana przez nas „Dziekiewiczką”, co było transkrypcją jej prawdziwego nazwiska, czasem przysmażała sobie na patelni jakieś mięso na cebuli, bo takie zapachy zalaływały z jej kuchni przez nasze okno. Bogdan jadał zwykle „na sucho”, najczęściej jakieś własnoręcznie zrobione kanapki, pewnie za kieszonkowe, które dostawał od ojca. D. mieszkali razem, ale żyli obok siebie, choć formalnie chyba nie byli rozwiedzeni. Tylko z rzadka dochodziło między nimi do scysji, które jednak miały gwałtowny przebieg, a ona wtedy zawsze górowała siłą głosu. On spokojnie znosił swój los samotnika i, jak podejrzewano w kamienicy, „rogacza”, przyjmując swój los ze stoickim spokojem.

D. mieli jeszcze ładną córkę Irenę (ur. ok. 1944 roku), która też była tajemniczą postacią, rzadko widywaną w domu. Bolek z Bogdanem byli zdolnymi i inteligentnymi chłopakami, więc bez problemu pokończyli studia, bodaj na Politechnice Krakowskiej. Pod koniec lat 60-tych stary, poczciwy D., będąc już na emeryturze, został doświadczony przez los chorobą Alzheimera i chodził po podwórku bez pamięci i bez sensu, nie mając należytej opieki, popychany z kąta w kąt i tylko miłosierny Bodzio miał dla niego szacunek. Jak tajemnicza była to rodzina niech zaświadczy fakt, że choć przyjaźniliśmy się z Bogdanem i spotykaliśmy się na podwórku przez wiele lat, nigdy nie byłem w środku tego ponurego mieszkania. Jak mi się wydaje jego matka razem z córką zajmowały pokój od ulicy, mężczyźni zaś przejściowe pomieszczenie od podwórka. Później, po roku 1970 i śmierci starego D., rodzina ta gdzieś zniknęła, prawdopodobnie wyprowadzając się z Krakowa, może właśnie do Ameryki, bo dziś w książce telefonicznej nie uświadczysz tego oryginalnego, a przy tym jakże rzadkiego, kresowego nazwiska.

Powróćmy do pani „Perzystowej”, starszej pani, urodzonej pod koniec XIX wieku. Była to niezwykle miła i uprzejma osoba, która często nas odwiedzała i tu ciekawie opowiadała o swoim niełatwym życiu. Oczkiem w jej głowie byli dwaj wnukowie, bliźniacy: Jacek i Krzysiek (ur. 1945), którzy mieszkali niedaleko, przy ulicy Manifestu Lipcowego 21 lub 23. Każde zaoszczędzone pieniądze, a nie miała ich za dużo, bo żyła biednie z jakiejś marnej emerytury, przeznaczała na prezenty dla swoich ulubieńców, a tym faktem lubiła się pochwalić mojej mamie. Były to najczęściej koszule, skarpety czy rękawice. Jej mąż już dawno nie żył i nie był on podobno ideałem, bo miał nadużywać za życia alkoholu. Mieli dwoje dzieci: syna Zdzisława, którego z niemałym wysiłkiem wykształciła na dentystę i który mieszkał w Krynicy oraz córkę – Zofię („Zosię”), matkę wspomnianych wyżej chłopaków. Często ubolewała nad losem syna, który nie mógł się w życiu ustatkować, zmieniał żony, nie stronił od mocnych trunków i poważnie chorował, a także nad losem wnuka Jacka, którego wiecznie bolała głowa. Nie tak dawno na FB poznałem Panią Teresę Ewę Wojna-Kenc, dziś mieszkankę Kanady, kiedyś Krakuskę i rówieśniczkę bliźniaków, zaciętych kolarzy, która sprostowała mi imię Pani („Perzystowej” i jej córki (Zofii, a nie Krystyny) oraz przypomniała jej nazwisko po mężu Wiktorze Iglińskim. Jak ten świat jest mały.

Często odwiedzała ją pani Irena Białasowa, jej młodsza siostra spod „trzynastki”, zawsze trzymana pod rękę przez męża Tadeusza, który miał stolarnię na podwórku kamienicy pod nr 15, więc nie była ona tak bardzo samotna. Widywałem ją jeszcze w połowie lat 70-tych, gdy już mieszkaliśmy na Czystej pod nr 21, kiedy przesiadywała samotnie na ławeczce pod budynkiem nowego „Wysrołu” na Alejach, z nieodłączną laseczką. Los zrządził jej ponoć nieciekawy koniec, na który na pewno nie zasłużyła. Wydaje się, że w końcówce życia, wg docierających do nas informacji, dopadła ją choroba Alzheimera, która stała się przyczyną jej rychłej śmierci, dziś wiem, że w 1976 roku. Ale po tej miłej staruszce, zawsze pogodnej i życzliwej osobie i jakże serdecznej sąsiadce, pozostało mi bardzo przyjemne wspomnienie.



Fot. nr 48. Anna Perzesty jeszcze jako Anna Zięba – „Andzia”, zapewne przed rokiem 1915. Fotografia ze zbiorów rodzinnych Wojciecha Tadeusza Bednarskiego, udostępniona mi za jego zgodą.



Fot. nr 49. Anna Zięba-Perzesty. Fragment rodzinnej fotografii Ziębów z około 1915 roku, którą ze swych zbiorów rodzinnych udostępnił mi Wojciech Tadeusza Bednarski, prawnuk Wojciecha Bednarskiego, założyciela parku w Podgórzu, noszącego dziś jego imię, a brat mojej praprababki Józefy po mężu Grabowskiej. Ich rodzina pochodziła z Kunic.

Więcej o tej rodzinie piszę w rozdziale następnym przy opisie lokatorów kamienic spod nr: 13 i 15, gdzie podaje informacje niejako z pierwszej ręki, bo przekazane mi przez Wojciecha Tadeusza Bednarskiego, wnuka znanej mi osobiście Ireny Białasowej, również poznanego w FB.



Fot. nr 50. Nagrobek „Pani Perzystowej” na Cmentarzu Rakowickim, na którym spoczywa (nieдалeko moich rodziców) razem z nieznanym mi jej mężem i synem. (23.10.13)

Na końcu podwórka i oficyny, za kuchnią D. znajdowało się nasze mieszkanie, które przylegało do tylnej klatki schodowej, z opłatającymi ją schodami. Drewniane jej schody przenosiły każdy krok i nikt nie miał tu prawa przemknąć bez naszej wiedzy. Wejście do klatki schodowej prowadziło przez niewielki, betonowy ganeczek, który był obramowany metalowymi, ale już nieco skorodowanymi poręczami. Aby się tu dostać trzeba było pokonać kilka schodków, po których jako „dzidzius” spadałem „na łeb, na szyję” razem z moim drewnianym konikiem na biegunach. Sień klatki schodowej, „nasza sień”, była dość rozległa i niemal w całości przez nas zagospodarowana. Stały tam nasze dwie paczki na węgiel, które pełniły funkcje „składów buforowych”, by nie gonić za każdym wiaderkiem do odległej piwnicy. Nasz „apartament” opisałem już w części I.

Na pierwszym piętrze kamienicy, mam tu na myśli jej front, przed wojną znajdowały się zapewne dwa reprezentacyjne apartamenty. W czasach mojego dzieciństwa były to już jednak trzy mieszkania, gdyż jedno większe, posiadające cztery okna frontowe, które znajdowało się po lewej stronie (patrząc od ulicy), zostało podzielone na dwa mniejsze lokale. Wejście do tych podzielonych mieszkań prowadziło z reprezentacyjnej klatki schodowej przez wspólne drzwi i wspólny przedpokój, ale najczęściej właściciele tego bardziej zewnętrznego lokalu nie korzystali z niego, by nie uprzykrzać doli sąsiadom i wchodzili do domu od strony podwórka, przez ganek opłatający oficynę, a dalej przez kuchnię.

Pierwsze z tych mieszkań, to bardziej środkowe: dwupokojowe, z kuchnią, zamieszkiwali Hukowie, rodzina Tadeusza, późniejszego znanego aktora Teatru Starego. Pamiętam ich już nieco przez mgłę, gdyż na początku lat 60-tych wyprowadzili się z kamienicy. Było im chyba dość ciasno, bo w tej rodzinie oprócz rodziców i dwójki dzieci: wspomnianego Tadeusza i jego młodszej siostry Eli, egzystowała jeszcze babcia. Całość, jak mi się przynajmniej wydaje, reprezentowała mieszczańskie środowisko krakowskie o nienagannych manierach, choć zapewne nieco po wojnie zubożałe. Tadek jako młokos był rozrabiaką i wspólnie z Krzyśkiem Gędkiem, sąsiadem z piętra, nieraz dudnili po drewnianym balkonie, aż wióry leciały. Na parter wiecznie dolatywały jakieś wrzaski i płacze, gdyż często dochodziło tam do drobnych starć i bójek. A podłoga balkonu była już w tym czasie w opłakanym stanie, częściowo zmurszała, z licznymi dziurami, które chałupniczo łątał dozorca, więc strach było po nim chodzić, a co dopiero czynić tam gonitwy i harce. Na podwórku łobuzowali z nimi bracia D.: Bogdan i „Bolik.

Ja osobiście okrutnie bałem się chodzenia po tym balkonie, gdyż w tym czasie miałem lęk wysokości i w związku z tym nie mogłem uczestniczyć w odbywających się tam podchodach, a jedynie przyglądać się im z daleka. Przejście balkonem do „starej W.”, która mieszkała na jego krańcu, dla której mama czasami coś przeparała, najczęściej pościel, było dla mnie prawdziwą katorgą i wywoływało we mnie uczucie mdłości. Ten lęk wysokości, rodem z dzieciństwa, pozostał mi na długo i dopiero późniejsze penetrowanie Tatr całkowicie pozbawiło mnie tej przypadłości.

Po wyprowadzce Huków w lokalu tym zamieszkali P.: on jakiś dystyngowany, wykształcony człowiek, a ona pielęgniarka z Instytutu Onkologii na Garncarskiej. Mieli dwójkę synów: starszego, którego imienia już nie pamiętam, bo chyba niebawem się wyprowadził i młodszego Krzysztofa (ur. gdzieś w 1943 roku), wtedy młodego i wysportowanego chłopaka, świetnego pływaka, który dziś jest profesorem prawa na UJ. W tym czasie często był widywany w towarzystwie Magdaleny (?) Rumian, uroczej pływaczki Wisły. Maria P. była przystępną kobietą, a mama też coś tam dla niej przepierała, za co od czasu do czasu pozwalała nam, oczywiście obowiązkowo w pantoflach na nogach, oglądać w telewizji Robin Hooda. Telewizory były w tym czasie wyjątkowym rarytasem i w kamienicy odbiornik telewizyjny miała jeszcze rodzina Rz., ale ta wyłącznie na własny użytek.

Jak nie było w domu P., Robin Hooda, Wilhelma Tella, czy Zorro chodziło się oglądać do kawiarni Domu Literatów na ulicę Krupniczą 22, gdzie jej obsługa zawsze patrzyła na nas, urwisów łaskawym okiem. Chodziła tam cała wataha chłopaków z „szóstki”, szkoły podstawowej z ulicy Szujskiego 2, urzędujących i kopiących w piłkę na Placu Hanki Sawickiej. Potem, od 1964 roku, gdy i my mieliśmy telewizor, całe to towarzystwo regularnie odwiedzało nasze, skromne mieszkanie, zasiadając przed telewizorem na całej podłodze, bo krzesel nie starczało dla wszystkich.

Wspólny przedpokój z P. dzieliła rodzina „starej” W. i jej córki Zdzisławy Rz., choć ci ostatni korzystali z tego przejścia wyjątkowo rzadko. Z uwagi na podane poniżej szczegóły rodzinne, moim zdaniem ciekawe dla zobrazowania przekroju społecznego tej kamienicy, nie podam tych nazwisk. Ich mieszkanie znajdowało się na krańcu I piętra i sąsiadowało z murem gmachu WRZZ. Składało się z dwóch pokoi: od frontu (z dwoma oknami) i od podwórza (z jednym oknem) oraz z kuchni z przeszklonym wyjściem na ganek. Z tego też wejścia korzystali członkowie tej rodziny, gdyż wokół babci Marii W. ogniskowało się całe życie rodzinne. U „Babci” W. wszyscy obowiązkowo zjawiali się w porze obiadowej, bo była to rezolutna, pełna ikry i wigoru kobieta, a przy tym zaradna i świetna kucharka. Mimo, że miała problemy z chodzeniem, co zapewne było pokłosiem jej długiego pobytu w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu, który miał mieć związek z jej działalnością w podziemiu, zwykle sama czyniła zaopatrzenie dla domu i nieraz spotykała się w kolejkach z moją mamą, opowiadając jej o swojej rodzinie. A ponieważ jej członkowie chodzili do mieszkania przez podwórze, koło naszego okna, a potem po schodach w oficynie i przez balkon, znaleźliśmy ich wszyskch znakomicie. Kulisy jej aresztowania i wysyłki do Obozu w Oświęcimiu, były owiane tajemnicą, ale krążyły w obiegu zasmucające przecieki, które obciążały za to pewną rodzinę z tej kamienicy, czego jednak z braku konkretnych dowodów tego nie powtórzę.

W. i ich dzieci tworzyli niezwykle rozbudowaną rodzinę, której większość los obdarował niezwykle skomplikowanymi życiorysami. „Stara” W., potężna i otyła kobieta, wtedy, na początku lat sześćdziesiątych, może z siedemdziesięcioletnia już staruszka, była rozwiedziona ze swoim mężem Karolem, szewcem z zawodu, którego zwaliśmy „starym W.”, co jednak nie przeszkadzało im w utrzymywaniu bliskich stosunków towarzyskich, wszak i on regularnie bywał tutaj na obiedzie, mimo że miał drugą żonę. Był to uprzejmy i miły starszy pan i wierzyć się nie chciało, że mógł on szukać szczęścia u innej kobiety, no chyba, że ta pierwsza była nazbyt wrzaskliwa, czym kiedyś mogła mu dobrze zależeć za skórę.

Mieli trójkę dzieci, dwie córki: starszą Krystynę, młodszą, wspomnianą już Zdzisławę, zwaną tutaj Zdzichą lub Dziką oraz najmłodszego syna Edwarda, nazywanego Edkiem. Tercet ten dokładnie utkwiał mi w pamięci z racji niemal codziennego go widywania. Trzeba przyznać, że stosunki pomiędzy rodzeństwem były bardzo poprawne i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek dochodziło do jakichś scysji, w czym zapewne ogromna była zasługa „Babci W.”, osoby potrafiącej stworzyć atmosferę ciepła rodzinnego.

Najstarsza córka Krystyna, po mężu Ł., kobieta przed pięćdziesiątką, była rozwiedziona ze swoim mężem, co też nie przeszkadzało mu często bywać u swojej byłej teściowej. Mieli dwoje dzieci: syna Marka, gdzieś w wieku mego brata i córkę Monikę, zwaną przez nich „Mona”, ze trzy lata ode mnie młodszą, ale obydwójce mieli jakiś feler. Marek był na pierwszy rzut oka normalnym, bystrym chłopakiem, ale nie dosłyszał i w związku z tym źle mówił, zaś Monika była jakaś nadmiernie otyła i nie do końca prawidłowo rozwinięta. Miała problemy z mową i przez długi czas w ogóle nie chciała mówić. „Stary” Ł. był dystyngowanym człowiekiem i nie za bardzo pozwalał swoim dzieciom spoufalać się z podwórkowym „pospólstwem”, więc jego dzieci, które bywały u babci bardzo często, zwłaszcza Mona, która się tu wychowywała, tęsknym okiem spoglądały z balkonu na wesołą, podwórkową ferajnę. Miał niewiele włosów na głowie, można by rzec, jak kot napłakał, ale ich resztki komicznie zaczesywał sobie na łysinę, gdzieś aż spod ucha. Rodzinę tą, przez swoistą transkrypcję ich nazwiska, nazywaliśmy „Łapiduchami”.

„Dzidka”, młodszą córką W., która zarządzała mieszkaniem i martwiła się o rodzinne finanse, miała dwie córki: starszą Hankę, moją rówieśniczkę i młodszą o dwa lata Zośkę, siostrę przyrodną, ale ta około 40-letnia kobieta w latach 60-tych też była już rozwódką i kobietą po licznych „przejściach”, o których nie warto tu wspominać, by nie tworzyć niepotrzebnego magła. Jej towarzyszem życia był starszy już amant (Rafał G.), z pewnością już po sześćdziesiątce, który też regularnie tutaj bywał, pewnie nie tylko na obiadach. Był to dobrze sytuowany człowiek, prezes jakiejś Spółdzielni z branży przetwórstwa mięsnego, w której i jego oblubienica pracowała jako sekretarka i to on zapewne był rodzinnym „sponsorem”, a także głównym zaopatrzeniowcem w mięsne specyfiki. Obie córki „Dzidki” żyły z dala od podwórkowej ferajny. Hanka szybko znalazła sobie męża, może jeszcze w liceum i po rychłym zajściu w ciążę przeniósł się do niego, Zośka zaś, kobieta potężnej postury, zupełnie niepodobna do swojej siostry, pozostała kobietą niezamężną.

Najmłodsze dziecko, syn Edek, inżynier, wtedy przed czterdziestką, defilował w tym czasie ze swoją młodszą o kilka lat drugą żoną Bożeną. Ale u byłej teściowej, na owych rodzinnych obiadach bywała też jego pierwsza żona, zwana tu Jadźką, bardzo przyzwoita kobieta i nawet „całkiem sobie wyglądająca”, która, jak nam się zawsze wydawało, w niczym nie ustępowała tej drugiej. O dziwo sam Edek, zawsze przycięty na „języka”, nie miał urody amanta. Z pierwszego małżeństwa urodziła mu się córka Dorota, kilka lat ode mnie starsza, bardzo zgrabna, wysportowana i wesoła dziewczyna, która niemal zadomowiła się u swojej babki. Trzeba dodać, że stosunki „Jadźki” i jej „zmienniczki” Bożeny też były więcej niż poprawne. Używam tu potocznych imion, bo takie regularnie padały z ust „starej” W., gdy ta rozmawiała z moją mamą.



Fot. nr 50a. Słynny Mikrus, który w latach 60. miał się stać samochodem „dla mas”.
Fot. ze zbiorów Muzeum inżynierii Miejskiej.

Pod koniec lat 60-tych nieco podstarzałem już Edkowi przytrafiło się w końcu długo wyczekiwane drugie dziecko, chyba syn, tym razem z drugą żoną i w rodzinie zapanowała wielka radość. Pani Jadzia, osoba nad wyraz pogodna, nieraz zatrzymywała się przy naszym mieszkaniu, bo mama czasami coś jej przeparała i rozmawiała z moją matką o swoim niełatwym życiu. Cóż miała począć; pogodziła się ze swoim losem, głównie z uwagi na dziecko, ale nie przyszło jej to łatwo. Egzotyki postaci Edka dodawał fakt, że był on właścicielem „Mikrusa”, cudownego dziecka polskiej motoryzacji, pokracznego samochodu, poprzednika „malucha”, który oprócz charakterystycznego hałasu o wysokich tonach wytwarzał również duże ilości specyficznego smrodu, wszak konsumował tzw. benzynę zieloną, podobnie jak Syrena i wszystkie NRD-owskie pyrkawki: IFY, P-70, czy Wartburgi. Miał to być samochód dla mas, formalnie przynajmniej czteroosobowy, który, o ile dobrze pamiętam, kosztował 27.000, a potem może 32.000 zł, ale okazał się kuriozalnym prototypem i totalnym niewypałem. Pamiętam, że pojazd ten miał lekko skrzywione na bok koła, które prostowały się po jego obciążeniu pasażerami, a tych, teoretycznie przynajmniej, bo w praktyce było to trudne, mogła wsiąść czwórka. O ile mnie pamięć nie myli wchodziło się o niego od przodu, po odchyleniu w górę wahlowej klapy.

Inną, ale za to jakże charakterystyczną „postacią” tej rodziny był niewielki, czarny kundelek o imieniu Czarus, z zawsze załzawionymi oczętami, gdyż w młodości przeszedł on nosówkę. Był wartownikiem balkonowym i nikt z obcych nie miał szans przemknąć niezauważony do kuchni. Obecność intruza sygnalizował śmiesznym, ale dolegliwym szczekaniem.

W mieszkaniu Marii W. i jej córki Zdzisławy Rz., gdzieś do początku lat 60-tych znajdował się chyba jedyny w kamienicy telefon. Potem, po przeprowadzce Huków, mieli go też ich sąsiedzi, państwo Pałeccy. Cóż to był za rarytas w tych czasach, o jakim przeciętnemu człowiekowi nie śmiało się nawet marzyć. I pomyśleć, że ten narastający z upływem czasu problem z telefonami został rozładowany w Krakowie dopiero w połowie lat 90-tych.

„Stara” W., która prowadziła dom otwarty nie mogła sobie sama dać rady z utrzymaniem porządku w tym zbyt dużym mieszkaniu, tym bardziej, że sama ciężko chodziła na nogach i nawet podpierała się laską, a nie za bardzo garnęła się też do tego jej wiecznie zapracowana córka Dżidka, więc raz czy dwa razy w tygodniu korzystała ona z pomocy kobiety spod Liszek, zwanej przez całą rodzinę Kaśką. Miała ona ze trzydzieści pięć i była mrukowatą osobą, podejrzliwie i spod nosa spoglądającą na każdego z mieszkańców kamienicy. Kaśka miała oryginalną urodę: była kruczoczarną, choć leciutko już posiwiąłą kobietą i ubierała się bardzo oryginalnie na wzór kobiet z podkrakowskich wiosek. Była chyba zgrabną kobietą, ale swoje ciało skutecznie ukrywała pod „tonami” maneli, jakie na sobie nosiła, ponadto twarz często osłaniała chustą. Dla tej wielkiej rodziny drobne usługi pralnicze świadczyła też moja mama. Nie barwna była to rodzina?

Na pierwszym piętrze kamienicy, po prawej jej stronie (patrząc od strony ulicy), znajdowało się drugie duże mieszkanie o trzech oknach, które należało do rodziny G.. Główne drzwi wejściowe, podobnie jak w mieszkaniu D., prowadziły z frontowej klatki schodowej, a za nimi znajdował się duży przedpokój z parą drzwi wewnętrznych. W prawo wchodziło się do dużego reprezentacyjnego, choć przejściowego pokoju frontowego, a stąd do przyległego do niego mniejszego pokoiku z jednym oknem, w lewo zaś do części przyległej do oficyny i podwórka. Tu mieścił się duży, przejściowy pokój z jednym wielkim, ale ciemnym oknem, które wychodziło na ganek i podwórze, a następnie prowadzący do kuchni ciemny, wąski korytarzyk. W kuchni znajdowały się mocno już wypaczone drzwi, otwierane na balkon, częściowo zaszklone i zespolone z oknem. Z ciemnego korytarza prowadziły drzwi do łazienki i chyba do ubikacji, z maleńkim okienkiem wychodzącym na podwórze, wewnątrz której znajdował się piecyk opalany węglem, służący do podgrzewania wody.

Ten jeden mały, frontowy pokój, bez drzwi wejściowych na zewnątrz klatki schodowej, zajmowali Książkowie. Był on wynajmowany od rodziny G. co najmniej przez kilka lat, do czasu ich przeprowadzki na Olszę, co miało miejsce na wiosną 1963 roku. Książkowie byli zaprzyjaźnioną z nami rodziną, bo tak się złożyło, że razem z Piotrkim, starszym ich dzieckiem, chodziłem do tej samej klasy w Szkole Podstawowej nr 6 na ulicę Szujskiego 2. Ciekawe i niespotykane, ale przykładne było to małżeństwo, które doczekało się dwójki dzieci: wspomnianego powyżej Piotrka oraz młodszej o trzy lata córki Bogusławy, zwanej przez nich Bobą.

Dojście do ich pokoiku, bez jakichkolwiek wygod, prowadziło ze wspomnianego wyżej przedpokoju wejściowego, a dalej przez pokój frontowy G., który był wtedy pracownią krawiecką. Tutaj klienci Ireny G., wtedy już wdowy po znanym piłkarzu Cracovii Władysławie G., który w 1954 roku zmarł nagle w tajemniczych okolicznościach, często przymierzali swoje nowe stroje, stąd zawsze patrzyła ona niechętnym okiem, jak na intruzów, na wszelkich gości swoich sublokatorów, którzy z konieczności musieli przechodzić przez pracownię.

Ignacy Książek (wg Kopciowej pan „Książka”) i Irena G., z tego co pamiętam pochodzili z tej samej wsi: Tłuczani (Tłuczań Górna czy Dolna) koło Wadowic i chyba byli nawet kuzynami. Dodatkowo Książek był wieloletnim działaczem Cracovii, w której kiedyś grał jej mąż i te okoliczności miały zapewne wpływ na przygarnięcie tej rodziny, początkowo bez szybkich widoków na mieszkanie, przynajmniej na kilka lat. Trzeba wspomnieć, że to ponoć za sprawą pana Ignacego Władysław poznał Irenę, swoją przyszłą żonę.

Jak wspomniałem było to niezwykle małżeństwo: on (Ignacy) niski mężczyzna, wtedy już bliski sześćdziesiątki, ponad dwadzieścia lat starszy od żony, z zawodu krawiec, zapalony działacz piłkarski, stale nieobecny w domu, ona (Zofia) szczupła i wyższa od męża o pół głowy, wiecznie zapracowana przy maszynie do szycia, gdyż chałupniczo pracowała dla Spółdzielni im. Dąbrowskiego, gdzie szyła na akord jakieś rękawice czy koszule.

Jak jednak pokazał czas ich pożycie było przykładne, w czym duża była zasługa pani Zofii, przedobrej i niezwykle wyrozumiałej kobiety, choć i panu Ignacemu też nic nie można było zarzucić, może poza przesadnym i bezgranicznym oddaniem się obowiązkom kierownika juniorów Cracovii, co odbywało się oczywiście kosztem rodziny. Pan Ignacy był wiecznie nieobecny w domu, a zwykle wpadał do niego dopiero po godzinie 19-tej.

Znaliśmy się i traktowali niemal jak członkowie rodziny. Z racji uczęszczania z Piotrkim do tej samej klasy moja mama zaprzyjaźniła się z jego matką, a my często, zwłaszcza w zimie, chodziliśmy się tam bawić i przesiadywaliśmy w tej ciasnocie całymi wieczorami.



Fot. nr 51. Rodzina Książków: Zofia i Ignacy oraz Piotrek i Boguśka („Boba”).
Maj 1962 rok.

To dzięki tej znajomości spędziliśmy razem cudowne wakacje w Dobrej 1962 roku, stąd bowiem pochodziła pani Zofia i tutaj w skromnej chałupce mieszkała jej matka: „stara Rapaczowa”, której imienia już nie pamiętam. Potem, w zimie tego roku, pan Ignacy zabierał nas z bratem do hali Sokoła na piłkarskie rozgrywki trampkarzy, gdzie mogliśmy się wyszaleć do woli. Tam, pośród dużo starszej młodzieży, błysnąłem formą jako świetnie zapowiadający się bramkarz, na dowód czego tuż po zakończeniu turnieju wyróżniono mnie efektowną nagrodą książkową, o ile pamiętam o generale Mariuszu Zaruskim. Próbowałem ją czytać, ale jakoś mnie nie porywała; w tym po prostu była dla mnie za trudna.

Jeszcze pod koniec zimy, na początku 1963 roku, oficjalnie zostałem trampkarzem „Pasów” i otrzymałem w sekretariacie, który mieścił się na parterze Sokoła, klubową legitymację, z czego byłem bardzo dumny. Z tym „dokumentem” można było wchodzić za darmo na mecze drużyny rezerwowej, czyli Cracovii IB, grającej w lidze okręgowej. Oczywiście z takiej możliwości skorzystałem przy pierwszej, wiosennej okazji, gdy rezerwowa drużyna „Pasów”, z ulubionym przez nas Leszkiem Rapaczem na lewej obronie, wygrała z Płaszowianką aż 7:1, a my siedzieliśmy wygodnie na krytej jeszcze, drewnianej trybunie, co było powodem do dodatkowej dumy. Tak wygodnie siedziałem tutaj chyba jedyny raz w życiu, bo meczach ligowych zawsze panował tu tłok, a ponadto dorośli przysłaniali widok na boisko. Na mecze ligi okręgowej przychodziło w tym czasie niemało kibiców i na takie imprezy sprzedawano nawet tanie bilety.

Tak dobrze zapowiadającą się „karierę” piłkarską przerwała jednak przeprowadzka Książków na Olszę i wówczas nikt już nie zabierał mnie ze sobą na treningi, jak to było dawniej, a ja sam byłem zbyt nieśmiały, by chodzić na boisko przy stadionie lekkoatletycznym, gdzie trenowali w większości nieznani mi trampkarze, mając za bazę szatniarską pomieszczenia pod schodkową trybuną. Pierwsza drużyna, zawsze odnosząca duże sukcesy, przez dziesięciolecia trenowała pod okiem słynnego mgr Kazimierza Lalika. Chęć do gry pośród maluchów była tak wielka, że istniało z pięć drużyn trampkarskich i na ich szkolenie nikt nie skąpił pieniędzy ani trenerskich etatów. Równie długoletnim kierownikiem drużyn trampkarskich był przemyły i niezwykle oddany młodzieży Marek Mączyński. I dziwić się, że polska piłka rosła w siłę, wszak przy takich ludziach sport musiał kształtować właściwe postawy. Porównanie do dzisiejszych czasów, o ileż zamożniejszych, jest nazbyt ponure.

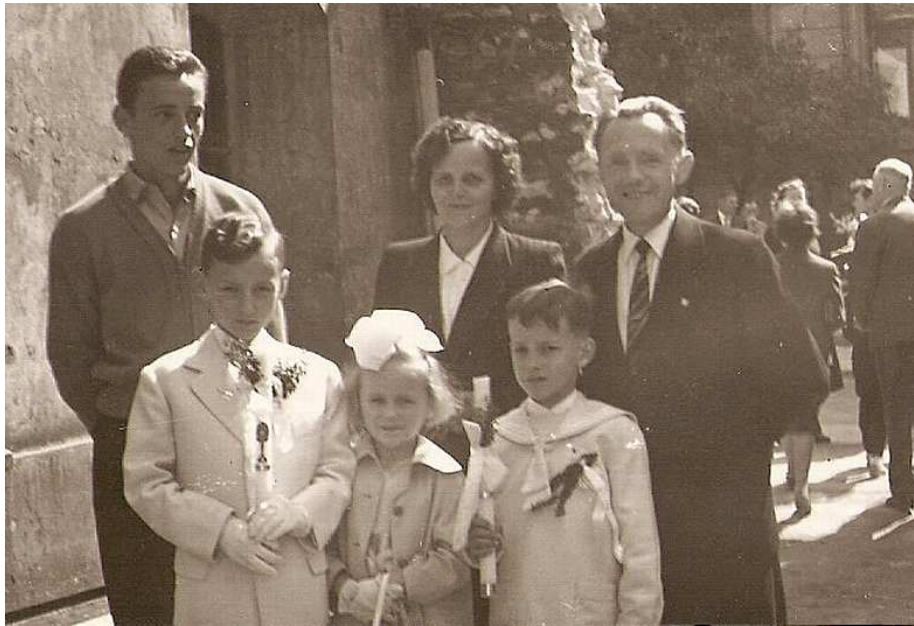
Leszek Rapacz, przesympatyczny, młodszy brat Pani Zofii, nie zrobił kariery piłkarskiej, choć był naprawdę dobrym obrońcą, ale konkurencja w klubie była wtedy zbyt duża i po skończeniu studiów na AWF przez wiele lat był w klubie trenerem juniorów u boku swego starszego o 35 lat szwagra Ignacego Książka, legendy tego klubu, działacza o 70-cioletnim stażu, który dożył prawie „setki”. Zawsze potem rozpoznawał mnie i moją mamę, a okazja do przypomnienia się nadarzyła się już niedługo, gdy i ja przez krótki okres trenowałem w juniorach „Pasiaków” i zawsze mogłem liczyć na jego wsparcie.

Nasza tak dobrze rozwijająca się znajomość z Książkami, również naszych rodziców, zaczęła niestety wygasać, gdy, jak już wyżej wspomniałem, na wiosnę 1963 roku Książkowie dostali wreszcie długo wyczekiwane mieszkanie i przenieśli się na osiedle Olsza II, by po paru latach całkowicie zaniknąć, choć jeszcze parę razy ich tam odwiedziliśmy. A szkoda, bo jako maluchy obiecywaliśmy sobie z Boba „dozgonną miłość” i rychłe małżeństwo, ku wielkiej wesołości naszych mam, a tak nic z tego nie wyszło, co oczywiście wspominam z przymrużeniem oka, z dziecięcej perspektywy.

Tak więc ich męczarnia w tej prowizorce na Czystej nie trwała na szczęście zbyt długo, choć dla nich musiały to być wieki. W tym pokoiku szczególnie dokuczliwa była kwestia załatwiania potrzeb fizjologicznych, bo sublokatorzy nie chcieli drażnić właścicielki nazbyt częstym przechodzeniem przez jej pracownię krawiecką, a ustęp, z którego korzystali, znajdował się na podwórku, gdzie „gościny” udzielali im Wojakowscy. W tym przypadku nieocenioną rolę musiało odgrywać zwykłe wiaderko, przedmiot jakże niedoskonały i na wiele sposobów uciążliwy. Aby się dostać do mieszkania Książków trzeba było od strony klatki schodowej mocno pukać kluczem w zewnętrzną ścianę ich pokoju i wówczas ktoś przychodził do drzwi wejściowych, otwierał je i przeprowadzał szybko do ich pokoiku, lecz z czasem na ścianie klatki schodowej od tego częstego pukania porobiło się pełno dziur. W tym czasie, czasie gigantycznych niedoborów mieszkaniowych i zastoju w powojennym budownictwie, w tak kuriozalnych warunkach mieszkali nie tylko Książkowie.

Tylko znajomość naszych mam przetrwała próbę czasu. Pani Zofia Książkowa mimo młodego wieku była osobą schorowaną i zmarła stosunkowo wcześnie, a mama jeszcze pod koniec 70-tych odwiedzała ją w szpitalu onkologicznym na ulicy Garncarskiej. Prawdopodobnie niedługo potem zmarła.

Pana Ignacego czasem widywałem jeszcze pod koniec XX wieku na ulicy Wrocławskiej, gdy pracowałem tam w OBRGSCchem; jak na swój wiek trzymał się jeszcze bardzo dobrze.



Fot. nr 52. Moja I Komunia, maj 1962. Zdjęcie przy murze kościoła Kapucynów.

Od lewej stoją: Leszek Rapacz - wujek Piotrka, piłkarz rezerw Cracovii, a potem trener zespołów juniorskich, moja Mama i Ignacy Książek, zaś z dołu: Piotrek Książek, Boba i ja. Pan Ignacy był tak uprzejmy, że zaprosił nas do wspólnych fotografii. A w lecie tego roku spędziliśmy wspólnie cudowne wakacje w Dobrej koło Limanowej, skąd pochodzili: Leszek Rapacz i Zofia, żona Pana Ignaca.

W 2003 roku, będąc na przyjęciu u Eli Jagłowej, koleżanki ze szkoły średniej, byłej żony Marka Jagły, przypadkowo spotkałem Czesława Rajtara, jej wujka, powojennego piłkarza Cracovii, który znał pana Ignaca i odwiedzał go w jego domu z ramienia rady seniorów Cracovii. Jeszcze wtedy, mimo swoich 97 lat, był on ponoć ciągle sprawny umysłowo, choć już nieco upośledzony ruchowo. Ostatnio dowiedziałem się z tego samego źródła, że Ignacy Książek zmarł w 2005 roku, mając 99 lat. Jak usłyszałem od niego, pod koniec życia mieszkał u córki „Boby” – Bogusławy, na ulicy Bożego Ciała. Boba, która dorobiła się dwójki dzieci, została nauczycielką i w tym czasie była dyrektorką jakiejś szkoły. Jej ojciec był bodaj ostatnią, żywą encyklopedią krakowskiego footballu, wszak działaczem sportowym był już w czasach przedwojennych. Można tylko żałować, że nie spisano jego wiedzy o tych czasach. Po rodzinie tej pozostało w naszym domu szczególnie miłe wspomnienie.

Pożegnanie Ignacego Książka



Fot. Waclaw Klag

Na cmentarzu Batowickim w Krakowie odbył się pogrzeb Ignacego Książka, nestora krakowskiego piłkarstwa. Zmarł w wieku 99 lat. Prawie całe swoje długie życie poświęcił swemu ukochanemu klubowi - Cracovii, dla której pracował jako działacz i trener. Wyszukiwał piłkarskie talenty i budował wielkość „pasiaków”. Ceremonię pogrzebową prowadził kapelan Cracovii, ks. Henryk Surma. Ignacego Książka żegnało kilka pokoleń piłkarskich z Krakowa. (O)

Fot. nr 52a. Notka bodaj z Dziennika Polskiego przesłana mi przez brata.

Z G. też łączyły nas wyjątkowo bliskie stosunki, gdyż młodzi G.: Krzysiek (ur. w 1947 roku), a zwłaszcza Jacek (ur. w roku 1950) byli naszymi bliskimi kolegami z podwórka i nieraz, w czasach dzieciństwa i młodości, spędzaliśmy wspólnie przemiłe chwile, z wakacjami włącznie. Myślę, że ich potomkowie, których nie znam, po zakodowaniu nazwiska nie będą wnosić pretensji wobec faktu, że piszę o nich tak wiele i szczerze, może też i dlatego, że była to nietuzinkowa rodzina, a ponadto ich problemy zawsze były i naszymi zmartwieniami, wszak żyliśmy zawsze bardzo blisko siebie.

Krzysiek, chłopak o wzroście około 180 cm, był piłkarzem Cracovii, grywał w pewnym okresie na lewym skrzydle w pierwszym zespole juniorów, więc musiał prezentować spore umiejętności. Mogłem się o tym sam przekonać, bo nieraz razem kopaliśmy w piłkę, zwłaszcza w czasie wspólnie spędzanych wakacji w Trzcianie koło Żegociny, co miało miejsce w 1966 roku, gdzie solidnie mnie przeciwiczył jako dobrze zapowiadającego się bramkarza. On lubił, gdy do niego przychodziłem na górę, gdzie często przesiadywał na balkonie, bo wtedy, mnie malcowi, opowiadał różne niestworzone historie. Lubiał się chwalić i opowiadać różne „kity”, wszak dziecko wszystko przyjmowało to za dobrą monetę. Żył w glorii sławy swego ojca, ale talentu mu nie starczyło, a może tylko pracowitości i wytrwałości, choć bardzo chciał mu dorównać, ale on po prostu był tylko dobry i wobec tego wyjątkowo źle znosił uszczypliwe porównania z ojcem, jakich czasami doświadczał od starych kibiców Cracovii.

Jego ojciec wszak, Władysław G., był po wojnie znakomitym piłkarzem Cracovii. Ten mierzący 185 cm wzrostu, prawy obrońca rozegrał w drużynie „Pasów” 315 meczów, będąc 20-krotnym reprezentantem Polski, olimpijczykiem z Helsinek i członkiem zespołu europejskich gwiazd z 1952 roku. Był prototypem ofensywnego obrońcy, ponadto dysponował silnym strzałem i dla swego klubu zdobył 19 bramek. Ten z zawodu kierowca, prawdopodobnie pochodzący z Rakowic, został ściągnięty do „Pasów” w okresie okupacji, kiedy grywał w Krowodrzy, ponoć za sprawą Ignacego Książka, który był szybszy i konkretniejszy niż konkurencyjni Wiślacy.

Gdy moi rodzice zamieszkali na Czystej 8 zaprzyjaźnił się z moim ojcem, który był jego sąsiadem i wiernym kibicem, więc razem chodzili na mecze, a potem nawet razem wracali do domu. Jednak w lutym 1954 roku, będąc u szczytu sławy, zmarł nagle w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, po jakiejś rodzinnej sprzeczce. Oczywiście znam prawdopodobny przebieg tego zdarzenia, ale nie chcę na siłę odkrywać pieczołowicie skrywanej, rodzinnej tajemnicy, która prawdę mówiąc jest w Krakowie powszechnie znana. Moja matka doskonale zapamiętała ten moment, obwieszczony przeraźliwym krzykiem jego żony Ireny. Niewiele wcześniej coś musiało go całkowicie wyprowadzić z równowagi, że koniec był tak szybki i tragiczny.



Fot. nr 53. Władysław G., może jeszcze jako piłkarz Clepardii – zdjęcie z czasów okupacji (fragment wycinka prasowego).

Wg Czesława Rajtara, jego kolegi z drużyny, zdarzenie to miało miejsce 28.02.1954 roku, wnet po towarzyskim meczu z Garbarnią. Wcześniej nic nie wskazywało na tak niezwyklej koniec, wszak po spotkaniu tym wracał do domu w dobrym nastroju, razem z moim ojcem. Tydzień wcześniej pan Czesław też nie widział nic nienormalnego w jego zachowaniu, a dzielił z nim pokój na zgrupowaniu reprezentacji Polski w Jugosławii. Odszedł z tego świata u szczytu sportowej sławy, niedługo po powołaniu go do reprezentacji Europy, zespołu gwiazd naszego kontynentu. W Krakowie cieszył się wielką popularnością i jego śmierć była dla kibiców, także sąsiadów z kamienicy, prawdziwym szokiem.

W ogóle nad tą rodziną ciążyło jakieś fatum. Krzysiek, jego starszy syn, nie mogąc dorównać ojcu popadał w coraz to większe problemy, porzucił piłkę i niespodziewanie skończył życie w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat, też w „nie do końca znanych mi okolicznościach”, o których nie chcę pisać, by uszanować wolę jego rodziny, w końcu naszych długoletnich i jakże serdecznych przyjaciół.



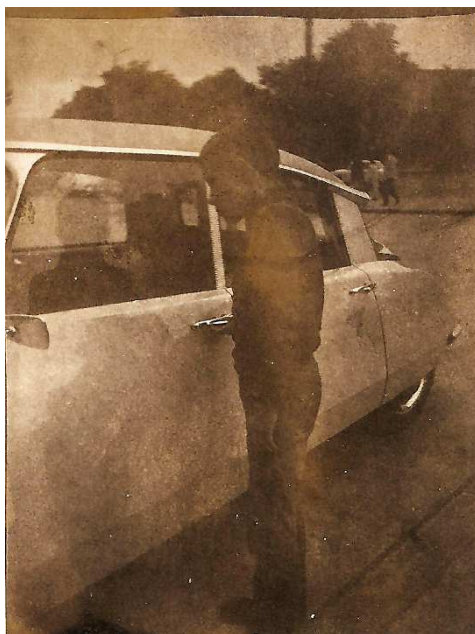
Fot. nr 54. Ślub Krzyśka G. i Beaty w kościele św. Piotra i Pawła. (1968)

Po skończeniu Technikum Poligraficznego porzucił piłkę i pracował tylko jako zecer, a to rodziło w nim tylko dodatkowe kompleksy niższości, bo przesadnej ambicji nigdy mu nie brakowało. Może czarę goryczy dopełniło jego „pośpieszne” małżeństwo, raczej nie końca dograne, zapewne z jego winy. Pozostawił żonę Beatę z małym dzieckiem - córką Barbarą. Był to dla mnie prawdziwy szok, wszak odszedł przecież bliski kolega i lubiany przez lata sąsiad, a w pewnym czasie niemal mój sportowy idol.

Jeszcze bliższe stosunki koleżeńskie łączyły mnie z Jackiem. Jak wspomina mój brat, czego ja już nie za bardzo pamiętam, szczylił się on wspaniałymi zabawkami, które przywiózł mu ojciec jeszcze z Olimpiady w Helsinkach. On w przeciwieństwie do swego starszego brata był totalnym antytalentem sportowym. Nie chciał się uczyć, miał problemy ze skończeniem podstawówki, a później może skończył tylko jakąś zawodówkę, bo przeskakiwał ze szkoły do szkoły z powodu kiepskich wyników w nauce. Ale był to chłopak nad wyraz inteligentny, posiadający ciekawe zainteresowania, jak: akwarystyka, fotografika czy filatelistyka. Grywał też z nami w „cymbergaja”, ale tu szło mu kiepsko. To on z reguły na krótko zarażał mnie swoimi pasjami, ale wyjątek stanowiła fotografika, którą zaraził mnie na dłużej. W tej dziedzinie był na prawdę mocny, choćby z racji uczęszczania na zajęcia do Domu Kultury przy Parku Jordana, a ponadto posiadał on niezbędny sprzęt do wywoływania i utrwalania klisz fotograficznych, a także uzyskiwania powiększonych odbitek, czyli tzw. powiększalnik. Na czas wywoływania i utrwalania zdjęć za laboratorium służył mu mały pokoik po Książkach. Odczynniki chemiczne w woreczkach foliowych (utrwalacz i wywoływacz), papier fotograficzny (błyszczący bądź matowy) oraz podstawowy osprzęt niezbędny do wykonywania amatorskich odbitek można było kupić na stoisku fotograficznym, które do końca lat 60-tych znajdowało się w sklepie sportowym przy ulicy Szewskiej 20. Na początku lat 70-tych, gdy wyremontowany został Mały Rynek, specjalistyczny sklep fotograficzny powstał w narożnej kamienicy z ulicą Sienną, pod nr 7.

Były tam wtedy, na przenośnym wyposażeniu: koreks – pojemnik do wywoływania klisz oraz po dwa pojemniki na wywoływacz i wodę do płukania oraz na utrwalacz i wodę. W tym pokoju, stanowiącym ciemnię fotograficzną, gdzie osobiście przyrządzało się też te odczynniki chemiczne, świeciło się jedynie ciemno-czerwone światło, które nie prześwietlało ani klisz fotograficznych, ani czułego na zwykłe światło papieru fotograficznego. Między ścianami zawieszane były w sznurki na białinę, z kołkami do jej wieszania, na których przypinało się wywołane i utrwalone zdjęcia, do momentu ich wyschnięcia. Z czasem Jacek posiadał nawet powiększalnik do zdjęć i wtedy jego działalność była już niemal profesjonalna i takie wieczorne sesje fotograficzne kończyły się z reguły o drugiej w nocy. Ale początki nie były łatwe, bo gdzieś w środku lat 60-tych była to jeszcze improwizacja. Wtedy jeszcze w aparacie Druh używało się klisz o wymiarach 6X6, których odbitek nie trzeba było powiększać, bo same oryginały były wystarczająco duże. Takiego Druha, najbardziej prymitywny aparat fotograficzny tych lat, z wykręcanym śrubowo obiektywem, można było kupić za 120 zł, a film do niego posiadał bodaj dwanaście kadrów.

W mojej skromnej „kolekcji” zachowało się kilka kiepskich, ale jakże cennych zdjęć wykonanych przez Jacka: w Krakowie, a potem w trakcie wspólnych wakacji spędzonych w Bilczycach, w połowie lat 60-tych, ale część z nich niestety gdzieś przepadła, podobnie jak stare błony w formacie 6x6. Zachowało się też parę już lepszych zdjęć z niezapomnianych i ostatnich cudownych wakacji spędzonych w Bilczycach w 1968 roku, wykonanych przeze mnie, mego brata i „Grubego” nieco już lepszym aparatem o nazwie AMI, ale chyba dalej w formacie 6x6.



Fot. nr 55 (55-55a). Pierwsze zdjęcia wykonane świeżo zakupionym, w sklepie przy ulicy Szewskiej 20, aparatem marki Druh. Stoję przy „wystrzałowym” Citroenie (1965). Do zakupu tego prymitywnego, ale taniego i popularnego w tych czasach aparatu oraz robienia zdjęć zachęcił nas Jacek G..



Fot. nr 55a. Na tyłach ogrodu Kapucynów. (1965)

Te cenne dla mnie pamiątki przedstawiają: mnie, moją mamę, mego brata, „Grubego” Bruzdę - mego szkolnego kompana, który mieszkał na Alei Mickiewicza 15 i Władka Kaczmarczyka - kolegę ze wsi, na tle fragmentów wiekowej chałupy mojej babki. Reszta jakże cennych negatywów, które zostały wywołane w pracowni Jacka, niestety przepadła, bowiem prawdopodobnie pozostały one gdzieś w jego „archiwum”, a po naszej wyprowadzce z kamienicy pod nr 8 w 1970 roku nasze wzajemne stosunki szybko zamarły, więc z czasem uległy one pewnie zniszczeniu.



Fot. nr 56. Na wakacjach w Bilczycach, na „babczynym” ogrodzie. Z lewej fragment stodoły, z prawej pień szarej renety, zaś w tle las. Ten fragment ogrodu przed stodołą był przez nas regularnie wydeptywany, bo tu grywaliśmy w piłkę; za bramkę służyły jej drzwi. Zdjęcie z Druha. (1965)



Fot. nr 57 (57-60). Na wakacjach w Bilczycach (1968) jako czternastolatek. Były to moje ostatnie tak cudowne wakacje, spędzone w niezapomnianej wiejskiej scenerii. Kto wtedy przypuszczał, że ten cudowny czas, spędzany od dzieciństwa w tej wiekowej chałupie, w sąsiedztwie przekochanej Babci, tak szybko dobiegał końca.



Fot. nr 58. Na wakacjach w Bilczycach w 1968 roku. Od lewej: mój brat, ja oraz Władek Kaczmarczyk. Zdjęcie z Bilczyc (nr: 56-59) zostały wykonane już aparatem marki AMI.



Fot. nr 59. Na wakacjach w Bilczycach (1968); stoję z lewej koło rogu „babcynej” stodoły i ogródka, a obok: Władek Kaczmarczyk z Bilczyc i „Gruby”.



Fot. nr 60. W Bilczycach na wakacjach w 1968 roku. U góry od lewej: Bogdan Bruzda („Gruby”) i Władek Kaczmarczyk. Ja siedzę poniżej razem z radosną Mamą.

Co ciekawe i przykre, na tych odbitkach nie ma niestety postaci Jacka, co wydaje się nieprawdopodobnym wręcz zbiegiem okoliczności, a na dodatek w ogóle nie dysponuje żadną jego podobizną. Jedyne jego zdjęcie, wykonane na schodach przed wejściem do nowego gmachu Wysrołu gdzieś w 1965 roku, jest tak nieczytelne, że nie nadaje się do pokazania. I dopiero ostatnio mój brat udostępnił mi dwa zdjęcia Jacka gdzieś z lat 80-tych, gdzie jest też widoczny z synem z drugiego małżeństwa.



Fot. nr 61 (61-61a). Jacek G., mój „guru” z lat „szczenińczych”, ze swoim małym synkiem z drugiego małżeństwa na krakowskich Błoniach. To zapewne początek lat 80-tych.



Fot. nr 61a. Podobne zdjęcie Jacka G. z początku lat 80-tych, tym razem z Parku Jordana.

Pod wpływem mego starszego kolegi przez jakiś czas, gdzieś w latach 1967-8, posiadałem też pokaźną kolekcję pięknych znaczków pocztowych, kupowanych w sklepie filatelistycznym na końcu Placu Szczepańskiego, który potem przeniesiono na ulicę Reformacką, m.in. piękną serię: z parowymi lokomotywami, starymi samochodami, ptakami, czy dinozaurami, ale z czasem znudziła mi się ta okresowa pasja i klasery ze znaczkami podarowałem chyba „Grubemu”, choć tych klaserów z czarującymi w środku miniaturkami było chyba ze cztery. Sprzedawca z Filatelistyki, niezbyt miły jegomość, patrzył na nas, chłopaków z podstawówki, spod nosa, bo zafascynowani oglądaniem drogich egzemplarzy blokowaliśmy przeszklone ludy ze znaczkami i nie mogła się do nich przebić ważniejsza dla niego, bo bardziej kasowa klientela.

Wcześniej, pewnie na początku lat 60-tych, też zbierałem jakieś podstemplowane już znaczki, może też dostarczane przez Jacka, m.in. z podobiznami królowej Anglii i tajemniczo wtedy brzmiącym dla mnie napisem: United Kingdom, który dokładnie tak samo czytaliśmy, podobnie jak inny angielski zwrot: Made in England.

Pierwsza moja przygoda z akwarystyką miała miejsce na początku lat 60-tych, gdy z Wisły z okolicy przystani KKW 29 na Salwatorze, gdzie w okresie przedwiośnia razem z mamą regularnie zapuszczaliśmy się na wierzbowe bacie, wyłowiliśmy dwie małe rybki, wykopaliśmy trochę rzecznoego piasku i w słoiku usiłowaliśmy założyć akwarium. Był to jedynie epizod, bo krótki był żywot rzecznych rybek; w nowych dla nich warunkach nie przeżyły nawet nocy.

Później, gdzieś w 1966 roku, po otrzymaniu jakiejs stówki od ciotki Karolki na urodziny, kupiłem w sklepie akwarystycznym na ulicy Łobzowskiej całą kolekcję różnych i jakże pięknych rybek: od skalarów, przez mieczyki, danio pręgowane, neonki, po gupiki („pawie oczka”), a także ślimaki wodne, piękne roślinki akwariowe i inne niezbędne akcesoria. Wcześniej Jacek ofiarował mi akwarium i tym zasiał mój „twórczy niepokój”. Niestety do niezbyt wielkiego akwarium źle dobrano mi grzałkę i w nocy nastąpiła tragedia. Temperatura wody nazbyt wzrosła, powyżej 30 stopni i ryby posnęły, a raczej podgotowały się. Cóż to było za nieszczęście, bo do dzisiaj pamiętam moją rozpacz i płacz po porannym odkryciu tej katastrofy. A akwarium, które wyglądało naprawdę pięknie i którym przez ten jedyny wieczór autentycznie się delectowałem, musiało pójść w odstawkę, głównie z uwagi na brak funduszy. Później jeszcze raz Jacek zachęcił mnie do hodowli rybek raz jeszcze, gdzieś w 1971 roku, gdy mieszkałem już na Czystej 21, kiedy zawołał mnie do siebie z ulicy przez okno (byłem wtedy u niego chyba ostatni raz w życiu) i uszczęśliwił mnie swoim akwarium, do którego obsługi stracił już chyba serce. U mnie funkcjonowało ze dwa lata, gdy z kolei z braku zainteresowania z mojej strony i braku należytej wiedzy (zbyt mocne oświetlenie) i opieki pozarastało zielskiem, a ryby systematycznie snęły.

Kto dziś pamięta grę w „cymbergaja”, pasjonujące zajęcie mego dzieciństwa. Gra naśladowała piłkę nożną: w graczy przeobrażały się duże guziki, zaś piłką był mały guziczek, np. od rękawa koszuli. Grało się najczęściej na podłodze lub na dużym stole, gdzie grzebieniem bądź palcem uderzało się w duży guzik, który odbijał ten mniejszy, zastępujący piłeczkę, a ruchy wykonywało się na przemian. Gdy guzik nie trafiał w piłkę, lecz w przeciwnika był faul i rzut wolny. Bramki wykonywało się z drutu, do którego doszywało się skrawki gazy bądź maminej pończochy i te stanowiły siatkę bramki piłkarskiej. Na przeciw siebie stawało po 11 guzików, a każdy z nich miał na grzbiecie wypisane nazwisko piłkarza, którego miał imitować. Okresowo mama była pozbawiana wszystkich jej zapasów, bo były one podkradane z jej skrzynki na akcesoria krawieckie. Kiedyś skrzynka ta była pięknie zdobiona misternie przybitymi, połączanymi, metalowymi obwódkami, ale my jako dzieci systematycznie je wydłubywaliśmy, a ona chcąc mieć od nas bodaj chwilę spokoju nie zabraniała tego niszczycielskiego procederu. Na grzbietach guzików najczęściej były powypisywane nazwiska zawodników klubów angielskich, tych wypatrzonych w telewizji bądź zasłyszanych w radio. Jakże dźwięcznie i dziwacznie brzmiały w uszach dziecka nazwy takich klubów, jak: West Ham, Fulham, Totenham, (kojarzące mi się jednoznacznie z chamem), West Bromwich, Chelsea, Manchester City czy United lub Arsenal, czy Everton, regularnie wymieniane podczas odczytywania wyników totalizatora piłkarskiego w pierwszym programie Polskiego Radia. Wydawało mi się wtedy, że muszą w nich grać wręcz półbogowie, ludzie wyniośli i niedostępni dla przeciętnego kibica, bo tak boską grą wydawał się wtedy dla mnie football.



Fot. nr 62. Mój brat z „Grubym” (ok. 1968).
Zdjęcie wykonane przez automat z ulicy Wiślniej.

Między mną, a bratem zawsze była walka o pozyskanie jak największych guzików, bo te dawały większą szansę na wygraną. Jakież był raj, gdy mama od czasu do czasu kładła na sękatą podłogę dywaniki ze tworzywa sztucznego, niezbyt żywotne, ale za to idealnie pasujące na „murawę” cymbergajowego boiska. Kiedy podłoga była zajęta bądź nieużyteczna do gry, grało się na dużym stole do prasowania, w znacznie mniejszych składach, np. po cztery guziki. A ile przy tej grze było mnóstwo emocji i zacięcia, bo grało się całymi godzinami, zwłaszcza w zimie i, jak to zwykle bywało, nieraz dochodziło między nami do ostrych spięć, w których, jak zawsze, ja musiałem ustąpić, bo brat miał przewagę fizyczną i w takich sytuacjach skrupulatnie ją wykorzystywał, a sędziego nie było. Wolałem zatem grywać z kim innym, np. z Jackiem bądź z „Grubym”, którzy byli łatwiejsi do ogrania, a ponadto umieli przegrywać, czego mój brat nigdy nie potrafił się nauczyć, przynajmniej w stosunku do mnie.

Popularną grą w tym czasie był pinball, czyli gra z odbijaną sprężynującą katapultą kulką (tak to się przynajmniej dzisiaj nazywa, bo ówczesnej nazwy nie pamiętam - może był to fliper?), którą to grą zabawialiśmy się całymi godzinami, zwłaszcza w zimie. Nam udało się zdobyć duży egzemplarz tej gry, z ciężką kulką metalową, którą nie tak łatwo było wystrzelić ze sprężynowej wyrzutni do jednego z kilku półkoliście wygrodzonych na różnych poziomach stanowisk. Cała gra była lekko nachylona w stosunku do pionu i kulka potem sama opadała w dół, ale nie zawsze trafiała do znajdujących się na planszy, różnie punktowanych gniazd i często opadała w na dół planszy, również do różnie punktowanych przegródek. Sumowało się punkty np. po dziesięciu „wystrzałach”.

Ileż funkcji, zwłaszcza w zimie, musiał spełniać ten niewielki pokój. Byliśmy ruchliwymi dziećmi i nie potrafiliśmy wysiedzieć za długo w bezruchu, więc graliśmy tu więc w piłkę, gdzie za bramkę służyły drzwi wejściowe, czy w koszykówkę. W tym drugim przypadku za obręcz „kosza” posłużył nam fragment kosza na śmieci przywleczony gdzieś ze skwerku, a potem powleczony uciętą maminą pończochą i wtykany między drzwi i futrynę szafy, przez co ten porządny i solidny mebel był wiecznie wypaczony. W kosza grało się dużą gumową, emaliowaną piłką. A ile przy tej okazji stłukło się talerzy i szklanek, tego nikt nie zliczy, ale nasza mama była w tym względzie wyjątkowo tolerancyjna i nigdy z tego tytułu nie robiła wielkiego problemu, choć dla świętego spokoju zachęcała nas do wyjścia „na pole” (broń Panie Boże nie „na dwór”).

W dzieciństwie razem z Jackiem spędziliśmy wiele cudownych chwil, zarówno podczas wspólnych gier i zabaw czy to na zatęchniętym, zacienionym i zakurzonym podwórku, które było miejscem spotkań kamienicznej dzieciarni, czy na pobliskich Błoniach i w Parku Jordana. Wiele razy wspólnie spędzaliśmy wakacje: najczęściej w Bilczycach u naej Babci, a raz, w 1966 roku, w Trzcianie koło Żegociny, skąd pochodziła pracownica jego matki.

Ale fenomenem tych czasów były podwórka, gdzie koncentrowało się życie towarzyskie młokosów i na tej wąskiej nieraz przestrzeni doprawdy trudno było się nudzić, co dziś w dobie powszechnego odgradzania się od siebie i zamykania kamienic na przysłowiowe cztery spusty trudno sobie wyobrazić. Na naszym podwórku wśród lokalnej dziatwy, tej starszej z pokolenia: Krzyśka Gędłka, Tadka Huka i braci Dziekiewiczów i tej młodszej: moich i mego brata rówieśników, była wieczna wrzawa i gonitwa, co nieraz wprawiało we wściekłość dozorcę. Kopaliśmy gumową piłkę, tzw. „gumiankę” i włóczkową zośkę, bawiliśmy się w wojnę (z zakłębieniem: wywołuję wojnę naprzeciwko, czarne piwko...), państwa-miasta, podchody lub chowanego bądź graliśmy w: hokeja, klasy, noża, dołek, pieniążki i w inne gry, których dziś już nie potrafię nazwać. Zabawa w chowanego zaczynała się od liczenia przez szukającego, który był odwrócony tyłem, do dziesięciu, a potem wymawiał on magiczne hasło: „pałka, zapałka, dwa kije, kto się nie schowa ten kryje, szukaam” i pierwszy dostrzeżony delikwent stawał się następnym do odszukiwania. Podwórko miało wiele zakamarków, więc i zabawa była przednia.

Często graliśmy „gumianką”, w duetach, w tzw. „beki”, gdzie bramki były umiejscowione w skrajnych częściach szerszego fragmentu podwórka: jedną stanowiły oszklone drzwi wewnętrzne sieni, druga zaś była zlokalizowana pod garażem Ch. i tworzyła ją furtka w drewnianym płocie ogródka warzywno-kwiatowego „Filuta”. Gra w „beki” polegała na kopaniu piłki w kierunku bramki przeciwnika, ale bez jej przyjęcia, czyli za jednym „kopem”, zatem był to taki nożny tenis. Niestety czasem się zdarzyło, że mocno kopnięta piłka stłukła którąś z kolorowych szybek bramy i wtedy z reguły szybko dawaliśmy „dyla” z podwórka, by dozorca nie zauważył sprawcy bądź wpadała do ogródka i trzeba było sforsować jego kruchy płot, lecz na taki widok zawsze wpadał on w furie, więc trzeba było wyczekać na moment jego nieobecności.

Brama nieraz długo była pozbawiona szklanych detali i dopiero przed zimą uzupełniał on braki, ale już zwykłym szkłem, by zbyt mocno nie wiało po sieni, skąd prowadziły drzwi wejściowe do jego mieszkania. Gdy „Filut” zauważył jakiś uszczerbek i tak z reguły przychodził skarżyć się na nas do mamy, bo do innych lokatorów czuł większy respekt, ale matula zawsze dla nas broniła, bo dobrze zdawała sobie sprawę, że nie był to chuligański wybryk, a jedynie przypadek. Jeśli idzie o płot koło garażu, to na skutek zmurzenia sam się zawalił gdzieś w połowie lat 60-tych i wówczas został wymieniony na nowy, też drewniany, ale już łatwiejszy do forsowania.

Gra w noża zaczynała się od wykreślenia patykiem koła na ziemi, a następnie trzymając w ręce ostrze noża próbowało się go wbić w jego wnętrzu, co czyniło się poprzez obowiązkowy obrót w powietrzu. Jeśli się to udało, odcinało się z koła wycinek i powtarzało operacje na większym wycinku, aż do momentu, gdy w ostatnim okrawku nie zmieści się stopa. Jeśli noża nie udało się wbić, do gry wkraczał następny uczestnik. Zabawa w noża była tak fascynująca, że zajmowała całe popołudnia i nie pomagało nawet pokrzykiwanie mamy, która próbowała nas przegonić z tego cuchnącego czasem podwórka bodaj do Parku Jordana.

Kto z podwórkowej i ulicznej dziatwy nie zabawiał się procą, bodaj na krótko? Dobra proca w rękach dodawała dystynkcji i poprawiała twój wizerunek w oczach rówieśników. Aby wyprodukować dobrą procę najpierw trzeba się było udać do Parku Jordana, by z drzewa wyciąć solidny fragment gałęzi w kształcie litery Y, a dalej końcówki odgałęzień nacinało się nożem, aby w powstałych rowkach przewiązać wycinek gumy do majtek bądź fragment gumki od weków. Guma w formie taśmy była lepsza, bo w jej środkową część można było wszyć kawałek skóry, który świetnie służył za wyrzutnie. Chuliganeria robiła wielkie proce, którymi można było wyrzucić sporą krzywdę, zwłaszcza w trakcie strzelania haczykami z drutu do odpustowych balonów bądź tak dla hecy w okno. Maluchy zabawiały się mniejszymi rekwizytami, celując na ogół małymi kamykami to do siebie, to do wron, to po nogach dziewcząt. Po takich zabawach, np. w podchody, niejeden z nas miał dobrze posiniaczone ciało, bo uderzenie kamykiem nieraz było bardzo bolesne, choć u napastnika wywoływało okrzyk euforii. Strzelanie z procy było niebezpieczną zabawą i nieraz zdarzały się przypadki wyrządzenia przeciwnikowi bądź przypadkowo przechodzącej osobie większej krzywdy, z uszkodzeniem oka włącznie, więc rodzice i nauczyciele kategorycznie zabraniali tego procederu. Ale co bardziej smakowało niż zakazany owoc?

Punktem honoru każdego chłopaka było nauczenie się gwizdać na palcach i to w przeróżnych wariantach: na dwóch skrzywionych palcach z kciukiem, dwóch przyległych do siebie palcach wskazujących, czy z pominięciem zagiętego palca pośrodku. Gwizdanie było popularnym sposobem komunikowania się z kolegami i wywoływania ich z mieszkań, co zwykle czyniło się z podwórka kamienicy. Popularne były też: granie melodii na grzebieniu, w który wetknięty był celofan, gwizdanie z wykorzystaniem listka ostrej i długiej trawy, wetkniętego pomiędzy dłońe bądź imitowanie dźwięków kukułki przez dmuchanie w szparę w blisko złożonych i uwypuklonych dłoniach, co wzmacniało dźwięki.

Ale nie cała młodzież naszej kamienicy brała udział w podwórkowych harcach, w których prym wiódł tercet: ja, mój brat i Jacek G. Z balkonu pierwszego piętra naszym zabawom tęsknymi oczami przyglądały się obie siostry: Hanka i Zośka, zwane przez nas „rzymiankami” oraz ich kuzyni, „łapiduchy”: Marek i Monika Ł., natomiast na drugim piętrze, zza balasek poręczy balkonu w dół tęskno spoglądali: Kaśka Ch. i jej brat Piotrek, bo tym naszym rówieśnikom rodzice zabraniali schodzić na podwórko i niepotrzebnie się męczyć, a może po prostu nie pasowało im kamieniczne towarzystwo i przychodzący do niego liczni koledzy, zwykle z ulicznych i podwórkowych kręgów, bo nikt tego nie zakazywał. Tyle krótkiej dygresji.

Po mojej wyprowadzce na „Kozłówek” Jacka widziałem dopiero w 2000 roku na pogrzebie mojej mamy, już jako leciwego pana. Nie za bardzo dawał sobie radę w życiu, z czasem ponoć nierzadko podpijał i chyba nie zawsze pracował, choć kiedyś był ponoć właścicielem pralni na ulicy Szewskiej. Jakaż to była przykra niespodzianka, gdy w lipcu 2007 roku zadzwonił do mnie Wiesiek Feldman z informacją, że Jacek nie żyje. Rok wcześniej musiał się wyprowadzić z mieszkania na Czystej, bo właściciel żądał nazbyt wysokiego czynszu i wraz z żoną, chyba drugą i synem, przeprowadził się na Osiedle Nowy Prokocim. Jakaż pusta zrobiła się bez niego ulica Czysta, moja ukochana ulica, której był jedną z ostatnich ikon i gdzie zawsze było go pełno. Nigdy go nie zapomnę.

Irena G. prowadziła cenioną pracownię krawiecką, zatrudniając ze dwie pomoce, w tym jedną ze Trzciany koło Łapanowa, dokąd w pewnym okresie czasu, w drugiej połowie lat 60-tych, Jacek wraz ze starszym bratem jeździli na wakacje. Wcześniej zawsze fundowała swoim synom letnie wyjazdy i to najczęściej do atrakcyjnych turystycznie miejscowości, jak: Zawoja, Skawica, czy Wiśniowa, w których towarzyszyła im jej matka, „stara Pamułowa”, osoba odpowiedzialna za wyżywienie wnuków i komiczne były to wyjazdy, bo zabierali oni wtedy ze sobą wielki majdan, łącznie z pościelą. Co ciekawe dodatek środek transportu dostarczał im wujek Kuba z ulicy Czarnowiejskiej, pewnie brat matki i była to, uwaga, trupiarka, którą na co dzień przewoził trumny z umrzymkami. Sama pracowała całymi dniami, bo chcąc utrzymać dom nigdy nie miała czasu na wypoczynek, wszak oprócz dzieci we wspólnym gospodarstwie pozostawali jeszcze: jej matka i jej brat Tadeusz, raczej nie Stanisław Pamuła, obydwójce mieszkający w kuchni. Mocno przygłuchawa już babcia Pamułowa, wtedy pewnie z siedemdziesięcioletnia staruszka, choć nękana chorobą Parkinsona i ciężko dysząca, czasem wręcz piejąca przy każdym większym wysiłku, była prawdziwą podporą domu. Mimo swojej choroby wykonywała w tym domu gigantyczną pracę, ponad siły przeciętnego, zdrowego nawet człowieka: robiła zakupy, gotowała dla całej rodziny i prała wszelkie brudy. Była osobą niezwykle miłą, dzielną i pełną życia, więc wszyscy w kamienicy podziwialiśmy heroiczny wysiłek tej kobiety, która jeszcze długo przynosiła rankiem siaty pełne zakupów ze starego Kleparza, wszak obaj wnukowie jakoś nie garnęli się do pomocy.

Jej syn Tadeusz, choć z wykształcenia magister, był alkoholikiem i pasożytem na jej utrzymaniu; wszelkie posiadane pieniądze przepijał, a jak się tylko dało podkradał je matce, a pewnie i siostrze i potem szedł „w tany”, a potem długo cierpiał, bo miał wrzody na żołądku. Ponieważ jego siostra ostro przeganiała wszelkich przychodzących do niego lumpów, więc nieraz usiłował znaleźć sobie pijackie gniazdko u nas na dole, gdyż matka nie zawsze potrafiła być wystarczająco stanowcza. Tu, jak pamiętam, ze dwa razy usiłował popijać z synem organisty z Trzciany, kolejnym leserem, znanym mi ze wspólnego wyjazdu z Jackiem do tej miejscowości w lecie 1966 roku, ale na więcej mama już nie pozwoliła, wszak zaczynali się stawać natrętami. Można tylko przypuszczać, że do takiego stanu doprowadziły go nieznane mi kłopoty rodzinne, bo gdy był trzeźwy był człowiekiem o nienagannych manierach.

Po śmierci męża biedna G. musiała dźwigać na swoich barkach ogromne ciężary, a los i tak był dla niej wyjątkowo okrutny, więc z czasem zaczęła nawet łysieć i była zmuszona nosić perukę. Resztki czasu, jakie jej pozostawał, zwłaszcza w niedziele i święta, spędzała ze swoją sympatią, panem Staszkiem, który mieszkał na Małym Rynku. Zmarła na raka trzustki w połowie lat 80-tych i potem, do 2005 roku, w tym ogromnym mieszkaniu mieszkał sam Jacek, chyba ze swoją drugą żoną i synem. A pomyśleć, że kiedyś było w tym wielkim mieszkaniu tak ludno. Zresztą cała ta okolica niezwykle się przetrzebiła od czasów mego dzieciństwa i młodości i teraz spacerując po „mojej” ulicy Czystej zwykle nie mogę spotkać tu nikogo znajomego.

Za mojej dziecinnej „kadencji” pokoił nad nami, na pierwszym piętrze, tuż przy wyjściu na zewnętrzny ganek, trzykrotnie zmieniał najemcę. Jeszcze za życia mego ojca mieszkali tam Salwowie, a Henryk Salwa, głowa rodziny, z zawodu inżynier, był nawet moim ojcem chrzestnym, ponoć awaryjnie, w zastępstwie Heńka Habla, kuzyna ojca, który odmówił ojcu w ostatniej chwili. W tym czasie jego i mego ojca łączyły szczególnie bliskie stosunki, więcej niż dobrosąsiedzkie. Salwowie mieli dwie córki: starszą Niunię (Jadwiga?), moją rówieśnicę i koleżankę do zabaw oraz młodszą, której imienia nie pamiętam, urodzoną około 1957 roku. Ta zdrobniała forma imienia, przesadnie przerysowana i wszędzie nagłaśniana, była w kamienicy pokątnie wyśmiewana. Rodzina ta wyprowadziła się do nowego mieszkania, gdzieś w Podgórzu, chyba niedługo po śmierci ojca i później nasze stosunki uległy całkowitemu zerwaniu, a ja od czasu przeprowadzki już nigdy nie widziałem mego chrzestnego ojca. Mama spotkała go wprawdzie ze dwa razy, gdzieś w przelocie, ale skończyło się na kurtuazyjnych pozdrowieniach.

Nie miałem też szczęścia do opisaney w poprzednim rozdziale chrzestnej, którą była ciotka Karolka, wszak przez całe życie nie ona śmierdziała ona groszem, stąd z jej strony nigdy nie mogłem liczyć na jakiegokolwiek finansowe wsparcie. Rzadko też wspierała mnie bodaj dobrym słowem, bo taki to już był krnąbrny z natury człowiek. Z czasem stawała się coraz bardziej zgryźliwa, co nie mogło dziwić, bo w życiu zaprzepaściła wiele szans na normalne życie rodzinne z uwagi na swoją niefrasobliwość, krótkowzroczność i zacięcie. Jej niskie u mnie notowania wynikały głównie z jej przekonania o własnej niemyślności i ciągłych prób wywierania bezwzględnego nacisku na mamę odnośnie realizacji jej „mądrych” porad.

Jeszcze na przełomie lat 50/60 była bardziej aktywna życiowo, a czasem nawet dowcipna, ale potem agresywny charakter z czasem całkowicie zdominował tę postać, czym nijak nie przystawała do pozostałych sióstr mamy, które były nad wyraz ugodowe i łagodne.

Po Salwach mieszkała tam pani Bożena Kleszczyńska, sympatyczna i dystygowana staruszka, zapewne pochodząca z przedwojennych „wyższych sfer”. Była samotną wdową, a jej zmarły mąż był prawdopodobnie przedwojennym generałem bądź pułkownikiem Wojska Polskiego. Wraz z synem, jedynakiem, musieli odbyć szlak bojowy z Armią Andersa, a po wojnie zmuszeni byli pozostać w Wielkiej Brytanii, za żelazną kurtyną. Jej mąż zmarł prawdopodobnie niedługo po wojnie, na obczyźnie, a syn nie powrócił do Polski, bo bał się nowej sytuacji. Jego biedna matka pozostała w Polsce sama, jednak syn pamiętał o niej i słał jej stamtąd tęskne listy oraz paczki żywnościowe, którymi lubiła się z nami podzielić, wyczuwając ciężką sytuację naszej rodziny. Czasem, pewnie z nudów, schodziła do nas na dół i opowiadała o swoim synu i jego rodzinie. Zmarła w domu, w samotności, gdzieś przed połową lat 60-tych, po dłuższym pobycie w szpitalu. Jej sąsiadka, pani W., przez długi czas nie mogła się dodzwonić do jej syna, by go powiadomić o zgonie matki, bo tak skutecznie działała „żelazna kurtyna”.

Gdzieś od 1964 roku, po śmierci pani Kleszczyńskiej, w mieszkanku nr 8 zasiedliła się Franciszka F., zwana w kamienicy „Feluśką”, pracująca w krakowskich tramwajach jako motorniczka. Była samotną matką z dzieckiem - synem, który był już dorosły i mieszkał osobno. Miała wtedy ze czterdzieści kilka lat i może z racji tej „samotności” często podchodziła do niej tramwajarska brać. W końcu na stałe zakotwiczył u niej konkubent, zwany przez nas „Kabotem” (od przekrętu jego nazwiska), partner sporo od niej młodszy, który dla niej porzucił żonę z trójką dzieci, mieszkających na Azorach. Jego żona, całkiem interesująca kobieta, pozostała z dwoma córkami, a on sprowadził do „Feluśki” syna Jurka, młodszego ode mnie ze trzy lata, którego obydwójce ostro szkolili. Generalnie miał on zabronione wychodzenie dalej niż na podwórko, a i tu jego nowa mamusia też niezbyt chętnie go wypuszczała. A „Kabot” miał twardą ręką i używał jej często, bo chłopak był żywy i jego wrzaski często dolatywały do nas przez sufit. Biedny Jurek próbował uciekać do matki, ale po jakimś czasie wracał, bo tej widać nie było stać na utrzymanie trójki dzieci. Nie ma co ukrywać, że Jurek po prostu tu przeszkadzał, ale widać musiał przebywać z ojcem, bo tak zdecydował sąd. Zaraz po wprowadzeniu się do lokalu „Feluśka” urządziła sobie remont generalny i w rogu pokoju dorobiła sobie łazienkę, a prace przy niej były tak intensywne, że u nas na dole pękł sufit i potem od czasu do czasu przez ową szparę sączyły się kropelki wody, zwłaszcza podczas nazbyt obfitych kąpiel. Nasze stosunki z panią Franciszką były poprawne, ale bez wzlotów. Jeszcze przed remontem kamienicy, więc przed rokiem 2008, widziałem „Kabota” z charakterystycznym kiepiem w ustach i małym pieskiem na smyczy, gdy wychodził z kamienicy. Dalsze losy „Feluśki”, urodzonej gdzieś w 1925 roku są mi nieznane. Jej nazwisko zdecydowałem się pozostawić zakodowane.

Pora na opisanie lokatorów zamieszkujących na II piętrze „mojej” kamienicy. Mieszkanie najbardziej zewnętrzne, przylegające do bocznego muru WRZZ, a więc nad W. i rodziną „starej” W., zajmowała rodzina Stanisława Ch., zamożnego i potężnego z postury jubilera, którego nazwiska wolałbym na razie nie podawać. Jego żona Janina była jego przeciwieństwem: z wyglądu „skóra i kości”. Mieli dwójkę dzieci: syna Piotrka, urodzonego w 1956 roku i córkę Katarzynę, młodszą od swego brata pewnie ze cztery lata. On wielki pan i władca, człowiek o porywczym charakterze sprawiający wrażenie satrapy, nierzadko będący rozdarciuchem i grubianinem (takim przynajmniej dał się poznać w naszej kamienicy, gdy jego głośne wypowiedzi były dobrze słyszalne na podwórko), był może w wieku mojej mamy. Ze sposobu bycia był sybarytą, a więc człowiekiem nieruchawym, toteż dorobił się potężnego brzuszyska, które utrudniało mu poruszanie się i wykonywanie jakichkolwiek skłonów. Ruchu nigdy nie miał za wiele, gdyż był właścicielem zakładu jubilerskiego w Rynku Głównym 20, w sąsiedztwie dawnej Restauracji Wentzla i tam przesiadywał całymi dniami.

Ona, z kilkanaście lat od niego młodszą, chyba z własnego wyboru została cichą myszką, posłuszną, wiecznie zastraszoną i zakrzyczaną kurą domową, choć w przeciwieństwie do swego męża dała się poznać jako kulturalna skromną i nad wyraz dobra kobieta, która bardzo pomogła mamie w trudnej sytuacji po śmierci ojca, kiedy dawała jej pościel do prania, gdy okresowo brakowało jej pieniędzy, ponadto poleciła jej usługi swojej szwagierce. Widać było jakby nie pochodziła z „jego sfer” i pewnie stąd wynikał taki stan rzeczy, bo jej zajęciem było prowadzenia domu, wychowywanie dzieci i natychmiastowe usługiwanie „magnatowi” na każde jego skinienie. W stosunku do własnej żony nie okazywał należytego szacunku, bo jakże często używał zwrotu: „do cholery jasnej”, co było jego ulubionym ponagleniem bądź jeszcze bardziej nieparlamentarnego epitetu: „Ty torbo”, czym nierzadko strofował ją za niewłaściwe jego zdaniem postępowanie. Pani Ch. z pokorą znosiła wszystkie te upokorzenia, które zaznawiała od własnego męża-dyktatora, a nerwy wyładowywała na papierosach, których paliła ogromne ilości, obowiązkowo na balkonie. Przyzwyczajona do krzyków i rozkazów nigdy nie zabierała głosu, przynajmniej nie było jej słychać na poziomie podwórka, a dzieci też były często wystraszone i bały się ojca, który nieraz dobrze przywalił im w tyłek. Do tego celu używał ciężkiego paska od spodni, który z trudem utrzymywał je na jego wielkim brzuchu. Zwłaszcza Piotrek wydawał się być zadowolonym z jego długiej obecności w pracy, gdyż wtedy mógł zejść na podwórko i pobawić się, czego w przeciwieństwie do ojca nie zabraniała mu matka, pewnie wbrew wyraźnym jego zakazom. Mimo to często jako przyszły sukcesor rodzinnego zawodu jubilera był on mobilizowany przez ojca do długiego przebywania w jego zakładzie i nauki zawodu, do czego, przynajmniej wtedy, jakoś nie miał jeszcze specjalnej ochoty. Natomiast Kasia nie miała w kamienicy towarzystwa w swoim wieku i z konieczności samotnie przesiadywała na ganku, w części odgradzonej od jego reszty drewnianą kratką.

Przed rokiem 1960 mieszkał tu jeszcze jego ojciec - Seweryn Ch., galicyjski rzemieślnik, który nie miał już wtedy jednej nogi, ale pamiętam go ledwie jak przez mgłę, gdyż wkrótce zmarł. Jego śmierć podobno obwieszczała sowa, która urzędowała na strychu na ich oknem. Nad sklepem i zakładem jubilerskim Ch. w Rynku Głównym 20 długo jeszcze widniał stary, galicyjski szyld, który podkreślał tradycje zakładu: „Wacław Głowacki, obecnie Seweryn Ch.”. Pewnie zatem ów Seweryn, złotnik u Głowackiego, wzenił się po fachu w rodzinę swego pracodawcy, a Stanisław, najpewniej wnuk Wacława, przejął fach po ojcu. Potem przez jakiś czas, gdzieś do początku lat 90-tych, zakład ten, widać na zasadzie rodzinnej sukcesji, prowadził Piotrek, ale wówczas po 130 latach działalności został on zlikwidowany i został tam utworzony kantor walutowy. Całe zabytkowe wyposażenie warsztatu i sklepu Piotrek miał sprzedać bądź przekazać do Muzeum w Sandomierzu, bo w Krakowie nie było na niego chętnych, a dziś właścicielem zbiorów jest Muzeum w Kazimierzu Dolnym, które eksponuje m.in. ok. 300 narzędzi złotniczych z krakowskiej kolekcji.

Gdzieś pod koniec lat 60-tych Stanisław Ch. zniknął nagle na dobry rok i nie było wiadomo, gdzie się wtedy podziewał, bo nikt z jego rodziny nie chciał o tym mówić, choć w kamienicy aż dudniło od plotek. Po tym czasie do domu powróciło „pół” dawnego Ch., biorąc pod uwagę jego dawną masę ciała i od tej pory był jakby już dużo cichszy niż dawniej. Teraz już rzadziej dolatywał na podwórko jego rozkazujący i donośny głos, a jego język nie był już tak grubiański. Zmarł chyba niedługo po swoim powrocie, chyba na początku lat 70-tych, gdy nas już tam nie było.

Utkwił mi w pamięci jeden szczegół. Mama od czasu do czasu coś im podpierała, a ja czasem zanosilem tam gotową, wyprasowaną już bieliznę, najczęściej pościel. Droga do kuchni ich mieszkania wiodła przez cały, długi ganek, więc nie lubilem tam chodzić, bo bałem się i wysokości, i kiepskiego stanu ganku, pełnego dziur, bo taki spacer potęgował we mnie duży strach. Ale czasem, jak mama była bardzo zajęta, musiałem tam iść, starając się nie patrzeć w dół. Gdy wszedłem do kuchni przy stole siedział Ch., rozłożony na krześle jak basza, ubrany tylko w krótkie portki i objadający się właśnie kiełbasą szynkową, którą sobie krajał nożem. Próbował coś ze mną rozmawiać, ale nie przerywał jedzenia, więc nie mogłem zrozumieć bełkotu płynącego z jego zapchanej po brzegi gęby. Na szczęście nadeszła jego żona, wypłaciła pieniądze i położyła kres kłopotliwej dla mnie sytuacji.

Stanisław Ch. miał młodszą siostrę, Marię Sołtanową, która była znaną florecistką (wcześniej gimnastyczką), wielokrotną medalistką mistrzostw Polski, a potem trenerką tej dyscypliny. Siermierka była jej pasją życiową i walczyła na planszy jeszcze po pięćdziesiątce. Jej mężem był Stanisław Sołtan, znany i ceniony trener siermierczy, a wcześniej też liczący się w krajowej stawce zawodnik. Państwo Sołtanowie z czasem też zaczęli korzystać z usług mojej mamy i to za ich protekcją podjęła ona pracę sprzątajacej w Krakowskim Klubie Siermierzy, gdzie oboje pracowali szkoląc adeptów siermierki. Mieli dwoje dzieci: córkę Grażynę w wieku mojego brata, bardzo miłą i spokojną dziewczynę i syna Bolka, rozbrykanego ponad wszelkie dopuszczalne normy rówieśnika Piotrka.

Pani Maria w przeciwieństwie do swego brata była osobą niezwykle kulturalną i rozmowną, a jej dzieci były wychowywane bez stresu i terroru, może nawet cieszyły nadmierną wolnością i tolerancją. W obecności Bolka Piotrek zawsze mógł trochę pogonić i porozrabiać, co jego ojciec, pewnie ze względu na obecność siostry i szwagra, musiał jakoś znosić, choć na pewno nie przychodziło mu to łatwo.

Ch. był właścicielem garażu na podwórku, który był usytuowany naprzeciw naszego okna, pomiędzy ogródkami dozorcy. Został on postawiony gdzieś około 1960 roku, bo pamiętam jego budowę i tam przechowywał swój ulubiony motocykl, stare BMW z przyczepą. Na początku lat 60-tych jeszcze trochę nim jeździł, ubrany wówczas w archaiczny, przedwojenny, skórzany skafander oraz długie skórzane buty i rękawice. Na głowę zakładał wówczas czapkę - pilotkę, a na nos okrągłe okulary. Potem porzucił jazdę motocyklem, pewnie z uwagi na swoje gabaryty oraz kłopoty ruchowe i tylko od czasu do czasu zaglądał do garażu, by podelektować się wyglądem ukochanego, choć nieużywanego pojazdu, bo widać nie miał już ani chęci, ani możliwości fizycznych do jego ciągłych napraw.

Współużytkownikiem garażu był jego stary przyjaciel i pewnie jego rówieśnik, którego z racji układu ust nazywaliśmy „panem W”. Jego nazwiska nigdy nie poznaliśmy i zawsze pozostawał dla nas „panem W”. On również posiadał starą, pewnie przedwojenną „Beemkę” z przyczepą, którą tu przechowywał i podobnie, jak Ch. porzucił jeżdżenie mniej więcej w tym samym czasie. Widać kiedyś, może jeszcze przed wojną, musiały ich łączyć pasja jeżdżenia na dobrych, drogich i szybkich motocyklach, a BMW było wtedy szczytem marzeń i na jego posiadanie stać było jedynie wybrańców. „Pan W”, który w przeciwieństwie do swego kolegi zawsze świecił nienagannym zachowaniem, miał dwóch sympatycznych synów: Piotrka i Pawła, rówieśników Krzyśka Gędłka, których zaraził pasją do swej maszyny. Ślęczeli oni całymi dniami nad porozkręcanym motocyklem, próbując go wskrzesić do dawnej używalności, ale rzadko im się to udawało na dłuższy okres czasu. Pojeździli chwilę, by znów po jakiejś usterce odstawić go na dłużej do garażu. Ci mili młodzieńcy pozwalali przyglądać się ich naprawom, czasem nawet poprosili, by podać im jakiś klucz, gdy któryś z nich leżał na ziemi, pod maszyną. Czasem posiedziało się chwilę na wysokim siedzeniu, pottrzymało kierownicę, by odczuć zachwyty nad pięknem tego wehikułu.

Raz, po wielodniowych reparacjach, Piotrek, starszy z braci, zabrał mnie wraz z Jackiem Gędłkiem na przejażdżkę do punktu rejestracji motocykli, który mieścił się przy hali Wisły, na ulicy Reymonta. Jacek siedział z tyłu na wysokim siedzeniu za kierowcą, ja jechałem w przyczepie. Pojazdu mu nie zarejestrowano, bo miał za słaby hamulec ręczny, ale w obie strony, po ulicy Reymonta, Piotrek pocisnął po gazie i poczuło się szaleńczą prędkość, bo motocykl osiągnął gdzieś ze 140 kilometrów na godzinę. Siedziałem wciśnięty w przyczepę i tylko marzyłem, by ta jazda już się skończyła. Ta szaleńcza przygoda nie trwała dłużej niż minutę, ale wysiadłem z przyczepy na miękkich nogach.

Główne dojście do mieszkania Ch. prowadziło przez ganek i kuchnię, bo to drugie, od klatki schodowej, było używane rzadziej, by nie wchodzić w konflikt z sąsiadami. Ich fragment ganku był odgradzany od reszty drewnianą bramką, której nie mogli przekraczać: mała Kaśka i Piotrek, gdy tylko ich ojciec był w domu. Kaśka nigdy nie zapuszczała się na podwórko i tylko tęsknym okiem obserwowała rozrabiające na dole towarzystwo.

Piotrka czasem spotykałem, gdyż mieszkał w pobliżu, gdzieś na Piaskach i jeździł jakimś własnym samochodem dostawczym. Widać wolał to zajęcie niż rodzinny zawód: jubilera i złotnika, może narzucony mu przez ojca. A garaż, który w czasach mego dzieciństwa był naszym stałym punktem widokowym, ten niemy świadek historii rodziny Ch., funkcjonował do początku XXI wieku, lecz ostatnio, jeszcze przed przebudową kamienicy, został rozebrany, podobnie jak płoty w ogródkach W.. Potem, przez krótki okres czasu, podwórko było tylko zielonym trawnikiem, jakby bez duszy i w niczym nie przypominało „mego” placu zabaw z lat 60-tych. Teraz została tu dobudowana oficyna, a jego marne, wybrukowane resztki tworzą kamienną, zawsze zacienioną pustynię, niczym w więziennym spacerniaku.

Mieszkanie Ch. posiadało wspólny przedpokój z sąsiednim, do którego główne wejście prowadziło z klatki schodowej. To sąsiednie mieszkanie składało się z kuchni od strony podwórka, też z wejściem z zewnętrznego ganku i dwóch pokoi usytuowanych po drugiej stronie wspólnego korytarza z rodziną Ch., których okna wychodziły na ulicę. Jeden z nich, mniejszy, był przejściowy i miał jedno okno, podobnie jak drugi, nieco większy.

Gdzieś do 1961 roku to środkowe mieszkanie na II piętrze zajmowała zaprzyjaźniona z nami rodzina Lempartów. On krawiec, rzadko widywany, bo wiecznie zapracowany, miał widać pracownię w tym większym pokoju, ona zaś, niepracująca pani domu i gospodyni, zajmowała się wychowaniem córki Lucyny, jedynaczki, młodszej ode mnie ze dwa lata. Lucyna była rozpieszczonym ponad wszelką miarę „kanockiem” i wszystko potrafiła wymusić na swej nad wyraz dobrotliwej matce, co czyniła poprzez specyficzne wycie podobne do płaczu. Czasami chodziłem się tam pobawić, a od czasu do czasu spotykaliśmy się w Parku Jordana. Lucyna, może z racji swojej samotności, była wieczną marudą, notorycznie zapłakaną i buczącą, choć podczas kontaktów ze mną humor wyraźnie się jej poprawiał. Pamiętam jeden ciekawy epizod. Klucz na strych, gdzie suszyło się pranie, znajdował się u dozorczy, ale od czasu do czasu był przez cały dzień w posiadaniu mamy, gdy ta prała i nosiła tam na raty do suszenia świeżo wypraną bieliznę. Pewnego dnia w drzwiach naszego pokoiku pojawiła się Lucyna, przysłana tu widać przez matkę i bez słowa powitania wybełkotała: „po klucz”. Od tej pory przezywaliśmy ją: „po klucz”.

Po Lempartach mieszkanie to zasiedliła rodzina S., w pięcioosobowym składzie, z dwójką chłopaków: Adamem i Jackiem, odpowiednio rok i dwa lata ode mnie młodszymi i córką Elą z pięć lat ode mnie młodszą. W latach 1966-70 Jacek i Adam byli moimi bliskimi, podwórkowymi przyjaciółmi i głównie w wakacje razem spędzaliśmy mnóstwo czasu: na grze w piłkę, rozrabianiu w Parku Jordana i pod Kopcem, jeżdżeniu na rowerach czy pływaniu na basenie Cracovii, na który czyniliśmy bezpłatne „desanty”. Oczywiście pełno też było ciekawych zajęć na podwórku, ale ja nieraz starałem się ich wyciągnąć z tego nie zawsze pachnącego miejsca, bo im to jakoś nie przeszkadzało. Rozumieliśmy się wyjątkowo dobrze i nigdy nie dochodziło między nami do jakichkolwiek konfliktów.

Rodzice zawsze pozostawiali ich samopas i praktycznie się nimi nie interesowali, więc przesiadywali oni na podwórku niemal przez całe wakacje, tylko z rzadka wyjeżdżając do babki, do Węgierskiej Górki, gdzie całe lata spędzała ich siostra. Czasem przychodziła do nich druga babka, matka ojca, ale nie za często i jakby z obowiązku. Była ona nad wyraz zarozumiałą osobą, a jej oczkiem w głowie był wnuk mieszkający za Oceanem, który w pewne wakacje odwiedził swoich kuzynów, a ja miałem wtedy swoją pierwszą w życiu próbę znajomości języka angielskiego, wszak nie znał on ani słowa po polsku. Moje lekcje brane u pana Matusiaka z ulicy Czarnowiejskiej 1, emerytowanego, przedwojennego dyrektora szkoły z Bielska-Białej, na coś się przydały, choć oczywiście nie błyszczałem, bo wówczas nie przykładałem się zbytnio do nauki tego języka, a szkoda.

Ich matka, tleniona blondynka, trzydziesto-paro letnia kobieta, z zawodu fryzjerka, nosiła głowę bardzo wysoko, pewnie nazbyt i niechętnie patrzyła na ich bliskie stosunki ze mną, chłopakiem jej zdaniem ze zbyt niskich sfer. Niby jakoś mnie tolerowała, ale na każdym kroku dawała odczuć swoją wyższość, dlatego nigdy nie bywałem w ich domu podczas jej obecności, jak i jej męża. Ten z kolei, z zawodu kolejarz, był typem satrapy i choleryka, rodzicem totalnie nietolerancyjnym wobec własnych dzieci, bo nie znosił cienia jakiegokolwiek sprzeciwu i bił ich regularnie o byle głupstwo, i to jak. Na szczęście dla braci tak on, jak i jego żona rzadko bywali w domu. Jednak w momencie, gdy niespodziewanie pojawiał się ojciec, a oni w tym czasie przebywali na podwórku, na ich twarzy pojawiał się blady strach i kończyły się żarty, bo zaczynała wojskowa dyscyplina. Nigdy nie było wiadomo, o co będzie miał do nich pretensje i często po jego powrocie z ich mieszkania dolatywał na podwórko trzask pasa i krzyk bitych z całej siły dzieciaków. Kiedyś nawet próbowali przekonać swoją matkę do wspólnego ze mną wyjazdu do ich babki, do Węgierskiej Górki, ale tej oczywiście pomysł się nie spodobał. Moja matka nawet nie próbowwała ich zabrać z nami do Bilczyc, bo rezultat takiej propozycji był z góry do przewidzenia. Mimo to był to miły okres w moim życiu, ale z uwagi na postawę ich rodziców do większej zażyłości między nami nigdy nie doszło. Znajomości zaczęły szybko wygasać po mojej przeprowadzce pod 21-kę.

Na drugim piętrze, nad pokoikiem zajmowanym przez Książków, mieszkał inżynier Kazimierz Przybyła, ponad trzydziestoletni kawaler. Jego mieszkanie było jednak lepsze, niż to piętro niżej, bo posiadało niezależne wejście od klatki schodowej. Pod koniec lat 60-tych ożenił się on z dużo młodszą kobietą, może o 15 lat, która, gdy my wyprowadzaliśmy się z tej kamienicy, była akurat w zaawansowanej ciąży. I on też był zmuszony do korzystania ze wspólnej ubikacji znajdującej się na podwórku, razem z dozorcami i Książkami. Przylegała ona bezpośrednio do naszej, którą dzieliliśmy z kolei Kopciami. Był z nami w dobrych stosunkach i od czasu do czasu przynosił do mamy do prania koszule, a raz nawet naprawił nam popsute oświetlenie choinkowe. Wkrótce po 1970 roku wyprowadził się do nowego mieszkania.

Na II piętrze, w mieszkaniu równie wielkim, jak Gędków, zamieszkiwały dwie panie o nazwisku Wilga: starsza - Paulina, wdowa, wtedy, na początku lat 60-tych, pewnie ponad osiemdziesięcioletnia już staruszka i jej z trzydzieści lat młodszą córką o imieniu Maria, stara panna. Na ich drzwiach wejściowych, tych od strony klatki schodowej, widniała tabliczka z napisem: Maria Wilżanka, a my urwisy zawsze śmialiśmy się, że powinno być napisane: Wilgówna. Pani Maria była nauczycielką śpiewu w Wyższej Szkole Muzycznej i z ich frontowego pokoju często dolatywały na ulicę i na klatkę schodową dźwięki fortepianu i odgłosy uczniów, wszak widać udzielała prywatnych lekcji.

Pani Wilgowa mimo sędziwego wieku trzymała się dobrze i od czasu do czasu wypuszczała się nawet na ulicę. Z rzadka schodziła też do naszego mieszkania, by zlecić mamie wypranie bielizny pościelowej bądź by zapłacić za usługę. By nie przemęczać staruszki czasem i ja chodziłem na górę po brudną bieliznę bądź zanosilem tam wypraną już pościel, ale zawsze czynilem to przez schody frontowe, bo drzwi kuchenne, które znajdowały się od strony podwórka, tylko z rzadka były otwierane i praktycznie nikt nie wiedział, jak wyglądało wewnątrz ich kuchni. W ogóle było to wyjątkowo ponure mieszkanie, a ponadto można się było dziwić, że tak dużym lokalu mieszkały zaledwie dwie osoby. Staruszka Wilgowa ubierała się w bardzo charakterystyczny sposób, jak mieszkanki wyspy Kreta, bo zawsze miała nakrycia w ciemnych kolorach, najczęściej na czarno, co tylko potęgowało jej tajemniczy wygląd. Na jej wysuszonej i pomarszczonej twarzy, z zapadniętymi oczodołami i policzkami, nigdy nie pojawiał się uśmiech, a jej wygląd budził wówczas we mnie grozę i rodził skojarzenie z czarownicą, taką Babą Jagą, więc zawsze czułem przed nią jakiś wewnętrzny strach. Jej pozbawione światła mieszkanie przypominało ciemną czeluść, swoistą jaskinię czarownic, ale na szczęście dla mnie wszelkie transakcje załatwiałem w przedpokoju, oświetlonym wątlą żarówką. Czasami widać ją było w oknie jej wiecznie ciemnego pokoju, gdy wyglądała tęsknie w stronę podwórka i widok ten zawsze, choć jakże niesłusznie, budził we mnie jakąś grozę. Nie rozumiałem wtedy, co znaczy starość, samotność i oczekiwanie na śmierć. A kiedyś, po latach, podobnie wyglądała i zachowywała się moja mama. Sympatyczna, starsza pani zmarła na początku lat 70-tych, mając blisko 100 lat.

W pionie nad nami, na II piętrze, w mieszkaniu numer 9 mieszkała Stanisława Opolska, wdowa trzy lata starsza od mojej mamy, wraz z synem Zbyszkim, urodzonym około 1943 roku, a ich mieszkanko, choć małe, zawsze było bardzo schludne i czyste. Jej syn był nad wyraz spokojnym chłopakiem, który niedługo skończył Politechnikę Krakowską i był dla nas zbyt dorosły, by zadawać się z podwórkowym towarzystwem, stąd znałem go tylko pobieżnie. Pani Opolska była bardzo taktowną osobą i w stosunku do mojej mamy zawsze odnosiła się z wielką sympatią, bo jej los był bardzo podobny.

Miała jeszcze starszą córkę Bogusławę - Bobę, muzykologa, wtedy z dwudziestopięcioletnią, która na początku lat 60-tych wyszła za mąż i opuściła to małe mieszkanko. Jacek, jej mąż, też był muzykiem i widać było gołym okiem, że w tym zawodzie im się nie przelewało. Było to nad wyraz udane małżeństwo, które dorobiło się dwójki dzieci. Co się później z nimi działo nie wiem, wszak Opolska zmarła już po naszej wyprowadzce, a Zbyszek po skończeniu studiów na pewno się stamtąd wyprowadził.

I wreszcie pora napisać parę słów o strychu, na który wychodziło się krętymi, drewnianymi schodami od strony oficyny. Wielki klucz do otwierania ciężkich, metalowych drzwi zawsze wisiał na haku obok mieszkania dozorca. Po wejściu do środka trzeba było bardzo uważać, by nie uderzyć głową w belki konstrukcji dachu. Nietrudno było się też potknąć o poprzeczne, drewniane bale, które były ułożone na wysokości goleni i stabilizowały drewniany szkielet konstrukcji. Niebezpiecznie było tu zwłaszcza wieczorem, gdyż i tu nie było światła i podobnie jak w piwnicy trzeba było używać własnej świeczki i zapalek. Często, zwłaszcza przy dużym praniu i przy krótkim dniu, trzeba je było wieszać już po zmroku i wtedy nie było tu szczególnie przyjemnie, bo świeczka, która rozświetlała tylko część ciemności, nieraz gasła przy silniejszych podmuchach wiatru. Ale mama, choć bała się chodzić na strych późną porą, bo nie było tu zbyt bezpiecznie dla samotnej kobiety, nieraz zmuszona była sama wieszać bieliznę, gdy nikogo z nas nie było w domu, ale musiała pokonywać strach. W czasie pobytu na strychu drzwi wejściowe zawsze były otwarte i mógł się tam ktoś zakraść znienacka.

Pranie wieszało się na sznurkach porozciąganych pomiędzy belkami. Strych był wprawdzie obszerny i ogólnodostępny, ale oczywiście najczęściej korzystała z niego moja mama i z tej racji niektórzy, niechętni jej lokatorzy, zwłaszcza dozorca, czasem pomrukiwali pod nosem, że nie zawsze jest tam wystarczająco dużo miejsca dla innych. Oczywiście leżało się tu sporo gołębi, gdyż niektóre okienka miały wybite szyby, ale ich bytność nie była jakoś szczególnie dokuczliwa. Nikt tu nie sprzątał, więc w wietrzne dni nieraz kłębiło się od pyłu, po którym na zawilgniętych płatach prania czasem powstawały brudne plamy; nie pozostawało nic innego, jak ponownie je dopierać. Nie lepiej było w zimie, kiedy bielizna schnęła tak fatalnie, że przypominała raczej arkusze blachy, więc trzeba było ją podsuszać w domu na przypiecku, co wywoływało dodatkowe zawilgocenie naszej niewielkiej izby. Urzędowała tu też słynna sowa, ale ta w ciągu dnia potrafiła się gdzieś ukryć, wszak różnych zakamarków nigdy tu nie brakowało. Dziś zamiast strychu mamy tu dobudowane dwa piętra.

Dach był dla ogółu niedostępny, ale w razie potrzeby można było tam wejść po drabinie przez odsuwaną klapę, co czynili kominiarze. Aby nasz odbiornik telewizyjny mógł odbierać sygnał, fachowiec też musiał się tam wygramolić by zamontować antenę, a kabel ekranowany o długości kilkunastu metrów spuścić w dół na wsporniku obok ganków oficyny, następnie wsunąć go przez okno naszego mieszkania, a dalej jego końcówkę wpiąć go do gniazda odbiornika. Dachy kamienic były w tym czasie pokryte prawdziwym lasem anten, których zagęszczenie wzrastało w miarę rozpowszechniania się telewizji.

Nie ukrywam, że dziś odczuwam satysfakcję, iż udało mi się opisać losy kamienicy współcześnie wyprutej ze swej dawnej tożsamości, która jednak nadal skrywa w swych murach wiele tajemnic. Większość nazwisk, z uwagi na paranoidalne przepisy RODO, zdecydowałem się zakodować, by w nagrodę za wieloletnią, żmudną pracę nie doczekać się kłopotów.

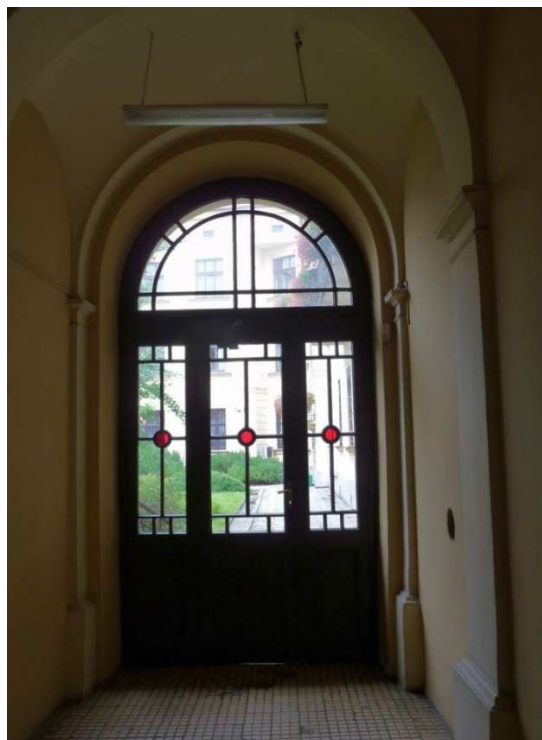
Następne sześć lat: od marca 1970, do sierpnia 1976 spędziłem już w dużo większym mieszkaniu, bo były to dwa duże i wysokie na 4 metry pokoje, po ok. 20 m kwadratowych każdy, z używalnością kuchni. Lokal był usytuowany na parterze oficyny w kamienicy przy ulicy Czystej 21, która od tyłu przylegała do zakładów tytoniowych, a z boku, za murkiem, do dziedzińca starego Wysrołu.



Fot. nr 63. Fasada kamienicy z ulicy Czystej 21, w której oficynie mieszkiałem od marca 1970 do sierpnia 1976. Skrajne dwa okna z lewej jej części przynależały do mieszkania Bogaczów. Kamienica ta też powstała w 1899 roku, podobnie jak ta spod „ósemki” wg projektu Leopolda Tlachny. (26.07.11)

Zamieszkiwaliśmy wspólnie z panią Lesią, fryzjerką, której sporo starsza siostra, pani Władysława Stockinger, przeniosła się niedawno do córki na Osiedle Krowodrza i w ten sposób powstał pustostan, który dzięki detektywistycznej wiedzy Kopciowej wyczyła moja mama. O dziwo pani Lesia (jej skomplikowane, bo z niemiecka brzmiące nazwisko na dobre umknęło mi z pamięci), panna gdzieś po pięćdziesiątce, ale dość często odwiedzana przez jej stałego towarzysza, nie oprotestowała przydziału lokalu, który po wielu bojach w Urzędzie Kwaterunkowym wywalczyła moja mama i w ten sposób nasz los uległ radykalnej poprawie.

Nadal jednak nie było lekko, bo nie mieliśmy dostępu do łazienki, która była zlokalizowana wewnątrz pokoju pani Lesi, trzecim w tym wielkim mieszkaniu, a ponadto dalej musieliśmy palić węglem zużywanym w dużych ilościach, bo piece były bardzo przepalone, więc w zimie nieraz dobrze przemarzliśmy. Za łazienkę musiała nam służyć kuchnia, a w niej miednica ustawiona na krześle i napełniona gorącą wodą z gara ogrzanego na kuchence gazowej, a że w zimie nie była ona praktycznie ogrzewana, więc gruntowniejsze mycie w tym czasie nie należało do przyjemnych.



Fot. nr 64. Sień kamienicy przy ulicy Czystej 21, z oryginalnymi drzwiami i drobną kostką z czasów jej budowy, która wiodła na pełne zieleni, zadrzewione podwórko. (11.02.2014)

Z drzwi wejściowych wchodziło się do pierwszego, wspólnego korytarza, gdzie z lewej strony znajdowały się kolejno: ubikacja, kuchnia i pokój naszej sąsiadki, a dalej przez długi przedpokój, zamykany przy wejściu drzwiami, dochodziliśmy do naszych pokoi, z których jeden był przejściowy. „Oczywiście” ten zewnętrzny zajął mój brat, a ja z mamą mieszkaliśmy w tym przejściowym. Okna na podwyższonym parterze wychodziły na piękny ogród, więc nasze koty miały tu prawdziwy raj, bo bez trudu wyskakiwały na okno, a potem drapały w szybę.

Nad nami, na pierwszym piętrze mieszkali Wadowscy, niezbyt mile przeze mnie wspomniani, a na drugim Sadowscy i Krupowie, z przepocziwą starą Krupową. Były to trójpokoleniowe rodziny, które jednak traktowały nas wyraźnie „z góry”.



Fot. nr 65. Oficyna kamienicy przy ulicy Czystej 21. Dwa okna z lewej strony parteru przynależały do dwóch pokoi naszego mieszkania. Piętro wyżej mieszkali Wadowscy, a na drugim piętrze Sadowscy i Krupowie. Z prawej dawne mieszkanie Dobrzańskich już bez ganku wejściowego do kuchni, na którym często wygrzewał się ich czarny kocur.
(11.02.2014)

Może kiedyś opiszę ten okres, co nie jest mi łatwo uczynić głównie z uwagi na ówczesne wyczyny mego brata, które dotkliwie wplatały się w moje życie. Przynajmniej na razie wolę to przemilczeć.

Po skończeniu Technikum Energetycznego nie dostałem się na słynny Wydział Elektryczny AGH, gdzie było sześciu kandydatów na jedno miejsce, bo na egzaminie zjadły mnie nerwy, które zawsze były moją słabą stroną i potem jeszcze przez trzy lata mego pobytu w tej kamienicy chodziłem na zajęcia Wydziału Górniczego, gdzie nauka szła mi jak po maśle, zanim nie wyprowadziłem się, tym razem już tylko z mamą, na Osiedle na Kozłówce, bo brat dostał od AR, która przejęła nasz budynek, osobne mieszkanie. Moja uczelniana sielanka dobiegła więc końca, bo dotąd do gmachu A-1, gdzie mieściły się pomieszczenia Zakładu Przeróbki Wydziału Górniczego, na którym ostatecznie wylądowałem, miałem z domu ledwie pięć minut.

Potem dojazdy z „Kozłówka”, przetłoczonym do granic możliwości autobusem linii 103, były już prawdziwą gehenną i na zajęcia nieraz spóźniałem się i godzinę. Autobus ten jeździł wówczas z przyczepką, która była tylko z jednymi drzwiami otwieranymi na zewnątrz, więc wydostać się stamtąd w godzinach szczytu graniczyło z cudem, a ruszanie z przystanków zabierało dodatkowe minuty, bo drzwi za nic nie chciały się domknąć.

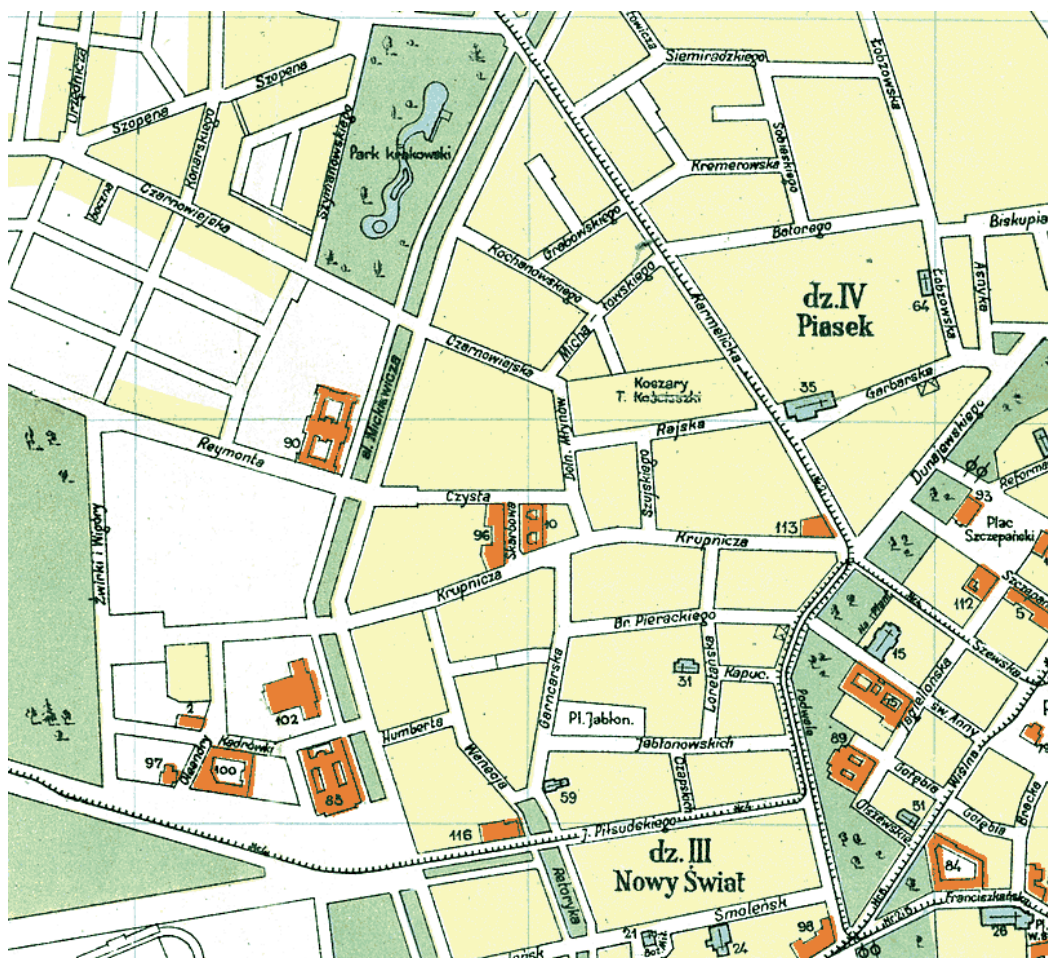
Okres studiów nie był już jednak dla mnie tak ekscytujący, jak czasy nauki w Technikum Energetycznym, które opisuję w oddzielnym opracowaniu. Śląsko-dąbrowskie i lubelskie towarzystwo, rozlokowane początkowo w akademiku przy ulicy Wybickiego 6, a potem w kompleksie („slumsach”) przy ulicy Reymonta, jakoś nie do końca mi pasowało, może z uwagi na wyraźnie odmienne obyczaje, choć w sumie nieraz, może nawet nazbyt często, balowało się z tym towarzystwem, szczególnie ostro podczas: prywatek w Babilonie, gdzie mieszkało sporo dziewcząt z roku, hucznych Juwenaliów, wspólnych wypadów na studenckie rajdy, z reguły suto zakrapiane, słynnych nocnych brydżów w akademiku, czy podczas równie dobrze „podlewanych” barbórkowych knajp piwnych. Dalej utrzymywałem bliskie stosunki z moimi wypróbowanym przyjaciółmi z okresu szkoły średniej, których wspominam też w dalszej części.



Fot. nr 66. Budynek fabryczny Krakowskich Zakładów Tytoniowych (z lewej), zlokalizowany na tyłach oficyny „mojej” kamienicy z ulicy Czystej 21. Tu jego widok z wylotu ulicy Reymonta do alei Mickiewicza. (04.08.2010)

Może warto jeszcze dodać, że obecność za tylną ścianą mieszkania Krakowskich Zakładów Tytoniowych nie była jakoś specjalnie uciążliwa, choć w tym czasie był to przecież przemysłowy moloch, gdzie praca trwała na równe trzy zmiany. Może czasem dolatywały stamtąd jakieś produkcyjne zapachy, ale skutecznie czyścił je nasz podwórkowy, pełen zieleni ogród.

III. Sąsiedzi z okolicy dawnej dzielnicy Piasek



Mapa nr 1. Dawna dzielnica Piasek (fragment mapy z 1953 roku).

Może na wstępie przybliżę pojęcie dawnej dzielnicy Piasek, które jeszcze w czasach mego dzieciństwa było powszechnie używane w obiegu, choć wtedy ulica Czysta i przyległa do niej okolica już dość dawno należały do dzielnicy Zwierzyniec, jednej z pięciu obok: Starego Miasta, Kleparza, Grzegórzek i Podgórz, a od 1951 roku sześciu (po powstaniu Nowej Huty) wielkich jednostek organizacyjnych. O starym Piasku przypominały wtedy już tylko nie do końca wymienione tabliczki nad drzwiami kamienic.

Nazwa Piasek po raz pierwszy pojawia się w legendzie o cudownym uzdrowieniu Władysława Hermana, który w podzięcie miał tu, na piasku, ufundować Najświętszej Marii Pannie kościółek, najpewniej drewniany, co miało mieć miejsce w 1087 roku, ale fakt ten nie został naukowo potwierdzony. Potem nazwa ta, związana z tą okolicą, kojarzyła się głównie ze sprowadzonym tu pod koniec XIV-go wieku zakonem Karmelitów Trzewiczkowych i wybudowaną przez nich świątynią, początkowo gotycką, potem barokową. Piasek był wtedy częścią dzielnicy (jurydyki) Garbary, przez które przepływała Młynówka Królewska. Od początku XIX wieku Piasek, początkowo używany lokalnie, zastąpił dawną nazwę - Garbary, która zanika, a dziś przypomina o niej tylko nazwa ulicy i budynek dawnego ratusza (Garbar) z ulicy Karmelickiej 12.

Już w 1810 roku, kiedy przyłączono Kraków do Księstwa Warszawskiego, wchodził on w skład III dzielnicy: Kleparz, Piasek i Czarna Wieś. Potem, a od roku 1859 przez niecałe 90 lat był on już samodzielną, wielką dzielnicą Krakowa. Jako IV. dzielnica Piasek funkcjonował do 1948 roku, w tym w okresie po utworzeniu tzw. Wielkiego Krakowa w latach 1909-1915 roku i ponownym rozszerzeniu granic miasta w 1941 roku. Terytorialnie obejmował on obszar pomiędzy: Alejami Mickiewicza i Słowackiego, na odcinku od ulicy Manifestu Lipcowego (dziś Piłsudskiego, podobnie jak ulica ta nazywała się w latach 1935-39, a jeszcze wcześniej Wolskiej) do Krowoderskiej, następnie ulicą Krowoderską, zewnętrzną linią Plant wzdłuż ulic: części Basztowej, 1-go Maja (dziś Dunajewskiego), Podwale i części Straszewskiego, by zakończyć obwód wzdłuż ulicy Piłsudskiego (Manifestu Lipcowego) przy Alei Mickiewicza. W czasach od roku 1867 i jeszcze w okresie Wielkiego Krakowa fragment pomiędzy ulicami: Kapucyńską, Loretańską, Jabłonowskich, Garncarską, Wolską i fragmentem Straszewskiego należał do Nowego Świata - III. jego dzielnicy.

W II połowie XIX wieku właścicielem sporej ilości gruntów i budynków rozlokowanych wzdłuż ulicy Krupniczej był Antoni Wojczyński. To na jego gruncie, w latach 1864-68 (raczej 65-69?), wg projektu Józefa Ochmańskiego powstał budynek, który w połowie lat 80. XIX wieku został przebudowany na gmach szkolny, moją przyszłą „budę” (dawną SP nr 6), która po drodze wiele razy zmieniała swoich patronów, będąc po drodze szkołą i męską, i żeńską. Tyle tytułem wprowadzenia.

Prezentacje wybranych sąsiadów z czasów mego dzieciństwa należy rozpocząć od ulicy Czystej, może od strony Alei. W tym czasie ulica ta była w pełni przelotowa i krzyżowała się z Alejami Mickiewicza. Ruch na niej był duży, zwłaszcza po zakończeniu meczów odbywających się na stadionie Wisły czy Cracovii, kiedy na skrzyżowaniu powstawały korki i do akcji musieli wkraczać milicjanci z drogówki: z gwizdkiem w ustach, w charakterystycznych białych czapczkach z daszkiem na głowie oraz w białych rękawiczkach na dłoniach. Oprócz sporej ilości samochodów przez ulicę walił wtedy tłum rozognionych kibiców, często jeszcze żywo gestykujących, a z okien kamienic dolatywały pytania o wynik meczu i strzelców bramek. Odgłosy stadionów: doping pod adresem drużyn („Wisła, Wis-ła....” bądź „Craco-via, Craco-via.....”), wrzaski radości po zdobytej bramce, jęki zawodu po utracie bramki bądź zmarnowanej sytuacji, czy gwizdy i okrzyki pod adresem sędziego, najczęściej: „sędzia kalosz”, było tu słychać bardzo wyraźnie, bo przelatywały one bez oporu przez Park Jordana, Błonia i ogródki działkowe przyległe do Alei. We mnie, małym dziecku, budziły one jakiś dreszczyk emocji oraz pragnienie uczestnictwa w widowisku i może dlatego już niedługo potem zostałem zapiekłym kibicem piłkarskim.

W dni powszednie, zwłaszcza wczesnym rankiem, jej przepustowość była ograniczona, bo „parkowały” tu furmanki dowożące do miasta roznosiciele mleka i mięsa, a jesienią dostawców ziemniaków i innych warzyw oraz owoców. Handel swojskim mięsem i wędlinami był w tym czasie nielegalny, ale pospolity. Na mięsie nieraz pasły się muchy, ale jakoś nikt nie skarżył się warunki higieniczne, bo dostawa była prosto do domu, bez konieczności wystawiania w kolejkach. O ile dobrze pamiętam cena litra mleka, przywożonego z okolic Liszek, wynosiła około 80 groszy, a kilo wiejskiej kielbasy wiejskiej z okolic Kaszowa kosztowało 120 zł, więc niemało. Jeszcze droższa była cielęcina, po około 150 zł za kilo lub nawet więcej. Ceny sklepowe były wtedy niższe, co najmniej o połowę. Ale tyle dygresji.

Wspomnienie dawnych mieszkańców, gdzie część nazwisk też postanowiłem zakodować, a co do reszty liczę na wyrozumiałość, rozpoczniemy od strony alei Mickiewicza i gmachu pod nr 18, który zajmował Zakład Patologii Akademii Medycznej, przez nas urwisów przemianowany na „Zakład Łopatologii” i nieraz nas korciło, aby domalować te pierwsze dwie litery, ale tabliczka wisiała zbyt wysoko. Portierem i pracownikiem gospodarczym był tu pan Szczepański, charakterystyczna postać, dobrze rozpoznawalna w okolicy, który wraz z żoną i synem mieszkał w parterowym domku na końcu ogromnego podwórza, gdzie znajdowały się stajnie z maltretowanymi do celów naukowo-doświadczalnych zwierzętami: krowami i owcami oraz kotami, psami i królikami. Wjazd na rozległy dziedziniec prowadził od strony Alei.



Fot. nr 67. Gmach Instytutu (Ło)Patologii AM przy ulicy Czystej 18. Druga z prawej kamienica pod nr 16, która powstała w 1906 roku; jej projektantem był Benjamin Torbe. (08.04.2010)

Dozorcami bądź pracownikami gospodarczymi innych szkół wyższych i niższego szczebla szkół byli w tym czasie rodzice wielu moich kolegów szkolnych z „szóstki”. W starym gmachu WSR („Wysrołu”) mieszkali Michalikowie, dość liczna rodzina, w gmachu A-1 AGH Huchlowie, w Technikum Chemicznym Lamkowscy, w Instytucie Chemii UJ przy Parku Jordana Reubenbauerowie, w Technikum Mechanicznym: Kucielowie i Koralewscy, a w Technikum Energetycznym: Nenkwie i Rogowie. W budynku SP nr 94 przy ulicy Kochanowskiego 7 mieszkali i pracowali Suscy, rodzice z trzy lata młodszego ode mnie Andrzeja, jedynaka, z którym nieraz dobrze pograłem w piłkę, zwłaszcza na boiskach szkolnych znajdujących się na tyłach tej szkoły, do których najłatwiejszy dostęp był od strony ulicy Karmelickiej. Wszystkie te rodziny zajmowały mieszkania służbowe znajdujące się zwykle na parterach tych budynków bądź czasem, jak w przypadku TM, w ich przyziemiach (suterrenach).

Bardzo „ludna” była sąsiednia, trzypiętrowa kamienica pod nr 16, gdzie mieszkało sporo moich kolegów. W oficynie, na parterze mieszkali bracia Hajosowie. Była ich trójka: Kazek, Staszek i Krzysiek, a każdego z nich dzieliły ze dwa lata. Kazek, rocznik 1952, przez jakiś czas przyjaźnił się z Jackiem Gędłkiem i stąd moja bliższa z nimi znajomość. Ich ojciec, niewysoki „brzuchacz”, był kierowcą w jakimś nadleśnictwie z siedzibą na Alejach Słowackiego i jeździł nową Warszawą, często w służbowym mundurze. Matka, szczupła z kolei, nie pracowała i zajmowała się wychowaniem dzieci. Były to grzeczne i dobrze wychowane chłopaki, zawsze trzymające się razem mimo dzielącej ich różnicy wieku. Mieli duży szacunek dla rodziców i respekt przed ojcem, który widać rządził twardą ręką. Choć na pewno nie przelewało się w ich rodzinie zawsze byli czysto i schludnie ubrani, a niedziele i w święta przykładowo paradowali do kościoła w „pełnym składzie”. Miłe i sympatyczne były to chłopaki.

Kompanami Hajosów w ich kamienicy byli bracia Ryndziewiczowie, zwłaszcza młodszy Bogdan – rocznik 1954 (starszy z nich – Zdzisek - chodził do klasy z moim bratem i raczej miał swoje towarzystwo) oraz Leszek Filipowski – „Filip”. Ryndziewiczowie i Filipowski mieszkali na trzecim piętrze, a okna ich mieszkań wychodziły na ulicę. Ojciec Ryndziewiczów musiał pochodzić z kresów, może z okolic Lwowa, bo zdradzał go specyficzny wschodni dialekt, dla mnie wtedy bardzo śmieszny i nieznan. Filipowski z kolei nie miał ojca, a jego matka niezbyt przykładała się do jego wychowania, więc w późniejszych czasach miał on nazbyt wiele wolnego czasu i „twórczej” inwencji do rozrabiania. Trzeba by jeszcze wymienić jeszcze rodzinę Ślusarków, bodaj z drugiego piętra, z Maryską, moją rówieśnicą, ciekawą dziewczyną i jej ojcem, zapalonym kibicem sportowym zwykle chodzącym z młodszym synem Bogdanem oraz bezdzietne małżeństwo Wąsików zawsze wzorowo spacerujące do kościoła.

Nie sposób nie wspomnieć o znanej rodzinie Skwarczyńskich, mieszkańcach II piętra. Pan Skwarczyńskich był kierownikiem księgarni na ulicy Zwierzynieckiej, zlokalizowanej w narożu z Placem Kossaków. Wraz z żoną i synami: Jerzym i rok ode mnie starszym Janem, zawsze w niedzielę przykładowo podążali ulicą w kierunku kościoła Kapucynów i wydawali się być przykładową rodziną.

Jednak wizytówką tej kamienicy była rodzina M., a raczej ich dorodne córki zwane tutaj „Madejkami”, których było aż pięć. M. mieszkali na pierwszym piętrze, właściwie takim wysokim parterze, a okna ich mieszkania wychodziły wprost na ulicę. Tu właśnie nader często przesiadywały ich latorośle: Gośka, Mietka, Anka, Bożena i Ula, które rodziły się prawie rok po roku. To właśnie do tych dwóch najmłodszych: Bożeny i Uli, razem z Tośkiem Tyłkiem, dziś Tony Tylerem, Amerykaninem, młodszym kolegą ze skwerku, gdzieś w 1967 roku skutecznie udało mi się w życiu zaloty. Ja wprawdzie byłem bardzo nieśmiały, ale Tosiek „robił za dwóch”, bo był specem w „podrywaniu dziewczyn”. Skończyło się zaledwie na kilku randkach, ale miłe wspomnienie pozostało. Odnośnie Tośka, całe życie byłem przekonany, że jego nazwisko brzmiało Tylek, ale ostatnio na Naszej Klasie pojawił się on jako Tony Tyler, więc najpewniej po prostu je zmienił. Tosiek od ponad 30 lat nie mieszka już w Polsce, bo na stałe osiedlił się w USA. Do Anki, mojej rówieśniczki „smolił cholewki” Jacek Gędłek, mój serdeczny kolega zmarły w 2007 roku. Nie da się ukryć, że dziewczyny te przyciągały uwagę okolicznych chłopaków i śmiało można powiedzieć, że były maskotkami całej ulicy, a kontakt z nimi ułatwiał fakt, że w ich domu był zainstalowany telefon. Z tego też tytułu niekiedy płacono różne figle, czasem głupie, a niekiedy nawet grubo poniżej pasa.

Otóż pewnego razu umyśliliśmy sobie z „Grubasem” – Bruzdą, może ze szczenięcej zazdrości, że sprawimy psikusa Jackowi Gędłkowi. Opowiem tą historię, bo Jacka nie już na tym świecie, by pokazać głupotę tego cieleącego wieku. Widywaliśmy go często „kolędującego” pod oknem M. i prowadzącego intensywną konwersację z Anką, może najładniejszą z siostr. „Gruby” podszył się pod Jacka i dał głos, a ja po cichu szeptałem, co ma mówić. Były to idylliczne wynurzenia miłosne, które, co można przypuszczać, zrobiły na niej pewne wrażenie i widać „Gruby” był niezłym aktorem, skoro osiągnął taki efekt. Na końcu padła propozycja randki, którą przyjęła. Aż dziw bierze, że dziewczyna ta nie rozpoznała intrygi pewnie dlatego, że „Gruby” mówił do telefonu przez chusteczkę do nosa, jak przystało na prawdziwego detektywa. Oczywiście Jacek nie przyszedł na randkę, za co później dobrze mu się oberwało, bo zawiedziona dziewczyna nie chciała mu uwierzyć, że był to tylko czyjś głupi figiel. Niestety ten żart przerwał tak dobrze zapowiadające się ich zbliżenie, a my z „Grubym” po chwilach euforii mieliśmy potem sporego kaca. Po jakimś czasie, gdy sumienie bardzo mnie już gryzło, przyznałem się Jackowi do współwiny, nie bez kąśliwych uwag od drugiego z intrygantów. Jacek próbował wyjaśnić dziewczynie kulisy sprawy, ale ona mu i tak nie uwierzyła i tak już chyba pozostał. Ich ojciec był jakimś oficerem wojskowym w stopniu majora, chyba tzw. politrukiem. M., których nazwiska nie pora jeszcze podawać, opuścili Czystą gdzieś na początku lat 70-tych i od tej pory już ich nie widywałem.

Potem w ich miejsce wprowadziła się rodzina B. z dwanaściorciem chyba dzieci, która może mieszka tu do dzisiaj. Rodzina ta, niezwykle rozrabiacka, wg J.S., mieszkańca kamienicy, odcisnęła na jej ciekawym wyposażeniu wewnątrz znaczące, dewastacyjne piętno.

Przejdźmy do kamienicy pod nr 14. Tu na parterze, po prawej stronie sieni, przez co najmniej ćwierć wieku mieściła się jakaś spółdzielnia drukarska, zaś lewą część zajmowało mieszkanie dozorca, z jednym oknem od strony ulicy. Mieszkali tu Bombowie, taka normalna robotnicza rodzina, niezwykle zresztą pracowita i religijna. Mieli dwoje dzieci: córkę, kilka lat ode mnie starszą, bardzo podobną do matki, która z nimi mieszkała i syna, prawie tu niewidywanego. Córka miała nawet ładną buzię, ale sylwetkę nieco przyciężkawą, co może jakoś utrudniało jej znalezienie męża. Często zajmowała miejsce w oknie swego mieszkania, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę, ale bez widocznego efektu. Dlatego najczęściej widywało się ją w towarzystwie rodziców, gdy w niedzielę, jak większość mieszkańców ulicy, wspólnie paradowali na mszę do kościoła Kapucynów. Ponieważ ich mieszkanie nie było za wielkie (pokój z kuchnią), w drugiej połowie lat 70-tych zamienili się z Kopciową, mieszkanką lokalu posklepowego z ulicy czystej 8, która nie mogła wytrzymać bez Czystej i wyprowadzili się na Azory. Odtąd już ich nie widziałem i nie znam dalszych losów.

W kamienicy tej, chyba na pierwszym piętrze mieszkała Janina S., wdowa z synem Januszem, rówieśnikiem mego brata. Znałem ją dobrze, gdyż dorywczo świadczyła usługi fryzjerskie i czasem przychodziła do naszego mieszkania, by zrobić mamie „trwałą” bądź w razie chorobowej potrzeby założyć „bańki”. Na początku było więc mycie głowy na miednicy, potem strzyżenie, kręcenie włosów na wałkach i na końcu nacieranie ich jakimś śmierdzącym płynem o zapachu amoniaku, którego woń rozpoznałbym i dzisiaj. Potem głowa była okręcana ręcznikiem na jakąś godzinę lub nawet dłużej, a po upływie tego czasu wałki były zdejmowane, włosy suszone z użyciem elektrycznej suszarki, a następnie precyzyjnie układane na głowie i usztywniane. Tak spreparowane kręciołki „sterczały” potem na głowie przez tydzień. „Trwała” kosztowała chyba 120 zł, choć cała operacja, z suszeniem włącznie, zajmowała ze cztery godziny. W tym czasie następowała nieustanna „wymiana poglądów”, często o charakterze monologu, wszak pani Janina wykazywała się niezwykle elokwencją, a mamie trudno było otwierać usta. Oj nasłuchał się człek różnych opowieści, zwłaszcza w czasie jesiennych i zimowych wieczorów, kiedy nie dało się wyjść na pole. Pani S., podobnie zresztą jak moja mama, była figurantką („słupem”) w pewnej spółdzielni chałupniczej, co w tym czasie było dość powszechną praktyką i potem z tego tytułu miała wiele nieprzyjemności. W drugiej połowie lat 60-tych w wielu chałupniczych spółdzielniach wykryto ewidentne nadużycia i kilku prezesów poszło nawet za kratki, a i „pracodawca” mojej mamy tylko dzięki znajomościom w kręgach lekarskich cudem się od tego wymigał. A ja, tak mimo woli, poznałem mechanizmy ówczesnych przekrętów i stałem się świadkiem głęboko skrywanych ludzkich problemów, których, przynajmniej na razie, nie chcę ujawniać.

Pod nr 14 mieszkał też Bodzio Wcisło, kolega ze skwerku, rówieśnik z klasy B, który miał starszego o kilka lat brata Włodka. Obaj byli niezwykle sprawni fizycznie, z wielkim zacięciem do sportu. Do wszelkiej rywalizacji Bogdan podchodził niezwykle emocjonalnie i czasem, podobnie zresztą jak ja, wykazywał ogromne zacierzewienie, więc czasem skakaliśmy sobie do oczu. Jednak, gdy emocje opadały wszystko wracało do normy i znów byliśmy kolegami.

Pod nr 12 mieszkali Welniakowie, znajomi mego ojca i Czerwińscy, których syn Leszek był młodszy ode mnie ze dwa lata i chodził do szkoły podstawowej na ulicę Szujskiego. Dozorcami tej kamienicy byli Łytkowie, małżeństwa z dwójką synów, w tym starszym Waldkiem, młodszym ode mnie o kilka lat. Byli to z kolei dobrzy znajomi mojej mamy: ona pokaźnych rozmiarów kobieta, podobnie jak później Waldek, on z kolei szczupły, podobnie jak ich młodszy syn i niższy od żony, a przy tym noszący bardzo silne okulary, czym zwracał uwagę. W tej kamienicy zapamiętałem też panią Zgudowa, starszą, dystygowaną panią, która zdradzała cechy przedwojennej „paniusi”. Ta schorowana już kobieta zwracała na siebie uwagę, gdyż podczas chodzenia, które sprawiało jej sporą trudność, wyraźnie kołysała się na swoich niesprawnych, mocno wygiętych nogach, co musiało zwracać uwagę dzieciaka.

Całą lewą część parteru w kamienicy pod nr 10 zajmowali państwo Nazarewiczowie, zamożna i dystygowana rodzina z przedwojennymi korzeniami. Mieli jedną córkę Basię, bardzo podobną do matki, która właśnie wyszła za mąż i wyprowadziła się do męża, gdzieś do Huty; widywałem ją potem z dwójką małych dzieci. Bliższą znajomość z panią domu, chyba Emilią, moja mama zawarła na początku lat 70-tych, gdy już przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania pod nr 21. Wtedy zaczęła jej świadczyć drobne usługi, to sprzątając od czasu do czasu, to wykonując drobne przepierki. W tym czasie wydarzyła się tam wielka tragedia, gdy jej małżonek zasłabł i to tak nieszczęśliwie, że wpadł na zaszkłone drzwi i pokaleczył się tak dotkliwie, że zmarł w wyniku upływu krwi. Od tej pory moja mama bywała tam częściej, bo samotna gospodyni, dotąd pani domu, częściej potrzebowała pomocy, wszak otworzyła zakład kaletniczy, by godnie egzystować. Niejako w uznaniu jakości usług świadczonych jej przez moją mamę sprzedała nam wtedy, do wyposażenie nowego mieszkania, za niewielką kwotę, bodaj 1000 zł, piękne secesyjne meble, po dwie sztuki: łóżek, szaf i nocnych szafek, które długo nam służyły, jeszcze po przeprowadzce na „Kozłówek”, gdzie nijak nie przystawały do nazbyt ciasnych pomieszczeń. Nocne szafki ciągle jeszcze były zwane „nakaslikami”, co było galicyjską naleciałością.

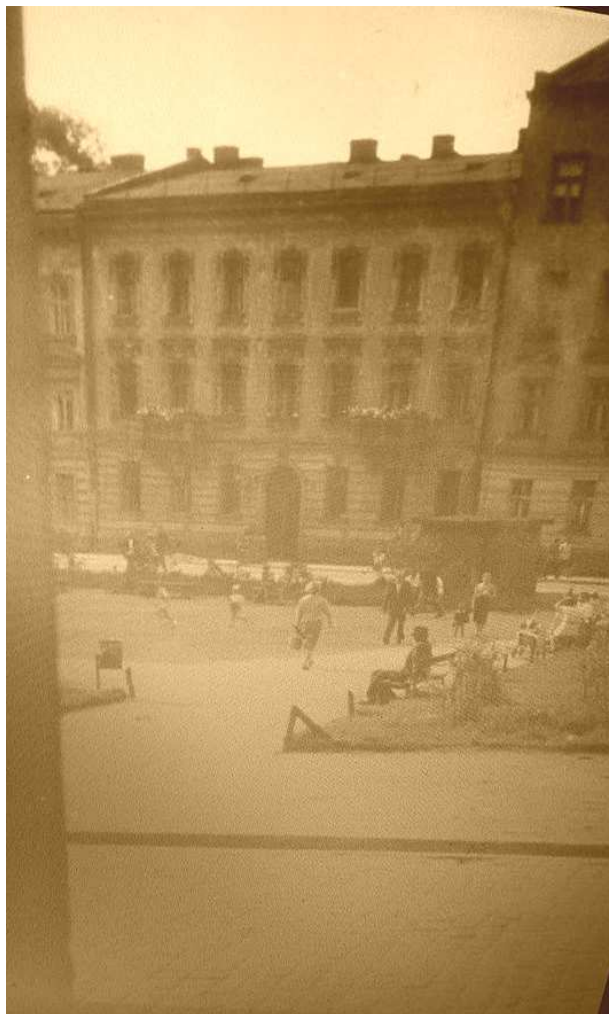
Szwagierką jej męża była Maria Nazarewicz, z domu Koechle, która w czasach mojego dzieciństwa była chyba współlokatorką w tym ogromnym mieszkaniu. Dziwnym zrządzeniem losu zamieszkaliśmy potem w tym samym bloku. Nie miała dzieci, ale w latach 60-tych opiekowała się małym Januszem, swoim bratankiem, który był moim rówieśnikiem i przez jakiś czas chodził do równoległej klasy B. Za bardzo go jednak niańczyła, a on sam żył jakby na uboczu, z dala od kolegów oraz dziecięcych uciech, może też z uwagi na fakt, że nosił silne okulary. Chyba nie był szczególnie lubiany w swojej klasie, bo wkrótce stał się tam przedmiotem kpin i uszczypliwości. Po jakimś czasie jego ciocia była zmuszona przenieść go do innej szkoły, chyba do „dwójki” na Łobzowską i wtedy gdzieś się przeprowadziła. Razem z mężem zmarli w połowie lat 80-tych, praktycznie opuszczeni przez rodzinę, w tym ukochanego przez nich siostrzeńca, który na stałe wyjechał do ojca do Anglii.

W kamienicy tej mieszkali też Serafinowie. Jan Serafin, przedwojenny jeszcze kupiec, miał sklep spożywczy na rogu ulic: Garncarskiej i Świerczewskiego 29, zaś pani Serafinowa, jego żona, była znaną akuszerką, przełożoną pielęgniarek w porodówce na Kopernika. Serafinowie mieli córkę Hankę, która w połowie lat 60-tych miała kilka lat. Tak się złożyło, że to moja dawna sąsiadka odbierała jakiś czas potem poród mojej córki, choć w tym czasie mnie już nie kojarzyła.

Kamienicę pod nr 8 i jej lokatorów opisałem już rozdziale II, podobnie jak i charakterystyczne postacie związane z sąsiednim gmachem należącym do Związków Zawodowych.

W wielkim, narożnym budynku z ulicą Skarbową (Skarbowa 2), siedzibie Związków Zawodowych, do początku lat 60-tych „rządził” pan Włodarczyk, który pełnił tu funkcję dozorca oraz portiera i mieszkał wraz z rodziną na parterze tego gmazyska, po prawej stronie od wejścia. Był to człowiek niezwykle sumienny, a przy tym i rozmowny, więc wszyscy dobrze go tu znali i lubili, a sam nawet szybko zaprzyjaźnił się z moim ojcem. Pewnego poranka, może w 1962 roku, rozeszła się wiadomość, że pan Włodarczyk zmarł nagle na serce. Jego miejsce zajął niejaki Sobojko, ale był to już inny typ człowieka: nadmiernie służalczy, czasem nawet złośliwy i mało komunikatywny, bo dziwnie mówiący łamaną polszczyzną.

Na początku lat 60-tych w budynku tym, chyba na pierwszym bądź drugim piętrze, wyświetlano darmowe filmy oświatowe dla młodzieży, tzw. „oświatówkę”, obowiązkowe poprzedzane powszechnie lubianą Polską Kroniką Filmową, których projekcje cieszyły się ogromną popularnością i nie zawsze starczało miejsca dla wszystkich chętnych. Takie to były czasy głodu kulturalnego, zjawiska trudnego dziś do wyobrażenia, gdy telewizor był wyjątkowym rarytasem.



Fot. nr 60a. Plac Hanki Sawickiej wg stanu z okolic połowy lat 50. Z prawej widać jeszcze kiosk spożywczy, który na początku ulicy Czystej funkcjonował gdzieś do początku lat 60.

Zdjęcia przekazane mi przez Adama Wyrobka zostało wykonane z parteru kamienicy z ulicy Krupniczej 28, gdzie mieszkał on razem z rodziną.

Na końcu ulicy Czystej w tym czasie funkcjonował Plac Hanki Sawickiej, de facto Anny Szapiro, dawnej krakowianki, której to nazwisko współczesnym historykom IPN staje w gardle niczym przysłowiowa ość. Nie wdając się w zagłębianie i opisywanie jej komunistycznej przeszłości i jej nazbyt skrajnych poglądów politycznych, pragnę jedynie zwrócić uwagę tym panom, w większości młodym, którzy dziś są odważni z za biurka, że mimo wszystko oddała ona swoje młode życie w walce z hitlerowskim najeźdźcą i choćby sam ten fakt zasługuje bodaj na refleksje. Plac ten, zwany przez nas „skwerkiem”, powstał w miejscu i najbliższym otoczeniu tzw. Dolnego Młyna, sześciopiętrowego kolosa, kiedyś zasilanego wodami Młynówki Królewskiej, który był usytuowany w narożu ulic: Dolnych Młynów i Krupniczej. Jego wyburzenie, rozpoczęte tuż przed II wojną światową, zostało zakończone już w okresie okupacji. To od jego drewnianego poprzednika zaczął się tragiczny pożar w roku 1850, który zniszczył znaczną część miasta: z fragmentem Rynku oraz kościołami Dominikanów i Franciszkanów oraz pałacem Biskupim włącznie.

Może warto przypomnieć jego późniejsze losy. Juliusz Demel w swej książce "Pożar Krakowa 1850 roku" pisze, że po owym kataklizmie spalone mury młyna przez piętnaście lat sterczały w stanie ruiny, zawilgocone i popękane. W 1858 r. naprawiono koło nich zniszczony mostek drewniany na Młynówce oraz uszkodzenia w drewnianym ocembrowaniu jej brzegów. Magistrat chciał odkupić od skarbu państwa zrujnowany budynek, głównie celem umożliwienia regulacji ulicy Krupniczej, ale wszczęte w tym kierunku rozmowy nie doprowadziły do porozumienia.

Dalsze dzieje uzupełnia Władysław Bodnicki w swej książce „Muzy na Krrupniczej”. W roku 1864 mocno zniszczony obiekt nabyła spółka: D. Rappaport, H. Eibenschutz i M. Schonberg. Pozostałe po pożarze mury zostały nadbudowane o dwa piętra w stylu neogotyckim przez inż. Kołodziejskiego. W tak odbudowanym, trzypiętrowym obiekcie, nie licząc poddasza, w roku 1865 został uruchomiony młyn wodno-parowy, dysponujący nowatorskim jak na te czasy wyposażeniem. Obiekt nie miał jednak szczęścia i dnia 02.01.1867 rok znów spłonął doszczętnie, tym razem bez konsekwencji dla okolicznej zabudowy. Po pożarze młyn został odbudowany do widocznej na archiwalnej fotografii postaci, ale zmieniła się jego funkcja. Jego prawe skrzydło zostało zajęte na magazyny mundurowe i składy pościeli zapewne dla pobliskiego garnizonu z ulicy Rajskiej, zaś lewe zajął Franciszek Wessely, który uruchomił tu wielką pracownię ślusarską.

Młyn (fot. nr 168) z czasem opustoszał i w latach międzywojennych ponownie popadł w ruinę. Jego wyburzenie zostało rozpoczęte niedługo przed II wojną światową i zostało ukończone już w czasie okupacji. Na odgruzowanej przestrzeni w czasach PRL powstał plac Hanki Sawickiej, który dotrwał do końca czasów PRL. W latach 90. we fragmencie placu dobudowane zostało skrzydło powstającego tu nowego oddziału szpitala im. Józefa Dietla, który wchłonął też dawny gmach Izby Skarbowej, a nowy obiekt został uruchomiony w roku 1998. Dziś ostały fragment placu, pokryty betonem, ma za patrona księdza Mieczysława Kuznowicza.

Warto jeszcze dodać, że do kompleksu Dolnego Młyna, który posiadał nr 23, pod nr 25 przylegała tzw. „Rejówka”, skromny piętrowy budynek wybudowany przez Mikołaja Reya, znanego działacza ludowego. Po jego śmierci przeszedł on na własność Opieki Społecznej Zarządu Miasta jako część Bursy im. Andrzeja Potockiego. Budynek został najpewniej wyburzony razem z Dolnym Młynem.

Pod nr 27 do końca lat 20. stał dom, w którym mieścił się zakład św. Jadwigi, dający schronienie młodym robotnikom pozbawionym domu rodzinnego. Zakład w tym miejscu nie trwał długo, bo po wytyczeniu w roku 1925 ulicy Skarbowej został wyburzony, a w jego miejscu w roku 1927 powstał wielki gmach Izby Skarbowej.

Z kolei pod nr 29 stał piętrowy budynek Bursy im. Andrzeja Potockiego, który w roku 1907 przejął ksiądz Mieczysław Kuznowicz i uruchomił tu Związek Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej Pod Wezwaniem św. Stanisława Kostki. Dom dotrwał do roku 1929, kiedy został wyburzony w związku z rozbudową nowego gmachu Bursy. Przed budynkiem stała w tym czasie figura Matki Boskiej z dzieciątkiem autorstwa Franciszka Wyspiańskiego. Tyle historii.

Pora przejść na drugą stronę ulicy i zacząć opis kamienic od strony ulicy Dolnych Młynów. W budynku narożnym pod nr 1, nad samym barem „Górnik”, w połowie lat 60-tych zamieszkiwał Marek Czepan, mój szkolny druh. Jego matka była pielęgniarką, a rodzina ta skądś przybyła, chyba z kieleckiego i nie zabawiła tu zbyt długo, bo opuściła Kraków jeszcze przed 1968 rokiem. Było to ogromne, trzypokojowe mieszkanie, a salon, który był zakończony balkonem, sterczącym nad barem, wręcz wielki.



Fot. nr 68. Wierzyć się nie chce, że do co najmniej połowy lat 70-tych placyk ten, nazwany po wojnie placem Hanka Sawickiej (dziś ks. Kuznowicza), zwany przez nas skwerkiem, tętnił życiem, bo kłębiła się tutaj od okoliczna młodzież. (16.10.2008)

W kamienicy tej mieszkał Andrzej Nanowski, pucułowaty grubasek, szkolny kolega Krzyska Gędłka, wtedy aktywny ministrant, a później ksiądz kapucyn, który nie tak dawno zginął w trakcie wyprawy w Alpy Francuskie. Jego przybocznymi przy kościelnym ołtarzu byli: Jurek (?) Lorens i Krzysiek (?) Chorąży, jego szkolni koledzy. Przez długie lata był to nierozłączny tercet, a ich zainteresowania były wtedy pozaziemskie. Tak się dziwnie złożyło, że Chorąży, być może też mieszkaniec tej kamienicy, pracował później, jako chorąży, na posterunku MO na ulicy Batorego, a więc w jakże ziemskiej rzeczywistości. W tej ogromnej czynszówce mieszkał też „Jasiu” Nowiński, można by rzec mój starszy znajomy z pobliskiego skwerku. Tak się złożyło, że ja mały urwis już na początku lat 60. grywałem tu z jego rówieśnikami w gumiankę, wśród których on wyraźnie się wyróżniał. W tym okresie najczęściej pełniłem funkcję bramkarza, bo byłem wtedy zbyt mały i drobny, by stawiać czoła wyrosniętym dryblasom. Jasiu, bardzo ułożony chłopak, potem student Wydziału Górniczego AGH, wybornie jeździł też na łyżwach i czasem widywałem go na Sokole.

Pod „trójką”, na drugim piętrze mieszkał Jacek Radwanowski, kolega ze skwerku, których chodził do SP nr 4 na Smoleńsk, a także niski, zaczesujący do tyłu swoje liczne, czarne włosy jegomość, który był właścicielem szpanerskiego jak na te czasy samochodu marki Renault: niewielkiego, czterodrzwiowego. Na jego zderzakach próbowaliśmy się czasem huścić, by sprawdzić jakie miękkie są jego resory i były to wtedy dość powszechne zachowania, za które można było nieźle oberwać. Dziś wiem, że był to pan Kazimierz Gazda, który ze słynnym kolarzem o tym samym imieniu i nazwisku nie miał nic wspólnego.



Fot. nr 69. Część ulicy Czystej o nieparzystych numerach – widok z narożnika z ulicą Dolnych Młynów, gdzie na początku lat 60-tych stał ów kiosk spożywczy. (13.09.2010)

Jacek był typem miejscowego amanta, który „chodził” bądź „kręcił” z wieloma dziewczynami, a dla szpanu często defilował z nimi po skwerku.

Pani Małgorzata W. spod nr 3 przekazała mi również, że w czasie okupacji mieszkał tu Włodzimierz Puchalski, słynny przyrodnik i fotograf.

W podwórku kamienicy pod nr 5 mieściła się wytwórnia lodu, który wywożono stąd w wielkich, prostopadłościennych kawałach, by zasilać nim przewożne wózki z lodami i niektóre lady sklepowe. O ile mnie pamięć nie myli wytwarzano tu też zwykłe lody w kubkach, które potem sprzedawano w gałkach na mieście. Mieszkał tu Rysiek Jaroszewski, przezywany „Kogutem”, nasz dobry znajomy, bo kompan ze skwerku, z którym razem uganiał się za „gumianką” i kopaliśmy w piłkę na Błoniach. Jego nieodłącznym kolegą był w tym Rysiek Kosarz (?), który mieszkał bodaj w piętrowym domu przy ulicy Dolnych Młynów 3.



Fot. nr 70. „Moja” ulica Czysta, przy której, w kamienicach pod nr: 8 (obecnie szpetnie nadbudowanej) i 21, mieszkałem 23 lata. Widok na pierzeję o parzystych numerach.

Parter kamienicy pod nr 7 zajmował Elektromontaż, a jego portierem był wspomniany już dziadek Pieniążek, tragiczny „amant” Kunegundy B. spod nr 21, który tu miał swoją dozorcówkę.

Pod nr 9, w głębi niewielkiego ogrodu, za drewnianym płotem na podmurówce stał jednopiętrowy domek, pewnie jeszcze z metryką z II połowy XIX wieku, kiedy ulica ta była kartofliskiem. Został zburzony na początku lat 80. i zastąpiony od frontu ulicy nowym, ale niezbyt pięknym budynkiem, w którego parterowej części aktualnie znajdował się sklep spożywczy. Na parterze tego starego domu mieszkali Wojtyczowie, małżeństwo z dwójką synów. Krzysztof, nieco starszy, urodzony w roku 1946, ukończył Technikum Energetyczne, a następnie Wydział Elektryczny AGH i na początku lat 70. został nauczycielem w pracowni elektrycznej swojej szkoły średniej, do której wtedy i ja uczęszczałem. Z Krzysztofem nawiązałem kontakt pod koniec listopada 2021 roku, kiedy po przeczytaniu moich wspomnień przysłał mi sympatycznego maila i wtedy m.in. podał mi kilka szczegółów na temat historii tego domu. Jego parter zajmowała jeszcze ekspozytura Wydawnictwa Nasza Księgarnia, którą prowadził redaktor Mieczysław Stefanowicz. Z kolei piętro zajmowali Włodkowie, jej ostatni właściciele, wywodzący się ze znanej krakowskiej rodziny, która m.in. zajmowała pałac usytuowany naprzeciw kościoła św. Floriana: Andrzej (1936-1990), Edward – „Dzidek” (1938-2005) oraz Stanisława Włodkowa-Czaplicka-Raniecka (1911-1997), ich matka. Przez lata nieremontowany domek powoli zaczął się sypać, a potem, obciążony kosztami remontu, został wykupiony przez SM Piast, która mieszkańców wykwaterowała, dom wyburzyła, a w jego miejscu postawiła od frontu wspomnianą już plombę.

Krzysztof był luzakiem, ale przede wszystkim turystą pełną gębą, który pisał też przewodniki po okolicach Krakowa. Z kolei Janusz, jego młodszy brat, rok ode mnie starszy, był niezwykle zaangażowanym harcerzem. Harcerstwo było jego powołaniem, podobnie zresztą jak i jego starszego brata. Ich rodzice byli niezwykle szanującymi się ludźmi i stanowili przykładną parę; zawsze chodzili razem, trzymając się pod rękę. Pani Wojtyczowa miała niełatwe zajęcie, bo pracowała za ladą w masarni Synowca naprzeciw kościoła Karmelitów. Niestety nigdy nie poznałem bliżej Janusza, bo on zawsze żył harcerstwem, a mnie jakoś tam nie ciągnęło. Jedynie przez krótki okres czasu, gdzieś w trzeciej klasie, może tylko przez dwa zimowe miesiące, uczęszczałem na zajęcia szkolnego koła Zuchów, takiego przedharcerskiego przedszkola, ale ta organizacja jakoś nie wzbudziła we mnie większego do niej pociągu.

Krzysztof i Janusz Wojtyczowie początkowo należeli do 23 KDH (Krakowskiej Drużyny Harcerzy przy SP nr 6), a potem przez długi okres czasu udzielali się w 19 KDH – Lotniczej. Znanymi w SP nr 6 aktywistami harcerskimi, związanymi potem z nowym lokalem przy ulicy Dolnych Młynów 10, byli m.in.: Mikołaj Kornecki i Staszek Gancarczyk, szkolni koledzy mego brata. Tego drugiego często spotykałem potem nad Rabą, gdzie odpoczywał wraz z żoną, dwójką dzieci i psem, sam zajęty łowieniem ryb. Harcerski styl bycia najwyraźniej pozostał mu we krwi.

Świetlane czasy dla naszych szkolnych harcerzy nastąpiły po połowie lat 60-tych, kiedy Krakowskie Zakłady Tytoniowe przekazały na szkolną harcówkę kilka pomieszczeń od strony ulicy Dolnych Młynów, przy wylocie ulicy Rajskiej. Było tu wtedy niezwykle ludno, więc na pewno i nienudno. Jako druhowie na dłużej zaangażowali się tu moi klasowi koledzy: Zbyszek Kołodziej - „Spytek”, Józek Zubel - „Zub” oraz Maciek Ścigalski, a także Jasiu Guśpiel i chyba Staszek Wojnowski, koledzy z wyższej klasy. W kole tym, „Szarej Siódemki”, działali też starsi druhowie spoza naszej szkoły oraz jakiś harcmistrz, a ich wspólne działanie było na tyle skuteczne, że w niejednym z podopiecznych na trwale zaszczepili harcerskiego bakcyła. Dziś nie ma już śladu po owej harcówce, której nazwa brzmiała „Gawra”, choć egzystowała ona jeszcze w latach 80-tych.

Wielu mędrków twierdzi dziś, że w ówczesnym harcerstwie, a więc w ZHP, działały „same komuchy”, czyli osoby „zбочzone” ideologiczne, co jest totalną bzdurą. Podejrzewam, że było tam wtedy więcej oddanych i bezinteresownych ludzi niż obecnie, co widziałem na własne oczy jako chłopak niezwiązany z tym ruchem. Ci idealisci po prostu chcieli dawać dzieciom wolność, radość i możliwość sprawdzenia się w niełatwych, obozowych warunkach i nieraz sam zazdrościłem im tych letnich wyjazdów. Tacy Wojtyczowie i im podobni, prawdziwi pasjonaci, którzy nie działali przy błyskach fleszów, ale w zaciśnięciu, z potrzeby ducha, stanowili zdecydowaną większość pośród druhow, choć oczywiście i w tym ruchu musiały się przytrafiać jakieś czarne owce, zważywszy na istniejącą wówczas rzeczywistość. To w dzisiejszym harcerstwie często widzi się więcej nadęcia, patosu i koterii, niż poczucia autentycznej służby.



Fot. nr 71. To właśnie w tym fragmencie budynku, przynależnym do Krakowskich Zakładów Tytoniowych, mieściła się harcówka „Gawra”, miejsce kiedyś bardzo popularne wśród miejscowej młodzieży szkolnej. (18.08.2010)

Pora przejść do opisu kamienicy pod numerem 11, dla mnie szczególnie ciekawej, bo znajdującej się naprzeciwko „mojej ósemki”.

Na parterze mieszkała rodzina Dycyanów, nazywana Dycjanami. Zajmowali oni cały parter po prawej stronie od wejścia, więc pewnie trzy pokoje z kuchnią i jak się wydawało była to przykładowa rodzina. „Starzy” Dycyanowie, jak się na nich mówiło, byli wiecznie zapracowani i nigdy nie mieli czasu dla swojej najmłodszej latorośli, jedynego syna Jacka (rocznik 1952), który tak naprawdę wychowywał się na ulicy. Jacka („Dycka”) dobrze znałem jako: sąsiada z naprzeciwka, kolegę z ławy szkolnej, gdyż przez rok chodził ze mną do jednej klasy, ale przede wszystkim jako kompana bądź rywala z boisk sportowych, gdzie spotykaliśmy się nagminnie.

Józef Dycyan, ojciec Jacka, był kiedyś piłkarzem Cracovii, prawoskrzydłowym, ale nie zdobył szczególnej sławy, choć z racji szybkości, przynajmniej wg słów Jacka, nazywano go ponoć „strzałą”. Wg Czesława Rajtara był raczej graczem rezerwowym, niezbyt często wybiegającym w pierwszej jedenastce. Jego kariera przypadała na czasy powojenne, gdy w słynnej wtedy drużynie „Pasiaków”, wielokrotnego mistrza Polski, grały m. in. takie sławy, jak: Władysław Gędek - jego sąsiad z naprzeciwka, Rybicki, Glimas, Parpan, Kaszuba, wspomniany Rajtar, Bobula, bracia Jabłońscy czy bracia Różankowscy, więc trudno się dziwić, że w takiej drużynie ciężko było o miejsce w podstawowym składzie. Nie zmienia to jednak faktu, że dla Cracovii strzelił chyba kilkanaście bramek, choć może część dla rezerw tego klubu. W czasach mojego dzieciństwa był chyba kierownikiem sklepu i z reguły przychodził późno do domu. Nie wiem czemu, ale nawet w wolnych chwilach tylko z rzadka zajmował się Jackiem.

Obowiązkowo chodził za to na mecze piłkarskie, zarówno jego Cracovii, jak i Wisły, dokąd najczęściej maszerował sam ze zwiniętym rulonem gazety w ręce, służącym do podkładania pod siedzenie bądź ze swoim zięciem. W tym czasie Jacek chodził na mecze już we własnym towarzystwie. Seniorka Dycjanka, której imienia nie pamiętam, miała być choreografem i jeszcze rzadziej bywała w domu. Widać było, że żyła pracą i jakby nie dostrzegała problemów, które z czasem narastały wokół jej syna, wszak powoli stawał się coraz większym urwisem i leserem.

Oprócz Jacka, popularnego w okolicy „Dycka”, Dycyanowie mieli trzy córki o sporej różnicy wieku: Marylę, Janinę i Ewę, która była starsza od swego brata o jakieś pięć lat. To właśnie najmłodsza siostra najbardziej starała się wpływać na brata i interesować się jego losem oraz zachowaniem, ale z czasem i ona straciła jakiegokolwiek na niego wpływ, wszak niebawem wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu rodziców. Najstarsza córka, dawno zamężna, w tych czasach nie mieszkała już w rodzinnym mieszkaniu. Obie wyżej wymienione córki były bardzo podobne do matki, inaczej niż średnia, która była chuda niczym patyk i na dodatek czarnowłosa. Nie da się ukryć, że była najmniej urokliwą z sióstr i może dlatego została w rodzinnym domu. Gdzieś w połowie lat 60-tych wyszła za mąż za kierowcę Żuka i zajmowała mały pokój z jednym oknem, zlokalizowany najbliżej sieni. Zabawna to była para, bo jej mąż był od niej niższy o pół głowy, ale jak się wydaje dobrze dobrana, bo przez lata bardzo się szanująca i tworząca prawdziwą rodzinę, zwłaszcza po nierychłych narodzinach dziecka. Jej mąż też był zagorzałym kibicem piłkarskim i potem często chodził na mecze razem z teściem.

Jacek, chłopak przездolny i o nieprawdopodobnym talencie sportowym, żył jakby na przekór rodzicom, co chwila dorzucając im nowych problemów i przykrości. W tym domu, swoistym matriarchacie, w którym wyraźnie dominowały kobiety, był rodzinnym „kanockiem”, zawsze rozpieszczanym ponad wszelką miarę, co z czasem zaczął skrzętnie wykorzystywać, chcąc być zawsze w centrum uwagi rodziny, nawet świadome działając przeciw sobie. Nie wiem czy skończył nawet podstawówkę, ale jeśli nawet, to po drodze zaliczył przynajmniej ze dwie odsiadki. Kariery sportowej też nie zrobił, bo nie miał ambicji i cierpliwości, a wszystkim jakby się bawił, by tylko udowodnić innym, że i tu jest najlepszy. Gdy w jakiejś dyscyplinie osiągnął już wysokie umiejętności porzucał ją i flirtował z inną. Był piłkarzem i hokeistą Cracovii, szczypiornistą Wawelu, wspaniale jeździł na nartach i łyżwach, na których nawet wykonywał skoki figurowe, szybko biegał na bieżni, wysoko i daleko skakał, był niedościgniony na rowerze i na basenie. Widywałem go też daleko skaczącego na nartach na zboczu pod Kopcem Kościuszki. Wszędzie osiągał znakomite wyniki, choć o dziwo nie miał specjalnych warunków fizycznych. Tak niepostrzeżenie, miło i beztrudnie, minęło mu dzieciństwo i młodość. Potem stał się frustratem bez recepty na życie, notorycznym źródłem zmartwień dla całej rodziny, na której był utrzymaniu. Nie podjął chyba żadnej pracy, związał się za to z miejscowymi lumpami i rozrabiał na dyskotekach i imprezach sportowych.

Sam byłem świadkiem jednego z takich jego „wypadów”, co miało to miejsce w jesieni 1973 roku, kiedy byłem już studentem Wydziału Górniczego AGH. W klubie Rotunda Jacek zaczepił jakiegoś Bogu ducha winnego chłopaka i pod byle pretekstem uderzył go pięścią w twarz, a potem, gdy ten chciał się bronić, schował się za plecy „Krzyżaka”, kolegi szkolnego mego brata, który z uwagi na posturę był jego „ochroniarzem” do wyrównywania wszelkich porachunków. Zrobiła się niezła zadyma, ale Jacek przyglądał się już tym wydarzeniom z bezpiecznej odległości, skąd wydawał tylko „Krzyżakowi” bojowe komendy. Nie pamiętam już dokładnie, kto jeszcze należał do tej grupy „zadymiarzy” pod przywództwem „Dycka”, ale był to „zespół” z okolic naroża ulic: Garncarskiej i Cybulskiego, gdzie mieszkała liczna paczka dawnych szkolnych kolegów mego brata, z masywnym „Krzyżakiem” i „cherlawym”, ale zadziornym Muńkiem Siemińskim na czele. Jak burzliwe było jego krótkie życie, tak tragiczny był jego koniec. Zachorował na raka płuc i po kilkuletniej walce z chorobą zmarł w dniu 25.07.1978, gdy miał dwadzieścia sześć lat. Jeszcze w połowie lat 70. widywałem go na basenie Cracovii i wtedy miał już na piersiach prostokątne odciski, ślady po radioterapii. Sam byłem dużym talentem sportowym, ale takiego samorodka nigdy w życiu nie spotkałem. Gdyby mu starczyło cierpliwości i motywacji do pracy nad sobą, nawet w tak krótkim życiu mógł stać się wielkim sportowcem i wiele osiągnąć.

Ciekawe było drugie piętro tej kamienicy. Po lewej stronie mieszkała rodzina F., niezwykle przykładna, kulturalna i religijna, z trójką dzieci: dwoma synami i córką pośrodku. Między najstarszym Andrzejem, a najmłodszym Krzyskiem, który był młodszy ode mnie o dwa lata, była spora była różnica wieku, na pewno z dziesięć lat. Pośrodku była córka Anna, urodzona około 1950 roku, ładna, zgrabna i ułożona dziewczyna, zawsze widywana blisko rodziców. Do końca mojego pobytu na Czystej była jeszcze panną, ale dziś wiem, że wyszła za mąż i zrobiła karierę medyczną. Z kolei najstarszy ich syn, przystojny i wysoki brunet, był zapalonym grotolazem i wspólnie z Mariuszem Szelerewiczem oraz jego bratem Januszem, kolegami z piętra, bez reszty poświęcał się swojej pasji, której oddawał każdą wolną chwilę. Nieraz widywałem ich obładowanych w specjalistyczne sprzęty, gdy wypuszczali się „w teren”, zwykle w Jurę Krakowsko-Częstochowską. Krzysiek chodził do mojej podstawówki i był kolegą klasowym Jacka Siedleckiego, sąsiada spod nr 8, stąd miałem z nim pojedyncze kontakty, ale nie za częste, bo z reguły i on przebywał blisko rodziców, a sporą część wolnego czasu spędzał w domu, często wyglądając na ulicę przez okno. Tak to przynajmniej wyglądało z mojej pozycji łagodnego urwisa, który spędzał większość czasu na „podwórku” i „ulicy”.

Dwa pokoje pośrodku piętra zajmowali Feldmanowie. Szczególne było to małżeństwo: prawdziwie chrześcijańskie, żyjące we wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Pomimo niełatwych czasów przekazali oni swym dzieciom, synom: Wieśkowi i Bogdanowi, nienaganne standardy wychowania. Nieraz obcowałem z obydwojema z nich, zwłaszcza z młodszym ode mnie o rok Bogdanem, chłopakiem niezwykle usportowionym i mogę jednoznacznie potwierdzić, że byli nielicznymi spośród moich rówieśników, od których zawsze można się było uczyć dobrych manier.

Wiesiek, kolega z klasy mego brata, zawsze był typem intelektualisty, który choć bardzo żył sportem, to tylko jako zagorzały kibic, bowiem do gry nie miał powołania i jako gracz nigdy się szczególnie nie udzielał. Zawsze, razem z ojcem, chodzili za to na wszelkie mecze sportowe, a była to charakterystyczna para, gdyż obaj byli niskiego wzrostu. Niska zresztą była też pani Feldmanowa i tylko Bogdan był od nich sporo wyższy. Wiesiek, z wykształcenia polonista, był do niedawna kierownikiem Biblioteki PAN na Sławkowskiej. Utrzymuję z nim sporadyczny, ale zawsze serdeczny kontakt i wiem, że jest już na emeryturze.



Fot. nr 72. Kamienica spod nr 11 po odbytych właśnie remoncie, który nie obył się bez jej szpetnego jej podwyższenia.

Osobne słowa należą się jednak Bogdanowi. Mogę śmiało rzec, że w pewnym okresie mego dzieciństwa, gdzieś od roku 1965 po początek lat 70-tych, był moim przyjacielem. Najpierw grywaliśmy na przyszkolnym podwórku i na skwerku w „gumiankę”, potem od 1968 roku „cieliśmy” w piłkę ręczną w młodzikach Wawelu, gdzie ja byłem rozrywającym, a on kołowym. Pod życzliwym okiem mgr Juliana Adamskiego stworzyliśmy tam grupę żytych z sobą adeptów szczypiorniaka, choć bez wielkich osiągnięć sportowych. Oprócz mnie i Bogdana w pierwszej siódemce grali wtedy: Jurek Godfryd (prawe skrzydło), Andrzej Płonka (lewe skrzydło), Paweł Stempski (bramkarz) oraz zawodnicy drugiej linii: Adam Tomczyk (prawa strona) oraz Romek Bocheński (lewa strona).

W tym czasie często chodziliśmy razem na mecze piłki ręcznej I ligowego AZS i mistrzyń Polski Cracovii, mecze piłkarskie Wisły i Cracovii, a ponadto na mecze hokejowe Cracovii, rozgrywane na lodowisku Olszy. Na jednej z hokejowych potyczek, kiedy staliśmy za bramką, krążek uderzony bodaj przez Migacza prześlizgnął się przez ochronną siatkę i ugodził Bogdana tuż nad nosem i to tak nieszczęśliwie, że niezbędne było założeniu kilku szwów. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby krążek poszybował nieco niżej. Myślę, że ta „pamiątka” do dzisiaj przypomina Bodziowi o tych mimo wszystko szczęśliwych i beztrudnych chwilach z dzieciństwa, choć sam incydent na pewno nie był miły.

Różnieliśmy więc w piłkę, to razem w drużynie, to przeciw sobie, ale zawsze z wielkim zaangażowaniem, bo obaj przeżywalismy sport tak naprawdę, z ambicją i chęcią bycia lepszym, ale po opadnięciu emocji śmialiśmy się z własnego zaciętrzewienia i obiecywaliśmy sobie rewanż. Kiedy wyprowadziłem się na Kozłówek, a Bogdan do swojej żony, przestaliśmy się widywać i spotkaliśmy się dopiero, przypadkowo zresztą, w 2005 roku, w dzień przed pogrzebem ich ojca. Nie mogliśmy się wówczas nagadać o starych dobrych czasach, za którymi obaj odczuwamy wielką nostalgię.

Obok Feldmanów, w prawym fragmencie drugiego piętra mieszkali Szelerewiczowie. Senior Szelerewicz, już jako wdowiec z synem Mariuszem, ożenił się powtórnie i miał z drugiego małżeństwa jeszcze dwoje dzieci: Janusza i Ryśka, a może tylko Ryśka. Jego druga żona była kobietą bardzo opiekuńczą i poświęcała się tylko wychowywaniu dzieci. Pasją pana Szelerewicza była jazda starych motocyklach i nieraz widywaliśmy go ubranego w skórzany, przedwojenny uniform, rękawiczki i okulary, kiedy z dumą zasiadał do swojej starej BEEM-ki, w której tylne siedzenie było znacznie wyższe niż to przednie. Kiedyś znaleźliśmy się bardzo dobrze, bo mój brat chodził do klasy z Januszem, średnim z chłopaków, a w pewnym okresie bardzo się nawet z nim przyjaźnił. Moja mama i matka Janusza bardzo się wtedy polubiły i ta znajomość przetrwała próbę czasu.

Mariusz pospołu z Andrzejem F., kolegą z piętra, z czasem stali się wytrawnymi fachowcami od zgłębiania tajemnic podziemnego świata, odkrywając wiele nowych tras i wykonując wiele pionierskich przejeżdż, m.in. w Jurze i Tatrach. Szczególnie jednak wstawili się odkryciem nowej odnogi w Smoczej Jamie, o czym szczegółowo rozpisywała się prasa. Z czasem Mariusz zaraził pasją swego brata Janusza i eksploracja jaskiń stała się rodzinną specjalnością. Ja osobiście najlepiej poznałem najmłodszego Ryśka, bliskiego kolegę Jacka Siedleckiego, z którym parę razy odbyliśmy wspólne rajdy rowerowe w okolicy Krakowa. Rysiek okazał się niezwykle równym chłopakiem, z którym nigdy nie było żadnych zadr.

Z kamienicy pod nr 13 zapamiętałem małżeństwo Nikielskich, rodziców dwójki chłopaków: Bogdana (rocznik 1955) i pewnie jeszcze młodszego o dwa lata Marka. Oboje byli niskiego wzrostu, a ponadto ich mama rzucała się w oczy charakterystycznymi blond włosami. Był czas, gdzieś niedługo po roku 1965, że z Bogdanem często grywaliśmy na skwerku w gumiankę, bo on dobrym piłkarzem, najlepszym w swojej klasie. Do popołudnia obaj bracia byli puszczani „samopas”, skąd brała się też częsta obecność Bogdana na skwerku, bo ich rodzice po prostu dość długo pracowali.

W tej czynszówce, wybudowanej w 1900 roku i posiadającej też spore podwórko, zresztą jak ich zdecydowana większość kamienic na tej ulicy, na trzecim, ostatnim piętrze od strony podwórza mieszkali też Irena i Tadeusz Białasowie, które to postacie przybliżył mi ostatnio Wojciech Tadeusz Bednarski, prawnuk założyciela parku w Podgórzu, a mój nie aż tak odległy kuzyn. Niedawno dowiedziałem się, że Wojciech Bednarski, założyciel podgórskiego parku i moja praprababka Józefa, żona Andrzeja Grabowskiego z Bilczyc, byli rodzeństwem i pochodzili z Kunic koło Gdowa. Otóż Państwo Białasowie byli jego dziadkami, a ponadto (o czym już wcześniej wspominałem) jego Babcia i znana mi dobrze Anna „Perzystowa” spod „ósemki” były siostrami, które wychowały się w sąsiedniej kamienicy pod numerem 15, skąd wywodzili się ich rodzice, państwo Ziębowie.

Dziadkowie jego Mamy mieszkali tam, pod „piętnastką”, od dekad, a Jan Zięba, o którym wspomina Wojtek, jego prawnuk, był muzykiem wojskowym. Ziębowie mieli kilkoro dzieci: wspomnianą już Annę (Perzestową), zwaną w rodzinie Andzią, Zofię (po mężu Nowak – też mieszkała na parterze kamienicy pod nr 15), Janinę (po mężu Polewka), Edwarda i Irenę (Białasową), jego Babcię. Jego Mama, która mieszkała tu do roku 1964, miała na imię Zofia, a jej siostrą była Wacława („Wacka”). Wojtek często na Czystej bywał i świetnie pamięta tutejsze realia, zwłaszcza z lat 70-tych, bo jest od ode mnie młodszy o kilkanaście lat. Tadeusz Białas miał stolarnię na podwórku kamienicy pod nr 15, można by rzec familijnej jego żony i choćby z tej racji był znaną postacią na ulicy. Tyle uzupełnienia dzięki przekazowi Wojtka, którego miałem przyjemność poznać za pośrednictwem FB.



Fot. nr 73. Archiwalne, bo pochodzące z około 1915 roku zdjęcie rodziny Ziębów, którzy mieszkali w kamienicy przy ulicy Czystej 13. Stoją (od lewej): Zofia (potem Nowak) i Anna – „Andzia” (potem Perzesty), zaś siedzą (od lewej): Janina (potem Polewka), Edward, Irena (potem Białas) - Babcia Wojciecha Tadeusza Bednarskiego i Jan Zięba, zmarły w roku 1939, ojciec dzieciarni. Jego żona zmarła przy porodzie najmłodszej Ireny. To piękne archiwalne zdjęcie pochodzi ze zbiorów rodzinnych Wojtka Bednarskiego, który był tak uprzejmy, że wyraził zgodę na jego upublicznienie. Choć wykracza ono poza ramy czasowe mego opracowania, to niemal wszystkie widoczne postacie były potem mieszkańcami ulicy Czystej i niektóre z nich znałem osobiście.

W kamienicy pod nr 15, na pierwszym jej piętrze mieszkała K., znana od dekad skrzypaczka i szanowany pedagog, wspólnie z matką, która była osobą samotną. Nie chcę być posądzany o grzebanie w przeszłości tej znanej osoby, więc nie podam jej nazwiska tylko pierwszą literę imienia. Duet ten opisuję tylko dlatego, że stanowił bardzo rozpoznawalną część dawnej dzielnicy Piasek, którą nie sposób byłoby mi ominąć. Jako dziecko K. jeździła po ulicy drezyną, co wielu z moich dawnych znajomych zapamiętało do dzisiaj. Jej matka zawsze zachowywała się jakoś dziwnie, jej ubiór zawsze był „niestandardowy”; kompletnie nie dbała o swój wygląd zewnętrzny: ani o strój, ani o fryzurę, często chodząc po ulicy z włosami rozwichrzonymi na wietrze. Trudno się więc dziwić, że wielu moich znajomych z Piasku świetnie ją nadal pamięta.

Oczywiście K. była jej oczkiem w głowie i jej wychowaniu bezgranicznie się poświęciła. Życie tej dziewczyny przebiegało pod bezwzględny dyktando matki i czasem odnosiło się wrażenie, jakby czyniła to ona dla zaspokojenia własnych, może zanadto wygórowanych ambicji. Ich życie prywatne było owiane tajemnicą, choć wiele w okolicy się o tym mówiło, ale nie mnie o tym pisać. Wszędzie chodziły razem, więc K. była izolowana od rówieśników i otoczenia. Zapewne miała wielki talent do muzyki, ale była też bardzo pracowita, bo ćwiczyła za dziesięciu, od dziecka nie rozstając się ze skrzypcami. Chodziła do szkoły muzycznej, a lekcje, może też prywatne, pobierała (bodaj) u prof. Umińskiej na placu Sikorskiego. Z ich małego mieszkania, które znajdowało się na pierwszym piętrze, z oknem wychodzącym na ulicę, notorycznie dochodziły odgłosy tego piskliwego instrumentu, co dla wielu sąsiadów było chwilami niezwykle uciążliwe, ale jej matka niewiele sobie robiła z ich lamentów.

K. była nieco starsza ode mnie, może o rok starsza od Jacka Gędłka. Z okna jego mieszkania widać było jej kamienicę i często, tak mimo woli, Jacek obserwował jej dzienny kalendarz. Gdzieś w 1966 roku przez pewien okres czasu zaczęła chodzić na lekcje sama, więc Jacek wypatrzył jej godziny przemarszu na plac Sikorskiego i niespodziewanie zawarł z nią koleżeńską znajomość. Za pierwszym razem odprowadził ją na lekcje sam, a następnie, pewnie ze dwa razy, w moim i mego brata towarzystwie. Zdołaliśmy się nawet pobieżnie poznać, a K. wydawała się być nawet zadowolona, że ktoś z chłopaków chce z nią porozmawiać. Przynajmniej na mnie sprawiała jednak wrażenie robotą, który żyje w wysublimowanym świecie muzyki, z dala od bez troski i radości dzieciństwa, w realiach stworzonych przez jej bardzo wymagającą matkę. Była niską dziewczyną, o subtelnej urodzie, noszącą bardzo długie włosy, pewnie aż do kolan, zawsze zakręcane w warkocze. Nasza znajomość trwała krótko, bo wkrótce dalszy kontakt stał się niemożliwy.

Z czasem K. zaczęła robić karierę jako solistka, a także pracować jako wykładowca na krakowskiej PWSM. Została jedną z lepszych skrzypaczek w Polsce, zdobywała laury na konkursach, a jej nazwisko stało się powszechnie znane, choć wielkiej międzynarodowej kariery raczej nie zrobiła. W pewnym momencie życia jakby stanęła w miejscu i wycofała się w zacisze uczelni. Dalej jednak z zacięciem wysłuchiwałem informacji o jej występach, wszak była to przecież znajoma z mojej ulicy.

Mam nadzieję, że te moje osobiste impresje jej nie urażą. Jej matka zmarła ponoć stosunkowo niedawno, gdzieś na początku II dekady XX wieku. Kiedy teraz przechodzę przez ulicę Czystą i spoglądam w okno na pierwszym piętrze kamienicy pod nr 15, widzę je puste i martwe, choć kiedyś było przepełnione muzyką po sam sufit. Ale kto jeszcze dziś o tym pamięta?

Z kamienicy pod numerem 17 w pamięci utkwiła mi rodzina P. Już w czasach mojego dzieciństwa była to trzyosobowa rodzina, którą tworzyli: matka i dwójka dzieci - starsza córka, której imienia nie pamiętałem i syn Jurek (rocznik 1949). Oboje byli bardzo podobni do matki, osoby bardzo żywotnej, zawsze widocznej na ulicy i dobrze rozpoznawalnej, często wysiadującej w oknie swojego mieszkania, które mieściło się na parterze kamienicy, po lewej stronie sieni. Niewykluczone, że ich lokum było dozorcówką. Dzięki ostatnio przekazanym mi przez panią Małgorzatę W. spod nr 3 informacjom wiem już, że seniorka P. miała na imię Anna i już nie żyje, natomiast jej córka to Halina. Pani Anna była chyba już wdową, bo jej męża nie pamiętam. Ich mieszkanie było niewielkie i składało się z pokoju z oknem wychodzącym na ulicę, swoistym oknem na świat i kuchni od strony podwórka. Córka pani P., dziewczyna o ładnej buzi, choć niezbyt wysoka, długo pozostawała osobą niezamężną.

Jurek był żywym chłopakiem i chyba pupilkiem mamusi, która rozpieszczała go ponad miarę. Nie uczył się za dobrze, a matka raczej nie przynaglała go do nauki. Był czas, że przyjaźnił się ze starszymi kolegami spod nr 19: Antkiem Halberdą, Andrzejem Hunią i Jurkiem Kątniakiem, jednak z czasem opuścił to wartościowe towarzystwo, bo jego koledzy ustatkowali się i nie mieli czasu na zbijanie bąków. Z czasem zaprzestał pracować, za to często wysiadywał w oknie i wypatrywał jakichś znajomków, z którymi mógłby wspólnie zabijać czas, najlepiej przy jakimś piwku lub „jaboliku”, zwanym też J-23. W zasadzie znaleźliśmy się tylko z widzenia jako sąsiedzi z ulicy, bo każdy z nas miał inne zainteresowania i inne towarzystwo, a spotykaliśmy się tylko okazyjnie na skwerku, gdzie on też czasem bywał, lecz wielkiego zapału do sportu nie miał, choć w gumiankę nierzadko kopał.

Zarówno on, jak i jego matka zawsze byli charakterystycznymi postaciami „mojej” ulicy, osobami często widocznymi i zawsze dobrze rozpoznawalnymi. Jak się ostatnio dowiedziałem od Andrzeja Huni, dawnego mieszkańca kamienicy przy ulicy Czystej 19, Jurek P. już nie żyje. Dziwnym trafem jeszcze do niedawna często zdarzało mi się go spotykać, gdy tylko przechodziłem przez ulicę Czystą, wszak nadal tam mieszkał i po dawnemu „urzędował” w najbliższej okolicy. Był ikoną tej ulicy, choć postacią nader smutną, człowiekiem bez stałej pracy i bez sposobu na życie, przez lata utrzymywanym przez matkę. Najczęściej można go było spotkać w gronie podobnych sobie „lajkoników”, Leserów notorycznie zagląających do butelki, jednak na jego widok zawsze wracały mi wspomnienia z dzieciństwa. Tego oryginała, podobnie jak jego matki, z pewnością będzie tu brakować.

Gdy Jurka P. już nie ma, z moich znajomych na starych śmieciach mieszka tylko Wiesiek Feldman, który po remoncie kamienicy spod nr 11 nadal tam pozostał. Do niedawna spotykałem też Jacka Gędłka, ale ten też odpoczywa już na drugim świecie.

Wierzyć mi się nie chce, że na tej ulicy Czystej, „mojej” Czystej, kiedyś tak przeludnionej, z wypełnionymi suterrenami, poddaszami i lokalami posklepowymi, z młodzieżą wyżu powojennego dosłownie wylewającą się na ulice, dziś niemal całkowicie nastąpiła wymiana tego dawnego pokolenia i mieszkają tu zupełnie nieznani mi ludzie. Kamienice mocno się wyludniły, bo w Śródmieściu niełatwo żyć, a jego dawni mieszkańcy przenieśli do osiedli na obrzeżach miasta. Dawne dzieje tego fragmentu Piasku pozostają już tylko w pamięci byłych jej mieszkańców, dziś banitów takich jak ja.

Pora na omówienie mieszkańców kamienicy pod nr 19. Do dziś jest to pokaźnych rozmiarów, dwupiętrowy budynek, z niezwykle rozbudowaną oficyną, która całkowicie otacza spore podwórko, zawsze ciemne i zawilgnięte. Fasada kamienicy, dziś okropnie zniszczoną, nosi cechy secesji i żal serce ściska, że ten stuletni już zabytek jest po części ruiną.

W czasach mojej młodości było tu kilka lichych pomieszczeń mieszkalnych: suterren i poddaszy. O ile dobrze pamiętam, w jednej z nich mieszkała słynna Kopciowa, zanim około 1960-go roku nie przenieśli się do posklepowego mieszkania w „mojej” kamienicy pod nr 8. Zapewne z tego tytułu zawsze miała tu sporo przyjaciół, a chyba najwierniejszą z nich była Gilowa. Tego oryginała pamiętam jako osobę już dobrze leciwą, lekko przygrabioną i podpierającą się laską, z silnymi okularami na nosie. Mimo niepełnej sprawności fizycznej była bardzo ruchliwa, wszędzie widoczna, zwłaszcza w masarniach, gdzie z uwagi na widoczne kalectwo zawsze korzystała z przywilejów i ustawiała się w kolejce dla inwalidów, z nury znacznie krótszej niż dla przeciętnych śmiertelników. Ze sposobu bycia jako żywo przypominała Kopciową, można by nawet stwierdzić, że była jej lustrzanym odbiciem. Rozmowna i gadatliwa, zawsze niezwykle głośna, bo przygłuchawa, była zawsze widoczna na ulicy. Lagą i krzykiem wyrównywała niedomogi fizyczne i z tego tytułu czuła się w kolejkach jak ryba w wodzie, bezwzględnie egzekwując swoje nabyte przywileje, a jeśli do swoich racji nie zdołała kogoś przekonać po dobroci, puszczała niecenzuralną „wiązanek”, postraszyła dzielnicowym i to na ogół starczało.

Nieraz w kolejkach spotykały się z Kopciową, która na swoje potrzeby przytaszczała tu swojego ciężko schorowanego męża i w duecie były nie do pokonania. Agresywna w kolejkach, na ulicy stawała się przyjazną sąsiadką, zawsze niezwykle rozmowną, bo nader dobrze poinformowaną, od której ciężko się było odczepić. Oczywiście była osobą bardzo religijną i mimo swej ułomności chętnie zaglądającą do kościoła, gdzie zachowywała się nad wyraz pobożnie. Była zapewne jedną z barwniejszych postaci mojej ulicy, ale Marii Kopciowej nie była w stanie dorównać, bo ta była niedościgłym oryginałem, na miarę postaci filmowej.

W suterrenach mieszkały jeszcze dwie „Maryśki”: Wyspiańska oraz druga, zwana „Kociarą”, której nazwiska zapomniałem. Ta pierwsza była żebraczką, zawsze umorusaną i wyprzebieraną w nadmiar ciuchów, w większości czarnych, choć całkiem pulchną. Oczywiście wokół niej unosiły się niezbyt przyjemne zapachy, co odpychało każdego od dłuższej z nią rozmowy zwłaszcza, kiedy pukwała do drzwi mieszkań z prośbą o wsparcie. Ale w przypadku odmowy potrafiła puścić wiązkę przekleństw i złych wróżb. Była więc typem domokrażcy niezbyt lubianego i generalnie unikanego, przed którym nie chciano otwierać drzwi.



Fot. nr 74. Końcowy fragment ulicy Czystej z nieparzystymi numerami.
Z lewej na pierwszym planie kamienice pod numerami: 21 i 19. Zabudowa tej ulicy
powstawała głównie od ostatniej dekady XIX-go wieku, po początki XX-go wieku.
(08.04.2010)

W połowie lat 60-tych na krótko zamieszkała u Kopciowej, która z litości przygarnęła ją do własnej klitki i wówczas mogłem ją częściej widywać, kiedy razem z bratem zaglądaliśmy do Kazka, naszego bliskiego wtedy kolegi. Była osobą nad wyraz posępną i mrukliwą, z którą nigdy nie udało mi się nawiązać kontaktu. Raz, chyba na wyraźne żądanie gospodyni, została nawet zmuszona do kąpieli. Kopciowa opowiadała o jej rzekomych jej powiązaniach ze Stanisławem Wyspiańskim, słynnym artystą, ale nie wiem czy było w tym bodaj ziarnko prawdy, czy tylko zwykłe kojarzenie nazwisk. Co się z nią dalej stało, nie wiem, bo znikła z moich oczu wraz z przeprowadzką Kopciowej na Azory.

Maryśka „Kociora” była z kolei typem łagodnego biedaka, dorabiającego na życie drobnymi usługami, jak np. przetransportowaniem węgla z ulicznego chodnika do piwnicy. Była to dobra kobieta, ale zawsze brudna i dziwaczna, wszak przygarniała wszystkie bezdomne koty z okolicy. Wokół jej półpiwnicznego lochu, jak i na całym podwórku kamienicy, panował koci smród i z tego względu była ona wyjątkowo uciążliwym lokatorem. Próbowала nawet sprzątać po swoich podopiecznych, ale był to syzyfowy trud. Kochała te zwierzęta ponad miarę, a one odwdzięczały się jej wielką miłością. Pamiętam jeden szczególny incydent, kiedy na Alejach auto rozjechało jej kota, a ona, nie bacząc na wzmożony ruch samochodowy, zdrapywała jego szczątki ze środka jezdni, ryzykując własnym życiem.

Jej koty dobrze znały porę, kiedy kupowała im jedzenie i wówczas oczekiwały ją już na ulicy, przed bramą kamienicy, witając ją pośród głośnych pomiałkiwań i pomrukiwań. Jeden z jej podopiecznych, co już wcześniej wspominałem, trafił pod nasz dach, kiedy mieszkaliśmy już w sąsiedniej kamienicy. Początkowo był tak zestresowany, że pierwszy dzień przesiedział pod łóżkiem, potem uciekł, ale niebawem zaczął wracać do nowego domu, gdy przycisnął go głód, choć dalej przesiadywał w niedostępnym kącie. W końcu jednak zadomowił się u nas na dobre i poszedł z nami na „Kozłówek”, do nowego mieszkania, ale tam po wyprowadzeniu go na pole zbiegł za zawsze. Niewykluczone, że swoje miejsce znalazł w domku przy ulicy Obronnej, bo kilka lat później widziałem tam podobnego kota z małymi.

Mieszkańcami poddasza byli Halberdowie. Antek, ich starszy syn, był ze trzy lata starszy od mego brata (chyba rocznik 1949), a młodszy Józek był moim rówieśnikiem, a może o rok starszym, choć chodził do klasy B na moim poziomie. Obaj bracia chętnie grywali w piłkę, zwłaszcza starszy Antek i dlatego dobrze znaliśmy się ze skwerku, gdzie oni lubili długo przesiadywać. Pod koniec lat 60-tych Halberdowie przeprowadzili się na Azory, gdzie wybudowano osiedle mieszkań socjalnych, tzw. kwaterunkowych, do których przenoszono mieszkańców poddaszy i suterenu, a więc ludzi najbardziej potrzebujących i nasze kontakty się wówczas urwały.

Była to kamienica bardzo umuzykalniona, skąd nieraz dolatywały odgłosy gitar. Jurek Kątniak, starszy ode mnie o dobre kilka lat, był członkiem zespołu bigbitowego Agaty. Zespół ten regularnie grywał na piętrze nowo wybudowanego Domu Socjalnego AGH, który mieścił się przy ulicy Reymonta, naprzeciw wejścia do Parku Jordana i to przez długie lata, bo jeszcze na początku lat 70-tych, gdy ja już pukałem do bram tej uczelni. W owym czasie byli jednym z bardziej liczących się zespołów beatowych w Krakowie. Odgłosy tego zespołu nieraz dolatywały do Parku Jordana, co nie wszystkim się podobało.

Oprócz nieżyjącego już Jurka, który grał na „akordzie”, występowali tam jeszcze: Wacek Mytar, gitarzysta basowy, jego bliski kolega bodaj z ulicy Garncarskiej 14 lub 16, (Marian?) Kozłowski – gitarzysta solowy, inny znajomy z ulicy, którego już jakoś nie za bardzo kojarzę oraz Adam Puchta na perkusji, dobrze mi znany, przesympatyczny kolega Krzyśka Gędłka, który też już od kilku lat nie żyje. Występy Agatów, w młodzieżowym żargonie zwane „ubawami”, bo tak w tych czasach określano popularne dyskoteki, odbywały się w każdą sobotę i przyciągały sporą klientelę, w tym również moich kolegów z Technikum, którzy tutaj czuli się już całkowicie dorośli. Również Antek Halberda przygrywał na gitarze i całe to towarzystwo, do którego należał jeszcze Andrzej Hunia, mój dzisiejszy sąsiad z bloku, miało wspólne zainteresowania, które skutecznie odciągało ich od tracenia czasu na ulicy. Do „paki” spod „dziewiętnastki” należał jeszcze czarnowłosa Leszek Ignatowicz, chłopak o urodzie amanta filmowego, który zaczesywał swe gęste włosy do tyłu.

Innymi charakterystycznymi postaciami tej kamienicy byli Dutkiewiczowie, jej właściciele: ojciec - wdowiec i jego syn Zbigniew, wtedy niespełna czterdziestoletni kawaler, obaj niscy i bardzo do siebie podobni. Seniora Dutkiewicz, jako dawnego sąsiada, często odwiedzała Kopciowa i nieraz składała nam relacje z tych wizyt; to od niej wiedziałem, że: „Zbyszek Dutkiewicz jest inżynierem”. „Zbyszek”, jak nazywała go nasza sąsiadka, przez długie lata był dobrze znaną i charakterystyczną postacią ulicy Czystej i jeszcze do niedawno go tutaj widywałem; podobno jednak już nie żyje.

Na końcu tej strony ulicy stała kamienica nr 21, w której, jak już wspominałem w części I, przyszło mi spędzić 6 lat swojego żywota, między marcem 1970 roku, a sierpniem 1976 roku. Dla mnie ta kamienica nie była już jednak tak barwna, jak ta spod ósemki i jakoś nie czuję potrzeby jej opisanie, bo prawdę mówiąc nie zdążyłem nawet dokładnie poznać wszystkich jej mieszkańców. Na początku lat 60-tych, kiedy nie mogłem mieć nawet bladego pojęcia, że kiedyś będę tu mieszkać, znałem jedynie paru jej lokatorów. Co ciekawe, z widzenia znałem Jacka Kanię, starszego o rok kolegę, który akurat mieszkał w tej samej części mieszkania pod nr 10, które za niecałe 10 lat przyszło nam zajmować. Kamienica ta posiadała rozbudowaną oficynę, która przylegała do podwórka „starego Wysrołu” i zabudowań fabrycznych Krakowskich Zakładów Tytoniowych oraz uroczy ogródek z licznymi drzewami owocowymi, który stanowił prawdziwy raj dla kotów.



Fot. nr 75. Kamienica z ulicy Czystej 21 (z lewej), w której mieszkałem sześć lat. A po prawej mocno zniszczona czynszówka spod nr 19, której mieszkańcy tworzyli przebogatą mozaikę społeczną. (08.04.2010)



Fot. nr 76. Naroże alei Mickiewicza i ulicy Czystej. Pośrodku oficyna kamienicy z ulicy Czystej 21 i jej lewe skrzydło, w którym mieszkałem oraz fragment hali fabrycznej Krakowskich Zakładów Tytoniowych, zaś z lewej gmach starego „Wysrołu”, z rozległym jego dziedzińcem gospodarczym za murem (na pierwszym planie).

Kiedy tutaj zamieszkałem nie posiadałem klucza od bramy, który był wielki i trudny do dorobienia, a często zdarzało mi się wracać późną porą po wizytach u „Serówy”, Jaśka Zieleniewskiego, który mieszkał niedaleko, w kamienicy przy ulicy Kochanowskiego 24. W tym czasie w jego „chacie”, która dla jego przyjaciół, wobec tolerancyjnej postawy jego matki, zawsze stała otworem, nierzadko odbywały się nocne „imprezy”, ponadto często do późnych godzin nocnych na strychu nad jego mieszkaniem zdarzało się nam grywać w „pingla” (ping-ponga), co czyniliśmy bez opamiętania całymi godzinami. Również mnóstwo czasu pochłaniały nam karty, ale ze szczególnym zacięciem i to całymi godzinami „ciupaliśmy” w duecie w wista. Gdy do towarzystwa dołączali: „Łysy” czy Janusz Domagała, rzadziej Tadek Wszółek, zwykle w kwartecie grywaliśmy w brydża, w której to grze też osiągnęliśmy prawdziwe mistrzostwo bądź w tercecie makao.

W tym czasie nasz język nowomowy, którym komunikowaliśmy się z Jasiem podczas tych rozrywek, wypisz wymaluj przypominał niedościgłe wzorce ze słuchowisk Marii Czubaszek, które były nadawane w latach siedemdziesiątych w radiowej Trójce, gdzie Kazik – Wojciech Pokora, był regularnie „wkręcany” przez tercet intruzów: ciocię – Irenę Kwiatkowską, Jerzego Dobrowolskiego – pana Jurka i Bohdana Łazukę - Bogusia, a ich dialogi, przeplatane dowcipnymi piosenkami, były absolutnym szczytem apolitycznego humoru abstrakcyjnego. W finale Kazik, pomimo wcześniejszego oporu i determinacji, zawsze zostawał wystrychnięty na dudkach, czy jak kto woli wkręcany, co puentował stwierdzeniem: „I co to się porobiło”.

Powstały to wtedy w naszym żargonie takie dziwaczne pojęcia jak: „pastuszkowanie” (granie w „pingla” z nonszalancją – „na wiwat”, co czasem kończyło się przegraniami seta), „ptokowanie” (od tokowania, czyli nadmiernego gadulstwa), „patelnia”, czyli twarda rakiетка do „pingla” czy „bisownik” (zlew przy umywalce, który awaryjnie służył też do „innych” celów). Również pseudonim „serówa” czy „seruwa”, często przez nas wzajemnie używany, wywodzi się z tych audycji.

Ciekawa jest geneza słowa „pastuszkowanie”. Otóż podczas jednego z pingpongowych setów, gdy Jasiu prowadził już 20:8 i do jego wygrania potrzebny mu był już tylko jeden punkcik zaczął się wygłupiać i recytować wierszyk: „Na łące pastuszek za krówkami chodzi”, po czym, przy mojej maksymalnej mobilizacji i koncentracji, a przy tym ogromnej dozie szczęścia, tak się zdarzyło, że seta przegrał i słowo to stało się synonimem lekceważącego podchodzenia do gry. Dla obserwatora z zewnątrz nasz język często był totalnie niezrozumiały, bo tworzyliśmy duet wyjątkowych „świrów”. Nie da się jednak ukryć, że zabawa podczas tych niemal codziennych spotkań była przednia, choć nieraz pełna komicznego zaciętrzewienia, a człęk po takich „występach” był totalnie zrelaksowany, choć czasem wściekły, gdy nie szła karta bądź przy stole do „pingla” miał gorszy dzień. Ileż miałem radochy, gdy raz udało mi się wygrać seta na sucho (do zera), co zostało zapisane na ścianie strychu, patrząc jak on się wścieka na siebie.

Wiara w „trądzenie” przy grze wista była pośród nas powszechna, a dla osiągnięcia sukcesu, bo dla lepszej zabawy graliśmy o drobne pieniądze, zwracaliśmy uwagę na każdy, zwykle śmieszny detal. Jasiu był m.in. przekonany, że pecha przynosi mu obecność Zosi, jego żony, więc ja byłem za jej stałą obecnością, a on starał się ją wypraszać, czemu nieraz towarzyszyły salwy śmiechu. Zresztą tylko ona, a także jego matka i siostra, były w stanie zrozumieć nasz abstrakcyjny język i tolerować kuriozalne zachowania. W późniejszym czasie szczęście w grze miał mu przynosić jego mały syn Tomek, który dotykał jego karty i z reguły mu to pomagało, ale z kolei dodatkowo „trądziła” mu jego matka, również osoba z wielkim poczuciem humoru, która czasem zajrzała do jego pokoju.

Wesoła to była nad wyraz i luzacka gromadka, pobierająca w tych czasach nauki wszelakie, do której czasem dołączał też Jurek Chrząszcz-„Pciół”, kolega Jaśka spod nr 22, kiedy często, zwykle przy brydżu, słuchając głośnej muzyki big-bitowej płynącej z magnetofonu szpulowego marki Grundig, raczyliśmy się „bimberkiem” własnej produkcji, a pierwszy, pionierski wytwór destylacji, zwany „gumówką”, bo skażony zapachem rurek gumowych użytych przy „pędzeniu”, też miło się wspomina do dzisiaj, wszak swą mocą dobrze zakręcił w głowie.

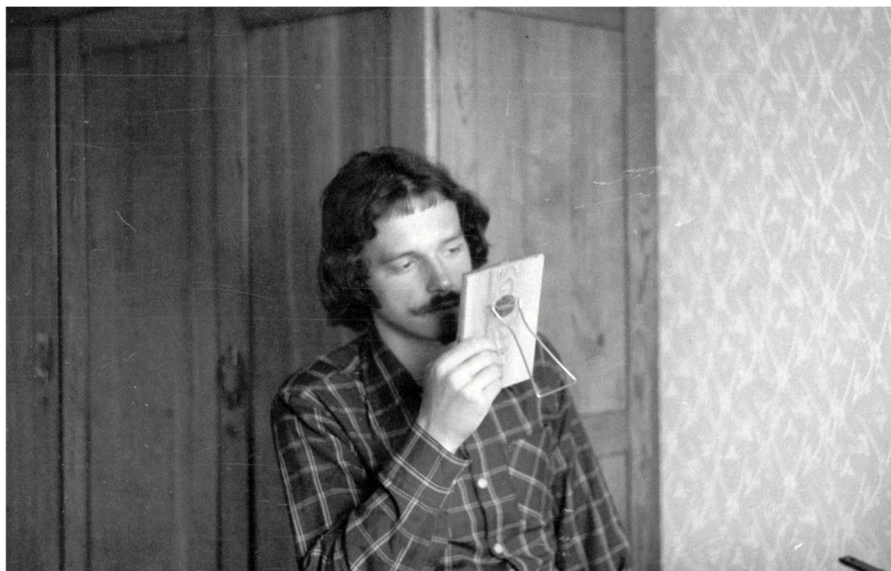
Było, minęło....., ale przynajmniej jest co wspominać z tych cielejących lat, w których człek nigdy nie był ideałem, choć pewnego marginesu swawolenia raczej nie przekraczał, a wbrew forowanym dziś opiniom był on w tym systemie całkiem szeroki. Tyle małego przerywnika w opisie dawnych sąsiadów.



Fot. nr 77. Od początku lat 70-tych moim przyjacielem został Jasiu Zieleniewski, potomek słynnej rodziny krakowskich przemysłowców, z którym poznaliśmy się na obozach rowerowych organizowanych przez TE. Tu jedna z licznych imprez jakie odbywały się w jego „chacie” przy ulicy Kochanowskiego 24. Jasiu (z fajką w ustach), a dalej: Zosia, jego miłość i późniejsza żona oraz Łysy, czyli Karolek Pstrós (formalnie Marek) ze swoją sympatią Jolą, jego przyszłą żoną. To był gdzieś początek roku 1973.



Fot. nr 78. Trzy lata później – rok 1976 – w Tropiu koło Nowego Sącza. Stoję pośrodku (już) pary Zieleniewskich i rocznej Magdy, mojej chrześnicy. Nasza przyjaźń mimo drobnych zawirowań wytrzymała próbę czasu.



Fot. nr 78a. Na wakacjach w Tropiu, wówczas po trzecim roku Wydziału Górniczego AGH, przyłapany przez Serowę. (1976)

Na paterze mojej kamienicy mieszkała rodzina Kunegundy B., której nazwiska na razie nie podam. Już wcześniej wspomniałem o jej tragicznej w skutkach zażyłości ze starszym emerytem z Czystej 7, który to incydent był długo rozpamiętywany w okolicy. Pani B. w późniejszych czasach była bliską znajomą mojej mamy, stąd znam sporo szczegółów z jej nietuzinkowego życia. W czasach mojego dzieciństwa była już wdową z dwójką dzieci, a mieszkała wspólnie z teściową, którą wszyscy dobrze znali. Jej mieszkanie było stosunkowo niewielkie: pokój od strony ulicy i kuchnia z wejściem od strony podwórka. Pokój od strony ulicy posiadał chyba dwa okna, w których często wysiadywała i ona, i jej teściowa.



Fot. nr 78b. Na chrzcie Magdy, której pospółu z Aśką Zieleniewską, starszą siostrą Jaśka (z lewej), byliśmy rodzicami chrzestnymi. Moje spodnie – rury, wyszły spod ręki Aśki, która dla najbliższych kolegów swego brata czyniła takie wyjątki, bo miała wrodzony talent krawiecki. Zdjęcie wykonane pod murami kościoła św. Mikołaja, gdzie i ja byłem chrzczony. (wiosna 1976)

Jej życie osobiste było skomplikowane i nie wolne od tragedii. Pochodziła z Czernichowa i jako dorastająca dziewczyna jeździła do miasta „z mlekiem”. Tu poznała swego przyszłego męża, ponoć magistra, który miał zostać księdzem. Jednak tak skutecznie się koło niego zakreśliła, że porzucił on marzenia o kapłaństwie i wkrótce ożenił się z tą podkrakowską „dzieweczką”. Tego czynu długo nie chciała jej wybaczyć teściowa, z którą późniejsze stosunki były dalekie od doskonałości. Urodziła dwójkę dzieci: córkę Krystynę i syna Tadeusza, młodszego o trzy lata, późniejszego kolegę szkolnego mego brata, lecz jej mąż niebawem zmarł, chyba na raka. Jednak z uwagi na fakt, że był on magistrzem, ponoć teologii, miała na tym punkcie wielkie przerosty ambicji i zawsze podkreślała, że jest wdową po magistrze, a głowę trzymała wysoko, chyba nazbyt w obłokach. Musiała gdzieś pracować, bo dom prowadziła teściowa, a Tadek wychowywał się wśród wielu rówieśników na skwerku oraz na ulicy i był ruchliwym, a przy tym usportowionym chłopakiem, który „nie pozwolił sobie w kaszę dmuchać”.

Dziwna była z niej matka, bo gdzieś w piątej klasie oddała syna do domu dziecka, o co miał on do niej pretensje przez długi okres życia. Sama, wtedy młoda kobieta, może trzydziesto-kilku letnia, zaplątała się w przedziwny związek ze starym emerytem spod nr 7, pewnie grubo ponad dwadzieścia kilka lat od niej starszym, który tam mieszkał i stróżował. Był o nią widać piekielnie zazdrosny, które to uczucie z czasem zaczęło się przeradzać w jakieś starcze zaburzenia psychiczne. Różnie mówiło się na temat przyczyn „trwałości” ich związku, z uwypukleniem jej korzyści majątkowych, co nie zmienia faktu, że przez spory okres czasu, bo dobre kilka lat, przykładnie chodzili razem po ulicy, zawsze trzymając się pod rękę. Pewnie nieraz się kłócili, ale po jednej z kłótni nastąpił tragiczny finał. Działo się to około 1965-66 roku, kiedy dziadek zaskoczył ją w piwnicy i niespodziewanie zdzielił siekierą w głowę, ponoć z zazdrości, czy raczej wobec jej niechęci do oddania mu kosztowności. Potem krwawiącą i nieprzytomną porzucił, a sam próbował się powiesić na pasku od spodni, ale bezskutecznie. Widać jednak to tragiczne zdarzenie do reszty odebrało mu rozum, bo trafił do Kobierzyna, skąd po jakimś czasie wypuszczono go na wolność i wówczas sprawiał wrażenie człowieka, które nie wie co się wokół niego dzieje.

Wiadomość o tym incydencie rozeszła się po ulicy lotem błyskawicy i wywołała powszechne przerażenie. B. przypadkowo odnalazł w piwnicy syn i natychmiast wezwał karetkę; miała wyjątkowe szczęście, że akurat przyszedł on do domu w odwiedzinach i zaniepokoiła go długa nieobecność matki. Potem kilka dni była w stanie agonii, przeszła operację czaszki, gdzie sporą dziurę uzupełniono plastikiem. I po tygodniu wybudziła się, a potem szybko doszła do siebie i dalej była charakterystyczną postacią Czystej. Przez długie lata była potem dobrą znajomą mojej mamy, wszak jej córka była sąsiadką mojego brata, sprawiając wrażenie zupełnie normalnej osoby, choć zawsze jakiejś zdziwaczalnej i nad wyraz dumnej. Zawsze opowiadała, że na swoim nagrobku każe sobie napisać: wdowa po magistrze. Historia, którą opisałem przez długie lata elektryzowała Piasek i była stałym tematem różnych plotek. Być może było to najbardziej sensacyjne wydarzenie z okresu mego dzieciństwa. Temat przycichł dopiero wraz z przeprowadzką B. na Osiedle Widok w połowie lat 70-tych, choć na Czystej nadal nierzadko ona bywała u swoich dawnych „kumosek”.

Pani Kunda często odwiedzała moją mamę, gdy już wyprowadziliśmy się na „Kozłówek” i nieraz miałem okazję wysłuchiwać jej osobistych opowieści, często dziwacznych i po części zapewne zmyślonych, do czego moja mama miała wyjątkową cierpliwość. Po przeprowadzce z ulicy Czystej na osiedle Widok niemal całkowicie poświęciła się wychowywaniu wnuka Tomka, którego niemal codziennie odwiedzała na osiedlu Prokocim, gdzie jej córka dostała swoje mieszkanie z przydziału od WSR.

Na drugim piętrze, nad „Kundą” B. mieszkał Janusz W., mój kolega szkolny. Był starszy ode mnie o rok i chodził do wyższej klasy. Często chodził w towarzystwie dziadka-wdowca, którego nazwisko brzmiało Wołowicz, również charakterystyczną postacią naszej ulicy. Był on siwy jak gołąbek, zawsze nosił te same okulary na nosie, a na głowie beretkę aż „antenką” i podpierał się laską, której też nigdy nie zmieniał. Janusz był nad wyraz spokojnym chłopakiem i tylko z rzadka udzielał się w ulicznych harcach i zabawach. Nie grał w piłkę na skwerku i nieczęsto chodził z rówieśnikami do Parku czy na Błonia, więc nawet nie zdążyłem go bliżej poznać, choć potem przez kilka lat mieszkaliśmy w jednej kamienicy, pod nr 21. Dziś z Januszem i jego rodziną jesteśmy sąsiadami, wszak po przejęciu przez AR w 1976 roku kamienicy pod numerem 21 wykwaterowano nas na „Kozłówek”. W tym czasie jego dziadek przeniósł się na Prokocim, gdzie mieszkał w sąsiedztwie Krystyny, córki pani Kundy, z którą to dawną sąsiadką czasem się tam spotykał i jeszcze długo wykazywał się wigorem i niespotykaną żywotnością. Dożył sędziwego wieku, wszak zmarł dopiero na początku lat 80-tych.

Największym jednak oryginałem tego budynku była niejaka Helena Szczerba, sąsiadka Janusza, wtedy, na początku lat 60-tych, samotna matka z małym dzieckiem, córką Małgosią. Zajmowała jednoizbowe mieszkanie z oknem na ulicę, na drugim piętrze kamienicy. Z zawodu była podobno pielęgniarką i nie było jej w domu całymi dniami. Gdzie wtedy przybywała jej córka nie do końca mi wiadomo, pewnie w jakimś żłobku. Jej zachowanie było jakieś dziwne: była nadmiernie gadatliwa, a jej oczy były jakieś mgliste i rozbiegane. Dosłownie nie zamykały się jej usta, nawet na ulicy cały czas mówiła coś do dziecka, a przy kontaktach z sąsiadami nie sposób się było od niej odczepić, gdy opowiadała o swoich problemach, których na pewno miała sporo. Jej opowiadania były bardzo chaotyczne, a z jej ust płynął niekończący się potok słów. Nie wiem jak poznała moją mamę, ale ta starała się jej unikać, bo nigdy nie miała za dużo czasu na przydługawe rozmowy. Wcześniej jej ulubioną sąsiadką była Kopciowa. Małgosia była jej oczkiem w głowie i praktycznie nigdy nie rozstawała się z matką. Zawsze chodziły razem, a jako dziecko nigdy nie kontaktowała się z rówieśnikami, może tylko w szkolnej świetlicy przed lekcjami, gdzie zostawiała ją matka - była taką „Zosią samosią”. Swoją późniejszą postawą Helena bardzo przypominała poczciwą Kopciową, wszak jej też się wydawało, że dziecko będzie jej własnością na całe życie, wszak w końcu tyle trudu włożyła w jego wychowanie. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy Małgosia jako osiemnastoletnia dziewczyna znalazła sobie chłopaka, „pośpiesznie” wyszła za mąż i wyprowadziła się do niego, z czym jej matka za nic nie mogła się pogodzić.

Nie wiem, jakie były dalsze ich losy, bo wydarzenia te miały już miejsce po naszej przeprowadzce z tej kamienicy i opowieści te znam niejako z drugiej ręki, od pani B.

Z innych postaci zamieszkałych w tej kamienicy dobrze znałem Helenę Dobrzańską. Była ona rejonowym opiekunem społecznym i w połowie lat 60-tych ktoś zwrócił jej uwagę na trudną sytuację materialną naszej rodziny, może nawet sama Kopciowa, która często korzystała z pomocy tej instytucji. Mama wkrótce dostała wtedy jakąś zapomogę, a ona sama odwiedziła nas parę razy w naszym mieszkaniu, by przeprowadzić „wywiad”. Gdzie wtedy mogłem przypuszczać, że kiedyś będziemy sąsiadami? Była osobą nadmiernie grubą, noszącą silne okulary, nałogowo palącą papierosy. Przez pewien czas darzyła nas nawet sympatią, co przekładało się na przyznawane nam od czasu do czasu zapomogi, ale generalnie była ona osobą nazbyt wyniosłą i oczekującą adoracji. Mama „odwzajemniała się” jej praniem, więc świadczona dzięki jej zaangażowaniu pomoc nie była tak do końca szczerą i bezinteresowną. Mieszkała razem z mężem Euzebiuszem, zwanym Zybkiem, a jej mieszkanie znajdowało się w oficynie, na parterze. Nie mieli dzieci, a jedynie tłustego, czarnego kocura, który zazwyczaj wygrzewał się na ganku prowadzącym do jej mieszkania, obok wiecznie kopnącej „papierochy” jego pani. Jej postawa do nas zmieniła się diametralnie, kiedy staliśmy się sąsiadami, ale decydujący wpływ na ten stan rzeczy miało zachowanie mojego brata, w tym czasie nieraz skandaliczne. Ale czemu boczyła się też na mnie, tego nie mogłem zrozumieć. Zresztą mieszkając w tej kamienicy nieraz odczuwałem na sobie skutki jego nagannej postawy i to ze strony wielu jej mieszkańców, wszak miał on w tych latach wyjątkowo trudny okres, o czym nawet nie chcę wspominać.

Warto wspomnieć jeszcze o dwóch rodzinach, które zamieszkiwały w oficynie tej kamienicy w czasie, gdy i my tu już mieszkaliśmy. Rozległe mieszkanie nad nami, a więc na pierwszym piętrze oficyny, zajmowali W., starsze małżeństwo i rodzina ich syna Mietka, gdzieś trzydziestolatka. Ów Mieczysław, niski i przygarbiony, zwany przez nas „Koczorem”, a to z racji człapiącego chodu, miał dwójkę małych dzieci, z których drugie urodziło się już w trakcie naszego tu zamieszkiwania. „Kaczor” był człowiekiem butnym i zarozumiałym, najwyraźniej uważającym się za „inteligenta”, który przynajmniej w stosunku do nas usiłował okazywać swoją wyższość; ba nie kłaniał się nawet mojej mamie. Był typowym dzieckiem PRL-u, chyba jakimś elektrykiem, widać nie najgorzej zarabiającym, bo z czasem dorobił się Trabanta, pewnie za talon wydawany przez zakład pracy i przez ten fakt poczuł się dodatkowo dowartościowany. Wiele jednak wskazywało, że jego korzenie, a więc jego rodziców, tkwiły głęboko we wsi, bo w czasie hucznie obchodzonych imienin czy innych uroczystości rodzinnych, suto przy tym zakrapianych, z jego mieszkania dolatywała cała gama głośno śpiewanych pieśni ludowych, jak choćby: „Jarzębina czerwona”, „Szła dziewczeczka” czy „Głęboka studzienko”, a i tańce odbywały się w rytm muzyki w stylu folk. Tak więc przy okazji tych imprez „szydło samo wychodziło z wora”, a mama nieraz się śmiała, że: „zapomniał wół, że cielęciem był”. W tym czasie tacy przybysze z „prowincji” przez wielu młokosów zwani byli „stonką”.

Całe drugie piętro oficyny zajmowała rozbudowana rodzina Krupów i Sadowskich: stara Krupowa, jej syn Edek, oddzielnie mieszkający ze swoją byłą żoną, z którą był po rozwodzie oraz kwartet jej córki Krupowej (Sadowscy), z dwoma córkami w wieku około 10 lat. Mama miała z nimi poprawne stosunki, zwłaszcza z pogodną seniorką Krupową, który była osobą nad wyraz pocziwą.

Z innych sąsiadów pamiętam jeszcze Waligórskich i Krzywdów.

Może warto by wspomnieć, choćby w dużym skrócie, o znanych postaciach dawnych Piasków. Ograniczę się tu do najbliższej okolicy ulicy Czystej, której mieszkańców najlepiej znałem. „Świat był mały”, więc wszyscy tu dobrze się znali.

Przy ulicy Cybulskiego 8, w nowej willi schowanej w głąb ulicy, w sąsiedztwie pałacyku Lewalskich, w którym zlokalizowane było przedszkole (potem konsulat austriacki), mieszkał Sobiesław Zasada, słynny kierowca rajdowy, trzykrotny mistrz Europy w rajdach obserwowanych w latach: 1966, 1967 i 1971 oraz zwycięzca Gran Premio de Argentina w 1967 roku.



Fot. nr 79. W tym miejscu, przy ulicy Cybulskiego 7, w czasach PRL mieszkał trzykrotny rajdowy mistrz Europy. Dzisiejsza willa nie ma już nic wspólnego z dawnym oryginałem, który powstał gdzieś na początku lat 60.

„Sobek” pospołu ze swoim pilotem Kazimierzem Osińskim (potem do spółki dołączył Władysław Merek) mieli warsztat samochodowy nastawiony na naprawę luksusowych marek zachodnich, który mieścił się na Nowym Świecie, przy ulicy Retoryka 13.



Fot. nr 79a. W tym warsztacie z ulicy Retoryka 13, dziś zamienionym na garaże, pół wieku temu swój zakład mechaniki samochodowej założyli: Sobiesław Zasada, pospołu z Kazimierzem Osińskim, a jakiś czas później współudziałowcem został Władysław Merek. Oczywiście reperowano tu pojazdy renomowanych firm zagranicznych, wszak "Sobek" był już w tym czasie "obywatelem świata". Był akceptowany przez władze PRL, ale w zamian za to bywał np. częstym gościem w TVP.

Również jego żona Ewa też czasem towarzyszyła mu w rajdach jako pilot. Mieli jedyną córkę, trochę przygrubawą i mało ruchliwą, która chodziła do „trzynastki”, z którymś z braci Pstrósiów. Jej pojawienie się na ulicy zawsze wywoływało pomruk sensacji. Zasada wygrywał w cuglach plebiscyty na najlepszego sportowca Krakowa, a w 1967 roku został nawet wybrany najlepszym sportowcem Polski i jego popularność na przełomie lat 60-tych i 70-tych była niewyobrażalna. Początkowo jeździł na malutkim Steyerze Puchu, by potem podbijać świat na Porsche. Ale tu na Cybulskiego, w zaciszu ogrodu, mieszkał jakby na uboczu wielkiej polityki, choć już wtedy był obywatelem „wielkiego świata”, tolerowanym przez władze PRL, tylko rzadko widywanym w pobliżu swojego domu.

Wizerunek Zasady był w tym czasie często wykorzystywany w telewizji publicznej, gdzie np. w 1971 roku, pospołu z red. Eugeniuszem Pachem, był on współpomysłodawcą, a potem w 1973 roku współrealizatorem, obok siedmiu innych kierowców, w tym Andrzeja Jaroszewicza, syna ówczesnego premiera PRL, udanej, ale nadętej propagandowej próby bicia rekordu czasu przejazdu na trasie 50000 km, podczas 361 godz. nieprzerwanej jazdy, co dawało średnią prędkość przejazdu niewiele ponad 138 km/godz. i znacznie przewyższało osiągnięcie Simcy Aronde z roku 1952. Zmagania kierowców, które z zapartym tchem obserwowała cała Polska, przebiegały na specjalnie przygotowanym do tego odcinku przedwojennej autostrady pod Wrocławiem. Pewnie była to cena jaką musiał on płacić za swobodę przemieszczania się po świecie.

Obok Zasady, bodaj od strony podwórka kamienicy pod nr 5, swój znany warsztat mechaniczny miał Mieczysław Rechul. Eugeniusz, jeden z jego synów, był czołowym rajdowcem Polski, przedstawicielem sportów motorowych, który początkowo reprezentował barwy Hutnika, ale z czasem, po roku 1965, został zawodnikiem Avii Świdnik. Przenosiny do mocnego klubu, związanego z dawną WSK, zapewniły mu lepsze warunki bytowe i szanse rozwoju. Gienka nieraz można było dostrzec w okolicy warsztatu ojca, gdy szalał na swojej warczącej maszynie, która pośród moich rówieśników wzbudzała autentyczny podziw. Wiecznie coś w swoim motocyklu grzebał i nieraz widywałem go mocno umorusanego na twarzy. W tym czasie był naszym prawdziwym idolem, a jednak jego postać na długo umknęła z mojej pamięci.

W Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22 mieszkała cała plejada znanych pisarzy i dziennikarzy, w tym poetki: Anna Świrszczyńska i Wisława Szymborska, późniejsza laureatka literackiej nagrody Nobla, ale jej sława w tych czasach jeszcze w pełni nie rozkwitła i jej postać nie była tu powszechnie znana. Z jego mieszkańców dobrze znałem jedynie Brunona Miecugowa, popularnego dziennikarza Dziennika Polskiego, ojca Grzeška, z którym czasem kopałem w gumiankę na skwerku. Słyszałem też o Tadeuszu Kwiatkowskim, jego koledze. Na parterze kamienicy działała popularna w kulturalnym środowisku Krakowa kawiarnia „U Literatów”.

Przy ulicy Krupniczej 24, w parterowym, ale wydłużonym domku, który zajmował front posesji między kamienicą (Domem) Literatów, a piętrowym domem Mehoferów, mieszkał Witold Rzegociński – znany artysta malarz (1883-1969), nawet przez jakiś czas rektor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, o czym dowiedziałem się dopiero stosunkowo niedawno. Ten charakterystyczny domek, symbol galicyjskiego Piasku o typowo podmiejskim charakterze, zniknął niedługo po jego śmierci, w roku 1980, gdy ja już nie mieszkalem na Piasku, ale na bocznej ścianie sąsiadującego z nim Domu Literatów do dziś pozostał ślad po narysie jego dachu; dziś nadal jest tu pusty plac, który okresowo jest wykorzystywany na parking.



Fot. nr 80. Na tej pustej posesji przy ulicy Krupniczej 24 stał kiedyś parterowy domek rodziny Rzegocińskich, gdzie wówczas mieszkał m.in. Witold, znany malarz krakowski, Domek znikł gdzieś około połowy lat 70.. (08.06.2009)

W mocno zaniedbanym domu przy ulicy Krupniczej 26, w którym dziś mieści się filia Muzeum Narodowego - Dom Mehoferów - mieszkał wtedy syn znakomitego malarza - Zbigniew Mehofer, przystojny i wysoki brunet z kręconymi włosami, który zawsze chodził sam. Był postacią charakterystyczną, jeszcze długo przeze mnie rozpoznawalną. W oficynie jego domu działał mały warsztacik rzemieślniczy Lenczowskiego (tak twierdzi mieszkający obok Adam Wyrobek), a nie samego Mehoferów jak słyszałem z innego źródła, gdzie wytwarzano drobną galanterię gumową, m.in. korki do laboratoryjnych próbek i z tego tytułu w najbliższej okolicy nieraz unosił się charakterystyczny smrodek gumy. Ten uciążliwy dla otoczenia zakładzik drobnego „prywaciarza” jakoś przetrwał okres szykan z czasów ministra Minca z połowy lat 50-tych i działał jeszcze około 10 lat, kiedy od frontu funkcjonował wielopokoleniowy sklepik spożywczy Mazgajewskiej.

Naprzeciw domu Mehoferów i domku Rzegocińskiego, w piętrowym domu usytuowanym w głębi ogrodu o oryginalnej, klasycystycznej fasadzie (posesja nr 19), który również dobrze oddawał klimat tego przedmieścia z końca XIX-go wieku, mieszkał Stefan Świszczowski: architekt, konserwator zabytków, historyk sztuki i wykładowca, pospółu ze swoją rodziną. Był on także m.in. autorem popularnonaukowych książek z serii WL: o krakowskim Kazimierzu i Gródku.



Fot. nr 81. Dawny dom Mehofferów z ulicy Krupniczej 26, gdzie dziś mieści się oddział Muzeum Narodowego. Pierwotny budynek powstał w tym miejscu w 1852 roku i był jednym z pierwszych murowanych obiektów mieszkalnych w tej okolicy. A w tle fragment szpitala im. Józefa Dietla oraz dawna bursa księdza Kuznowicza. (06.08.2009)

Przez długie lata postać tą znałem tylko z widzenia, ale nie wiedziałem, kim on był. W latach 70-tych często spotykałem go w Lesie Wolskim, gdzie z upodobaniem oddawał się samotnym, długim spacerom. Nieraz jechałem z nim autobusem linii: 102 bądź 152 z pętli w Cichym Kąciuku i razem wysiadaliśmy na początku Alei Kasztanowej. Rozpoznałem go dopiero na fotografii w jednej z książeczek z serii Cracoviana, której był autorem, a w których rozczytywałem się w latach 80-tych. Dziś wiem, że był synem Ferdynanda Świszczowskiego, który z kolei był zięciem właściciela znanej krakowskiej firmy księgarskiej Gebethner i Spółka, mieszczącej się w Rynku Głównym 23, gdzie pracował jako buchalter. W 1913 roku został on tam, już po zakończeniu pracy, skrytobójczo zamordowany. Sprawcy zbrodni, których było kilku, zostali rychło pojmani i surowo ukarani, choć ponoć motywem ich działania miał być tylko zwykły rabunek.

Jego syn, uczestnik powstań śląskich, w czasie II wojny światowej działacz konspiracyjny, a w następstwie tej działalności więzień KL Auschwitz, który urodził się w roku 1903, też zginął śmiercią tragiczną w 1989 roku, gdy został potrącony na ulicy Krakowa przez samochód. Zatem pech nie opuszczał tej rodziny, jakże zasłużonej dla Krakowa i głęboko zakorzenionej w krakowskich realiach.



Fot. nr 82. Dom Świszczowskich z ulicy Krupniczej 19, jeden z ostatnich już przykładów dawnej, niskiej zabudowy Piasku o charakterze willowo-ogrodowym. Powstał pod koniec XIX w. w bliskości Młynówki Królewskiej, w miejscu dworku Wojczyńskich. (06.08.2009)

W willi przy ulicy Krupniczej pod nr 31, a więc naprzeciw pałacyku (willi) Lewalskich, wtedy wytwornego jak na te czasy przedszkola Nafty, mieszkała jeszcze zapewne wdowa po Wojciechu Weissie, znanym malarzu zmarłym w 1950 roku, niewykluczone, że samotnie. W latach 60-tych przechodziłem tędy niemal codziennie, wszak obok willi wiodła trasa mojej mamy do pracy w Krakowskim Klubie Szermierzy, którego siedziba mieściła się w podziemiach budynku Sokoła. Była to bardzo ponura willa, w której rzadko świeciło się światło, jeśli już to bardzo wątle w narożnym pokoiku na piętrze, a okna parteru zawsze były szczelnie zabezpieczone kratami. Nigdy nie widywałem, by ktoś tam wchodził czy wychodził. Willa była nad wyraz tajemnicza i przypominała raczej twierdzę, czy obiekt żywcem wzięty z opowieści sensacyjnych i nieraz budziła we mnie jakiś wewnętrzny strach. Wewnątrz posesji było jakieś podwórko, do którego prowadził wąski wjazd od ulicy, ale drzwi wjazdowe, solidnie obudowane blachą, jakoś nigdy nie były otwierane. Wtedy nie wiedziałem dokładnie, kto tu mieszka, choć nieraz zastanawialiśmy się nad tym wspólnie z kolegami. Dziś wiem, że Irena, żona Wojciecha, która zmarła w 1981 roku, miała pseudonim Aneri i też była malarką. Willa była tak dobrze zabezpieczona wysokimi murami, że nie było szans dostać się na jej podwórko, by zrobić rozeznanie, choć nieraz to nas korciło.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że takie lepsze lokalowo przedszkola z mojej okolicy znajdowały się w: budynku Domu Kultury przy ulicy Reymonta 18 oraz w dawnej willi Wojczyńskich przy ulicy Szujskiego 4, które do początku lat 60-tych prowadziły siostry Felicjanki; oba te obiekty posiadały wzorcowe wręcz, rozległe ogródki z placami zabaw.



Fot. nr 83. Fragment ulicy Krupniczej powyżej ulicy Skarbowej. Druga z prawej dawna willa Wojciecha Weissa, słynnego krakowskiego malarza, obiekt międzywojenny o cechach klasycystycznego pałacyku. (18.08.2010)



Fot. nr 84. Willa Wojciecha Weissa z ulicy Krupniczej 31. (26.07.2011)



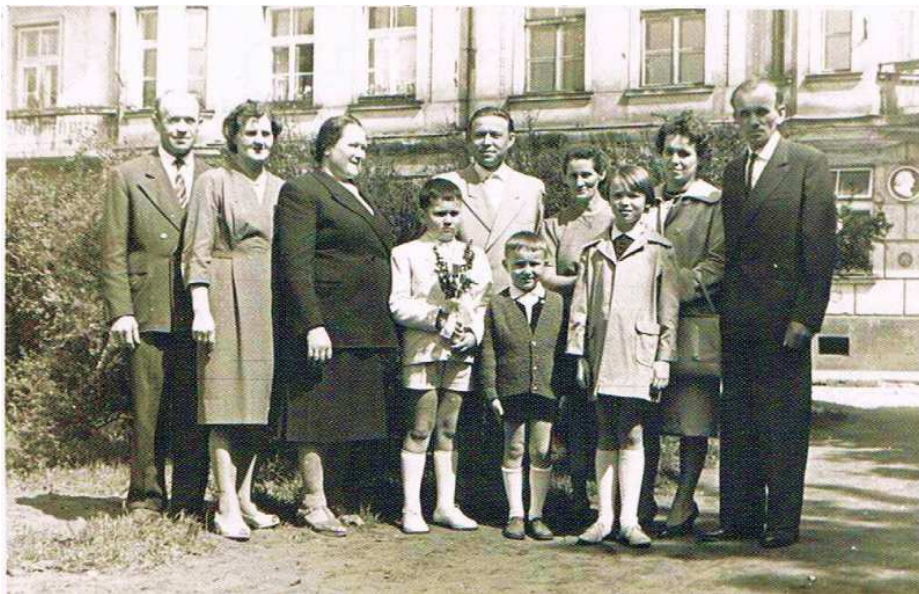
Fot. nr 85. Początkowy fragment ulicy Garncarskiej. Druga po prawej stronie to kamienica pod nr 3, gdzie na I piętrze mieszkała Halina Czerny-Stefańska. Zabudowa ulicy powstała głównie w okresie od IV ćwierci XIX-go wieku, po lata międzywojenne. (18.08.2010)

Przy ulicy Garncarskiej pod nr 3, na pierwszym piętrze efektownej, międzywojennej kamienicy mieszkała Halina Czerny-Stefańska, słynna pianistka. Była związana z rodziną Waligórow, znanym krakowskim rodem, z którą zajmowała całe piętro tej rozległej kamienicy. To właśnie dla Waligórow przez jakiś czas prała moja mama i w tym domu bywała od czasu do czasu, nieraz spotykając słynną artystkę. Dźwięki jej fortepianu często dolatywały na ulicę i przechodząc tędy można było podziwiać piękno muzyki Chopina, którego była niezrównaną wykonawczynią. Co dla niektórych było przyjemnością, dla wielu było utrapieniem, jak choćby dla Antka Tylka, dziś Tony'ego Tylera, którego mieszkanie spod nr 1 sąsiadowało przez ścianę z jej apartamentami. Ale właśnie te wydobywające się na zewnątrz dźwięki muzyki powodowały, że każdy ją tutaj znał i rozpoznawał, choć dla wielu była to osobistość z zupełnie innego świata.

Znakomitościami ze świata nauki, związanymi z UJ, była nasycona kamienica przy Alei Mickiewicza pod nr 13, połączona w jedną całość z kamienicą pod nr 15, w której na parterze mieszkali Bruzdowie, rodzina „Grubego”, mego serdecznego przyjaciela i jego brata „Chudego”, zażyłego kolegi mego brata. Ich rodzice pełnili tu oni funkcję dozorców i „Gruby” nieraz świadczył drobne usługi dla tej znamienitej klienteli: od zakupów, poprzez donoszenie węgla z piwnicy, po niewielkie prace transportowe, za co zawsze obrywał drobne zaskórniaki. Mój kolega nieraz opowiadał o lokatorach tego budynku, choć jego kontakty ograniczały się głównie do pań tych domów i wizyt w kuchniach.



Fot. nr 86. Międzywojenna kamienica z ulicy Garncarskiej 3 i jej reprezentacyjne pierwsze piętro. (15.05.2013)



Fot. nr 87. Zdjęcia komunijne „Grubego” – Bogdana Bruzdy, wykonane na placu Sikorskiego (maj 1962). Jego Ojciec stoi pierwszy z prawej, a jego Mama trzecia. Obok Grubego stoi Marek, starszy brat **Zbyszka Adamczyka**, który mi przesłał te zdjęcia i jego siostra Magda; druga z prawej jego Mama, czwarty z prawej jego Tata, ojciec chrzestny Grubego, zaś trzecia z lewej to jego matka chrzestna. Para z lewej jest nieznaną. Adamczykowie, którzy do początku lat 60-tych mieszkali na terenie starego WSR, przyjaźnili się z Bruzdami i mieli nawet sąsiednie działki pod Kopcem Kościuszki.



Fot. nr 88. „Gruby” solo. Trzeba przyznać, że w tym czasie nie imponował on jeszcze „ponadnormatywnymi” rozmiarami, które charakteryzowały go pod koniec nauki w SP nr 6. Co ciekawe, że wnet po rozpoczęciu praktyki w zawodzie hydraulika jego fizjonomia szybko powróciła do normy i stało się to w niecały rok.



Fot. nr 89. „Chudy” – Adam Bruzda, fragment zdjęcia szkolnego z jesieni z roku 1960 lub 1961.

W ogromnym mieszkaniu na parterze kamienicy pod nr 13 mieszkały dwie panie o nazwisku Rymar: starsza już matka i jej niezamężna córka, wtedy może około 35-cio letnia. Mogłem tylko przypuszczać, że jej ojciec był kiedyś zapewne jakimś profesorem UJ. Była to dziwnie smutna rodzina, której widocznymi przyjaciółmi były dwa czarne koty, które regularnie wygrzewały się w oknach od strony ulicy. Córka, zwana przez Grubego „młodą Rymarką” (w odróżnieniu od „starej Rymarki”), zapewne też jakiś pracownik naukowy UJ, choć energiczna, była osobą samotną i sprawiała wrażenie pogodzonej z losem. Była osobą może nieco nadwrażliwą i czasem oberwało nam się z „Grubym”, gdy pewnie zbyt hałaśliwie grywaliśmy w „zośkę” na przedzielonym kwietnikami podwórku przed jej balkonem i oknami kuchni, gdzie akurat był najobszerniejszy ku temu fragment, a płyty chodnikowe zachowały się w najlepszym stanie.



Fot. nr 90. Połączone kamienice pod nr 13 i 15 przy alei Mickiewicza. Na parterze tej pierwszej (nr 15) w dwóch skrajnych oknach mieszkali Bruzdowie, nasi wspaniali przyjaciele z lat szkolnych. (18.09.2010)

Na pierwszym piętrze, w równie wielkim mieszkaniu mieszkali Klimaszewscy, chyba tylko we dwoje. Właściciel lokalu był znanym profesorem geografii, ale udzielał się też politycznie, „zgodnie z prądem” i przez jakiś czas był nawet zastępcą Przewodniczącego Rady Państwa, a więc liczącą się szychą w PRL, choć formalnie był bezpartyjnym. Jego żona z kolei była wytworną damą, nigdzie niepracującą, a jedynie zarządzającą domem. Była osobą bardzo dumną i może nieco nazbyt zarozumiałą, jak przystało na typową panią profesorową. Lepiej poznała ją moja mama, bo coś niecoś dla niej podpieriała, ale kontaktów tych nie wspominała jako szczególnie miłych. To właśnie w koszulkach mistrzowsko prasowanych przez moją mamę defilował pan profesor. „Gruby” często świadczył jej drobne usługi jako „chłopak na posyłki”, choć nigdy nie była ona dla niego zbyt szczodra.

Na drugim piętrze mieszkali Marchlewscy: zapewne wdowa po jakimś profesorze, bardzo miła i przystępna dla ludzi starsza pani, chyba wraz z rodziną swej córki. Była to ruchliwa staruszka, która sama prowadziła dom, codziennie robiąc w okolicy niezbędne zakupy. Mój kolega lubił dla niej „pracować”, bo zawsze była dla niego uprzejma i nigdy nie szczędziła grosza.

Najwyżej, na trzecim piętrze, mieszkali Niewodniczańscy, rodzina kolejnego profesora UJ. Pamiętam, że jak pewnego razu „Gruby” coś przeszkrobał, co nie zdarzało mu się rzadko i matka nie chciała go wypuścić na pole, a on wyrwał się z domu pod pretekstem, iż idzie po trzy jajka dla pani Niewodniczańskiej i tak znikł na cały dzień. Dobry był z niego aparat, ale jakże sympatyczny i jowialny i jaka szkoda, że nie widziałem go już nigdy od początku lat 70-tych. Salony mieszkań profesorskich wychodziły na Aleje, a kuchnie z balkonami, a więc część gospodarcza, na podwórko, na którym znajdowało się: kilka drzew, dwa zaniedbane klombiki i śmietnik (ten ostatni przy granicy z terenem wojskowym), który ułatwiał nam forsowanie na skróty granicznego muru.

Może warto jeszcze dodać, że mieszkanie na parterze, po drugiej stronie „Rymarek”, zajmowali Lubińscy, tym razem zwykła robotnicza rodzina (chyba nie mylę ich nazwiska), a ich syn – bodaj Rysiek, był kolegą Grubego i niezłym urwisem.

Pora przejść do dawnych kolegów szkolnych.

Na początku lat 60-tych najciemniejszym typem w okolicy miał być niejaki Tadek Brzezicki, pseudonim „Brzoza”, kolega szkolny Krzyśka Gędłka, z którym nieraz spotykał się na naszym podwórku. Pamiętam go już jak przez mgłę, ale rzeczywiście było z niego kawał chłopca. Często przychodził na skwerek i tu urzędował z resztą swojej ferajny. Jego „banda”, jak się wtedy mawiało, swoje ławki ustawiała pod murem Izby Skarbowej, w najbardziej ciemnym kącie „skwerku” i tam w swoim gronie, często w otoczeniu najodważniejszych dziewczyn, raczyła się piwkami i podpałała papierosy. Na ulicy mówiło się, że „Brzoza” już wtedy był z prawem na bakier, a o jego chuligańskich wyczynach opowiadano legendy, a nawet nim straszono. Brylował w tym Krzysiek, słynący z bujnej fantazji, ale we mnie, małym chłopaku opowieści te mroziły krew w żyłach. Ile było w tym prawdy, a ile „bujdy na resorach” i wytworów bujnej wyobraźni mego starszego kolegi, trudno powiedzieć. Ja osobiście przynajmniej nigdy nie widziałem go „w akcji”, a u nas na podwórku nie sprawiał wrażenia szczególnie groźnego. Innymi kolegami Krzyśka byli niezwykle sprawni ruchowo: Adam Puchta, bliski jego kompan z Cracovii, Bogdan Sokulski też zapalony junior tego klubu, Lutek Reubenbauer i Zbyszek Rozwadowski, obaj szczypiorniści odpowiednio Zwierzynieckiego oraz Cracovii i bodaj Miłosz Żelechowski. Starszym bratem Miłosza był Iwo, chłopak wysoki, który jakiś czas trenował koszykówkę bodaj w Wiśle.

Jak już wspominałem, młodzież z okolicy, w której mieszkałem była niezwykle usportowiona i wyrosło stąd wielu znanych sportowców. W tym czasie sport był dla wielu z nas nie tylko sposobem na życie, szansą na sprawdzenie swoich umiejętności i szersze zaistnienie, ale także ucieczką z zatęchłych często i ciasnych mieszkań oraz nierzadko cuchnących podwórek.

Na parterze kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 14, zlokalizowanej w sąsiedztwie Liceum nr V, słynnej „piątki”, mieszkał Tadeusz Michałowski, jak się okazuje bliski krewny, bo prawnuk, Piotra, znanego polskiego malarza. Było to jego oficjalne imię, bo normalnie nazywano go inaczej, również w drużynie Wisły, ale gdzieś mi to umknęło – na pewno nie był to dla nas Tadek (czyżby właśnie Piotrek?). Trudno nazwać go moim kolegą, bo był ode mnie dużo starszy (rocznik 1945), ale znałem go dobrze z widzenia. Nie za wysoki, może z 180 cm wzrostu, był dobrze zapowiadającym się rozgrywającym w słynnej koszykarskiej drużynie „Wawelskich Smoków”. W drugiej połowie lat 60-tych ocierał się już o pierwszą piątkę, wszak powoli kończył karierę Stefan Wójcik, zwany „Dziadkiem”. Oglądałem wiele meczów z jego udziałem: był żywy jak srebro i stylem gry oraz wyglądem przypominał słynnego Wiesława Langiewicza. By prezentować wysoki poziom sportowy musiał poświęcać sporą ilość czasu na intensywny trening, a mimo to normalnie studiował na AGH i często widywałem go chodzącego ulicą Czystą na wykłady. Chłopak był niezwykle ułożony i na boisku, i poza nim.



Fot. nr 91. To w tym oknie (pierwsze na parterze w dawnej kamienicy Barabasza przy dawnej ulicy Świerczewskiego 14) często można było oglądać Tadeusza Michałowskiego, znanego koszykarza Wawelskich Smoków. Michałowskiego nie nazywano Tadkiem, ale być może Piotrkiem, co mogło być nawiązaniem do imienia jego pradziadka, słynnego malarza. W tle gmach galicyjskiej Szkoły Realnej pod nr 12, gdzie od połowy lat pięćdziesiątych zeszłego wieku funkcjonuje słynne V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego. (13.09.2010)

Jakiż tragiczny był finał jego życia. W czasie obowiązkowego na studiach poligonu, który odbywał w ramach przysposobienia wojskowego, czyli tzw. „wojska”, trafił go jakiś zabłąkany pocisk i zmarł on w wyniku odniesionych ran. Działo się to w 1967 roku, kiedy jego kariera zbliżała się do zenitu. Wieść o jego śmierci wywołała głębokie przygnębienie w całej okolicy, wszak miał tu niemało kibiców. Spoczywa w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim, razem ze wspomnianym wyżej Piotrem.

Dopiero na początku roku 2018 przypadkowo przypomniało mi się, że z Piasku pochodziła też Teresa Starowieyska, moja rówieśniczka, która była jedną z gwiazd niezwykle silnej drużyny koszykarek GTS Wisły Kraków lat siedemdziesiątych. Pod okiem Ludwika Mięty, słynnego szkoleniowca, sześciokrotnie zdobywała ona złoty medal Mistrzostw Polski, w latach: 1969, 1970, 1971, 1975, 1976 i 1977. Ta niewysoka, ale bardzo sprawna fizycznie dziewczyna, w reprezentacji Polski wystąpiła w 66 spotkaniach, w tym w turnieju przedolimpijskim w kanadyjskim mieście Hamilton w roku 1976 i na Uniwersjadzie w Moskwie w roku 1973. Z tego co pamiętam mieszkała chyba przy ulicy Karmelickiej, może 36. Miała starszą siostrę Barbarę, też koszykarkę, ale słabszą i bodaj młodszego brata. Pochodziła z zamożnej rodziny i nie zadawała się z frywolną dzieciarnią, urzędującą na ulicach i na skwerach, więc znaleźmy ją tylko z widzenia, a potem kibicowaliśmy jej na meczach, na które wtedy do hali Wisły waliły tłumy. Uczęszczała do SP nr 13 przy ówczesnej ulicy Świerczewskiego 13, dokąd często chodziła w towarzystwie matki i rodzeństwa. Karierę zakończyła wcześniej, gdy miała ledwie 25 lat, co pewnie wiązało się z zamążpójściem.

Znanym koszykarzem Korony, Wisły, potem Hutnika, a na końcu trenerem tej dyscypliny był Zdzisław Paluch, kolega szkolny mego brata, z którym nieraz grywaliśmy, ale w piłkę nożną. Mieszkał na ulicy Szujskiego (bodaj) 7, razem z matką i Ryśkiem, młodszym bratem, który był totalnym antytalentem sportowym. W czasach podstawówki nic nie zapowiadało jego kariery koszykarskiej. Był uzdolniony sportowo, ale rznął głównie w piłkę. Nie był za wysoki, ale z wiekiem osiągnął wysoki poziom sportowy, będąc w bezpośrednim zapleczu pierwszej piątki Wawelskich Smoków, w której w tym okresie grały takie tuzy, jak: Ładniak, Langosz, Gardzina, czy Seweryn. Na koniec kariery przeszedł do I ligowego Hutnika, którego był podporą, a potem dobrym trenerem. Karierę zawodniczą zakończył blisko czterdziestki.

Jako koszykarz liczył się też Wojciech Pach, starszy brat Jana, rówieśnika mego brata. Pachowie mieszkali na piętrze willej z naroża ulic Kochanowskiego 15 i Grabowskiego 12, w ładnym mieszkaniu ze stylizowanym balkonem. W latach 70-tych Wojtek grał w pierwszej piątce II-go ligowego zespołu AZS, który należał do czołówki tej ligi. Był koszykarzem solidnym, choć nie za wysokim i pewnie dlatego nie zrobił większej kariery sportowej. Przypuszczam, że po prostu grał dla przyjemności.



Fot. nr 92. Willa z naroża ulic: Kochanowskiego 15 i Grabowskiego 12, \pochodząca sprzed 1907-go roku, kiedyś jeszcze bardziej zaniedbana – widok z ulicy Kochanowskiego. (26.11.2010)



Fot. nr 93. Kamienica przy ulicy Rajskiej 20, pochodząca z lat 1911-1912, wybudowana wg projektu Jozue Oberledera, znana głównie ze spożywczego sklepu Łakomskiej, który funkcjonuje do dziś. Na III jej piętrze mieszkał Janusz Klimas, znany w I połowie lat 70-tych judoka Wisły. (18.08.2010)

Spore sukcesy jako judoka Wisły osiągał Janusz Klimas, inny szkolny kolega mego brata. W latach 70-tych występował w pierwszym zespole Wisły, która w tym czasie osiągała znaczące sukcesy, nawet na arenie międzynarodowej. Trzeba było podziwiać tego chłopaka z ulicy Rajskiej 20, który mieszkał na trzecim piętrze tej kamienicy, bo miał wyjątkowo słaby wzrok i na co dzień nosił silne okulary, co na pewno utrudniało mu osiąganie większych indywidualnych sukcesów, więc dominował on jedynie w okręgu krakowskim. Z Januszem, przemiłym człowiekiem, nawiązałem ostatnio kontakt i wiem teraz, że jego rozbrat z Wisłą, co miało miejsce na początku lat 70-tych i w dalszej konsekwencji ze sportem, miał związek z jego wyjazdem do Austrii, gdzie przebywa zresztą do dzisiaj, ale na swoje dawne śmieci często powraca.

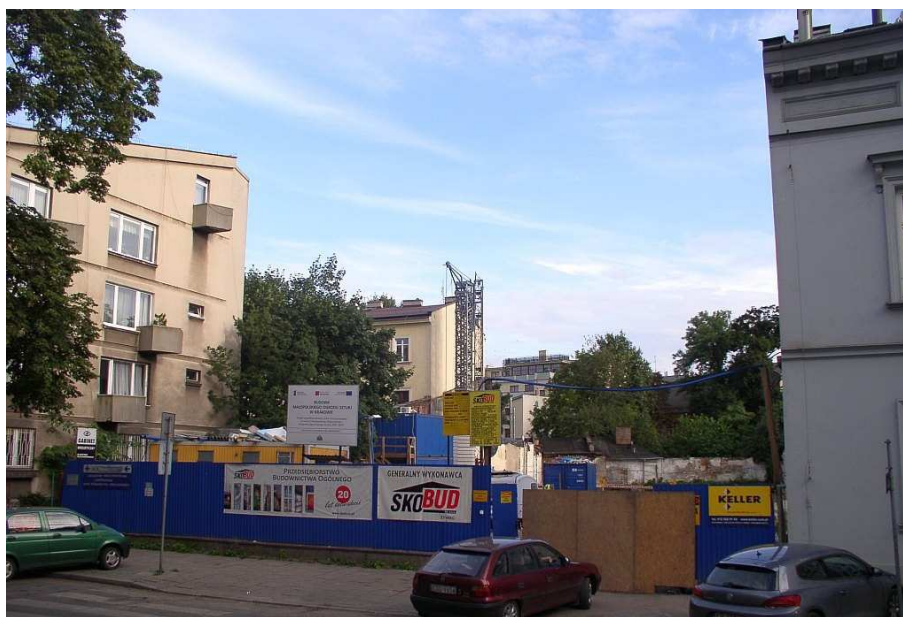
Dwóch z moich starszych kolegów, szkolnych kompanów Krzyśka Gędłka, osiągnęło wysoki poziom w piłce ręcznej. Byli to Lucek (Lutek) Reubenbauer i Marian Ostasz, olbrzym o pseudonimie „Yeti”. Ostasz był wielkim talentem KS Zwierzynieckiego, chłopakiem o wielkich możliwościach, który już od wieku juniora był bramkarzem zespołu seniorskiego. Ale sport traktował jak zabawę, wszak Zwierzyniecki był całkowicie amatorskim klubem, choć grał nawet w I lidze. W tych czasach, na przełomie lat 50-tych i 60-tych, grał tu jeszcze słynny Roman Pyjos, wielokrotny reprezentant Polski, a chyba i Yeti zaliczył występy w reprezentacji Polski, ale w kategorii juniorów. Potem znalazł sobie jakieś inne zajęcie i porzucił szczypiorniaka. Pochodził z wielodzietnej rodziny, która zamieszkiwała na ulicy Krupniczej, chyba 10. Yeti był największym atletą w okolicy, lecz człowiekiem wyjątkowo miłym i spokojnym.



Fot. nr 94. Początkowy fragment ulicy Krupniczej, która niewiele się zmieniła od czasów mego dzieciństwa. Po lewej stronie, w piwnicach zalegających pod ówczesnym Domem Towarowym, usytuowanym w narożu ulic: Krupniczej i Podwała, znajdowała się rozlewnia win, m.in. „jabców” i na ulicę często dolatywał odurzający ich zapach. Jej zabudowa pochodzi głównie z okresu od IV ćwierci XIX wieku po lata międzywojenne. (08.11.2010)

Jego ojciec, który pracował jako kierowca w Teatrze Rozmaitości, dzisiejszej Bagateli, był sprawcą wypadku drogowego, w którym sam zginął, a oprócz niego jeszcze kilka osób, w tym aktor Adam Fiut, co miało miejsce pod koniec 1964 roku. Waldek, jego młodszy brat, rówieśnik mego brata, na stałe mieszka w USA. W późniejszych latach „Yeti” był przykładnym mężem i ojcem licznej gromadki dzieci, ale żył skromnie. Jaka szkoda, że nie wykorzystał życiowej szansy, jaką już wtedy dawał sport, bo talent miał ogromny.

Tak dla przypomnienia, rekwizytornia Teatru Rozmaitości, tak mnie się przynajmniej wydawało, mieściła się w parterowym budynku przedwojennego Teatru Letniego, galicyjskiego tattersallu, zlokalizowanym w głębi posesji przy ulicy Rajskiej 12, naprzeciw wejścia do koszar wojskowych OTK, dziś gmachu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Janusz Klimas, w końcu dawny mieszkaniec tego rewiru, twierdzi jednak, że ten charakterystyczny dla ulicy Rajskiej obiekt należał do Teatru Słowackiego, a fabryka teatralnych eksponatów przynależna do obecnej Bagateli znajdowała się naprzeciw Teatru, na podwórku kamienicy przy ulicy Karmelickiej 5. Z kolei Mikołaj Kornecki uważa, że halę z ulicy Rajskiej użytkowały oba krakowskie teatry. Niedawno dowiedziałem się od Piotra Krzysztoforskiego i jest to pewna informacja, że rekwizytornia Teatru Bagatela znajdowała się w rozległym ogrodzie na tyłach kamienic przylegających do kościoła Karmelitów (nr: 21-25), w bliskości pawilonu fotograficznego Neidera. A może Teatr Bagatela miał dwie rekwizytornie? Tak, czy owak ta charakterystyczna hala, raczej przynależna kiedyś do Teatru Słowackiego, dziś już zmieniła swą postać i stała się częścią nowo wybudowanego Małopolskiego Ogrodu Sztuki (MOS) autorstwa Romana Ingardena, który od strony ulicy Rajskiej wygląda ciekawie; mnie przynajmniej nie podoba się szklany fragment od strony ulicy Szujskiego.



Fot. nr 95. Wspomnienie dawnej rekwizytorni teatralnej z ulicy Rajskiej 12, a raczej miejsca, gdzie stała ta hala. W czasach galicyjskich był w niej tattersall, a w latach międzywojnia teatrzyk letni. W jej miejscu powstał Małopolski Ogród Sztuki. (18.08.2010)

Lucek (Lucjan) Reubenbauer był kolegą „Yetiego” i mieszkał w budynku Wydziału Chemii UJ przy Parku Jordana (dziś Ingardena 3), gdzie jego rodzice byli portierami. On z kolei zrealizował swoje młodzieńcze marzenia i został znanym szczypiornistą, nieraz ocierając się o kadre, która w tym czasie prezentowała najwyższy poziom światowy. Początkowo grał w Zwierzynieckim, razem z „Yetim”, potem w Wawelu, a na końcu w renomowanym zespole Hutnika. Był świetnym rozrywającym i strzelał mnóstwo bramek. Po zakończeniu długiej kariery został znanym trenerem, wcześniej być może kończąc studia na AWF-ie.

Inny szkolny kolega Krzyśka, Jurek Rozwadowski, który mieszkał przy ulicy Garncarskiej (bodaj 14 lub 16), był z kolei skrzydłowym w drugoligowym zespole szczypiornistów Cracovii, która trenowała i rozgrywała mecze na ceglanych korcie obok Sokoła. Ponieważ mama pracowała w KKS-ie, a ja często z nią tu przychodziłem, nieraz widywałem tego niewielkiego chłopaka ostro tu trenującego. Był bardzo szybki, ale nazbyt niski, by zrobić większą karierę, więc grał głównie dla przyjemności, ot z potrzeby wyżycia się, ale był niezłym graczem na trudnej pozycji prawoskrzydłowego.

W moich latach szkolnych całe to powojenne pokolenie, które tworzyło słynny wyż demograficzny, oczywiście „tłukło w gumiankę” na placu Hanki Sawickiej, zwanym w naszym żargonie placem „Hanki Dyrdy” i stąd wielu z tych chłopaków, dziś już starszych panów, nadal dobrze pamiętam, choć niektórych z nich, zwłaszcza tych najstarszych kolegów, z wolna zaczynam już zapominać. Na początku lat 60-tych gęsto zaludniali: Błonia, parki, place, boiska czy ulice, na których często grywali w zośkę”, bo ruch samochodowy był w tym czasie mizerny.

Z moich szkolnych kolegów największą karierę sportową zrobił Marek Kusto. Był o rok ode mnie młodszy i chodził do niezwykle usportowionej niższej klasy, z którą nieraz czy to na podwórku szkolnym, czy na Błoniach, toczyliśmy zacięte boje o prymat w szkole. Przyszedł do „szóstki”, gdzieś w 1965 roku, wszak jego ojciec był jakimś oficerem WP i został przeniesiony do Krakowa. Mieszkał w kamienicy przy zacisznej ulicy Pawlikowskiego (bodaj 10), gdzie lokum miało więcej wojskowych. Grał w piłkę naprawdę dobrze, ale wtedy nie wyróżniał się jakoś szczególnie, by wróżyć mu szybką karierę, wszak w bojach szkolnych niejeden z nas przynajmniej mu dorównywał. Ale on miał dużą siłę woli i chęć przebicia się, ponadto bardzo rozwinął się atletycznie, co przy jego dużej pracowitości dało nadspodziewane szybkie efekty. Początkowo grał w juniorach Wawelu, pewnie z uwagi na stanowisko ojca i tu został dostrzeżony przez wiślackich wylawiaczy talentów, prawdopodobnie przez Lucjana Franczaka, wybitnego trenera juniorów tego klubu. Jego dalsza kariera do pewnego momentu szła już jak po maśle. Był szybki, jak strzała, a z czasem wypracował sobie dobre wyszkolenie techniczne i silny uderzenie z dystansu. W pewnym momencie jego kariera jakby przygasła, przeniósł się do Legii, potem do belgijskiego Beveren, ale przestał się rozwijać i pozostał tylko bardzo dobrym piłkarzem.

Zagrał parę razy w reprezentacji Polski i był na pewno dwa razy na mistrzostwach świata: w 1974 roku w Niemczech i w 1978 roku w Argentynie, ale przesiedział je na ławie. Był też na Mundialu w Hiszpanii w 1982 roku i dopiero tam zagrał jakiś epizodyczne fragmenty. Marek nigdy nie miał zbyt wiele wolnego czasu, bo jego ojciec był chyba dość ostrym rodzicem, jak przystało na wojskowego, ale na szczęście nie zawsze był w domu. Spotykaliśmy się sporadycznie jeszcze w latach 70-tych, kiedy był już znanym piłkarzem Wisły.



Fot. nr 96. Gmach dawnego Technikum Energetycznego z ulicy Loretańskiej 16, mojej średniej szkoły, gdzie na parterze (dwa krańcowe okna po prawej stronie) mieszkała liczna rodzina Nenków. Gmach powstał w latach 1904-1905 wg projektu Jana Zawiejskiego, w stylu historyzmu i początkowo mieściła się w nim Szkoła św. Jadwigi. Wcześniej w miejscu mojej budy i przylegającej do niej dawnej Szkoły Handlowej, również wybudowanej wg projektu tego architekta w latach 1904-1906, mieściła się drewniana hala resursy, czyli ujeżdżalni koni. (26.05.2009)

Innym kolegą, który stał na progu wielkiej kariery piłkarskiej i sławy był Adam Nenko. Ten z kolei trenował w Cracovii i przeszedł tam wszystkie szczeble szkolenia: od trampkarza, przez juniora, po seniora. Jako 18-latek został dostrzeżony przez Michała Matyasa, słynnego trenera I zespołu, wcześniej Górnika Zabrze i zajął miejsce w środku pomocy. Choć zespół ten grał wtedy w III lidze, w jego składzie występowała cała plejada znakomitych zawodników: Sputo, Spiżak, Kubik, Niemiec, Hefko czy Gigoń. W ligowym zespole grał ze dwa sezony, gdzieś w latach 1971-73, ale z czasem zaczął grać wyraźnie słabiej.

Był pupilkiem trenera Matyasa, który go wyraźnie faworyzował, ale ten chłopak pochodzący z wielodzietnej, biednej rodziny nie wykorzystał swojej życiowej szansy, zachłystując się popularnością i niemałymi pieniędzmi. Zamiast pilnie trenować zaczął nadmiernie korzystać z uroków nocnego życia i to go rychło zgubiło. Trener Matyas odszedł, bo Cracovia nadal tkwiła w III lidze, a w drużynie Romana Durnioka dla Adama brakło już miejsca w zespole. Jak szybko, choć na krótko, wzniósł się w swym kunszcie, tak szybko powrócił na twardą ziemię. Zamiast sławy oraz wielkich pieniędzy przyszła harówka na stanowisku zaopatrzeniowca w Przedsiębiorstwie Dostaw Pieców Tunelowych. Potem długo jeszcze, zwykle w przelocie, spotykaliśmy się na ulicy, wszak pracowaliśmy blisko siebie. W latach 90. przez jakiś czas, razem z braćmi, prowadził kiosk spożywczy o nazwie „Klan”, na początku ulicy św. Filipa, lecz z czasem lat interes przestał być opłacalny. Potem straciłem z nim kontakt, ale ostatnio znów zaczęliśmy się spotykać z dawną „paka” z TE.

Z Adamem, moim rówieśnikiem, uczniem równoległej klasy B, znałem się dobrze jeszcze za sprawą mojego brata, który chodził do klasy z jego bratem Tadeuszem. W pierwszej połowie lat 60-tych, zwłaszcza w czasie wakacji, często zaglądaliśmy do braci Nenków, których rodzice byli woźnymi w Technikum Energetycznym, gdzie potem i ja uczęszczałem. Tu na parterze zajmowali oni służbowe mieszkanie: duży pokój ze ślepą kuchnią. Było tu zawsze ciasno zważywszy na fakt, że Nenkowie mieli pięcioro dzieci, czterech synów: Tacka, Adama, Staszka i Witka oraz najmłodszą córkę Jolę. Cała czwórka była bardzo usportowiona, choć Staszek był typem intelektualisty, który bardziej cenił naukę i zawsze uczył się bardzo dobrze, w przeciwieństwie do Adama i Witka, którym w TE szło nieci ciężiej. Staszek, podobnie jak i Tadek, też skończyli tę szkołę, a potem także wyższe studia. Wszystkich świetnie znałem – był to super „klan”.

Tu, na podwórku Technikum razem ciupaliśmy w piłkę do utraty tchu, a wielkim talentem już wtedy błyszczał Witek, najmłodszy z braci. Choć był ode mnie ze trzy lata młodszy bez problemu dotrzymywał nam kroku, a i „kiwkę” miał nieprzeciętną. Wszyscy wróżyli mu błyskotliwą karierę piłkarską, bo wydawał się być jeszcze większym talentem od Adama. I on też trenował w Cracovii, ale na pewnym etapie jakby przestał się rozwijać. Gdzieś w połowie lat 70-tych zaczął się wprawdzie ocierać o pierwszy skład ligowy, ale gdy na niego patrzyłem nie mogłem go już poznać: sprawiał wrażenie przeciętniaka boiskowego, pozbawionego dawnego polotu i finezji. Podobnie jak jego starszy brat niebawem znikł z pola widzenia, lecz trudno mi powiedzieć za jaką przyczyną.

Od Adama wiem, że Witek pracował potem jako listonosz i udzielał się w oldboyach Cracovii, choć pod rządami nowego prezesa, pana i władcy „Pasów”, klimat przestał być tam przychylny do kultywowania więzi z klubem. Z Cracovii, części historii dawnego Krakowa, coraz bardziej obdzieranej z tradycji, pozostało już tylko (niestety) dawne opakowanie, zdobione w piękne biało-czerwone pasy, reszta jest już tylko atrapą związaną z czystym biznesem. Dziś w tym klubie praktycznie nie uświadczysz krakusów, własnych wychowanków, a jedynie gwardię zaciężną i to nie tylko z Polski. Mnie przynajmniej ciężko identyfikować się z takim klubem, więc na mecze po prostu przestałem chodzić, podobnie jak zdecydowana większość moich kolegów i znajomych z dawnych lat.

Blisko zrobienia kariery piłkarskiej był także Tadek Kuciel, kolega szkolny mego brata, chłopak multidyscyplinarny niczym Jacek Dycjan. Jego rodzice byli woźnymi w Technikum Mechanicznym przy alei Mickiewicza 5, gdzie też w niskim parterze (suterenie) mieli służbowe mieszkanie. Tadek miał sporo starszego brata Staszka, który też wykazywał smykałkę do sportu, ale nie taką jak on sam. Mimo swego niskiego wzrostu, najwyżej 175 cm, Tadek był dobry we wszystkich grach zespołowych, nawet w koszykówce czy siatkówce i w każdej z nich był podporą reprezentacji szkoły. Swoją sylwetką przypominał nieco Szoltyśnika, znanego niegdyś piłkarza Górnika Zabrze, a to z uwagi na nieco „bajglowate” nogi. Nieraz grywaliśmy razem na podwórkach Technikum Mechanicznego i na Błoniach, bo w pewnym czasie przyjaźnił się on z moim bratem, który też miał spory talent sportowy i razem z „Kucielkiem” grał w piłkarskiej reprezentacji szkoły, która bodaj na jesieni 1964 roku zdobyła wicemistrzostwo Krakowa, a mecz finałowy odbył się na głównej płycie stadionu Wisły jako przedmecz pojedynku ligowego „Białej Gwiazdy”.

Potem chodził oczywiście do Technikum Mechanicznego, też z moim bratem i w tym czasie przerzucał się z dyscypliny na dyscyplinę, m.in. próbując swych sił jako hokeista, nie dbając nadmiernie o naukę. Gdzieś pod koniec szkoły, a więc pod koniec lat 60-tych, całkiem już na poważnie poświęcił się piłce nożnej i po krótkim okresie intensywnych treningów, gdy Cracovia ponownie grała przez jeden sezon w I lidze, ocierał się o podstawowy skład zespołu. Był napastnikiem i zaliczył nawet krótkie epizody boiskowe. Po zakończeniu sezonu przeszedł do Wawelu, by tu odbywać służbę wojskową i szybko znikł.



Fot. nr 97. Tadek Kuciel - fragment zdjęcia szkolnego z 1960 lub 61-go roku.

Innym znanym sportowcem, tym razem hokeistą, pochodzącym z mojej okolicy był Henryk Pietkiewicz – „Pietia”. Pietkiewiczowie mieszkali w nowym budynku przy ulicy Garncarskiej 7, wybudowanym na rogu ulic: Garncarskiej i Cybulskiego i mieli trójkę dzieci. Najstarszy był Heniek – rocznik 1950, potem córka, moja rówieśniczka, której imienia nie pamiętam, bardzo ładna dziewczyna, a na końcu też chłopak, kolega szkolny Jacka Siedleckiego. Senior Pietkiewicz był zwykłym robotnikiem i zapiekłym kibicem sportowym. Był dumny ze swego syna, który reprezentował barwy Cracovii, wszak on sam kochał ten klub nad życie. Heniek trenował hokej, dyscyplinę wówczas bardzo popularną, od najmłodszych lat i pod koniec lat 60-tych, jeszcze będąc juniorem, awansował do pierwszego składu zespołu. Tu pod okiem Stefana Csoricha, znanego trenera, zaczął grać jako skrzydłowy w trzecim ataku, razem z Kosturkiem i Marianem, synem trenera, imponując szybkością i mocnym uderzeniem „z klepki”.

A nie był to byle jaki zespół, bo z takim gwiazdami jak: Migacz – „Migawa”, Kopczyński – „Kopa”, Gój – „Wacek”, Ostrowski, Powalacz, Sięka, bracia Pyszowie, czy „Franek” Wodzicki, hokeista rodem z Kanady. Przez krótki okres grał tu nawet słynny Walenty Zientara, a Cracovia miała wtedy aspiracje na mistrzostwo kraju. Potem, po jakimś czasie, kiedy zespół spadł do drugiej ligi, był już jego podporą. Około 1975 roku, pewnie z uwagi na zbyt niski poziom sportowy drużyny i kiepskie warunki finansowe, przeniósł się na Śląsk, do I ligowego GKS Tychy i tu grał przez dobre parę lat, choć wielkiej kariery nie zrobił. Potem, gdy wyprowadziłem się na Kozłówek, przestałem śledzić jego los.

W latach siedemdziesiątych spore osiągnięcia sportowe jako kolarz szosowy, a sporadycznie także i torowy, odnosił Kazimierz Korcala, szkolny kolega mego brata, zamieszkały na ulicy Krupniczej 8 lub 10, w sąsiedztwie cukierni Michałka. Jego kolarskie sukcesy w barwach „Pasów” miały jednak wymiar lokalny, co nie zmienia faktu, że był to okres największych sukcesów polskiego kolarstwa, czas dominacji: Magiery, Szurkowskiego, Szozdy, Nowickiego czy Kowalskiego i poziom tej dyscypliny był niezwykle wysoki. W tym czasie dyscyplina ta cieszyła się niewyobrażalną wręcz popularnością i nawet lokalne wyścigi ściągały na trasy tłumy kibiców. Kolarstwo trenowali też: Zygmunt Koper i Andrzej Wojas, kolejni szkolni koledzy mego brata, a także Wojtek Turlejski, ze starszej o rok klasy, ale z mniejszymi sukcesami, choć nazwisko Zygmunta było znane i cenione w mieście. Kto z młodych nie próbował wtedy naśladować swoich idoli.

Świetnie zapowiadającym się szermierzem, szablistą, był Jan Czajkowski (rocznik 1946), starszy brat Zbyszka, mego klasowego kolegi, który już nie żyje. Obaj byli żywi jak srebro, ale Janek wyładowywał swój temperament w szermierce, a nie na ulicy czy w boksie, jak jego młodszy brat. Czajkowsky mieszkali na ulicy Krupniczej 12, w narożnej kamienicy z ulicą Loretańską i mieli niezwykle pobożnych rodziców. Ich wielkie mieszkanie, w którym mieszkała cała rodzina, jeszcze z ich siostrą, znajdowało się na pierwszym piętrze, nad ówczesną masarnią. Ich ojciec, Zygfryd Czajkowski, prowadził zakład krawiecki, najpierw w domu, a potem w niewielkim parterowym pomieszczeniu na Czarnowiejskiej 11. Janek, zawodnik KKS i uczeń Stanisława Sołtana, gdzieś w połowie lat 60-tych zdobył mistrzostwo Polski juniorów w szabli, ale potem jego talent przestał się jednak rozwijać, popadł w jakieś konflikty czy depresję i nagle skończył żywot. W chwili przedwczesnej śmierci miał bodaj zaledwie 23 lata. Była to kolejna wielka tragedia w mojej okolicy.

Na koniec tej sekwencji warto by jeszcze wspomnieć o Adamie Raku. Był filigranowym chłopakiem ze dwa lata młodszym ode mnie i choć zawsze przejawiał chęci do gier zespołowych to był do nich po prostu zbyt drobny fizycznie. Odczuwał dotkliwie każde ostrzejsze „wejście piłkarskie” i niewiele było potrzeba by go zniechęcić do gry. Pochodził z wielodzietnej rodziny, która mieszkała na ulicy Rajskiej 6, w pobliżu kościoła Karmelitów. Jeden z jego braci -Andrzej - chodził do klasy z moim bratem, zaś Adam był najmłodszym z dzieci. Jakież było zdziwienie, kiedy „Raczek” zaczął się przebijać jako rasowy pingpongista Nadwiślanu. W latach 70-tych przez długi okres czasu należał do czołówki tenisistów stołowych Krakowa. W zrobieniu większej kariery przeszkodził mu zapewne niski wzrost.



Fot. nr 98. Galicyjska kamieniczka przy ulicy Krupniczej 21, wybudowana w 1871 roku, w której parterze (na prawo od drzwi) mieszkał Paweł Stempski. (18.08.2010)

Wielu było chłopaków posiadających wielkie talenty sportowe, jak np. wspomniany już Jacek Dycjan, którzy kariery sportowej nie zrobili, z różnych zresztą powodów. Niemniejszy talent od „Dycka”, przynajmniej piłkarski, posiadał Paweł Stempski, jego rówieśnik i rywal z boiska. Paweł mieszkał na parterze piętrowego domu, który do dziś stoi na ulicy Krupniczej 21, przy rogu ulicy z ulicą Dolnych Młynów, naprzeciw dawnego sklepu Mazgajewskiej i pochodził z biednej rodziny; był chyba nawet półsierotą. Chłopak ten był nieprawdopodobnie sprawny fizycznie, ponadto miał wielkie serce do gry, czym nadrabiał pewne braki w wyszkoleniu.

Wszystko układało się dobrze gdzieś do połowy lat 60-tych, kiedy zapadł na groźną chorobę nóg, nad którymi stracił władanie. Mówiło się o chorobie Heinego-Medina, która nawet w tym czasie, mimo stosowania obowiązkowych szczepionek, dotykała jeszcze nielicznych znajomych, ale jej skutki były widoczne głównie u dzieci urodzonych bezpośrednio po wojnie. Ze zgrozą przyglądałem się takim biedakom z okolicy: starszemu bratu Jacka Sudera z ulicy Szujskiego 6 czy sporo ode mnie starszemu Józkowi Skwarczyńskiemu z ulicy Czystej 16, dla których często czymś nieodzownym był wózek inwalidzki, bowiem chodzenie było dla nich prawdziwą drogą przez mękę. Moje przerażenie i współczucie wywoływał zwłaszcza widok kompletnie niedorozwiniętego i bezwładnie jeżdżącego na wózku chłopaka o trudnym do określenia wieku, który wraz z troskliwie opiekującą się nim matką mieszkał w suterenie kamienicy przy Świerczewskiego 19 czy 21, z oknem wychodzącym na chodnik, często widywanego przeze mnie na trasie do kościoła. Jaka dotknęła go choroba, tego nie wiem, ale była ona wyjątkowo okrutna.

Wracając jednak do Pawła, jego nogi szybko ogarnął ogromny niedowład, wszak w krótkim czasie stały się one chude jak patyki. Był zmuszony zakładać na nie metalowy stelaż i początkowo poruszał się bardzo nieporadnie o kulach. Jednak siła woli sprawiła, że z czasem zaczął chodzić lepiej, nawet bez kul, ale wyraźnie utykał, czy raczej zawijał nogami. Nie mógł dobrze biegać, więc zaczął ćwiczyć jako bramkarz i mimo znacznego upośledzenia kończyn osiągał rewelacyjne efekty. Pod koniec lat 60-tych miałem przyjemność grać z nim w szczypiorniaka w młodzikach Wawelu, gdzie Paweł bronił bramki i swoją postawą nieraz budził prawdziwy podziw. Nie przeszkadzał mu stelaż, a jego robinsonady były niekiedy niezwykle efektowne, choć jego nogi pracowały najwyżej na 50 % możliwości. Wierzyć się nie chce, ale za sprawą sportu jego choroba zaczęła się cofać. Z czasem porzucił stelaż, a pod koniec lat 70-tych już prawie nie było znać, że ma jakieś problemy z chodzeniem. To właśnie sport i siła woli pozwoliły mu pokonać tę, jak się wówczas wydawało, nieuleczalną chorobę, która jednak stanęła na drodze kariery sportowej.

Mając w zanadru nadmiar talentów reprezentacje mojej szkoły podstawowej odnosiły znaczące sukcesy w wielu dziedzinach sportu, choć sama szkoła nie miała jakiegokolwiek bazy sportowej i ani jednego nauczyciela WF z prawdziwego zdarzenia. Panowie: Krawczyk i Konieczny, którzy pełnili te funkcje, byli po prostu najmłodszy z grona nauczycieli, ale ich wiedza fachowa była niewielka. Mieli jednak szczęście, że wśród uczniów występowały samorodne talenty, choć nie miał kto ich oszlifować.

Raczej w jesieni 1964 roku albo na wiosnę roku następnego, piłkarska reprezentacja mojej szkoły, o czym wspomniałem już powyżej, zdobyła wicemistrzostwo Krakowa. Po efektownym dotarciu do finału przegrała jednak (i to aż 0:4) z reprezentacją szkoły nr 29 z ulicy Krzemionki w Podgórzu. Jeśli porównać bazy sportowe obu szkół to był to pojedynek Dawida z Goliatem. Spotkanie to zostało rozegrane jako przedmecz meczu ligowego Wisły, więc przy niemal pełnych trybunach. Takie to były czasy, że przed meczami ligowymi zawsze były rozgrywane przedmecze z udziałem drużyn trampkarzy. Możliwość grania na głównej płycie stadionu Wisły, przy udziale publiczności, była jedyną nagrodą za udział w finale. A jakie to było przeżycie wiem z autopsji, bo w reprezentacji tej grał mój brat. Nie jestem już w stanie dokładnie odtworzyć tego składu, ale pamiętam go niemal w całości. Drużynę prowadził jej dobry duch, pan Buczkowski, prawdziwy spec od WF i fanatyk sportu młodzieżowego. Niestety w naszej szkole pracował tylko przez rok, po czym wybrał szkołę podstawową nr 32 przy ulicy Królowej Jadwigi i tam pracował przez wiele, wiele lat, udzielając się przy tym, może nawet społecznie, jako trener młodzików i juniorów szczypiornistów Zwierzynieckiego, który miał swoją nader skromną bazę na pobliskiej ulicy Emaus 18.

Skład drużyny, w systemie 3-2-5, podaję za moim bratem. W bramce naszej drużyny występował Józef Paluch z VII B. W obronie grali, od prawej strony: Tadek Nenko z VII A, Kazek Kopeć z VII B (na środku obrony) i Staszek Ślusarczyk z VII B. Pomoc tworzyli: Jacek Dycyan VI A i Tadek Kuciel z VII B, a w ataku grali: Paweł Stempski z VI B, Zdzisław Cabaj z VII B, Zdzisław Paluch z VII B, Tadeusz Grabowski (mój brat) z VII A i Adam Nenko z V B, choć numery klas mogą tu co nieco mylić. Mój brat strzelił jedyną, zwycięską bramkę w meczu półfinałowym.

Od następnego roku i ja grywałem w piłkarskiej reprezentacji szkoły, ale ta już nie odnosiła takich spektakularnych sukcesów.

Gdzieś około 1963 roku reprezentacja mojej „budy” była najlepsza w szkolnej rywalizacji siatkarzy. Spotkania odbywały się w sali gimnastycznej V LO przy ulicy Świerczewskiego, bo moja szkoła takowej sali nie posiadała. Na mecze ściągala cała ferajna z pobliskiego skwerku, więc doping był jak na prawdziwych zawodach. W naszej drużynie brylował Zbyszek Kwiatuszewski – „Kwiatek”, prawdziwy bombardier. W ataku dzielnie pomagał mu Zbyszek Gugniewicz też z ulicy Garncarskiej, nieco niższy, ale równie skuteczny, a piłkę rozgrywał niewielki Tadek Kuciel. Pamiętam, że grali tu jeszcze: Jasiu Połtowicz - „Tasia”, młodszy z dwójki usportowionych braci mieszkających na Garncarskiej pod piątką, niski Edek Milcz i oczywiście Jacek Dycyan, ten sportowy cyborg na Piasku.

W górnej połówce mistrzostw Krakowa lokowali się też szkolni szczypiorniści. Zagrałem w tej reprezentacji w 1967 roku, początkowo jako kołowy. Mecze były rozgrywane na betonowym boisku szkoły podstawowej nr 31 na ulicy Prusa. Przedtem nigdy nie grałem w piłkę ręczną i właściwie zacząłem rywalizację po kilku zaledwie treningach danych nam przez młodszego brata Ryszarda Medonia, naszego nominalnego nauczyciela WF. Już w pierwszym meczu strzeliłem dwie bramki, ale mocno odrapałem sobie kolana, bo jak wiadomo kołowy rzuca się w koło, a ja nie umiałem robić tego profesjonalnie, za to posiadałem nadmiar chęci i ambicji. Liderem naszego zespołu był nie kto inny, jak Jacek Dycjan, rozgrywający, który wspaniale dogrywał mi piłki na koło. W bramce błyszczał niepełnosprawny Paweł Stempski, dobry rzut z drugiej linii prezentował Waldek Gabryś, mój rówieśnik z równoległej klasy. Skład uzupełniali koledzy klasowi Gabrysia: Adam Nenko (druga linia), Jurek Godfryd (prawe skrzydło) i Jurek Noworyta- „Nora” (lewe skrzydło) oraz młodszy koledzy: Bogdan Feldman i Adam Tomczyk. Reszta nazwisk umknęła mi już z pamięci, a może jakieś z nich pomyliłem? Różnie nam się wiodło, wszak dopiero w trakcie turnieju zaczęliśmy się zgrywać, ale na końcu sprawiliśmy ogromną niespodziankę pokonując 7:6 czy nawet 7:5, faworyzowaną i niepokonaną dotąd reprezentację szkoły nr 5, w której błyszczał leworęczny Jurek Bania, mój przyszły kolega z Technikum Energetycznego, ale mistrzostwa nie udało nam się zdobyć, choć wychowawcy z „piątki” przeżyli prawdziwy szok. I w tym meczu strzeliłem dwie bramki, grając z każdym meczem coraz pewniej i lepiej, choć moje kolana wołały o pomstę do nieba.

Z czasem, będąc już w Technikum Energetycznym, zacząłem grywać w „rękę” w drużynie młodzików Wawelu na pozycji rozgrywającego, ale moja przygoda z tą dyscypliną nie trwała dłużej niż dwa lata i to z przerwami, bo okazyjnie zdradzałem nią na rzecz ukochanej piłki nożnej i krótkiej niestety, czego do dziś nie mogę sobie wybaczyć, przygody z juniorami „Pasów”.

Nieprawdopodobne talenty lekkoatletyczne posiadali: Romek Węgierski z Cybulskiego 6 i Zbyszek Hynał z Garncarskiej 9, obaj starsi ode mnie o rok. Nieco wcześniej w tej dyscyplinie brylował Zbyszek Kwiatuszewski, chyba rocznik 1950, atletycznie zbudowany dryblas, wyrosnięty ponad wiek syn jakiegoś wojskowego, wyróżniający się też jako bombardier szkolnej reprezentacji w siatkówce. On też mieszkał w tym usportowionym i jakże ludnym rewirze, obejmującym okolice ulic Garncarskiej i Cybulskiego. W cuglach, na zmianę, wygrywali oni zawody w międzyszkolnym czwórboju lekkoatletycznym, który obejmował: bieg na 60 m, skok wzwyż, skok w dal i rzut piłeczką palantową, rozgrywane na stadionie na Groblach. Kto dziś pamięta o takiej dyscyplinie jakże kiedyś popularnej wśród młodzieży? Jednak nikt nie potrafił ich wyłowić i wyszlifować, podobnie jak i mnie, choć mój talent objawiał się przede wszystkim w grach zespołowych, głównie w piłce nożnej i ręcznej, co wynikało z moich słabych warunków fizycznych i niskiego wzrostu (z czasem 173 cm).

Ale kto wtedy poważnie myślał o wyczynie. Sport uprawiało się z potrzeby autentycznego współzawodnictwa i wyzycia się. Owszem marzyło się o karierze sportowej, ale jakoś bez wiary w możliwość jej realizacji. Tak było przynajmniej w moim przypadku, a także wielu moich kolegów, którzy potem go porzucili z powodu przekroczenia juniorskich limitów wiekowych bądź na rzecz nauki. Z czasem nie pozostawało nic innego jak tylko aktywne obserwowanie poczynąń innych, ale miło było jeśli na boisku występował jakiś kolega bądź znajomy z okolicy.

Kibicowanie było zresztą pewnym rytuałem, wszak na mecze chodziło się gromadnie, a ponadto można tu było spotkać jeszcze sporo innych znajomych i po meczu, na piwku, porozmawiać o „dawnych dziejach”. Ostatnio jednak obyczaj ten zanikł, może z uwagi na zatracanie się ducha prawdziwego sportu oraz sprowadzanie do klubów gwardii zaciężnej nie tylko z całej Polski i w sytuacji, kiedy w dzisiejszej Wiśle, a także Cracovii, praktycznie nie gra żaden wychowanek klubu doprawdy trudno się identyfikować z takim klubem. Zapewne z tej przyczyny zanika prawdziwy, lokalny patriotyzm, a zaczyna dominować chamstwo stadionowe. Kiedyś, gdy na mecz Wisły przychodziło 40 tysięcy ludzi, a chuliganów było najwyżej 500 i było ich łatwo wyizolować, a dziś w wielu przypadkach jest ich więcej niż spokojnych kibiców przez co sporo stadionów świeci pustkami. Od kibicowania odciąga mnie też powszechne inwigilowanie kibiców poprzez obowiązek posiadania identyfikatorów i brak możliwości wejścia ot tak z potrzeby ducha, prosto z ulicy. Ponadto z biedy zanikają dawne podmiejskie kluby, które kiedyś były kuźnią talentów dla „ligowców” z wyższych klas, a ich mecze gromadziły spore rzesze lokalnych społeczności. Kto dziś identyfikuje się np. z Garbarnią, który wyzuta na lata z ludwinowskiego zaplecza dziś całkowicie zatraciła swoją bazę społeczną i jej nowy stadion na meczach świeci pustkami.

Pora odejść od sportu i wspomnieć o popularnych dzisiaj kolegach dziennikarzach rodem z Piasku.

Dość dobrze znałem zwłaszcza Grześka Miecugowa, znanego do niedawna dziennikarza TVN, wcześniej radiowej „Trójki”, który zmarł 26.08.2017. Jego ojciec, zmarły w roku 2009 Bruno Miecugow, był powszechnie rozpoznawalnym dziennikarzem Dziennika Polskiego, piszącym w nim cotygodniowe humorystyczne felietony, a także satyrykiem tworzącym teksty dla kabaretu Jama Michalika. Cała rodzina Miecugowów mieszkała w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22, więc niemal naprzeciw mojej podstawówki. Grzesiek chodził dwie klasy niżej, ale przyjaźnił się z Jackiem Siedleckim, kolegą z kamienicy, więc i ja go dobrze znałem. Próbował grywać w piłkę nożną, ale mimo ambicji prezentował przeciętny poziom sportowy; jak widać był chyba lepszym polonistą. Miał ciut starszą siostrę, Dorotkę, bardzo do niego podobną, z którą był najczęściej widywany w towarzystwie matki; wielu nazywało tą parę Jackiem i Agatką. Tak się dziwnie złożyło, że żona mojego pierwszego szefa, pani Zofia Michalska, była siostrą Brunona i potem zawsze miałem świeże informacje o warszawskiej już karierze Grzesia, wtedy jeszcze cenionego prezentera radiowej „Trójki”.

Gdzieś pod koniec I dekady XXI wieku udało mi się z nim nawiązać krótki kontakt i porozmawiać telefonicznie o dawnych czasach (wspominał m.in. wspaniałe powidła ze sklepiku Mola) oraz jego byłych kolegach szkolnych. Wspominał, że nadal przyjaźni się z Andrzejem Lisowskim, o rok starszym kolegą (kiedyś) z ulicy Loretańskiej. Przesłałem mu nawet tekst moich wspomnień, ale potem Grześ zamilkł na dobre. Wiem, że i on przymierzał się do napisania swoich krakowskich wspomnień, ale ja jakbym go uprzedził. Coś o swoim dzieciństwie na Piasku potem napisał, ale stosunkowo niewiele, bo całe życie pracował niezwykle intensywnie.



Fot. nr 99. Dom Literatów przy ulicy Krupniczej 22 (z prawej), powstały w roku 1911.

Tu w krakowskim okresie mieszkał Grzegorz Miecugow, niedawno zmarły dziennikarz TVN. Na parterze czynna była Kawiarnia U Literatów, gdzie chłopakom ze skwerku (placu Hanki Sawickiej) pozwalano oglądać kultowe seriale dla młodzieży: Robin Hood, Zorro czy Przygody Wilhelma Tella. (08.11.2010)

Moim kolegą szkolnym, o rok ode mnie młodszym, był też Tomasz Fijałkowski, dziś znany krytyk literacki przez lata związany z Tygodnikiem Powszechnym. On z kolei chodził bodaj do klasy A z Adamem Siedleckim, bratem Jacka bądź do równoległej klasy B, ale nasza znajomość nigdy nie była bliska; ot po prostu znaleźmy się z widzenia. Od dziecka był typem intelektualisty, unikającym nadmiaru ruchu i stroniącym od ulicznego towarzystwa. Wtedy mieszkał przy ulicy Kochanowskiego w pobliżu muru koszar wojsk OTK i miał sporo starszego brata, który czasem przychodził po niego pod szkołę.

Nie sposób raz jeszcze nie wspomnieć o Tadeuszu Huku, moim starszym koledze z kamienicy pod nr 8 na Czystej, który mieszkał tu gdzieś do 1960 roku. Jako młody chłopak był rozrabiaką podwórkowym w czym dopomagali mu: (głównie) Krzysiek Gędłek, bliski mu wiekiem kolega z piętra, a także bracia Dziekiewiczowie z parteru. Kto wówczas przypuszczał, że zostanie on znanym aktorem. Przez całe życie artystyczne był związany z Teatrem Starym. Błysnął swym nieprzeciętnym talentem jako odtwórca wielu znanych ról teatralnych i filmowych, między innymi w moim ulubionym, wspaniałym serialu Andrzeja Wajdy o galicyjskim Krakowie: „Z biegiem lat, z biegiem dni”, którego oglądanie nigdy mi się nie znudzi.

Oczywiście i o wielu innych dawnych kolegach można by pisać w nieskończoność, wszak ich listy spróbowałem odtworzyć z pamięci i z pomocą kilku dawnych kompanów, ale myślę, że takie wymienianie nazwisk byłoby tutaj nazbyt nudne, a ponadto zniechęcają mnie do tego groteskowe przepisy RODO. Listy te zamieszczam w załączniku nr 2, ale oczywiście mogą się kryć w nich spore błędy, czasem może tylko drobne przekłamania, wszak wiadomo, że czas bezlitośnie pustoszy pamięć.

W związku z rejonizacją podstawówek obowiązywały swoiste strefy wpływów. Na Piasku „rządzili” uczniowie z „szóstki”, w okolicy Kleparza z „dwójki” z ulicy Łobzowskiej (Spasowskiego), pod Wawelem z „czwórki” z ulicy Smoleńsk 5-7, w okolicach Błoń z „trzydziestki jedynek” z ulicy Prusa 18, na Zwierzyńcu z „trzydziestki dwójki” z Królowej Jadwigi 78, a na Kawiorach i Nowej Wsi z „piątki” z ulicy Chocimskiej (22?) i z „trzydziestki trójki” z ulicy Konarskiego 2. Tylko uczniowie z „dwunastki”, szkoły mieszczącej się na rogu Oleandrów i Krupniczej (dziś Ingardena 4), szkoły ponadterytorialnej i ogólnodostępnej, po części eksperymentalnej, w której nauczali młodzi adepci Wyższej Szkoły Pedagogicznej, byli jakoś powszechnie lekceważeni, gdyż nie byli ściśle związani z terenem, gdzie była zlokalizowana ich szkoła i powszechnie uważani za obcych przybyszów, przez co nieraz, przy każdej okazji, im dokuczano. Jeśli zostało się rozpoznany na obcym terytorium, zwłaszcza „czwórki” lub „trzydziestki dwójki”, można było oberwać jakiegoś szturchańca po żebra i usłyszeć wiązaną epitetów pod adresem rodzimej szkoły. Nawet w mojej najbliższej okolicy widoczne były takie szkolne podziały: na placu Hanki Sawickiej „rządzili” uczniowie „szóstki”, ale już na placu Sikorskiego konkurencja z „czwórki” i lepiej było się tam nie zapuszczać, zwłaszcza wieczorem, jeśli nikogo się tam nie znało. W moich czasach zjawisko to nie przybierało już tak ostrej postaci jak dawniej, kiedy ponoć dochodziło na tym tle nawet do regularnych bójek. Dla zachowanie anonimowości bezpieczniej więc było nie nosić tarczy na rękawie, która w tym czasie była obowiązkowa, ale uczniowie masowo unikali jej eksponowania, zwłaszcza poza szkołą. Taka „patriotyczna” postawa sprawiała, że i międzyszkolna rywalizacja sportowa miała często bardzo zacięty charakter, bo przegranie meczu czy zawodów godziło w honor szkoły i całej okolicy, stąd na zawody zawsze ściągaly liczne zastępy lokalnych kibiców.

Wspomnę jeszcze o paru charakterystycznych postaciach z mojej okolicy, tych mniej chwalebnych, ale wartych przypomnienia, bo życie to nie tylko blaski, ale też i cienie.



Fot. nr 100. Swoisty „familok” z naroża: Garncarskiej 1 i Krupniczej” 32, gdzie mieszkało sporo moich dawnych kolegów z „szóstki”. Na parterze, od strony ulicy Garncarskiej (dwa skrajne okna z lewej strony), mieściła się słynna, całodobowa melina, którą zarządzali: „Józek” Bigaj i „Hanka”, opoje znani w całej okolicy. Ten początkowo jednopiętrowy budynek, nadbudowany po wojnie, powstał w IV ćwierci XIX-go wieku. (04.08.2010)

Na parterze kamienicy przy ulicy Garncarskiej 1 (narożna z ulicą Krupniczą 32), mieściła się znana pijacka melina. Urzędowali tu: „Józek” Bigaj z „Hanką”, jego towarzyszką życiową, osobnicy może czterdziestokilku letni, których wiek trudno było określić z uwagi na ich znaczne fizyczne wyniszczenie wywołane spożywaniem nadmiernej ilości wszelkich dostępnym „alkoholi”. Jak na ironię losu dziś w tym pomieszczeniu, przylegającym do kamienicy pod nr 3, sprzedaje się właśnie alkohole!!! Żyli ze sprzedaży mocnych trunków po zamknięciu sklepów monopolowych i sami raczyli się nimi obficie. Zaglądałem tam parę razy z Bogdanem Kubera, moim kolegą szkolnym, też mieszkańcem tej kamienicy, który z Józkiem był bardzo spoufalcony. Przerazała mnie wtedy jakość spożywanych tam „trunków”, zwłaszcza tych najtańszych: „jaboli” za niecałe 20 zł, po łątwo dostępny denaturat i wodę brzożową. Dobrze pamiętałem ich Tosiek, dziś Tony Tyler, który długo mieszkał nad nimi, ale miło ich wspomina (cytuję z FB): „Może menel (był z niego) nie meliniarz, jednak miał dusze. Potrafił godzinami przesiadywać na podwórku, grając na organkach; cedził denaturat przez kromkę chleba i popijał”. Ich mieszkanie było „chlewikiem” bez światła, bo to zostało dawno odcięte. Józek zawsze coś niewyraźnie bełkotał, zwykle racząc się ukochanym trunkiem. Obaj nie żyli zbyt długo, bo w latach 70. już ich nie widywałem.

Choć byli lumpami jakoś nikomu tutaj nie wadzili i nawet „santa milicyja” ich tolerowała. Tu muszę dodać, że w tym czasie na juwenaliach często śpiewany był refren przyśpiewki: „Nikt tu nie kradnie, nikt nie zabija, bo nad nami czuwa santa milicyja”.



Fot. nr 101. Okna meliny Józia Bigaja i mieszkania Tośka Tylka wychodziły na piętrową kamieniczkę pod nr 6, pochodzącą z III ćwierci XIX-go wieku, która do dziś stanowi relikw galicyjskiej zabudowy ulicy Garncarskiej. W jej oficynie mieszkali starsi ode mnie bracia Wilkowie: Leszek (potem utalentowany szachista KKSz.) Heniek i Jasiu, a ich ojciec był cenionym w okolicy krawcem. (06.08.2009)

Inna, po części patologiczna rodzina (bodaj) Lubieńskich, zajmowała narożne parteru willi ze styku ulic: Kochanowskiego 15 i Grabowskiego, w części przyległej do ulicy Grabowskiego. Ich ojciec był dobrze rozpoznawalnym w okolicy pijakiem, na dodatek bardzo produktywnym, bo spłodził z dwanaścioro dzieci. Dzieciaki te, w większości chłopaki, wszystkie bardzo do siebie podobne, wychowywały się na ulicy i były wiecznie brudne oraz zagłodzone. Tadek, najstarszy z nich, był ze dwa lata ode mnie starszy, a jego rodzeństwa stałe przybywało. Lepiej znał ich Marek Pstrós, mój kolega z równoległej klasy podstawówki, a potem z Technikum Energetycznego, który mieszkał niedaleko stąd, na ulicy Karmelickiej 46. Całe towarzystwo chodziło do pobliskiej SP nr 94, stąd znałem ich tylko z widzenia. Ich matka też zapewne nie była kryształem, wszak z ich zdewastowanego mieszkania, swoistej mansardy, która już tylko z wyglądu od ulicy przypominała pijacką melinę, tylko z rzadka dolatywał zapach jakiejś gotującej się strawy. I tutaj podstawowe oświetlenie często stanowiły świece, bo światło regularnie było odcinane. Chyba znikli stąd gdzieś pod koniec lat 80-tych, choć pewności nie mam, a dziś willa ta przynajmniej po części odzyskała swój dawny, reprezentacyjny kiedyś wygląd. Ale wiele jej cennych, drewnianych detali przepadło bezpowrotnie.

IV. Ówczesny wygląd Krakowa



Mapa nr 2. Dzielnica Piasek i jej najbliższe okolice - fragment mapy z 1953 roku.

Jakże wolno płynął wtedy czas, czas odmierzany oczami dziecka. Jakże inny był to wówczas Kraków, na którym ciągle jeszcze odciskała się stagnacja lat powojennych. Wiele bym dał, by bodaj raz jeszcze, choćby przez tydzień, cofnąć się w te czasy i spędzić sentymentalny urlop w Krakowie sprzed pół wieku. Choć były to czasy niełatwe, dla mnie najszcześniejsze w życiu, bo wolne od wszelkich trosk i pełne ciągle nowych wrażeń i doznań.

Powojenny Kraków do początku lat 60-tych właściwie stał w miejscu. Wielkie zmiany zachodziły w nieodległej Mogile, przy budowie Huty im. Lenina, ale było to tak daleko, że docierały tu tylko słabe odgłosy tej wielkiej inwestycji, głównie z prasy i radia. W pamięci utrwaliły mi się zwłaszcza piosenki o Nowej Hucie, jak choćby zaczynająca się od słów: „O Nowej to Hucie piosenka, o Nowej to Hucie melodia.....”.

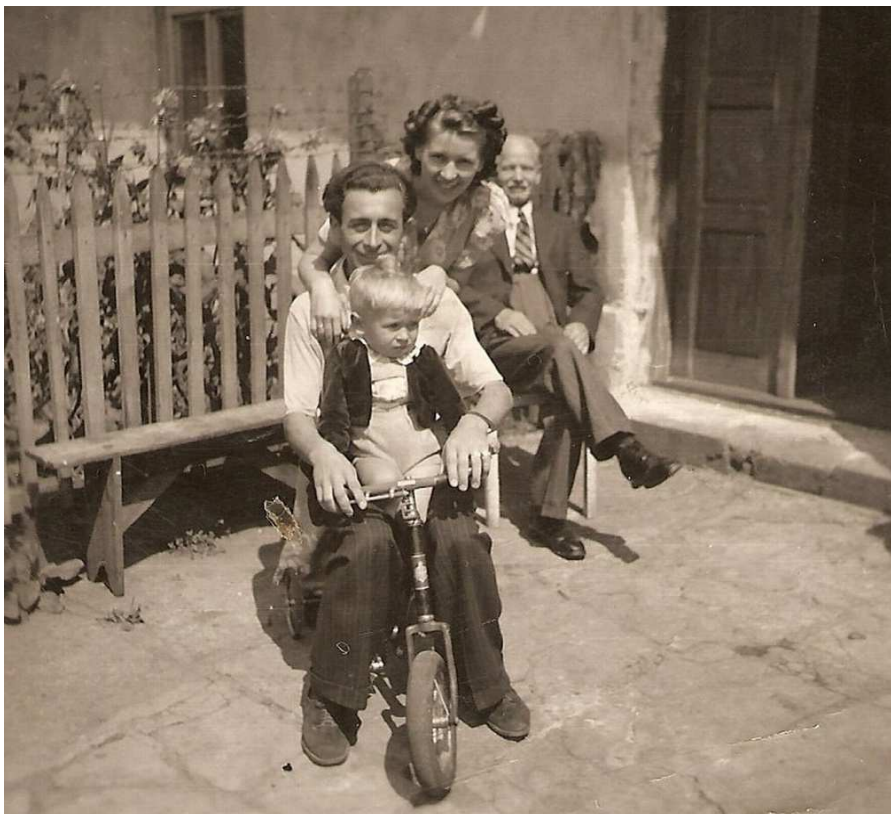
Miasto było potwornie przetłoczone, bowiem pokolenie powojennego wyżu demograficznego, jak już zresztą wcześniej wspomniałem, zaczęło wylewać się na: ulice, place zabaw czy do parków. Zamieszkałe były wszystkie pustostany: z suterrenami, poddaszami czy pomieszczeniami posklepowymi włącznie. Nie pomagało doraźne dobudowywanie pięt do istniejących już kamienic, które to zabiegi często niszczyły zabytkowy ich charakter. Kto wtedy miał choćby jeden własny pokój, jak moi rodzice, ten mógł czuć się szczęśliwym. Oczywiście dziś trudno to zrozumieć, ale tak było naprawdę. To ciężko doświadczone przez los pokolenie najbardziej cieszyła powojenna cisza, bez huku bomb i możliwość zdobycia pracy.

Miasto zatrzymało się w rozwoju na linii dawnego rdzenia Twierdzy Kraków, a więc na pasie alei Trzech Wieszczów oraz ulic: 29-Listopada, Prandoty i Marchlewskiego, po Rondo Kotlarskie i Wisłę. Niewiele zmieniało się też przemysłowe Podgórze: z Telpodem, Miracullum czy Vistulą. Dalej, poza dawnym rdzeniem twierdzy, były już w zasadzie przedmieścia: Zwierzyniec i Półwieś, Kawiory i Czarna Wieś, Nowa Wieś, Łobzów, Krowodrza, Prądnik Biały i Czerwony, Olsza, Czyżyny, Dąbie, Płaszów, Prokocim, Wola Duchacka, Łagiewniki, Jugowice, Dębniki, Wola Justowska czy Bronowice, z ich niepowtarzalnym podmiejskim kolorytem. Przeważały tu parterowe domki, często stojące w zaciszu sadów i słabo zaludnione tereny, poprzecinane łąkami pól uprawnych i pastwisk. Na podwórkach tych domów, często jeszcze wiejskich chat, na dobre królowały kury z kogutami, więc ich odgłosy, jak i innego drobiu: gęsi czy indyków, często dolatywały do ulicy, nierzadko jeszcze wyboistej drogi, pełnej dziur. Na przylegających do nich pastwiskach i na pobliskich Błoniach pały się krowy i konie, które dokładnie strzygły ich trawę. Do wielu z tych chat od strony podwórka przylegały jeszcze: stodoły, stajnie i obory.

Jak wspomina Mikołaj Kornecki, szkolny kolega mego brata, a potem wieloletni przewodniczący OKRK, jeszcze w czasach, gdy dzieciakiem był jego ojciec Bogdan, a więc gdzieś na początku lat 30., chodził on po mleko dla swego młodszego brata Mariana do parterowych zabudowań stajni, które mieściły w ogrodzie na tyłach pałacu Mieroszewskich przy ulicy Krupniczej 11, bo tu najzwyczajniej świecie w pały się krowy, gdyż dokoła była tam rozległa łąka.



Fot. nr 102. Ulica Czarnowiejska w stronę alei Mickiewicza w ujęciu z wylotu Urzędniczej.
Fot. Stanisława Kolowcy z roku 1941 (AN w Krakowie).



Fot. nr 102a. Wiejski domek z ogródkiem na dawnych Kawiorach, przy ulicy Miechowskiej 7. (początek lat 50-tych)

Pamiętam dobrze moją najbliższą okolicę, gdzie za Alejami właściwie kończył się Kraków, nie licząc oczywiście zespołu budynków i domów akademickich AGH; te ostatnie kończyły się na wysokości ulicy Miechowskiej i Kawiorów. Jak mi się wydaje, choć tego nie pamiętam, ich część, a więc akademiki rozciągające się na przestrzeni od przedwojennej Nawojki po ulicę Miechowską, powstała w połowie lat 50-tych.

W drugiej połowie lat 50-tych przybyły w tej okolicy nowe obiekty sportowe GTS Wisła: stadion piłkarski i hala sportowa, ale ja tych budów też jeszcze nie pamiętam. Resztę tego obszaru stanowiły tereny rekreacyjne: Park Jordana, Park Krakowski i Błonia oraz liczne tu ogródki działkowe. Zabudowa ulicy Miechowskiej, gdzie mieszkała ciotka mego ojca, Stanisława Hablowa, była jeszcze w zdecydowanej przewadze parterowa, o typowo podmiejskim charakterze, a łany zbóż dochodziły stąd do ulicy Piastowskiej. Miasteczko studenckie, zlokalizowane w pasie dawnych pól pomiędzy ulicami: Piastowską, Czarnowiejską i Reymonta, zaczęło powstawać dopiero w 1965 roku, dokąd dopiero w tym czasie została przedłużona ulica Czarnowiejska, wcześniej kończąca się na nieistniejącej już dziś ulicy Misjonarskiej, która biegła skosem do ulicy Dzierżyńskiego.

Pamiętam jeszcze stary Zwierzyniec, przedmieście skupione wokół ulicy Królowej Jadwigi, z pięknymi drewnianymi chatami, jakże często bielonymi wapnem. Mydlniki, Bronowice, Wola Justowska, Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Tyniec czy Przegorzały były wtedy jeszcze daleko za miastem, ale nieraz zapuszczaliśmy się z Mamą w te strony i dzięki czemu obraz tych przedmieść zachował mi się gdzieś na dnie pamięci.



Fot. nr 103. Dawna zabudowa Zakrzówka - domek z ulicy Twardowskiego 91 wg stanu z roku 1990, który został wyburzony w 2014 roku.

Na samym początku lat 60-tych oddano też do użytku piękny i funkcjonalny stadion Korony na Górze Parkowej w Podgórzu, który został idealnie wkomponowany w otoczenie dawnego kamieniołomu i utworzonego już wcześniej w jego wyrobisku Parku Bednarskiego. Miałem możliwość podziwiania tych obiektów, gdy w roku 1966 rozgrywałem na bocznym boisku mecze piłkarskie w reprezentacji mojej szkoły. W tym czasie w poprzemysłowej niecce, zlokalizowanej w sąsiedztwie pobliskiej Bonarki, na dobre działało jeszcze wysypisko śmieci, które przestało istnieć dopiero gdzieś pod sam koniec lat 60-tych, kiedy została uruchomiona nowa inwestycja na terenie odległych Zesławic.

Gdzieś na początku lat 60-tych na Krzemionkach Podgórskich rozpoczęto budowę nowego ośrodka TVP Kraków, który swą pracę rozpoczął bodaj w 1968 roku. Został on zlokalizowany w miejscu burzonego od połowy lat 50. fortu nr 32, który posiadał rzadki kształt wieży Maksymiliańskiej, co stało się pomimo silnego oporu części prasy i środowisk naukowych. Podobny zresztą los spotkało w tym czasie kilka innych, cennych fortów, które władza ludowa nie darzyła sympatią jako symbole panowania „zaborcy” austriackiego, w tym: w Bodzowie, na Krowodrzy, w Czyżynach, wokół Kopca Krakusa bądź na Rondzie Mogilskim.

Pod koniec lat 50-tych na wzór budownictwa z Nowej Huty powstały nowe skupiska domów, takie mini osiedla, wokół pętli tramwajowej na Bronowicach (wzdłuż ulicy Rydla) oraz w sąsiedztwie starej rzeźni na Grzegórkach, a więc wokół ulic: Rzeźniczej, Kottarskiej i Daszyńskiego. Jeszcze z czasów przedwojennych, pochodziło rozległe osiedle wojskowe na ulicy Praskiej („Na blokach”, jak nazywali je moi koledzy z Technikum Energetycznego, którzy tu mieszkali), zlokalizowane u podnóża Skał Twardowskiego, na tyłach kościoła Salezjanów nad Wisłą.

Od połowy lat 60-tych na obrzeżach starego Krakowa zaczęły powstawać pierwsze osiedla taniego budownictwa komunalnego, zwane z czasem „slumsami gomułkowskimi”. Były to w kolejności: Azory i „Kozłówek”, gdzie dominowały czteropiętrowe bloki z mieszkaniami bez balkonów i ze ślepymi kuchniami, wszędzie bez wind. Te tanie, kwaterunkowe bloki w pierwszej kolejności zasiedlali mieszkańcy: suteren, poddaszy i najbardziej przetłoczonych mieszkań. Następne osiedla, częściowo już spółdzielcze: Olsza II, Osiedle Podwawelskie, skupisko na Matecznym, Dąbie, Ugorek czy Wieczysta, były już budowane w większości w nieco wyższym standardzie, zwłaszcza te spółdzielcze, choć nadal w zabudowie czteropiętrowej. Zabudowie uległa ulica Wrocławska w jej końcowym fragmencie, z przyległą do niej okolicą dawnego Łobzowa, gdzie stopniowo zanikał niepowtarzalny koloryt podmiejskich sadów i ogrodów, a także tereny przyległe do Ronda Mogilskiego, rozlokowane wzdłuż nowo powstałej alei Planu 6-letniego. Na początku lat 70-tych zabudowa blokowa wkroczyła na tereny dawnej Krowodrzy i na obrzeża Nowej Huty: Bieńczyce i Mistrzejowice, choć osiedle na Wzgórzach Krzesławickich, zaczęto budować już w drugiej połowie lat 60-tych.

Pamiętam jak w połowie lat 60-tych wyglądały okolice osiedla Olsza II, gdzie z bratem i Jackiem Gędkiem odwiedzaliśmy Piotrka Książka – „Księżycy”, mego byłego kolegę szkolnego, który tu, do pierwszych bloków, wyprowadził się wiosną 1963-go roku. Podczas tych wakacyjnych wizyt chodziliśmy grywać w piłkę na tereny za ulicą Lublańską, na której to ulicy kończyło się wówczas miasto. Po drugiej jej stronie były wtedy ugory i pola uprawne, obszary atrakcyjne do dziecięcego harcowania. Dziś na tych terenach funkcjonują wielkie osiedla mieszkaniowe: Biały i Czerwony Prądnik.

Pierwsze dziesięciopiętrowe wieżowce: na Kozłówce, w Bronowicach i na Azorach, też ze ślepymi kuchniami i bez balkonów, takie typowe hotele robotnicze, zaczęły się pojawiać na przełomie lat 60-tych i 70-tych i oznaczały przełom w budownictwie, typowy już dla czasów Gierka: „budować dużo mieszkań, nie ważne jak”, choć betonu i stali nigdy nie żałowano. Wcześniej, w 1964 roku, powstał słynny wieżowiec Biprostalu przy ulicy 18-Stycznia, z ciekawą mozaiką na całej ścianie od strony ulicy.

Widocznych inwestycji komunalnych i remontów nie było wiele. Na początku lat 60-tych, bodaj w 1961 roku, powstało sztuczne lodowisko „Olszy” koło hali Targowej na Grzegórkach, a rok później kryta pływalnia Wisły na ulicy Reymonta, w kompleksie sportowym tego klubu. W pod koniec grudnia 1963-go roku spłonął stary stadion Cracovii, a budowa nowego trwała kilka lat. Po kilkuletnich męczarniach został wreszcie otwarty ekskluzywny hotel Cracovia, jak mi się wydaje w 1965 roku. Niedługo potem, może w 1967 roku, w sąsiedztwie hali Wisły uruchomiony został otwarty basen, jeden z trzech w okolicy, obok pływalni Cracovii i Wawelu. W 1963 roku został oddany do użytku Dom Turysty, a w 1964 roku uruchomiona została, niestety tylko na krótko, bo na ledwie dwa lata, kolejka na Bielany, którą nie zdążyłem się nawet przejechać.



Fot. nr 106. Budowa hotelu Cracovia – początek lat 60. (NAC)

W 1964 roku oddano do użytku nowy gmach Wyższej Szkoły Rolniczej na Alejach Mickiewicza, powszechnie zwany „nowym Wysrolem”. Tą ciągnącą się z pięć lat budowę śledziłem dokładnie, gdyż była realizowana tuż obok mego miejsca zamieszkania i terenów zabaw. Tu, na długim podjeździe do głównego wejścia gmachu, uczyłem się niebawem jeździć na nartach: szybko i skutecznie.

Pamiętam wielki remont Rynku Głównego rozpoczęty w 1963 roku, a zakończony rok później i jego „kocie łby” z dawnych lat, po których biegałem i gdzie nieraz ubiłem sobie kolano. Stare, wapienne bruki, niektóre pewnie jeszcze z metryką średniowieczną, zostały wtedy zastąpione przez granitowe płyty różnych kolorów i rozmiarów, układane w formie mozaiki, czym nazbyt pochopnie zrewolucjonizowano jego dawny wygląd. W tym też czasie gruntownemu remontowi poddana została wieża ratuszowa i wtedy zrekonstruowano w niej wykusze I piętra wg autorstwa prof. Wiktora Zina, a jej remont, znaczony drewnianymi rusztowaniami, przeciągnął się do połowy lat 60-tych. W połowie lat 60-tych, wnet po remoncie nawierzchni, naprzeciw Kościoła Mariackiego stanęła fontanna autorstwa Wiktora Zina, która w czasach III RP została zastąpiona przez kiczowatą „kryształową fontannę”.



Fot. nr 107 i 107a. Widoki bruku w Rynku Głównym. Tu stan przedwojenny.



Fot. nr 108. Rynek Główny i jego bruk gdzieś na przełomie lat 40-tych i 50-tych. Na motocyklu siedzi Rozalia Radoń – Różia, serdeczna przyjaciółka mojej mamy, a obok Józia Ciaputówna, jej koleżanka.



Fot. nr 109. Widok Rynku Głównego na początku lat 50-tych, ze słynnymi „kocim łbami”, a na nim kuzynka mego ojca i jej dzieckiem, synem Leszkiem. Jakże fasadowo przy dawnym wapiennym bruku wygląda dzisiejsza kostka granitowa.



Fot. nr 110. Widok Rynku Głównego przy „Adasiu” w okolicach przełomu lat 1958-59, jeszcze z kostką wapienną na jego powierzchni. Stoję z lewej (pięcioletek), z Mama i bratem. Zdjęcie wykonane przez okazyjnego fotografa niedługo po śmierci ojca.

Z okazji obchodów: 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego (w 1964 roku) i 1000-lecia Państwa Polskiego (w 1966 roku) odnowiono część kamienic w Rynku Głównym i na ulicy Floriańskiej. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych pięknie zrekonstruowano kamienice i układ Małego Rynku w sposób godny do naśladowania. Pamiętam jeszcze pożar i odbudowę jednej z wież klasztoru Kamedułów na Bielanych, gdzie bywaliśmy parę razy w roku, w tym na odpustach w Zielone Świątki, co zdarzyło się w 1963 roku.

Plac Szczepański, podobnie jak Rynek Główny był w latach 60-tych parkingiem i stan ten trwał do początku XXI wieku. Wiele krakowskich ulic, w tym ulica Krupnicza, ale też spora część alei Trzech Wieszczów, miało w tym czasie nawierzchnię wyłożoną drobną kostką, która była bardziej praktyczna niż niskiej jakości asfalt, bo ten w upalne dni po prostu „pływał”.

Tylko ulica Kanonicza, z zabudową w większości należąca do kościoła, ideologicznego wroga ówczesnej władzy, trwała w stagnacji i odrapaniu aż do połowy lat 80-tych. Może i dobrze, że nikt z ówczesnych naprawiaczy kraju nie zdecydował się wówczas na nadbudowywanie zabytkowej substancji starych kamieniczek i pałaców ani na przebudowę pradawnych bruków, wszak fatalnej jakości asfalt wylewano wtedy niemal na wszystko.

Na Wawelu, po akcji rekonstrukcji fragmentu muru obronnego koło Baszty Złodziejskiej oraz uporządkowaniu przestrzeni wokół dawnych kościołów Św. Michała i Jerzego, gdzie w okresie przedwojennym znajdował się plac apelowy, czego też nie mogłem pamiętać, bo miało to miejsce się to na początku lat 50-tych, przez całe dziesięciolecie właściwie nic się nie działo, przynajmniej dla zwykłego obserwatora. Jego otoczenie zostało jedynie wzbogacone przez pomnik Kościuszki, siedzącego na koniu, zniszczony przez hitlerowców, który zrekonstruowany powrócił na stare miejsce, przed Bramą Wazów w 1961 roku, jako „dar społeczeństwa Drezna”. Wawel obserwowałem uważnie, bo w bezpłatne muzealne piątki często chodziłem tu z kolegami, by zwiedzać: Wieżę Zygmunta, komnaty, skarbiec i zbrojownię. Dodatkową zachętą do składania częstych wizyt na zamku królewskim była możliwość zjeżdżania na filcowych pantoflach ochronnych bądź na pośladkach, po wypolerowanych zamkowych schodach, co sprawiało wielką, choć nie zawsze podobało się obsłudze.

W latach 60-tych wykonany został remont Placu Wolnica i udana rekonstrukcja starego Ratusza Kazimierskiego oraz remont i częściowa rekonstrukcja starej bożnicy na ulicy Szerokiej. W wyremontowanym budynku całego ratusza w połowie lat 60-tych rozpoczęło swą działalność Muzeum Etnograficzne. Ale generalnie Kazimierz sypał się do połowy lat 90-tych i nikt tu nie próbował wykonywać nawet drobnych remontów. Może jednak dzięki temu zachował on swój dawny urok, który teraz częściowo mu się przywraca, choć niestety i tu ostatnio coraz częściej zaczynają się pojawiać nazbyt nowatorskie budynki.

Po wojnie mieszkała tu głównie biedota miejska i wieczorem strach było tędy chodzić. Wtedy urzędowały tu różnego rodzaju „lumpy” i „pijaczki” oraz „trudna młodzież”, a melin pijackich było tu pod dostatkiem. Mama opowiadała, że w jednej z uliczek Kazimierza jakiś lump zaatakował nożem mego ojca, który tu na Krakowskiej 5 pracował, ale ten sprawny fizycznie człowiek zdołał się jakoś obronić, choć miał pocięty płaszcz. Pomny ostrzeżeń matki jako dziecko nigdy nie zapuszczałem się do serca tej dzielnicy i przez długie lata kompletnie jej nie znałem. Granicą mojej obecności była ulica Krakowska, gdzie jeszcze jako małe dzieci chodziliśmy czasem z mamą do miejsca pracy ojca, a teren między tą ulicą, a ulicą Starowiślną był mi zupełnie obcy aż po początek lat 70-tych, kiedy przygnała mnie tu najzwyklejsza w świecie ciekawość.



Fot. nr 111 (111-112). Ulica Szeroka na Kazimierzu – rok 1990. Od lat 60-tych, aż po czasy III RP, praktycznie nic się tu nie zmieniło.



Fot. nr 112. Ulica Szeroka z pałacem Landauów w tle. (1990)



Fot. nr 113. Plac Nowy, czyli popularny plac „Żydowski”, z bożnicą Kupa w tle, gdzie wtedy mieścił się jakiś zakładzik rzemieślniczy. (1990)

Tak więc w dziele odnowy zabytków coś się działo, choć niewiele. Ważne było, że nikt w tym czasie nie dokonał świadomych dewastacji zabytkowej substancji w czym spora była zasługa „światłych” jak na polskie warunki towarzyszy partyjnych, z I sekretarzem KW PZPR Lucjanem Motyką, powołanym na to stanowisko w 1957 roku i chyba bezpartyjnymi przewodniczącymi Rady Narodowej Miasta Krakowa: prof. Wiktorem Bonieckim, a potem Zbigniewem Skolickim oraz konserwatywnego środowiska naukowego, z profesorami: Wiktorem Zinem, Karolem Esteicherem, Jerzym Szablowskim i Januszem Bogdanowskim na czele.

Czesławowi Domagale, prowincjonalnemu, twardogłowemu aparatczykowi z Kielc, następcy Motyki, który w roku 1963 został Ministrem Kultury, brakło czasu, a także poparcia miejscowych środowisk kulturalnych i naukowych, na sfinalizowanie swojej „genialnej” wizji zabudowy Błóż. Przed nim podobne twórcze pomysły miał tylko Hans Frank za czasów Generalnego Gubernatorstwa. Na szczęście po 1970. roku zmieniły się i czasy, i ludzie, a także sposób myślenia władz partyjnych i do tych mrozących krew w żyłach koncepcji już nie powrócono. Domagała odszedł w 1971 roku, w jego miejsce zajął Józef Klasa, człowiek dużo wyższego formatu, który z lokalnym aparatem partyjnym szybko znalazł wspólny język.

W latach 50-tych i 60-tych powstały w zasadzie tylko dwa osiedla domków jednorodzinnych: na Woli Justowskiej oraz w Cichym Kąciku, tzw. „Złodziejówka”. W tych czasach posiadanie prywatnego domku było „ideologicznie podejrzanym” i mogło się spotkać z różnego rodzaju szykanami. W latach 50-tych tępiono wszystko, co prywatne i po okresie szykan ministra Minca ostało się stosunkowo niewiele sklepików spożywczych i warsztatów rzemieślniczych. Oczywiście poza wszelkimi podejrzeniami byli towarzysze partyjni, ale, co trzeba przyznać, za czasów Gomułki nawet oni nie mogli się nadmiernie afiszować swoim bogactwem, bo sam towarzysz Wiesław żył skromnie i takiego stylu życia dość rygorystycznie wymagał od współtowarzyszy.

Jaskrawym przykładem odstępstwa od tej zasady był premier Józef Cyrankiewicz, „stary Krakus”, który był lwem salonowym i wielbicielem pięknych kobiet. Był cwany lisem, wszak swój urząd sprawował przez kilkanaście lat i obronną ręką wychodził ze wszystkich „burz dziejowych” tego okresu, aż po rok 1970, czyli przełom gierkowski. Ale o Krakowie zawsze pamiętał i wiele zrobił dla swego rodzinnego miasta, między innymi załatwił pieniądze na rekonstrukcję Collegium Maius, ukończoną w 1964 roku na 600-lecie UJ, co było wielką osobistą zasługą prof. Karola Estreichera, jego uniwersyteckiego kolegi. Tak na marginesie dziad Józefa, Stanisław Cyrankiewicz, był drobnym rzemieślnikiem, ale napisał „Przewodnik po Cmentarzu Rakowickim”. Dom Stanisława, którego rodzice prowadzili „garkuchnię” przy Placu Szczepańskim, przy ulicy św. Tomasza, znajdował się na ulicy Św. Jana 30 i przylegał do późniejszego Hotelu Francuskiego. Z kolei sam Józef, wraz z rodzicami (jego ojciec – Józef - był inżynierem budownictwa) mieszkał już w okazałej willi przy ulicy Salwatorskiej 22, na dawnym Półwsiu Zwierzynieckim. Myślę, że kiedyś, kiedy minie totalna, antykomunistyczna fobia, często na oślep kreowana przez IPN, historycy zdobędą się na bardziej obiektywną ocenę tej postaci, niewątpliwie też zasłużonej dla Krakowa, również za okres okupacji, choć zdają sobie sprawę, że nic nie jest w stanie zmyć z jego rąk robotniczej krwi jaka połała się na ulicach Poznania w 1956 roku.

W latach 60-tych centrum miasta wyraźnie odżyło bowiem pojawiło się sporo kolorowych neonów, które nocną porą ożywiały monotonię ulic. Piękny neon, który powstał na frontowej ścianie Teatru Rozmaitości, zachwycał mnie kolorystyką i kształtami, podobnie jak nieodległy, zainstalowany nad delikatesami Lukullus pod nr 9. Inny, ogromny neon, ponoć największy w Polsce, a przy tym o bardzo skomplikowanej treści, chyba pokazujący pracę prząsniczki, ale niezbyt trwały, od początku lat 70-tych zdobił szczyt narożnej kamienicy na rogu alei Słowackiego i placu Wolności; potem, chyba w latach 80-tych, była tam już reklama firmy Pollena - Uroda. Zielona żaba wieńczyła neon z reklamą firmy Erdal nad dachem kamienicy z ulicy Lubicz 3. Można powiedzieć, że w tym czasie neony powstawały jak grzyby po deszczu, a nocną porą miasto mieniło się kolorami.



Fot. nr 114. Kamienica z ul. Lubicz 3, z zielonym neonem Erdalu -1976.(AN w Krakowie)

Pełną parą, bo na trzy zmiany, pracowały Krakowskie Zakłady Tytoniowe, potężna dawna fabryka rządowego Monopolu Tytoniowego z czasów galicyjskich, z ulicy Dolnych Młynów 8-10. W czasie zmian załogi, a więc o godzinach: szóstej, czternastej i dwudziestej drugiej okolica kłębiła się od pracowników.



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-G-2152-9

Fot. nr 115 (115-116). Ulica Dolnych Młynów w ujęciu z ulicy Czarnowiejskiej (1926). Po prawej dawna „cygar fabryka” jak ją długo jeszcze nazywano. (NAC)



Fot. nr 116. W wyglądzie ulicy Dolnych Młynów w zasadzie niewiele się zmieniło, bo zburzony został jedynie dwupiętrowy budynek dawnego lazaretu spod nr 11 (z lewej widok pustego po nim placu z lewej), który przylegał do dawnych koszar wojskowych.



Fot. nr 117. Wspomniany powyżej budynek dawnego z ulicy Dolnych Młynów 11. Widok z dziedzińca zakładów tytoniowych. Stan z września 1926 roku. (NAC)



Fot. nr 118. Widok na zakłady tytoniowe z dawnego dziedzińca jednostki OTK z ulicy Rajskiej 1-3. (11.02.2014)



Fot. nr 119 (119-120). Systematycznie podupadająca dawna rządowa "cygar fabryka", czyli „Rządowa Fabryka Tytoniu i Cygar” wybudowana do roku 1871 przy ulicy Dolnych Młynów 10-12. W czasach PRL, kiedy znana była pod nazwą Krakowskich Zakładów Tytoniowych, dawała ona pracę i chleb dla ponad tysiąca okolicznych mieszkańców. Ponadto było tam pełne zaplecze socjalne: stołówka, przedszkole i żłobek oraz Gawra, harcówka "Szarej Siódemki" (od końca lat 60-tych). Trudno więc się dziwić, że wielu ze starszych Krakusów obiekty te wspomina się z wielkim sentymentem.



Fot. nr 120. Dawne zabudowania Rządowej Fabryki Tytoniu i Cygar, uruchomionej w roku 1872 roku, po II wojnie światowej Krakowskich Zakładów Tytoniowych przy ulicy Dolnych Młynów 8-10. Tu m.in. produkowano popularne Sporty i Extra Mocne. Zajmowały one znaczną część kwartału wytyczonego ulicą Dolnych Młynów, Aleją Mickiewicza i ulicą Czystą, wyróżniając się charakterystyczną dla XIX-go wieku zabudową. (13.09.2010)

Pod sam koniec lat 50-tych na placu Wolności (dziś ponowne Inwalidów), tuż obok parku Krakowskiego został wybudowany pomnik w kształcie wysokiego, graniastego słupa z napisem: „W hołdzie żołnierzom radzieckim, wyzwolicielom miasta”. Ten tak zwany „komin” (dziś zburzony) był przez lata ulubionym miejscem spotkań młodzieży, a i ja pod koniec lat 70-tych nieraz się tu umawiałem z moją przyszłą żoną. Trochę mi go brak, choć zawsze budził kontrowersje.

Wielce kontrowersyjnym budynkiem rodem z czasów PRL stał się tzw. „Bunkier Sztuki”, bezkształtny pawilon, którego budowę rozpoczęto pod sam koniec pod koniec lat 50-tych na rogu Plant i ulicy Szczepańskiej, w miejscu lubianej przez krakowian secesyjnej kawiarni Romana Drobnera zwanej kiedyś Esplanadą, a później Drobnerionem, bezceremonialnie i bezsensownie wyburzonej. Ale w zasadzie była to jedyna „twórcza” ingerencja nowych władz w zabytkową substancję. Zapewne chciano w ten sposób zniszczyć siedlisko kołtunerii i próżniactwa. Ów surowy bunkier szpeci do dziś ten ciekawy odcinek Plant, choć ostatnio jakby przybywało piewców jego wątpliwej „urody”. Moim zdaniem może z nim konkurować jedynie kolejny nowatorski budynek, który w 2000 roku został zbudowany na placu Wszystkich Świętych, a więc, co ciekawe, w bliskości Magistratu, znany pod nazwą: „Pawilon Wyspiański 2000”, ale to już jest efekt twórczej działalności ekip rządzącym miastem w III RP, które nierzadko popisują się swoistymi „majstersztykami”. Przez ostatnie pięć kadencji prezydentem Krakowa jest prof. Jacek Majchrowski, który rzadko zmienia skład swoich współpracowników, chyba, że zdarzają im się duże wpadki.



Fot. nr 121. Oryginalny budynek fabryczny Krakowskich Zakładów Tytoniowych (w głębi) – widok z ulicy Czarnowiejskiej. (08.11.2010)

Warto tu także wymienić: nadbudowywanie pięter do kamienic w samym Rynku i jego najbliższym sąsiedztwie (ulica Szczepańska 5, Rynek Główny 32 czy fragment ulicy Szewskiej o nieparzystych numerach, pomiędzy Rynkiem, a ulicą Jagiellońską), wielce kontrowersyjną rewaloryzację przyrynkowych kamienic o nr 12 i 13, gdzie w zabytkowym otoczeniu w zasadzie eksponuje się sterty betonu, żelastwa i szkła. Można jedynie przypuszczać, że dawniej by nie dopuszczono do takiego bezczeszczenia zabytkowej substancji. No cóż, zabrakło nam takich autorytetów, jak profesorowie: Zin, Bogdanowski czy Estreicher i może stąd taka „twórcza” swawola.

Kontrowersje wzbudzają też niedawne inwestycje: przebudowa fontanny w Rynku Głównym i stworzenie w jej miejscu kuriozalnego, „kryształowego” dziwoląga, a zwłaszcza budowa z założenia podziemnego, przeszklonego bunkra na potrzeby centrum ruchu turystycznego (CORT), który powstał u stóp Wawelu od strony ulicy Podzamcze i niestety fatalnie psuje widok Wzgórza jaki rozpościera się z okolic Mostu Dębnickiego. Przykre to, bo przedpole Wawelu w tej okolicy zostało oczyszczone z galicyjskich domów na początku okupacji niemieckiej, a teraz na powrót się je zaśmieca. Więcej moich opinii na temat tych współczesnych inwestycji zawarłem w załączniku nr 1.

W latach 60-tych na Plantach i w parkach porządku strzegli jeszcze „plantowi” i „parkowi”, starsi panowie w zielonkawych uniformach, często z kijkiem w rękę, którzy byli postrachem rozbrykanej młodzieży i na ogół skutecznie temperowali nadmierny wandalizm.

Normalny ruch kołowy wokół Rynku Głównego i Małego Rynku trwał do połowy lat 70-tych, ale ponieważ samochodów z czasem zaczęło szybko przybywać jazda w samym centrum miasta została zabroniona, a natężenie ruchu wokół Plant zostało znacząco ograniczone i było to ze wszech miar słuszne pociągnięcie. Zachodziły też inne, czasem niezbyt przemyślane przemiany, jak np. asfaltowanie starych bruków w zabytkowym centrum, ale na szczęście nikt ich nie niszczył.

Do połowy lat 60-tych mało było jeszcze świateł na skrzyżowaniach i jakże często ruchem kierowali milicjanci drogówki, wyposażeni w białe czapki i białe rękawiczki, ponadto posiadający lizaki w rękach i gwizdki w ustach. Sporo było milicjantek, które nie miały łatwego życia, nieraz narażając się na różnego rodzaju uszczypliwości ze strony kierowców. Jeszcze w latach 70-tych nieraz rozładowywali oni narastające korki pod Teatrem Rozmaitości. Tu czasem odbywały się nawet ogólnopolskie konkursy na najlepiej kierujących ruchem. Ale trzeba przyznać, że w latach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, a więc jeszcze do połowy lat 60-tych, w mieście panował względny luz komunikacyjny, co znałem z autopsji, bowiem nieraz razem z „Grubym”, moim nieodłącznym kolegą, wypuszczaliśmy się na miasto na naszych rowerach: ja na „młodzieżówce”, on na „drogówce” i jazda rowerami po centrum Krakowa bynajmniej nie była niebezpieczna. Na ulicach dominowały Warszawy i Syreny, ale przeciętnego Polaka nie było stać na taki luksus. Sporo za to jeździło motocykli, w tym czasie jedyne go środka lokomocji dostępnego dla mas, ale ich rosnącej liczbie towarzyszył wzrost hałasu i ulicznego smrodu. Wśród samochodów ciężarowych dominowały przyciężkawe i wolne: Stary i Lubliny. Ich silniki były archaiczne i odzwierciedlały stan techniki naszych sąsiadów ze wschodu, gdzie nie liczone się ze zużyciem paliwa ani stopniem emisji spalin. Boom komunikacyjny przyniosły dopiero czasy gierkowskie, a więc okres po 1970 roku, wraz z pojawieniem się dużych polskich Fiatów i „maluchów”, autentycznych samochodów dla mas, których zdobywanie po normalnej cenie ułatwiały „talony”, w znacznej części przeznaczone dla „wyróżniających się pracowników” największych socjalistycznych zakładów. Z czasem reszta mogła kupić 10-letniego trupa za cenę nowego, co i ja na sobie doświadczyłem.

Dużo jeździło jeszcze furmanek, które nieraz skutecznie utrudniały ruch kołowy, a przy tym przysparzały kłopotu miejskim służbom oczyszczania, bo musiały one usuwać „końskie placki”, do czego służyły ręcznie pchane wózki wyposażone w miotłę i łopatę, z jednoosobową obsługą. Czasem na takim placu poślizgnął się rowerzysta czy motocyklista, a upadek bywał zwykle przykry w konsekwencjach, bo wtedy dochodziło do potłuczenia i niezbyt pachnącego zabrudzenia, ale nikt z tego tyłu nie czynił wtedy historycznego larum, a służby sprzątały te placki „bez gadania”, podobnie jak psie odchody po parkach oraz zieleńcach i nikt w tym czasie groźbami nie nakazywał ich usuwania właścicielom furmanek.



Fot. nr 122 (122-123). Ulica Dolnych Młynów. Jeszcze dziś można tu wyczuć dawny klimat Piasku, niezmienny od czasów mego dzieciństwa. Kamieniczka pod nr 3 powstała w 1808 roku. (06.08.2009)



Fot. nr 123. Ten sam, jak powyżej, początkowy fragment ulicy Dolnych Młynów wg stanu z roku 1971. Zdjęcie udostępnione mi przez Adama Wyrobka. Okna budynku pod nr 3 posiadają jeszcze oryginalne podziały, po których dziś nie ma śladu.



Fot. nr 124. Kamieniczka z ulicy Dolnych Młynów 5, wybudowana w 1853 roku, również dobrze oddająca klimat z czasów galicyjskich. Z prawej dawny lokal Mola, gdzie wówczas znajdował się salonik prasowy. (09.06.2012)

Może jeszcze warto wspomnieć, że na ćwierćwiecze PRL, a więc w 1969 roku został otwarty DH Jubilat, w ówczesnym Krakowie handlowy gigant, którego budowa ślimaczyła się latami. Przypominam sobie, że po jego otwarciu przynajmniej przez dwa tygodnie przewinęły tutaj przez to okienko ku „Zachodowi” nieprzebrane tłumy.

Szerokim echem odbiła się niewyjaśniona do dziś katastrofa samolotu pasażerskiego, który rozbił się na zboczach Policy koło Zawoi, co miało miejsce na początku kwietnia 1969-go roku. Zginął w niej m.in. dr Bóbr, klient mojej mamy, pracownik naukowy Instytutu Mikrobiologii i Patologii AM z ulicy Czystej 18. Później moja mama jeszcze przez długie lata świadczyła swoje usługi dla jego żony, również pracownika tego Instytutu, która mieszkała w ogromnej, międzywojennej willi przy ulicy Księcia Józefa, zlokalizowanej na odcinku pomiędzy Przegorzałami, a Bielanami, jedynej wówczas tak wielkiej w tej okolicy.

W 1970 roku w Alei Róż rozpoczęto budowę i montaż pomnika Lenina, a nieopodal, na Suchych Stawach otwarta została hala Hutnika. W tym roku w centrum Krakowa został wreszcie oddany ekskluzywny Pasaż Bielaka, gdzie znów zapachniało Europą.

Warto jeszcze przypomnieć, że w roku 1972 został wreszcie oddany do użytku Most Grunwaldzki, którego budowa ciągnęła się przez dobrych parę lat, jak zresztą większość inwestycji w czasach PRL.

Życie biegło wolno, bez zauważalnych zmian w okolicy i takiemu przeciętnemu uczniakowi z podstawówki wydawało się, że nigdy nie doczeka dorosłości. Osiągnięcie osiemnastu lat wydawało mi czymś bardzo odległym, prawie niewyobrażalnym, podobnie jak konieczność pójścia do wojska. Czasem zastanawiałem się ile to lat będzie wtedy miała moja mama czy moja Pindzia, ale były to wyobrażenia tak odległe w czasie, że omal na pograniczu fantazji. Czas stał niemal w miejscu, zaś zmiany w najbliższym otoczeniu były praktycznie niezauważalne. Przytoczone powyżej opisy są z pewnością wrywkowe, ale zjawiska te na trwałe zapisały się w mojej pamięci. I pomyśleć, że po ponad pół wieku jest to już często obraz z innej „epoki”.

Dawny klimat Piasku nadal jest dobrze czytelny w kilku jego fragmentach, m.in. wzdłuż początkowego odcinka ulicy Czarnowiejskiej po aleję Mickiewicza czy nawet wzdłuż „mojej” ulicy Czystej, więc ostatnio zaglądam tu z coraz większym sentymentem i staram się, wykonując liczne fotografie, ocalić od zapomnienia ten odchodzący na dobre świat dawnego Piasku. Niestety ostatnio i tu doszło do kilku niekorzystnych ingerencji w jego wygląd czy to poprzez nadbudowę kamienic, m.in. w „mojej” przy ulicy Czystej 8, czy budowę nowych tworów, jak choćby przy ulicy Dolnych Młynów 11.



Fot. nr 125. Secesyjna willa z naroża ulicy Czarnowiejskiej 8 i Alei Mickiewicza 23, wybudowana w roku 1908 - odrapana i zaniedbana jak przed pół wiekiem. (08.11.2010)



Fot. nr 126 (126-127). Początkowy fragment galicyjskiej duchem zabudowy ulicy Czarnowiejskiej, powstałej w IV ćwierci XIX-go wieku (do numeru 23) - (10.01.2012).



Fot. nr 127. Tradycyjny Piasek sprzed pół wieku - kamieniczka spod nr 21 przy ulicy Czarnowiejskiej. (10.01.2012)



Fot. nr 128. Nieistniejąca już kamieniczka z ulicy Czarnowiejskiej pod nr 4, pochodząca z końca XIX-go wieku, kiedyś przylegająca do terenu dawnego Państwowego Monopolu Tytoniowego, potem KZT. Więcej fotografii (i detali) z Piasku sprzed pół wieku znajduje się w rozdziale IV części IV z cyklu: „Detale krakowskich czynszówek i domów”.
(08.11.2010)

Generalnie życie w Krakowie lat 60-tych i 70-tych było spokojne, ale wolne od nudy; inaczej nie napisałbym wspomnień w tak optymistycznej tonacji, choć oczywiście ogromna w tym była zasługa mojej mamy, osoby o nieprawdopodobnej wręcz pracowitości i przedsiębiorczości, a przy tym pełnej optymizmu i pogody ducha. Mam pełną świadomość występujących wtedy niedostatków czy poważnych odchyłeń od dzisiejszych norm demokratycznych, które jednak nas młokosów nie dotykały bezpośrednio, a także innych, licznych wypaczeń, ale było też sporo pozytywów, zwłaszcza z punktu widzenia ludzi biedniejszych, że wymienię tylko takie dziedziny jak: pomoc socjalna, opieka zdrowotna, sport i rekreacja czy szkolnictwo i kultura, głównie z uwagi na powszechną ich dostępność. Nie można więc wrzucać wszystkiego do wspólnego worka i tego systemu totalnie potępiać, bo taka postawa, dziś powszechna, oznacza mijanie się z prawdą. PRL nie był systemem jednolitym i po okrutnych czasach stalinowskich następowała jego stopniowa przemiana, którą można obiektywnie ocenić porównując z innymi krajami „demoludu”, gdzie nie wypadało to źle. Raz jeszcze podkreślam, że to nie my, Polacy, wybieraliśmy ten totalitarny system, ale zostaliśmy zmuszeni do życia w pozorach demokracji przez powojenny układ, kiedy zdradzili i sprzedali nas Stalinowi nasi sojusznicy z Zachodu i USA.

Ja osobiście przeżyłem już prawie 70 lat, więc mogę patrzeć na te czasy z odpowiednim dystansem czasowym i tak się składa, że dopiero od niedawna obiektywnie dostrzegam jak wielu ludziom, głównie z dawnych nizin społecznych: robotnikom i chłopom, dały one wielką cywilizacyjną szansę, którą większość z nich wykorzystała, przynajmniej dla swych potomków. Patrząc na te przemiany z perspektywy pół wieku, mogę dziś mieć w tej kwestii swoje własne zdanie, wszak dotyczyły one bezpośrednio i mnie, i mojej rodziny, a także wielu moich znajomych. Jakże wielu znamienitych dziś ludzi wywodzi się spod strzechy czy z suterren bądź poddaszy wielkiego miasta. Ktoś im jednak taką szansę dał i to na niespotykaną dotąd skalę i nie było to ani pustostowie, ani goło słowie, jak to się często „bajeruje” ludzi w naszych czasach.

Wiem, że wielu dzisiejszych krytyków tego systemu, zwłaszcza młodych dziennikarzy i historyków, głównie z kręgów IPN, „niemyślnej wyroczni IV RP”, ludzi przeświadczonych o swojej mądrości i nieomyślności uważa, że były to „zgniłe i nieciekawe czasy”, ale ich wiedza na ten temat jest w znacznej części książkowa, a krytyka nakierowana głównie na aspekt wolności demokratycznych, które faktycznie były mocno ograniczone. Również niczym niewytłumaczalne represje wobec ludzi odmiennie myślących były hańbą tego systemu, szczególnie w okresie stalinowskim, a więc przez pierwsze dziesięć lat okresu PRL, ale to była tylko jedna strona medalu. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że nigdy nie byłem beneficjentem tego systemu, bo nigdy nie należałem „do partii” (PZPR), czy nawet do ZMS-u i w przeszłości byłem w stosunku do niego krytycznie nastawiony, podobnie jak większość mojego pokolenia, a w trudnych latach 80-tych i potem do 1992-go roku należałem do Solidarności, początkowo tej „oryginalnej”, ale po 1990 roku nie mogłem znieść arogancji i prywaty niektórych jej działaczy, więc opuściłem jej szeregi. Z czasem coraz dalej staram się trzymać od polityki i polityków próbując przede wszystkim dostrzegać ludzi i to, co oni sobą prezentują, a nie partyjne szyldy czy prezentowane przez nich publicznie wyznania religijne. Tego nauczyło mnie życie i to próbuję realizować.

Czy jednak te dzisiejsze, unijne czasy są wolne od anomalii? Czy nie próbuje się nas zalewać tysiącami różnych unijnych dyrektyw czy niezwykle szczegółowych przepisów i rozporządzeń, czasem ze sobą sprzecznych, a często wręcz kretyńskich, kuriozalnych bądź po prostu śmiesznych, które na siłę krępują nasze codzienne życie? W tamtych czasach przynajmniej nikt nie widział potrzeby krzywienia bananów, prostowania ogórków czy przesiewania kalafiorów przez sito; nikt z marchwi nie robił owoców, a ze ślimaków ryb; nikt nie próbował wymyślać zunifikowanych drabin o 12 strzeblach. Czy to jest normalne? W PRL-u nikt nie tracił też czasu na tak bzdurne działania, jak np. liczenie tonażu psich odchodów codziennie wydalanych na trawniki, bo co to zmieni czy wyliczanie precyzyjnych prognoz wzrostu gospodarczego i inflacji za dwadzieścia kilka lat, co dziś, kiedy wszędzie mamy ogromne zastępy analityków bankowych i gospodarczych, czyni się na zasadzie: „sztuka dla sztuki”, wszak większość z nas dobrze zdaje sobie sprawę, że to kompletnie nie ma sensu.

Również młodzi ludzie nie mają dziś łatwego życia, bo praktyka „prucia i prania mózgów”, czyli pozbawiania ich własnej osobowości, dawniej okrojona do sfery ideologicznej, a także nieznane kiedyś anomalie, jak: lobbing, mobbing czy masowe zawieranie tzw. „umów śmieciowych” oraz praca bezpośrednio po studiach za darmo bądź za minimum socjalne, dziś przybierają na sile w ich miejscach pracy, ale tak jest, gdy ktoś jest zdany na pracę w akwizycji, dozorze mienia bądź w telemarketingu, wszak w naszym kraju praktycznie nie ma własnego przemysłu, a w Krakowie jest to tylko wspomnienie. Nasze pokolenie nie wiedziało co to bezrobocie i pracowało bez zbędnego stresu, które to zjawiska przybierają dziś wyniszczające rozmiary i często niweczą efekt szybkiego bogacenia się sporej grupy społeczeństwa. Może ostatnio, gdy coraz częściej zaczyna brakować rąk do pracy i pracodawcy nie są już w stanie dyktować drakońskich warunków, a ponadto zostali zmuszeni tym zjawiskiem do lepszego opłacania, coś drgnęło na lepsze, ale do samozadowolenia jeszcze daleka droga.

To tylko niektóre z jakże wielu współczesnych wypaczeń i anomalii. Zatem zamiast totalnie krytykować przeszłość rozejrzyjmy się najpierw wokół siebie, a dopiero potem formułujmy krytykę, w myśl biblijnej zasady: „jak chcesz w kogoś uderzyć kamieniem najpierw bądź pewien, że sam jesteś bez winy”. Nie wszystko piękne, co błyszczy! Niestety współczesnych polityków ta maksyma nie dotyczy.

V. Przydomowe i okoliczne usługi

W tych czasach gospodynie domowe lub kobiety prowadzące dom często korzystały z usług dojeżdżających do miasta rolników, którzy tu, w sposób nie do końca legalny, sprzedawali produkty gospodarstw domowych jak: mleko, masło, jaja, sery, swojskie kiełbasy wiejskie, drób, mięsa z nielegalnego uboju, w tym cielęcinę, owoce i warzywa oraz płody rolne, jak choćby ziemniaki. Wiejskie kobiety, często ubrane w regionalne stroje, były obładowane wiklinowymi koszami, które trzymały w rękach bądź wieszały na plecach. Największe z nich, o półokrągłym kształcie, z półkolistą rączką, były najczęściej przewiązywane białą chustą i po jej zawiązaniu pod szyją dźwigane na plecach. Dojeżdżały z podkrakowskich wsi najczęściej autobusami, skutecznie blokując i utrudniając w nich ruch pasażerów. Reszta z nich razem z mężami, woźnicami, dojeżdżała wozami ciągnionymi przez konie, które, zwykle przeładowane, wiozły: mleko w bańkach, ziemniaki w workach, marchew, jabłka i inne owoce oraz warzywa. Jakże często w trakcie podróży dosypiały, śmiesznie się wtedy kiwając na ławkach niczym Żydzi podczas modlitwy. Konie tak dobrze znały trasę, że w drodze powrotnej woźnica mógł nawet podsypiać na „koźle”, a one same prowadziły wozy wyuczonym przez lata szlakiem. Jakże charakterystyczne zapachy płynęły od tych wozów „parkujących” pod miejskimi czynszówkami: obroku dla konia, płodów rolnych czy wreszcie końskich odchodów.

Specyficznym zapachom czuć było też od właścicieli wozów, a raczej z ich ubrań przesiąkniętych zapachami wsi, a dodatkowo potem i dymem papierosów. Większość odbiorców zdanych na ich usługi nie zwracało szczególnej uwagi na elementarne zasady higieny, np. gdy gospodarz nalewał mleko z metalowej bańki najczęściej brudnymi rękami, przy użyciu nieprzemylanej wodą aluminiowej miarki bądź gdy baba sprzedawała mięso lub kiełbasę owinięte w nieczysty papier pakunkowy, a mimo to jakoś nie słyszało się wówczas o masowych zatruciach pokarmowych. Pewnie mój świat, świat dawnej dzielnicy Piasek, był w tych trudnych, powojennych czasach zbyt tolerancyjny, by utrudniać życie wiejskim handlarzom w dobie niedoborów żywnościowych.

Do nas bodaj co dwa dni przyjeżdżał mleczarz spod Liszek, który pospołu z żoną bądź na przemian z synem, sprzedawał mleko prosto z charakterystycznych, metalowych baniek. Te duże, bodaj 10-litrowe konwie nosili na swych barach mężczyźni, chyba nawet po dwie sztuki, używając do tego celu specjalnie skonstruowanych, drewnianych nosideł. Po zdjęciu jednej z nich na posadzkę nalewali mleko do podstawionego naczynia, najczęściej dużego garnka, do czego używali długiej, aluminiowej miarki o pojemności jednego litra, zakończonej długą i cienką, zakrzywioną od góry rączką. Chłopy na ogół zawsze trzymały w ustach śmierdzącego „peta”, który tlił się bezwolnie, wydając mdlące zapachy, podobnie jak prześmierdnięte dymem i potem ubrania. W lecie przychodzili „za chłodu”, koło siódmej rano, by nie skwasiło się mleko, a w zimie piersi zawiadamiali o trzeszczącym mrozie, który wdierał się za nimi do mieszkania. Nie przerażał ich nawet mróz poniżej 20 stopni.

W lecie mleko czasem bywało lekko zgorzkniałe, bo mówiło się, że aby zapobiec szybkiemu skwaszeniu się, dosypywali do bańki sody.

Mięso i kiełbasę nosiła do nas gruba „babocha” w wieku około pięćdziesięciu lat, z okropnie napuchniętym przez cukrzycę nogami, która pochodziła z Kaszowa. Smak i zapach jej wiejskiej kiełbasy pozostał mi na całe życie: czuć ją było czosnkiem oraz pieprzem i nie była ona przesadnie wywędzona, bo tu i ówdzie trafiała się nawet galaretką. Gdzie dzisiaj wiejskim kiełbasom ze sklepów mięsnych, zwłaszcza marketów, produktom tylko z nazwy, do owego nielegalnego „oryginału”. Równie często mama rozpieszczała nas cielęcina, wszak uważała, że mięso prosto od cielaczka najlepiej rekompensuje niedobory żywieniowe i rujnowała się dla nas, nie bacząc na jej wysoki jej koszt. Korzystanie z usług masarzy z „drugiego obiegu” było często koniecznością, co wynikało z faktu, że masarnie państwowe nie nadszły za potrzebami ludności, a jak już się coś konkretnego pojawiło często ustawiały się ogromne kolejki. Ceną dla długie wystawanie była niska cena.

Bywała też u nas druga wiejska „baba” spod Liszek, oferująca mięso i przetwory mleczne: ser w ceratce, śmietanę w garnuszku i masło w osetce oraz owoce, ale ona u nas nie miała najlepszej marki, bo nieraz próbowała sprzedać gorzką śmietanę. Raz rozbawiła nas do rozpuku opowiadając jak to w jej rodzinnej wsi: „piorun strzelił w topól”. Przynieszone przez nią w zimie gruszki mama owijała w papier, kładła na szafie i te do miesiąca miękły, a potem była uczta i zniknęły w kilka dni.



Rys.129. Moja Babcia Karolina w latach 60-tych – zdjęcie z dowodu osobistego.
Taki jej wygląd pozostał w mojej pamięci.

A ponadto w przetwory mleczne i jaja zaopatrywała nas nasza ukochana Babcia, która regularnie, w środy, przybywała do nas z towarem z Bilczyc i tu w dwa dni upłynniała go, zaopatrując po drodze: trzy siostry, kuzynkę i lokatorów z naszej kamienicy. Czasem spała u nas, by następnego dnia udać się w dalszą podróż do kolejnej siostry - Staszki Hablewej na ulicę Miechowską 7. Wcześniej zaliczała siostry: Józkę na Asnyka, Hankę na Długiej i kuzynkę Marię Wodecką na Krótkiej. Nigdy z nas nie zdierała, często dostawaliśmy od niej coś w prezencie, choć handel stanowił dla niej podstawę skromnej egzystencji.

Ta prosta, wiejska kobieta żyła z nielegalnego handlu nabiałem, który brała od swoich sąsiadek na zasadzie swoistego „hurtu”. Ileż siły musiała jeszcze wtedy posiadać ta ponad już siedemdziesięcioletnia, przygarbiona kobieta, dźwigająca na plecach wielki, wiklinowy kosz zawiązany chustą i pomniejsze koszyczki czy tobołki w rękach. Była niezwykle twardego człowieka, zahartowanym przez życie. Jeśli spała u nas za łożo wystarczał jej kawałek dywanika rozłożonego na sękatej podłodze. Czuć było od niej „wieś”, ale nie był to zapach odstrasający i z czasem zdążyliśmy się do niego przyzwyczaić, bo trzeba przyznać, że to ukochane przez nas stworzenie nigdy nie grzeszyło nadmierną czystością. Ale za to była pełną życia, niezwykle pogodną i jakże dowcipną osobą, która warta była wszystkich pieniędzy i drobne jej ułomności tylko dodawały jej kolorytu. Wtedy nie dostrzegałem jeszcze, jak bezlitośnie upływa czas i jak bezwzględnie zaczyna on zaciskać pętle na jej życiu.



Fot. nr 130. Józef Bogda, mąż Babci, a nasz „przyszywany” Dziadek.
Zdjęcie z lat 50-tych z dowodu osobistego.

Dziś już nie ma takich wiejskich bab i o ileż jest przez to uboższy miejski krajobraz. Ileż się nieraz człowiek naklął w jarmarczne wtorki, gdy jadąc do babki autobusem, w Wieliczce wsiadały do niego takie „baby” z koszami na plecach, całkowicie blokując przejście i gramoląc się do niego godzinami, bo konduktorzy nie zawsze chcieli je wszystkie wpuszczać.

A były to czasy, że w każdym autobusie, oprócz oczywiście kierowcy, urzędował konduktor, który był jego panem oraz władcą i oprócz sprzedawania biletów często decydował kto ma wsiadać, a dla kogo nie ma już w nim miejsca. Siedział on zwykle obok kierowcy bądź z tyłu pojazdu w specjalnie przeznaczonym dla niego fotelu, zamykanym zwykle półeczką służącą do wydawania drobnych. Gdy autobus był bardzo załadowany, a zdarzało się to w tych czasach dość często, pieniądze na bilet podawało się przez pasażerów, a ten wraz z resztą pieniędzy wracał ponad ich głowami. Niektórzy konduktorzy, zwłaszcza na takich podrzędnych trasach, jak np. do Gdowa, usiłowali sobie dorobić i nie dziurkowali biletu, a potem przy wysiadaniu prosili o jego zwrot i sprzedawali go powtórnie, bowiem kontrole trafiały się na tej trasie bardzo rzadko. Zarabiali marnie, więc ludzie na ogół szli im na rękę.

Podwórkom czynszowych kamienic egzotyki dodawali przerośni handlarze i muzykanci. Przynajmniej raz na dwa tygodnie pojawiały się na podwórkach „orkiestry” podwórkowe, często nawet pięcioosobowe kapele z przewagą instrumentów dętych, jak: klarnet, trąbka czy tuba, z dodatkiem akordeonu, zwanego harmonią, harmonijki ustnej, zwanej organkami, mandoliny i swoistej perkusji. Orkiestra taka dawała około 15 minutowy koncert po czym przy oklaskach „widowni”, którą stanowili mieszkańcy kamienicy licznie obwieszający poręczce wewnętrznych ganków, następowała zapłata za występ. Ludzie stojący na gankach owijali drobne pieniądze w papierki i rzucali je na dół, a jeden z grajków zbierał je z podwórka, dziękując za hojność. Pamiętam też długoletnie, solowe występy mandolinisty.

Stałym podwórkowym gościem był zbieracz staroci, marnie ubrany starszy jegomość, który swym wyglądem przypominał Żyda. Skupował on stare ciuchy i puste flaszki, krzycząc już spod bramy swym jakże charakterystycznym głosem: „flaaaški, stare śmaaaty skupujeeeee”

Innym stałym intruzem podwórkowym był druciarz, fachowiec od łatania dziurawych garnków. Zbiedniałe gospodynie domowe często korzystało z jego usług, nieraz i moja mama, bo na nowe garnki nie było je po prostu stać. I on reklamował swoje usługi donośnym, przeciągłym głosem: „gaaarnki drutujeeeee”, po czym siadał na schodkach ganku i nitował dziurę, zaklepując potem nit młotkiem na kowadełku.

Od czasu do czasu, głównie jesienią i zimą, pojawiał się sprzedawca rąbanego drzewa na podpałkę do pieca, które było pakowane w walce obwiązane drutem, tzw. „kółka”. Podjeżdżał on swym konnym wozem, który zatrzymywał na ulicy, a wkrótce od bramy podwórka dolatywał jego donośny głos: „dziewoo, w kółkach dziewoooo”.

Na jesieni słyhać było dostawców ziemniaków, którzy jeździli zapakowanymi po brzegi wozami i z kozłów swych furmanek pokrzykiwali: „ziemniakiiii, ziemniakiiii”, a my śmialiśmy się, że jadą ciemniaki.

Mama nie korzystała z ich usług, bo często zaopatrywała się sama, zwykle u swego brata Piotra w Bilczycach. Na zimę starczyły nam dwa worki, które dowoziło się ze wsi z wykorzystaniem ciężarówek, najczęściej marki Hord. W tym czasie, głównie z uwagi na brak odpowiedniej ilości autobusów, takimi właśnie pojazdami, z zadaszoną z tyłu „budą”, zabudowaną wewnątrz drewnianymi ławkami do siedzenia, dowożono z podkrakowskich wsi do pracy w mieście tzw. „chłoporobotników”. Kiedy taki samochód zatrzymywał się na przystanku w Bilczycach, a przyjazdy następowały między godzinami trzecią i czwartą, mama umawiała się z kierowcą na drogę powrotną i tak za niewielką opłatą worki z ziemniakami były podwożone pod sam dom, a potem przenoszone do naszej przepadzistej piwnicy. Przy okazji mieliśmy „atrakcyjną” jazdę z tyłu wozu, na tzw. „pace”, przy pełnym, jesiennym przewiewie, nieraz bardzo dokuczliwym.



Fot. nr 131. Wujek „Pietrek” Kędryna na początku lat 60-tych.

Jeszcze innym podwórkowym obieżyświatem był szlifierz, fachowiec od ostrzenia noży, który chodził ze swoją przenośną ostrzałką - tarczą szlifierską napędzaną kołem; była ona wprawiana w ruch siłą ludzkich mięśni, przy użyciu nożnego pedału. On z kolei reklamował swoje usługi poprzez generowanie metalicznych dźwięków jakie wytwarzała płaska, metalowa tarcza, uderzana przez niego kawałkiem żelastwa. Z naszej strony nie znajdował on z reguły zajęcia wszak mama ostrzyła swój mocno zużyty już nóż kuchenny, wykonany z damasceńskiej stali, jak i równie trwałe nożyczki, u pana Edzia, w jego niewielkim warsztaciku, który mieścił się na podwórzu kamienicy przy ulicy Karmelickiej 12, obok sklepu rybnego. Nóż ten w ogóle rzadko się tępił i długo spełniał swoje funkcje, wszak służył nam jeszcze przez jakiś czas nawet po przeprowadzce na Kozłówek, bo tak solidna była to stal.

Często do naszych mieszkań zaglądały różnego autoramentu „wędrujące dziady”, brudni i licho ubrani żebracy, którzy prosili o wsparcie mniej lub bardziej agresywnie, czasem nawet strasząc, gdy nie chciało się im przekazać jakiejś drobnej ofiary. Często mamrotali pod nosem różnego rodzaju modlitwy, a po otrzymaniu datku prześcigali się w podziękach dla darczyńców i życzeniach zdrowia oraz dostatku.

Nierzadko do kamienicy zaglądał kominiarz ubrany w swój czarny uniform, często umorusany sadzą, ze szczotką i kulką umocowaną na długiej linie, którą owijał wokół własnego tułowia. Był to przecież czas pieców kaflowych i palenia węglem lub drewnem, jednak z biedy ludzie palili też czym popadło: starymi butami, szmatami czy kartonami i dlatego często zatykały się piony wentylacyjne. Wówczas ogień w piecu nie chciał się rozpalać i z pieca wydobywał się śmierdzący dym, zwany czadem, a i nieraz się zdarzało, że przy jego otwarciu buchnęła sadza. Kominiarze urzędowali w zrzeszeniu, którego siedziba znajdowała się nad „Barem na Piasku”, na rogu ulic: Karmelickiej 17 i Garbarskiej 26 i tam zgłaszało się zatkanie pionu czy konieczność przetkanie pieca. Raz w roku, zawsze na jego początku, chodzili oni po domach rozdając kalendarze, by zbierać za nie wolne datki, co było krakowską tradycją od dziada pradziada, która zresztą trwa do dzisiaj.

Dobre palenie w piecu zależało od jakości węgla. Na ogół najlepszy był węgiel błyszczący i gruboziarnisty, który przy rąbaniu w piwnicy łatwo pękał na mniejsze kawałki. Taki szybko się rozpałał i delikatnie potrzaskiwał przy paleniu. Mnie jednak jako dziecku najbardziej podobał się gatunek ze złocistymi smużkami, który jednak słabo się palił i dawał dużo popiołu. Teraz wiem, że tym złocistym zanieczyszczeniem był piryt, składnik gorszych jego gatunków. Nie lepszy był również węgiel matowy, bardziej miąłki i trudniej rozpalający się. Nieraz przy spalaniu tego gatunku nie mogło się nadażyć z wysypywaniem popiołu, który zalegał w popielniku. Popiół wysypywało się do wiaderka przy pomocy specjalnej szufelki. By węgiel palił się lepiej czasem trzeba go było „przegrzebać” w piecu, co czyniło się przy pomocy długiego, metalowego pręta zakończonego rączką, zwanego pogrzebaczem. Oczywiście by ogień w piecu rozpałał się szybko najpierw należało podłożyć podpałkę z drewna, którą w „kólkach” kupowało się u Mola lub Łakomskiej, z dodatkiem papieru gazetowego i podpalić taką kupkę zapałkami. Dopiero potem należało sypać węgiel, ale nie za szybko, by ogień się nie stłumił zanim w piecu nie rozpałał się na dobre. Komora pieca była zamykana za pomocą metalowych drzwiczek, wyposażonych w szczelinową zasuwkę.



Fot. nr 132. To w tym miejscu, na placu przed zabytkowym spichlerzem z placu Sikorskiego 6, mieścił się dawniej skład węgla. (13.09.2010)

W czasach nieco późniejszych jako podpałkę mama zaczęła używać „lofiksu”, śmierdzących ropą granulek, bardzo szybko generujących ogień, które kupowało się w workach w składzie węgla na placu Sikorskiego. Nietrudno było rozpałać piec przy wyżu, kiedy „cug”, jak to mama mówiła, był dobry, gorzej przy niżach i pluchach, gdy szło to ciężko, a w domu pełno było śmierdzącego dymu, od którego nie raz i nie dwa dobrze pobolewała głowa.

Ważnym elementem pieca był ruszt, który zapewniał przepływ powietrza z popielnika do komory spalania i który czasami się przepalał bądź zatykał i wtedy trzeba go było wymienić lub przetkać. Aby ogień pod blachą nie palił się za ostro, a węgiel tylko się żarzył, przymykało się drzwiczki popielnika. Wtedy jednak mógł się wytwarzać skrytobójczy czad, o czym wiem dziś, ale wtedy mało kto zdawał sobie z tego sprawę. Aż dziw bierze, że jakoś przeżyliśmy nasze dzieciństwo przy takim piecu, pewnie dlatego, że drzwiczki od popielnika zawsze były niezbyt szczelne. Tak czy owak nie mała nawąchaliśmy się tego smrodu piecowego, a i głowa nieraz dobrze od niego bolała. Blacha pieca nieraz rozgrzewała się do czerwoności i wtedy gotowanie szło jak „z płatka”. Rozlana na taką blachę woda, np. z metalowego czajnika, błyskawicznie parowała, a zjawisku temu towarzyszył charakterystyczny syk. Na środku blachy usytuowany był otwór na garnek, zwykle zatkany kilkoma obręczami o zmniejszającej się średnicy, zwanymi „kółeczkami”, aby można go było dopasować do średnicy garnka, gdyż na otwartym ogniu gotowanie szło szybciej. Owe pierścienie zsuwało się potem ponownie przy użyciu pogrzebacza.

Oczywiście palenie w piecu spadało na karby mamy, która wstawiała jeszcze w ciemnościach, z samego rana, gdy w pokoju panował przenikliwy ziąb, a nam nie chciało się nawet wychylić nosa spod pierzyny. W ogóle rozpalenie w piecu było dużą sztuką i ja, tak naprawdę, nauczyłem się jej dopiero w drugim mieszkaniu przy ulicy Czystej 21/10, gdzie trzeba było rozpalać w trzech piecach: dwóch w pokojach i jednym w kuchni. Mama wtedy nie nadążała z paleniem, zwłaszcza w zimie, a tu trzeba było rano wstawać i uczyć się. Jednak najczęściej moim zadaniem, pospołu z bratem, było dostarczenie do domu odpowiedniej ilości węgla, a przy ostrej zimie wiaderko starczało czasami na dzień lub dwa, więc trzeba się było nie mała nachodzić do lodowatej i ciemnej piwnicy. A taka podróż nie była wcale fajna, bo najpierw trzeba było iść do dozorczy po klucz do głównego wejścia, a potem jeszcze przy mizernym świetle od świeczki otworzyć dużą kłódkę od drzwi naszej komórki, która znajdowała się na końcu korytarza

W tym czasie węgiel był naprawdę niedrogi i dlatego używano go bez umiaru, wszak jego tona kosztowała w granicach: 200-300 zł. Aby spać spokojnie, w ten jakże cenny surowiec należało się zaopatrzyć jeszcze przed zimą. Taki najbliższy skład opałowy znajdował się na placu Sikorskiego, na terenie przyległym do budynku zabytkowego spichrza, obok ośrodka zdrowia. Ten czarny skarb był stamtąd przywożony wozem ciągnionym przez konia i zrzucany pod kamienicą na skraj chodnika. I tu pojawiał się problem z szybkim przeniesieniem ładunku do piwnicy, odległej o jakieś 100 m od bramy. Matka próbowała czynić to sama, ale nie zawsze miała siłę.

Natychmiast z usługą zgłaszali się obchodni tragarze, mężczyźni zaopatrzeni w duże drewniane korytko w kształcie uciętego ostrosłupa o udźwigu 50 kg, zwane też ducką, stołeczek, na którym ów pojemnik był stawiany oraz szeroką łopatę i przy użyciu takiej paki można było przenieść z pół metra węgla na raz. Przemierzali oni ulicę miasta wyszukując, gdzie leży rozsypany towar i oferowali swoje usługi. Takie przerzucenie jednej tony węgla do piwnicy zajmowało im do godziny, podczas gdy własny transport, przy użyciu dwóch wiader, zajmował do trzech godzin. W późniejszych czasach pomagaliśmy mamie i już jakoś raźniej szedł ten przeładunek, więc nie korzystaliśmy z usług tych transportowców. Taka usługa kosztowała chyba z 10-20 zł, a więc nie ma jak na nasz skromny budżet domowy.

Do obsługi pieców niezbędni byli zdunowie, zwani też kaflarzami. Wtedy, w dobie pieców opalanych węglem, był to bardzo poszukiwany zawód, wszak piece przynajmniej raz na jakiś czas, jak to się mówiło, „przepalały się” i trzeba im było na nowo wymurować wnętrze. Przy remoncie pieca podstawowymi materiałami były: cegła, zwana „szamotką”, którą kaflarze nosili w drewnianych nosiłkach zawieszonych na plecach oraz glina ogniotrwała, rozrabiana na bieżąco w szaflikach. Do ich zadań należała też wymiana rusztu pod palenisko i blachy na piecu. Zdunowie, też skupieni w cechu, urzędowali chyba na ulicy Karmelickiej 18, naprzeciw cechu kominiarzy, a więc „Baru na Piaskach” i w trakcie mojego dzieciństwa przeprowadzili u nas ze dwa remonty pieca kuchennego. Ten pierwszy, na początku lat 60-tych, nie był zrobiony zbyt fachowo lub zamontowano kiepską cegłę, bo po pięciu latach piec znów się „przepalił”. Zapamiętałem ich umorusane gliną i sadzą twarze i ubrania, a także ogólny rozgardiasz w całym domu, w tym kupę gruzu na podłodze, który powstawał z rozbiórki wnętrza oraz solidne zakurzenie mieszkania. Gruz został usunięty po najmniejszej linii oporu, a więc do kubłów na śmieci, które stały na podwórku i potem słychać było tylko przekleństwa „śmieciarzy”, którzy nie chcieli za darmo wynosić tego ekstra ciężaru.

Nie brakowało też drobnych „przedsiębiorców transportowych”. Gdy trzeba było przewieźć jakiś mebel lub przeprowadzić się do innego mieszkania, korzystało się z usługi „przewoźników”, notorycznie podpitych i brudnych delikwentów, którzy urzędowali w podwórku kamienicy naprzeciw kościoła Karmelitów (Karmelicka 18), tuż koło masarni, a naprzeciw „Baru na Piasku”. W tej okolicy miałem wątpliwą „przyjemność” zabawiać się niejedną raz, gdyż mama często stała godzinami w pobliskiej masarni w kolejce po mięso i wędliny, więc napatrzyłem się trochę na ich pracę. Mieli oni duży „plafon”, czyli spory wóz na dwóch kołach, z szeroką platformą zakończoną z przodu długim dyszlem, z tyłu zaś ruchomą podpórką, który przetaczali siłą własnych mięśni. Z racji pilnych potrzeb trunkowych ich usługi nie miały zbyt „wygórowanej” ceny. Niedawno dowiedziałem się od Janusza Klimasa, że ów duet to byli bracia Michałkowie; byli zawsze „na lufie”, a mimo to w pełnej gotowości do pełnienia usług. Wtedy jeszcze niemal cały, drobny transport w obrębie miasta odbywał się przy użyciu różnych przemysłowych wózków, które wykorzystywały siłę ludzkich mięśni bądź wozów konnych.

Wszelkie roboty drogowe, jak kopanie różnego rodzaju dołów, odbywały się przy użyciu ludzkich dłoni i łopat. Wtedy, na początku lat 60-tych, sprzętu zmechanizowanego, podobnie jak samochodów transportowych, widywało się niewiele, a jeśli już to były to bardzo hałaśliwe maszyny, że wymienię popularne wówczas traktory marki Ursus, cuda techniki rodem z ZSRR. Pamiętam przebudowę początkowego odcinka ulicy Kamieńskiego przy Matecznym, połączoną z kładzeniem nowej kostki, gdzie wszelkie prace ziemne były wykonywane z użyciem łopat. Z kolei przy pracach budowlanych rusztowania były zbijane z drewnianych bali, a pomosty na piętrach z drewnianych desek. Fragmenty konstrukcji, a potem materiały budowlane były wyciągane do góry przy pomocy ruchomych bloczków, wyposażonych w liny, haki i ruchome pomosty. Drewno jeszcze długo dominowało na budowach, praktycznie do końca PRL.

Do oczyszczania ulic i parków wykorzystywano ręczne śmieciarki, metalowe wózki na dwóch kółkach, na których zamontowane były zbiorniki na nieczystości, zakończone zasuwaną klapą. Do ich przemieszczania służyły dwie długie żerdki do ręcznego uchwytu, a w czasie postoju z ich podwozia wysuwana była podpórka. Malowane w biało-niebieskie pasy, posiadały napis: MPO. Standardowym wyposażeniem takiego wózka była wiklinowa miotła - „drapaca” i metalowa łopata, wsuwane podczas jazdy w uchwyt zamontowany z boku pojazdu. Pracownik obsługujący taki wózek był ubrany w drelichowy uniform, dodatkowo osłonięty fartuchem i rękawami z dermy, a na nogach nosił podgumowane „walonki”. Fartuch był długi i sięgał do jego kostek. Do jego zadań należał przykry obowiązek usuwania z ulic końskich „placków” oraz innych śmieci, jak np. kiepów papierosianych czy psich odchodów, a także czyszczenie rowków ściekowych na krawężniach jezdni i przetykanie kraterów kanalizacyjnych. „Śmieciarze”, jak powszechnie i trochę pogardliwie ich nazywano, z ich nieodłącznymi wózkami na „popych” znikli niepostrzeżenie z ulic miasta pod koniec lat 70-tych wraz z masowym pojawieniem się automatycznych czyszczarek bębnowych. Dziś do rangi wielkiego problemu urasta usuwanie psich odchodów, czym obarcza się właścicieli psów, choć pieski czasem też robią „na rzadko”, czego bystrzy urzędnicy nie biorą pod uwagę. A problem, jak widać, jest tak prosty do rozwiązania – trzeba tylko dać zajęcie bezrobotnym, wyposażyć ich w wózek na kółkach, miotłę oraz łopatę, jak to czyniło się dawniej i tak załatwią oni ten bulwersujący opinię publiczną oraz wielu radnych i urzędników problem, o którym często pisze się na łamach gazet i uwolni się właścicieli psów od konieczności noszenia przy sobie „zestawu standardowego” do usuwania rzadkich nieczystości po swoim czworonogu.

Do opróżniania kubłów ze śmieciami z podwórek kamienic wykorzystywano samochody ciężarowe, najczęściej „Stary”, z obrotowym bębniem w ich tyle, podobne do dzisiaj stosowanych. Ludzi obsługujących takie „śmieciarki” też zwano „śmieciarzami”. Początkowo wozy takie miały jeszcze ręczne mechanizmy do podnoszenia kubłów i ich obsługa wymagała sporej siły. Kubły takie zaopatrzone w specjalne, boczne uszka, wynosiło się z podwórek po dwie sztuki na raz przy pomocy dwóch długich, drewnianych żerdzi. Przy przemieszczaniu się śmieciarki od bramy do bramy, a potem przy wywozie śmieci na wysypisko, „śmieciarze” jeździli na schodkach mieszczących się na końcu wozu. Nie wiem czemu, ale pracownicy obsługujący takie śmieciarki nigdy nie cieszyli się jakimś specjalnym szacunkiem i pospolite było powiedzenie: „jak się nie weźmiesz do roboty albo do jakiejś nauki, to zostaniesz śmieciarzem”. Ale trzeba przyznać, że w tych czasach często byli brudni ponad miarę, a też i cuchnący, wszak nieraz czuć było od nich odór alkoholu. Do tego zawodu po prostu nie było chętnych, więc nikt na ich zachowanie specjalnie nie zwracał uwagi. Dorabiali sobie na trunki zbierając po śmietnikach szklane butelki (flaszki) oraz makulaturę i złom, by potem spieniężyć te „skarby” w składach surowców wtórnych.

Kto dziś pamięta, że wysypisko śmieci MPO co najmniej do początku lat 70-tych znajdowało się na przemysłowych ugorach obok niedawno wyburzonych zakładów KZPN „Bonarka”; dziś jest to z wolna zapełniana zabudową przestrzeń pomiędzy zajezdnią MPK przy ulicy Sławka i handlowym gigantem CH Bonarka. Wjazd znajdował się za Bonarką i wiódł w dół od ulicy Kamieńskiego.

Innym zawodem budzącym społeczną odrazę był czyściciel kanałów, czyli „kanalarz”. Wtedy czyszczenie przewodów kanalizacyjnych pod jezdniami odbywało się w sposób ręczny i żeby udroźnić zatkany odcinek sieci należało wejść przez właz do wnętrza kolektora i tam ręcznie, jakąś żmijką, przetykać rury. Można sobie wyobrazić jakich przyjemności doświadczał taki pracownik, zwykle uwięziony w wąskim korytarzu po kolana w fekaljach, bez jakiegokolwiek dodatkowej wentylacji, gdy nawet na zewnątrz otworu kanalizacyjnego smród był nie do opisania. „Kanalarze” byli ubrani w drelichowe, nieprzemakalne ubrania i czapki oraz gumowe buty, ale nawet po ich ściągnięciu smród nie chciał ustąpić, stąd ludzie daleko ich omijali. Zawód ten był więc godny politowania, bo w tym czasie nie przymuszano ich jeszcze rygorystycznie do nakładania na twarz masek ochronnych. Kloaka z pomocą wiader i sznurka była wyciągana ręcznie z kanału i wlewana do stojącego w pobliżu baniaczka, często jeszcze z ciągnionego przez konia. Smród unosił nieraz na całą ulicę, a ludzie szczelnie zamykali okna. Czy może dziwić, że jeśli komuś chciało się bardzo dopiec wołało się na niego: „ty kanalarzu”, czy „ty kanario” (zamiennie „ty śmierdzielu”). Ta druga obelga przetrwała do dziś, choć nie każdy zapewne zdaje sobie sprawę z jej genezy. Dopiero dobrze w latach 70-tych zaczęto używać mechanicznych ssaw w formie szerokich i giętkich rur plastikowych, z wykorzystaniem podciśnienia wytwarzanego przez agregaty zamontowane na samochodach. Smród nadal się unosi, ale gdzie mu tam do tego z przeszłości.

Nie wiem czemu, ale w tym czasie jakąś szczególną estymą nie cieszył się też zawód kolejarza, może dlatego iż był słabo opłacany i było nawet takie popularne porzekadło: „matka porządna, ojciec porządny, a syn kolejarz”. Jego zaletą było uprawnienie do odbioru „deputatu węglowego”, czyli darmowych dwóch ton w naturze każdego roku i możliwość dorobienia na rynku wtórnym. W latach 60. istniała możliwość dorobienia przez co mocniejszych fizycznie młokosów „na wagonach”, przy wysypywaniu węgla, co pozwalało np. na wyjazd na fajniejsze wakacje.

Moim „parafialnym” fryzjerem był Jan Pilniakowski, stary kawaler i wielki gaduła, dawny znajomy mego ojca. Jego zakład fryzjerski zajmował mały lokalik w parterowej przybudówce do narożnej kamienicy przy ulicy Czarnowiejskiej 1, ale wejście do niego znajdowało się od strony ulicy Michałowskiego. Jak twierdzi Marian Skoczeń, młodszy kolega z „szóstki”, pan Jan sprzedawał też pijawki, o czym informował napis na kartce papieru, ustawiony w ramce w witrynie, co umknęło z mojej pamięci. Początkowo chodziłem tam z mamą, wcześniej pewnie z ojcem, później już sam. Można bez przesady powiedzieć, że we wnętrzu jego zakładu funkcjonowało swoiste muzeum fryzjerstwa, jeszcze z epoki Franciszka Józefa. Znajdowały się tu dwa stanowiska zakończone wielkimi lustrami: jedno do golenia, drugie do strzyżenia, oba wyposażone w starodawne sprzęty. Na końcu pokoiku, za drewnianym, częściowo przeszklonym przepierzeniem, pan Jan miał swój prywatny kącik zwany kanciapą, gdzie jadał, parzył herbatę i grzał wodę do golenia. W kącie, przy wejściu do jego prywatnej części, wisiał skórzany pas do ostrzenia brzytwy. Klienci do strzyżenia bądź golenia czekali na swoją kolejkę siedząc na twardych, okrągłych krzeselkach ustawionych pod ścianą.



Fot. nr 133. Pawilon handlowy z ulicy Czarnowiejskiej 1 w latach 20. zeszłego wieku. Ulica Czarnowiejskiej jest węższa na wylocie za sprawą niskiego budynku. (NAC)

„Jasiu”, jak mówił o nim ojciec i mama i jak powszechnie nazywano go w okolicy, używał przez lata tych samych nożyczek, maszynek do strzyżenia i brzytwę, sprzętów rodem zapewne jeszcze z dobrych czasów galicyjskich.

Oczywiście przed strzyżeniem czy goleniem szyja zabezpieczana była ręcznikiem. Strzygł on najczęściej po staropolsku, „od rondla”, jak się wtedy mawiało, czyli z wysokim podgoleniem tyłu szyi, a na czole pozostawiał tylko charakterystyczny „ząbek”. Na końcu strzyżenia pan Jan pocierał tył szyi okrągłym, małym mydełkiem, maczanym w metalowej miseczce z ciepłą wodą, potem ostrzył słynną brzytwę i jej ostrzem wygładzał dolny fragment karku. Strzyżenie kosztowało 5 zł. Chodziłem tu gdzieś do 1966 roku, bo potem moi rówieśnicy śmiali z jego sposobu strzyżenia, więc zmieniłem fryzjera i zacząłem chodzić do niewielkiego zakładu z początku ulicy Karmelickiej, który mieścił w kamienicy Stręka pod nr 1, a więc w sąsiedztwie Restauracji Ermitage. Jego właściciel, którego nazwiska nie pamiętam, może ze czterdziestolatek, zawsze był przykładowie wymodelowany i starał się podążać za modą, czym przyciągał nastolatków. Było to już jednak inne strzyżenie niż u Pana „Jasia”, wszak w swojej pracy używał już elektrycznej maszynki.

Też na Karmelickiej, ale nieco dalej, bo pod nr 45, był jeszcze inny zakładzik fryzjerski, do którego jakoś nigdy nie zdążyłem dotrzeć, a jego właścicielem był pan Raptusiński.

Ten urok dawnego strzyżenia, wolnego i majestatycznego, z użyciem ręcznej maszynki, a nie głośnej i szybkiej elektrycznej, z niepowtarzalnymi zapachami oraz tą muzealną scenerią i specyficzną aurą, pozostanie mi w pamięci do końca życia. Pan Jan był oporny na nowe mody, więc młodzi przestali do niego chodzić, a zaglądały tam tylko „stare dziadki”, by często tylko pod pretekstem golenia pogawędzić i ponarzekać na zmieniające się czasy. Takie poranne golenie, kiedy nie było innej klienteli i obowiązkowa przy nim pogawędka, były dla wielu ze starszych panów, emerytów, niemal rytuałem i sposobem na spędzanie nadmiaru wolnego czasu.

Zawsze wyglądało to tak samo. Zaczynało się od założenia pod szyję ręcznika i namoczenia brody pędzelkiem maczanym w metalowej, półkolistej miseczce. Ciepła woda zawsze była donoszona z zaplecza, zza owego przepierzenia przeszkłonego pseudogomółkową, nieprzeźroczystą szybą. Potem następowało spienienie mydła pędzlem do golenia z użyciem wody z drugiej miseczki, która leżała na kontuarze i dokładne opędzlowanie brody. Nadchodził czas na ostrzenie brzytwy o pas wiszący w rogu pokoju, a potem następowały już zamaszyste i pewne pociągnięcia brzytwy oraz zgarnianie palcem z jej ostrza piany, wraz ze ściętym zarostem. Następnie „pan Jasiu” raz jeszcze powtarzał zabieg golenia, by na końcu opłukać ogoloną część twarzy ciepłą wodą, przetrzeć ją ręcznikiem, posmarować ałunem, tak na wszelki wypadek, wszak tak doświadczony fryzjer nie miał prawa nikogo skaleczyć i posmarować kremem.

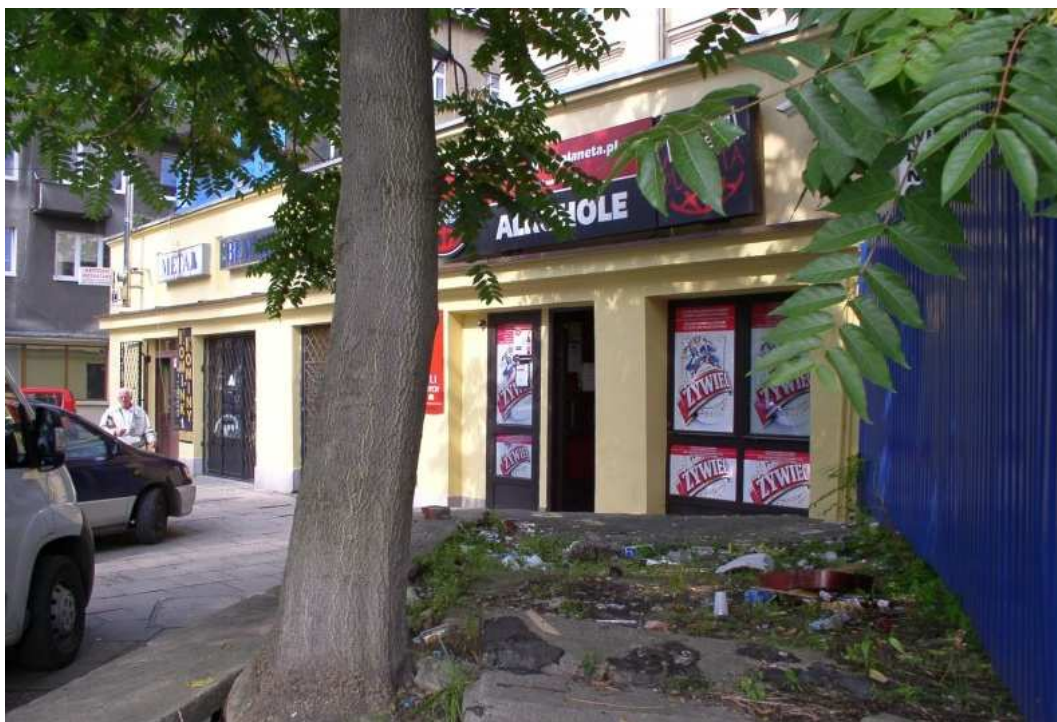
Potem następowało ściągnięcie ręcznika z szyi, obowiązkowe obejrzenie się klienta w lustrze, a następnie spryskanie ogolonej powierzchni perfumami, do czego służył szklany pojemnik z gumowym wężkiem i rozpylaczem na jego końcu i pochwała mistrza. Ten przenośny przyrząd był podłączony do ręcznej pompki, która była uruchamianej za naciśnięciem dłoni. Oczywiście podczas golenia obu panom nie zamykały się „gęby”, a ja zawsze przyglądałem się tym niemal rytualnym zabiegom z zauroczeniem, marząc, że kiedyś pewnie i ja będę im poddawany.



Fot. nr 134. W tym miejscu mieścił się zakład fryzjerski Jana Pilniakowskiego. Drzwi wejściowe zostały zamurowane, a ich miejsce pokazuje przerwa w betonowej podmurówce, na prawo od widocznych drzwi. W tle willa z ulicy Czarnowiejskiej 1. (13.09.2010)

Pan Jan z wiekiem niewiele się zmieniał: był takim samym jowialnym grubasem, siwym, łysym pośrodku, z równie siwymi, krzaczastymi brwiami. Spodnie zapinał na rzemienny pas, by je utrzymać na wystającym brzuchu. W późniejszych czasach często wyglądał na ulicę, widać nie mając nazbyt wiele zajęcia, jakby wyczekując powrotu dawnych, dobrych czasów. Aż pewnego dnia ten „relikt” z czasów „Babci Austrii” i jej pana oraz władcy cesarza Franciszka Józefa, cicho i niepostrzeżenie przeszedł do krainy wiecznej szczęśliwości. Jakże pusto zrobiło się bez tego niewielkiego zakładziku i tej wszędzie świetnie rozpoznawalnej osoby.

W tej samej parterowej przybudówce, ale od strony ulicy Czarnowiejskiej (nr 1), urzędowali jeszcze: blacharz (po prawej stronie drzwi wejściowych do kamienicy) i hydraulik (z lewej strony). Zwłaszcza ten drugi wykazywał się niezwykłą żywotnością i pomimo sędziwego wieku miał tu swój zakład jeszcze do początku lat 90-tych. Do końca swojej działalności chodził wyprostowany niczym struna i tylko włosów mu ubywało, a krok był coraz wolniejszy i jakby mniej pewny. Pewnie teraz gwarzą sobie w zaściatach razem z panem Janem, jak dawniej przy herbacie, ale już bez pośpiechu.



Fot. nr 135. Przybudówka do kamienicy przy ulicy Czarnowiejskiej 1. Po lewej stronie mieścił się zakład hydrauliczny Kesslera, a po prawej, gdzie dziś sklep alkoholowy, warsztat blacharski Kulczyckiego. Tak twierdzi Kazek Lisowicz, który tu (pod nr 1) mieszkał; mnie się akurat wydaje, że było odwrotnie. (13.09.2010)

Jak się ostatnio dowiedziałem od Kazka Lisowicza, z którym wypłem niejedno piwko na spotkaniu kolegów z dawnej „szóstki”, nazwiska tych panów brzmiały: hydraulika – Kessler, a blacharza – Kulczycki. Po Kulczyckim firmę blacharską przejął jego pomocnik, który do dziś prowadzi tu sklepik i warsztat, zaś Kessler nie doczekał się następcy. Zwłaszcza pan Kessler, nieraz wystający przed swym warszatem, z nieodłącznymi okularami na nosie, był w tej części Piasku charakterystyczną postacią, którą i ja dobrze zapamiętałem, natomiast pana Kulczyckiego już nie kojarzę.

Innym charakterystycznym rzemieślnikiem w naszej okolicy był szewc Franciszek Chytry, a nie Smagowicz jak twierdził mój brat. Wg jego przekazu pół wieku temu szewcem był pan Smagowicz z ulicy Świerczewskiego, ojciec Jacka, znanego działacza krakowskiej Solidarności, z którym w tym czasie kopaliśmy piłkę na Błoniach. Ja nazwiska szewca nie zapamiętałem, a podane powyżej autorytatywnie podała mi podczas spaceru po Piasku Pani Ewa Morstin, która na ulicy Czystej mieszka już prawie 80 lat. Był to niemłody już, sympatyczny jegomość, najpewniej po pięćdziesiątce, z wiecznie wiszącymi okularami na nosie. Swój warsztat miał na parterze piętrowego domu przy ulicy Dolnych Młynów 3, w sąsiedztwie sklepu spożywczego Edwarda Mola i w tym czasie były to jedyne lokale usługowo-handlowe w tym budynku. Czasy były niełatwe i przeciętnego człowieka rzadko było stać na nowe buty, zatem z konieczności trzeba je było częściej naprawiać. Warsztat ten w niezmienionej postaci trwał do końca roku 2010 i był reliktem Piasku sprzed pół wieku, choć nie każdy zdawał sobie z tego sprawę. Mnie jeszcze udało mi się uwiecznić ten mały zakładzik niedługo przed jego zamknięciem.



Fot. nr 136 (136-137). Zakład szewski Franciszka Chytrego z ulicy Dolnych Młynów 3 (pośrodku), kiedyś usytuowany na prawo od sklepiku Mola. Na ostatnim etapie istnienia prowadziła go Anna Szydłak, najprawdopodobniej jego córka. Stanowił jeden z ostatnich reliktyw Piasku sprzed pół wieku i „padł” dopiero pod koniec roku 2010. (04.08.2010)



Fot. nr 137. Stan z dnia 09.06.2012. Szewca już nie ma, a miejsce jego warsztatu zajęła kwiaciarnia. Sklepik Mola już dawno zajął Salonik Prasowy. Oryginalne, czteropolowe okna kamieniczki już jakiś czasu zostały wymienione na nieciekawe plastiki. W czasach PRL w parterze kamieniczki znajdowały się tylko dwa punkty rzemieślniczo-handlowe: warsztacik szewski Chytręgo oraz sklepik ogólnospożywczy Edwarda Mola, założony już w latach 20-tych XX wieku.

Na końcowym etapie działalności prowadziła go Anna Szydłak, jego córka, co niedawno uściśliła mi Pani Małgosia Wardęga, również mieszkanka ulicy Czystej. Może zatem pan Smagowicz pracował tu wcześniej? Lokal, do którego wchodziło się po pokonaniu dwóch stopni, był podzielony na dwie części: front, gdzie w tyle, za ladą, na całej długości ściany znajdowały się półki z poukładanymi na nich, zreperowanymi butami oraz wsadzonymi do nich kawałkami papieru z nazwiskiem właściciela i ceną usługi oraz zaplecze, typowy warsztat, gdzie wykonywane były naprawy. Stamtąd dolatywał tylko stukot młotka i warkot maszyny do zeszywania obuwia. Wejście do zakładu sygnalizował dzwonek w drzwiach.

Drugi z lokalnych szewców, o którym ostatnio przypomnieli mi: Marian Skoczeń i Janusz Klimas, pan (Jan?) Ciszewski, urzędował w suterenie międzywojennej kamienicy przy ulicy Rajskiej 18. Do lokalu tego lekko przygarbionego rzemieślnika, który lubił dłużej pogawędzić ze swoimi starymi klientami, schodziło się po schodkach w dół, prosto z chodnika.

O szewcu Meresie, który miał swój warsztacik w parterowym domu Rzegocińskich przy ulicy Krupniczej 24, wspomniał mi ostatnio Adam Wyrobek, starszy kolega z parteru kamienicy z ulicy Krupniczej 28. Meres mieszkał w suterenie kamienicy przy ulicy Garncarskiej 2, ale mnie umknął z pamięci.

Kto dziś już pamięta, że dawniej dla przedłużenia żywotności obuwia do podeszwy butów przybijano się metalowe blaszki. Tak zreperowane półbuty słychać było na odległość, a im większa była blaszka tym głośniejszy był stukot o twarde podłoże. Właśnie do naszego parterowego mieszkania często dolatywały takie niezbyt przyjemne, metaliczne odgłosy stukotu obuwia o kamienną posadzkę podwórka. Również buty świąteczne mego ojca były zawsze „podkute”, a ponadto wyblyszczone na „glanc” i przy każdym kroku dodatkowo wydawały charakterystyczne zgrzyty, jakby chrupały. Gdy bucik gdzieś nieznacznie się otarł czy zarysował można go było podmalować wilbrą, takim dość tandetnym, ale popularnym lakierem.

Franciszek Chytry był naszym „parafialnym” szewcem przez 10 lat i cieszył się uznaniem mojej Mamy. Potem, gdy na Azory wyprowadziła się Kopciowa, jej posklepowe mieszkanie zajął inny szewc - Jan Kosek i wówczas po sąsiedzku zaczęliśmy korzystać z jego usług. Był to też typowy, staroświecki rzemieślnik, który oprócz napraw zajmował się też wyrobem i sprzedażą gotowego obuwia, niezbyt wprawdzie modnego, ale solidnego i na lata. Czasem korzystaliśmy też z usług Spółdzielni Szewskiej, która mieściła się w sąsiedztwie sklepu rybnego, bodaj w kamienicy przy ulicy Karmelickiej 16. A może było tu nawet najtaniej? Tu przy oddaniu obuwia przyjmujący zawsze wypełniał drukowany formularz w postaci kartki o wymiarze A-4, po czym wsuwał ją zwiniętą do środka buta, a kopię pisaną przez kalkę przekazywał klientowi.

Miejscowym tapicerem, co niemal zapomniałem, był pan Ziemiński, który swój zakład miał obok sklepu Łakomskiej, przy ulicy Rajskiej 20.

Z upływem czasu, z uwagi na wysoką jakość świadczonych usług i przystępną cenę, nasza mama miała coraz więcej klientów do oprania i po prostu nie wyrabiała z prasowaniem. Koszule zawsze prasowała sama, bo w tym fachu była mistrzynią, natomiast pościel, podobnie jak koszule zawsze przykładnie wykrochmaloną, zaczęła zanosić do maglowania, dziś niemal zanikającego rzemiosła usługowego, choć kiedyś bardzo pospolitego. Najbliższy dla nas magiel znajdował się w suterenie kamienicy przy ulicy Michałowskiego 6. Do tego wiecznie gorącego i nadmiernie zawilgoconego pomieszczenia, o jakże charakterystycznej woni, wchodziło się wprost z ulicy, w dół po kilku schodkach. W środku znajdowała się wielka maszyna wyposażona w dwa wielkie, rozgrzane walce, między które z jednej strony wkładało się wilgotną pościel, a z drugiej obierało i składało już wyprasowaną, ale jeszcze parującą. Wykrochmalona i wysuszona pościel, którą się potem do maglowało, musiała zostać odpowiednio przygotowana poprzez skropienie jej wodą, przez co stawała się jeszcze cięższa, więc musieliśmy mamie pomagać dźwigać te ciężary. Wymaglowana była już sporo lżejsza, a przy tym specyficznym pachnąca. Magiel obsługiwały cztery osoby, po dwie z obu stron walców, więc wiecznie toczyły się tam rozmowy i nieraz można się było tam usłyszeć niejedną sensację. I jak tu się dziwić z porównywaniem nadmiernego gadulstwa z maglem. Poskładana w kostkę, wymaglowana bielizna była potem wkładana do czystego płótna, a następnie upychana na półki pod ścianą, razem z przypiętym szpilką papierkiem, na którym ołówkiem była wypisana cena usługi bez nazwiska, bo wszyscy się tu świetnie znali.

Zegarki i zegary naprawiało się u Płonki na ulicy Szewskiej 12, w starym zakładzie zegarmistrzowskim, jeszcze z tradycjami galicyjskimi (tradycja od roku 1899), w której to kamienicy na drugim piętrze urzędował Adam Karaś, znany fotograf. Zakład mieścił się w sąsiedztwie baru Smakosz spod nr 14,. Zawsze panował tu lekki mrok, bo pomieszczenie było usytuowane w strefie cienia. Wejście do lokalu sygnalizował dzwonek zawieszony we drzwiach i wtedy z zaplecza wychodził mistrz od naprawy zegarów z założoną na czole charakterystyczną latareczką zamocowaną paskiem. Jeśli była to jedynie drobna regulacja naprawy dokonywał bezpośrednio za ladą, używając przy tym specjalnego okularu i miniaturowego śrubokrętu. Przed witrynie zakładu rzucał się w oczy stary szyld, który przypominał jego galicyjskie tradycje. Zresztą ten dawny klimat, podkreślony tradycyjnym wyposażeniem wnętrza, był wyczuwalny od momentu przekroczenia progu tego lokalu. Zakład Płonki przetrwał do dziś i przynajmniej od zewnątrz niewiele zmieniło się w jego wyglądzie: pozostał stary szyld, choć nieco zmodernizowany, a nad wejściem nadal wisi wielki, okrągły zegar, które to detale wyróżniają go od nazbyt nowatorskich i agresywnych witryn sąsiednich lokali. Niestety niedawno znikło wspaniałe wyposażenie jego wnętrza, zastąpione trywialnym konglomeratem żelaza i szkła, przez co zatracił on swoją galicyjską duszę na rzecz współczesnego blichtru.



Fot. nr 138. Widok witryny zakładu zegarmistrzowskiego Płonki z ulicy Szewskiej 12 jeszcze w oryginale przed niedawnymi zmianami, kiedy zostało zlikwidowane jego tradycyjne wnętrze. (08.04.2010)

Z zakładem tym wiąże się pewna anegdota, dziś zapomniana, sprzed ponad 60. lat. Otóż Antoni Wichura, niezwykle popularny spiker Polskiego Radia Kraków w czasach powojennych, o którym wspominałem w rozdziale IX, zawsze podawał na antenie radiowej dokładną godzinę, a wielu ludzi nastawiało sobie wtedy własne zegarki. Zapytany kiedyś, skąd bierze tak dokładny czas odpowiedział, że przechodząc do pracy koło zakładu zegarmistrzowskiego Płonki na ulicy Szewskiej, gdzie w witrynie wystawiony był super dokładny zegar, zawsze reguluje tam swój zegarek. Sam pamiętam, że krakowianie często tu przystawali i regulowali swoje ręczne zegarki. Z kolei Płonka zapytany skąd zna tak dokładny czas, co do minuty i sekundy stwierdził, że zawsze słucha Wichury na radiowej antenie, gdy podaje równą godzinę i wtedy sprawdza, co pokazuje jego zegar na wystawie.



Fot. nr 139. Fragment ulicy Szewskiej. Na pierwszy planie kamienica pod nr 14, gdzie w miejscu Bistro kiedyś funkcjonował Bar Smakosz znanych też ze wspinałej golonki. Przed wejściem często przygrywał skrzypek, który do kapelusza zbierał wolne datki. Dalej kamienica pod nr 12, z zakładem Płonki na parterze. Chyba na drugim piętrze tej kamienicy swój zakład fotograficzny miał Adam Karaś (08.04.2010)

W czasach PRL rynkiem zawładnęły NRD-owskie Ruhle, tandetne, ale bajecznie tanie zegarki i budziki z fluoryzującymi wskazówkami. U nas w domu mieliśmy cenny zegarek na rękę marki Tissot, który ojciec dostał kiedyś w nagrodę za dobrą i wydajną pracę oraz okrągły, głośno tykający budzik, ręcznie nakręcany, którego przeraźliwy dzwonek obudziłyby nawet umrzyka; zawsze trochę „spaźniał” i był wiecznie regulowany, ale funkcjonował przez długie lata, jak wszystkie wówczas sprzęty.

Może jeszcze parę słów o znanych fotografach, którzy działali już w latach międzywojennych. Było ich w pobliżu kilku, ale my korzystaliśmy z usług dwóch z nich: Józefa Neidera, którego atelier, będące drewnianym pawilonikiem, mieściło się w podwórku klasztoru Karmelitów Trzewickowych przy ulicy Karmelickiej 21 oraz Edwarda Heczki (1896-1975), posiadającego pracownię na ulicy Manifestu Lipcowego 17 (dziś Piłsudskiego), koło dawnej Drukarni Narodowej. U pierwszego z nich zdjęcia komunijne wykonywał mój brat, a u tego drugiego, sędziwego już pana ja, a ponadto u Heczki mama robiła zdjęcia do dowodu osobistego. Pracownia Neidera, która pod koniec zeszłego wieku spłonęła, zawsze imponowała ciekawą scenografią i wydaje mi się, że panującymi tu zwyczajami oraz wystrojem wnętrza przypominała galicyjskie atelier. Nienaganna obsługa, wytwornie urządzone poczekalnia czy wreszcie rozmach wykonywanych zdjęć na mnie, dziecku, robiły wielkie wrażenie

Heczko był już starszym panem, jak mi się przynajmniej wydaje o specyficznej urodzie żydowskiej, zawsze tajemniczym, choć o nienaganej kulturze. Jego pracownia była nieco uboższa, ale zdjęcia wychodzące spod jego ręki też były wysokiej klasy, a przy tym nieco tańsze. Jego nazwisko było już cenione w przedwojennym Krakowie.



Fot. nr 140 (140-142). To w miejscu obecnego trawnika na podwórku klasztoru Karmelitów Trzewickowych na Piasku przy ulicy Karmelickiej 19-23 znajdował się drewniany pawilon, w którym mieściła się ceniona pracownia fotograficzna Józefa Neidera. Rozległe podwórko nadal odkrywa wiele tajemnic z dawnych lat.



Fot. nr 141. Ślad po dawnym zakładzie rzemieślniczym. (11.02.2014)



Fot. nr 142. W sumie mało znana, choć zabytkowa, bo pochodząca z 1753-go roku figura o cechach barokowych, a nad nią symbol opatrności bożej. Ściana domu jest w fatalnym stanie, więc i to dzieło sztuki jest w zagrożeniu. (11.02.2014)

Dobrze znane mi były jeszcze dwa zakłady fotograficzne: Pawła Bielca, który znajdował się na ulicy Karmelickiej 50, róg z Grabowskiego oraz wspomnianego już Adama Karasia (1896-1986) z ulicy Szewskiej 12, legendy krakowskiej fotografii, starego i solidnego rzemieślnika, funkcjonującego już w latach międzywojennych. Do połowy lat 60-tych działał on pospółu z bratem Wiktorem. Dla osiągnięcia odpowiedniego wyrazu twarzy zwłaszcza ten drugi wyczyniał ponoć cuda i był w stanie rozbawić największego nawet ponuraka czy rozradować twarz każdego dziecka, które przychodziło tu zawsze nieco wystraszone. Paweł Bielec, ostatni z wielkich krakowskich fotografów, zmarł stosunkowo niedawno, na początku XXI wieku, w wieku 100 lat. Urodził się w roku 1902, a odszedł w tego świata w roku 2002. Jakoś dziś tu pusto bez gabloty ze zdjęciami zawieszanej na parterze kamienicy.

W prawej części parteru kamienicy przy ulicy Krupniczej 20 znajdował się warsztat ślusarski inż. Brzezickiego, gdzie po kilku schodkach wchodziło się do ciasnego pomieszczenia. Wg Marka Lovella, znanego krakowskiego dziennikarza, mieszkańca Domu Literatów, można tu było: dorobić klucze, naprawić zamki, naostrzyć noże i narzędzia, podlutować dziurawe garnki, a nawet naprawić maszyny do szycia. Warsztat istniał chyba do lat 90. Większy zakład mechaniczny miał on na podwórku przy ul. Krupniczej 6, ale o nim wspominał w innym miejscu.



Fot. nr 143. Zakład fotograficzny Pawła Bielca, kolejnej legendy krakowskiej fotografii, zajmował wysoki parter narożnika kamienicy z ulicy Karmelickiej 50, na styku z ulicą Grabowskiego. Dziś lokal został przerobiony na punkt usługowy. (12.02.2011)

Lata sześćdziesiąte były czasem eksplozji popularności rowerów. Rowery, jak wszystkie inne maszyny, psuły się od czasu do czasu i trzeba je było naprawiać. Te najzwyklejsze naprawy i konserwacje, jak wymiana dętek czy opon, smarowanie łożysk lub korbowodów bądź naprawa łańcucha, czyniło się zazwyczaj samemu, z pomocą mego brata lub z pomocą starszych, bardziej doświadczonych kolegów, jak np.: Jacek Gędłek czy Bogdan Bruzda. Zwłaszcza „Gruby” miał świetne miejsce do napraw w swojej rozległej i dobrze oświetlonej piwnicy.

Ale z poważniejszymi usterkami chodziło się „do Lupy”, właściciela niewielkiego warsztatu naprawczego, jedyne zresztą w okolicy, który mieścił się przy ulicy Garbarskiej 4, przy wylocie Łobzowskiej. Lupa był starszawym, siwym już panem, ale o miłym usposobieniu, zwłaszcza dla młodzieży, która była jego znaczącą klientelą. Pracował sam wewnątrz warsztatu, zawsze w charakterystycznych okularach na nosie. Front jego lokalu był zastawiony zreperowanym bądź czekającym na reanimację sprzętem lub jego częściami, np. „wycentrowanymi” kołami. Przy wejściu do tego niewielkiego i ciemnego pomieszczenia odzywał się dzwoneczek i wtedy jego właściciel odrywał się od pracy na zapleczu, podnosił na czoło okulary i wysłuchiwał klienta. Nie był za drogi i pewnie dlatego roboty miał co niemiara, a na poważniejsze reperacje czekało się nieraz i z tydzień.

Pierwsza moja wizyta w tym warsztacie wynikała z nieznamości funkcjonowania koła rowerowego i dziecięcej głupoty. Jacek Gędłek, mój kolega z kamienicy, zasugerował mi, że aby obręcz koła rowerowego działała poprawnie i bezpiecznie trzeba dokręcić w niej szprychy. Jak je z jego pomocą podokręcałem specjalnym kluczem, koło wykrzywiło się tak mocno, że nie można było już jeździć, bowiem ocierało o widełki kierownicy. Pozostała mi tylko wizyta u Lupy, bo nikt nie potrafił mi pomóc. Pan Lupa, gdy usłyszał o przyczynie powstania usterki, potraktował mnie z lekkim, ale przyjaznym uśmiechem, wszak z podobnymi racjonalizatorami widać często miał do czynienia. Usunięcie usterki kosztowało z 5 zł, a ja potem już rozumiałem, po co są w kole szprychy i w razie potrzeby już sam potrafiłem je lekko „podcentrować”.

Na pocztę chodziło się głównie, by wpłacać lub wypłacać pieniądze z książeczki oszczędnościowej PKO bądź zapłacić abonament za radio i telewizor, wtedy osobno. Wypełniało się wówczas specjalne blankiety, które potem wrywało z książeczki i przekazywało do okienka. Najbliższe urzędy pocztowe mieściły się: na rogu Świerczewskiego (nr 2) i Podwała (nr 3) i na Garbarskiej 14, a więc w kamienicy, w której oficynie mieszkał wujek Marcel, brat mamy, zwany przez nas Bazylim. Czynnosc płacono się u dozorczy lub administratorce, starej i zgryźliwej pani Piaseckiej, która mieszkała przy ulicy Karmelickiej 17, na piętrze tej jednopiętrowej, narożnej kamienicy, gdzie na dole mieścił się sławetny szynk: „Bar na Piasku”, w czasach Gierka przerobiony, jak wiele innych „mordowni” na terenie Krakowa, na bar mleczny Zdrowie. Okno jej mocno zaniedbanego pokoju wychodziło na kaplicę Matki Boskiej Piaskowej, co jakby przystawało do jej osobowości, jak się wydaje typowej krakowskiej „dewotki”.



Fot. nr 144. Ulica Podwale, a w głębi początek ulicy Straszewskiego - ujęcie z ulicy Studenckiej, dawnej Świerczewskiego. W narożnym lokalu na parterze w czasach PRL mieścił się urząd pocztowy, "parafialny" dla mojej części Piasku.

Zawsze mile widzianym gościem był u nas listonosz, ubrany w „firmowy” ciemnoniebieski uniform, który szczególnie był wyczekiwany bodaj na początku każdego miesiąca, kiedy przynosił rentę po ojcu, za co zawsze obrywał coś „w łapę”. „Nasz” listonosz był niskiego wzrostu i zawsze był uśmiechnięty, ot taki dobry duch, choć szczegóły jego postaci umknęły mi już z pamięci. Był kolegą po fachu ojca Józka Zubła, mego szkolnego druha, który dzięki zbieranym napiwkom był w stanie utrzymać, choć w skromnym standardzie, liczną rodzinę: niepracującą żonę i piątkę dzieci, a przy tym wszystkie wykształcić.

Opłaty za prąd pobierał obchodny inkasent z „elektrowni”. Był on zawsze zaopatrzonej w latarkę do odczytywania liczników i dużą, skórzaną torbę, zawieszoną na szyi, w której gromadził pieniądze i gdzie w przegródce trzymał blankiety rachunków, które ręcznie wypełniał w miejscu odczytu. W naszym rewirze zawsze chodził ten sam jegomość, może niespełna 50-letni, szpakowaty mężczyzna o nazbyt przygrubawej posturze, który zaczesywał swoje gęste, siwiejące włosy do tyłu. Ów swoisty obieżyświat, traktowany przez wielu niemal jak domownik, od każdego klienta zwyczajowo otrzymywał drobny napiwek, by, jak się mówiło, nie zawyżał rachunków. Bezpieczniki, zwane wtedy powszechnie „stopkami” czy „korkami”, znajdowały się w mieszkaniu tuż nad drzwiami, pod licznikiem energii, czyli tzw. „zegarem”. Tylko z rzadka były to oryginalne „korki”, gdyż w tych czasach prawie każdy umiał je „drutować”, by nie przepalały się za często. Naprawiała je nawet moja mama, „kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie bała”, jak takie postacie trafnie odgrywała Irena Kwiatkowska, jedna z bohaterek popularnego serialu „Czterdziestolatek”, powstałego w latach 70-tych. Ale do „stopek” nazbyt często wsadzało się zbyt grube druciki, więc bezpieczniki „wywalało” na klatce schodowej, gdzie zabezpieczenia były na znacznie wyższy prąd i wtedy zanikał on w całym pionie. Ale, o dziwo, instalacja elektryczna, pewnie jeszcze z czasów galicyjskich, była na tyle dobra, że przez lata wytrzymywała te wszystkie przeciążenia i nie wypaliła się ani nie zapaliła. W przypadku „wysadzenia korków” na korytarzu, gdzie skrzynka była zamknięta na kłódkę, pojawiał się problem z wezwaniem pracowników „elektrowni”, bo w naszej kamienicy był tylko jeden prywatny telefon, u „starej” W., a raczej jej córki „Dzidki”, który nie zawsze dostępny. Przy dłuższych przerwach w dostawach prądu, co w tych czasach nie było rzadkością, mama zapalała na stole „dyżurną” gromnicę, ustawioną na metalowej podstawce i tak trzeba było wegetować nieraz przez parę godzin, zanim prąd „nie wrócił”. Ale kto wówczas miał lodówki elektryczne.

Upalone przewody w gniazdkach wtykowych często były naprawiane po amatorsku, a potem źle zaizolowane „kontakty”, czyli gniazdka wtykowe, często „kopały”. Prąd nieraz i mnie „pokopał” bądź „popieścił”, częściej jednak mamę i było to bardzo niemiłe uczucie, ale na szczęście dla nas zawsze kończyło się tylko na strachu; wielu jednak nie miało szczęścia i często słyszało się o porażeniach śmiertelnych.

Przychodnia lekarska dla dzieci mieściła się w tzw. Ośrodku Zdrowia, zlokalizowanym w dawnym pałacyku Jabłonowskich na placu Sikorskiego 6a. Bywałem tu nieraz i przeszedłem różne nieciekawe zabiegi: z wtykaniem patyka do gardła, stukaniem po klatce piersiowej czy połykaniem tranu bądź oleju rycynowego.



Fot. nr 145. Dawny dziecięcy Ośrodek Zdrowia dla Dzieci na placu Sikorskiego 6a. Gabinet dr Alfredy Rubczyńskiej znajdował się w którymś ze środkowych okien na I piętrze. Sam klasycystyczny kiedyś pałacyk Jabłonowskich pochodzi z około 1870 roku, ale jego obecny wygląd odbiega od dawnego oryginału. (13.09.2010)

Naszą lekarką była pani dr Alfreda Rubczyńska (jej imienia do niedawna nie pamiętałem), przemiła, sucha jak patyk staruszka, lekko utykająca na jedną nogę, którą miała krótszą, nosząca silne okulary. Pomimo kalectwa i konieczności podpierania się laską poruszała się bardzo szybko i była bardzo sprawna ruchowo. Żyła pospołu z duetem jamników, które wysiadywały na parapecie jej okna. Pod jej oczami zawsze „wisiały” charakterystyczne worki, które tylko dodawały jej powagi. Miała wspaniały stosunek do dzieci i z jej ręki nic nie było straszne. To ona uratowała od śmierci mego brata, kiedy w maju roku 1959 przechodził on jednocześnie: odrę, ospę oraz zapalenie płuc i miał gorączkę przekraczającą 40 stopni, a dr Żurowski, wcześniej prywatnie zawezwany za wielkie pieniądze, zdiagnozował tyfus i źle bratu rokował.

Mieszkała samotnie naprzeciw ogrodów Kapucynów, w kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 15, obok SP nr 13, w małym pokoiku na parterze, w ostatnim oknie z lewej strony. W późniejszych czasach, gdy nieraz przechodziłem tędy wieczorową porą w drodze z Technikum Energetycznego, w jej mieszkanku ledwo żarzyło się maleńkie światełko, które z czasem jakby przygasało, tak jak jej życie, które w końcu zgasło, przynosząc ulgę tej jakże samotnej i mocno schorowanej staruszce, o której świat jakby z czasem zapomniał. Dziś wiem, że zmarła w roku 1989 mając 88 lat i była córką Witolda Rubczyńskiego, profesora filozofii. W czasie okupacji dawała przykład patriotycznej postawy,

Dla odmiany bardzo nielubianym przez większość rodziców pediatrą był dr Otto, starszy, szczupły, siwy już pan, z charakterystyczną kocią bródką, noszący cienkie okulary, binokle, całkiem zresztą elegancki z wyglądu, może jakiś przedwojenny arystokrata. Był postrachem wśród dzieci, człowiekiem zgryźliwym, opryskliwym, mało delikatnym, czasem nawet bezwzględny, a dla rodziców niegrzecznym. Po pewnym okresie zaczęliśmy go unikać, zresztą nie tylko my i tak mamie wierciliśmy dziury w brzuchu, że nie miała ona odwagi nas do niego zapisać i czasem tylko incydentalnie pojawiał się u nas z wizytą domową. Ale, co trzeba obiektywnie przyznać, byli też tacy, którzy go chwalili.

Koszmarem dzieciństwa była konieczność picia tranu, który zapobiegał krzywicy, wówczas powszechnej chorobie u dzieci. Tran lany na łyżeczkę z butelki, a potem połykany, był tak paskudny, że od razu wywoływał odruch wymiotny, nawet zanim został podany do ust. Mama widząc te katusze nie nalegała zbyt na jego spożywanie. Potem można go już było kupić w bardziej przystępnej postaci, bo w kapsułkach. Nie cierpialem też gorzkiego i ostrego, ale skutecznego syropu o nazwie Gujazył, a także olejku rycynowego na przeczyszczenie, zwanego „rycynusem”. Bałem się też igły do pobierania krwi, a jako że moje zdrowie nie było za tęgie, lekarze często zalecali ten zabieg. W tych czasach igły używane do tego celu wydawały mi się tak wielkie i grube jak iglica Pałacu Kultury w Warszawie i dlatego za żadne skarby nie dawałem się ukłuć. Skutecznie broniłem się aż do szóstego roku życia, kiedy mamie wreszcie udało się mnie przekonać do tego zabiegu, bo był on niezbędny w obliczu pójścia do szkoły. Ale płaczu i krzyku było przy tym dziewczym zabiegu co niemiara. Do dziś pamiętam, że działo się to w „Ubezpieczalni” na ulicy Batorego, a potem w nagrodę za „heroizm” mama wzięła mnie na zakupy na „Plac” – stary Kleparz, gdzie dogadzała mi, jak tylko mogła.

Natomiast moimi ulubionymi lekarstwami były: Pepsimalt, smaczne winko na poprawę apetytu, Glucovit, słodziutki proszek wzmacniający serce, o lekko kwaskowatym posmaku, Nitrofurazon, tabletki na ból gardła o czekoladowym posmaku oraz syrop żywokostowy na kaszel. „Grubas”, mój kolega, uwielbiał też czekoladki przeczyszczające, którymi zażerał się w miejsce słodyczy, ale, o dziwo, bez leczniczego efektu.

By zbyt często nie odwiedzać ośrodka i uniknąć zastrzyków przeciwtężcowych, nieraz stosowaliśmy skuteczne zabiegi medycyny ludowej, znane mamie z rodzinnego domu i tak np. gdy „obierał” skaleczony palec trzeba go było kilkakrotnie sparzyć w garnuszku z wrzącą wodą, co było bolesne, ale skuteczność była stuprocentowa, podobnie jak w przypadku picia kwaśnicy spod kapusty na owsiki.

Moja mama, a potem też i ja po skończeniu szkoły podstawowej, korzystaliśmy z usług „Ubezpieczalni” na ulicy Batorego 3, bo ta przedwojenna nazwa nadal była w obiegu u starszych mieszkańców Piasku i moja Mama używała jeszcze właśnie tej starej, przedwojennej nazwy. Na korytarzach tej monumentalnej budowli zawsze unosił specyficzny, szpitalny smrodek.

Przeszedłem tu w młodości różne katorgi: od pobierania krwi z żyły, przez rwanie zębów, po różnego rodzaju płukania żołądka rycynusem i pędzlowanie gardła niesmacznym i ostrym, ale skutecznym preparatem o nazwie Lugol, ale w tym czasie szło mi to już jak po maśle, bez niepotrzebnego marudzenia. Klucie to wielki problem dla wielu dorosłych mężczyzn i kobiet o czym przekonałem się w ostatniej pracy, kiedy wiceprezes, człowiek po wojsku i po 50 roku życia nie dał się ukłuć w paluszek, by zbadać poziom cukru, nie mówiąc już o pobraniu krwi z żyły. W czasie mojego dzieciństwa nikt specjalnie nie przejmował się rykiem i histeriami dzieci, a nadmierne narzekanie na zdrowie, by tylko uniknąć pójścia do szkoły, niejednen z lekarzy kwitował stwierdzeniem: „paluszek i główka to szkolna wymówka” i nie dawał zwolnienia; nie pozostawało nic innego jak prosić mamę, by napisała je w preparatce.

Mama korzystała tu z usług dr Ferek, „Ferkówny”, jak się o niej mawiało, która wyciągnęła ją z silnej depresji zaraz po śmierci ojca i nieraz potem pomogła jej przy różnych dolegliwościach, z których najbardziej niebezpieczne i dokuczliwe było powtarzające się zapalenia żył w nodze. Działał tu też dr Adlewski, słynny dentysta, wspaniały specjalista od wrywania zębów, z którego usług i ja potem nieraz korzystałem. Opinia o nim była tak dobra, że szło się do niego bez większego strachu, chociaż, jak mi się teraz wydaje, we rwaniu zębów był on znacznie lepszy i szybszy niż w ich leczeniu. Straciłem u niego, zapewne niepotrzebnie, nazbyt wiele trzonowych zębów. Rwał niczym drwal, choć wióry nie leciały.

Jako małe dzieci rwaliśmy mlecze zęby u dr Kulki w jego prywatnym gabinecie na pierwszym piętrze secesyjnej kamienicy przy ulicy Kremerowskiej 10. On jeden potrafił to robić tak dobrze, że nie za bardzo bolało, przynajmniej tak twierdziła moja mama i to już pomagało. Dlatego wołała zapłacić byleby maksymalnie skrócić nasze cierpienia, wszak sama doświadczyła ich w nadmiarze, gdy po moich narodzinach całkowicie się odwapniła i „poleciały” jej wszystkie zęby, o które wcześniej przykładnie dbała, korzystając przed wojną z usług „Ubezpieczalni”. Jej piękne zęby widać jeszcze na rodzinnych fotografiach wykonywanych w Bilczycach około 1950 roku. Kto wtedy dawał kobietom wspomaganie w postaci wapna i witamin? Dużo gorzej robiła to jego żona, osoba bez doświadczenia, która mojego brata przyprawiła o wielkie cierpienia, gdy źle zatrula mu zęba i doprowadziła do niezwykle bolesnego stanu zapalnego, z rozległym zapaleniem okostnej. Po tym incydencie nasze znajomości skończyły się raz na zawsze.

Najczęściej korzystaliśmy z usług apteki przy ulicy Retoryka 1, która mieściła się naprzeciw Sokoła (dziś jest tu placówka jakiegoś banku). Wchodziło się tam po kilku schodkach i wewnątrz zawsze unosił się specyficzny zapach ziół i leków. Z początku chodziłem tu z mamą, potem już sam, m.in. po paskudny syrop Guajazyl, który najskuteczniej leczył mi gardło, a w warunkach naszej nory, przy wilgoci i konieczności częstego wietrzenia, najczęściej zapadało się właśnie na nieżyty dróg oddechowych. Ponadto swoje dokładało mocno zanieczyszczone już wtedy krakowskie powietrze, którego to problemu nie próbowano nawet dostrzec.

Z innych aptek z mojej okolicy trzeba wymienić dwie: „Pod Opatrznością”, która mieściła się przy ulicy Karmelickiej 25, obok cukierni Galganka, u nas zwanego „Gałgankiem”, zaś druga na ulicy Sienkiewicza 6, a może 8, przy okazyjnej trasie do kościoła św. Szczepana, który do połowy lat 60-tych był naszą parafią. Jak widać aptek wtedy nie było za wiele, za to kolejki zawsze były spore. Jakże inne były to apteki niż te dzisiejsze, gdzie na pierwszy plan wystawia się „szwarc, mydło i powidło”, łatwo chodliwe i drogie paraleki („suplementy diety”). Wtedy wszystko było poukładane w należywym porządku i odnosiło się wrażenie, że nic tu się nie zmieniało od dziesięcioleci. Nikt nie próbował poganiać fachowców ani podważać ich fachowości, jak to ma miejsce w dzisiejszych aptekach, które coraz bardziej przypominają handlowe markety, bo zatrudnia się głównie młode dziewczyny prosto po Technikum Farmaceutycznym by oszczędzić na kosztach. Gdzież wtedy mogłem przypuszczać, że w tym tak szanowanym kiedyś zawodzie będzie pracowała moja przyszła żona.



Fot. nr 146. Nasza „parafialna” apteka mieściła się na początku ulicy Retoryka (nr 1), gdzie dziś swój oddział ma jakiś bank. To kamienica „Pod Śpiewającą Żabą”, sztandarowe dzieło Teodora Talowskiego. Gdy kamienica ta powstawała dolatywał do niej rehot żab z pobliskiej Rudawy, która płynęła pośrodku dzisiejszego trawnika, który biegnie pomiędzy nitkami jezdni. Jeszcze w latach 70. była obrośnięta „lasem” z dzikiego wina.
(06.08.2009)

Warto jeszcze wspomnieć o fachu „pucybuta”, który dziś jest zapomnianym już zawodem. Spec („szpec”) od czyszczenia butów siedział na zydelku i czyścił, pastował, a następnie polerował buty klientów, którzy ustawiali nogę na niskim podeście, przed którym on siedział. Stanowiska takie były zlokalizowane m.in. pod Dworcem Głównym (w latach 70-tych też w podziemnym z przejściu z Plant) i wokół Plant, m.in. przy wylocie ulicy Szewskiej. Znikli oni niepostrzeżenie jak też przedstawiciele wiele innych, drobnych profesji gdzieś w czasach Gierka.

W dzieciństwie nie chodziliśmy do restauracji i kawiarni, a to z prostej przyczyny: moja mama była na to za biedna. Zacząłem tam zaglądać dopiero w technikum, na początku lat 70-tych, gdzie zaciągał mnie głównie Łysy, czyli Marek (Karol) Pstrós i było to dla mnie autentyczne poznawanie nowego świata.

Najbliższymi restauracjami, z tych przyzwoitych, były: „Ermitage” przy Karmelickiej 3, naprzeciw Teatru Rozmaitości, „Warszawianka” na ulicy 1-Maja 4, dziś Dunajewskiego, „Hawełka” w Rynku Głównym 34, „NOT” na Straszewskiego 28, „Dniepr” z 18-Stycznia 55, „Pod Złotą Kotwicą”, dziś Pollera, na Szpitalnej 28, „Pod Krzyżykiem” w Rynku Głównym 38, u „Wierzyńka” i „Wenzla” w Rynku Głównym (odpowiednio) 15 i 19, „Feniks”, z nocnymi striptizami, na rogu Rynku 41 i św. Jana 2, równie frywolny „Kaprys” z Floriańskiej 30 (za Jerzym Dobrowolskim można by powiedzieć, że jej reklama powinno brzmieć: „figo, fago, kawa marago, kobiety nago”), restauracja Wolnego, która mieściła się w parterze budynku zajmowanego przez Stronnictwa Demokratyczne przy Batorego 14, „Myśliwska” przy placu Szczepańskim 7, „Trzy Rybki” na Szczepańskiej 5, restauracja (aktorów) SPATiF z placu Szczepańskiego 2, restauracja „Klub Plastyków” z Łobzowskiej 3, „Kurza Stopka” przy placu Wiosny Ludów 9, dziś Wszystkich Świętych, „Grodzka” na rogu Grodzkiej 22 i placu Dominikańskiego 6, „Balaton”, z plackami ziemniaczanymi po węgiersku na Grodzkiej 37 i pobliska - „Pod Temidą” pod nr 43, „Żywiec” na Floriańskiej 19, „Cyganeria” na Szpitalnej 38, „Staropolska” na Siennej 4 (nieco później), Staromiejska na Mikołajskiej 2, miodosytnia „Pasieka” na Małym Rynku 2 czy restauracje przyhotelowe, nie tak popularne jak pozostałe w tym w: Grand Hotelu na rogu Sławkowskiej 7 i Solskiego, Hotelu Polskim na Pijarskiej 17, Hotelu Francuskim („Francuzie”) przy Pijarskiej 13, Hotelu Polonia przy ulicy Pawiej 2 czy w Cracovii przy ulicy Puszkina 1 (w jego parterze funkcjonowała też znakomita cukiernia ze słynnymi kremówkami; dziś, po likwidacji hotelu, to już tylko miłe wspomnienie). Wiele z nich przetrwało, ale dziś już rzadko się tam zapuszczam, choć kiedyś, w latach 80., robiliśmy nieraz z kolegami z Chemkopu, przy różnych „okazjach”, wydłużone gastronomiczne trasy.



Fot. nr 147. Dawny „Bar Przy Błoniach” na rogu ulic: Garncarskiej i (wówczas) Manifestu Lipcowego 25. To tu, do „Żyda”, chodziło się na piwo kuflowe. Na przełomie XIX-go i XX-go wieku w narożu domu funkcjonował sklep korzenny Hermana Liebeskinda (fot. w książce „Igraszki z czasem” Władysława Broniewskiego). W roku 1913 właścicielem domu był Juliusz Goldberg. Może to za sprawą zapamiętanych przez mieszkańców realiów z tych czasów datuje się późniejsza, zwyczajowa nazwa lokalu - „U Żyda”, która w czasach PRL była w powszechnym użyciu. (06.08.2009)



Fot. nr 148. Wspomnienie lokalu Warszawianka z ulicy 1-Maja 4, popularnego kompleksu gastronomiczno-rozrywkowego z czasów PRL. (12.01.2011)



Fot. nr 149. Na parterze kamienicy z ulicy Karmelickiej 3 funkcjonowała popularna restauracja Ermitage. (12.01.2011)

W tych czasach nie brakowało popularnych barów („knajp”), z których większość była typowymi piwno-gorzelnianymi spelunami, zwanymi też „mordowniami”. Były to: „Smakosz” na Szewskiej 14 (zwany też knajpą „pod aniołkami”, który słynął ze znakomitej golonki), „Picolo” przy Jagiellońskiej 4 (za Gierka został przemieniony w bar mleczny), „Pod Basztą” na końcu ulicy Floriańskiej (nr 55), „Łobzowska” na rogu Łobzowskiej 2 i Garbarskiej 3, „Bar Na Szlaku” na rogu Szlaku i Długiej 59, „Grzegórzecka” na Grzegórzeckiej 4 („U Stacha”), naprzeciw Hali Targowej i „Nowa”, nieco dalej, bo pod nr 63, „Uniwersalna”, zwana Unią, na ulicy Lubicz 3, „Centuś” z Karmelickiej 34 (nieco później), „Lajkonik” - róg Powiśle 1 i Zwierzynieckiej 34, „Bar Na Stawach” przy placu targowym o tej nazwie (ulica Borelowskiego 17), „Bar Zwierzyniecki” (dawny Bar Dawidsona), sławna knajpa zwierzynieckich „andrów” na końcu Kościuszki (nr 73), „Bar Tatrzański” oraz „Bar Krakowski”, oba na Starowiślniej (wtedy Bohaterów Stalingradu) bodaj 10 i 15, „Pod Filarkami”, róg Dietla i Bohaterów Stalingradu 29, „Bar Tempo” na Szpitalnej 38 obok Cyganerii, „Kuchcik” na Sławkowskiej 3, gdzie dziś jest Hotel Saski, „Bar Na Piasku” (potem Jadłodajnia „Zdrowie”) na Karmelickiej 17, „Parkowa” na początku Dzierżyńskiego (nr 3?), obok Kina Mikro, „Smocza Jama” pod Wawelem na ulicy Podzamcze 24, „Bar Przy Błoniach” - „U Żyda”, jak się pospolicie mawiało, na rogu Manifestu Lipcowego 25 i Garncarskiej, „Jadłodajnia Uniwersytecka”, zwyczajowo zwana Barceloną, na rogu Manifestu Lipcowego 1 i Straszewskiego (przedwojenny szynk Hermana Goldmanna, dziś już wyburzona), „Rycerska” koło boiska Zwierzynieckiego nad Rudawą (nieco później), „Smok” koło dworca autobusowego i kolejowego, „Rondo” przy Rakowickiej 1 i „Europa” przy Mogilskiej 58. Na peryferiach, bo w Bronowicach, był też Bar Śląski przy ulicy Bronowickiej 58.



Fot. nr 150 (150-151). Barcelona, dawny bar Celona, późniejszy szynk Hermana Goldberga, w roku 1914. (AN w Krakowie)



Fot. nr 151. Resztki dawnej „Barcelony”, przedwojennego szynku H. Goldmanna), potem (być może?) „Restauracji Wolskiej”, a następnie „Baru Uniwersyteckiego” i „Jadłodajni Uniwersyteckiej”. Lokal ten dobrze oddawał klimat Piaski z IV ćwierci XIX-go wieku. (26.11.2010)



Fot. nr 152 (152-153). Dom z ulicy Karmelickiej 17 w roku 1914, gdzie w narożnym lokalu już w tym czasie funkcjonowała piwiarnia.
(fot. Tadeusz Gutkowski – AN w Krakowie)



Fot. nr 153. Wejście do dawnego „Baru na Piasku”, potem „Jadłodajni Zdrowie”, w narożu ulic: Karmelickiej 17 i Garbarskiej 26. (12.01.11)



Fot. nr 154. W latach 70-tych rekordy popularności biła kawiarnia „Centuś”, będąca właściwie zwykłym barem piwnym, zlokalizowana na rozległym parterze kamienicy z ulicy Karmelickiej 34. W następnej dekadzie jej nazwa została przemianowana na „Ypsilon”. (12.01.2011)

Na Kazimierzu i w Podgórzu mieściły się: „Bar Kazimierz” na ulicy Krakowskiej 24 i „Pod Starym Ratuszem” pod nr 31, „Rękawka” na rogu ulic: Rękawka i Limanowskiego 24, „Bajka” na rogu ulic: Celnej i Kalwaryjskiej 2 czy „Samanta” na Pstrowskiego (dziś Kalwaryjskiej) 48.

Bardziej egzotycznie, bo za miasto, na Wolę Justowską, można się było się wyprawić na odległy fragment ulicy Królowej Jadwigi do restauracji: „Pod Strzelnicą” i „Sielanka”, odpowiednio pod nr: 189 i 238; obie były zlokalizowane w sąsiedztwie strzelnicy sportowej, pięknego secesyjnego obiektu, która ostatnio, po fazie dogorywania, został przykładowo odrestaurowany.

Nieco wyższej klasy była jadłodajnia „Ludowa” – „U Kapusty”, na rogu Św. Anny 7 i Jagiellońskiej 14, ale i tu można było napić się piwa, choć w porze poobiadowej. Podobnie było w Barze Giermek w narożu ulicy Karmelickiej i Alei Słowackiego 1, choć ten był lokalem samoobsługowym o profilu baru mlecznego. Trudno nie wspomnieć o dwóch pawilonach - „mordowniach”, zlokalizowanych na obrzeżu Błoń, dziś już nieistniejących, o zwyczajowych nazwach: „Płachta”, naprzeciw okrągłaka w Parku Jordana i „Blacha” w Cichym Kąciku przy ulicy Piastowskiej, u wylotu Alei 3-Maja, a w sąsiedztwie pętli tramwajowej, gdzie pod koniec lat 70-tych nocny stróż sprzedawał na lewo butelkowe piwo przez całą noc.

Dobrze zapamiętałem te nazwy, bo w późniejszych latach, jak już wspomniałem powyżej, razem z kolegami bywałem tu i ówdzie na niejednym piwku i nie tylko; jest więc baza do retrospekcji.



Fot. nr 155. Wspomnienie Baru Giermek z naroża ulicy Karmelickiej i alei Słowackiego 1.
(12.01.2011)

Może jeszcze parę słów o barze mlecznym „Górnik” z naroża ulic: Czystej 1 i Dolnych Młynów. W tym czasie bary mleczne stawały się coraz modniejsze, a apogeum ich rozwoju przypadło na czasy Gierka. Jeszcze „za Gomułki” powstał słynny moloch o nazwie „Smok”, wielki pawilon gastronomiczny wybudowany obok dworca autobusowego i kolejowego (dziś już nieistniejący – stoi tu moloch Galerii Krakowskiej), gdzie obok była też i „mordownia” o tej samej nazwie. Ten na Czystej zawsze był tanim barem, kiedyś słynącym z dobrych placków ziemniaczanych z kefirem, ale też całego asortymentu smacznych zup czy pierogów, więc miał wzięcie pośród braci studenckiej i miejscowych biedaków, choć nigdy nie porażał najwyższą higieną. W czasach „Jaruzela” były wieczne kłopoty z sztućcami, które notorycznie ginęły, więc trzeba było je wypożyczać pod zastaw. Tak na marginesie istnieje on, choć w nieco zmienionym kształcie, do dnia dzisiejszego. Duży bar mleczny („Akademicki”) zajmował też rozległy lokal przy ulicy Podwale 5. W latach 70-tych na bary mleczne zostało przerobionych kilka kultowych wręcz spelun, np. bar „Na Stawach”, który stał się jadłodajnią czy „Bar Na Piasku” na bar mleczny Zdrowie.

Utkwił mi w pamięci głupi żart jaki splataliśmy tu razem z „Grubasem”. Otóż w pewien czerwcowy wieczór nazbieraliśmy w parku do dwóch torebek cały rój chrabąszczy, a potem wypuściliśmy je w samym środku baru Górnik i uciekli. Zrobiło się od nich gęsto, a potem przez jakiś czas, z obawy czy przypadkiem ktoś z personelu nas nie zauważył, z dala musieliśmy omijać ten lokal, który długo był jeszcze przybytkiem taniego, choć nie zawsze apetycznie podanego jedzenia.



Fot. nr 156. Bar Mleczny Górnik w narożu ulic: Czystej 1 i Dolnych Młynów 2, gastronomiczny relikw z sprzed pół wieku. W tle willa z ulicy Czarnowiejskiej 1. Słynął z tanich, lecz smacznych zup, pierogów i placków ziemniaczanych z kefirem. (18.08.2010)

W latach połowie lat 70-tych dotarła do Krakowa moda na włoskie pizze i powstały w Krakowie trzy dobre pizzerie: w miejscu Baru Smakosz na ulicy Szewskiej 14, na Małym Rynku 6 oraz w barze bistro Wagant przy ulicy 1-Maja 3.



Fot. nr 157. Pizzeria Wagant znajdowała się pod nr 3 w miejscu apteki. (12.01.2011)

Dużą popularnością cieszył się gastronomiczny okrągłak „Kajtek”, zlokalizowany na Plantach u wylotu ulicy Szewskiej, zapewne wybudowany jeszcze w okresie międzywojennym, który utkwił mi w pamięci od najwcześniejszych dni dzieciństwa, pewnie z uwagi na unoszące się stamtąd po Plantach zapachy. W swojej długiej historii pełnił on różne funkcje usługowo-gastronomiczne, zawsze ciesząc się dużą popularnością, gdyż serwowane tu potrawy były smaczne i jedne najtańszych w mieście.

Tak więc początkowo (w latach 60-tych i 70-tych) był mini barem i smażalnią placków ziemniaczanych oraz wszechobecnych w tym czasie frytek, a potem dla odmiany ryb, gdzie królował tani dorsz, zaś w latach 80-tych punktem sprzedaży hot-dogów czyli gorących bułek z kiełbaską leszczyńską wsuniętą do środka, a następnie gofrów z warstwą dżemu bądź bitą śmietaną z wierzchu, by już w III RP, po również gastronomicznym okresie, stać się w I dekadzie XX wieku na krótko butikiem. Ostatnio znów (i dobrze) powróciły tu usługi gastronomiczne.



Fot. nr 158. Zapamiętany przeze mnie od zawsze okrągłak „Kajtek” u wylotu Plant, w przeszłości zawsze pełniący funkcje gastronomiczne. Zdjęcie z dnia 12.02.2011, kiedy był tu już jakiś tandetny butik.

Obok okrągłaka od dziesięcioleci sprzedawane były obwarzanki, zwane też (niesłusznie) bajglami, z makiem bądź solą, bardziej blade bądź przyrumienione, po 1 zł za sztukę, początkowo trzymane w wiklinowym koszyku, a potem już w przeszklonym wózku, zawsze podawane na patyku bądź wybierane przez delikwenta (często) ręką prosto z kosza. Nowe zwyczaje w sprzedaży tych oryginalnych, bo splecionych obręczy, wytwarzanych z parzonego, a następnie wypiekanego ciasta, dotarły dopiero w unijnych czasach i cały ten proceder zatracił dawny koloryt.

Gdy wieczorną porą ktoś chciał kupić wódkę miał z tym spore trudności. Wprowadzie Delikatesy u Hawełki w Ryнку Głównym 34 były czynne do godziny 21., ale komu podchmielonemu chciało się pokonywać tak duże odległości. Tacy „na smaku” woleli korzystać z usług „melin”, które najczęściej prowadziły tzw. „babcie”, osoby związane z pijackim środowiskiem. Meliny były wrzodami wyhodowanymi na łonie socjalistycznej Polski czy raczej swoistymi „dziećmi” PRL. W naszej okolicy funkcjonowała jedna z najstłynniejszych melin alkoholowych, „całodobowa przystań” u „K.”, na rogu alei Mickiewicza i Kochanowskiego 25.

Z Tadkiem, synem „starej” K., szefowej tego biznesu, przez jakiś czas chodziłem nawet do klasy. „Stary” K., wiecznie podchmielony i czerwony na gębie facet, całkiem nawet sympatyczny i jego mocno zezowata i sepleniąca żona mieli pięcioro dzieci: dwie najstarsze córki, bardzo podobne do matki, które „wszechstronnie” pomagały matce w prowadzeniu interesu i trójkę synów. Mówiło się, że melina ta dlatego funkcjonowała przez całe lata i to bez żadnych wpadek oraz uszczerbków, bo z jej usług korzystali funkcjonariusze z pobliskiego posterunku Milicji z naroża ulic: Batorego 25 i Karmelickiej 37, a że świadczyła ona „kompleksowe” i całodobowe usługi była niejako pod ich „ochroną”.

Może przy okazji dwa słowa na temat powszechnej dziś pośród młodego pokolenia opinii, opartej na wizji IPN, „nigdy niemyślnej wyroczni III i IV RP”, że w czasach PRL wszędzie czaili się „kapusie” i widać tylko było ich głowy wychylające się zza węglów. Ja osobiście, na podstawie własnych obserwacji i doświadczeń życiowych, mogę stwierdzić, że jest w tym gruba przesada. Sam, nigdy nie będąc przesadnie grzecznym dzieckiem, w okresie PRL miałem tylko jeden kontakt z posterunkiem MO na Batorego, gdy po meczu Wisły z Celtic Glasgow w 1976 roku, który „Wisła” w ramach pucharu UEFA wygrała 2:0 (to były czasy!!!), zbyt głośno, pospołu z łysym, świętowaliśmy ten sukces na przystanku autobusowym, będąc na „dobrej lufie”. I podobnie było w przypadkach moim kolegów i znajomych. Kontakty te były incydentalne i jeśli już się przytrafiały, bo nikt z nas nie był święty, zwykle kończyło się na drobnym okazaniu skruchy, bez poważniejszych konsekwencji. Natomiast Milicja konsekwentnie tępiła i dawała (dosłownie) w kość stadionowym chuliganom i to przynosiło pozytywne skutki. To co dzisiaj się dzieje na stadionach to po prostu horror; można rzec, że kiedyś to był Wersal. Bynajmniej nie chcę tu usprawiedliwiać metod działania ówczesnej Milicji czy SB, dla wielu ludzi bardzo restrykcyjnych i dolegliwych, a przy tym wybitnie niesprawiedliwych i hańbiących, o czym wszyscy dobrze wiedzieliśmy, ale dla przeciętnych zjadaczy chleba, a więc zdecydowanej większości, były to instytucje praktycznie niedolegliwe, choć powszechnie znienawidzone. Milicjanci i funkcjonariusze SB żyli w tym czasie jakby na uboczu reszty społeczeństwa i byli przez jego znaczne odłamy po prostu izolowani, a przy każdej okazji wyśmiewani, może też dlatego, że zewsząd zaznawali niczym nieusprawiedliwionych przywilejów i ułatwień; te grupy społeczne żyły praktycznie we własnych enklawach. Opowiadanie dowcipów o głupocie MO, ale też i WP, kolejnej uprzywilejowanej instytucji („kaście”), należało do standardów wszystkich imprez towarzyskich.

Może przypomnę jeden taki dowcip. Milicjant zimową porą odbiera na posterunku przez telefon meldunek, po czym zamiata lokal i wybiega goły na zaśnieżone pole. Jaki odebrał telefon: zamieć i gołoledź na E-22.

Dlatego z lekkim zażenowaniem wysłuchuję dziś informacji publikatorów o masowym inwigilowaniu ówczesnego społeczeństwa, mając na wizji dzisiejsze czasy i mnożące się, niczym grzyby po deszczu, służby specjalne, które „z braku laku” rywalizują nawet ze sobą. To jest dopiero masowa inwigilacja, a jaki mamy teraz poziom techniki operacyjnej!!! Pewnie znów się narażę na krytykę młodych, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej o tych czasach i ludzi będących u władzy, dla których lepiej jest widzieć tylko jedną stronę medalu. Ktoś jednak musi to powiedzieć, a słowa te są choćby dlatego wiarygodne, że płyną z ust człowieka, który nigdy nie był wielbicielem tego systemu i dostrzega jego ewidentne anomalie; nie wszyscy mogą jednak płynąć z prądem, choć jest to wygodna i powszechna dziś postawa. Historia z natury powinna być nauką obiektywną, a nie naginaną do potrzeb aktualnie panujących, wszak medal zawsze ma swoje dwie strony i o tym zawsze musimy pamiętać.

Młodych i starych K. świetnie znał Marek Pstrós – „Łysy”, mój przyjaciel z TE, który w latach 70-tych wielokrotnie i niezawodnie zaopatrywał „biesiadujące” towarzystwo w alkohol, gdy sklepy były już dawno pozamykane na przysłowiowe cztery spusty. Nie chcę podawać tego nazwiska, które kiedyś było świetnie znane w całej okolicy, wszak dobrze znałem młodych K., a o ich domu, skądinąd na swój sposób barwnym i sympatycznym, wspominam tylko dlatego, że była to „instytucja” powszechnie tutaj znana, by nie powiedzieć „szanowana”, bo dla lokalnych nocnych biesiadników bardzo „potrzebna”. Życie nigdy nie tolerowało sztucznie tworzonych próżni i pustek.

Było też parę popularnych kawiarni, jak: tradycyjny „Noworol” (dawna kawiarnia Noworolskiego) w Sukiennicach, usytuowana od strony „Adasia”, „Antyczna”, też przy Rynku Głównym 37, w lokalu po słynnej kiedyś cukierni „Redolfiego” i „Mauricia”, słynna „Jama Michalika” z ulicy Floriańskiej 45, dawna legenda krakowskiej bohemy z nocnymi kabaretami czy pobliska „Florianka” pod nr 24, „Stare Mury” z Pijarskiej 27, „Zakopianka” na Plantach (w pobliżu kościoła św. Krzyża) czy sezonowa („Planty”) w okrągłaku obok wodotrysku, „Telimena” na Mikołajskiej 5, „Kolorowa” na Gołębiej 2, „Rio” przy ul. św. Jana 4 – obok „Feniksa”, a obok pod nr 2 „Śnieżka”, „Ratuszowa”, w piwnicach Ratusza, prowadzona przez Brunona Rajcę, znanego dziennikarza działającego „po linii i na bazie”, ale słynąca z dobrych kabaretów, „Wierzynek” w Rynku Głównym 15 przy znanej restauracji, „Literacka” z Pijarskiej 7 i „U Literatów” w Domu Literatów przy Krupniczej 22, „Malwa” na placu Dominikańskim 1, „Senacka”, przy ulicy o tej samej nazwie (pod nr 9?), „Pod Pawiem” na Grodzkiej 43, „Monopol” przy Waryńskiego 6, „Barburka” na Szymanowskiego 15, „Piast” na Dzierżyńskiego 34 (dziś Lea), na skraju targowiska i „Olimpijka” na Dietla 80. Kultowymi wręcz lokalami były: „Fafik” z ulicy Siennej 11/13, „Lamus” z Karmelickiej 54 oraz „Kopciuszek” („Kopciuch”) na Karmelickiej 13, naprzeciw sklepu rybnego.



Fot. nr 159. W na parterze tej piętrowej kamieniczki przy ulicy Karmelickiej 13, gdzie dzisiaj sprzedaje się telefony, mieściła się bardzo popularna wśród młodzieży kawiarnia Kopciuszek. Fragment zabudowy o nr: 13-17 dobrze oddaje klimat tej ulicy z końca XIX wieku. W latach 70-tych po lewej stronie od wejścia powstał ceniony cocktail-bar, znany ze znakomitych wyrobów cukierniczych.



Fot. nr 160. Wspomnienie lokalu po kawiarni Kopciuszek z ulicy Karmelickiej 13. (12.01.2011)



Fot. nr 161. W dniu 12.01.2011 w przyziemiu kamienicy przy ulicy Karmelickiej 54 działał jeszcze Lamus, kultowa wręcz kiedyś kawiarnia.

To właśnie w Kopciuszku, na kawie po turecku, pod sam koniec lat 60-tych zaczynałem swoje „dorosłe życie” już jako uczeń Technikum Energetycznego, oczywiście z usuniętą z rękawa, obowiązkową w szkole tarczą. Na początku lat 70-tych, zwykle po mszy przesiedzianej i przegadanej w kruzgankach kościoła Kapucynów, razem z „Łysym”, serdecznym kolegą z klasy, chodziliśmy do kawiarni „Dama Pik”, która znajdowała się na rogu ulic: Garncarskiej 9 i Cybulskiego, a potem po wypiciu piwka, czasem niejednego, na lekkim humorze szliśmy na mecz trzecioligowej wówczas Cracovii, która pod kierunkiem Romana Durnioka grała wtedy w iście kabaretowym stylu. Zwłaszcza gra Joczysa, prawego obrońcy, wywoływała salwy śmiechu na trybunach, a i reszta jego kolegów też dawała powody do chwytania się za brzuch. W Jamie Michalika za taki kabaret trzeba by było zapłacić z dziesięć razy tyle, a i śmiechu byłoby tam mniej.

W latach 70-tych jedyną popularną winiarnią Krakowa, szczególnie wśród braci studenckiej, była „Baryłeczka”, zwana „Baryłką”, mieszcząca się w piwnicach pałacu Tarnowskich przy Sławkowskiej 15. Na parterze tej kamienicy znajdował się wspaniale zaopatrzony sklep z niedrogimi winami, gdzie ich wybór był doprawdy przebogaty. Picie wina nie leżało w tradycji socjalistycznego społeczeństwa, bo na wzór „przyjaciół” ze wschodu wolało ono mocniejsze trunki, które szybciej mogły ogłupić i sponiewierać. Dobrego wina i miodu pitnego, w tym modnego wtedy grzańca, można się było też napić w miodosytnej Pasieka przy Małym Rynku 2.

W czasach mojej młodości „grzańcem” nazywano głównie „eliksiry” wytwarzane z „jabola” czy „jabcoka”, najtańszego i najpaskudniejszego jabłkowego wina, ale o jakże kuszących nazwach: „Kwiat Jabłoni”, „Złote Wino” czy „Wino”. Grzańce piła zwłaszcza brać studencka, zwłaszcza ta jej część, która była na tyle cierpliwa by poczekać, aż wino się zagrzeje w jakimś garze i przegryzie z goździkami, bo te zabijały brzydki odór. „Jabole” żartobliwie nazywano też „winem marki wino”. Pospolite pijaki nie miały jednak czasu na sporządzenie aż tak „szlachetnego” trunku i zawsze, będąc w pilnej potrzebie, piły ten tani „przysmak” prosto z butelki. Taki najtańszy „jabol” kosztował kiedyś 13 złotych. Do „jaboli”, z racji ich późniejszej już ceny (23 zł) oraz pseudonimu Hansa Klossa, bohatera niezwykle popularnego do dziś telewizyjnego serialu: „Stawka większa niż życie”, przyłgnęła ksywa: „J-23”. Zwyczaj picia grzańców, najczęściej preparowanych na bazie owych „J-23”, (fabrycznie: „Złote Wino” bądź „Kwiat Jabłoni”) przetrwał wśród braci studenckiej, zwykle nie za bogatej, do czasów, gdy i ja studiowałem na AGH, ale mnie ten trunek jakoś nigdy nie podchodził, choć piło się go dużo, zwłaszcza na różnego rodzaju obozach, rajdach, knajpach piwnych czy Juwenaliach. W moich kręgach, zwłaszcza podczas nocnych sesji brydżowych, popijało się gorzałkę, a opary papierosianego dymu były wtedy tak gęste i „aromatyczne”, że ja sam, choć nie paliłem, musiałem potem wietrzyć ubranie przez dobre kilka dni, bo tak ode mnie cuchnęło.

W ogóle AGH, a zwłaszcza Wydział Górniczy, na który chcąc nie chcąc się dostałem, wszak startowałem na elitarny Wydział Elektryczny, był przystanią dla robotniczej i chłopskiej młodzieży z reguły pochodzącej z małych miasteczek, „wsi zabitych dechami”, a także z górniczego Śląska, a nadużywanie alkoholu w trakcie uczestnictwa w różnego rodzaju „imprezach” i libacjach, jakże częstych, było powszechnie przyjętym obyczajem. Z okazji Barbórki, znanego święta górniczego, na Wydziale Górniczym próbowano kultywować pradawne tradycje i obyczaje górnicze. Taka sztuczna integracja klasowa społeczeństwa była „po linii i na bazie” ówczesnych władz partyjnych. Trzeba jednak przyznać, że zawierane w takich warunkach, też przy niejednym kielichu, znajomości były najtrwalsze z możliwych i nieraz dobrze się przysłużyły w przyszłej karierze zawodowej. Swój chłop nie miał prawa wzgardzić kielichem czy odmówić wypicia brudersaftu, zwanego „brudziem. W moich dorosłych już czasach, czyli w latach 70-tych, uczestnictwo w tych biesiadach sprowadzało się do totalnego opilstwa wszystkich ich uczestników: od studentów, po przedstawicieli kopalń, do szanownej kadry dydaktycznej z panami profesorami włącznie, śpiewania sprośnych, regionalnych pieśni i przyśpiewek oraz opowiadania brzydkich, „wieprzowych” kawałów z jedynym motywem przewodnim, jakim była „dupa”. Tak to przygotowywano narybek do pracy w górnictwie, zwany na terenie kopalń „kudłatą inteligencją”, choćby z uwagi na długość noszonych wtedy przez studentów włosów i z tradycji tej nikt nie miał prawa się wyłamywać. Obowiązywała zasada, jak w popularnej libacyjnej przyśpiewce: „Pij, pij, pij bracie pij, na starość torba i kij.....”. Kto mógł się oprzeć pokusie opilstwa, skoro przykład szedł prosto z góry?

Nie znam praktycznie ludzi, którzy by ukończyli ten wydział jako całkowici abstynenci i pewnie dlatego wielu z moich dawnych kolegów tak dobrze zaadaptowało się w górnictwie węglowym, gdzie szybko sięgali po znaczące stanowiska, jednak część nie ukończyła studiów, bo po prostu stoczyła się na dno. W tym czasie niebogaty student korzystał z doprawdy wielu ułatwień, jak: stypendia, dopłaty do stołówek, tanie akademiki i możliwość darmowego „waletowania”, urlopy dziekańskie i zdrowotne bądź szanse do niezłego dorabiania w „Żaczku”, więc studiowanie li tylko dla przedłużania młodości i rozrywki było nierzadkim zjawiskiem.

Na początku lat 70-tych, jak już wspomniałem powyżej, zapanowała moda na jedzenie pizzy i w tym czasie powstało kilka pizzerii, całkiem schludnych jadłodajni: na ulicy Szewskiej 14 w lokalu po barze Smakosz, na Małym Rynku 3 obok Pasieki i na początku ulicy 1-Maja (nr 2) – dziś Dunajewskiego obok księgarni, gdzie wchodziło się po kilku schodkach. Jednak powszechna moda na jedzenie pizzy, a także orientalnych „pyszności”, musiała zaczekać na XXI wiek i czasy „drapieżnego kapitalizmu”.

Gastronomiczne mody z czasów PRL po początek III RP dobrze można prześledzić na przykładzie okraglaka Kajtek z naroża Plant i ulicy Szewskiej, który w swej historii przeszedł szlak kulinarny od smaźalni placków ziemniaczanych, potem ryb i kurczaków, przez sprzedaż popularnych w latach 80-tych frytek, hot-dogów i gofrów.



Fot. nr 162. Kamienica z ulicy Krupniczej 14. Na lewo od bramy wejściowej w czasach PRL znajdował się sklepik z krawatami, a na prawo od niej, na wysokim parterze, odbywały się kursy kandydatów na prawo jazdy. Pół wieku temu pod kamienicą zwykle parkowały „Warszawki” z tablicą: „Nauka Jazdy”, które czekały amatorów czterech kółek.

Warto by jeszcze wspomnieć o szkole nauki jazdy, która mieściła się na parterze budynku przy ulicy Krupniczej 14. Wtedy nie było jeszcze wielkiego ruchu w tym interesie bo i samochodów nie było za wiele. Warszawki i Moskwicze z napisem: „Nauka jazdy” nieraz parkowały przed tym domem, skąd rozpoczynały się lekcje z kursantami, często mocno wystraszonymi. Zajęcia teoretyczne odbywały się w dużej sali od frontu, dobrze widocznej z ulicy. Pamiętam, że jednym z instruktorów był Tolek Sobierajski, wtedy może niespełna 30-to letni mężczyzna, który przez jakiś czas był adoratorem Grażyny Bruzdowej, najmłodszej siostry „Grubego”, a ja czasem widywałem go w ich domu. Na kursach nie było tłoku, bo kogoż wówczas stać było na samochód.

Pod nr 11, w dawnym pałacu Mieroszewskich, w czasach PRL mieścił się Okręgowy Urząd Miar i Wag, który tam trwa do dziś. Nazwa ta przykuwała moją uwagę ze względu na totalne niezrozumienie jej treści. Na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad wejściem, mieszkał Jurek Noworyta – Nora, mój kolega początkowo z równoległej klasy B SP nr 6, potem repetent i kompan z placu „Hanki Dyrdy”, usportowiony chłopak i dobry kopacz „gumianki”. Był bliskim kolegą Romka Zająca, kolejnego lokalnego aparata, zamieszkałego na parterze kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 19, gdzie swą siedzibę miało PCK.

Obok tego ceglanego pałacu, w parterze kamienicy przy Krupniczej 11a mieściła się Przychodnia Sportowa. Każdy z młokosów, który chciał grać w klubie sportowym musiał mieć aktualne badania lekarskie, poświadczone wydanym tu zaświadczeniem. A nie było o nie łatwo, gdyż urzędujący tu specjaliści konsekwentnie oglądali uzębienie przyszłych wyczynowców i niejeden z nich odchodził stąd z kwitkiem, dopóki nie zrobił porządku w swojej jamie ustnej i choćby z tej prostej przyczyny miejsce to nie cieszyło się szczególną sławą wśród uzdolnionej ruchowo młodzieży, choć w tym czasie nie było trudno o dostęp do szkolnego dentysty i tylko nie zawsze starczało chęci. W tym czasie poza podstawówką praktycznie nie zmuszano już uczniów do wizyt u dentysty i ci często obchodzili ten gabinet z daleka, a nie może specjalnie dziwić mając na względzie ówczesne jego wyposażenie, ze słynnymi wiertarkami wolnoobrotowymi. Człek zawsze przychodził tu ze sporą obawą, gdyż na ogół nigdy nie miał zdrowych wszystkich zębów, a chciał grać w klubie za wszelką cenę. Zaświadczenie to było mi potrzebne, by bez problemów trenować piłkę ręczną w młodzikach Wawelu, a potem piłkę nożną w juniorach Cracovii. I ten problem był po części powodem zaniechania przeze mnie wyczynowego uprawiania sportu, czego potem bardzo żałowałem. Jak na ironię losu na ostatnim piętrze tej kamienicy znajdowała się Spółdzielnia Dentystyczna, gdzie znaną postacią była dr Maria Krawczyk, matka Andrzeja Skaby, młodszego kolegi z „szóstki”. Jakie było jej wyposażenie, choć wiertarki były już szybkoobrotowe, niech poświadczy mój przypadek z połowy lat 70-tych, kiedy podczas borowania mi zęba pani doktor zgubiła w mojej jamie ustnej jakąś śrubkę od wiertła i za nic nie mogła się jej doszukać. A ile trzeba było się tu wystać w kolejce, czasem nawet do pięciu godzin, bo bez kolejności, bocznymi drzwiami, byli wpuszczani znajomi.

Charakterystycznymi punktami Piasku były dwie biblioteki publiczne: z naroża ulic Czarnowiejskiej 3 i Michałowskiego oraz z ulicy Krupniczej 9, które zniknęły z końcem XX-go wieku.

I na koniec kilka słów o usługach pogrzebowych, z którą to niezbyt przyjemną powinnością miałem kontakt już we wczesnym dzieciństwie. W związku ze śmiercią ojca mama korzystała z usług firmy pogrzebowej Concordia z placu Szczepańskiego 2, której przedwojennym właścicielem był Jan Wolny, co Mama wielokrotnie powtarzała, bo dobrze pamiętała ten zakład jeszcze z tych czasów. Był to firma jeszcze o tradycjach galicyjskich, która funkcjonował na dobre jeszcze do lat 60-tych. Jan Wolny, który zmarł przed II wojną światową, w roku 1936, był też właścicielem wytwórni trumien, w które zaopatrywał swoją firmę, a mieściła się ona na ulicy Czarnowiejskiej 38, na tyłach budynków Akademii Górniczo-Hutniczej. Po jego śmierci zakład i wytwórnię prowadziła jego żona - Natalia z domu Bajer, zmarła w 1966 roku. Trzeba jeszcze dodać, że jego byłych gruntach jeszcze w czasach galicyjskich szumiały łąny rolniczo-ogrodniczej Czarnej Wsi, wówczas jeszcze gminy podmiejskiej, a od początku lat 20. XX wieku zaczęły tu powstawać gmachy tej znamienitej krakowskiej uczelni.



Fot. nr 163. Kamienica (willa) Jana Wolnego z ulicy Czarnowiejskiej 38 - stan z 15.02.2010, a więc sprzed jej remontu. Willa powstała w latach 1900-1910. W latach 50-tych na jej wysokości kończył się przy ulicy Czarnowiejskiej asfalt.



Fot. nr 164. Willa Tęcza z ulicy Czarnowiejskiej 72. Dziś to już wspomnienie. (18.02.11)

Pod koniec lat 50-tych ulica Czarnowiejska posiadała asfalt tylko do owej wytwórni i starej kapliczki z naprzeciwka, zlokalizowanej w narożu z ulicą Konarskiego; dalej była to już wyboista wiejska droga, która kończyła się na wysokości ulicy Miechowskiej, a więc dawnego przysiółka o nazwie Kawior. Dalej, na sporym odcinku do ulicy Piastowskiej, nie było jeszcze drogi, bo szumiały tu łąny rolniczej Czarnej Wsi, a przedłużeniem ulicy Czarnowiejskiej była peryferyjna ulica Misjonarska, która skosem wiodła do kościoła Misjonarzy przy ulicy Dzierżyńskiego (dziś Lea). Obecne przedłużenie ulicy Czarnowiejskiej powstało dopiero przed połową lat 60-tych, kiedy ruszyła budowa miasteczka studenckiego i wtedy została ona wyasfaltowana na całym odcinku po ulicę Piastowską. Pierwsze domy akademickie, „dziesięciopiętrowe”: Babilon i Olimp, gdzie zamieszkiwały głównie studentki, powstały właśnie w tym czasie, w roku 1965. Miałem przyjemność nieraz tam bywać w czasie moich studiów. Przy ulicy Czarnowiejskiej w oczy rzucała się willa Tęcza pod nr 72, od dawna w pozostająca w stanie ruiny, ostatecznie zburzona w 2014 roku. Starym Krakusom z pewnością brak tego budynku.

Warto jeszcze dodać, że w powojennym Krakowie i jeszcze długo w czasach PRL wiele mieszkań nie posiadało nawet kranów z wodą i ubikacji, nie mówiąc już o łazienkach i aby się dobrze wykapać warto było skorzystać z usług łaźni miejskiej, np. dawnej łaźni Rzymskiej, która mieściła się przy ulicy św. Sebastiana 9-11. Niestety podobną łaźnią, Ludową, usytuowaną przy ulicy Karmelickiej 49, w marcu 1945 roku zburzyła zabłąkana bomba lotnicza.

VI. Pobliski handel

Opowiadając o Krakowie z początku lat 60-tych trudno byłoby nie wspomnieć o okolicznych sklepach. Wtedy wszyscy obywatele płacili jeszcze haracz na odbudowę Warszawy oraz zrujnowanego kraju i do ceny każdego produktu doliczany był dodatek z przeznaczeniem na ten cel. Na metce towaru podawana była cena, w tym kwota owego „dobrowolnego” podatku, kilkanaście groszy, który w skrócie zwał się SFOS (społeczny fundusz odbudowy stolicy) lub SFOK (społeczny fundusz odbudowy kraju).



Fot. nr 165. Plac Hanki Sawickiej przed rokiem 1960 – w tle kiosk spożywczy.
Zdjęcie ze zbiorów Adama Wyróbka.

Najpierw wspomnę o sklepach spożywczych. Na początku ulicy Czystej, przy samym Placu Hanki Sawickiej, jak patetycznie i w obowiązującej wówczas „modzie” ochrzczono po wojnie ten oczyszczony z gruzowiska mały placzyk do zabaw, który mieścił się między ulicami: Czystą, Dolnych Młynów i Krupniczą (dziś nazwisko jego byłej patronki młodym „naukowcom” z IPN zapewne staje w gardle niczym przysłowiowa ość, ale dla nas, dawnych jego bywalców, nadal pozostaje ona obowiązująca, bo kto tam z nas myślał wtedy o polityce), gdzie dziś dobudowano fragment szpitala, stał drewniany kiosk jakich było wiele w Krakowie, gdzie moi rodzice robili najwięcej zakupów; funkcjonował on w tym miejscu gdzieś do początku lat 60-tych.

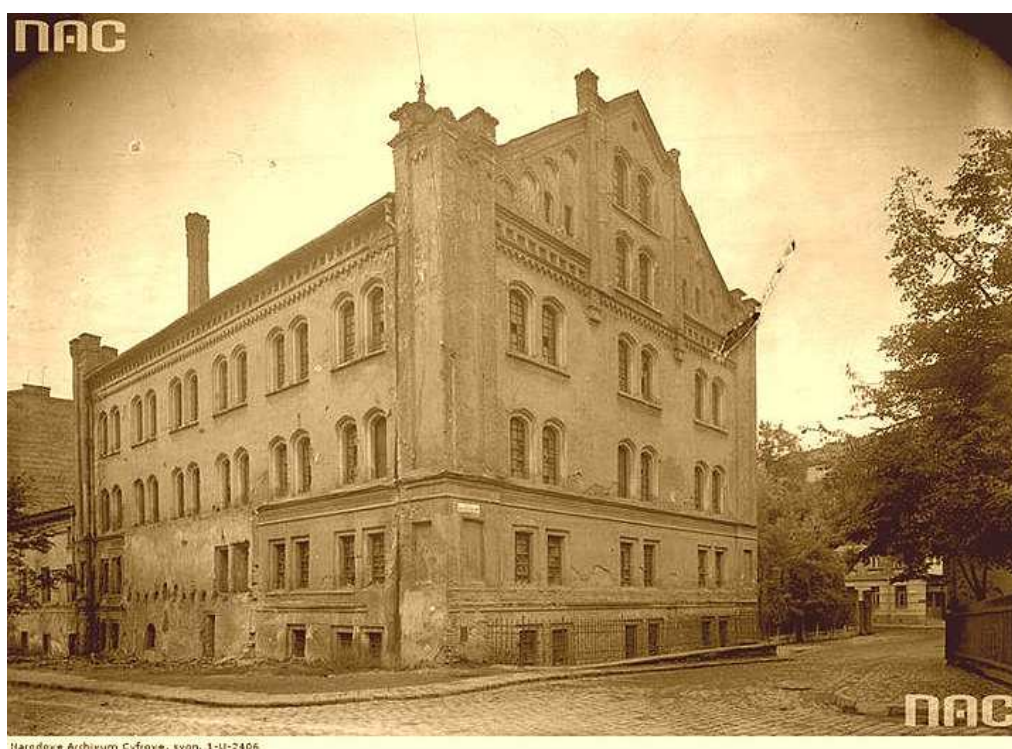


Fot. nr 166 (166-167). Widoki na fragment dawnego placu Hanki Sawickiej, tu jeszcze z istniejącą topolą. Nazwa patrona placu tak mocno zapisała się w mojej pamięci, że podobnie jak wielu moich kolegów używamy jej do dzisiaj, nie zważając na jej budzącą kontrowersję wymowę. (16.10.2008)



Fot. nr 167. Dzisiejszy plac ks. Mieczysława Kuznowicza w ujęciu z wylotu ulicy Czystej. Druga jego część została zabudowana przez nowe skrzydło szpitala im. Józefa Dietla. Jeszcze niedługo przed II wojną światową w jego lewej części stał sześciokondygnacyjny Dolny Młyn. (16.10.2008)

Raz jeszcze przypomnę, że wcześniej, w roku 1939, został tu wyburzony 6-ciokondygnacyjny budynek tzw. dolnego młyna, zbudowanego z cegły, który dobrze pamiętała moja mama. Akcja rozbiórki, rozpoczęta niedługo przed rozpoczęciem wojny, została ukończona już w czasie okupacji. Stał on przy krawędzi placu wzdłuż ulicy Krupniczej i z jego boku widoczne jeszcze był koło wodne, wspomnienie po dawnej Młynówce Królewskiej. W czasie okupacji przy murze dawnej Izby Skarbowej miał powstać podziemny schron przeciwlotniczy czy raczej jakiś inny, naziemny budynek murowany. O schronie opowiadała starsza mieszkanka ulicy Czystej, zaś o budynku o innym przeznaczeniu, o stosunkowo lekkiej konstrukcji, wspominał Adam Wyrobek, mój starszy kolega, który pamiętał jego gruzowisko. Jeszcze na zdjęciu z roku 1959, dostępnym w archiwum NAC, widać pod murem na skraju placu sterty cegieł pochodzących z rozbiórki.



Fot. nr 168. Dolny Młyn w roku 1938 w ujęciu od strony ulicy Krupniczej. (NAC)

Można tu było kupić w zasadzie wszystko: od cukru, mąki, kasz, słodyczy i pieczywa, po piwo: jasne i ciemne, które było sprzedawane w „krachlach”, butelkach zamykanych zatrzaskiem z gumową uszczelką. Piwko nalane do kufła prosto z beczki, przy pomocy ręcznego lewarka, można też było wypić na miejscu przy zewnętrznej ladzie kiosku. Jak świeże były jeszcze wtedy wspomnienia wojennych i powojennych niedostatków niech zaświadczy fakt, że moi rodzice, zaraz po wypłacie ojca często robili tu „grube” zakupy, zawsze na zapas. Pamiętam, że kupowali po 10 kg cukru i pięć kilo mąki. W kiosku nie brakowało też słodyczy: różnego rodzaju mlecznych tofi, zwanych jeszcze wtedy „kanoldami”, kolorowych landrynek czy czerwonych lizaków na patyku, tych ostatnich w kształcie koła bądź podłużnego, wielobarwnego paluszka.

Ale najważniejszy dla nas był zawsze sklep spożywczy Edwarda Mola (prawidłowo Móla, choć dla okolicznych mieszkańców był on zawsze Molem) mieszczący się przy ulicy Dolnych Młynów 3, u wylotu ulicy Czystej. Był to nasz sklep „parafialny”, z którego usług nasza mama korzystała najczęściej. Jego właściciel, stary przedwojenny kupiec, może nawet o żydowskich korzeniach, niemal legenda XX-wiecznego Krakowa, a może tylko Piasku, urodzony jeszcze dobrze w czasach galicyjskich, obsługiwał ten sklep razem ze swoją żoną Ireną, niezwykle miłą i sympatyczną kobietą. Cóż to była za zgrana para. Czasem pomagała im córka bardzo podobna do matki. Jego sklepik, ze starym szyldem nad drzwiami: „Sklep spożywczy, Edward Mol” (wcześniej był miał napis: „Cukry, owoce, nabiał”), funkcjonujący nieprzerwanie od roku 1927, był niewielki, ale urządzone jeszcze wg starych, pewnie galicyjskich kanonów. W lecie przed sklepem pod rozciągniętą, płócienną osłoną, jak na dawnych fotografiach Ignacego Kriegera, rozłożone były w skrzynkach różne owoce i warzywa: truskawki, czereśnie, jabłka, gruszki, śliwy, ziemniaki, ogórki czy pomidory, zaś w witrynie sklepowej królowały: pieczywo, nabiał i artykuły kolonialne.

Tak na marginesie: w Krakowie zawsze kupowało się jarzyny, a w "stołocy" włoszczyznę. Bolesnie się o tym fakcie przekonał się nieżyjący już Grzesiek Miecugow, gdy przeniósł się tam na stałe. Gdy w stołecznym "warzywniaku" (w Krakowie obowiązkowo w sklepie jarzynowym, czyli "jarzyniaku") chciał kupić jarzyny, sprzedawca kazał mu się przenieść do Krakowa. Sklepik Mola pełnił więc też funkcje typowego „jarzyniaka”.



Fot. nr 169. Witryna sklepiku Edwarda Mola gdzieś w latach 70-tych. Brezentowy daszek chronił wystawione tam towary przed nadmiernym nasłonecznieniem. Była to powszechnie stosowaną praktyką jeszcze w przedwojennym Krakowie, nietrudna do dostrzeżenia również na archiwalnych zdjęciach z I połowy XX wieku.

Ten sklepik ogólnospożywczy trwał w tym miejscu prawie 70 lat: od roku 1923, po początek lat 90-tych, gdy Pan Edward przekroczył dziewięćdziesiątkę. (MHF)



Fot. nr 170. W roku 2008 w miejscu sklepiku Mola mieścił się już Salonik. A po prawej widać zakładzik szewski Chytręgo, funkcjonujący nieprzerwanie do końca roku 2010. (16.10.2008)



Fot. nr 171. W roku 2016 w lokalu po sklepiku Edwarda Mola zjawiła się już Księgarnia Książkowa.

Pocziwy „Pan Mol” zachęcał do zakupów w swoim sklepiku jak tylko mógł i w witrynie sklepowej, jak i na skrzynkach z owocami, przy tabliczce z ceną towarów zwykle wypisanej na kawałku tektury, zawsze dopisywał specyficzne przymiotniki, jak np.: chrupiący chleb, świeże, wiejskie jaja, wśmienity ser, wspaniałe gruszki, pyszne śliwki, soczyste jabłka, itp. Wewnątrz jego sklepu stała długa, staroświecka lada w kształcie litery L, z zaszkloną na jej końcu gablota, w której porozkładane były słodycze. Wszystkie jego ściany, aż po sam sufit, były obudowane półkami. Za ladą rześko poruszali się właściciele energicznie zapisując rachunki na skrawkach pakunkowego, szarego papieru.

Cóż to za kupiec był ten Edward Mol jakich już dziś nie spotkasz. Miał może nieco ponad 60 lat i dojeżdżał do sklepu z Dębniak autobusem linii: 119 bądź 114; pewnie na tą okoliczność był wiernym kibicem Garbarni. Być może to jego ojcem był Tomasz Mól, ostatni naczelnik gminy Dębniak, który swą kamienicę miał przy ulicy Barskiej 31, a więc niedaleko stadionu Garbarzy, którym kibicowała cała okolica: Ludwinów, Zakrzówek i Dębniak. Sam Pan Edward, co wiem z przekazu jego zięcia, Pana Wojciecha Froncisza, męża jego córki Elżbiety, do roku 1945 mieszkał przy ulicy Konopnickiej 3, a potem, do końca życia (zmarł w roku 1996) przy ulicy Powroźniczej 5. Swoje przerzedzone i lekko posiwiałe włosy zaczesywał do tyłu, a na nosie nosił okrągłe okulary, które często zsuwał na czoło, by popatrzeć w oczy klienta. Choć okulary służyły mu tylko do czytania rzadko ścigał je z nosa, zwykle dopiero po zamknięciu sklepu.

Był za pan brat z dzieciarnią z pobliskiego placu Hanki Sawickiej, która spragniona i wygłodzona gonitwami za piłką wykupywała u niego łatwo dostępne wiktuały: oranżadę w butelkach zamykanych gumką po zł 1 zł 40 groszy, która stała na kontuarze zaraz za drzwiami, słodycze, bułki czy ogórki kiszzone. Niemal zawsze obywało się bez jakichkolwiek zatargów z dzieciarnią, choć była to niełatwa, powojenna młodzież, często zadziorna, czasem frywolna i łobuzerska. Dla niego była to wszak znacząca klientela i dla dobra interesu trzeba było na niejedno przymykać oczy, a czasem nawet przecierpieć niewłaściwe zachowanie. On to doskonale rozumiał, inni „prywaciarze” z okolicy nie do końca. Miał też swoją stałą klientelę wśród pobliskich mieszkańców, którym nie bał się dać towaru na kredyt, gdy „przed pierwszym” niejednemu brakowało już pieniędzy. Traktował ich niemal jak własną rodzinę, a oni odwzajemniali mu się uczciwością i sumiennością. Gdy mojej matce pod koniec miesiąca brakowało czasem pieniędzy, zapisywał rachunek na karteczce czy raczej kawałku papieru, który jej przekazywał, bo nawet nie zaplatał sobie głowy jaka to kwota i kiedy będzie spłacona. To się opłacało, bo ludzie do niego lgnęli.

Jego sklepik był namiastką galicyjskiego sklepu kolonialnego. Znakomite pieczywo z jakiejś prywatnej, niewielkiej piekarni codziennie dowoził starszy dostawca, gdzie za środek transportu służyła mu drewniana buda ciągniona przez konia. Jakież wspaniałe, jasne i chrupiące były tu bułki w cenie po 80 groszy: placki szewskie, ślimaczki, bułki „damskie”, jakby przepołowione w środku i prawdziwy rarytas – plecionki (strucelki) z makiem. Taka plecionka, z ogórkiem kiszonym w drugiej ręce, razem za dwa złote, często wystarczała nam za śniadanie.

Można tu też było zakupić dobre, chrupiące chleby, w tym z paskiem biegnącym przez ich grzbiet, ale te w późniejszych latach przegrywały one konkurencję ze wspaniałym chlebem „mazowieckim” z państwowej piekarni z ulicy Rajskiej 22 czy nieco późniejszym „mlecznym”, przepasanym papierowym paskiem, który pojawił się tu gdzieś na początku lat 70-tych. Ja osobiście nigdy nie przepadałem za chrupiącym chlebem, choć ten miał swoje rzesze zwolenników, a wolałem jasny i niespieczony, posypany makiem.

Sklep Mola, przez lata ubranego w ten sam mocno już wytarty, granatowy chałacik, często trzymającym za uchem ołówek do zapisywania rachunków na skrawku szarego papieru, był oazą dla niezbyt bogatej młodzieży, która mieszkała w rejonie dawnej dzielnicy Piasek. To ta niezamożna klientela regularnie ogołacała jego lady sklepowe ze słodyczy, bułek, ogórków kiszonych i oranżady. Z sześciu archaicznych, ogromnych, podłużnych, szklanych słoików, które stały na samym wierzchu szklanej gabloty, swym widokiem nęciły przeróżne cukierki: baryłkowate grylarzowe (jakby orzechowe), kolorowe, wielkie landryny, czerwone malinki i jasnobrązowe, płaskie ślazowe, eukaliptusowe i miętowe. Były one nabierane małą szufelką, a ich cena w zależności od gatunku wynosiła od 2 zł 40 gr., do 2 zł 80 gr. za 10 „deko”.



Fot. nr 172. Edward Mol w swym chałaciku za ladą sklepową gdzieś w latach siedemdziesiątych. Chleb widać już w innym miejscu niż w latach 60., kiedy zalegał na półkach na lewo od wejścia. Fot. Jerzego Pireckiego (za jego zgodą).



Fot. nr 173. Słynne słoje z cukierkami w sklepie Pana Edwarda, a za nimi metalowe puszki magazynowe. (MHF)

Poniżej, na spodzie przeszklonej lady, kuśliły: kokosy, walcowate smakołyki małe i duże, w cenie odpowiednio: 50 gr. i 1 zł, różnokolorowe galaretki w kształcie półksiężyca w cenie 1 zł 50 gr., „makagigi” - płytki twardego, zestalonego jak kamień maku, po 1 zł i 50 groszy, w zależności od wielkości, czerwone lizaki na patyku, małe i duże, w analogicznej cenie oraz słodkie gwizdki po 50 groszy. W swoim życiu jadałem różne galaretki, których do dziś jestem wielkim smakoszem, ale te od pana Edwarda do dziś uważam za niedościgłe wzorce co do smaku i konsystencji. Zza szkła wyglądały też tandetne gumy do żucia w kształcie płaskich listków, które z wierzchu były polane słodką politurą: białe - miętowe i różnokolorowe - owocowe, które właściciel, tak dla żartu, przemianowywał na „ocowowe”; kosztowały chyba złotówkę bądź 80 groszy za sztukę. Innymi rarytasami dostępnymi w sklepiku Edwarda Mola były: oranżada w proszku, pakowana w niewielkie, niezbyt efektowne, papierowe torebki, której cena wynosiła bodaj 80 gr. za sztukę oraz „misie” (gęsto ubite kurze białko z dodatkiem cukru, które wypełniało andruciki w kształcie misia) bodaj za 1 złoty. Proszku nikt nie rozpuszczał w wodzie, a tylko poślinionym palcem wyjadał z torebki musującą w ustach jej słodką zawartość.

Oprócz beczki z ogórkami kiszonymi, stała tu też na podłodze beczka z kapustą kiszoną. Oczywiście nie brakowało tu zbożowej kawy czy nieciekawej herbaty, różnego rodzaju grochów, w tym pysznego jaśka, a także takich rarytasów jak: suszone grzyby i figi. Grzegorz Miecugow, znany dziennikarz TVN, a mój dawny kolega szkolny z młodszej o dwa poziomy klasy, z którym jakiś czas temu zdołałem jeszcze nawiązać kontakt, wspominał o wspaniałych powidłach śliwkowych. Atrakcyjnym zapachom tego sklepu towarzyszyła cudowna atmosfera ludzkiej życzliwości i zrozumienia.

Po mojej wyprowadzce na „Kozłówek”, co miało miejsce w 1976 roku, nieraz tęsknym okiem spoglądałem na ten sklep, gdyż studiowałem na pobliskiej AGH. Z czasem stawał się on coraz uboższy, zwłaszcza od momentu, gdy zabrakło życiowej podpory właściciela – pani Ireny Molowej, której ciepły głos słyszę do dzisiaj, a czas coraz bardziej przyginał do ziemi tego wiekowego kupca, jakże z innej epoki. Sklepik był czynny już przed szóstą, by dać szansę zakupów robotnikom podążającym do pracy na pierwszą zmianę do pobliskiej fabryki papierosów. Wierzyć się nie chce, ale ten relikwitu Piasku sprzed pół wieku istniał jeszcze do początku lat 90., gdy pocziwy Mol przekroczył 90 lat i wówczas nawet pojawił się TVP Kraków o nim reportaż. Jakże dzisiaj mi brak tego sklepiku przez co obco czuję się w tej okolicy mego szczęśliwego, choć nie zawsze dostatniego dzieciństwa. Miejsce sklepu zajęła potem jakaś trafika, a ostatnio księgarnia, lecz samo pomieszczenie wydaje się być karykaturalnie małe. Ileż inwencji twórczej musiał wnieść kiedyś ten wytrawny kupiec, by upakować tu tyle towaru i zostawić jeszcze sporo miejsca dla klientów.



Fot. nr 174 (174-176). Dawny dziedziniec koszar z ulicy Rajskiej 1-3. Gmach powstał w latach 1858-62 wg projektu Feliksa Księżarskiego. Widok z ulicy Dolnych Młynów.



Fot. nr 175. Ponad dawnym dziedzińcem koszar wojsk OTK w stronę dawnej „Cygar Fabryki”. Jest szansa, że powstanie tu założenie parkowe, choć niewiele brakowało, by wybudowana tu została nowa siedziba IPN. (11.02.2014)



Fot. nr 176. Widok wzdłuż ulicy Rajskiej na obecną siedzibę WBP. Naprzeciw bramy wjazdowej znajduje się sklep spożywczy Łakomskiej prowadzony przez jej wnuka Janusza Biernata i jego żonę Halinę.

Innym sklepem kolonialnym, z którego usług też często korzystała moja mama, był sklep Honoraty Łakomskiej (1900-1988) z ulicy Rajskiej 20, usytuowany na wprost wjazdu do koszar wojskowych OTK, czyli Obrony Terytorialnej Kraju, dziś Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Tak na marginesie te dawne c.k. koszary, które wrosły w krajobraz mego dzieciństwa, zostały zlikwidowane w 1990 roku wraz z rozwiązaniem jednostki. Od początku II dekady XXI wieku strona społeczna, gdzie i ja miałem przyjemność dodać od siebie małą cegiełkę na stronie FB Przystanek Karmelicka, toczyła z władzami miasta zacięty bój o przeznaczenie tego miejskiego gruntu, usytuowanego na dziedzińcu tego gmachu, na cele rekreacyjno-parkowe i ten cel po długim i pełnym niespodziewanych zwrotów akcji maratonie w końcu osiągnęła.



Fot. nr 177. Portret Honoraty Łakomskiej wiszący w jej sklepie.

Jeszcze do niedawna sklepik ten prowadziła Zofia Biernat, znana mi z dzieciństwa córka Łakomskiej, dziś osoba dziewięćdziesięcioletnia, która wcześniej pomagała matce w interesie, a obecnie rodzinne tradycje kultywuje małżeństwo: Halina i Janusz Biernatowie, ten ostatni syn pani Zofii. Jak się okazuje sklepik ten trwa w tym miejscu od 1923 roku (taki napis pojawił się ostatnio w witrynie sklepowej) i prowadzi go już czwarte pokolenie. Mimo nadciągających zewsząd czarnych chmur „handelek” ciągle trwa, a wewnątrz lokalu do dziś niewiele się zmieniło; nadal można tu kupić drzewo w kółkach, choć w Krakowie na z wolna zanika palenie w piecach węglowych, ale cóż mają czynić biedni, starsi mieszkańcy tej części Piasku? Do Łakomskiej chodziło się po drewno w kółeczkach na podpałkę do pieca, owo „dziwio w kółkach”, dobry chleb, kapustę kiszoną czy żurek we flaszkach. Miała też duży wybór świeżych, tanich owoców i pachnących warzyw, eksponowanych na straganiku przed sklepem, jak to ma miejsce i dziś. Wielu klientów do dziś chodzi tu po słynny żurek, sprzedawany we szklanej „flaszce”.



Fot. nr 178 (178-181). Współczesna witryna wielopokoleniowego sklepiku Honoraty Łakomskiej, potem Zofii Biernat, dziś Haliny i Janusza Biernatów. Jest to jeden z kilku zaledwie reliktyw handlowych ze świata Piasku sprzed pół wieku. (18.08.2010)

Gdy z nostalgią spoglądam na witrynę sklepową przed oczyma staje mi postać Honoraty Łakomskiej, mocno już posiwiałej, zawsze miłej i łagodnej, a przy tym uczciwej kobiety, której ciepły głos jeszcze dziś słyszę w moich uszach. Jej zdjęcie wisi na ścianie sklepu i przypomina dobre czasy drobnego handlu sprzed pół wieku, kiedy jej Pani Honorata swoim stałym klientom dawała towar nawet „na krechę”, gdy „przed pierwszym” brakowało już pieniędzy na zakupy, a karteczki z rachunkami przechowywała, zapewne ku lepszemu pamięci, w sklepowym „archiwum”.

Trudno powiedzieć jak długo przetrwa ten handlowy relikw powojennego „prywaciarza”, bo właściciel kamienicy ciągle podnosi czynsz, a panoszące się w okolicy markety skutecznie odbierają klientów. Wiadomo, że przy tak małym obrocie ceny produktów muszą być wyższe i dlatego tak ważna jest solidarność społeczna i kupowanie tu bodaj niewielkich ilości towaru. Boję się jednak, że po odejściu mego pokolenia nikt z młodych nie będzie już czuł do takiego sklepiku żadnych sentymentów, tym bardziej, że „mój Piasek” systematycznie się wyludnia. Przetrwał on trudne powojenne czasy Hilarego Minca i dobrze zasłużył się lokalnej społeczności, a prawdopodobnie „padnie” dopiero w wolnej Polsce, w czasach III RP, w których panoszy się drapieżny kapitalizm. A może ktoś z decydentów wpadnie na pomysł i uzna go za zabytek?



Fot. nr 179. Pani Halina Biernat i jej wierna klientka ze starszego pokolenia.



Fot. nr 180. Wnętrze sklepiku Biernatów z panem Januszem w tle, które niewiele zmieniło się od dawnych lat. Nadal można tu nabyć tradycyjne produkty rolne, w tym słynny w całym Krakowie żurek i wspomniane powyżej "drzewo w kółkach".



Fot. nr 181. Ekologiczny asortyment sklepiku i drzewo w kółkach do podpałki w piecach węglowych, kiedyś towar bardzo poszukiwany i rozwożony przez furmanki.

Kupujmy w tym sklepiku, by uratować go od likwidacji.

W naszej najbliższej okolicy były jeszcze dwa inne sklepy ogólnospożywcze (kolonialne) tzw. „prywaciarzy”: Mazgajewskiej na ulicy Krupniczej 26, na parterze domu Mehofera, gdzie dziś mieści się Muzeum Narodowe oraz Serafina, na rogu ulic Świerczewskiego 29, dziś Studenckiej oraz Garncarskiej. „Stara” Mazgajewska, której imię brzmiało jednak Zofia, a nie „Gienia” (zapewne Genowefa), bo i takie sugestie padały, co zostało ostatnio autorytatywnie potwierdzone, może rówieśnica Mola i Łakomskiej oraz pomagający jej syn „Edek”, wyraźnie przegrywali rywalizację o klientów, szczególnie o skwerkową watahę, ze sklepem pana Edwarda Mola. Ona sama często bywała zgryźliwa, a jej syn może nazbyt porywczy i lubiący porządek, czym nie zyskiwali uznania szczególnie pośród stałych bywalców placu Hanki Sawickiej, choć ich sklep, biorąc pod uwagę asortyment towarów, zasadniczo nie odbiegał od pozostałych „prywaciarzy”. Pani „Gienia” z kolei mogła być siostrą Zofii, która pomagała jej w prowadzeniu interesu, co też zostało zasugerowane. Mazgajewska nie cieszyła się też uznaniem mojej mamy, bo jej zdaniem była nazbyt chytra, potrafiła „przykantować” i wcisnąć nieświeży towar, dlatego też i my wyjątkowo rzadko tu zaglądaliśmy. Opinię tę potwierdziły też inne osoby, więc nie może dziwić, że i Grzesiek Miecugow rzadko tu jako dzieciak zaglądał, choć z kamienicy Literatów miał najbliżej, z reguły wybierając Mola. Jak się okazuje sklepik Zofii Mazgajewskiej funkcjonował na dobre w tej kamienicy, choć bardziej na lewo od wejścia, już w roku 1927, wówczas jako „mleczarnia”, a kilka lat później dodatkowo jako restauracja, co widać na przedwojennych zdjęciach tej kamieniczki z archiwum NAC.



Fot. nr 182. Kamienica Mehoferów, wówczas jeszcze Józefa Szujskiego- rok 1927. (NAC)



Fot. nr 182a. To zapewne Zofia Mazgajewska za drzwiami swego sklepu.



Fot. nr 183. Fotografia z lat 30. zeszłego wieku. Mleczarnia Zofii Mazgajewskiej nadal funkcjonowała w lewym fragmencie parteru kamienicy pod nr 26, wówczas już Mehoferów, ale obok sklepiku działała też jej restauracja. Przy obramieniu drzwi wejściowych do kamienicy pod nr 26 widać szyldy: „akuszerki – J. Przybyłowa i Barbara Wachowa (?)” oraz „malarz S. Karaś”, a ponadto zapewne na podwórku działały: „Pracownia stolarska Teodora Janika” oraz „Wyrób obuwia Franciszka Zawady”. Na lewo pod nr 24 widać parterowy domek Witolda Rzegocińskiego, znanego malarza, który dotrwał do roku 1980; sam artysta zmarł w roku 1969. W prawej części domu Rzegocińskiego funkcjonował „sklep wiejski”. (MHF)



Fot. nr 183a. Inne ujęcie mleczarni i restauracji Z. Mazgajewskiej z lat 30. XX wieku. (NAC)



Fot. nr 184. To w miejscu dwóch okien (po prawej stronie od wejścia) parteru kamienicy znajdował się sklepik Mazgajewskiej - Pani Gieni. Lewe z tych okien było w tym czasie przerobione na drzwi wejściowe. (13.09.2010)

Wg książki adresowej z lat 30. Zofia Mazgajewska mieszkała w pobliżu, przy ulicy Dolnych Młynów 9. Używane przez Mamę we wczesnym dzieciństwie nazwisko: „Mazgalewska”, było zatem zwykłym przekrętem.

Do narożnego sklepu Jana Serafina (róg Świerczewskiego 29 i Garcarskiej) wiodło kilka schodków. Sklep ten słynął przede wszystkim ze świetnej, beczkowej kapusty kiszonej, wyjątkowo wzbogacanej tu kiszonymi jabłkami oraz z sporą ilością kminku i drobno posiekanej marchewki, a poza tym oferował podobny zakres produktów jak jego sąsiedzi z okolicy placu Hanki Sawickiej. Mimo, że lokal ten był obszerniejszy od sklepu Mola odnosiło się wrażenie, może tylko pozorne, bo związane z jego sporą kubaturą, że jest tu skromniejsza oferta handlowa, a samo pomieszczenie jakby świeciło pustkami. Dobry klimat tego sklepu stwarzała żona kupca, której imienia nie pamiętam, uprzejma i rozmowna, bo pan Serafin był raczej człowiekiem małomównym i generalnie nie wzbudzał podobnej sympatii. I tutaj młodzież skwerkowa zaglądała rzadziej, choć ze skwerku nie było dalej niż dwieście metrów. Mol i tu zdecydowanie wygrywał konkurencję, bo pan Serafin potrafił młodzież ostro postrofować, więc sklep ten przynajmniej pośród tej najmłodszej klienteli też nie miał najwyższego notowania. Tylko Mol był dla nas zawsze „Panem Molem”, wszak traktował nas na równi z dorosłymi, natomiast nigdy nie używaliśmy zwrotów: „Panie Serafin” czy „Panie Mazgajewski”. Nie zmienia to faktu, że i ten sklep miał swoich stałych bywalców zwłaszcza pośród mieszkańców ulicy Świerczewskiego, bo pan Serafin dbał o nich i codziennie dowoził tu świeże warzywa z placu swoją charakterystyczną Warszawą kombi.



Fot. nr 185. Po tych samych dwóch schodkach wchodziło się do sklepu spożywczego Jana Serafina, który zajmował naroże kamienicy z ulicy Świerczewskiego 29. W prowadzeniu interesu dorywczo pomagała mu żona. (13.09.2010)

Stosunkowo blisko, bo na terenie Piasku, choć już poza moim najbliższym „rewirem”, funkcjonowały jeszcze trzy inne, zapamiętane przez mnie sklepiki ogólnospożywcze: Lipskiej na Grabowskiego bodaj 8 (na wylocie ulicy Pawlikowskiego), Piekłowej (Zofii Piekło) w suterenie kamienicy przy ulicy Sobieskiego 8 - w narożu z ulicą Kremerowską, a niemal naprzeciw III LO, który dotrwał do początku XXI wieku, podobnie jak drugi, u „Marii” (Balwierz), które to nazwisko dopiero niedawno ktoś mi przypomniał, usytuowany na końcu ulicy Batorego (pod nr 26), naprzeciw siedziby MO i w sąsiedztwie dawnego zakładu usługowego, gdzie naprawiano radia i telewizory. Trzeci sklepik, Wróbla, znajdował się (chyba do końca lat 60-tych) w niewielkiej suterenie kamienicy przy alei Mickiewicza bodaj 41, a więc blisko ulicy Kochanowskiego, gdzie wchodziło się w dół po kilku schodkach, podobnie jak do „jaskini” Zofii Piekłowej.

Grzegorz Lipiec przypomniał mi niedawno, że pani Piekłowa działała wspólnie z mężem Kazimierzem, posiadającym z przodu złotego zęba, charakterystyczną „ozdobę” dla tych czasów. Warto dodać, że takimi zębami w ustach, często pojedynczymi, pokrytymi drogimi, bo złotymi bądź rzadziej srebrnymi koronami, bardzo wówczas popularnymi, „straszył” spory odsetek nieco zamożniejszego społeczeństwa, szczególnie tego wiejskiego, gdzie złoty często bywał cały przód uzębienia. Często słyszało się wówczas złośliwe docinki: „gdyby nie te złote zęby, to by była dupa z gęby”.

Inny sklep spożywczy, z naroża ulic: Sobieskiego i Siemiradzkiego, gdzieś na początku lat 80-tych na zasadzie agencji prowadził pan Piekiełko (piekielna była to zatem okolica), zaś następny sklepik w tej okolicy, z początku ulicy Batorego, może spod „szóstki”, prowadził Pan Tomek, którego nazwiska Grzegorz, dawny mieszkaniec Łobzowskiej, nie pamięta.

Stosunkowo blisko, ale już na terenie Czarnej Wsi, bo w narożu ulic: Konarskiego i Chopina, funkcjonował jeszcze jeden „handelek” u pani Zapały, co ostatnio dowiedziałem się na stronie „Przystanek Karmelicka”.

Warto by jeszcze wspomnieć o tzw. „spółdzielni”, jeszcze jednym sklepie spożywczym w naszej okolicy, należącym do PSS Społem, który mieścił się przy ulicy Krupniczej 30, naprzeciw skwerku, a przy wylocie ulicy Dolnych Młynów. Tutaj, gdy już nieco podrosłem, mama często wysyłała mnie po „drobnicę”: cukier, mąkę, kaszę, masło, śmietanę, kostki magii („magiego”, jak je nazywała), jajka, lubianą przez nas owocową marmoladę na wagę czy słodycze. Pamiętam, że kostka „czerwonego”, lepszego masła kosztowała 17,5 zł, gorszego, „niebieskiego” - 16,0 zł, kilo cukru chyba 4 zł/kg, tabliczka czekolady, których w handlu były trzy rodzaje: mleczna, deserowa bądź gorzka - 19 zł, mała śmietana w kwaterkowej, szklanej butelce - 6 zł, a kostka magii - kilka groszy. W sprzedaży były też trzy rodzaje jajek: świeże, chłodnicze i „wapienne”, te ostatnie najgorsze i najtańsze, nieraz dobrze śmierdzące i nienadające się do bezpośredniego spożycia. Jakże popularny był w tym czasie sok jabłkowy, kapslowany w szklanej, podłużnej butelce o pojemności 0,33 l, zwany „Płynnym Owocem”, produkowany w Tymbarku, który kosztował bodaj 2,40 zł.



Fot. nr 186. Na parterze kamienicy przy ulicy Krupniczej 30 kiedyś znajdował sklep spożywczy PSS Społem. Tu, gdzie dziś lokal Awitekusu, mieścił się magazyn sklepowy (bez drzwi), a wejście do lokalu handlowego znajdowało się na prawo. (13.09.2010)

W sklepie królowała pani Gienia (raczej nie Renia?), okrągła na twarzy sprzedawczyni, która posiadała niezwykle ciepły i cienki głosik. Poszczególne pozycje rachunku zapisywała ołówkiem na kartce papieru, w długich słupkach, głośno je potem sumując. Cukier był porcjowany na miejscu z dużego 100 kg worka, a jego zawartość była przesypanywana z użyciem szufli do papierowych torebek, które stały na wadze. Wracając na chwilę do cukru trzeba stwierdzić, że w latach 60-tych nigdy go nie brakowało i pierwsze jego niedobory wystąpiły dopiero w połowie lat 70-tych, już za czasów Gierka, kiedy pojawiły się kartki, pierwsze jakie w moim życiu widziałem. Ile ta dzielna i miła ekspedientka musiała się przy ladzie w ciągu dnia nagadać, chyba tylko Pan Bóg wie. W sklepie tym zawsze ustawiały się kolejki i nieraz trzeba tu było odstać z dobre pół godziny. Ludzie stali wzdłuż lady sklepowej, ale kolejka czasem zakręcała się pod ścianę, a potem aż pod drzwi. Kierowniczką sklepu była pani Krysia, która najczęściej urzędowała „na zapleczu”, w sąsiednim pomieszczeniu. Była to kobieta niezbyt urokliwa, może około czterdziestki, o grubym z kolei głosie, nosząca na stałe silne okulary. W godzinach szczytu pomagała pani Gieni, by nieco rozładować kolejki. Była sympatią, a potem „późną” żoną „Edka” Mazgajewskiego, może jej rówieśnika, z którym często ją wtedy widywano.

Inna taka „spółdzielnia” mieściła się na ulicy Wenecja 6, w narożnej kamienicy z ulicą Humberta. Ponieważ mama przechodziła tędy niemal we wszystkie dni robocze, wszak sprzątała w Krakowskim Klubie Szermierzy, tzw. „KKS-ie”, który mieścił się w piwnicach Sokoła, dobrze poznała kierowniczkę tego sklepu. Z sympatii dla ciężkiego losu mojej mamy zostawiała jej czasem jakieś rarytasy, np. szynkę konserwową na święta, którą wtedy było tak ciężko zdobyć. W sklepie tym można też było kupić wodę sodową, która była sprzedawana w baniastych „syfonach”, chyba dwu i półlitrowych szklanych pojemnikach zaopatrzonych w ręczny zawór. Wewnątrz butli panowało niewielkie nadciśnienie i „woda gazowa” zaczynała się lać po naciśnięciu w dół dźwigni. Oczywiście były to niedoskonałe urządzenia, wszak warunkiem ich działania była szczelność głowicy i stąd zawsze trzeba było sprawdzić czy w środku buzuje „gaz”, bo inaczej woda się nie lała. Jakże smakowała taka „woda gazowa”, w końcu zwykła kranówka, zwłaszcza w letnie upały, kiedy ciężko było kupić taki „syfon”. Baniak był praktyczny, wszak zawierał naprawdę dużo wody, a i bąble wewnątrz butli bywały niezwykle okazałe. Opróżnione pojemniki przynosiło się na wymianę bądź płaciło się za nie kaucję, całkiem niemałą. Dobrze zapamiętałem tą niską, posiwiałą już, może z sześćdziesięcioletnią wtedy kierowniczkę, krzykliwą i pewną siebie, która była panną i sklep był jej drugim domem. Miała jeszcze matkę, staruszkę podobną do niej jak dwie krople wody i ta czasem zasiadała na zapleczu, by z nudy pogadać ze stałymi klientami córki, których ta miała sporo w tej okolicy.

Na trasie do Sokoła znajdował się jeszcze kiosk spożywczy należący do Wiktorii Garlejowej – „Garlejki”, który był zlokalizowany przy ulicy Manifestu Lipcowego, naprzeciw tego ceglanego gmachu. Kiosk ten jako jeden z niewielu z reliktywów z dawnych czasów, kiedyś ze swoistym spożywczym: „szwarcem, mydłem i powidłem”, funkcjonował jeszcze w I dekadzie XX wieku.

Pod koniec lat 60. można tu było nawet kupić tanie wino po 13 zł za butelkę i czesem młokosi z tego czasem korzystali. Został przeniesiony w nowe miejsce w roku 1963, bo wcześniej stał w narożu ulicy Puszkina i alei Krasińskiego, ale wtedy właśnie rozpoczęła się budowa Hotelu Cracovia.

Nieźle zaopatrzone sklepy spożywcze, zapewne należące do PSS Społem, znajdowały się w narożach ulic: Michałowskiego (nr 14) i Kochanowskiego (nr 6) - naprzeciw SP nr 94 oraz Grabowskiego (nr 1) i Karmelickiej (nr 52), gdzie wcześniej przez spory okres czasu funkcjonowała piekarnia oraz Michałowskiego (nr 2) i Karmelickiej (nr 42); ten ostatni - mini delikatesy, z dużym stoiskiem monopolowym, był usytuowany naprzeciw pasmanterii i sklepu gospodarczego Brody. Takie mini delikatesy znajdowały się też przy końcu ulicy Karmelickiej (nr 70) naprzeciw baru szybkiej obsługi Giermek i przystanku tramwajowego.

O innym sklepie ogólnospożywczym, „państwowym”, jak go tu powszechnie nazywano, który funkcjonował na parterze kamienicy z naroża ulic: Grabowskiego i Kochanowskiego, gdzie wchodziło się w górę po kilku schodkach, przypomnieli mi niedawno Jasiu Zieleniewski, mój przyjaciel z Piasku. Miała tu być m.in. dobra kapusta kiszona z beczki. Ostatnio o kolejnym sklepie z tej branży, też chyba „państwowym”, jak w tym czasie nazywało się też sklepy należące choćby do PSS „Społem” czy Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, który znajdował się w narożu ulic: Loretańskiej i Świerczewskiego 11, naprzeciw żeńskiej SP nr 13, tzw. „babińca”, gdzie dominowały warzywa, przypomniała mi Joanna Zielińska, znajoma z FB. Tu też wchodziło się w górę po kilku schodkach.



Fot. nr 187. Dawny sklep ogólnospożywczy i warzywny z naroża ulic: Świerczewskiego 11 i Loretańskiej 8. Fot. autorstwa Pani Doroty Święchowskiej z roku 2009.

Pora na więcej informacji o wyrobach piekarniczych. W mojej części Piasku było doprawdy w czym wybierać.

Obok sklepu Łakomskiej, na parterze kamienicy pod nr 22, do początku lat 90-tych znajdowała państwowa, ale znakomita piekarnia, z własnym sklepem o wiele skromniejszym niż dzisiejszy, gdzie po chleb często stało się w kolejce zakręcającej w kierunku ulicy Dolnych Młynów, gdy wewnątrz brakowało miejsca wzdłuż sklepowej lady. Wg Janusza Klimasa, znanego judoki Wisły i dawnego mieszkańca sąsiedniej kamienicy pod nr 20, przed II wojną światową i jeszcze do końca lat 50. piekarnia należała do rodziny Kaczorowskich (jeszcze wcześniej była tu Piekarnia Warszawska Józefa Mencla), potem ją upaństwowiono i dopiero w „nowych czasach” ich córka wydzierżawiła ją Buczkowi, który do niedawna (ok. 2018. roku) prowadził tu swój własny interes, lecz bardzo wątpię czy jego wypieki dorównały dawnym. Dziś piekarniany sklep ma już inne przeznaczenie.

Tu w latach 60. wypiekano wspaniały chleb mazowiecki, bielutki i mięciutki, dodatkowo posypyany makiem, za jedyne 4 zł za sztukę, wspaniałe, małe wodne bułeczki po 35 groszy czy smakowite, jasne rogałe, zwane rożkami bodaj za złotówkę, a zapach pieczywa roznosił się po całej okolicy. W godzinach wypieku, a więc w okolicy godziny 14-tej, po chleb ustawiały się długie kolejki, bo taką markę miał wtedy ten wyrób. W latach 70-tych w miejsce „mazowieckiego” pojawił się wspomniany już, charakterystyczny w wyglądzie, chleb „mleczny”, po 5 zł, niemniej smakowity. W latach 60. Wielką popularnością cieszył się też chleb „zakopiański”, nieco większy od zwykłego bochenka, po 6,60 zł (lata 70.).



Fot. nr 188. Dawna piekarnia Kaczorowskich na parterze w jednopiętrowym domu z ulicy Rajskiej 22, wybudowanego w 1918 roku wg projektu Samuela Singera. W latach 60-tych była tu znakomita piekarnia państwowa, której znakami firmowymi były chleby: Mazowiecki i Mleczny. Swoją klientelę miał też chleb Zakopiański. (12.01.11)

W piekarni sprzedawano też własne wyroby cukiernicze i inne słodkości. W mojej pamięci najbardziej utkwiała kupowana tu przez mamę pachnąca galaretką w proszku, nie tania, bo po 5 zł za pudełko. Niełatwo było wprawdzie namówić ją na ten drogi rarytas, ale od czasu do czasu jakoś mi się to udawało. Po rozpuszczeniu jej w gorącej wodzie trzeba było poczekać kilka godzin aż się wystudzi i porządnie zetnie, na co nigdy nie mogłem się doczekać. Jej zapach, smak i konsystencja do dziś wydają mi się być niedościgłym wzorem.

Pachnący i spieczony chleb oraz pełny wybór pieczywa, które to wytwory piekarnicze pod względem jakości konkurowały z wyrobami sprzedawanymi choćby u Mola, oferowała funkcjonująca do roku 2018 piekarnia Górnisiewiczza z ulicy Garbarskiej 12, też mająca swoją stałą klientelę. Tu nieraz, zwłaszcza w soboty, ustawiały się duże kolejki. Taki chleb preferowała moja mama, która kupowało go tu jeszcze w czasach przedwojennych, gdy pracowała jako pomoc w domu Beigertów przy ulicy Łobzowskiej 23. I choć generalnie dostosowywała się do naszych gustów, to od czasu do czasu, zwłaszcza po drodze z placu na starym Kleparzu, dawała sobie upust swoim starym upodobaniom. Do jedzenia tego chleba trzeba było mieć twarde i zdrowe zęby oraz silne szczęki; lepiej się go jadło, gdy był popijany „bawarką” czyli herbatą lub mlekiem. Mnie z tej piekarni najbardziej smakowały miękkie różki.



Fot. nr 189. Piekarnia Górnisiewiczza z ulicy Garbarskiej 12 niedługo przed zamknięciem. (17.10.2017)

Swoich stałych odbiorców miała też piekarnia Pochopienia z ulicy Kochanowskiego 22, która swój sklep miała przy ulicy Karmelickiej 23, zlokalizowana w sąsiedztwie cukierni Galganka spod nr 25, która także sprzedawała pieczywo. Obie te firmy piekarniczo-cukiernicze też przetrwały do dzisiaj, choć walczą o utrzymanie się na rynku.



Fot. nr 190. Wrośnięta w pejzaż Piasku piekarnia Pochopienia z ulicy Karmelickiej 23, z tradycjami od 1945-go roku. Sam zakład piekarniczy mieści się przy ulicy Kochanowskiego 22. (11.02.2014)



Fot. nr 191. Współczesny szyld cukierni Jacka Galganka, w naszym domu nazywanego „Galgankiem”, wypiekającej też pieczywo, z ulicy Karmelickiej 23. „Rok założenie 1945”. A z lewej niezmiennie apteka, ponoć Rederów, zasłużonych farmaceutów, a jeszcze nieco dalej (z lewej) kiedyś znajdował się sklep Cepelii. (12.01.2011)

Ważną rolę w tych czasach odrywały sklepy nabiałowe, często zwane „mleczarniami”, bowiem, co trzeba obiektywnie przyznać, były one w przeciwieństwie do sklepów mięsnych zawsze dobrze zaopatrzone, a mleko i przetwory mleczne były niezwykle tanie. W naszej okolicy można było korzystać z usług kilku dobrze zaopatrzonych „mleczarni”, które należał do PSS Społem bądź jakichś spółdzielni mleczarskich. Te, które pamiętam mieściły się na: ulicy Karmelickiej (6, a może 8), a więc niedaleko Teatru Bagatela oraz na tej samej ulicy pod nr (bodaj) 20, obok masarni Synowca, na Szewskiej 10, w narożu z ulicą Jagiellońską i na Sienkiewicza 4 lub 6, niedaleko ulicy 18-Stycznia. Sklepy te oferowały bogaty asortyment serów: białych, żółtych i topionych, masło w kostkach, pakowane w pergaminowych papierze (czerwone i niebieskie, później też zielone), mleko i różne jego przetwory, jak: śmietanę czy kefir, sprzedawane w szklanych butelkach. Lubiałem specyficzny zapach tych sklepów i ich kolorystykę, z żółtymi i czerwonymi wałeczkami żółtych serów, kwadracikami bądź trójkącikami serów topionych czy czerwonymi i niebieskimi napisami na kostkach masła. Produkty te rzeczywiście obficie zalegały lady chłodnicze i półki sklepowe. Mleko kupowało się jeszcze w litrowych, zamiennych, szklanych butelkach, śmietanę w kwaterkowych buteleczkach, a kefiry w półlitrowych. Wszystkie butelki były zaślepiane przy użyciu kolorowych, aluminiowych kapsli: mleko na srebrno, śmietana na złoto, a kefir na ciemno-zielono, nie zawsze szczelnie. Praktycznie mało popularne były wówczas jogurty, które dopiero z czasem podbijały rynek. Na rynek powoli zaczęła wkraczać szeroko reklamowana margaryna (Palma), ale bez większego entuzjazmu ze strony gospodyń domowych, przyzwyczajonych do nieco tylko droższego masła, stąd szybko przyjęło się zgryźliwe porzekadło: „margaryna jak masło, wielu po niej już zgało”.

Spółdzielnie były wówczas „bliskimi siostrami” przedsiębiorstw państwowych i dominowały głównie w handlu. Ta fasadowa spółdzielczość była w pełni akceptowana w ideologii socjalistycznej, zaś prywatna działalność była czymś jakby nagannym, bo „klasowo obcym” i zawsze kładzono jej różne kłody pod nogi. W handlu „prywaciarze” byli zaledwie „dalekimi krewnymi” uprzywilejowanych spółdzielców.

Poza porą zimową po warzywa chodziło się „na plac” – stary Kleparz, słynne od wieków targowisko krakowskie, które znałem od najmłodszych lat. Pamiętam jak w wieku sześciu lat, gdy miałem iść do szkoły, mama zmusiła mnie wreszcie do pobrania krwi z żyły, bo takie były szkolne wymagania i kiedy ze strachem oraz płaczem czekałem w kolejce pod drzwiami gabinetu w „Ubezpieczalni” na Batorego, mama jak tylko mogła starała się mnie udobruchać i w nagrodę za dzielność i odwagę obiecywała mi rarytasy z „placu”. I rzeczywiście już po wszystkim zostałem obdarowany m.in. smakowitym ogórkiem kiszonym, podanym drewnianymi szczypcami prosto ze słoja, co stanowiło wystarczającą rekompensatę. Lubiałem towarzyszyć mamie w jej częstych wypadach na to tradycyjne targowisko, bo pociągał mnie jego specyficzny klimat i unoszące się z kramów specyficzne zapachy oraz sielskie otoczenie.

Cóż to było za targowisko w tych czasach, które w niczym nie przypomina dzisiejszego. Drewniane stragany i lady rozłożone były na całej jego długości, a przy nich królowały „przekupy” z podkrakowskich wsi. Panowały jeszcze zwyczaje z przedwojennych czasów, gdy powszechnie targowano się o cenę i tę sztukę mama miała opanowaną do perfekcji, bogata o swoje przedwojenne doświadczenia, gdy zaopatrywała gospodarstwo Gawłów i Beigertów. Przechodząc koło stołów zewsząd słyhać było słowa zachęty do zakupów: „kup paniusiu najlepszego syrka cy jojecek”, czy: „panocku kup smakowitych zimnioczków i ogórecków”. A trzeba dodać, że na plac chodziło wtedy jeszcze wiele przedwojennych matron, zwanych tu „paniusiami”. W tych dawnych czasach nawet w bogatych domach oszczędność była uznawana za cnotę i wiele „paniusi”, które nadal kupowało towar na „fonty”, np. pół „fonta” sera (funt – niecałe 0,5 kg), przemieniało się tutaj w zwykłe krakowskie kutwy, targując się namiętnie choćby dla zasady, a zwyczaj ten wciąż był żywy w czasach mojego dzieciństwa. Słynne krakowskie „centusiostwo”, którego mimo woli byłem świadkiem, ciągle jeszcze dawało o sobie znać. Do dziś czuję zapachy świeżych warzyw: selerów, pietruszek czy pomidorów, leżących na drewnianych stołach oraz słomy i siana, które unosiły się nad placem z wiejskich furmanek, zwanych tu furami. Wokół targowiska było gęsto od wozów i koni drzemiących przy dyszlach, z obrokami zwieszonymi przy ich pyskach. A potem pełno roboty miały służby miejskie, czyli „śmieciarze” z ręcznie pchanymi wózkami, usuwający łopatami końskie „placki”, bo od właścicieli furmanek tego nie wymagano.

Wokół placu nigdy nie brakowało „dziadów”, biedaków eksponujących swoje kalectwa i ułomności, prawdziwe bądź sprytnie udawane. W dni targowe było ich tak dużo jak pod kościołami w niedzielne przedpołudnia. Ubrani najczęściej na czarno, pokornie siedzieli zwykle przy wejściach na plac, rzadziej pod murami okolicznych kamienic, mamrocząc jakieś modlitwy i wyciągając swe żebracze ręce oplecione różańcem.

Wierzyć się nie chce, że to wszystko przeminęło tak szybko, wszak czasem wydaje mi się, że było to wczoraj. A przecież będąc dzieckiem nigdy nie przychodziło mi do głowy, że kiedyś i ja będę starszawym panem. Pamiętam, jak raz ciotka Karolka, o coś na nas rozżłoszczona, zawyrokowała: „co ty myślisz, jeszcze tylko chwila i ty też będziesz stary”. Wtedy wydawało mi się to niemal niemożliwe, wszak dzieciństwo biegło tak wolno, ale jej słowa się ziściły się, gdyż dziś mam tyle samo lat, ile ona sobie wtedy liczyła. Może stąd taka moja nostalgia za przeszłością i spoglądanie na nią z pietyzmem, jakby przez różowe okulary, choć może wcale nie była ona dla mnie aż taka bajkowa?

Najlepiej zaopatrzone sklepem warzywnym (oczywiście poza „prywaciarzami”) był w naszej okolicy lokal (bodaj) Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, który mieścił się przy Plantach, na samym końcu ulicy Szewskiej (nr 26), w miejscu późniejszej kawiarni „U Zalipianek”. Obszerne stoisko warzywno, eksponowane również na zewnątrz, znajdowało się też w sklepie ogólnospożywczym, jak mama mówiła: „państwowym”, który zajmował cały parter kamienicy się przy ulicy Karmelickiej 9, naprzeciw sklepu rybnego. Chyba dopiero w czasach gierkowskich sklep ten został przekształcony w delikatesy o nazwie Lukullus, a nad nim został zamontowany okazały neon, który oczywiście nie dotrwał do naszych czasów.

Sklepy rybne: z parteru kamienicy pod nr 16, który po pół wieku działalności przestał niedawno istnieć (współcześnie zastąpiła go piekarnia Awitex), podobnie zresztą jak inny z tej branży, z początku ulicy Długiej (nr 6?), były wtedy znakomicie zaopatrzone i w przeciwieństwie do sklepów mięsnych prawie nigdy nie było tu większych kolejek. Bodaj na początku lat 70-tych powstała przy tym pierwszym sklepie smaźalnia ryb, która cieszyła się wielkim powodzeniem, a rekordy popularności były tu niedrogie, smażone dorsze. Ryby w tych czasach były bajecznie tanie i powszechnie dostępne, choć ich asortyment może nie był aż tak bogaty i „egzotyczny” jak dziś, kiedy mamy też sporo produktów „rybopodobnych”, bynajmniej nie tanich, pochodzących z Chin czy Wietnamu. W latach 60-tych dominowały rodzime: dorsze, śledzie czy flądry, potem stopniowo rozszerzane o gatunki importowane, pochodzące z dalekomorskich łowisk „bratniego” ZSRR, jak choćby niedrogie: kerguleny, morszczuki czy halibuty i dopiero w czasach Gierkach masowo zaczęły się pojawiać mniej smaczne gatunki: mintaje i błękitki. Pamiętam, że w czasach Gomułki kilo surowego dorsza kosztowało około 4 zł, niemal tyle co bochenek chleba, a najtańsza kiełbasa, zwyczajna ze dwadzieścia kilka złotych. Nie chce się wierzyć, ale tak było. Gdzie dziś biedak odważy się na zakup ryby, biblijnego pokarmu dla ubogich; w III RP na tradycyjne, rodzime ryby stać tylko ludzi zamożnych. Dziś wszystkie sklepy rybne na terenie Krakowa przestały istnieć, a świeże można tylko kupić w wybranych hipermarketach. O ich cenach lepiej nie mówić. Ale czy można się temu dziwić, gdy się dziś słyszy, że do połowów homarów rybacy z EU wykorzystują flądry i te zamiast trafiać na stoły są traktowane jako „odpad”.

Z surowych dorszy mama robiła przepyszne filety, które smażyła na starej, zużytej patelni, przywleczonej przez nią potem, po przeprowadzce, jeszcze na Kozłówek, bowiem tak była przyzwyczajona do starych, sprawdzonych w bojach rzeczy, że za nic nie chciała się z nimi rozstawać. Podobnie było ze wspomnianym już wcześniej nożem z damasceńskiej stali, który się bardzo wolno zużywał. Oczywiście przy obróbce takiego dorsza musiała się sporo napracować, ale ta śmierdząca robota szła jej jak z płatka, bo miała ogromną wprawę z przedwojennych czasów, gdy jako kucharka pracowała w domu Gawłów i Beigertów.



Fot. nr 192. Fragment ulicy Karmelickiej. Pierwsza z lewej kamieniczka (pod nr 12) to barokowy ratusz jurydyki Garbary. W jej parterze znajdował się sklep z butami, a na podwórku przez dekady pan Edziu ostrzył noże. (10.01.2012)

Z innych specyfików tego sklepu pamiętam: śledzie solone z beczki, przy których też trzeba się było sporo napocić by nadawały się do spożycia, bo czasami były słone nie do wytrzymania, wędzone piklingi, dorsze i szprotki, smakowite pikantne sałatki gdańskie, byczki w sosie pomidorowym w puszkach czy śledzie marynowane z cebulą (też małe śledziki zwane „moskalikami”), podawane prosto ze słoja. Oczywiście pełno było puszek z przetworzonymi: śledziami, szprotkami czy makrelami (w oleju i pomidorach), a ich cena rzadko przekraczała 1 zł.

Oczywiście zagęszczało się tu przed Świętami, kiedy czasem trzeba było odstać swoje na mrozie, by zdobyć upragnionego, tradycyjnego karpia. W Krakowie nikt nie wyobrażał sobie Wigilii bez tej tradycyjnej ryby. Mama zawsze kupowała żywe karpie, które ze dwa dni ku naszej uciechu pływały w metalowej balii, a później były przez nią samą wyprawiane. Z tym trudnym zadaniem radziła sobie znakomicie, jak ze wszystkim w życiu. W trakcie jego obróbki z wnętrzości zawsze wydobywała „duszę”, o którą biliśmy się z bratem, bo każdy z nas chciał z niej „strzelić”, mocno naciskając ten balonik nogą. Smażone karpie, panierowane w bułce tartej, mistrzowska potrawa mojej niezapomnianej mamy, na których przypomnienie jeszcze dziś leci mi ślinka, były jedną z najbardziej ulubionych przeze mnie i mego brata potraw, a w trakcie wigilii dosłownie zażeraliśmy się tak spreparowaną rybą. Dziś nie dałbym już rady zjeść takiej ilości smażonego karpia jak dawniej, kiedy zawsze było mi mało. Mama przerabiała ze trzy ryby, a zniknęły one zawsze na drugi dzień Świąt, kiedy były jeszcze smaczniejsze niż w wigilię.



Fot. nr 193. W tym lokalu, pod nr 16, znajdował się świetnie zaopatrzony sklep rybny, który dotrwał do początku XXI wieku. (10.01.2012)

Sklepy mięsne były utrapieniem dla kobiet prowadzących gospodarstwa domowe i dzieci pozostających pod ich opieką. Od najwcześniejszych dni dzieciństwa pamiętam kolejki i wielogodzinne oczekiwania na dostawę towaru, gdyż w tym czasie wszędzie chodziłem z mamą, czasem też z bratem i sam musiałem sobie jakoś organizować wolny czas przed sklepem, a ponadto nauczyć się cierpliwie czekać. Aby zdobyć jakąś wędlinę lub mięso mama musiała stać ściśnięta w kolejce, nieraz w środku sklepu, nie mając zbyt wielkiej możliwości komunikowania się ze mną. Opuszczenie kolejki było zbyt ryzykowne, gdyż groziło utratą cennego miejsca, a nikt z nikim nie zamierzał się tutaj patyczkować. Sytuacja ciągłego niedoboru wyzwała wśród ludzi prymitywne instynkty, wszak kto był bliżej początku lady, ten miał większe szanse na tańszy i lepszy towar.

W naszym rewirze były dwa „parafialne” sklepy mięsne: na ulicy Karmelickiej 22 – „u Synowca”, naprzeciw kościoła Karmelitów oraz na rogu ulic: Krupniczej 12 i Loretańskiej. Rzadziej mama wystawała w sklepach na ulicy Szewskiej 16, obok knajpy Smakosz i sklepu sportowego, na ulicy Basztowej 15, na parterze wieżowca LOT oraz w Delikatesach w Rynku Głównym pod nr 34, czyli w dawnym lokalu Hawełki, bo tam było już dość daleko. Nie wiem czemu, chyba z racji nie zawsze regularnych dostaw, mama rzadko korzystała z usług „wojskowej” masarni, która znajdowała się w poprzecznym fragmencie gmachu koszar OTK przy ulicy Rajskiej 3, naprzeciw piekarni, dokąd po pokonaniu bramy wjazdowej wchodziło się po kilku metalowych schodkach.



Fot. nr 194. Na parterze kamienicy z ulicy Karmelickiej 22, gdzie mieści się restauracja Banolli, w czasach PRL funkcjonował sklep mięsno-wędliniarski Synowca, przed którym nieraz wystawałem całymi godzinami, gdy Mama stała w środku stłoczona w kolejce. (12.01.11)

Trzeba tu jednak oddać sprawiedliwość tym czasom, czasom Gomułki i jego ekipy, gdzie głównymi osobistościami byli: Cyrankiewicz, Kliszko, Ochab, Zawadzki czy Loga Sowiński, gdyż wędliny i szynki były wtedy bez porównania lepsze niż te współczesne, które w większości przypominają pięknie wyglądające „atrapy”. Szynka, baleron czy chudy boczek, najczęściej wędzone, zdobyte na święta po ciężkim nieraz boju, po ugotowaniu były naprawdę wyborne: posiadały włóknistą teksturę, były miękkie i naprawdę pachnące. Doskonałe były kiełbasy: szynkowa, kminkowa, a także krakowska. Również pasztetowa, głowizna, serwolotka, mortadela, kiełbasa zwyczajna czy nawet czarny salceson, były naprawdę smaczne.

Nie da się tego porównać z późniejszym okresem „gierkowszczyzny”, kiedy do tańszych wędlin i podrobów, by zwiększyć ich masę, dodawano co popadnie, a ich jakość wyraźnie się popsuła. Czy może dziwić, że pasztetową nazywano wtedy „kitem”, o mortadeli żartowano, że jest to „różowa szynka dla mas”, zaś ser żółty ochrzczono „żółtą szynką”. Jak na ironię losu dziś i ser żółty i ryby są droższe od dobrych wędlin; nic tylko warto by tu przytoczyć słowa Kazika (Wojciecha Pokory) z popularnych radiowych słuchowisk kabaretowych autorstwa Marii Czubaszek, nadawanych w latach 70-tych w radiowej „Trójce”: „I co to się porobiło”.

Dziś młodym trudno uwierzyć, że kolejki w sklepach mięsnych ustały dopiero na początku lat 90-tych, po urynkowaniu cen. Kiedyś zawsze marzyło mi się dożycie takich czasów, kiedy wejdę do sklepu i bez kolejki kupię sobie 10 deko pokrojonej szynki. Przez 60 lat życia miałem do czynienia najpierw z gigantycznymi nieraz kolejkami, potem, w latach 80-tych, z kartkami i gołymi hakami, by teraz dożyć czasów pięknie wyglądających, ale marnych jakościowo substytutów wędlin, wykonywanych z tzw. masy mięsnej o niewielkiej zawartości „mięsa w mięsie” i często „płukanych” mięs w marketach. Tak naprawdę po rzeczywiście dobre, tradycyjne wędliny, trzeba dziś jechać w okolice Krakowa do: Dobczyc, Zręczyc czy Łapanowa, ale są one sporo droższe od tych marketowych falsyfikatów, ale warto je kupić, choćby mniej.

Dla nas dzieci najważniejszymi były sklepy ze słodyczami. Najbliższy z nich, oczywiście pomijając sklepik Mola, „prawdziwy” sklep cukierniczy mieścił się w Czerwonym Domku na końcu ulicy Manifestu Lipcowego 29, dziś Piłsudskiego, obok dawnego budynku akcyzowego, a więc przy samych Alejach. Były tam czerwone lizaki na patyku, piękne, kolorowe landryny, draże owocowe, krowki i mleczne irysy, zwane przez nas „mordoklejkami”, a przez mamę kanoldami, chyba z racji ich galicyjskich tradycji, różnego smaku baryłkowate „toffy”, czekolady dawnego Wedla, wtedy Zakładów im. 22-Lipca i krakowskiego Wawelu, herbatnik petit beury, pierniczki na wagę z Kopernika czy szczególnie przeze mnie lubiane „kamyczki” – małe orzeszki laskowe oblane słodką politurą. Czasami udało się kupić sezamki, ale były one rzadkością. Nie brakowało pomadek, w tym ulubionych przeze mnie pralinek czy różnokolorowych galaretek. Przystawaliśmy tu w drodze na Błonia, Kopiec Kościuszki czy na Wolę.



Fot. nr 195. Słodki (kiedyś) raj dla dzieci, czyli Czerwony Domek z końca ulicy Manifestu Lipcowego 29 (Piłsudskiego). (12.01.2011)

Inny fajny sklep ze słodyczami, w tym wspaniałymi drażami kokosowymi, które rujnowały mi zęby, też znajdował się na ulicy Manifestu Lipcowego, ale na samym jej początku (nr 3 lub 5), naprzeciw dawnego pałacu Potulickich, w którym wtedy gospodarowały jakieś zakonnice. To tu tyrała dla Pana Boga Antosia Łaciak, pochodząca z Woli Zręczyckiej siostra Heleny Bartosik, serdecznej koleżanki mojej mamy, która czasem nas odwiedzała. Często zaglądaliśmy do sklepu cukierniczego, który mieścił się obok Teatru Rozmaitości, na początku ulicy Karmelickiej pod nr 4, z rzadka do Słoneczka przy ulicy Karmelickiej (bodaj) 62, nad którym też był piękny neon.

Ale najbardziej ekskluzywne i markowe wyroby czekoladowe można było nabyć u „Piaseckiego”, jak mawiała mama, wtedy Wawelu, w Rynku Głównym 32, w sklepie usytuowanym między ulicą Szewską, a Delikatesami u „Hawełki”, a także w Rynku Głównym 45, wtedy sklepie firmowym Zakładów Cukierniczych im. 22-Lipca z Warszawy, przed wojną Wedla. Oprócz pomadek pakowanych w pudełka, pełnego wyboru czekolad i różnego rodzaju draż, były tu też smakowite galaretki – uwielbiane przeze mnie smakołyki, pakowane w pudełeczka z przezroczystym wieczkiem. Mama zawsze opowiadała nam, że w sąsiedniej kamienicy (Rynek Główny 44) przed wojną znajdował się sklep kolonialny Mikołaja Jawornickiego, gdzie w czasach galicyjskich mieściła się palarnia kawy i trzeba tu dodać, że w mowie obiegowej często nadal używano tych przedwojennych nazw sklepów. W firmie tej jako kierownik pracował Antoni Gaweł, dziadek „Pani Basi” Beigertowej, którą Mama niańczyła i doglądała od 1932 roku, mieszkając przez 17 lat w ich domu przy ulicy Łobzowskiej 23. Podobny asortyment był też dostępny na stoisku cukierniczym we wspomnianych powyżej delikatesach „Hawełki”. Tutaj też można było kupić rzadko spotykany, niemal „burżuazyjny” smakołyk jakim były orzeszki ziemne w skorupkach. Te ostatnie sporadycznie bywały też w delikatesach na rogu ulic: placu Wolności 6 (dziś Inwalidów) i Sienkiewicza 2. Przechodziliśmy tamtędy od czasu do czasu, gdyż z okazji Świąt mama otrzymywała paczki żywnościowe z parafii św. Szczepana, do której formalnie przynależeliśmy; budynek parafialny mieścił się przy ulicy Sienkiewicza 19 i stał frontem do placu Axentowicza, a paczki odbierało się w suterenie; czasem przytrafiały się ogromne konserwowe szynki, pakowane w metalowe opakowania po ok. 2 kg, pochodzące z UNRY. Tu społecznie udzielała się pani Łukasiewicz, mieszkanka kamienicy spod nr 12 (mieszkała razem z dwoma siostrami – wszystkie były starymi pannami), dla której mama sporadycznie coś przeparała, a ona zawsze o nas pamiętała, ale ze szczerego serca, bo była to prawdziwa społeczniczka, choć ciut przesadzająca z religijną egzaltacją.

Mówiąc o dzieciństwie nie sposób nie wspomnieć o cukierniach. W mojej okolicy, a więc w skrajnym fragmencie dawnej dzielnicy „Piasek”, było ich kilka: Michałka na Krupniczej 6, Pietruszki na Jagiellońskiej 5 (obok Teatru Starego) oraz Galganka na Karmelickiej 23, naprzeciw późniejszej kawiarni Centuś, a tuż obok Cepelii i w sąsiedztwie apteki „Pod Opatrznością” oraz w Hotelu Cracovia (od połowy lat 60-tych), znana m.in. z wybornych kremówek.

Trzeba też wspomnieć o wspaniałym cocktail barze cukierniczym z ulicy Szewskiej 13, zlokalizowanym w pobliżu ulicy Jagiellońskiej, naprzeciw warsztatu zegarmistrzowskiego Płonki, pierwszym z tzw. coctailbarów w mieście (niedługo potem powstał drugi przy Kopciuszku, na Karmelickiej 13). Tu od gdzieś połowy lat 60-tych za 5 złotych i 60 groszy można zjeść wielki puchar wspaniałej bitej śmietany, posypywanej mieloną czekoladą, a do niego dodatkowo sobie zażyczyć ze dwie gałki lodów, po 1 zł i 20 gr. za sztukę. Nieco bliżej Rynku, raczej pod nr 9, a może 7, w bramie znajdował się punkt cukierniczy Kropka, gdzie były sprzedawane były boskie rurki z kremem, może po złotówce za sztukę.

Nie sposób nie poświęcić przynajmniej paru słów znakomitej cukierni Wiesława Michałka z Krupniczej 6, która od roku 1959 egzystuje po dziś dzień. Sama piekarnia znajduje się przy ulicy Garncarskiej (bodaj 14) i w latach 60-tych wyroby były dowożone do sklepu za pomocą ręcznie pchanego, zaopatrzonego w krytą pakę wózka. Słynęła nie tylko ze wspaniałych lodów: śmietankowych i truskawkowych, po złotówce za gałkę, ale i z całej gamy znakomitych ciastek, sprzedawanych po 2 złote za sztukę, że wymienię tylko takie wspaniałości jak: kremówki, karpátky, różowe napoleony, eklery, ptysie, nugaty, kopiate bezy przełożone kremem, fedory (marcepan przełożony waflami), serniki z lukrowaną polewą, makaroniki z kruchym spodem, po lukrowane pączki z różą w środku oraz całą gamę ciastek tortowych pokrytych galaretką. Z wypiekanych tu ciast zapamiętałem pyszne, pokryte lukrem makowce, gdzie maku nigdy nie żałowano i puszyste serniki oraz bogato nasycone bakaliami cwibaki. Można tu też było kupić na wagę wyborne makaroniki w kształcie muszelek. Mama nigdy nie mogła się nam oprzeć, kiedy po szkolnej mszy św. u Kapucynów, która początkowo odbywała się o godzinie 9-tej, potem godzinę później, naciągaliśmy ją na wizytę w tym słodkim rajku, którego produkty przez lata nie ulegały zmianie. Na początku lat 60-tych, kiedy miałem zaledwie z 10 lat, lody, oczywiście te tradycyjne, własnej produkcji, nakładało się w gałkach pomiędzy dwa kwadratowe andruciki, a tego celu służył dwuramienny, półkulisty na końcu przyrząd, który po opróżnieniu był moczony w kubku z wodą, by nowe porcje się do niego nie przyklejały i łatwo odchodziły.

W cukierni Pietruszki na ulicy Jagiellońskiej 5 wytwarzano wyborne: torty, serniki, nasączone ponczem okrągłe ciastka (tzw. „ponczowe”) i pączki, natomiast lody nie były już tak (dla mnie przynajmniej) wyśmienite jak te z Krupniczej, zwłaszcza owocowe. Z kolei cukiernia Galganka (mama zwała go „Gałgankiem”) na Karmelickiej 23 słynęła ze wspaniałych kremówek i makaroników oraz lodów śmietankowych.

Na Piasku, ale już nieco poza moim dziecięcym rewirem, znajdowała się też cukiernia Antosowej, znana z dobrych ciast i rurek z kremem, która była zlokalizowana na parterze nieistniejącego już niskiego, chyba jednopiętrowego budynku z ulicy Karmelickiej 47, niedaleko ulicy Siemiradzkiego. Nieco dalej, na rogu ulic: Józefitów i ówczesnej 18-Stycznia, a więc już na terenie Nowej Wsi, znajdowała się istniejąca do dzisiaj cukiernia Śliwy, do której mnie było już zdecydowanie za daleko, ale i ona miała w okolicy stałych bywalców.



Fot. nr 196. Cukiernia Wiesława Michałka z ulicy Krupniczej 6 - do dziś pod dawnym szyldem. Ileż ja tutaj spałaszowałem wspaniałych ciastek: kremówek, napoleonów, eklerów, ptysi, makaroników, lukrowanych pączków czy lodów, zwłaszcza truskawkowych. Sam dom pochodzi z końca XVIII-go wieku. (04.08.2010)

Ze śródmiejskich ciastkarni warto jeszcze przypomnieć dwie inne, też z jakościowej górnej półki: z ulicy Stolarskiej 4, która istniała jeszcze do niedawna i przynajmniej mnie kojarzyła się ze znakomitymi sernikami i makowcami oraz Woźniaka z dawnej ulicy Solskiego (bodaj nr 7), znaną ze znakomitych słonych paluszków i precelków. Stosunkowo niedaleko, bo na Nowym Świecie, na końcu ul. Felicjanek (25?), blisko Zwierzynieckiej, znajdowała się cukiernia Janasa („U Janasowej”), znana z kapuśniaczków.

W większości wspomnianych cukierni na św. Mikołaja wypiekano niewielkie pierniki z podobizną tego patrona od podarunków, które były bogato powlekane grubymi „nićmi” z różnokolorowych lukrów, również imitującymi głowę tego wielbionego przez dzieci świętego, a przed świętami Bożego Narodzenia wytwarzano lukrowe, a nawet marcepanowe (u Antosowej) kurczaki, jajka i prosiaczki, zaś na święta Wielkanocne lukrowe figurki zmartwychwstałego Chrystusa, wzbogacone chorągiewką.

Na meczach i na odpustach już od lat 60-tych pamiętam popularne, walcowate „pingwiny”, nieco wodniste lody na patyku, smaczne zwłaszcza śmietankowe, choć do wyboru były też nie tylko moim zdaniem gorsze, choć droższe, pokryte niezbyt smaczną, czekoladową polewą, które w białym pudle z wahlnią pokrywą, zawieszonym na ramieniu bądź szyi, roznosił zawsze ten sam jegomość z obciętymi bodaj dwoma palcami u ręki, ubrany w biały fartuch, krzycząc głośno swym charakterystycznym głosem faceta z przedmieść: „liodi, liodi.....”. A tak na marginesie, najbardziej rozpoznawalnym roznosicielem „bajglów” spośród pracujących u Krupińskiego – „Krupy” był Tadek Koza; to był dopiero niezły oryginał.

Od końca lat 60-tych Kraków zaczęły podbijać podłużne lody Babino umocowane na płaskim patyku, sprzedawane w papierowych, woskowanych opakowaniach w cenie 2,6 zł/szt., dostępne w smakach: śmietankowym, owocowym, kakaowym i kawowym (te ostatnie po 3 zł za sztukę). Ich dystrybucja odbywała się specjalnych budkach, np. obok Parku Krakowskiego przy „kominie”.

W Krakowie lat 60-tych i 70-tych nie brakowało też wód mineralnych, z których dominowała wspaniała, gazowana Kryniczanka, konfekcjonowana w zamknięte kapsle szklane butelki o pojemności 0,33 litra, dostępna w każdym „państwowym” sklepie spożywczym. Chyba dopiero w latach 80-tych rynek zaczęła podbijać Krakowianka, inna woda stołowa, produkowana w uzdrowisku na Matecznym. Jedyna w zasadzie w okolicy pijalnia i „hurtownia” wód mineralnych, gdzie często kupowało się całe skrzynki, znajdowała się przy ulicy św. Jana 5, gdzie oprócz dominującej Kryniczanki, a pewnie i Piwniczanki, można też było kupić wody z uzdrowisk Dolnego Śląska, np. wspaniałą Pieniawę oraz wody lecznicze, jak: śmierzdzący zgnitymi jajami Zuber, którym czasem skutecznie kurowała swój żołądek moja mama (powinno się ją pić rurką, bo źle wpływała na zęby) czy wspomagający nerki Jan, często dodawany do Zuber. Kryniczankę czasem pijało się na miejscu, z dodatkiem Jana. Drugi duży sklep, który sprzedawał tylko wody mineralne, znajdował się przy ulicy Brodzińskiego w Podgórzu, ale z jego usług korzystałem dopiero po przeprowadzce na „Kozłówek”. W naszym domu sporo pijało się mineralnych wód stołowych i były okresy, że masowo przynosiłem ze sklepu całe skrzynki. W „normalnych czasach”, tzn. za Gomułki i Gierka, nigdy nie było większego problemu z ich nabyciem, nawet w lecie.

Kilka słów o innych sklepach. Najbliższe sklepy sportowe, bogato w tych czasach zaopatrzone, mieściły się: na ulicy Szewskiej 20, obok masarni i knajpy Smakosz, a więc niedaleko Plant oraz na w Rynku, na linii A-B, pod nr 44, właśnie w dawnym sklepie Jawornickiego, a obok sklepu cukierniczego dawnego Wedla (nr 45). W sklepie na Szewskiej można było również kupić części zamienne do rowerów i cały osprzęt kolarski. W latach 60-tych znajdowało tu też stoisko z artykułami fotograficznymi, gdzie można też było kupić: odczynniki (utrwalacz i wywoływacz), papier fotograficzny i osprzęt niezbędny do amatorskiego wykonywania odbitek. Na wystawie sklepowej widniał motorower Komar, marzenie dorastających dzieciaków, w cenie 4500 zł. Były też inne, lepsze motorowery, np. Simpson, ale te pojawiały się tu rzadko i były droższe. Taki Komar palił ze dwa litry na 100 km taniej wtedy benzyny, bo chyba po niecałej złotówce za litr i można było nim jeździć na kartę rowerową. Z niedowierzaniem słuchało się opowieści jak to przy dobrym rozpędzeniu się osiągał on „niebotyczną” prędkość 50 km na godzinę. Ale dla mnie był to produkt z „innej półki”, o którym mogłem tylko pomarzyć.

Lepsze marki motorowerów, a zwłaszcza motocykle, można było kupić w sklepie motoryzacyjnym, który zajmował parter kamienicy przy ulicy Batorego 17, blisko posterunku MO. Sprzedawano tu też samochody osobowe, a na wystawie długo stała błyszcząca, stara Warszawa, w cenie chyba blisko stu tysięcy złotych.

Po naszych drogach jeździły głównie stare i nowe już Warszawy, Syreny, dziwaczne Mikrusy oraz samochody rodem z bratnich socjalistycznych krajów, a były to niemieckie: „mydelniczki” P-70 - starsze siostry Trabantów i Ify, radzieckie: Moskwicze, Wołgi, rzadziej Czajki oraz czeskie: Skody, w tym Super Octavie. Rzadziej widywało się samochody ze „zgniłych, burżuazyjnych krajów”, francuskie: Renówki, Peugeoty i Citroeny, niemieckie: Ople, Mercedesy i Volkswageny, w tym słynne i wystrzałowe, przynajmniej jak na te czasy „garbusy”, brytyjskie: Austiny i Morisy czy włoskie Fiaty o całej gamie pojemności. Ale u nas najpopularniejsze były te najmniejsze „Fiaciki”, małe „pięćsetki” i „sześćsetki”, starsze siostry późniejszych „maluchów”, w tym sześćoosobowa Multipla, nieco dziwaczny samochód dla większej rodziny. Gdzież by mi wtedy mogło przyjść do głowy, nawet w najśmielszych marzeniach, że kiedyś i ja będę jeździł własnym samochodem i to Fordem, Nissanem czy Mazdą, wszak samochody były wtedy niezwykle rarytasem.

Jakież to było dla mnie przeżycie, gdy na początku lat 60-tych, będąc w Bilczycach na wakacjach u babki, mąż jej siostrzenicy - Stanisław Szostek, przewiózł nas Syrenką do Gdowa, do której wtłoczył siedem osób: trójkę starszych i czwórkę dzieci, co bynajmniej nie było trudne, a jazda na wygodnym tylnym siedzeniu wcale nie była niewygodna.

O wiele bardziej popularne były w tym czasie „pojazdy dla mas”, czyli motocykle. Aby uszczęśliwić całą rodzinę do jednośladów często doczepiano z boku przyczepy. Były więc krajowe maszyny: szybkie jak błyskawica, ale okropnie głośnie Junaki, eleganckie SHL (SH-elki), wolniejsze, ale tańsze WFM (popularne WF-emki) czy WSK (WS-ki) i sporo zagranicznych, jak: niemieckie MZ (MZ-ki), piękne, ciche i szybkie motocykle, o których posiadaniu każdy marzył czy czeskie, czerwone Jawy i CZ (CZ-tki), również mocne i równie szybkie, chociaż głośniejsze motocykle, popularne również we wszelkiego rodzaju rajdach terenowych i na torach żużlowych. Niezwykle popularne i „szpanerskie” były w tym czasie skutery: polskie Osy, nieco toporne i nazbyt głośnie, ale najtańsze czy śliczne, ciche i zgrabne włoskie Lambretty, zwane „Lambretkami” oraz francuskie Peugeoty, ale o nich można było tylko pomarzyć i oglądać je głównie na zagranicznych filmach.

Sklep papieżniczy, gdzie mama zaopatrywała nas we wszelkiego rodzaju zeszyty i przybory: pióra, ołówki, gumki, kredki, torby i piórniki, znajdował się na rogu ulic: Podwale 4 i Świerczewskiego 1. Przed rozpoczęciem roku szkolnego zawsze trzeba tu było postać z godzinę w długiej kolejce. Nie zawsze udawało się kupić zeszyty z papieru bezdrzewnego, których produkowano za mało, a pisanie piórem na papierze drzewnym, o fatalnej jakości, było koszmarem, bowiem atrament często wsiąkał w kartki powodując brzydkie zacieki, zwłaszcza przy jakiegokolwiek próbie wydrapywania mylnie zapisanych liter za pomocą żyletki. Tak na dobrą sprawę na takich zeszytach można było tylko rysować, ale i w tym przypadku, gdy tylko próbowało się coś wymazać gorszej jakości gumką, papier ulegał rozwarstwieniu. Dobra gumka, np. pelikan, była w tym czasie w wielkiej cenie, ale niełatwo było ją zdobyć.

Skuteczne na taki papier były długopisy, ale te nie były jeszcze w powszechnym użyciu, ponadto wkłady do nich były niskiej jakości i pismo łatwo rozmazywało się po kartce, a przy tym brudziło dłoń. Część nauczycieli ciągle zabraniała ich używania, nadal próbując uczyć kaligrafii. Tak na dobrą sprawę przełom w tym sposobie myślenia nastąpił dopiero około połowy lat 60-tych, kiedy długopisy szybko zaczęły wypierać tradycyjne pióra. Niedaleko było nam do dwóch innych sklepów z tej branży, które mieściły się: w narożu ulic Basztowej i Długiej (w domu Pod Globusem) i przy ulicy Zwierzynieckiej, bodaj 15. W tym drugim (sklep „Pinokio”) było też duże stoisko z zabawkami. Duże sklepy z zabawkami znajdowały się w Śródmieściu, gdzie w tym czasie robiło się większość zakupów, przy ulicach: Grodzkiej 16 i Sławkowskiej bodaj 9.

Jeśli chodzi o księgarnie to było ich w Krakowie sporo. W samym Rynku Głównym okazyjnie zaglądałem do czterech: pod nr 4, na parter w kamienicy Czynciela, bo był tu duży wybór książek dla dzieci, do (dawnego) „Gebethnera” pod nr 23, gdzie chyba już od końca lat 60. można było kupować śpiewniki z tekstami i nutami najpopularniejszych polskich zespołów big-bitowych, pod nr 34, w sąsiedztwo delikatesów „Hawełki”, do „Domu Książki”, najczęściej po podręczniki szkolne, a na linii A-B (bodaj) pod nr 39, w sąsiedztwo kawiarni Antycznej, kiedyś „Mauricia i Redolfiego”, gdzie działała popularna księgarnia „Kalinka”, oferująca tanie książki i albumy w języku rosyjskim oraz płyty, również z muzyką klasyczną cenionej wytwórni Mielodia, wydawane w ZSRR, która z czasem, bodaj pod koniec lat 80., została przeniesiona do pałacu Zbaraskich pod nr 20. Ta ostatnia była często przeze mnie odwiedzana już w czasie studiów na AGH, a więc w okolicy połowy lat 70., bo literatura dotycząca przeróbki kopalni, którą studiowałem na Wydziale Górniczym AGH, była praktycznie dostępna tylko w tym języku i jego techniczny aspekt z czasem doskonale opanowałem. Warto jeszcze wspomnieć o „księgarni rolniczej” spod nr 28, gdzie już na początku lat 80., czasie pustych półek, polowało się m.in. na piękne albumy czechosłowackie: „Świat roślin, minerałów i skał” oraz „Świat zwierząt”. Oczywiście nie sposób było nie zaglądać, przynajmniej okazyjnie, do księgarni „Pod Globusem” Wydawnictwa Literackiego na ulicę Długą 1, które m.in. wydawało wiele wartościowych książek o Krakowie, ale ten temat tak na dobre zaczął mnie pochłaniać dopiero od końca lat 70.

Artykuły dziecięce, w tym: buty, płaszcze i ubrania, a także przedmioty potrzebne w domu, jak: garnki, sztucce i talerze, kupowało się w różnego rodzaju „Domach Towarowych”. Najbliższa taka placówka znajdowała się na rogu ulic: Krupniczej 2 i Podwala 7 (dziś DH Elephant). To tu, co jeszcze pamiętam, po kolejnej wypłacie ojciec kupił mamie komplet aluminiowych garnków, których relikty przetrwały do dzisiaj. Talerzy nie trzeba było kupować, bo rodzice dostali piękny serwis w ślubnym prezencie od „państwa” Beigertów. Również i jego relikty dotrwały do niedawna, a był on systematycznie przez nas uszczuplany w trakcie różnego rodzaju gier i zabaw, które z konieczności odbywały się w naszym ciasnym mieszkaniu oraz podczas przeprowadzek. Pamiętam również, że to w tym Domu Towarowym ojciec kupił nam pasiaste płaszcze ściskane paskiem oraz równie identyczne szaliki, a także jednolite czapki, które są widoczne

na fotografii z Cmentarza Rakowickiego, wykonanej niedługo po jego śmierci oraz buciki, których podeszwy były zabijane na kołki.

Teoretycznie płaszcz mogła szyć ciotka Karolka, która była krawcową, ale była ona tak niesystematyczna i ślamazarna, że nie można było za nic na niej polegać. Raz zaczęła mi szyć płaszcz na zimę, ale jego wykończenie zajęło jej ze trzy lata, więc w międzyczasie zdążyłem już z niego wyrosnąć i niewiele było z niego pożytku. Innym razem szyła ubranko komunijne dla mego brata, ale prace przebiegały w tak żółwym tempie, że największe natężenie robót przypadło dopiero na noc poprzedzającą I komunię świętą, więc poszedł on na tę uroczystość totalnie niewyspany.

Sporo zakupów, zwłaszcza w późniejszych latach, robiło się w dużym domu towarowym na rogu ulic: Anny 2 i Wiślniej 1, tzw. PDT („pedecie”), bogato zaopatrzonym zwłaszcza w odzież i obuwie, a także (na parterze) w artykuły RTV. To tu kupowaliśmy na raty nasz pierwszy duży, bo 24-calowy telewizor, jeszcze czarno-biały, co miało miejsce w 1977 roku. Zastąpił on wielce wysłużoną „Falę”, bodaj 14-calową, która służyła nam przez 13 lat. Ten dawny „pedet” jako jeden z nielicznych sklepów z dawnych lat funkcjonuje do dzisiaj w tym samym miejscu, choć w jakże w innej, bardziej pretensjonalnej szacie. Dziś coś mnie odpycha, by bodaj zajrzeć do środka.

Duże sklepy odzieżowe znajdowały się jeszcze: na parterze w pałacu Małachowskich przy Rynku Głównym 30 oraz przy ulicy Floriańskiej, bodaj pod nr 17, w narożu z ulicą św. Tomasza, gdzie, jak pamiętam, mama kupiła mi nazbyt obszerny i przydługi garnitur, potrzebny mi do zrobienia zdjęcia do dowodu osobistego, w którym nigdy potem nie chodziłem. Fotografie te, o ile dobrze pamiętam, wykonywałem już w nowo otwartym zakładzie naprzeciw Kościoła Karmelitów, a był to rok 1971, zaś sam dowód wyrabiałem w Komendzie MO przy ulicy Siemiradzkiego 24.

Ponieważ zasobność portfeli powojennego społeczeństwa nie była zbyt wielka, każda gospodyni domowa musiała dbać o jak najdłuższe funkcjonowanie odzieży: podartych koszul i spodni oraz dziurawych skarpetek i dlatego w tym czasie wielką popularnością cieszyły się pasmanterie, sklepy z dodatkami krawieckimi. Najbliższa nas pasmanteria znajdowała się przy ulicy Karmelickiej 35, na parterze narożnej kamienicy z ulicą Batorego, dawnego domu Teodora Talowskiego, niemal naprzeciw komendy MO. Kamienica ta („Pod Pajakiem”), podobnie jak inny budynek tego znanego krakowskiego architekta, kamienica „Pod śpiewającą żabą” z ulicy Retoryka 1, był gęsto porośnięty dzikim winem, które na jej fasadzie tworzyło prawdziwy las; dziś to już tylko wspomnienie. Może warto jeszcze przypomnieć, że w budynku zajmowanym przez MO, ale od strony ulicy Karmelickiej 37, znajdował się dobrze zaopatrzony sklep z materiałami do szycia. Już na początku lat 70-tych modne spodnie, okazyjnie, za 120 zł, szyła nam Aśka Zieleniewska, siostra „Serówy” i w tym sklepie, zlokalizowanym naprzeciw kamienicy „Łysego”, nieraz kupowaliśmy ciekawe materiały. Na początku lat 70-tych w modzie były „rury”, spodnie z szerokimi nogawkami, które dobrze pasowały do szpanerskich „szkotów” bądź „bitelsówek”, butów na wysokim obcasie, zakończonych wąskim, zagiętym nieco do góry szpicem.

Razem z bratem byliśmy wyjątkowo ruchliwymi i usportowionymi dziećmi, więc nasza mama miała niemało roboty i z naszą poszarpaną odzieżą i wiecznie podartymi skarpetkami. Z anielską cierpliwością prała ciuchy wybrudzone podczas gry w piłkę nożną, gdzie np. grając na pozycji bramkarza nigdy nie oszczędzałem ani siebie, ani tym bardziej dresu, zwanego wtedy „owerolem”, co dokumentowały liczne plamy z błota lub jeszcze gorsze do usunięcia zazielenienia trawą. Doskonale opanowała zwłaszcza sztukę cerowania skarpet, co wykonywała na drewnianym grzybku, mając wsunięty na palec metalowy napastrzek i jeszcze w okresie późnej starości świetnie potrafiła uzupełnić całe ich fragmenty. Ponieważ stosunkowo wcześniej osłabł jej wzrok, widać od częstych, nocnych prasowań przy ciemnej żarówce, zawsze miała problemy z nawleczeniem nici na igłę, co nieraz wywoływało nasze śmiechy. A dziś i ja napotykam na takie same trudności, co nieraz mnie bardzo irytuje, bo jakoś nie mogę się zdobyć na wizytę u okulisty. Pod koniec II dekady XXI wieku czas oczekiwania na wizytę u tego specjalisty przekracza nawet rok – ot kolejny kamyczek do koszyczka dramatycznie niedomagającej służby zdrowia w tych lepszych (ponoć) czasach.

Pranie, dodatkowe zajęcie zarobkowe mamy, było zawsze zmorą naszego domu. Pamiętam, że pewnego razu któryś z nieprzychylnych nam sąsiadów przysłał do nas pocztą anonimową kartkę z napisem: Pralnia, by jej dokuczyć, ale mama nie dała się wyprowadzić z równowagi, wszak zawsze twierdziła, że żadna praca nie hańbi. Niezbędne środki czystości, a więc proszki do prania, płatki mydlane, szare mydło, a także mydełka i pasty do zębów, kupowało się w sklepach chemicznych lub na stoiskach chemicznych we wspomnianych powyżej domach towarowych. Niezły sklep chemiczny znajdował się na ulicy Długiej, naprzeciw ulicy Krótkiej. Mama świetnie znała się na proszkach, ale ich wybór w tych czasach był niewielki, a ich jakość niestety kiepska. Do prania w naszej pierwszej pralce wirnikowej o dźwięcznej nazwie: Frania, mama najczęściej używała proszku Radion. Dopiero później, pod koniec lat 60-tych, pojawiła się rewelacja - proszek IXI, którego skuteczność budziła powszechny podziw.

Zanim pojawiła się u nas pierwsza pralka wirnikowa, mama musiała pracować w dużej, metalowej balii, z pomocą metalowej tarki, najczęściej z użyciem szarego mydła w kostkach oraz płatków mydlanych; szare mydło było niezastąpione do gotowania bielizny. Bruzdy pojawiające się na jej rękach zaraz po zakończeniu prania dobitnie dokumentowały agresywność ówczesnych środków chemicznych, ale na całe szczęście nie miała ona uczulenia na te toporne chemikalia. Dla szybkiej regeneracji rąk wystarczał niezawodny krem Nivea w puszcze, który łagodził skutki długotrwałego kontaktu z brudnymi mydlinami, jak wtedy nazywano wodę po praniu. Co ciekawe, ten krem nie zmienił się do dzisiaj, co jest prawdziwym ewenementem.

Po jednej z przepierek, zapewne na skutek niedosuszenia wypranej bielizny, jak mawiało się u nas na wyschnięte pranie, mamie przytrafił się bardzo przykry incydent. Otóż na jednej ze stert oczekujących na prasowanie, widać nazbyt długo, może nawet na skutek długotrwałego braku prądu, co się w tych czasach zdarzało, na powierzchni wielu płatów pościeli wykwitła pleśń. Bielizna ta za żadne skarby świata nie chciała się wywabić i nie pomagały żadne znane sposoby. Mamie groziła zapłata za zniszczoną pościel, wszak jej właściciel ani myślał słuchać jakichkolwiek tłumaczeń. Biedna, przez kilka dni chodziła cała rozdygotana i zapłakana, aż w końcu dowiedziała się od jakiejś znajomej, że powinien pomóc chlorek, który można było kupić tylko we wspomnianym powyżej sklepie chemicznym na ulicy Długiej. I rzeczywiście ten żrący płyn odbarwił niesforne plamy i o dziwo nie uszkodził płótna, więc mogła wreszcie odetchnąć z ulgą. Problemów związanych z praniem nigdy nie brakowało.

Do mycia rąk zazwyczaj było używane różnokolorowe i pachnące mydło toaletowe, marne, bo łatwo rozmiękające w wodzie, zaś do mycia włosów szampon ziołowy w torebkach. Zęby myło się jedyną w zasadzie dostępną pastą firmy Lechia, która posiadała smak miętowym i konsystencję kitu. Pożał się Boże jaki był papier toaletowy, zwany w obiegu papierem ściernym. W szaletach publicznych ("kiblach"), zwanych czasem jeszcze „leówkami”, zwłaszcza w latach 80-tych powszechnie bywał używany poszarpany papier gazetowy.

Nasza sękata podłoga, z której nieraz wbiła się bolesna drzazga czy to w nogę, czy w palec, była pastowana z raz na miesiąc i przed większymi świętami. Do tego celu była używana czerwona lub biała pasta podłogowa, sprzedawana w plastikowych, walcowatych puszkach, którą trzeba było wetrzeć w deski miękką szmatą. Śmierdziało potem benzyną ze dwie godziny i trzeba było dobrze wywietrzyć mieszkanie, ale efekt sanitarny zawsze był należyty, wszak wszy i pchły pojawiały się u nas nadzwyczaj rzadko i jeśli już to na krótko. Całkowitą dezynfekcję mieszkania, w tym wytruwanie wszystkich much, które nieraz bardzo nam dokuczały, przeprowadzało się raz do roku przy użyciu preparatu o nazwie Azotox, a operacja ta była skutecznie wykonywana przy okazji wyjazdu na wakacje. Był to płyn w butelce, silnie toksyczny, który należało zakropić w kilku miejscach mieszkania, a potem trzeba było szybko zniknąć. Po przyjeździe potrzebne było długie wietrzenie, ale jego skuteczność była znakomita.

W połowie lat 60-tych zaczęły powstawać modne później, pierwsze sklepy z artykułami gospodarczymi o nazwie: „1001 drobiazgów”. Jeden z pierwszych takich „supermarketów” mieścił się w parterowej przybudówce przy kościele Karmelitów, pod numerem 19A. Był to czas, w którym następowała powolna wymiana podstawowych sprzętów używanych w gospodarstwie domowym: z metalowych na plastikowe. Pojawiające się nowe produkty, np. myjki do naczyń czy plastikowe pojemniki, były różnokolorowe, a nie jak dotąd szare, czym przyciągały uwagę dziecka.



Fot. nr 197. W tym parterowym pawilonie z ulicy Karmelickiej 19a gdzieś na początku lat 60-tych rozpoczął działalność sklep gospodarczy pod nazwą „1001 drobiazgów”, może pierwszy tego typu na terenie Krakowa.

Trudno byłoby nie wymienić kilku prywatnych sklepów gospodarczych, gdzie można było kupić wszystko co niezbędne w domu: od nafty w butelkach przydatnej do lamp naftowych (w tym czasie częste były przerwy w dostawach prądu i to nieraz kilkugodzinne), przez pastę do podłogi i butów, kiepską farbę klejową do malowanie ścian, równie marny lakier do malowania okien, rozpuszczalniki, narzędzia, gwoździe i śrubki, kłódki i skoble, po szczotki do zamiatania i szmaty do wycierania podłóg.

Jeszcze do niedawna funkcjonował taki relikw, sklep Migdała, który mieścił się na placu Szczepańskim 8, róg z ulicą Solskiego. Innym, bynajmniej nie gorzej zaopatrzonym, był sklepik Brody usytuowany na parterze wspomnianej już kamienicy „Pod Pajakiem” przy ulicy Karmelickiej 35, tuż obok pasmanterii i w sąsiedztwie najbliższego posterunku MO z ulicy Batorego 25, dokąd wchodziło się po kilku schodkach. Z takiego sklepu nigdy nie wychodziło się z pustymi rękami, bo było w nich doprawdy wszystko czego tylko dusza mogła zapragnąć.

Najlepszy ze sklepów radiowo-telewizyjnych znajdował się na ulicy Stradom bodaj 15, przy wlocie ulicy Agnieszki, niemal naprzeciw kościoła Misjonarzy. W 1965 roku w sprzedaży były następujące odbiorniki telewizyjne; czternastocalowe: Fala (5,5 tys. zł) i Neptun (6.0 tys. zł), siedemnastocalowe: Aladyn (8,0 tys. zł), Neptun (8,2 tys. zł), Szafir (8,2 tys. zł), Zefir (9,7 tys. zł), Agat (9,7 tys. zł), Tosca (9,7 tys. zł) i Koralek (10,2 tys. zł), dwudziestojednocalowe: Nefryt i Topaz (oba po 12.6 tys. zł) oraz dwudziestotrzytalowy Opal (bodaj po 14,0 tys. zł). Był jeszcze Ametyst, chyba średniej wielkości.



Fot. nr 198. To w dawnej kamienicy Teodora Talowskiego pod nr 35, wybudowanej przez niego w 1886 roku, a noszącej nazwę Pod Pająkiem i jeszcze kilka dekad temu pokrytej dzikim winem, znajdowały się dwa sklepy: gospodarczo-chemiczny (dojście po schodkach), który należał do pana Brody oraz pasmanteria, po prawej stronie bramy. Po lewej stronie, w narożu ulic: Batorego (25) i Karmelickiej (37), znajdował się najbliższy komisariat MO, z wejściem od ulicy Batorego.

Na początku lat 60-tych zachwyty wzbudzały wielkie, „ekskluzywne” radia, oczywiście lampowe, z najnowszym hitem – „Stolicą”, już z adapterem na ich wierzchu, ale jeszcze z „magicznym okiem” do dostrajania stacji. Przy wyszukiwaniu stacji odbiorniki te wydawały śmieszne gwizdy, a ich „oka magiczne” tajemniczo mrugały. Po zakończeniu regulacji, które polegało na kręceniu gałką długości fal, oko stawało się pełne i przestawało mrugać. W połowie lat 60-tych w sklepach był już niemały wybór radioodbiorników i to jeśli idzie o ich wielkość jak i kształt, choć ciągle można jeszcze było kupić starsze odbiorniki: wyższe niż szersze, przypominające te sprzed wojny, ale szybko następowała zamiana tych proporcji.



**NAJSTARSZE W POLSCE
ZAKŁADY RADIOWE**



w Dzierżoniowie (Dolny Śląsk)
ul. Gottwalda 38
produkujące od 1945 roku

polecają

RADIOODBIORNIKI

- ☆ bateryjne: **Juhas** w obudowie drewnianej i bakelitowej,
- ☆ uniwersalne: **Pionier, Promyk, Nokturn, Sonatina, Kos i Lotos,**
- ☆ sieciowe III kl.: **Czardasz, Kaprys, Calypso, Samba,**
- ☆ sieciowe III kl. z gramofonem: **Poemat, Preludium, Serenada,**
- ☆ sieciowe II kl.: **Symfonia.**

■ Nasze radioodbiorniki kupisz w placówkach Zakładów Usług Radiotechnicznych oraz w sklepach branży elektrotechnicznej i gospodarstwa domowego w całym kraju.

■ O zaletach radioodbiorników „Diara” poinformują Cię materiały reklamowe, które otrzymasz w każdym punkcie sprzedaży.

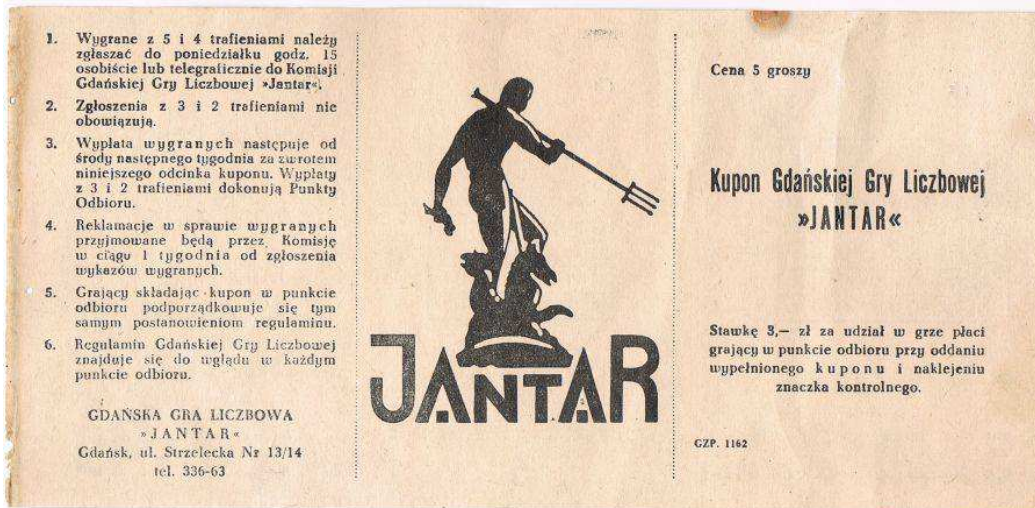
ZAKŁADY „DIARA” OFIAROWAŁY 1000 RADIOODBIORNIKÓW Z ADAPTERAMI DLA 1000 BUDUJĄCYCH SIĘ SZKÓŁ!

Fot. nr 199. Nowości Zakładów Radiowych Diara z końca lat 50-tych. Podobne typy odbiorników dominowały jeszcze na początku lat 60-tych.

Stoiska radiowo-telewizyjne znajdowały się też w domach towarowych, np. na parterze dwupiętrowej kamienicy Czeczotki, we fragmencie od ulicy Św. Anny. W czasach gierkowskich (a może jeszcze wcześniej) duży sklep z tej branży został otwarty przy ulicy Karmelickiej (bodaj) 64, obok sklepu cukierniczego Słoneczko, nad którym był zamontowany efektowny neon. W tym okresie, kiedy elektronika budziła jeszcze nie tylko powszechny podziw, ale i szacunek, panowało powszechne przekonanie, że dając sprzedawcy drobny napiwek pomoże on wybrać lepszy egzemplarz, co było niemal zwyczajem.

My szczęśliwcy po wygraniu przez mamę czwórki z plusem w lokalnej grze liczbowej o nazwie Lajkonik, co miało miejsce na jesieni 1964 roku, właśnie w sklepie na Stradomiu kupowaliśmy nasz upragniony telewizor lampowy marki Fala; pamiętam, że najtańszym telewizorem był wtedy starszy model wymienionego powyżej Neptuna, który kosztował 4,8 tys. zł, ale akurat w tym sklepie był niedostępny.

Dla przypomnienia: na Śląsku grało się wówczas w Karolinę (dużą i małą), w Warszawie w Syrenkę (też dużą i małą), w Poznaniu w Poznańskie Koziółki, w Rzeszowie w Koniczynkę, na Dolnym Śląsku w Liczyrzepkę, w Gdańsku w Jantar, w Szczecinie w Gryf; reszty wojewódzkich nazw tych gier liczbowych już nie pamiętam. Po losowaniach szczęśliwe cyfry były podawane na antenie I programu radia.



Fot. nr 200. Tylna część trzyczęściowego kuponu gry liczbowej Jantar.

Niedługo później mama kupiła też nowe radio, którego nazwy już nie pamiętam (Mera?), znacznie już mniejsze niż Stolica, które kosztowało jakieś 1000-1500 zł. Miało ono już nowoczesny kształt, przynajmniej jak na te czasy: miało formę prostopadłościanu, który był niski, ale szeroki, a przy tym było dużo, dużo lżejsze od poprzedników. Wcześniej, co najmniej od połowy lat 50-tych, kiedy jeszcze żył mój ojciec, mieliśmy w naszym mieszkaniu stary odbiornik radiowy, archaiczny z wyglądu, bo o półkolistym zakończeniu, może jeszcze przedwojenny, który, choć trochę trzeszczał przy odbiorze, służył nam jeszcze długo, będąc dla nas maluchów wielką atrakcją i swoistym oknem na świat. Ojciec kupił go chyba, bo raczej nie dostał, od naszego dozorca, Stanisława Wojakowskiego. Trzeba dodać, że każde radio było w tym czasie w cenie i nikt nie kaprysił, tylko brał co było pod ręką. Radiowym trzaskom nie były w stanie całkowicie zapobiec ani długie, mocno poskręcane w zwoje anteny, które były doczepiane gwoździem do ściany i sufitu, ani powszechnie stosowane prymitywne uziemienia podłączane do rur wodociągowych.

W PRL popularne, a przy tym dobrze zaopatrzone były sklepy Cepelii, które oferowały szeroki asortyment wytworów sztuki ludowej. Obok wnętrza Sukiennic pamiętam trzy takie sklepy, które dotrwały do czasów III RP, kiedy (oczywiście) znikły: z ulicy Szewskiej 25 (w narożu z Plantami), z ulicy Karmelickiej 25, zlokalizowany przy cukierni Galganka, a w sąsiedztwie apteki „Pod Opatrznością” i (bodaj) z kamienicy Pod Jaszczurami w Rynku Głównym 8, ale było jeszcze kilka innych.



Fot. nr 201. Kamienica z ulicy Szewskiej 27; w jej narożu znajdował się duży sklep Cepelii. (08.04.2010)

W latach mojego dzieciństwa popularnym miejscem handlowym w Krakowie była „tandeta”, gdzie można było kupić i sprzedać wszystko. W latach 60-tych mieściła się ona na rozległym placu przy ulicy Kapelanka, wtedy peryferyjnej, ślepej drogi z licznymi dziurami dochodzącej jedynie do ulicy Kobierzyńskiej; dziś są to okolice supermarketu Tesco, a zwłaszcza stacji benzynowej Lotosu przy ulicy Kapelanka. Najbliższy dostęp do Tandety wiódł polną drogą wzdłuż brzegu Wilgi od przystanku autobusowego przy dawnym stadionie Garbarni na Ludwinowie. Dziś w skrajnym jego fragmencie od strony Wisły stoi Hotel Forum, sam będący stanie ruiny, a od strony Osiedla Podwawelskiego bardziej współczesny Hilton Garden Inn. Podjeżdżało się tutaj autobusem linii nr 119, który kończył bieg na Matecznym i wysiadało na przedostatnim przystanku, naprzeciw wspomnianego stadionu, a dalej od kościółka Św. Bartłomieja na Ludwinowie, wokół którego szumiały jeszcze łąny, trzeba było odbyć dwudziestominutowy spacer brzegiem Wilgi, która wtedy była brudnym i zasolonym ściekiem w kolorze brunatnym, regularnie zatruwana przez Krakowskie Zakłady Sodowe, dawny Solvay. Jej koryto, a raczej sztuczny kanał tej rzeki, który powstał w latach 30-tych i 40-tych zeszłego wieku, zmienił i wyprostował jej dawny bieg, Wokół jej brzegów znajdowały się ogródki działkowe, pola uprawne, zarośla i ugory. W oddali, gdzie dziś stoi nowy, osiedlowy kościół, widać było wał ziemny po dawnym szańcu rdzenia twierdzy (St III).



Fot. nr 202. Sceneria wokół Wilgi, która przez pół wieku nie uległa zasadniczej zmianie. Jej wałem prowadziła najbliższa trasa na Tandetę. Na pierwszym planie staw, pozostałość do dawnych rozlewiskach rzeki, a wokół niego ogródki i wierzbowe zarośla. (08.09.2010)

Nikt z nas wówczas, na początku lat 60-tych, nie miał jeszcze świadomości, że na tych ugorach i pobliskich łąkach Ludwinowa oraz Zakrzówka wkrótce powstanie wielkie Osiedle Podwawelskie, nowa sypialnia Krakowa. Gdzieś w połowie drogi do „tandety”, w niecce pośród ugorów zlokalizowanej po prawej stronie wału, znajdowało się spore jezioro o wydłużonym kształcie, dziś wiem, że zwane „ludwinowskimi Bagrami”, mocno porośnięte przez zarośla, które zapewne stanowiło pozostałość po dawnych popowodziowych rozlewiskach. Rzekę na wysokości jeziora, a więc niedaleko ulicy Rydlówka, spiętrzał betonowy stopień wodny, z którego w lecie, do kotłującej się tu w dole głębi, skakali odważni, a może raczej lekkomyślni młokosi. Po oddaniu skoku szybko z niej uciekali, aby w pobliskim jezioru splukać z siebie brudną i zasoloną „gnojówkę”. Drogę tę, dotąd regularnie biegnącą koroną wału, opuszczało się po dotarciu do mostu przy ulicy Rydlówka, a więc niedaleko mocno zarośniętego, innego szanca ziemnego (FS-25), należącego kiedyś do drugiego pierścienia austriackiej twierdzy, który był ulokowany przy ostrym skrucie rzeki płynącej od strony Łagiewnik. Po opuszczeniu wałów wkrótce dochodziło się do ulicy Kobierzyńskiej, gdzie widać już było to częściowo dzikie, acz ogromne targowisko.

Od połowy lat 60-tych szedłem tędy parę razy, najczęściej razem z „Grubym”. Na „tandecie” szukaliśmy tanich części i akcesoriów do naszych rowerów. Oprócz rzeczy porządnych, jak choćby: rowery, motorowery czy motocykle, było tu pełno różnego rodzaju dziadostwa i szwarcu, co było przechowywane w skleconych na prędcie budach. To właśnie tutaj, bodaj w 1966 roku, mój brat kupił „sobie” szpanerski rower jakim był używany Favorit w metalicznym, ciemnoniebieskim kolorze – prawdziwe cacko. W dni deszczowe było tu błoto nie do opisania, ale i tak, zwłaszcza w niedziele, przychodziły tu tłumy ludzi, którzy podążali do celu opisaną powyżej drogą wzdłuż Wilgi bądź drałowali inną, równie uczęszczaną, która wiodła od strony Matecznego, wtedy jeszcze nie ronda, a jedynie ruchliwego skrzyżowania i pętli autobusu numer 119, a dalej wzdłuż peryferyjnej i wtedy niemal pustej na całej długości ulicy Rydlówka.

Szczególnie ważną rolę w codziennym życiu mieszkańców jeszcze do połowy lat 90-tych odgrywały kioski Ruchu. Pod tą nazwą kryło się jedyne w Polsce Ludowej przedsiębiorstwo państwowe, które zajmowało się głównie kolportażem prasy. Kioski Ruchu były prostopadłościennymi, oszklonymi, z reguły drewnianymi budkami, które na noc były zasuwane metalowymi kratami. Władza Ludowa wyraźnie hołubiła te ostre, geometryczne kształty i jakby tępiła przedwojenne okrągłaki, zwane kiedyś trafikami, z których uchowały się tylko nieliczne relikty, m.in. na Plantach u wylotu ulicy Siennej. Specyficzny, bo ledwo mieszczący sprzedawczynię okrągłak, taki relikwiarz czasów międzywojennych, znajdował się w sąsiedztwie „Baru Na Piasku”, o czym przypomniał mi niedawno Janusz Klimas.

Kioski stały w ruchliwych miejscach, najczęściej na narożach ulic. Sprzedawano w nich nie tylko wszelką dostępną prasę, czasopisma i bilety MPK, ale także papierosy, drobne artykuły papiernicze, że wspomnę: zeszyty szkolne i niektóre artykuły szkolne (ołówki, kredki, pióra czy długopisy) bądź baterie do latarek: podłużne marki Elektron o napięciu 4,5 V i okrągłe 1,5-voltowe (tak na marginesie, jako dzieciak często przykładalem do języka elektrody takiej podłużnej baterii, by dać się trochę poszczypać, a wyczerpane wrzucałem do rozpalonego pieca, gdzie efektownie wybuchały, do czego zachęcali mnie starsi koledzy). Handlowano tu także wieloma artykułami z zakresu 1001 drobiazgów: drobnymi zabawkami, gumowymi piłkami do grania, proszkami do prania, mydełkami, pastą do zębów, a nawet niektórymi lekami jak np. środki przeciwbólowe, słowem wszystkim prócz żywności. W moim rewirze najbliższe kioski znajdowały się: na rogu ulic Czystej i alei Mickiewicza, pod ścianą kamienicy przy ulicy Krupniczej 32, przy samym narożu z ulicą Garncarską (nr 1) i przy ulicy Krupniczej, mniej więcej pomiędzy kamieniczkami o numerach 19 i 21, a naprzeciw kamienicy Mehofera (nr 26) i parterowego domku malarza Witolda Rzegocińskiego (nr 24); ten ostatni zawsze mijałem w drodze do szkół: SP nr 6, a od 1968 roku do TE.



Fot. nr 203. Graniasty kiosk Ruchu, symbol okresu PRL.

Te charakterystyczne, choć monotonne i z reguły brzydkie budki były wszędzie widoczne w pejzażu miasta i cieszyły się wielką popularnością wśród jego mieszkańców. W tych czasach nikt już poza starymi krakusami, którzy pamiętali jeszcze czasy przedwojenne, nie nazywał ich trafikami: były to po prostu „kioski Ruchu”. Ich znaczenie było tym większe, że były one otwarte nawet w niedziele i święta, co było w tym czasie niesłychanie rzadkim wyjątkiem. W tym systemie autentycznie dbano o wypoczynek „ludu pracującego miast i wsi”, że powtórzę często używane słowa tow. „Wiesława” - Władysława Gomułkę.

W dni świąteczne cała sieć sklepów detalicznych była pozamykana na przysłowiowe cztery spusty, a wyjątek stanowiły tylko niektóre delikatesy, m.in. u „Hawelki” w Rynku Głównym 34. W okresie gierkowskim otwarto też kilka „sklepów nocnych”, z których bardziej znane znajdowały się: przy dworcu autobusowym (obok restauracji Smok) i na początku ulicy Bohaterów Stalingradu (nr 1), dziś Starowiślniej, naprzeciw budynku Poczty Głównej. O ile dobrze pamiętam legalna sprzedaż wódki, przynajmniej w pewnych okresach, była w nocy zabroniona. W mocne trunki można się było zaopatrzyć tylko w licznych melinach, swoistych nocnych oazach wśród alkoholowej pustyni; potrzebujący zawsze jakoś dawali sobie radę, choć czasem kosztowało to trochę wysiłku.

Bimbrownictwo mimo straszenia rygorami kwitło na całego, zwłaszcza w latach 80-tych, okresie kartek, a przy produkcji tego nielegalnego „zajzairu” pomocna była historyczna data – 1444 („jedynka i trzy czwórki, Król jechał na Turki”): na jeden kilogram cukru, cztery litry wody, cztery „deko” drożdży, a całość miała leżakować cztery tygodnie; potem już tylko destylacja w metalowych bądź szklanych wężownicach i zabawa szła na całego. Z takiego 50-litrowego dymiona uzbierał się niemały zapas. Kto tego nie próbował? Pamiętam jak podczas pędzenia na bieżąco bimberku w trakcie jednych z moich czerwcowych moich imienin, gdy zaczęło brakować okowity, bo miałem pewnie ze dwadzieścia gości, pękł mi o trzeciej nad ranem przegrzany na kuchence gazowej szklany dymion i dobrze podpity musiałem to wszystko z żoną posprzątać, bo smród był nie do opisania. Miało miejsce właśnie latach 80-tych, kiedy sklepowej gorzałki czasami brakowało, bo zawsze popijało się ją bez ograniczeń i na dodatek działo się to w dziesięciopiętrowym bloku, ale takie zapachy nikogo z sąsiadów wówczas nie szokowały. Masowe donosicielstwo zaczęło się dopiero w III RP, gdy powstała Straż Miejska, z czasem będąca „państwem w państwie”, a społeczeństwo najwyraźniej poczuło się „wyzwolone” i mogło się wykazywać swoją aktywnością.

W tych czasach, zwłaszcza w latach 80., czasie pustych półek, towarów w cenach komercyjnych i kartek, panowało powszechne przekonanie, że te wartościowsze produkty idą po prostu na Wschód, do naszego „starszego brata. Powstało wtedy rymowanka, parafraza wiesza: „Katechizm polskiego dziecka” Władysława Bełzy:

„Kto ty jesteś: komercjuszek.
 Jaki znak twój: pusty brzuszek.
 Gdzie twe mięsko: w obcym kraju.
 Jaki kraj to: ja nie znaju”.

Duch w narodzie jednak nie ginął i było wesoło, a kawałów na temat "bratniej" przyjaźni, zwykle opowiadanych przy okazji suto zakrapianych imprez, często przy bimbrze własnej produkcji, bo wódka też była racjonowana na kartki (dwie flaszki na dorosłego osobnika na miesiąc) bądź zakupiona za "zielone" w PEWEX-ie ("żyto" bodaj za 80 centów), powstawało co niemiara. Warto jeszcze dodać, że wszelakie alkohole, z piwem włącznie (to było bez kartek, więc w praktyce trudno dostępne, bo po dostawie do sklepu znikają w mig), można było kupić dopiero po godzinie 13, więc już od przedpołudnia przed sklepami monopolowymi formowały się niemałe kolejki spragnionych okowity bądź "jabolka" Leserów i pracowników zatrudnionych na państwowych budowach, gdzie picie było wręcz rytuałem. Ale gorzałkę popijało się w biurach i to ostro, gdy przypadają czyjeś imieniny (coś sam na ten temat wiem -mówiło się wtedy, że niektórzy pracownicy "chodzili na rżesach"). Wspominając te czasy i związane z nimi epizody trudno dziś, po latach, powstrzymać się od uśmiechu na twarzy.

Przypomnę jeszcze, że Izba Wytrzeźwień, ostoja dla nazbyt „zmęczonych”, biesiadników, czyli tzw. „Matysiaki”, znajdowały się przy ulicy Łobzowskiej (30?), w budynku przylegającym do Pogotowia Ratunkowego, które mieściło się na początku ulicy Siemiradzkiego (nr 1).

Socjalistyczne społeczeństwo miało w cenie niedzielny i świąteczny wypoczynek, często suto zakrapiany na „łonie natury”, co nie było wówczas niczym zabronione, ale o niezbędne zaopatrzenie lepiej było się martwić w dni powszednie, do których należała też sobota. Wolne soboty, początkowo jedna w miesiącu, zaczęto wprowadzać dopiero w czasach Gierka i z czasem ich liczba szybko wzrastała, a tygodniowa liczba godzin pracy malała: z 48 do 42. To właśnie w tych czasach popularne stało się określenie poniedziałków mianem „szweskich”, kiedy skacowany „lud pracowniczy miast i wsi” tyrał ledwie na pół gwizdka bądź po prostu „wypoczywał” w pracy lub „leczył się” tam w ukryciu jakimś piwkiem.

W tym czasie, w lecie uruchamiane były dodatkowe linie autobusowe, m.in. do ZOO i Kryspinowa czy do znanych podkrakowskich miejscowości, np. na Zarabie do Gdowa lub Myślenic bądź dokładano dodatkowe pociągi w kierunku Cikowic nad Rabą, a w niektórych miejscowościach, jak np. w Wieliczce na Grabówkach czy w Niepołomicach na skraju Puszczy, powstały nowe ośrodki wypoczynkowe, gdzie obficie serwowane było butelkowe i lane piwo, głównie z browarów w Krakowie (Wawelskie) i Leżajsku oraz najbardziej znanych w Polsce: w Okocimiu (Zagłoba) i Żywcu (Full). Polska była w tym czasie dosłownie zalana piwem, a i wybór niedrogich, choć smacznych win pochodzących z „bratnich”, socjalistycznych krajów: Węgier, Bułgarii i Rumunii, był ogromny, co nie zmieniało faktu, że nadal najpopularniejszymi pośród mas trunkami były: zwykła wódka stołowa (z czerwoną bądź niebieską etykietką, ta ostatnia zwana „śmiertelną”) i „jabcok” (J-23).

Taki był PRL, w większości luzacki do przesady, towarzyski i rozśpiewany, a często humorystyczny do rozpuku, toteż ukazywanie go tylko w czarnych barwach, na co ostatnio panuje moda, zwłaszcza przez wszystko wiedzących młodych ludzi, którzy swoje poglądy mają nakręcone przez IPN, nigdy nieomylną wyrocznię III i IV RP, jest doprawdy grubą przesadą. Niestety trend ten się nasila, a próby dyskusji na ten temat spotykają się często z agresywną postawą.

W okolicach kiosków Ruchu często znajdowały się wymalowane na zielono budki telefoniczne, które w tych czasach były utrapieniem mieszkańców, bowiem automaty telefoniczne, malowane na stalowy kolor, były regularnie uszkodzane, a one same często demolowane. Najbliższa nam budka (rozmowa za 1 zł), nawet ich para, znajdowała na pasie zieleni przy alei Mickiewicza, przy przejściu między ulicami: Czystą i Reymonta. Budkom telefonicznym często towarzyszyły bliźniacze w wyglądzie, miniaturowe posterunki MO, malowane na niebiesko, które były licznie rozlokowane w różnych punktach miasta i dość skutecznie zapobiegały nadmiarowi chuligaństwa i wandalizmu. Tu szybko można było uzyskać kontakt z milicjantem, który dość często przebywał w środku budki i miał do dyspozycji telefon.

W latach 60-tych w kilku ruchliwych punktach miasta, m.in. przy wejściu do Parku Jordana, w Rynku, przy Domu Towarowym z początku ulicy Podwale czy w okolicach Poczty Głównej, pojawiły się też wagi automatyczne, gdzie po wrzuceniu złotówki na bileciku podobnym do kolejowego wyskakiwała masa ciała.

W kioskach Ruchu, ale też w specjalnych budkach, zwanych kolekturami, sprzedawano też kupony Totolotka i Lajkonika. Gry liczbowe zawsze cieszyły się dużą popularnością i nieraz przed punktami przyjmowania kuponów tworzyły się duże kolejki. Jedną z takich „kolektur” znajdowała się w sąsiedztwie cukierni Michałka, na skraju wielkiego podwórza, wewnątrz którego znajdował się niewielki zakład mechaniczny Brzezickiego, gdzie został naprawiony napęd na pedał do naszej hulajnogi zakupionej na początku lat 60-tych od Dziekiewiczów i funkcjonujący do początku XXI wieku warsztat wulkanizacyjny, skąd zawsze dolatywał stamtąd specyficzny smrodek. Na każdy wypełniony kupon Totolotka czy Lajkonika była naklejana banderola, taki podłużny pasek, a do tego celu służył słoik wypełniony klejem, zakończony gazą, który od czasu do czasu, dla lepszego zasycenia gazy, był przez sprzedawcę odwracany do góry dnem.

To w tym kiosku mama nadała szczęśliwy kupon Lajkonika, który w 1964 roku przyniósł jej wygraną („czwórkę z plusem”) w wysokości 20000 złotych. Pamiętam, że było tam wiele cyfr związanych z numerem 20. Potem i ja wielokrotnie zanosilem jej tutaj kupony, ale większych wygranych już nie odnotowałem, choć nadal często wygrywała drobne „dwójki” w Lajkonika bądź „trójki” w Totolotka.



Fot. nr 204. Podwórze przyległe do cukierni Michałka przy ulicy Krupniczej 6. Przy bramie wjazdowej, po prawej stronie znajdował się kiosk (kolektura) Totalizatora Sportowego, gdzie ludzie masowo marnotrawili pieniądze grając w Totolotka bądź Lajkonika. (04.08.2010)

Mama miała szczęście do gier liczbowych, choć z reguły puszczała tylko jeden kupon. Ponoć jeszcze za życia ojca wypełniła kupon Totolotka, który nie zdążyła nadać, bo ojciec po pracy gdzieś dłużej zabawił, a była na nim nakreślona „piątka z plusem”, za którą były już naprawdę niemałe pieniądze, bo chyba nawet ze sto tysięcy złotych. Co się jednak odwlekło to nie uciekło, choć pieniądze za wygraną w Lajkonika szybko się rozeszły. Można by rzec: łatwo przyszły, łatwo poszły.....

O ile dobrze pamiętam za „szóstkę” w Totolotka można było wygrać pół miliona złotych (w latach 70-tych już dwa razy tyle), a za „piątkę” w Lajkonika bodaj do ćwierć miliona, czego dokładnie już nie pamiętam. W Totolotku skreślało się sześć cyfr, w Lajkoniku pięć, a losowało się też jedną cyfrę więcej, tzw. dodatkową. Można więc było wygrać w Totolotka: trójkę, czwórkę i piątkę z plusem, a w Lajkoniku tylko trójkę i czwórkę z plusem, jak moja mama, bo dwójki z plusem nie było. W Lajkonika za „dwójkę” płaciło się bodaj 5 zł, a w Totolotka za „trójkę” chyba niecałe 10 zł. „Trójka” w Lajkonika to było już kilkaset złotych, a za „czwórkę” w Totolotka brało się już około kilka tysięcy zł, a więc całkiem niemało.

W czasach, gdy przeciętny zarobek niewiele tylko przekraczał 2000 zł, bo szybciej zaczął wzrastać dopiero w czasach Gierka, przy tych wyższych wygranych były to niemałe sumy. W okresie Gomułki, gdy nie z czasem nie było już większych problemów ze zdobyciem pracy, popularna była maksyma: „czy się stoi, czy się leży dwa patyki się należy”. I tak było. Pracę miał każdy, ale z czasem nie wszyscy należycie ją szanowali i rozrastało się grono „leserów”.

Początkowy fragment ulicy Krupniczej zawsze był przepelniony zapachem wina, głównie importowanego, ale w pewnym okresie czasu również popularnych „jabcocków”: Złotego Wina czy „Kwiatu Jabłoni”, których rozlewnia znajdowała się pod nr 2, w przepastnych podziemiach Centralnej Piwnicy Win Importowanych, usytuowanych pod Domem Towarowym, a więc od naroża z ulicą Podwale. Gdy dziś tędy przechodzę próbuję odnaleźć te dawne zapachy, ale do tego potrzebna jest już wyobraźnia. Pozytywem jest zlokalizowanie w tych galicyjskich wiekiem piwnicach, pozostałych po dawnym browarze, klimatycznej knajpy pod nazwą C.K. Browar.

Co ciekawe, w jego zapachach musiała się uczyć młodzież z pobliskiego zespołu Szkół Poligraficzno-Księgarskich im. Klemensiewicza, dawnej szkoły im. Jotejki, popularnej szkoły średniej na terenie Krakowa, które zajmowało rozległy budynek z ulicy Podwale 6, ale dostęp do niego był też z obszernego podwórka znajdującego się na tyłach kamienic z ulicy Krupniczej pod numerami: 4 i 6. A że z tego podwórka nagminnie dobiegały też zapachy wulkanizowanych opon i dętek samochodowych, więc panował tu ciekawy bukiet zapachowy, który doprawdy trudno do dziś zapomnieć. By się go pozbyć warto było na jakiś czas wpaść do cukierni Michałka i przy stoliku zjeść ciasteczko bądź lody, a przy okazji poczuć przyjemne dla nosa zapachy.



Fot. nr 205. Dawny gmach Zespołu Szkół Poligraficzno-Księgarskich z ulicy Podwałe 6; wcześniej swą siedzibę miała tu szkoła żeńska im. Jotejki. Ponoć istnieją realne plany podwyższenia budynku i utworzenia nim kolejnej galerii handlowej. (07.04.2014)

Może na koniec przytoczę jeszcze wierszyk z lat 80., a więc z czasów Jaruzelskiego, w których też po stanie wojennym dominowały kartki na podstawowe artykuły żywnościowe, w tym mięso i wędliny, a pewne towary, np. masło, w większej ilości można było kupić znacznie drożej, po tzw. „cenach komercyjnych”. Braki w zaopatrzeniu w mięso upatrywało się powszechnie w jego wywożeniu w ramach wymiany towarowej do „bratniego” ZSRR, a więc na „Wschód”. Jednak duch w narodzie nie ginął, a satyra kwitła. Oto ten satyryczny wierszyk:

„Kto ty jesteś?
 Komerccjuszek.
 Jaki znak twój?
 Pusty brzuszek.
 Gdzie twe mięsko?
 W obcym kraju.
 Jaki to kraj?
 Ja nie znaju”.

W Łodzi, gdzie pełną parą pracowały zakłady odzieżowe, a jednak w sklepach galanteryjnych były puste półki, gdy ktoś spytał pracownika, gdzie to się wszystko podziewa, ten odpowiedział, że wędruje „na wchód od Łodzi, gdzie słońce wschodzi”. „Bratnia” przyjaźń polsko-radziecka dla większości była zwykłym propagandowym sloganem.

VII. Komunikacja

Jakże inaczej wyglądały dawne tramwaje i autobusy miejskie, choć odkąd sięgam pamięcią zawsze były malowane na niebiesko, jak i dziś. Ta niebieskość odróżniała Kraków od innych miast, choćby Warszawy, gdzie obowiązywał kolor czerwony.

Na początku lat 60-tych dopiero wchodziły do eksploatacji nowe i szerokie, ale nieruchawe składy z Konstalu w Chorzowie, dziś już nieeksploatowane. Te nowsze jeździły na nielicznych liniach: 1, 4, 8, 12, 13 i na niektórych liniach w Nowej Hucie, czasem nawet z dwoma wagonami doczepionymi do motorowozu. Składy te mocno szarpały na zakrętach, na których dodatkowo niemiłosiernie kwiczały. Resztę taboru stanowiły przedwojenne relikty, w części pewnie jeszcze z czasów galicyjskich. Na przełomie lat 50-tych i 60-tych najstarsze składy kursowały na liniach o numerach: 17 i 21. Z tego co pamiętam były one złożone z taboru, w którym na końcu motorowozów i wagoników znajdowały się otwarte ganeczki. W tych miejscach lubiła się gromadzić młodzież, bo tu było przewiewnie i można było jechać „na gapę”. Gdy zbliżał się konduktor z biletami w każdej chwili można było wyskoczyć, bo taki tramwaj nigdy nie rozwijał zawrotnej prędkości. Nowsze już, ale jeszcze przedwojenne zestawy, długo jeszcze jeździły też na liniach: 2, 7, 11 i może 19, ale tu w wagonach nie było już ganeczek, ale były one też wąskie, podobnie jak ich poprzedniczki. Składały się z dwóch członów: motorowozu oraz wagonika i posiadały twarde, drewniane siedzenia wykończone boazerią, często jednoosobowe, usytuowane w poprzek wozu, przodem i tyłem do jazdy.



Fot. nr 206. Pospolity jeszcze w połowie lat 70-tych typ tramwaju. Jeździł na liniach: 2, 7, 11 oraz 17.

Na linii 18 jeszcze do początku lat 70-tych jeździł stary relikw: długi, wąski i pojedynczy motorowóz z siedzeniem w kształcie długiej ławy, usytuowanym pod oknami wzdłuż wozu. Był to jeszcze najpewniej egzemplarz z fabryki Zieleniewskiego z Sanoka sprzed I wojny światowej.

Wszystkie stare tramwaje były bardzo głośne zarówno przy przyśpieszaniu, jak i hamowaniu, ale o wiele bardziej zrywane niż te nowsze „krowy”. Drzwi zarówno nowych, jak i starych składów były w tym czasie zasuwane ręcznie i przy tłoku nie było szans by je domknąć. W godzinach szczytu na stopniach składów wisiały „rodzynki”, trzymając się wszystkiego co było pod ręką. Każdy mógł wtedy wskoczyć i wyskoczyć z tramwaju w dowolnym miejscu, zwłaszcza podczas niezbyt szybkiej jazdy po śródmieściu, co się nagminnie obserwoowało, więc nie brakowało wypadków z obcięciem nóg włącznie. Młodzież lubiła jeździć przy otwartych drzwiach, bo wtedy czuło się powiew powietrza, a jadąc na stopniach można się było popisać przed dziewczyną i generalnie było więcej ryzyka, a więc i większy był dreszczyk emocji; jakby to dziś powiedzieć był to zastrzyk adrenaliny. Na nic zdawały się uwagi starszych pań dopóki do akcji nie wkraczał stanowczy konduktor.

Zawód motorniczego (zdarzały się też „motorniczki” czy może bardziej prawidłowo „tramwajarki”, ale rzadko), choć z punktu widzenia dziecka fascynujący swą specyfiką, nie należał do łatwych, zwłaszcza zimą, gdy po nieogrzewanym motorowozie (i oczywiście wagonach) hulał wiatr i doskwierało zimno, wszak było to niczym nieosłonięte stanowisko i tylko czasem od tyłu wstawiano prowizorycznie długą, ale niezbyt szczelną kotarę, lecz cóż ona mogła pomóc przy srogich mrozach. Nie może więc dziwić, że w tym zimowym czasie byli oni odziani w solidne (służbowe) futrzane płaszcze, czapki z nausznikami oraz długie, bo sięgające aż do kolan ocieplane buty - „walonki”, a na końcowych przystankach, w budkach socjalnych, gdzie również sprzedawano bilety, dogrzewali się oni w ciepłe kosiaków, popijając gorącą herbatę. Tylko nieco lżej byli ubrani konduktorzy, bo ci przynajmniej mogli się poruszać w czasie pracy.

Co ciekawe, zawód „tramwajarza”, w końcu trudny i niewdzięczny, choćby z uwagi na godziny pracy: wczesno poranne i nocne, nie był dobrze płatny i nie cieszył się w tych czasach jakimś szczególnym szacunkiem społecznym, może też dlatego, że pracownicy tam zatrudnieni lubili się czasem nazbyt mocnymi herbaty (z przysłowiowym „prądem”), a słowo „tramwajara” przez wielu było kojarzone z kobietą skłoną do wybitki i nazbyt frywolnego biesiadowania.

Mój brat przypomniał mi tragiczną historię, o której już zapomniałem. Pod Poczta Główną do ruszającego tramwaju linii „0”, który był starego typu, z otwartymi platformami na końcu wagonu, wskoczył młody chłopak i uczynił to tak nieszczęśliwie, że wypadł do tyłu wprost na jezdnię, na tył głowy. Efekt był porażający: pękła mu czaszka, a na bruk wypłynął mózg, więc przerażona mama szybko nas stamtąd zabrała.

Inne, podobne wydarzenie, które widziałem na własne oczy, przytrafiło się na alei Mickiewicza podczas powrotu wojska (WP) z manewrów, co wówczas przeradzało się w pokaz siły i „patriotyczny” capszczyk. Przejeżdżające wojska były w tym czasie gorąco witane i pozdrawiane przez tłum ludzi, a młokosy czasem wskakiwały na doczepione do samochodów armaty i jeden z nich tak fatalnie spadł do tyłu, że roztrzaskał sobie głowę. Niestety był to wypadek śmiertelny, który wywarł na mnie tak wielkie wrażenie, że zapamiętałem go do dzisiaj, choć był to może koniec lat 50-tych. Były to czasy zimnej wojny, kiedy w okresie zimnej wojny państwa Układu Warszawskiego starały się ukazywać swoją wątpliwą potęgę.

Kto dziś pamięta konduktorów, sprzedawców biletów w tramwajach i autobusach MPK. Siedzieli oni sobie na końcu wagonu, przy samym pomoście, niedaleko drzwi i mieli specjalny fotel zamykany przesuwaną półeczką z wyżłobieniem, gdzie można było kłaść pieniądze, najczęściej metalowy bilon. W tramwajach bilet normalny kosztował 50 gr., zaś ulgowy 20 gr., z kolei autobusach bilet normalny kosztował 80 gr., ulgowy zaś tyle samo co w tramwaju. Konduktor wrywał bilety ze zszytego pakietu, który trzymał w przedziale skórzanej torby przewieszanej przez ramię, a następnie kasował je specjalnym ręcznym kasownikiem, który potem wieszał na zaczepie w boku torby. Torba służyła mu głównie do przechowywania pieniędzy, wśród których dominował metalowy bilon. Te grosiki zawsze mu dzwoniły przy wydawaniu reszty, gdy mieszał rękami wewnątrz, szukając grubszych monet.

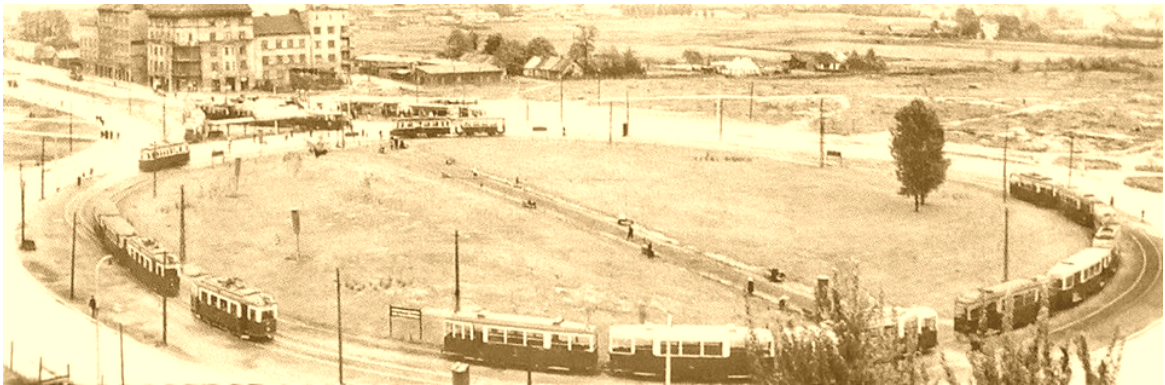
Gorzej bywało z pieniędzmi papierowymi, o większych nominałach, których czasami po prostu nie posiadał i wtedy ktoś płacąc z konieczności takim banknotem resztę otrzymywał w szeleszczącej drobnicy. Na początku lat 60-tych papierowe pieniądze były o nominałach od 5 zł w górę: 10, 20, 50, 100 i chyba 500, ale chyba nieco później. Wielu konduktorów, zwłaszcza późną porą, nie kasowało biletów prosząc o ich zwrot po zakończeniu jazdy, bo wtedy mogli je sprzedać powtórnie i dorobić do swojej mizernej pensji. Gdy nie mógł się doprosić zapłaty, zwłaszcza od gapowiczów okupujących miejsca na tzw. pomoście, a więc blisko drzwi, wychodził ze swojego fotela i wtedy ci najsprawniejsi z rzadka wyskakiwali z tramwaju, reszta zaś potulnie płaciła na jego zdecydowane wezwanie.

Tramwaje kończyły bieg na pętlach. Na początku lat 60 było ich już kilkanaście w następujących miejscach:

- na Bronowicach („Bronowice”), na rogu ulic: Rydla i Bronowickiej. Tu kończyły bieg tramwaje linii 4, 8, 12 i 13.
- przy Dworcu Towarowym na ulicy Kamiennej („Dworzec Towarowy”), w pobliżu dawnego fortu rdzenia Twierdzy, gdzie mieściły się wtedy Centralne Piwnice Win Importowanych i skąd na okolice ulatniał się zapach tych trunków. Tu był końcowy przystanek dla linii nr: 7, 19 i 21.

- na Rodzie Mogilskim („Rondo”). Tu gdzieś do 1963 lub 64 roku kończyły bieg tramwaje linii nr: 1, 3, 10 i 17 zanim nie wybudowano nowej pętli na Wieczystej przy ulicy Mogilskiej, koło domu towarowego Hermes. Także tu końcowy przystanek miały linie nr: 5, 9 i 15 zanim, około 1965 roku nie wybudowano pętli przed wschodnim wyjściem z dworca PKP przy ulicy Modrzewskiego. Na Rondzie znajdowała się ogromna wielotorowa pętla, z całym zapleczem prowizorycznych budynków, która powstała w miejscu tzw. fortu mogilskiego, fragmentu rdzenia austriackiej twierdzy, wyburzonego w I połowie lat 50-tych.

Pamiętam ją bardzo dobrze, bo bardzo często oczekiwaliśmy tu na tramwaj po zakończeniu wizyt u ciotki Karolki, która mieszkała na ówczesnej ulicy Marchlewskiego, dziś Beliny - Prażmowskiego.



Fot. nr 207. Pętla tramwajowa na Rondzie Mogilskim ok. połowy lat 50-tych. Widok w stronę ulicy Mogilskiej. Powstało ono po splantowaniu na przełomie lat 40/50 fortu mogilskiego. (AN w Krakowie)

- na Rakowicach („Rakowice”), na końcu ulicy Rakowickiej, w pobliżu cementarza, gdzie kończyły bieg tramwaje linii nr: 1, 2, 11 i 12.
- na Grzegórkach („Grzegórzki”), w okolicy dzisiejszego Ronda Kotlarskiego, chyba na początku ulicy Grzegórzeckiej (tej pętli nie pamiętam za dobrze, bo rzadko bywałem w tej okolicy, raczej była to tylko mijanka). Tu był końcowy przystanek dla linii nr 7 jeżdżącej archaicznym składem, zanim nie wybudowano alei Pokoju z torami pośrodku i pętli na Dąbiu, koło nowobudowanego osiedla mieszkaniowego (około 1965 roku).
- koło dworca PKP w Płaszowie („Płaszów”), na ulicy Dworcowej. Do 1960 roku, zanim nie wybudowano nowego odcinku torów i pętli na Prokocimiu, kończyły tu bieg tramwaje linii 6, 9 i 13, zaś potem już tylko 13.
- na placu Wolnica („Plac Wolnica”). Nie pamiętam tej pętli, czy raczej tylko mijanki, za czym przemawiają wystające do niedawna spod jezdni resztki dawnych torów. Przestała istnieć zapewne po remoncie placu, zatem gdzieś w 1965 roku i końcowy przystanek tramwaju nr 18 został, który wcześniej kończył tu bieg, został przeniesiony na ulicę Dajwór.

- koło Zakładu Energetycznego, na ulicy Dajwór („Dajwór”). Była to „mijanka” złożona z dwóch torów. Powstała chyba około 1965 roku i była końcowym przystankiem najbardziej archaicznego tramwaju, kursującego na linii nr 18. Motorniczy zmieniał jedynie pozycje i przechodził z przodu do tyłu. Być może wykorzystano tu tory prowadzące do dawnej zajezdni tramwajowej na ulicy Wawrzyńca, którą pamiętam jak przez mgłę.
- na Łagiewnikach („Łagiewniki”) – stara pętla znajdowała się bardziej w głębi dzisiejszej ulicy Brożka, bliżej obecnych budynków biurowych MPK. Nowa pętla powstała tu w drugiej połowie lat 70-tych, po wybudowaniu nowych ulic: Kapelanka i Brożka, z nowo zamontowanym torem tramwajowym, który stanowił przedłużenie linii biegnącej ulicą Dietla przez nowo wybudowany Most Grunwaldzki. Na starej pętli kończyły bieg tramwaje linii 10, 11 i 19.
- w Borku Fałęckim („Borek Fałęcki”), usytuowana w głębi ulicy Zakopiańskiej, naprzeciw budynku administracyjnego Krakowskich Zakładów Sodowych, dawnego Solvay’a; powstała ona w latach 50-tych. Tu był końcowy przystanek linii nr 8. Dzisiejsze pętla, znacznie przebudowana, stoi mniej więcej w miejscu starej.
- na Salwatorze („Salwator”), naprzeciw klasztoru Norbertanek. Tu kończyły bieg tramwaje linii nr: 1, 2, 6 i 21. Linie 2 i 21 obsługiwały jeszcze archaiczne składy. Pętla ta uległa przebudowie gdzieś na początku lat 70., kiedy wybudowano nowy, szerszy most na Rudawie, na którym dawnej była tylko mijanka.
- w Cichym Kąciku („Małe Błonia”), na końcu Alei 3-Maja. Tu kończyły bieg tramwaje archaiczne tramwaje linii o numerach: 17 i 18.
- koło dworca PKP, od strony wschodniej („Dworzec Główny Wschód”). Pętla wybudowana około 1964-5 roku, razem z torowiskiem biegnącym wzdłuż ulicy Modrzewskiego do Ronda Mogilskiego; mieściła się naprzeciw kościoła Karmelitów Bosych, niedaleko Parku Strzeleckiego. Tu był końcowy przystanek linii nr: 5, 9 i 15.

Pozostały jeszcze do omówienia pętle w Nowej Hucie, wtedy, w latach 60-tych, jeszcze nie tak gigantycznie rozbudowanej dzielnicy, ograniczającej się do dzisiejszej starej Huty:

- na placu Centralnym. Była to pętla awaryjna, pewnego rodzaju bufor awaryjny.
- pod kombinatem HiL (Centrum Administracyjne), gdzie kończyła bieg „czwórka” zanim nie przedłużono tej linii do Walcowni.
- na Bieńczykach („Osiedle Teatralne”). Tu, w pobliżu dzisiejszego Ronda Bieńczyckiego, kończyła się stara Huta. Swój bieg kończyły tu tramwaje linii nr: 14 i 20.
- koło Kopca Wandy („Klasztorna”), na końcu ulicy Igołomskiej, gdzie znajdował się końcowy przystanek linii nr: 16 i 20.
- w Pleszowie koło Cementowni („Cementownia”), gdzie kończyły bieg tramwaje linii 14 i 15.
- koło Walcowni HiL („Walcownia”), dokąd dochodziły linie nr 4, 5 i 16.

Hutę znałem bardzo słabo i z tego okresu pamiętam jedynie pętle na placu Centralnym i pod Kopcem Wandy, dokąd zawiózł mnie tramwaj podczas pamiętnej, pierwszej w życiu wizyty w tej dzielnicy. Z czasem powstawały nowe pętle: na Widoku, Krowodrzy, w Nowym Bieżanowie, Mistrzejowicach, na Wzgórzach Krzesławickich i Kurdwanowie, a ostatnio także przy ulicy Golikówka w „Małym Płaszowie” oraz przy ulicy Czerwone Maki na osiedlu Ruczaj. Poniżej spróbuję zrekonstruować przebieg linii tramwajowych z początku lat 60.

1. Salwator – Rondo, a później Wieczysta
2. Salwator – Rakowice
3. Dworzec Towarowy – Rondo, później Wieczysta
4. Bronowice – Kombinat HiL, potem Walcownia (wcześniej Rondo)
5. Rondo, potem Dworzec Główny Wschód - Walcownia
6. Salwator – Płaszów, później Prokocim
7. Dworzec Towarowy – Grzegórzki, potem Dąbie
8. Borek Fałęcki – Bronowice
9. Rondo, potem Dworzec Główny Wschód – Płaszów, potem Prokocim
10. Łagiewniki stara pętla – Rondo, potem Wieczysta
11. Łagiewniki stara pętla – Rakowice
12. Rakowice – Bronowice
13. Bronowice – Płaszów, potem Prokocim
14. Osiedle Teatralne (Bieńczyce) – Kombinat HiL, potem Walcownia
15. Rondo, potem Dworzec Główny Wschód – Kombinat HiL, potem Pleszów (Cementowania)
16. Klasztorna (Kopiec Wandy) - Walcownia
17. Cichy Kącik – Rondo, potem Wieczysta
18. Cichy Kącik – Plac Wolnica, potem Dajwór
19. Dworzec Towarowy – Łagiewniki stara pętla
20. Bieńczyce (Osiedle Teatralne) – Klasztorna (Kopiec Wandy)
21. Salwator – Dworzec Towarowy.

Do roku 1959, co już ledwo pamiętam, wokół Plant kursował jeszcze tramwaj linii „0” z archaicznymi jeszcze składami.

Nie ukrywam, że odtwarzając przebieg dawnych linii po części korzystałem z pomocy Internetu, ale muszę stwierdzić z satysfakcją, że moja własna wiedza niewiele mijała się z tą historyczną.

Połączenie z Bronowic do osiedla Widok, z pętlą na tym nowo wybudowanym osiedlu, powstało pod koniec lat 70-tych, podobnie jak odcinek torów na alei Pokoju od pętli na osiedlu na Dąbiu do Ronda Kocmyrzowskiego. W tych czasach wybudowano też linię od ulicy Bohaterów Stalingradu (dziś Starowiślna) przez Planty Dietlowskie i Most Grunwaldzki, a następnie ulicę Kapelanka i Brożka, po nową pętlę na Łagiewnikach. Na przełomie lat 70-tych i 80-tych przedłużono też linię tramwajową od pętli w Prokocimiu do nowej na Osiedlu Nowy Bieżanów. W latach 80-tych poprowadzono jeszcze linię od Dworca Towarowego na Krowodrzę, a w połowie lat 90-tych od ulicy Wielickiej do Osiedla Kurdwanów, z pętlami na obu końcowych przystankach. Ostatnio, w roku 2010, pociągnięto też nitkę od Ronda Kotlarskiego po Mały Płaszów (ulicę Golikówka), a w roku 2012 do osiedla Ruczaj i Kampusu UJ.

W roku 2014 oddano o użytku estakadę tramwajową, również przystosowaną do ruchu rowerowego oraz dla pieszych, przebiegającą w sąsiedztwie Bagrów, która połączyła ulice: Wielicka oraz Lipską i skróciła czas przejazdu od strony Prokocimia oraz Kurdwanowa do Ronda Kotlarskiego o około kilka minut. Ja osobiście miałem spore wątpliwości co do celowości tego przedsięwzięcia, mając na uwadze choćby tylko stosunkowo niewielkie korzyści czasowe i ogromny koszt inwestycji, nie mówiąc już o niekorzystnym wpływie na krajobraz i ekosystem Bagrów, ale teraz zmieniłem zdanie. Natomiast nadal czeka na nowe rozwiązanie ruch samochodowy w tym fragmencie Krakowa, który trudno będzie rozwiązać bez kolejnych wielkich nakładów.

Wiele zmieniało się też w Hucie, gdzie w latach 70-tych i 80-tych wybudowano wiele nowych osiedli bądź rozbudowano stare (tramwaj przedłużono m.in. do pętli w Mistrzejowicach).

Pod koniec lat 80-tych było już 24 numerowanych linii, których numeracja trwała niezmiennie przez lata, mniej więcej do początku XXI wieku. Linia numer 22 biegła z Łagiewnik na Wzgórza Krzesławickie, linia 23 gdzieś w Hucie, a linia 24 z Borku Fałęckiego na Nowy Bieżanów.

Niestety dziś częste zmiany przebiegu tras tramwajów i ich numeracji są prawdziwą zimą dla mieszkańców Krakowa, więc trudno komentować zachodzące zmiany, bo po prostu nie można za nimi nadążyć. Wiele ze starych linii zostały w ogóle zawieszonych (jak np. 21), a dla większości znanych do niedawna numerów zostały wyznaczone całkiem nowe trasy. Dziś w zasadzie zmianie nie uległy jedynie trasy tramwajów o numerach: 2, 4, 5, 7, 8, 13 i 19. W czasach mojego dzieciństwa i młodości numery i trasy starych, historycznych linii praktycznie się nie zmieniały, a dziś, kiedy potrzebuje skorzystać z usług tramwajów, które, co trzeba obiektywnie przyznać kursują bardzo przykładnie i punktualnie, sam mam czasem problemy, zwłaszcza od początku roku 2013, kiedy kreatywność miejskich urzędników ZiKIT w mieszanju w tej materii osiągnęła twórcze apogeum, co zwłaszcza dla ludzi starszych jest sporym problemem. Ale takie mamy czasy urzędniczej kreatywności, która coraz częściej przybiera groteskowe formy. Wiem, że czas ucieka, realia się zmieniają, miasto się błyskawicznie rozrasta, ale takie radosne mieszanje w numeracji liniami nie powinno jednak mieć miejsca i jakiś dawny szkielet powinien być zachowany. Może wystarczy już historii i moich nad nią refleksji.

Dodam jeszcze tylko, że od około roku 1960 roku czasem, tak dla zbitcia nudy, wypuszczaliśmy razem z Mamą i bratem w podróże do tych co bardziej odległych pętli tramwajowych; zapamiętałem eskapady do: Płaszowa w okolice dworca, Borku Fałęckiego w bliskości Solvay'a i na Grzegórzki, do początku ulicy Grzegórzeckiej, w sąsiedztwo kina Związkowiec. Tak poznawaliśmy egzotyczne dla nas przedmieścia Krakowa, a takim wyjazdom zawsze towarzyszył dreszczyk emocji, wszak było to taaaak daleko. Nie zmienia to faktu, że w tym czasie wielu dzielnic Krakowa po prostu nie znałem.

Pamiętam też pierwszą w życiu jazdę do Nowej Huty nowym tramwajem linii nr 4. Wydarzenie to miało miejsce gdzieś około 1960 roku, może nawet rok wcześniej, a stacją końcową była pętla koło Kopca Wandy. Wtedy to z okazji jakiegoś święta, chyba 22 Lipca, można było pojeździć darmowo i na przejażdżkę umówiliśmy się z kuzynem Włodkiem Kędryną i jego świeżo upieczoną żoną Jaśką, którzy w tym czasie często nas odwiedzali, wszak mieszkali nieopodal, przy ulicy Garbarskiej pod numerem 14.



Fot. nr 208. Kopiec Wandy - symbol dawnej wsi Mogiła. Legenda wiąże go z Wandą, córką Kraka. Ten wielce prawdopodobny kurhan może być współczesny Kopcowi Kraka Niewykluczone, że jest związany z osadą Mogiła I, czasami wiślańskimi i IX wiekiem.
(20.03.2009)

Mieszkali, to za dużo powiedziane, bo oni tam się po prostu gnieli w jednej przejściowej izbie na II piętrze oficyny. Oprócz nich mieszkali tam jeszcze: wujek Marcel, brat mamy z żoną Anną i ich najmłodszy syn Adam. Jak to młoda para zażywała uciech małżeńskich trudno sobie wyobrazić, ale takie jednak były realia mieszkaniowe w przeludnionym w tym czasie do granic możliwości Krakowie. Jaśka, pięć lat starsza, chcąc za wszelką cenę wydostać się Pcimia, rodzinnej wsi, zawładnęła przystojnym, młodym i niedoświadczonym 19-latkim, który właśnie był tam dłużej na delegacji. Na fali wielkiej miłości i namiętności doszło do szybkiego ślubu. Ale to właśnie dzięki nim pojechaliśmy do Nowej Huty, a dla mnie było to podwójne przeżycie: po pierwsze była to długa jazda nowym tramwajem, a po drugie pierwsza w życiu wizyta w mieście powstałym przy wielkim kombinacie im. Lenina, sławionym w radio socrealistyczną pieśnią i poezją. Jazda trwała z godzinę, a my z bratem z ciekawości byliśmy wręcz przyklejeni do szyby okna tramwaju.

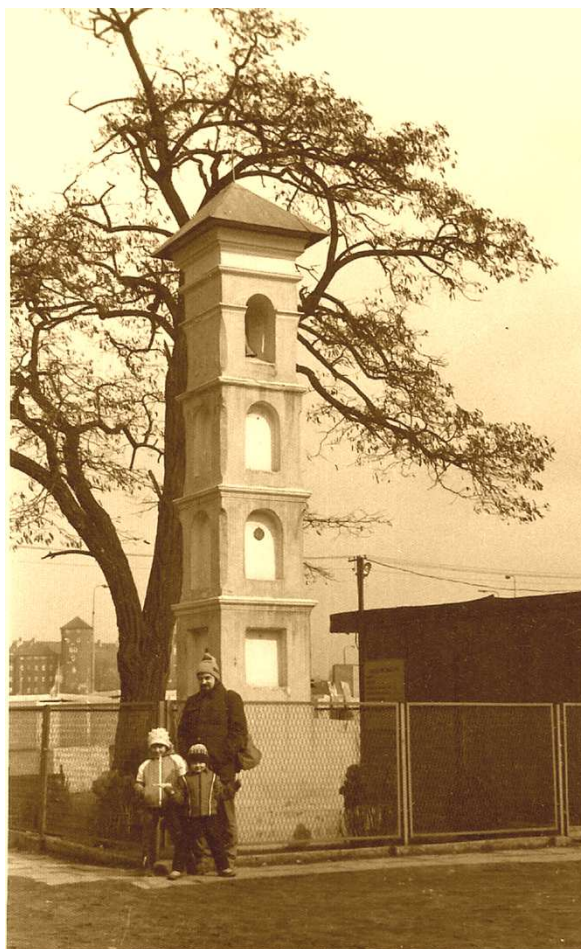
Na końcu dojechaliśmy w pobliże Kopca Wandy, z którego szczytu dobrze było widać dymiące kominy huty, a potem poszliśmy bodaj do pobliskiego klasztoru Cystersów w Mogile, w którego pobliżu wsiadaliśmy w powrotną drogę. Przeżycie było tak wielkie, że wycieczkę zapamiętałem na całe życie, choć byłem wtedy ledwie kilkuletnim bobasem. Obserwowanie jazdy motorniczych, z chrupiącym kręceniem przez nich korby w celu przyśpieszenia lub hamowania bądź zamaszystym zaciskaniem hamulców na przystankach, było moim ulubionym zajęciem.

Miejskich linii autobusowych nie pamiętam aż tak dobrze jak tramwajowych. Na początku lat 60-tych jeździło już sporo Ikarusów, z bratnich „Węgier” i czeskich „Karocy”, lecz później zaczynały dominować rodzime Jelcze i Sany. Były to jeszcze czasy, kiedy drzwi domykało się ręcznie, a w związku z tym w godzinach szczytu, przy dużym tłoku, czasem nie było siły by je zatrzasać. Wtedy wielu rzykantów, ludzi spieszących się do domu, wisiało na stopniach czy nawet na tylnych zderzakach pojazdu. Pojazdy były często bardzo przetłoczone i wysiadanie z nich nie było łatwe, co omal tragicznie nie zakończyło się dla mojej mamy ze mną na rękach, o czym przypomniał mi mój brat. Otóż nie wysiadła ona jeszcze do końca na przystanku koło AGH, kiedy autobus ruszył, więc wisieliśmy wychyleni na stopniach przez dobre 50 metrów po ulicę Reymonta, gdzie kierowca zaalarmowany pasażerów krzykami wreszcie stanął. W trakcie jazdy mama była podtrzymywana tylko przez jakiegoś mężczyznę i niewiele brakowało byśmy razem wpadli wprost pod koła. Ten horror ze zgrozą obserwowali: ojciec z bratem, którzy zdążyli wcześniej wysiąść.

Dla nas najistotniejsze były linie nr: 119, z Matecznego do dworca autobusowego oraz 114, z Górki Narodowej na Zakrzówek. Tą pierwszą jeździliśmy na Dworzec PKS, a stamtąd do Bilczyc, do naszej babci, a w przeciwnym kierunku nad Wisłę. Tu pod Wawelem wyłaniała się z Wisły piękna, piaszczysta plaża, gdzie często kąpaliśmy się i gdzie nauczyłem się pływać. Ta druga linia też wiodła przez Aleje nad Wisłę, a dalej poprzez Dębniki na Skały Twardowskiego, gdzie jako dzieci też często bywaliśmy. Jakże inna była to trasa od tej dzisiejszej, bowiem wiodła ona ulicami: Madalińskiego, Bałuckiego, Boczna (obok kapliczki, która stoi tam do dziś), a potem Twardowskiego, na której końcu, pod samym kamieniołomem, znajdowała się pętla. Pętla ta, zlokalizowana pod samymi Skałami Twardowskiego, choć niewykorzystywana przez komunikację miejską, istnieje do dzisiaj.

Kapelanka była w tym czasie boczna ulicą w stosunku do ulicy Twardowskiego, a cały ciąg drożny w kierunku Łagiewnik kończył się na ulicy Kobierzyńskiej, w okolicy Tandety. Ulica ta nie miała wówczas większego znaczenia komunikacyjnego, co dziś trudno sobie wyobrazić i jak przystało na lokalną drogę posiadała kiepską nawierzchnię.

Okolice wokół Skał Twardowskiego nosiła wówczas podmiejski charakter, a zagrody wokół ulicy Twardowskiego, a więc przy samych Skałach, były swoistym skansenem prowincjonalnej zabudowy parterowej z przełomu XIX i XX wieku, o wybitnie sielskim charakterze.



Fot. nr 209. Zabytkowa kapliczka słupowa, dawna latarnia, jeszcze przy ulicy Bułhaka, na skraju pętli autobusowej. (1988)



Fot nr 210. Nieistniejący już, ponad stuletni relikw Zakrzówka, stylowa chata z ulicy Twardowskiego 91, tu jeszcze w dość dobrym stanie z 2010 roku. Stąd było ledwie 200 metrów do dawnego kamieniołomu miejskiego na Skałach Twardowskiego. (2010)

W pobliżu pętli, po lewej stronie skalnej przepaści czynny był jeszcze kamieniołom miejski, w którym o godzinie 13 dokonywano regularnych odstrzałów urobku. Zbliżający się czas wybuchu kwadrans wcześniej oznajmiała syrena. Wówczas należało opuścić jego sąsiedztwo i oddalić się od kanionu za strefę zaznaczoną drutem. W bliskości czynnego jeszcze wyrobiska i sąsiadującego z nim po prawej stronie nieczynnego już kanionu poeksploatacyjnego, dostępnego dla ludzi, na przyległej do nich równinie pomiędzy ulicami Salezjańską i Zielną szumiały łany zbóż, które rozciągały się aż po osiedle wojskowe ("bloki") na ulicy Praskiej. Pośrodku pól uprawnych i przyległych do nich ogródków działkowych, licznych w tej okolicy, znajdował się duży staw rybny, pozostałość po dawnych wylewach Wisły. Skrajem wyrobiska prowadziła dawna droga forteczna (ulica Salezjańska), wiodąca do szańca skalnego (FS-29) wykutego na nadwiślańskiej skale, usytuowanego niemal naprzeciw przystani klubu wioślarskiego KKW-29, gdzie czasem docieraliśmy podczas naszych niedzielnych wypadów.

Cała ta okolica oglądana ze szczytu Krzemionek po widoczne w oddali kopce: Kościuszki i Piłsudskiego, miała wybitnie sielski charakter z wciskającymi się tu i ówdzie ogródkami działkowymi. Po drugiej stronie wzgórza na Skałach Twardowskiego, zwanego kiedyś Krzemionkami Dębnickim, funkcjonował inny, jeszcze większy kamieniołom, który dostarczał skałę wapienną do dawnego Solvay'a, wtedy Krakowskich Zakładów Sodowych i to w jego potężnej niecce („dziurze”) jest dziś piękny zalew. Kiedy w latach 80-tych zaprzestano eksploatacji wyrobiska, bowiem zlikwidowano KZS, na własne oczy, w trakcie wielu spacerów z moją małą córką, obserwowałam stopniowe, samoczynne zapełnianie się tej czeluści, które trwało dobre 10 lat, ale nawet w najśmielszych myślach nie przychodziło mi do głowy, że poziom wody podniesie się tak wysoko, co najmniej o 50 m.

Jeszcze do niedawna, zanim klub płetwonurków Kraken, który od UMK wydzierżawił fragment „fiordu” od strony ulicy Wyłom i stworzył tu iście obozowe zasieki, często się tutaj kąpałem, a pływając po powierzchni tej kryształowo czystej głębi odnosiłem wrażenie, jakbym przemieszczał się wzdłuż walijskiego klifu bądź norweskiego fiordu, bo tak bowiem piękne są z tego poziomu widoki, stąd moja prywatna nazwa tego miejsca: „krakowski fiord”.

Użyteczne dla nas były też linie nr: 102 i 152, prowadzące z Cichego Kącika do Lasu Wolskiego, ulubionego miejsca naszych niedzielnych i świątecznych wypraw. Z kolei dla Kopciowej, naszej byłej sąsiadki, najważniejsza była linia nr 130, której trasa wiodła z Azorów na plac Biskupi i było to wówczas jedyne połączenie tego peryferyjnego wówczas osiedla z centrum miasta.

Często, z racji wyjazdów do Bilczyc czy rzadziej na Klęczaną, korzystaliśmy z usług autobusów PKS. Na początku lat 60-tych funkcjonował już nowo wybudowany dworzec autobusowy, zlokalizowany naprzeciw dworca PKP, niedawno przeniesiony tam z Placu Św. Ducha, którego ja już nie pamiętam. Dziś i ten drugi już nie istnieje, bo pochłonęła go Galeria Krakowska, a cała okolica zmieniła się nie do poznania. Zniknęła niezbyt wprawdzie piękna, bo bardzo zaniedbana, ale na swój sposób ciekawa niska zabudowa końcowego fragmentu ślepej kiedyś ulicy Pawiej, która w sąsiedztwie dworca PKP istniała od czasów galicyjskich i tworzyła tu specyficzny zakątek o charakterze podmiejskim.

Najwygodniej było tu nam dojechać autobusem linii 119, spod AGH. Bilety na autobus PKS kupowało się w kasach dworca, ale jeśli już ich nie było na dany kurs, można było próbować liczyć na łaskę konduktora i miejsca stojące. Wówczas konduktorzy byli ważniejszymi osobami w pojeździe niż kierowcy, których w zasadzie nic nie obchodziło poza prowadzeniem autobusu i ewentualnie otwieraniem bagażnika. Przy powszechnych w tych czasach tłokach to właśnie konduktorzy decydowali kogo wpuścić do środka na pośrednich przystankach, a komu zatrzasnąć drzwi przed nosem. Dlatego zawsze lepiej było wsiadać na przystanku początkowym mając numerowany bilet. Konduktor siedział w swoim fotelu koło kierowcy bądź w tych starszych autobusach przy jego końcu i tam sprzedawał bilety, a następnie kasował je specjalną maszynką. Powinien wybić dwie dziurki: jedną na numerze przystanku, na którym pasażer wsiadał oraz drugą, dotyczącą miejsca jego wysiadki. I tu sporo konduktorów próbowała sobie jakoś dorabiać, sprzedając bilety nieskasowane, zwłaszcza na tych mniej ruchliwych trasach, jak choćby na kierunku Gdów – Kraków, a potem delikatnie prosili o ich zwrot, by móc sprzedać je powtórnie, już na lewo. Bali się wprawdzie kontrolerów, którzy czasem niespodziewanie wpadali na pośrednich przystankach i sprawdzali prawidłowość dziurkowania, ale chęć dorobienia dla wielu z nich była silniejsza niż strach. Mama najczęściej zgadzała się na ten proceder, zdając sobie sprawę z kiepskich zarobków konduktorów, których w tym czasie pracowała cała armia. Konduktorzy mieli najwięcej roboty w dni targowe, gdy do autobusów wciskały się „przekupy”, jak nasza babcia, z koszykami na plecach oraz na rękach i te skutecznie blokowały ruch w ciasnych przejściach między siedzeniami. Wówczas pieniądze za przejazd były często podawane ponad głowami stojących w tłoku pasażerów, a bilety czasem w ogóle nie wracały, wzbogacając kieszeń konduktora. „Przekupom” przeważnie nie zależało na bilecie, wszak często jechały tylko jeden lub dwa przystanki i konduktorom dobrze było żyć z nimi w zgodzie, więc w dni targowe autobusy były najczęściej przesadnie zakleszczone i nieraz nie sposób było się precyzyjnie do wyjścia; w przypadku kontroli tłok działał na ich korzyść.

Przy jeździe od strony Krakowa takie ludzkie „ludzkie” korki pojawiały we wtorki od przystanku w Wieliczce, gdy właśnie kończył się jarmark, a więc około południa. Podobne blokady tworzyły się co drugą środę na przystanku w Gdowie, po zakończeniu miejscowego targu, ale do takich niedogodności byli tu wszyscy przyzwyczajeni, wszak targi czy bardziej po galicyjsku jarmarki, były częścią życia codziennego. W poniedziałki odbywały się one w Myślenicach, we wtorek w Wieliczce, we środę (na przemian) w Gdowie i Łapanowie, a w czwartek w Bochni; gdzie był w piątek nie pamiętam, może w Dobczycach? Krakowski Kleparz też miał swoje główne dni handlowe, bodaj we wtorek i w piątek.

Może pokrótce opiszę trasę autobusu PKS do Bilczyc, oczywiście z początku lat 60-tych. Jako dzieciak bałem się jazdy autobusem, gdyż były one wiecznie przeładowane, a przy wsiadaniu, zwłaszcza w okresie wakacyjnym, często obowiązywały prawa dżungli. W kolejce zwykle panował ogromny tłok i o dobrym miejscu decydowały: łokcie i siła fizyczna. Czasami nawet posiadanie numerowanego biletu nie gwarantowało miejsca siedzącego, bo to było już przez kogoś zajęte, a wyklócanie się po prostu nic nie dawało, wszak konduktor był zablokowany przez napierający tłum i nie miał możliwości na interwencję. Ponadto z racji wyczerpywania się biletów na określone kursy nieraz trzeba się było długo naczekać na ten pierwszy wolny przejazd, a dworzec był ciasny, duszny i mało przytulny. Często, zwłaszcza w wakacje, przyjeżdżaliśmy na dworzec mocno doładowani i przed zajęciem miejsc siedzących musieliśmy korzystać z bagażnika autobusu, co było dodatkowym kłopotem i utrudnieniem przy wsiadaniu. Po tych wszystkich przeszkodach i stresach wysiadka z autobusu na końcowym dla nas przystanku, w Bilczycach, przynosiła wielką ulgę i radość. Potem już tylko dwieście metrów spaceru i ponowne zagoszczenie w naszej sędziwej chałupie, w której nasza ukochana Babcia na wszystko nam pozwalała.

W tym czasie kursowało sporo autobusów marki FIAT, którymi bardzo lubiłem jeździć, choćby z uwagi na komfort jazdy. Nigdy nie zapomnę nocnej jazdy z przyciemnionymi wewnątrz pojazdu światłami o kolorze granatu. Z czasem jednak zaczęły dominować pospolite Jelcze, mniej wygodne i bardziej głośnie, ale dość mocne. Na krótszych i płaskich trasach dominowały jeszcze stare Skody i hałaśliwe oraz niewygodne Sany z Sanoka, które jednak miały słabe silniki i wyraźnie „puchły” na wzniesieniach. Zapychano też nimi komunikację miejską w małych miastach. Mama dobrze знаła docelowe przystanki autobusów przejeżdżających przez Gdów, do których należało wsiadać na dworcu. Nazwy niektórych z tych miejscowości brzmiały dla mnie trochę egzotycznie, zwłaszcza: Zakliczyn, Stadniki, Łapanów, Skrzydlna, Kamionna, Góra Jana, Lipnica Murowana, Wilkowisko, Wiśniowa, Szczyrzyc czy Zbydniów.

Pierwszy przystanek, na żądanie, znajdował się na Matecznym, a potem, po minięciu Bonarki i przyległego do niej wysypiska śmieci, wkraczało się już w typowo podmiejski krajobraz z szumiącymi łąkami: Woli Duchackiej, Prokocimia czy Piasków Wielkich, gdzie były kolejne przystanki na żądanie.

Tu, gdzie dziś stoi budynek Technikum Elektrycznego, a więc na rozwidleniu ulic: Kamieńskiego i Wielickiej, gdzieś do połowy lat 60-tych rozciągał się rozległy staw, porośnięty szuwarami. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że w pobliżu przystanku Prokocim, usytuowanego na wysokości dzisiejszej ulicy Wolskiej, niedługo powstanie wielkie osiedle mieszkaniowe Na Kozłówce, którego budowę rozpoczęto gdzieś po połowie lat 60-tych. Wtedy, na początku lat 60-tych, dominowały tu jeszcze łąny i łąki, na których pasły się krowy. Niedługo osiedle usytuowane na górze Kozłówka, które otwarto w roku 1967, zaczęto w żargonie zwać „Kozłówkiem”. Wokół kościoła w Starym Prokocimiu, a więc po lewej stronie dawnego bocheńskiego „gościńca”, rozciągały się działki i niskie zabudowania, typowe dla przedmieścia. Przed 1960 rokiem nie kursował tu jeszcze tramwaj, bo kończył on bieg na stacji w Płaszowie. Potem dochodził już do pętli w Prokocimiu powstałej tuż za kościołem, obok dawnych zabudowań dworskich i ogródków działkowych, wówczas jeszcze na podkrakowskim odludziu. Szpital w Prokocimiu powstał dopiero około 1965 roku, podobnie jak samotny blok dla personelu po przeciwnej stronie ulicy, wtedy jeszcze w „szczyrych polach”. Dla obsługi szpitala, wtedy będącego na „końcu świata”, została uruchomiona linia autobusowa nr 103 biegnąca z Azorów przez Aleje. Przed 1965 rokiem na wysokości późniejszego szpitala zlokalizowany przystanek Piaski Wielkie, a jeszcze dalej Rząka, oba na żądanie. Wokół nich na piaszczystych glebach rozciągały się pola uprawne tych dawnych podkrakowskich wsi, które włączono do Krakowa dopiero w czasie okupacji hitlerowskiej, w roku 1941.



Fot. nr 211. Stara chałupa z ul. Wielickiej 249, niemy świadek czasów sprzed pół wieku, gdy często ją widziałem z okna autobusu PKS jadącego w kierunku Gdowa. (2009)

Na rozległych łąkach, gdzie dziś stoi stacja benzynowa CPN, do połowy lat 70-tych urzędowali Cyganie, którzy mieli tu rozbity tabor ze swymi wozami na kołach. Zawsze zalatywał stąd zapach dymu z palonych ognisk, a na tej wolnej i odludnej przestrzeni dzieci Cyganów wiodły swój beztroski żywot nie zdając sobie jeszcze sprawy, co ich spotka za piętnaście lat. Pośród sielskiego krajobrazu rozciągającego się po obu stronach drogi docierało się wkrótce do Wieliczki.

W obrębie Wieliczki znajdowały się trzy przystanki: przy wjeździe, obok dużego budynku mieszkalnego, teraz wiem, że tzw. Domu Śląskiego (na żądanie), koło szkoły i cmentarza (Wieliczka - Szkoła) oraz przy wylocie na Gdów, przy figurze i dawnej ochronce (Wieliczka - Lednica).

Dalej droga na Gdów wiodła obok starych chat, z których sporo było jeszcze krytych strzechą. Z uwagą obserwowałem typowo wiejski krajobraz z pachnącymi polami i pastwiskami oraz przydrożnym figurkami i kapliczkami. Autobus pokonywał kolejne wzniesienia i mijał kolejno: Przebieczany, Biskupice, z majestatycznym kościołem na wzgórzu, by dotrzeć do Trąbek, z niebezpiecznym zakrętem na ich końcu. To tu, gdzieś w lecie w połowie lat 60-tych, zdarzył się tragiczny wypadek, gdy robotnicza „buda”, przeładowana ludźmi jadącymi do pracy, zjeżdżając zbyt szybko po śliskiej trasie, nie wyrobiła na zakręcie i wylądowała w fosie, czego skutkiem były nawet ofiary śmiertelne. Asfalt na tej drodze był kiepskiej jakości i nieraz, zwłaszcza w upalne dni, przyklejał się do kół, a przez jezdnie ciężko było przejść na drugą stronę.



Fot. nr 212. Dom z łązan z okazałym gankiem, relikw dawnej zabudowy okolic Krakowa, usytuowany w sąsiedztwie drogi do Gdowa. (2010)

Potem, na kolejnym wzgórzu, były już łązany z pięknym kościółkiem w tle i wielkim, dworskim sadem na zboczu po prawej stronie, dziś dawno już wyciętym, zaś na lewo, w dole, rysowały się zabudowania sennych Wiatowic. Przed nami na kolejnym wzgórzu z lewej strony drogi pojawiał się rozległy las jawecki. Jadąc z góry łązańskiej trzeba było pokonać szczególnie niebezpieczny podwójny zakręt, przed którymi mama zawsze polecała nam zmówić modlitwę: „Kto się w opiekę”, co miało chronić nas od nieszczęść. A potem do pokonania były tylko trzy góry: w Jawczycach, na Krzyżowej, już w Bilczycach i na bilczyckim „Pagorku”, gdzie znajdował się nasz docelowy przystanek.

Po drodze mama często opowiadała nam historię, widać zasłyszana w rodzinnym domu w Podolanach, jak to kiedyś po przydrożnych pagórkach: od Krakowa, przez Biskupice, łązany i Stryżową, a dalej w kierunku Łapanowa, skakał olbrzym w siedmiomilowych butach.

Dzięki szczególnie częstym odwiedzinom moich ukochanych Bilczyc w moim dzieciństwie sporo najeździłem się autobusami i dlatego wcześniej znałem już na pamięć wszystkie przystanki przy drodze do Gdowa, nieraz wykrzykiwane w autobusie na głos przez konduktora bądź wypowiedanego przez mojego brata, który umiał już czytać. Namarginesie warto jeszcze dodać, że konduktorzy posiadali w tych czasach niezbyt ciekawe służbowe umundurowanie w stalowym kolorze, które na klapach marynarki miało jakieś złote naszywki, a na dodatek nosili tego samego koloru czapki z daszkiem

Transport mikrobusowy, wtedy jeszcze mało widoczny, był zdominowany przez stopniowo udoskonalane „Nyski”. Były one wygodne w środku, ale niezwykle „krowiaste”, wszak wyposażone w silnik Warszawy, a ich wygląd powoli ewoluował od baniastych po kształty bardziej geometryczne. Ten rodzaj przewozu nie był powszechnie dostępny, gdyż Nyski były używane głównie do przewozu prominentnych osób: partyjnych towarzyszy, ważnych figurantów z przedsiębiorstwach państwowych czy oficjeli ze związków zawodowych bądź zjednoczeń. Czasem w Bilczycach udało się „załapać” na taki mikrobus, gdy wracał pusty z dalszej trasy, zapewne po odwiezieniu jakichś ważnych „notabli” i wtedy kierowca chętnie „brał łepków”, chcąc sobie dorobić. Trzeba przyznać, że jak na te czasy była to wyjątkowo komfortowa jazda, niestety rzadka.

Do połowy lat 60-tych liczną rzeszę chłoporobotników do pracy w mieście dowożono samochodami ciężarowymi, głównie niemieckimi Hordami czy rodzimymi Starami. Były one przystosowane do przewozu ludzi, wszak na „pace”, wzdłuż jej korpusu, ustawione było kilka rzędów drewnianych ławek, a tył pojazdu, zwłaszcza zimie, był przykrywany brezentową plandeką. Latem, gdy było gorąco, jazda może była przyjemna, ale w zimie, gdy trzeszczał mróz i hulał wiatr, taka podróż była nie do pozazdroszczenia. Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale tak było. Hordy były lepsze, bo miały mocniejsze silniki, a nasze ówczesne Stary były słabiotki, hałaśliwe i dymiące niczym lokomotywy. Podobnie jak Sany miały słabe, rodzime silniki i „puchły” pod każdą górką. Jazda pojazdem nie była zbyt trudna, bo lokalne drogi często świeciły pustkami.

Do przewozu towarowego służyły Żuki, takie ciężarowe siostry Nysek, ale w pierwszej połowie lat 60-tych nie jeździło ich jeszcze za wiele. Żuki wytwarzano w Lublinie, Nyski zaś, zgodnie z nazwą, w Nysie. Te niespełna „tonówki” były wykorzystywane do celów zaopatrzeniowych głównie w przedsiębiorstwach państwowych. „Paki” takich Żuków często, po bokach, były wyposażone w drewniane ławki, dzięki czemu dobrze służyły przygodnym pasażerom, którzy nazbyt długo oczekiwali na autobus i chętnie korzystali z tzw. „okazji”, zwłaszcza przy dojazdach na stosunkowo niewielkie odległości. Autobusy PKS nie jeździły za często i kierowcy Żuków, zwłaszcza za miastem, mogli nieźle dorobić do swej lichej, państwowej pensji. Rzadko widywało się też wersje Warszawy przerabianej na towarowe „trucki”.

Samochody osobowe, najczęściej Warszawy i Syreny, jeździły z rzadka, a ich właściciele, najczęściej ludzie dobrze sytuowani, nie chcieli przewozić („brać”) przypadkowych ludzi.

Parę słów o pociągach. W tych czasach na szlaki kolejowe nieubłaganie wkraczały pociągi elektryczne i spalinowe. Ale ciuchci ciągle jeździło sporo o czym można się było przekonać przechodząc przez wiadukt nad ulicą Warszawską w kierunku Cmentarza Rakowickiego. We wczesnym dzieciństwie, wstyd się przyznać, pociągami nigdy nie jeździłem, gdyż nie było takiej potrzeby, choć lokomotywy zawsze pociągały mnie swoim majestatem i potęgą. Moim skrytym marzeniem, nigdy niezrealizowanym, było wtedy posiadanie kolejki elektrycznej, ale takie zabawki były zdecydowanie za drogie jak na kieszeń mamy.



Fot. nr 213. Skromny domek z końca ulicy Zarzecze (nr 117), przykład podmiejskiej zabudowy Bronowic Małych sprzed pół wieku. Tędy przechodziliśmy podczas naszej „wyprawy” do Mydlnik na wiosnę 1965-go roku. (06.09.2010)

Pierwszą podróż koleją elektryczną odbyłem ze stacji w Mydlnikach, dokąd doszliśmy podczas spaceru, co miało miejsce na wiosnę 1965 roku. Ale w wakacje tego roku trafił mi się następny przejazd koleją i to jaki, bo aż do Muszyny, gdzie pojechałem na kolonię. Jazda trwała 7 godzin, a na trasie od Tarnowa wlekała się „ciuchcia”. Ileż radości sprawiało mi oglądanie parowozu na licznych zakrętach toru, gdy na moment pojawiał się on na początku składu. Nadmierną ciekawość przypląciłem chwilową kontuzją oka, gdy wpadł mi do środka niewielki węgielek z lokomotywy.

Ta podróż, po raz pierwszy w życiu „ciuchcią”, może to dzisiaj zabrzmieć śmiesznie, była wtedy dla mnie autentycznym przeżyciem, którego nie zapomina się do końca życia. Zawsze czułem słabość do potęgi parowozów, a będąc na wakacjach w Dobrej nie mogłem się nasycić widokiem przejeżdżających tu pociągów, które kursowały po nasypie nad doliną rzeki Łososinki i dźwiękiem wydawanych przez nich odgłosów. A wlekały się tędy i pociągi osobowe i długie składy towarowe na trasie z Chabówki do Limanowej, wszystkie ciągnięte przez parowozy, więc doprawdy było na co popatrzeć, a do rytuału należało wtedy liczenie ilości wagonów w składach towarowych. Zwłaszcza, gdy do Chabówki powracały puste cysterny po paliwach tych wagonów było naprawdę dużo. Od czasów galicyjskich nic się tu nie zmieniło, nawet budynek stacji kolejowej mógł zachwycać swoim dawnym urokiem.



Fot. nr 214. Stara ciuchcia, dziś już tylko eksponat przed budynkiem stacji kolejowej w Płaszowie. Miłość do dymiących parowozów wyssałem chyba z mlekiem Matki. (2010)

Jeszcze dwa słowa o lotnictwie. Pewnie mało kto już pamięta, że do początku lat 60-tych, bodaj do roku 1963, samoloty lądowały jeszcze na lotnisku w Czyżynach. Było to dawne lotnisko wojskowe, które powstało przed I wojną światową i wówczas nosiło ono nazwę: Czyżyny – Rakowice. Na początku lat 60-tych przestrzeń między Krakowem, a Hutą była całkiem wolna, niezabudowana przez żadne osiedla, a wokół Czyżyn rozciągały się jeszcze pola uprawne. I tylko nieco później powstał tu Park Kultury i Wypoczynku. Przeniesienie lotniska do Balic, gdzie wcześniej znajdowało się lotnisko wojskowe, było sporym szokiem dla pasażerów, gdyż w tych czasach wydawało się, że ta podkrakowska miejscowość leży niemal na końcu świata, a i dojazd tam nie był łatwy. By ułatwić komunikację została uruchomiona linia autobusowa nr 208.

Decyzja ta szybko zaowocowała dużym ruchem budowlanym na terenach przyległych do lotniska i dawnego fortu „Pszorna”, który w latach 50. podzielił los wielu innych, cennych dzieł obronnych Twierdzy Kraków. Tu od połowy lat 60-tych zaczęły powstawać nowe osiedla mieszkaniowe: Olsza II, Wieczysta czy Ugorek. Dziś w miejscu starego portu lotniczego mieści Muzeum Lotnictwa, a jego widocznym świadectwem jest stary hangar i zachowane do dziś pasy startowe, które dobrze wytrzymują próbę czasu. Niestety wolne tereny wokół lotniska, kiedyś praktycznie mi nieznane, podlegają ostatnio gwałtownej, by nie rzec chaotycznej zabudowie i ten graniczny kiedyś szeroki pas odgradzający Kraków od Nowej Huty, szybko się zapełnia. Obrzeża Krakowa bezlitośnie zalewa „beton”, który stopniowo zatyka wszelkie dawne korytarze przewietrzania centrum miasta, coraz dotkliwiej niszczonego przez smog.

VIII. Życie codzienne młodzieży

Może na początek mała dygresja. Lata 60-te nie były łatwym okresem ani dla samej młodzieży, ani dla jej zwykle zapracowanych rodziców, wszak znaczna część tego powojennego pokolenia wywodzącego się z wyżu demograficznego wychowywała się „na polu”, poza ciasnymi z reguły mieszkaniami i stąd nieraz wymykała się spod ich kontroli. Trzeba jednak przyznać, że bardzo pozytywny wpływ na jej wychowanie wywierała szkoła, gdzie kadra nauczycielska w większości pochodziła jeszcze z okresu przedwojennego i w znacznej części prezentowała wysokie walory moralne oraz była przywiązana do dyscypliny, która czasem objawiała się większą represyjnością w stosunku do uczniów, np. stawianiem ich do kątów czy sporadycznie: biciem linijką po rękach bądź wykręcaniem uszów. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że w porównaniu z dzisiejszymi czasami młodzież męska zdecydowanie rzadziej używała wulgarnego języka, szczególnie w miejscach publicznych, jeśli już to w ustronnych zakątkach, bo bała się reakcji starszych czy funkcjonariuszy MO, nie mówiąc już o strachu przed nauczycielami i szkołą, a brzydko mówiących dziewczyn praktycznie się nie spotykało, bo taki był kanon. Piękny, polski język dominował w prasie, radio i telewizji i doprawdy trudno jest mi się dziś pogodzić z tym zalewem chamstwa i obcych naleciałości we wszystkich publikatorach. Zdecydowana większość z nas miała wręcz we krwi ustępowanie osobom starszym miejsc siedzących w tramwajach, autobusach czy w parku na ławkach, a jeśli już komuś było się jakoś ciężko podnieść skutecznie działała zdecydowana reprimenda ze strony dorosłych, którzy nie bali się jak dziś, zabierać głosu. Ja jeszcze dziś podrywam się na równe nogi na widok matek z dziećmi, kobiet czy osób starszych, co pozostało mi po dawnym wychowaniu, podczas gdy znaczna część współczesnej młodzieży jest zapatrzona tylko w siebie: zaczytana w Internecie na ekranach swych „komórek” czy smartfonów, zaśluchana w hałaśliwą muzykę, która wydobywa się ze słuchawek zainstalowanych w uszach, podsypiająca bądź dla spokoju zapatrzona w szybę i nawet kaleka czy starzec nie robi na nich wrażenia. A niech ktoś spróbuje zwrócić uwagę. Oczywiście ta uwaga nie dotyczy ogółu, ale niestety sporego ułamka młodego pokolenia. Nie chcę więcej marudzić, bo ponoć mamy lepsze czasy. Gdzie zatem podziały się dawne wzorce wychowania?

W czasach mojego dzieciństwa i młodości życie sporej części młodzieży upływało w duchu sportowym. Sport stanowił dla wielu z nas znaczący składnik życia codziennego, a ja po prostu żyłem sportem w każdej postaci czy to czynnie uprawiając przeróżne dyscypliny, czy śledząc wydarzenia sportowe, zarówno w prasie, jak i w radio czy później w telewizji. Pewnie dzięki ruchowi udało mi się wyrosnąć bez większych dolegliwości zdrowotnych, choć klimat mojego mieszkania był pod psem i do dziś staram się być ruchowo czynny, co pozostało mi „we krwi”.

Miałem wielki i naturalny talent sportowy, może po ojcu lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, po biologicznym dziadku - Andrzeju Bujaku, nieformalnym ojcu mego taty, znanym obrońcy Wisły z lat 1910-1923, zwłaszcza do gier zespołowych, które wymagały zaawansowanej, indywidualnej techniki, a ponadto byłem wszechstronnie wysportowany, co dodatkowo ułatwiało mi szybkie uzyskiwanie wysokiego poziomu danej dyscypliny, choć warunki fizyczne miałem nader skromne. Dziś, gdy w sporcie wyczynowym dominują dwumetrowe olbrzymy, specjalnie wyselekcjonowane „brojlery”, pewnie byłbym skreślony już na starcie.

Tak na marginesie, o moim dziadku więcej piszę w „Sadze rodu Grabowskich z Bilczyc i Liplasa koło Gdowa” - patrz załącznik na końcu opracowania, bo postać to była nietuzinkowa. Jego nieco przelukrowany, a przy tym niepełny biogram znajduje się na stronie Historia Wisły - http://historiawisly.pl/wiki/index.php?title=Andrzej_Bujak).



Fot. nr 215. Moje zdjęcie z legitymacji szkolnej. (ok. 1967)

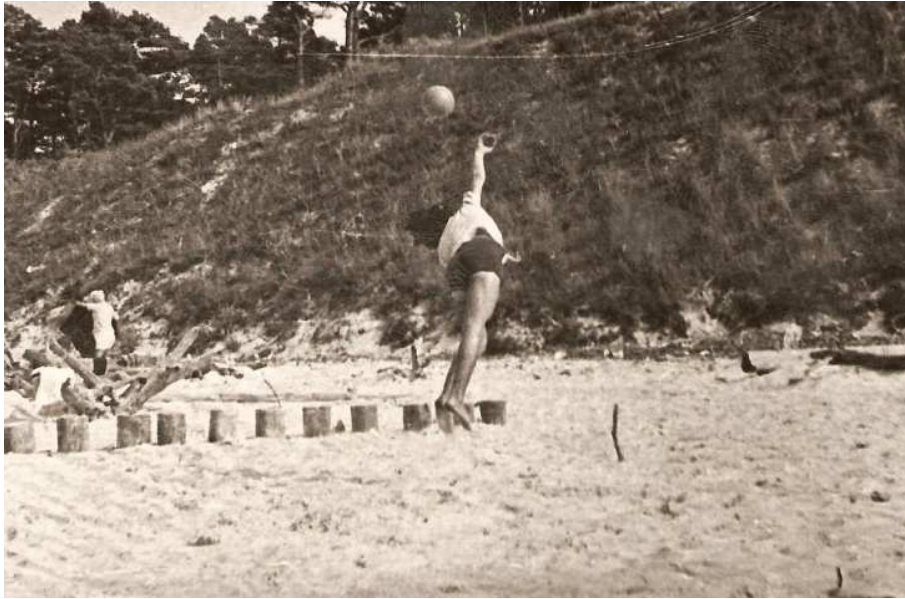
Pewnie osiągnąłbym w sporcie sporo sukcesów, zwłaszcza w mojej ukochanej dyscyplinie – piłce nożnej, do której miałem szczególne predyspozycje, gdybym był większym życiowym „twardzielem”, ale mnie niestety cechowała wrodzona nieśmiałość i nieumiejętność aklimatyzowania się w nowym, nie zawsze przyjaznym otoczeniu. Nigdy nie lubiłem jeździć na kolonie, bo tam w nieznanym mi środowisku czułem się zagubiony, a swoją nieśmiałość przełamywałem dopiero po jakimś czasie. Brat nazywał mnie „maminym synkiem” i sporo było w tym prawdy, wszak od wczesnego dzieciństwa, nawet do połowy lat 60-tych, byłem „przyklepiony” do matki, przy której to jedynej osobie zawsze czułem się pewnie i bezpiecznie. Nieśmiałość i zawstydzenie, a z czasem pewnie i zakompleksienie, okazywałem też w stosunku do sporej części dorosłych, zwłaszcza tych lepiej sytuowanych, czyli z tzw. „wyższych sfer”. I taka niepewność siebie pozostała mi jeszcze przez sporą część mego dorosłego życia, a udało mi się ją przełamać dopiero w późniejszym wieku, gdy z roku na rok podnosiłem swój poziom wiedzy ogólnej i w każdym otoczeniu byłem w stanie zabrać głos w dyskusji. Jako młokos ceniłem swoich dobrze wypróbowanych przyjaciół: „Grubasa”, Jacka Gędłka czy braci Siedleckich i w tym gronie byłem sobą, na luzie i bez jakiegokolwiek onieśmielenia.



Fot. nr 216 (216-218). Moje bramkarskie popisy na plaży w Ustce. (1971)

Chociaż w tym czasie nie ustępowałem poziomem sportowym wybitnie uzdolnionym kolegom szkolnym z „szóstki”: Markowi Kuście, późniejszemu znanemu piłkarzowi Wisły czy Adamowi Nence, przyszłemu piłkarzowi Cracovii, w dyscyplinie tej „kariery” nie zrobiłem. Tak się jakoś złożyło, że nie miał mnie kto wprowadzić do tego nowego i nieznanego mi środowiska, a ja dla świętego spokoju wołałem się tam nie pchać. No cóż tak było, życia się już nie zmienia, ale niedosyt pozostał i długo dawał o sobie znać, zwłaszcza w czasach studenckich. Ale prawdę mówiąc, patrząc dziś na stosunki panujące w pełni komercyjnym sporcie i brutalizację zmagania bynajmniej tego nie żałuję.

Miałem wszak kilka okazji by na dobre rozpocząć treningi w dobrym klubie, bowiem dostrzegano moje nieprzeciętne uzdolnienia techniczne. Pierwszy raz w Cracovii, dokąd zaciągnął mnie Marek Pstrós – „Łysy”, mój dożgonny przyjaciel. Dzięki niemu na krótko zaaklimatyzowałem się w jednej z drużyn juniorów tego klubu i grałem na wiodącej pozycji: rozgrywającego, z szansami na szybki awans, ale miejsce Bronisława Karolusa, miłego i ludzkiego trenera, zajął Czesław Szeliga, człowiek pewny siebie i gburowaty, który swoimi autorytarnymi wypowiedziami szybko mnie do siebie zraził, więc wołałem uniknąć tej nieciekawie zapowiadającej się współpracy. A z mojego pokolenia wybiło się w Cracovii kilku kolegów, w tym wspomniany Adam Nenko, mój późniejszy kolega z technikum czy jego młodszy brat Witek. Adam miał tu swój wzlot za czasów Michała Matyasa, wspaniałego trenera Cracovii, kiedy awansował do pierwszej drużyny, niestety na krótko. Na pewno zaszkodził mu nadmiar pieniędzy, a jeszcze bardziej nazbyt gwałtownie rosnąca popularność i niestety szybko uderzyła mu do głowy „woda sodowa”. Wkrótce był zmuszony twardo wrócić na ziemię już do normalnej i mozolnej pracy zaopatrzeniowca. Wielu z moich bliskich przyjaciół bardzo żałowało tego zmarnowanego talentu, bo kolega z niego był super.



Fot. nr 217. Na plaży w Ustce. Zdjęcie wykonane przez nieżyjącego już Krzyśka Kohuta. (1971)

Mój talent został dostrzeżony na turniejach „dzikich drużyn”, organizowanych w latach 60-tych przez Wisłę, w których występowałem dwa razy. Za pierwszym razem, w 1969 roku, moja drużyna – Karolingowie, ze wspomnianym już „Łysym”, z którym graliśmy prawie na pamięć, Jackiem Zaraską i Markiem Tarnowskim, pseudonim „Kapo” - kolegami z klasy z Technikum Energetycznego, Jankiem Lachowiczem, kolegą Jacka z ulicy Sarego i innymi kolegami z „Piasku”: Jurkiem Godfrydem (bramkarz), Romkiem Węgierskim i Jurkiem Noworytą, jak burza dotarła do ćwierćfinału, gdzie pechowo przegrała (2:1) z późniejszym tryumfатorem imprezy, a ja miałem tu swoje najwyższe wzloty i strzelałem piękne, często decydujące o zwycięstwie bramki. Nigdy nie zapomnę, jak w ostatniej minucie decydującego dla nas o dalszym awansie meczu „wyłożyłem” piłkę Jackowi Zarasce na 2 m przed pustą bramką, a ten spudłował. Gdyby dopełnił formalności byłoby 2:2 i karne, dzięki którym wygraliśmy już dwa pierwsze spotkania. Po tym meczu długo nie mogłem ochłonąć i odmówiłem nawet udziału w pamiątkowym zdjęciu, gdyż takie to ogarnęła mnie wściekłość. Takie wtedy miałem zacięcie do sportu, a jak przystało na prawdziwego sportowca interesowała mnie tylko wygrana.

W następnym roku w naszej drużynie, mocno już przemeblowanej, niepotrzebnie zagrał Jacek Dycyan, wcześniej niezgłoszony, który na dodatek przekroczył limit wieku i tak mimo dwóch efektywnych zwycięstw zostaliśmy wykluczeni z dalszych rozgrywek. Wtedy jednak wyszukiwacze talentów z Wisły zaproponowali mi treningi w zespole juniorów tego klubu, ale tylko mnie, a ja nie znając tam nikogo, a ponadto słysząc, jak ciężko jest się tam zadomowić, znów się wystraszyłem i odpuściłem. Była to moja ostatnia życiowa szansa, niestety bezpowrotnie zmarnowana.



Fot. nr 218. Moja robinsonada na plaży w Ustce (1971) po strzale Janusza Domagały.
W tyle Zbyszek Kohut, syn kierownika obozu.

Wolałem więc grać w tym czasie w „ręczną” w młodzikach Wawelu, gdzie pod koniec lat 60-tych, pod okiem mgr Juliana Adamskiego, późniejszego znanego trenera tej dyscypliny, ćwiczyłem z dobrze znanymi mi kolegami z byłej już podstawówki, głównie o rok i więcej młodszymi, jak: Bodzio Feldman, Adam Tomczyk, Czesiek Włodarz czy rówieśnikami: Pawłem Stempskim, Romkiem Bocheńskim, Jurkiem Godrydem czy Andrzejem Płonką, ale i tu niebawem zrezygnowałem, bo po dwóch latach treningówostałem już jako jedyny o rok starszy od większości dalej grających chłopaków i niebawem musiałem się przenieść do drużyny juniorów, a tam też nikogo nie znałem. Wawel w tym czasie grał I lidze, a ja byłem rozgrywającym, dobrze już wyszkolonym technicznie, też z szansami na szybki awans. Trenerem seniorów, wówczas pierwszoligowej drużyny „Wojskowych”, gdzie prym wiodł znakomity Jan Gmyrek, był Bogusław Fulara, świetny fachowiec i człowiek z wielkim autorytetem.

Dalej dużo grałem w „nogę”, ale już dla czystej przyjemności, choć poziom sportowy stopniowo podnosiłem. W pierwszych czterech latach mojej edukacji w TE zawsze najwięcej czasu poświęcałem na sport, pewnie nazbyt wiele, więc do nauki specjalnie się nie przykładałem, choć byłem dobrym uczniem, ale nie orłem; no cóż, w tym czasie miałem inne życiowe pryncypia. Czas upływał, a ja ciągle marzyłem, że kiedyś mimo wszystko zostanę znanym sportowcem, co bez zmiany mojej mentalności i bez łutu szczęścia nigdy nie mogło się ziścić.



Fot. nr 219. Wspomnienie hali WKS Wawel przy ulicy zwierzynieckiej. (NAC - 1933)

Przełomem w moim życiu, czym wybiegnę nieco w przyszłość, był rok 1972, kiedy powołany na komisję wojskową dostałem kategorię A, a nie miałem najmniejszej ochoty trafić do tej instytucji, jakże obcej mojej filozofii życiowej. Postanowiłem przysiąc nad książkami, by dostać się na studia i porzuciłem wtedy raz na zawsze marzenia o wielkim wyczynie. Jako człowiek ambitny szybko nadrobiłem braki w nauce i wkrótce stałem się wyróżniającym się uczniem, zwłaszcza z zakresu matematyki i fizyki, w przeszłości przedmiotów bardzo przeze mnie nielubianych. Nie przeszkodził mi w tym fakt, że w Technikum mieliśmy wyjątkowo „cienką” matematyczkę, którą była pani Halina O., nasza wychowawczyni. Raz nawet ewidentnie splamiła się wobec całej klasy stwierdzeniem, że pierwiastek kwadratowy może mieć wartość ujemną i długo się przy tym upierała, czemu nie pomogło nawet pokazanie jej definicji z książki Leitnera. Studia na AGH, na Wydziale Górniczym, poszły mi jak po maśle i ukończyłem je z wyróżnieniem, choć profesja górnika - przeróbkarza nigdy mi nie pasowała, a samo górnictwo i związana z nim otoczka, mam tu głównie na myśli tradycje i zwyczaje, były mi całkiem obce. Mimo to przez długie jeszcze lata patrzyłem na sport wyczynowy z nostalgią, z poczuciem życiowego niespełnienia. Przeszło, minęło, nie wróci.

Ale jakże inny był to sport od dzisiejszego. Wielu sportowców uprawiało go dla własnej przyjemności, często przy okazji innych zajęć. Gdzieżbym dziś, przy swoim wzroście 173 cm, miał szansę na grę np. w piłkę ręczną, którą to dyscyplinę zdominowały „brojlery”, nadludzie o wzroście powyżej 190 cm, a w koszykówkę czy w siatkówkę grają przeważnie „monstra” o wzroście grubo powyżej 2 metry. Ja „kurdupelek” i wielu mnie podobnych, uprawialiśmy kiedyś sport dla autentycznej satysfakcji i też potrafiliśmy stwarzać piękne widowiska, choć w naturalnej, a nie sztucznie przewymiarowanej skali, czemu dziś jest winna wszechogarniająca nas komercja. Z czasem uzmysłowiłem sobie, że taki nienaturalny sport nie ma sensu i dziś dużo rzadziej oglądam relacje ze sportowych imprez. Piłka nożna stała się niezwykle agresywna i ostra, a pieniądz, który rządzi sportem, często wypacza wynik rywalizacji. Tego nie akceptuje i nie zamierzam się temu przyglądać, a ponieważ nie umiem oglądać rywalizacji sportowej bez autentycznej emocji, tedy odwracam się od systematycznego jej śledzenia, może z wyjątkiem ukochanej piłki nożnej, którą lubię oglądać, ale tylko w najlepszym wydaniu, a nie w wykonaniu krajowej „mizerii”. Kiedyś chodziłem na mecze piłkarskie z przyjemnością, dziś atmosfera stadionów mnie przeraża i skutecznie od nich odpycha. Pół wieku temu najbardziej obraźliwymi wulgaryzmami pod adresem arbitra piłkarskiego były okrzyki: „sędzia kalosz” czy „sędzia kanarki doić”. Jak to dziś wygląda – lepiej nie rozwijać tematu. Nie mogę też zaakceptować powszechnego inwigilowania wszystkich wchodzących na stadiony, w tym prawdziwych kibiców, ludzi ze szronem na głowie, którzy bez identyfikatorów nie mają szansy wejścia na stadion. Tyle mojego życiowego credo na temat sportu.

A teraz wróćmy do lat 60-tych, najpiękniejszego okresu mojego dzieciństwa. Miejscem do sportowego wyżycia się był plac, wtedy Hanki Sawickiej, popularnie zwany „skwerkiem”, usytuowany na zbiegu ulic: Czystej, Dolnych Młynów i Krupniczej. Służył on okolicznej dzieciarni za miejsce spotkań, gdzie w kurzu grało się w piłkę, najczęściej gumianką, „zośkę”, jeździło na rowerze bądź spotykało z się dziewczynami.

Byłem więc członkiem pokolenia wychowanego na „podwórkach”, a także na ulicach i placach, czym nie pasowałbym do kryteriów przyjętych przez Jarosława Kaczyńskiego, który dla elektoratu związanego z ojcem Rydzykiem i jego butną świtą związaną z Radiem Maryja, a więc znaczącego odłamu konserwatywnych, polskich katolików, zawsze przeświadczonych o swojej nieomyślności i totalnie nietolerancyjnych wobec ludzi o innych poglądach i przekonaniach, jest niezmiennie wielkim autorytetem. Nie zmienia on swych poglądów, odkąd pospołu ze swoim nieżyjącym już bratem, Lechem, ukazał się na scenie politycznej w solidarnościowej otocze i nadal jest „wielkim wodzem” IV RP oraz nigdy nieomyślną wyrocznią współczesności, choć z drugiej strony politykiem faktycznie wrażliwym na sprawy społeczne i aspekty socjalne. Wielce kontrowersyjna to postać – chrześcijańsko narodowy radykał oraz radykalny antykomunista o antyrosyjskiej fobii, z drugiej strony jakby lewicowy idealista o dużej wrażliwości społecznej.

Niestety po dostąpieniu zaszczytów o podwórkowym pochodzeniu szybko zapomniał „miłościwie nam (do niedawna) panujący” Donald, który w końcowym okresie swych rządów stylem rządzenia coraz bardziej przypominał Władimira Putina. Jak to bywa z politykami, z czasem stracił po nogami twarde grunty na rzecz bujania w obłokach unijnej demagogii i bajania o „zielonej wyspie” dobrobytu, w czym wspierała go wszechpotężna świta, bez zmian deklarująca swoje solidarnościowe i chrześcijańskie korzenie. Dziki kapitalizm znalazł w III RP u wielu „baronów” życiodajne podłoże, a rządowi „pijarowcy” i nigdy nieomylny IPN skutecznie zastraszyli PRL-em młode pokolenie, konsekwentnie ukazując tylko jedną jego stronę medalu, tą ciemną. I ta buta oraz pewność siebie przyczyniły się do końca rządów coraz skorumpowanej PO. Chcieli, więc mają – trudno ów ich żałować. A wszystko to mogło się wydarzyć za sprawą całkowitej rozsyпки w II dekadzie XXI wieku polskiej lewicy i braku ugrupowania o preferencjach socjaldemokratycznych, który to kierunek zawsze był mi w polityce zawsze najbliższy. Osobiście staram się unikać polityki, ale pewnych zjawisk trudno nie skomentować. Co nas czeka w najbliższych latach, po roku 2019? Proszę mi wybaczyć tą wycieczkę do współczesności, która jakoś naturalnie wypłynęła przy okazji pisania tego fragmentu tekstu.



Fot. nr 220. Plac (już) księdza Mieczysława Kuznowicza i dobudowany fragment szpitala im. J. Dietla. (16.10.2008)



Fot. nr 221. Widok na dawny plac Hanki Sawickiej i przyległy do niego fragment ulicę Krupniczej z dawną Bursą księdza Mieczysława Kuznowicza w tle. (03.09.2010)

Na placu Hanki Sawickiej, który pośród nas był powszechnie zwany placem „Hanki Dyrdy”, co było zasługą Leona Izdebskiego – Wuja, naszego nauczyciela od chemii ze Szkoły Podstawowej nr 6 bądź Józefa Czekajowskiego, szkolnego mistrza od matematyki, nagminnie grywano też w „zośkę”, dziś grę już prawie zapomnianą. Wystarczyły dwa kółka nakreślone patykiem na placu lub kawałkiem cegły na asfalcie bądź chodniku oraz niepozorna „zośka” i gra szła na całego.

Do wykonania „zośki” potrzebne były trzy składniki: kłębek krótko przyciętej włóczki, najlepiej puszystej, kwadratowy kawałek sprasowanego ołowiu, w którym pośrodku gwoździem wybijało się dwie dziurki oraz metalowy drucik. Owym drucikiem, po przeciągnięciu go przez dziurki, zakręcało się równo ułożony kłębek włóczki tuż nad powierzchnią ołowianego kawałka i teraz trzeba było tylko roztrzepać włóczkę. Była to niby prosta technologia, ale wśród nas byli mistrzowie od wykonywania perfekcyjnych „zosiek”, które powinny być odpowiednio ciężkie, a przy tym puszyste. Takim artystą był m.in. „Gruby”.

Mnie szło z tym znacznie gorzej, choć nieraz próbowałem to czynić i w tym celu podkradałem mamie włóczkę z jej mahoniowego pudełka z pomocami krawieckimi: nożyczkami, drewnianym grzybkiem do cerowania, napastrkiem, nićmi, przedzami, tasiemkami, gumami do majtek, guzikami i guziczkami, zatrzaskami, haftkami i agrafkami oraz igłami i szpilkami, które jako dzieci wraz bratem oskubaliśmy z pięknych złoceń, zepsuli w nim zawiasy i wydłubali zamek, ale nadal służyło jej przez „wieki”. Taka to była dla mamy cena za luksus posiadania choćby chwili spokoju, gdy dwójka jej urwisów nigdy nie słabła w inwencji twórczej i była w ciągłym ruchu niczym porażona ADHD.

W samej grze chodziło o to, by wbić „zośkę”, którą kopał w górę w twoim kierunku przeciwnik, do jego kółka. Musiała się ona znajdować w powietrzu, bo kopanie z ziemi było zabronione. Mistrzowie tej gry po jej przyjęciu od przeciwnika czy to stopą, czy kolanem, czy wreszcie piersią bądź nawet głową, efektownie ją „kapkowali”, czyli podbijali stopą do góry, często dziesiątki razy, zanim nie wbili jej do kółka zaskoczonego przeciwnika. Mistrzem w „kapkowaniu” był Kazek Walczyk, mój kolega z podstawówki. Również i ja należałem do okolicznej czołówki w tej grze, a w klasie skutecznie rywalizowałem właśnie z Kazkiem, co było dla mnie o tyle łatwiejsze, że przez całe lata, wręcz bez opamiętania trenowałem z „Grubym” i jego bratem („Chudym”) na podwórku jego kamienicy przy Alei Mickiewicza 15. W „zośkę” grywałem do końca podstawówki, później ta gra szybko zanikła. Sama gra stała się popularna pod koniec lat 50-tych i była ulubionym zajęciem dla pokolenia wyżu demograficznego, które nie mogąc się pomieścić na podwórkach kamienic wylegało na ulice i na wszelkie wolne placyki. Najczęściej byli to mieszkańcy przepelnionych mieszkań, suterren i poddaszy. Na naszym skwerku często bywało aż czarno od podrostków oraz mniejszej dzieciarni i nie łatwo było znaleźć bodaj odrobinę wolnego miejsca dla tej gry, więc z konieczności kreśliło się kółka na chodnikach i ulicach, które były wtedy o wiele mniej ruchliwe.



Rys. 222. Tak wyglądałem w 1968 roku podczas wakacji Bilczycach.
Jak na aparat AMI wyszło całkiem wyraźne zdjęcie.

Dla odmiany, z czasem ulubionym zajęciem dziewcząt, tzn. w latach 70-tych, zaczęła się stawać gra „w gumę”, czyli przeskakiwanie na przeróżne sposoby przez naciągniętą pomiędzy kolanami dwóch pańienek, zszytą w całość gumę do majtek. Równie popularna w tym kręgu była skakanka, która też dawała wielkie pole do popisu. W ogóle PRL-owskie podwórka były fenomenem tego czasu, wszak tętniły pełnią życiem towarzyskiego, co dziś trudno sobie wyobrazić, a zawarte tu przyjaźnie pozostawały na długie lata i nawet żadna nachalna demagogia tego nie wypaczy, bo zbyt wielu ludzi wspomina to z autentyczną nostalgią.

Jeszcze trudniej było się dostać do drużyny piłkarskiej, wszak na skwerku były tylko dwa „niby” boiska i naraz mogło tam grać najwyżej z dwunastu chłopaków. Nieraz, już jako mikrus, „zahaczałem” się jednak w drużynie „starszaków”, w której brylował Marian Michalik, starszy brat Krzyśka, mego rówieśnika, na początku jako bramkarz, potem obrońca, wszak wszyscy mnie już tu znali jako dobrego kopacza. Bramki do gry stanowiły ławki do siedzenia, a o te bezcenne rekwizyty zawsze toczyły się zacięte boje pomiędzy starszymi osobami, które nie mogły znaleźć sobie miejsca do odpoczynku i zaciekle grającymi zawodnikami, którym ich obecność wyraźnie przeszkadzała. A dla małej dzieciarni po prostu nie było tu za wiele miejsca, choć z boku stały tu dwie piaskownice, bo była tu zbyt gęsto zaludniona, ruchliwa i niebezpieczna przestrzeń publiczna.

W latach późniejszych, zwłaszcza zaraz po skończonych lekcjach, zamiast wracać do domu nieraz zakorzeniałem się tutaj na dłużej, gdyż tak pasjonowała mnie gra w piłkę. Do domu docierałem późno, zmordowany i cały zakurzony, gdzie od razu dostawałem wymówki od matki, której dawno już wystygł obiad. Również idąc na naukę angielskiego do pana Matusiaka czasem nie mogłem się oprzeć pokusie, pozostawałem na skwerku i kopałem do upadłego, do czego oczywiście nie mogłem się matce przyznać, bo ta fundowała mi prywatne lekcje za 60 zł na miesiąc. Oczywiście te dwa ostatnie nauki na niewiele się zdały, bo zaległości pogłębiały się z każdą bumelką i nieraz musiałem świecić oczami przed kolegami, z którymi tam chodziłem, jak i zdegustowanym nauczycielem, który nic nie mógł ze mnie wyciągnąć. Ale takie stałe bumelki miały miejsce dopiero w ostatniej klasie SP, kiedy docierałem tam, na II piętro oficyny przy ulicy Czarnowiejskie 1, z reguły tylko raz w miesiącu, by uregulować należną opłatę. W końcu zaczęło mnie gryźć sumienie, więc sam zrezygnowałem z nauki pod koniec VIII klasy, bo zdałem sobie sprawę, że tak dalej kłamać mamy nie można. W sumie języka tego uczyłem się prawie cztery lata i coś tam w głowie mi pozostało, a ten zastrzyk wiedzy przydał się potem na I roku studiów.

Sport i związana z tym możliwość wyżycia się stanowił dla mnie i wielu młokosów z mego pokolenia sens i radość życia. Gra w ukochaną piłkę i jeżdżenie rowerze, którego posiadanie było marzeniem każdego młodego chłopaka, stanowiło podstawę mego dobrego samopoczucia. Kolarstwo w dobie Wyścigów Pokoju było sportem niezwykle popularnym, oglądanym przez wszystkich z zapartym tchem, a i rowery były w tym czasie w miarę dostępne. Jednak mojej mamy długo nie było stać na zakup roweru i nasze marzenia spełniły się dopiero gdzieś w 1965 roku, kiedy trafiła do nas „młodzieżówka” kupiona w sklepie sportowym na ulicy Szewskiej 20, z przeceny, za 500 zł. Na tym tle dochodziło w naszym domu do wiecznych kłótni i utarczek, bo starszy brat jako silniejszy nie za bardzo chciał mi dać pojeździć, czym doprowadzał mnie do wściekłości. W tym czasie pragnieniem każdego chłopaka było mieć rower wyścigowy na „szlaufrafenach”, cienkich sportowych oponach. Nie były one jednak zbyt praktyczne zważywszy na ówczesny stan naszych dróg i częste związane z tym ich przebicia. Ale w połowie lat 60-tych wśród młodzieży panował prawdziwy szal na punkcie tych „wyścigówek”.



Fot. nr 223. Na „młodzieżówce” Warta przy ulicy Tynieckiej w sąsiedztwie Góry św. Piotra w Pychowicach, chyba gdzieś w lutym 1966-go roku. W tyle leży „drogówka” Grubego, który wykonał to zdjęcie aparatem marki DRUH.

Wybór wśród rowerów był duży: polskie „Huragany” po 2400 zł, czeskie „Favoritki” po 2800 zł czy niemieckie „Diamanty” też po 2800 zł. W sklepach sporadycznie pojawiały się też „Jaguary”, na których to rowerach miała jeździć polska kadra, w cenie po 3200 zł. Były to wtedy naprawdę spore pieniądze, ale chęć zaszpanowania takim rowerem przez niektórych młokosów była tak wielka, że wielu z nich wymuszało kupno takich „cacek” na swoich zwykle niezbyt zamożnych rodzicach. Tak też, gdzieś na wiosnę 1966-go roku, uczynił mój brat. Dla zaspokojenia jego przesadnie wygórowanych zachcianek mama „musiała” mu kupić na tandecie „Huragana”, co wiązało się z wydaniem ogromnej, przynajmniej jak na jej możliwości sumy, bodaj 1400 złotych, choć on twierdzi, że częściowo dołożył się do tej sumy. Może tak było, choć ja sobie tego nie przypominam, a może po prostu zawodzi mnie pamięć, w każdym bądź razie ja do tego roweru nigdy nie miałem dostępu, ale za to bez ograniczeń mogłem odtąd jeździć na młodzieżówce, choć ta niestety nagminnie zaczęła się psuć.

W ogóle mój brat bywał niezłym „aparatem”. Już jako dwunastoletni młokos dla wymuszenia swoich żądań potrafił walić garami o podłogę, a matka dla świętego spokoju wołała tolerować takie zachowania i przeczekać takie agresywne występkę; tak ponoć też doradzał psycholog w przychodni na placu Sikorskiego, gdzie mama ukradkiem przed bratem zaglądnęła. Niestety w naszym domu brakowało twardej ręki ojca, na dodatek matka zawsze hołdowała zasadzie, pewnie nie do końca słusznej, że życie i tak już wystarczająco dało nam w kość, więc nie ma sensu dodatkowo nas dręczyć. Efekt był taki, że z czasem zdominował on cały dom, a ja nie chcąc stwarzać dodatkowych napięć i w trosce o zdrowie matki zazwyczaj starałem mu się ustępować, gdyż po prostu nie miałem innego wyboru, choć z pewnością też często nie byłem święty. Tak działo się do 1976 roku, kiedy wreszcie zaczęliśmy mieszkać osobno, ale pewne przyzwyczajenia pozostały mu jeszcze na długo, o wiele za długo. Pewnie i ja mu czasem dobrze doskwierałem, zapewne już jako dzieciak, o co przez całe życie ma do mnie pretensje, wszak mama zwykle zlecała mu opiekę nade mną, młodszym bratem, co okresami mogło być dla niego uciążliwym zajęciem, ale nie zmienia to faktu, że nigdy nie pasowaliśmy do siebie i z czasem każdy z nas miał własne towarzystwo i m.in. dzięki czemu nie dochodziło dodatkowych scysji.

Ja z czasem musiałem się zadowolić „Maratonem”, nieco gorszym rowerem, który kupiłem w 1969 roku w komisie na ulicy Brackiej 3 za (bodaj) 1200 zł, ale za własne pieniądze, które stanowiły całoroczne oszczędności ze stypendium, które otrzymywałem w Technikum Energetycznym. W przeciwieństwie do mego brata, który starał się wymuszać swoje żądania, ja nie miałem sumienia drzeć na siłę pieniędzy od naszej wiecznie zapracowanej matki, ledwo wiążącej koniec z końcem. Mój rower miał wprawdzie „tylko” trzy tryby w przerzutce i grubsze, normalne opony, ale dla moich potrzeb był i tak idealny, a ponadto był to wreszcie mój własny rower. Dla porównania „Huragan” miał pięć trybów w przerzutce i dwa lub trzy tryby w tarczy pedału. Jeździłem na nim przez cztery lata, zaliczając w tym czasie cztery coroczne obozy rowerowe nad morzem, które zapamiętam do końca życia. Zjeździłem wówczas całe wybrzeże Bałtyku: od Świnoujścia, po Krynicę Morską, dodatkowo biwakując w takich kurortach i miastach, jak: Świnoujście, Międzyzdroje, Kołobrzeg, Mielno, Darłówek, Ustka, Łeba, Jastrzębia Góra, Władysławowo, Jastarnia, Gdynia, Stegny i Krynica Morska oraz zwiedzając dodatkowo: Trzęsacz, Kamień Pomorski, Ustronie Morskie, Darłowo, Rozewie, Gdańsk, Sopot, Sztutowo czy Malbork. Obozy te były prowadzone przez przepocziwego mgr Zygmunta Kohuta, ojca kolegi z klasy, niedawno zmarłego kierownika warsztatów w Technikum Energetycznym, które mieściły się na Bronowicach, przy ulicy Wesele. Była to dla mnie prawdziwa szkoła życia, o ileż lepsza niż wojsko, a jak wiele pozostało po stych eskapadach wrażeń. Opisuję je w innym opracowaniu: „Moja przygoda z Technikum Energetycznym w Krakowie w latach 1968-73”, które jest dostępne na forum MBC, które kilka razy już uzupełniałem i korygowałem.

Mieć rower, jakaż to była frajda. Z „Grubym”, „Kaniorem”, Jackiem Gędkiem czy innymi kolegami z kamienicy, objeżdżaliśmy całą najbliższą okolicę: Kopiec Kościuszki, Las Wolski aż po Kopiec Piłsudskiego, wtedy „Kopiec na Sowińcu”, tracąc na podjazdach i serpentynach ostatnie siły. Zaliczaliśmy też Skałę Kmity czy Tynec. Początkowo na wydzieranej bratu młodzieżówce, potem już na własnym Maratonie spędziłem na rowerze z „ćwiartkę życia”, jakże radosnego i pełnego entuzjazmu.

Skwerek nie mógł pomieścić wszystkich chętnych do gry w piłkę, którą w naszym żargonie zwało się też „gałą”, więc często z grupą znajomych lub całą klasą szło się kopać do Parku Jordana lub na Błonia. Dziś, gdy widzi się puste Błonia, na których kiedyś trudno było znaleźć wolne miejsce na boisko i gdzie po wydeptanych ścieżkach jeździły dziesiątki rowerów, niełatwo jest mi zrozumieć zmianę młodzieńczej mentalności. Wtedy, zapewne wobec braku innych uciech i zabaw, jakże zdrowa była to forma spędzania czasu, a ponadto uprawianie sportu i doskonalenie własnych umiejętności sprawiało autentyczną radość. Jakże szczerze, prawdziwie i zadziorne było ówczesne współzawodnictwo sportowe. Kto wtedy myślał o pieniądzach i komercji? Chodziło jedynie o chęć autentycznego zabłyśnięcia czy zaimponowania innym własną klasą. W Wawelu, w nagrodę za rozegrany mecz piłki ręcznej (w kategorii młodzików oczywiście), czasem dostawało się butelkę oranżady.



Fot. nr 224. Współczesny widok Błoni z wylotu okolicy ulicy Oleandry. Kiedyś wydeptywali je zacięcie grający piłkarze, dziś trzeba je strzyc. W tle dwa Kopce: Kościuszki i Piłsudskiego. (07.01.2012)

Grało się na całych Błoniach z wyjątkiem odcinka koło stadionów: Zwierzynieckiego, Juwenii i pętli w Cichym Kąciku, bo tam królowały krowy i sporo było „placków, a na dodatek rosło tu mnóstwo kłujących stopy ostów. Nieraz pokłułem się tam w dzieciństwie na owych nieszczęsnych ostach, kiedy regularnie hasałem po Wielkiej Łące na boska i niechęć do tego fragmentu Błoni pozostała mi na całe życie.

Raz w życiu, w siódmej klasie, udało mi się zagrać na boisku Zwierzynieckiego, gdzie doszło do spotkania piłkarskiego między naszą klasą 7A, a kolegami z 7B. Wtedy nasi przeciwnicy, którzy mieli bardzo mocny skład, bo grali w nim: Adamem Nenko, Waldek Gabryś, strzelec jedynej bramki i moi późniejsi serdeczni koledzy z Technikum Energetycznego, wspomniani już „Łysy” oraz Marek Jagła – „Jaguta”, pokonali nas: z „Grubym” w bramce, Kazkiem Walczykiem w obronie i Kaniorem w pomocy 1:0, ale po zacieklej walce, rewanżując się tym samym za porażkę 2:1, jakiej doznali pięć lat wcześniej, w drugiej klasie. Ten pierwszy mecz był rozegrany na wydeptanym fragmencie Błoni pomiędzy dawną Płachtą i wylotem dzisiejszej ulicy Reymana, a „słupki” bramek stanowiły kupki z ubrań.

W Parku Jordana też było kilka boisk z metalowymi bramkami i tu też rozegrane zostało niejedno ważne spotkanie klasowe. My graliśmy najczęściej w rogu parku, w pobliżu Jordanówki i Oleandrów, obok dawnego domu parkowego, jego stróża. Pamiętam, że w siódmej klasie pokonaliśmy mocny zespół klasy 6B, z Kitą, Prządą, Kolbkiem i pewnie już Kustą w stosunku 3:0, a ja grałem wtedy z poważnym urazem golenia, co jednak nie przeszkodziło mi strzelić bramkę, a dwie pozostałe zdobył Janusz Morawski, obie z moich podań, w tym jedną głową.

Tutaj też w 1967 roku zremisowaliśmy 1:1 z mocnym zespołem klasy 8B, z Kullandą, Szymachą, Wojnowskim, Adamem Możdżeniem i Jurkiem Wilkiem (pseudo „Wilu”), najmłodszym z trójki braci zamieszkałych w oficynie jednopiętrowej kamieniczki przy ulicy Garncarskiej 6, których ojciec miał tam jednoosobową pracownię krawiecką. Cóż to były za emocje! Potem rozpamiętywało się te mecze tygodniami i w szkole, i na skwerku, wszak w trakcie ich trwania nieraz dochodziło do gwałtownych kłótni o jakieś sporne sytuacje, gdyż sędziami byliśmy sami i nieraz często było o pełny obiektywizm.

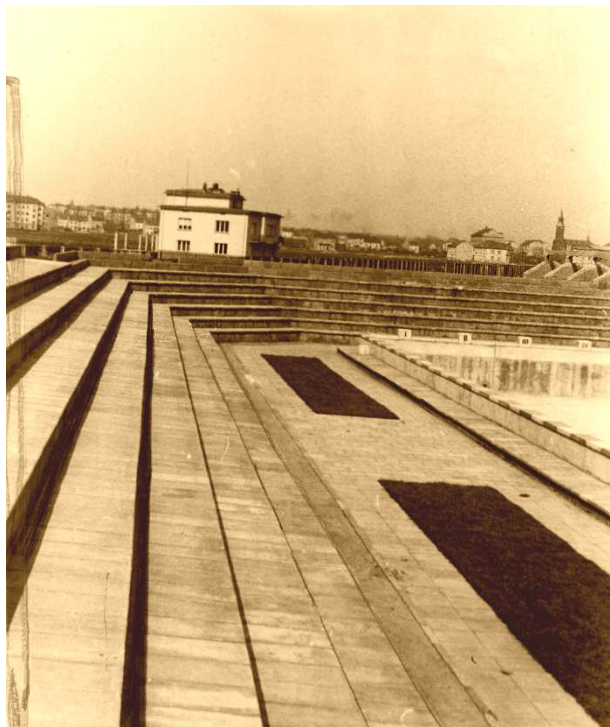
Oprócz jeżdżenia na rowerze i gry w piłkę nożną sporo letniego czasu, zwłaszcza po zamknięciu plaży na Wiśle pod Wawelem, spędzało się pływając na basenach.

We wczesnych latach 60-tych chodziło się na basen Cracovii, bowiem letni basen Wisły został oddany do użytku dopiero gdzieś w 1967 roku, a basen Wawelu, usytuowany obok stadionu piłkarskiego przy ulicy Bronowickiej, znajdował się za daleko. Kąpielisko Cracovii było wtedy najbardziej ulubionym miejscem kąpielowym w Krakowie. Patrząc na archiwalne, przedwojenne zdjęcia dostrzegłem, że nad tą głęboką jego częścią kiedyś znajdowały się: trampolina i wieża. Wokół basenu sportowego zostały wybudowane, jakby w formie tarasów, kamienne schodki, kiedyś przeznaczone dla widowni, w naszych czasach służące do rozłożenia koca i opalania się.

Wierzyć się nie chce, że przez okres ćwierćwiecza III RP kompleks basenów stał się kompletną ruiną, tylko do rozbiórki, a przecież jeszcze w połowie lat 80-tych, gdy chodziłem tu z córką, miejsce to tętniło pełnią życia. Niestety w III RP zbyt łatwo ulega zniszczeniu dorobek poprzednich pokoleń, co dotyczy również pięknego, niedawno wyburzonego stadionu lekkoatletycznego, którego otoczenie początkowo pochłonęły krzaki, a teraz powstał tu sześciopiętrowy, trójskrzydłowy gigant mieszkaniowy pod nazwą Błonia Park. Stworzenie warunków do zabudowy w miejscu tego kompleksu sportowo-rekreacyjnego, jakim był stadion I.a. który przed II wojną światową wypieścili nam nasi dziadowie i pradziadowie stał się możliwy dzięki działaniom na zasadzie swobodnego układu i jest to moim zdaniem największy „przekręt” w czasach III RP na terenie Krakowa. Przy okazji zostały wyburzone ciekawe pod względem architektonicznym budynki dawnych szatni.

W roku 2016 został zrównany z ziemią teren basenów – „przyszedł walec i wyrównał”, ale przynajmniej tutaj wyremontowane zostały budynki: dawnych szatni i pomieszczeń mieszkalnych, a w miejscu basenów ma powstać jakiś kompleks sportowo-rekreacyjny. Co tu powstanie, czas pokaże.

Na początku lat 60-tych obiekt ten znajdował się w doskonałym stanie. Były tu trzy baseny: brodzik dla dzieci, stumetrowka dla młodzieży, o maksymalnej głębokości 170 cm i wyczynowy, 50 metrowy, ten ostatni o głębokościach: 220 i 460 cm.

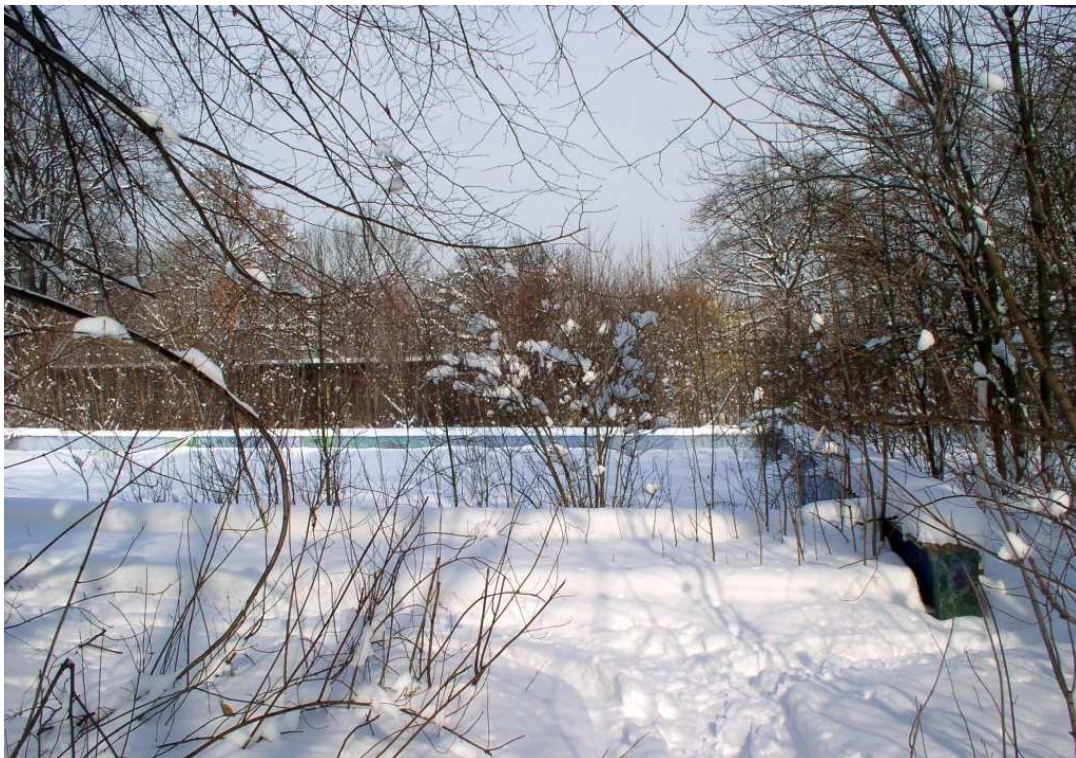


Fot. nr 225. Niemal nowy basen głęboki (460/220 cm), ze słynnymi schodkami, w ujęciu w stronę ulicy Reymonta - kwiecień 1940 (NAC)



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-U-3055

Fot. nr 226. Basen średni w kompleksie miejskim w Cichym Kąciuku. (1939)



Fot. nr 227 (227-228). Tak w marcu 2010 prezentowały się pozostałości po średnim basenie na dawno nieczynnym już kąpielisku Cracovii. (10.03.2010)



Fot. nr 228. A to widok na basen średni, a raczej splantowany po nim teren.(17.11.2013)



Fot. nr 229 (229-234). Migawki z terenu basenu. Tu gruzowisko po zadaszonym pawilonie, który rozciągał się wzdłuż basenu średniego naprzeciw budynku szatni. Zdjęcia udało mi się wykonać tuż przed totalnym wyburzeniem, kiedy wyjątkowo były otwarte drzwi na teren budowy. Kiedy to zauważyłem specjalnie wróciłem po aparat.



Fot. nr 230. A to widok budynku szatni. Wszystkie w/w zdjęcia basenu pochodzą z 22.06.2014. Po prostu chce mi się ryczeć patrząc na „osiągnięcie” ćwierćwiecza III RP.



Fot. nr 231. Dawna toaleta męska w kompleksie szatni.



Fot. nr 232. Budynek mieszkalny przylegający do szatni i basenu głębokiego i ostała jeszcze reklama PDT z ulicy św. Anny 2.



Fot. nr 233. Żal serce ściska patrząc na pogrążony w totalnej ruinie basen głęboki. Na pierwszym planie głębokość 220 cm, dalej 460 cm. Z prawej słynne „schodki”.



Fot. nr 234. Oznaczona na murku granica dwóch głębokości.
Więcej zdjęć dokumentujących ten koszmar - www.mbc.malopolska.pl/publication/92611



Fot. nr 235. A dziś po basenie głębokim pozostał już tylko pusty plac.

Pływając na tym głębokim basenie każdy młodzian mógł się poczuć dorosłym. Ale dostępu do niego uważnie strzeżli ratownicy, rzadko dopuszczając do kąpieli rządnych przygód młokosów. Ja osobiście długo czułem do niego respekt choćby z uwagi na porażającą wyobraźnię głębokość: 460 cm; jego dno było niełatwe do osiągnięcia. Tu na basenach Cracovii z upływem lat nauczyłem się dobrze pływać, z początku żabką, potem: kraulem, „grzbietem” i nawet „motylkiem”, a także skakać do wody, najpierw „na nogi”, a z czasem, gdzieś od siódmej klasy SP już na głowę czyli „na główkę”, choć początkowo nieraz skoczyło się „na dechę”, czyli „na klatę”, która potem długo piekła od uderzenia wodą. Te pierwsze próby skakania do wody odbywały się z murku średniego basenu, gdzie kryło. Z czasem korzystałem tylko z tego głębokiego, co rok bijąc rekordy długości pokonanego dystansu liczonego już w kilometrach.

Obiekt Cracovii był pięknym przedwojennym kąpieliskiem, wybudowanym z miejskich pieniędzy, na którym kiedyś regularnie odbywały się zawody pływackie. Został zaprojektowany z rozmachem i oprócz basenów posiadał niezbędne zaplecze: szatnie, natryski, bufety i zadaszoną wiatę. W upalne dni, zwłaszcza świąteczne, kąpało się tu bez mała pół Krakowa, ale wtedy rzeczywiście woda nie była tu nazbyt przyjemna - filtry zostały tu zainstalowane dopiero na początku lat 70-tych. Lubiłem ten obiekt i dlatego żał mi jego unicestwienia, gdyż przez niemal trzydzieści lat „straciłem” tu na przyjemnościach sporą część swego życia. Chodziliśmy tutaj zawsze w gromadzie, najczęściej z bratem, „Grubym”, jego bratem „Chudym”, Jackiem Gędkiem, a potem z braćmi Siedleckimi. Odbywało się tu mnóstwo różnego rodzaju wyścigów, gonitw i zabaw, jak gra w piłkę wodną, czy zabawa w przytapienie, a mimo to czas płynął wolno; stał prawie w miejscu, jak owa woda w basenie. W latach 70-tych, już na studiach, urzędowałem tu zwykle z Markiem Pstrósiem, Łysym, kumplem z TE, nieraz przy piwku i czasem bezskutecznie usiłowaliśmy się tu uczyć do egzaminów, grając za to „w beki” czy z Jaśkiem Zieleniewskim, „Serową”, też moim bliskim przyjacielem.

Kto wtedy myślał płacić za bilety wstępu? Zawsze robiło się jakiś mały desant. Łatwo było się dostać zwłaszcza na basen Cracovii, gdyż jeden czy dwóch „dziadków” nie było stanie upilnować wielu chętnych darmowej kąpieli. Najczęściej wchodziło się od treningowego boiska Cracovii, zlokalizowanego naprzeciw stadionu lekkoatletycznego. Boisko to przylegało do treningowego obiektu Wisły i było ogólnie dostępne. Tu na granicy z basenem nie było siatki i zawsze można było powiedzieć, że wraca się z boiska, na którym w przerwie między kolejnymi kąpielami można było pokopać w piłkę i zagrać w „siatkę” w kółku, co było popularnym zajęciem. Taki był tam już zwyczaj i bezlitośnie się to wykorzystywało. W ogóle siatka wokół basenu Cracovii była stara, bez drutu kolczastego, więc łatwa do sforsowania. Wystarczyło wybrać właściwe miejsce okresowo pozbawione kontroli i wskoczyć do środka już w slipkach, by nie budzić podejrzania. Ubranie trzymało się w podręcznej siatce, a krzaki, które rosły przy samym ogrodzeniu, ułatwiały zwiad. Wychodziło się z nich sprawiając wrażenie pewnego siebie, gdy wiadomo było, że w okolicy nie ma na widoku żadnego „dziadka”.

Równie łatwo było też sforsować bramę wjazdową od alei 3-Maja na tyłach głębokiego basenu, w pobliżu późniejszej stacji filtrów, wybudowanej gdzieś na początku lat 70-tych i zabudowań, gdzie mieszkali niektórzy sportowcy tego klubu ze znanym „Migawą”, znakomitym wówczas hokeistą Bogdanem Migaczem. Brama była sztywna, a jej przeskoczenie przy tak znakomitej sprawności fizycznej jaką się wtedy posiadało było naprawdę „pestką”. Tu nigdy nikt nie kontrolował bramy, bo zawsze ktoś chodził do mieszkań sportowców. Nawet jeśli „desant” się nie udał i ktoś z porządkowych zauważył intruza, to i tak łatwo można było się „ewakuować” z powrotem za płot, by potem za jakiś czas ponowić próbę, aż do skutku.

Przełom lat 60-tych i 70-tych był okresem, gdy furorę na basenach robiły tak zwane „klapki”, czyli proste gumowe pantofelki wsuwane na stopę i utrzymywane na niej przy pomocy cienkiego fragmentu rozciągliwej gumy, którą wsuwało się między dwa największe palce. Problem polegał na tym, że ciężko było je kupić, więc były nagminnie kradzione. W „klapkach” podchodziło się do basenu i tu w pobliżu jego krawędzi się je ściągało, by móc je ponownie założyć zaraz po wyjściu z wody. Były niezwykle praktyczne, bo chroniły stopy przed szkłem i kamykami. I tak po wyjściu z wody często już ich nie było jeśli nie poprosiło się kogoś wcześniej, by je przypilnował. Był jednak oryginalny i bezpieczny sposób na ich kradzież. Złodziej siedział na kocyku i obserwował, kiedy właściciel kłapek idzie do wody, a je same zostawia na kocu. Wtedy prosił małego chłopaka, który przypadkowo przechodził obok, by ten mu podał mu niby jego klapki, bo on nie chce sobie zbrudzić nóg. Klapki wędrowały na koc złodzieja, a on wraz z nimi znikał, nie ryzykując zbyt wiele, bo w razie czego chwymano malca.

Po oddaniu do użytku basenu Wisły z czasem zacząłem zdradzać obiekt Cracovii, a to z racji czystszej wody i dostępności na tym nowszym obiekcie gorących pryszniców, czego na Cracovii brakowało. Ale tu nie opłacało się ryzykować „desantu”, bo siatka była wysoka i zabezpieczona drutem kolczastym, a obstawa liczna, sprawna fizycznie i bezwzględna. Słynny z surowości był tu zwłaszcza pewien znany wszystkim sługus, jakiś nadgorliwy, szpakowaty kierownik, który nie patyczkował się z ochotnikami darmowych kąpielni, a wykręcanie uszów było jedną z najmniej dolegliwych kar. Po schwytaniu i przesłuchaniu często wysyłano do szkoły zawiadomienie o popełnionym wykroczeniu. Ponadto teren był otwarty, bez krzaków, co dodatkowo utrudniało zadanie.

W latach 60-tych i jeszcze do początku lat 70-tych rolę kąpieliska Krakowa spełniała też Rudawa na długości od kościoła Norbertanek aż po „ławę” na wysokości Mydlnik, czyli do wysokości dzisiejszego osiedla Widok. Co jakieś 100-200 metrów na rzece były budowane spiętrzenia z kamieni i woda osiągała tam ze 150 cm, więc można było dobrze popływać. Nabrzeża rzeki były porośnięte olszynami i w razie potrzeby można było tu zakosztować cienia. Jakże miło spędzało się czas leżąc na trawie na wałach Rudawy z dala od hałasu i zgiełku, bo było tu na ogół, zwłaszcza w dni powszednie, dość luźno, tym luźniej im bliżej Mydlnik.

Było jednak pewne ryzyko takiej kąpeli. Na dnie rzeki, fajnym skądinąd i piaszczystym, miejscami leżało sporo rozbitego szkła i kąpiel bez tenisówek była tu niebezpieczna. Tak się niestety składało, że tu nad brzegiem Rudawy, z dala od miasta nieraz odbywały się pijackie libacje, które później często kończyły się rytualnym tłuczeniem szkła i topieniem go w rzece. Z czasem rzeka ta zaczęła się stawać miejskim ściekiem, do którego odprowadzano też nieczystości z osiedla Widok i woda zaczęła cuchnąć. Przekonałem się o tym osobiście podczas mojej ostatniej tu kąpeli, gdzieś w 1972 roku. Od tej chwili już nie odważyłem się w niej więcej razy zanurzyć, a i inni dawni użytkownicy tego bezpłatnego kąpieliska coraz rzadziej szukali tu prawdziwej ochłody, za to częściej obozowały tu rzesze ochotników chłodzenia się przy „krzyncie” piwa. Ja jednak nad tą cudowną rzeką przez dwadzieścia lat mego życia: od wczesnego dzieciństwa, gdy bywałem tu razem z matką i ojcem, poprzez lata podstawówki, po czasy szkoły średniej, kiedy urzędowałem tu z kolegami, spędziłem wiele cudownych chwil, czego nigdy nie zapomnę.

Zimową porą Kraków i jego najbliższe okolice zaludniały się miłośnikami czynnego wypoczynku, pośród których, zwłaszcza w okresie ferii, oczywiście dominowała młodzież szkolna. Plac Hanki Sawickiej, tak bliski memu sercu, że nawet postać jego patronki nie budziła we mnie głębszej refleksji, a raczej jego część bliżej tyłów budynku Izby Skarbowej z ulicy Skarbowej, często zamieniał się w lodowisko, które społecznie wykonywały okoliczne urwisy. A jeździło się wtedy niemal przez całą zimę i nie tylko na lodowiskach, ale i po ośnieżonych i oblodzonych ulicach, mając najczęściej do dyspozycji prymitywne łyżwy zwane „szpicówkami”. Przednia ich część była z użyciem klucza przykręcana do buta metalowymi żabkami, tylna natomiast klinowała się w otworze specjalnie wykonanym w spodniej części obcasa. W tym celu szewc musiał dokonać niewielkiej przeróbki buta, montując w jego obcasie metalową blaszkę z jajowatym otworem w środku. Dzięki łatwości w ich adaptacji do właściwie każdego rodzaju obuwia, prostocie konstrukcji, a co za tym idzie niskiej cenie, popularność tych łyżew była wszelkie rekordy. Zima była wtedy okresem prosperity dla szewców, którzy nie nadążali z montażem blaszek jakie kupowało się w komplecie z łyżwami. Można by się wybrzydzać, że były to prymitywne łyżwy, ale jakże genialnie proste w obsłudze i nie do zdarcia. Oprócz „szpicówek” w użytku były jeszcze inne łyżwy, tzw. „holenderki”, przypinane z przodu i tyłu na żabki, ale te łatwiej odpadały z butów i były popularniejsze zwłaszcza wśród dziewcząt. Dzieciarnia z kolei rozpoczynała naukę na tzw. łyżwach saneczkowych, dwupłozowych, które skórzanymi rzemykami przypinało się do zwykłego buta.

Dziewczyny jeździły jednak głównie na bardziej ekskluzywnych łyżwach zwanych pospolicie „dżeksami”. Posiadały one długie cholewki poza kostkę, dzięki czemu dobrze usztywniały nogę i były sznurowane z wykorzystaniem zaczepów z wierzchniej części buta. Część metalowa łyżwy była zakończona charakterystycznym, żabkowanym szpicem, który ułatwiał start na lodzie. „Dżeksy” były wprawdzie łyżwami używanymi do jazdy figurowej na lodzie, ale w tym czasie, z braku innych, były powszechnie wykorzystywane przez „płeć piękną”.

Ale marzeniem każdego chłopaka w moim wieku były „panczeny”, łyżwy z utwardzonymi cholewkami, na których jazda była czystą poezją, ale były one jednak za drogie jak na kasę mojej matki. Zaczętem na nich jeździć dopiero po połowie lat 60-tych, gdy otrzymałem je w spadku po bracie, który wcześniej potrafił wymóc na matce kupno oryginalnych „panczen”, choć nie nowych; ja tego nie potrafiłem, zawsze miałem skrupuły, on dużo mniejsze. Początkowo jeździłem na kiepskich „podróbkach” o słabo usztywnionych cholewkach i dopiero z czasem, gdzieś w siódmej klasie, kiedy mój brat zaczął chodzić do technikum popołudniową porą, mogłem wreszcie zaznać przyjemności jeżdżenia na tych „oryginałach” i przeżywania pełni lodowego szaleństwa.

Pamiętam, że łyżwy chodziło się ostrzyć do „Simsona”, wesołego i niskiego jegomościa z charakterystycznymi, krzywymi nogami, który mieszkał na alei Krasińskiego na odcinku między kinem Krakus, a ulicą Smoleńsk. Jego „szlifiernia” znajdowała się w kuchni jego mieszkania, na parterze w oficynie, gdzie na ganek kuchenny dochodziło się po kilku schodkach. Taki zabieg, wykonywany na specjalnej, cienkiej szlifierce, kosztował „dychę” (10 zł), a może „piątkę”, a więc nie mało. „Simson”, kilka lat ode mnie starszy, może nawet kolega szkolny Krzyśka Gędłka, sam był świetnym łyżwiarzem i mimo niskiego wzrostu wręcz szalał na lodowisku Cracovii koło Sokoła, podobnie jak bardzo podobny do niego brat, chyba ciut starszy (dziś wiem, że nosili oni imiona: Rysiek i Wojtek). Właściwie nigdy dokładnie ich nie rozróżniałem, nawet podczas ostrzenia i chyba obu nazywano „Simsonami”. Można tu też było ostrzyć nawet „szpicówki”, co też nieraz czyniłem. Były to złote lata tego pokątnego „przedsiębiorcy”, wszak ten niezalegalizowany warsztat miał wielkie wzięcie w całej okolicy. A później na takich „brzytwach”, zwłaszcza oryginalnych „panczenach”, można było szaleć na lodowej „szklance”, jak nazywało się świeżo polany, kryształowo czysty lód, wylewany gdzieś raz na tydzień, wykonując na dużej szybkości różnego rodzaju „przekładanki”, jadąc przodem bądź tyłem, „beczki” czy ostre bądź ostre hamowania, gdzie spod butów wylatywała efektowna szpryca lodowego pyłu. Hamowanie na ostrych łyżwach nie było łatwe i dla wielu kończyło się bolesnym upadkiem. Na przemarzniętej od prędkości twarzy czuło się tylko chłód powietrza, a do uszu dolatywał stukot mknących łyżew.

Zakładaniu „panczen” zawsze towarzyszył swoisty ceremoniał. Aby można było jeździć na pełnym gazie należało usztywnić stopę w bucie, co osiągało się przez owijanie kostki stawu skokowego elastycznym bandażem. Dodatkowo, aby noga nie miała nawet odrobiny luzu, na nogę można było założyć grubą, wełnianą skarpetę. Nie dość tego; łyżwy sznurowało się na „siłę” specjalną, bo grubą i długą, białą sznurówką, kupowaną w sklepie sportowym na ulicy Szewskiej, której nazwy już nie pamiętam. Dla dodatkowego usztywnienia stopy w bucie wystające końcówki sznurowadeł obwiązywało się jeszcze wokół cholewki łyżwy i dopiero wiązało na silny supeł, często przy pomocy kolegi. Na tak przygotowanych łyżwach można było rozwijać na lodzie szalone prędkości, zwłaszcza na torze łyżwiarskim na Groblach. Czasem przesadziło się trochę i cały ten pancerz trzeba było nieco poluzować, bo noga cierpła.

Nieosiągalnym marzeniem dla przeciętnego śmiertelnika były łyżwy zwane „nożami”, które używali (i nadal używają) wyczynowcy. Były to cienkie łyżwy bez zagięcia szpica, właśnie w kształcie noża, ale tylko z rzadka, zwłaszcza na lodowym torze na Groblach, ktoś zaszpanował takim sprzętem budząc powszechną zazdrość.

Ale w mojej okolicy najczęściej chodziło się na lodowisko Cracovii, „na Cracovię”, jak się powszechnie mawiało, na pokryte lodem szutrowe boisko do gry szczypiorniaka zlokalizowane przy budynku Sokoła, gdzie w lecie trenowały piłkarki ręczne. Były tu dwa lodowiska: duże dla „zawodowców” i małe dla dzieci, te drugie bliżej ulicy Garncarskiej. W drewnianym baraku, stojącym na tyłach Alei Mickiewicza, znajdowała się przebieralnia i szatnia, gdzie można było zostawić buty oraz skromny bufet, w którym z grubościennej szklanki można się było napić gorącej „lury” zwanej tu herbatą i zjeść bułkę z nieciekawą kiełbasą, np. serwolatką. Ale kto wtedy miał czas na kapryszenie? Trzeba było szybko zaspokoić głód i się przynajmniej co nieco ogrzać.

Oj naszalał się tu człowiek co niemiara zwłaszcza pod koniec lat 60-tych, gdy miałem już „super” łyżwy, wszak dla sportu nigdy nie miałem umiaru. Najlepsze warunki do lodowych harców panowały tu zraz po otwarciu lub blisko zamknięcia obiektu, gdy było już mało ludzi. Wtedy to, mimo zmęczenia, zabawa szła na całego, zwłaszcza w „odbijanego”, co wymagało dużej przestrzeni i ogromnej sprawności na lodzie. Za parę złotych spędzało się tu nieraz całe zimowe popołudnia, wracając do domu zziębniętym „na lód”. O ile dobrze pamiętam lodowisko to było czynne od godziny 14 lub 15 do 20, a wstęp kosztował ze cztery złote, a dla dzieci może ze dwa.



Fot. nr 236. To na tyłach budynku Sokoła, na dawnych kortach SKS Cracovii w latach 60-tych znajdowały się dwa lodowiska Cracovii; w lecie było tu kortowe boisko. (06.08.2009)

Drugim profesjonalnym lodowiskiem, nieco odleglejszym, więc przez to rzadziej przeze mnie odwiedzanym były wspomniane już „Groble” (na placu na Groblach). Był to właściwie lodowy tor wykonany na bieżni stadionu lekkoatletycznego dla młodzieży. Tu można było wyjątkowo poszaleć, ale najczęściej jeździłem tu na jakichś zawodach szkolnych, np. w sprincie na dystansie 200 m. W tych czasach w mojej okolicy czynnych było jeszcze kilka innych lodowisk naturalnych, w większości darmowych, np. w parkach: Krakowskim i Jordana, więc nie było potrzeby korzystania ze sztucznego lodowiska na Olszy, chyba tylko dla „szpanu”.

W okresie zimowym, a w latach 60-tych zimy dobrze i długo dawały się we znaki, oprócz jeżdżenia na łyżwach każdego usportowanego młodego człowieka pociągały też narty i sanki. Sanki były najłatwiej dostępnym sprzętem, bo i nietrudno było na nich jeździć, i były tańsze. Te drewniane, z uwagi na grubsze płozy, dodatkowo pokryte metalową taśmą, lepiej nadawały się do jazdy na świeżym i puszystym śniegu. Na takich sankach można było sobie pojeździć głównie z niewielkich gór, np. w Parku Jordana czy Parku Krakowskim, ewentualnie na łagodnym stoku pod Kopcem Kościuszki, który był usytuowanym poniżej fortu, przy cmentarzu na alei Waszyngtona, na tzw. „owcach”. Mówiąc trywialnie takimi sankami jeździły głównie małe dzieci i.....tchórze.

Każdy z odważnych młokosów marzył jednak o metalowych sankach na cienkich płozach, na których można było rozwijać zawrotne prędkości, zwłaszcza na dobrze ubitych i zlodzonych trasach. Na takich sankach można było „poszaleć”, w pełnym tego słowa znaczeniu, w dwóch miejscach pod Kopcem Kościuszki: na torze zwanym „Berlinem” lub rzadziej, bardziej slangowo „Berlajnem” i na jezdni na odcinku od Diabelskiego Mostku pod radiostację. Ów słynny „Berlin” znajdował się na zboczu Sikornika od strony ulicy Spadzistej (dziś Hoffmana), na stromym podejściu drogi, długim gdzieś na trzysta metrów, które prowadziło w kierunku wojskowych, poniemieckich garaży i może stąd wzięła się jego nazwa. Pierwotnie droga ta służyła zapewne dojazdowi z ulicy Spadzistej do innych obiektów zlokalizowanych wokół Fortu Kościuszko, najpewniej do szanca IS 2 ½, a śladem jakiejś innej drogi były trzy filary, zapewne mostu, w dolinie po prawej stronie „berlinki”. Tor ten stał się szczególnie atrakcyjny w połowie lat 60-tych, gdy poszukiwacze szaleńczych wrażeń niejako w czynie społecznym dobudowali tu ziemne bandy wzdłuż ścieżki prowadzącej na górę, wysokie zwłaszcza na jedynym zakręcie trasy. Jazda na tym dzikim torze stała się wtedy iście szaleńczym wyzwaniem, gdyż na dole toru dodatkowo znajdowała się potężna skocznia.

Jeździłem tutaj krótko z Bruzdami: „Grubym” i „Chudym”, bo oni mieli takie superszybkie sanki. Pamiętam, że jeden taki rajd, odbyty wspólnie z „Chudym”, zakończył się wywrotką na pełnej prędkości, a wkrótce potem wpadły na nas inne sanki i był spory karambol. Tor był wtedy bardzo oblodzony, a jazda niemal samobójcza. Ale jakoś szczęśliwie nikt z nas nie ucierpiał, ale od tej pory przeszła mi ochota do szarżowania w tym miejscu i zimą zacząłem go unikać bądź przychodziłem tylko przyglądać się szaleńczym zmaganiom innych śmiałków. Osobiście nigdy nie miałem duszy samobójcy i nie przepadałem za nadmierną prędkością.



Fot. nr 237. Współczesny wygląd dawnego toru saneczkowego o nazwie „Berlin”.
(10.11.2013)



Fot. nr 238. Filary dawnej strzelnicy wojskowej w sąsiedztwie „berlinki”. (10.11.2013)

W dni wolne i ferie zimowe wokół toru kotłowało od młodzieży szkolnej. Sanki odjeżdżały ze szczytu jedne za drugimi, więc o kolizję, nieraz nieprzyjemną w skutkach, było nietrudno. Ale wrażenia podczas jazdy były tak ekscytujące, że ciężko było sobie odmówić takiej przyjemności, przynajmniej raz w życiu. I pomyśleć, że dziś już nikt o tym miejscu nie pamięta, a bandy dawnego toru uległy niemal całkowitemu rozmyciu. Jazda w dół spod Diabelskiego Mostku też była bardzo niebezpieczna, zwłaszcza przy oblodzonej jezdni, bo nazbyt rozpędzone sanki nieraz lądowały na metalowych drzwiach radiostacji i od czasu do czasu trzeba było wzywać karetkę. W późniejszych czasach, aby uniemożliwić rajdy tą ulicą, zaczęto posypywać ją piaskiem i cały urok szaleńczej jazdy znikł, a wraz z tym i zainteresowanie tym miejscem.

Warto jeszcze wspomnieć o popularnych wówczas tzw. „karapatach”, które były utworzone z pary szkiełeczek przymocowanych do kwadratowej, często wyścielonej płótnem bądź jaśkiem deski, na której się siadało trzymając ją rękami w dół. Jazda na tym patencie była szczególnie udana na oblodzonych trasach, również pod Kopcem. Zwłaszcza na początku lat 60-tych były one popularnym substytutem dla sporo droższych sanek.



Fot. nr 239. Usportowiona ferajna z dzielnicy Piasek. U góry (od lewej): Staszek Kuciel, Zbyszek Lamkowski – „Lany”. U dołu (od lewej); Bogdan Bruzda – „Gruby”, Tadek Kuciel, Adam Bruzda – „Chudy”. Fotografia Tacka Kuciel z portalu Nasza Klasa, stąd słaba jej rozdzielczość. (ok. 1965)

Na bardziej stromych stokach Kopca dominowali narciarze, którzy karcili pojawiających się tutaj saneczkarzy, gdyż ci przeszkadzali im w rozwijaniu większej prędkości, a ponadto „orali” trasę zjazdową. Taka najlepsza trasa narciarska znajdowała się we fragmencie wzniesienia na tzw. „dworskim”, które opadało od szczątków dawnej bramy fortecznej przy alei Waszyngtona w kierunku ulic: Drożyna i Królowej Jadwigi bądź na stoku poniżej szanica ziemnego FS-3, gdzie zjazd był bardziej ekstremalny. Był tu prawdziwy raj dla narciarzy, oczywiście na miarę połowy lat 60-tych i na krakowskie realia. Zjeżdżając ostro w dół nieraz kończyło się jazdę w opłotkach starych zwierzynieckich chałup, które były rozłożone wokół ulicy Królowej Jadwigi, stanowiącej serce dawnego Zwierzyńca. W niedziele i dni świąteczne było tu prawdziwe kłębowisko miłośników sportów zimowych, a w ferie tłok był jeszcze większy. Zjazd spod samego szanica był ostry, więc na urwistym progu będącym wtedy granicą pól powstała prowizoryczna skocznia narciarska – oczywiście tylko dla najodważniejszych, na której wręcz szalał Jacek Dycyan, mój kolega z Czystej 11, który potrafił tu oddawać nawet ok. 10-metrowe skoki, zakończone poprawnym lądowaniem. Lepsza, bardziej profesjonalna skocznia, znajdowała się na ostrym zboczu Sikornika przy jego końcu, już za strzelnicą sportową, gdzie można było wykonywać skoki nawet na odległość 30 metrów i tu ćwiczyli nawet lokalni skoczkowie wyczynowi.



Fot. nr 240. Nieistniejąca już, stara zwierzyńiecka chałupa z ulicy Królowej Jadwigi 120, do której opłotków docierało się podczas szaleńczych zjazdów narciarskich ze zboczy Kopca Kościuszki. (16.02.2009)

Pierwsze, drewniane narty, stare i porysowane, z zapięciami na skórzane rzemyki, udało mi się zdobyć gdzieś w 1965 roku. Sprezentował mi je chyba Piotrek Kaniewski, kolega z klasy, którego ojciec był szefem studium WF na AGH, zachęcając mnie tym samym wspólnego jeżdżenia. Nauka jazdy szła błyskawicznie, początkowo na podjeździe samochodowym pod nowym „Wysrolem”, ale po dwóch tygodniach zjeżdżałem już i to bez obawy ze stromych stoków pod Kopcem, wspólnie z lepszym jeszcze ode mnie kolegą i w niczym nie przeszkadzał mi fakt, że początkowo umiałem hamować tylko „pługiem”. Szybkiemu szkoleniu się w tej dyscyplinie sprzyjały srogie mrozy jakie panowały tej zimy i fakt, że z tego tytułu szkoła była zamknięta przez jakieś trzy tygodnie. Podobnie było zresztą w następnym roku. Jazda na nartach, nawet tych marnych, sprawiała mi autentyczną radość i nawet największe mrozy, które przez te lata porządnie dawały w kość, nie odstraszały nas od tej atrakcji. Gdy śnieg był mokry deski smarowało się woskiem ze świecy i wówczas jazda była dużo szybsza. Pół wieku temu były to więc ciągle jeszcze czasy romantycznego narciarstwa, gdzie potrzeba ruchu i wyżycia się dominowały nad jakimkolwiek szpanem.

Kto wtedy myślał o jakimś porządnym sprzęcie. Liczył się sam fakt posiadania byle jakich nart i możliwość zjeżdżania. Marzeniem było posiadanie metalowych wiązań, tzw. „kandacharów”, zaciskanych na buty sprężyną i nawet marnych butów oraz spodni narciarskich. Mnie nie było stać na takie luksusy i posiadałem narty zapinane skórzanymi rzemykami, a za buty narciarskie służyło mi zwykłe zimowe obuwie. Ile trzeba było mieć samozaparca, by po zjechaniu w dół stoku ponownie wygramolić się na szczyt wzniesienia czy to „jodełką”, czy „schodkami”. Gdzie kto wtedy myślał o jakimś wyciągu? Jedyna w okolicy „wyrwirączka” pojawiła się dopiero na początku lat 70-tych, a zamontowano ją na stoku Wesołej Polany, na skraju Lasu Wolskiego. Zjeżdżało się pewnie kilkanaście razy dziennie, ale na tym mrozie, często poniżej 20 stopni, nieraz przemarzało się do szpiku kości. A potem, coraz bardziej słabnącemu, trzeba było jeszcze dotrzeć do domu maszerując trzy kilometry na skrót przez Błonia, często z nogami i rękami grabiącymi od mrozu, w dawno przemoczonych: spodach spodni, rękawiczkach i skarpetach, które przypominały blachę. W domu niezastąpionym był wtedy patent mamy -butelka z gorącą wodą owinięta w ręcznik i ucieczka pod pierzynę. Było się tak wygłodzonym całodziennym wysiłkiem, że w domu chciało się zjeść konia z kopytami. I tak ta idylla narciarska trwała przez całą podstawówkę i częściowo jeszcze w szkole średniej, gdzieś do 1970 roku. I pomyśleć, że dziś w zimie, na tym kiedyś tak gęsto zaludnionym stoku, nie ma już żywej duszy. Kiedyś w lecie rosły tu zboża, dziś stok opanowały chaszcze, które go całkowicie zdewastowały. Teren szybko uległ zakrzaczeniu i zatracił swój dawny charakter. Krzaki przysłoniły nawet piękne panoramy Krakowa, które kiedyś można było podziwiać ze zbocza „na dworskim”.



Fot. nr 241. Zarastające dawne trasy narciarskie na stokach pod Kopcem Kościuszki, na tzw. „dworskim”. Zdjęcie z wiosny roku 2012. Dziś tego widoku już nie uświadczysz, bo stok stał się prawdziwą dżunglą ciernistych krzewów.

Pamiętam jak w zimie, chyba z przełomu lat 1965-66 roku, w pewną lutową niedzielę w wąwozie wiodącym od alei Waszyngtona w kierunku bramy fortecznej zlokalizowanej na końcu ulicy Spadzistej (dziś jest to ulica Małeckiego), maniakalny morderca, niechlubnej pamięci Karol Kot, który grasował wtedy na terenie Krakowa i siał postrach wśród jego mieszkańców, zasztyletował 11-letniego Leszka Całka, mieszkańca ulicy Felicjanek. Tak się złożyło, że w ten dzień zjeżdżałem na nartach na stoku w pobliżu owego wąwozu i znajdowałem się w strefie bezpośredniego działania owego szaleńca, który notabene był uczniem Technikum Energetycznego, mojej późniejszej szkoły średniej. Wcześniej w bramie przy ul. Sobieskiego ugodził on nożem 7-letnią dziewczynkę, która została ciężko ranna, ale przeżyła, a w grudniu roku 1964 próbował zabić Helenę Wegrzyn, dobrą znajomą mojej mamy, która właśnie klęczała i modliła się w przedsionku kościoła Sercanek przy ulicy Garncarskiej. Tylko cudem uniknęła śmierci, gdyż była osobą garbatą i nóż ześlizgnął się po jej garbie tylko ciężko ją raniąc. Na swoim koncie miał on jeszcze kilka innych napaści z nożem w ręku, z których dwie zakończyły się skutkiem śmiertelnym (dodatkowo w przypadku 77 letniej Marii Plichy) i prób otruć. Jak się okazuje Kot dolewał trujące odczynniki biesiadującym przy piwie w knajpach: „U Żyda” i „Pod Płachtą”, kiedy ci wychodzili za potrzebą.

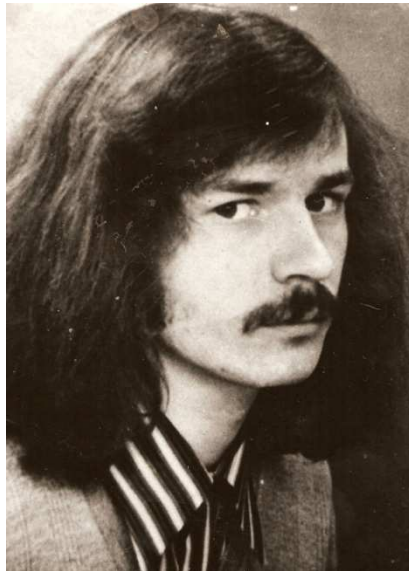
Pikanterii tym wydarzeniom dodawał fakt, że ów 18-letni zbrodniarz chodził na strzelnicę Cracovii, która mieściła się w lewej, licząc od kortu, piwnicy budynku Sokoła, a więc po przeciwnej stronie niż sala treningowa KKS, gdzie przed południem chodziła sprzątać moja mama i mimo woli mogła się ona stać kolejną ofiarą tego szaleńca, bo miałby on tutaj doprawdy wyborną ku temu okazję. Gdzie byłoby mu łatwiej i bezpieczniej mordować jak nie w przepastnej i pustej piwnicy! Karol Kot, chłopak pochodzący z dobrej, inteligenckiej rodziny, wpadł dopiero po szóstym czy siódmym napadzie, po przyjaciela jego ojca, którego zaciekała kolekcja jego noży jakimi nieopatrznie się pochwalił. Ale psychoza strachu w tym okresie, pewnie ponad dwuletnim, była doprawdy wielka, a jego postać jeszcze długo ciążyła na reputacji mojej przyszłej szkoły - „Akademii Loretańskiej”, gdzie niejednen z moich późniejszych nauczycieli ze zgrozą, a czasem i z potem na czole, o nim wspominał. Kot został stracony, choć pozwolono mu zdać maturę. Jak się okazało miał ponoć guza na mózgu, co wykazała sekcja zwłok.

Dla dzieciarni do zjeżdżania na sankach wystarczały w tym czasie niewielkie pagórki jak np. w Parku Krakowskim koło przystanku autobusowego czy bulwary wiślane.

Dzięki powszechnej dostępności radia i coraz popularniejszej telewizji wśród kilkunastoletnich podrostków kwitła fobia na punkcie popularnych wówczas na świecie zachodnich zespołów big-beatowych, że wymienię tylko: The Beatles, The Rolling Stones, The Beach Boys, The Animals i piosenkarzy, jak choćby: Cliff Richard, Elvis Presley, Janis Joplin czy Jimmi Hendriks. Objawiała się ona umiłowaniem do gry na elektrycznej gitarze, masowym noszeniem długich włosów, ubieraniem się na styl zachodni (spodnie: Rifle, Wranglery, Levisy bądź Lee; buty: „szkoty” lub „bitelsowy”) czy głośnym słuchaniem muzyki.

W szkołach, konserwatywnych w swych zwyczajach, dochodziło do notorycznych utarczek o dopuszczalną długość włosów jakie mogli uczniowie nosić i to bez szans na jakikolwiek sukces z ich strony, co wywoływało ich zdecydowany bunt.

Mój brat chyba już po skończeniu Technikum Mechanicznego też zapuścił długie włosy i zapalał miłością do elektrycznej gitary, wymuszając na matce zakup niektórych części do jej poskładania. Swój instrument podłączał do radia, które służyło mu za wzmacniacz i próbował naśladować „big beatowców”, przy okazji koślawiąc angielszczyznę, o której nie miał zielonego pojęcia. W domu panował hałas nie do opisanego, ale na szczęście ta jego obsesja czy może raczej szalona pasja, nie trwała zbyt długo, a przyczyną jej zaniku były trudności mego brata w płynnym opanowaniu gry na gitarze, choć był on bardzo muzykalny i doskonale grał z pamięci np. na organkach, odpustowej lirze czy nawet grzebieniu.



Fot. nr 242. Mój brat Tadeusz, zwany przez kolegów ABO, około 1970 roku.

Dla jego muzycznego rozwoju mama musiała nabyć adapter, a on masowo dokupywał plastikowe płyty, single, zwane chyba pocztówkami, bo taki miały format, które zawierały najnowsze nagrania muzyczne, oczywiście kiepskiej jakości. W tym czasie było w Krakowie kilka niewielkich sklepików muzycznych schowanych w sieniach kamienic przy ulicach: Grodzkiej, Szewskiej czy przy Placu Wiosny Ludów, które masowo sprzedawały te namiastki oryginalnych „plastików”. Z czasem uzbierał ich całkiem dużo, a ja chcąc nie chcąc sam mocno wzbogaciłem swoją wiedzę muzyczną, bo były one odtwarzane do znudzenia.

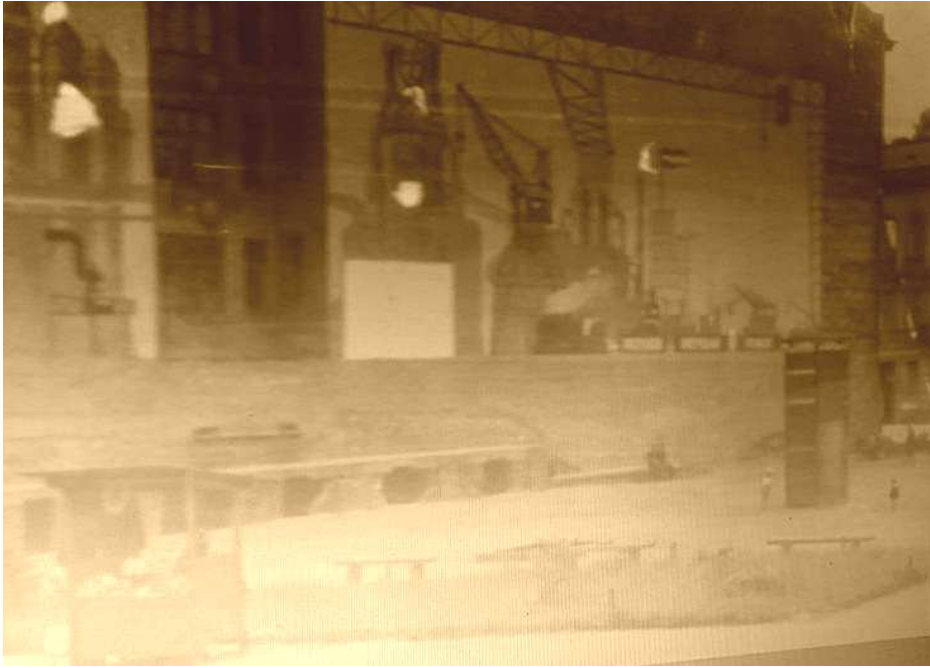
Popularne w tych czasach było kino, ale repertuar filmów, zwłaszcza dla młodzieży, był „starannie” dobierany i wiele filmów było dozwolonych tylko od lat: 16 bądź 18. Niełatwo było się przemycić na takie seanse, co było marzeniem każdego małolata, ale czasem to się udawało choćby z wykorzystaniem wysokich butów, tzw. „szkotów”. Przedostanie się do kina na film dozwolony od lat 18-stu było powodem wielkiej dumy, ale mnie to długo nie groziło, bo byłem za niski i nazbyt cherlawy.

Były kina tylko dla młodzieży, choćby Zuch w Domu Kultury przy ulicy Krowoderskiej 8, ale ich repertuar nie był imponujący, za to bardzo dydaktyczny. Takie to były czasy, kiedy władza zawsze starała się narzucać co jest najlepsze dla młodzieży, choć trzeba przyznać, że dziś zaczyna się robić podobnie. Ileż to razy chodziło się na takie hity kinowe jak: Karmazynowy Pirat, z Burtem Lancasterem czy Rio Bravo z Johnem Waynem, ale te były wyświetlane w lepszych kinach, z których najbardziej ekskluzywnym było kino Warszawa przy ulicy Stradom 15.

W lecie, raz na jakiś czas, najczęściej z okazji święta 22 lipca lub 1-Maja, na naszym skwerku pojawiała się przewoźne kino usadowione na samochodzie marki Nysa bądź Star. Ekran kinowy – biały prostokąt, był od dawna wymalowany na murze tylnej ściany gmachu Izby Skarbowej, który sąsiadował z placem, ale stanowił on tylko niewielką wstawkę w formie ramki w ogromnym socrealistycznym malowidle, które pokrywało niemal jej całość. Z tego co zapamiętałem, ale niezbyt dokładnie, był to obraz typowy dla czasów budowy Nowej Huty: robotnik z rozwichrzoną czupryną trzymający w ręce jakieś zębate koło, w tle dymiące kominy zakładu przemysłowego, a z boku pociąg z licznymi wagonami ciągniony przez kopnącą ciuchcią. Wg opowieści Mikołaja Korneckiego w jeden z ostatnich wagonów miał być w tym czasie wkomponowany ów biały ekran, czego ja już nie kojarzyłem. Nie powiem, ale ten pełen dynamiki mural zawsze robił na mnie dziecku duże wrażenie. Ekran zniknął na zawsze wraz z rozbudową szpitala.

Aby obejrzeć film, obowiązkowo poprzedzany popularną wtedy i lubianą Polską Kroniką Filmową, przynosiło się z domu własne krzesła. Rozrywka była przednia, na dodatek darmowa, a plac zaludniał się gęstym tłumem. Kto był pierwszy ten siedział bliżej ekranu i lepiej widział, więc przed rozpoczęciem tych nocnych projekcji warto było nieco dłużej „pokolędować”. Pamiętam, że tu po raz pierwszy obejrzałem film „Lotna”, Andrzeja Wajdy, jakże smutną opowieść o ułanach z czasu kampanii wrześniowej, z losem konia w tle. Inne przypomniane mi niedawno filmy, które uświetniały państwowe święta na placu Hanki Sawickiej, czyli placu „Hanki Dyrdy”, to: „Gdzie jest generał” i nieśmiertelne „Zakazane piosenki”. Na pewno nie brakowało też radzieckiej, wojennej „klasyki”, nawet lubianej przez młodzież, jak choćby: „O szóstej wieczorem po wojnie”.

Dziś jakże trudno wyobrazić sobie nasz skwerek sprzed 50 lat, kiedyś miejsce tętniące życiem i stanowiące istotną część mojej młodości, który został zabudowany gmaszyskiem szpitala im. Józefa Dietla, z dorobionym do niego asfaltowym podjazdem. Widok skwerku z lat 70. zachował się on na wycinku prasowym zabranym ze sobą do USA przez Tośka Tylera i pokazanym przez niego na FB, a ostatnio udało mi się zdobyć jeszcze cenniejsze archiwalne zdjęcia placu: z około roku 1955 (z kolekcji Adama Wyrobka) i z roku 1959 z archiwum NAC.



Fot. nr 243 (243-245). Archaiczne ujęcia placu Hanki Sawickiej. Tu tylna ściana Izby Skarbowej z ekranem i socrealistycznym malowidłem na tym zdjęciu z około roku 1955. A przed murem ruina budynku spod nr 25, dawnej „Rejówki”, bo z pewnością nie schronu przeciwlotniczego, który, wg przekazu dawnej mieszkanki, mógł zostać wybudowany w czasie okupacji już po rozbiórce Dolnego Młyna. Jak na schron był to zbyt kruchy materiał. Zdjęcie ze zbiorów Adama Wyrobka.



Fot. nr 244. Plac Hanki Sawickiej z socrealistycznymi już z malowidłami w roku 1959. Zdjęcie autorstwa Geralda Howsona z albumu Bogdana Frygemon: „Gerald Howson – bardzo polska sprawa”, gdzie jest wadliwie opisane, z lokalizacją w Warszawie. Są tam trzy zdjęcia tego placu. Jak twierdzi Krzysztof Wojtyca, starszy sąsiad z Czystej 9, z lewej strony znajdował się napis: „Huta Pokój, Zabrze, Dzierżyński”, a z prawej prawdopodobnie: „Pomoc, Przykład, Przyjaźń ZSRR”.



To będzie niebawem zdjęcie archiwalne. Te naga ścianę — po lewej — przesłoni budynek szpitala, który powstaje na pl. Hanki Sawickiej. Jego budowy podjął się „Zelbeem”. Jak nas poinformował dyrektor tego przedsiębiorstwa mgr inż. Zbigniew Maniak, przystąpiono już do budowy ogrodzenia i wstępnych prac poprzedzających wykopy pod fundamenty. „Jeśli zabetonowany plac nie ujawni niespodzianek — mogących

skomplikować tok robót — w 1980 roku budynek powinien być gotowy.

Nowy obiekt będzie uzupełnieniem — odzyskanego przy reorganizacji administracji — budynku, który został przeznaczony na szpital. Generalnym wykonawcą remontu jest MPRB-4.

Metaloowe meble z „Mechaniki”

Krakowska Spółdzielnia Pracy „Mechanika” jest jedynym w kraju producentem silników elektrycznych do przekładni

Uzyskane tym sposobem 250 łóżek — przewiduje się tu stworzenie oddziału internistycznego, reumatologicznego, neurologicznego — w jakimś stopniu rozwiąże doraźne potrzeby Szpitala im. E. Biernackiego nagląco potrzebnego a niemiłowego z powodu wiadomego braku miejsc w krakowskich szpitalach. (n)

Fot. JADWIGA RUBI

Fot nr 245. Wycinek z Echa Krakowa z końca lat 70-tych z fragmentem placu Hanki Sawickiej i dobrze jeszcze widocznym ekranem filmowym. Plac służył wtedy za parking. Urywek ten udostępnił Antek Tylek (dziś Tony Tyler), dawny kolega ze skwerku.

Ważną rolę w edukacji młodzieży ogrywały Domy Kultury. W moim rewirze było ich trzy: najbliższy, przy ulicy Reymonta 18, przylegający do Parku Jordana, w Pałacu pod Baranami w Rynku Głównym 26 oraz przy ulicy Krowoderskiej 8, na rogu z Jaracza, dziś Sereno-Fenna, przedwojennego fundatora tego budynku. Najczęściej zaglądałem na ulicę Reymonta 18, gdzie nieraz zaciągał mnie „Kanior”, zwłaszcza w okresie ferii zimowych. Zawsze można tu było pooglądać ciekawe filmy dla młodzieży, a czasem trochę popsocić, gdy nie było pogody na narty czy łyżwy. Zapamiętałem film oglądany tu na początku lat 60-tych, w którym snuto fantastyczne wizje jakoby na księżycu mogły kwitnąć kwiaty i żyć jakieś zwierzęta. Taki był wtedy stan wiedzy o tym satelicie Ziemi, choć za kilka lat człowiek stąpał już po jego powierzchni. Do domu kultury przylegał rozległy ogród, z którego przez dziury w ogrodzeniu można się było łatwo dostać do Parku Jordana. Porządku wokół placówki strzegł starszawy już pan, może z 65-letni dozorca, pewnie nader solidny i nazbyt ostry z charakteru, zwany przez nas „Chrypą”, który wraz z żoną mieszkał w suterenie budynku. Teraz wstydziłbym się wykrzykiwać to przezwisko, które wymyślił „Kanior”, wszak prawdopodobnie był to człowiek chory na raka krtani i z tego tytułu każde wypowiedane przez niego słowo było ledwo zrozumiałym chrypieniem, ale wtedy wszystko jakoś uchodziło. „Dla jaj”, jak się mawiało wśród łobuzerskiej młodzieży, razem z „Kaniorem”, „Cycem” i „Syrym”, kolegami z klasy, nieraz zapuszczaliśmy się do ogrodu przylegającego do budynku MDK, na tereny sąsiadujące z jego mieszkaniem i rozrabialiśmy, a potem, gdy „Chrypa” chciał nas przyłapać i ukarać, czmychaliśmy przez dziurę bądź płot do parku i chichotaliśmy z dozorcą, może niepotrzebnie nadmiernie gorliwego.

Od końca lat 50-tych furorę zaczęło robić „hula – hoop”, plastikowa obręcz o średnicy około 1,5 m, która włożona przez głowę była wzbudzana do ruchu obrotowego na wysokości talii, co osiągało się poprzez okrężne ruchy bioder. Cały skwerek i okolica kręciła „hula-hoopem”, a było to bardzo pożyteczne ćwiczenie, które pozwalało utrzymywać wiotkość talii i poprawić stan ogólnej sprawności fizycznej. Moda ta dotarła z Zachodu, ale swą popularnością przebiła chyba zachodni pierwowzór i trwała z kilka lat. Ćwiczenia te, które były pierwowzorem dzisiejszego aerobiku i dziś by się przydały niejednej zanadto „dobrze wyglądającej” i zasiedziałej pani.

W czasie mojego dzieciństwa wielką popularnością cieszyły się książki Alfreda Szklarskiego z przygodowej serii o Tomku, wyidealizowanym super chłopaku, jakby dziś powiedzieć „supermanie”, jak choćby: „Tomek na wojennej ścieżce”, „Tomek na tropie Yeti” czy „Tomek w krainie kangurów”. Tych tomów było kilkanaście, ale ich tytuły już umknęły mi z pamięci pewnie też dlatego, że nigdy nie byłem ani nazbyt ambitnym, ani wytrwałym czytelnikiem. Ich bohater był ucieleśnieniem nieosiągalnych pragnień ówczesnej młodzieży, a jego przygody elektryzowały sporą jej część. Bardzo popularne były również niewielkie książeczki z serii Tygrys, gdzie opisywane były wydarzenia z okresu II wojny światowej. W tych książkach i opowiadaniach zaczytywał się mój brat, który czasem streścił mi jakiś epizod, bo ja nigdy nie miałem czasu na ich czytanie.

O ile dobrze pamiętam, w latach, kiedy chodziłem do podstawówki jedyną przeczytaną przez mnie książką, tak „od dechy do dechy” i to na dodatek z własnej woli choć na dość długim dystansie czasowym, była pozycja Stanisława Pagaczewskiego: „Więźniowie skalnego grodu”, подарowana mi przez mamę na jakieś urodziny, ale na „moje usprawiedliwienie” dodam, że czytałem ją łożku podczas choroby, kiedy bardzo mi się już nudziło.

We wczesnym dzieciństwie uwielbiałem słuchać czytanego jeszcze przez mamę zbioru opowiadań Amicisa pod tytułem „Serce”, gdzie wzruszała mnie do głębi, niemal do łez, zwłaszcza opowieść o małym chłopcu, który zasłonił swą piersią swoją babcię podczas napadu bandytów na jej dom, a potem przebity nożem zmarł na jej rękach. Wiele z zawartych tam opowiadań miało smutne zakończenia, ale w swej treści były one niezwykle dramatyczne i wzruszające.

W przeciwieństwie do mojego brata, który dosłownie połykał książki i to o bardzo różnej treści, m.in. dotyczące historii starożytnej, czytanie szło mi bardzo wolno, co dodatkowo zniechęcało mnie do tego zajęcia. W tym okresie moim szczytowym osiągnięciem było przeczytanie „Pana Tadeusza”, który był obowiązkową lekturą w klasie siódmej, ale przez dwa tygodnie byłem zmuszony do codziennych, jakże ciężkich poświęceń. Aż dziw bierze, że w tym czasie mimo wszystko pisałem całkiem dobre wypracowania z języka polskiego, pewnie za sprawą częstego słuchania radia i oglądania telewizji, gdzie puszczano sporo słuchowisk radiowych, spektakli teatralnych, programów popularno-naukowych i audycji kulturalnych. Człek miał wówczas w mózgu niezapisane pokłady pamięci i wszystko precyzyjnie chłonał.

Mimo pewnej awersji do czytania książek moje życie kulturalne było całkiem bujne, a zainteresowania humanistyczne z wiekiem dojrzewały we mnie coraz mocniej. Już w technikum (Technikum Energetycznym), a więc pod koniec lat 60-tych, należałem do wąskiej grupki młodzieży, która interesowała się literaturą i podejmowałem nawet próby własnej „twórczości” w dziedzinie poezji, zwłaszcza w liryce i satyrze, mając na te luźne eksperymenty skromną grupę odbiorców, zwłaszcza wśród moich serdecznych przyjaciół z klasy: Marka Pstrósia (pseudonim: „Łysy” lub „Karol”), Marka Jagłę (pseudonim „Mario” lub „Jayta”) czy Jacka Zaraskę, „przejajcarza” do potęgi. Może nie są to jakieś wybitne „utwory”, ale dobrze oddają klimat tych lat, gdy człek jedynie „ściskał w rękę kamyk zielony i patrzył jak wszystko zostaje w tyle”.



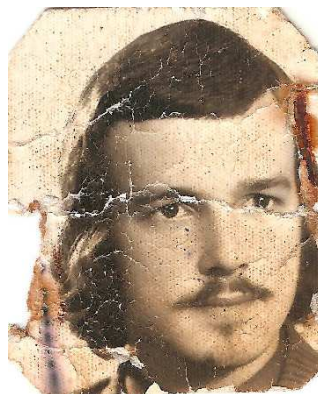
Fot. nr 246. Eklektyczny gmach Zespołu Szkół Energetycznych z ulicy Loretańskiej 16, powstały w I dekadzie XX wieku wg projektu Jana Zawiejskiego. To moja szkoła średnia - dawne Technikum Energetyczne, w tych czasach, na przełomie lat 60/70 nazywana Akademią Loretańską. (12.03.2014)

Mój zapal do wierszoklecania wypłynął z lekcji polskiego, które po mistrzowsku były prowadzone przez dr Cecylię Szarzyńską, prawdziwy autorytet moralny tej szkoły. W sposób niezwykle interesujący potrafiła ona wprowadzić nas, w większości urwisów, w magiczny świat literatury i poezji, świat liryk, trenów i satyr.

Satyra zawsze była bliska memu sercu, gdyż w życiu często sam jestem psotnikiem i prześmiewcą. Od dzieciństwa byłem też wrażliwy na piękno przyrody, stąd moje upodobanie do liryki. Głównym odbiorcom moich liryków był w tym czasie wspomniany „Karol”, który od wczesnych lat szkolnych był zajęty uwodzeniem serc niewieścich i wzruszał je wierszykami, które dostarczałem mu na randki. Ale nie szczędziłem mu też uszczypliwych satyr, podobnie jak drugiemu z Marków. W satyrze czułem się, jak ryba w wodzie, a teksty same wylewały mi się spod pióra.

Wiersze pisałem ze cztery lata, z czasem coraz lepsze, ale pójście na studia górnicze na AGH, kulturalną pustynię, odwiodło mnie od tych zainteresowań. Tutaj dominował inny model kultury, bardziej wulgarny, zdecydowanie mniej romantyczny. Na Wydziale Górniczym studiowała głównie młodzież z robotniczego Śląska, a także ze wsi i z małych miejscowości, również z Lubelszczyzny, mamiona perspektywami dobrych zarobków w górnictwie węglowym, czemu sprzyjał dziwaczny system naboru na uczelnię, w którym dodawano punkty za pochodzenie. Dominował tu „konsumpcyjny” styl życia i aktywność na „pełny gaz”, bez jakichkolwiek oporów i subtelności. Niejeden młody człowiek z prowincji zaplątany w ten wir „wielkiego świata” staczał się w otchłań i nie tylko nie kończył studiów, ale również nie potrafił znaleźć sobie sposobu na dalsze życie. Nie mając wyboru musiałem dostosowywać się do panującej tu mody, choć czyniłem to z reguły tylko na „ćwierć gwizdka”. Dziś, z perspektywy czasu, nie wspominam tego okresu szczególnie mile. Był to ciągle mój cielejący wiek, kiedy człek nie do końca wykorzystał swoje niemałe możliwości, a w segmencie dobrych manier i obyczajów niewiele tylko posunąłem się do przodu.

Moim najserdeczniejszym kolegą był wspomniany już wielokrotnie „Karolek”, kolega jeszcze z podstawówki, z równoległej klasy B. Łączyła nas głównie fascynacja footballiem, bo on też świetnie grał w piłkę, głównie na prawym skrzydle, a na boisku rozumieliśmy się jak „dwa łyse konie”. Cóż za sympatyczny był to chłopak, zawsze naturalny i koleżeński, uwielbiany przez wszystkich, szczególnie przez białogłowy. Miał niewyobrażalne poczucie humoru, za co był przez wszystkich lubiany, a przy tym niezwykłą tolerancją na robione mu dowcipy i uszczypliwości, w czym niestety ja brylowałem.



Fot. nr 247. Tak wyglądałem przy starcie na studia w 1973 roku.

Po skończeniu studiów na Wysrołu zaczął robić karierę w GS w Zielonkach, gdzie rychło został z-cą prezesa ds. handlowych, może nieco za szybko i za łatwo. Niestety jego błyskotliwa kariera dobiegła końca na początku lat 90-tych, po zmianie systemu władzy w Polsce i marginalizacji GS. Wtedy gwałtownie rozsypało się lokalne lobby, a on, niestety, musiał powrócić na twarde „ziemskie padoły”, na których zdołał się jakoś odnaleźć. Kontakt z „Łysym”, z różnych przyczyn, urwał się na piętnaście lat, ale w ostatnich latach znów wszystko powróciło do dawnych standardów, z czego bardzo się cieszę, bo tacy jak on przyjaciele nie rodzą się na kamieniu. Na szczęście każdy z nas ma już za sobą burzliwy okres „błędów i wypaczeń”, a teraz potrafimy zachować dystans i do siebie i do zachodzących zmian, nie szczędząc w tej materii sarkazmu i humoru.

W ogóle historia „Łysego” i jego rodziny zasługuje na oddzielne opracowanie. Obaj jego młodszy bracia: Adam – „Fircyk” i Heniek, chłopaki niezwykle sympatyczne i powszechnie lubiane, zmarli młodo, ten pierwszy w wieku 33 lata, drugi zaś koło czterdziestki i były to dla niego samego bardzo bolesne straty. Znałem ich bardzo dobrze, wszak nieraz uganiali za piłką z towarzyswem ich starszego brata, a talent i zapał do sportu mieli nie mniejszy niż on sam, stąd i mój wielki smutek.



Fot. nr 248. „Karolek” Pstrós – zdjęcie z około 1973 roku.

Duże poczucie humoru miał też Marek Jagła, mój drugi serdeczny przyjaciel, który, co nie mnie to oceniać, sam wybrał sobie dość skomplikowaną drogę życiową: rozszedł się on ze swoją żoną, opuścił dawny dom i syna, a kontakt między nami też urwał się na długo i stan ten trwał do grudnia 2009, kiedy spotkałem go wreszcie na obronie pracy doktorskiej właśnie jego syna. Tak się składało, że z Ela, jego żoną, a po części z jego synem, cały czas utrzymywaliśmy z żoną bliskie kontakty, a z nim do pewnego czasu szło jakoś po grudzie. Z satysfakcją (i ulgą) muszę jednak stwierdzić, że z Markiem od pewnego czasu też spotykamy się towarzysko na piwie, a towarzyszą nam: nie kto inny jak Łusy, dusza towarzysw, a dodatkowo Janusz Domagała i Jacia Mikuła, jego szkolna koleżanka i jest to stały kwintet z dawnej „Akademii Loretańskiej”.

Tak więc okres, w którym straciłem kontakt z dwójkę swoich najlepszych przyjaciół z czasów szkoły średniej, szczęśliwie dobiegł końca, bo swoim życiu nie spotkałem już takich ludzi, bratnich dusz jak oni i wszystko znów powróciło do dawnej, wariackiej normy, a my w swoim towarzystwie znów świetnie się bawimy.

Pewnie wielokrotnie „przeginałem kiedyś lagę” ze swymi „twórczymi” uszczypliwościami, ale oni zawsze wszystko obracali w żart, bo dobrze znali moje intencje.

Ów „Karol” stał się pożywką dla moich satyr. Jego nazwisko zawsze było kojarzone z ptakiem – strusiem. Prześmiewaliśmy, że Pstruś, bo tak naprawdę pisze się jego nazwisko, to skrót od polski struś, choć ja jego nazwisko zawsze pisałem przez „ó”, traktując go przez to jako wyjątkowego osobnika tego gatunku nietotów. Czasem nawet i on sam tak się podpisywał, bo tak miał zamącone przeze mnie w głowie.

Jego matka pochodziła z podkrakowskich Przybysławic, a ojciec z pobliskiego Prądnika Korzkiewskiego. Sam dowcipkował na ich temat, więc i ja zawsze coś dołożyłem. Niebawem jego ojca Stefana, za Jackiem Zaraską, zaczęliśmy nazywać Guślarzem, częściowo z racji jego potężnej postury, traktując go jako kopie owej postaci z „Dziadów”, ciotkę Żydówką, jako że mieszkała na Kazimierzu, a on na wieki został „Łysym” lub „Karolem”, bo w Wiśle grał zawodnik o nazwisku Karol Pstruś, który był niemal całkiem łysy, a na łyse czoło komicznie zaczesywał jakieś niedobitki włosów aż gdzieś spod ucha.

W tych Przybysławicach był staw, który literacko przetworzyłem w jezioro i trochę krzaków, przemianowanych na bór, jak to przesadnie wiele rzeczy opisywano w wierszach z epoki sentymentalizmu, pod którego byłem wtedy wpływem. Miała też rodzina „Łysego” w owych Przybysławicach za Zielonkami działkę z niewielką budką, która została przemianowana na willą. Budka ta, jak i pozostałe rodzinne „morgi”, stała na niewielkim wzniesieniu, które zostało ochrzczone Pikiem Łysego. Miał tu też „Łysy” swoją ludową dziewczynę – Wiesie Ż., zwaną Siesią, jego letnią miłość. Jego ojciec faktycznie bardzo chciał mieć córkę, ale nic z tego nie wyszło, bo dorobił się jedynie trzech synów. I tak na tej kanwie powstały początkowo dwa wiersze: tren i satyra. Tych trenów i satyr stworzyłem potem jeszcze kilka, m.in. na Marka Jagłę, ale najlepsza chyba z nich, na Apolinarego Kowalewskiego, nauczyciela z technikum, na długo zaginęła. Wiele innych „utworów”, w tym: liryk, a także sielanek, które podobnie jak treny i satyry zapisałem w moim zeszycie, przekazałem Karolowi i te zaginęły na długie lata, choć ostatnio szczęśliwie się odnalazły, bowiem „Łysy” z „pietyzmem” zachował wszystkie moje bazgroły.

Poniżej przytoczę kilka li tylko przykładów, trochę przeze mnie współcześnie dopieszczonych, by pokazać jaką zgraną tworzyliśmy paczkę i jaka wspaniała panowała pośród nas atmosfera, choć żyliśmy w rzekomo „zgniłych czasach”.

Parodie trenów napisałem będąc pod wpływem Jana Kochanowskiego. Karol skarży się w nich na utratę swego ostatniego włosa. Stworzyłem też parę parodii sielanek, ale tu przedmiotem uszczypliwości był Adam Filo, sympatyczny kolega zamieszkały w Bronowicach, czyli „na wsi”, którego zezłoszczony pan Kijowski, ekscentryczny profesor od rysunku technicznego, wyzwał raz „Filonem” i „wieśniakiem”, przy salwach śmiechu na sali. To on też był autorem innego przezwiska: „Kapo”, które przyłgnęło do Marka Tarnawskiego. Gdy Marek próbował podglądać oceny z dziennika, co jako dyżurny czynił zza za jego ramienia, ten nazwał go „kapusiem” i tak już zostało. Nam było śmiesznie, im mniej, zwłaszcza Markowi, bo ta przykra ksywa przyłgnęła do niego na zawsze i jeszcze dziś przy spotkaniach chyba go uwiera. Przy recytacjach w wąskim gronie było kupę śmiechu, ale do szerszego gremium już nie próbowałem się przebić, by kogoś zainteresować „moją twórczością”, wszak byłem zbyt nieśmiały i jak zwykle nie wierzyłem we własne siły i możliwości. Ale w sumie miły był to dla mnie okres, bo wyraźnie podciągnąłem się intelektualnie, wszak nie traciłem tylko czasu na uprawianie różnych sportów bądź namiętne kibicowanie.

Kupę śmiechu wywołała jakby auto satyra Karola na Przybysławice – „Hymn o Przybysławicach”, z której to wsi z czasem i on zaczął sobie żartować.

„Moje Przybysławice, wsi płynąca piwem
 Tyś jedyne na świecie miejsce urodziwe.
 Tu Adela za Stefką ścieżki wydreptała
 Tu Żydówka wśród borów za Joslem płakała.
 I ja będąc na fali natchnienia letniego
 Kochałem się w Wiesławie: „Siesi” z Żurkowego.
 Tu każdy znalazł ciche miejsce na amory,
 Jeziora piły rozkosz, bory ssały gorycz,
 A strumyczek płynący spod Piku Łysego
 Niósł me czułe westchnienia dziewczce z Żurkowego.
 Tu w mej willi w pościelach jajeczka złożono,
 Pierwej niżli ujrzałem świata tego łono.
 I choć Guślarz z tych jajek córek sobie wróżył
 Córek się nie doczekał, jeno brzuszki duże.
 Każdy kto tu przyjeżdża pięknem się zachwyca;
 Kto dziś w Polsce nie słyszał o Przybysławicach.
 Ja sam, gdy je opuszczam przeżywam katongi,
 Lecz moje serce roście, gdy wracam na „morgi”.
 Choć są wielkim kurortem, kończą się na krzakach,
 Gdy ktoś tutaj przyjedzie ugrzęźnie w burakach.
 Lecz dla mnie pozostaną najdroższą ostoją,
 Wszak zawsze bez pogardy czcić będę wieś swoją.”

Poskładałem też jedną całość kilka z trenów o włosie, który jest formą współczesnej kompilacji:

„Strasznie mi łyso włosie bez ciebie,
 Jakby nie było gwiazdek na niebie.
 Mój ostatni włosie drogi, długi
 Przez Ciebie lecą mi z oczu łez strugi.
 Ach tylko Ciebie jednego miałem
 Cieszyłem Cię, gdy Cię rano cesałem
 Tyś był mój najcenniejszy przyjaciel
 Mój ukochany włosie, mój bracie.
 Teraz ma łysina tak mnie nęka,
 Że na myśl o tobie serce pęka
 Cóż mogę teraz z rozpaczy uczynić,
 I kogo za stratę ciebie winić.
 Co teraz będzie z łysiną moją,
 Nawet wspomnienia mnie nie ukoją.
 Już chyba więcej łez nie wyleje,
 Bo na widok swej łysiny mdleję.
 Wciąż mogę lamentować żałośnie,
 Lecz ty mi nigdy już nie odrośniesz,
 Muszę więc przeżywać rozpaczy pełnie.
 Oj, chyba samobójstwo popełnię”.

W styczniu 2008 roku niespodziewanie odnalazłem szczątki brudnopisu satyry na Marka Jagłę – „Jaytę”, mieszkającego kiedyś na ulicy Syrokomli. Jego nazwisko często tak właśnie było przekręcane przy wyczytywaniu ze szkolnego dziennika. Były jeszcze i inne przekręty, zwłaszcza na początku klasy: Jaguta, Jachta, Jaita, Jagło, a każdy z nich wywoływał salwy śmiechu. Marek był wyrosnięty ponad wiek, nosił buty wielkich rozmiarów, posiadał duże baki, wąsy i musiał się codziennie golić, a my śmialiśmy się, że potem ma na brodzie ściernie. Ćwiczył kulturystykę, by stać się dobrze umięśnionym amantem. Śmialiśmy się z niego, że chce zostać „bykiem”. Chwalił się, że chodził do swojej babki na Dębniki i tam, dla poprawy siły, rąbał na pniu drzewo. W mojej szelmowskiej główce, pod wpływem ballad Mickiewicza, zrodził się pomysł napisania ballady o herszcie Jaycie, który rządzi na Dębnikach. On sam zaśmiewał się nad tekstem do rozpuku. Po pewnych retuszach i współcześnie dokonanych uzupełnieniach powstał poniższy tekst.

„O herszcie Jaycie”

Kto się wyprze faktu, że idąc Syrokomli,
 Jak pies do oprawcy swego o życie skomli.
 Salwator, Piasek, Zakrzówek w legendach tonie,
 Które docierają aż po krakowskie Błonie.
 Miejscem tym rządzi sławny herszt i jego świta,
 Postrach okolicy, potężny „byk” Jayta.

Jayta niczym Roland, krakowski bożyszczce,
 Może jednym machnięciem dom obrócić w zgliszcze.
 Jego wąsy są ostre, jak stalowe liny,
 Jego baki są długie jak huty kominy.
 Ma „ściernie” bardzo ostrą, nią szatkuje ściany,
 Kto zalezie mu w drogę jest na litość zdany.
 Jego zęby są twarde, jak okruchy stali,
 Jego czoło bez trudu każdego powali.
 Gdy bicepsy napręży, zasłania pół nieba,
 A pod jego tupnięciem drży wokoło gleba,
 Wszak stopa imć Jayty jest nie byle jaka,
 Obuwie ma rozmiary ósemki kajaka.
 Kiedy się herszt Jayta zapuszcza w zaloty
 Na nogach ma szpanerskie, zgięte w czubach szkoty.
 Marynarkę ze sztruksu ma powycieraną
 I spodnie „ala rifle del americano”.
 Szyję zrytą żyłami osłania golf piękny,
 Od nadmiaru wysiłku zawsze rozciągnięty.
 W gruby pasek ze skóry w pasie jest odziany,
 By kogoś przy nadęciu nie wtłoczyć do ściany.
 Choć w jego towarzystwie gwarno i wesoło,
 Gdy przemówi do tłumu wszyscy milkną w koło
 I tylko dolatuje dziki pisk niewieści.
 Nadchodzi czas słuchania herszta opowieści:
 „Jam na Zakrzówku wyrąbał las cały
 Gdzie chcę przenoszę Twardowskiego Skały.
 Kiedy się w oberży napoję winem
 Rynek Dębnicki obrócę w perzynę,
 A gdy Most Dębnicki swoją dłońią zdzieję
 Wisłę zawrócę nazad pod Wawelem”
 Pakuje więc Jayta hantlami wytrwale,
 By jego umięśnienie było okazałe.
 Przemęcza się biedaczek treningiem nadmiernie,
 Coraz większe ciężary podnosząc pazernie,
 Tak, że po jego czole płyną strugi potu,
 A nogi są tak mocne, że prą do odlotu.
 Gdy się napina, klata pręży się w bezdechu,
 Że omal mu pęknie, mnie tylko ze śmiechu.

Jedną z bardziej udanych była „Satyra na Apolinarego Kowalewskiego”, nauczyciela materiałoznawstwa, poczciwego starca i wielce dobrotliwego człowieka. Siedział on zwykle nisko pochylony nad dziennikiem czy książką, bo miał słaby wzrok i w związku z tym nosił wielkie okulary, a w oczy rzucała się jego łysina na czubku głowy. Miał jakąś wadę wymowy i na miedź mówił – mniedz, na rtęć – trtęć, a na miękki – mniękki; wanna była „ocynkowanna”. Satyrę odtworzyłem ze szkiców przechowanych u „Łysego”:

Materiałoznawstwa profesor stary
 Zwie się Kowalewski Apolinary.
 Kiepskie ma zdrowie, bo i w kościach łupie,
 gdy zimno przeciągnie po kręgosłupie.
 Już nie te oczy i kiepski ma humor,
 Drażnią go ciemności i klasowy rumor.
 Gdy ktoś nie wstanie, jak Poldek wchodzi,
 Nad zachowaniem szybko się rozwodzi:
 „Takiś leniwy, choć taki młody,
 Przy odpowiedzi dodam ci ochłody.
 Wyleczę cię głupcze z leniwej skazy,
 Kiedy w okresie zapytam sześć razy”
 Cedzi: „dzień dobry”, siada przy stoliku,
 Listy obecności szuka w dzienniku.
 Nerwowo się kręci, coś szuka w szufladzie,
 Wreszcie okulary na nos swój kładzie,
 By w końcu dotknąć dziennika swym nosem,
 Jakby litery chciał wyciąć pokosem.
 Czyta, lecz w dzienniku swą głowę chowie,
 Nie słysząc nawet, czy mu ktoś odpowie.
 Tylko łysina z za dziennika świeci,
 Jak księżyc wschodząc wśród śnieżnej zamieci.
 Wreszcie, gdy obecność jest odczytana,
 Rychło się zabiera do odpytywania,
 Lecz w moment wzrok jego sięgnął w tablicę,
 Powieka drgnęła, pochmurniały lice:
 „Gdzie są dyżurni”? – w moment przybywają,
 Gonią za kredą, tablice ścierają:
 „Ta gąbka zmoczona? – skąd ten straszny kurz,
 Jak ty trzesz tablicę, trzeba ścierać wzdłuż.
 Ośle! Byś poznał swej głupoty wagę,
 Wpiszę Ci w dzienniku przykrą uwagę”.
 Lecz to nie koniec był grandy akurat.
 „Gdzie na kredzie papier” – spłonął, jak burak.
 „Przez durniów pół lekcji straciłem całe,
 I przez to nikogo nie odpytałem”.
 Otwiera książkę, coś pod nosem bredzi:
 „Dziś będzie krótki wykład o mnedzi”.
 Z nosem ryjącym podręcznik stęka:
 „Mniedz jest półtwarda, twarda i mnięka”.
 Tu się z tematu na chwilę wykręcił,
 By wspomnieć zalety płynnej trzęci.
 Lecz wnet terkot dzwonka wykład przerywa
 I biedny Poldziu zaczyna wyzywać:
 Że z materiałem idzie tak pomału,
 Bo w klasie nie ma do nauki zapału.
 Że, jak tak wolno pójdzie z pytaniem.
 Wielu w was dwóje na okres dostanie.

Chowa wszak książkę w teczkę swą w pośpiechu,
Wychodzi z sali, pośród salwy śmiechu.

Może przytoczę tu jeszcze, dla przykładu, sonety, swoisty tryptyk morski, pod tytułami: „Bałtyk o wschodzie słońca”, „Południe” i „Zachód słońca”, które napisałem w 1969 roku, pod wpływem Mickiewicza, zafascynowany pierwszym w życiu pobylem nad Bałtykiem, na obozie rowerowym zorganizowanym przez Technikum Energetyczne.

„Bałtyk o wschodzie słońca”

Już świt wstał na nieboskłonie
I rozlał purpurą zorzę,
Wielką, jak Bałtyckie Morze.
Pierwszy promyk w odchłań tonie.

Słońce jeszcze jest nieśmiałe,
Jak dziewczyna na zalotach.
Bałwan piany na brzeg miota
Bursztyn i muszelki białe.

Jeszcze cicho, tylko syczy
Żmija harmonijnych fali.
Gdy osiągnie cel zdobyczy,

Z szumem pełznąc w plażę wali.
Siedzę dziś na wydmy skraju
Łudzac się. Czyż jestem w rajju?

„Zachód słońca”

Słońce kończąc ziemską porę
Rozlewa się na kształt łuny,
Razi w oczy, jak pioruny,
Błękit nieba w ogniu gore.

Hen na horyzoncie morza
odbija się w lustrze fali,
Jeszcze tchnięte wiatrem w dali
Błysło, by zniknąć w przestworzach.

Ciemno. Grzmią morskie bałwany,
Wciskając się stromym zboczom.
Bez skutku, wracają piany,

Bój następne fale toczą.
O morze, jakieś Ty piękne
Lecz nie zawsze nam dostępne.

Do sonetu „Południe” stworzyłem tylko pierwszą zwrotkę, bo na stworzenie reszty jakoś straciłem twórczą wenę.

Ukrop. Żar leje się z nieba.
Niebo czyste, jak aksamit,
Tuż, mglistymi obłokami
Tkane. Cichy wiatr powiewa.

Taki wtedy miałem charakter. Pod przykryciem rozhukanego i zawadiackiego sportowca posiadałem ciche i liryczne usposobienie oraz wrażliwość na otaczające piękno. W przeciwieństwie do Casanowy „Łysego” wstydziłem się w tym czasie dziewcząt, z którymi w dzieciństwie i w szkole nie miałem bliższego kontaktu. Sytuacja zaczęła się nieco zmieniać około 1970 roku, gdy „Łysy” zaczął mnie wyciągać na potańcówki do dziewczęcej bursy, która mieściła się na końcu alei Puszkina czy do Domu Kultury na ulicy Krowoderskiej i nauczył mnie tańczyć. Pisanie wierszy sprawiało mi wtedy autentyczną przyjemność i stanowiło odskocznie od otaczających mnie problemów związanych z dorastaniem.

W Technikum Energetycznym istniał zespół big beatowy, w którym grali dwaj klasowi koledzy: Tadek Wszółek i Romek Zieliński. Nadzór techniczny nad sprzętem sprawował Józek Zubel, własnoręcznie wykonujący różnego rodzaju udoskonalenia, które miały poprawić agresywność brzmienia gitar i siłę dźwięku. Gdzieś w 1970 roku zespół ten grywał na potańcówkach organizowanych w sali gimnastycznej. Na prośbę Romka, zwanego „Majstrem”, napisałem wtedy tekst melancholijnej piosenki pt. „Ślad miłości”, coś na modłę beatlesowskiej „Yesterday”, który niedawno niespodziewanie odnalazłem.

„Dlaczego dziś wokół tak smutno
Powiędły róże, fiołki, lilie.
Tylko wiatr niesie wieść okrutną,
Szum liści powtarza twe imię.

Kiedyś kochałem cię niezmiernie,
Przykładem zawsze dla mnie byłaś.
Ty mnie już nie chcesz, ja kocham wiernie,
Przeklinam dzień, w którym zdradziłaś.

Choć nie odeszłaś zbyt daleko
Pozostał jednak żal i smutek.
Znów imię twe powtarza echo,
A wiatr wieje żalną nutę

Wiem, że zdradziłaś mnie nikczemnie,
Dawno przebrzmiały słowa czułości.
Wierzyłem w miłość nadaremnie
Pozostał tylko ślad miłości.”

Miała to być wolna przytulanka, ale po jakiejś aferze klasowej zespół został rozwiązany, a piosenka nie doczekała się debiutu. Odnalazłem ją w styczniu 2008 roku, zaszytą gdzieś głęboko w papierach.

Swoje impresje z czasów nauki w Technikum Energetycznym, kiedy w naszym kraju następowały ważne przemiany i przeżyta już ekipę Gomułki zastępował aparat biurokratyczny Gierka, który z szerokimi nadziejami społecznymi parł w stronę zachodniej Europy, opisałem w szkicu pt.: „Moja przygodzie z Technikum Energetycznym w Krakowie w latach 1968-73”, opublikowanym w MBC pod sygnaturą: www.mbc.malopolska.pl/publicatio/11376. Tam też zamieściłem inne moje wiersze po części zrekonstruowane na podstawie zachowanych u „Łysego” szkiców. Ciekawszych zachęcam do ich lektury.



Fot. nr 249. Fragment ulicy Karmelickiej z kamienicą pod nr 46 (trzecia z lewej), powstała w latach: 1910-1911, w której oficynie na trzecim piętrze mieszkał „Karolek”. (2012)

Także i w późniejszych czasach powracałem z rzadka do pisania wierszy i pod koniec lat 80-tych wymyśliłem córce parę prostych wierszyków do szkoły, z których jeden – „Zima”, zapamiętałem:

Przyszła zima cała w bieli
 Wszystkie dzieci rozweselić.
 Puch otulił pola łąny,
 Każdy dzieciak roześmiany.
 Można pojeździć na sankach,
 Rzucić kulą do bałwanka,
 Z kolegami iść na lód,
 Choć na polu wielki chłód.

Witamy cię Zimo droga
 Z prośbą: nie bądź nazbyt sroga.
 Pozwól dzieciom się wyszaleć,
 By wspominać cię wspaniale.

Z kolei dla wnuczki, już w 2016 roku, napisałem taki wierszyk na konkurs w jej przedszkolu.

„Pani Wiosna”

Przyszła Wiosna, pani w bieli,
 Wszystkie dzieci rozweselić.
 Mknąc, swą różdżką pól dotyka,
 A dokoła świat rozkwita:

Ptaszki śpiewają wesoło,
 Świerszcze przygrywają wkoło,
 W stawach żaby rechotają,
 W słońcu motyle fruują.

Świat się wokół zazielenił,
 Szary grunt w dywan się zmienił.
 Żółcią się wierzbowe kotki,
 Na łąkach kwitną stokrotki.

Dzieci cieszą się ze słońca;
 Zła zima dobiegła końca.
 Cała gromadka wesoła,
 Bo świat piękny dookoła.

Tak więc pisywałem wiersze z potrzeby ducha, tak dla zabawy, ale nigdy nie przyszło by mi do głowy, że kiedyś poprobuję swoich sił w pamiętnikarstwie i że poderwę się do opisania mojego dzieciństwa, co jest w końcu gigantycznie trudnym zadaniem. Przeczytałem kilka pamiętnikarskich książek, ale największe wrażenie wywarła na mnie przepiękna pozycja Władysława Krygowskiego: „W moim Krakowie nad wczorajszą Wisłą”. Pomyślałem sobie wtedy, że może warto spróbować opowiedzieć swoje dzieje i to maksymalnie dokładnie, bo w książce Krygowskiego dostrzegłem wielu luk. Oprócz owych wspomnień napisałem jeszcze dwie wielkie epepeje, sagi rodzinne rodów: Grabowskich oraz Chanków i Kędrynów - dziadków i rodziców mojej matki, literacko wzbogacone drzewa genealogiczne.

Rozgryzienie dziejów moich przodków, pochodzących odpowiednio: z Bilczyc i Podolan koło Gdowa, zajęło mi ponad 10 lat intensywnych studiów i poszukiwań, poczynszyszy od roku 2003. W tym czasie złożyłem trzynaście wizyt w parafii w Gdowie, gdzie wielką dla mnie wyrozumiałość wykazywał ksiądz proboszcz Stanisław Jarguz. W swoich poszukiwaniach dotarłem do połowy XVII wieku, a przy okazji odkryłem mnóstwo zapomnianych rodzinnych tajemnic i poznałem wielu nieznanych mi dotąd krewnych, w tym zmarłą niedawno kuzynkę mojej mamy, mieszkankę Skawiny, a o której nic nie wiedziałem. Oprócz pisania wspomnień od 2008 roku zająłem się fotograficznym dokumentowaniem głównie odchodzącego świata Krakowa, jego przedmieść oraz okolic, dokumentowaniem detali kamienic i domów oraz przemianami krajobrazowymi na tych terenach, co regularnie publikuję w zasobach MBC (patrz załącznik na końcu opracowania).

W nudne, długie i mroźne wieczory zimowy oraz w jesienne pluchy często sięgaliśmy do gier i zabaw, które nieraz z konieczności, jako że stół był zajęty pod prasowanie, rozkładane były na chropowatej podłodze. Ważną pozycję zajmowały tradycyjne karty, zwykłe dwudziestki czwórki. Sporo gier w tym zakresie nauczyła nas mama, której wiedza na ten temat sięgała jeszcze czasów jej pobytu na ulicy Łobzowskiej. Często, zwykle razem z mamą, o ile miała chwilę czasu, „zacinaliśmy” w „wojnę”, „oczko”, „zechcyka”, czyli „66” czy w „tysiąca”. W pospolitej gwarze karcianej pik zwano winem, trefl żołędziem, kier czerwienią, a karo dzwonkami. Mama uwielbiała stawiać pasjansy, my z kolei budowaliśmy domki z kart. Jako dzieci często grywaliśmy w różne rodzaje karcianych Piotrusiów, w tym najbardziej przez nas lubianego „Piotrusia pokrzywkę”, którego wyciągnięcie kończyło grę i dlatego był on zawsze jakoś delikatnie zaznaczony. My znaleźliśmy tą kartę, inni nie, więc było to takie małe szulerstwo, a ile przy tym śmiechu. W późniejszym czasie nieśmiało zaczęliśmy pogrywać w Remi Brydża, zwanego Remikiem. Całkowicie została już zapomniana popularna kiedyś, a bardzo prosta zabawa „w ciepło i zimno”. Jakiś drobny przedmiot, np. małego misia, chowało się w wymyślnym miejscu w mieszkaniu, a potem szukającego naprowadzało się na cel podpowiedziami: „zimno, zimniej, lód”, gdy się oddalał od przedmiotu bądź: „ciepło, cieplej, gorąco, parzy”, gdy się do niego zbliżał. Również nieznana jest już dziś „gra w zielone”, która polegała na obowiązku posiadania przy sobie, najprościej w kieszeni spodni, czegoś zielonego, najłatwiej liścia bądź trawy, o co łatwo było na wiosnę i w lecie. Gdy ktoś z umówionych ze sobą graczy zawołał do ciebie: „gramy w zielone”, trzeba było odnaleźć przy sobie swój roślinny rekwizyt bądź pokazać np. fragment stroju w tym kolorze, bo w przeciwnym razie trzeba było dodać fanta, np. zafundować oranżadę bądź lizaka. Zabawa ta dobrze się sprawdzała w licznym gronie kompanów, np. na podwórku kamienicy.

Przez długie lata dzieciństwa moim ulubionym zajęciem było puszczenie baniek mydlanych. Do zabawy potrzebna była tylko mała miseczka z mydlinami i słomka. Najczęściej puszczałem bańki z okna naszego mieszkania, bo wtedy długo frunęły one w kierunku ziemi, zmieniając po drodze swoje kolory niczym tęcza.

W szkole, zwłaszcza podczas nudnych zajęć lekcyjnych, jakże często grywało się w „okręty” i w „kółko i krzyżyk”, do których to gier wystarczał tylko ołówek i kartka papieru. Nieraz na lekcjach słysząc było niespodziewane wybuchy radości po odstrzeleniu kogoś ze statków. Na planszy trzeba było odnaleźć jeden cel czterokratkowy, dwa trzykratkowe, trzy dwukratkowe i cztery tzw. „jedyńki”, najtrudniejsze do upolowania. Nagminnie grywało się też w kości, najczęściej pięcioma kostkami i to przy każdej okazji, nawet na przerwach w szkole.

Jakże częste były wtedy w użyciu do niedawna bardzo popularne gry planszowe, jak: Chińczyk czy Warcaby. Z czasem próbowaliśmy grywać w szachy, ale ta królewska wymagała już sporej wiedzy. Popularne były też inne gry planszowe, z najbardziej przez nas lubianą grą obrazkową pod nazwą: Wielkie Łowy. Mało kto już dziś pamięta o takich gierkach sprawnościowych jak: Pchełki czy Bierki. Wielką popularnością cieszyła się gra świetlicowa pod nazwą Piłka Nożna, gdzie zawodnikami były sprężynujące gałki, a piłką metalowa kulka. Po zakupie jej przez mamę grywało się w nią zaciekle całymi godzinami, zwłaszcza w zimowe wieczory i jakoś nigdy wywoływała znużenia. Bardzo popularny był pinball (przynajmniej tak brzmi jej aktualna nazwa, bo tą dawną jakoś zapomniałem) – gra z odbijaną poprzez sprężynę kulką, która wpadała do różnie punktowanych półek (szerzej o niej piszę w rozdziale II). Plansze do tej gry były różnej wielkości: od miniaturowych, po wielkie egzemplarze, które zajmowały na stole sporą przestrzeń i te były najbardziej cenione.

Każde dziecko musiało mieć buczonego „bąka”, urządzenie w kształcie podwójnego stożka, napędzane śrubową rączką. „Bąki”, produkowane w różnych wielkościach, wydawały różne odgłosy „bziuczenia” w zależności od wielkości i prędkości obrotowej. Umiejętnie napędzony potrafił się kręcić nawet z minutę. Często w użyciu była też „fryga”, pokrewna w stosunku do „bąka”, ale mniejsza zabawka, którą wprawiało się w ruch obrotowy przy pomocy dwóch palców.

W dzieciństwie nie mogło oczywiście braknąć klocków do układania. Szczególnie utkwiły mi w pamięci piękne, różnokolorowe, drewniane klocki, jedyny chyba w życiu prezent jaki memu bratu podarowała pani Basia Beigertowa, jego chrzestna (świeć Panie nad jej duszą, bo opuściła Ona ten świat w marcu 2006 roku). Można było z nich budować różne obiekty: od mostów, po małe domki. Bardzo praktyczne były też małe plastikowe klocuszki, coś na kształt dzisiejszych klocków Lego, również różnokolorowe, z których można było składać niemałe budowle, z domkami dla małego misia włącznie.

I te misie! Ileż człek miał ich w dzieciństwie: wielkie pluszowe i mniejsze plastikowe, które były moimi przyjaciółmi jeszcze do połowy lat 60-tych, bo zawsze można je było przytulić i porozmawiać z nimi, gdy nie było nikogo w okolicy. Pamiętam dużego pluszowego misia ze szklanymi oczami i pięknym czerwonym jęczyczkiem, jedną z niewielu pamiątek pozostałych mi po ojcu, którego podarował mi bodaj na trzecie urodziny. Długo poniewierał się potem po domu i znikł tak na dobre dopiero przy przeprowadzce do nowego mieszkania na „Kozłówek

Zabawki generalnie były kiepskiej jakości, ale „z braku laku” miały u dzieciarni wzięcie. Sporo pojazdów miało napęd bezwładnościowy, gdzie ich kółkiem trzeba było kilka razy potrząść o podłogę, by koło napędowe mechanizmu nabrało rozpędu, a potem mógł on przejechać po posadzce nawet ze dwa metry. W takie mechanizmy były wyposażone naprawdę ładne i trwałe miniaturki samochodów ciężarowych marki Star, od zwykłej wywrotki, przez cysternę, po samochód strażacki. Sporo było również zabawek napędzanych mechanizmem sprężynowym, nakręcanych kluczykiem, ale taki pojazd, np. kolejka czy samochód osobowy, nie odjeżdżał zbyt daleko. Ponadto oba w/w mechanizmy nie były zbyt trwałe i z reguły szybko ulegały bezpowrotnemu uszkodzeniu. Wspaniałe były natomiast kolejki elektryczne, które można było kupić tylko w sklepie „Harczerz” Składnicy Harcerskiej, mieszczącym się na parterze kamienicy w Rynku Głównym 5, a więc obok księgarni z parteru secesyjnego budynku Czynciela spod nr 4, ale na te kolejki, niezwykle drogie, bo zapewne z importu, które kosztowały nawet ponad tysiąc złotych, mamy nigdy nie było stać. Prawdziwą przyjemnością było zatem ich oglądanie czy to w witrynie sklepowej bądź w szklanych gablotach wewnątrz sklepu. Posiadanie takiej kolejki było moim największym, nigdy niezrealizowanym marzeniem dziecięcym, do czego też potrzebne było duże pomieszczenie.

Z nudy młodzież sama wymyślała różne gry i zabawy. Jedną z nich było strzelanie kulkami wydłubanymi z plasteliny do prowizorycznie wykonanej tarczy, co czyniło się z pomocą długiej szklanej rurki. Strzelało się również na ulicy po nogach nastolatek, gdzie za naboje były też wykorzystywane ziarenka ryżu, które uderzały seriami. Im dłuższa rurka tym rażenie było mocniejsze. W pewnym okresie czasu na sprzedaży rurek szklarze robili złoty interes. Dorabiał na nich zakład witraży, który mieścił się w bramie domu przy ulicy Dolnych Młynów 1/3. Popularna była gra w „pieniążki”, w której rzucało się przed własne nogi drobne monety i ten zgarniał pule, kto potrafił tak sprytnie upuścić monetę, by jedna zaskoczyła na drugą. Nieraz, gdy grali „rutyniarze”, można było zebrać całkiem niemałą kwotę. W „pieniążki” niemal zawodowo grały uliczne „andry”, najczęściej na chodniku lub na ulicy, a ich grze często towarzyszyły emocje, kłótnie i bójki. Wielką radość sprawiało popychanie patykiem po chodniku cienkiego, drewnianego kółka, sprzedawanego sklepach z zabawkami bądź pustej rawki od roweru, bo takie to były czasy, gdy niewiele było potrzeba do szczęścia. Natomiast niebezpieczną zabawą było wywoływanie eksplozji w zamkniętych pokrywką metalowych puszkach, wcześniej wypełnionych karbidem i zalanych wodą, ale ile było przy tym uciechy.

Przez jakiś czas, zapewne około połowy lat 60-tych, popularne stały się swoiste „chłopięce robótki”, które polegały na wyplataniu długich pejczy z użyciem czterech bądź nawet większej ilości pojedynczych, grubych żyłek, co wymagało: siły, cierpliwości i precyzji, a potem lepiej było nie oberwać takim detalem po skórze. Mistrzem w tej dziedzinie był „Gruby”, którego plecionka osiągała spore rozmiary. Dla zabicia jesiennej nudy odłupywało się też kawałki sosnowej kory i wyrabiało się z nich łódki, do czego służył młotek i śrubokręt zwany u nas w domu „dłutkiem”, które potem wodowało się w balii na pranie.

Od połowy lat 60-tych, co roku na wiosnę zaczął do Krakowa przyjeżdżać lunapark z ekwipunkiem przeznaczonym do ekstremalnych zabaw dla młodzieży. Miejsce jego rozlokowania znajdowało się na pustych wówczas terenach położonych blisko dawnej pętli tramwajowej na Rondzie Mogiłskim i ulicy Okopy, gdzie później stanęły: Hotel Chopin i budynki sądów. Ja osobiście unikałem szaleńczych karuzel, w których siedzenia, zapinane jedynie metalową zasuwą, były zawieszane na długich łańcuchach, więc siedzący obok siebie mogli się łapać w biegu i plątać wzajemnie. Wszystko to działo się na dużej prędkości i było naprawdę niebezpieczne. Nigdy natomiast nie zapomnę jazdy na wielkim kole, zwanym młynem, do którego były doczepione wahliwe kapsuły, jakby gondole. Choć prędkości nie były tu nazbyt szokujące, mimo to przy przejeździe między skrajnymi punktami, na dole i górze, żołądek uciekał do gardła bądź ciągnęło na wymioty (w młodzieńczym żargonie „do rygi”). Jazdy dłużyła się bez końca, ale zdecydowanie dłuższe było dla wyczekiwania na koniec rejsu na mocno wzburzonym morzu podczas morskiej wycieczki w Kołobrzegu w 1970 roku, gdzie odczuwałem podobne dolegliwości, pewnie jeszcze na większą skalę, wszak podróż trwała ze dwie godziny. Po jeździe na wielkim młynie, pierwszej i ostatniej w życiu, byłem kompletnie rozbity, było mi okropnie niedobrze i kręciło mi się w głowie. Na „Grubym” jazda nie zrobiła żadnego wrażenia i wkrótce przesiadł się na szaleńczą karuzelę, by wychylać się w czasie jazdy na wszelkie możliwe strony. O wiele przyjemniejsze było zjeżdżanie w dół z wysokiej rynny w kształcie ślimaka, gdzie do pokonania było kilka ostrych zakrętów. Pełna ekspresji jazda na podłożonym pod „tyłek” kawałku filcu trwała z kilkanaście sekund i pozostawiała niezapomniane wrażenie. Oczywiście przy takim Lunaparku nie mogło zabraknąć: strzelnic, wózków z lodami, obwarzankami i cukrową watą oraz saturatorów z wodą sodową.

Inną atrakcją Krakowa był cyrk, który zaglądał do naszego miasta dość często, może raz na rok i rozbijał swój majdan na początku Błoń, naprzeciw stadionu Cracovii. Tu powstawała też wielka, zadaszona namiotem arena na kilkaset osób, a wokół rozkładało się miasteczko kolorowych wozów związanych z cyrkiem. Tu parkowały ruchome mieszkania na gumowych kołach, w których wypoczywali artyści oraz rozkładane było zaplecze dla zwierząt. Przy niedobrze rozrywek cyrk cieszył się wielkim powodzeniem nie tylko wśród dzieci i niełatwo było dostać bilety, które wcale nie były tanie, bo o ile dobrze pamiętam kosztowały nawet ponad 10 zł („dychę”). Największym powodzeniem cieszyły się występy cyrków radzieckich, które zawsze prezentowały najwyższy poziom zwłaszcza w dziedzinie popisów akrobatycznych.

Jak przez mgłę pamiętam moją pierwszą wizytę w cyrku, co wydarzyło się zapewne na jesieni 1958 roku, niedługo po śmierci ojca, gdy zabrał mnie tam, razem z bratem, kuzyn Włodek, wraz ze swoją świeżo upieczoną żoną Jaśką, a może jeszcze narzeczoną, którzy wówczas bywali naszymi częstymi gośćmi. Było to wieczorną porą, chyba późną jesienią, bo na widowni było dość zimno i trzeba się było dobrze ubrać.

Z tego wydarzenia na trwałe utkwiała mi w pamięci mrożąca krew w żyłach scena, której towarzyszył pisk dzieci, gdy na środku areny przecinano na pół człowieka z użyciem piły, a potem go na powrót poskładano w całość. Zapamiętałem też twardą ławkę do siedzenia niedaleko sceny, clowna z marchwianym nosem, którego się trochę bałem, bo wyciągał na arenę siedzące na skraju dzieci, goniące po wybiegu konie ze skaczącymi po nich gimnastykami, wirujących wysoko nad nami akrobatów, których popisy zapierały dech w piersiach, tłum ludzi na widowni i na koniec gorące oklaski, od których aż ręce bolały, a potem powrót do domu już wieczorną porą. Ależ to było niezapomniane przeżycie!

Może zacytuję teraz kilka zapamiętanych przeze mnie młodzieżowych, często slangowych odzywek i porzekadeł osób starszych jakie były w tym czasie powszechnym obiegu.

Gdy się jakiś koleś wymądrzał, a nie miał racji, mówiło się: „masz coś w sobie z rycerza – zakuty łeb” i zagrało mu się na długiej, ostrej trawie, która wsunięta pomiędzy wydłużone dłonie przy dmuchaniu wydawała wywołujące „ciarki na plecach” dźwięki.

O kimś, kto nie potrafił się znaleźć i jakoś dziwnie się ubierał, mawiało się, że: „mieszka w burakach”. Jeśli ktoś błyszczał nadmiernie ubiorem rzucało się uszczypliwe: „elegancja – Francja”.

Gdy miałeś wątpliwości, że jakiś interes bądź działania mogą być dla kogoś niekorzystne, powtarzało się sentencję: „wyjdiesz na tym, jak Zabłocki na mydle”. Dziś już wiem, że owym Zabłockim były chytry kupiec, który przez to wiele stracił i że była to postać historyczna.

O kimś, kto próbował się wymądrzać, a nie miał racji, zwykło się mówić: „mędrzec od siedmiu boleści i ósmego smutku”.

Jeśli ktoś ci coś obiecywał, a ty miałeś wątpliwości, że może nie spełnić obietnicy, często padało stwierdzenie: „obiecanki, cacanki, a głupiemu radość”. Na próby zbyt natarczywego przekonywania do czyichś racji często się „odpalało”: „ty mi mów, a ja zdrów”.

Jeśli dobrze zdawałeś sobie sprawę, że nie masz wpływu na sytuację, bo i tak wszystko potoczy się po staremu, kończyło się rozmowę stwierdzeniem: „tak, czy owak Zenon Nowak”.

Gdy twój kolega dostał w szkole jakąś dobrą ocenę, a ty chciałeś go pochwalić, waliłeś go w plecy i stwierdzałeś: „masz łeb, jak ruski kwadrat; sześć na dziewięć i ciągle rośnie”.

Kiedy ktoś próbował cię poganiać, a tobie było nieśpieszno, odburkiwało się: „nie piekarnia” bądź: „robotą nie zając, nie ucieknie”.

Gdy człek był już czymś przejeżdżony, a ktoś próbował cię uszczęśliwić dokładką, zwykło się mówić: „co za dużo to i świnia nie zje”.

Czasem w sklepie ze słodyczami nie było w czym przebierać, więc brało się co popadnie pod rękę ze stwierdzeniem: „na bezrybiu i rak ryba”.

Gdy ktoś był przesadnie drobiazgowy, często padała riposta: „czepiasz się jak rzep psiego ogona”.

Jeśli ktoś nosił duży rozmiar obuwia przytykało się takiemu, że ma „buty o numer większe od futerału na skrzypce”.

Na gawędziarza, który uwielbiał godzinami zanudzać, mawiało się, że trzeba na niego uważać, bo będzie gadał do „usranej śmierci”.

O kimś ze „społecznych dołów” kto zrobił niespodziewaną karierę, a potem szybko zapominał o swoim pochodzeniu i nazbyt się wymądrzał, zwykło się mówić (dosłownie): „wyżej sra niż dupę ma”. Podobne określenie dotyczyło niebogatej kobiety, która „dobrze” i bogato wyszła za mąż i swą postawą nazbyt się wywyższała i „udawała damę”.

Gdy ktoś ze zdziwieniem zaobserwował, że chcesz się dostać do kina na film dozwolony do lat 18-tu i zapytał ciebie: Dziecko, co ty tu robisz? - odburkiwało się niegrzecznie: „dzieci są u szewca i kołki prostują, a na T-y to tramwaj staje”. Wtedy z ust kontrolera często padała odpowiedź: „nerwy to se gówniarzu schowaj do konserwy”.

Osoba, która nazbyt wnikliwie usiłowała ci się przyglądać dostawała kontre: „co się tak na mnie gapisz jakby ci ktoś ojca mandoliną zabił”?

Gdy ktoś próbował cię zaczepić odpowiadało się: „szukasz kwadratowych jaj”?

Jeśli ktoś się zachował w stosunku do ciebie po nieelegancko, wręcz po chamsku, często mógł usłyszeć obraźliwą ripostę: „pies ci mordę lizał”.

„Morowym chłopakiem” był osobnik, który dobrze radził sobie w życiu.

Kiedy próbowałaś podglądać co ktoś robi, np. w szkole, a ten delikwent tego sobie nie życzył bądź gdy męczyłeś kogoś o wyjawienie jakiejś tajemnicy, mogłeś usłyszeć stwierdzenie: „ciekawość to pierwszy stopień do piekła”, a podczas bójki: „bij go w migdał, żeby krzyk dał.”

W czasach mego dzieciństwa nadużywało się przysięgi „jak Boga kocham”, prościej „jak bububu”, która zawsze była traktowana

z przymrużeniem oka, stąd też, gdy ktoś zarzekał się na Boga, że mówi prawdę, często odpalało mu się: „Boga kochasz, a kury kradniesz”.

Jeśli ktoś wymagał od ciebie czegoś co nie chciałeś spełnić, tak wyrażało się swoją dezaprobatę: „tu się zgina mandolina, tu się kończy, tu zaczyna” i przejeżdżało się dłonią po drugiej ręce od palców po jej koniec.

Gdy nie byłeś w stanie spełnić czyjegoś życzenia padała stanowcza odmowa: „nie da rady, oba samce”. Jeśli dopadła cię pilna potrzeba, np. w parku, wskakiwało się w krzaki i kwitowało ten fakt stwierdzeniem: „miłość i sraczka przychodzi znienacka”.

Gdy się ktoś zanadto wymądrzał, rzucało się do niego zdania: „masz w sobie coś z rycerza”; co? pytał zaciekawiony delikwent: „zakuty łeb” bądź puentowało się jego wypowiedź takim krakowskim żargonem: „idzee, idzee bajltloku”. Kiedy ktoś wychodził z domu zanadto „wystrojony” rzucało mu się odzywkę: „ubrałeś się jak stróż w Boże Ciało”.

Z nieudacznika muzycznego, który zawodził na jakimś instrumencie, np. na organkach, żartowano sobie: „zawodzisz jak Sarasati na skrzypcach”. Nikt z nas wówczas nie wiedział, że Pablo Sarasate, a nie Sarasati, były wirtuozem tego instrumentu.

Jeśli zbyt wielu domowników kręciło się koło kuchni i wzajemnie sobie przeszkadzało, mama nieraz mawiała: „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. Gdy coś było niedobre bądź nieudane, to nie było nawet „fonta (funta) kłaków warte”, co często słyszałem z ust mamy.

Jeśli coś nabroiłeś przed czym dorosły, zwykle rodzic, cię ostrzegał, padało sakramentalne: „kto nie słucha ojca i matki, ten słucha psiej skóry” lub „nosił wilk razy kilka, aż ponieśli wilka” bądź „nie mędrkuj”.

Ból głowy nazwało się „dymieniem czachy” („dymi mi czacha”).

Do niespokojnych dzieci zwykło się mawiać: „kręcisz się jak fryga”, zaś do roztargnionych: „myślisz o niebieskich migdałkach”. Gdy dzieciak dłubał w nosie, co nie należało do rzadkości, nauczyciel bądź rodzic zwykle strofował: „nie dłub w nosie boś nie prosię”.

Niedbalstwa ludzi i instytucji już nieco później komentowało się stwierdzeniem: „Lasy rzedną, czas się zmienia, coraz trudniej o jelenia”.

Gdy coś się obiecywało, czego nie chciało się spełnić zwykło się mawiać: „masz to u mnie pewne jak w ruskim banku”, ale gdy ktoś miał nierealne zachcianki to się ze śmiechem na ustach stwierdzało: „jak masz chęć to se wkręć w dupkę śrubkę numer pięć”.

Gdy ktoś przesadnie czegoś bardzo żałował i zbyt często wymawiał słowo szkoda, padała riposta: „szkoda to jest, jak krowa wejdzie w zboże”.

W tych czasach, gdy niejednemu doskwierała bieda i nieraz trzeba się było ograniczać w jedzeniu, bardzo na czasie była maksyma, często powtarzana przez Mamę: „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”.

Kiedy ktoś nazbyt nachalnie dopytywał się o jakieś wydarzenie z przeszłości lub zamiary na przyszłość, na jego uporczywe: „kiedy”, zwykło się odpowiadać: „jak pojedą Szwedy”.

Gdy ktoś próbował kłamać bądź nadmiernie koloryzować rzeczywistość padały riposty: „bujać to my, a nie nas” bądź „bujać to Szweda, Polak się nie da”.

Za przysięgę czy przyrzeczenie służyły powiedzonka: „jak bum cykoria”, „jak bu bu bu” bądź „jak bum cyk cyk”. Gdy ktoś ci coś podarował, a potem chciał odebrać, takie zachowanie kwitowało się stwierdzeniem, że: „kto daje i odbiera, to się w piekle poniewiera” albo: „dobry zwyczaj nie pożyczaj, jeszcze lepszy nie oddawaj”.

Dla dłubiącego w nosie skutecznie działała reprimenda: „nie dłub w nosie boś nie prosię”.

Z lodziarza, który spod swojego wózka na kółkach, lub gdy dźwigał na piersiach skrzynkę z tymi przysmakami i wykrzykiwał: lody, lody....., często się prześmiewano z pewnego oddalenia: „lody, lody na śmietanie, kto polize ten dostanie” (lub jeszcze brzydziej na końcu).

Może warto przypomnieć popularne powiedzonko, które opisywało dworcową rzeczywistość, gdzie w tłokach roiło się od drobnych złodziejasków: „my tu gadu, gadu, a walizki same po peronie chodzą”.

Na znaną maksymę, często wypowiedaną z wielką ulgą przez osoby starszego pokolenia: „wszystko dobre co się dobrze kończy”, nieraz padała kontra młokosów: „nigdy nie ma tak źle, by nie mogło być jeszcze gorzej”.

Coś, co dziś tzw. „pijarowcy” masowo produkują w mediach, gdy nawet największą porażkę usiłują przedstawić jako wielki sukces, dawniej nazywało się: „odwracaniem kota do góry ogonem”. A tak całkiem na marginesie, tzw. „propaganda sukcesu” z końcowego okresu czasów Gierka w porównaniu z dzisiejszymi wyczynami specjalistów od zakłamywania rzeczywistości była tylko drobną przygrywką i by użyć dzisiejszego języka reklamowego: „to był tylko pikus”. „Propaganda sukcesu” (współcześnie „pijar”) była formą politycznego „wazeliniarstwa” w stosunku do władzy, czego dziś mamy liczniejsze i o wiele bardziej wyrefinowane przykłady.

„Wazeliniarstwo” było więc formą wciskania komuś „kitu”, czyli krasomówczego wychwalania jego rzekomych zalet czy osiągnięć, z reguły nieszczerze, bo z myślą o jakichś osobistych korzyściach, gdzie aż „kurzyło się” od zakłamania bądź przesady. Familijnym krewnym „wazeliniarza” był „pantoflarz”, czyli facet, którego żona trzymała krótko „pod pantoflem”, a on się jej ze strachu przesadnie przymilał, lecz gdy tylko krzyknęła siedział cicho jak „mysz pod miotłą”. Opozycją dla „pantoflarza” była „kura domowa”, czyli kobieta całkowicie zdominowana przez męża.

Nie sposób nie wspomnieć o popularnej transkrypcji refrenu do kolędy: „Wśród nocnej ciszy”, którą to przyśpiewkę słyhać było pośród drobnej chuliganerii niemal na każdym kroku: „Chwała alkoholowi, wódce spirytusowi, a pokój na MO”, co i ja z Grubym też czasami podśpiewywałem, by poczuć się bardziej dorosłym i nie uchodzić za „grzecznego chłopczyka”. Bycie „grzecznym chłopczykiem” było wyśmiewane pośród rówieśników na podwórku bądź ulicy i była to spora plama na młodzieńczym honorze. Ale gdy się w przeszłości coś zawaliło obowiązywała zasada: „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”.

W powszechnym obiegu, zwłaszcza już w czasach Gierka, kiedy zaczęły się pojawiać kartki na cukier, była prześmiewcza sentencja: „emeryci i renciści, popierajcie partię czynem, umierając przed terminem”, a ktoś, kto przechodził obok nekrologów przyklejonych na tablicy przed kościołem, często sarkastycznie stwierdzał: „to są ci, którzy dobrowolnie zrzekli się kartek na cukier”. W czasach „Jaruzela”, a więc w latach 80-tych, mieliśmy już całą paletę kartek, które praktycznie zastępowały pieniądź i nie to nie tylko na podstawowe towary spożywcze, jak: mięso, cukier i masło, ale też na: czekoladę, cukierki czekoladowe, wódkę, papierosy, a nawet obuwie. Po inne artykuły przemysłowe tworzyły się komitety kolejkowe i by zdobyć taki rarytas, np. lodówkę, pralkę czy porządny odkurzacz, trzeba było swoje odczekać. By nie wypaść z kolejki trzeba się było co jakiś czas meldować i potwierdzać gotowość nabycia deficytowego towaru, a przy zakupie nieraz dobrze pracować łokciami.

Deficytowe w tych czasach było wszystko, ale od czego był drugi obieg i łapówki. Nieraz wystarczała już flaszka gorzałki bądź paczka kawy ziarnistej czy tabliczka czekolady, co otwierało też drogę do załatwienia wielu skomplikowanych rzeczy w urzędach. Tak więc w sumie nie było aż tak źle, ani też zbyt drogo, byle tylko człek wykazał się drobną inwencją.

Kto z młokosów nie próbował podpalać papierosów, bo miał to być dowód na naszą dorosłość, ale, co trzeba przyznać, trzeba się było z tym ukrywać po krzakach, bo dorośli ostro reagowali na widok młodocianych „kopciuchów” na ulicy. Gdy ktoś częstował cię papierosem zwykle używał slangowego stwierdzenia: „kopsnij szluga” albo „zakopć peta”. I człek się krztusił, kaszlał, ale czasem nie pasowało odmówić. W upalne, letnie dni próbowało rozpalać papierosa, ale też np. kartkę papieru, tak dla „jaj”, z pomocą silnego szkła powiększającego, co czasem się udawało. Niestety wielu z moich kolegów na zawsze popadło w ten paskudny nałóg; mnie uratowało uprawianie sportu, bo sportowcowi nie wypadało palić. I tak udało mi się wytrwać do końca życia, choć zwłaszcza w czasach studenckich, kiedy wokół niemal wszyscy kopcili na potęgę, nie było łatwo.

Pamiętam, jak zaczynałem podpalać papierosy z „Grubym” czy Jackiem Gędkiem, ale dym papierosiany jakoś wyjątkowo mi nie podchodził, więc próbowałem też palenia samych filtrów, ale ten piekący dym był jeszcze gorszy w smaku i zapachu, co skutecznie zniechęciło mnie do nałogu. Nawet „szpan” palenia nie potrafił mnie przekonać do tego procederu, bo zaciąganie się dymem po jakimś czasie wywoływało u mnie nudności, co też okazało się skuteczną zaporą.

Jako dzieciak i młokos nie przejawiałem większej chęci do próbowania alkoholu i dopiero gdzieś koło „piętnastki” delikatnie „degustowałem” Wino Bankietowe, gazowanego na kształt szampana „jabola”, które Gruby, potężne jak na swój wiek chłopisko, bez trudu mógł zakupić w sklepie na stoisku monopolowym. Piwo jasne było dla mnie zbyt gorzkie, a ciemne, choć słodsze, wychodziło już z obiegu. Pierwsze doświadczenia miałem jeszcze za życia ojca, który lubił piwo, zwłaszcza jasne, kupowane w krachlach w kiosku przy placu Hanki Sawickiej i z uśmiechem na twarzy dawał je popróbować na język. Trzeba przyznać, że był to dobry sposób na dzieciaka, by zniechęcić go na lata do tego trunku, który dziś bardzo cenię. Ponadto od alkoholu skutecznie odstraszał widok zataczających się i wydzierających się „pijaków”, których na ulicach nie brakowało.

Warto jeszcze przypomnieć, że człowiek pijany i mocno zataczający się w młodzieżowym półświatku powszechnie nazywany był „betowenem”, które to słowo w jakiś dziwny sposób było kojarzone w genialnym niemieckim kompozytorem. Gdy ktoś był tak pijany, że przewracał się na ulicy to o takim pijaczku („betowenie”) mówiło się, że „chodzi na rzęsach”. Popijbrat, który przepełnił swój żołądek uprawiał w krzakach „rigoletto”. Jeśli na drugi dzień taki delikwent „nie dawał sobie „klina” jakimś piwkiem, bo np. nie miał już pieniędzy, to głośno lamentował, że „chce się pić jak we żniwa”, a wokół panowała prawdziwa „sahara”.

I może jeszcze kilka niedawno przypomnianych sobie powiedzonek.

Gdy ktoś chciał coś sprzedać bez użycia wagi, czyli „na oko”, często padały słowa: „na oko to chłop w szpitalu umarł”. Jeśli ktoś próbował coś odkładać w czasie padało ostrzeżenie: „indyk myślał o niedzieli, a w sobotę łeb ucieli”. Zbyt głośne wypowiedzianie się spotykało się z ripostą: „drzesz się jak stare prześcieradło”. Gdy ktoś dopraszał się nachalnie o poczęstunek, mówiąc „daj”, odpowiedź brzmiała: „daj, to był chiński sprzedawca jaj”.

W tych czasach popularne były łamańce fonetyczne, jak choćby: „stół z powyłamywanymi nogami” (alternatywnie: „rower z powyłamywanymi szprychami”), „w czasie suszy, mały Sasza szosą szedł”, „Jerzy nie wierzy, że na wieży leży jeź” (bądź alternatywnie: „Jerzy nie wierzy, że na wieży zastrzelony jastrząb leży”), „cy tata cyta cytaty Tacyta”, „Jola lojalna, Jola nielojalna”, „królowa Karolina miała korale koloru koralowego” czy „czarna krowa w kropki bordo gryzła trawę kręcąc mordą”, co brzmiało szczególnie komicznie z ust kolegów mających problemy z wymową litery „r”. Ponad terytorialny oczywiście był łamaniec słowny, który dobijał zwłaszcza obcokrajowców: „w Szczepreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. Ile było przy tym śmiechu, gdy przy szybkim wymawianiu, bo taki był wymóg tej zabawy, ktoś łamał sobie język na tych zwrotach i stawał o mu w ustach „kołkiem”.

Również moja mama miała z wypowiedzeniem tych formułek ogromne problemy i nieraz się nad nią znęcałem, namawiając ją do tej słownej gimnastyki.

I jeszcze parę słów, dziś już nieużywanych, które towarzyszyły mi od dziecka: szabaśnik, rzadziej bratrura, czyli komora po pieczeniu w piecu kuchennym, nakaslik, czyli nocna szafka i „druszlak” czyli metalowy cedzak (często durszlak), sagan (czajnik) czy „ogryzek” - objedzone jabłko. Dres zwany był „owerolem”, ubikacja, czyli „kibel”, często była też nazywana „klozetem”, a lekka i cienka kurtka letnia „wiatrówką”.

W oznaczeniu czasu powszechnie były używane kwadranse, czyli ćwiartki godziny (np. kwadrans po czwartej czy kwadrans na czwartą- trzy kwadrans po trzeciej). Także „kwaterki”, jako miary objętości, zwłaszcza na targowiskach były w częstym użyciu, a szklane butelki było po prostu „flaszkami”. Bałagan, np. w domu, zwany był „bajzlem”, choć to ponoć łódzka naleciałość językowa. Ktoś kto w domu dużo i głośno o czymś gadał robił w pomieszczeniu „raban”.

Z wczesnego dzieciństwa przypominam sobie jeszcze „funty”, czyli wychodzące z obiegu galicyjskie miary masy i tak Mama kupowała czasem na placu np. „pół fonta” sera, czyli ćwierć kilo. Jakże bardzo mi tych słówek brakuje. Wiele z nich niepostrzeżenie umknęło mi z pamięci, choć sporo jeszcze błąka się w jej zakamarkach i tylko czeka na nagłe wskrzeszenie, jak choćby ostatnio nazywanie kiedyś „maminego synka” „kanockiem”.

„Człowiekiem na stanowisku” zwłaszcza starsze pokolenie nazywało osobę dobrze wykształconą, która sprawowała stanowisko dyrektora lub kierownika bądź pełniła inne odpowiedzialne funkcje. Dla słynnej Kopciowej takim „człowiekiem na stanowisku” był na przykład „niżynier” Dziekiewicz, nasz sąsiad z kamienicy.

Szybko wychodzi z użytku nieco dwuznaczne słowo „badylarz”, w zasadzie ogrodnik, które w czasach PRL nieco uszczypliwie określało „nowobogackich” właścicieli szklarni. Ich posiadanie było synonimem ponadstandardowego dobrobytu, choć poziom intelektualny tej grupy nie zawsze budził zachwyt, a czasem wręcz politowanie. „Badylarze” stawali się obiektami wielu uszczypliwości, a nawet dowcipów.

Przytoczę jeszcze kilka określeń słowa ostrężnica, ulubionego owocu z czasów dzieciństwa, które nazywano również: ostrężyną, jeżyną, ożyną, czernicą bądź nawet (czarnym) baranem. Dziś tych smakowitych owoców jest coraz mniej, bo opryskiwanie skutecznie je eliminuje z obrzeży pól uprawnych, gdzie kiedyś masowo występowały. Mama zawsze zachęcała do jedzenia owoców leśnych: ostrężnic, szczególnie wielkich „na Klęczanej” (tak w lokalnej gwarze zawsze wymawiało się nazwę tej miejscowości, a nie prawidłowo: na Klęczanie), poziomek, borówek czy malin, które sama uwielbiała, a dla przypomnienia często wypowiadała strofy krótkiego wierszyka:

„Weź mnie zerwij, bom ja słodka,
Każda prosi tak jagodka”.

Słowa te do dziś dźwięczą w moich uszach, gdy w lesie pałaszuję te wspaniałe dary natury i wówczas przypominają mi się czasy szczęśliwego dzieciństwa, wypełnionego leśnymi wyprawami u boku ukochanej Mamy.

Mama uwielbiała biedronki i na ich widok często wypowiadała smutny wierszyk: „biedroneczko leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba”, który był jakby wspomnieniem trudnych chwil z jej wczesnej młodości, kiedy po śmierci ojca na przedwiośniu czasem zdarzał się w jej rodzinie głód i dlatego szacunek dla chleba był u niej wielki, bo nie miał prawa zmarnować się żaden jego okruszek ani nawet przypalona skórka. Zresztą podobne zachowania można też było zaobserwować w rodzinie i u znajomych mojej Matki, którzy przeżyli czasu wojenne, czego dziś nikt nie byłby w stanie zrozumieć, a taka postawa już w czasach mego dzieciństwa wywoływała u wielu młokosów uśmiech na twarzy.

Jeszcze jeden wspominek. Gdy na wiosnę jadło się jakiś owoc, np. malinę czy poziomkę po raz pierwszy w roku, podchodziła ukradkiem i delikatnie szczypała w policzek mówiąc: „serwus - pierwsza nowina”; taki rytuał był u nas kultywowany corocznie.

Co ciekawe zawsze panicznie bała się węży, co było balastem uprzedzeń do tych zwierząt nie tylko pośród podkrakowskiego ludu i w zasadzie nie rozróżniała kąśliwych żmij od niegroźnych padalców czy zaskrońców. Była przekonana, że to węże atakują ludzi i najlepiej uciekać przed nimi pod górę, bo wtedy po szusach zawsze lekko staczają się w dół. Tkwił też w niej dziecięcy strach przed wściekłymi psami, które widać były powszechnym zjawiskiem na dawnej wsi i konsekwencje takich niespodziewanych zetknięć musiały bywać nierzadko tragiczne w skutkach. Nieraz twierdziła, że wściekły pies zawsze biegnie ścieżką prosto przed siebie i wystarczy tylko zejść mu z drogi, stojąc potem obok w bezruchu, by nie doszło do jego agresji.

Myśmy jako dzieci w to wszystko wierzyli i potem jeszcze długo baliśmy się psów, węży pod wszelkimi postaciami oraz pajaków, których ukąszenia, zwłaszcza krzyżaków, też miały być groźne. Przyznam jednak szczerze, że nigdy w życiu coś takiego mi się nie przytrafiło i dziś śmieje się z tych pozornych zagrożeń, ale dla dzieci strach miał wielkie oczy i skutecznie odstraszał od nazbyt bliskich kontaktów z nie zawsze wystarczająco dobrze poznanym i rozumianym światem przyrody.

Muszę jeszcze dodać, że Mama bardzo lubiła zwierzęta poza psami, których się po prostu bała. Z kolei Ojciec czuł do nich dystans, co zapewne wiązało się ze zwyczajami panującymi w jego rodzinnym domu w Bilczycach, gdzie w zagrodzie nigdy nie było psa (przynajmniej za mojej świadomości). Wszystko zmieniło się po jego śmierci, kiedy w naszym domu od razu zagościły koty, a jeden z nich na stałe zadomowił się nawet w chałupie Babci.



Fot. nr 250. Moja Mama na Skałach Twardowskiego (1998). Głowa już nie ta, ale krzepa za sprawą częstych spacerów owszem.

Nieraz, gdy była szczęśliwa, zwłaszcza będąc na łonie natury recytowała taki prosty wierszyk:

„Trzech krewniaków się spotkało: ojciec, syn i brat
I nie mogli się nadziwić jak piękny jest świat”.



Fot. nr 251. Mama w swoim pokoju naszego mieszkania przy klatce Kuby, jej ulubionego kanarka. (1992)

Dla mojej Mamy świat zawsze był piękny, choć tyle w życiu przeszła i to postrzeganie wokół nas uroków przyrody, nieraz z pozoru nieciekawej, zawsze próbowała w nas i innych naszych kolegów wpajać i to z dobrym skutkiem, przynajmniej w moim przypadku.

Dziś, gdy z perspektywy lat spoglądam na naszą sytuację życiową po śmierci Ojca, podziwiam jej heroizm i umiejętność radzenia sobie w tej ekstremalnie trudnej sytuacji. To chyba komplikacje życiowe jakie towarzyszyły jej już od czasów dzieciństwa i przeżycia wojenne, potrafiły wykształcić w niej ten instynkt samozachowawczy, który jest nieznanym współczesnemu pokoleniu, a przy tym zachować niezwykłą pogodę ducha i optymizm. Nieraz, mając na względzie własne doświadczenia i zawirowania życiowe, niezbyt przyjemne i dość dolegliwe zwłaszcza w końcówce mojej kariery zawodowej, próbuję się postawić w jej sytuacji i mocno powątpiewam czy byłbym w stanie sprostać takim wyzwaniom. Ten człowiek był prawdziwą opoką. Niech Jej ziemia będzie lekka.

IX. Kultura

W połowie lat 60-tych rolę podstawowego nośnika masowej kultury zaczęła przejmować telewizja. Pomimo „nieciekawych czasów” na antenie pojawiało się sporo fascynujących filmów i interesujących audycji telewizyjnych, choć nadawano je tylko w jednym programie. Drugi program pojawił się dopiero w latach 70-tych, w czasach Gierka, podobnie ja telewizja kolorowa.

Naszą uwagę przyciągały głównie seriale dla młodzieży: Robin Hood, Wilhelm Tell i Zorro, ale z zapartym tchem oglądało się też kryminały z Rogerem Moorem jako Simonem Templarem, słynnym „Świętym”, czwartkowe przedstawienia Teatru Sensacji „Kobra”, bijący rekordy popularności serial „Stawka większa niż życie” ze Stanisławem Mikulskim jako porucznikiem Hansem Klossem i Emilem Karewiczem jako Hermanem Brunerem czy inny, zapierający dech w piersiach, „Kolumbowie. Rocznik 20”, nagrany w 1970 roku we wspaniałej obsadzie aktorskiej (m.in. Jan Englert, Władysław Kowalski, Ryszarda Hanin czy Karol Strasburger). Przyklejały do ekranu starszych i młodszych: kowbojski serial „Bonanza” i amerykańskie westerny oraz medyczny serial „Doktor Kildare”, z Richardem Chamberlainem. Oczywiście nie brakowało nocnych dreszczowców jak choćby z fascynującego cyklu „Alfred Hitchcock przedstawia” czy filmów „z momentami”, z „Bardotką”, Sopią Loren i Marylin Monroe na czele, dozwolonych od lat osiemnastu. Mama pozwalała je nam oglądać pewnie też dlatego, że często były wyświetlane późną porą, już po godzinie 22, kiedy ona już spała, zmęczona całym dniem pracy, a ponadto nigdy nie była typem człowieka, który cokolwiek by zabraniał. Były też wzruszające stare, polskie melodramaty z pozycji programowej „W starym kinie”, prowadzonej przez Stanisława Janickiego czy wspaniałe komedie zagraniczne z: Flipem i Flapem, braćmi Marx, Charlie Chaplinem, Haroldem Lloydem, Busterem Keetonem czy Fernandem bądź polski serial „Wojna domowa”, z Ireną Kwiatkowską i Kazimierzem Rudzkim.

Ciekawe były poniedziałkowe przedstawienia Teatry Fantastyki, choć ja nigdy nie przepadałem za tą dziedziną literatury. Śmieszyły satyryczne, piątkowe Wielokropki z młodziutkimi wówczas: Janem Kobuszewskim i Janem Kociniakiem oraz jakże subtelny kabaret „Starszych Panów”, autorstwa Jeremiego Przybory z muzyką Jerzego Wasowskiego. Sporo humoru dostarczały satyryczne programy Jerzego Gruzy z cyklu: „Poznajmy się”, z Bogumiłem Kobielą i Jackiem Fedorowiczem w rolach głównych. Jak widać po nazwiskach były to audycje na wysokim poziomie artystycznym i bynajmniej nienafaszerowane propagandą. Nieco później, bo od początku lat 70-tych, rekordy popularności biły „Spotkania z balladą”, widowiska estradowo-kabaretowe nadawane z udziałem publiczności z niedawno otwartego ośrodka TVP Kraków, które początkowo prowadzili: Jerzy Stuhr i Bogusław Sobczuk.

Z „braku laku” podobały się dość prymitywne dobranocki: z Jackiem i Agatką oraz Balbiną i Ptysiem, nadawane dwadzieścia po siódmej przed dziennikiem telewizyjnym. Dzieci chętnie też oglądały programy popołudniowe, nadawane o w pół do piątej, jak choćby z cykli: „Miś z okienka”, „Wójcio Adaś i Kajtuś” czy „Zwierzyniec”, ten ostatni przez lata prowadzony przez Michała Sumińskiego. Gdzieś od połowy lat 60-tych w Dobranocce zaczęła się pojawiać rodzima kreskówka z serii „Bolek i Lolek”, która wkrótce na kilka dekad podbiła serca dzieciaków. W niedziele zachwycały bajeczne poranki filmowe z Waltem Disney’em i jego cudownym światem: psa Hackelbergo, myszki Miki, kota Jinksa, myszek Piksi i Diksi oraz misiów Jogi i Bubu.

Z programów popularno-naukowych na czoło wybijała się Wszechnica Telewizyjna, z prowadzącym ją Jerzym Wunderlichem oraz „magiczny” program profesora Wiktorem Zinem z cyklu: „Piórkiem i Węgłem”, gdzie z lwowskim akcentem czarował on wspaniałą gawędą o sztuce i przelewał na karton tajniki architektury. Z zapartym tchem oglądało się teleturniej Wielka Gra, pierwowzór późniejszych Milionerów, ze Stanisławą Ryster, gdzie można było wygrać niebotyczną jak na owe czasy kwotę, początkowo bodaj 25.000 złotych, a z czasem ze dwa razy tyle.

Adam Słodowy przez całe dziesięciolecie zachęcał młodzież do majsterkowania w swoich programach z cyklu: „Zrób to sam” i to był dopiero serial!!

Dobrze zapamiętałem wieczorne dzienniki telewizyjne, nadawane codziennie o w pół do ósmej, z popularnymi dziennikarzami: Stanisławem Cześninem, Jerzym Teplim czy Andrzejem Nowalińskim, z prognozą pogody na ich końcu jakże prymitywnie prezentowaną w stosunku do dzisiejszych czasów, z mapami rysowanymi kredą na tablicy; przez wiele lat była to domena wielce popularnych prezenterów: Wicherka i Chmurki. Program telewizyjny był zapowiadany przez inne znakomitości: Edytę Wojtczak, Grażynę Nowicką, Jana Suzina czy Eugeniusza Pacha, a krótsze wiadomości odczytywali wsławieni później niechlubnie jako lektorzy „stanu wojennego”: Andrzej Raclawicki i Jerzy Rosołowski. Ja w tym czasie nie dostrzegałem jeszcze w tych przekazach różnych politycznych „przekrętów”, co było czymś normalnym u dziecka i intensywnie chłonałem przekazywaną wiedzę, prawie bezkrytycznie, choć z drugiej strony wsłuchiwałem się w audycje Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, nadawanej na falach krótkich, niemiłosiernie wówczas zagłuszanej.

Jakże sporo przewijało się przed ekranem telewizyjnym ukochanego przez nas sportu, z bezpośrednimi relacjami z ligowych meczów piłkarskich i innych wydarzeń sportowych. Zawsze wyczekiwaliśmy magazynu sportowego „Niedziela Sportowa”, nadawanego początkowo o godzinie 20, potem o 21, z podsumowaniem niedzielnych wydarzeń sportowych. Nie brakowało przekazów na żywo z piłkarskich mistrzostw świata, mistrzostw świata w hokeju i łyżwiarstwie figurowym, mistrzostw Europy w boksie i lekkiej atletyce, ale przede wszystkim z igrzysk olimpijskich. Siedziało się nieraz całymi nocami, by na żywo emocjonować się długo wyczekiwanymi imprezami sportowymi.

Dzięki telewizji na pewno podnosił się ogólny poziom kultury, a my czerpaliśmy z tego źródła bez opamiętania, często bezkrytycznie, nieraz patrząc w telewizor niemal przez cały dzień, jak choćby w czasie różnego rodzaju świąt, kiedy niemal bez przerwy nadawano przeróżne filmy. Umysł dziecka bez ograniczeń chłonał ten filmowy świat, o którym nieraz marzyło się po cichu.

Radio też było wspaniałym, a przy tym łatwiej dostępnym narzędziem rozpowszechniania kultury, a pewnie i propagandy. W tych czasach funkcjonowały już dwa programy radiowe: „jedyńka” nadawana na falach długich oraz „dwójka”, na falach średnich. Razem z bratem z zapartym tchem słuchaliśmy Ogólnopolskich Wiadomości Sportowych, nadawanych w niedzielę o godzinie 22, gdzie podawano wyniki polskich spotkań ligowych oraz wyniki totalizatora piłkarskiego, z wynikami ligi angielskiej, gdzie jakże egzotycznie i śmiesznie brzmiały nazwy większości tamtejszych klubów. Oczywiście było mnóstwo bezpośrednich relacji sportowych: z tras Wyścigu Pokoju, z Bogdanem Tuszyńskim w roli komentatora, z kortów tenisowych z Bogdanem Tomaszewskim, mityngów lekkoatletycznych, z Lesławem Skinderem czy meczów piłkarskich, z Bogdanem Paszkowskim. Wszyscy ówcześni sprawozdawcy prezentowali wysoki poziom dziennikarstwa, bez niepotrzebnego patosu i krzykactwa, ale za to z wielkim wyczuciem sytuacji, jakich to cech należałoby życzyć większości dzisiejszych sprawozdawcom, często jakby bez własnych osobowości, do przesady dyspozycyjnych i hurraoptymistycznych.

Najlepszym przykładem takiego wybujałego i usłużnego „słodkiego pierdzenia”, a przy tym miernej fachowości, jest dziś dla mnie Maciej Kurzajewski z TVP1, uśmiechnięty ponad miarę i hurraoptymistyczny do rozpuku. Widząc go w telewizji od razu przełączam program na konkurencyjną stację, np. Eurosport, choć dla mas jest on niemal idolem i to jest dla mnie najlepszy dowód na spadający poziom telewizji i gustów sporej części odbiorców. Jako showman jest on może dobry, ale dziennikarz sportowy z niego nader mizerny.

Teatr radiowy prezentował bardzo wysoki poziom artystyczny. Nie może to dziwić, skoro na antenie słyszało się aktorów takiej klasy, jak: Irena Kwiatkowska, Barbara Kraftówna, Wojciech Siemion, Ignacy Gogolewski, Gustaw Holoubek, Zbigniew Cybulski, Tadeusz Łomnicki czy Andrzej Łapicki. Ci ostatni występowali w spektaklach wybitnych postaci polskiego romantyzmu, wtedy nie do końca jeszcze przeze mnie zrozumiałych, choć już sam tytuł *„Dziady”* budził we mnie zaciekawienie. Przyciągały ciekawe spektakle Teatru Młodego Widza, emitowane w niedzielę o godzinie 14. Nowe pozycje kinowe były ciekawie recenzowane w porannej audycji: *„Trzy minuty o filmie”*. Wielką popularnością cieszyły się powieści radiowe ze słynnymi *„Matysiakami”*, nadawanymi przez *„wieki”* w każdy piątek o godzinie w pół do ósmej czy inna powieść, o tematyce wiejskiej, pt.: *„W Jezioranach”*, wysłuchiwana w niedzielę o jedenastej, które z zapartym tchem słuchały miliony radiosłuchaczy: miejskich i wiejskich, z moją mamą na czele, gdy tylko miała czas (na Matysiaków miała zawsze).

Do łez rozśmieszali: Hanka Bielicka, Jerzy Ofierski jako sołtys Kierdziołek czy Tadeusz Ross w „Podwieczorkach przy mikrofonie”, prowadzonych przez Zenona Wiktorczyka i nadawanych na żywo bodaj z Hotelu Bristol w Warszawie. Sporo humoru wnosił „Program z dywanikiem” i „Wesoły autobus”, program nadawany z różnych miejsc w Polsce dla wyróżniających się załóg socjalistycznych przedsiębiorstw, co miało być dla nich specjalną nagrodą.

W każdy piątek na dwójce, o godzinie 20-tej, były transmitowane wieczory symfoniczne, choć ten rodzaj muzyki był mi wtedy zupełnie obcy. Nawet przez myśl by mi wtedy nie przeszło, że kiedyś zostanę wielkim miłośnikiem tego rodzaju muzyki, „kociej muzyki”, jak mawiała wtedy moja mama. Radiową orkiestrą symfoniczną dyrygował Stefan Rachoń, ale pojawiały się też wybitne postacie: Stanisław Wisłocki, Witold Rowicki czy Jan Krenz. Często słuchało się też radiowej orkiestry rozrywkowej pod batutą Henryka Debicha, z takimi gwiazdami piosenki, jak; Sława Przybylska, Irena Santor, Barbara Rylska, Wanda Warska, Marta Mirska, Rena Rolska, Mieczysław Fogg, Tadeusz Woźniakowski, Jerzy Michotek, Jerzy Połomski czy Mieczysław Wojnicki. Chyba w soboty, a może w piątki o godzinie 21, z wielką ciekawością słuchaliśmy rewii przebojów, głównie z przebojami francuskimi, które wykonywały takie gwiazdy piosenki, jak: Erta Kit, Juliette Greco czy Charles Aznavour, co po mistrzowsku prezentował Lucjan Kydryński. Na antenie słuchaliśmy też kapel ludowych, ze słynną kapelą Feliksa Dzierżanowskiego oraz innych grup muzycznych, jak np.: zespołu akordeonistów pod kierunkiem Tadeusza Wesołowskiego, czy zespół mandolinistów kierowany przez Edwarda Ciukszę. Ciekawe i niekonwencjonalne były to występy jakich dzisiaj, w tych niby lepszych czasach, nie uświadczysz. Taka forma przekazu jest dzisiaj ekonomicznie nieopłacalna; co tam wartości kulturowe. Rano, bodaj 5 minut przed siódmą, zachęcano do porannej gimnastyki, a audycję prowadził dr Karol Sztromemberg (tak przynajmniej brzmiało to nazwisko), który przekazywał zabawne zestawy ćwiczeń.

Co tydzień w niedziele, chyba o godzinie dziewiętej, były nadawane „Rozmowy ze słuchaczami”, gdzie Włodzimierz Sokorski, ówczesny prezes Radiokomitetu, odnosił się do „krytycznych” uwag słuchaczy, czego dziś mimo wszystko się nie praktykuje. Pluje się teraz na dawne czasy, że audycje były wtedy przesadnie polityczne, ale czy w obecnych czasach, gdy radiem kierują ciągle nowi prezesi, których opcje polityczne zmieniają się jak w kalejdoskopie, jest inaczej? Ostatnie lata ugruntowują mnie w przekonaniu, że radio, może tylko poza „dwójką”, zdecydowanie obniża swój poziom i ztraca swoją misję publiczną, co jest konsekwencją owych ciągłych wojenek na górze i narastającej komercji. Inną, bardzo lubianą przez mamę pozycją publicystyczną była „Fala 56”, program interwencyjny w stylu dzisiejszej „Sprawy dla reportera”, piętnujący ówczesne anomalie i wypatrzenia, oczywiście całkowicie pozbawiony kontekstu politycznego.

Na pewno nie brakowało propagandy, zwłaszcza w audycjach publicystycznych czy w transmisjach z obrad sejmowych, gdzie w 1968 roku, jak pamiętam, Gomułka grzmiał na „syjonistów”, a sala skandowała: „Wiesław, Wiesław”, ale na szczęście apolitycznych pozycji nie brakowało.

Gomułka zawsze przemawiał w bardzo charakterystyczny sposób. Zapamiętałem powtarzający się motyw jego wystąpień i sposób jego wypowiedzi: „płartia naszaa i rząd naasz płopiera i płopierać będzie płolitykę Związku Radzieckiego”. Parafrazowano też inne jego słowa: „jeszcze rok temu staliśmy nad przepaścią, a dzisiaj zrobiliśmy duży krok do przodu”, ale ja osobiście tych słów nie słyszałem bądź je zapomniałem. W jego przemówieniach nie mogło zabraknąć stwierdzeń o: centralizmie demokratycznym, przewodniej roli partii, przewadze gospodarki planowej nad kapitalizmem, dominacji ludu pracującego miast i wsi, elementach antysocjalistycznych i wicherzycielach, imperialistycznych knowaniach bądź ostrzeżeń typu – ręce precz od Kraju Rad. Była to partyjna „mowa trawa”.

Trzeba by jeszcze wspomnieć o znakomitym warsztatowo „Magazynie Informacyjnym z Kraju i ze Świata” nadawanym o godzinie 21, z całą plejadą znakomitych dziennikarzy: Zdzisławą Gucą, Sławomirem Szofem czy Tadeuszem Sznukiem na czele. Do niedawna, bo to już przeszłość, miałem do niego sentyment, a dziś zewsząd słyhać informację o czynionych tam regularnie czystkach, by polskie piekiełko rozpałało ludzkie umysły. Ten program kiedyś był wzorem rzetelnego i apolitycznego dziennikarstwa, na miarę istniejących wówczas możliwości.

W Radio Kraków niepodzielnie królował Antoni Wichura (właściwie Franciszek Augustynek), niezwykle popularny spiker i lektor, a nawet aktor, znakomity odtwórca gwary góralskiej, m.in. z powieści Tetmajera „Na Skalnym Podhalu”, wręcz uwielbiany przez moją matkę. Pochodził z „Pagorka” w Bilczycach i kiedyś dobrze znał się z moim ojcem, jego bliskim krewniakiem. Zmarł przedwcześnie w 1969 roku, a my z bratem jakoś nigdy nie zdołaliśmy tam poznać jego synów: Andrzeja i Piotra, choć przez lata wspólnie bywaliśmy w tej wsi na letnich wakacjach. Z Piotrem, a zwłaszcza jego synem Tomaszem, znanym dziś operatorem filmowym, który poszedł w ślady ojca, poznaliśmy się stosunkowo niedawno, ale od tej pory wspólnie rozgryzamy zagadki przeszłości, bo jak się okazuje, mieliśmy wspólną prapraprababkę. Dziś w Bilczycach pamięć o nim niemal całkowicie zamarła i to pomimo moich licznych prób jej przywrócenia, wszak był to z pewnością najwybitniejszy człowiek w ich historii.

Dzieje tego rodzaju opisałem w szkicu: „Notka o rodach Kaletów - „Wójcioków”, Augustynków-„Frysiów” i Mrozowskich z Bilzyc koło Gdowa”, dostępnym w MBC – www.mbc.malopolska.pl/publication/13924.



Fot. nr 252. Franciszek Augustynek, czyli Antoni Wichura, bliski krewny mego ojca.

W naszym odbiorniku radiowym często słuchało się Radia Luksemburg, swoistej odskoczni do wielkiej Europy, uwielbianego zwłaszcza przez mojego brata, gdzie non stop „leciała” muzyka rozrywkowa i nieraz usypiało się przy jej rytmach.

Z niezbyt bogatej palety gazet, kolportowanych przez kioski Ruchu, w naszym domu najbardziej lubiane było Echo Krakowa, przez dziesięciolecia kierowane przez Teresę Stanisławską, ciekawie redagowana popołudniówka z interesującymi dodatkami o dziejach Krakowa. W cenie był Dziennik Polski, przez lata uznana w Krakowie marka, zaś Gazeta Krakowska była wtedy za bardzo partyjna, choć niezwykle obszerna. Mama stroniła od Trybuny Ludu i Dziennika Wolności, ówczesnych tub propagandowych PZPR, gdzie świat był zawsze przedstawiany w krzywym zwierciadle. Gazety te nigdy „nie szły” i zawsze zalegały na półkach w kioskach Ruchu, wszak spory odłam krakowian nie akceptował takich form przekazu. PZPR był „przewodnią siłą narodu” i przeciętny człowiek musiał w to wierzyć czy mu się to podobało, czy nie, ale prawdę mówiąc większość ludzi wyraźnie dystansowała się od tej hałaśliwej propagandy. Nie może więc dziwić, że urywki papieru z tych gazet często wykorzystywano w miejskich ubikacjach i w wiejskich wychodkach, bo były to pozycje wielkogabarytowe, gdzie z konieczności zastępowały nie zawsze osiągalny papier toaletowy, który z racji swej konsystencji zwany papierem ściernym.

Dużo kupowało się prasy sportowej, wszak sport był naszą pasją: najłatwiej dostępne krakowskie Tempo, nieco trudniejszy do zdobycia katowicki Sport, rzadziej warszawski Przegląd Sportowy. Sportem bez przesady żyliśmy, znało się na pamięć niemal wszystkie wyniki meczów i nazwiska wszystkich znanych sportowców, których ja osobiście traktowałem niemal jak półbogów. W latach 60-tych młodzież szkolna zaczytywała się w „Świecie Młodych”, ciekawie redagowanej gazecie dla młodzieży ze szczególnie lubianym komiksem: „Tytus, Romek i Atomek”, na jej końcu oraz w periodykach: Płomyczku i Płomyku, gdzie ten drugi dla był adresowany do nieco starszej młodzieży, licealnej. Bobasy oglądały Misią, a małe dzieci przeglądały Świerszczyk, oba mimo różnych ograniczeń świetnie redagowane. Z upływem czasu coraz częściej czytaliśmy Przekrój, z cudowną, jakże dowcipną ostatnią stroną, od której zawsze zaczynałem jego lekturę. Były tam prezentowane „przekręty” z prasy, przedowcipne wiersze Jerzego Ludwika Kerna czy wielce pouczające aforyzmy: „O Wacusiu”. W ogóle z tego tygodnika emanował specyficzny klimat wielkiego świata (m.in. relacje z Hollywood Zbigniewa K. Rogowskiego) i dobrych obyczajów. W III RP ten zasłużony magazyn stał się z czasem karykaturą samego siebie i ostatnio znikł definitywnie. Swoją stałą, żeńską klientelę miało czasopismo „Kobieta i życie”, zwane „kobietą”. Popularne były też czasopisma: ITD i Na Przełaj.

Warto może poświęcić parę słów instytucjom kulturalnym Krakowa tych lat. Na przełomie lat 50-tych i 60-tych i później często chodziło się do kina, rzadziej do teatru. Telewizja była w tym czasie rzadkością, a radio, chociaż bardziej dostępne dla przeciętnego człowieka, nie zapewniało doznań wzrokowych.

Ciągle trwał jeszcze fotoplastykon, relikwium poprzedniej epoki, mieszczący się w podwórzu kamienicy przy ulicy Szczepańskiej 5. Siadało się tam na zydelku i przystawiało oczy do „jakby” lornetki, a przed oczami przesuwano się obrazy najczęściej dalekich, egzotycznych krajów, wszystko w rytm trzeszczącej muzyki. Sam obiekt był w kształcie okrągłaka, a na jego obrzeżu znajdowało się ze trzydzieści blisko siebie rozlokowanych zydelków do siedzenia; wewnątrz mechanizm jednostajnie przesunął klisze fotograficzne. Lubiliśmy tam chodzić zwłaszcza w mroczne, jesienne wieczory, bo pociągała nas egzotyka i tajemniczość tego miejsca. Ten fascynujący dla nas dzieciaków, relikwium z czasów „babci Austrii”, znikł niepostrzeżenie z krajobrazu Krakowa chyba pod koniec lat 60-tych. A może tak warto by powrócić do tego pomysłu?

W naszej okolicy znajdowało się sporo kin. Jako dzieci najczęściej korzystaliśmy z usług kina Krakus, które mieściło się na alei Krasieńskiego 16-18, gdzie dziś swą siedzibę ma Teatr Stu. W pewnym okresie regularnie chodziliśmy tu z mamą na niedzielne poranki filmowe dla dzieci, które rozpoczynały się o godzinie 11. Mieliśmy akurat kwadrans czasu, by spokojnie tu dojść po mszy w kościele Kapucynów, rozpoczynającej się o godzinie 10. W kinie tym często stykałem się z tajemniczym światem filmów Walta Disney’a, które oszałamiały swoją barwnością i techniczną doskonałością. Pamiętam film pod tytułem „Bambi”, opowiadający historię małej słonicy, takiego „brzydkiego kaczątka”, która urodziła się z wielkimi uszami. Oczywiście film kończył się happy endem, jak to zwykle bywa w filmach tej wytwórni, bardzo zresztą pięknych i pouczających.

Jako młodzieniec często chodziłem do kina Zuch, mieszczącego się w Pałacu Młodzieży na Krowoderskiej 8, zwykle z kolegami z klasy: „Grubym” lub Piotrkim Kaniewskim czy z Jackiem Gędkiem, kolegą z kamienicy, bo z bratem już od dziecka nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka, jakby każdy z nas był ulepiony z innej gliny. Mieliśmy swoje odrębne towarzystwo i inny świat. Zuch był tanim kinem, a prezentowane tu filmy dotyczyły tematyki młodzieżowej i stąd zawsze była w nim spora frekwencja. Czasem, by zdobyć pieniądze na bilet, chodziliśmy z „Grubym” po krzakach w Parku Jordana i zbieraliśmy flaszki po pijakach, a potem sprzedawaliśmy je po złotówce w skupie na placu Sikorskiego czy na ulicy Retoryka. Czasem uzbierało się ze dwadzieścia złotych, a bilet kosztował ze 4 zł, więc zostawało jeszcze na słodczyce czy oranżadę.

Pamiętam jeszcze dziecięce kino Promyk przy ulicy Podwale bodaj 5, zamknięte na początku lat 60-tych (później w tym lokalu długo działał bar mleczny). Oprócz wyżej wymienionych niedaleko ulicy Czystej znajdowały się jeszcze inne kina: Mikro na ulicy Dzierżyńskiego 5 (dziś Lea), przy Parku Krakowskim, Maskotka na tej samej ulicy pod nr 55, naprzeciw Szpitala Kolejowego, Miniaturka przy ulicy Franciszkańskiej 1, Melodia w gmachu Filharmonii (ul. Zwierzyniecka 1), z wejściem od Straszewskiego 18, Kultura, w Domu Kultury Pod Baranami i Sztuka na ulicy św. Jana 4. Nieco dalej były zlokalizowane: Młoda Gwardia na ulicy Lubicz 15 (koło wyburzonego browaru), Dom Żołnierza – wydłużona hala na Rondzie Mogiłskim (ulica Lubicz 48), gdzie dziś mieści się operetka, Wisła na Gazowej 27, Wrzos na Zamojskiego 50 czy Tęcza na Praskiej 52.

Szczególne wspomnienie łączy mnie z kinem Rotunda, mieszczącym się wtedy w budynku domu studenckiego „Żaczek” przy ulicy Oleandry 1. Otóż będąc tam gdzieś w połowie lat 60-tych na filmie p.t.: „Komiczny świat Harolda Lloyd’a” dostawałem tak wielkich napadów śmiechu, że omal nie posikałem się w portki. Po takich hitach brzuch długo bolał ze śmiechu.

W kasach najlepszych krakowskich kin, o których wspominam poniżej, gdzie grano najciekawsze filmy, nie zawsze można było dostać bilet, nawet wystając w długich kolejkach i nieraz trzeba było skorzystać z usług „koników” czy „koni”, czyli pośredników w ich sprzedaży, którzy oczywiście sprzedawali je po znacznie zawyżonej cenie, zależnej od długości kolejek. Tak na marginesie „koniami” bądź „waluciarzami” zwano też nielegalnych handlarzy obcą walutą, zwłaszcza dolarami („zielonymi”) i „bonami” dolarowymi, który wystawiali pod PEWEKS-ami, sklepami walutowymi i tam oferowali swoje usługi. Najbliższe PEWEKS-y znajdowały się przy ulicach: 18-go Stycznia 51, koło Biprostalu, Czarnowiejskiej 55, przy wlocie ul. Szymanowskiego, w Hotelu Cracovia oraz na początku ulicy Szewskiej (nr 3). Kupowanie i sprzedawanie obcej waluty zawsze wiązało się z pewnym ryzykiem, ale warto było to czynić zwłaszcza przed jakimiś rodzinnymi imprezami, kiedy potrzeba było dużo wódki, a ta w tych sklepach była sporo tańsza, nawet biorąc pod uwagę czarnorynkowy kurs dolara. Kto nie kupował tu Żytniej czy Wyborowej ze srebrną naklejką? Zresztą zielone stanowiły idealne zabezpieczenie przed inflacją, galopującą zwłaszcza w latach 80-tych, kiedy ich wartość systematycznie korygował czarny rynek. Trzymanie pieniędzy w bankach nie miało wtedy sensu.

Na koniec pozostawiam te najbardziej wtedy ekskluzywne kina: Warszawa w podwórku kamienicy przy ulicy Stradom 15 (przed otwarciem Kijowa najbardziej eleganckie kino Krakowa), Wanda na ulicy Waryńskiego 5, dziś Gertrudy, Uciecha na ulicy Bohaterów Stalingradu 16 (dziś Starowiślna), Apollo na Solskiego 11 (dziś Św. Tomasza), Wolność na ulicy 18-stycznia 1 (dziś Królewska), róg z Pomorską, wówczas Wybickiego czy Związkowiec z ulicy Grzegórzeckiej 69, bowiem jako dziecko nie chodziłem tam z banalnego powodu: wyświetlano tu najczęściej filmy dla „dorosłych”, dozwolone od lat szesnastu czy osiemnastu. Takiemu młokosowi jak ja, wówczas dwunastolatkowi czy piętnastolatkowi, wydawało się wtedy, że nigdy nie doczeka się tego wieku i zazdrością spoglądało się na „dorosłych” chłopaków, którzy wchodzi do środka. Kiedy bileter odmawiał przekroczenia magicznych bram kina, pytając się: „dziecko, ile ty masz lat” - ze złości odpowiadało mu się: „dzieci to są u szewca i kołki prostują, a na T-y to tramwaj staje”. Po nieudanych próbach dowartościowanie się w byciu w pełni dorosłym gwarantowało np. głośne śpiewanie, choć zawsze z jakiegoś ukrycia, np. o zmroku na skwerku, z lekka sprośnej przyśpiewki, w rytm powszechnie znanej melodii - tańca rosyjskich marynarzy, który, co dziś wiem, pochodził z baletu Czerwone Maki rosyjskiego kompozytora Reinholda Gliera:

„Szedł chłop i mrucał i jajami podrzucał,

Wszyscy byli świadkami, że podrzucał jajami”.

Jakież to były jeszcze cielece czasy!!!

Kino Kijów, to najznakomitsze do niedawna kino Krakowa, niegdyś jego chluba, zostało wybudowane przy alei Krasińskiego 34 niedługo przed nastaniem „epoki Gierka”, a więc pod koniec lat 60-tych, w sąsiedztwie również nowego Hotelu Cracovia, który już nie istnieje.

Do teatrów nigdy nie czułem specjalnej atencji, bo jakoś nie mogła mi przypaść do gustu ta sztuczna postawa aktorów: wyolbrzymiane gesty i cyzelowana słowa, często z jakże sztucznym „ł”. Ich język wydawał mi się jakiś nieziemski, oderwany od codziennego i zawsze wołałem kino jako bardziej naturalne i szczere. Jako dziecko najbardziej interesował mnie, co zrozumiałe, Teatr Lalek Groteska, który w tym czasie mieścił się obok Kina Sztuka, przy ulicy Św. Jana 6. Pamiętam moją pierwszą wizytę w tym teatrze, razem z kolegami szkolnymi, gdzieś w drugiej klasie. Było to, jak pamiętam do dziś, przedstawienie pod tytułem: „Królewna Grymasela”, gdzie dzieci zauroczone przemawiającymi lalkami niezwykle spontanicznie reagowały na rozwijającą się akcję. Później, pod koniec lat 60-tych, Teatr Groteska został przeniesiony na ulicę Skarbową 4, do dawnej siedziby zlikwidowanego właśnie Teatru Rapsodycznego.



Fot. nr 253. Dawna Bursa księdza Mieczysława Kuznowicza, czyli gmach „Związku Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki” z naroża ulic: Skarbowej 4 i Krupniczej 29, gdzie dziś swą siedzibę ma Teatr Groteska. Tu napis jest jeszcze słabo czytelny. W roku 2017 gmach został odnowiony. (12.03.2014)

Teatr Rapsodyczny, przez kilkanaście lat kierowany przez Mieczysława Kotlarczyka, został zlikwidowany w lecie 1967-go roku na polecenie władz partyjnych Krakowa, gdyż nie odpowiadał ich politycznym gustom. W czasach przedwojennych (pod koniec lat 20-tych), gdy ten gmach powstał z inicjatywy księdza Mieczysława Kuznowicza, mieścił się tutaj kierowany przez niego „Związek Młodzieży Robotniczej i Rękodzielniczej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, zwany Bursą Kuznowicza. A pamiętam jak jeszcze na wiosnę 1967 roku byliśmy tu z klasą z SP nr 6 na przedstawieniu Pana Tadeusza. Był to teatr słowa, bardzo oszczędny w scenografii i dlatego przedstawienie to nie przypadło mi do gustu. Później byłem w tym gmachu dopiero 1971 roku, a może rok później, już w Teatrze Groteska, tym razem z klasą z Technikum Energetycznego z ulicy Loretańskiej na przedstawieniu Skąpca Moliera. Tu z kolei oczarowała mnie niesamowita scenografia do tej sztuki, autorstwa Ewy Braun. Cała scena pokryta była ścianą złożoną z szafek, szafeczek i kufrów, zamykanych na kłódki, co znakomicie korespondowało z tekstem. Z poziomu przedstawienia zadowolona była nawet dr Cecylia Szarzyńska, nasza niezapomniana polonistka, wytrawna znawczyni teatru, legenda i długoletnia wizytówka tego technikum, niezwykle wymagający pedagog, ale bardzo prawy człowiek, choć niestety niezbyt przystający do tych czasów. Spory autorytet w TE posiadał też pan Kremer, dodatkowo zastępca dyrektora w pobliskim Technikum Chemicznym, nauczyciel historii, starszy już człowiek o szerokich horyzontach, ale ekscentrycznym sposobie zachowania oraz odpytywania, który wymagał też od nas znajomości podstaw historii Krakowa, choć sam nie próbował nas (niestety) w tej materii edukować, a przy odpowiedziach nieraz wytargał za uszy, wąsy czy baki, ot tak dla hecy.

Innym teatrem w mojej okolicy był Teatr Rozmaitości, wcześniej (w latach 50.) Młodego Widza, dziś na powrót Bagatela, z naroża ulic: Krupniczej 1 i Karmelickiej 2. To właśnie aktorom tego teatru przytrafił się tragiczny wypadek na „zakopiance” koło Lubnia w dniu 14.12.1966, o czym już wspominałem, gdzie w sumie, razem z kierowcą zginęło kilka osób, a wielu zostało rannych i wszyscy mieszkańcy tej okolicy niezwykle przeżywali tą tragedię. Bywałem w tym teatrze w miarę często, gdyż był on najbliższej mojej podstawówki i tu, zwykle obowiązkowo, podnosiliśmy poziom kultury. Ponadto moja mama w ramach akcji socjalnej w Spółdzielni Pracy Świt, w której dorabiała jako chałupnik, dostawała czasem darmowy karnet teatralny i wtedy korzystałem z tej okazji. W tych czasach pustki w tych mniej renomowanych teatrach próbowano zapełniać na siłę, właśnie poprzez odgórne inicjowane akcje kulturalne i darmowo rozdawane bilety. Wszyscy byli zadowoleni: widzowie, bo za darmo oglądali ciekawe przedstawienia i aktorzy, którzy mieli spokojną na przyszłość pracę.



Fot. nr 254. Ulica Karmelicka. Z lewej Teatr Bagatela, który od roku 1919 miał różne wcielenia, a z prawej znana restauracja Ermitage spod nr 4 (dziś to już wspomnienie) i delikatesy Lukullus spod nr 9. Najbardziej brak jednak sklepu rybnego spod nr 16.

Pamiętam wystawioną tu gdzieś w 1964 roku sztukę pt.: „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, przeplataną pięknymi pieśniami o wiosnie. Od tej pory jestem szczególnie uczulony na biel kwitnących wiosenną porą drzew, które przypominają mi ten spektakl oglądany wspólnie z moją ukochaną matką, a przed oczami przesuwiają mi się nostalgiczne obrazy tych cudownych i jakże beztroskich dla mnie chwil. Jak szkoda, że nigdy już one nie powrócą.

Z rzadka, dopiero w szkole średniej, chodziłem do tych najbardziej renomowanych teatrów krakowskich: Starego, zwanego wówczas Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej i Słowackiego. Ten pierwszy za sprawą „genius loci” Konrada Swinarskiego na początku lat 70-tych przeżywał okres niezwykłych dokonań artystycznych. Pamiętam przedstawienie „Biesów” Dostojewskiego, na którym spotkałem się z moją polonistką z technikum. Odnośnie samej sztuki, była ona dla mnie trochę mętna, natomiast poziom aktorski wybitny. Od tej pory spoglądała ona na mnie jakby z większym uznaniem i na koniec roku dostałem wtedy u niej czwórkę, co zważywszy na jej surowość było oceną maksymalną, a przy tym rzadką. Ale trzeba przyznać, że pod jej okiem robiłem stałe postępy. W IV klasie pozwalałem już sobie na dość swobodne wyrażanie swoich własnych osądów na temat przerabianych pozycji literaturowych, co ona akceptowała, choć nie koniecznie się z nimi zgadzała. A że zadawała sporo wypracowań domowych, człek wprawdzie kłął pod nosem, ale swój poziom regularnie podnosił. Dziś wiem, że ten trud warto było ponosić.



Fot. nr 255. Secesyjne zdobnictwo na froncie Teatru Starego (07.01.2012)

Chyląc czoło przed tym zasłużonym pedagogiem, dr Cecylią Szarzyńską, pragnę stwierdzić, że to jej umiejętności przekazywania wiedzy i pasji z jaką to czyniła, zawdzięczam wiele z moich upodobań humanistycznych, także lekkość wyrażania myśli na papierze oraz młodzieńcze skłonności do pisania wierszy, choć przecież była to szkoła o ścisłym profilu technicznym i lekcji języka polskiego nigdy nie było tu za wiele. Gdy przed piątą klasą odeszła ze szkoły, pewnie ze względu na stan zdrowia, przejęła nas pani Maria Juszczyńska, inna polonistka i dopiero wtedy można było dostrzec różnicę klas jakie dzieliły obie te panie i to nie tylko w poziomie wiedzy, ale i kultury. Teraz dopuszczalne były tylko poglądy książkowe i naprawdę ciężko było się dostosować do jej dość prymitywnych i skostniałych wymagań. W jednym była tylko lepsza od swojej poprzedniczki: w pewności siebie i sile głosu. Oczywiście moje opracowania były już zupełnie inaczej oceniane, czytaj dużo gorzej i nawet na egzaminie pisemnym z matury dostałem od niej „tróję” i dopiero Pani mgr Uhl, która odpytywała mnie na egzaminie ustnym, gdzie zachwycała się moim poziomem wiedzy, podciągnęła mi ocenę końcową na „czwóre”, dając z przepytywania ustnego „bdb”.

Inną wielką stratą dla naszej klasy było odejście, niestety na zawsze, mgr inż. Stanisława Gołębiowskiego, który uczył nas elektroenergetyki, człowieka o wielkim takcie i kulturze osobistej. Kadre nauczycielską TE dokładnie opisałem we wspomnianym już szkicu opublikowanym w zasobach Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej (patrz załącznik). Takich wybitnych pedagogów niestety nie było w tej szkole zbyt wielu, choć generalnie poziom nauczania, a także praktycznego przystosowania do zawodu elektryka, był tam wysoki, więc absolwenci szkoły byli przyjmowani do pracy od przysłowiowej ręki, o czym dziś młodzież może tylko pomarzyć. Był to ogromny komfort tych czasów, z czego wielu z nas nie zdawało sobie sprawy. Praca była w każdym zawodzie, a uchylały się od niej tylko „niebieskie ptaki”, jak zwano największych lumpów.

W Krakowie funkcjonowało wiele techników, a przy nich zasadniczych szkół zawodowych (tzw. ZSZ): Energetyczne i Elektryczne (w Prokocimiu), dwa Mechaniczne (drugie na Skrzyneckiego), Łączności (wcześniej zwane Telekomunikacyjnym; pierwotnie na Łobzowskiej, potem przeniesione na Zielną), Budowlane, Kolejowe, Ekonomiczne, Geologiczne, Geodezyjne, Górnicze, Górnictwa Odkrywkowego, Hutniczo-Mechaniczne (w Nowej Hucie), Komunikacyjne, Gastronomiczne, Poligraficzno-Księgarskie czy Wodno-Melioracyjne i mimo tego stałego napływu młodzieży do przemysłu bezrobocie praktycznie nie istniało.

Ale powróćmy do tematu. Teatr Słowackiego olśnił mnie swoim przepychem, a kurtyna z malowidłem Henryka Siemiradzkiego wzbudziła zachwyty. Pamiętam oglądaną tu Zemstę Fredry. Niestety rola Stańczyka została wtedy kiepsko zagrana, nazbyt statycznie, przez co była mało śmieszna. Gdy porównałem ją z wcześniej oglądaną, w Teatrze Rozmaitości, to ta druga wypadła dużo ciekawiej. W ogóle w tym czasie Teatr Słowackiego raczej obniżał swoje artystyczne loty i daleko mu było do poziomu choćby Teatru Starego, który żeglował na wyżynach artystycznych dokonań, stając się jedną z wizytówek Krakowa. Szkoda, że bywałem tu tak rzadko, bo stawał się on kuźnią talentów aktorskich. Tu zostali wykreowani mistrzowie sztuki aktorskiej, z Jerzym Trelą, Janem Nowickim, Jerzym Radziłłowiczem, Janem Nowakiem, Wiktoorem Sadeckim, Leszkiem Piskoszem, Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Anną Polony czy młodzieńką Anną Dymną.

W tym czasie swym poziomem artystycznym wyróżniał się jeszcze Teatr Kameralny przy dawnej ulicy Bohaterów Stalingradu 21, stanowiący scenę kameralną Teatru Starego. Ciekawy repertuar prezentowały też amatorskie teatry: Kolejjarza (na ulicy św. Filipa 6) oraz „Teatr 38” przy ulicy Bocheńskiej 7, ale ja tam nie bywałem. Nie sposób nie wspomnieć o Kabarecie Jama Michalika z ulicy Floriańskiej 45, ale ten rozpoczynał działalność o szokującej dla mnie, 22-ej godzinie.

W niewielu miejscach ówczesnego Krakowa kwitło typowo „nocne życie”, wzbogacone o dodatkowe o różnego typu „atrakcje”. Jak np. w Kapryście na Floriańskiej i Feniksie w narożu Rynku i ulicy św. Jana, gdzie w programie były striptizy, co w nas młokosach budziło tylko dreszczyk emocji, bo o wstępie tam nikt nawet nie ośmielał się myśleć.

W czasach mojego dzieciństwa ze szczególnym pietyzmem traktowałem muzea. Były dwa powody tego stanu rzeczy. Pierwszy, to przychylnie zrządzenie losu, gdyż matka Zbyszka Merwarta, jednego z moich szkolnych kolegów, była przewodnikiem po Krakowie i czasem zabierała naszą klasę na wycieczki po tym pięknym i zabytkowym mieście, ucząc nas jego historii i odkrywając jego tajemnice. Drugi, to jakże dalekowzroczna polityka kulturalna ówczesnych „zgniłych” władz, gdy w każdy piątek wstęp do muzeów był po prostu wolny. Ileż ja w tym czasie zwiedziłem muzeów: z Wawelem, Sukiennicami i Muzeum Czartoryskich na czele. W trójkę, wspólnie z kolegami z klasy: Piotrkiem Kaniewskim i Markiem Cyranem, buszowaliśmy wtedy przez co najmniej przez ostatnie dwa lata podstawówki po wszystkich krakowskich muzeach i galeriach wystawowych.

Nie omijaliśmy też znanych krakowskich kościołów: Dominikanów czy Franciszkanów, z ich niepowtarzalnymi krużgankami, gdzie zaciągała nas zwykła ciekawość, a czasem także psotnicze zapędy. Tak to we mnie: urwisie i bezkrytycznym miłośniku filmu, telewizji i sportu, zaczęło się kształtować zainteresowania historią i sztuką Krakowa, które do dnia dzisiejszego są moją wielką pasją i formą ucieczki od problemów nie zawsze dla człowieka przychylniej rzeczywistości. W tej tematyce posiadam ogromny księgozbiór, obejmujący wszelkie ważniejsze publikacje jakie ukazały się w okresie powojennym i sporą część wcześniejszych.

Dziś bezkrytycznie pluje się na dawnych „komunistów”, co z wyjątkową lekkością czynią zwłaszcza ludzie młodego pokolenia, którzy nie znają realiów tych czasów. Ale to w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ukazało się najwięcej książek o moim ukochanym mieście i to nie tylko na dobrym poziomie naukowym, ale i w cenach przystępnych dla przeciętnego czytelnika. Popularyzowały one wiedzę o historii i sztuce Krakowa, że wspomnę tylko choćby kilkadziesiąt niewielkich broszurek Wydawnictwa Literackiego z serii Cracoviana czy nieco większe książki z cyklu Biblioteka Krakowska. Gdzieś znajdowały się na to pieniądze, co owocowało zwiększonym zainteresowaniem tematem, zwłaszcza pośród młodzieży. W pierwszym II dekadach III RP tym rynku panowała zapaść, ale ostatnio znów pojawia się spora ilość ciekawych pozycji. Będąc częstym gościem na FB ze zgrozą muszę stwierdzić, że przeciętna wiedza młodzieży na temat przeszłości Krakowa jest czasami żenująca, nawet w czasach powszechnego dostępu do Internetu.

Wspominając Wydawnictwo Literackie nie sposób nie wymienić jego dyrektora: Andrzeja Kurza, postępowego członka lokalnej egzekutywy KW PZPR przełomu lat 70-tych i 80-tych, który kształtował jego przebogaty i różnorodny tematycznie profil wydawniczy. Dziś dla wielu nie jest ważny jego dorobek i to co sobą prezentował, ale dawna przynależność partyjna. We mnie ten system też budził poważne zastrzeżenia, jak u wielu gniewnych z mojego pokolenia, ale z perspektywy czasu zaczynam doceniać jego pozytywy, których nie brakowało, choćby doceniając dokonania na rynku wydawniczym.

Jedyną możliwość zdobycia ciekawych książek czy prawdziwych rarytasów stwarzały antykwariaty. Te najczęściej przeze mnie odwiedzane mieściły się na ulicach: Sławkowskiej 12, róg z ulicą Solskiego, Szpitalnej 19, róg z ulicą św. Marka, Szewskiej 23, naprzeciw kawiarni „U Zalipianek” i na Brackiej 9; rzadziej bywałem u Krzyżanowskiego na św. Tomasza 26 i Kamińskiego na św. Jana 3. Dziś poza duetem: ze Szpitalnej - Wójtowicza i św. Jana 3, pozostałe dawno już nie istnieją. Widać było, że sporo ludzi interesowało się tematyką przeszłości Krakowa i wizyta w antykwariacie była dla nich, jak i dla mnie, odskocznią od problemów rzeczywistości. Dziś w wolnej i ponoć lepszej Polsce, po dramatycznym okresie kilkunastoletniego zastoju znów zaczynają się pojawiać w księgarniach ciekawe pozycje, którym drogę przecierała np. książka Wydawnictwa WAM pt.: „Nieznany portret Krakowa”, autorstwa Barbary Zbroi i Konrada Myślika. Na działalność popularyzatorską, skierowaną do stosunkowo niewielkiej grupy miłośników historii i sztuki Krakowa oraz szerokiego kręgu młodzieży i dziś nie ma zbyt wielu sponsorów. Na półkach księgarń nadal natomiast dominują pięknie ilustrowane przewodniki, ale zawierające z reguły pobieżnie przepisaną „na jedno kopyto” treść historyczną, bo wszystko jest dopasowane do potrzeb wszechogarniającej nas komercji.

Po śmierci wybitnych dla miasta postaci, profesorów: Karola Estreichera, Wiktora Zina czy Janusza Bogdanowskiego, brakuje charyzmatycznych autorów, a także autorytetów moralnych, którzy nie wahali się głośno wyrażać swój sprzeciw dla wątpliwych pomysłów i czasem przynosiło to pozytywny skutek. Niestety ostatnio odszedł z tego świata Michał Rożka, ostatni chyba prawdziwy pasjonat oraz zasłużony popularyzator dziejów i kultury Krakowa.

Muszę tu jeszcze dodać, że pod koniec lat 60-tych wielką popularnością pośród nas, podrostków, cieszyła się tzw. XIII księga Pana Tadeusza napisana ponoć przez Aleksandra Fredrę, a opisująca miłosne gry poślubne czternastoletniej Zosieńki i sporo starszego pana młodego - Tadeusza, która w różnych odpisach krążyła w młodzieżowym „drugim obiegu”. Niewątpliwy wpływ na ten fakt miała pikanteria języka Fredry i zawarte tam wątki oraz opisy seksualne, które w mig czyniły nas bardziej dorosłymi. Czytaliśmy ten tekst w zaciszu, z wypiekami na policzkach i znaleźmy wiele jego fragmentów na pamięć; ja do dziś jestem jeszcze w stanie wyrecytować wiele zawartych tam wersów, ale doprawdy wstyd to przytaczać.

Pamiętam wystawę współczesnej grafiki amerykańskiej, która została zorganizowana w nowym gmachu Muzeum Narodowego na alei Mickiewicza gdzieś w 1965 lub 66 roku. Był to swoisty fenomen tych czasów, który na pewno zaniepokoił „partyjny beton”. Ekspozycji tej towarzyszyły niespotykane tłumy i aby się dostać do środka trzeba było odstać w długiej kolejce ze dwie godziny. Jak się wydaje była to chęć zmanifestowania tęsknoty za wolnością i pokazania sympatii dla wielkiego, choć przedstawianego w złym świetle narodu amerykańskiego, wszak sama wystawa nie była aż tak ekscytująca. Swoją obecnością na wystawie ludzie chcieli raczej pokazać, że nie wierzą partyjnej propagandzie i wiedzą swoje. W końcu Kraków zawsze był siedliskiem „kołtunerii”.

Nas młodych przyciągał tu głównie pamiątkowy znaczek w formie odznaki, który otrzymywał każdy zwiedzający. Nosiło go potem, przypięty do klapy, niemal pół miasta, a przedstawiał on stalówkę z motywem flagi amerykańskiej. By zdobyć te odznaki razem z „Grubym” zaliczyliśmy chyba ze trzy zwiedzania. Z samej wystawy, niezbyt dla mnie ciekawej, nic nie zapamiętałem poza obrazem przedstawiającym ów motyw stalówki. Potem jedna z nich długo jeszcze plątała się po domu i zaginęła dopiero przy przeprowadzce na „Kozłówek”.

W latach 60-tych i 70-tych wielką popularnością cieszyły się polskie zespoły bigbitowe, które wyrastały jak przysłowiowe grzyby po deszczu, a z tej masowości rodził się wysoki poziom artystyczny czołówek. Po Czerwono i Niebiesko Czarnych, z takimi wokalistami jak: Karin Stanek, Kasia Sobczyk, Czesław Niemen, Ada Rusowicz, Helena Majdaniec, Maciej Kosowski czy Jacek Lech, powstały takie super zespoły, jak: Skaldowie, zdobywcy wielu Złotych Płyt, z braćmi: Andrzejem i Jackiem Zielińskimi, Trubadurzy, z Ryszardem Poznakowskim i Krzysztofem Krawczykiem, Czerwone Gitary, z Sewerynem Krajewskim i Krzysztofem Klenczonem, ABC, z Haliną Frąckowiak i Andrzejem Nebeskim, No To Co, z Piotrem Janczerskim i Jerzym Grunwaldem, Bleckout (potem Breakout), z Tadeuszem Nalepą i Stanem Borysem, Waganty czy Dżamble, z Andrzejem Zauchą. W latach 70-tych księgarni w Rynku Głównym 22 pojawiały się broszurki z nutami i tekstami większości ich przebojów, więc można je było nucić na towarzyskich spotkaniach.

W programie III Polskiego Radia raz w miesiącu odbywały się głosowania na listę przebojów pośród krajowych piosenek, gdzie udział brali przedstawiciele wszystkich regionalnych rozgłośni krajowych PR i wówczas zawsze trzymało się kciuki za zespoły krakowskie: niezapomnianych Skaldów, chyba najlepszą grupę bitową z tego okresu i niekonwencjonalne Dżamble, którym zawsze blisko było do jazzu. A jaka była zabawa przy dźwiękach tej muzyki!!! Daj Boże dzisiejszym zespołom prezentować taki poziom artystyczny i taką różnorodność tematyczną jak to drzewiej bywało, ale nie mogło być inaczej, skoro większość artystów posiadała gruntowne wykształcenie muzyczne, ponadto teksty do piosenek pisali znani poeci. Dziś wszystko i wszędzie usiłuje robić się na skrót, jak najmniejszym wysiłkiem i kosztem, co owocuje stale obniżającym się ogólnym poziomem twórczości artystycznej i to niestety w każdej dziedzinie. Oczywiście jak w naszym społeczeństwie, gdzie istnieje szeroka warstwa ludzi ubogich bądź skrajnie biednych, a przy tym coraz liczniejsza grupa „baronów”, tak i w sztuce na tle dość powszechnej mizerności zdarzają się prawdziwe rarytasy, szczególnie w ostatnim okresie, gdy jej sponsorowanie staje modną, bo opłacalną formą marketingu. W ostatnim czasie w okres wzlotu weszło polskie kino, które przez wiele lat III RP było zaniedbywane i mało znaczące również w kraju, a dziś podbija salony kulturalne Europy.

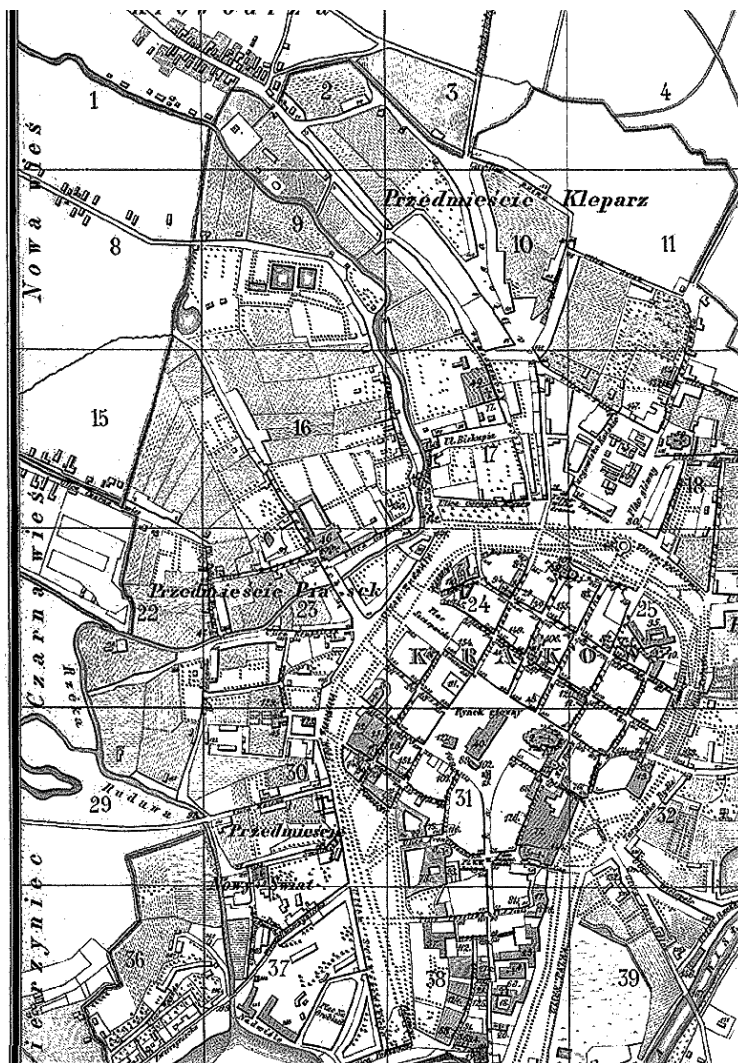
X Rekreacja

Nasza mama przez całe życie była osobą niezwykle ruchliwą i może dlatego dożyła sędziwego wieku 86 lat, z czego 80 w dobrym zdrowiu. Jak mało kto pośród najbliższych sąsiadów doceniała ona rolę ruchu na świeżym powietrzu dla zdrowego rozwoju dzieci. Tak więc każdą wolną chwilę poświęcała na spacer, mając w ich różnicowaniu naprawdę wielką inwencję, wszak miała pełną świadomość, że wilgotne wnętrze naszego mieszkania („nory”) może wywoływać wiele dolegliwości zdrowotnych. Przed niektórymi z nich mimo wszystko się nie ustrzegłem i tak np. od wczesnych lat posiadam „barometr” w kolanie. Aby mieć dla nas więcej wolnego czasu pracowała często do późnych godzin nocnych, kiedy my już dawno byliśmy w głębokim śnie. Jej głównym nocnym zajęciem było prasowanie koszul i pościeli dla swych stałych klientów, wszak pranie i prasowanie było dla niej dodatkowym, ale znaczącym źródłem dochodów. W dni powszednie, po odrobieniu codziennych obowiązków, najczęściej po obiedzie, o ile tylko pozwalała pogoda zabierała nas na spacer w najbliższe okolice domu, bo na więcej nie starczało jej sił i czasu. Natomiast w niedzielę i święta zawsze chodziliśmy nieco dalej, najczęściej w stronę Kopca Kościuszki lub Lasu Wolskiego i były to już prawdziwe wycieczki czy nawet wyprawy.

Mało kto już dziś pamięta jak wyglądały najbliższe okolice naszego miejsca zamieszkania, wszak od tej chwili upłynęło już ponad pół wieku. Wtedy mieszkaliśmy na skraju miasta, którego umowne „granice” niewiele różniły się od tych z czasów austriackiej twierdzy. O ile dobrze pamiętam wtedy, na początku lat 60-tych, Aleje były jeszcze jednopasmowe, a obie jezdnie, których nawierzchnia była pokryta kostką, rozdzielał szeroki zieleniec, pozostałość po wale ziemnym rdzenia twierdzy i nasypie kursującej tu kiedyś kolei cyrkumwalacyjnej, łączącej Łobzów z Bonarką.

Za tą główną arterią Krakowa w dalszym ciągu dominował podmiejski i wiejski krajobraz, typowy dla przedmieść. Na przestrzeni między gmachem A-0 AGH oraz całym kompleksem jej pawilonów i budynków przy ulicy Reymonta, a Biblioteką Jagiellońską, po sam Park Jordana, którego skrajem biegła jeszcze peryferyjna ulica Żwirki i Wigury, rozciągały się ogródki działkowe, wykorzystujące żyzną glebę dawnych rozlewisk Rudawy.

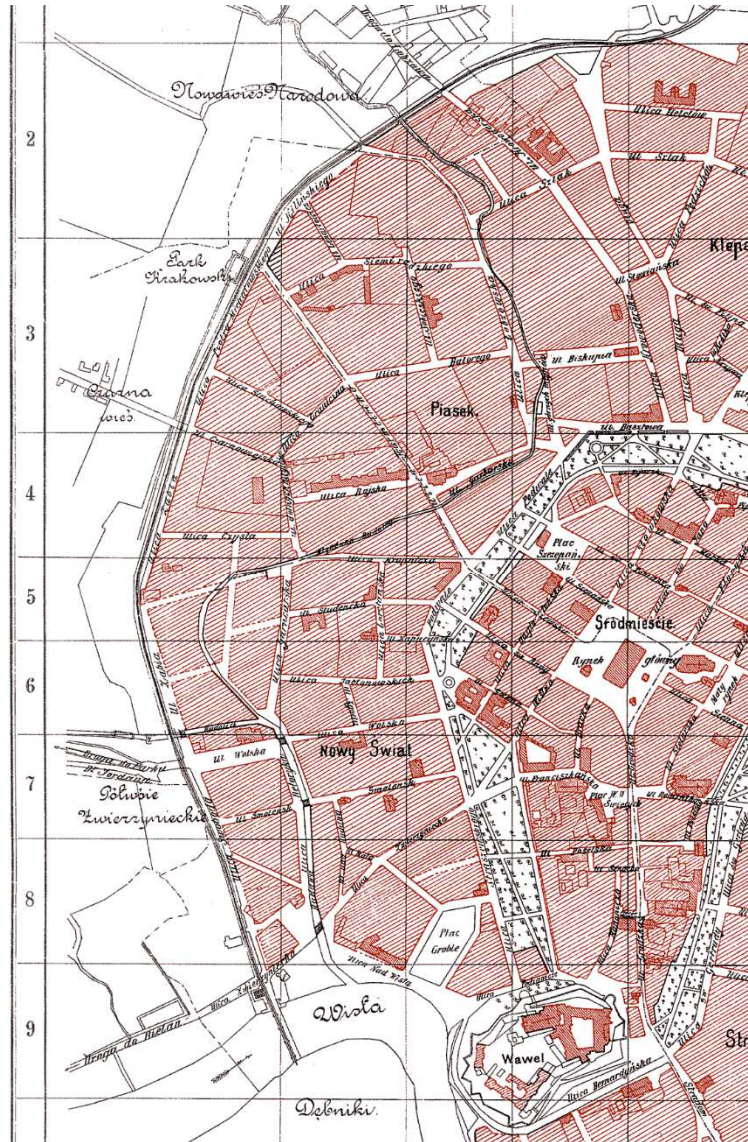
Jeszcze pod koniec III ćwierci XIX wieku główna odnoga tej rzeki, zwana z czasem Niecieczą, co miało związek z leniwym jej nurtem, meandrowała w swoim dzikim korycie w okolicy dzisiejszej ulicy Oleandry, zakręcając tu od strony Błoń, by dalej podążać w kierunku styku obecnych ulic: Wenecja i Garncarskiej, gdzie w okolicy późniejszego Sokoła łączyła się z tzw. Młynówką Królewską, jej główną odnogą, która kiedyś zasilala młyny: górny (na rogu ulic: Łobzowskiej z Garbarską) i dolny (róg ulic: Krupniczej i Dolnych Młynów). Młynówka Królewska płynęła od strony Mydlnik, z utworzonego tam jazu, skręcając obok dawnego pałacu królewskiego (później gmachu tzw. Podchorążówki, dziś siedziby Wydziału Architektury PK), by dalej płynąć po linii dzisiejszych ulic: Kazimierza Wielkiego, Łobzowskiej i Garbarskiej w kierunku dolnego młyna.



Mapa nr 2. Przebieg fragmentu Rudawy oraz Młynówki Królewskiej i końcówki Młynówki Kawiorskiej na planie Krakowa z roku 1866.

Istniała jeszcze jedna odnoga Rudawy – Młynówka Kawiorska, która z innego jazu na zakręcie dzisiejszej ulicy Mydlnickiej płynęła przez Kawiory, by mniej więcej na styku dzisiejszej ulic: Czystej z aleją Mickiewicza połączyć swój strumień z ostro zakręcającą tutaj na południe Młynówką Królewską, która dopływała tu od strony miasta, po zasileniu swym strumieniem dolnego młyna. Ich wspólny nurt dalej podążał mniej więcej po linii dzisiejszej alei Mickiewicza, by po połączeniu z głównym strumieniem rzeki, Niecieczą, co miało miejsce na styku Błoń i obecnej alei Mickiewicza, kolektywnie już popłynąć w kierunku ulicy Wenecja, a dalej, od styku z ulicą Garncarską, podążać wzdłuż ulicy Retoryka, by znaleźć ujście do Wisły w rejonie dzisiejszego placu Kossaka. Młynówka na odcinku od dolnego młyna po ulicę Retoryka z czasem zmieniła bieg, zapewne na skutek regulacji jej przebiegu i w ostatniej ćwierci XX wieku w tym fragmencie płynęła już po linii ulicy Krupniczej, a dalej skręcała w ulicę Wenecja, by na jej końcu połączyć nurt z płynącym od strony Błoń głównym strumieniem Rudawy. Taki stan dotrwał do momentu zaślepienia koryta Młynówki w tym fragmencie Piasku, co nastąpiło w latach 1910-12.

Młynówka Kawiorska zanikła gdzieś w okolicach przełomu III i IV ćwierci XIX wieku w związku z rozbudową w tej okolicy fortyfikacji I pierścienia Twierdzy Kraków. Żyzne tereny położone wokół dzisiejszego, nowego gmachu WSR i ulicy Reymonta znajdowały się więc w bliskości dawnego koryta tej odnogi, na jej rozlewiskach i nadrzecznych bagnach.



Mapa nr 3. Przebieg Rudawy i Młynówki przez teren Piasku na planie Krakowa z roku 1900.

Po regulacji Rudawy przy końcu I dekady XX-go wieku i puszczeniu jej głównego nurtu po linii trzeciej z młynówek Rudawy, zwanej wcześniej Norbertańską, w dawnym korycie Niecieczy na odcinku biegnącym wzdłuż Błoń i Parku Jordana jeszcze przez jakiś czas zalegała woda i z tego tytułu ten ciek zwany był też Ciepłą Wodą. Dawne koryta Rudawy i Młynówki Królewskiej zostały z czasem całkowicie skanalizowane, a proces ten trwał od początku II dekady XX wieku aż po połowę lat 60-tych. Ja pamiętam jeszcze Młynówkę Królewską płynącą wzdłuż ulicy Grotgera.



Fot. nr 256. Tereny na styku ulicy Reymonta i alei Mickiewicza, gdzie dziś stoi nowy Gmach dawnej WSR w roku 1926. (AN w Krakowie)



Fot. nr 257. Pod gmachem nowego „Wysrołu” razem z bratem (1965).
Jak widać aparat Druh za bardzo nie chciał bądź nie mógł słuchać naszych poleceń.
Przed rokiem 1960 po prawej stronie od wejścia była usytuowana nasza działka.

Na skrzyżowaniu ulic: Reymonta i Alei, na skraju w/w ogródków działkowych rosło jeszcze wtedy parę starych, czarnych topól, potężnych, ale mocno już wyszczerbionych niemych świadków dawnej obecności na tym terenie wspomnianej powyżej Młynówki Kawiorskiej. U nasady swoich pni posiadały one potężne dziury, jakby dziuple, które znakomicie służyły za miejsce do kryjówek. Swym wyglądem przypominały zepsute zęby, który trzymają się na ostatnim kawałku glazury. Dziuple te na jakiś czas zostały zamurowane, ale same drzewa z uwagi na mocno nadwątloną konstrukcję stanowiły pewne zagrożenie i pod koniec lat 70-tych zostały bezceremonialnie ścięte. Pretekstem do takiego działania stało się wyrwanie jednego z nich podczas gwałtownej burzy.

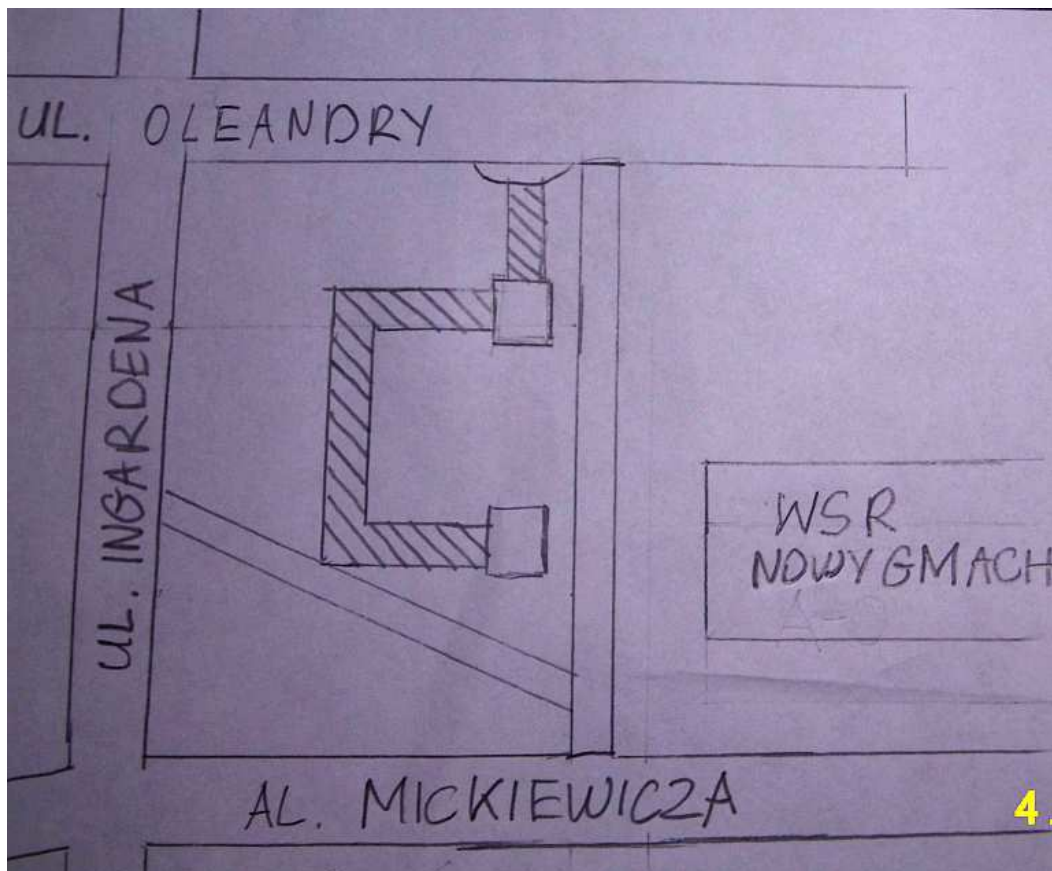
Ogródki, w tym nasz usytuowany jakieś 100 metrów od ulicy Reymonta niedaleko jezdni alei Mickiewicza, zostały zniszczone w trakcie budowy gmachu nowego „Wysrołu”, która rozpoczęła się na przełomie lat 50/60 i trwała niecałe pięć lat. W trakcie robót ziemnych wzdłuż końcowego odcinka ulicy Krupniczej (dziś Ingardena) odsłoniły się podziemne tunele tworzące sieć korytarzy, z trzema do nich włączami. Nie były one z pewnością pozostałością po forcie rdzenia (pierwszego pierścienia) Twierdzy Kraków, który kiedyś był zlokalizowany w okolicy dzisiejszej Biblioteki Jagiellońskiej (Bastion I 1/2), a jego resztki ponoć jeszcze trwały w latach 50-tych, ale z dużym prawdopodobieństwem stanowiły pamiątkę po niemieckim schronie przeciwlotniczym (nr 32 - "Oleanderstrasse vor der Schule"), zlokalizowanym w bliskości siedziby rządu Generalnego Gubernatorstwa, który mieścił w gmachu AGH. Informację tę przekazał mi Mariusz Bembenek, znawca Twierdzy Kraków. Podobne tunel, czy jak kto woli bunkier, znajdował się przy ulicy Wygoda, która jest usytuowana pomiędzy aleją Krasińskiego, a końcowym odcinkiem ulicy Retoryka i biegł on w kierunku pasa zieleni pod w/w fragmentem alei.



Fot. nr 258 (258-259). Pod tym trawnikiem zapewne kryje się schron przeciwlotniczy nr 32- "Oleanderstrasse vor der Schule". Być może prowadziły do niego dwa kwadratowe włązy od strony nowego gmachu „Wysrołu”, które pospołu z korytarzami zostały zasypane gdzieś w latach siedemdziesiątych XX wieku oraz szczelina przy krawędzi dzisiejszej ulicy Oleandry. Wygląda na to, że tunel mógł dalej bieć w kierunku Parku Jordana. (07.01.2012)



Fot. nr 259. A tu widok z naroża ulic: Ingardena i Oleandry. (27.06.2011)



Fot. 260. Mój odręczny szkic przebiegu korytarzy schronu, w których często bywałem na początku lat 60-tych zanim otwarty nie został nowy gmach „Wysrołu”.

Nie trzeba mówić jaką frajdę zgotował los pobliskiej dzieciarni. Przez te parę lat, aż do momentu oddania do użytku gmachu WSR, powszechnie prześmiewanego jako nowy „Wysroł”, kiedy to tunele zasypano, miejsce to było ulubionym placem zabaw w różnego rodzaju podchody i wojny. Każdy ich uczestnik musiał zdać egzamin dojrzałości, przechodząc samotnie w ciemnościach cały dostępny odcinek podziemnych korytarzy w kształcie trzech boków prostokąta, zalegający na przestrzeni między obydwooma głównymi wjazdami o kształcie kwadratu, z dwoma skrętami pod kątem prostym pośrodku, razem może więcej niż 100 metrów. Nie było to łatwe, ale przecież nie można było sobie pozwolić na przydomek tchórza i z wielkim strachem, choć z duszą na ramieniu, trzeba było pokonać te mroczne, chłodne i wilgotne kazamaty. Z czasem ich topografia była mi znana na pamięć. Na trawniku w sąsiedztwie bunkra leżało wielkie, rozłożyste drzewo, powalone przez wichurę, które służyło do zabaw w piratów, samo będąc okrętem. Po jego grubych gałęziach nie było się łatwo poruszać, za to można było się na nich huścić, choć czasem wymagało to ekwilibrystycznych umiejętności, ale zapatrzeni w film: „Karmazynowy Pirat” czuliśmy się jak piraci i nie zważaliśmy na niebezpieczeństwa. Pamiętam jak w rolę kapitana statku wcielił się Mikołaj Kornecki, kolega mego brata z klasy, a obecnie znany architekt, konserwator zabytków, społecznik i były wieloletni przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa. Na otwarciu gmachu drzewo zostało usunięte i tak skończyły się ekscytujące zabawy.



Fot. nr 261. Mikołaj Kornecki – fragment szkolnej fotografii z jesieni z roku 1960 lub 1961.

A pomyśleć, że jeszcze przed 1960 rokiem były tu pięknie zagospodarowane, urocze ogródki działkowe, wykorzystujące żyzną ziemię dawnych rozlewisk Rudawy, z efektownymi drewnianymi altankami, siecią wewnętrznych ścieżek, z których „główne arterie” były wyłożone płytami chodnikowymi. Ten stan sprzed zniszczenia do dziś majaczy mi się na dnie pamięci, bo i my mieliśmy tu uroczą działeczkę. Nie zapomnę jak zbiegałem tu główną alejką po lekko nachylonych, szerokich schodach, nieco w dół w kierunku Parku Jordana. Mama, sama zajęta pracą przy grządkach, nie bała się puścić nas samopas, bo na działce nic nam nie groziło, co najwyżej mogliśmy zabłądzić bądź stłuc kolano na płytach chodnikowych głównej alei, wszak boczne odnogi były już polnymi drózkami.

W trakcie budowy nowego gmachu „Wysrołu”, co miało miejsce w latach 1960-64, teren dawnych ogródków działkowych został rozkopany, a wzdłuż ulicy Reymonta powstały wysokie nasypy ziemne i głębokie doły na wapno. Na terenach dawnych działek przylegających do placu budowy przez długie miesiące porastały chaszczce i w tym czasie miejsce to stanowiło znakomite, bo bliskie miejsce do harców i zabaw dla dziatwy szkolnej. Oj nabawił się tu niejeden z nas w różnego rodzaju wojny czy podchody i pobudował w okolicznych zaroślach różnego rodzaju „obozy warowne”. A trzeba zaznaczyć, że w tym czasie równocześnie prowadzona była budowa nowego gmachu UJ przy ulicy Reymonta 4, chyba wtedy Biologii czy Fizyki, w sąsiedztwie Jordana, więc przylegający do obu placów teren długo miał charakter dzikich ugorów, co nam bardzo pasowało, bo był dla nas swoisty „dziki zachód”, gdzie wyobraźnia dziecięca podpowiadała różne warianty zabaw i szaleństw.

Pamiętam jak bodaj w zimie 1962 roku, kiedy na ścieżce wiodącej od alei Mickiewicza ku placowi budowy nowego Wysrołu wyslizgaliśmy długą, lodową „szlaję”, Piotrek Kaniewski (Kanior) podczas szaleńczych szusów upadł tak nieszczęśliwie, że na stłuczonym obok szkle przeciął sobie tyłek i musiał go, w towarzystwie ojca, zszywać na Pogotowiu, które w tym czasie mieściło się jeszcze na początku ulicy Siemiradzkiego. Początkowo wyglądało to śmiesznie, ale gdy szybko pojawiło się krwawienie nie było już tak wesoło.

Tu na terenach sąsiadujących z Parkiem Jordana, naprzeciw drewnianego budynku gospodarczego, który przez ogrodzenie sąsiadował z nowo wybudowanym budynkiem fizyki UJ spod nr 4, znajdującym się naprzeciw studium WF AGH na ulicy Reymonta 7, w lecie 1966 roku grupa kolegów szkolnych z kamienicy pod nr 16: bracia Hajosowie (Kazek, Staszek i Krzysiek), Bogdan, młodszy z braci Ryndziewiczów i Leszek Filipowski, blisko związanych z Jackiem Gędkiem, który pewnie z racji wieku był ich „guru”, wykopała i urządziła sobie ziemiankę na co najmniej 10 osób i tu założyła swój letni obóz. Był to głęboki wykop w terenie, może nawet na dwa metry, przykryty potem parą drzwi, a następnie zasypanych od góry ziemią, z zamaskowanym, niewielkim włazem zakrytym gałęziami. Po jakimś czasie, po osobistym zaproszeniu przez Jacka i ja dołączyłem do tej „paczki”, z którą obozowałem przez jakieś dwa tygodnie, podpalając pod ziemią papierosy. Niestety pewnego dnia przegnał nas stąd plantowy z sąsiedztwa i pod groźbą nakazał zasypać podziemny schron. Może i dobrze, że taki był koniec tej krótkiej, obozowej przygody, bo dłuższy tu pobyt groził popadnięciem papierosiany w nałóg, jakiemu wkrótce uległ Jacek. Mnie udało się jakoś oprzeć temu nałogowi i to przez całe życie, gdyż jako młodzian uprawiałem sport i nie pasowało wtedy palić, a potem byłem już za mądry. Już będąc na studiach zadawałem z samymi kopciuchami, a po nocnych sesjach brydżowych, często dodatkowo suto zakrapianych, wracałem do domu okropnie przecuchnięty dymem i śmierdziałem jak nałogowy palacz, po czym mieszkania długo nie można się było wywietrzyć, ale nałogowi nie uległem.

Pod wpływem Jacka Gędłka próbowałem też palić fajkę, która w ustach palących ją „kopciuchów, m.in. w świecie filmu, wyglądała całkiem ciekawie, więc i ja dokonałem takiego zakupu, choć był to w sumie dość spory wydatek, bodaj kilka złotych, ale czego to nie robiło się dla szpanu. Dym z fajki posiadał dla mnie bogatszy aromat w stosunku „dymka” z papierosa, a tytoń: „najprzedniejszy” i nieco tańszy „przedni”, był w pospolitej sprzedaży, w torebkach, w kioskach Ruchu. Cudownie pachnąca Amphora była bardzo droga i dostępna bodaj tylko w sklepach PEWEX-u. Rozpalanie fajki nie było wcale łatwe, bo tytoń trzeba było dodatkowo umiejętnie ugniatać, a ponadto dym okazał się mdły i piekący, więc była to krótkotrwała przygoda i nawet Jacek szybko się zniechęcił. Po mnie fajkę przejął bodaj Gruby, ale i on nie miał do niej cierpliwości.

Otwarcie gmachu odbyło się w lecie 1964 roku, w 600-lecie powstania Uniwersytetu Jagiellońskiego, kiedyś Akademii Krakowskiej i w tej uroczystości uczestniczyli wszyscy najważniejsi przedstawiciele władz partyjnych i państwowych PRL, m.in.: Władysław Gomułka, Józef Cyrankiewicz i Zenon Kliszko. Z grupą kolegów z klasy akurat szliśmy grać w piłkę na Błonia, gdy ulicą Krupniczą, dziś Ingardena, obok nowego gmachu WSR spacerowali w/w notable w licznej asyście miejscowych towarzyszy, jeszcze z I sekretarzem KK partii Lucjanem Motyką na czele, którego już niebawem miał zastąpić Czesław Domagała, choć przed oczami rysuje mi się postać tego drugiego, w jego charakterystycznych okularach na nosie, ale pewnie się mylę bądź, co mało prawdopodobne, to wydarzenie miało miejsce rok później.

Tu warto przypomnieć, że towarzysz Domagała został przywieziony do Krakowa w tzw. „teczce” i zastąpił Lucjana Motykę dopiero na samym początku 1965 roku. Grupie dygnitarzy towarzyszyli liczni dziennikarze z prasy, radia i telewizji, a ja wówczas jedyny raz w życiu miałem możliwość przyjrzeć się tej partyjnej świcie z najbliższej odległości, bo przechodziliśmy obok nich dosłownie o kilka metrów. Choć zasługi Motyki dla miasta były niepodważalne, to jednak w opinii KC PZPR miał być ponoć „za mało partyjny” i zasługiwał na wymianę, co nie zmienia faktu, że w tym właśnie czasie został on mianowany na Ministra Kultury, który to urząd pełnił do 1971-go roku. Była to fatalna roszada, wszak Domagała, lokalny aparatczyk z kieleckiego i typowy prowincjusz, próbował się tu szarogęścić, a jego niektóre pomysły, jak choćby koncepcja zabudowy Błonia, przejdą do kanonów ludzkiej głupoty, na szczęście nigdy niezrealizowanych.

W nowym gmachu „Wysrołu”, gdzieś w przyziemiu od strony sali gimnastycznej, zamieszkał dozorca o imieniu Staszek, mężczyzna w wieku 38 lat, z którym Jacek szybko nawiązał kontakt i poufale przezwał go Kubą. Ja nie chciałem się z nim zanadto zadawać, bo miał on jakieś dziwne ciągotki do młodych chłopców, czym od razu mnie zraził. Obok Kubę zamieszkał tam też starszy już człowiek, jakiś pracownik gospodarczy, pospołu z dość liczną rodziną, który szybko został przezwany „Miszko”. Wcześniej Kuba, gdy pokazał go nam pewnego razu, powiedział: „on tu miszko”, po czym wskazał na miejsce, gdzie znajdowało się jego półpiwniczne mieszkanie i tak został on „Miszkiem”.



Fot. nr 262. Relikt zabudowy Kawiorów sprzed pół wieku – podmiejski domek Tobołów z ulicy Miechowskiej 7, w którego lewej części mieszkała Stanisława Hablowa, ciotka mego ojca, ze swą trzypokoleniową rodziną. Były to typowe dzieci Kawiorów, w którym to przysiółku, zlokalizowanym wokół ulic: Reymonta, Miechowskiej i Kawiorów, wszyscy się świetnie znali i żyli swoim podmiejskim życiem. Stara zabudowa trwała tu do początku lat 60-tych, kiedy przy ulicy Czarnowiejskiej, na styku z ulicami: Misjonarską i Chocimską, zaczęły powstawać pierwsze wieżowce. (10.02.2009)

Miasto praktycznie kończyło się na wysokości ulicy Miechowskiej i Kawiorów, dokąd dochodziły akademiki AGH zwane potem przez studentów „slumsami”, które mieściły się wzdłuż ulicy Reymonta, naprzeciw Parku Jordana i Młodzieżowego Domu Kultury. A dalej: od stadionu Wisły w kierunku Bronowic i na obszarze na prawo od ulicy Reymonta, aż po ulicę Dzierżyńskiego, ciągnęły się jeszcze pola uprawne i łąki Czarnej Wsi. Ulice: Miechowska i Kawiorów w zdecydowanej większości miały jeszcze zabudowę przedmieść, z niskimi parterowymi domkami i kurnymi podwórkami. Tam gdzie dziś stoją domy studenckie: Babilon i Olimp, kiedyś rozciągała się rozległa łąka, na której gdzieś na początku lat 60-tych bywaliśmy razem z mamą i tutaj z wykorzystaniem dużego, dzieciennego samochodu, którym woziliśmy się sami, bawiliśmy się w żniwa. Nasza mama potrafiła powiązać źdźbła dorodnej trawy w okazałe snopki, które transportowaliśmy do wykopanej w ziemi nory imitującej stodołę. Iluż krakowian wypoczywało tu w słoneczne, niedzielne popołudnia tak przecież niedaleko od centrum miasta! Jak zielone było wówczas to zachodnie przedpole Krakowa i by wypoczywać nie trzeba było nawet przekraczać ulicy Piastowskiej.

Natomiast na lewo od ulicy Reymonta, na obszarze między dzisiejszą ulicą Chodowieckiego, ulicą Piastowską, a osiedlem domków jednorodzinnych w Cichym Kąciku, zwanym w tym czasie „złodziejówką”, po ulicę Piastowską rozciągały się ugory porośnięte chaszczami. Podobno wcześniej urzędowali tu Cyganie, ale ja już tego nie pamiętam. Tutaj czasami zapuszczaliśmy się z Jackiem Gędkiem, gdyż było tu odludnie i cicho. Przypadkowo poznaliśmy tu starego Cygana, okazującego nam sympatię, który paląc niepostrzeżenie ognisko piaskował przy nim na gorąco swoje patelnie, którymi później handlował na targowiskach i było to stare, z czasem zanikające zajęcie cygańskie.

Spod hali Wisły, wtedy prawie nowej, można było, niejako na skrót, dojść do alei 3-Maja. Niedaleko tego gmaszyska, jakieś 100 m w kierunku ulicy Piastowskiej, w sąsiedztwie dawnej strzelnicy sportowej stał parterowy, choć murowany baraczek, stanowiący hotelik klubowy. Tu mieszkali młodzi wiślaccy sportowcy, tzw. narybek, zwerbowani do klubu. Strzelnica sportowa stała w miejscu, gdzie dziś znajduje się hala treningowa i funkcjonowała do końca lat 70-tych. Była bazą dla dobrej sekcji strzeleckiej Wisły, która długo liczyła się w kraju. Niecałe 50 m od wspomnianego baraczku zlokalizowany był śmietnik, a więc warunki mieszkalne nie były tu najwyższej jakości i tutaj wyrzucano m.in. zepsute świetlówki z hali sportowej. Gdzieś w 1967 roku wypatrzyliśmy to miejsce z Piotrkim Kaniewskim, „Kaniorem”, kolegą z klasy i tu urządziliśmy sobie „strzelnicę”, bo jak wcześniej sprawdziliśmy, zepsute świetlówki uderzone o ziemię wybuchały z głośnym hukiem. Ileż tu było tych świetlówek, a więc i świetnej zabawy, bo nikt nas stąd, o dziwo, nie przeganiał, a może co bardziej prawdopodobne mieliśmy sporo szczęścia, że nikt z niezwykle gorliwych wiślackich stróżów tu nie zaglądał. „Zapasy” były co jakiś czas uzupełniane, a my dbaliśmy wtedy, by każdy egzemplarz zamienić w zgliszcze, co działo się pośród naszego szelmowskiego rehotu. W ogóle z tego „Kaniora” był wyjątkowy „jajczarz” i przez dwa lata naszej bliższej przyjaźni nieraz nabroiliśmy, na szczęście nie za groźnie, choć czasem dokuczliwie.

Tu na strzelnicy bodaj w 1969 roku, gdy byłem w drugiej klasie TE, w ramach tzw. PO (Przysposobienie Obronne), pod nadzorem Zdzisława Rozwadowskiego, naszego szkolnego wojaka i oryginała do n-tej potęgi, do którego, jakże celnie, przyłgnęło przezwisko „Szwejk”, odbyliśmy próbne strzelanie. Było tu z piętnaście stanowisk strzelniczych zakończonych tarczami, odległych o jakieś 50 m od tarcz. Jednak po otrzymaniu prawdziwego karabinka podniecenie było tak wielkie, że część uczniów mojej klasy, w tym i ja, strzelała nie do swoich tarcz, lecz sąsiadów. W efekcie Janusz Goła, mój kolega z sąsiedztwa, miał świetny wynik, choć śladów na jego tarczy było więcej niż danyh mu naboju, a ja zero i niezły był potem ubaw. Dziś młodzież nie ma sobie nawet gdzie kulturalnie postrzelać, bo i strzelnica na Woli już dawno została zrównana z ziemią.

Obok owego klubowego baraczkę, a następnie wzdłuż obrzeża strzelnicy wiodła ziemna droga, którą dochodziło się do stojącego do dziś przedwojennego budynku klubowego, usytuowanego na skraju boiska treningowego piłkarzy Wisły. Boisko to drugą krawędzią graniczyło z ulicą Chodowieckiego, która biegła skrajem „złodziejówek” (nazwę wielokrotnie słyszałem z ust mojej mamy i wielu jej znajomych, więc ją powtarzam). Dalej droga ta, wysypana już wapiennym żwirkiem, prowadziła prosto wzdłuż wspomnianego boiska Wisły, a dalej w kierunku Błonia. Po lewej stronie mijala stadion lekkoatletyczny z kortami tenisowymi, a po prawej kolejno: boisko treningowe piłkarzy Cracovii i przylegające do niego baseny kąpielowe, też należący do tego klubu. Na granicy boisk treningowych obu klubów drogę przegradzała metalowa brama, na ogół otwarta, która widać oddzielała tereny odwiecznych rywalek: Wisły i Cracovii, dzierzawione wieczyście od miasta od końca lat 30. XX wieku.

Z boiska treningowego Cracovii nikt nie przeganiał, toteż nieraz można tam było sobie pokopać w piłkę, inaczej niż na boisku Wisły. To zawsze było pilnie strzeżone przez starszego, fanatycznego dozorcę, przed którym ciężko było uciec, bowiem takie miał „chody”. Ten szpakowaty, niski jegomość, mieszkający we wspomnianym, przedwojennym budynku klubowym, pilnował też dostępu do stadionu przed meczami piłkarskimi i był postrachem młodzieży, która próbowała przedostać się tam za darmo i czyniącej desanty przez siatkę. Wspomniana wyżej droga kończyła się bramą wychodzącą na tory tramwajowe, które biegły aleją 3-Maja. Była to dawna brama wejściowa na stadion lekkoatletyczny i po obu jej stronach znajdowały się murowane budki (kasy), gdzie kiedyś były sprzedawane biletów na imprezy sportowe. Za mojego życia były czynne tylko raz, podczas meczu lekkoatletycznego Polska – Włochy, który odbył się tutaj na jesieni 1963 roku. Nieraz tą drogą skracało się dystans między Błoniami, a ulicą Reymonta i Parkiem Jordana i wtedy też chodzili niektórzy sportowcy Wisły od tramwaju do hali przy ulicy Reymonta, wszak wtedy jeszcze nie każdy z nich miał samochód i „ciężką kasę”, np. nieraz widywałem przechodzącego tędy Wiesława Langiewicza, sławę wiślackiej koszykówki. Dziś w tej okolicy wiele się zmieniło, drogę przegrodzono i zamknięto, a stare bramy i dawne kasy zostały rozebrane bądź straszą ruiną. Dziś jest tu inny świat: baseny znikły bezpowrotnie, a na terenie dawnego stadionu l.a. powstał gigant mieszkaniowy pod nazwą Błonia Park. Nasi dziadowie i pradziadowie, którzy przed II wojną światową zafundowali nam ten wspaniały kompleks sportowo-rekreacyjny, chyba przewracają się w grobach.

Tu widać jak na dłoni jak niszczycielską moc mogą mieć pieniądze i lokalne układy. Czarny scenariusz spełnił się szczególnie na terenie dawnego stadionu lekkoatletycznego za sprawą skomplikowanych, ale skutecznych do bólu zabiegów dewelopera, co śmiało można nazwać przekrętami. Teren sportowo-rekreacyjny w ciągu kilku lat przemienił się w betonowe blokowisko, a stylowe budynki dawnych szatni i boisko w kształcie amfiteatru zostały wyburzone, podobnie jak już wcześniej dawna trybuna.



Fot. nr 263. Zrujnowane wejście na dawny, pochodzący z końca lat międzywojennych, lekkoatletyczny stadion miejski, który po II wojnie światowej był w wieczystym użytkowaniu Cracovii – widok od strony alei 3-Maja. (10.03.2010)

Za ulicą Piastowska w kierunku Mydlnik rozciągała się już wieś. Od wału Rudawy po ulicę Dzierżyńskiego dominowały ogródki działkowe, a jeszcze dalej w kierunku Woli Justowskiej: pola uprawne, poletka warzywne, sady, łąki i bagna; te ostatnie stanowiły pamiątkę po starym korycie Rudawy, jej odnogach i dawnych jej rozlewiskach. Sielski charakter posiadała ulica Mydlnicka, wówczas wiejska droga biegnąca w pobliżu wału Rudawy, a także ulica Zarzeczce, po części pamiątka po Młynówce Królewskiej. Wokół koryta dawnej Młynówki wciąż rozciągało się sporo pól uprawnych Bronowic Małych i wówczas nikt jeszcze nie przypuszczał, że już za dekadę powstanie tu wielkie Osiedle Widok. W tym czasie podmiejski charakter w swej dalszej części miała jeszcze ulica Wrocławska i częściowo Kazimierza Wielkiego, gdzie po obu ich stronach dominowały słynne kiedyś ogrody warzywne: Czarnej Wsi i Nowej, Łobzowa oraz Krowodrzy, a nowa zabudowa mieszkalna póki co wdzierała się tu bardzo powoli.

Pamiętam naszą daleką wyprawę w tym kierunku, na wiosnę 1965 roku, kiedy szliśmy od Parku Krakowskiego, poprzez ulicę Dzierżyńskiego, Zarzeczce, koło stadionu Bronowianki, gdzie obejrzelśmy A-klasowy mecz piłkarski, po stację kolejową w Mydlnikach, skąd wróciliśmy pociągiem do Krakowa. Od ulicy Piastowskiej zabudowa miała charakter przedmieścia, a od stadionu do samej stacji w Mydlnikach, po obu stronach drogi dominowały pola uprawne. Zresztą ta podróż pociągiem była moją pierwszą w życiu tym środkiem lokomocji i stąd pewnie tak dobrze zapamiętałem tę cudowną, wiosenną wycieczkę.



Fot. nr 264. Nieistniejąca już chałupa z ulicy Królowej Jadwigi 96, która znikła pod koniec roku 2009.



Fot. nr 265. „Perła Zwierzyńca” z ulicy Królowej Jadwigi 120, która została rozebrana na początku roku 2010.

Podmiejski charakter na całej swojej długości: od Salwatora, po Wolę Justowską, posiadała też ulica Królowej Jadwigi, z całą plejadą cudownych, drewnianych, wiejskich chałup, często kolorowo malowanych bądź bielonych, które drzemały przycupnięte po obu jej stronach. Również na samej Woli dominował jeszcze podobny typ zabudowy, jednak tutaj w czasach powojennych wybudowano już sporą ilość murowanych domków jednorodzinnych. Z czasów przedwojennych pochodziło kilka znanych obiektów: strzelnica, restauracja Sielanka, cukiernia obok Parku Decjusza i kilka willi w różnych jej punktach, w tym przy ulicy Jesionowej. Okolice te wyjątkowo dobrze znała moja mama, która dostała się tutaj prosto z rodzinnego domu w Podolanach, co nastąpiło w roku w 1929 roku, wnet po śmierci matki i pracowała tu przez rok, początkowo za niańkę przy bodaj trzyletnim Zbyszku, dziecku szwagierki Rudolfa Wojasa, młynarza z Podolan, w domu butnych Setkowiczów przy ulicy Jesionowej 12, później zaś jako pomoc przy plewieniu poletek warzywnych u Golonków, bezdzietnego małżeństwa miejscowych ogrodników, którzy wkrótce przygarnęli ją i zaczęli traktować niemal jak własne dziecko, bo widzieli jaka tej bezbronnej sierocie działa się jej krzywda. Wkrótce, w 1930 roku, wyjechała do z nimi na stałe Rabki i tam spędziła czas do 1932 roku, kiedy znów powróciła do Krakowa, do kamienicy Gawłów i Beigertów przy ulicy Łobzowskiej 23, bo Golonkowie byli już za starzy, by ją utrzymać. Z jej ust płynęły wtedy opowieści o wyglądzie Woli w tych czasach i wyprawach do Krakowa na miejskie targowiska, których trasa wiodła przez drewnianą ławę, a dalej wzdłuż wału Rudawy do krakowskich targowisk, z których najczęściej wymieniała plac Szczepański.



Fot. nr 266. Dawny dworek Setkowiczów z ulicy Jesionowej 12, dziś odrestaurowany. W czasach mojego dzieciństwa i młodości ten drewniany z wierzchu obiekt był mocno zaniedbany. W 1929 roku przez kilka miesięcy mieszkała tu moja mama. (19.12.2008)

Spacery w te strony często zaczynały się w Cichym Kąciku, a dalej trasa wiodła obok ogródków działkowych nad Rudawą, usytuowanych wzdłuż ulicy Mydlnickiej, do dawnego jej rozwidlenia przy ostrym zagięciu tej ulicy, by już brzegiem rzeki dotrzeć do drewnianej ławy, wówczas mocno podniszczonej, z niepewnymi poręczami i częściowo łatanym spodem. Ława, czyli drewniana kładka, zwana też przez miejscowych „czerwonym mostkiem”, łączyła brzegi Rudawy na wysokości ulicy Ludmiły Korbutowej (cóż to była za ulica, raczej wyboista, droga wiejska) i skracała drogę z Krakowa do Starej Woli, kiedyś masowo uczęszczaną.



Fot. nr 267. Dawna, sielska sceneria na zagięciu ulicy Mydlnickiej, w sąsiedztwie dawnego jazu, gdzie znajdowała się ogrodnicza osada – widok z wału Rudawy. (10.02.2009)

Dalej przechodziło się na drugi brzeg rzeki i trasa w kierunku Lasu Wolskiego wkrótce prowadziła obok domu, gdzie kiedyś mieszkała, który był usytuowany przy ulicy Jesionowej 12, niedaleko brzegu rzeki, a następnie drogą obok cukierni przez Park Decjusza do ulicy Kasztanowej, której przedłużenie wiodło na skraj Lasu przy starym kościółku i Wesołej Polanie będącej wówczas wielką łąką. Sam Park został w zasadzie przystosowany do użytku publicznego dopiero w połowie lat 60-tych i w tym czasie wybudowano tu też muszlę koncertową, gdzie odbywały się „ubawy” w rytm bigbitowej muzyki bardzo popularne pośród nastolatków, a pamiętam, że m.in. koncertowali tu „Weseli Chłopcy”. W samym Pałacu Decjusza, dość mocno zaniedbanym, w tym czasie znajdowało się sanatorium przeciwgruźlicze. Wycieczka ta była więc w zasadzie sentymentalną podróżą po czasach jej nieszczęśliwej młodości.

W drodze powrotnej, jeszcze na Woli często odwiedzaliśmy znanego jej ogrodnika, który miał szklarnię przy ulicy Cisowej, gdzie mama kupowała pomidory. Jak wiele się wtedy napatrzyłem na te cudowne podmiejskie krajobrazy. Później już tylko z mamą, bo w bracie mamie nie udało się jej zaszcześcić bakcyła podróżnika i włóczykija, a później jeszcze z córką, wielokrotnie przechadzaliśmy się po tych stronach, za każdym razem odkrywając nowe ich piękno, wszak do końca lat 80-tych zmian ciągle było tu niewiele.

Ileż ja zawdzięczam tej styranej przez życie kobiecie, wielokrotnie niesprawiedliwie pokrzywdzonej przez los, a mimo to zawsze tak pogodnej, wrażliwej i jakże życzliwej dla ludzi. Umiała jak mało kto dostrzegać wszelkie wcielenia piękna: od zapachów pól i lasów, przez śpiew ptaków i szum wody, po widoki wiejskich, wydawałoby się nieciekawych krajobrazów. Ja tym wszystkim od dziecka przesiąkałem i dziś w pełni zdaję sobie sprawę, jak wiele przejąłem z jej filozofii życia. To ona nauczyła mnie żyć na luzie, bez przesadnie wygórowanych aspiracji życiowych i odnajdywania rzeczy pięknych w najbliższym otoczeniu. Jakże niesprawiedliwe było zrządzenia Boga, który przy końcu życia „obdarował” ją straszną chorobą Alzheimera, która całkowicie wyzuła ją z człowieczeństwa i skróciła jej życie, wszak drogą przez mękę i heroiczną postawą życiową na pewno na to nie zasłużyła.

W dni powszednie najczęściej odwiedzaliśmy Park Jordana i Błonia. Do Parku mieliśmy blisko, ledwie z trzysta metrów. W tym czasie był on bardziej dziki niż ten dzisiejszy, więcej było w nim zarośli, zwłaszcza na jego obrzeżach, które sprzyjały gromadzeniu się w nim drobnej chuliganerii. Wchodziliśmy najczęściej od strony ulicy Reymonta, przy domu studenckim Nawojka. W pobliżu wejścia stał kiedyś wielki dąb, z którym wiążą mnie dwa wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa. Pierwsze z nich, chyba najwcześniejszy zapamiętany przeze mnie kadr mego życia, gdy miałem może ze dwa lata, to właśnie konary tego wielkiego drzewa widziane z wózka w pozycji leżącej.

Drugie wspomnienie jest bardziej przykre. Otóż bawiąc się tu pod dębem, może jako pięciolatek, bo zdarzenie to miało miejsce już po śmierci ojca, zostałem tak mocno wystraszony przez wielkiego psa, chyba boksera, że początkowo z płaczu nie mogłem złapać oddechu, a potem przez pół roku jąkałem się, nie mogąc wypowiedzieć zdania. Nie pomagały żadne terapie lekarskie i dopiero moja kochana mama, ze swoim spokojem i cierpliwością pomału zaczęła ćwiczyć ze mną wymowę i po roku jakoś udało się przezwyciężyć słowną niemoc. Ale ile naśmiali się ze mnie, jąkały, starsi koledzy z kamienicy, pamiętam po dziś dzień, choć pewnie czynili to bezwiednie.

Obok drugiego wejścia do parku, naprzeciw dzisiejszej studenckiej stołówki, a więc dawnego Domu Socjalnego, wtedy jeszcze nieistniejącego, znajdowała się ubikacja, a dalej plac zabaw dla dzieci, którego wyposażenie stanowiły: półkolista piaskownica, półokrągły basenik, dwie wahliwe huśtawki w kształcie łódek i kilka zwykłych, gdzie odbijało się własnymi nogami, blaszane zjeżdżawki, drabinka do wspinaczki i szutrowy placyk do jazdy na rowerze.

W sąsiedztwie ulicy Reymonta, na styku z owym placykiem stał zadaszony pawilonik w stylu ogrodowej altany, który stanowił cenne zabezpieczenie przed niespodziewanym deszczem. Nawiasem mówiąc stoi on do dzisiaj, tylko nieznacznie przebudowany. W piaskownicy, z nieodłącznym wiaderkiem, łopatką i różnego rodzaju foremkami, stawiałem, podobnie jak inne bobasy, różnych kształtów piaskowe „torty”, a w tym czasie mama siedziała sobie spokojnie na pobliskiej ławeczce i w cieniu odpoczywała lub raczej wykonywała jakieś robótki domowe, np. cerowała dziurawe skarpetki bądź spodnie. W lecie nieocenioną przysługę przynosił mały, betonowy basenik z tryskającymi z jego krawędzi strużkami wody, które wiatr rozpylał na cieniutką mgiełkę i to tu ambitnie pływałem „po warszawsku”, czyli brzuchem szorowałem dno basenu. Na huśtawkach w kształcie łódek za złotówkę można się było ostro pobujać przez dziesięć minut, ale huśtanie nie za bardzo mnie pociągało, bo niestety nie mogłem tego robić zbyt długo ani szybować za wysoko, wszak wnet robiło mi się niedobrze. Natomiast mój brat bujał się do granic możliwości huśtawki, nieraz wywołując przerażenie mamy, a ja z konieczności byłem zmuszony przyglądać się jego popisom.



Fot. nr 268. Basenik w Parku Jordana, gdzie odbywałem swoje pierwsze w życiu kąpiele.

Z tyłu placyk do jazdy na rowerze i Dom Kultury, a z prawej altana.

Widok od strony niewidocznej piaskownicy. Zdjęcie z książki Zieleń Krakowa – WL 1955.

Na szutrowym placu zabaw nieraz odbywały się też sprinterskie wyścigi z rówieśnikami bądź co bardziej odważnymi rówieśnikami. Biegało się, czy jak to się wtedy mówiło: „wyścigowało”, do utraty tchu, a sygnałem do startu była wypowiedziana przez któregoś z nas komenda: „do bieguuuu, gotowiiiiii - start”. Nieraz taka gonitwa kończyła się bolesnym upadkiem, zakończonym obdarciem naskórka z kolana, a potem w domu konieczny był starsznie nie lubiany zabieg jakim było czyszczenia rany wata i szczypiącą, a na dodatek burzącą się wodą utlenioną, która tym mocniej szumiała, im bardziej zabrudzona była rana. Ale nawet te częste upadki nie zniechęcały do gonitw i harców, bo człowiek miał po prostu we krwi miłość do sportu, a ten był wspaniałą receptą na ruchową nadpobudliwość: moją i brata, wszak obaj mieliśmy podwyższone ADHD.

W skrajnej części pawiloniku mieścił się niewielki bufet, a w nim można było kupić: lody na patyku, lizaki, landrynki i napoje chłodzące. Podstawowym napojem była oranżada - landrynówka", sprzedawana w „krachlach” zamykanych na sprężysty zacisk z gumką. Na tyłach pawilonu, na granicy z domem kultury stała metalowa budka, z której za złotówkę można było wypożyczyć dziecinny rowerek i pojeździć nim przez 15 minut. Tu, na pobliskim szutrowym placu, na którym w lecie unosił się nieprzyjemny kurz, uczyłem się właśnie jeździć na rowerze, początkowo z pomocą mamy, która trzymała pojazd na długim kijku wetkniętym pod siodło. Ale ponieważ byłem pojętnym uczniem, więc po dwóch próbach jeździłem już sam, choć przez chwilę jeszcze z pomocą dwóch bocznych kółeczek doczepionych do tylnego koła. Jazda tak mnie pociągała i fascynowała, że potem, jeżdżąc już bez kółek, nie zwracałem żadnej uwagi na początkowe upadki i często ocierane kolana. Na pobliskim trawniku, o czym już wyżej wspomniałem, stały jeszcze metalowe zjeżdżawki wyszlizgane na połysk przez dzieciarnię i lśniące srebrnym kolorem blachy oraz drabinki do bardziej ekwilibrystycznej wspinaczki. Tu z początkiem lat 60-tych grało się jeszcze w popularne wówczas cerso, grę rodem z czasów galicyjskich, która polegała na wrzucaniu na długi patyk, który ktoś trzymał w pewnej odległości, różnokolorowych obręczy o zmniejszającej się średnicy. Na placu nie brakowało też młokosów grających w „zośkę”. Z kolei w zimie zamieniał się on w lodowisko dla dzieci, które tu uczyły się sztuki „holendrowania”. Ta dziecięca oaza była otoczona płotem z przyciętych krzewów, które wiosną pięknie kwitły i świerkowym laskiem. Sporo sprzętów z dawnego wyposażenia placu zabaw egzystowało przez wiele lat i jeszcze w latach 80-tych, gdy bywałem tu z córką, z wielkim sentymentem mogłem wspominać czasy mego dzieciństwa. Niedawno jednak został on całkowicie przebudowany zgodnie z duchem czasu. Teraz to już dla mnie inny świat.

Na początku lat 60-tych w parku nie było jeszcze miasteczka komunikacyjnego dla dzieci, które powstało dopiero po 1965 roku ani dużej górki do zjeżdżania, z położonym poniżej akwenem wodnym, bo te ostatnie obiekty powstały dopiero „za Gierka”, gdzieś w połowie lat 70-tych. Dawniej w ich miejscu rozpościerała się olbrzymia, zielona łąka, gdzie mamy rozkładały koce. Tu, na łonie natury, ich dzieci mogły bezpiecznie buszować po trawie czy kopać w gumową piłkę, wszak skórzane były wtedy dla wielu z nas zbyt drogim rarytasem, a za bramkę służyły dwie kupki z ubrań. Zwyczaj korzystania z takich słupków trwał na dobre jeszcze do lat 80-tych. Swoje zdolności piłkarskie podnosiło tu wtedy wielu dzieciaków, dla których kopanie w piłkę nigdy nie miało umiaru. Takie to już było pokolenie.

Wokół wypoczywających w Parku i na Błoniach stale krążyła „babka”, dla innych „babcia”, starsza pani z koszykiem pełnym pysznych obwarzanków, zwanych też w tym czasie „bajglami”, które podawała do ręki na cienkim patyku. Jeden taki smakołyk z piekarni na Kościuszki: z solą czy makiem, kosztował złotówkę, ale jego smak był niepowtarzalny. Może idealizuje się niekiedy czasy dzieciństwa, ale te obwarzanki: wspaniałe, miękkie i jasne, wykonane z bardziej ciągliwego ciasta, sprzedawane wtedy masowo przez „starsze babcie”, smakowały inaczej niż wiele z tych dzisiejszych bubli: bułowatych bądź twardych, a czasem spieczonych do granic możliwości, a przy tym z poskąpionymi dodatkami, bo dziś często się zapomina, że powinny być one wypiekane z parzonego ciasta. „Bajgle”, też popularne na meczach piłkarskich, były sprzedawane tam z kolei przez młodych chłopaków zatrudnianych przez firmę Krupińskiego, należącą do znanego działacza Cracovii o szlacheckiej urodzie, zwanego „Krupą”. Obok okrągłych „bajgli”, reliktu czasów galicyjskich, wykonanych z oplatanego, parzonego ciasta i posiadających kształt niewielkich obręczy, sprzedawano też „precle”; te z kolei były wytwarzane z kruchego ciasta w formie cienkich paluchów, dodatkowo formowanego w kształt ósemki, też z solą lub makiem. Dziś często miesza się te dwie nazwy i OBWARZANKI, kiedyś, pół wieku temu niesłusznie, bo tylko gwarowo zwane „bajglami”, nagminnie nazywa się „preclami”. Warto jeszcze wyjaśnić, że słowo „bajgle” było naleciałością lwowską, dotyczącą tamtejszego produktu, nie mającego nic wspólnego z obwarzankiem ani pod względem wyglądu, ani smaku, ale jak widać z czasem zostało ono przywleczone na krakowskie podwórko, w końcu też galicyjskie.

Po parku spacerowała też inna delikwentka, również starsza pani, czyli w młodzieżowym żargonie „babka”, też z koszykiem przewieszonym przez jedną rękę, która w drugiej dłoni trzymała długi, zaostrowany na końcu drut, ale ta z kolei zbierała do koszyka śmieci pozostawione na trawie i alejkach. Aby nie schylać się po każdy śmieć, najczęściej jakiś papierek, nabijała go na drut, by następnie odstawić go podręcznej „śmieciarki” i było to takie ręczne mini MPO. Sama praca była kiepsko płatna i nieprzynosząca chluby, ale zawsze coś można było dorobić do z reguły mizernej emerytury czy renciny.

Na początku lat 60-tych porządku w parku pilnowali tzw. „plantowi”, zwykle starsi panowie ubrani w zielonkawę uniformy i często trzymający w rękach patyczki dla temperowania chuligańskich zapędów nazbyt rozzuchwalonej młodzieży. Jednak i oni nie byli w stanie zapobiec niechlubnej tradycji z czasów PRL, jaką było ubijanie nosów z popiersi znanych Polaków, które były posadowione na kolumnach wokół alejek spacerowych utworzonych w sąsiedztwie pomnika Henryka Jordana. Chuliganie skutecznie działali w nocy, kiedy nikt tu nie sprawował ściślejszego nadzoru, a w razie „zagrożenia” skutecznie kryli się po pobliskich krzakach, które przez długie lata były liczne i gęste. Przetrzebianie parku tak na dobrą sprawę nastąpiło dopiero w latach 90-tych i wówczas stał się on bardziej przestronny, ale po tej akcji utracił wiele ciekawych krzewów i drzew, a przy okazji dawną intymność.

Przy wejściach do parku, zarówno od strony akademików, a więc w pobliżu placu zabaw, jak i w pobliżu Jordanówki, a więc od strony Błoń, stały wysokie na 2 metry ręczne hydranty, mechaniczne „studnie”. Te stylizowane, metalowe urządzenia pochodziły zapewne jeszcze z czasów galicyjskich. Obok ich korpusu gdzieś na wysokości metra był dostawiony szeroki, okrągły odpływ, który przymocowany był do podłoża na grubej, metalowej nodze. Za silnym pociągnięciem przymocowanej do korpusu, metalowej rączki, z wystającego nad zlewem ramienia studni, usytuowanego gdzieś na wysokości 1,5 metra, przez wystającą rurkę zaczynał się łać strumień wody. W upalne dni, nachylając lekko głowę, można było się z niej napić zimnej wody, co nieraz czynili rozgrzani do czerwoności piłkarze, którzy spragnieni przybiegali tu z pobliskich Błoń.

W Parku Jordana nie mogło oczywiście zabraknąć miejsc na boiska piłkarskie, bo roiły tu się wtedy od młodych adeptów piłki nożnej, tej najpopularniejszej wówczas dyscypliny sportowej. Dwa boiska z bramkami znajdowały od strony Reymonta, za placem zabaw i laskiem świerkowym, a następny duet w narożu Parku, w sąsiedztwie Domu Piłsudskiego i w bliskości starego domu, w którym urzędował dawny „parkowy” - pan Marek, ojciec Tadeusza, starszego o dwa lata kolegi z „szóstki”. Domek ten mieścił się w sąsiedztwie pierwszego wejścia do Parku od strony alei 3-Maja, na wysokości „Płachty” i „okrągłaka”. Tu, na nierównych boiskach, w sąsiedztwie starych drzew toczyliśmy zaciekle mecze piłkarskie pomiędzy klasami szkolnymi. Z kolei na boiskach od ulicy strony Reymonta, wspólnie z bratem toczyliśmy z kolei zacięte boje z okolicznymi chłopakami, z których zapamiętałem: Maxa Cisowskiego, późniejszego bramkarza Wisły i Cracovii oraz dwójkę braci Strzebońskich: starszego ode mnie Józka i mego rówieśnika Jurka. Bracia Strzebońscy, których był tercet, a ponadto mieli oni jeszcze młodszą siostrę, mieszkali w suterenie budynku Nawojki pod nr 11 i do domu najczęściej dostawali się przez okno, wprost z ulicy Reymonta. Ich matka świetnie znała się z Kopciową, więc i nasza mama wkrótce dobrze ją poznała.

Obok domu stróża parku, pana Marka (tak brzmiało jego nazwisko), po drugiej stronie głównej alejki spacerowej stał stary okrągłak, jeszcze drewniany, pochodzący z czasów powstania parku, a więc z końca XIX wieku (ten dzisiejszy przypomina go tylko kształtem). Wtedy to dr Henryk Jordan na terenach dawnego toru wyścigowego dla koni zakupił teren, który wyposażył w sprzęty wspomagające fizyczny rozwój młodzieży, wówczas nazbyt cherlawej. Pod koniec lat 60-tych ten charakterystyczny dla parku obiekt był już w stanie ruiny, a nowy, już bez dawnego zdobnictwa, powstał dopiero około 1975 roku. Zdarzyło mi się parę razy, razem z kolegami, buszować po dachu tego starszego budynku, kiedy czekał już na rozbiórkę, bo dobre kilka lat tkwił w fatalnym stanie.

Drugi z drewnianych budynków, wybudowanych kiedyś na terenie Parku, mieścił się na tyłach Collegium Witkowskiego UJ, a więc pomiędzy ulicami Reymonta i Krupniczą. Był to obiekt o charakterze gospodarczym, do którego między innymi zwożono siano z parkowych trawników, a także przechowywano sprzęt niezbędny do utrzymania czystości na jego terenie, a chyba nawet hodowano nawet jakiś drobny zwierzęcy przychówek.

To właśnie na tyłach tego obiektu, tuż za siatką graniczną, moi koledzy wykopali kiedyś podziemny schron, o czym już wcześniej wspominałem. W bliskości tego budynku rósł sobie dorodny okaz derenia, którego słodkimi owocami, choć delikatnie cierpkimi, rwanymi prosto z drzewa, zajadaliśmy się z „Grubym” na początku jesieni. Dziś po obu dawnych obiektach, zlikwidowanych w latach 70-tych: domu parkowego oraz budynku gospodarczym, pozostały już tylko wspomnienia.

W zaroślach parkowych dość obficie rosły też morwy oraz śliwy mirabelki i tam szkolna dzieciarnia mogła się uczyć się sztuki wspinania po drzewach. Z „Grubym” nieraz przesiadywaliśmy całymi godzinami na rozłożystych śliwach, obżerając się zerwanymi prosto z drzewa żółtymi smakołykami i spoglądając z góry na „łamagów”, bo ci bali się po nich wspiąć. „Gruby” pomimo swojej postury był wyjątkowo sprawnym fizycznie chłopakiem. Morwy rosły też przy dość wysokim murze zewnętrznym podwórka SP nr 12 przy ulicy Oleandry 4 oraz przylegającej do niej, przedwojennej willi spod nr 6, gdzie w ogródku często gospodarzył starszy pan zwany przez nas „Siwkiem”, który nas czasem przeganiał, gdy hałaśliwie buszowaliśmy po murku za owocami. Niełatwo się było tam wspiąć od strony Parku Jordana, ale dla wysportowanego młokosa nic wtedy nie stanowiło przeszkody. Jeden taki wypad zakończyłem upadkiem z gałęzi i niegroźnym kontaktem z gruntem ogródka, ale na szczęście dla mnie „Siwka” tam wtedy nie było i przy pomocy „Kaniora”, kolegi z klasy, z którym aktywnie przyjaźniłem się w ostatnich dwóch latach podstawówki, jakoś wygramoliłem się na powrót na murek. Strachu się jednak wtedy najadłem, bo incydent ten pozostał do dziś w mojej pamięci.



Fot. nr 269. Nieistniejąca już gdzieś od roku 2013 willa z ulicy Oleandry 6.

Utkwił mi w pamięci jeden epizod gdzieś z początku kwietnia 1965 roku, kiedy w długi już, wiosenny dzień, poszliśmy z mamą i bratem, a pewnie jeszcze z jakimś towarzyszem z okolicy, pograć do Parku w piłkę. Oczywiście była to piłka gumowa, wszak mamy nie było stać na skórzaną, ale duża i dobrze odskakująca od nogi. Graliśmy na rozległej polanie niedaleko akademików, zaraz za sosnowym laskiem. Mama jak zawsze zabrała ze sobą robótki: cerowanie skarpet, spodni i koszul i usiadła w cieniu rozłożystego dębu, które do dzisiaj ma się dobrze.

Był to piękny dzień, jakby bez końca, kiedy spragnieni ruchu po długiej zimie wreszcie mogliśmy poszaleć na suchej trawie, dodatkowo w ciepłe promieni słonecznych i wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi, że ta długa zima już nam nie będzie więcej dokuczać. Ilekroć przechodzę obok tego drzewa zawsze wspominam sobie ten dzień. Wtedy, w czasach beztrąsko płynącego dzieciństwa, gdzie czas sączył się jak woda przez gęste sitko, nikomu z nas nie mogło nawet przejść przez myśl, że kiedyś, w 2000 roku, przyjdzie taka wiosna, gdy na zawsze odejdzie z tego świata ta ukochana osoba i pozostawi po sobie niezmierną pustkę. Ale przypomina mi o niej to drzewo, ten niemy świadek przepięknych i wolnych od trosk, przynajmniej dla mnie, dni z czasów dzieciństwa.



Fot. nr 270. Zimowa sceneria Parku Jordana w sąsiedztwie ulubionego przez nas dębu (na zdjęciu poniżej). (10.03.2010)



Fot. nr 271. Dąb w Parku Jordana, w którego cieniu lubiła siadać moja mama. Do dziś niewiele się zmienił. (20.08.2012)

Mama uwielbiała przyrodę i przebywanie na łonie natury, a z kwiatów polnych szczególną sympatią darzyła niezapominajki i bławatki. Gdy te pierwsze ujrzała w lesie czy na łąkach, często recytowała ów wierszyk:

„Niezapominajki to są kwiatki z bajki.
Rosną nad potoczkiem, patrzą modrym oczkiem i tak mówią skromie:
nie zapomnij o mnie”.

Z bławatków i z białych koniczynek potrafiła wyplatać przepiękne wianki na głowę, co dla dziecka stanowiło wielką atrakcję. Tak umiała letnie pobyty w plenerze nie tylko mnie i bratu, ale i mojej córce, dla której była ukochaną Babcia

Matka „Grubego”, który mieszkał na alei Mickiewicza 15, mając pięcioro dzieci i pragnąc nadażyć z zaspokojeniem apetytów dzieci, a nie mając za dużo pieniędzy, uprawiała dwa ogródki działkowe: jeden w Cichym Kąciku przy ulicy Piastowskiej, tuż obok Rudawy, drugi pod Kopcem, przy alei Waszyngtona. „Gruby” miał klucze na obie działki, więc nieraz, często na rowerach, wypuszczaliśmy się w ich zacisze, by czasem, niejako przy okazji, uszczuplić nieco plony sąsiadów, wszak apetyt młodzika był zawsze wielki. Pamiętam, gdy na działkach pod Kopcem gdzieś w 1967 roku opędziliśmy sąsiadowi prawie całe drzewo morelowe, w czym prym wiódł „Gruby”, kolos ważący wtedy pewnie ze sto kilo, który miał wręcz niewyobrażalny spust. Mimo swojej potężnej postury był dla mnie nieodłącznym kompanem i ciekawa była z nas para: on potężne chłopisko, a ja niewielkie chucherko. Jaka szkoda, że całkowicie straciłem z nim kontakt i wiem tylko, że przeprowadził się do Zakopanego.



Fot. nr 272. Razem z „Grubym” około 1967 roku – zdjęcie z automatu z ulicy Wiślniej.

Niektóre zarośla w Parku były tu i ówdzie za gęste, zwłaszcza te od strony stadionu Wisły i gromadziły się tam grupki wyrostków, więc lepiej było się tam nie zapuszczać, bo pod byle pretekstem można się było nie spodobać urzędującym tu, na przywleczonych ławkach, delikwentom i oberwać kuksańca pod żebra. Nikomu wówczas nie przychodziło do głowy, aby przerzedzić te mroczne krzaki, co regularnie czyni się dzisiaj, ale przez ich wycięcie park wyraźnie stracił na intymności, a ponadto znaczną część tych krzaków stanowiły drzewa owocowe: morwy mirabelki, derenie, a także leszczyny. Sporadycznie rosły też w okolicy rajskie jabłonie, więc na jesień było się czym zajadać. Nieraz wsuwaliśmy też szczaw, który rósł sporadycznie w parkowych oceanach traw.

Oczywiście chlubą Parku w tym czasie, podobnie jak i dziś, był klombik usytuowany w jego sercu z popiersiem Henryka Jordana pośrodku i podobiznami zasłużonych Polaków na jego kolistym obwodzie oraz w odchodzących od niego alejkach spacerowych. Rzeźby te, a zwłaszcza ich nosy, nigdy nie miały szczęścia do chuliganów i były regularnie, bez cienia litości uszkodzane, o czym już wspominałem powyżej. Sam klombik, niezbyt troskliwie dogładany i z reguły ubogo ukwiecony, był ograniczony dwoma kolistymi alejkami i przecinającymi je promieniście ścieżkami, a na zewnątrz był otoczony szpalerem grabowym, w którego załamach schowane były liczne ławki. Tu w letnie wieczory, w ciszy i półmroku urzędowały młode pary zakochanych, przeważnie studenci z pobliskich akademików AGH, których często podglądaliśmy zniecka i nieraz czyniliśmy im drobne psikusy, wszak na widok całujących się studenciaków dostawaliśmy wypieki na twarzach – takie to były cielejące czasy. W tych czasach szpalery grabowe były mocno zaniedbane, podobnie zresztą jak cały park i tylko okazjonalnie przycinane.

Dużą atrakcją Parku zawsze były oswojone wiewiórki, które wabione zawołaniem: „basia, basia”, podchodziły do człowieka i brały z ręki orzechy włoskie czy laskowe. Swoje dziuple miały wysoko w konarach starych drzew, a tych w parku nigdy nie brakowało. Na jesieni szybko zakopywały pożywienie w ziemi, robiąc zapasy na zimę, by na wiosnę, pod koniec marca, przy ciepłych i słonecznych dniach czynić próby ich odszukania. Po udanej próbie pałaszowały je natychmiast, pokwikuając przy tym radośnie. Ale ludzie dokarmiali je też na bieżąco. Również i ja z mamą też chodziliśmy tam w tym czasie, zwykle w niedzielę, by je uszczęśliwić i obserwować ich zachowanie oraz zwyczaje. W Parku Jordana bytowało wówczas dużo wiewiórek, zwłaszcza w jego części od strony ulicy Krupniczej, gdzie znajdowało się wejście.

Jakieś 200 metrów od wspomnianego wyżej wejścia, zaraz po przecięciu głównej alei prowadzącej z Błoń w kierunku pomnika Henryka Jordana, jeszcze do niedawna stał stary dąb, którego rozłożyste konary były ulubionym miejscem mojego dzieciennego baraszkowania. Obok niego stały ze dwie zacienione ławeczki chętnie zajmowane przez moją mamę. Do tego urokliwego miejsca było stosunkowo niedaleko z naszego domu, co dla mamy, zawsze z trudem wyrabiającej z czasem i ledwo wiążącej koniec z końcem, miało niebagatelne znaczenie. Dziś drzewa już nie ma, ale wspomnienie po nim pozostało, a także i zdjęcie, które przypomina mi szczęśliwe czasy sprzed pół wieku. Jakaż wspaniała i trudna do znudzenia była na nim zabawa!!!



Fot. nr 273. Cienisty dąb z Parku Jordana z czasów mojego dzieciństwa, dziś już nieistniejący. Fot. z książki Zieleń Krakowa – WL 1955.

Tuż obok Parku Jordana były Błonia, do których dochodziło się najwyżej w dziesięć minut. Najbliższa trasa wiodła przez Aleje, obok gmachu nowego „Wysrołu” i ulicę Oleandry, gdzie na jej końcu, po prawej jej stronie, tuż przy torach tramwajowych stał drewniany kiosk spożywczy, m.in. ze słodyczami i oranżadą. Po przejściu alei 3-Maja i deptaku można już było bezpiecznie puścić dzieci, gdyż na tym odcinku zieleń poza nielicznymi, groźnymi psami i grupami zaciekle grających w piłkę młokosów, nic im nie groziło. Wokół deptaku szumiały i pachniały, podobnie jak i dziś, stare lipy, z których późną wiosną mama zrywała kwiat, by go potem wysuszyć do celów leczniczych. Jakże popularna była wtedy herbata lipowa, zwłaszcza w zimie, kiedy rozgrzewała wymrożone na chłodzie ciało, a podczas choroby: grypy czy anginy, skutecznie zapobiegała wysokiej gorączce, wszak wywoływała pocenie. Zapas ziela lipowego zawsze znajdował się w naszej domowej spiżarni.

Dzisiejsze Błonia powstały na terenie dawnych rozlewisk Rudawy i zostały zmeliorowane dopiero pod koniec I-ej dekady XX wieku w ramach wielkiej akcji regulacji jej koryta. Kiedyś była to dzika rzeka, która często wylewała i zmieniała koryto, a pozostałością po wylewach były żyzne bagna i liczne stawy. W czasie wielkich powodzi, np. w 1903 roku, Błonia zamieniały się w wielkie jezioro i wówczas można było pływać po nich łódką, a woda sięgała aż w pobliże gmachu Collegium Novum UJ. Błonia przestały być wiecznie zabagnionym pastwiskiem, kiedy zlikwidowano główne koryto Rudawy zwane potem Piekiełkiem, Ciepłą Wodą bądź Niecieczą, dawniej płynące wzdłuż dzisiejszego Parku Jordana (dziś biegną tędy tory tramwajowe), a główne koryto rzeki puszczono w stronę klasztoru Norbertanek, usypując przy tym wielkie wały. W ramach tej akcji zmeliorowano teren całych Błoni (jeszcze w czasach mego dzieciństwa pod nasypem deptaku widoczne były betonowe kanały odpływowe, których ciemne czeluści zawsze budziły moje wielkie zaciekawienie), likwidując przy okazji kolejną Niecieczę, dzikie odgałęzienie rzeki, które przecinało „wielką łąkę”, a dalej zasilalo Staw Zwierzyniecki, zbiornik wodny znajdujący się w sąsiedztwie dawnej cegielni, dziś placu na Stawach (za Stanisławem Broniewskim – „Igraszki z czasem”). Te gigantyczne prace regulacyjne zostały wykonane jeszcze za czasów „Babci Austrii” i jej władcy cesarza Franciszka Józefa, a główne ich nasilenie przypadło na przełom I i II dekady XX wieku, kiedy Kraków był przykładem dobrego zarządzania i gospodarowania wspólnym mieniem oraz miejscem wielkich inwestycji.



Fot. nr 274. Zatłoczone Błonia z czasów mojego dzieciństwa –
fot. z książki Zieleń Krakowa, WL 1955.

Razem z bratem, zawsze w towarzystwie mamy, buszowaliśmy tu od wczesnego, „szczenięcego” dzieciństwa. Błonia w tym czasie były najpopularniejszą w Krakowie przystanią wypoczynkową, a w słoneczne, letnie dni było tu gęsto od ludzi niczym na plaży nad Wisłą.

Mnóstwo rodzin rozkładało tu koce i oddawało się błogiemu lenistwu z dala od zgiełku miasta i ruchu ulicznego. Dzieci goniły po trawie najczęściej na bosaka, beztrosko oddając się harcom i zabawom, a później, te najczęściej „niejadki”, wygłodzone bieganiem opróżniały na kocach zabrane przez matki prowiant zwany „wałówką”, ku ich wielkiemu zadowoleniu. Picie, najczęściej herbatę lub kompot, mama przynosiła z domu, używając do tego celu szczelnych butelek po oranżadzie zwanych „krachlami”. Obowiązkowymi rekwizytami do zabawy były też: wiaderko, łopata, grabki i foremki, bo kretówek na Błoniach nigdy nie brakowało. Zawarło się tutaj kilka trwałych znajomości, choćby z panią Zielnikową z ulicy Szujskiego 7 i jej synem Andrzejkiem, rówieśnikiem mego brata, czy z panią (?) z ulicy Wrzesińskiej, która regularnie przychodziła na Wielką Łąkę ze swym ciut starszym od nas synem. Atmosferę tej sielskiej beztroski oddaje zachowane zdjęcia rodzinne z lata 1955 roku. Zwyczaj ten, masowego biesiadowania na Błoniach, tak kiedyś charakterystyczny dla Krakowa z czasów mego dzieciństwa, dziś całkowicie zanikł.



Fot. nr 275. Błonia - ocean zieleni w lecie 1955. Stoję od lewej obok mamy, a dalej mój brat Tadeusz i pani Zielnikowa z synem Andrzejem.

Na Błoniach, w ich części sąsiadującej z boiskami: Zwierzynieckiego i Juwenii oraz z wałem Rudawy, wypasały się jeszcze krowy i konie zwierzynieckich gospodarzy, a także te pędzone z Półwsia ulicą Kasztelańską. Ich murawa była tu zachwaszczona przez osty, a te utrudniały buszowanie dzieciakom na bosaka, a ponadto nie brakowało tu krowich i końskich odchodów, z których zwłaszcza krowie placki były niezwykle poszukiwanym nawozem i okoliczni działkowcy toczyli o nie twarde boje. Przypominam sobie jak mój ojciec z wiaderem i łopatą w rękach wypuścił się tutaj po „gówniany” łup, bo ten był potrzebny do użyczenia naszej działki, która znajdowała się przy alei Mickiewicza obok miejsca, gdzie dzisiaj stoi fontanna przed nowym gmachem AR. My wraz z mamą byliśmy jedynie świadkami jego „heroizmu”, ale dla niego, chłopaka ze wsi, widać nie był to żaden problem.

Nie może zatem dziwić fakt, że na tym nawozie matka wyhodowała tak wielką dynię, że nie mogliśmy dać jej rady w trójkę, myślę tu o jej przetransportowaniu do domu, wszak działało to się niedługo po śmierci ojca. Pomogła nam dopiero wielka hulajnoga, „pojazd” napędzany nożną dźwignią, którą mama kupiła nam za półdarmo od Dziekiewiczów. Z dyni tej mama narobiła konfitur na całą zimę, a dodatkowo my najadaliśmy się ususzonymi na zapiecku pestkami. Jeszcze dziś czuję zapach rosnących na działce pomidorów, ziemniaków, pietruszki, selerów i kopru, a zwłaszcza pomarańczowych nagietków, do dziś moich ulubionych kwiatów.

Ilości meczów jakie tu, na zielonej murawie Błóń, rozegrałem na przestrzeni ćwierćwiecza mego życia nie da się zliczyć. Przez lata byłem najlepszym piłkarzem w klasie, który ustalał skład drużyny. Pierwszy międzyklasowy bój, o którym już wspominałem, dobrze do dziś utkwiał mi w pamięci. Była to wiosna roku 1962, gdy graliśmy z klasą II b i wygraliśmy 2:1. Jedną bramkę strzeliłem ja, a drugą Witek Nowak bezpośrednio po wybiciu piłki przez bramkarza rywala, takim prawdziwym wolejem. Bramka dla przeciwników została strzelona przez Adama Nenkę, późniejszego gracza Cracovii, ale była ona bardzo problematyczna, wszak naszym zdaniem piłka poszybowała za wysoko, ale gdy za słupki bramki służyły kupki z ciuchów, a poprzeczki były wirtualne, zawsze były kłótnie czy piłka poleciała za wysoko, czy nie, więc lepiej było strzelać po ziemi. Wówczas na Błoniach obowiązywała jeszcze śmieszna zasada: „trzy kornery- karny”. Trudno było wówczas zliczyć ilość dzikich boisk, bez bramek, które były one w stanie pomieścić, wszak był to prawdziwy ocean przydatnej do grania zieleni, a i tak nieraz brakowało miejsca do gry. Kto wówczas siekł trawę na Błoniach? Były ona naturalnie wydeptywane, a w niektórych miejscach, gdzie były główne areny zmagania, przeświecały nawet łysiny. Z jakąż sportową zaciekłością i ambicją grywało się kiedyś w piłkę, choć były to mecze o przysłowiową czapkę gruszek, ot tak po prostu dla sportowej satysfakcji. Dziś Błonia zarastają i trzeba je strzyc mechanicznie. Jeszcze w szkole średniej nietrudno było znaleźć chętnych do pogrania, a dziś, wierzyć się nie chce, ale w narodzie gdzieś zaginął ten sportowy duch i trudno się dziwić, że tak znacząco obniżył się w Polsce poziom tej dyscypliny, skoro na Błoniach od dekad nie widać jej adeptów.

Jakże przyjemnie jeździło się przez „Łąkę” rowerem, po jej wąskich, wydeptanych przez ludzi, gliniastych, polnych ścieżkach, skracając sobie drogę nad Rudawę, pod Kopiec Kościuszki czy do Lasu Wolskiego i każdy cyklista czuł się tutaj jakby płynął przez ocean niekończącej się zieleni.

Czasy PRL były okresem latawców, które malowane w przeróżne słoneczka i inne fikuśne wyobrażenia królowały na niebie nad Błoniami, zaopatrzone na końcu w długi ogon w kształcie warkocza. Kto z nas nie próbował puszczać tych wykonanych ze sklejonych listewek i pergaminu lekkich, fruujących machin, które przy pomyślnym wietrze wylatywały wysoko pod niebo i z trudem były utrzymywane na długich sznurkach. Były latawce kwadratowe, w kształcie rombu czy skrzyniowe, lecz ich wykonanie nie było takie łatwe, bo wymagało pewnych zdolności manualnych, graficznych i precyzji. Taki latawiec skrzyniowy przy zbyt silnym wietrze gwałtownie spadał na ziemię i niewiele z niego zostawało.

Raz w roku odbywało się święto latawców i wówczas na Błoniach był organizowany wielki festyn, a w jego trakcie wybierano najładniejsze oraz najwyżej fruujące egzemplarze i wówczas ich kształty oraz kolorystyka były wręcz zniewalające. A jakie towarzyszyło temu zainteresowanie i emocje! Błonia zaludniały się na obszarze w pobliżu „Płachty” i wejścia do Parku Jordana (przy okrągłaku), a niebo przesłaniały setki latających machin i było to autentycznie rodzinne święto, gdzie prym wiodła rozwrzeszczana z zachwytu dzieciarnia, która z zacięciem rozpędzała, a potem holowała po niebie swoje latające cacuszka.

Jakież morze wspomnień ciśnie mi się do głowy, gdy przechodzę dziś przez tę wielką łąkę. Żeby dokładnie spisać tę rzekę wspomnień trzeba by zużyć wiele setek kartek papieru, a ja mogę tylko musnąć po pokładach własnej pamięci. Ale niech i to przetrwa, bo szkoda, by zaginęła pamięć o tych pięknych chwilach, choć przeżytych w niełatwych dla mnie czasach, kiedy człek nie zastanawiał się jeszcze nad politycznymi konstelacjami i własną przyszłością, a jedynie czerpał z życia garściami rzeczy najpiękniejsze, mając u boku jedyną i niczym niezachwianą podporą - ukochaną matkę.

Gdzieś pod koniec lat 60-tych wybudowano przy Błoniach nieistniejące już dziś „pawilony piwne”: „Płachtę”, przy okrągłaku i „Blachę”, w Cichym Kąciku, które na lata wtopiły się w tutejszy pejzaż. Niestety z czasem stały się one oazą dla różnego autoramentu popijbratów, ale oni tylko z rzadka zakłócali panującą tu sportową aurę,

Rzadziej niż w Parku Jordana bywaliśmy w Parku Krakowskim, bo chodziliśmy tutaj w awaryjnych sytuacjach, gdy mama miała mało czasu. I tu było pięknie, ale do nazbyt częstych jego odwiedzin dodatkowo zniechęcała nas bliskość ruchliwej alei Mickiewicza i związany z tym smród spalin oraz hałas, a ponadto alejki parku nie były wyasfaltowane i upadek podczas bieżaniny groził poważniejszymi konsekwencjami. Jeszcze w latach 70-tych porządku pilnował tu plantowy, dawny postrach dzieci i na tutejsze trawniki nie wolno było wchodzić. Tutaj też było kilka intymnych miejsc, głównie od strony ulicy Szymanowskiego, szczególnie w zgrabnie przyciętych zakolach grabowych żywopłotów, gdzie ukryte były ławki, a tu wieczorem urzędowali zakochani, głównie studenci. Dla potrzeb dzieci istniał tam niewielki plac zabaw otoczony wygodnymi ławkami, gdzie można było skorzystać ze: zjeżdżawek, skromnych huśtawek i piaskownicy, ale był on wybetonowany, a przez to mniej sympatyczny i jakby mniej bezpieczny do zabaw.

Największą jednak atrakcją Parku był staw z łąbędziami i ich domkiem, który początkowo stał na wyspie w cieniu pięknej, rozłożystej wierzby płaczącej, a potem przy samym brzegu. Dziś łąbędzi już tu od dawna nie ma, choć wierzba nadal płacze. Kiedyś, przed wojną, co pokazują stare fotografie, na zamarznętym w zimie stawie znajdowała się ulubiona krakowska ślizgawka, a w lecie obok, w bliskości alei Mickiewicza funkcjonowało kąpielisko. W sąsiedztwie, w okolicy ulicy Lea, przez spory okres czasu działał wtedy letni amfiteatr, a w jego pobliżu funkcjonowały też stylowe kawiarnie i kręgielnia. Dawne urządzenie parku przypadło jeszcze na czasy galicyjskie, kiedy wyjątkowo dbano o tereny rekreacyjne.

Ulubionym celem naszych spacerów był nieodległy Kopiec Kościuszki i jego okolice. Mama zawsze miała w zanadrzu kilka wariantów tras spacerowych, które widać musiała poznać jeszcze za czasów panieńskich, kiedy w dni wolne od pracy, razem z siostrami: Karolką i Józją, koleżankami: Rózią Radoń i Heleną (po mężu Bartosik) oraz grupką zalotników, z braćmi Wojasami: Józkiem i Julkiem na czele, przemierzała szlaki w okolicach Krakowa.



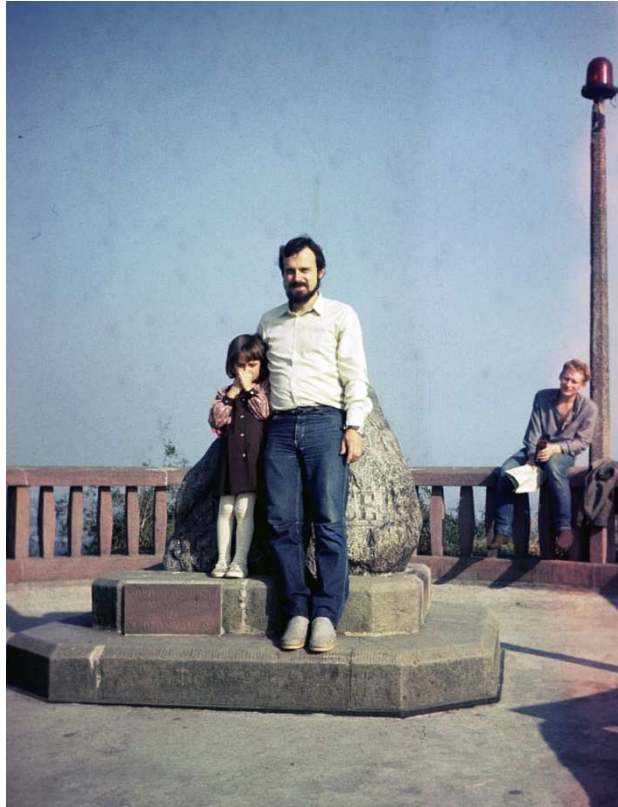
Fot. nr 276. Moja córka w sąsiedztwie ujścia Rudawy do Wisły. Skan ze slajdu z lata 1986.

Pierwsza z nich prowadziła od strony Salwatora i wiodła aleją Waszyngtona obok: drewnianej kaplicy św. Małgorzaty, kościoła św. Salwatora i domu dziewczyc, jak mama nazywała ostatni dom znajdujący się po prawej stronie traktu, która powyżej stawała się deptakiem zacienionym starymi kasztanami. Z prawej strony rysowało się wzgórze z peryferyjną ulicą Zaścianek, z osuwiskiem na jego skraju, może pamiątką po odkrywkowej kopalni gliny, a było ono otoczone dokoła ogrodami i ogródkami działkowymi. U jego podnóża, pośród ugorów i pól uprawnych biegła wąska ścieżyna w kierunku ulicy Królowej Jadwigi, popularny skrót spod salwatorskiego cmentarza. Z lewej strony, po minięciu sadu pana Mleki (Mleko?), który był skryty za butwiejącym z czasem, drewnianym płotem, przechodziło się wzdłuż cmentarza i wkrótce dochodziło się do diabelskiego mostku, dwupoziomowego skrzyżowania z czasów Twierdzy Kraków, by dalej podążać w kierunku resztek dawnej bramy fortecznej. Z lewej strony, już za murem cmentarnym, długo było pole uprawne, a dalej ponad ogródkami działkowymi rysował się maszt radiostacji, Skały Twardowskiego, a w dali szczyty Beskidu Wyspowego. Stąd było już tylko „dwa kroki” do Kopca Kościuszki, otoczonego przez częściową ruinę potężnego fortu nr 2.



Fot. nr 277. Ostatni dom salwatorski przy ulicy Św. Bronisławy zwany przez mamę „Domem Dziewic”. (28.05.2010)

Aby się dostać na nogach na Salwator przecinało się Błonia i dalej, od stadionu Zwierzynieckiego, szło się wałem Rudawy pod klasztor Norbertanek. Nieco szybciej można tu było dojechać tramwajem linii 21 spod Teatru Rozmaitości. Fort pod Kopcem był w tym czasie niemal całkowicie zdewastowany, ale czynne było wejście na jego szczyt, wiodące poprzez zaniedbany, neogotycki budynek, połączony z kapliczką Błogosławionej Bronisławy, ksieni klasztoru Norbertanek, której modlitewna pustelnia kiedyś, w XIII wieku, stała ponoć w tym miejscu. Wejście na szczyt było obowiązkowym punktem spaceru i aby się tam dostać trzeba było pokonać kręte schody wspomnianego budynku wejściowego i kilka „ślimaków” alejki spacerowej. Widok ze szczytu był imponujący, wszak w tym czasie nie było jeszcze większości nowych osiedli, które dziś tak szpecą i przesłaniają panoramę Krakowa. W oddali dymiły kominy Huty Lenina, a w dole wiła się Wisła i bieleły się skaliste wzgórza Krzemionek Dębnickich, na prawo zaś malowały się wieże Opactwa Tynieckiego. Przy dobrej widoczności na horyzoncie wyraźnie rysowały się szczyty Beskidu Wyspowego ze Śnieżnicą, Ćwilinem i Kostrzą w tle. Na szczycie kopca znajdowała się kamienna balustrada z ławeczkami po jej bokach, a na jego środku spoczywał pamiątkowy głaz. Teraz pewnie jest podobnie, ale przyznam szczerze, że dawno tam nie byłem, bo zawsze chodzę tu na spacer z psem, a ponadto trudno mi się pogodzić ze współczesnym zdzierstwem, gdy ulgowy bilet upoważniający li tylko na wejście na szczyt kosztuje 10 zł.



Fot. nr 278. Z córką na Kopcu Kościuszki. Skan ze slajdu z jesieni 1986.



Fot. nr 279. Wejście na Kopiec Kościuszki wraz z Kaplicą Bł. Bronisławy, na którego szczyt wychodziliśmy przy okazji każdej wizyty na Sikorniku. Pół wieku temu był to obiekt bardzo zaniedbany, ale samo wejście na szczyt było niezwykle tanie. (22.05.2010)

Druga trasa wiodła przez Park Jordana i Błonia, następnie przez drugi most na Rudawie, który przecinał rzekę w pobliżu stadionu Zwierzynieckiego. Po chwili docierało się do budynku szkoły podstawowej nr 32 i styku ulic: Malczewskiego i Drożyna, by w prawo wyboistą uliczką Drożyna, dziś zamkniętą, obok starego dworku dotrzeć do polnej ścieżki na skraju zbocza, którą też skręcało się w prawo, by kontynuować marsz wzdłuż krawędzi stoku na tzw. „dworskim”. Tu w zimie królowali narciarze, a w lecie szumiały jeszcze łany zbóż. Dróżką tą, lekko pod górę, dochodziło się do dawnej drogi fortecznej w bliskości zespołu bramnego 3a fortu Kościuszko, stanowiącej przedłużenie ulicy Spadzistej (dziś jest to aleja Małeckiego). Z tego miejsca dobrze widoczny był szaniec ziemny (FS-3), usytuowany na pobliskim wzgórzu nad ulicą Spadzistą. Z drogi fortecznej, ścieżką na przełaj pokonywało się ostatnie, krótkie, ale ostre podejście po niczym niezakrzaczonym zboczu. Na szczycie wzniesienia, gdzie można było usiąść i oglądać piękne panoramy Krakowa, co dziś nie jest już możliwe, w bliskości zabudowań bastionu nr V rosła dzika grusza, wielkie drzewo, pięknie kwitnące na wiosnę. W tych czasach łany zbóż porastały jeszcze na sporej polaci Sikornika: od Kopca, po Starą Wolę i kto mógł wówczas przypuszczać, że obszar ten za pół wieku ulegnie niemal całkowitemu zakrzaczeniu, z czym doprawdy trudno mi się pogodzić. Nigdy nie zapomnę, że jeszcze na początku lat 70. środkiem początkowego, wyboistego odcinka ulicy Malczewskiego, która wpadała do Królowej Jadwigi, płynął sobie cuchnący rynsztok. Ponoć właśnie takie kloaczne „aromaty, dolatujące z równie karkołomnej ulicy Królowej Jadwigi, zniechęciły „wodza rewolucji” do dłuższego pobytu w domu pod nr 41 w roku 1912.



Fot. nr 280. Panorama Krakowa spod fortu Kościuszko; jego zbocza w XXI wieku szybko zarastają. W tym miejscu rosła kiedyś wielka grusza, o której piszę w tekście (2014).



Fot. nr 281. Dawna brama forteczna zespołu bramnego 3a fortu Kościuszko, zlokalizowana na przedłużeniu dawnej ulicy Spadzistej, dziś Hofmana, przy szańcu ziemnym FS-3. (2014)

Jeszcze inna trasa prowadziła przez Park Jordana, obok stadionu Wisły, a następnie przez Błonia w kierunku trzeciego mostu na Rudawie. Stąd było już tylko pięć minut do wylotu ulicy Spadzistej, dziś Hoffmana (jak można było dokonać zmiany tej pięknej i historycznej nazwy ulicy!!!), a dalej, tą stromo biegnącą ulicą dochodziło się do wspomnianego już zespołu bramnego 3a twierdzy, mijając po drodze fragmenty bramy 3b. Tu w prawo wiodła polna ścieżka, która biegła u podnóża fortu Kościuszko, mijając po lewej stronie uroczy amfiteatr skalny pod bastionem nr III, dziś całkowicie zarośnięty przez chaszczę, a kiedyś wręcz oblegany przez krakowian. Stąd czekała nas ostra wspinaczka wzdłuż trasy zimowego toru saneczkowego o nazwie „Berlin, słynnej „berlinki”, by na wzniesieniu znaleźć się w sąsiedztwie garaży i magazynów wojskowych usytuowanych przy Słonecznej Promenadzie, wokół których rozciągała się rozległa, odkryta równina, która wtedy stanowiła miejsce naszych częstych harców. Otoczenie garaży dopiero w latach 70-tych zostało po części zajęte przez ogródki działkowe, a dziś jest to teren w znacznej części zarośnięty przez chaszczę. Było tu w miarę bezpiecznie, bo magazynów zawsze pilnował jakiś widoczny z zewnątrz, uzbrojony strażnik. Wokół przedpola zdewastowanych pod koniec wojny i po jej zakończeniu bastionów nr I i II fortu Kościuszko, znajdowały się archaiczne, bo kamienne jeszcze wkopane w ziemię ławeczki, gdzie można było usiąść na kocyku i nieco odsapnąć po trudach wspinaczki, a przy okazji napić się herbaty. Dziś ławeczki te zostały całkowicie wchłonięte przez krzaczasty młodnik i trzeba wielkiej znajomości terenu, by je odszukać. Trzeba jednak przyznać, że odkąd dyr. ZMZ został Piotr Kempf okolica fortu jest stopniowo odkrzaczana.

Niekiedy drogą na tyłach wspomnianych magazynów, z czasem zajętą przez działkowiczów, szliśmy jeszcze dalej w kierunku Lasu Wolskiego, by wkrótce osiągnąć płaskowyż, który stanowił pozostałość po innym szańcu ziemnym twierdzy (IS 2½), wtedy już splantowanym. Tu była i ładna łąka, i drewniane ławki do siedzenia, a ponadto stąd roztaczały się piękne widoki na: Las Wolski, Przegorzały, dolinę Wisły oraz pagóry Bodzowa oraz Tyńca. W tym miejscu było w miarę bezpiecznie, bo wypoczywali tu starsi spacerowicze i matki z małymi dziećmi, więc było się nawet z kim zabawić. Dalej oba zbocza Sikornika w kierunku Lasu Wolskiego, zwłaszcza od strony ulicy Księcia Józefa, były poprzecinane szachownicą pól uprawnych i gdzie by wtedy człowiekowi przyszło do głowy, że w pierwszej dekadzie XXI wieku zostaną one zakrzaczone.



Fot. nr 282. Zbocza Sikornika pocięte przez poletka uprawne – widok ze Skał Twardowskiego z okolic fortu FS-29. Fot. z książki Zieleń Krakowa – WL 1955.

Tu muszę dodać, że moja mama zawsze wykazywała się dużą odwagą i czasem, również w dni powszednie, zapuszczaliśmy się w te niezbyt ludne w tym czasie tereny, powszechnie uważane za niezbyt bezpieczne. Raz, co pamiętam, zagubiliśmy się w lesie przylegającym do w/w płaskowyżu po szańcu ziemnym i ze strachem zbiegaliśmy w dół, w kierunku ogródków działkowych i restauracji Pod Strzelnicą. Strach miał wielkie oczy, wszak robiło się ciemno, więc pojawił się mój płacz i krzyk, bo takim wtedy byłem bohaterem, ale wszystko ułożyło się pomyślnie; wkrótce zbiegliśmy do podnóża i znaleźliśmy właściwą już drogę; biegła ona obok licznych tu ogródków działkowych i wzdłuż obecnej ul. Lajkonika do ulicy Królowej Jadwigi. Jednak te chwile grozy zapamiętałem do dziś.

W te strony, sąsiadujące z Restauracją „Pod Strzelnicą” i strzelnicą sportową na Woli, chodziliśmy jeszcze inną trasą. Zaczynała się ona z Cichego Kącika, by dalej, szutrową drogą biegnącą poprzez ogródki działkowe przylegające do Rudawy, osiągnąć mocno sfatygowany, żeby nie powiedzieć dziurawy, czwarty most na Rudawie. Droga w okolicach mostu była usłana obślizgłymi, kocimi łbami i raz, co dobrze pamiętam, na tych wygładzonych kamieniach poślizgnąłem się i stłukłem kolana tak dotkliwie, że później bywałem tu już ostrożniejszy.

Dalej, po sforsowaniu Rudawy, wąską szutrową uliczką (Korzeniowskiego) dochodziło się do dawnej rogatki miejskiej, którą pamiętała moja mama, zlokalizowanej naprzeciw restauracji „Pod Strzelnicą”, której dziś już chyba nie ma, albo została ona totalnie przebudowana. Stąd, po przekroczeniu ulicy Królowej Jadwigi, polną ścieżką biegnącą obok ogródków działkowych (dziś ulica Lajkonika) dochodziło się pod zbocze Sikornika, gdzie ukazywały się amfiteatralnie uformowane uroczyska skalne, dziś już w całości zarośnięte. Skraj zarośli upodobały sobie krzaki ostrężnic, więc było to nasze ulubione miejsce spacerów zwłaszcza pod koniec sierpnia, kiedy było tu czarno od owoców. Dziś teren tak zarósł, że nawet ja stary Krakus i włóczykij czasem tracę tu orientację. Na przestrzeni od restauracji „Pod Strzelnicą” po nieodległą strzelnicę rozciągały się jedynie łąny zbóż. Spod wspomnianego uroczyska skalnego, obok skalnych przepaści wiodła stroma dróżka, którą przecinała las oraz zbocze i wychodziła na deptak, nazwany później „Słoneczną Promenadą”, niedaleko platformy po szańcu IS 2½. To gdzieś w tej części lasu, dziś świetnie mi znanej, mama straciła kiedyś orientację w terenie, o czym piszę powyżej.

Dwa dawne punkty widokowe, usytuowane nad urwiskiem skalnym w bliskości strzelnicy sportowej na Woli Justowskiej, z których jeszcze do niedawna rozciągały się szerokie i klarowne panoramy w kierunkach: doliny Rudawy, Mydlnik, Bronowic, Czarnej Wsi i Krowodrzy, dziś praktycznie całkowicie zostały przysłonięte przez wybujałe na zboczach drzewa i zarośla. Całkowicie pozarastało też podnóże Sikornika, kiedyś, jak już wyżej wspomniałem, zajęte przez dzikie polanki i skalne urwiska, a dalej łąki, pola uprawne i ogródki działkowe, które pół wieku temu i jeszcze całkiem do niedawna przyciągały rzesze krakowian na niedzielne pikniki, zwykle połączone z „pieczeniem” na ogniu wbitych na patyki kiełbasek, co w czasach PRL bynajmniej nie nazywało się grillowaniem.

Po dawnej skoczni narciarskiej i stoku slalomowym, powstałych na początku lat 70-tych, kiedy wykarczowany został stromy stok w końcowej partii wzniesienia za strzelnicą, funkcjonujących tylko przez krótki okres czasu, bo potem zimy stały się akurat wyjątkowo ciepłe, pozostała tylko ruina dawnego budynku maszyny wyciągowej, która obsługiwała „wyrwiraczkę”, a sam stok zarósł całkowicie. Wokół kilkudziesięcioletniego lasku brzoźowego, który rozrósł się na wzniesieniu nad ulicą Starowolską, gdzie od strony Przegorzała znajdowała się platforma widokowa z licznymi ławkami, na których regularnie przesiadywali emeryci, też na dobre zagościły chaszczce, podobnie jak wokół całej Słonecznej Promenady. O oglądaniu widoków Beskidów: Wyspowego i Wysokiego (z Babią Górą w tle), a także Tatr, zwłaszcza przy październikowych i listopadowych wiatrach halnych – „halniakach”, które cieszyły oczy spacerowiczów w trakcie wędrówek po tym ulubionym deptaku, już niedługo będzie można zapomnieć. Również południowe zbocza Sikornika przylegające do Lisiego Jaru, Przegorzała i ul. Księcia Józefa, kiedyś poletka uprawne, a po 1990 roku rozległe łąki stopniowo przekształcające się w urokliwe ugory, zarastały do niedawna w szybkim tempie bez jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz i dopiero ostatnio we fragmencie stoku założono winnicę.

Także zarastanie terenów przylegających do Lasu Wolskiego i innych obszarów rekreacyjnych: pychowickiego stepu czy otuliny Skał Twardowskiego, stało się znakiem firmowym III RP. Na szczęście po dekadzie zarastania częściowo został ostatnio odchaszczony teren dawnego Obozu Koncentracyjnego Płaszów, ale i tu wiele zostało do zrobienia. ZZM ma teraz do nadrobienia ćwierć wieku rażących zaniedbań.

Innym ulubionym miejscem świątecznych spacerów był Las Wolski. Jeździły tam dwa autobusy linii nr: 102 i 152 z pętli w Cichym Kąciaku, dokąd było niedaleko przez Park Jordana. Ale jeśli chciało się tam szybciej dotrzeć, podchodziło się wzdłuż ulicy Oleandry do alei 3-Maja i tu niedaleko Rotundy wsiadało się w jeden z tramwajów linii: 17 lub 18.



Fot. nr 283 (283-284). Drewniany kościółek na Woli Justowskiej, odbudowany po pożarze; zdjęcia z 1988 roku.

Autobus zatrzymywał się na początku ulicy Kasztanowej i stąd po przejściu 200 m ulicą Kasztanową skręcało się w lewo, by pełną drogą wiodącą obok starego, drewnianego kościółka na Woli, a potem w poprzek Wesolej Polany, która w zimie służyła jako stok narciarski bądź sąsiednim leśnym tunelem, dochodziło się do Panieńskich Skał, z charakterystyczną figurką Matki Boskiej, stojącą na skale. Dziś znaczna część pogrodzonej Wesolej Polany, kiedyś o charakterze rozległej łąki, bardzo popularnej wśród krakowian, jest zarośnięta chaszczami, a na jej początku powstały domy. Zakusy na zabudowanie Wesolej Polany i oszpecenia obrzeża Lasu nieciekawą zabudową mieszkalną, co jeszcze niedawno wydawało się rzeczą nie do pomyślenia, stały się faktem. Natomiast figurka Matki Boskiej, zawsze wymalowana w biało-niebieskie barwy, nie wiedzieć czemu została przeniesiona w sąsiedztwo obecnej plebanii, czyli dawnej karczmy, czym tutejszy proboszcz swoim egoizmem zniweczył kilkudziesięcioletnią tradycję. Tu na szczycie Polany, na jej skraju, w cieniu wielkich drzew pierwszy raz w życiu widziałem zaskrońca.



Fot. nr 284. Odtworzony kościółek na Woli Justowskiej, który niedługo spłonął ponownie; widok od strony ulicy Cisowej (1988).



Fot. nr 285. Drugi ze spalonych kościołów. Skan ze slajdu z wiosny 1990.

Z ubolewaniem muszę jeszcze wspomnieć, że od roku 2016 na terenie skansenu na Woli rozpoczęła się budowa nowego murowanego kościoła, stylizowanego na podobiznę dawnego, która obecnie praktycznie została ukończona, więc cały ten piękny teren całkowicie utracił swój dawny urok. Cały opór społeczny i procesy sądowe tylko opóźniły tę inwestycję. Wobec nieprzejednanego stanowiska tutejszego proboszcza na naszych oczach znika wręcz kultowe miejsce dla mego pokolenia oraz pokolenia naszych rodziców i dziadków. Jak się okazuje ten teren miejski został przekazany parafii pod koniec I połowy XX wieku przez wojewodę Adamika.



Fot. nr 286 (286-287). Niezarośnięta jeszcze Wesoła Polana. Tu widok z dołu w kierunku Sowińca. Skan ze slajdu z lata 1992.



Fot. nr 287. Ujęcie ze szczytu Wesołej Polany. Skan ze slajdu z lata 1986.



Fot. nr 288. Panieńskie Skały z figurą Matki Boskiej. Skan ze slajdu z wiosny 1988.

W prawej części wzgórza znajdował się urokliwy kanion skalny, dziś bardzo zarośnięty, którego dno było miejscem naszych biwaków. Po przejściu wąwozu Panieńskie Skały, w lewo za figurką Matki Boskiej skręcało się na leśną ścieżkę i nieco pod górę podchodziło się do deptaku, który biegł wzdłuż ulicy Leśnej, drogi wiodącej spod kawiarni Baba Jaga prosto do ZOO. Tym zaludnionym zwykle traktem, drogą nieco pod górę wkrótce osiągało się wzgórze Pustelnik, na którego szczycie rozlokowane było ZOO pospołu z budynkami gospodarczymi do jego obsługi.

Inna droga do ZOO też zaczynała się od przystanku na początku alei Kasztanowej, a alej obok Domu Dziecka po prawej stronie i Jednostki Wojskowej (dziś Centrum Rehabilitacji) po lewej, po ostrym podejściu osiągało się szczyt niewielkiego wzniesienie, na którym zlokalizowana była leśniczówka. Obok jej murowanego budynku skręcało się w prawo i wśród pól uprawnych, ścieżką polną dochodziło do kawiarenki Baba Jaga, usytuowanej już w lesie na skraju ulicy Leśnej. Była to nasza ulubiona kawiarenka, bo w tym czasie dobrze zaopatrzona w słodycze. Stąd wspomnianym już wyżej krętym deptakiem biegnącym wzdłuż serpentyn ulicy Leśnej, lekko pod górę dochodziło się z wolna do celu wycieczki jakim było ZOO, które zawsze było dla nas wielką atrakcją. W tych czasach było ono skromniejsze i może nieco zaniedbane. Nie było w nim jeszcze wielu gatunków egzotycznych zwierząt, choćby: uchatka czy egzotycznych gadów i płazów, bo te sprowadzono dopiero na początku lat 70-tych po wybudowaniu dla nich specjalnego pomieszczenia, zamkniętego i przeszklonego. Ale nie brakowało tu innych egzotycznych zwierząt: małp, lwów, tygrysów, wielbłądów i lam, podobnie jak i całej gamy rodzimej fauny: niedźwiedzi, wilków, saren, dzików i żubrów, że wymienię te tylko najbardziej znane. Wstęp był tani, nie jak dzisiaj, a zwiedzanie zabierało minimum dwie godziny i przez lata zawsze sprawiało wielką przyjemność.



Fot. nr 289 (289-291). Trzy ujęcia Baby Jagi, kawiarenki na skraju lasu przy ulicy Leśnej.
Skany ze slajdów, tu z jesieni 1983.



Fot. nr 290. Lato 1986.



Fot. nr 291. Pod kawiarenką Baba Jaga. Lato 1990.

Czasem po zakończeniu zwiedzania odbywaliśmy dłuższe spacery po lesie. Szutrową alejką, biegnącą przy granicy z ZOO po jego prawej stronie, wzdłuż jego ogrodzenia dochodziliśmy do krzyża stojącego u wylotu wąwozu Panieńskie Skały, a stąd w prawo, lekko pod górę szliśmy w kierunku Kopca Piłsudskiego, zwanego wtedy kopcem „Na Sowińcu”. Był on położony w odległości z pół godziny drogi od wejścia do ZOO i swoją ówczesną nazwę brał od wzgórza, na którym został wzniesiony. Kopiec nie był lubiany przez władzę ludową z racji jego dawnego patrona, którego nazwisko było politycznie niestosowne i dlatego nikt się nim nie interesował, stąd był on w stanie znacznego zaniedbania. Jego pofatygowane zbocza porastały brzoźki i tonowały one jego autentyczną wysokość i strzelistość. Kto by wtedy powiedział, że jest o najwyższy kopiec w Krakowie, wyższy nawet od Kopca Kościuszki.

Od czasu do czasu rozsiadaliśmy się na Polanie Lea obok przedwojennej restauracji, kiedyś Pawilonu Okocimskiego, korzystając z cienia starych drzew okalających to miejsce, ulubione przez wielu mieszkańców Krakowa bądź zaglądaliśmy na Polanę Wobra, wokół której rosło sporo malin. Tu było bezpieczniej, bo w razie deszczu można się był schronić w stylowej, okrągłej i starodawnej altanie, wtedy jeszcze oryginalnej. Teraz jest tu dziwnie pusto, bo powycinano wszystkie krzaki z malinami czym zaburzono naturalną, leśną, scenerię, co mnie bynajmniej nie przypadło do gustu.



Fot. nr 292. Kopiec uszkodzony przez jedną z nawałnic. Skan ze slajdu z wiosny 1987.



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-G-7051-1

Fot. nr 293. Nowy Pawilon Okocimski w czerwcu roku 1936. (NAC)



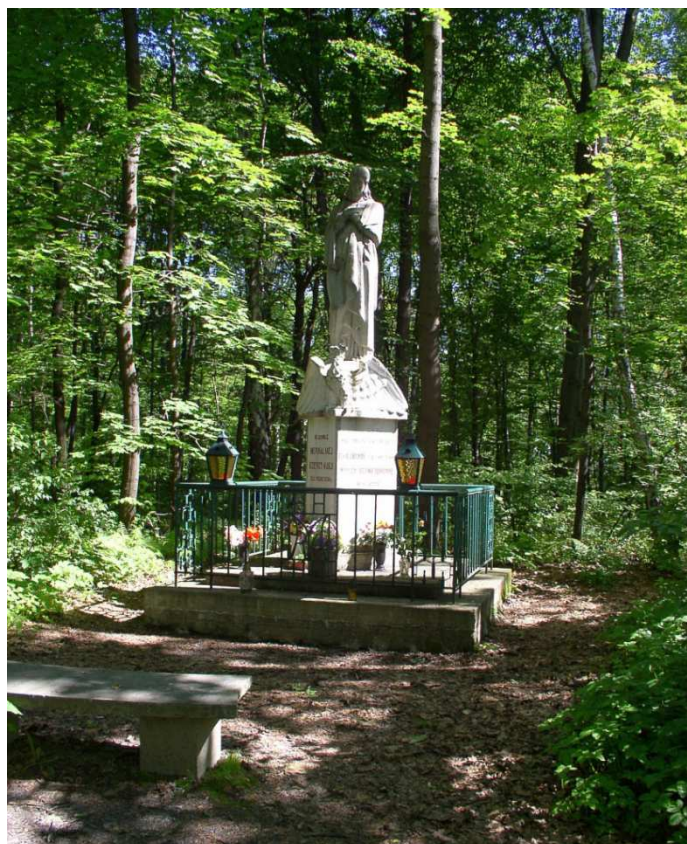
Fot. nr 294. Pawilon Okocimski, gdzie w czasach PRL funkcjonował popularny rozrywkowy, wg stanu z roku 2012, gdy był już od dawna zamknięty. Dziś, po odnowie obiektu, mieści się tutaj Centrum Edukacji Ekologicznej.



Fot. nr 295. Zrekonstruowana, międzywojenna altana na skraju Polany Wobra. (2013)

Z Polaną Lea wiążą mnie miłe wspomnienia z początkowego okresu nauki w SP nr 6, kiedy z Panią Rynduchową wypuściliśmy się tutaj na klasową wycieczkę i tylko szkoda, że nie mi pozostało po niej żadne zdjęcie. Pani Rynduchowa lubiła spacerować: bliższe, w okolice szkoły, które urządzała zamiast zajęć WF-u, do czego najwyraźniej nie miała serca i te dalsze, w okolice Krakowa, zwykle w martwym już okresie po klasyfikacji, i wówczas zabierała też swoją czarną, kudłatą i szczekliwą suczkę Gameę. Każdy z nas był wówczas wyposażony w podręczny chlebaczek, w którym nie mogło zabraknąć: kanapek, słodczy i picia, najczęściej kompotu w zamykanej gumką krachli.

Drogi w Lesie Wolskim zostały pokryte asfaltem dopiero w połowie lat 60-tych i wtedy można tu było poszaleć na rowerze. Często jeździłem tu wtedy moją „młodzieżówką” i z kolegami z klasy: Piotrkim Kaniewskim czy niezawodnym „Grubasem”, kiedy objeżdżaliśmy te niełatwe technicznie, leśne trasy. Punktem szczytowym naszych wypraw był zawsze Sowiniec, jednak na jego zarośnięty szczyt nie sposób było wyjechać. Tu trzeba dodać, że wyjechanie serpentynami do ZOO zwykłą młodzieżówką wymagało wielkiego wysiłku, zwłaszcza pokonanie fragmentu powyżej Baby Jagi, ale w tym wieku nic nie było niemożliwe. Za to zjazd w dół tą samą trasą był prawdziwą frajdą i w pełni rekompensował włożony wcześniej wysiłek, choć była to niebezpieczna przygoda. W swoich rajdach czasem docieraliśmy aż po Skałę Kmity w Zabierzowie czy klasztor w Tyńcu.



Fot. nr 296. Figura Matki Boskiej – fundacja Marii i Ludwika Schneiderów z roku 1930, obiekt przy trakcie leśnym wiodącym z ZOO do Przegorzał. (2013)

Pamiętam jedną z wypraw do ZOO, z samego początku lat 60-tych, odbytą w towarzystwie ciotki Karolki, która o dziwo dała się tu wyciągnąć. Po zwiedzeniu ogrodu zoologicznego, gdzie dawno nie była, obeszlśmy ZOO dookoła, a następnie drogą obok przedwojennej figurki Matki Boskiej, ufundowanej przez małżeństwo Schneiderów, po całodziennym mozole dotarliśmy na przystanek autobusowy do Przegorzał, drogą obok dawnej willi Hansa Franka, jak przynajmniej twierdziła moja Mama. Był to wyjątek, że ciotka poszła z nami na spacer, gdyż słynęła z wyjątkowej niepunktualności i umawianie się z nią nie miało sensu. Często składała wizyty po godzinie 22, żyjąc własnym, niczym niezakłóconym rytmem życia: rano spanie, a w nocy „urzędowanie”, zwykle do godziny trzeciej nad ranem.

Było jeszcze inne ulubione miejsce w Lesie Wolskim, do którego zawsze lubiliśmy jeździć, a mam tu na myśli Bielany z klasztorem i piękną Polaną pod Dębina, z czterystuletnimi dębami zasadzonymi ponoć przez sprowadzonych tu wtedy zakonników. Dojeżdżało się tutaj autobusami MPK kursującym z pętli autobusowej na Salwatorze, mieszczącej się na końcu ulicy Senatorskiej, które odjeżdżały w kierunku: Kryspinowa, Liszek i Kaszowa. Jego trasa wiodła poprzez: ulicę Księcia Józefa, Przegorzały z willą Belweder na wysokiej skale po prawej stronie, a następnie obok starych wodociągów krakowskich, ze zbiornikiem wody na rzece Sance po lewej stronie drogi. Po pokonaniu serpentyn wysiadało się na przystanku przy alei Wędrowników, wiodącej do kościoła i klasztoru Kamedułów.



Fot. nr 297. Niczym jeszcze niezarośnięte zbocze Srebrnej Góry od strony ulicy Orlej, gdzie dziś rosną winogrona. Skan ze slajdu z wiosny 1992.



Fot. nr 298. Z kościołem Kamedułów w tle. Skan ze slajdu z wiosny 1992.

Lubiliśmy odwiedzać to miejsce zwłaszcza w Zielone Świątki, kiedy odbywał się tu odpust i było pełno kramów ze świecidełkami oraz we wrześniu, gdy z drzew opadały kasztany, ulubione przez dzieci dary natury. Kasztanowce licznie ocieniały alejkę prowadzącą do lasu.



Fot. nr 299. Polana Pod Dębina. Skan ze slajdu z wiosny 1992.



Fot. nr 300. Schron amunicyjny na szczycie Ostrej Góry jak przed pół wiekiem. (2013)

Z Polany pod Dębina, drogą nieco pod górę, obok schronu amunicyjnego z czasów Twierdzy Kraków, który był usytuowany na Ostrej Górze, docieraliśmy do ZOO, a stamtąd traktem w dół schodziliśmy do autobusu na przystanek przy ulicy Kasztanowej. Wtedy jeszcze nie kursował autobus linii 134, który potem dowoził pod samo ZOO. W drodze powrotnej obowiązkowo zahaczaliśmy o nieistniejącą już dziś małą kawiarenkę Babę Jagę. Była to fikuśnie malowana, drewniana chałupka na wzór bajkowej chatki, usytuowana, jak już wcześniej wspomniałem, przy wjeździe do lasu od strony ulicy Leśnej (starej Woli). Tam zajadaliśmy się batonami czekoladowymi, piernikami bądź cukierkami orzechowymi, popijaliśmy oranżadą. Baba Jaga, postać zaczerpnięta z mitologii słowiańskiej, znana z wielu bajek, zawsze kojarzyła mi się z jej domkiem zbudowanym z pierników i czekolady, umeblowanym różnymi pachnącymi słodkościami. Ten domek na skraju lasu dobrze oddawał klimat tej bajki i był bardzo lubianym przez małych krakowian obiektem, bo wrósł w pejzaż Lasu. Jeszcze w czasach dzieciństwa mojej córki, czyli w połowie lat 80-tych, czasie pustych półek sklepowych, można tu było kupić i to bez kartek, czekolady „Danusie”, batony „Maćki” lub „Studenckie”. Ale z czasem ta „bajeczna kawiarenka” zaczęła się powoli przekształcać w bar piwny, gdzie najczęściej urzędowali żołnierze z pobliskiego garnizonu na Woli. Kiedyś była własnością PSS „Społem” i tak trwała do początku lat 90-tych, kiedy ta częśćka mojego dzieciństwa niespodziewanie spłonęła i została rozebrana. Czy będzie wiernie odtworzona, bo są takie pomysły? Po akcji Dziennika Polskiego i red. Anny Agaciak w 2016 roku pojawiła się nawet szansa na jej rekonstrukcję, z wykorzystaniem do tego celu moich zdjęć, które udostępniłem, ale niestety na planach się skończyło.

Od czasu do czasu jeździliśmy też do Kryspinowa. Autobusy w tym kierunku, popularne Jelcze - „ogórki”, również odchodziły z pętli na Salwatorze. Wysiadało się obok osiedla Lotniczego, a dalej polną drogą przez las sosnowy dochodziło się na kameralną polanę uroczyńska Celiny. Stąd były już tylko dwa kroki na wzgórze usłane niewielkimi skałkami, stanowiące naszą bazę. W dole, na piaszczystym podłożu rósł bujny, kilkuletni młodnik sosnowy, którego drzewka ledwie równały się z moim wzrostem i dlatego zabawa chowanego w takiej scenerii była przednia, bo żeby się ukryć trzeba było tylko nieco przykucnąć. Mama, zawsze zmęczona i niedospana, odurzona zapachami pobliskich pól i łąk lubiła się zdrzemnąć w cieniu jakiegoś drzewa, podczas gdy my buszowaliśmy po okolicy i to na pełny gaz. Niedaleko skalistego wzniesienia, tuż za wspomnianym młodnikiem rozciągały się pola uprawne, na których m.in. rosła rzepa. Jakże smakowało te świeże warzywa dyskretnie podkradzione z ogromnego pola i obrane przez mamę, kiedy po całodziennym uganianiu się w towarzystwie braci Bruzdów człek zgłodniał niemiłosiernie.

Dziś pozostało tu tylko boisko piłkarskie, bo młodnik stał się krzaczastym lasem, pobliskie wzgórze pozarastały chaszczami, zaś dawne pola uprawne po części zajęły gęste zarośla z dominującą tu tarniną, a po części rozlokowały się tutaj ogródki działkowe z „wypasionymi” daczami. Teren poza nazwą w niczym już dziś nie przypomina tak urokliwych kiedyś i popularnych, choć nigdy niezatłoczonych terenów rekreacyjnych i ze smutkiem można rzec, że dawny czar tego miejsca przysł niczym bańka mydlana. Niedaleko stąd, przy ulicy Orlej, znajduje się willa Zbigniewa Wassermana, tragicznie zmarłego pośła, który kiedyś zasłynął w mediach wykonaną u niego w domu wanną; mówiło się wtedy: „wanna Wassermana”.

Często odwiedzanym przez nas w dzieciństwie miejscem był Zakrzówek i Skały Twardowskiego. Mieliśmy tam wygodny dla nas dojazd autobusem linii 114 spod AGH, bo pętla autobusu znajdowała się niemal pod samym skalnym „kanionem”, przy końcu ulicy Twardowskiego. Po skręceniu za Mostem Dębnickim trasa autobusu wiodła przez stare Dębniki, które swym wyglądem przypominały ciągle prowincjonalne miasteczko z czasów galicyjskich. Od sielskiego z wyglądu rynku, który był targowiskiem, autobus jechał ulicą Bałuckiego, a dalej po pokonaniu ulicy Bocznej, obok starej kapliczki wpadał na ulicę Twardowskiego, którą po przecięciu ulicy Kapelanka podążał w kierunku Skał. Kapelanka była wtedy ledwie lokalną ulicą, która kończyła się na dzisiejszej ulicy Kobierzyńskiej. W tych czasach prowadzona była jeszcze eksploatacja kamienia wapiennego w kamieniołomie miejskim, usytuowanym w lewej części wzgórza dawniej zwanego Krzemionkami Dębnickimi. Jego przeciwna strona, od strony ulic: Wyłom i Ruczaj, też była „wyszczerbiona”, bo czynny był tu inny, wielki kamieniołom, pracujący na potrzeby zakładów Solway, zwanych wtedy Krakowskimi Zakładami Sodowymi, po którego niecce pozostał dziś wspaniały zbiornik wodny – „krakowski fiord”.



Fot. nr 301. Dobrze przeze mnie zapamiętana stara kapliczka na rogu ulic: Dworskiej i Bocznej, bo obok niej pół wieku temu przejeżdżał pod Skały Twardowskiego autobus linii 114 podążający ulicą Bałuckiego i Boczna od strony Rynku Dębnickiego. (2012)



Fot. nr 302. Przed roгатką przy ulicy Szwedzkiej. Skan ze slajdu z wiosny 1988.



Fot. nr 303. Nieistniejący już dom z samego końca ulicy Twardowskiego, który jeszcze do niedawna trwał w częściowej ruinie – zdjęcie z moją córką z 1990-go roku.

W dni powszednie, chyba na kwadrans przed godziną trzynastą, rozlegała się syrena ostrzegawcza, a o równej 13 w kamieniołomie miejskim odbywał się odstrzał urobku. Po usłyszeniu sygnału trzeba było pilnie opuścić niebezpieczny teren poza granice urobiska znaczone grubą, stalową liną, rozwieszoną na słupkach. A potem czekaliśmy już tylko na huk eksplozji, po którym w powietrzu unosił się drobny pył.



Fot. nr 304. Współczesna panorama Skał Twardowskiego, czyli wspomnienie części dawnego krajobrazu – widok z ulicy Ceglarskiej. (2010)



Fot. nr 305. Sielski do niedawna klimat fragmentu ulicy Ceglarskiej przy jej wylocie do ulicy Twardowskiego. Taki obraz Zakrzówka utkwił na stałe w mojej pamięci. (2010)

Już wtedy, w latach 60-tych, potężne solvayowskie wyrobisko, świetnie widoczne ze szczytu Krzemionek, swoim ogromem robiło wielkie wrażenie. Nasz wzrok przyciągały również wagoniki kolejki wąskotorowej, które z czeluści skalnej dowoziły urobek skalny prosto do fabryki sody, mijając po drodze Wilgę i ulicę Zakopiańską. Eksploatację tej gigantycznej odkrywki, funkcjonującej niemal przez 100 lat, została zakończona wraz z likwidacją Solvay'u, a więc na początku lat 80-tych, a ja chodząc tu potem przez lata na spacer z córką obserwowałem kolejne stadia napełnienia tego gigantycznego zagłębienia, choć nigdy nie przypuszczałem, że poziom wody sięgnie aż tak wysoko.

Jako małe bobasy najczęściej urzędowaliśmy w dawnym, nieczynnym już wtedy fragmencie wyrobiska, zlokalizowanym w prawej części kanionu, a więc od strony ulicy Salezjanskiej. Jeździliśmy tu zwłaszcza w niedziele i święta, bo wtedy było tu bezpieczniej. W uroczej niecce byliśmy pochłonięci kopaniem w piłkę, grą w „cerso”, zabawą w podchody bądź chowanego. Razem z bratem tworzyliśmy parę niezwykle ruchliwych, choć zadziornych względem siebie urwisów, ale, jak to bywa z dziećmi, byliśmy „niejadkami”. Mama różnymi sposobami próbowała w nas coś wepchać, nie żałując przy tym pieniędzy na dobre rzeczy: kiełbasę wiejską, cielęcinę czy owoce egzotyczne, ale i tak miała z tym zawsze problemy. I właśnie na świeżym powietrzu podczas harców i gonitw zawsze dopisywał nam apetyt.



Fot. nr 306. Odsłonięte przedpole Skał Twardowskiego. Skan ze slajdu z wiosny 1988.

Pamiętam jeden taki wypad na „Skałki”, gdy mama zabrała ze sobą gołąbki, gdy te w domu wyraźnie nie szły. Z czasem, gdy wygłodnieliśmy, podgrzała je w rondelku na zrobionym na prędcie z kamyków palenisku i te w mig znikły. Od tej chwili już nie grymasiliśmy na gołąbki, które moja mama zawsze sporządzała w mistrzowski sposób, nie na sucho, lecz zawsze w delikatnym sosiku. Może wspomnienie tego pierwszego w życiu biwaku powoduje, że do tego miejsca, które znajduje się u podnóża skalnego wyrobiska po dawnym kamieniołomie miejskim, gdzie dziś królują adepci wspinaczki górskiej, mam szczególny sentyment. Byłby on jeszcze większy gdyby nie fakt, że okolica gwałtownie zarasta bądź podlega zabudowie, więc obszar przyjemnych spacerów systematycznie się kurczy.

Wczesną wiosną ulubionym miejscem spacerów były wały wiślane w okolicy przystani KKW-29. Przemarsz zaczynał się na pętli tramwajowej na Salwatorze, jeszcze starej, gdzie na Rudawie moście była mijanka, a dalej trasa wiodła obok klasztoru Norbertanek, spod którego przewoźnik przeprawał pasażerów przez Wisłę pod dębnicki kościół i klasztor Salezjanów, zlokalizowany u podnóża Skał Twardowskiego. Po niedługim marszu chodnikiem, biegnącym wzdłuż murku przy ulicy Księcia Józefa, a więc w sąsiedztwie Wisły, niedaleko za bunkrem amunicyjnym usytuowanym w narożu z ulicą Malczewskiego skręcało się w lewo, w kierunku przystani wioślarskiej KKW-29 zlokalizowanej nad samą rzeką. Po drodze, z lewej strony, mijano się dawny azyl dla bezdomnych zwierząt, przy którym zawsze zatrzymywaliśmy się na dłużej. Żal nam było patrzeć na te bezdomne, biedne psiaki i warunki w jakich bytowały, ale w tym czasie jeszcze mało kogo tak na poważnie interesował ich los.



Fot. nr 307. Ostróg bramny (bunkier przydrożny) z czasów Twierdzy Kraków na skrzyżowaniu ulic: Księcia Józefa Poniatowskiego i Jacka Malczewskiego, przynależny do tzw. Bramy Bielańskiej. (2012)

Po pokonaniu nasypu, po którym przez krótki okres czasu, gdzieś w latach 1964-65 jeździła ciuchcia w kierunku Bielania (tak krótko, że ja nie zdążyłem się nią przejechać), schodziliśmy na nabrzeże rzeki, gdzie rozciągały się dawne tereny zalewowe. Tu w popowodziowych stawach budziły się do życia żaby, rechocząc i składając skrzek, a nad ich brzegami rosło wiele kosmatych wierzby i te pięknie rozkwitały białymi i żółtawymi kotkami. Zerwane gałązki miały nam w domu przypominać o nadejściu wiosny, którą zawsze wyobrażałem sobie jako smukłą damę w pięknym, białym welonie, sunącą po ziemi i wznecającą życie za dotknięciem swej czarodziejskiej różdżki.

Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, że kiedyś można się było kąpać na Wiśle i to na plaży podobnej jak nad morzem. Taka urocza plaża była rozłożona naprzeciw Wawelu, niemal u wylotu Smocznej Jamy, a druga była usytuowana w pobliżu mostu łączącego Kazimierz z Podgórzem, od strony ulicy Krakowskiej. Aby dojść do tej pierwszej trzeba było wysiąść na pierwszym przystanku za Mostem Dębickim i przejść na drugą stronę ulicy, a później po kamienistej dróżce (kocie łby), odgródzonej od krawędzi wału metalową poręczą, schodziło się w dół, by po jakichś stu metrach wejść prosto na wiślany piasek, bardzo przyjemny, bo drobniutki. Wiśla była wtedy jeszcze naturalną rzeką, z łagodnym dojściem do jej nurtu, bo betonowe ocembrowanie jej brzegów zaczęło dopiero powstawać pod koniec lat 60, gdy na Wiśle funkcjonował już stopień wodny na Dąbiu, a kąpiel została zabroniona. Za plażą, od strony Dębick, znajdowała się jakaś przystań, ponoć AKS, może kajakowa, a dalej pod Skałką ludzi przez Wisłę ciągle przewoził łodzią przewoźnik.



Fot. nr 308. Wisła na przedpolu Skałki w latach 50. zeszłego wieku. W tle widoczne odsłonięte zbocza Krzemionek Podgórskich i nieistniejący fort „Krzemionki”. Tu tutaj jako przewoźnik do końca lat 60. pracował Paweł Żemliński. (AN w Krakowie)



Fot. nr 309. Widok na mój ukochany Wawel z brzegu dębnickiego. Na pierwszym planie z Wisły wyłania się plaża, na której jako dziecko uczyłem się pływać. Dziś ten temat znów zaczyna czasem powracać, ale ostatecznie wybrano dość prymitywny wariant suchej, tandetnej plaży pod dawnym Hotelem Forum. (2011)

Na tej uroczej plaży, usytuowanej naprzeciw majestatycznej sylwety Wawelu, kąpaliśmy się do 1963 roku, gdy zabroniono kąpieli w rzece z uwagi na przekroczenie wszelkich dopuszczalnych norm zanieczyszczenia. Zaczynał się okres degradacji królowej polskich rzek. Pamiętam upalny wrzesień z 1963 roku, kiedy kąpaliśmy się tutaj przez cały miesiąc. Z kolei chyba na jesieni 1961 roku, kiedy szykowana była amerykańska interwencja na Kubie, który to szczegół utkwiał mi w pamięci, były z kolei wielkie ulewy i woda sięgała korony wałów. Byliśmy w domu spakowani i przygotowani do ewakuacji, ale jakoś nam się upiekło, choć strach był potworny, bo tak się składało, że ulica Czysta znajdowała się na potencjalnym obszarze zalewowym.

To na Wiśle nauczyłem się pływać pieskiem, potem „młynkiem” (styl polegający na kręceniu przed sobą ugiętymi rękami niczym turbina) i „boczkim”, a na końcu nawet „trupkiem” bądź „na trupka”, czyli leżąc na plecach w bezruchu na wodzie, będąc unoszony tylko przez nurt rzeki, choć początkowo oczywiście pływałem „po warszawsku”, czyli brzuchem po piasku. Te trzy ostatnie style, poza doskonale opanowanym od bobasa „warszawskim”, doskonaliłem już w okresie późniejszym na Rabie w Gdowie, podobnie jak nurkowanie „strzałką”, które polegało na dawaniu nura pod wodę z wyciągniętymi do przodu rękami, z dłońmi złożonymi niczym strzała. Na poprawne pływanie: żabką, kraulem, „grzbietem” czy „motylem”, a także skakanie do wody, początkowo „na nogi”, a potem już „na główkę”, trzeba było poczekać kilka lat, na późniejsze już czasy basenowe. Po kąpieli, zawsze wymarznęty zakopywałem się w gorącym piasku rzeczonym. Z rozkoszy gorącego piasku korzystała też moja mama, która wygrzewała tu swoje zreumatyzowane kości. Na końcu kąpieliska pływały czerwone boje wyznaczające jego dozwolony kraniec, a kąpielisko dla dzieci ograniczały boje koloru żółtego. Dalej, na środku rzeki, woda była już zbyt głęboka, ponadto pływały tam statki rzeczne i barki. Ale i tak zdarzali się śmiałkowie, którzy przepływali na drugą brzeg rzeki, wprost pod Wawel, a wówczas często zgarniała ich Milicja Wodna, bo ta w lecie pilnie patrolowała teren. Lubiliśmy jak stróże prawa przepływali swoimi motorówkami koło plaży, bo wtedy powstawały fale, namiastki tych morskich, które uatrakcyjniały zabawę w wodzie. W nas dzieciakach ciekawość wzbudzały też przepływające pod Wawelem wielkie barki zwane galarami, najczęściej załadowane węglem bądź piaskiem.

Największą jednak atrakcją początku lat 60-tych stanowiły statki rejsowe: Nimfa i Majka, a z czasem też Wanda, co jakiś czas odpływające w kierunku Bielan z przystani pod Wawelem. Do końca lat 50-tych pływał jeszcze Światowid, parostatek z bocznym kołem napędowym, którego komin trzeba było schylać przy pokonywaniu Mostu Dębnickiego. Światowid utkwiał gdzieś na dnie mojej pamięci, ale teraz wiem, że w latach 50-tych po Wiśle kursował jeszcze „Krasicki”. Wówczas powstawały naprawdę potężne fale, niemal jak na wzburzonej morzu, a zabawa była najprzedniejsza. Nurkowanie „strzałką” w grzbiet takiej fali nieraz przypłaciłem łknięciem wody, niezbyt już wtedy czystej, a potem trzeba było ją wykaszleć.

Jakże trudno dziś sobie wyobrazić, że Wisła mogła być kiedyś czystą rzeką, a jeszcze w okresie międzywojennym była ona ponoć całkiem przejrzysta i w upalne dni jej brzegi po Bielany i Tyniec były oblepione przez spragnionych kąpeli krakusów, co i ja pamiętam. Nie było wtedy problemów z brakiem miejsc do kąpeli. Przy wylocie Rudawy do Wisły jeszcze chyba w latach 50. istniała utworzona przed wojną przez TUR plaża „Krokodyl”. Swoje młodzieńcze kąpiele w Wiśle pięknie opisuje Władysław Krygowski w swoich wspomnieniach: „W moim Krakowie nad wczorajszą Wisłą”. W latach 20-tych wypuszczał się on na Zwierzyniec, kilkaset metrów za klasztor Norbertanek, w okolicy dzisiejszej przystani KKW-29, gdzie piasek wiślany tworzył dziką plażę, a woda była czysta jak kryształ. W czasach mojego dzieciństwa Wisła już taka nie była.

Na początku lat 60-tych kilka razy odbyliśmy spacery wałami Wisły aż pod klasztor Salezjanów, mieszczący się naprzeciw klasztoru Norbertanek na Zwierzynku, co jak na moje małe nóżki było dość daleką wyprawą, wszak odległość od naszego domu wynosiła z dobre sześć kilometrów. Droga wzdłuż wału wiślanego wiodła obok dawnego pałacu Lasockich, a następnie posterunku Milicji Wodnej, zlokalizowanego na pomoście nad rzeką, gdzie w wiślanej toni „parkowały” motorówki z napisem: Milicja Wodna. W okresie letnim były one widoczne i słyszalne na całej długości rzeki, w tym na plaży pod Wawelem. Owa droga była pokryta zdradliwą, nieregularną kostką wapienną, na której nietrudno było upaść i rozbić kolano. Z wielkim zaciekawieniem obserwowałem stąd ujście Rudawy do Wisły, z majestatycznym klasztorem, który niemal dotykał rzeki, szczególnie przy wezbranych wodach na przedwiośniu i przy późnojesiennych szarugach.



Fot. nr 310. Niezmienny od lat fragment krajobrazu z kościołem Norbertanek i Kopcem Kościuszki w tle, choć okolice Kopca systematycznie zarastają. Widok z okolic klasztoru Salezjanów i ulicy Czarodziejskiej. (2015)

Jak już wcześniej wspomniałem, w sąsiedztwie klasztoru Norbertanek działał przewoźnik, który łódką wyposażoną w wiosło przewoził ludzi na drugi, dębnicki brzeg. Nieraz mieliśmy ochotę na taką wodną podróż, ale mama najwyraźniej bała się dużej wody i skutecznie nas do takiej przeprawy zniechęcała, bo na jej wyobraźnię nadal mocno działał strach przed wielką wodą, odbłask po wylewach Raby zapamiętanych przez nią z czasów jej dzieciństwa. Może jeszcze warto powtórzyć, że druga taka przeprawa funkcjonowała pod Skałką, a przewoźnik nazywał się Paweł Żemliński, co wiem od Jacka Kullandy.

Podchodząc z trzysta metrów w górę rzeki, w stronę szańca ziemnego (FS-29) zlokalizowanego na nadwiślańskiej skale i w sąsiedztwo osiedla wojskowego wybudowanego przy ulicy Praskiej, z wału wiślanego rozciągał się piękny widok na Wzgórze Salwatorskie, z majestatycznym kościołem Św. Salwatora i kaplicą Św. Małgorzaty. Na szczycie łagodnego wzniesienia, wokół którego rozpościerały się pola uprawne i ogródki działkowe, dominował monumentalny Kopiec Kościuszki i przyległe do niego gigantyczne zabudowania fortu Kościuszko, częściowo w stanie ruiny. Ale celem naszych dalekich wypraw w okolice kościoła i klasztoru Salezjanów były mecze piłkarskie, który były rozgrywane przez zespół ministrantów kościoła Kapucynów, gdzie pierwsze skrzypce grali m/in.: Krzysiek Gędłek, nasz starszy kolega z kamienicy i jego starszy kolega Tomek Danek, lider zespołu, z drużyną kleryków z seminarium salezjańskiego. Odbyły się dwa takie mecze, oba na boisku w pobliżu klasztoru usytuowanego w bliskości wału wiślanego. Oba były niezwykle zaciekle jakby ich stawka była bardzo wysoka. Grano niemal „na noże”, wszak wybujałe ambicje zawodników obu drużyn brały górę nad zdrowym rozsądkiem, choć z założenia miała to być przyjacielska zabawa.



Fot. nr 311. Chałupa z ulicy Czarodziejskiej, czyli wspomnienie dawnych Dębnik. (2009)

Pierwszy mecz wygrali klerycy 4:3, ale wydatnie pomógł im w tym sędzia-ksiądz, który wypaczył wynik meczu. To poczucie wyrządzonej krzywdy wywołało jeszcze większą furję pośród ministrantów i chęć doprowadzenia do rewanżu. Odbył się on po tygodniu i był równie zaciekły i ostry, ale tym razem „nasi” pewnie wygrali 4:2, a Krzysiek strzelił dwie bramki, czym później długo obnosił się na podwórku. Po meczu tryumfom nie było końca, a klerycy nie chcąc pogodzić z przegraną szybko uciekli z placu boju. Do następnej gry nigdy już nie doszło, może i dobrze. Tak to bowiem ideały chrześcijańskie raz jeszcze pozostały na papierze, a wydarzenia te, których razem z mamą i bratem byliśmy naocznymi świadkami, już wtedy wzbudziły we mnie jakiś niesmak, tym większy, że do szowinizmu podpuszczali starsi księża salezjanie, opiekunowie i nauczyciele kleryków. Marni pewnie z nich wyrosli księża i marna była ich przyszła boska posługa. Słabo zaludnione kiedyś okolice wokół klasztoru Salezjanów dziś bardzo się zmieniły, wszak w jego sąsiedztwie powstał Park Dębnicki, który zajął dawne ugory i ogródki działkowe. Niestety ostatnio na jego obrzeżu wyrosło wielkie blokowisko, które wręcz wlewa się na jego i nawet sam park był przez jakiś czas zagrożony, gdy teren jakimś „dziwnym” trafem wykupiło mroczne dla Krakowa konsorcjum ECHO, z siedzibą w Kielcach, dla którego nie ma w naszym mieście świętości. Dodatkowo „zasłynęło” ono m.in. wykupieniem i chęcią diametralnej przebudowy dawnego Hotelu Cracovia, ale na szczęście do tego niedoszło, wszak Skarb Państwa za ogromną kwotę 30 mln zł odkupił w końcu ten obiekt i bez demolki architektonicznej powstanie tu filia Muzeum Narodowego

Kto dziś pamięta, że funkcje basenu Krakowa pełniła również Rudawa na całym odcinku od Norbertanek, po Mydlniki i Skałę Kmity. Na rzece regularnie były wykonywane tamy, zwykle z grubych kamieni, które skutecznie ją spiętrzały i wówczas na takich mini zalewach było nawet ponad półtora metra głębokości. O sporej głębokości rzeki przekonałem się na własnej skórze, gdyż topiłem się w niej dwa razy. Gdzieś w 1964 roku poszliśmy nad Rudawę z Kopciową, bo mama była akurat bardzo zajęta i z radością przyjęła propozycje sąsiadki, a razem z nami poszła cała wataha kolegów Kazia, wyrosniętych już dryblasów, którzy zbijali bąki na placu Hanki Sawickiej. Kto mógł przypuszczać, że Kopciowa okaże osobą skrajnie nieodpowiedzialną. Doszliśmy nad rzekę w okolice stadionu Juvenii i w tym miejscu było pewnie ze 160 cm głębokości, bo woda sięgała mi po oczy. Zachęcane przez Kopciową małolaty zaczęły skakać z wysokiego brzegu prosto do wody, a ja maluch stałem obok niej i przyglądałem się tym popisom. W pewnym momencie Kopciowa zaczęła i mnie podpuszczać, bym i ja oddał skok, a ja nie chcąc wyjść na tchórza po chwili namysłu rozpędziłem się i wylądowałem w rzece. Od razu mnie przytopiło, bo woda była zbyt głęboka, łyknąłem parę haustów, ale na szczęście jakoś opanowałem sytuację, bo spadłem na dno blisko brzegu i po zrobieniu kroku zrobiło się płycej, więc nawet nikt nie zauważył, że przez spora chwilę byłem podtopiony i ciężko wystraszony, wszak stałbym się pewnie przedmiotem kpin.

Podczas tej sesji skoków ciężkiego skaleczenia w stopę doznał mój brat i tak bardzo krwawił, że konieczna była fachowa interwencja. Na szczęście po przeciwnej stronie rzeki znajdowało się przedszkole i stamtąd przyszła z pomocą pielęgniarka, która została zaalarmowana przez jakiegoś przechodnia i założyła fachowy opatrunek, ale krwi nalało się z garnuszek. Był to nasz ostatni wypad z Kopciową, bo mama była przerażona moją opowieścią i stanem stopy brata, nadającej się do szycia.

Drugim razem, gdzieś w 1966 roku, topiłem się już poważniej. Działo się to na odcinku powyżej trzeciego mostu, gdzie woda miała podobną głębokość. Byłem tutaj z „Grubym”, ale on był ode mnie wyższy i dla niego była to dobra woda. Pływał on sobie wzdłuż rzeki, ja tylko w poprzek: od brzegu do brzegu, ale po pewnym czasie zapragnąłem mu towarzyszyć. Puściłem się z brzegu w jego kierunku, ale w pewnym momencie nieopatrznie chciałem sprawdzić głębokość i tu spotkała mnie niespodzianka: było tu tak głęboko, że gwałtownie zacząłem pić wodę, rozpaczliwie przy tym machając rękami. Już dobrze popiłem, gdy ktoś z wałów dostrzegł niebezpieczeństwo, skoczył do wody i doholował mnie do brzegu. Ten incydent był już naprawdę groźny i najadłem się sporo strachu. Od tej pory czułem już respekt przed nieznaną wodą, ale z czasem pływałem już coraz lepiej i żadna głębina nie była dla mnie straszna. I dziś dużo pływam, można powiedzieć bardzo dużo, nie bojąc się wody, a tamto wydarzenie na szczęście nie pozostawiło w mojej psychice trwalszego śladu, jedynie nauczyło mnie do wody pokory.

Jako małe dziecko często chodziłem się kąpać właśnie nad Rudawę dokąd z domu, przez Park Jordana i Błonia, było najwyżej z pół godziny drogi. Były tu dwa takie „jakby” kąpieliska dla dzieci: przed drugim mostem, koło boiska Zwierzynieckiego i przed trzecim, powyżej stadionu Juvenii, a przed ogródkami działkowymi i ulicą Piastowską. Wielu Krakusów chodziło się kąpać aż pod drewnianą ławę, pod same Mydlniki. Przechadzki do ławy, zwłaszcza wczesną jesienią, były żelaznym punktem naszych spacerów. W drodze powrotnej mama często kupowała zielone pomidory, które były wystawiane na sprzedaż przez właścicieli ogródków działkowych, a potem przetwarzała je na wspaniałe, pikantne sałatki.

Może powtórzę tu raz jeszcze, że już od czasów Średniowiecza Rudawa została rozdzielona się na jazie w Mydlnikach, powyżej dzisiejszej stacji wodociągów przy ulicy Filtrowej, na dwa nurty: główny, który początkowo biegł mniej więcej wzdłuż dzisiejszego koryta (raczej bliżej ulicy Hamernia), gdzie m.in. służył lokalnej kuźni i Młynówkę Królewską i ta wzdłuż ulic: Zarzeczce i Piastowskiej docierała pod Pałac Królewski w Łobzowie, by dalej płynąć wzdłuż ulic: Grottgera i Łobzowskiej do tzw. Górnego Młyna, który stał w narożu z dzisiejszą ulicą Garbarską, a dalej do Dolnego Młyna, obiektu wodnego na styku ulic: Krupniczej i Dolnych Młynów. Połączenie koryta głównego, zwanego z czasem Niecieczą i Młynówką Królewską do początku XX-go wieku następowało na skraju Błoń, w okolicy alei Mickiewicza i ulicy Wenecja, a dalej wspólny nurt podążał na tyłach Sokoła, by pod Sercankami skrócić ostro w ulicę Retoryka i znaleźć ujście do Wisły w sąsiedztwie Placu Kossaka.

Przebieg Niecieczy i Młynówki Królewskiej na terenach przylegających do Błoń i ulicy Wenecja zmieniał się wielokrotnie od połowy XIX wieku po I dekadę XX wieku, kiedy ich koryta zostały w tym fragmencie ostatecznie skanalizowane do roku 1912.

Odnoga Młynówki Królewskiej, zwana Młynówką Bronowicką, która oddzielała się od jej nurtu w pobliżu zabytkowej figury w Małych Bronowicach (na styku ulic: Filtrowej i Na Błonie), płynęła z kolei przez pola Czarnej Wsi, by połączyć się z głównym korytem właśnie na jazie przy ostrym skręcie w ciągu ulicy Mydlnickiej. Tu rzeka rozdzielała się na trzy nurty: Młynówkę Kawiorską, która płynęła przez Kawiory i w pobliżu ulicy Czystej oraz Alei wpadała do Młynówki Królewskiej, Młynówkę Norbertańską, której dawne koryto biegło mniej więcej po linii obecnego przebiegu rzeki i znacznie już spowolniony przez odpływy główny nurt, zwany Niecieczą, a ten podążał wzdłuż Błoń i Parku Jordana, by na tyłach Sokoła połączyć się z Młynówką Królewską. Opis ten dotyczy stanu do początku XX-go wieku, a więc sprzed wielkiej akcji regulacji biegu rzeki i budowy wałów, kiedy w latach 1907-1912 jej koryto zostało puszczone przez Zwierzyniec, by znaleźć ujście do Wisły przy klasztorze Norbertanek. Mapy przebiegu Rudawy i ich młynówek dodałem na początku rozdziału.



Fot. nr 312. Zgliszcza dawnej stodoły ukryte pod warstwą winorośli. W tle kikuty wierz, które kiedyś porastały brzegi Rudawy. Jedna z jej odnóg płynęła wtedy od strony Mydlnik (ulicy Filtrowej). Widok z wału Rudawy na styku z ulicą Mydlnicką. (2012)

Tu przy zakręcie ulicy Mydlnickiej, przy samym wale stała wiekowa stodoła, dziś już w stanie agonalnym i w objęciach winorośli, która wtedy jeszcze dobrze służyła miejscowym ogrodnikom, a wokół mostku w ciągu ulicy, w sąsiedztwie dawnego jazu widoczne były jeszcze ślady dawnych rozlewisk rzecznych.

W tle, pośród starych wierzb, ukryta była dawna osada złożona z kilku starych chałup, której resztki przetrwały do dzisiaj, wraz z kilkoma kikutami wiekowych wierzb. Ślad Młynówki Bronowickiej, które przecinała pola Czarnej Wsi na odcinku od ulicy Filtrowej po wspomniany wyżej jaz, jeszcze dziś znaczą wiekowe wierzby, dobrze widoczne z obwałowań rzeki, choć z upływem czasu jest ich tu coraz mniej. Również wzdłuż ulicy Mydlnickiej przy Cichym Kąciku zachowały się wielkie wierzby, a w bliskości ulicy Piastowskiej nadal dobrze widoczne jest zagłębienia po dawnym, głównym korycie rzeki.

Podczas mroźnej zimy, a w czasach mojego dzieciństwa było ich kilka, koryto Rudawy skuwał lód i wówczas jej lodowa powierzchnia, zwłaszcza w pobliżu Salwatora, była wykorzystywana do gry w hokeja. Na odcinku między ulicami Puszkina i Kościuszki wydzielono wtedy kilka mini „lodowisk”, na których uganiali się przyszli adepci tej gry, przeważnie uczniowie szkół nr: 31 i 32, nie bacząc przy tym na grożące im niebezpieczeństwa. Hokej był wówczas bardzo popularną dyscypliną, głównie dzięki regularnym transmisjom telewizyjnym z mistrzostw świata, w których wyraźnie dominowali Rosjanie, choć moja sympatia zawsze była po stronie: Kanady, Szwecji bądź Czechosłowacji. W mistrzostwach uczestniczyli tylko tzw. amatorzy, więc drugi garnitur graczy kanadyjskich i amerykańskich, wszak ci najlepsi, grający w lidze NHL, byli uważani za zawodowców i trzeba było ponad dwudziestu lat, by i ich dopuszczono do gry; wkrótce potem Rosjanie z wolna zaczęli przegrywać, co zawsze wielu bardzo cieszyło.



Fot. nr 313. Fragment Rudawy z „ławą” na pierwszym planie, kiedyś drewnianą kładką, dziś już betonowym mostkiem. Ponoć dawniej zwano ją „czerwonym mostkiem”. (2012)

Pamiętam inną „wielką wyprawę” z początku lat 60-tych do Kurdwanów. Nasza sąsiadka, słynna Kopciowa, miała tu swoją siostrę i raz zaproponowała nam wspólne jej odwiedziny. Była to całodniowa, daleka wyprawa o jakiej nam się nawet nie śniło. Najpierw długa jazda tramwajem nr 8 do pętli w Borku Fałęckim, potem wspinaczka na Górę Borkowską, a następnie zejście ulicą Jugowicką do torów kolejowych, w sąsiedztwo rzeki Wilgi, która wkrótce stawała się ściekiem Zakładów Sodowych SOLVAY. Ulica ta była wtedy rzadko uczęszczaną i chyba posiadała jeszcze szutrową nawierzchnię. Pamiętam, że tu na jakimś spiętrzeniu rzeki, w jej brudnym, brązowym nurcie kąpały się jakieś dzieciaki, skacząc z mostu do wody. Dalej trasa spaceru wiodła koło stawów osadowych i przez stary Kurdwanów, jeszcze o wiejskim charakterze zabudowy. Lokalna, wiejska droga wznosiła się potem lekko pod górę, a następnie biegła łagodnym zboczem wzniesienia. W końcu dotarliśmy do starej, otoczonej sadem, wiejskiej chałupy, już u podnóża Rajskiej, skąd rozciągał się piękny widok na nieckę Krakowa, a w tle dymiącą dymiły kominy Hutą Lenina. Pamiętam, że zastane tu sielskie otoczenie od razu skojarzyło się mi się z Bilczycami i zagrodą mojej babki. Dziś mógłbym szczegółowo odtworzyć tę trasę, która od Góry Borkowskiej biegła ulicami: Jugowicką, Podmokłą, Łężce, Cechową, Podgórkami, a potem Miarową, na której poboczu była usytuowana ta zagroda.



Fot. nr 314. Nieistniejąca już chałupa ze z ul. Cechowej na starym Kurdwanowie. (2009)

Tutaj niezbyt gościnnie przyjęła nas siostra Kopciowej, widać zaskoczona taką niespodziewaną, niedzielną wizytą. My usiedliśmy w sadzie, w cieniu drzew owocowych, by ochłoniąć nieco od upału, ona zaś na chwilę weszła do środka i niebawem ruszyliśmy w podróż powrotną. Gdy zmęczeni i głodni wróciliśmy na pętlę w Borku Fałęckim było już dobrze pod wieczór. Nawet patrząc dzisiejszą miarą był to spory dystans, wymagający naprawdę sporej krzepy.

Inną atrakcyjną wyprawą mego dzieciństwa, która zachowała mi się w pamięci, był wyjazd z Gędkową, naszą sąsiadką z kamienicy i jej synem Jackiem do jej umierającej ciotki mieszkającej na Woli Duchackiej. Trzeba było podjechać, chyba trzynastką, a może jeszcze szóstką, do skrzyżowania ulic: Wielickiej i Kamieńskiego, gdzie znajdowała się pętla autobusu linii 104, który jechał na Wolę. Dla w tym czasie mnie była to całkowicie dziewicza wyprawa, choć dziś w tych okolicach mieszkam i znam je perfekcyjnie. Zatrzymaliśmy na pętli koło kościoła w Piaskach, a dom konającej ciotki znajdował się w jego sąsiedztwie. Dom był rozległy, murowany, a owa ciotka, wtedy już nieopuszczająca swego łóżka, zamieszkiwała bodaj w jego lewej części od wejścia, w pojedynczej izbie. Gędkowa pozostała chwilę przy umierającej ciotce, podczas gdy my z Jackiem zaczęliśmy buszować po ogrodzie, który znajdował się na tyłach domu i po najbliższej okolicy. Posesja przylegała do cmentarza przykościelnego, wokół którego rosły wysokie topole, co dokładnie zapamiętałem. Jakże łatwo dziś, po wielu latach, rozpoznaje to miejsce, wtedy tak dla mnie zupełnie nieznanie i przez to egzotyczne.



Fot. nr 315. Przedwojenny, rozległy dom wielorodzinny z sąsiedztwa plebanii przy ulicy Cechowej na Piaskach Wielkich, gdzie zakończyła swój żywot ciotka Ireny Gędkowej. (2010)

Dopiero niedawno przypomniał mi się daleki wyjazd do Bronowic Wielkich gdzieś w roku 1966, gdzie na terenie plebanii przy starym jeszcze kościele franciszkańskim, zlokalizowanym na początku ulicy Ojcowskiej, mama miała solidnie posprzątać jej wnętrze, a przy tym uporządkować i wyplewić jej ogrodowe przedpole i zaplecze. Kościółek czy raczej kaplica, był skromny, jeszcze drewniany, natomiast plebania była już solidna, bo murowana, jak się wydawało niedawno wybudowana.

Pojechaliśmy tam wczesnym rankiem we czwórkę, bo dodatkowo z Jackiem Gędkiem, wszak mieliśmy mamie pomagać w plewieniu ogrodowych ścieżek i ona miała nam coś za to „odpalić”, ale ta praca szybko nam się znudziła, więc wszystkie te roboty musiała z mozołem wykonywać sama, bo my zaczęliśmy się zabawiać w rozległym ogrodzie. Gdzieś koło godziny 14 proboszcz zaprosił nas wszystkich na bogaty obiad, gdzie na drugie danie był ogromny sznycel, bo choć nie był on specjalnie zadowolony z tego nalotu, to jakoś musiał wyjść z tej sytuacji z twarzą, wszak mama została tu polecona przez jego kościelną znajomą, którą była bodaj pani Łukasiewicz, osoba społecznie pracującą przy parafii św. Szczepana na Nowej Wsi. Mama dla niej i jej siostry coś tam okazyjnie prała, a ona miała dobre serce i nigdy o nas nie zapominała, wszak rozdelała świąteczne paczki żywnościowe w suterenie budynku parafialnego, usytuowanego od strony ulicy Sienkiewicza. Obie te starsze panie, stare panny, były bardzo pobożne, ale o naprawdę wysokim morale i czasem dodatkowo dawały coś mamie dorobić. Z tego co pamiętam zajmowały jeden pokój na I piętrze w kamienicy przy ulicy Sienkiewicza bodaj nr 8 (nie dam głowy czy nie były to nawet trzy siostry). Po pani Łukasiewicz pozostało mi dobre wspomnienie, bo nie był to typ uciążliwej dewotki, ale osoba bardzo oddana słaniu pomocy ludziom biednym, a u nas w mieszkaniu pod nr 8 często bywała, bo sama sobie tutaj odbierała drobne przepierki, najczęściej pościeli, za co oczywiście przykładowie płaciła.

Wracając do maminej „fuchy” z Bronowic Wielkich, które w tym czasie były jeszcze na przysłowiowym „końcu świata”, gdzie napracowała się ona naprawdę solidnie, na wykonanie całości prac musiała przeznaczyć ze trzy wyjazdy, a w następne dni już chyba tylko ja tylko jej towarzyszyłem i coś tam usiłowałem jej pomóc, zwłaszcza przy odkurzaniu wnętrza. Nie pamiętam dokładnie jak tam dojechaliśmy, ale chyba jakimś podmiejskim autobusem z pętli tramwajowej w Bronowicach Małych. Warto jeszcze dodać, że sieć drożna z tych lat była zupełnie inna niż obecnie, a jej dawny układ oddają ostałe do dziś nazwy ulic: Katowicka, wówczas główna „arteria” wiodąca z Bronowic w kierunku Katowic (starej drogi katowickiej) czy Ojcowska, będącą drogą wylotową w kierunku Ojcowa i Olkusza.

W dzieciństwie, co może dziwić, jakoś nigdy nie dotarliśmy z mamą do Tyńca, choć był tam wygodny dojazd z Rynku Dębnickiego autobusem linii 112. Te straty obijałem sobie dopiero później, w latach 80-tych, gdy penetrowałem te okolice na spacerach z córką.

W dni powszednie dla rozrywki lubiłem towarzyszyć mamie w jej podróży do KKS-u, który mieścił się w podziemiach budynku dawnego Sokoła przy ul. Manifestu Lipcowego 27. Znajdował się tam cały kompleks administracyjno-sportowy: pomieszczenie biurowe, świetlica, magazyn sprzętu, szatnia z natryskami i dwa podłużne stanowiska z planszami pośrodku, przedzielone arkadami. Mama przychodziła tu około południa zanim około godziny 16 nie pojawiali się: pan Prorok, złota rączka, który miał swój warsztat poniżej schodów wejściowych, a te wiodły w dół, młodzi adepci szermierki i ich trenerzy. Kadre trenerską tworzyli m.in: małżeństwo Sołtanów (Maria, czynna jeszcze zawodniczka i Stanisław), Zbigniew Przeździecki i Tadeusz Friedrich, który dawał szczególnie „ostry wycisk”.

Sekretariat prowadziła bardzo miła pani Lucyna Osińska, która nie zawsze zamykała na klucz szufladę z pieczętkami i firmowymi drukami, co czasem skrupulatnie wykorzystywał mój brat, by kilka razy „prysnąć” ze szkoły, wówczas już TM, gdy na klubowej maszynie do pisania wypisywał sobie zaświadczenie o niby odbywających się w tygodniu zawodach szermierczych i tak był zwalniany z niewygodnych dla niego lekcji, np. choćby fizyki, z którą miał poważne problemy. Świetlica była wyposażona w kilka atrakcyjnych gier sprawnościowych: piłkę nożną, hokej na lodzie i bilard (z grzybkiem pośrodku), więc nie było tu czasu na nudę. Ponadto, zwłaszcza w zimie, można się było nagrać do woli piłką na dwóch rozległych korytarzach treningowych i to bez żadnych hamulców, bo okien tam nie było, lecz jedynie przysłonięte kratką niewielkie lufciki, a przy okazji wykapać się pod prysznicami z gorącą wodą, co dla nas było bardzo cenne zważywszy na brak w naszej izbie bieżącej wody oraz ubikacji. Nieraz, gdy mama była bardzo zajęta, chodziłem tam sam, by posprzątać bodaj buro, ale zawsze czułem strach przed tymi rozległymi piwnicami, gdzie bez światła elektrycznego było bardzo ciemno i by je zaświecić trzeba było przez dobrą chwilę pogrążyć się w czeluści, a nawet gdy już było jasno z każdego kąta, których było tam mnóstwo, czaił się wyimaginowany przeze mnie potwór. Gdzieś w połowie lat 60. odbył się tu huczny Sylwester i pozostały po nim do uprzątnięcia suto zastawione stoły. Mieliśmy wtedy wyborną ucztę kulinarną, a wszystko co się da kazano nam zabrać do domu.

Po drodze zaliczaliśmy przyjemny spacer zacienioną i peryferyjną ulicę Wenecja. Była to ciekawą ulicą, a jej nazwa cofała nas do czasów, gdy płynęła tędy Rudawa, która uchodziła do Wisły w pobliżu placu Kossaka. Na rogu z Krupniczą 42, po lewej jej stronie, w efektownym, neorokokowym pałacyku Lewalskich, w którym w początkowych latach III RP mieścił się konsulat austriacki, znajdowało się przedszkole „Nafty”. Z pięknego ogrodu, który na jego tyłach przylegał do ulicy Wenecja, zwykle dochodziły odgłosy dziecięcych krzyków i pisków, bowiem tutaj mieścił się rozległy plac zabaw. Z prawej strony ulicy znajdowały się budynki warsztatów Technikum Mechanicznego, a z ich okien zawsze wyglądały liczne rzesze uczniów, bo ci tu woleli szukać wytchnienia niż huczących przy maszynach.

Po lewej stronie, w narożu z ulicą Cybulskiego, gdzie stoi solidny, przedwojenny budynek (ulica Wenecja 19), na jego parterze, w niemałym mieszkanku mieszkał dobrze już leciwy i kulawy starszy pan, ponoć wdowiec, który często siedział w ogródku pod oknem swojego mieszkania i przyglądał się spacerującym przechodniom. Na początku lat 60-tych do tego jegomości dotarła Kopciowa i bez zgody mojej mamy zaoferowała mu pośrednictwo w doprowadzeniu do ich małżeństwa, wszak on, wg naszej sąsiadki, z racji swojego wieku potrzebował opieki, a nam przydałoby się większe mieszkanie. Nieraz, kiedy przechodziliśmy koło tego domu, próbował on podchodzić do ulicy, ale mama, widząc zażenowaną sytuacją, szybko czmychała. My nawet nie chcieliśmy słyszeć o sytuacji, by mama wyszła za mąż za takiego „starego pryka”, a i mamie pomysł Kopciowej kompletnie nie przypadł do gustu, wszak i przy nas miała wystarczająco dużo roboty.

Starcowi jednak, wg Kopciowej, jej pomysł wyraźnie się spodobał i nie obawiał się nawet obecności małych dzieci. Przez jakiś czas sytuacja była niezręczna, wtedy jednak sprawy w swoje ręce wzięł mój brat i pewnego razu, kiedy starzec przybliżył się do chodnika, widząc zbliżającą się mamę, mój brat krzyknął w jego kierunku: „stary pryk” i tak jego zainteresowania małżeństwem się zakończyły. Wybrał inną, dobrze już starszą panią i zmarł po roku, zostawiając jej swoje mieszkanie, po czym w następnych latach Kopciowa nieraz zarzucała mojej mamie lekkomyślność i brak wyobraźni, ale pewnie dobrze, że sprawy przybrały taki obrót.

Naprzeciw budynku, w którym mieszkał „stary pryk”, za ceglanym murkiem znajdowały się boiska sportowe Technikum Mechanicznego i Technikum Chemicznego, na których hulala młodzież. Było tu dużo przestrzeni, bo sala gimnastyczna stojącą dziś na zapleczu TM, w sąsiedztwie ulicy Humberta, została wybudowana dopiero w połowie lat 70-tych. Nieraz w zimie i ja tu zaglądałem, gdyż na parterze budynku Technikum Chemicznego mieszkał Zbyszek Lamkowski – „Lany”, mój kolega z klasy, który w tym czasie blisko przyjaźnił się z moim bratem i nawet przybrani rodzice Zbyszka zabierali go na wspólne wakacje na Mazury, skąd pochodził jego ojciec. Tu w czasie zimowych ferii, gdzieś w latach 1966/67, na zalanym zimą lodowisku, będąc pod wrażeniem mistrzowskich meczów oglądanych w telewizji i spotkań I-ligowej drużyny „Pasów”, uczyłem się podstaw gry w hokeja i robiłem szybkie postępy. Drewniane „hokejki” i gumowe krążki do gry były łatwo dostępne w sklepach sportowych, aczkolwiek hokejkom tym daleko było do klasy „smoleniówek”, którymi grywali ligowi gracze. Warto przypomnieć, że epoksydowe „kije” Bronisława Smolenia z Męciny koło Limanowej były wtedy jednymi z lepszych na świecie.

Hokej był moją krótkotrwałą przygodą, bo po prostu nie było gdzie grać, choć sama dyscyplina bardzo mnie fascynowała. Bodaj w siódmej klasie grałem nawet na lodowisku Olszy w reprezentacji szkoły, w której brylował cyborg – Jacek Dycyan i nawet strzeliłem tam jedną bramkę, ale był to tylko epizod. Potem zimy stały się jakby z lżejsze, a ponadto po wstąpieniu do TE wśród nowych kolegów nie było już klimatu do uprawiania tej dyscypliny.

Na wprost ulicy Humberta, nieco w głębi ulicy Wenecja (nr 11?), gdzie dziś stoi budynek Instytutu Onkologii z bombą kobaltową, kiedyś, gdzieś do końca lat 60-tych stała stara willa, bodaj piętrowa, ale był to bardzo zaniedbany budynek. Był on przeludniony lokatorami, podobnie jak „pałacyk” zlokalizowany na rogu ulic: Michałowskiego 15 i Grabowskiego. W suterenie tego budynku razem z liczną rodziną, w tym kilkoma siostrami, mieszkał Jurek G. - „Goryl”, kolega z klasy mego brata, późniejszy znany „waluciarz”. Jak niebezpieczny był to „zawód” niech poświadczony fakt, że chyba gdzieś w połowie lat 80-tych, a może jeszcze wcześniej, w ramach wewnętrznych porachunków „Goryl” został ciężko pobity i stracił wszystkie zęby i przez jakiś czas był tak zsiniały, że nie mogłem go poznać, a mimo to nadal pracował w swoim „zawodzie”. Ten zrujnowany, wolnostojący budynek, kiedyś pewnie okazały, został jednak wkrótce wyburzony w związku z rozbudową Instytutu Onkologii.

Na rogu ulicy Humberta 2-4 i Wenecji 6 stał powojenny już, trzypiętrowy blok mieszkalny, w którym mieszkało bez mała „pół szóstki”, koledzy szkolni ze starszych i młodszych klas, w tym Andrzej Kowalik, późniejszy geodeta z Kopalni Soli w Wieliczce, z którym w pewnym okresie czasu miałem tam bliski kontakt, bo ja też pracowałem na terenie tej Kopalni, tyle że w firmie „SPG Górtech”.

Przy końcu ulicy Wenecja (nr 2), po jej prawej stronie, w dawnej willi „Wenecja” mieścił się oddział PIHM (Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny), na której zewnętrznej ścianie od strony ulicy był przytwierdzony wielki, łatwy do odczytania, może metrowy termometr; działał on jeszcze dość długo, może do końca lat 80.

Nieco dalej w kierunku Sokoła, jeszcze na posesji zajmowanej przez PIHM i ogrodzonej od jezdni metalową siatką, w bliskości ulicy stał malutki, jednoizbowy domek (pod koniec lat 90-tych już w ruinie), kiedyś pewnie jakaś dozorcówka, gdzie może do połowy lat 70-tych „gnieździło się” aż pięć osób: wielki, gruby i brodaty mężczyzna, chudziuteńka i niewielka jego żona i trójka córek, takich „patyczków” bardzo podobnych do matki. Najstarsza z nich była w wieku brata, najmłodsza zaś była młodsza ode mnie może ze dwa lata. Nieraz zadawałem sobie pytanie: jak oni mogą się tam pomieścić, bo izba mieszkalna nie miała więcej niż 12 m², a przedsionek był dosłownie miniaturowy. Nie wiem o co poszło, ale kiedyś, podczas przechodzenia przed ich domkiem, zaczepił je „Gruby”, a one na jakieś jego obraźliwe uwagi coś mu brzydko odpowiedziały. Wówczas rozsierdzony „Grubas” stwierdził, że wszystkie te dziewczuchy są: „bystre, jak woda w srocu” i tak oto zostały one ochrzczone jako „Bystre”. Zawsze potem, przez wiele lat, tak je nazywaliśmy - „Bystre” i kiedy nagle stąd znikły jakoś ich było brak. Niedawno, po wielu latach, dowiedziałem się od Andrzeja Kowalika, że ten brodaty grubas był artystą malarzem.



Fot. nr 316. Domek „Bystrych” z ulicy Wenecja 4. (12.02.2011)

Naprzeciw „Bystrych”, na parterze kamienicy pod nr 1, narożnej z ulicą Garncarską, mieszkał Marek Pawlicki, wówczas jeszcze doktor, potem znany onkolog-chemioterapeuta, dziś emerytowany profesor, dla którego dystyngowanej matki moja mama świadczyła drobne usługi pralnicze. Co ciekawe, że jego piękna żona zmarła gdzieś w połowie lat 70-tych właśnie na raka, a całą tą historię dobrze znałem z przekazów mamy, która mimo woli była świadkiem tej tragedii.



Fot. nr 317. Istniejący do dzisiaj, dawny kiosk ogólnospożywczy Wiktorii Garlej – „Garlejki”, zlokalizowany naprzeciw Sokoła, na dawnej ulicy Manifestu Lipcowego, (12.02.2011)

W tym miejscu ulica Wenecja wyginała się w kierunku kościoła „Sercanek”, a między Sokołem i ulicą Garncarską znajdował się spory placyk, dziś znacznie okrojony poprzez przedłużenie ulicy Wenecja do ulicy Piłsudskiego. Na początku lat 60-tych, na styku tego placyku i ulicy Manifestu Lipcowego wybudowano nową, nowoczesną jak na owe czasy, bo okrągłą „leówkę” z samospłukiwaniem, ale ten przybytek ulgi, stojący nieco na uboczu, był często dewastowany przez okolicznych lumpów i nie przetrwał dłużej niż 10 lat. Tu obok tego „okrągłaka” wraz z całą „podstawówką” witaliśmy we wrześniu 1964-go roku cesarza Etiopii - Haile Sellasje, który przejeżdżał ulicą Manifestu Lipcowego; takie to były „egzotyczne” czasy dla polityki, kiedy „bratnie narody” były i w Afryce.

Naprzeciw budynku Sokoła rzucał się w oczy kiosk ogólnospożywczy „Garlejki”, nadal istniejący, gdzie idąc do KKS często popijałem przy ladzie słynną „landrynowkę” prosto z krachli, po czym zwracało się opróżnioną butelkę.

Wejście do KKS prowadziło od kortów piłki ręcznej Cracovii i aby się tam dostać trzeba było otworzyć metalową bramkę od ulicy Manifestu Lipcowego, do której mama miała potężny klucz. Ponieważ piwnice Sokoła były bardzo rozległe i tajemnicze, więc była ona zadowolona, gdy tam z nią chodziłem. A chodziłem bardzo często, bo lubiłem te lochy, gdzie można było szaleć bez żadnych ograniczeń. Komfort dawała również możliwość korzystania z prysznic, bo lepsze to było niż mycie się w metalowej balii w naszym mieszkaniu, w wodzie podgrzewanej w metalowym garze do gotowania bielizny na blasze kuchennego pieca. Pewnego roku gwałtowna ulewa zalała te piwnice i po wysuszeniu pomieszczeń parkiet tak się wypaczył, że porobiły się wielkie góry o najprzedziwniejszych kształtach. Trzeba było dwóch czy trzech miesięcy, by pomieszczenie wysuszyć i położyć nowy, a mama w tym czasie miała mniej pracy, wszak działalność klubowa przez ten czas całkowicie zamarła.

Na krótkie omówienie, jak mi się wydaje, zasługują również nasze miejskie wyprawy. Nasza mama nie mogła patrzeć jak się nudzimy i zawsze próbowała urozmaicić nam życie, często odrywając się od swoich zajęć, a te przerwy, jak już wspomniałem, nadrabiała nocami.

Żelazną pozycją były wyprawy na Wawel i przyległe do niego wały wiślane. Z Wawelu zawsze rozciągały się cudowne widoki w kierunku Krzemionek Dębnickich i Kopca Kościuszki. Wtedy czynna była jeszcze, potem przez dziesięciolecia zamknięta, trasa spacerowa prowadząca od pomnika Kościuszki, a dalej, obok świeżo zrekonstruowanego fragmentu murów obronnych w sąsiedztwie Baszty Złodziejkiej, do Smoczej Jamy, która wiodła skrajem wzgórza. Ta ostatnia była w tym czasie nieczynna do zwiedzania, choć wejście od strony Wisły nie było zagrodzona i tu w letnie wieczory gromadziły się różne lumpy. Pamiętam jak w piątej klasie SP, na wycieczce w ramach lekcji biologii pani Kołconowa pokazywała nam skamieliny różnych skorupiaków, które były odcisnięte na wapiennych skałach wystających obok Smoczej Jamy, czego dziś już nie uświadczysz.

Wieczorem, w dzień sobótki Świętojańskiej, a więc św. Jana, obowiązkowo chodziliśmy nad Wisłę na tradycyjny pokaz puszczania na wodzie pływających wianków i oczekiwane z zapartym tchem pokazy sztucznych ogni, które były końcowym etapem całej imprezy.

Aby zająć sobie dobre miejsce na wale, najlepiej w okolicy późniejszego Jubilata, trzeba było przyjść dużo wcześniej, obowiązkowo z własnym kocem. Impreza ta była wówczas o wiele bardziej kameralna niż ta z dzisiejszych czasów, gdy jest nadęta głośną muzyką i naznaczona opilstwem młodych ludzi, którzy mają nikłe pojęcie o romantycznej, jeszcze pogańskiej tradycji całej imprezy. Pływające wianki, puszczane w dół rzeki z okolic mostu Dębnickiego, wprawiały w melancholijny nastrój. Dopiero około północy, a więc na zakończenie, odbywała się kanonada sztucznych ogni, wystrzeliwanych z okolic późniejszego Mostu Grunwaldzkiego przez wyspecjalizowaną jednostkę wojskową, rozbłyskujących na tle sylwety wzgórza wawelskiego. Dopiero dobrze późną nocą docieraliśmy do domu, jeszcze długo przeżywając pokazy. Impreza ta była wtedy tak popularna, że wały były nabite ludźmi do ostatniego miejsca, choć za wstęp trzeba było coś tam zapłacić.

Innym miejscem częstych wypraw były Planty, a zwłaszcza sadzawka w okolicy budynku LOT, na styku ulic: Sławkowskiej i Basztowej. W części bliżej Barbakanu wokół wyspy urzędowały łabędzie, a w drugim jej fragmencie pływały kolorowe rybki, które można było oglądać z mostku przerzuconego nad sadzawką. Mostek ten dzielił sadzawkę na dwie części, a dodatkowo przedzielała je zamontowana pod nim siatka. Niełatwo było zdobyć miejsce w pobliżu balustrady skąd widoczność była najlepsza, bo ta zawsze była „oblepiona” przez dzieciarnię. Lubiliśmy chodzić tam wieczorami lub nawet nocą, kiedy wodotrysk, urządzenie usytuowane na środku stawu, świecił kolorami tęczy od kolorowych szybek zamontowanych w jego wnętrzu. Zbaczaliśmy tu zawsze, kiedy przez Planty wracaliśmy z odwiedzin u ciotki Karolki na Osiedlu Oficerskim. Dziś fontanna dalej funkcjonuje, ale ani kolorowych rybek, ani łabędzi, ani nawet kolorowych strużek wody w barwach tęczy już nie ma. Najdłużej, bo do końca lat 80-tych, utrzymały się łabędzie.

W latach 70-tych, czym wybiegam nieco w przyszłość, charakterystyczną postacią Krakowa, krążąca po Plantach od strony ulic: Straszewskiego, Podwale i 1-Maja, był mocno zaniedbany jegomość, pan Stanowski, regularnie spacerujący z drabinką na plecach, który kulturalnie rozmawiał z przechodniami i widać było, że pomimo żebraczego stroju jest człowiekiem pełnym ogłady i bynajmniej nie nadużywającym alkoholu, co odróżniało go od innych plantowych lumpów i towarzyszących im „niuniek”, często przesiadujących i śpiących na ławkach zwłaszcza w okolicach Barbakanu. W tej okolicy urzędowały też kobiet lekkich obyczajów zwane „plantówkami”, które często oddawały swe „wdzięki” w zamian za uczestnictwo we wspólnym spożyciu „jabola” bądź „jagodzianki”. Ów kulturalny kloszard często zatrzymywał się zwłaszcza w okolicach bunkra sztuki i pomnika Grottgera, gdzie nieraz też zaglądał do koszy ze śmieciami. Pamiętam, że raz wyciągnął stamtąd nieco podgnitego już pomidora, wytarł go w rękaw swego poszarpanego, a przy tym brudnego odzienia i ze smakiem go zjadł. Prawdopodobnie nocował gdzieś w zrujnowanych wówczas pomieszczeniach na styku Plant z klasztorem Franciszkanów i ta drabinka była mu potrzebna do forsowanie murku.

Inną, jeszcze bardziej znaną postacią Krakowa z końcowych trzech dekad XX wieku, widywaną na obrzeżu Plant był Stefan Dymiter, kaleki cygański skrzypek, prawdziwy wirtuoz tego instrumentu, który pospołu z kapelą dużo młodszych pobratymców koncertował zarobkowo w sąsiedztwie Bramy Floriańskiej, zwykle przy barze Pod Basztą, zawsze z charakterystycznym kiepem w ustach. Pamiętam go od lat 70-tych, kiedy na swoim inwalidzkim wózku, z bezwładnymi nogami, wygrywał śpiewne cygańskie melodie, a przed nim stała czapka na drobne datki, która nigdy nie była pusta. Gdy trzeba go było gdzieś przenieść, któryś z młodszych kompanów bez problemu brał go na ręce, bo było to istne chucherko. Kilkanaście lat później, już bez amputowanych mu nóg, nadal grywał na swoim instrumencie i czynił to niemal do końca swego żywota, budząc pośród mieszkańców Krakowa prawdziwy podziw i stając się z czasem jego ikoną. Zmarł na początku XXI wieku, ale pozostawił po sobie trwałą ślad.



Fot. nr 318. Na mostku na sadzawce pod siedzibą LOT na Plantach, jeszcze z łabędziami, które na stałe znikły z tego miejsca na początku lat 90-tych. Skan ze slajdu z lata 1988.

Nie sposób nie wspomnieć o Ogrodzie Botanicznym. Tą oazę ciszy i spokoju odwiedzaliśmy nie za często, też zazwyczaj przy okazji wizyt u ciotki Karolki. Ten relikwiot ogrodu romantycznego zachował się do dziś w niemal niezmienionej postaci, choć zapewne teraz jest bardziej zadbane niż dawniej, ale może przez to może mniej tajemniczy. Zawsze urzekał mnie stary staw rybny, zlokalizowany w jego centrum, zarośnięty: zieloną rzęsą, pałkami wodnymi oraz żółtymi liliami, po których pływały kaczkami krzyżówkami, a w jego nieco mętnawej wodzie błyskały kolorowe rybki, to złote, to czerwone.

Nad skrajem stawku, który był pozostałością po romantycznym kiedyś ogrodzie, tuż przy jego dopływie przerzucony był malowniczy, drewniany mostek, do którego na linie doczepiona była drewniana łódka, ale bez możliwości popływania sobie na niej po wodnej toni. Stawek otaczała wysypana starym żwirkiem alejka, a w jej sąsiedztwie, w cieniu zabytkowego dębu, stały sobie stare, drewniane ławeczki, w tym jedna starodawna, jeszcze kamienna.

Sentyment do tego miejsca pozostał mi na zawsze i często bywałem tu również w latach 80. już z moją żoną i córką, ale dziś, odkąd mam psa, rzadko już tu zaglądam, do czego i przesadnie wysokie ceny za wstęp zniechęcają.



Fot. nr 319 (319-321). W Ogrodzie Botanicznym. Tu przed gmachem dawnego Obserwatorium Astronomicznego. Skan ze slajdu. Wiosna 1984.



Fot. nr 320. Nad starym stawem. Skan ze slajdu z wiosny 1991.



Fot. nr 321. Na kwietnej górcie nad drugą z sadzawek. Skan ze slajdu z wiosny 1984

W budynku gospodarczym, zlokalizowanym na terenie Ogrodu, mieszkała Katarzyna Zagól z domu Wojas, pochodząca z Jaroszewki koło Gdowa siostra żony wujka Marcela, zwana w rodzinie „Kaśką”, pospołu ze swoją rodziną. Jej mąż był tu w zimie palaczem, a lecie jakimś pracownikiem gospodarczym i za te stałe usługi zajmowali tam oni jakiś niewielki lokal mieszkalny. Rodzina ta, znana nam bliżej z opowieści mamy, wydawała nam się jakaś dziwna, skoro z bodaj pięciorga dzieci dwie córki zostały zakonnice, a syn księdzem. Mama najwyraźniej nie darzyła ich jakąś szczególną sympatią, choć „Kaśkę” znała jeszcze sprzed wojny, kiedy okazyjnie odwiedzała ją w jej rodzinnym domu, gdy często bywała u swej siostry „na Klęczanej”, a więc w sąsiedniej w stosunku do Jaroszewki wsi i po zakończeniu spacerów zawsze miała jakiś opór, by złożyć tam wizytę. Może tylko raz zdołała się przełamać.

XI. Sport

Stadiony piłkarskie odwiecznych rywali: Cracovii i Wisły sąsiadowały ze sobą przez Błonia zwane „Wielką Łąką”. Podobnie w naszym domu linia podziału biegła przez środek mieszkania: ja kibicowałem Wiśle, może na przekór bratu, on zaś Cracovii, podobnie jak kiedyś ojciec. Miał pecha, bo okres świetności Cracovii właśnie szybko mijał i drużyna ta rzadko grała w I lidze, a zaczynała się wyraźna supremacja Wisły, ale akurat w połowie lat 60-tych był krótkotrwały, jednoroczny wzlot jego drużyny. Co się u nas działo podczas „derbów” Krakowa nie sposób opisać. W przypadku zwycięstwa Cracovii, co w zasadzie zdarzyło się tylko raz, zapewne w 1964 roku, gdy na swoim stadionie w II-ligowych derbach odniosła ona zwycięstwo bodaj 1:0, mój brat wyśmiewał ze mnie bezlitośnie, ale źle znosił sytuacje odwrotne, a takie zaczęły się przydarzać nagminnie. Kibice obu drużyn nie przepadali za sobą, ale takich aktów chuligaństwa i wandalizmu jak dzisiaj nie było. Przeciętny kibic mógł iść na mecz bez obawy o własne życie, nawet bez ukrywania swoich sympatii.

Pasję kibicowania od wczesnego dzieciństwa wpajał w nas ojciec, który był namiętnym kibicem Cracovii, ale i Wiśle kibicował razem ze swoimi kuzynami: Heńkiem i Bolkiem Hablami z ulicy Miechowskiej. Mnie zabierał na mecze, gdy byłem jeszcze w takim wieku, że gra mnie nie interesowała. Potem, po jego śmierci, już dobrowolnie zacząłem tam chodzić, najpierw z bratem, a później, gdzieś od około połowy lat 60-tych już sam bądź z kolegami. Na stadion wchodziło się z nieznanym „gościem”, zadając mu najpierw pytanie: „czy mogę z panem wejść”. Były to czasy, że na mecz można było wprowadzić dziecko za darmo, ale pod warunkiem, że będzie posiadało ono opiekę, bodaj teoretyczną. I tak darmowo wchodziłem przez całe lata to na Wisłę, to na Cracovię. W latach następnych, a więc już jako młodzieniec, musiałem sobie radzić w inny sposób, np. uprawiając różnego rodzaju „desanty”, wszak nie za bardzo chciałem naciągać matki na dodatkowe wydatki.

Przez pewien okres czasu wchodziłem na stadion Wisły razem z trampkarzami Cracovii, których na pół godziny przed meczem wpuszczał na stadion Marek Mączyński, ich kierownik, bo taki panował tu zwyczaj, niezmienny przez wiele lat. Był to przemiły człowiek, który dobrze znał Karolka Pstrósia, byłego trampkarza Cracovii, mego przyjaciela z TE i bez zmrużenia oka, za powiedzeniem: „dzień dobry Panie Kierowniku”, przepuszczał też na stadion całą watahę przypadkowych młokosów i to mimo asysty tutejszych porządkowych. W moim dzieciństwie funkcjonował jeszcze stary stadion Cracovii z drewnianą, krytą trybuną, która spłonęła 16 grudnia roku 1963, a nie na początku roku 1964 jak dotąd sądziłem, gdy byłem na łyżwach na Sokole, więc widziałem ten pożar na własne oczy. Jako dzieciak nieraz próbowałem przedostać się z tzw. „miejsc stojących” na trybunę, gdzie znajdowały się „miejsca siedzące”, ale było to zbyt trudne, bo strefy tej strzegli liczni porządkowi, a i siatka graniczna była niełatwa do sforsowania. Siedzenie na trybunie, na twardych ławach, przy świetnej akustyce, było dla dzieciaka wielką frajdą.



Fot. nr 322 (322-323). Wspomnienie starego stadionu Cracovii, który spłonął w grudniu 1963 roku. Tu drewniana trybuna wg stanu na rok 1938. (NAC)



Fot. nr 323. Widok z trybuny w stronę ulicy Senatorskiej na uroczystościach TG Sokół – 1935. (NAC)

Aby się tam dostać korzystałem czasem z pomocy „Grubego”, który sprzedawał „bajgle” u Krupińskiego - „Krupy”, prywatnego przedsiębiorcy i fanatyka Cracovii i mógł tam przechodzić bez łaski porządkowych. Niosłem więc kosz z obwarzankami razem z „Grubasem” i tak z rzadka łądowałem na wygodnym i zadaszonym siedzeniu. Trybuna posiadała niepowtarzalną akustyką i charakterystyczny, bo żywiczny zapach drewna.

Może kilka słów o krakowskich ligowcach z lat mojego dzieciństwa, których to zawodników jeszcze dobrze pamiętam z autopsji.

Wisła z początku lat 60-tych, z Leśniakiem w bramce (czasem z potężnym Karczewskim) i ze słynnym tercetem obrońców: Monica, Kawula, Budka, pomocnikami: Michele, Zalmanem i Snopkowskim oraz napastnikami: „szybszym od wiatru” Syktą i „dziadkiem” Machowskim, była krajowym średniakiem. Grało się wtedy systemem: 3-2-5 (trzech obrońców, dwóch pomocników i pięciu napastników, w tym dwóch łączników), a więc bardzo ofensywnie. Gra rzadko była brutalna, a jakiegokolwiek wślizgi pod nogi należały do rzadkości i traktowane były jako faule. Do legendy przeszły „bombowe” uderzenia „Władka” Kawuli z rzutów wolnych, tzw. „atomówki”. Później do drużyny wkroczyli: Kotlarczyk, Polak, Wójcik, Rusinek, Skupnik, Studnicki, Lendzion oraz bramkarz Stroniarz, pozyskany z Cracovii, ale w większości była to już legia zaciężna z całej Polski, typowi ligowi średniacy. Wisła stopniowo obniżała swój poziom gry. Ta przeciętna I-ligowa drużyna, bez znanych nazwisk, bezpośrednio po natychmiastowym awansie z II ligi w 1965 roku, dokąd rok wcześniej spadła po raz pierwszy w dziejach klubu, w 1966 roku zdobyła wicemistrzostwo Polski, a rok później Puchar Polski, choć tym razem tylko cudem uniknęła spadku. W latach 1964-67, w okresie od drugoligowego spadku po wspomniane sukcesy sekcji piłkarskiej, jeśli idzie o zdobyte trofea, jej trenerem był mało znany Czesław Skoraczyński. Po nim przyszedł Mieczysław Gracz, słynny jej powojenny piłkarz, ale raczej kiepski szkoleniowiec, którego pseudonim z racji sepleniącej mowy brzmiał „Mesu” (Mieciu). Po niezbyt długiej przygodzie z Wisłą Gracz trenował potem zespół Garbarni, też z nienajlepszym skutkiem. Na znaczące sukcesy trzeba było poczekać dopiero do połowy lat 70-tych, kiedy do gry weszło pokolenie cudownych dzieci wiślackich, wychowanków trenera Lucjana Franczaka z drużyny dwukrotnego mistrza Polski juniorów, m.in.: Michał Wróbel, Adam Nawałka, Andrzej Iwan, Leszek Lipka, Jan Jałocha, Krzysztof Budka, Leszek Pawlikowski, Andrzej Targosz, Marek Holocher czy Janusz Krupiński, do których dołączył Marek Motyka, wspierając pierwszą falę wychowanków: braci Szymanowskich, w tym słynnego Antoniego, Andrzeja Obarzanowskiego, Zdzisława Kapkę, Jerzego Płonkę, Andrzeja Garleja, Marka Kustę i Janusza Adamczyka. Takiej plejady gwiazd własnego chowu nigdy już potem nie było. Doprawdy trudno wytłumaczyć, dlaczego zespół ten nie podbił Europy, choć zdobywał i mistrzostwo Polski i osiągał widoczne sukcesy w europejskich pucharach, a przez reprezentację Polski przewinęła się większość z tych chłopaków, choć najczęściej tylko epizodycznie. Można to tylko wytłumaczyć: brakiem rasowego trenera z charyzmą, olewaniem przez zawodników treningów i masowe ich „wyskoki”, o czym dopiero dziś wiemy więcej. Zmarnowanie tego potencjału doprawdy trudno pojąć.

Na te dobrze znane ekscesy, po przecież do kibiców docierały takie sygnały, nie potrafiło należycie reagować kierownictwo sekcji i klubu.

Pamiętam decydujący mecz o spadku Wisły do drugiej ligi na wiosnę 1964 roku. Jak na ironię losu był to mecz z Górnikiem Zabrze, drużyną gwiazd: z Lubańskim, Ośliżą, Szoltysikiem, Floreńskim, Kostką, Wilczkiem, Lentnerem i (jeszcze) Polem na czele. Aby się utrzymać w lidze Wisła, przeciętna wtedy drużyna, musiała wygrać, w co nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył. Był to przedziwny mecz. Górnik, już wtedy licząca się drużyna w Europie, szybko rozbił obronę Wisły, z Kawulą, Monicą (słynnym „kosiarem” zwanym przez wszystkich „Fredkiem”) i Budką i w pierwszej połowie zaaplikował Leśniakowi dwie bramki. Kiedy wszystko wydawało się już przesądzone po przerwie Wisła ruszyła do ataku i o dziwo po golach: Gwiżdża, Gacha i Rusinka wyszła na prowadzenie 3:2. Na stadionie zapanował szal. Do szczęścia niewiele brakowało, bo ten korzystny dla Wisły wynik utrzymywał się do końcowych minut, a Górnik, dawno już pewny mistrzostwa, grał jakby od niechcienia i na trybunach spekulowano, że z pewnością w przerwie sprzedał mecz. Lecz przyszła feralna 85 minuta, gdy Lentner ograł obronę Wisły i strzałem z 16 metrów w róg bramki, swoim słynnym „lewusem”, przesądził o losie Wisły.

Spadek był bolesny, bo pierwszy w historii klubu, ale na szczęście drugoligowa kwarantanna trwała tylko rok i w następnym sezonie Wisła grając w niemal niezmiennym składzie zdobyła wicemistrzostwo Polski, będąc oczywiście daleko za Górnikiem. I w tym przypadku ten sukces ważył się do ostatniego meczu, ale tym razem zbieg okoliczności był pomyślny dla „Białej Gwiazdy”, której do sukcesu wystarczył remis na wyjeździe i korzystny układ pozostałych meczów, co się akurat przytrafiło.

Cracovia z kolei w ciekawym składzie, na pierwszy rzut oka lepszym od Wisły: z rutynowanym bramkarzem – Henrykiem Stroniarzem oraz wschodzącymi gwiazdami, wielkimi piłkarskimi talentami: Andrzejem Rewilakiem w obronie, Januszem Kowalikiem i Krzysztofem Hausnerem w ataku, którym nie było dane, może poza Kowalikiem, w pełni się rozwinąć, balansowała na granicy I i II ligi. Wspomniani młodzi piłkarze stanowili trzon reprezentacji Polski juniorów, która w 1962 roku zdobyła w Portugalii wicemistrzostwo świata. Początkowo grali jeszcze: Michno („Poldek”) - wieloletni bramkarz, Szymczyk, Mikołajczyk, Jarczyk, Malarz, „łusy” - Konopelski, Antczak – „Ana”, a w późniejszych latach: „kosa” – Chemicz, Orczykowski, Dawidczyński, Kubik - pozyskany z Wawelu, Zuśka oraz młody Tomasz Niemiec. W sezonie 1965/66 „Pasiaki” pewnie wygrały II-ligową rywalizację i w następnych rozgrywkach, grając w naprawdę mocnym składzie, znów zagrali w ekstraklasie, gdzie po początkowych sukcesach przyszły jednak porażki, w tym dwukrotne z Wisłą i niespodziewany spadek do II ligi. Najlepsi piłkarze odeszli z klubu, m.in. Hausner do Zagłębia, Rewilak do Legii, a Kowalik wyjechał do Holandii i ciekawa, bardzo perspektywiczna drużyna, poszła w rozsypkę. Dla tego klubu powoli nadchodziły chude lata, bo drużyna błąkała się od pierwszej do trzeciej ligi, ale zawsze był to zespół co najmniej przeciętny, choć ze znaną marką, co jednak nie zawsze budziło u rywali respekt.

Wracając do Henryka Stroniarza, wychowanka Garbarni, potem bramkarza „Pasów” i „Białej Gwiazdy”, często przy wychodzeniu do dośrodkowania krzyczał: „moja”, po czym nierzadko się mijał i padała bramka. Po jakimś czasie powstało powiedzenie: „Henryk Stroniarz – moja, twoja, puść”. Na mecze chodziły tłumy ludzi, a tramwaje były „wyobwieszane” kibicami do granic możliwości. Do naszego mieszkania dochodziły charakterystyczne wrzaski i pomruki stadionów. Całe miasto żyło meczami, a gdy nasze drużyny grały na wyjazdach, tłumy kibiców gromadziły się pod „Kurierkiem” na Wielopolu, gdzie podawano wyniki zakończonych meczów i tam je zaciekle komentowano.

Tak na marginesie; inne popularne punkty spotkań młodzieży znajdowały się: „pod Adasiem”, „pod zegarem” przy Dworcu Głównym PKP oraz „pod kominem” na ówczesnym placu Wolności.

Pamiętam sparingowy mecz reprezentacji Krakowa z kadrą Polski prowadzoną przez Michała Matyasa, późniejszego trenera Cracovii. Mecz został rozegrany bodaj w 1967 roku jako ostatni jej sprawdzian przed ważnym meczem międzypaństwowym i został zapamiętany przeze mnie z uwagi na debiut w reprezentacji Krzysztofa Hausnera, byłego piłkarza Cracovii, a wtedy chyba już Zagłębia. Mecz ten mimo powszedniego dnia przyciągnął spore tłumy kibiców i towarzyszyły mu niezwykle porywy lokalnego szowinizmu. Jak na ironię losu już na początku meczu bramkę strzelił właśnie Hausner, ale kibice jakoś mu to wybaczyli, tym bardziej, że zagrał on chyba tylko połowę. Po przerwie reprezentacja Krakowa oparta na zawodnikach Wisły ze słynną tercetem obronnym: Monica, Kawula, Budka, Cracovii: z Rewilakiem i Orczykowskim oraz Garbarni: z Jasiówką i Browarskim, przy silnym dopingu publiczności ostro „przycisnęła” i zaczęła wyraźnie przeważać. Po jednym z wolnych Władek Kawula uderzył swoją słynną „atomówką” i piłka wylądowała w samym okienku reprezentacyjnej bramki, bronionej bodaj przez Kostkę. Bramkarz nawet nie zareagował na strzał, choć został on oddany z 35 metrów, ale sędzia, nie wiedząc czemu, bramki nie uznał. Wywołało to furie wśród kibiców i mecz już do końca toczył się w gorącej atmosferze, wśród gwizdów i epitetów pod adresem sędziego Mastaja, a ja sam rozgrzałem się do czerwoności, nie szczędząc wyzwisk i gwizdów. Po meczu, w drodze z tunelu do szatni, która mieściła się jeszcze w starym budynku przy ulicy Fałata, rozwścieczony tłum poturbował nieszczęsnego sędziego. Jak na ironię sędzia był swojakiem, bo pochodził z Bochni. Tak to lokalny patriotyzm przysłańiał oczy wielu fanatykom tego sportu, w tym i mnie.

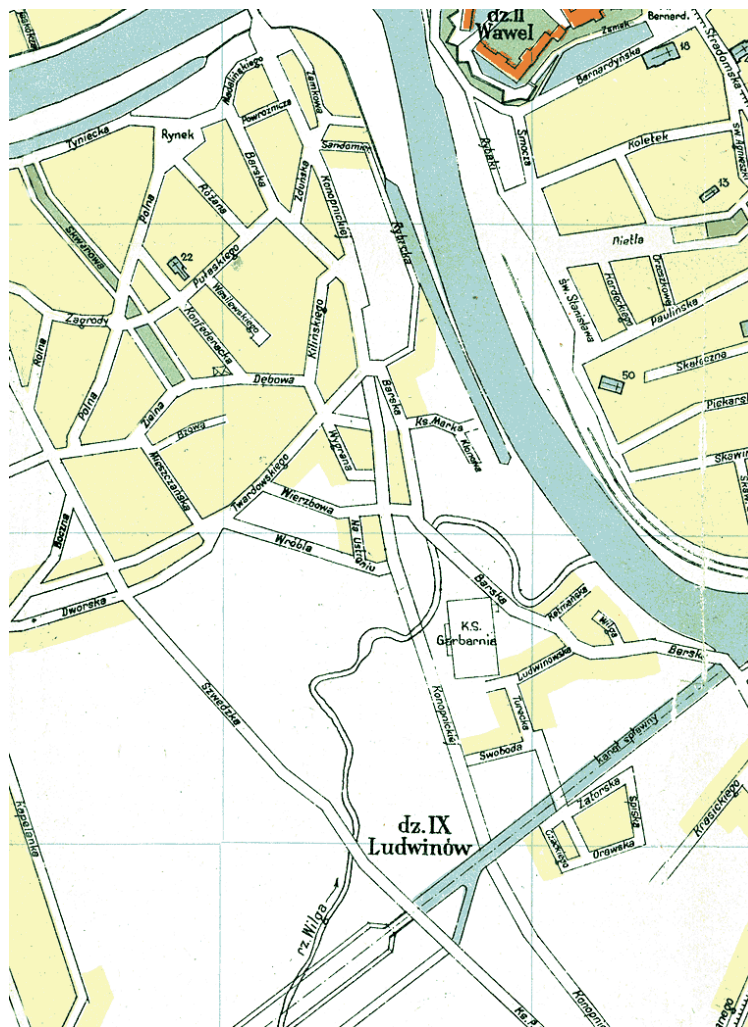
W tych czasach kibice bardzo identyfikowali się z lokalnymi piłkarzami i często pieszczotliwie nazywali ich po imieniu, jak np.: Fredek (Monica), Władek (Kawula) czy Poldek (Michno). W obu krakowskich pierwszoligowych klubach, a także w Garbarni („Chłopcy z Ludwinowa”) czy nawet w Wawelu („Wojskowi”), na początku lat 60-tych grali głównie swoi, chłopaki z okolicy i pewnie dlatego te więzi emocjonalne były takie mocne. Były to autentycznie nasze drużyny, bo pochodzące z naszego rewiru i nikt wtedy nie potrafiłby sobie wyobrazić takich sytuacji, jakie mają miejsce dzisiaj, kiedy na przykład w mistrzowskiej drużynie Wisły może nie być ani jednego krakowianina o cenionej klasie.

Robert Gadocha, znakomity przed laty piłkarz, ideał lewoskrzydłowego rodem z Garbarni, swoją wyprowadzkę do Warszawy przypłacił falą niczym niezasłużonej pod swoim adresem nienawiści i ilekroć zjawiał się z Legią pod Wawelem był bezlitośnie wygwizdywany, podobnie jak Deyna, choć ten drugi raczej z racji swoistej zarozumiałości. Co ciekawe Deyna, w końcu wybitny piłkarz, nie był on lubiany w całej Polsce, inaczej niż zawsze elegancki Lubański, który wszędzie był wręcz uwielbiany. Takie to były czasy lokalnego patriotyzmu i szowinizmu, który wpływał li tylko z autentycznej miłości do klubu bądź rodzinnego Krakowa.

Garbarnia, która rozgrywała mecze na wyłącznie piłkarskim stadionie przy ulicy Barskiej (drugie wejście znajdowało się od strony ulicy Konopnickiej), będącym obiektem typowo angielskim: z krytą trybuną, bez bieżni, przez całe lata 60-te była czołową drużyną II ligi i nieraz ocierała się o ekstraklasę, ale w decydujących momentach zawsze niespodziewanie traciła punkty. Wśród jej licznych kibiców krążyły legendy, że drużyna ta „handluje meczami”. Czy było to tylko wytłumaczenie II-go ligowej niemocy Garbarzy, nie wiadomo, wszak był to naprawdę dobry i przez lata zgrany ze sobą zespół: z Kierdajem bądź rzadziej Solarzem w bramce, Kurkiem, Konopką, Karpielem i Kwiatkowskim – „Kwiatkiem”, słynnym „kosą” czy „żelazną nogą”, Wełniakiem bądź Prokopowiczem w obronie, Kucharczykiem, Jasiówką, Odsterczyłem („Suchym”) i Miceuszem w pomocy oraz Browarskim, Gigoniem, Pilarskim, a przez krótki okres czasu także z Gadochą (zwanym na Ludwinowie Józkiem) w ataku, który często potrafił grać po mistrzowsku. Ich trenerem w połowie lat 60-tych był Newodomski, Słowak. Garbarze zwani też byli „brązowymi”, bo taki był firmowy kolor ich piłkarskich strojów.

Moja pierwsza wizyta na ludwinowskim stadionie miała miejsce piątego września 1964-go roku, kiedy doszło do derbów z właśnie zdegradowaną Wisłą. Spotkaniu towarzyszyło nieprawdopodobne wręcz zainteresowanie spotęgowane faktem, że młodzież szkolną wpuszczano na mecz za darmo. Stadion był potwornie zatłoczony; niektórzy twierdzą, że pomieścił nawet 25 tysięcy kibiców. Ja oglądałem ten mecz, wspólnie chyba z „Grubym”, zza bramki obok niewielkiego budynku klubowego, który przylegał do murawy od strony Wisły i był usytuowany po przeciwnej stronie drewnianej trybuny, położonej wzdłuż ówczesnej ulicy Barskiej. (dziś końcowy fragment tej ulicy kończy się ślepo za Hotelem Hilton Garden Inn.

Płyta głównego boiska znajdowała się mniej więcej w fragmencie dzisiejszej ulicy Konopnickiej pomiędzy Hotelem Forum, w którego miejscu stał wspomniany powyżej budynek klubowy, a wspomnianym Hotelem Hilton Garden Inn, gdzie mniej więcej była usytuowana drewniana trybuna. Trybuna mogła pomieścić ze dwa tysiące tych co bardziej „kasiastych” kibiców i cechowała ją wspaniała akustyka. Resztę stadionu, obiektu o typowo angielskim profilu i urodzie, gdzie murawa bezpośrednio przylegała do widowni, będąc od niej odgradzona tylko niewysoką (!!!), metalową, siatką, stanowiły trzy nasypy ziemne: główny naprzeciw trybuny i pozostałe za bramkami. Piłkarze wybiegali na stadion prześwitem w nasypie od strony od budynku klubowego, gdzie mieściły się zawodnicze i sędziowskie szatnie. Za stadionem, przy ulicy Ludwinowskiej, funkcjonowało przedszkole, które jako jedyne przetrwało burzę dziejową.



Mapa nr 4. Ludwinów i przylegające do niego fragmenty: Dębnieki i Zakrzówka – fragment planu Krakowa z 1953 roku.

Dzięki zbiegowi okoliczności udało mi się pozyskać trzy kiepskie, bo skanowane ze slajdów, ale bezcenne zdjęcia stadionu Garbarni i jego najbliższej okolicy, wykonane na samym początku lat 70-tych, a więc niedługo przed jego zburzeniem w lutym roku 1973. Zdjęcia przekazała mi Maja Golczyk, dawna mieszkanka Ludwinowa i kierowniczka wspomnianego powyżej przedszkola.



Fot. nr 324 (324-226). Stadion Garbarni i jego sąsiedztwo. Zdjęcia z początku lat 70-tych przekazane mi przez **Maję Golczyk**. Tu trybuna i boisko treningowe.



Fot. nr 325. Trybuna, płyta główna i budynek klubowy.



Fot. nr 326. Fragment stadionu od strony dzisiejszej ulicy Ludwinowskiej.

Na Garbarnię dojeżdżało się autobusem linii 119, kursującym wówczas z Dworca Głównego tylko do Matecznego, który miał przystanek koło Wilgi. W 1964 roku wokół rozciągały się jeszcze pola uprawne Ludwinowa i Zakrzówka, gdzie dopiero niebawem miało powstać wielkie Osiedle Podwawelskie, a sam Ludwinów, urocza osada zgrupowana wokół zakładów garbarskich, stanowił wówczas jeszcze typowe, senne przedmieście Krakowa.

Sceneria tego meczu, jak i jego poziom oraz przebieg były niezwykle i niezapomniane. Kibice Wisły, którzy licznie tu przybyli i Garbarni nigdy się ze sobą nie zwalczali, więc stworzyli iście angielski kocioł. Garbarnia szybko strzeliła bramkę na 1:0 (Gigoń), ale potem to Wisła rychło wyszła na prowadzenie (2:1) za sprawą pięknych goli Józefa Gacha. Po przewie wyrównał Kucharczyk, a w ostatnim kwadransie meczu bramkę na 3:2 strzelił Sykta. Kiedy mecz zbliżał się ku końcowi po szaleńczym sprincie wyrównał Gadocha, dla wielu ze spalonego. Pamiętam, że gol został strzelony na przeciwległą dla mnie bramkę, usytuowaną od strony ulicy Ludwinowskiej obok zabytkowego, klubowego zegara. Tuż za tą bramką i stadionem stała piętrowa kamieniczka, wyposażona w skromny ganek, który przy ważniejszych meczach zawsze był oblepiony kibicami.

Tak na marginesie; ten ganek odrapanego z tynku domku zawsze był swoistą galerią lokalnych „pociotków”, bo stąd dobrze widoczne było całe boisko, a oglądanie meczów było przecież gratisowe. W trakcie tego spotkania, które na trwałe przeszło do historii ludwinowskiego klubu, był on przepełniony do granic możliwości, bowiem pomieścił pewnie z dziesięciu chłopą i na szczęście nie runął.

Chyba na wiosnę 1965-go roku byłem tu raz jeszcze na wygranym przez Garbarzy (1:0) meczu z Górnikiem Thorez Wałbrzych. „Brazowi” cały czas byli w szpicy II ligi, zremisowali nawet (0:0) „wyjazdowy” mecz z Wisłą, jej liderem, ale końcówkę sezonu mieli już tradycyjnie beznadziejną, przegrywając kilka meczów, co kibice przyjmowali z „odpowiednimi” dla tego lubianego klubu komentarzami.



Fot. nr 327. Zachowany fragment ulicy Barskiej, dawniej przylegający od strony Wisły do stadionu RKS Garbarnia, z dobrze znanym mi od lat 60-tych budynkiem przedszkola. (19.11.2010)



Fot. nr 328. Końcowy fragment ulicy Tureckiej, która w latach 30-tych została przedzielona kanałem Wilgi. To najbardziej malownicza część dawnego Ludwinowa, zaplecza piłkarskiego Garbarzy. (19.11.2010)

Może raz jeszcze przypomnę dawną topografię tej części Ludwinowa. Ulica Barska, wtedy będąca przedłużeniem ówczesnej ulicy Konopnickiej, biegła nieco inaczej niż dzisiaj i jej odnoga od strony Wisły przylegała bezpośrednio do stadionu, a dalej mijając nieistniejącą już ulicę Retmańską i wspomniane powyżej przedszkole kończyła swój bieg na moście Retmańskim na Wildze, co pokazuje fragment planu Krakowa. W sąsiedztwie ulicy Retmańskiej do lat 30-tych XX-go wieku do Wisły wpadała Wilga zanim w latach 30-tych i 40-tych nie przekopano obecnego kanału, który podzielił Ludwinów, w tym ulicę Turecką, na dwie części. Dwupoziomowe skrzyżowanie przy Moście Grunwaldzkim, które powstało dopiero gdzieś w połowie lat 70-tych przedłużyło i poprowadziło ulicę Konopnickiej przez teren dawnego stadionu Garbarni.

Szóstego listopada 1966 roku w ramach rozgrywek o Puchar Polski „Garbarze” pokonali 3:2 nie byle kogo, bo słynny zespół Górnika Zabrze, w jego najsilniejszym składzie z: Lubańskim, Polem, Oślizłą, Lentnerem, Szołtysikiem, Olkiem, Kuchtą, Gomolą i Wilczkiem na czele. Byłem na tym wspaniałym i niezapomnianym meczu, po którym na Ludwinowie zapanowała wielka feta. Górnik po strzałach Lubańskiego (10 min.) i Lentnera (63 min.) prowadził 2:1 (na 1:1 wyrównał Jasiówka w 43 minucie), ale gole Gigonia (70 min.) i Odsterczyła (75 min.) przechyliły szalę zwycięstwa na stronę Garbarzy, którzy w tym dniu zagraли football na iście europejskim poziomie, choć w zasadzie byli to ledwo półzawodowcy. Wielu z nich pracowało na normalnych etatach, choćby Kierdaj, który uczył WF w Technikum Mechanicznym na alei Mickiewicza.

W 1970 roku zespół ten, już z młodym Henrykiem Maculewiczem, wtedy trenowany bodaj przez Mieczysława Gracza (pseudonim Mesu), też w rozgrywkach o Puchar Polski po niezwykle wyrównanym i dramatycznym meczu przegrał 1:2, ale dopiero po dogrywce, z Ruchem Chorzów, drużyną, która powoli zaczynała dominować w jakże silnej wtedy polskiej ekstraklasie. Garbarze prowadzili 1:0, a w normalnym czasie gry karnego nie wykorzystał Odsterczył. W Ruchu grali wówczas m.in.: Pietrek, Nieroba, Piechniczek, Bula, Maszczyk, Faber, Herman, Marks i Beniger, a więc piłkarze z najwyższej półki. Był to „łabędzi śpiew” drużyny „Chłopców z Ludwinowa”, ale nikt wtedy nie dopuszczał jeszcze myśli, że już niebawem ten najbardziej piłkarski stadion w Krakowie na zawsze zniknie z krajobrazu Ludwinowa i sportowego Krakowa, a „Garbarze” pozbawieni dawnej bazy już na zawsze pozostaną peryferyjnym klubem z czasem plątającym się po niższych klasach rozgrywkowych. Kończyła się romantyczna epoka krajowego, często zaściankowego footballu, a zaczynały się czasy bogatych sponsorów. Wraz z wyburzeniem stadionu w lutym 1973-go zaczął się powolny upadek klubu. „Chłopców z Ludwinowa” z nadania przenieśli się na stadion Korony i tym samym utracili dawną bazę ludzką.

Wielką szansę na powrót do II ligi Garbarze zmarnowali w 1989 roku, kiedy w strugach deszczu, na „basenie” Korony nie byli w stanie odrobić strat z przegranego meczu (0:1) w Gdyni z tamtejszym Bałtykiem i zaledwie bezbramkowo zremisowali, choć w ówczesnym czasie mieli naprawdę dobry zespół, który wkrótce się rozsypał. Ten mecz nigdy nie powinien się odbyć, jak i przegrany mecz Polaków z Niemcami na mistrzostwach świata 1974. Niespodziewany powrót do zaplecza ekstraklasy w roku 2018 okaże się chyba tylko jednorocznym epizodem.

Jeszcze mała dygresja. W moim wcześniejszym opracowaniu pomyliłem datę rozegrania meczu z Górnikiem o parę lat, bo po prostu pomyliłem pewne zapamiętane przeze mnie szczegóły, jak choćby spacer po nieukończonym jeszcze Moście Grunwaldzkim, które dotyczyły późniejszego meczu z Ruchem Chorzów (1970), a inne sobie przypomniałem, jak choćby fakt, że byłem na tym spotkaniu z „Grubym”, moim przyjacielem z „podstawówki”, z którym po 1968 roku po prostu urwał mi się kontakt. Co ciekawe, wzmianki o meczu z Ruchem długo nie udało mi się odnaleźć w klubowych źródłach, co może nieco dziwić, że tak ważne lokalne wydarzenie poszło mogło pójść w zapomnienie, choć mnie pamięć tym razem nie myliła. Muszę jeszcze dodać, że dokładnych dat słynnych meczów Garbarzy oczywiście nie zapamiętałem, a dla ścisłości uzupełniłem je informacjami zaczerpniętymi z Internetu.

W Wawelu też grała żelazna gwardia: z Zapalskim, Czerneckim i Burmerem na czele, a potem świetny tercet: Sarnat, Sputo i Spiżak w ataku i Kubik w obronie, ale z czasem ten stary krakowski klub zatracił swój regionalny, bronowicki rodowód i stał się „zaciężnym” klubem wojskowym o trzecioplanowym charakterze i na dobre opuścił II ligę, w której dawniej regularnie grywał.

Każdy stadion piłkarski posiadał swoją duszę w postaci zegara, zwykle stojącego za bramką na wale widowni, który napędzał przenośny mechanizm. Ogromna wskazówka przesuwiała się po białej tarczy, której trzy ćwiartki podzielone były na 45 odcinków. Do obsługi tego mechanizmu, budzącego zawsze duże emocje, bo w pewnych przypadkach poruszał się za wolno, w innych za szybko, służyła specjalna półka, na którą „zegarmistrz”, ten sam od lat, wychodził po drabinie. Pod tarczą zegara lub z jego boku, przy skrajnych napisach: gospodarze i goście, były wieszane wielkie tabliczki z cyframi, czyli ilością strzelonych w meczu goli.

Panem obiektów sportowych był ich gospodarz, który też rządził i dzielił w szatni. U „Pasiaków” był nim legendarny Jan Wiecheć, wujek mego szkolnego kolegi. Do połowy lat 70-tych szatnia tego klubu znajdowała się w baraku w pobliżu ulicy Fałata, gdzie pan Jan mieszkał w bliskości stadionowego zegara. Powszechnie znaną postacią był też „pan Mareczek” (czy jak kto woli po prostu dla wszystkich „Marek”), niewielki masażysta zaczesujący swe kręcone, nieco posiwiałe już włosy do tyłu, który na swych „beczkowatych” nóżkach, z charakterystyczną walizeczką dłoni błyskawicznie podbiegał do kontuzjowanych na boisku piłkarzy, czym zawsze wzbudzał powszechny aplauz na trybunach.

Warto jeszcze dodać, że w tych czasach nie grywało się tak ostro jak dzisiaj, a wślizgi na piłkę należały do rzadkości. Za nadmierną agresję w grze sędzia mógł usunąć zawodnika z boiska, poza jego linię, na dwie minuty, co sygnalizował wyciągniętymi w górę dwoma palcami.

Już od początku lat 60-tych chodziliśmy na halę Wisły, by oglądać mecze koszykówki, najpierw z mamą, a potem już sami. Ileż wybitnych indywidualności koszykarskich obojga płci przewinęło się przez ten parkiet. Wisła przecież dominowała wówczas zarówno w męskiej, jak i żeńskiej koszykówce, a poziom tej dyscypliny był u nas tym czasie w bardzo wysoki.

Pora zacząć od mężczyzn. Moim zdaniem najlepszym polskim koszykarzem lat 60-tych był Wiesław Langiewicz, filigranowy skrzydłowy, wspaniały technik, błyskotliwy w ataku, obdarzony zarówno wspaniałym rzutem z dystansu jak i hakiem, taki polski „biały murzyn”. Był uwielbiany przez tłumy, ale o dziwo nie znajdował uznania u Witolda Zagórskiego, ówczesnego selekcjonera kadry, któremu, jak ten twierdził, nie pasował do koncepcji gry. A były to czasy, gdy Polska koszykówka liczyła się nie tylko w Europie (wicemistrzostwo kontynentu w 1962 roku, jeszcze z Langiewiczem w składzie), ale i na świecie (szóste miejsce na Olimpiadzie w Tokio). Na nic zdały się batalie prasowe w jego obronie i presja kibiców, bo selekcjoner nigdy nie zmienił zdania, choć w Krakowie był regularnie wygwizdywany i nieparlamentarnie obrażany. Nie zmienia to faktu, że by oglądać tego koszykarza (rodem z Przemyśla) w akcji, hala Wisły zawsze pękała w szwach. Do dzisiaj utkwily mi w pamięci jego błyskotliwe akcje i efektowne rzuty, a potem spontaniczne reakcje publiczności „nabitej” do granic możliwości. Skandowano wtedy: „Wiesław, Wiesław” niczym na towarzysza Gomółkę podczas wystąpień sejmowych w 1968 roku. Wisła w tym czasie nie przegrywała we własnej hali, nawet ze słynnym CSKA Moskwa i była sportową wizytówką i chlubą Krakowa.

Innym wspaniałym koszykarzem „Wawelskich Smoków, jak powszechnie nazywano drużynę koszykarzy, był Bohdan Likso, jej środkowy i wielokrotny reprezentant kraju. Niby grubawy, ale przy swoich dwóch metrach niezwykle szybki i obdarzony niezawodnym rzutem z półdystansu. O miano najlepszego środkowego rywalizował ze słynnym Mieczysławem Łopatką ze Śląska, inną legendą polskiej koszykówki. A jakie to były mecze między tymi drużynami, można by wiele napisać. Aby się dostać do hali Wisły trzeba się było ustawić pod kasą minimum na godzinę przed meczem. A jaka była atmosfera tych meczów! Hala bez przesady rozpalala się do czerwoności. A oprócz Śląska grały w lidze jeszcze inne świetne drużyny: Legia, z Wichowskim i Pstrokońskim, Polonia Warszawa, z Piskunem, AZS Warszawa, z Nartowskim czy Wybrzeże Gdańsk, z Dregerem i Młynarczykiem. Tyle sam zapamiętałem.

Innymi wybitnymi wiślackimi koszykarzami lat 60-tych byli: Tadeusz Pacuła i Ryszard Niewodowski (do początku lat 60-tych), Krystian Czernichowski - mistrz defensywy, Czesław Malec - obdarzony niezawodnym rzutem z dystansu, Stefan Wójcik, filigranowy rozgrywający z racji wieku zwany „dziadkiem” i Edward Grzywna (koniec lat 60-tych), też mistrz defensywy. Trenerami koszykarzy w tym czasie byli: Jan Mikułowski, a potem Jerzy Będkowski.

Tak się złożyło, że Pana Ryszarda Niewodowskiego, właściciela niewielkiego zakładu poligraficznego, miałem przyjemność poznać osobiście w 2006 roku i przy okazji kilkakrotnie pogawędzić z nim o dawnych dobrych czasach i kulisach wiślackich sukcesów. W jego zakładzie wydrukowano książki o historii koszykówki w Wiśle i o historii klubu, obie autorstwa Ryszarda Pyjosa, a wszystko z okazji 100-lecia jego istnienia. Obie te pozycje trafiły do mojej biblioteki z osobistymi dedykacjami Pana Ryszarda, który mimo przekroczenia 70-ki nadal aktywnie działał w klubie i grywał w oldbojach Białej Gwiazdy.

Wisła liczyła się w europejskich pucharach, a w 1965 roku podczas jubileuszowego turnieju FIBA, rozegranego w Krakowie z okazji 60-lecia klubu, w pokonanym polu zostały: reprezentacja Europy ze słynnym Jugosłowianinem Koracem i znakomity Real Madryt, czołowa drużynę Europy. Wisła kilkakrotnie ocierała się o wyższe szczeble europejskich rozgrywek: raz skrzywdzona przez sędziów w Bułgarii, innym razem pechowo i dość niespodziewanie przegrywając półfinał rozgrywek i to we własnej hali z Panathinaikosem Ateny, dosłownie jednym rzutem. Patrząc jednak z perspektywy lat na pewno był to wiślacki „dream team”.

Pamiętam mecz Wisły ze Śląskiem w 1968 roku, kiedy po kasę trzeba było przyjść dwie godziny przed meczem, a były one otwierane dopiero godzinę później, ale kto był bliżej, ten wywalczył sobie potem lepsze miejsce na widowni. Cóż to był za mecz. Wisła: z Likszą i Langiewiczem, Śląsk: z Łopatką i Frelkiewiczem na czele, a poza tym cały plejada gwiazd polskiej koszykówki, jak choćby: Malec czy Czernichowski w Wiśle. Śląsk długo prowadził, może nawet do 30 minuty. Wspaniale grał Łopatka, z którym nie mógł sobie poradzić Likso. Ale potem „przykrył” go kilka razy przy próbach rzutów spod kosza, a „brazylianę” zaczął grać niezawodny Langiewicz, prawie niemyślący się w dynamicznych wejściach pod kosz i rzutach z dystansu, podobnie jak przebudzony Malec. Hala rozgrzana była do czerwoności, a niesamowity doping niósł zawodników Wisły do zwycięstwa niczym na skrzydłach. Wśród niewyobrażalnego aplauzu Wisła wygrała ostatecznie różnicą 8 punktów, chyba 70:62, a po meczu zawodnicy obu drużyn zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni. Goście swoją postawą dawali przykład jak zachowywać się zgodnie z zasadami fair play i to mimo ogromnej ambicji i zaciętości jakie towarzyszyły tej grze, w końcu bardzo kontaktowej.

Był to sport na najwyższym poziomie, po części grany dla samego piękna, bez szczególnych gratyfikacji finansowych dla mistrzów. Takie mecze długo się przeżywało i żyło nimi całe miasto, a prasa zawsze poświęcała im wiele miejsca. Koszykówka była wtedy sportem dla smakoszy tej dyscypliny (hala Wisły była zbyt mała), których tu, pod Wawelem, nie nigdy brakowało. Na początku lat 70-tych Wisła też posiadała świetny zespół: z Sewerynem, Langoszem, Ładniakiem, Gardziwą i Międzikiem, z którym osiągała znaczące sukcesy, ale nie był już on tak „nieziemski”.

Kobiety podobnie jak mężczyźni też dominowały w kraju, choć te jeszcze bardziej zdecydowanie, tocząc boje o prymat głównie z ŁKS Łódź, a liczyły się też zespoły Spójni Gdańsk i Lecha Poznań. Na początku lat 60-tych w Wiśle dominowały reprezentantki Polski: Barbara Szydłowska, która była gwiazdą już w latach 50-tych i młoda wówczas Irena Górka, potem Szaflik, a gdzieś od połowy tej dekady „Biała Gwiazda” opierała się na czterech podstawowych zawodniczkach: Krystynie Pabiańczyk-Likszo – środkowej - żonie Bohdana, wysokiej i rudowłosej Janinie Wojtali, Krystynie Szostak, „żeńskim odpowiedniku” Langiewicza oraz wspomnianej już Irenie Górcie-Szaflik. Niedługo potem u wiślaczek wyróżniały się jeszcze: Barbara Nowak-Rogowska, wychowanka Wisły oraz Danuta Ogłodzińska, siostra Likszowej (z panińska Pabiańczyk), która przyszła do Wisły z ŁKS.

Trenerem zespołu przez długie lata był Ludwik Mięta, a drużyna dochodziła nawet do finału rozgrywek o Puchar Europy, gdzie przegrywała z TTT Daugawa Ryga, w której barwach grała Siemionowa, monstrum mierzące 2 metry i siedem centymetrów, beton nie do przebicia. Dla porównania najwyższe koszykarki Wisły, jak np. Janina Wojtalowa, nie przekraczały 185 cm wzrostu. Szczególnie zacięte i na wysokim poziomie były mecze Wisły z ŁKS, które nieraz decydowały o tytule mistrza Polski, więc przyciągały do hali Wisły spore tłumy. Nieraz program niedzieli był tak ułożony, że najpierw grały koszykarki, a później panowie i na kibicowaniu spędzało się tu niemal pół dnia. Ale wtedy, zważywszy na poziom tej dyscypliny, naprawdę nie był to czas stracony, przynajmniej dla mnie i moich kolegów, jak np. „Łysy”.

Na początku lat 60-tych w czołówce drugiej ligi, nieraz z szansami na awans do klasy najwyższej, znajdowały się koszykarskie drużyny Cracovii, męska: z Winnickim i Ryszardem Niemcem oraz żeńska. Trenując wtedy jako trampkarz w budynku Sokoła próbowałem podglądać te mecze, ale nie za wiele z tego wychodziło, bo na tym małym obiekcie widzowie byli zgromadzeni tylko na małych gankach oraz wokół linii bocznych i takim malcom skutecznie zasłaniaли widok.

W budynku Sokoła trenowali również szermierze Cracovii i KKS, ci ostatni w jego piwnicach, w prawej części budynku, bo w piwnicach w jego lewej część znajdowała się strzelnica sportowa Cracovii, w której w połowie lat 60-tych pod kierunkiem trenera Bronisława Heyduka ćwiczył Karol Kot, seryjny morderca i zwłaszcza ci drudzy liczyli się w krajowej stawce. Zawodnicy KKS, trenowani przez znane też w wyczynie postacie: Stanisława Sołtana, Tadeusza Friedricha i Zbigniewa Przeździeckiego, zwłaszcza szpadziści, z braćmi Rutkowskimi oraz florecistki: z Maria Sołtanową i Ireną („Dzidką”) Szendryk, długo liczyli się w stawce krajowej. Ryszard, młodszy z braci Rutkowskich (starszy miał na imię Marek), był nawet mistrzem Polski seniorów i tylko kontuzja pozbawiła go szansy wyjazdu na olimpiadę w Monachium, zaś szablista Jan Czajkowski, starszy brat Zbyszka, mego kolegi z klasy, gdzieś w roku 1964 zdobył tytuł mistrza Polski juniorów, po czym zaszumiło mu w głowie i skończył życie tragicznie. Na początku lat 60. do krajowej czołówki należał Wiesław Glos, szpadzista (?), olimpijczyk z Rzymu i Tokio, a w latach 50. swą karierę rozpoczynał tu Wojciech Zabłocki, słynny „Kajtek”, m.in. trzykrotny medalista olimpijski.

Równie wysoki poziom jak koszykarki reprezentowały siatkarki Wisły. Boje o mistrzostwo Polski Wisła toczyła ze Startem Łódź, z Barbarą Niemczyk i Legia Warszawa: z Krystyną Jakubowską i Danutą Wagner, a w latach 60-tych polska żeńska siatkówka była trzecią potęgą świata i drugą w Europie. Na przełomie lat 50-tych i 60-tych w Wiśle dominowały: Wanda Tumidajewicz, Barbara Szpyt i Józefa Ledwig, legenda tego klubu, dwukrotna brązowa medalistka olimpijska z Tokio (1964) i Meksyku (1968), a w latach 60-tych w drużynie „Białej Gwiazdy” obok wspomnianej już Ledwigowej grały jeszcze takie sławy, jak: Wanda Wiecha-Wanot i Elżbieta Porzec (obie ostatnie brązowe medalistki z Meksyku), które uzupełniały solidne: Krystyna Maszek i Irena Sowa oraz Krystyna Mioduszevska, potem Maculewicz, wschodząca gwiazda, wówczas jeszcze robiąca błyskawiczne postępy juniorka.

Trenerem Wiślaczek był dr Jerzy Szpyt, kolejna legenda klubu, ponoć z wykształcenia stomatolog. W pewnym okresie, na przełomie lat 60-tych i 70-tych, byłem zagorzałym kibicem tej drużyny. W tym czasie sam byłem rozgrywającym w siatkarskiej reprezentacji Technikum Energetycznego i starałem się podglądać technikę gry. Bodaj w 1970 roku, po zwycięskim dwumeczu z Legią „wiślaczki” zdobyły mistrzostwo Polski, by rok później, po dramatycznym spotkaniu we własnej hali przegrać 2:3 decydujący mecz ze Startem Łódź i zająć drugie miejsce. Ostatni set tego meczu rozstrzygnął się w samej końcówce, więc hala była rozgrzana do czerwoności.

Do czołówki krajowej dobijali się powoli siatkarze Hutnika, z olimpijczykiem Jerzym Szymczykiem i solidnymi: Kobędzą, Muszyńskim, Piwowarem, Adamskim i Jezierskim na czele. Wtedy ocierali się o podium, ale w latach 70-tych, po sformowaniu za wielkie pieniądze kombinatu HiL gwardii zaciężnej, ze znakomitymi: Markiem Karbarzem i Zbigniewem Zielińskim na czele, ściągniętymi z Resovii, uzupełnionej uzdolnionymi wychowankami: Sańką i Kołodziejskim, nie mieli już sobie równych w kraju. Ton ligowej rywalizacji nadawała też Legia: z Amroziakiem, Skorkiem i Wagnerem, Resovia: z Karbarzem, Suchem i Gościniakiem oraz Gwardia Wrocław. Choć do Hali Hutnika było daleko, parę razy oglądałem tu ligowe mecze w asyście kolegów z Technikum: Zbyszka Kołodzieja - „Spytka” i Zbyszka Franaszka - „Franka”, z którymi tworzyliśmy trzon reprezentacji tej szkoły. W połowie lat 70-tych polska męska siatkówka pod wodzą Huberta Wagnera, słynnego „kata”: z Wójtowiczem, Boskiem, Skorkiem, Gawłowskim i Rybaczewskim, zdominowała światową czołówkę, a i mecze ligowe były fascynujące i rozgrywane na niezwykle wysokim poziomie.

W latach 60-tych jeszcze jedna drużyna z Krakowa dominowała w krajowych rozgrywkach - mowa o piłkarkach ręcznych Cracovii, które toczyły boje o prymat: z AZS Wrocław i Ruchem Chorzów. Szczypiornistki trenowane przez Edwarda Zubę, potem Edwarda Surdykę, początkowo rozgrywały swe mecze na korcie przy Sokole. Na początku lat 60-tych w drużynie „pasiaczek” dominowały: Szwabowska, prawdziwa gwiazda, Góralczyk i Szypowska, świetna bramkarka, potem trzon zespołu stanowiły reprezentantki Polski: Bronisława Toboła-Smoleń - znakomita kołowa, Krystyna Guzik Pabiańczyk - obdarzona atomowym strzałem z drugiej linii, Krystyna Smela, rudowłosa i potężna Alicja Gruca, Krystyna Wajda-Tobik, szybka jak strzała skrzydłowa oraz znakomite bramkarki: Kazimiera Czop i Krystyna Wyrobiec. Skład uzupełniały: Krystyna Sowa, Bożena Piotrowska, Teresa Pietrzekiewicz i Barbara Popiel. Gdy były rozgrywane ważne mecze, jak choćby pamiętny z AZS Wrocław z wiosny 1967 roku, decydujący o tytule mistrzowskim, wygrany przez „pasiaczki” 10-5, kort był przepełniony, a mnóstwo widzów oglądało spotkanie z dachów baraków przylegających do kortu od strony ulicy Wenecja, na które sprawnemu fizycznie młokosowi nie było się trudno wdrapać. Z takiej wysokości była znakomita widoczność, ponadto mecz oglądało się „za frajer”, co i ja nieraz czyniłem. Przez „wieki” kierownikiem drużyny był leciwy i siwiuteńki już pan Tadeusz Kański, jej dobry duch i człowiek oddany szczypiorniakowi bez reszty. Chyba tylko słynny Ignacy Książek służył klubowi tak długo, a może jeszcze dłużej. Co dziwne jakoś tych postaci dziś się nie wspomina, a z pewnością zasługują na upamiętnienie bodaj tablicami w siedzibie klubu.

Pod koniec lat 60-tych byłem też częstym bywalcem na meczach szczypiornistów I-ligowego AZS: z Edwardem Zubą, Jackiem Fukiem, Bogusławem Fularą, Adamem Kremplem, Zbigniewem Barnasiem, Jackiem Pabiańczykiem, Zbigniewem Czerniawskim - niespełnionym talentem, świetnie zapowiadającym się leworęcznym prawoskrzydłowym, Lesławem Sojką czy bramkarzem Krzysztofem Szewczykiem. AZS, drużyna amatorów, z reguły walczył o I-ligowy byt, ale na własnym parkiecie nie przegrywał. Wielu jego piłkarzy, jak: Fulara, Zuba czy Barnaś, było później znanymi trenerami tej dyscypliny. Gdy porówna się warunki fizyczne tych zawodników z dzisiejszymi dwumetrowymi „brojlerami”, to jedynie słuszne wydaje się tu porównanie Dawida z Goliatem. Taki Fuk, Zuba czy Sojka nie mieli nawet 180 cm wzrostu, ale za to posiadali wyborną technikę i serce do gry. Z tej drużyny, grając u boku swych starszych kolegów, wyrósł potem Wojciech Gmyrek, wybitny sportowiec, potem gracz Hutnika, słynny przez lata rozgrywający reprezentacji, brązowy medalista Olimpiady z Montrealu i uczestnik wielu mistrzostw świata, dziś niesłusznie zapomniany. Wojtek od lat mieszka w Austrii i jest bliskim znajomym Janusza Klimasa, mego kolegi z Piasku, ale z profesjonalną piłką ręczną (bo długo jeszcze grał dla przyjemności w tamtejszych drużynach) nie ma wiele wspólnego. Jakże jego niezwykły talent i wiedza przydałyby się dzisiejszym polskim drużynom.

Na przełomie lat 50-tych i 60-tych i na początku tej dekady, w ekstraklasie szczypiorniaka grał zespół Zwierzynieckiego, klubu całkowicie amatorskiego bez własnej hali i z mizernym zapleczem sportowym w postaci kortowego boiska przy ulicy Emaus 18 na Zwierzyńcu. W drużynie, która jeszcze do połowy lat 60-tych balansowała na granicy I i II ligi, brylował wtedy Ryszard Pyjos, reprezentacyjny skrzydłowy, dawny koszykarz Wisły. Ten biedny klub był kuźnią talentów: tutaj pierwsze kroki stawał Lucjan Reubenbauer, późniejszy świetny rozgrywający Wawelu i Hutnika czy Marian Ostasz - „Yeti”, olbrzym z ulicy Krupniczej, niespełniony talent, świetnie zapowiadający się bramkarz, mój sąsiad z Piasku. O tym, że Yeti był bramkarzem, a nie zawodnikiem z pola, jak mi się wcześniej wydawało, przypomniał mi niedawno Mieczysław Turakiewicz, „chłopok ze Zwierzyńca” i znajomy z FB. Później, gdy pod koniec lat 60-tych sam pogrywałem w młodzikach Wawelu, nieraz grywałem na tym boisku z rówieśnikami z tego klubu, wywodzącymi się ze zwierzynieckich szkół o numerach: 31 (z ulicy Prusa) i 32 (z ulicy Królowej Jadwigi); oddanym bez reszty opiekunem tej drużyny był pan Buczkowski, nauczyciel WF w drugiej z w/w szkół, a przez rok, chyba w roku szkolnym 1964-65, też w mojej „szóstce”. Nasz opiekun, mgr Julian Adamski, nieraz w zimie zapraszał młodzież z tego klubu na sparingi do hali Wawelu, co było jego kurtuazyjnym gestem wobec pana Buczkowskiego i jego podopiecznych, stąd dobrze znałem wielu z tych zwierzynieckich chłopaków, z których najlepsi byli: Józek Romanowski (bramkarz), Zenek Krasucki i Andrzej Daleki. Takich Buczkowskich dziś już nie ma; nie istnieje już sekcja szczypiorniaka w tym klubie, tak charakterystycznym dla dawnych przedmieść Krakowa, który w 2011 roku obchodził jubileusz 90-lecie istnienia, a dawne, szutrowe boisko do piłki ręcznej dziś zarosło trawą.

Piłkarze Zwierzynieckiego, którzy z reguły grali w A klasie, też byli barwną częścią tego dawnego przedmieścia i były z nich dumne zwierzynieckie „andry”. Nieraz, w przelocie na Kopiec, oglądałem ich mecze, zawsze cieszące się tutaj sporą popularnością. W latach 60-tych prym wiodli piłkarze z ligową przeszłością w innych, znanych krakowskich klubach: Wawrusiak – „Siuba” lub „Dziadek”, piłkarz prawie pięćdziesięcioletni, ale o wielkiej krzepie (czasem mówiło się o nim: polski Stanley Matthews oraz Czulak.



Fot. nr 329. Tyle dziś pozostało z boiska do szczypiorniaka na obiekcie Zwierzynieckiego przy ulicy Emaus 18.



Fot. nr 330. Nieistniejąca już część dawnego Zwierzyńca, chata z ulicy Królowej Jadwigi w bliskości dawnego kortu KS Zwierzyniecki przy ulicy Emaus. (10.02.1010)

Pod koniec lat 60-tych chodziłem też namiętnie na lodowisko Olszy, na mecze hokeistów Cracovii, dla których zaczynał się wtedy kolejny dobry okres. Gwiazdami zespołu trenowanego przez Stefana Csoricha stawali się wychowankowie klubu, napastnicy: Bogdan Migacz, Adam Kopczyński (potem przekwalifikowany na defensora) i obrońca Adam Ostrowski. Błyszczał też inny wychowanek, bramkarz Waław Gój, a także napastnicy: Andrzej Sięka, Andrzej Powalacz, Marian Pysz, Andrzej Kosturek czy obrońca Wiesław Stachoń, a szybkie postępy robili juniorzy: Henryk Pietkiewicz i Marian Csorich, najstarszy syn trenera. Przez krótki okres grały tu nawet gwiazdy Podhala: Walenty Zientara i Wiktor Pysz, a także Frank Wodzicki, potężny obrońca rodem z Kanady, zwany pieśczoćliwie Frankiem. O pierwszy skład ocierał się też Andrzej Sroka, mój późniejszy kolega z pracy w Chemkopie i pierwszy mój kierownik, też absolwent Wydziału Górniczego AGH. Na mecze chodził wówczas cały sportowy Kraków i lodowisko z trudem mogło pomieścić wszystkich kibiców.

Na początku lat 60-tych na torze kolarskim na stadionie Cracovii, jeszcze przed pożarem obiektu w grudniu 1963 roku, często odbywały się zawody w kolarskich sprintach oraz zawody motorowe. W sprintach dominowali bracia Kupczakowie: Ryszard i Jerzy, synowie Władysława, znanego trenera tej dyscypliny. To właśnie na tym torze początkowo szlifował swój talent Jan Magiera, „pasiak”, późniejszy uczestnik wielu Wyścigów Pokoju z lat 1965-69 i najlepszy polski kolarz z tego okresu. „Janek” dwukrotnie zajmował trzecie miejsca w klasyfikacji końcowej WP, w których wygrywał etapy w jeździe indywidualnej na czas, w czym był prawdziwym mistrzem. Ten skromny człowiek, „Janek”, był dwukrotnym olimpijczykiem z 1964 i 68 roku i chlubą Krakowa.

Natomiast zawody motorowe zawsze gromadziły sporą „publiczkę”, pewnie z uwagi na atrakcyjność i widowiskowość tej konkurencji. Trudno się było wcisnąć na stadion, który był obstawiony przez liczną rzeszę porządkowych – „dziadków”. Jako mały brzdąc, podążając na zawody razem z bratem i „Grubym”, próbowałem się tam „nielegalnie” przedostać od strony ulicy Smoleńsk. Po sforsowaniu przez niewielką dziurę drewnianego płotu, który dawniej odgradzał stadion od ulicy, ukryliśmy się w krzakach, czekając na odpowiedni moment do pryśnięcia na stadion. Okazja nadarzyła się niebawem, bowiem „dziadki” zainteresowali się inną grupą forsującą ogrodzenie i „Gruby” z bratem czmychnęli na stadion, co jakoś szczęśliwie się im udało. A ja, mały chłopak, „pękłem”. I tak pozostawałem w krzakach z godzinę, a nie było za ciepło, bo „dziadki” ani myśleli się gdzieś ruszyć, a na stadionie zaczęły się już zawody. Sytuacja była beznadziejna, bo porządkowi znani byli z „twardej ręki”, więc bałem się próby sił. Zdesperowany wyszedłem w końcu z krzaków, podszedłem do najbliższego porządkowego z czerwoną opaską na rękawie i powiedziałem mu, że tu w pobliżu jest dziura w płocie i żeby on na nią uważał. Starszego stróża porządku tak rozczuliła moja troska o zabezpieczenie dostępu na stadion, że podziękował mi za informacje i osobiście zaprowadził mnie na widownię. Ale ile najadłem się wtedy strachu pamiętam do dziś.

W tych czasach sporo starszych ludzi, zwanych przez nas „dziadkami”, dorabiało sobie na życie na imprezach sportowych, pełniąc tam funkcje porządkowych, ale często nie byli to ludzie nazbyt sprawni fizycznie, więc z konieczności musieli przymykać oczy na „desanty” czynione przez grupki młodzieży czy to przez siatkę, czy dziury w płocie. Ale byli też wyjątkowi nadgorliwcy, jak nasz dozorca Wojakowski, którzy byli powszechnie znani i łatwo rozpoznawalni. Z nimi nie było żartów i trzeba było uważać, by się nie dać złapać, bo pomimo swego wieku mieli oni „niezłe chody”, a schwytanych delikwentów bez litości oddawali w ręce „stróżów prawa”. Ci z kolei w tych czasach „nie pieścili się” z nikim i nieraz solidnie poturbowali delikwenta bądź przynajmniej boleśnie, tak dla przykładu, powykręcali ręce i uszy, nie mówiąc już o poinformowaniu o takich przypadkach szkoły, co w wielu uczniach wzbudzało blady strach.

W trakcie zawodów nad stadionem unosił się specyficzny smrodek spalin motocykli. Zawody wygrali rajdowcy z KKCiM Smok (skrót ten od nazwy: Krakowski Klub Cyklistów i Motocyklistów, brzmiał dla mnie egzotycznie) a najlepszym zawodnikiem był Andrzej Walter, który pospołu z Franciszkiem Winnikiem był też mistrzem motocrossu. Dobrze też jeździł Kozioł. Po pożarze stadionu ta efektowna dyscyplina całkowicie zniknęła z pola widzenia, bo uszkodzona nawierzchnia toru długo nie mogła doczekać się remontu, a potem, mimo odtworzenia toru, zamarło też na dobre kolarstwo torowe. Sporty motocyklowe były bardzo popularne szczególnie na początku lat 60-tych, pewnie z uwagi na stosunkowo łatwą dostępność tych dymiących pojazdów i możliwość ich łatwych przeróbek na wersje rajdowe. W tych latach przez ulicę Czystą, a także sąsiednie: Skarbową i Aleje, często przejeżdżali rajdowcy, którzy uczestniczyli w wyścigach po ulicach Krakowa, dymiąc i hałasując co niemiara, a meta tej rajdowej trasy znajdowała się przed budynkiem „Jagiellonki”. Zamknięta przestrzeń ulic potęgowała hałas wydzielany z szerokich rur wydechowych, a smród spalin na długo zalegał w tej międzyblokowej przestrzeni. Rajdom towarzyszyły tłumy gapiów, tych starszych jak i młodocianych, którzy tłoczyli się wzdłuż chodników bądź wychylali się z parapetów swych okien. A mnie wyjątkowo pasowała woń motocyklowych spalin, inna od samochodowych, której nie lubiłem. Kres tym rajdom położył dopiero śmiertelny wypadek jaki przytrafił się na ulicy Skarbowej, naprzeciw Teatru Rapsodycznego, gdy przebiegający przez jezdnię młodzian wpadł prosto pod motocykl.

Przy okazji sportów motorowych warto jeszcze wspomnieć o żużlu. Na początku lat 60-tych w klubie Wanda w Nowej Hucie istniała sekcja żużlowa, a drużyna ta balansowała na granicy I i II ligi. Z zapartym tchem słuchałem relacji radiowych z jej spotkań ligowych, nadawanych w lokalnych wiadomościach sportowych. Drużyna opierała się na dwóch znanych żużlowcach: Jaroszewiczu i Fiałkowskim, ale to było za mało by zapewnić jej I ligowy byt, wszak poziom polskiego żużla w tych latach był bardzo wysoki. W I lidze przez długie lata dominował ROW Rybnik: z Woryną, Wyglendą, Majem i Tkoczem na czele oraz Stal Gorzów, z niemniej słynnymi: Andrzejem Pogorzelskim i Edwardem Jancarzem, wschodzącą gwiazdą polskiego speedway’a.

Gdzieś w 1963 roku sekcję Wandy rozwiązano i wtedy przez krótki okres czasu, może po połowie roku 1966, swoje I ligowe mecze z racji remontu swego toru rozgrywał tu Śląsk Świętochłowice. Stadion Wandy, z jedynym w mieście torem żużlowym, był usytuowany na ulicy Bulwarowej, jak dla mnie na końcu świata. Do wyjazdu w „zaświaty” na mecz Śląsk Świętochłowice-Polonia Bydgoszcz namówił mnie Jacek Gędłek. Była to daleka wyprawa, na pół dnia, dla mnie niezwykle egzotyczna, wszak totalnie nie znałem Huty, a był to dopiero mój drugi wyjazd w te strony. Sam mecz cieszył się sporym powodzeniem publiczności, bardzo spragnionej żuźla i był bardzo zacięty, a o jego wyniku zdecydował dramatyczny ostatni bieg, wygrany przez Śląsk 4:2, bo ostateczny wynik brzmiał bodaj 46-44 dla Śląska. W jego barwach brylowali bracia Waloszkowie, zwłaszcza znakomity Paweł i Jarmuła, a w Polonii: Połukard, Glucklich, wschodząca gwiazda tego sportu oraz Koselski, który na ostatnim wirażu miał upadek. Utkwiła mi w pamięci sceneria tego spotkania: huk motocykli, żużel bijący w oczy na zakręcie, gdzie siedziałem i specyficzne „smrodki” unoszące się nad torem.

Dziś próbuje się tę sekcję reaktywować, ale jej wyniki wobec braku lokalnych sponsorów z dużą kasą są marne, a zainteresowanie meczami stosunkowo niewielkie. Dobrze, że przynajmniej przetrwał tor, bo los stadionu nie był pewny.

W pamięci utkwiły mi jeszcze dwa wydarzenia sportowe z czasu mego dzieciństwa, oba dotyczące lekkiej atletyki. W tych latach była to niezmiernie popularna dyscyplina, a sukcesy Polaków na arenie międzynarodowej potęgowały tylko zainteresowanie zawodami „królowej sportu”. Były to złote czasy polskiego „wunderteamu”, trzeciej potęgi lekkoatletycznej świata i jeszcze dziś wielu kibiców pamięta nazwiska lekkoatletów. A byli to biegacze: Krzyszkwiać, Chromik i Zimny, trójskokowiec Szmidt, dyskobol Piątkowski, kulomiotcy: Komar i Sosgórnik, oszczepnicy: Sidło i Radziwonowicz, rzucający młotem Rut, czterystumetrowcy: Badeński, Grędziński, Werner i Balachowski czy sprinterzy: Foik, Zieliński czy Maniak. Jeszcze słynniejsze były panie ze wschodzącymi gwiazdami sprintu: Ireną Kirschenstein-Szewińską i Ewą Kłobukowską, niedługo potem bez słowa wyjaśnienia społecznie odrzuconą i totalnie zapomnianą czy całą plejadą płotkarek z Teresą Ciepłą na czele. Pośród tego gwiazdozbioru były też krakowianki: Barbara Janiszewska, świetna sprinterka i Jarosława Józwiakowska, skoczkini wzwyż, medalistki wielu imprez, w tym olimpiady w Rzymie oraz Barbara Bibro, skoczkini w dal. Na przełomie lat 50/60 na krótkich płotach królował wiślak Roman Muzyk, olimpijczyk z Rzymu, który w światowych tabelach bardzo się liczył ze swym rekordem, który wynosił 14,0 sek.

Jednak nie w 1965 roku jak początkowo szacowałem, a dwa lata wcześniej, bo w roku 1963, na stadionie lekkoatletycznym Cracovii odbył się mecz lekkoatletyczny: Polska – Włochy. Takich tłumów na tym obiekcie nigdy potem już nie widziałem. Sam, na własne oczy, mogłem się wtedy przekonać, jak wielką popularnością cieszył się nasz zespół marzeń, bo stadion był wtedy dosłownie oklepany ludźmi i to nie tylko trybuna z miejscami siedzącymi w postaci kamiennych stopni, ale i całe obwałowania z miejscami stojącymi. Mnie udało się wcisnąć na miejsca stojące, ale blisko bieżni, gdzieś na wysokości startu dwustumetrowców, a więc blisko wirażu. Żeby zająć tak dobre miejsce trzeba było przyjść godzinę wcześniej. Polska oczywiście zmiotła Włochów, a całe miasto żyło tą imprezą i w trakcie zawodów entuzjazm był niewyobrażalny. Ci mistrzowie bieżni byli traktowani jak herosi, wszędzie byli rozpoznawalni i spotykali się z niewyobrażalną wręcz sympatią oraz popularnością, choć z ich finansami bynajmniej nie było różowo. Sport był w tym czasie skutecznym lekarstwem na problemy mas i osłoda ich życia codziennego i chciałoby się parafrazować znane rzymskie powiedzenie: „chcecie pokoju, dajcie igrzyska”. Nie zmienia to faktu, że same zawody były dla mnie i dla wielu moich rówieśników wielkim przeżyciem, którego nigdy nie zapomnę.

Drugim, ważnym wydarzeniem lekkoatletycznym lat 60-tych były mistrzostwa Polski, które zostały rozegrane na stadionie Wisły we wrześniu 1969 roku na właśnie nowo ułożonej, choć jeszcze nie tartanowej bieżni stadionu Wisły. Byłem już wtedy uczniem Technikum Energetycznego i na stadion przychodziłem codziennie razem z Markiem Pstrósiem, z którym śledziliśmy te zawody i to z zapartym tchem. Przychodziliśmy pod stadion na godzinę przed ich rozpoczęciem i forsowaliśmy metalowe ogrodzenie od strony Parku Jordana, kiedy jeszcze nie było jeszcze rozstawionej na stanowiskach Milicji. Porządkowi, „stare dziadki”, byli zbyt nieruchawi, by próbować łapać młokosów wykonujących „desant” jednocześnie w kilku miejscach.

Były to wspaniałe dni z końcowych lat potęgi tej dyscypliny sprzed pół wieku i wiele konkurencji stało jeszcze wtedy na bardzo wysokim poziomie. Nie zapomnę cudownego finału biegu na 400 metrów, który na finiszu wygrał Stanisław Grędziński przed Janem Wernerem i Janem Balachowskim, szczególnie dopingowanym krakusem. Na 100 metrów przez płotki raz jeszcze tryumfował Adam Kołodziejczyk, który przez wiele lat dominował w tej dyscyplinie, a w finale startował jeszcze Sylwester Biela, znany przed laty płotkarz Wisły. Z upływem czasu i ja zacząłem tracić serce do tej dyscypliny, bo sportowcy zaczęli z czasem przypominać manekiny. Panie, kiedyś zgrabne i urokliwe, na których warto było zawiesić oko, zaczęły przypominać płaskie deski, jak choćby słynna Kratochwilowa, bijąca rekordy na wielu dystansach czeska biegaczka bądź muskularnych herosów. NRD-owskie „brojlery” wkrótce zdominowały tę dyscyplinę, kiedy nie było jeszcze kontroli antydopingowych. Ale miłe wspominki z czasów jej potęgi pozostały.

Nieraz potem bywałem jeszcze na stadionie lekkoatletycznym Cracovii, który przed wojną był pięknym, miejskim obiektem, a w jego otoczeniu znajdowały się m.in. korty tenisowe i piękne budynki szatni: męskiej i żeńskiej, na różnego rodzaju mityngach, które ciągle cieszyły się sporą popularnością, gdzie przez lata 70-te brylowali: Henryk Szordykowski, świetny średniodystansowiec Wawelu oraz medalista mistrzostw Europy oraz Edward Mleczek, długodystansowiec Cracovii i jego konkurent Edward Stawiarz, również z Wawelu. Jednak z czasem, wraz ze spadkiem poziomu tej dyscypliny, malało zainteresowanie tym sportem i zawody odbywały już tylko przy niewielkim udziale publiczności. Z czasem sekcja lekkoatletyki w Cracovii całkowicie zamarła, a przecież kiedyś, w czasach mojej młodości, na tym stadionie ćwiczyły takie sławy tego klubu, jak: płotkarz Adam Kołodziejczyk, wspomniana już Maria Bibrowa – skoczkini w dal, oboje wielokrotni mistrzowie Polski czy czterystumetrowiec Jan Balachowski, reprezentant kraju oraz olimpijczyk z Meksyku i Monachium oraz wielokrotny uczestnik mistrzostw Europy, a przy tym medalista w sztafecie, niestety nie do końca spełniony talent. Gdy po 50 latach od tych wydarzeń spoglądałem na konający stadion lekkoatletyczny Cracovii, chciało mi się płakać. Ile sław tu się kiedyś przewinęło? Wtedy widać było tylko zgliszczą po zburzonej trybunie, a teren od strony alei 3-Maja, gdzie znajdowały się boiska, korty tenisowe i szatnie tonął w chaszczach. Wkrótce jednak ten pozarastany teren w niewyjaśniony sposób, bo na zasadzie karuzeli decyzyjnej przejął deweloper, który postawił wielkie gmaszysko mieszkalne o nazwie „Błonia Park”, początkowo deklarując budowę apartotelu, obiektu o charakterze „hotelowo-apartamentowym”, by w ten sposób ominąć przepisy i tutejszy PZP. Zadłużone w tym czasie miasto było w stanie sprzedać drapieżnym deweloperom wszystko, zwłaszcza tereny i budynki blisko jego centrum, by kosztem dawnych stadionów sportowych, obiektów rekreacyjnych i miejskiej zieleni ratować się od bankructwa i poprawiać stan finansów miasta, co negatywnie wpływało na spadek komfortu życia mieszkańców, w tym stałe pogarszanie się jakości powietrza. W tym kontekście doprawdy trudno było komentować starania władz miasta o organizację Igrzysk Olimpijskich w 2012 roku, który to niekonsultowany społecznie pomysł w lokalnym referendum zakończył się na szczęście totalną dla władz klęską.

Pod koniec lat 60-tych na stadionie lekkoatletycznym Cracovii zostały rozegrane mistrzostwa Polski w łącznictwie. Może całe wydarzenie nie byłoby warte wspomnienia, gdyby nie udział w zawodach Zofii Piskorek, srebrnej medalistki ostatnich mistrzostw świata. A były to mistrzostwa bodaj w 1967 lub 68 roku, gdzie Polki zgarnęły wszystkie medale: złoto Maria Mączyńska, ponadto brąz Irena Szydłowska i cała trójka była mocno gloryfikowana w naszej prasie. A jednak mimo udziału w imprezie wspomnianej gwiazdy zawody odbywały przy pustych trybunach, choć ja tam byłem jako jeden z niewielu. Sama impreza okazała się nudna, bo udział w niej wzięło tak wielu wiele łączniczek, a na płycie stadionu było ustawionych tak wiele tarcz, że trudno było obserwować przebieg zawodów.



Fot. nr 331 (331-335). Dawne widoki na stadion lekkoatletyczny. Do początku XXI wieku był on w użytkowaniu SKS Cracovia, dziś TS Wisła. W miejscu krzaków znajdowała się schodkowa trybuna przedwojennego stadionu miejskiego, która w części środkowej była zadaszona. (10.02.2010)



Fot. nr 332. Tak stadion lekkoatletyczny wyglądał w lecie 2014. Jego właścicielem była wtedy Wisła-Telefonika, dla której służy on za boisko treningowe. Od strony ulicy 3-Maja (w tle) widać trudną do przebycia dżunglę.



Fot. nr 333. Tak w lecie 2014 wyglądał amfiteatralne boisko na zapleczu obiektu lekkoatletycznego. (22.06.2014)



Fot. nr 334. Pochłonięty przez chaszczę budynek szatni męskiej, kiedyś przylegający do amfiteatralnego boiska. (22.06.2014)



Fot. nr 335. A to opanowany przez dzikie wino, dobrze czujące się w ówczesnej dżungli, symetryczny względem męskiej przebieralni budynek szatni żeńskiej, który też od dawna był porzucony. (22.06.2014)

Mimo to wkrótce po zakończeniu zawodów w sklepie sportowym na ulicy Szewskiej 20 zakupiłem łuk, taki najtańszy z dostępnych, wraz z trzema strzałami i wspólnie z kolegami z kamienicy, braćmi Siedleckimi, zaczęliśmy ćwiczyć strzelanie na Błoniach, nie do tarcz, ale na odległość. Nie szło nam to jednak najlepiej i po dwóch treningach zniechęciłem się do tego przyrządu, bo jego okiełzanie wcale nie było takie łatwe jak to się początkowo wydawało. Niełatwo było stać się dobrym Robin Hoodem, o czym każdy z nas marzył. Już tak całkiem na marginesie pragnę zaznaczyć, że już w latach 60-tych dobra sekcja łucznicza istniała w Płaszowiance, jednak potem została zlikwidowana i w latach 70-tych przejął ją inny płaszowski klub - Energetyk, a potem (bodaj od roku 1980) Nadwiślan, skąd wywodzili się: Krzysztof Włosik, późniejszy olimpijczyk z Moskwy i wielokrotny mistrz Polski, a także Jan, jego starszy brat oraz Krzysztof Kaleta, również czołowy polski łucznik z lat 80.

Duże sukcesy odnosili judocy Wisły, zawsze będący w czołówce kraju, a Czesław Łaksa, ich najlepszy zawodnik, był nawet wicemistrzem Europy. Także znaczące sukcesy w kraju już od połowy lat 60-tych odnosił Edward Suchan, a od przełomu lat 60-tych i 70-tych do czołówki krajowej, a potem i europejskiej powoli dobijali się: Jerzy Wołoch, a także Wojciech Dworczyński, wtedy jeszcze junior, a niedługo za nim Henryk Hałabuda. Sport ten cieszył się w Krakowie dużym powodzeniem i na liczne międzynarodowe zawody czy nawet na mecze ligowe ściągał pełne trybuny, a moje dodatkowe zainteresowanie tą dyscypliną wynikało z faktu, że w klubie tym na początku lat 70-tych przez kilka lat walczył Jan Klimas, kolega klasowy mego brata.

Wisła miała też inne mocne sekcje sportowe, choćby: strzelecką: z Bogumiłą Stawowską-Cichowicz, wielokrotną mistrzynią Polski i medalistką mistrzostw Europy oraz Heleną Paślowską i Konradem Gałką, pływacką: z Kazimierzem Sikorą, grzbiecistą, Piotrem Chmielewskim, krawlistą, czołowym przez lata sprinterem oraz braćmi Kękusiami, gimnastyczną: z Wiesławą Lech, Haliną Daniec, Lucją Ochmańską i Barbarą Ziębą czy brydżową: z Andrzejem Wilkoszem, Łukaszem Lebiodą, Adamem Zimnielskim i Witem Klapperem, wicemistrzami Europy.

Może jeszcze parę słów o Nadwiślanie, klubie znanym głównie za sprawą swych tenisistów i kajakarzy. Jego piłkarze, choć zawsze mieli sporo lokalnych kibiców, nigdy nie przekroczyli bariery ligi okręgowej, ale sekcja ta była kuźnią wielu talentów w tej dyscyplinie, które później zasilały bogatsze krakowskie kluby: Cracovię, Wisłę czy Garbarnię. Pod koniec lat 60-tych korty krajowe, a nawet zagraniczne, jako junior zaczął podbijać Witold Meres, talent niemniejszy od Wojciecha Fibaka. Jego kariera jednak zatrzymała się w rozwoju, wszak zabrakło sponsorów i pozostał on tylko czołowym graczem krajowym. Innym wybitnym sportowcem tego klubu z końca lat 60-tych i początku lat 70-tych był Jerzy Dziadkowiec, kajakarz, olimpijczyk z Monachium z 1972, ponadto uczestnik wielu mistrzostw Europy i Świata, pięciokrotny mistrz Polski, początkowo startujący w jedynekach, potem w czwórkach.

Na koniec zostawiam boks, za którym nigdy nie przepadałem, choć była to dyscyplina stojąca na wyjątkowo wysokim poziomie. W latach 60-tych na krajowych ringach zdecydowanie dominowali pięściarze Hutnika, którzy nie mieli sobie równych w kraju, a tacy bokserzy, jak: Słowakiewicz, Dragan czy Jędrzejewski, a potem Jagielski, liczyli się też na arenie międzynarodowej. W lidze wyróżniali się ponadto: Nakonieczny, Karyś, Drucis, Skalka czy Dutczak, a wcześniej Boczarski i Czajęcki. Z braku własnej hali zawody bokserskie rozgrywane były w tzw. Hali Garaży, która mogła pomieścić niewiele ponad 1000 osób i zawsze gromadziły się tu tłumy, bo boks to był sport dla socjalistycznych mas.

Nieźłą drużynę, choć tylko drugoligową, nieraz jednak dosłownie ocierającą się o ekstraklasę, miała Wisła: z Teofilem Kowalskim, mistrzem Polski w wadze koguciej na początku lat 60-tych i Chodorowskim, popularnym Ludwikiem, początkowo walczącym w wadze półciężkiej, z czasem w ciężkiej, a potem: z Mroczkim, Lorancem i Więcaszkim na czele.

XII. Zwyczaje i obrzędy religijne

Pora wspomnieć o roli kościoła w moim dzieciństwie i młodości. Moi rodzice byli ludźmi religijnymi, jak przystało na osoby wywodzące się ze wsi i moja mama, mimo że szybko została pozbawiona wsparcia ze strony ojca, konsekwentnie starała się w nas wpajać poszanowanie wiary i tradycji religijnej. Aczkolwiek była osobą bardzo wierząca i praktykująca nigdy nie była typem religijnej dewotki, niedostrzegającej wypaczeń w łonie kościoła i pośród kleru. Poprzez kultywowanie ludowej religijności skutecznie wzniesła w nas miłość do Boga i poszanowanie prawdziwie chrześcijańskich wartości. Oprócz stałego uczestnictwa w mszach często chodziliśmy na przykościelne odpusty, oglądaliśmy wielkanocne groby i szopki bożonarodzeniowe oraz amatorskie przedstawienia jasełek. Ta ludowa otoczka dodawała uroku nudnej niekiedy liturgii kościelnej i mocniej przyciągała wiernych do kościoła. Wydaje mi się, że zwyczaje świąteczne kultywowane w naszym domu były zaczerpnięte z wielowiekowej tradycji rodzinnej zarówno rodziny Grabowskich z Bilczyc, jak i Chanków oraz Kędrynów z Podolan. Były one barwne, radosne i autentyczne jak życie na wsi w dawnych czasach.

Największą atrakcją dla dzieciarni były kościelne odpusty, które odbywały się pod kościołami w święta ich patronów, kiedy wokół świątyni rozstawiano mnóstwo jarmarcznych kramów pełnych tandetnych słodkości i egzotycznych dla dzieci zabawek.

Najwcześniejszy odpust w roku kalendarzowym odbywał się w poniedziałek wielkanocny i był to słynny Emaus, który odbywał się na Salwatorze w pobliżu ujścia Rudawy do Wisły i wokół zwierzynieckiego klasztoru Norbertanek. Był on oczywiście połączony ze zwyczajowym lanym poniedziałkiem, zwanym śmigusem bądź dyngusem. Znaczna część końcowego fragmentu ulic: Kościuszki i Senatorskiej, aż po ulicę Królowej Jadwigi, była wtedy zajęta przez kramy i karuzele. W czasach mojego dzieciństwa odpust ten posiadał jeszcze swój prowincjonalny koloryt oraz specyficzną aurę. Na stoiskach nie było jeszcze tyle szpetnej, plastikowej tandety, która gwałtownie zaczęła się wciskać dopiero gdzieś od końca lat 70-tych, w czasach dzieciństwa mojej córki. Każdy ze sprzedawanych towarów był wtedy na swój sposób oryginalny, a dla dziecka zniewalający, głównie poprzez swój koloryt i egzotykę. Nie było już wtedy na straganach słynnych figurek: Żydów czy świętych, rzeźbionych w drzewie przez ludowych, odpustowych artystów, ale było szereg rzeczy niezmiennie przyciągających uwagę, choć tandetnych: fioletowe baloniki z ustnikami, piszczące po nadmuchaniu, drewniane korkowce na pompkę, z korkiem przywiązanym sznurkiem do ich końca, drewniane grzechotki, stukające koniki na drewnianych rolkach, popychane długim dyszlem, kolorowe piłeczki na gumowej wstążeczce, kolorowe balony na wstążce, gliniane kukułki ze zbiorniczkiem wypełnionym wodą, po dmuchnięciu imitujące ich śpiew czy wreszcie cała masa „ślicznych” pierścionków z kolorowymi oczkami. Mimo upływu lat zabawki te, choć ciągle takie same lub bardzo podobne, nie wywoływały znudzenia, przynajmniej mojego. Wyroby te miały jedną podstawową zaletę – były bajecznie tanie.

Stragany ugięły się pod ciężarem słodkich smakołyków, na których dominowały: duże, kolorowe landryny, typowo odpustowe cukierki grylarzowe, cukierki-sople w różnokolorowych celofanach, pierniki-serca, korale na szyję z nadymanej bułki, cienkie tabliczki tandetnej czekolady czy kolorowe, ale kiepskie gumy do żucia. Nie brakowało też cukrowej waty, wytwarzanej w przewoźnych wózkach, gdzie właściciel kręcił korbką i z obrzeża metalowego stożka, podgrzewanego spirytusową maszynką, nawijał na patyk powstającą tam cukrową watę. Cukier, wtedy niedrogi, był jedynym surowcem do produkcji waty. Wielka porcja tego lepkiego specyfiku kosztowała jedyną złotówkę i był to naprawdę dobry biznes, choć dzieciak na końcu konsumpcji był lepki niczym lepiec na muchy.

Nie brakowało oczywiście karuzeli: tych szybkich i niebezpiecznych przeznaczonych dla młokosów - ryzykantów, z siodełkami umocowanymi na długich łańcuchach, kręcących się w iście wariackim tempie i tych wolniejszych, przeznaczonych dla małych dzieci: z konikami, osiołkami i innymi zwierzętami, które z piskiem ujeżdżała dzieciarnia. Owszem było też sporo strzelaniny z metalowych pistoletów na korki lub kapsle, zwanych „korkowcami”, ale bez przesady i jeśli już to raczej na uboczu, gdzieś nad brzegiem Rudawy. Przy karuzelach często przygrywała regionalna kapela zwierzynieckich andrusów, zwanych tu „andrami”.

Oczywiście woda też lała się strumieniami, ale w tych czasach nie było jeszcze takiego chamstwa jak to ma miejsce dzisiaj. Dziewczyny polewało się wodą, ale z niewielkiej „cytrynki”, pistoletu wodnego bądź dziurawego balonika, a nie jak dziś wiadrami. Później już sam jako młokos wielokrotnie uczestniczyłem w śmigusowych polewankach, ale nigdy nie atakowałem dziewczyn sprzętem „wielkiego kalibru”. Nie oblewało się też tramwajów, z haniebnym ostatnio zwyczajem wlewania wody wiadrami przez okna czy drzwi, nawet do wnętrza samochodów.

Na odpustach nie mogło zabraknąć miejsca dla strzelnicy. Były to z reguły przewoźne barakowozy z wielkim oknem w formie uchylnej lady, służącym za stanowisko strzelnicze. Strzelec amator opierał się na takiej ladzie, chwycił w rękę wiatrówkę załadowaną śrutem i oddawał strzał do przedmiotu znajdującego się na przeciwnej ścianie wozu, odległego o jakieś dwa metry. Takie strzelnice były też ustawiane w ruchliwych miejscach spacerowych, choćby w pobliżu Błoń czy w Parku Jordana, naprzeciw okrągłaka. Oczywiście taka przyjemność kosztowała, ale ta forma rozrywki była jeszcze popularna pod koniec lat 80-tych. Na ścianie strzelnicy były ustawione różne rekwizyty, ale najdroższe strzelanie, chyba nawet po pięć złotych za próbę, odbywało się do „pięknych”, różnokolorowych róż, wykonanych z ptasich piór. „Gałązka” takiej róży, wykonana ze sztywnego drutu, była pokryta drobnymi, zielonymi piórkami imitującymi liście. Kwiat był osadzony na półce ściany strzelnicy przy pomocy w cienkiej, szklanej rurki. Trzeba było ustrzelić rurkę, co nie było rzeczą łatwą, a wtedy kwiatek spadał na podłogę i przechodził w ręce strzelca. Pozyskanie takiego kwiatka było sprawą honoru każdego amanta, który starał się o względy nastoletniej, piszczącej z emocji białogłowy. Byli tu specjaliści, którzy dosłownie „demolowali” strzelnicę, ale cena odstraszała ich od dalszych prób.

Dla młodszej dziatwy przeznaczone były dwa inne cele do trafienia: łatwiejszy - czołg i trudniejszy - lis. Przesuwający się na sprężynie czołg posiadał dość szeroki cel, spore kółko pośrodku, w który nietrudno było trafić nawet największej łamadze. Po trafieniu w kółko pojazd przesunął się hałaśliwie po swym torze, po czym właściciel „naciągał” go z powrotem na swoje miejsce. Trafienie w lisa było już dużo trudniejsze, bo cel był malutkim punkcikiem. Jego ustrzelenie powodowało obrócenie się lisa głową w dół i głośną radość młokosa. Każda taka próba kosztowała chyba złotówkę, a chętnych nigdy nie brakowało, zwłaszcza w dni świąteczne. Strzelało się też gwoździopodobnymi nabojami do obracającej się tarczy, której powierzchnie podzielona była na liczne wycinki, każdy z innym numerem. Nagroda zależała od ilości ustrzelonych punktów, których ilość zależała li tylko od przypadku. Ja nie byłem najlepszym strzelcem, bo dla mnie, „chucherka”, strzelba była w tym czasie jeszcze za ciężka. Lepiej ode mnie radził sobie „Gruby”, potężne chłopisko, choć w końcu i mnie kilka razy udało się w końcu ustrzelić lisa.

Po Emausie często wracaliśmy w kierunku Błoń wałem Rudawy, a stamtąd, spod boiska Zwierzynieckiego, na przełaj do Parku Jordana. W tym czasie zdążyły się już zatkać piszczące baloniki, wystrzelać wszystkie kapsle, a piłeczka zerwać się z cienkiej gumki.



Fot. nr 336. Relikt dawnej zabudowy Półwsia Zwierzynieckiego z ulicy Kasztelańskiej 16 wg stanu z roku 2010. Dziś, ten dawny domek Walentego Malika, protoplasty wielopokoleniowej rodziny zwierzynieckich szopkarzy, jest już niestety przebudowany. (13.02.2010)

Lubiliśmy też powracać inną trasą, poprzez ulicę Kasztelańską, więc w bok od wałów Rudawy, które były najbliżej do Błoń. Tędy wiodła wyboista jeszcze i często zakurzona wiejska droga, którą pędzono krowy na Błonia, a zabudowa ulicy, z drewnianymi chatami, stodołami i zagrodami, dawała wyobrażenie, jak Półwie Zwierzynieckie wyglądało jeszcze na początku XX wieku. Był to swoisty skansen najbliższy centrum miasta, który dziś został już całkowicie zabudowany nowoczesnymi willami. Czas zmienia obyczaje, a człowiekowi zawsze się wydaje, że te najlepsze pochodzą z okresu jego dzieciństwa, bo są często widziane pierwszy raz w życiu i przez to najbardziej odkrywczym, dlatego z perspektywy czasu spogląda się nie jakby przez „różowe okulary”. Tak jest i pewnie w moim przypadku. Dziś jako fotograf amator posiadający zbiór kilkudziesięciu tysięcy fotografii, wykonywanych głównie aparatem cyfrowym od końca roku 2007 i dokumentujący m.in. odchodzący świat dawnych przedmieść Krakowa, aktywnie walczę o utworzenie na obrzeżach Krakowa etnograficznego, by przynajmniej te najcenniejsze chałupy znalazły tam swoją przystań, a pozostało ich już niewiele.

We wtorek wielkanocny odpust odbywał się na Rękawce, na błoni pod kościołem świętego Benedykta i fortem pod tym samym imieniem, ale z uwagi na znaczną odległość bywaliśmy tu rzadko. Sceneria była podobna do tej na Zwierzyńcu, wszak przecież urzędowali tu ci sami przenośni, odpustowi sprzedawcy, jednak nie było tu już takich tłumów jak na Zwierzyńcu, czemu pewnie nie sprzyjała też poświęcona pora.



Fot. nr 337. Kościół i klasztor Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przy dawnej ulicy Wroniej, przed którym rozłożone były kiedyś jarmarczne kramy. A w tle wieża Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, miejsce kultu błogosławionej Siostry Faustyny Kowalskiej, którą na ołtarze wyniósł papież Jan Paweł II.

Też wczesną wiosną, zaraz po Wielkanocy, odbywał się odpust w Łagiewnikach, wokół starego, ceglanego kościoła i klasztoru sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Dzisiaj w iście kosmicznych obiektach rozkwita tam kult błogosławionej siostry Faustynki, a obok, na skraju Borku, na powierzchni dawnego stawu osadowego po fabryce sody, rozrósł się kolejny gigant pielgrzymkowy – Centrum św. Jana Pawła II. Głównym sponsorem tej łagiewnickiej inwestycji był ponoć sam Roman Kluska, a przy jej budowie używano argumentu, że mogą się tu zdarzać cudowne uzdrowienia, co jak w podobnych przypadkach winnych miejscach kultowych może się przytrafić jednej osobie pewnie na kilka milionów. Gdyby jednak na tę nieco pokrętną argumentację popatrzeć z innej strony, to za takie pieniądze można by wybudować najnowocześniejszą klinikę onkologiczną i wtedy uzdrowiony zostałby co drugi pacjent, może nie cudownie, ale skutecznie. Gdy dziś patrzę na ten gigant z dawnej ulicy Wroniej (dziś Siostry Faustyny), który swym wyglądem przypomina minaret i przyległe do niego wielkie, choć po części jarmarczne markety, mimo woli przypomina mi się ten dawny, wiosenny odpust, może skromniejszy, ale bliższy ziemskim realiom i radosny dla dzieci.

Daleka była to dla nas wyprawa. Najpierw jazda tramwajem linii 11 do starej pętli tramwajowej w Łagiewnikach, a dalej spory, przynajmniej jak na dziecięcą miarę, kawałek drogi pod górę, gdzie pod kościołem zlokalizowane były odpustowe kramy. Byliśmy tu nie więcej niż dwa razy i to we wczesnym dzieciństwie, stąd moje stosunkowo słabe czasowe skojarzenie.

W Zielone Świątki obowiązkowa wyprawialiśmy się pod klasztor Kamedułów na Bielanych. Na autobusy jadące w tym kierunku z pętli na Salwatorze czekały wtedy tłumy i niełatwo się było do nich wcisnąć. Kramy odpustowe były usytuowane głównie na Polanie pod Dębiną, ale ciągnęły się też wzdłuż muru klasztornego pod sam kościół i był to jeden z dwunastu dni w roku, gdy do kościoła wpuszczane były kobiety. Wracaliśmy najczęściej autobusem 102 lub 152 z drugiej strony Lasu Wolskiego, z ulicy Kasztanowej, skąd było zdecydowanie mniej tłocznie.

Przez cztery niedziele października odbywał się odpust pod kościołem Dominikanów i wówczas cała ulica Stolarska była zastawiona przez kramy i zatłoczona głównie przez tłumy dzieciarni. My lubiliśmy ten miesiąc, mama mniej, gdyż nie było jej stać na cotygodniowe prezenty.

Nie pamiętam już dokładnie, kiedy, ale raczej na skraju lata odbywały się odpusty pod naszymi najbliższymi kościołami: Kapucynów i Karmelitów. Odpusty te jakoś dziwnie nie budziły naszych większych emocji, bo miejsca te były nam zbyt dobrze znane na co dzień i przez to były jakby mniej egzotyczne.

Naszym ulubionym kościołem, też i najbliższym, choć długo nie parafialnym, był kościół Kapucynów przy ulicy Kapucyńskiej. Paradoksalnie należeliśmy do parafii kościoła Św. Szczepana, mieszczącego się w narożu ulic: Sienkiewicza i Kazimierza Wielkiego, ale z uwagi na znaczną odległość prawie nikt z okolicznych mieszkańców tam nie chodził. Można by powiedzieć: kościelne nakazy sobie, a życie sobie. Księża z tego kościoła chodzili jedynie po kolędzie, ale z uwagi na brak więzi międzyludzkich nikt ich specjalnie serdecznie nie witał. Działo się tak gdzieś do 1965 roku, bo później, widać na skutek protestów mieszkańców, z kolędą zaczęli przychodzić już Kapucyni. Dodatkowe więzi z tym kościołem wynikały też z faktu, że uczniowie „szóstki” tutaj właśnie uczęszczali na religię i tu przyjmowali pierwszą komunie. Nie ukrywam, że tutejsi księża dobrze spełniali swoją posługę, co warto podkreślić.



Fot. nr 338. Kościół Kapucynów z ulicy Loretańskiej, skromna świątynia zawsze bliska memu sercu. Na pierwszym planie jeszcze stary krzyż na mogile Konfederatów Barskich. (25.06.2009)

Katechetą mego brata i rocznika 1951, którego I Komunia przypadła na dzień 29 maja 1960-go roku, był ojciec Wenanty - ksiądz Stanisław Padewski (ur. 19.09.1932 roku) wyświęcony w Krakowie 24.02.1957 roku. Wg Mikołaja Korneckiego był on następnie wieloletnim proboszczem parafii kapucyńskiej w Winnicy na Ukrainie, a w dniu 13 kwietnia 1995 roku został mianowany biskupem pomocniczym w Kamieńcu Podolskim. W 1998 roku, został przeniesiony na stanowisko biskupa pomocniczego Archidiecezji Lwowskiej, a w dniu 04.05.2002 roku został on mianowany pierwszym biskupem nowo powstałej diecezji Charkowsko-Zaporoskiej na wschodniej Ukrainie.



Fot. nr 339. Wieczorny klimat Piasku wzdłuż ulicy Kapucyńskiej – widok z Plant.

Z kolei moim księdzem katechetą gdzieś do 1963 roku, a więc też w okresie komunistycznym, był ksiądz Salezy, wtedy pewnie w wieku około 35 lat. Z kolei klasę B przygotowywał do komunii ksiądz Waldemar, młody, niespełna 30-letni kapłan. Trzeba przyznać, że obaj księża dobrze sprawowali swoje funkcje: byli wyrozumiali i serdeczni, bez przesadnej restrykcyjności i formalizmu.

Dość dobrze zapamiętałem swoją I Komunię Świętą. Przygotowania do uroczystości komunijnej trwały dobre trzy miesiące, w którym to czasie uczyliśmy się m.in. liturgii kościelnej i śpiewu okolicznościowych pieśni, a także zdawaliśmy egzaminy ze znajomości przykazań bożych i kościelnych. I tu przy zdawaniu egzaminu ze znajomości przykazań przeżyłem wielki stres. Wprawdzie wyklepałem na pamięć wszystkie nakazy i zakazy kościelne oraz inne regułki, ale nie potrafiłem księdzu wytłumaczyć, co znaczy „zadośćuczynienie Panu Bogu i ludziom” i odesłał mnie do domu po mamę. Roztrzęsiony poleciałem do domu, mając już w głowie tylko czarne myśli. Na szczęście wszystko skończyło się dla mnie dobrze, bo ksiądz Salezy poprosił jedynie mamę, by mi wytłumaczyła co znaczy to skomplikowane stwierdzenie, ale ile przeżyłem w tym czasie strachu, wiem tylko ja. Nawiasem mówiąc i mojej mamie niełatwo to było uczynić, bo wszystkie te kościelne regułki były pisane niezrozumiałym językiem.



Fot. nr 340. I komunია św. mego brata Tadeusza.
 U góry ciotka Karolka i mama, z dołu ja z bratem.
 Fotografia wykonana w Zakładzie Józefa Neidera. (29.05.1960)

Zwłaszcza ksiądz Salezy lubił kontakt z młodzieżą. Po zajęciach religii zachęcał dzieciarnię do gry w piłkę nożną na podwórku klasztoru, zaś zimą kto chciał mógł przyjść pograć w ping-ponga do salki katechetycznej, mieszczącej się na pierwszym piętrze nowo wybudowanego skrzydła klasztoru, które przylegało do ulicy. To z pewnością wzmacniało więzi i przysparzało księdzu autorytetu i dlatego bardzo miło wspominać ten okres. Czasem i sam ksiądz pokopał z nami w piłkę.



Fot. nr 341. Ksiądz Salezy. (1962)

Księża Kapucyni byli bardzo zaangażowani w wystawianie jasełek, w których w rolę aktorów wcielali się uczniowie wyższych klas. Były one wystawiane na krużgankach kościoła, w pobliżu kaplicy Matki Boskiej Loretańskiej, a na spektakle przychodził gęstniejący przed rozpoczęciem tłum dzieci i rodziców i kto nie przyszedł wcześniej, ten nie widział za wiele. Okrzyki dzieciarni, która niezwykle przeżywała przedstawienie i jej strach wywoływała zwłaszcza śmierć z kosą w rękę, ale też i diabeł, który wymachiwał wokół różgą. Pamiętam jasełka z początku lat 60-tych, kiedy w rolę króla Heroda wcielił się Krzysiek Gędłek, mój sporo starszy kolega z kamienicy, wtedy jeszcze mocno zaangażowany w życie kościelne, m.in. jako ministrant. Kto mógł wtedy przypuszczać, jak bardzo odsunie się w swym późniejszym życiu od tych ideałów.



Fot. nr 342. Moja I komunія św. w kościele Kapucynów. Od przodu: Piotrek Książek, Rysiek (Zbyszek?) Worytkiewicz, Marek Sowiński, Andrzej Wiśniewski, Wojtek Ryl, ja (z głową nieco skręconą w prawo), „Maryś” Mrozek, Bogdan Bruzda, Gienek Nelka, Krzysiek Wójcicki?, Zbyszek Lamkowski i inni, których postaci nie jestem w stanie odczytać. (maj 1962)

Sama komunія stanowiła dla mnie autentycznie głębokie przeżycie. Już od godziny ósmej w krużgankach kościoła trwały ostatnie przygotowania oraz próby i stąd o godzinie dziewiętej wyruszył komunijny orszak. Wchodząc do kościoła śpiewaliśmy pieśń: „Pójdźcie błogosławić Pana”. Kościół był pełny ludzi, a uroczysta msza święta trwała pewnie z półtora godziny.

Po uroczystości, w wielkiej sali klasztoru odbyło się wspólne śniadanie z udziałem rodziców i gości. Mnie, razem z Andrzejem Włodarczykiem, kolegą klasowym, przypadł zaszczyt wyrecytowania okolicznościowych wierszyków. Mój, co pamiętam, zaczynał się od słów: „Szanowny Księżu Katecheto”. Nie trzeba dodawać ile to wystąpienie kosztowało mnie zdrowia, wszak zawsze byłem nieśmiały, a tu musiałem wystąpić przed audytorium złożonym z uczniów, rodziców i księży. Oczywiście nie dorównałem Andrzejowi, który do recytacji był perfekcyjnie przygotowany przez swoją matkę i oprócz wspaniałej dykcji zaprezentował też odpowiednią gestykulację. Nie wypadłem jednak najgorzej, choć z wrażenia byłem czerwony jak burak. Właśnie matka Andrzeja, kobieta niezwykle mi przychylna, przekonała mamę do mojego występu, a przecież w zanadru była cała śmietanka uczniów – szkolnych „pupilków”, z synami doktorów: Marysiem Mrozkiem i Tomkiem Stapińskim, którzy z pewnością wypadliby lepiej. Dla mnie była to pierwsza próba zmierzenia się z własnymi kompleksami oraz słabościami i wygłoszenia czegoś wbrew własnej woli, do czego długo jeszcze w życiu trudno mi było przełamać.



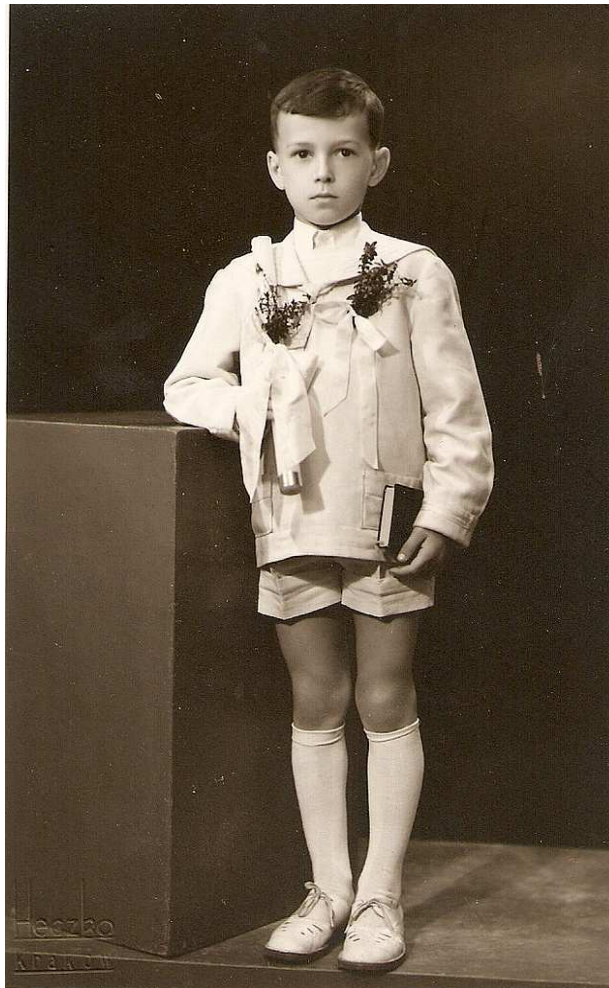
Fot. nr 343. Moja I Komunia św., ale zdjęcie beze mnie, bo fotograf nie potrafił mnie uchwycić w kościele bądź zamieniono gdzieś moje zdjęcie. Przy odbiorze zdjęć mamie wmówiono, że ja jestem Kazkiem Walczykiem. Klęczą: Kazek Walczyk i Krzysiek Klimczyk. Komunie Krzyškowi podaje ksiądz Salezy. W głębi ksiądz Waldemar. (maj 1962)

Po zakończeniu uroczystości fotograf wynajęty przez Ignacego Książka, ojca Piotrka, kolegi i sąsiada, wykonał pod kościołem wspólne, pamiątkowe zdjęcia jego rodziny razem ze mną i mamą, które zachowały mi się po dziś dzień (prezentuje je w rozdziale II) i są one wyjątkowo solidne i dobrej jakości. Na Książków zawsze można było liczyć i szkoda, że już za rok wyprowadzili się na drugi koniec Krakowa

Po uroczystościach mama zaprowadziła mnie, razem z bratem i ciotką Karolką na zdjęcia do pracowni Heczki na ulicę Manifestu Lipcowego, a nie do Neidera na Karmelicką, jak mi się początkowo wydawało, co zdradza pieczęć pod fotografią. Nie miałem natomiast szczęścia do zdjęć wykonanych podczas samej uroczystości komunijnej, gdzie wynajęty fotograf „złapał” mnie tylko raz i to niezbyt wyraźnie, a potem obdarowano mamę zdjęciem z przyjmującym komunię Kazkiem Walczykiem, z którym mnie pomylono. Wielka szkoda, bo była to również wyjątkowa okazja do lepszego uwiecznienia dawnych kolegów z klasy. Mama niestety nie potrafiła zadbać o zdjęcia w odpowiednim czasie i zostały one rozebrane, choć za fotografa zapłaciła.

A później, już w domu, odbyło się skromne przyjęcie komunijne, powtarzam skromne. Wtedy nikomu nie przychodziło nawet do głowy urządzenie takich „spędów z pompą” jak to ma miejsce dzisiaj. Wtedy już samo uczestnictwo w uroczystości komunijnej sprawiało radość. Ubranka dzieci były najczęściej skromne, może nieco wyróżniała się tylko śmietanka klasowa, ale bez przesady. Podczas komunii nosiłem ubranko w spadku po bracie, a mimo to dumnie defilowałem w nim po ulicy, trzymając świecę w ręku.

Kto wówczas dawał drogie prezenty? Ja dostałem jakieś drobiazgi, bo nawet nie pamiętam, co otrzymałem. Na samym przyjęciu oprócz ciotki Karolki, mojej chrzestnej, byli obecni: wujek Marcel (pewnie z żoną) i jego syn Włodek z żoną Jaśką, ale oni zawsze mieli „węża” w kieszeni. Był może jeszcze Józek Kędryna, syn wujka Pietrka i Edek Stawarz, syn ciotki Marysi z Klęczany, a pewnie i babcia z Bilczyc. Nie przypominam sobie natomiast, by na przyjęciu była „pani Basia” Beigertowa, chrzestna brata.



Fot. nr 344. Maj 1962. Moja I komunija - zdjęcie z Zakładu Edwarda Heczki.



Fot. nr 345. Fragment zdjęcia komunijnego wspólnego z rodziną Książków.

Początkowo msze dla młodzieży odbywały się o godzinie dziewiątej, a później, gdzieś od 1965 roku, o dziesiątej. Zawsze chodziliśmy tu na pasterkę, nieraz po skrzypiącym z mrozu śniegu. Natomiast nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek był na roratach, które rozpoczynały się o szóstej rano i mama jakoś zawsze nas oszczędzała, choć sama regularnie w nich uczestniczyła. Trzeba przyznać, że księża z klasztoru Kapucynów byli mili i prowadzili skromne życie zakonne, co absolutnie nie przystaje do życia kleru w dzisiejszych czasach, ponoć bardziej chrześcijańskich, a przy tym nie zapominali o ubogich, organizując dla nich z czasem bezpłatną stołówkę.

Skoro mowa o księżach trzeba jeszcze wspomnieć o moich katechetach. Po odejściu lubianego księdza Salezego w klasach od czwartej do szóstej religii uczył mnie młody ksiądz, którego święcenia kapłańskie dobrze pamiętam. Był to ojciec Gracjan, Franciszek Majka, późniejszy przeor klasztoru, sprawujący swoje posługi jeszcze do niedawna (zmarł ok. roku 2015). Nie przepadam dziś za klerem, bo razi mnie rozdźwięk między pięknymi słowami, a czynami, ale o nim można pisać tylko w samych superlatywach. Zawsze skromnie ubrany, często w wytartym habicie, do przesady uczciwy i oddany młodzieży. Gdy do nas przychodził z kolędą nigdy nie wziął ani grosza, znając naszą sytuację materialną, toteż zawsze był mile wyczekiwany. Aby zachęcić młodzież do chodzenia na naukę religii, która za jego czasów odbywała się w krużgankach kaplicy Matki Boskiej Loretańskiej, osobiście przepisywał na maszynie kartki z wykładami. Nie próbował nawet pytać, tylko rozmawiał o problemach wiary i kościoła, kładąc decydujący nacisk na zagadnienia moralne, w których przestrzeganiu był prawdziwą opoką. Jestem pewien, że gdyby dzisiaj więcej było takich księży, a nienadętych oficjeli, a może gdyby przynajmniej częściej dopuszczano ich do głosu, kościoły na pewno byłyby pełniejsze, a wygłaszane tu nauki autentyczne, nie fasadowe. Warto jeszcze dodać, że chodzenie na religię było w tych czasach całkowicie dobrowolne, a mimo to za „kadencji” Gracjana na jej naukę, a także msze i rekolekcje do kościoła chodzili tłumy młodzieży, czując autentyczną wieź z tą instytucją.

Patrząc potem, już w dorosłym życiu, na takich: Rydzyków, Jankowskich, Paetzów, Głodziów czy Michalików, a mając w pamięci postawę Gracjana, człek coraz bardziej oddalał się od rodzimego kościoła. Bo kto jest na pierwszych stronach gazet, właśnie ci nadęci oficjele, dodatkowo posądzeni o pedofilię, a nie skromni księża, którzy tak wiele robią dla bliźnich, choć nie w świetle kamer. Coś w tej materii próbuje zmienić nowy papież Franciszek, który, co warte podkreślenia, wyznaje podobne zasady jak Gracjan, również i mnie bliskie. Jego wspaniała postawa moralna, bez cienia tradycyjnej buty i przekonania o własnej nieomyślności w sprawach wiary, autentyczny szacunek dla ubogich oraz odsuwanie się od przepychu i kościelnego bogactwa, może u wielu przywracać wiarę w prawdziwie chrześcijańskie wartości, ale przy okazji ukazuje polski kościół w bardzo niekorzystnym świetle. Patrząc na jego zdecydowane działania, choćby w kwestii pedofilii pośród księży, wyraźnie blakną zaniechania jego poprzedników, ograniczone jedynie do werbalnych deklaracji.

Po nim przyszedł formalista, ksiądz Augustyn i spora kiedyś gromadka młodzieży zaczęła się szybko kurczyć. Był przesadnie wymagający, skrupulatnie wypytywał i precyzyjnie notował obecność, a potem usiłował zmuszać do chodzenia na religię poprzez wzywanie rodziców. Co ciekawe, nadal hołdował on teorii, że „Ziemia jest płaska”, gdyż w trakcie jednego z wykładu próbował nam wmówić, że nie jest możliwe obejście naszej planety dookoła i kiedyś trzeba zawrócić. Efekt jego ogólnej postawy był żalotny, a spadek zainteresowania kościołem zaczął być szybko widoczny podczas mszy szkolnych, na których frekwencja zaczęła gwałtownie spadać, co doprowadzało księdza do jeszcze większych wybuchów złości. A że były to przecież czasy szkół wybitnie świeckich, więc wielu z uczniów oraz ich rodziców nic sobie z tego robiło, jak w powiedzeniu: „strachy na lachy”. Można by też powiedzieć: „jaki pan taki kram”, bo to przysłowie pasuje tu jak ulał. Z czasem i ja coraz rzadziej zacząłem chodzić do tego kościoła, bo jego postępowanie, choć formalnie poprawne, było bezduszne i pozbawione głębszych wartości chrześcijańskich, więc rychło zebrało żniwo. W moim przypadku zniechęcenie takim sposobem przekazywania wiedzy religijnej było tak znaczące, że w czasie nauki w pobliskim Technikum Energetycznym już na naukę religii nie chodziłem, choć kilku kolegów z klasy na takie zajęcia uczęszczało.

Warto wspomnieć o innej charakterystycznej postaci tego kościoła: garbatym i niskim braciszku, którego imię zapomniałem. Zawsze zapalał świece na głównym ołtarzu tuż przed rozpoczęciem mszy i gasił je po jej zakończeniu. A że świece znajdowały się wysoko ponad ołtarzem, więc do ich zapalania trzeba było używać długiej żerdki, która na końcu była wyposażona w knot do ich zapalania, okręcany wokół tyczki oraz mały kapturek do ich gaszenia. Braciszek zapalał knot na końcu tyczki, unosił ją do wysokości lichtarzy, a potem, gdy zapalił już świece, zdmuchiwał z niej ogień, a knot gładził palcami czemu towarzyszył charakterystyczny smrodek roztopionego wosku. Proceder powtarzał przy każdej mszy i dlatego wszystkim był tak dobrze znany. Przez lata mego dzieciństwa wrósł w pejzaż tego kościoła i był jego prawdziwą ikoną.

Z czasem coraz częściej zacząłem zaglądać do kościoła Karmelitów, gdzie w niedziele o godzinie w pół do piątej po południu odbywały się krótkie i ciche msze. Wcześniej, gdzieś w 1966 roku, uczestniczyłem w tym kościele w procesjach wielkopostnych, zwerbowany do nich przez Józka Zublą, zwanego później Zubem, kolegę z klasy i wieloletniego tutejszego ministranta. Uczestnicy procesji ubierali się w liturgiczne szaty, nosili różne kościelne rekwizyty, co pachniało pewną egzotyką, stąd zapewne i moja krótka tam obecność, wszak generalnie nigdy nie czułem jakiegoś nadmiernego pędu do kościoła. Raz nawet wytypowano mnie do niesienia berła i przewodzenia procesji. Uf, nie był to lekki rekwizyt, a trasa przemarszu była na tyle długa, że marzyłem tylko o jego końcu.



Fot. nr 346. Mój kościół nr 2 (Karmelitów Trzewiczekowych z ulicy Karmelickiej) z terenu Piasku, gdzie również dość często bywałem

Gdzieś do połowy lat 60-tych, co dobrze pamiętam, podczas mszy odprawianych przy ołtarzu głównym księża byli odwróceny tyłem do wiernych, podobnie jak ministranci, których służyło i dwunastu. Wtedy na ministrantów przebranych w tradycyjne, kościelne szaty patrzyłem z wielkim podziwem, wszak wypowiedane przez nich łacińskie regułki nie były łatwe do powtórzenia. Liturgia kościelna tak mnie wtedy pociągała, że w domu razem z bratem też zabawialiśmy się w księdza i ministranta, z czego mama była bardzo zadowolona. Oczywiście on był księdzem, a ja mu tylko usługiwałem, ale obaj próbowaliśmy powtarzać zasłyszane w kościele łacińskie formułki, jednak ministrantem nigdy nie zostałem. Trzeba pamiętać, że w tym czasie msze odbywały się jeszcze po łacinie i dopiero około połowy lat 60-tych, a może jeszcze ciut później, do liturgii wprowadzono język ojczysty, a ołtarze odwrócono frontem do ludzi.

W czasach późniejszych zdarzało się nam wpadać do kościoła Świętej Anny, gdyż ostatnia niedzielna msza święta odbywała się tutaj o godzinie 20, a więc już po zakończeniu dnia pełnego wrażeń. Tutaj, jeszcze w połowie lat 60-tych, w czasie postu chodziliśmy z mamą śpiewać „gorzkie żale”, korzystając z książeczek do nabożeństwa i czyniliśmy to nawet bez większego przymusu. W tym pięknym kościele gdzieś w 1966 roku przyjmowałem sakrament bierzmowania, ale wydarzenie to, nie do końca dla mnie zrozumiałe, przeszło w moim życiu bez większego echa. Pamiętam tylko, że moim świadkiem był „Chudy” (Adam) Bruzda, kolega z klasy mego brata, a brat mego przyjaciela „Grubego” (Bogdana), którego świadkiem był z kolei mój brat Tadeusz.

Pora opisać uroczystości kościelne, obrzędy i zwyczaje religijne, jakie towarzyszyły mi na przestrzeni całego roku kalendarzowego.

Święto „Trzech Króli”, w tydzień po Nowym Roku, było czasem kadzenia mieszkań pachnącym kadzidłem, rozsypanym na rozpalonych węglach, które skrzyły się na łopatkę do pieca. Potem na drzwiach wejściowych mieszkania wypisywało się święconą kredą trzy litery: K+M+B, co miało symbolizować imiona trzech króli: Kacpra, Majchra (tak mama przekręcała imię formalnego Melchiora) oraz Baltazara i chronić ognisko domowe przed dostępem szatana (Lucyfera). Lubiliśmy to święto z uwagi na fajną zabawę, ale humor z czasem popsuka inna kwestia. Otóż już przed połową lat 60-tych przestało to już być święto państwowe i trzeba było iść do szkoły, więc ferie zostały skrócone o ten jeden dzień.

W święto Matki Boskiej Gromnicznej, a więc na samym początku lutego, chodziło się do kościoła z gromnicą, by koniecznie powrócić do domu z zapaloną. Dominowało przekonanie, że powrót do domu z zapaloną świecą dobrze wróży, a źle, gdy zgaśnie ona po drodze. Niełatwo było utrzymać palący się ogień przez spory odcinek drogi od kościoła Kapucynów i najczęściej, pomimo wysiłków i osłaniania świecy, ten wyczyn się nie udawał. Może dlatego nie było nam w życiu łatwo?

W ogóle mama zawsze wierzyła w magiczną moc gromnicy i wystawiała ją zapaloną do okna, gdy na polu szalała burza z piorunami. Miała ona strzec dom przed tym zagrożeniem i zawsze była pod ręką w szufladzie stołu. Zwyczaj ten najpewniej został zapożyczony z jej rodzinnego domu w Podolanach, gdzie strach przed pożarami był wielki.

Wcześniej, tuż przed Matką Boską Gromniczną, trzeba było rozbierać choinkę, co było smutnym i niechcianym zajęciem, bo choinka dla dziecka, z jej świecidełkami i lampkami, była zawsze wielką radością. Jednak o tej porze od dawna była już ona ogołocona z igieł i wszelkich słodczy, więc żalność była nieco mniejsza, a i zapał do rozbiórki niewielki, więc najczęściej ta czynność spadała na barki naszej mamy.

W okresie przed Świątami Wielkanocnymi post w naszym domu był słabo przestrzegany. Mama wyznawała zasadę, że nie ma potrzeby dodatkowo nas głodzić, skoro i tak jesteśmy „niejadkami”. Ścisły post był praktykowany tylko w piątek wielkanocny i wtedy jadało się stosunkowo postnie: na obiad jakiś żur z ziemniakami i smażone ryby, zaś na śniadanie i kolacje chleb z masłem z dodatkiem jakiejś ryby z puszki, czasem wędzonego dorsza lub piklinga bądź jajko na miękko.

W sobotę wielkanocną obowiązkowo chodziliśmy się do święcenia. Tego dnia zawsze wyczekiwaliśmy z utęsknieniem. W koszyczku pełno było smakowitych wiktuałów: jaja barwione na brązowo poprzez wygotowanie ich w skórkach cebuli, kawałeczek wiejskiej kiełbasy i szynki, mała strucelka, pomarańcza, jabłko, pieprz z solą oraz cukrowy baranek wielkanocny, wyposażony w wielkanocną chorągiewkę. Koszyczek był podścielony siankiem i przykryty haftowaną serwetką, a ponadto przyozdobiony bukszpanem. Po święceniu mama od razu pozwalała spożywać święcone rarytasy, choć post obowiązywał formalnie do końca dnia. Często zjadaliśmy też cukrowego baranka, gdy ten był wykonany z miękkiego lukru. Zawsze czekaliśmy na ten moment, bowiem szynka nie pojawiała się w naszym domu za często, ale w święta zawsze bywała na stole. Był on wtedy zastawiony szynką bądź baleronom, rarytasami zdobytymi po długim staniu w kolejce, utartym na tarce chrzanem, wzbogaconym jajkami i cukrem, taką „żółtą” specjalnością mojej mamy, którym zawsze zachwycali się częstowani nim goście, strucelką świąteczną od Mola, jajkami oraz różnymi ciastami własnej roboty, jak: babka piaskowa, ulubiony przeze mnie makowiec, cwibak z pomarańczową skórką, figami i daktylami w środku, sernik czy andrut z masą kakaową. Nie brakowało też takich rarytasów, jak: pomarańcze, banany i cytryna do herbaty, które to owoce z importu były w PRL kosztownym luksusem.

Przy przygotowaniu i wypiekanu ciast zawsze staraliśmy się mamie „pomagać”, gdyż znienacka można było podjąć coś dobrego: ubite i posłodzone białko z jajek, utarty mak, ser, czy masę kakaową. Wszystkie te smakołyki, z wyjątkiem sera i maku, które przemiałało się na ręcznej maszynce do mięsa, były ucierane drewnianą „łygą” w glinianej misce – makutrze, co wymagało ogromnego wysiłku. Cichaczem podjadaliśmy też suszone orzechy włoskie, figi i daktyle, a podczas krajania zakonserwowaną w cukrze skórkę pomarańczową i zasłodzoną dynię. Po tych wielogodzinnych przygotowaniach następowało wypiekanie pachnących ciast, do czego służył nieco przepalony już szabaśnik naszego zdezelowanego pieca kaflowego, niestety często zakończone ich przypaleniem.

Mama sporo potrafiła, wszak przed wojną prowadziła dom u państwa Beigertów, w którym były kultywowane galicyjskie tradycje kulinarne. Tu pracowała jako kucharka, pomoc domowa i bona ich córki Basi, a od „babci” Gawłowej, babki wspomnianej Basi, sporo się nauczyła w zakresie sztuki kuchennej. Ta samotna kobieta nauczyła ją też wróżenia z kart, więc mama często układała na stole pasjansy, które nas bardzo bawiły, ale ona w te wróżby bardzo wierzyła i trzeba przyznać, że czasem w życiu dopisywało jej szczęście.

Po posiłku, zgodnie z tradycją krakowską chodziło się „na groby”, a jako że kościołów w Krakowie jest pod dostatkiem, wyprawa zajmowała z pół dnia. Najdłużej w kolejce trzeba było odstać pod kościołem Pijarów, na końcu ulicy św. Jana, gdzie grób, zlokalizowany w krypcie, był zawsze wyjątkowo efektowny i zawsze tłumnie odwiedzany.

Niedziela upływała na rodzinnych odwiedzinach czy to u ciotki Karolki, czy u wujka Marcela, a w późniejszych czasach głównie na bezkrytycznym oglądaniu filmów w telewizji.

W poniedziałek obowiązkowo uczestniczyliśmy w Emausie na pobliskim Salwatorze. Po powrocie często pojawiała się u nas ciotka Karolka, a czasem „Różia”, koleżanka mamy. Karolka, kobieta wyjątkowo niekonwencjonalna i z temperamentem, nieraz chwyciła wtedy za chochlę wiszącą na ścianie i polewała nią bez umiaru, wśród iście szatańskiej radości, a jej ofiarą najczęściej padała Różia.

Dużo niespodzianek przynosił Prima Aprilis, zwyczaj w pełni laicki, związany z dniem pierwszego kwietnia, kiedy otoczenie zaskakiwało się najbardziej niezwykłymi bajdurzeniami. Pamiętam jak za dobrą monetę wzięliśmy radiową informację, że Błonia mają zostać zalane wodą, na ich powierzchni ma powstać zalew. Ale my sami też nie szczędziliśmy sobie głupich dowcipów, często poniżej pasa, by tylko kogoś „wpuścić w maliny”. A ile było przy tym radości.....

W Zielone Świątki jechaliśmy na odpust na Bielany lub na wieś do Bilczyc, by zgodnie z wielowiekową, wiejską tradycją pod wieczór zapalić ognisko na miedzy. Jeśli dopisywała pogoda płonące ognie widać było w całej okolicy aż po horyzont Pogórza Gdowskiego. Pamiętam, że gdzieś na początku lat 60-tych przez cały dzień lał deszcz, ale pod sam wieczór się wypogodziło i mogliśmy pójść rozpalić ogień. Ile było przy tym radości.

W oktawę Bożego Ciała często chodziliśmy na Rynek by oglądać popisy Lajkonika, który wędrował tu spod klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu. Kto dostał buławę, ten mógł liczyć na szczęście, więc wokół tego rajcownika zawsze panował duży tłok, a aktywności Lajkonika towarzyszył pisk dzieciarni. Przez cały tydzień poprzedzający święto Bożego Ciała przy kościołach odbywały się okolicznościowe procesje, w których we wczesnym dzieciństwie brałem czynny udział, rozsypując po ulicach na jego trasach pozrywane listki kwiatów, dzięki temu ta nudna uroczystość stawała się dużo ciekawsza.

W noc świętojańską obowiązkowe uczestniczyliśmy w „święcie wianków”, które odbywało się pod Wawelem i często słuchaliśmy opowieści mamy o cudownym kwiecie paproci zakwitającym tylko w tą noc i wierze, że kto go zerwie ten będzie miał szczęście.

W wakacje wyjeżdżaliśmy najczęściej do Bilczyc. Stąd 15 sierpnia, w dniu święta Matki Boskiej Zielnej, szliśmy przez Liplas na odpust do Niegowici, jakże tradycyjny i barwny. Zaraz po wakacjach, ósmego września, często jechaliśmy na odpust do Gdowa. Niełatwo było zwłaszcza o powrót i często, żeby wrócić do Krakowa, trzeba było wsiąść już w Bilczycach do autobusu jadącego do Gdowa, by nie wysiadając już z niego zapewnić sobie miejsce powrotne. Ale było to smutne wspomnienie minionych wakacji.

Na październik przypadał miesiąc odpustów pod Dominikanami, więc też nie mogło nas tam zabraknąć.

Pierwszy listopada to tradycyjne święto zmarłych i odwiedziny grobu ojca oraz innych bliskich osób: ciotki Józi, a później ciotki Sionkowej oraz wielu znajomych: Jana Habla – szwagra mojej babki, Emila Beigerta, dawnego pracodawcy mojej mamy czy Władysława Gędka, słynnego piłkarza, a naszego kiedyś sąsiada.



Fot. nr 347. W Dzień Wszystkich Świętych na Cmentarzu Rakowickim przy grobie niedawno Antoniego Sieńki. Od lewej: moja mama, ciotka Karolka, ciotka Julia Sionkowa - kuzynka mamy, brat i ja. Nasze płaszcze, czapki i rękawiczki zamocowane na „sznurkach” zostały zakupione jeszcze przez ojca. Są to te same płaszcze (w kratkę) co na zdjęciu wykonanym w Rynku Głównym w bliskości pomnika Mickiewicza. To moje jedyne zdjęcie uwielbianej przez nas Ciotki Sionkowej, a moment jego wykonania przez przypadkowego fotografa do dziś dokładnie pamiętam. (1958)

W tym dniu obowiązkowo kupowało się chryzantemy w doniczkach, które w dzień Wszystkich Świętych pod cmentarzami osiągały zawrotne ceny, nawet ponad 100 zł za doniczkę. Oczywiście i tu musiało coś być dla nas. Na kramikach wokół cmentarzy sprzedawano pyszny miódzik z orzechami, co odbywało się zgodnie z panującą od lat tradycją, który tasakiem był łupany na mniejsze kawałki z dużych bloków, a następnie pakowany w celofan i sprzedawany po dwa czy trzy złote za niewielką porcję. Innym specjałem święta zmarłych były „misie”, czyli niewielkie andruciki w kształcie misia napełnione słodką pianką, która była wykonana na bazie kurzego białka, a taka przyjemność kosztowała 50 czy 80 groszy za sztukę, podobnie jak w sklepie Mola.

Była i inna atrakcja. Otóż idąc na cmentarz ulicą Warszawską, od strony Politechniki przechodziło się przez przerzucony nad torami wiadukt kolejowy, pod którym często przejeżdżały pociągi. W tym czasie nadal jeździło tam sporo parowozów i podczas przemarszu, przy niekorzystnym wietrze można było dostać w oczy szpryce dymu i pyłu z ich komina. Podczas przejazdu ciuchci na moście często zapadała totalna ciemność, ale mnie taka sytuacja bawiła i nieraz specjalnie na to czekałem, co wcale nie podobało się mamie, która później musiała ocierać sadzę z twarzy i ubrania.

To święto bardzo działało na moją psychikę, a zwłaszcza wieczorny, melancholijny nastrój tego dnia, kiedy paliły się tysiące różnokolorowych zniczy, a wokół unosiła się specyficzna woń cmentarnej spalenizny. Tego dnia na cmentarzu zawsze bywaliśmy dwa razy: rano, by zanieść kwiaty i zapalić lampki oraz po południu, by spotkać się z najbliższą rodziną: ciotką Karolką, wujkiem Marceliem i jego dziećmi oraz ze starymi znajomymi mamy: Wiktoorem Rospondkiem czy Marysią Zwolińską, bliskimi krewnymi ciotki Sionkowej. Potem najczęściej szliśmy do domu ciotki Karolki na pobliską ulicę Marchlewskiego 14a i czasem tam nawet spaliśmy, by w Dzień Zaduszny jeszcze raz odwiedzić cmentarz i zapalić świece na grobach bliskich. Tak bywało wkrótce po śmierci ojca.

W „Andrzejki” obowiązkowo odbywało się lanie rozgrzanego na patelni wosku na miednicę z zimną wodą. W domu unosił się wtedy „cmentarny” zapach, a przedziwne kształty zastygłych odlewów, nieraz o wybujałych kształtach, były odczytywane na ścianie mieszkania przy świetle świecy. Prym wiodła tu mama, która z zastygłych kształtów próbowała odczytywać przyszłość.

Każdy nas z niecierpliwością czekał na dzień św. Mikołaja przypadający na dzień 6 grudnia, kiedy pod poduszką znajdowało się nad ranem niespodziewane prezenty, o które wcześniej, za pośrednictwem mamy, słało się prośby do tego patrona bądź nawet pisywało do niego listy. Przy okazji otrzymywało się też na dodatek lukrowane pierniki z jego podobiznami, kupowane w krakowskich cukierniach bądź w sklepach ze słodyczami, które wkrótce się pałaszowało, a często też miniaturowe różgi, które wprawdzie miały otrzymywać tylko niegrzeczne dzieci, ale każdy z nas chciał je dostać, bo nasza mama zawsze cudownie odgrywała nimi sceny bicia dla wywołania poprawy. Różgi najłatwiej było kupić od krakowskich handlarek, które ze swymi przeszklonymi wózkami, w upale bądź w chłodzie i mrozie, stały w ruchliwych punktach Krakowa, m.in.: na Plantach u wylotu ulicy Szewskiej, w Rynku Głównym czy w narożu ulicy Grodzkiej i Placu Dominikańskiego. U nich też można było kupić wykonane z cukru wielkanocne ozdoby do koszyczków: kurczaki czy figury zmartwychwstałego Chrystusa z chorągiewką w ręku.

Adwent nie był odczuwalny w naszym domu, bo zabawy huczne, przynajmniej w czasach mojego dzieciństwa, nigdy nie u nas odbywały, wszak ciągle był odczuwalny ból po śmierci ojca. Na roraty chodziła tylko nasza mama, bo uważała, że o tak wczesnej porze, przed szóstą rano, nie warto nas budzić, więc sama pod osłoną nocy ukradkiem wymykała się do kościoła i powracała do domu, gdy my dopiero zaczynaliśmy się budzić.

Od (świętej) Łucji włącznie, której imieniny przypadały na dzień 13 grudnia, pogoda jaka panowała każdego następnego dnia, do wigilii włącznie, miała odpowiadać aurze w kolejnych miesiącach roku. Mama zapisywała to sobie, bo wierzyła w tą ludową mądrość i często się to sprawdzało. Powtarzała wówczas ludowe porzekadło: „św. Łuca dnia przyrzuca”, choć do najkrótszego dnia w roku trzeba było jeszcze poczekać jeszcze kilka dni, do 21 grudnia, gdy zaczynała się astronomiczna zima.

Natomiast przygotowania do świąt Bożego Narodzenia były kilkudniowe i zawsze radosne. Sprzątanie, pieczenie ciast, wystawanie w kolejkach po szynkę i obowiązkowego karpia, a później przechowywanie go wannie, kupowanie drzewka i jego ubieranie czy wreszcie wyczekiwanie na pierwszą gwiazdę i podchoinkowe prezenty, wszystko to stwarzało niepowtarzalną, przedświąteczną atmosferę, której dziś raczej się już nie wyczuwa, przynajmniej w mieście. W tym czasie musiały cieszyć drobne prezenty, bo bardziej chodziło tu o kultywowanie pięknej tradycji niż jakiś przepych, na który nas i naszych wielu sąsiadów oraz większości znajomych po prostu nie było stać.

Na początku lat 60-tych po „drzewko” (nie nazywało się je wówczas choinką), wtedy jeszcze jodełkę, a później, gdy zabroniono sprzedaży tego gatunku, po świerczek, chodziło się na dziedziniec klasztoru Karmelitów pod nr 21, w sąsiedztwo zakładu fotograficznego Neidera. Chcieliśmy mieć jak największe drzewko, najlepiej sięgające pod sufit, a nasz pokój miał wysokość dobrze ponad trzy metry, ale taki duży rarytas był drogi, bo kosztował nawet ponad 100 złotych. Mama jednak często ulegała naszym prośbom, a potem już sami musieliśmy dźwigać takiego kolosa. Ubieranie choinki było dla nas wielką frajdą, a w jej trakcie często biliśmy się z bratem kto i gdzie ma wieszać „bańki”. Parę ich opakowań kupił jeszcze ojciec, więc było czym przyozdabiać „chojaka”, ale każdy z nas chciał wieszać te największe bomby. Nieraz podczas takich prób i częstych przepychań bańka upadła i rozbiła się, a wtedy był płacz i wzajemne złorzeczenie. Oprócz baniek (dziś nazywa się je bombkami) na drzewku wieszało się cukierki w kształcie sopli, zawinięte w kolorowe celofany i staniole, różne ozdóbki własnej roboty, jak np. wykonane przed świętami laleczki z kolorowej bibuły, z przyklejonymi do nich główkami aniołków, orzechy, co nie było wcale takie łatwe do wykonania, a nawet jabłka. Ozdóbki te, o czym już wspominałem, pomagała nam robić kuzynka Baśka z Klęczanej, która przez jakiś czas, na przełomie lat 50-tych i 60-tych, mieszkała razem z nami, gdy chodziła do Szkoły Handlowej w Krakowie.

Oczywiście nie mogło zabraknąć oświetlenia: na początku były to kolorowe świeczuszki zawieszane na gałązkach na przypinanych podstawkach, później, gdzieś od 1963 roku, najtańsze lampki elektryczne. Pewnego razu, już gdzieś pod koniec stycznia, gdy choinka była już mocno podsuszona nastąpił jej zapłon od świeczki i mama ledwo ugasiła pożar, ale nasz krzyk był potworny. Nie obyło się bez strat w bańkach, co zawsze najbardziej nas bolało. Wtedy to zapadła decyzja o zakupie na następny rok elektrycznych lampek, a że było już po sezonie udało się je akurat tanio kupić.

Choinkowym dodatkiem były sztuczne ognie, bardzo wtedy popularne fajerwerki w postaci czarnych sopli, które wieszano się w dół na gałązkach na zaginany na ich końcu druciku i zapalało zapałką. Pałac się rozsiewały wokół ogniste igielki i wydzierały specyficzną woń. Ale z ich strony też było spore zagrożenie pożarowe i trzeba było zachować szczególną ostrożność. Choinkę oplatało się różnymi łańcuchami, najczęściej wykonanymi własnoręcznie z kolorowej bibuły i kolorowego papieru, włosami anielskimi, stanowiącymi podłużne ścinki białego celofanu oraz zdobiło się zwykłą watą imitującą śnieg. Oczywiście pod choinką nie mogło zabraknąć szopki. Mieliśmy piękną szopkę wykonaną jeszcze przez ojca, który tworzył wręcz mistrzowskie egzemplarze, prawdziwe dzieła sztuki, ale z czasem uległa ona zniszczeniu z uwagi na ciasnotę i konieczność jej przesuwania z kąta w kąt.

Na wigilię mama najczęściej przygotowywała słodki barszcz czerwony, który sporządzała na warzywach i podkładzie grzybowym, a do tego uszka z grzybami, oczywiście własnej roboty. W grzyby, najczęściej trzy gramy suszonych prawdziwków, w cenie 1000 zł/kg, zaopatrywała się u Mola. Na drugie danie była nasza ulubiona potrawa - smażony karp, którym dosłownie napychaliśmy się. Do tego na dodatek własne ogórki kiszzone bądź sałatka z zielonych pomidorów. Hasłem do rozpoczęcia wigilii była oczywiście pierwsza gwiazdka pojawiająca się na niebie, której z utęsknieniem wyczekiwaliśmy na ganku przed naszymi drzwiami.

Po wigilii, na którą czasem przychodziła ciotka Karolka, a raz nawet przyjechała Zofia Mielczarek z Radomska, siostra mamy, pospołu z rodziną: córką Lusią i jej mężem oraz wnuczką Halinką, obowiązkowo szliśmy na pasterkę do kościoła Kapucynów, by po powrocie zjeść długo oczekiwaną szynkę bądź wiejską kiełbasę nabytą od baby z Kaszowa.

Okres świąteczny był czasem tradycyjnego oglądania szopek w krakowskich kościołach, co w niedzielę zajmowało z połowę dnia, zważywszy na ogrom świątyń w okolicy. Najpiękniejsza szopka, ruchoma, z przesuwającymi się postaciami biblijnymi, pasterzami i aniołkami oraz dźwiękiem dzwoneczków, który co jakiś czas dochodził się z wieży miniaturowego kościółka, znajdowała się u Kapucynów. Zawsze było tak wielu chętnych do jej oglądania, zwłaszcza po świątecznych mszach, że ciężko było się do dopchać w jej pobliżu. Owa szopka swym urokiem zadziwia do dzisiaj. Ładna, duża szopka, ale statyczna, często z żywymi zwierzętami, była prezentowana w kościele Bernardynów.

Okres świąteczny upływał pod znakiem śpiewania kolęd, których znaleźliśmy ogromny repertuar, a w późniejszym czasie na oglądaniu telewizji. Kolędowanie przy zapalanej choince, w sąsiedztwie bożonarodzeniowej szopki, było wtedy ulubionym i powszechnym zwyczajem wzbogacającym święta. Kolędy śpiewali wszyscy uczestnicy świątecznych biesiad, ich odgłosy słyhać było na ulicach, a na naszym podwórku śpiewy dolatywały z wielu mieszkań. Dziś ten miły zwyczaj w miastach niemal całkowicie zaniknął.

Najbardziej uwielbianymi przeze mnie kolędami były: „Wśród nocnej ciszy”, „Lulajajże Jezuniu”, „W żłobie leży”, „A wczora(j) z wieczora”, „Bracia patrzcie jeno” czy „Mizerna cicha”. Piękny śpiew mamy, która uwielbiała kolędować, nieraz śni mi się po nocach.

Jako małe dzieci, wspólnie z kolegami z kamienicy: Kazkiem Kopciem czy Jackiem Gędłkiem, chodziliśmy czasem z „kolędą”. Mieliśmy paru wybranych sąsiadów, w tym niezbyt lubianych przez nas Wojakowskich, może na przekór ich postawie. Byliśmy poprzebierani, a na twarze nakładaliśmy papierowe maski i wówczas wydawało nam się, że nikt nas nie rozpozna. Zanim się dostało się jakąś symboliczną „nagrodę” trzeba się było sporo naśpiewać, inaczej niż dzisiaj, gdy „kolędnikom” chodzi tylko o datek, a nie kultywowanie tego pięknego, tradycyjnego obyczaju.

Sylwester i Nowy Rok upływał w spokojnej, świątecznej atmosferze. O północy paliliśmy dużo sztucznych ogni, a potem, po zakończeniu programu telewizyjnego szliśmy spać, by rano, jak zwykle o godzinie dziesiątej, udać się na szkolną mszę do kościoła Kapucynów. Potem około południa obowiązkowo oglądaliśmy ulubiony program sportowy: „Przeżyjmy to jeszcze raz”, który był podsumowaniem najważniejszych sukcesów polskich sportowców w minionym roku, a my byliśmy przecież zapiekłymi kibicami sportowymi, co mnie z bratem wyjątkowo łączyło.

Mama miała spore poczucie humoru i nieraz opowiadała nam kawały, z których szczególnie fajne były o Żydach, znane jej pewnie jeszcze z rodzinnego domu, ale nie jakieś złośliwe, tylko podkreślające ich specyfikę. Oto jeden z nich; przychodzi Icek do Salci i mówi do niej: „Salci jesteś piękna jak lelija”. Ona na to: „z uwagi na woń?” – nie, „z uwagi na biel?” – nie; to dlaczego: „bo masz żółto w uszach”. Inny fajny dowcip dotyczył czasów okupacji, kiedy żandarm niemiecki podchodzi na dworcu do przekupy i pyta ją po niemiecku: dokąd jedzie, czyli „wohin?”. Na to zeźlona baba odpowiada: „do dupy jadę nie do Chin, ja jadę do Zywca”.

Moja mama była osobą bardzo muzykalną, podobnie jak i ojciec, czego ja już nie pamiętam i miała piękny, cieniuteńki głosik, który często wykorzystywała do śpiewania, a raczej cichego nucenia pieśni religijnych. Odczuwała w tym zakresie wielką potrzebę, wszak śpiewanie przynosiło jej jakąś ulgę i poprawiało codzienny nastrój. Najczęściej czyniła to w trakcie gotowania, prasowania czy maglowania bielizny, bo przy śpiewie nudnawa i jednostajna praca szybciej mijała, a potrzebę codziennego śpiewu najwyraźniej wyniosła z rodzinnego domu. Do dziś dolatują do mnie gdzieś z odległych pokładów pamięci dawno niesłyszane wersety „godzinek”, modlitwy jakby przez nią upodobanej, przy której nieraz przyszło nam zasypiać, bowiem mama często prasowała późną porą, a nawet w nocy:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą
Zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą
Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy
A wyrwij nas z potężnych rąk nieprzyjaciół mocy

Ile minut w godzinie
 A godzin w wieczności
 Tylekroć bądź pochwalon
 Jezu ma miłości

Chwała Ojcu i Synowi Jego przedwiecznemu
 I równemu im w bóstwie Duchowi Świętemu
 Jak było na początku, teraz zawsze i ninie
 Niech Bóg w Trójcy Świętej jedyny na wiek wieków słyńie

Ile minut w godzinie....”.

Szczególnie bliska była mi też bliska pieśń – modlitwa: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Mama zawsze zachęcała do jej odśpiewania bądź bodaj odmówienia, zwłaszcza przed spaniem, gdyż jej przesłanie miało zapewniać bezpieczeństwo. I tu opowiadała historyjkę jak to kogoś, kto odmówił tę modlitwę, próbowano w nocy, w trakcie snu zabić nożem, a ten nie wbił się do ciała tylko odbił się od niego niczym od skały. Myśmy w to wierzyli i chętnie odmawiali jej wersety, zwłaszcza w Bilczycach, gdzie w nocy w babcynej chałupie było ciemno i nieprzyjemnie.

Wiele było takich ulubionych pieśni nuconych przez moją matkę, że wymienię tylko: „Spuśćcie nam na ziemskie niwy” (adwent), „Chwalcie łąki umajone” (maj) czy „Kiedy ranne wstają zorze” i pozostał mi po nich tylko odbłysek w mojej pamięci. Czasem, gdy je gdzieś usłyszę, natychmiast powraca refleks z przeszłości. Kiedyś, gdy je mateczka śpiewała czy nuciła, emanowała z niej jakąś wewnętrzną siłą, która pozwalała jej pokonywać wiele przeciwności losu, a nas wzmacniała w magicznej wierze w istnienie sił nadprzyrodzonych.

Moi rodzice byli ludźmi prostymi oraz skromnymi i choćby z racji ich trudnej drogi życiowej nie umieli się rozpychać przez życie. Taka ich filozofia zaciążyła też na mojej późniejszej postawie. Jako dziecko zawsze byłem nieśmiały, bojaźliwy i unikający „salonowego” towarzystwa, co później nie ułatwiało mi dorosłego życia. Mama stała się nieco bardziej „pazerna” dopiero w nowej sytuacji politycznej jaka zaistniała po wojnie, a zwłaszcza w trudnych chwilach po śmierci ojca. Nowe czasy jakie się wytworzyły w powojennej Polsce, gdy prości ludzie mieli już więcej do powiedzenia i nie byli całkowicie zdani na łaskę i niełaskę swoich dawnych pracodawców, często bardzo surowych i mało tolerancyjnych, na pewno wzmacniały ją duchowo. Tam gdzie piętrzyły się trudności bytowe z pomocą przychodziła jej głęboka wiara, która jakby łagodziła skale problemów, choć paradoksalnie los nigdy jej nie rozpieszczał, a wręcz przeciwnie zawsze przysparzał jej wiele niespodziewanych zdarzeń i problemów. Wierzyła, że wszystko co w życiu niedobre i niesprawiedliwe zostanie jej odmienione po śmierci. Była zatem prawdziwą chrześcijanką, a nie malowanym, butnym i pewnym siebie katolikiem.

Ale aby godnie trwać i zapewnić nam godziwy byt nieraz musiała toczyć heroiczną walkę w swoim najbliższym otoczeniu, jak choćby o zmianę mieszkania czy ochronę godności osobistej. Walka taka kosztowała ją dużo sił i zdrowia, wszak z natury nie była stworzona do wojowania i nieraz w kąciku uroniła gorzką łezkę wobec niesprawiedliwej i momentami bezdusznej rzeczywistości. W najbardziej trudnych chwilach zawsze mogła liczyć na nasze wsparcie, co na pewno dodawało jej sił, choć mój brat, zwłaszcza po 1965 roku, nieraz dobrze załatwił jej skórę. W późniejszych latach, gdy mieszkaliśmy już osobno, bez brata, zawsze miała we mnie oparcie, choć i ja nigdy nie byłem w życiu aniołem, czego mam pełną świadomość. Do końca życia pozostała cichą myszką, zawsze pogodnie usposobioną do ludzi i z optymizmem patrzącą w przyszłość. Gdy mówiła o śmierci nie czuła przed nią lęku i zawsze podkreślała, że takie są wyroki boskie, z którymi trzeba się pogodzić.

Nigdy nie chciałem jej opuszczać, choć po studiach górniczych mogłem się dobrze urządzić na Śląsku. Już na studiach mogłem dostać stypendium fundowane przez kopalnię, a potem, na dzień dobry, mieszkanie i świetnie płatną pracę. Nie żałuję tej decyzji. Nie żałuję też, że nigdy w życiu zawodowym nie próbowałem podążać na skróty, by ułatwić sobie życie, m.in. poprzez zapisywanie się do różnych partii czy organizacji politycznych. Dorabiałem się wolniej, ale w życiu osiągnąłem niemało, łącznie ze szczęśliwym małżeństwem przeżyтым pod jej skrzydłami. Jej aura zawsze dodawała mi optymizmu, a jej osobowość i postawa życiowa były dla mnie więcej warte niż największe nawet pieniądze; zawsze była dla wielkim autorytetem i podporą moralną.

Miała przekonanie, że swoją obecnością przynosi szczęście i tak chyba było. Dokąd żyła i mieszkała razem z mną i moją rodziną, moje życie jakimś dziwnym trafem było wolniejsze od wielu trosk. Wiele zmieniło się po jej śmierci, choć zawsze mam przeświadczenie, że gdzieś z zaświatów obserwuje mnie i czuwa nade mną oraz moimi najbliższymi. Czy mógł to być tylko przypadek, gdy mój brat, który po jej śmierci znajdował się w niełatwej sytuacji życiowej, wygrał w „milionerach” 125 tys. złotych? Oczywiście jestem pełen uznania dla jego nieprzeciętnej wiedzy, ale już sam fakt dostania się do programu nosi już znamiona wygrania na loterii. Moją zapłatą, jakże symboliczną, za jej bezgraniczne poświęcenie i dobroć, jest sporządzone przeze mnie drzewo genealogiczne jej rodziny, na którego rozpracowanie poświęciłem sporo ponad pięć lat żmudnych studiów i poszukiwań. Dzięki Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej i uprzejmości Pana prof. W. M. Kolasy pamięć o niej i jej bliskich nigdy nie zaginie.

XIII. Kuchnia tamtych lat

Mama była dobrą kucharką, wychowaną na tradycyjnej, galicyjskiej szkole kulinarnej, której konserwatywne zasady ugruntowała sobie na przestrzeni lat 1932-1949, kiedy pracowała w domu Gawłów i Beigertów. Chcąc nie chcąc musiała się wtedy dostosować do ich wymagań, by z czasem ściśle je przyswoić. Nie ulega jednak wątpliwości, że solidne podstawy sztuki kucharskiej poznała już w domu rodzinnym w Podolanach, lecz dopiero w naszym gniazdku mogła je swobodnie wykorzystywać, gdy już nikt nie ingerował w menu przygotowywanych przez nią potraw.

Często, tak z nudów, przyglądałem się jak przygotowywała potrawy, a czasem nawet co nieco pomagałem, więc sporo z zasad sztuki kulinarnej do dziś zapamiętałem. Nie ukrywam, że dziś sam lubię sobie trochę „popichcić” i wychodzą z tego niezłe potrawy.

Pół wieku temu i jeszcze długo potem chleb był sprzedawany wyłącznie w bochenkach, więc by ukroić kromkę w cenie był dobry, ostry nóż. My mieliśmy taki, wykonany z damasceńskiej stali i choć był on już bardzo stary i mocno zużyty służył nam jeszcze ze dwadzieścia lat. Wybór bułek był spory: od wspaniałych wodnych w piekarni na Rajskiej 20, po większe, przeróżne: strucelki z makiem, damskie, ślimaki, bośniaczki i placki szewskie u Mola.

Z potraw mięsnych najczęściej jedliśmy: kotlety, sznycle, bitki oraz gulasz i tylko czasem pojawiała się biała kiełbasa, którą z dodatkiem cebuli mama podsmażała w naszym dziurawym piekarniku.

Kotlety były wykonywane metodą tradycyjną poprzez ubijanie pociętych kawałków mięsa metalowym tłuczkiem, co wykonywało się na drewnianej desce, a potem obtaczanie ich trzema składnikami: ubitym trzepaczką jajkiem, mąką i bułką tartą, najczęściej przygotowaną własnoręcznie z zeschniętego chleba, przemielonego potem w maszynce do mielenia mięsa. Każdy z dodatków znajdował się w odrębnym, głębokim talerzu. Tak po kolejnych operacjach, zakończonych uformowaniem panierki, kotlety były smażone na dużej patelni w rozgrzanym smalcu.

Sznycle były sporządzane z mielonego mięsa, najczęściej kawałka wieprzowiny, własnoręcznie przepuszczonego przez ręczną maszynkę do mielenia, z dodatkiem jajka, zmielonej bułki, poszatkowanej cebuli, soli i pieprzu. Wymieszane składniki były dzielone na porcje, rozgniatane na placki, a następnie obtaczane mąką i bułką tartą. Tak przygotowane preparaty były ręcznie wyrównywane na desce, nacinane nożem z obu stron, tworząc na ich powierzchni swoistą kratkę, a następnie wkładane do patelni na rozgrzany smalec i smażone do momentu ich solidnego zarumienienia się, oczywiście obracane od czasu do czasu z boku na bok. W naszym domu praktycznie nie używało się oleju, który w tym czasie nie był tak popularny jak dzisiaj. Do pieczenia chrustu czy pączków powszechnie używany był ceres.

Bitki stanowiły ubijane tłuczkiem na desce kawałki mięsa wołowego, następnie podsmażane, a potem duszone w garnku z dodatkiem zawiesistego sosu, który był przygotowany z podsmażanej mąki i cebuli. Od czasu do czasu na stole pojawiały się bitki cielęce, duszone z dodatkiem cebuli, nasz wielki przysmak. Cielęcina, brzydko pakowana w szary papier pakunkowy, była kupowana za grubą forszę (160 zł za kilo) od „baby” spod Liszek. Generalnie mama używała mało przypraw, głównie: sól, pieprz i kostkę magii.

Gulasz, pieśzcotliwie zwany przez nią „gulasiem”, sporządzany był z niewielkich kawałków wstępnie pociętego i przysmażonego mięsa wieprzowego lub wołowego, zmieszanych następnie z dodatkiem wody, zasmażki i przyrumienionej cebuli. Zasmażka, czyli mąka z dodatkiem masła, wprawdzie musiała się przyrumienić na patelni. Potem, po dodaniu niewielkiej ilości wody i zamieszaniu całości archaiczną, drewnianą łyżką, była dodawana do wcześniej przygotowanego mięsa i mieszana na ogniu za pomocą drewnianej, też wiekowej mątwki, zwanej przez mamę „rogalką”.

Często jadalіśmy inne, jarskie produkty smażone: placki ziemniaczane sporządzane ze starych ziemniaków, startych na gruboziarnistej, metalowej tarce, z dodatkiem jajek i mąki, soli i pieprzu oraz panierowane płaty z dorsza. Surowe tusze z dorsza były wtedy bardzo tanie i dobrej jakości, ale by uzyskać z nich smakowite filety, panierowane w bułce tartej, trzeba było włożyć wiele wysiłku. Takie chrupiące rybne kotleciki były właśnie popisową potrawą mamy. Oczywiście częste w spożyciu były potrawy śniadaniowe, sporządzane z lubianych przez nas jajek, zwykle „babczynych”, a więc jajecznica na maśle czy jajka na „twardo” i „miętko”, te ostatnie przez lata spożywane w pseudokryształowych, podwójnych podstawkach. Te na „miętko” nie mogły posiadać nazbyt płynnego białka, bo zaczynało się wybrzydzenie.

Kurczaków z hodowli wtedy jeszcze nie było, jadało się za to wiejskie kury kupione na placu targowym bądź dostarczone przez babcię. Ubite kury, już bez łba, mama osobiście parzyła wrzątkiem, potem je skubała i patroszyła, a następnie gotowała w dużym garnku z dodatkiem świeżych jarzyn: selera, marchwi, pietruszki i cebuli oraz kostki magii, zwanej pospolicie „kostką magiego”. Nieraz jednak sama musiała odciąć głowę, do czego służyły: pieniek i siekierka do rąbania drewna, które znajdowały się w naszej piwnicy. Na obiad jadalіśmy kawałek kury: nogę lub pierś, najczęściej prosto z rosółu; korpus zwykle objadała mama. Wcześniej toczyliśmy z bratem zacięty boje, czyje będą wyskubane z wnętrza podroby: wątróbka, serce, żołądek i nerka, więc jadalіśmy te smakołyki na zmianę. Rosół był spożywany z maminym makaronem, własnoręcznie przez nią przygotowanym. Były to najczęściej dość grube paski uzyskane z wywalcowanego na stolnicy, a potem pociętego nożem ciasta. Ciasto takie: mąka z dodatkiem wody i jajek, było wcześniej urabiane w rękach. Od czasu do czasu dodatkiem do rosółu było lane ciasto oraz grysik. Osobiście bardzo nie lubiłem włóknistych lanych klusek i zawsze jadłem je na siłę, grymasząc przy okazji ile się tylko dało.

Biedna mama nieraz musiała wysłuchiwać i tolerować nasze wybrzydzenia i kaprysy, ale czasem po prostu nie miała co innego włożyć do garnka, a myśmy tego jakoś nie byli w stanie zrozumieć.

Kiszka, czasem przynoszona przez babcię prosto ze wsi, była przysmażana na blasze pieca, na mocno wyeksploatowanej, nierównej patelni z dodatkiem cebulki; zawsze w naszym domu była zwana kiszka, rzadziej kaszanką, nigdy krupniokiem.

Z kiełbas, które w plasterkach dodawało się na posmarowaną masłem kromkę chleba, a następnie pokrywało musztardą, królowały w tym czasie: szynkowa, kminkowa, krakowska, mielonka („lencz”), serwolotka i mortadela. Na ciepło gotowało się: parówki i kiełbasę parówkową oraz kiełbasę zwyczajną, której jakość była zupełnie inna niż dzisiaj; wielu, zwłaszcza robotnicy, jadało ją na zimno, do chleba. Smaczne i często przez nas spożywane były: pasztetówka, wątrobianka, zwykły pasztet, a nawet czarny salceson i tylko szynka czy baleron rzadko pojawiały się na naszym stole, bo ciężko je było zdobyć, ponadto były to już dość drogie wyroby. Gotowany boczek, choć smaczny, był dla nas za tłusty. Jak już wspomniałem wcześniej, w tych czasach wybór wędlin może nie był nazbyt bogaty, za to ich jakość naprawdę solidna, a przy tym ich smak, a więc i receptury wykonywania, były niezmiennie w czasie. Takie konserwy, jak: turystyczna, tyrolska, wołowina w sosie własnym czy gulasz angielski, smakowały zawsze tak samo. Gdy dziś porównuje smaki różnych tzw. „konserw turystycznych” czy kiełbas, choćby: toruńskich, podwawelskich czy zwyczajnych, zwłaszcza tych marketowych, po prostu flaki przewracają się w żołądku; ich smaki są z reguły beznadziejne i nieprzewidywalne, a konsystencja często przypomina pasztet. Gdzie podziały się dawne receptury na te wyroby i rzemieślnicza solidność?

Niestety w dziedzinie jakości wędlin czasy PRL stały na bez porównania wyższym poziomie, na co ja jestem szczególnie uwrażliwiony, bo mam wyrobiony od dawna smak, a ponadto żaden człowiek nie lubi przechodzić z lepszego w gorsze. Oczywiście i dzisiaj produkuje się wspaniałe, tradycyjne wędliny, ale te można dostać tylko u wytwórców prywatnych, szczególnie poza Krakowem, niestety po kilkakrotnie wyższej cenie. A w marketach królują tzw. „wędliny”, a więc produkty wykonywane jak leci, z „masy mięsnej”. Można by zażartować, że dzisiaj dominuje zasada: „dobra świnia wszystko zje”, byle z zyskiem dla producenta i handlowca. Są oczywiście wyjątki, ale nieczęste.

Może warto przypomnieć podstawowe warzywa i owoce, również te egzotyczne, które można było zdobyć po mocno wygórowanej cenie, jakie dominowały w kuchni i na stołach pół wieku temu. Jest to ciekawe choćby z uwagi na fakt, że w ostatnich latach na rynku pojawiło się wiele unijnych nowości, które na stałe zagościły w naszych domach i dla młodego pokolenia są już one już czymś zwykłym. Na stołach gościły: ziemniaki, czasem zwane kartoflami, marchew, pietruszka, seler, cebula, kapusta (biała i włoska), buraki, pomidory, ogórki, koper, czosnek, kalarepa, kalafior, groch (z ulubionymi przeze mnie: wielkim jaśkiem i małym zielonym groszkiem, łupanym prosto ze strąków) i fasola szparagowa (tu z kolei uwielbiałem największą jej odmianę - mamut) oraz dynia.

Razem z bratem uwielbialiśmy gotowany bób, który, surowy, był sprzedawany na Kleparzu w półlitrowych porcjach, dozowanych z metalowych garnuszków. Te produkty rolne były bajecznie tanie i powszechnie dostępne, ale najbardziej smakowały te kupione na tym targowisku, gdzie na stołach wystawiali je podmiejscy rolnicy bądź placowe przekupy.

Z tradycyjnych owoców dominowały: jabłka (najbardziej pospolite były renety: złote i landsberskie jako jabłka deserowe oraz szare, służące do wypieku, a ponadto: papierówki, kosztele, grochówki czy malinówki), gruszki (większe: bery, klapsy czy osy oraz mniejsze: jakubówki i józefinki), śliwy (węgierki i damaszk, niedoceniane, choć masowo występujące mirabelki czy wielkie renklody, szczególnie przeze mnie uwielbiane), truskawki, czereśnie, wiśnie, orzechy włoskie, rzadziej morele i brzoskwinie, które bardziej masowo zaczęły się pojawiać później, w czasach Gierka. Wszystkie te owoce były tanie i powszechnie dostępne w sklepach: warzywnych, ogólnospożywczych czy na targowiskach, ale też często w hurcie, gdy prosto do domów dowozili je sadownicy i rolnicy z podkrakowskich wsi i wtedy ich cena była jeszcze niższa.

Oczywiście najbardziej smakowały te egzotyczne w tych czasach rarytasy z importu, niezwykle drogie jak na kieszeń przeciętnego Polaka, z których najbardziej popularne były: pomarańcze (40zł/kg), cytryny (30 zł/kg), banany (bodaj 30 zł/kg), winogrona (też chyba ok. 20-30 zł/kg), kawony, dziś zwane arbusami (też były drogie, chyba gdzieś ze 6 zł/kg) czy sporadycznie żółte melony. Z delikatesowych, suszonych przysmaków należy wymienić: figi, daktyle, migdały, rodzynki, orzeszki ziemne, laski wanilii czy wiórki kokosowe. Nie były one w ciągłej sprzedaży, a najczęściej pojawiały się w okresie świąt: Bożego Narodzenia czy Wielkiej Nocy, a także w bliskości największych świąt państwowych: Dnia Kobiet (8-marca), Święta Pracy (1-maja), Dnia Matki (26-maja), Dnia Dziecka (1-czerwca), święta Odrodzenia Polski (22-lipca, a więc w rocznicę podpisania Manifestu Lipcowego), Dnia Wojska Polskiego (12-październia, w rocznicę zwycięstwa LWP w bitwie pod Lenino) czy rocznicy zwycięstwa Rewolucji Październikowej, obchodzoną w PRL w dniu 7 listopada.

W lecie najczęściej zajadaliśmy się różnymi zupami: jarzynową z makaronem lub ziemniakami, grochową na zielonym groszku bądź drobnym grochu zwanym perłówką, z dodatkiem grzanek bądź ziemniaków, pomidorową ze świeżych pomidorów, najczęściej z ryżem lub makaronem i ogórkowa na kiszonych ogórkach, też z ryżem bądź ziemniakami. W zimie dominował krupnik z kaszą, ziemniaczanka z podsmażaną na patelni cebulką i żur na własnym podkładzie, z dodatkiem zgniecionych tłuczkiem ziemniaków, które były podawane w miarowych porcjach łyżkę stołową. Pachnący żur zawsze kisił się w glinianym garnku w przydomowej spiżarni na końcu korytarzu.

W naszej kuchni nie mogło zabraknąć ziemniaków, których inne określenie – kartofle, praktycznie się nie pojawiało. W lecie bardzo smakowały młode ziemniaki polane przysmażonym masełkiem, podane z sałatką z pomidorów, z dodatkiem cebulki. W zimie często jadało się zgniecione ziemniaki, polane smalcem (nazwanym przez mamę „szmalcem”) ze skwarkami i przyrumienioną cebulką, z dodatkiem zsiadłego mleka od naszej babci. Mleko ze wsi było smakowite i tak gęste, że można go było krajać nożem. Lubilem też spijać serwatkę wytrąconą na dnie glinianego garnka.

Zawsze podziwiałem mistrzostwo mamy w obieraniu ziemniaków. Do tego celu używała małego nożyka zakończonygo szpicem. Potrafiła je preparować w niezwykle ekonomiczny sposób, bardzo cieniutko okrawając skórkę i wydłubując najmniejsze nawet zagłębienie i to z chirurgiczną wręcz precyzją, bo tak na dawnej wsi szanowano pożywienie.

Bardzo popularny w uprawie był wówczas mak, wówczas w żaden sposób nieograniczany, a przez to niedrogi i pewnie dlatego tak popularnym ciastem był makowiec oraz różnego rodzaju drożdżówki z makiem. Popularnym zajęciem pośród młokosów było skubanie słonecznika oraz wyjadanie pestek z suszonych nasion dyni.

Od czasu do czasu mama odwiedzała hale targową na Grzegórkach, gdzie kupowała surowe flaki, rzadziej płucka, które potem osobiście preparowała. W początkowej fazie, przy czyszczeniu i parzeniu błon, było naprawdę niemało roboty, ale też i smrodu. Wyczyszczone flaki były gotowane, cięte we wstążki, a potem odpowiednio przyprawiane i preparowane, z dodatkiem zawiesistego sosu. Flaki były popisem jej kunsztu kulinarnego i nie przejadały się nawet przez kilka dni, a im starsze tym były lepsze, podobnie jak nieco rzadziej preparowany mózdzek cielęcy, zesmażany z cebulką. Znakomite były też pasztety wieprzowo-wołowe, z dodatkiem wieprzowej czy wołowej wątroby, wypiekane w metalowych foremkach w „szabaśniku”. I w ich sporządzaniu też była mistrzynią, choć roboty przy tym było co niemiara, zwłaszcza przy przepuszczaniu mięs i wątroby przez ręczną maszynkę do mielenia mięsa.

W lecie, zwłaszcza na wakacjach, a także w jesieni, często jadaliśmy ulubione przez nas grzyby. W Krakowie grzyby można było kupić jedynie na starym Kleparzu, a my najczęściej jadaliśmy te tańsze: kozaki i maślaki, w postaci zupy bądź zabielanego sosu. Zawsze przepadałem za potrawami z grzybów i uważałem je za substytut mięsa, podobnie zresztą, jak wielką fasolę - mamut, którą też uwielbiałem z dodatkiem bułki tartej przyrumienionej na masełku.

Często jadaliśmy bigos, ale ten moim zdaniem był nazbyt gęsty. Może nieco za dużo było w nim zasmażki, więc przy odgrzewaniu lubił się przypalać. Natomiast gołąbki z mięsem też były popisem jej kulinarnego mistrzostwa, a najlepsze wychodziły ze zmielonej łopatki czy karkówki. Kapusta, której właściwy wybór był bardzo istotny, a kto wie czy nie najważniejszy, zawsze musiał być miękka, a sos naturalny i nie za gęsty - palce lizać. Gołąbki też zjadało się przez kilka dni, bo z każdym dniem robiły się one coraz lepsze. I tu ich spreparowanie kosztowało wiele pracy.

Od czasu do czasu jadalśmy pierogi z mięsem, serem czy truskawkami, knedle ze śliwkami, pierogi leniwe oraz makaron z serem. Oczywiście wszystkie te potrawy były wykonywane przez mamę własnoręcznie. „Specjalnością zakładu” był też zapiekany ryż z jabłkami, posypany cynamonem i cukrem, a potem dodatkowo polany słodką śmietaną, czyli tzw. zapiekanka, do czego wykorzystywany był nieco już dziurawy szabaśnik naszego kuchennego pieca i z tego też powodu potrawy te bywały czasem z lekka przypalone, podobnie jak wypiekane przez mamę ciasta, który były potem skrobane z spalenizny nożem kuchennym, a okruchy wyrzucane na parapet wróblom.

Nigdy natomiast nie lubiłem mleka, z wyjątkiem podanego prosto od krowy, co zdarzało się na wsi, ale bardziej na zasadzie maminej zachęty.

Aby go w jakiś sposób przemycić mama gotowała nam kakao lub kawę zbożową. Tolerowałem też bawarkę, ale grysik na mleku już nie chciał mi przejść przez gardło. Z mlecznych zup smakowała mi jedynie zacierka, dawna chłopska potrawa, atrakcyjna dla mnie do spożycia głównie przez egzotykę jej przygotowywania. Urobione z wodą ciasto było ręcznie skubane na małe kawałki i zalewane wrzącym mlekiem z dodatkiem cukru, a potem chwilę gotowane. Mleka nie tolerowałem, ale uwielbiałem wyjadać z garnka kożuchy, zwłaszcza z kakao, rzadziej z kawy zbożowej, a z braku laku nawet z tłustego mleka. Mleko często kipiało czy to na blachę bądź na elektryczną maszynkę, bo mama nie zawsze miała wystarczająco dużo czasu, by je dopilnować i w czasach dzieciństwa przywykłem do tych niezbyt przyjemnych zapachów. Mleko lubiło się też przypalać do dna garnka, gdy było gotowane na nazbyt mocno rozgrzanej blasze i wówczas zmieniało swój smak na gorzki, więc nam nie mogło przejść przez gardło i wtedy wypijała je mama, gdyż „dary boskie nie mogły się zmarnować”, co było dawną, wiejską zasadą, zgodnie z którą była wychowywana w swoim domu. Podobnie było ze „zgorzkniałym” mlekiem, które się czasem przytrafiało. Z potraw mlecznych najbardziej smakował mi budyń i stąd był on często przyrządzany, choć i on czasem „wykipiał” na blachę bądź co nieco się przypalił. Najwyżej ceniłem budyń waniliowy, polany sokiem malinowym; nieco gorszy, choć droższy, był czekoladowy. Wybór w tych czasach był stosunkowo niewielki, wszak nie pamiętam nawet innych ich smaków.

Jeszcze bardziej niż budyń smakował mi kisiel. Najlepszy z nich posiadał smak żurawinowy, ale i tu wybór był niewielki. Był wyborny, zwłaszcza po lekkim dosłodzeniu i mama nieraz musiała dogotować repetę. W tak to niedrogi sposób uzupełniało się wieczny dziecięcy głód na słodkości.

W naszym domu nie piło się markowej herbaty, najczęściej byle jaką lurę. W ogóle w tym czasie wybór nie był za wielki, wszak dominowały „sieczi” o nazwach: Ulung, Chińska bądź Gruzińska, czy nieco lepszy już Madras, bo z ciut grubszymi kawałkami suszu. W tym czasie ekspresowych produktów w torebkach praktycznie nie było. Herbata była parzona po staroświecku, w małym, porcelanowym czajniczku pozostawionym na nie za mocno podgrzanej blasze bądź na otworze sagana do gotowania wody w miejscu przykrywki.

Wodę na herbatę czy kawę gotowało się w emaliowanym czajniku, zwykle na blasze pieca, rzadziej na maszynie elektrycznej, gdzie proces ten przebiegał dużo wolniej. Aż dziw bierze, że dzisiaj jestem smakoszem prawdziwej, liściastej herbaty marki Junan, która dawniej była wielkim rarytasem, dostępnym jedynie w delikatesach, podobnie jak równie nieczęsto pojawiający się liściasty Assam. Żadna inna nie chce mi dziś przejść przez gardło, taki to ze mnie zrobił się smakosz, choć i w tych nowych czasach niełatwo jest znaleźć prawdziwie dobry gatunek tej herbaty jak np. Sir Roger. Wiele produktów występuje pod tą samą nazwą, choć większość z nich to prawdziwa chała, jednak prawdziwy smakosz jakość herbaty może ocenić już po wyglądzie jej liści; nie może to być drobna sieczka bądź liście z dużą zawartością korzeni.

Dużo jadaliśmy kiszanej kapusty zwykle kupowanej u Mola, rzadziej u Serafina, gdzie była ona nieco lepsza. Mama często wyciskała z niej kwaśnicę i dawała nam ją do picia dla zlikwidowania, jak to mówiła, „robaków” (owsików), a samą kapustę gotowała, po czym dodawała do niej zasmażkę i trochę tłuszczu, zwykle smalcu ze skwarkami. Taką kapustę jadało się zapewne w jej rodzinnym domu, a było to wtedy podstawowe pożywienie chłopskie, często pozwalające przeżyć zimę. Miłość do spożywania tak spreparowanej kapusty z dodatkiem omaszczonych ziemniaków, takiego typowo chłopskiego jedzenia, pozostała jej do końca życia, a podobne przyzwyczajenia miał mój teść. Posłodzona kapusta kiszona była najczęstszym dodatkiem do smażonej ryby. Nigdy natomiast nie przepadałem za gotowanymi, a potem startymi na tarce i zasmażanymi na patelni buraczkami. Nie przepadałem też za tartą marchewką, następnie duszoną na patelni z dodatkiem masła, nawet nową.

W lecie jako najczęstszy dodatek do drugich dań jadało się świeżo ukiszone ogórki. Do ich kiszenia używało się tzw. „kamieniaków”, czyli dużych, ceramicznych garnków. By przyspieszyć proces kiszenia były one stawiane na oknie, a więc do słońca i przygniatane pokrywką z jakimś ciężarkiem na wierzchu. Ułożone warstwami, posolone na wycucie i przełożone koprem, po dodaniu czosnku, a czasem i skórki od chleba, były zalewane wrzącą wodą i „dochodziły” w ciągu trzech dni, choć nieraz podjadałem jeszcze niedokiszone, bowiem tak nęciły swoim zapachem. Pachnące ogórki kiszane były kolejnym popisem kulinarnego mistrzostwa mamy, a ja zawsze zjadałem ich niewyobrażalne ilości, co zostało mi po dziś dzień i w rodzinie jestem zwany „ogórkożercą”. W sezonie mama musiała je nastawiać co kilka dni, dźwigając wytrwale surowe ogórki najczęściej ze starego Kleparza. Często jadaliśmy też mizerię, cienko pokrojone ogórki surowe z dodatkiem śmietany bądź tylko octu, którą mama nazywała „mizeratką”.

W zimie powodzeniem cieszył się kiszony barszcz czerwony, sporządzony przez mamę z kawałków buraków z dodatkiem czosnku i skórek od chleba, a do tego celu najlepiej się nadawał duży, gliniany gar. Taki barszcz miał być antidotum na anemię i posiadał doprawdy rewelacyjny smak, więc zwykle był wypijany na surowo, prosto z gara.

Po obiedzie często pijaliśmy kompoty. Mama sporządzała różne kompoty, które kiedyś ponoć uwielbiał mój ojciec. Latem podstawowym surowcem do ich wyrobu był świeży rabarbar, zimą były to suszone śliwki, gruszki bądź plasterki jabłek. „Suszki” najczęściej dostarczała nam ciotka Marysia z Klęczany, która posiadała rozległy sad i tradycyjną wędzarnię tych pysznych owoców, a u nas były one przechowywane w spiżarni na korytarzu, gdzie zawsze panował chłód. Jakże smakowały zimą te ciepłe, gęste od owoców i aromatyczne wywary. Były one gotowane w dużym garze na blacie kuchennego pieca, by starczyło na dłużej. W tych czasach suszone owoce były bardzo popularne, choć ich asortyment nie był za wielki. Natomiast popularne dziś mrożonki były wtedy jeszcze w powijkach. Stosunkowo najwcześniej na rynku zaczęły się pojawiać mrożone truskawki, potem śliwki.

„Specjalnością zakładu” był też szpinak, który jadało się w lecie, najczęściej z sadzonym jajkiem i młodymi ziemniakami polanymi tłuszczem. Dokładnej receptury już nie pamiętam, ale nie była ona całkiem prosta i wiązała się z przemiałem ugotowanych liści w maszynce do mięsa, do których potem dodawało się chyba mąkę i rozbełtane jajka, a może i mleko i taka zielona mieszanina była potem smażona w patelni na maśle. Nigdy nie smakowała nam natomiast zupa szczawiowa, preparowana z równie zielonych listków polnego szczawiu, więc po kilku nieudanych próbach mama zaniechała jej sporządzania.

Jak przystało na dobrą gospodynię mama wykonywała całą gamę przetworów na zimę, które następnie przechowywała w spiżarni. Były więc w naszym domowym magazynie: ogórki kiszone, tym razem z dodatkiem chrzaniu i liści wiśni, który to dodatek miał je lepiej konserwować, pikantna sałatka z zielonych pomidorów, konfitury z dyni preparowane na zaprawie octowej, pasteryzowane w słoikach kawałki jabłek, sparzone, pocięte w kawałki i zasłodzone skórki pomarańczowe czy przeciery pomidorowe. W spiżarni nie mogło zabraknąć zapasów: mąki, cukru, maku i suszonego grochu, zwłaszcza lubianego przez nas łuskanego jaśka. Ten smakołyk lubiłem jadać bez żadnych dodatków, tylko z przyrumienionym masłem bądź w barszczu czerwonym. W spiżarni nie mogło też braknąć suszonego zielonego groszku, z którego mama robiła pyszne grochówki na zasmażce oraz pasteryzowanych soków owocowych, najczęściej z malin lub jeżyn, szczelnie zakorkowanych i czasem dodatkowo zalakowanych w butelkach po gorzałce. Zapasy w poszczególnych latach były większe lub mniejsze, w zależności od urodzaju. Zwyczaj przechowywania większej ilości cukru i mąki, po kilka kilogramów zapasu, miał swą genezę w niedostatkach jakie panowały w zaopatrzeniu sklepów w czasie okupacji oraz wnet po wojnie i ludziom starszego pokolenia wszedł on głęboko pod skórę; jeszcze do niedawna taki dyżurny zapas zawsze przechowywała moja teściowa.

Dla wielu ludzi, zwłaszcza ze wsi, gwarancją zabezpieczenia się przed głodem był też zapas wędzonej słoniny. Podsmażana na patelni słonina była potem wspaniałym dodatkiem do kapusty, ziemniaków, żuru, czy gotowanego grochu. Pyszne to było jedzenie, choć niezbyt dietetyczne. Kult słoniny był również zawsze obecny w domu mojej babci w Bilczycach, ale ceną za jej nadmierne spożywanie były potem kwasoty żołądka, które dokuczały potem całej jej rodzinie.

W czasach niedoboru oranżad i napojów chłodzących powodzeniem cieszył się napój sporządzany z drożdży, z dodatkiem soków owocowych. Taki drożdżowy roztwór zamykało się w butelce po oranżadzie, po czym oczekiwano się kilka godzin do rozpoczęcia procesu fermentacji. Po otwarciu napój zawierał więcej gazu niż zwykła oranżada, który nieraz uchodził nawet przez dociśniętą, gumową uszczelkę, a po otwarciu wręcz eksplodował; raz nawet doszło do rozsadzenia butelki. Pijaliśmy też wodę z dodatkiem cukru i cytryny, która po dodaniu niewielkiej ilości sody oczyszczonej i zamieszaniu silnie musowała. Z braku dużego wyboru musiała smakować „sodówka” kupowana w 2-litrowych, zwrotnych syfonach bądź woda mineralna, najczęściej Kryniczanka, ta ostatnia przynoszona z pijalni wód z ulicy św. Jana 5 zlokalizowanej naprzeciw kina Sztuka. Wody mineralne były sprzedawane w szklanych, kapslowanych butelkach o pojemności 0,33 litra. Nam jednak najbardziej smakowała słynna oranżada o smaku landrynek, tzw. „landrynówka”, kupowana w sklepie Mola i innych przywaciarzy bądź w bufetach na meczach piłkarskich, słodka i mdła aż do bólu, ale w tym tkwiła jej wyjątkowość.

Może na koniec parę słów o domowych sposobach leczenia, które zapewne miały swoje korzenie w ludowej tradycji. Na przeziębienie niezawodna była herbatka z suszonych kwiatów lipy, które mama zrywała na Błoniach na początku czerwca, często z dodatkiem soku malinowego, a ten czasem był z własnych zapasów. Na kaszel najlepszy był wywar z korzeni ślazu, kupowanych w aptece. Do płukania gardła stosowało się roztwór soli kuchennej bądź najbardziej skuteczny wywar z szałwi, który pomagał też przy opuchliznach w jamie ustnej, np. przy bólach zębów. Przy gardłowych dolegliwościach popijało się też mleko zmieszane z miodem i masłem. Na chrypkę skuteczne było żółtko z jajka utarte z cukrem, często z dodatkiem cytryny bądź kakao. Na bóle żołądka pomagał wywar z ziela piołunu, na niestrawność wywar z liści mięty, zaś na uciążliwe biegunki najskuteczniejszy był kleik ryżowy, niezawodny preparat mojej mamy, często stosowany wespół w aptecznym węglu. A były to czasy, gdy do higieny rąk nie była przywiązywana większa uwaga, więc zatrucia i bóle brzucha przytrafiały się często i nieraz miały ostry przebieg. Na bóle reumatyczne skutecznie pomagał piasek rozgrzany na patelni, przesypany potem do płóciennego woreczka bądź niezawodne, choć mocno piekące, a potem swędzące dziurkowane kapsiplastry, zaś na złodzone z zimna nogi flaszka z gorącą wodą, owinięta w ręcznik, która pod pierzyną szybko je rozgrzewała. Te domowe sposoby na ogół pomagały bądź przynajmniej poprawiały samopoczucie, a na dodatek nie odstraszały smakiem lub przykrym zapachem, jak to bywało w przypadku wielu nie lubianych czy wręcz niecierpianych aptecznych specyfików.

XIV. Szkoła

Gdy dzwoneczek się odezwie biegniemy do szkółki
By się uczyć różnych rzeczy, pracować jak pszczołki.

Ref.: Danasz moja dana, ukochana szkoła

Pięknie cię witamy, bo nam tu wesoło.

Z kolegami się zabawić, śpiewać jakże miło,
Oby zawsze tak wesoło, tak przyjemnie było.

Ref.: Danasz moja dana...

brzmiały wersety pieśni szkolnej śpiewanej w pierwszej klasie na lekcji śpiewu. Pieśń ta, jak i inne piosenki ze szkolnego śpiewnika, m.in. „Ta Floriańska Brama” czy „Za tą głębią, za tym brodem”, były wykonywane przy akompaniamencie pianina, przy którym zasiadała Anna Rynduchowa, zwana w szkole „Rynduszką”. Na początku lat 60-tych „Nasza Pani” była może czterdziestoparoletnią kobietą.

Moja „ukochana szkoła” mieściła się w dwupiętrowym budynku, zlokalizowanym przy ulicy Józefa Szujskiego 2, w narożu z ulicą Krupniczą 15, a jej patronem był Jan Kochanowski. W pierwotnej, niższej wersji, został on ukończony pod koniec lat 60. XIX wieku. Początkowo mocno zestresowany zacząłem tu uczęszczać na szkolne zajęcia we wrześniu 1960 roku.



Fot. nr 348. Moja szkoła podstawowa na początku XX wieku. Z lewej, w narożu posesji pod nr 17, widoczna jest figura Matki Boskiej z dzieciątkiem autorstwa Franciszka Wyspiańskiego, która wzdłuż ul. Krupniczej okresowo stała w różnych miejscach. (MHK)



Fot. nr 349. Dawna Szkoła Podstawowa nr 6 przy ulicy Szujskiego 2, czyli moja „buda” - widok od ulicy Krupniczej. Budynek w tej postaci powstał zapewne około roku 1886, ale zajęcia szkolne zaczęły się tu prawdopodobnie dopiero od roku 1901. (16.10.2008)

Może już na samym początku tego rozdziału wymienię pierwsze litery imion i nazwiska kolegów z mojej klasy, którzy przez dłuższy bądź krótszy okres byli moimi współtowarzyszami. Dalej będę podawał już tylko pierwsze litery ich nazwisk, by nie być posądzonym o chęć zbyt dokładnego zaglądania w czyjeś dzieje – takie mamy dziś realia, które trzeba uszanować, choć z pewnością traci na tym wartość poznawcza opracowania. Byli to zatem (podaję tu świadomie bez imion):

J. Adamski, Z. Banaś, B. Biało, A. Bednarczyk, B. Bruzda, R. Bocheński, A. Basista, Chwastek, M. Cyran, Z. Czajkowski, M. Czepan, M. Domżał, R. Druzgała, J. Dycjan, Z. Feluś, A. Filipkiewicz, M. Gebel, Z. Herman, W. Huchla, M. Jarosz, P. Kaniewski, C. Karnia, K. Klimczyk, T. Kłobuch, Z. Kołodziej, H. Kostecki, P. Książek, M. Krupa, B. Kubera, Z. Lamkowski, J. Macała, Z. Matys, Z. Merwart, J. Morawski, M. Mrozek, P. Mrówczyński, E. Nelka, W. Nowak, W. Olejniczak, W. Ortyl, T. Pacuła, A. Pawelec, J. Piszczek, S. Plutecki, Z. Polcyn, Z. Prządka, J. Przydatek, W. Ryl, A. Seweryn, Z. Setkowicz, R. Sitko, M. Sobesto, M. Sowiński, T. Stapiński, M. Szymański, R. Szywalski, P. Ścigalski, R. Ślusarczyk, T. Trynczuk, Z. Turek, K. Walczyk, R. Warykiewicz, A. Wiśniewski, A. Włodarczyk, B. Wojtyło, P. Worytkiewicz, K. Wójcicki, Z. Ziobro i J. Zubel.



Fot. nr 350. Tympanon z okiem opatrności bożej w zwieńczeniu budynku od strony ulicy Krupniczej. (05.02.2018)

Ale wracając do historii szkolnego budynku opisanego przez Władysława Bodnickiego, został on wybudowany przez Antoniego Wojczyńskiego (Wojczyńskiego) – ur. 1817, zm. 1878 - właściciela sporej ilości gruntów i posesji w tej części Piasku. Był on kupcem, posiadał kamienicę przy Rynku Głównym 21, a w niej magazyn towarów bławatnych oraz skład płócien i bielizny stołowej. Był ciekawą, choć kontrowersyjną postacią. Zasłużony przy odnowie kościoła św. Wojciecha po pożarze w 1850 roku, w roku 1871 postulował zburzenie Sukiennic. Jak pisze w/w autor w swej pięknej książce „Muzy z ulicy Krupniczej”, miał on manię budowania, szczególnie w latach 1865-72, kiedy powstało tu 10 różnych domów, m.in. jego wielce prawdopodobna willa z ogrodem przy ulicy Szujskiego 4, a jest on także fundatorem kapliczki Matki Boskiej z dzieciątkiem, którą stworzył Franciszek Wyspiański. Na przestrzeni pomiędzy ulicami: Krupniczą i Rajską zamierzał on utworzyć plac Królewski. Budowa, rozpoczęta w roku 1865, została ukończona w roku 1869 (daty te są umieszczone na jednej z tabliczek wmurowanych w ścianę budynku), a autorem projektu był Józef Ochmański. W pierwotnej wersji był to zapewne dom mieszkalny, który od strony ulicy Szujskiego (wówczas jeszcze nieistniejącej) miał być piętrowy, a od strony ulicy Krupniczej parterowy. Dom rozbudował zapewne Władysław, syn Antoniego, a szkoła zaczęła tu ona działać nieco później. Początkowo, do roku 1900, zapewne funkcjonowała tu szkoła dla chłopców im. św. Salomei. Następnie, w latach 1901-1908, była tu szkoła im. Józefa Szujskiego dla dziewcząt, a potem, w latach 1909-1914, dalej szkoła powszechna dla dziewcząt, ale jej patronem był już Tadeusz Kościuszko, zaś w latach 1915-1939 działała tu szkoła powszechna dla chłopców im. św. Barbary.

Takie informacje można przynajmniej wyczytać na pamiątkowej tablicy, ale prawdopodobnie szkoła zaczęła tu funkcjonować dopiero od 01.09.1901 roku i była to XIX powszechna szkoła żeńska im. Tadeusza Kościuszki o profilu czteroklasowym, przeniesiona tu z ulicy Krupniczej 8. Informacje tą przekazała mi Pani Ewa Karasińska, nauczycielka tej szkoły i badaczka jej dziejów.

Nauczanie nie zamarło w okresie okupacji hitlerowskiej o czym świadczy przekaz i świadectwo szkolne udostępnione mi przez pana Ryszarda Mana (zał. nr 4). W okresie powojennym, od roku 1946 po rok 1968, budynek zajmowała chłopięca szkoła podstawowa nr 6 im. Jana Kochanowskiego (historia szkoły jest wyszczególniona na tablicy pamiątkowej – fot. poniżej). W roku 1968 SP nr 6, czyli moja "buda", gdzie na zajęcia lekcyjne uczęszczałem w latach 1960-68, została wchłonięta przez SP nr 94 z naroża ulic: Kochanowskiego 7 i Michałowskiego 12, gdzie tercjanem był pan Suski, a jego syn Leszek, młodszy ode mnie o dwa lata, był dobrym piłkarzem i nieraz na przyszkolnym podwórku na tyłach tej szkoły, dokąd dostawaliśmy z ulicy Karmelickiej, toczyliśmy zaciekle boje. Po tym czasie, jak mi się wydaje, budynek szkolny służył szkole specjalnej nr 44, która dotąd zajmowała jedynie kompleks przy ulicy Rajskiej 14 i od tej pory gmach ten funkcjonuje już w tym właśnie przeznaczeniu, dla dzieci lekko upośledzonych umysłowo i specjalnej troski. Obecnie w mieści się tutaj Specjalny Ośrodek Szkolno - Wychowawczy nr 1 im. Jana Matejki. Z tego co pamiętam szkoła podstawowa o numerze 6 od roku szkolnego 1968/69 rozpoczęła działalność przy ulicy Fornalskiej (potem Wietora) na krakowskim Kazimierzu. Tyle w skrócie o historii tej placówki oświatowej.



Fot. nr 351 (351-361). Różne ujęcia mojej dawnej „budy”. Tu fasada dawnej SP nr 6 od strony ulicy Szujskiego. (05.02.2008)



Fot. nr 352. Dawna „szóstka” w pełnej okazałości. Widok na dawne podwórkó szkolne spod budynku przy ulicy Szujskiego 1. (06.08.2009)



Fot. nr 352 (352-358). Tablice pamiątkowe na budynku szkoły. Tu, jak i na następnej fotografii, nad wejściem do budynku od strony ulicy Szujskiego. (05.02.2018)



Fot. nr 353. (05.02.2018)



Fot. nr 354. Tablica pamiątkowa wmurowana w fasadę Szkoły Podstawowej nr 6 w 2008 roku, która upamiętnia postacie zasłużonych dla „szóstki” pedagogów: Stanisławy Uszyńskiej i Józefa Czekajowskiego, a także przypomina historię budynku. (05.02.2018)



Fot. nr 355. Dawny numer działki w narożu budynku od strony ulicy Krupniczej.
(05.02.2018)



Fot. nr 356. Kolejna tablica wmurowana w fasadę szkoły od strony ulicy Szujskiego, która przypomina o dokonaniach budowlanych rodziny Wojczyńskich. Antoni Wojczyński, syn Tomasza i Teresy z Wróblewskich, urodził się 07.01.1817 roku na krakowskim Kazimierzu (dom nr 156), a zmarł 10.10.1878. A może by go tak upamiętnić w tej części Piasku np. jakimś placykiem jego imienia, bo chciał on przecież tu stworzyć plac Królewski. (05.02.2018)



Fot. nr 357. Wejście do dawnego lokalu mieszkalnego Pani Frani, słynnej woźnej z lat sześćdziesiątych, gdzie dziś mieści się szkolna siłownia. (12.01.2018)



Fot. nr 358. Tablica nad wejściem do dawnej sutereny Pani Frani. Pierwotny budynek w tym miejscu został ukończony w roku 1869. (05.02.2018)



Fot. nr 359. Współczesny widok na dawne podwórkó szkolne, gdzie na szutrowej nawierzchni do upadłego grywało się w „dwa ognie”. W późniejszych klasach równie zaciekle kopało się na nim „gumianką”, gdzie za bandę służyła ściana szkoły.(12.01.2018)



Fot. nr 360. Współczesny koszmarek - Grand Ascot Hotel - nie dość, że całkowicie zajął zieloną przestrzeń dawnego ogrodu, to jeszcze całkowicie przysłonił dawną willę Wojczyńskich. Na ich dawnej posesji w latach 60. mieściło się przedszkole. (12.01.2018)

W czasie mojej nauki w tej szkole obowiązywały granatowe chałaciki, sięgające do pasa, do których przypinało się wymienny, biały kołnierzyk, a do jego lewego rękawa obowiązkowo była przesywana tarcza z białymi literami na niebieskim tle, jakże nielubiana przez uczniów. Moja pierwsza klasa mieściła się w reprezentacyjnej sali na parterze, w rogu budynku. Nad czarną tablicą lekcyjną, obok centralnie umieszczonego godła państwowego po bokach wisiały pokaźnych rozmiarów podobizny ówczesnych włodarzy PRL: I-go sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki – pseudonim Wiesław, premiera Józefa Cyrankiewicza oraz Aleksandra Zawadzkiego, przew. Rady Państwa. W rogu sali, w pobliżu drzwi wejściowych stał piec kaflowy opalany węglem przez woźnego Czajkowskiego, który w zimie nie zawsze produkował wystarczające ilości ciepła, stąd przy silnych mrozach nieraz dobrze doskwierał chłód, a nogi robiły się lodowate.

Dobrze utkwiała mi w pamięci pierwsza lekcja szkolna. Było cicho, bo większość dzieci była wystraszona nowym otoczeniem. Nasza pierwsza wychowawczyni, pani Anna Rynduchowa, która towarzyszyła nam potem przez pierwsze cztery lata nauki, nakazywała nam, by przy słuchaniu jej „wykładów” trzymać „ręce założone do tyłu”, zaciśnięte palcami na wysokości pośladków. Widać były to stare przedwojenne metody wychowawcze, mające zabezpieczyć ją przed nadmiernymi psotami ze strony uczniów. Była przyzwoitą kobietą o wytwornych manierach, ale wyraźnie faworyzowała dzieci lepiej sytuowanych rodziców: „doktorów” i inżynierów, jak na przykład: Tomusia S., syna małżeństwa lekarskiego, Marysia M., syna znanego ginekologa z ulicy Krupniczej, Piotrusia Ś., syna inżyniera z ulicy Rajskiej czy Zbyszka A., też syna inżyniera z ulicy 1-Maja. Mnie traktowała dobrze, współczując wyraźnie mojej sytuacji rodzinnej, półsierocie bez ojca, ale z jej strony można było wyczuć wyraźny „dystans” do mojej osoby, choć dbała o to bym raz na rok dostawał stypendium w wysokości 120 zł. Mieszkała w Rynku Głównym 6, w Szarej Kamienicy na ostatnim jej piętrze i raz nawet w trakcie jej choroby odwiedziłem ją w jej mieszkaniu w towarzystwie jej „pupilków”; jak w klasie prześmiewaliśmy uczniów najbardziej przez nią adorowanych, do których, obok wyżej już wspomnianych należeli jeszcze: Tadiusz T. i Andrzejek W.. „Pani Rynduchowa” miała czarną, kudłatą sukę o imieniu Gama, którą czasem przyprowadzała ze sobą do szkoły i wtedy tworzył się istny cyrk, bo niektórzy z największych klasowych psotników tak dla przekory nie dawali biednemu zwierzęciu spokoju.



Pani Anna Rynduchowa (1958)



Fot. nr 361(361-368). Otoczenie dawnej SP nr 6. Tu początek ul. Szujskiego, gdzie zawsze było głośno i tłoczno. W tle budynek z ulicy Krupniczej 20, wybudowany w 1893 roku wg projektu J. Lanheisera. Na prawo od wejścia mieścił się warsztat ślusarski inż. Brzezickiego (a może braci Brzezickich), a z lewej mieszkał Mietek Matuła (rocznik 50) ze swymi rodzicami, charakterystyczne i powszechnie znane w okolicy trio. Tak twierdzą Mikołaj Kornecki i Adam Wyrobek; mnie się zdawało, że było na odwrót. (06.08.2009)



Fot. nr 362. Budynek przy ulicy Szujskiego 1, zlokalizowany naprzeciw szkoły, który dobrze mi się opatrzył przez osiem lat przebywania w jej murach. To tu na pierwszym piętrze (po dwa narożne okna) mieszkali bracia Możdzeniowie, gdzie często bywałem z bratem. Do połowy lat 50-tych był tu posterunek MO. Eklektyczna kamienica powstała na gruntach Wojczyńskich w 1889 roku wg projektu Karola Knausa. (08.11.2010)



Fot. nr 363. Kamienica z ulicy Krupniczej 18, często obserwowana w czasie lekcji. W mieszkaniu na pierwszym piętrze, w wykuszu na styku z sąsiednim budynkiem (dwa okna w poprzek ulicy), przez lata wyśpiewywał kanarek wystawiany w klatce do okna. Budynek ten (do I-go piętra) pochodzi z 1880-go roku i powstał wg projektu Jacka Matusińskiego, zaś nadbudowa dwóch pięter nastąpiła na początku w lat 30-tych XX wieku. (08.11.2010)



Fot. nr 364. Dom Literatów z ulicy Krupniczej 22, wybudowany w roku 1911 wg projektu Henryka Lamensdorfa. Na jego bocznej ścianie widoczny jest jeszcze narys dachu dawnego parterowego domku malarza Witolda Rzegocińskiego spod nr 24, który został rozebrany gdzieś na przełomie lat 60/70, wnet po śmierci artysty w r. 1969. (13.09.2010)



Fot. nr 365. Ciągłe widoczny narys dachu domku Rzegocińskiego na ścianie bocznej Domu Literatów i nadal pusty plac po wyburzonym antyku z końca XIX wieku.



Fot. nr 366. Ogrodowe przedpole domów z ulicy Krupniczej 17 i 19, które daje dobre wyobrażenie jak zielony był Piasek z przełomu wieków XIX i XX.



Fot. nr 367. Znany mi na pamięć fragment ulicy Krupniczej, który niemal codziennie towarzyszył mi w wędrowkach do szkoły, dawnej "szóstki". Budynki o nr: 19-21 (dwa pierwsze z lewej) ciągle dają świadectwo dawnego wyglądu tego przedmieścia Krakowa w II połowie XIX wieku, kiedy na ich przedpolu płynęła jeszcze Młynówka Królewska. Ta odnoga Rudawy podążała dalej w kierunku Dolnego Młyna i stąd dodatkowo cały ten fragment zabudowy o numerach: 17-21 (od ulicy Szujskiego) jest nieco cofnięty w stosunku do ulicy. (18.08.2010)



Fot. nr 368. Fragment ulicy Dolnych Młynów o numerach: 1-3, gdzie nieraz na długiej przerwie wyskakiwało się ze szkoły do sklepiku Moła, by sobie kupić coś słodkiego bądź wypić z krachli gazowaną landrynowkę. (09.06.2012)

Byłem wyjątkowo cichym, spokojnym i nieśmiałym uczniem, więc przypadłem do gustu mamie Andrzeja W., z którym przez lata łączyły mnie więzy przyjaźni; z rzadka spotykaliśmy się też na placu Hanki Sawickiej. Mimo, że jego matka była poczciwą i ludzką kobietą rzadko pozwalała mu się spoufalać z „pospólstwem”, ale ja byłem jakby wyjątkiem. Bardzo dbała o dobre maniere swoich dzieci i ściśle kontrolowała ich kontakty. Widać było, że jest kobietą obytą i dobrze wyedukowaną, być może pochodzącą z jakichś sfer ziemiańskich. Dziwnym zrzędzeniem losu wyszła za mąż za prostego, choć bardzo przyzwoitego hydraulika, widać już w dość późnym wieku, pewnie nie z miłości, ale z rozsądku. Jej mąż dwoił się i troił by utrzymać cały dom i widać było, że jego praca nie idzie na marne. Mając na głowie głównie opiekę nad dziećmi: synem i lekko upośledzoną ruchowo, starszą córką Dziunią (Jadwigą?), współorganizowała „życie kulturalne” klasy, będąc w przeciwieństwie do innych „matron” jej dobrym duchem. Przewodniczącym komitetu rodzicielskiego początkowo był ojciec Zbyszka A., przystojny i bardzo przyzwoity mężczyzna ze szpakowatą, zaczesywaną do góry bujną czupryną, któremu jednak nie było dane żyć długo, bo zmarł na raka gdzieś w 1965 roku.

Aby dać mi jasno do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce w szeregu, pani Rynduchowa zadbała o to, bym nie miał równie dobrego świadectwa jak jej wybrańcy i już na koniec drugiej klasy wstawiła mi „czwórę” ze śpiewu. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem wtedy skutków jawnej niesprawiedliwości, bowiem akurat słuch mam wyjątkowo dobry i w ogóle jestem bardzo muzykalny, a ponadto w tym czasie miałem wyjątkowo ładny i śpiewny głosik. Po otrzymaniu świadectwa, poprzedzonego wręczeniem Pani goździka, co wyraźnie ją zażenowało, zdarzenie to przeżyłem bardzo dotkliwie, rycząc w domu ze dwie godziny. Gdybym dostał „czwórę” z innego przedmiotu łatwiej bym się z tym pogodził, ale dlaczego właśnie ze śpiewu, tego nijak nie mogłem pojąć. Szczytem jej egzaltacji dla postępów w nauce jej „pupilków” były wpisywanie im na lekcjach do zeszytów „piątek z koroną”, które dla przeciętnego śmiertelnika były tylko mirażem.

Gdy dziś myślę o tych tak przykrych dla mnie wspomnieniach, do moich uszu cisną się wersy piosenki o Bramie Floriańskiej, jakże często wykonywanej w tym okresie na lekcji śpiewu przy akompaniamencie szkolnego fortepianu, którą tak ładnie potrafiłem zaśpiewać:

„Ta Floriańska Brama, jak stała tak stoi
Deszczów się nie lęka, tramwajów się boi
Gdy pod nią jeździła, malutka jedynka
Trzęsa się ze strachu, biedna starowinka.
Teraz ją tramwaje grzecznie omijają
Przed prababcią grodu wielki respekt mają.”

Jedną z pierwszych piosenek szkolnych, która na całe życie utkwiała mi w pamięci, dotyczyła szkolnego elementarza i uczniaka Jacka:

„Dostał Jacek elementarz, ależ mina uśmiechnięta,
 Hejże hej, hejże ha, elementarz Jacek ma.
 Idzie właśnie środkiem ścieżki,
 Dumny z pierwszej swej książeczki.
 Hejże hej, hejże ha, elementarz Jacek ma.”

„Nasza Pani” uczyła nas przez cztery klasy do 1964 roku i był to w sumie miły okres, gdyż w zasadzie nie była ona nazbyt wymagająca, a pytała bardzo rzadko. „Rynduszka” była wychowana w duchu wartości przedwojennych, kiedy do kanonów nauczania wymaganych w „dobrych domach” ciągle należały: umiejętność gry na pianinie oraz biegła znajomość języka francuskiego, a z racji prezentowanych postaw widać było, że pochodziła z dobrego domu i generalnie świeciła przykładem poprawnych manier, choć może nader często bywała osobą zamyśloną, roztrzepaną i krzykliwą, a do szkoły nieraz zdarzało się jej przychodzić w mocno rozwichrzonych włosach, co wywoływało wesołość pośród uczniów i to nie tylko z naszej klasy. Według podobnym standardów, nieco już anachronicznych, przynajmniej jak na te czasy, był wychowywany Andrzej W..

SZKOŁA OGÓLNOKSZTAŁCĄCA
 Szkoła Podstawowa Nr 6
 Kochanowskiego
 ul. Szujskiego 2
 telefon 094-99

ŚWIADECTWO
 SZKOŁY PODSTAWOWEJ

Leszek Tomaszów im. Grabowski
imię i nazwisko

urodzony dnia *10 grudnia* 1953 r. w *Krakowie*
 powiat *Kraków*, uczęszczał w roku szkolnym 1961/62
 do klasy *drugiej A* i otrzymał za rok szkolny następujące oceny:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
język polski	<i>bardzo dobry</i>
język	
historia	
biologia	
geografia	
matematyka	<i>bardzo dobry</i>
fizyka	
chemia	
praca ręczna	<i>bardzo dobry</i>
rysunek	<i>bardzo dobry</i>
śpiew	<i>dobry</i>
wychowanie fizyczne	<i>bardzo dobry</i>

Opuścił w roku szkolnym *22* dni nauki, w tym nie usprawiedliwiono

Uchwała Rady Pedagogicznej ucz. *Leszek Tomaszów im. Grabowski*
imię i nazwisko

otrzymał promocję do klasy *trzeciej*
szkoły podstawowej ogólnokształcącej

SZKOŁA PODSTAWOWA *ogólnokształcąca* Nr *6*
 im. *Jana Kochanowskiego*
 w *Krakowie* powiat *Kraków*
Krakowie dnia *23 marca* 1962 r.

Nr *12*

WYCHOWAWCA KLASY *Anna Ryndus* KIEROWNIK - DYREKTOR SZKOŁY *Yusuf Ali*

pieczęć

Dok. nr 1. Moje świadectwo szkolne z drugiej klasy (rok szkolny 1961/62)
 ze słynną „czwórą” ze śpiewu.

Nasza wychowawczyni kładła największy nacisk na język polski, z którego to przedmiotu była widać najlepiej przygotowana oraz śpiew, z racji umiejętności gry na pianinie, natomiast z wyraźnym pobłażaniem traktowała niektóre, jej zdaniem mniej ważne przedmioty: rysunek, zajęcia praktyczne oraz wf i w tym czasie, gdy tylko była odpowiednia pogoda, najczęściej chodziliśmy z całą klasą na spacerunki to do Parku Krakowskiego, to do Parku Jordana, z rzadka nawet zapuszczając się do Lasu Wolskiego. Zorganizowała nawet dalsze wycieczki: do Kopalni Soli w Wieliczce czy do Zakopanego, gdzie zwiedziliśmy Gubałówkę i Morskie Oko. Zawsze wtedy towarzyszyły nam nieodłączne „mamy swoich synków”: Andrzejka W., Marysia M. - ze swoją „papużką nierozłączką”, młodszą córeczką, Tadzia T., Zbyszka A., też z młodszą córeczką oraz wytworne „bony”: niania Piotrusia Ś. czy babcia Tomusia S., a także matki niższej sytuowanych w społecznej hierarchii: tępawego Cześka K., rozrabiaki Ryśka F. czy lesera Zbyszka L., które widać też miały dużo wolnego czasu.

Szczególnie wyniosła była matka Marysia, może z racji swego gwałtownego skoku w hierarchii „ważności społecznej”, gdyż ta była pielęgniarzka, co wielokrotnie, często z przekąsem, słyszałem z ust mam moich kolegów szkolnych, została żoną znanego, dużo starszego ginekologa. Jej zachowanie było odzwierciedleniem znanego porzekadła: „zapomniał wół, że cielęciem był”. W przeciwieństwie do niej jej mąż był kulturalnym, cichym i niewynoszącym się bogactwem ani wykształceniem człowiekiem. Jak osoba wywodzącą się z „wyższych sfer” zachowywał się też inżynier M., ojciec Janusza juniora, który przeszedł do nas z klasy B bodaj na początku trzeciego bądź czwartego roku nauki za swym sąsiadem Kazkiem W.. Wkrótce, gdy ze względów zdrowotnych ustąpił A., ojciec Jasia, wdrapał się on na stanowisko przewodniczącego komitetu rodzicielskiego.

Pamiętam pierwszą przerwę między lekcjami, na której spożywałem bułkę z marmoladą, szukając nieśmiało na korytarzu jakiś znajomych postaci. W sali lekcyjnej stały trzy rzędy drewnianych ławek szkolnych, w których siedziało po dwóch uczniów. Były to jeszcze ławki starego typu, malowane na zielono, gdzie siedzenia w formie ławy stanowiły całość z lekko pochylonymi blatami, na które wykładało się podstawowe akcesoria uczniowskie: pióro, stalówki, ołówki, kredki, gumkę do mazania i zastrugaczki (z czasem stosowałem przyrząd z żyłką, który był skuteczną, ale niebezpieczną w użyciu), a dolna półka, pod blatem, przeznaczona była na tornister i przybornik. Po obu stronach blatu wyżłobione były wgłębienia na pióra, takie z wsuwanymi stalówkami, a pośrodku znajdował się otwór na kałamarz, szklany pojemnik z atramentem, zabezpieczony od spodu serwetką z bibuły, by nie zaplamiać ławki. Dopiero w późniejszych klasach używało się wiecznego pióra, a długopisami pozwalano pisać nie wcześniej niż w piątej klasie.

Szybko dobiegał końca czas, gdy uczono jeszcze kaligrafii i do tego celu używało się specjalnych stalówek wciskanych do rączki pióra, które maczało się w kałamarzu. Ja jeszcze zaświadczyłem tej przyjemności i z mozołem musiałem wypisywać i na lekcjach, i w na zadanie domu całe strony liter, które właśnie poznawaliśmy. Przy tych katorgach nieraz wykrzywiała się bądź łamała stalówka, a i kleks z kroplą atramentu często spadał na kartkę zeszytu i by go szybko wywabić konieczne były: bibuła lub kreda i żyletka. Bibuła była obowiązkowym dodatkiem do zeszytu, którą dociskało się do świeżo napisanego z użyciem atramentu tekstu, by na stronie nie powstawały plamy. Nawet wieczne pióra z pojemnikami na atrament czasem plamiły, więc marzeniem każdego ucznia były drogie chińskie zamienniki. Lekcje w zeszycie oddzielały szlaczki, wykonywane kolorowymi kredkami.

Rolę dzisiejszego kalkulatora spełniało ręczne liczydło, czyli kolorowe koraliki (po 10 sztuk) nawinięte na 10 nitki umocowanych do drewnianej ramy, obowiązkowy rekwizyt szkolny każdego ucznia. Odpytywanie sztuki czytania było dość śmieszne, bo w tym celu „pani” wykorzystywała wyrwaną z zeszytu kartkę, z wyciętą w jej środku małą ramką. Po wywołaniu nazwiska podchodziło się do stołu i tam wyszukiwała „pani” w książce jakiś wyraz, który pokazywał się w ramce i wtedy należało go odczytać. Na stole nauczycielskim zawsze leżał „dziennik”. Ten „magiczny” dla uczniów przedmiot zawsze wzbudzał ich niezwykle zaniepokojenie i trudno było się temu dziwić, skoro były tam wpisywane oceny uzyskiwane z odpytywania i klasówek, a starsi nauczyciele nie zawsze chcieli powiedzieć jaką ocenę wstawiają. Dlatego każdy z uczniów, zwłaszcza przy okazji odpytywania przy stole nauczycielskim, próbował ukradkiem podglądać swoje oceny. A ileż było przy tym emocji?

Wydaje mi się, że mój pierwszy podręcznik do nauki czytania, zwany elementarzem, bodaj autorstwa Ewy Szelburg Zarembiny, nosił tytuł: „Od wiosny do wiosny”. Był on bardzo kolorowy i ciekawy. W mojej pamięci na trwale zapisał się też egzotyczny wierszyk, chyba pochodzący z tej książki:

„Murzynek Bambo w Afryce mieszka.
Czarną ma skórę ten nasz koleśka.
Uczy się pilnie przez całe ranki
Ze swej murzyńskiej pierwszej czytanki”.

Nie dam jednak głowy czy pierwszym podręcznikiem, może jeszcze u brata, nie był popularny „Elementarz” autorstwa Mariana Falskiego.

Pierwszą lekturą szkolną był wiersz Hanny Januszewskiej: „O flisaku i Przydróżce”, którego fragmentu musiałem się nauczyć na pamięć, co pamiętam po dziś dzień:

„Od Beskidów doliną
Gdzie Wisetki w dół płyną
W bystry łącząc się strumień
W traw szeleście, w drzew szumie
Na maleńkich swych nóżkach
Idzie sobie Przydróżka”.

Pamiętam też drugi wiersz, ten dotyczący starych dziejów Polski (był wybór: można się było nauczyć na pamięć ten pierwszy bądź drugi), którego tytułu ani autora już nie pamiętam, zaczynający się od słów:

„Tam, gdzie dzisiaj są pola, wioski ludne i miasta
Przed dawnymi wiekami bór ogromny wyrastał”.

Inną znaną i lubianą poetką oraz pisarką książek dla dzieci i młodzieży była Anna Świrszczyńska, która mieszkała naprzeciw szkoły, w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22. W 1968 roku podczas demonstracji marcowych w tym miejscu zatrzymywali się protestujący studenci z AGH oraz innych uczelni i w trakcie swego przemarszu na Rynek krzyczeli: „Literaci bądźcie z nami”, a ci z okien swoich mieszkań klaskali do nich na znak aprobaty. My uczniowie wówczas ósmej klasy widzieliśmy całe te zajścia z okien naszej klasy, która znajdowała się w narożu pierwszego piętra, a nauczyciele nie wiedzieli jak reagować, wszak zdawali sobie sprawę, że dyrektorem szkoły jest ideologicznie nakierunkowana pani Rączka i obawiali się jej reakcji. Dlatego puszczono nas wcześniej do domów z ostrzeżeniem, by nie wychodzić na ulice, bo działają tam „wichrycyiele” i „elementy antysocjalistyczne”, choć niejedyn z nauczycieli zdawał sobie sprawę z absurdu tych słów.

Droga do klasy prowadziła przez obowiązkową szatnię, do której wchodziło się od podwórka graniczącego z przedszkolem, kolejną posesją zlokalizowaną przy ulicy Szujskiego 4, którego ogród został w roku 2016 zabudowany przez paskudną pod względem architektonicznym bryłę hotelu. Szatnia znajdowała się w suterenie, a stamtąd stromymi schodami szło się pod górę, wychodząc na korytarz parteru. Królowała tu pani Frania, woźna, starsza, hałaśliwa i dość zgryźliwa kobieta, która mieszkała w szkole, też w suterenie, a wejście do jej samotni wiodło od podwórka, zaś okno wychodziło na chodnik ulicy Krupniczej. Jej życie nie było łatwe biorąc pod uwagę jej codzienne kontakty z rozbrykaną i rozwrzeszczaną hałastrą. Po szkole chodziło się w pantoflach, które każdy przynosił z domu w płóciennych workach. Uczeń przekraczający progi szkoły był zatem obładowany zawieszonym na plecach tornistrem i workiem z pantoflami, zaciskanym sznurkiem bądź tasiemką, który trzymał w ręce. Często w drodze z domu do szkoły workiem tym wykonywało się przedziwne wywijasy i nieraz wylatywał on w powietrze.

Po wejściu do szatni buty wsadzało się do owego worka, opróżnionego właśnie z pantofli i zaciśnięty wieszalo na podłużnym haku, razem z ubraniem. Szatnia między lekcjami była zamykana, by nie dopuścić do jakichś kradzieży, a woźna zawsze musiała tam dochodzić po zakończeniu lekcji i czasem w przerwach międzylekcyjnych. Obowiązkiem woźnej było również dzwonenie, co czyniła naciskając guzik usytuowany na paterze szkolnego korytarza. Dzwonek szkolny wydawał przeraźliwy dźwięk, który mógłby zbudzić nieboszczyka, ale dla wielu uczniów był to czasem błogi, wręcz zbawienny sygnał, zwłaszcza przy wezwaniu do odpowiedzi przy samym końcu lekcji, gdy w głowie była pustka.

Pani Frani pomagał Bolesław Czajkowski, woźny, zwany też tercjanem, który wraz z rodziną mieszkał na drugim piętrze budynku od strony z ulicy Szujskiego. Ten z kolei palił w piecach kaflowych znajdujących w każdej z sal budynku oraz pilnował porządku na ulicy, co było uciążliwe zwłaszcza w zimie i na podwórku, a czasem też „dzwonił”.

Sale lekcyjne znajdowały się jedynie na parterze i na pierwszym piętrze budynku. Na pierwszym piętrze w końcu korytarza, na prawo znajdowała się kancelaria dyrektora, miejsce niezbyt lubiane przez uczniów, którego lepiej było unikać. Na tym piętrze, pośrodku, znajdował się też ciemny pokój nauczycielski, z oknem wychodzącym na korytarz. Na parterze z kolei, pod gabinetem dyrektora, mieściła się świetlica, a jeszcze niżej, w suterenie, stołówka. Tu brylowały dwie „dobrze wyglądające” kucharki, które wydawały porcje obiadowe proporcjonalne do wyglądu ucznia, więc ja, zawsze niezbyt wysoki i chudy, nigdy nie mogłem liczyć na ich szczególne względy. Ale trzeba przyznać, że jedzenie było tu przyzwoite, co miałem okazję doświadczyć stołując się tam w siódmej i częściowo w ósmej klasie, gdy do korzystania ze stołówki namówił mnie „Kanior”, z którym się wtedy przyjaźniłem, a mamę odciążylem w ten sposób w jej codziennych obowiązkach. Zwłaszcza w piątki zawsze był smaczny, panierowany dorsz z ziemniakami i tartymi buraczkami z chrzanem. O ile pamiętam w poniedziałki był z kolei dzień bezmięsny, który w socjalistycznej Polsce dotyczył wszystkich miejsc zbiorowego żywienia, a w piątek, jakby na przekór wiekowej tradycji, często raczono ludzi mięsem, z reguły nie licząc się z opinią stołujących.

Na parterze, naprzeciw wejścia do naszej klasy znajdował się gabinet dentystyczny, więc miejsce, które wśród uczniów zawsze wzbudzało zgrozę. Oj nacierpiał się tu nieraz człowiek niespodziewanie wyczytany w czasie lekcji, gdyż borowanie odbywało się z użyciem wolnoobrotowych i dających w „kość” wiertła, a plomby były kiepskie, stąd raz zaplombowany ząb wkrótce trzeba było ponownie naprawiać. Z tego co pamiętam dentystka regulowała prędkość obrotową wiertła za pomocą nożnego pedału. Ale trzeba przyznać, że gdzieś do szóstej klasy pracowała tu bardzo przyjemna dentystka, pamiętam, że blondynka, która wykonywała swój zawód niezwykle sumiennie i w tym czasie nikt nie miał problemów z zębami. Później, po zmianie dentystki, co nastąpiło zapewne w roku 1966, bywało już znacznie gorzej. Nowa „pani od borowania”, tym razem brunetka, którą „Gruby” znał z kolonii organizowanych przez Instytut Zootechniki z ulicy Sarego, gdzie sprzątała jego matka na zmianę z ojcem, nie przykładała się już tak solidnie do swoich obowiązków.

Do gabinetu dentysty przylegał pokój higienistki, który stanowił jego przechodni przedsionek. Pani ta kojarzyła się głównie z wykonywaniem szczepień, często, zwłaszcza na ospę i gruźlicę, niezbyt przyjemnych, bo wymagających wielokrotnego ukłucia, po czym ręka nieraz jadziła się przez wiele tygodni i pozostawały na niej blizny na całe życie, ale dzięki temu żaden rodzic nie musiał sobie zwracać tym głowy, bo na dodatek dla każdego ucznia była prowadzona bardzo szczegółowa kartoteka.

Jeszcze dalej, w środku korytarza, w ciemnym pomieszczeniu też z oknem wychodzącym na korytarz, mieściła się szkolna biblioteka. Bibliotekarka, starsza już pani o miłym głosie, widać pasjonatka książek, wzięła sobie za punkt honoru zmuszanie młokosów do czytania jak największej ilości lektur i innych pozycji literaturowych, stąd dla każdej klasy prowadziła oddzielny rejestr wypożyczanych książek. Co jakiś czas przychodziła do klasy i użalała się wychowawczyni na mierny poziom czytelnictwa, liczony ilością wypożyczanych książek, publicznie piętnując uczniów – leniuchów i chcąc mieć spokój trzeba było przeczytać bądź przynajmniej wypożyczyć minimum piętnaście pozycji na rok. Ja w tych czasach nie lubiłem czytać, bardziej ceniąc sobie zajęcia ruchowe, ale by się nikomu nie narazić trzeba było przynajmniej zaglądać do biblioteki li tylko dla samej statystyki. Największe niebezpieczeństwo groziło przy oddawaniu „przeczytanych” tylko w teorii książek i wypożyczaniu nowych, gdyż wtedy bibliotekarka lubiła zapytać o ich treść, a tu mógł być kłops. Wybierało się więc porę, kiedy biblioteka była pełna uczniów i ambitna pani nie miała czasu na odpytywanie.

Na końcu korytarzy znajdowały się ubikacje, ale w tym czasie nikt jeszcze nie odważał się tam palić, a ponadto była to szkoła męska, a nie koedukacyjna, więc i dodatkowego kłopotu z ubikacjami nie było. W tych czasach szkoły podstawowe były w zdecydowanej przewadze tylko męskie albo żeńskie, a tych koedukacyjne można było policzyć na palcach jednej ręki, co też chyba wynikało z dbałości władzy ludowej o moralność pośród uczniów. Koedukacyjne szkoły zaczęły znowu dominować w latach 70.



Fot. nr 369 (369-394). Sentymentalny powrót do „budy” w dniu 05.02.2018, po prawie pół wieku nieobecności. Tą bramę pierwszy raz przekroczyłem 60 lat temu, w roku 1958, gdy edukacje rozpoczął tu mój starszy brat. (05.02.2018)



Fot. nr 370. Oryginalne drzwi wewnętrzne wiodące na korytarz parteru. (05.02.2018)



Fot. nr 371. Obramienia drzwi korytarza. Z prawej wejście do głównej sali na parterze od strony ulicy Szujskiego. Tu od września roku 1960 zaczynałem swoje zajęcia jako uczeń klasy IA. (05.02.2018)



Fot. nr 372. Korytarz parteru. Stosunkowo niewiele się tutaj zmieniło. Jak miałem się możliwość przekonać nadal działa przeraźliwy dzwonek, uruchamiany tym samym guziczkiem, który ponad pół wieku temu oznajmiał początek i koniec lekcji, co czyniła pani Frania, legendarna wręcz woźna tej szkoły. (05.02.2018)



Fot. nr 373. Jedne z oryginalnych drzwi parteru, które być może pamiętają jeszcze czasy Antoniego Wojczyńskiego, budowniczego tego obiektu. (05.02.2018)



Fot. nr 374. Oryginalne okno dawnej biblioteki usytuowanej na parterze, wychodzące na korytarz. A z prawej również oryginalne obramienia drzwi wejściowych. Prawdopodobnie w oryginale okno było ośmiopolowe. (05.02.2018)



Fot. nr 375. Wejście z korytarza parteru do sali w północnym skrzydle. (05.02.2018)



Fot. nr 376. Zabytkowe pianino w parterowej sali północnego skrzydła. To najprawdopodobniej ten sam instrument, który stał w głównej sali parteru od strony ulicy. To na nim na lekcjach śpiewu w latach 1960-64 melodie wygrywała pani Anna Rynduch, m.in. do tekstu: "Ta Floriańska Brama, jak stała tak stoi...". (05.02.2018)



Fot. nr 377. Drzwi do dawnej świetlicy na końcu korytarza parteru. (05.02.2018)



Fot. nr 378. Wiernie zrekonstruowane drewniane okno w jednej z sal parteru. W oczu rzuca się archaiczna, uchylna dolna kwatera. (05.02.2018)



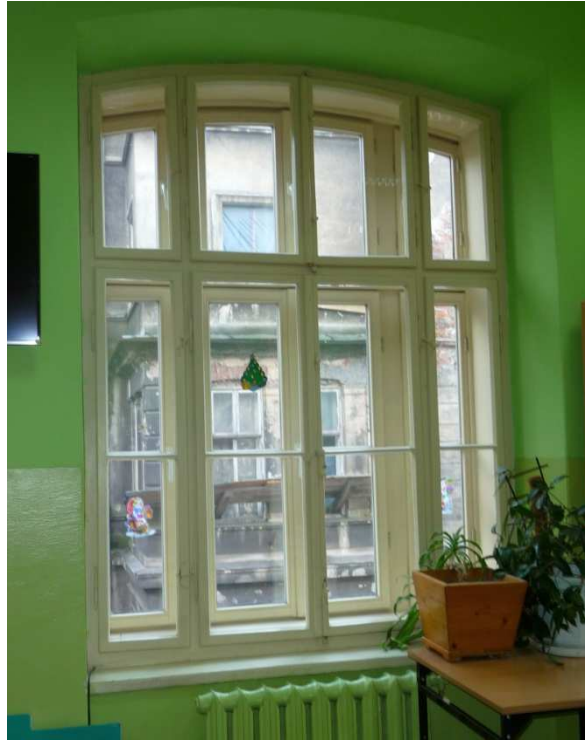
Fot. nr 379. Środkowa sala lekcyjna parteru wychodząca na ulicę Krupniczą. (05.02.2018)



Fot. nr 380. Drzwi sekretariatu na I piętrze. Kiedyś sekretariat i gabinet dyrektora znajdował się na końcu korytarza, gdzie dziś mieści się biblioteka. I piętro szkoły zostało mocno przebudowane i dziś nawet mniej trudno się tu odnaleźć. (05.02.2018)



Fot. nr 381. Piec kafelowy narożnej sali I piętra. Kiedyś takie piece znajdowały się we wszystkich salach szkoły. W zimie palił w nich woźny (tercjant) Bolesław Czajkowski, który pospołu z żoną mieszkał w pomieszczeniach II piętra. Niełatwo było ogrzać w zimie tak duże pomieszczenia, więc nieraz byliśmy dobrze przemarznięci i siedzieliśmy w płaszczach. Gdy w połowie lat 60. były wielkie mrozy (poniżej 20 stopni w dzień), szkoła była okresowo zamykana, a my mieliśmy labę. (05.02.2018)



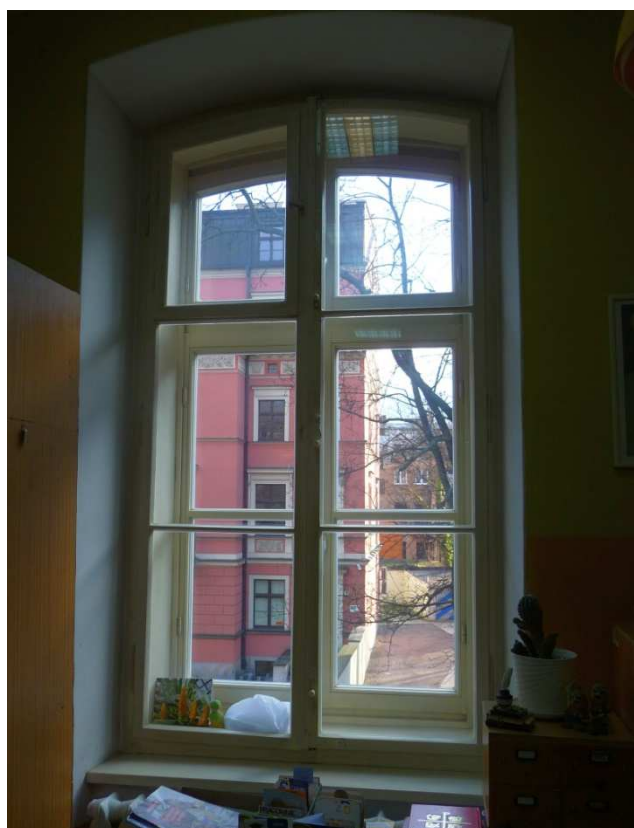
Fot. nr 382. Okno od strony ulicy Krupniczej narożnej sali na I piętrze. To z okien tej sali spoglądaliśmy w marcu 1968 roku na manifestację studencką, podążającą od strony AGH w kierunku Rynku, która zatrzymała się przed Domem Literatów skandując: "Literaci bądźcie z nami", a z jego okien widać było gesty akceptacji. (05.02.2018)



Fot. nr 383. Widok z sali lekcyjnej I piętra na wykusz kamienicy z ulicy Krupniczej 18. W oknie na poprzecznej ścianie wykuszu I piętra, w II połowie lat 60. często była ustawiona klatka z kanarkiem, który pięknie wyśpiewywał swoje trele. (05.02.2018)



Fot. nr 384. Uchylna górna kwadra okna sali lekcyjnej na I piętrze i jego oryginalne detale. (05.02.2018)



Fot. nr 385. Po remoncie szkoły okna zostały wiernie odtworzone, nad czym czuwał WKZ. To okno z sali lekcyjnej I piętra, przylegającej do gabinetu dyrekcji, ma uchylną kwaterę w górnej jego części. (05.02.2018)



Fot. nr 386. Dawne drzwi do gabinetu dyrektora na końcu korytarza I piętra. Nie było dla ucznia nic gorszego jak osobisty kontakt z dyr. Wawrzyńcem Fidelusem, który w latach 60-tych trzymał ostry rygor. Był chyba wysoko postawionym funkcjonariuszem partyjnym, ale ja osobiście źle go nie oceniam. (05.02.2018)



Fot. nr 387. Schody na II piętro. Zachowały się w oryginale i nadal cudownie skrzypią, co z lubością słuchałem, bo wydawało mi się, że mam kilkanaście lat. (05.02.2018)



Fot. nr 388. Wejście do dawnego mieszkania Bolesława Czajkowskiego, szkolnego woźnego, które mieściło się na II piętrze szkoły. Nigdy tu wcześniej nie byłem. (05.02.2018)



Fot. nr 389. Narożny pokój II piętra, kiedyś zajmowany przez rodzinę woźnego. I tu są okna nowe, ale wiernie zrekonstruowane wg dawnych oryginałów. (05.02.2018)



Fot. nr 390. Okna dawnego mieszkania II piętra, wychodzące na ogród posesji z ulicy Krupniczej 17. Po wojnie, gdzieś do roku 1955, mieścił się tam posterunek MO, potem przeniesiony na ulicę Batorego, a dom zasiedlili milicjanci z rodzinami. (05.02.2018)



Fot. nr 391. Archaiczne drzwi, które pół wieku temu wiodły do stołówki zlokalizowanej w suterenie, z oknem wychodzącym na ulicę. Obok znajdowała się kuchnia. Miejsce sąsiadujące kiedyś z tymi pomieszczeniami szatni, do której po kilku stopniach w dół schodziło się na końcu podwórka, dziś zajmuje sklep podróżniczy. (05.02.2018)



Fot. nr 392. Dwa okna wychodzące na chodnik ulicy Krupniczej: dawnej kuchni (z lewej) i stołówki. Nieraz dolatywały stamtąd kuchenne zapachy. (05.02.2018)



Fot. nr 393. W tym miejscu, przy chodniku ulicy Krupniczej, znajdowało się okienko suterenu, w której mieszkała pani Frania. (05.02.2018)

Pora przedstawić kadrę nauczycielską mojej szkoły. Gdzieś przez pierwsze pięć lat mojej nauki w obsadzie kadrowej nie zachodziły poważniejsze zmiany. Dyrektorem szkoły, chyba do czerwca 1967 roku, był Wawrzyniec Fidelus, człowiek najwyraźniej z nadania partyjnego, o nieznanym mi specjalizacji. Z naszą klasą nigdy nie prowadził zajęć o określonym profilu, a jedynie kilka razy na przestrzeni ostatnich kilku lat bywał u nas w zastępstwie, gdy epidemie mocno przetrzebiały grono nauczycielskie i wtedy opowiadał nam o systemie parlamentarnym w Polsce, ale chyba z wykształcenia nie był on historykiem, a wiedzę tę posiadał zapewne ze szkoleń partyjnych. Zbyszek Twardosz, nasz starszy kolega z „szóstki” twierdzi, że wcześniej prowadził on zajęcia z geografii. Teraz też wiem, co zapomniałem, że był on dyrektorem dopiero gdzieś od 1962-go roku lub może rok dłużej, a przed nim szkoła kierował pan Jaros, który z niej odszedł. W ogóle był to czas, że prawie wszyscy nauczyciele starej daty nie posiadali wyższego wykształcenia, a mieli jedynie pokończone studium nauczycielskie, więc z konieczności byli tytułowani „per” profesor.

Fidelus miał może ze 45 lat i był człowiekiem potężnej postury, a już sam jego wygląd budził respekt zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli. Gdy krzyknął przez wszystkich przelatywał blady strach, ale podniesionego głosu używał bardzo rzadko. Na lekcjach lubił się bawić długopisem, którym umiejętnie manewrował między palcami. Jak się wydaje, taka jest przynajmniej moja opinia, nie był złym człowiekiem, a jedynie jakimś partyjnym idealistą bądź karierowiczem. Jak mu ktoś nie założył za skórę nie musiał się go obawiać, co nie zmienia faktu, że straszenie uczniów odesłaniem ich do gabinetu dyrektora było naprawdę skuteczną metodą dydaktyczną, dość często stosowaną przez niektórych nauczycieli, wszak każdy z nas wolał unikać tego miejsca. W trakcie takiej wizyty mógł dodatkowo zauważyć brak tarczy na rękawie bądź białego kołnierzyka w chałacie i wtedy mogła być jeszcze większa chryja. Mniej dolegliwą dla ucznia metodą wychowawczą było wpisanie przez nauczyciela uwagi o złym zachowaniu do dzienniczka czy preparatki, którą w domu musiał podpisać któryś z rodziców. Z uwagi na swoją ideologicznie twardą postawę nie był nazbyt lubiany przez grono nauczycielskie, z którego większość pamiętała jeszcze dobre, przedwojenne czasy, a tu trzeba było wykonywać jego polecenia i to bez zmrżenia oka. Ale obiektywnie trzeba przyznać, że za jego czasów panował w szkole porządek oraz dyscyplina i ja nie wspominam go źle, choć są i tacy pośród dawnych kolegów z „szóstki”, jak choćby Marek S., dziś właściciel biura podróży w Chicago, który nazywa go „chamem”, ale on wszystkich „komuchów” i ludzi wywodzących się „ze wsi” tak pogardliwie nazywa, może też dlatego, że pulsuje w nim i gwałtownie uderza mu do głowy błękitna krew jego (ponoć) krakowskich od wieków przodków.

Od września 1967 roku, kiedy rozpoczynałem naukę w ósmej klasie, odszedł on do innej pracy, może w kuratorium, a może w lokalnym Komitecie partyjnym i wtedy zastąpiła go Zofia Rączka, pewnie niespełna czterdziestoletnia nauczycielka od nauczania podstawowego i rysunków, osoba nieposiadająca autorytetu wśród grona nauczycielskiego, zapewne nominowana z nadania partyjnego. Jej wiek był trudny do dokładnego określenia, bo była ona przesadnie szczupła, a do tego dość wysoka. Jak mi się wydaje właśnie w tym czasie dorobiła się ona tytułu magistra, może z historii. Po objęciu stanowiska ta cicha i mało widoczna dotychczas nauczycielka szybko zmieniła skórę i przemieniła się w wielką „Panią Dyrektora”, by wkrótce zacząć straszyć uczniów swoim donośnym głosem, którego używała znacznie częściej niż jej poprzednik. Takie to były smutne czasy, że najczęściej decydującą rolę przy takich nominacjach odgrywała aktywność w szeregach PZPR i zaangażowanie w pracę partyjną. Ta nominacja była z pewnością szokiem dla grona pedagogicznego, ale takie to wtedy były czasy, że nie najważniejszy był poziom zawodowy lecz oddanie jedynie „słusznej sprawie”, a więc rozwojowi „socjalistycznej ojczyzny”, co ona widać miała gwarantować. Czy w tym przypadku tak było? Trudno sądzić, że było inaczej.



Pani Zofia Rączka, młoda nauczycielka, w 1959 roku.

Sytuacja większości doświadczonych, na dodatek apolitycznych nauczycieli, stała się nie do pozazdroszczenia, bo ta grupa ludzi dobrze znających swój fach musiała bezkrytycznie wykonywać polecenia osoby nie do końca kompetentnej, sterowanej odgórnie i postępującej „po linii i na bazie”, jak wtedy prześmiewano osoby nadmiernie uległe ideologicznie. Kariera dyrektorska pani mgr Rączki była chyba krótka, bo może tylko jednoroczna i prawdopodobnie wygasła wraz z likwidacją „szóstki”. Jej dalszych losów niestety nie znam; być może dalej uczyła w szkole podstawowej nr 94, a może nawet przez kilka miesięcy dalej była tam dyrektorką. Jak ostatnio dowiedziałem się od Mikołaja Korneckiego, w latach 90-tych była ona kierowniczką w nowym oddziale Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, utworzonym w bastionie nr V przy Kopcu Kościuszki, a jej mąż był kiedyś lotnikiem. Zmieniały się czasy, zmieniały się też postawy ludzi, więc pewnie i jej poglądy z czasem ewoluowały, do czego każdy człowiek ma prawo, byle nie za często.

Przegląd nauczycieli zacznę od Anny Rynduchowej, „Naszej Pani” przez pierwsze cztery lata nauki, o której już trochę napisałem we wstępie do tego rozdziału. Przez ten czas prowadziła ona wszystkie zajęcia w następujących przedmiotach: język polski, matematykę, przyrodę (od III klasy), geografii (od IV klasy), rysunki, śpiew, prace ręczne (ZT) i WF. Na pewno nie była zachwycona sytuacją polityczną panującą w Polsce i ostrożnie starała się kultywować wzorce przedwojennej szkoły, z niedobrym, a raczej niesprawiedliwym zwyczajem dowartościowywania dzieci bardziej zamożnych rodziców. Resztę uczniów, tych pochodzących z „pospólstwa”, a takich była większość, traktowała zdecydowanie mniej czule, bez egzaltacji. Do tych grzeczniejszych, takich jak ja, odnosiła się poprawnie, ale z wyczuwalnym chłodem i dystansem, choć ogólnie nie było z nią źle, bo generalnie nie pytała za dużo, a uczniów słabszych prawie w ogóle. Oceny na świadectwo po prostu wystawiała z „powietrza”, nie odpytując z jakiegoś przedmiotu nawet przez cały rok, bo tak czy owak od dawna miała już ustaloną hierarchię wartości i żaden intruz nie miał prawa wdrzeć się do elity, której pozycji wyraźnie strzegła. Zarówno prymusom, jak i ich rodzicom czy opiekunom podlizywała się bez większych skrupułów, co u reszty rodziców i uczniów nieraz wzbudzało niesmak. Często bywała osobą chaotyczną, nadmiernie zamyśloną, po części dziwakiem, na dodatek niezbyt dbającą o swój wygląd zewnętrzny i ubiór, czym powiększała jedynie grono licznych jej prześmiewców i co w całej szkole. Z rzadka się denerwowała, a wówczas największych rozrabiaków odsyłała do szkolnego kąta, znanej wtedy kary, krzyżąc: „Marsz za karę do kąta”. Tylko wyjątkowo rzadko i to w odniesieniu do największych rozrabiaków, używała linijki, którą biła po „łapach”; nie targała natomiast za włosy ani nie wykręcała uszów, co w tym czasie było jeszcze dość często praktykowane.



Pani Anna Rynduchowa - „Rynduszka” (1961)

Pani Rynduchowej nie wspominam jej jednak źle, choć bez szczególnej egzaltacji. Już jako starszą panią widywałem ją jeszcze na początku lat 90-tych, kiedy zaatakowana przez chorobę Parkinsona nieraz spacerowała w rodzinnym otoczeniu „Słoneczną Promenadą” za Kopcem Kościuszki, ale nie miałem ani odwagi, ani determinacji, by spróbować się jej przypomnieć, choć serce pikało, żeby ją zaczepić i porozmawiać o przeszłości.

Od piątej klasy, a więc od września 1964 roku, naszą wychowawczynią została dobrze już leciwa Helena Dziewońska i to na całe dwa lata. Do naszej szkoły przyszła ze dwa lata wcześniej i uczyła tu języka polskiego, m.in. w klasie mojego brata, zaskarbiając sobie opinię wyjątkowej hetery i stając się postrachem wśród uczniów, dlatego też jej niespodziewana nominacja wyjątkowo przygnębiła większość naszej klasy.

Jak się wkrótce okazało opinia o niej nie została wzięta z sufitu. Od samego początku budziła błądy strych, zwłaszcza gdy wybuchała złością, a nie zdarzało się to jej rzadko. Sprawiała wrażenie wyjątkowo zgryźliwej i złośliwej „jędzy”, której przyjemność sprawiało wyżywanie się na uczniach oraz zadawanie im nadmiaru zadań domowych i na nic nie zdawały się jakiegokolwiek błagania. Nam, zdecydowanej większości klasy, wydawało się, że jest kobietą bez serca, całkowicie pozbawioną uczuć.

W naszej klasie uczyła: języka polskiego, rysunku, śpiewu i zajęć praktycznych, ale na ogół pod byle pretekstem zamieniała pozostałe zajęcia na język polski, niby za karę za złe zachowanie klasy. Sprawiało jej wyraźną satysfakcję ustawiczne odpytywanie uczniów, a mnie przypadł wątpliwy zaszczyt prowadzenia zeszytu z dodatkowymi ocenami, stanowiącego jakby drugi dziennik i wpisywania tam różnych uwag, plusów i minusów za jakieś dyskusje i wypowiedzi. To przykre dla mnie wyróżnienie wynikało zapewne z faktu dobrej znajomości zarówno mojego brata, z którego klasą miała wcześniej zajęcia, jak i mojej mamy. Na podstawie tego zeszytu co jakiś czas wpisywała ona jakieś sumaryczne oceny do dziennika. Było to dla mnie szczególnie niezręczne zajęcie, gdyż musiałem też wpisywać plusy i minusy dla siebie. Zdarzało mi się, choć niezwykle rzadko, że po jakimś czasie przerabiałem minusa na plus, ale strach był wielki. W ten sposób pomagałem głównie „Grubemu” Bruździe, który był marnym uczniem, ale za to regularnie przez nią dręczonym. Dziewońska, której przezwisko niestety przezwisko umknęło mi już z pamięci (chyba Ksantypa?), z godnym podziwu upodobaniem zadawała nam ogromne wypracowania na ferie, za nic mając nasze lamente i błagania.

Po jakimś czasie dowiedziałem się skąd wzięły się jej ciągotki do nadmiernego zadawania i częstego sprawdzania prac domowych. Całkiem przypadkowo moja mama prała bieliznę dla niejakiej pani Nawalanowej z alei Słowackiego i jak na złość to właśnie u niej pani Helena wynajmowała pokój, gdzie mieszkała razem z mężem, który lekko niedowładał. Dzięki temu zbiegowi okoliczności mama dobrze ją poznała, wszak nieraz tam z nią rozmawiała i stąd zapewne brała się jej większa tolerancja w stosunku do mnie i powierzenie mi dodatkowych zdań. Z reguły miałem u niej czwórki, co było naprawdę dobrą oceną, a w piątej klasie na świadectwo wstawiła mi nawet piątkę i chyba wywalczyła dla mnie na koniec komplet „bdb”. Lepsze oceny i to słusznie stawiała tylko prymusom i największym „kujonom”, z Marysiem M. i Tomusiem S. na czele, przed których rodzicami też czuła wyraźny respekt. Okazało się, że jej małżeństwo było bezdzietne, a jej życie jakby bez głębszego sensu i celu. Bardzo źle sypiała, więc nocną porą zabijała sobie czas poprawianiem prac domowych. Nie ukrywam jednak, że przez dwa lata tej gehenny wydatnie podciągnąłem się w pisaniu wypracowań, ale działało się to kosztem ograniczenia wolności, którą tak bardzo kochałem.

Jakaż zatem była ulga i niezwykła radość, kiedy na początku roku szkolnego 1966/67 dowiedzieliśmy się, że nasza była wychowawczyni z uwagi na „stan zdrowia” przechodzi do pracy w pierwszej klasie. Była tak pospolicie znienawidzona, że teraz nikt nie chciał się jej nawet ukłonić, co musiało ją dodatkowo boleć, bo wspominała o tym mojej mamie, ale na taki stan rzeczy skrupulatnie sobie zapracowała swoją wyjątkową bezwzględnością. Czy naprawdę nie zdawała sobie z tego sprawy?

Od początku roku szkolnego w 1966 roku, tj. od VII klasy, naszą wychowawczynią została mgr Elżbieta Wohn, młoda, gdzieś dwudziestoosmioletnia polonistka i tak już zostało do końca mojej nauki w tej szkole, tj. do czerwca 1968 roku. Mimo młodego wieku była to rezolutna i pewna siebie, żeby nie powiedzieć nadmiernie „pyskata” osoba. Jej przyście przyjeśliśmy z głęboką ulgą, bo nie była to już „piła” w stylu Dziewońskiej, a jej wymagania nie były nazbyt wygórowane. Od początku próbowała traktować nas z góry, jak „gówniarzy”, by utrzymać w ryzach temperamenty dorastających młokosów, ale nie zawsze jej się to udawało, bo jej krzyki traktowaliśmy często z humorem i nieraz wyrządzaliśmy jej śmieszne psikusy.

Było w klasie krzesło, na którego siedzeniu została wymalowana naga, rozkraczona kobieta i to z detalami, zwane przez nas „strzelnicą”. Na jednej z lekcji polskiego podłożyliśmy je naszej polonistce i z uwagą obserwowaliśmy rozwój sytuacji. Rysunek zauważyła dopiero po końcowym dzwonku, kiedy wstała, by opuścić salę i wówczas w jednym momencie jej twarz oblała purpura, a po chwili zacząć wrzeszczeć z całej mocy: „wy wstrętni gówniarze, macie napatrzcie się”, po czym z wielkim rozmachem podniosła krzesło do góry i ustawiła je siedzeniem w kierunku sali. Reakcja większości uczniów przeszła jednak jej najśmielsze oczekiwania: zamiast grozy i ciszy nastąpił wybuch śmiechu, który ją dodatkowo wzburzył. Bezradna opuściła salę wygrażając się, że pokaże je dyrektorowi, ale widać po przemyśleniu zaniechała dalszych działań.

Nasza klasa przez całe osiem lat zawsze była podzielona na dwie części: urwisów, którzy stanowili zdecydowaną większość i „pupilków” czy „kujonów”, w wyraźnej mniejszości, a o generalnym obliczu klasy, tym łobuzerskim, skutecznie decydowały proste zasady demokracji.

Tu, na marginesie, jeszcze jedna historia dotycząca owego sławetnego krzesła. Nauczyciel historii, bardzo przez nas lubiany mgr Ryszard Bocian, w latach 90. przez lata radny miejski, stał się kolejną jego ofiarą. Ten z kolei zauważył dzieło już na początku lekcji i zareagował spazmatycznym krzykiem: „Ja się tutaj czuję jak w publicznym szalecie” i omal nie spłonął z wrażenia, znów przy głośnym wybuchu śmiechu na sali. Krzesło zostało zlikwidowane, zapewne z inicjatywy naszej wychowawczyni, ale głośno o nim i naszej klasie było w całej szkole, co pośród klasowych rozrabiaków było tylko powodem do dumy.

Warto też wspomnieć o innym dowcipie zrobionym pani Elżbiecie, też związanym z krzesłem, ale innym, bez jednej nogi. Gdy się go ostrożnie postawiło na podłodze jakoś stało, lecz przy lekkim nawet trąceniu przewracało się. Nie wiem dlaczego, ale krzesło to najczęściej podstawialiśmy Andrzejowi M., przezywanemu „Metyssem”, może dlatego, że wiele razy dawał się robić w „balona” na ten sam numer. Zaraz po przywitaniu nauczyciela, a więc po rozpoczęciu nowej lekcji, siadał on na podmienione mu krzesło i przewracał się ku dziwnej radości reszty klasy. Potem już sprawdzał czy nie podstawiono mu koślawego mebla i przez parę dni unicestwiał szydercze plany, ale po paru dniach, właśnie przed lekcjami polskiego, znów postanowiono spłatać mu figla. Kazek Walczyk, który siedział w ławce za nim, razem zresztą ze mną, podtrzymał je z tyłu nogą tak mocno, że Metys mimo sprawdzenia uznał, że mu nic nie grozi i tak siadł sobie spokojnie, podczas gdy Kazek odsunął nogę. Nastąpił huk upadającego z krzesłem kolegi i wybuch śmiechu na sali, który znów niezwykle zirytował nauczycielkę. O tej sprawie głośno było na najbliższej wywiadówce, na której jego ojciec apelował o litość nad synem. I to krzesło zostało porąbane, a jego zagłady dokonał woźny Czajkowski, który potem wykorzystał jego szczątki na podpałkę do pieca.

Jej główną wadą był brak poczucia humoru i dlatego robiono jej liczne psikusy, z wpisywaniem ocen do dziennika i na żadnym z dowcipnisiów nie robił już wrażenia jej donośny i przenikliwy głos. Ale obiektywnie muszę przyznać, że choć specjalnie nie przykładałem się do nauki, pod jej pieczęą zrobiłem kolejny duży krok do przodu (nie stałem na szczęście nad przepaścią...hehe), zwłaszcza w pisaniu wypracowań. Choć nie była osobą błyskotliwą i nie dała się szczególnie polubić, czując do nas „gówniarzy”, jak często na nas bluzgała, wyraźny dystans, zachowała się w mojej pamięci pozytywnie, jako osoba sprawiedliwa, nieuznająca podziałów na bogatych i biednych i od wszystkich jednakowo wymagająca, choć nie za wiele. Jej piskliwy głos do dzisiaj pląta się po moich uszach. Może z uwagi na nazbyt częste psoty jakie nasza rozrywkowa klasa wyświadczała jej i paru innym nauczycielom, w trakcie jej „kadencji” zorganizowano nam tylko jedną wycieczkę szkolną, a była to atrakcyjna podróż statkiem po Wiśle do Czernichowa, wspólna z klasą B, gdzie zwiedziliśmy zabytkowe gmachy Technikum Rolniczego. Miało to miejsce bodaj na wiosnę 1968 roku, ale, o ile dobrze pamiętam, pani Wohn tam z nami nie było. Może bała się nieprzewidywalnego zachowania tych co bardziej krewkich wychowanków?

Po wychowawcach pora opisać pozostałych „belfrów”, z którymi bezpośrednio zetknąłem się w podstawówce. Zacznę od najstarszych i najbardziej poważanych nauczycieli, których zapamiętałem.

Od piątej klasy, aż do końca mojej szkolnej „kariery” matematyki uczył mnie Józef Czekajowski, dystyngowany starszy pan. Choć nie posiadał tytułu magistra był znakomitym fachowcem, wychowanym jeszcze na starych, przedwojennych regułach nauczania. Miał około 60-65 lat, lecz był wychudły jak szczapa, a jego twarz była pożółkła i porysowana przez liczne bruzdy. Gdy jednak wyczytywał listę obecności spod jego okularów spoglądały łagodne i dobrotliwe oczy. Można o nim pisać tylko dobrze; nigdy nie krzyczał i nie unosił się, a mimo to cieszył się wielkim autorytetem oraz powagą i generalnie nikt nie ośmielał się rozrabiać na jego lekcjach. Kiedy pewnego dnia wszedł do sali i poprosił o spokój, bo tego dnia czuł się wyjątkowo źle, na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wykładał bardzo przejrzyście i generalnie poziom wiedzy z jego przedmiotu był wysoki. Nie wszystkich uczniów traktował jedną miarą, dopasowując swoje wymagania do ich potencjalnych możliwości, jakby zdając sobie sprawę, że nie każdy z jego wychowanków zostanie Einsteinem i pewnie dlatego wszyscy go tak cenili. Zadawał niewiele, nigdy na święta, a ponadto miał tak wielkie zaufanie do uczniów, że bardzo rzadko sprawdzał zadania domowe. Gdy stwierdził, że nie jest ono odrobione sam czuł się mocno zażenowany, więc większość z nas nie chciała mu robić przykrości i na ogół odrabiała bądź przynajmniej odpisywała zadania. Zawsze starał się być pogodnym człowiekiem, ale jego wygląd świadczył, że nie był nazbyt zdrowy. Na szczęście dla nas dotrwał do końca naszej nauki, ale zaraz potem przeszedł na emeryturę.



Pan Józef Czekajowski, legenda SP nr 6 (1958).

Miałem możliwość poznać go nieco bliżej, gdyż w 1965 roku był kierownikiem kolonii w Muszynie, na której miałem przyjemność przebywać, gdzie był razem z „dobrze wyglądającą” żoną, pulchniutką starszą panią, też nauczycielką i pieskiem o podobnej posturze. On paradoksalnie był całkowitym jej przeciwstawieniem: szczupły, niski i zmizerowany, ale już z daleka widać było jak bardzo się szanowali. I tu dał się poznać z jak najlepszej strony, emanując spokojem oraz zrozumieniem dla potrzeb młodzieży i dlatego tak głęboko utkwił mi w pamięci. Nieraz jawi mi się jego postać, gdy spod okularów spogląda znad lekcyjnego dziennika swoimi pogodnymi, choć jakże zmęczonymi życiem oczami.

Drugie miejsce w galerii szkolnych sław przysługuje bez wątpienia Leonowi Izdebskiemu, nauczycielowi: fizyki, chemii i śpiewu. Grał świetnie na skrzypcach, w ogóle muzyka była jego życiową pasją i jeszcze w latach 90-tych widywałem go na krakowskim Rynku, gdy wygrywał w ludowej kapeli Krakowiacy. Był człowiekiem niezwykle dobrotliwym, nazbyt łagodnym i to była jego największa „wada”, bo w stosunku do niego młodzież była nadmiernie rozbuchana i dokuczliwa. Do dnia dzisiejszego mam wyrzuty sumienia, że tak wspaniałemu i mądrym człowiekowi płaćtało się tyle psikusów, mimo jego nienagannej pod każdym względem postawy.

Jego przezwisko od „wieków” brzmiało „Wujo”. Był człowiekiem samotnym, który codziennie, wolnym krokiem zdążał do swego mieszkania na ulicy Kościuszki. Spod jego okularów emanowała dobroć, a jego posiwiałe, choć gęste włosy i krzaczaste brwi podkreślały tylko zaufanie do tego człowieka. Był typowym przykładem dobrego chrześcijanina, który wszystkie wyrządzone mu przykrości, a było ich niemało, puszczał w niepamięć. Rzadkie były chwile, kiedy ten zacny nauczyciel niesprawiedliwie poniżany przez pokolenia uczniów, bo wyczuło chyba jego słabość, miał możliwość okazania swojej radości, jak choćby przy wręczaniu mu kwiatów z okazji Dnia Nauczyciela. Wtedy cała klasa była cicha i miła dla niego, a na jego twarzy pojawiał delikatny uśmiech, widomy znak zadowolenia. Wujo zasłynął z nadużywania słowa „prawda”, które masowo zastępowało w jego wykładach przecinki.

Zdecydowana większość uczniów kompletnie nie przykładała się do wykładanych przez niego przedmiotów, a i mój poziom wiedzy z chemii, aż do czasu podjęcia studiów na AGH, był niemal zerowy, wszak i w Technikum Energetycznym przedmiotu tego uczyła mnie mgr Barbara Szott, kolejna kuriozalna postać. Odpytywanie uczniów było dla niego gehenną, gdy poirytowany poziomem uczniowskiej wiedzy musiał naciągać oceny, a przecież maksymalnie ułatwiał jej przyswajanie, dyktując do zeszytu wszelkie niezbędne informacje. Nigdy nic nie zadawał do domu, a zadania tekstowe zawsze były wykonywane przy jego udziale i tylko przy tablicy. Może jednak to była główna jego wada? Na jego lekcjach panował jednak ciągły hałas i działały się wieczne burdy, które zagłuszały jego głos. Kiedy gonitwy po klasie były już nie do zniesienia, a latające w powietrzu papierowe samoloty masowo docierały do tablicy, nawet ten ideał spokoju potrafił się zdenerwować i odesłać ucznia, razem z przewodniczącym klasy do dyrektora. Ale w gruncie rzeczy była to tylko zabawa, bowiem przewodniczący wracał z delikwentem po jakimś czasie i stwierdzał, że dyrektor udzielił mu ostrej reprymendy, podczas gdy w rzeczywistości obydwaj postali chwilę na korytarzu, tak dla zachowania pozorów i nawet nie zbliżyli się do gabinetu głowy szkoły. Ten „cyrk” ze stoickim spokojem świetnie odgrywał szczególnie Piotrek Ś., kiedy w starszych klasach był naszym przewodniczącym.

Przytoczę tu jeden jaskrawy, może nawet nazbyt drastyczny przykład niesłusznego lekceważenia tego zasłużonego pedagoga. Podczas lekcji śpiewu próbowaliśmy wykrzesać z siebie jakieś pieśni ze szkolnego śpiewnika, a on akompaniował nam na skrzypcach. Była taka znana ludowa piosenka, brzmiąca w oryginale mniej więcej tak:

„Od Siewierza jechał wóz,
 Malowane panny wiózł.
 Wszystkie pięknie wystrojone,
 Chciałbym jedną mieć za żonę”

Ale te bardziej krnąbrne urwisy z naszej klasy dokonały brzydkiej transkrypcji i ten śpiewny tekst zabrzmiał następująco:

„Od Siewierza jechał wóz
 Malowane ku...y wiózł
 Wszystkie pięknie wystrojone
 Przez Leona wyd....one”.

Dalszej przeróbki refrenu tego tekstu nie sposób zacytować, bo była jeszcze bardziej obrzydliwa, ale śmiech przy tym śpiewie był tak potężny, jak nasza głupota wynikająca ze szczenięcego wieku. Biedny „Wujo” początkowo nie mógł się połapać o co w tym tekście chodzi i tylko krzyczał: „co wy śpiewacie”?

Nigdy nie żalił się na swój los i nie skarżył na niewłaściwe zachowanie uczniów ani wychowawcy, ani dyrektorowi, w spokoju znosząc swój los. Dziś patrząc wstecz na te głupie, szczenięce lata wiele bym dał, żeby wynagrodzić mu doznane wtedy upokorzenia i przywrócić mu uśmiech twarzy, wszak i ja mu nieraz dokuczyłem, choć generalnie nigdy nie byłem typem szczególnie aktywnego rozrabiaki. Ale tak to zwykle bywa, że młodzian nie dostrzega problemów starszych i samotnych ludzi i tylko czerpie z życia, ile popadnie, byle było weselsze, nie oglądając się wstecz i nie uświadamiając sobie, że kogoś krzywdzi. Wydaje mi się, że „Wujo” mimo upływu dziesięcioleci jest do dzisiaj najbardziej rozpoznawalną ikoną tej nieistniejącej już od 1968 roku szkoły i jego postać niechybnie powraca w każdym szkolnych wspomnieniach. To prawdopodobnie „Wujo” przechrzczył plac Hanki Sawickiej na Hanki Dyrdy.

Kolejną osobą, o której przychodzi mi ciepło napisać była mgr Irena Kołconowa, nauczycielka biologii i geografii. Miała może ze czterdzieści lat i była wdową z dwójką dzieci: synem Irkiem, moim rówieśnikiem, który później chodził razem ze mną do Technikum Energetycznego i młodszą ze dwa lata córką, ładną dziewczyną, której imienia nie pamiętam (Krystyna?). Była brunetką niskiego wzrostu, o ciekawych rysach twarzy i mieszkała na ulicy Pawlikowskiego. Wcześniej uczyła mojego brata, może była nawet jego wychowawczynią i stąd dobrze znała moją mamę, z którą nieraz rozmawiały na tematy osobiste i dzięki czemu czuła do nas obu sentyment. Doceniając te sympatie nie wypadało dawać żadnej plamy i dlatego w/w przedmioty były jednymi z niewielu, do których bardziej się przykładałem i z których miałem zawsze piątki. Z czasem geografia stała się moim ulubionym przedmiotem i na jej naukę zawsze znajdowałem czas, choć na przyswajanie innych przedmiotów nieraz mi go brakowało.

Ciekawiła mnie również biologia, przedmiot różnie nazywany w poszczególnych latach: przyroda, botanika, biologia, zoologia czy nauka o człowieku. Do dzisiaj pamiętam, że hormonami trzustki są: amylaza, lipaza i tripsyna, w soku żołądkowym jest pepsyna, a w ślinie ludzkiej ptyalina.

Moim marzeniem było posiadanie globusa, który swoimi kolorami działał na moją wyobraźnię. I wreszcie gdzieś w siódmej klasie, z okazji św. Mikołaja udało mi się naciągnąć mamę na taki najmniejszy globusik, który w sklepie papierniczym na ulicy Szewskiej, może 7, kosztował bodaj 160 złotych. Jeżdżąc palcem po miniaturowej kuli ziemskiej odbywałem swoje pierwsze podróże do krajów, które znałem z fotoplastykonu i ze znaczków pocztowych, a których egzotyczne nazwy: Borneo, Celebes, Jawa, Madagaskar, Jamajka, Tasmania, Wyspy Wielkanocne czy Ceylon, mocno oddziaływały na moją wyobraźnię. Czy w tej sytuacji można się było dziwić, że z geografii byłem jednym z prawdziwych prymusów?

Kołconowa była osobą niezwykle zapracowaną. Aby zapewnić swoim dzieciom godziwy byt, wszak nauczycielom płacono bardzo kiepsko, przepracowywała się, dodatkowo ucząc matematyki i innych mniej istotnych przedmiotów. Była osobą wymagającą i stanowczą, ale zawsze potrafiła znaleźć wspólny język z młodzieżą, może dlatego, że jej problemy znała z autopsji. Była świetnym pedagogiem i naprawdę potrafiła sporo nauczyć, więc nawet najwięksi leserzy: „Gruby” i L. czy ci najmniej zdolni: K. i N., nie mieli większych problemów z jej przedmiotami. Po skończeniu podstawówki widywałem ją wielokrotnie, bowiem bywała na wywiadówkach swego syna Irka, zdolnego i sympatycznego chłopaka, ucznia klasy elektronicznej w Technikum Energetycznym. Zawsze się jej kłaniałem, a Ona przy tej okazji nigdy nie szczędziła mi życzliwego uśmiechu, bo taki to już był dobrotliwy człowiek, choć życie jej też nie rozpieszczało, podobnie jak i moją matkę.

Bardzo ciepło muszę napisać o magistrze Ryszardzie Bocianie, późniejszym radnym miasta Krakowa, który bodaj przez dwie klasy: VII i VIII, a może tylko w VIII-mej, uczył nas historii, a dodatkowo także zajęć praktycznych. Jego późniejsza kariera polityczna ulegała wielokrotnym „przepoczwarzeniom”: od Solidarności i represji stanu wojennego, podczas którego trafił nawet do więzienia, poprzez KPN, po Unię Wolności i PO, której na końcu był chyba członkiem. Ale w czasach, kiedy nas uczył był kapitalnym i uwielbianym przez nas wszystkich „facetem”, który posiadał trzeźwe poglądy polityczne, sporą wiedzę i niesamowitą inwencję.

Po epizodzie w naszej szkole uczył nauk politycznych na Akademii Medycznej, również moją żonę i tam też był bardzo lubiany. Nic wtedy nie zwiastowało, że na początku lat 90-tych jego poglądy przyjmą tak dziwaczne i kuriozalne kształty, kiedy jako członek KPN stał się śmiesznym i niezwykle zaciekłym populistą, ale dzięki tym zdecydowanym poglądom trafił do Rady Miasta, gdzie z czasem, może na szczęście, jego przekonania zaczęły ewaluować ku, jak mi się wydaje”, bardziej wyważonym. Tak czy owak mogę się pochwalić znajomością z tym niezwykle kiedyś oryginalnym i mądrym człowiekiem. W moich czasach szkolnych, kiedy miał 28-9 lat, potrafił jak nikt inny znaleźć wspólny język z młodzieżą, imponując inicjatywą i znakomitym zrozumieniem niełatwych problemów tego „szczenięcego” wieku, kiedy każdy z nas powoli zaczynał czuć się „dorosłym”.

Pamiętam, że raz błysnąłem wiedzą na jego lekcji historii, do której generalnie niezbyt się przykładałem. W urządzonym przez niego mini konkursie piątkę miał dostać ten, kto pierwszy odpowie na pytanie: dla uczczenia jakiego wydarzenia zostało utworzone święto pracy? I nikt poza mną, o dziwo, nawet z klasowych krezusów nie wiedział, że święto to zostało ustanowione przez Międzynarodówkę Robotniczą w 1889 roku, w trzecią rocznicę wystąpień robotników z Chicago.

Miał fantastyczny stosunek do nauczania. Na jednej sesji zajęć praktycznych potrafił wyczerpać program na cały miesiąc, a ponieważ przedmiot ten wypełniał cztery godziny lekcyjne na tydzień i to w jednym bloku, przez pozostałe trzy zajęcia w miesiącu chodziliśmy razem poza szkołę, to na Błonia grać w piłkę, to na Kopiec Kościuszki, by powąłęsać się po ruinach fortu. Dzięki takiej postawie miał u nas wielkie poważanie i nikt z nas nawet nie próbował mu nawet dokuczać. A jednak w jego życiu musiało potem zaistnieć coś dziwnego, że jego poglądy stały się jakieś dziwaczne i oderwane od rzeczywistości, przynajmniej w mojej opinii, ale ja pamiętam go głównie jako wspaniałego „faceta”, niemal naszego kompana, człowieka naładowanego pozytywną energią i potrafiącego zainspirować nią każdego, nawet największego lesera i rozrabiakę.

A wracając do pierwszych klas, kiedy zajęcia praktyczne zwały się jeszcze pracami ręcznymi, warto przypomnieć, że podstawowymi materiałami do nauki tego przedmiotu były: kolorowa plastelina, zeszyty z kolorowym papierem, bibuła kolorowa w rulonikach i klej, ten ostatni w tubkach bądź flaszeczkach z tzw. gumą arabską, który wyciskało się przez gumkę zamocowaną na końcu pojemniczka. Guma arabska dobrze kleiła, ale miała jeden feler: zbyt często zaklejała palce.

Trzeba jeszcze wspomnieć o dwóch znaczących postaciach, które pierwotnie zapomniałem, ale przypomniał mi o nich Bodzio Feldman, mój serdeczny kolega z niższej klasy i sąsiad z Czystej, spod „jedenastki”. Bogdana wraz z jego bratem Wieśkiem, kolegą z klasy mego brata, spotkałem zupełnie przypadkowo przechodząc ulicą Czystą w dniu 18 kwietnia 2005 roku. Był to akurat bardzo przykry dla nich moment, bowiem dzień wcześniej odszedł na zawsze ich ojciec i byli właśnie w trakcie załatwiania formalności pogrzebowych. Z Bogdanem zaciekle grywałem w piłkę to na Błoniach, to na skwerku, to na podwórku szkolnym, a ponadto przez dwa lata (1968-69) stanowiliśmy podporę drużyny młodzików Wawelu w piłce ręcznej, zespołu trenowanego przez mgr Julian Adamskiego, nauczyciela WF w szkole podstawowej nr 94, w której obręb zaraz po zakończeniu mojej edukacji włączono „szóstkę”. Tak na marginesie, pan Adamski długo mieszkał w zburzonym już, parterowym domku przy ulicy Czarnowiejskiej, przylegającym do budynku C-1 AGH, który znajdował się u wylotu ulicy Szymanowskiego. Te wspólne przeżycia sportowe zbliżyły nas jeszcze bardziej. A ile czasu straciliśmy na wspólnych wyprawach na mecze: hokejowe, szczypiorniaka i piłkarskie, trudno byłoby zliczyć. Z Bogdanem nie widziałem się z trzydzieści lat i choćby z tej okazji, mimo feralnego dnia, wymieniliśmy poglądy o naszych wspólnych znajomych z dzieciństwa, z którymi kontakty dawno się urwały.

Padły więc z jego ust zapomniane przeze mnie nazwiska dwóch nauczycieli: Krawczyka i Koniecznego, kiedyś młodych mężczyzn, w wieku 30-35 lat, którzy w naszej szkole, głównie z racji wieku, prowadzili przedmiot wychowania fizycznego. Koniecznego, chyba Mieczysława, znałem słabo, bo nigdy nie miałem z nim lekcji. Oprócz WF uczył on głównie matematyki, w tym w klasie B na moim poziomie i był równym „gościem”, bardzo lubianym przez uczniów, choć nie pozwolił sobie w „kasze dmuchać”. Natomiast aż dziw bierze, że mogłem zapomnieć pana Wiesława Krawczyka, który uczył mnie wychowania fizycznego, a także historii w szóstej i może siódmej klasie, a może w piątej i szóstej, ale był też dla nas kompanem do gry w piłkę na krakowskich Błoniach. Czuł potrzeby młodzieży, wszak sam był młodym człowiekiem i zawsze znajdował z nami wspólny język. Mieszkał na alei Krasińskiego, tuż przy ulicy Manifestu Lipcowego i akurat wtedy, chyba w 1967 roku, urodziło mu się dziecko. Mimo to bardzo angażował się w rozgrywki szkolne i często towarzyszył nam w trakcie różnych międzyszkolnych bojów. Znałem go bardzo dobrze, wszak zawsze byłem podporą szkolnych reprezentacji: w piłce nożnej, szczypiorniaku i hokeju, ponadto szybko jeździłem na łyżwach i stąd wynikał nasz dodatkowy kontakt na różnego typu zawodach. Jednak omal nie przepadł mi gdzieś w zakamarkach pamięci.

Wspominając obu wyżej wymienionych nauczycieli nie sposób nie wspomnieć o naszym szkolnym podwórku i jego ważnej roli w życiu szkoły. Nasza „buda”, jak powszechnie w tych czasach nazywano szkołę, nie posiadała sali gimnastycznej ani wyspecjalizowanych nauczycieli WF, stąd znaczna część zajęć lekcyjnych z tego przedmiotu odbywała się na tym niewielkim, szutrowym skrawku ziemi, ograniczonym murami szkoły i ogrodzeniem przyległego do niej przedszkola. Po II wojnie światowej było one prowadzone przez zakonnice, siostry Felicjanki, ale później, z początkiem lat 60-tych, stało się państwowe. Żalę serce ścisnąć, gdy dziś się patrzy na wybudowany w ogrodzie przed dawną willą Antoniego Wojczyńskiego brzydki architektonicznie gmach Grand Ascot Hotelu. Ten ogromny gmach, który zajął całą przestrzeń ogrodową i całkowicie przysłonił willę Wojczyńskich, powstał na terenie należącym do Caritas. W ten sposób zniszczony został wręcz wzorcowy układ willowo-ogrodowy sprzed 150 lat, który o dziwo nie został wpisany do rejestru zabytków. Przypadek?

Żeby było ciekawiej z obrzeża działki zniknęła figura Matki Boskiej z dzieciątkiem autorstwa Franciszka Wyspiańskiego, ufundowana pod koniec lat 60. XIX wieku przez Wojczyńskich i teraz tuła się ona po Krakowie. Czy kiedyś powróci na Piasek, gdzie jest jej miejsce i gdzie wrosła na stałe w jego pejzaż?



Fot. nr 394. Przedszkole prowadzone jeszcze przez siostry Felicjanki ok. 1960. W tle kamienice przy ulicy Szujskiego 1 i 3. Kapliczka ustawiona w tym czasie tyłem do ulicy. Zdjęcie Wojtka Borka.



Fot. nr 395 (395-40)). Współczesna dokumentacja fotograficzna zmian zachodzących w latach 2008-2017 na terenie dawnego przedszkola. Tu zabetonowane już podwórko szkolne i ogród dawnego przedszkola w roku 2008. W latach 60. była to jedna z bardziej cenionych placówek tego typu w okolicy. Dziś w miejscu ogrodu w dawnym kompleksie willowo-ogrodowym Wojczyńskich stoi już gmazysko Grand Ascot Hotelu. (16.10.2008)



Fot. nr 396. Figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem przed dawnym przedszkolem przy ulicy Szujskiego 4. Rzeźbę tą w końcu lat 60-tych XIX-go wieku wykonał Franciszek Wyspiański, a Matka Boska ma mieć wygląd jego żony. Fundatorami tego dzieła byli Wojczyńscy. Dziś to już tylko miłe sercu wspomnienie. (06.08.2009)



Fot. nr 397. Stan posesji już z wyciętymi drzewami, ale jeszcze z kapliczką, która towarzyszyła mi „od zawsze”, Dziś, gdy stoi tu hotel płata się ona po Krakowie i nie wiadomo gdzie się zadomowi. Jej miejsce jest jednak tu, na Piasku, gdzie od zawsze stała, choć w różnych fragmentach ulicy Krupniczej.



Fot. nr 398. I po zawodach. Rozpoczęła się budowa, a kapliczka znikła.



Fot. nr 399. A tu już kwiecień 2014 i bryła hotelu w stanie surowym. Od 150 lat niewiele się na tej posesji zmieniało i był to wzorcowy wręcz przykład willowo-ogrodowej zabudowy sprzed 150 lat. Ciekawe, że "skoku na kasę" dokonał Caritas, współczesny właściciel tego założenia. Antoni Wojczyński pewnie przewraca się grobie.



Fot. nr 400. Marzec 2017 i hotel jest już prawie gotowy. Ciekawy architektonicznie skrawek Piasku został zastąpiony beznadziejnym „klockiem”, na co zgodę wydał urzędujący w I dekadzie XX wieku WKZ, dziś nauczyciel akademicki na PK.

W klasach od I do IV, kiedy naszą nauczycielką była pani Rynduchowa, osoba niemająca pojęcia o kulturze fizycznej i spędzająca z nami większość lekcji WF na spacerach, najczęstszym zajęciem ruchowym była gra w dwa ognie, właśnie na podwórku szkolnym. Kto dziś pamięta tę prostą grę, tak niegdyś popularną wśród młodzieży szkolnej? Boisko podzielone było na dwa równe pola, po których biegali gracze z przeciwnych drużyn, a na jego końcach, po przeciwnych stronach pól, prym wiedli „królowie”. Gra polegała na przrzucaaniu piłki do króla i ubijaniu przeciwników z przeciwnej drużyny. Zbicie polegało na takim rzuceniu piłki, aby przeciwnik został nią uderzony bądź nie był jej w stanie złapać, po czym obowiązkowo musiała ona spaść na ziemię, ale jeśli piłka przed zbiciem odbiła się od ziemi trafienie było nieważne. Gdy udało się komuś złapać oburącz piłkę, przrzucał ją na przeciwny koniec boiska do „króla” bądź sam próbował zbijać uciekającego na sąsiednim polu przeciwnika. Po zbiciu wszystkich graczy na arenę wkraczał „król”, którego trzeba było „ubić” trzy razy. Drużyna, która to uczyniła pierwsza, stawała się zwycięzcą pojedynku. A ile przy tym było emocji.....

Pamiętam taki mecz z klasą B, może w III klasie, kiedy nie będąc królem, którym był Zbyszek Czajkowski, jako jedyny nie dałem się zbić, a sam wykończyłem ich króla, którym był nie byle kto, bo sam Adam Nenko, późniejszy piłkarz Cracovii, chłopak podobnie jak ja bardzo wysportowany. Przez te pierwsze kilka lat, kiedy dwa ognie królowały na szkolnym podwórku, byłem i w dwa ognie prawdziwym mistrzem klasowym, choć mój wzrost należał do najniższych w klasie.

Pod koniec mojej edukacji, a więc w VII i VIII klasie, na tym małym podwórku toczyły się już prawdziwe boje piłkarskie przy współudziale niezwykle uzdolnionych kolegów z klas niższych, że wymienię: Marka Kustę, późniejszego reprezentanta Polski, Zbyszka Prządo, Jurka Kitę czy wspomniany Bodzio Feldman. Na moim poziomie obok mojej osoby prym wiedli: wspomniany już Adam Nenko, Marek Jagła i Marek Pstrós, moi późniejsi przyjaciele i koledzy szkolni z Technikum Energetycznego, wszyscy z klasy B oraz Kazek Walczyk, kolega z klasy A. Drużyny były czteroosobowe, a ściany budynku i siatka stanowiły „bandę” dopuszczoną do użytku. Wszyscy reprezentowaliśmy wtedy niezwykle wysoki poziom piłkarskiego rzemiosła, ale tylko niektórym z nas udało się przebić do drużyn ligowych, co wymagało też dużej siły charakteru i determinacji. Mnie, a także kilku innym kolegom, zabrakło tej siły przebicia, a przy tym twardości charakteru, choć przynajmniej na tym etapie nie byliśmy z pewnością gorsi ani od Marka Kusty, ani od Adama Nenki. Kto z nas wtedy nie marzył, by zostać znanym piłkarzem, ale przynajmniej Markowi ta sztuka w pełni się udała i potem było komu kibicować ze szczególną sympatią.

Języka rosyjskiego, którego edukacja rozpoczynała się już w piątej klasie, uczyła nas mgr Alina Grabczak, fajna i równa nauczycielka w wieku około 40 lat, która trafiła ona do naszej szkoły gdzieś w 1966 roku. Wcześniej tego przedmiotu uczyła nas pani Gawlik, której nie pamiętam, co wiem od Staszka Pluteckiego, który odezwał się na NK. Pani Grabczak była dobrym pedagogiem, bowiem potrafiła znaleźć z młodzieżą wspólny język, gdyż pewnie też miała dzieci w naszym wieku. Pod jej skrzydłami nauka tego języka była przyjemnością, a na jej lekcjach nie było żadnych burd, choć nie był on przez wielu z nas szczególnie lubiany, bo jak mówili co niektórzy rodzice został on narzucony od góry przez czynniki polityczne. Ja nie mając większej wiedzy o polityce przyjmowałem go jednak bez uprzedzeń i dobrze, bo szczególnie na studiach był on mi bardzo przydatny, gdy praktycznie cała literatura dotycząca przeróbki surowców mineralnych była dostępna tylko w tym języku. Pani Grabczakowa nie była osobą nadmiernie wymagającą, a lekcje prowadziła ciekawie i na luzie. Nigdy nic nie zadawała do domu, czym zyskiwała dodatkową sympatię. Nie ukrywam, że nie byłem najgorszy z tego przedmiotu i zawsze miałem „piątkę”, jak się mówiło „bdb”, co było jednak po części zasługą samej pani Grabczakowej, która zawsze podciągała oceny w górę, a „tróje” mieli u niej tylko prawdziwi językowi analfabeci. I pomyśleć, że dziś te wyuczone przez lata „bukwy” gdzieś mi już uleciały z pamięci; czytam je dobrze, ale z pisaniem byłby problem.

Tak więc piątki miałem zawsze: z rosyjskiego, geografii i biologii, czasem z matematyki oraz historii i należałem do zaplecza prymusów, zawsze mając na świadectwie kilka dyżurnych „czwórek”, a wyjątek stanowiła piąta klasa, gdy, jak już wspomniałem, miałem „z góry na dół bdb”. Zresztą nie pasowało nawet mieć lepszych ocen, bo wtedy zadawałem z towarzystwem, które nie miało najwyższych szkolnych aspiracji, jak: wspomniany już „Gruby” – Bogdan B., Piotrek K., Józek Z., Marek S. czy Bogdan K. i gdybym miał wzorowe świadectwo patrzyliby oni na mnie spode łba i nie za bardzo chcieliby się ze mną zadawać, gdyż „kujony”, a więc chłopacy nieobecni na ulicy, nigdy nie mieli u nich zbyt wysokich notowań.

Tymi największymi prymusami, nazywanymi przez większość klasy „kujonami” bądź „pupilkami”, zawsze z kompletem najlepszych ocen, byli nieprzerwanie: Maryś M., Tomuś S., Andrzej W., Tadziu T., Zbyś A. i Piotruś Ś., choć ten ostatni był nieco chimeryczny i w ostatnich klasach nieco odstawał od klasowej „śmietanki”. Piotrek stawał się coraz równiejszym chłopakiem, choć jako jedynak był rozpieszczony przez nianię oraz rodziców i zanadto rozkapryszony (mogę tylko przypuszczać, że tak dla hecy i na złość samemu sobie nie zawsze chciało mu się pilnie uczyć). Tworzyli oni elitę klasy i trzymali się razem, nie chcąc się zbyt spoufalać z resztą „pospólstwa”. Z tej elity najbardziej polubiłem wspomnianego już wcześniej Andrzeja W., przezywanego w klasie „Waniołką”, fajnego, choć nieco izolowanego przez matkę chłopaka i właśnie Piotrka, który zawsze okazywał mi swoją sympatię. Tym dwóm chłopakom nigdy nie uderzała do głowy „woda sodowa”, przynajmniej w stosunku do szkolnych kolegów, a Piotrek dodatkowo udzielał się jako harcerz, więc śmiało można rzec, że się z czasem „wyrobił”.

Trzeba by jeszcze wspomnieć o nauczycielach mało istotnych przedmiotów, jak: rysunek, śpiew i wychowanie fizyczne, które podobnie jak prace ręczne, zwane potem zajęciami technicznymi, były traktowane w większości szkół w sposób zdecydowanie marginalny, niczym przysłowiowe „piąte koło u wozu”.

Śpiewu uczyła mnie pani Antonina Liskowa (Lisek), której nazwisko doskonale oddawało jej osobowość. Nie była błyskotliwą osobą, można nawet powiedzieć, że była miernym pedagogiem, ale swój autorytet budowała piskliwym i donośnym głosem, którego nie wahała się nadużywać. Uczyła niższe klasy, w tym wcześniej mojego brata, a w wyższych klasach miała tylko śpiew. Posiadała wygląd „wiejskiej baby” o zawsze rumianych policzkach, a na jej twarzy często pojawiał się „lisi”, nieco fałszywy uśmiech i nigdy nie było wiadomo, który uczeń u niej podpadnie i za co, a wtedy była mściwa i nieraz dobrze załaziła za skórę. Sama miała ładny głos i na jej lekcjach było dużo śpiewania. Odpytywała w dość oryginalny sposób: wybierała fragment piosenki, np. do słów Marii Konopnickiej: „Za tą głębią, za tym brodem, tam stanęła rzeka lodem” i tak po kolei „przelatywała” wszystkich uczniów. Ja śpiewałem dobrze i bez problemu miałem „piątkę”. Liskowa dobrze знаła moją matkę i brata, bowiem wcześniej była jego wychowawczynią i nie miałem u niej źle, ale biedny „Gruby”, który nie miał najlepszego głosu, dostawał tylko „tróję”.

Widać było, że i ona posiadała kompleksy w stosunku do synów „elity”, ale choć im czasem coś znieścacka dopiekleła, to nigdy nie odważyła się wstawić im gorszej oceny, choć taki Tomek S. czy Maryś M. śpiewali, że pożał się Boże, wszak kompletnie nie mieli słuchu. Jej postać: korpulentnej, pewnej siebie, okrągłej na twarzy i zawsze rumianej „wiejskiej baby”, często operującej piskliwym i donośnym głosem dolatującym w czasie przerw, kiedy to notorycznie strofowała rozbrykaną młodzież, do dziś dobrze zachowała się w mojej pamięci, raczej z tej dobrej strony.



Fot. nr 401. Antonina Lisek, barwna postać pośród grona nauczycieli SP nr 6.
(połowa lat 60-tych)

Bodaj w siódmej klasie, a może i jeszcze w szóstej, rysunku uczyła mnie Irena Rączka. Była raczej kiepskim fachowcem od tego przedmiotu, bo jej lekcje rysunku przypominały zabawę małych dzieci w rysowanie patykami na piasku: każdy bazgrolił na lekcji co tylko chciał, a jej nie chcieli się nawet za bardzo sprawdzać co kto narysował, po czym oceny dostosowywała do poziomu z innych przedmiotów. Często była nieobecna na lekcjach, czasem wpadała tylko na chwilę, by nam coś zadać; widać już wtedy miała jakieś pilniejsze zajęcia. Mnie to nawet pasowało, bowiem z rysunku zawsze byłem wyjątkową „nogą”, a tak bez problemu miałem dyżurną „czwórkę”. Warto może przypomnieć, że młodzież szkolna w tych czasach używała do rysowania tzw. bloków rysunkowych w kształcie dużych teczek, w których wewnątrz znajdowały się sklezione u góry świeże arkusze papieru rysunkowego w rozmiarze A-4 oraz kieszenie na przechowywanie wykonanych już prac. Rysowało się na ogół różnej jakości kredkami ołówkowymi, których pełny zestaw pudełkowy wynosił 24 sztuki, rzadziej kredkami pastelowymi, a tylko incydentalnie farbami wodnymi, bo tu papranina przerastała możliwości sali szkolnej. Do strugania kredek służyły przeróżne zastrugaczki, ale często najlepszym sposobem było ostrzenie ostrym nożem kuchennym, bo wtedy wkład rzadziej się kruszył.

Jeszcze parę słów poświęcę Ryszardowi Medoniowi, memu nauczycielowi WF w ostatniej klasie, wtedy niespełna trzydziestolatkowi, który przyszedł do naszej szkoły bodaj w 1967 roku. W zasadzie był geografem, może nawet z tytułem, ale z racji swego młodego wieku uczył też WF-u i był dla nas wspaniałym kompanem do gry w piłkę nożną. Nieco przygarbiony, zawsze z papierosem w ustach, namiętnie grywał z nami na Błoniach, bo tam z racji kiepskiej bazy szkolnej często chodziliśmy z nim na zajęcia wychowania fizycznego. Nasze niewielkie podwórko ledwie wystarczało do gry „w dwa ognie”, ale ta gra szybko zaczynała wychodzić z mody. Kiepski był z niego piłkarz, ale miał serce do gry i ambicje, choć kondycje, zapewne za sprawą masowo palonych papierosów, miał marną. Był w tym czasie powszechnie przez nas lubiany i akceptowany, niemal jak jeden z nas.

Jakież zatem było moje zdumienie, kiedy w trakcie roku szkolnego 1968-69, a więc zaraz po likwidacji „szóstki” i przeniesieniu jej uczniów do gmachu na rogu ulic: Kochanowskiego i Michałowskiego, gdzie mieściła się szkoła podstawowa nr 94, jej dyrektorem został nie kto inny jak właśnie ów Medoń i kto wie czy nie złuzował on wtedy na tym stanowisku wspomnianej już pani Rączki, która być może nie za bardzo dawała sobie radę. Niespodziewanie dla wszystkich okazało się, że mimo młodego wieku był on już wysokim funkcjonariuszem partyjnym. Na początku czuł się głupio w stosunku do „swoich” znajomych uczniów, z którymi był bardzo spoufalcony, ale wkrótce potem zaczął już „trzymać fason”. Niełatwo mu było zarządzać znacznie starszym od siebie gronem pedagogicznym, które jego nominacją czuło się zapewne mocno zniesmaczone. Ale i jego kariera nie trwała ponoć zbyt długo, bo na przeszkodzie miały stać jego ludzkie słabości, nieprzystające do tego stanowiska. Tak przynajmniej słyszałem, więc nie chcę tego powtarzać, nie mając ku temu własnej wiedzy. Niestety nie znam dalszych jego losów, ale ja osobiście wspominam go ciepło.

Nie sposób nie wspomnieć o kuriozalnej postaci jaką była pani Kurkiewicz (chyba nie mylę nazwiska, a może Jurkiewicz?), zapewne Jolanta, młoda, pewnie ze 25-letnia, świeżo upieczona absolwentka studium nauczycielskiego, która przyszła do naszej szkoły w 1967 roku. Początkowo „łatała dziury” personalne, gdyż niektórzy nauczyciele starszej generacji mieli okresowe absencje zdrowotne, a gdzieś na przełomie 1967/8 roku okresowo zastępowała ona w naszej klasie panią Kołconową z uwagi na jej chwilową niedyspozycję zdrowotną i wtedy, gdzieś przez trzy miesiące uczyła nas geografii i biologii. Określenie jej lekcji cyrkiem byłoby w sam raz akuratne, bowiem uczniowie dosłownie wchodzili jej na głowę, ale trzeba przyznać, że ta młoda i zgrabna dziewczyna jakby prowokowała swoim wyglądem, ubierając się nad wyraz skąpo, a jej mini spódniczki były przesadnie krótkie. Czy można się dziwić, że niektórzy z nas czołgali się po podłodze, by pod ławkami podglądać jej nogi i nie tylko, wszak nasz wiek był wyjątkowo cielecy i pewne rzeczy powoli zaczynały budzić nasze zainteresowanie. Hałasu i zgiełku panujących na jej lekcjach nie sposób opisać, ale ona zносиła to bez specjalnych uniesień, nie podnosząc na ogół głosu, rzadko tylko strasząc możliwością reakcji dyrektora na panujący w klasie harmider.

Podczas zapisywania przez nią jakichś tekstów na tablicy dziennik lekcyjny krążył od ławki do ławki i większość z nas, z wyjątkiem oczywiście krezusów, którzy patrzyli na to co się wokół dzieje, może i słusznie ze zgorzeniem, wpisywała sobie do dziennika same piątki, zwłaszcza z jej przedmiotów, a efekt był taki, że po miesiącu nie było tam już miejsc na oceny.

Po powrocie z chorobowego biedna Kołconowa chwyciła się za głowę nie wiedząc co zrobić z tym fantem. Na szczęście dla nas ta mądra życiowo kobieta, po konsultacji z naszą wychowawczynią, która jak zwykle przy takiej okazji solidnie się na nas wydarła, nazywając nas „szczeniakami”, zdecydowała się poskreślać te najbardziej podejrzane noty, nie wciągając w całą sprawę dyrekcji, czytaj pani dyrektor Rączki i słusznie, bo jej reakcja była trudna do przewidzenia. Dzięki jej wyważonej postawie nie było więc afery, a cała sprawa wkrótce jakoś przycichła. Biedna pani Jola nie uczyła zbyt długo w starszych klasach, bo dyrekcja widząc co się dzieje wkrótce przesunęła ją do pracy z dziećmi. Czy może dziwić, że w tej sytuacji, kiedy szkoła zaczynała się stawać „przechowalnią talentów”, niektórzy koledzy z klasowej „śmietanki” zaczęli przechodzić do innych szkół, jak choćby do SP nr 2, która mieściła się przy ulicy Spasowskiego, gdzie poziom nauczania musiał być wyższy?

W drugiej połowie lat 60-tych, a więc na moich oczach, moja szkoła ulegała widocznym, niestety niekorzystnym zmianom, a poziom nauczania wyraźnie się obniżał. Odchodzili powszechnie szanowani i akceptowani przez młodzież fachowcy: pan Józef Czekajowski, pani dr Stanisława Uszyńska, polonistka, kolejna prawdziwa legenda tej szkoły, pani Jadwiga Rolle, pierwsza wychowawczyni mego brata, najpewniej wywodząca się z rodziny byłego prezydenta Krakowa, pani Karolina Mastalerzowa, przez pierwsze cztery lata wychowawczyni naszych rówieśników z klasy B, pani Janina Walewska czy pani Maria Kozak, a w ich miejsce przychodzili nowi adepci, często nie w pełni przygotowani do pełnienia zawodu, jak np. wspomniana powyżej pani Jolanta Kurkiewicz, a funkcje kierownicze obejmowały osoby z nadania partyjnego, bez należytego doświadczenia, jak choćby pani mgr Irena Rączka. W ogóle w całym polskim szkolnictwie poziom nauczania stopniowo zaczął się obniżyć, czemu bynajmniej nie pomogły sławetne reformy ministra Kuberskiego w czasach Gierka, które były mocno krytykowane w środowisku nauczycielskim, choć gdzie im było do radosnej twórczości i gwałtownych zmian w wydaniu obecnych ekip rządowych. Ja jednak otarłem się o nauczycieli starej generacji, których znakomitym przykładem był wspomniany pan Józef Czekajowski.

Niestety nie było mi dane bezpośrednio obcowanie z Panią dr Stanisławą Uszyńską, choć o jej wiedzy i postawie krążyły po szkole legendy. Ta dawna Lwowianka, osoba szykanowana przez Niemców w czasie okupacji i osadzona w obozie w Oświęcimiu za udział w tajnym nauczaniu, po wojnie też nie była ulubienicą komunistycznej władzy i mimo posiadania doktoratu z języka polskiego, uzyskanego jeszcze w czasach przedwojennych, wiodła nędzny żywot nauczyciela szkoły podstawowej, mieszkając w domu nauczyciela przy ulicy Karmelickiej 36.

Stanowiła wzór patriotycznej postawy, a za swoje metody pedagogiczne była uwielbiana przez pokolenia uczniów i rodziców. Z pewnością zasłużyła na trwałą pamięć, dlatego cieszy wmurowanie w ścianę dawnej SP nr 6 tablicy pamiątkowej przypominającej jej postać oraz postać pana Józefa Czekajowskiego. Inicjatorem tej akcji w 2008 roku był Mikołaj Kornecki.



Pani dr Stanisława Uszyńska (1958)

Widać było gołym okiem jak wielką stratą było ich odchodzenie ze szkół, bo to oni budowali ich autorytet i oni byli gwarantami wysokiego poziomu przekazywanej wiedzy. Trudno mi dziś jednoznacznie wyrokować, ale jest wielce prawdopodobne, że jedną z przyczyn likwidacji „szóstki” mogło być właśnie widoczne obniżenie poziomu nauczania, czego wyrazem było wspomniane powyżej odchodzenie z niej tych najzdolniejszych uczniów, jak choćby Marysia M. czy Zbyszka A., naszych prymusów.



Pani Karolina Mastalerz (1958)



Pani Jadwiga Rolle (1958)



Pani Janina Walewska (1958)



Pani Maria Kozak, nauczycielka języka rosyjskiego. (1958)

Wiele trudu i czasu zajęło mi odtworzenie z pamięci imiennego składu osobowego mojej klasy z podstawówki, klasy A, który przez lata ulegał ciągłym zmianom, choć spora część z jej pierwotnego stanu, wg ewidencji na rok szkolny 1960/61, przetrwała do końca nauki, tj. do czerwca 1968 roku. Kiedyś bez problemu recytowałem go z pamięci, a teraz, z upływem czasu, zaczęły się pojawiać coraz poważniejsze wyszczerbienia i trzeba było sporego wysiłku, by tę listę skompletować.

Oto w kolejności alfabetycznej raczej pełna lista moich kolegów szkolnych, z którymi miałem przyjemność dzielić moje szkolne radości i smutki, choćby bodaj przez kilka miesięcy. Z uwagi choćby tylko na kuriozalne przepisy RODO ograniczam się w tej edycji jedynie do podania imion i pierwszej litery nazwiska, choć walory pamiętnikarskie z pewnością na tym ucierpią i jeśli ktoś będzie chciał rozszyfrować skróty musi sobie zadać trochę trudu. Może kiedyś przyjdzie bardziej przychylny czas do pełnego rozszyfrowania częściowo zakodowanych w opracowaniu nazwisk.

□ Zbigniew A.

Mieszkał na ulicy 1-Maja. Był synem dobrze sytuowanego inżyniera i jego matka mogła się poświęcić wychowaniu dzieci: jego i jego kilka lat młodszej, bardzo rozpieszczonej siostry, która nie opuszczała matki ani na moment. Pod względem wyników w nauce należał do ścisłej elity klasowej. Niekorzystnym zrzędzeniem losu jego ojciec, przystojny i wysoki mężczyzna, przez pierwsze lata przewodniczący komitetu rodzicielskiego, gdzieś w połowie lat 60-tych zmarł na raka krtani i jego byt znacznie się pogorszył. W szóstej czy siódmej klasie, może na skutek obniżającego się poziomu nauczania w naszej szkole, matka przeniosła go do szkoły podstawowej nr 2 na ulicę Łobzowską. Był dziwnym samotnikiem, chłopakiem bez ruchowego wigoru, który rzadko udzielał się towarzysko, może z racji nazbyt surowej opieki ze strony matki i tylko z rzadka zadawał się jedynie z uczniami z klasowej śmietanki. Nigdy nie grywał z nami w piłkę ani nawet w dwa ognie i w sporcie, a także i w śpiewie, był totalnym antytalentem. Po latach wielokrotnie go widywałem, zawsze w duecie z własną siostrą. Nie znam ich dalszych losów.

□ Zbigniew B.

Mieszkał na ulicy Michałowskiego 1 lub 3, tuż koło muru koszar wojskowych. Nigdy nie miałem z nim szerszego pozaszkolnego kontaktu. Pochodził z inteligentnej rodziny, ale chyba niezbyt zamożnej i miał starszą o kilka lat siostrę. Był typem intelektualisty, raczej stroniącym od sportu i w związku z tym rzadko udzielającym się w życiu klasowym. Najczęściej zadawał się z klasową śmietanką pod przywództwem Marysia M. i Tomka S. i w tym towarzystwie grywał czasami w szachy bądź badmintona. Był dobrym i pracowitym uczniem, może tylko minimalnie ustępując prymusom. Po ukończeniu podstawówki nigdy go nie widziałem. Ostatnio, dzięki portalowi Nasza Klasa, nawiązałem z nim kontakt, wymieniliśmy wiele ciepłych słów o dawnych czasach i wiem, że ukończył Politechnikę Krakowską.

□ Bogdan B. – „Jajko”.

Mieszkał na ulicy Świerczewskiego 7, niedaleko ulicy Podwale, w skromnym mieszkanku w oficynie dużej, czynszowej kamienicy. Pochodził z robotniczej rodziny. Paradoksalnie jego nazwisko oddaje jego wygląd, gdyż zarówno on, a także i jego młodszy brat mieli blond włosy i jasną karnację niczym mleko, ponadto obydwaj byli chudzi jak patyki. Pogrywał z klasą w piłkę i interesował się sportem, więc nieraz, jeszcze po jego wyprowadzce gdzieś 1965 roku, chyba na Olszę, widywałem go na meczach piłkarskich. Był raczej kiepskim uczniem i nie bez trudu przechodził z klasy do klasy. Choć nieraz braliśmy wspólny udział w życiu klasowym, jak mecze piłkarskie czy gra w zośkę, byliśmy tylko dobrymi kolegami. On bliżej zadawał się ze swymi sąsiadami z ulicy i klasy: Markiem C. i Piotrkiem K..



□ Andrzej B. – „Beduś”.

Brunet przy „kości”, niezwykle sympatyczny kolega. W którejś z klas siedzieliśmy nawet w jednej ławce i darzyliśmy się dużą sympatią. Jego biologiczny ojciec zmarł, a matka powtórnie wyszła za mąż za wdowca z synem, może ze trzy lata młodszym od Andrzeja i jak się wydaje był to udany związek. Z uwagi na swoją posturę nie udzielał się zanadto w zajęciach sportowych, a swój wolny czas poświęcał głównie na opiekę nad przyrodnim bratem, który w przeciwieństwie do niego był ruchliwym łobuziakiem. Rodzina ta mieszkała na ulicy Cybulskiego, naprzeciw willi Zasady, w niezbyt dużym mieszkaniu, ale około 1965 roku przeprowadziła się gdzieś na Olszę. Wtedy „Beduś” z bólem serca musiał zmienić szkołę i kontakt ze starymi kolegami zanikł, choć początkowo jeszcze nas odwiedzał. Gdzieś w trzeciej klasie złamał prawą rękę, ale wykazał się niezwykłym hartem ducha i po tygodniu nauczył się pisać lewą dłonią, czym wszystkich zaskoczył.

□ Bogusław B. - „Gruby”.

Popularny „Gruby” był moim najserdeczniejszym kolegą z lat szkolnych i bez przesady prawdziwym przyjacielem jakich w życiu miewa się niewiele. Mieszkał przy alei Mickiewicza 15 i miał czworo rodzeństwa, w tym „Chudego”, starszego brata, który chodził do klasy z moim bratem i był jego przyjacielem. Pozostanie tajemnicą poliszynela jak dwaj bracia mogli mieć tak różne postury. „Gruby” był wielkim opasem, a pomimo tego chłopakiem niezwykle żywym, towarzyskim i paradoksalnie ruchliwym. Uprawiał wszelkiego rodzaju sporty: grywał w piłkę, zośkę (nieraz grywaliśmy na jego podwórku całymi godzinami), jeździł na rowerze, starej „drogówce” i pływał. Miał niebywały apetyt i był utrapieniem dla rodziców, prostych i ciężko zapracowanych ludzi, którzy z trudem wiązali koniec z końcem, by zapewnić byt dzieciom: dwóm młodym chłopakom i trzem starszym córkom, pannom na wydaniu (Zofia, Krystyna i Grażyna). Pracowali całymi dniami, nawet po dwa etaty, a matka dodatkowo uprawiała dwie działki: w Cichym Kąciku i przy ulicy Malczewskiego w sąsiedztwie Kopca Kościuszki.



Ileśmy razem spędzili wspaniałych chwil i w Krakowie, i na wspólnych wakacjach u mojej babki, tego nie da się opisać, a na rowerach objeździliśmy najbliższe okolice Krakowa. Jaka szkoda, że w latach późniejszych stosunki między nami uległy całkowitemu zerwaniu, zwłaszcza po jego rychłym ślubie z Jaśką, ładną i zgrabną, choć nieco kaleką dziewczyną, pensjonariuszką domu dziecka na ulicy Krupniczej, zwanego „Bidulem” i ich rychłej wyprawdzie do Ustupa koło Zakopanego, skąd ona pochodziła. Nie był zdolnym uczniem, a może tylko totalnie „olewał” naukę, więc mu często pomagałem jak tylko mogłem, np. dając odpisywać zadania i podpowiadając z ławki w czasie lekcji. Wyuczył się zawodu hydraulika i ciężko pracując fizycznie szybko schudł nie do poznania. Jego przeciwieństwem był Adam, jego brat zwany „Chudym”, szczupłutki i niepozorny niejadek. Obydwaj uczyli się nie za tego i nieraz, zwłaszcza po wywiadówkach, ich matka zazdrościła mojej braku dobrych ocen, ale na zasadzie szacunku. Dziś spoglądam czasem w znane mi okna na parterze budynku gdzie mieszkali, chcąc wypaczyć znane mi kiedyś postacie, ale to już inny świat, od dawna zamieszkały przez innych ludzi.

□ Romuald B. – „Bochen”.

Przyszedł do naszej klasy w 1963 lub 64 roku i wytrwał do końca podstawówki. Przeprowadził się z Hrubieszowa, gdyż jego ojciec był wojskowym i został przeniesiony służbowo właśnie do Krakowa. Mieszkał na ulicy Pawlikowskiego, naprzeciw Zbyszka K., innego kolegi z klasy i z tej pewnie okazji przyjaźnili się. Był raczej przeciętnym uczniem, dość ostro „trzymanym” przez ojca i z tego względu raczej rzadko udzielał się po lekcjach. Zbliżyłem się do niego po zakończeniu podstawówki, kiedy ze dwa lata graliśmy razem w piłkę ręczną w drużynie młodzików sekcji WKS Wawel, a naszym trenerem był wówczas mgr Julian Adamski, sympatyczny nauczyciel WF ze szkoły podstawowej nr 94. On, wysoki dryblas, dobrze rzucał z drugiej linii, a ja byłem niewielkim, ale niezwykle ruchliwym i świetnie wyszkolonym technicznie rozgrywającym i nieraz nagrywałem mu piłkę do rzutu zza koła. Później spotykałem go wielokrotnie, bo mieszkał blisko mnie, na osiedlu Piaski Nowe, ale już dość dawno przestałem go widywać.

□ Marian B. – „Koń”?

Przyszedł w te strony przed połową lat 60-tych, a do naszej klasy trafił w 1965 roku z racji repetowania i wytrwał z nami ze dwa lata, kiedy chyba znowu nie przeszedł do następnej klasy. Był wyrosnięty, ale nie chuliganił, nawet się z nim przejściowo zaprzyjaźniłem. Jego rodzice, prości ludzie z kilkorgiem dzieci, niezbyt interesowali się postępami syna w nauce, a ten nie mając odpowiedniej motywacji, a może i zdolności, wybierał uciechy dnia codziennego i uczył się, że pożał się Boże. Mieszkał na parterze kamienicy przy ulicy Loretańskiej 5 i często przesiadywał w oknie swego mieszkania. Jego rodzina była bardzo pobożna i przykładnie chodziła do pobliskiego kościoła Kapucynów; on sam raczej nie za często. Po wymęczeniu podstawówki został hydraulikiem i przestałem go widywać. Po latach poznałem Andrzeja Basistę, jego kuzyna i ta ostatnia informacja pochodziła właśnie od niego, bo ja go już więcej razy nie spotkałem. Niedawno na Bagrach przypadkowo poznałem jego starszą siostrę i wiem, że mieszka on w Podgórzu.

□ Jerzy Ch.

Tę postać przypomniałem sobie niedawno, wycytując gdzieś takie nazwisko. Chodził z nami gdzieś do drugiej, a może do trzeciej klasy. Był to korpulentny, dobrze zbudowany chłopak, posiadający zadziorny charakter. Nieraz uczestniczył w klasowych bójkach i pewnie dlatego został przeniesiony do klasy B, z którą chyba skończył podstawówkę. Był kiepskim uczniem, z trudem przepychanym z klasy do klasy. Mieszkał na ulicy Karmelickiej, gdzieś w okolicy numerów 40-42. Potem nieraz go widywałem, wszak był kolegą Marka Pstrósia, mego kolegi z Technikum Energetycznego i stąd wiem, że pociągu do dalszej nauki nie miał.

□ Marek C. – „Cyc”.

Jego rodzice nie udzielali się w życiu szkolnym i tylko jego matka z rzadka pojawiała się pod szkołą. Mieszkał na pierwszym piętrze narożnej kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 10 (róg z Loretańską 10), usytuowanej w bliskości muru ogrodu Kapucynów. Jego ojciec, z zawodu chyba nauczyciel fizyki i matematyki, człowiek trochę mrukowaty, starał się trzymać go krótko, ale z racji swoich obowiązków zawodowych późno przychodził do domu, podobnie jak i jego niemniej zapracowana, choć bardziej liberalna matka i z tego względu zawsze miał dużo wolnego czasu, który wykorzystywał przyjaźniąc się początkowo z Bogdanem B., a później Piotrkim K.. „Kanior” posiadał swoistą charyzmę i wokół niego zawsze gromadziła się grupa chłopaków, których był „przywódcą duchowym”. Również i ja w latach 1966-67 należałem do tej „paki”, mając wtedy okazję dobrze poznać „Cyc”.

Chętnie przylgnął to grupki „Kaniora”, bo tu zawsze było wesoło, gdyż jej guru imponował niekonwencjonalnymi pomysłami, które sprowadzały się głównie do niegroźnego psocenia, przy czym nieraz było trochę strachu, a potem i śmiechu. Oprócz drobnych minusów były też i duże plusy z przynależenia do tej grupy, jak choćby regularne chodzenie w piątki po muzeach i wystawach, gdyż był to dzień bezpłatny czy chodzenie do domów kultury na różnego rodzaju prelekcje, filmy czy pokazy, głównie w czasie szkolnych ferii.

Marek był chłopakiem niezwykle zdolnym, zwłaszcza w dziedzinie matematyczno-fizycznej, gdyż w tym kierunku intensywnie edukował go ojciec. Gdy miał on wolny czas, co zdarzało się rzadko, zabierał swego syna na spacer po Błoniach i tam udzielał mu dydaktycznych wykładów, co najwyraźniej skutkowało szybkim jego postępowaniem w nauce. Ale przy okazji spacerów para ta nieraz spotykała tam rozbrykaną grupę K. i wtedy biedny „Cyc” stawał się obiektem żartów, ale znosił je cierpliwie i bez urazu. No cóż, wyraźnie bał się ojca i musiał go słuchać. Nie przykładał się nadmiernie do nauki, a mimo to był dobrym uczniem, osiągając poziom ocen podobny do mojego. Przeżyliśmy w tej grupie mnóstwo śmiesznych bądź mrożących krew w żyłach sytuacji i było w niej naprawdę wesoło. „Cyc” skończył chyba fizykę na UJ i przynajmniej jeszcze do niedawna mieszkał na swoim dawnym miejscu. Incydentalnie spotykaliśmy się w mieście i wtedy zawsze znajdowaliśmy chwilę, by z sentymentem porozmawiać od dawnych czasach.



□ Zbigniew Cz. – „Czaja”.

Och był to istny wulkan, który w szkole zawsze sprawiał ogromne problemy wychowawcze i nie było na niego siły. Chodził z nami początkowo gdzieś do trzeciej klasy, a później, po konfliktach z Markiem D., innym „cholerykiem”, został przeniesiony do klasy B, by powrócić do nas w klasie piątej, gdzie nadział się na słynną „heterę”, panią Dziewońską i chyba repetował, a potem uczył się już „piętro” niżej. A co ciekawe, rodziców miał przeporzadnych i nadzwyczaj spokojnych. Miał sporo starszego brata, też niezwykle żywego chłopaka, który był mistrzem Polski juniorów w szabli, a potem w kwiecie wieku, mając zaledwie 23 lata, nagle i niespodziewanie odszedł z tego świata oraz starszą siostrę, prawniczkę, zamężną. Wszyscy razem mieszkali w dużym apartamencie z balkonem, na pierwszym piętrze narożnej kamienicy przy ulicy Krupniczej 12, róg z Loretańską 2, nad sklepem mięsnym.

Jego ojciec – Zygfryd, miał potem zakład krawiecki na ulicy Czarnowiejskiej 11 i zawsze przykładnie, pod rękę ze swoją żoną spacerowali na trasie z domu do warsztatu, który funkcjonował jeszcze pod koniec lat 70., sprawiając wrażenie bardzo szanującej się pary. Jego matka była bardzo sympatyczną i kulturalną osobą, która czasem udzielała się w klasie, ale nie była w stanie okiełzać temperamentu syna, który zawsze Ignął do bójek i rozrób i nikt w klasie, poza Markiem D., wielkim dryblasem, wolał nie wchodzić mu w drogę. Jeszcze w podstawówce próbował sił na ringu bokserskim, ale ponoć oberwał tam solidnie i przeszła mu ochota do boksu. Po mojej wyprowadzce z Piasku przestałem go widywać. Niedługo, może w okolicy 1975 roku, zmarł jego ojciec i „Zakład Krawiecki – Zygfryd Czajkowski” znikł z krajobrazu tej części Krakowa. Jak ostatnio dowiedziałem się od Marka Pstrósia, który przez wiele lat się z nim przyjaźnił, że „Czaja” miał sklep spożywczy na ulicy Helclów, lecz po dłuższych dolegliwościach sercowych zmarł gdzieś w 2006 roku, pozostawiając po sobie dwie urocze córki.

Marek Cz.

Chodził do naszej klasy krótko, może w szóstej i siódmej klasie. Nie pamiętam już skąd przyjechał, chyba gdzieś z kieleckiego i dokąd się wyprowadził. Mieszkał nad barem Górnik przy ulicy Czystej 1, róg z Dolnych Młynów 2, na pierwszym piętrze w dużym, trzypokojowym mieszkaniu z balkonem Był chłopakiem skromnej postury, jeszcze chudszy ode mnie, niezwykle ugodowym i miłym. Jego matka była bodaj pielęgniarką. Jak szybko przyjechał, tak niespodziewanie znikł.

Marek D. – „Domlizał”.

Był moim kolegą szkolnym gdzieś do czwartej klasy, po czym repetował i wylądował w niższej klasie. Nie miał ojca, a jego matka była z zawodu pielęgniarką i w związku z pracą zawodową nie zawsze miała czas dla syna, którego wychowywała ulica. Mieszkał na ulicy Świerczewskiego bodaj 9. Od dziecka był wyrośniętym dryblasem, znacznie ponad normę i jego osoba zawsze wzbudzała powszechny respekt. Lepiej było mu nie wchodzić w drogę, bo „rozbijaka” był z niego nie lada i nie stronił od bójek, w których zawsze był górą. Kompletnie się nie uczył, ale jakoś dzięki błaganiom matki przepychano go z klasy do klasy, więc z poślizgiem, ale jednak skończył podstawówkę, może też i dlatego, że sami nauczyciele chcieli się go jak najszybciej pozbyć.

Przyjaźnił się ze Zbyszkiem Cz., nawet przez jakiś czas razem uprawiali boks. W pierwszych klasach dziwna to była przyjaźń, bo każdy z nich chciał udowodnić swoją wyższość fizyczną i w związku z tym często dochodziło między nimi do ostrych bójek. Efekt był taki, że chyba w trzeciej klasie zostali oni rozdzieleni do innych klas, choć nadal byli postrachem nauczycieli.

„Domlizał” nie chciał słuchać matki, porządnej i spokojnej kobiety, która często w obecności wychowawczynie ubolewała nad jego zachowaniem. Sama była dla niego za miękka, wszak on był jej oczkiem w głowie. Wyrósł na wysokiego i przystojnego dryblasę, ale jak słyszę miewał potem jakieś problemy z prawem.

Roman D. – „Drzazga”

Przyszedł do nas gdzieś w czwartej klasie. Jego matka, potężna kobieta, była albo wdową, albo rozwódką. Miał jeszcze młodszą siostrę. Mieszkał na ulicy Dolnych Młynów 7 w dużej, przedwojennej kamienicy. Był wysoki i mało ruchawy i w związku z tym rzadko udzielał się sportowo. Nie był geniuszem i po jakichś dwóch latach wspólnej nauki nie przeszedł do następnej klasy, a szkołę ukończył z niższą klasą. Przez jakiś czas przyjaźnił się z rozrabiaką K. z ulicy Krupniczej.

Jacek D. – „Dycek”.

Ciężko mi o nim pisać, bo wcześniej i niespodziewanie odszedł z tego świata. Jego życie było krótkie, bo trwało niespełna 30 lat (zmarł w roku 1980), ale za to niespotykane intensywne i ekspresyjne. Był moim sąsiadem z naprzeciwka, bowiem mieszkał na parterze kamienicy pod numerem 11. Uczył się nad wyraz marnie. W naszej klasie jako repetent (rocznik 1952) przebywał tylko przez rok, chyba w siódmej klasie, po czym ponownie „kiblował”.

Bez cienia przesady był geniuszem sportowym, chłopakiem o niewyobrażalnym talencie we wszystkich niemal dyscyplinach sportowych: od piłki nożnej i ręcznej, poprzez lekkoatletykę, po hokej, łyżwiarstwo szybkie i nawet figurowe. Potrafił nawet znakomicie skakać na nartach, co czynił na prowizorycznej skoczni pod Kopcem. Nie miał za grosz tremy, wszędzie się wepchał, ale kariery sportowej nie zrobił, bo wszystko robił jakby dla kaprysu, z potrzeby chwilowego zabłyśnięcia i zaimponowania innym. Brakowało mu wytrwałości i konsekwencji w dążeniu do celu, pewnie też dlatego, że wszystko mu tak łatwo przychodziło, a nowe zawsze bawiło go bardziej niż stare.

Przez rok, gdy uczęszczał do naszej klasy, byliśmy szkolną potęgą sportową i w piłkę nożną biliśmy na głowę wszystkie inne klasy, nawet te starsze. Był zdolny, ale kompletnie nie chciało mu się uczyć. Odnosiło się wrażenie jakby te igraszki z nauczycielami i rodzicami sprawiały mu przyjemność, bo wtedy więcej się o nim mówiło, a on lubił być w centrum zainteresowania i to obojętnie w jakim to było kontekście. Pochodził z dobrej, dość zamożnej rodziny. Matka, raczej głowa domu, pracowała jako choreograf w jakimś zespole tanecznym i była wiecznie zajęta, ojciec zaś, skrzydłowy Cracovii z lat powojennych, też wydawał się być nazbyt zapracowanym. Miał trzy starsze siostry, które razem z rodzicami tak mocno go rozpieszczały, że od dziecka mógł sobie pozwolić na kapryśnienie i swawolenie.

Po wymordowaniu podstawówki raczej nie podjął już dalszej nauki, a tylko chuliganił ze starszym towarzystwem szkolnym z okolic ulic: Garncarskiej i Cybulskiego, robiąc zadymy na meczach piłkarskich i dyskotekach. On był przywódcą duchowym, a od bójek byli jego starsi kompani, tacy jakby „żołnierze”, jak choćby Andrzej Krzyżanowski - „Krzyżak”. Niestety wkrótce przytrafiła mu się straszna choroba – rak płuc, z którą przegrał po kilkuletniej walce. Widziałem go jeszcze w lecie 1975 roku na basenie Cracovii, gdy na jego klatce piersiowej widniały odcisnięte dwie klatki, ślady po radioterapii. Jego śmierć była szokiem dla całej okolicy. Żył krótko, ale jakże wiele przeżył, choć i tak o wiele za mało.

□ Ryszard F. – „Felo”.

Chodził ze mną od początku szkolnej nauki gdzieś do trzeciej lub czwartej klasy, a potem wraz z matką, chyba wdową i starszą siostrą przeprowadził się do nowobudowanych, kwaterunkowych „slumsów” na Azorach. Podobnie jak ja był półsierotą. Mieszkał w suterenie w kamienicy na rogu ulic: Garncarskiej (Garncarska 2) i Krupniczej 30. Do swego mieszkania, pewnie jednej izby, często wchodził przez okno, wprost z ulicy Garncarskiej, wszak znajdowało się ono poniżej poziomu chodnika. W jego ciasnym mieszkaniu nie zabrakło miejsca dla dwóch psów.

Jego rodzina żyła biednie, pewnie z jakiejś renty po ojcu, a jego matka pewnie dorabiała podobnie jak moja: jakimś praniem, może sprzątniem. Często jednak miała sporo czasu, gdyż przychodziła pod szkołę po syna i regularnie chodziła razem z klasą na różne wycieczki szkolne. Charakter miała podobny do słynnej Kopciowej: z zasady pewna siebie, a w razie potrzeby potrafiła być pyskata i przebojowa; śmiało można by rzec, że była typową „proletariuszką” tych czasów.

„Felo” wychowywał się na ulicy, wszak urzędował przez cały dzień na skwerku - placu Hanki Sawickiej, uganiając za piłką, grając w „zośkę” i rozrabiając, ale jak trzeba było matka zawsze stawała w jego obronie. Jak w tej sytuacji miał się dobrze uczyć? Dzięki wstawiennictwu matki przepychano go jakoś z klasy do klasy. Po przeprowadzce cała rodzina znikła z pola widzenia, a trzeba przyznać, że były to wyjątkowo barwne i charakterystyczne postacie, jakże typowe dla czasów powojennego przeludnienia. Niedawno Rysiek odnalazł się na Naszej Klasie.



Antoni (Tolek) F. – „Filip”.

Ten wyrośnięty repetent i dryblas chodził z nami krótko, może przez siódmą klasę. Jego rodzice sprawiali wrażenie podejrzanie bogatych, wszak jego otyły ojciec jeździł nawet Mercedesem, który w tych czasach synonimem bogactwa. „Filip” miał młodszego brata – Ryśka, z kolei bardzo ułożonego chłopaka, a cała rodzina mieszkała w kamienicy przy ulicy Krupniczej 32. Filip kompletnie nie chciał się uczyć i lekceważył szkołę. Wkrótce znów „siedział” i nie wiem czy ukończył nawet podstawówkę. Potem był znanym „przedsiębiorcą” pod PEWEX-em i widać było, że dobrze dawał sobie radę w życiu. Jego imię przypomniał mi niedawno Tosiek Tylek, dziś Tony Tyler, który na stałe wyemigrował do USA (nawiązałem z nim przesympatyczny kontakt przez FB).

Marek G.

Chodził z nami gdzieś od szóstej klasy jako podwójny repetent, raczej ze względów zdrowotnych. Zaczynał edukację razem z moim bratem, dwa lata przede mną, ale o dziwo nauka mu jakoś nie szła, choć był inteligentnym chłopakiem, rodzajem samotnika – myśliciela. Mieszkał w nowej kamienicy przy ul. Garncarskiej 7, róg Cybulskiego i był podobnie jak ja półsierotą, wszak ojciec chyba mu zmarł. Sądząc po zachowaniu i wyglądzie jego matka była wykształconą kobietą, ale pracowała całymi dniami i nie miała zbyt dużo czasu dla syna, który na szczęście dla niej był bardzo spokojnym chłopakiem, chociaż niezbyt skorym ani do nauki, ani do sportu, stąd nie miał zbyt wielu kolegów. Podstawówkę ukończył razem ze mną.

□ Leszek Grabowski – „Leo”.

Ten przydomek, zresztą sympatyczny, przylepił mi „Kanior” - Piotrek K.. W szkolnym dzienniku zawsze mieściłem się między numerami: 7, a 10. Byłem chłopakiem wyjątkowo cichym i nieśmiałym, zwłaszcza w pierwszych sześciu klasach i pani Rynduchowa zawsze rozplýwała się nad moim przykładnym zachowaniem. Diabeł wstępował we mnie, gdy zaczynały się rozgrywki sportowe, bo tu zawsze chciałem być najlepszy, perfekcyjny i zapominałem o swojej nieśmiałości. Pokrzykiwałem wtedy na wszystkich i nawet wychowawczyni spoglądała wtedy na mnie ze zdziwieniem. Później nie byłem już taki grzeczny i potrafiłem czasem dokuczyć, zwłaszcza biednemu „Wujowi” czy często pokrzykującej Wohnowej, bo takie wzorce zachowania były wtedy preferowane wśród krnąbrnej młodzieży, z którą obcowałem na co dzień, ale nigdy nie przekraczałem pewnych granic.

W klasie przyjaźniłem się z wieloma kolegami, najserdeczniej: z „Grubym” – Bogdanem B. i z „Księżycem” – Piotrkiem K., do momentu jego przeprowadzki na Olszę, a okresami bardzo blisko z: „Kaniorem” - Piotrkiem K., „Siasiem” – Staszkiem P., „Waniołką” – Andrzejem W. i „Zubem” – Józkiem Z.; incydentalnie miałem bliższe kontakty z: „Cycem” – Markiem C., Kazkiem W., Piotrkiem Ś., Markiem S. - „Sójką”, Bogdanem K. - „Kubą” czy Januszem M.

Nie przykładałem się specjalnie do nauki, więc na świadectwie zawsze trafiało się ze cztery, pięć czwórek i tylko w piątej klasie, pewnie dzięki wstawiennictwu pani Dziewońskiej, miałem „z góry na dół bdb”. Wyjątkami zawsze były: geografia, biologia i o dziwo rosyjski, z których to przedmiotów zawsze miałem piątki. Wolałem tracić czas na mój ukochany sport i często zamiast wracać do domu i odrabiać lekcje zakorzeniałem się na skwerku i grałem w „piłkę” do upadłego, nieraz ku złości mamy, której już dawno zdążył wystygnać obiad. Czasem zamiast „na angielski”, którego przez cztery lata uczyłem się u pana Matusiaka – „Dziadka”, emerytowanego, przedwojennego nauczyciela, wybierałem przyjemność i grę na skwerku, a potem delikatnie okłamywałem mamę. Tak naprawdę do jego nauki przykładałem się tylko przez pierwsze dwa lat, a potem była to już tylko strata pieniędzy i czasu, wszak szybko rosły zaległości, których nie chciało mi się nadrabiać. Nasz nauczyciel, w sumie kiepski lingwista, który mieszkał w takiej ruderalnej oficynie kamienicy z ulicy Czarnowiejskiej 1, za swoje usługi lingwistyczne pobierał 60 zł/miesiąc. Nie zmienia to jednak faktu, że z tych lekcji coś mi zostało, choć nie za wiele i przydało się potem na studiach, choć gdybym był wtedy mądrzejszy życiowo z pewnością mogłem nauczyć się dużo więcej. Razem ze mną chodzili tam: Andrzej W., Tadek T. i ci najbardziej przykładali się do nauki oraz: Zenek. T., Bogdan W. i Zbyszek B..

Po ukończeniu podstawówki, choć nie byłem w nauce szczególnym orłem, nie miałem większych problemów z dostaniem się do Technikum Energetycznego, znanej i cenionej wówczas w Krakowie szkoły średniej i z tego faktu przez całe wakacje czułem się dumny. Z racji wysokiego poziomu nauczania i renomy była ona powszechnie nazywana Akademią Loretańską. Nie ukrywam, że wyrazy zazdrości widziałem zwłaszcza u Jacka Gędkła, kolegi z podwórka.

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Leszek Grabowski
(imię i nazwisko)

urodzon 4 dnia 3 grudnia 1953 r.
w Krakowie powiat

uczeszczał w roku szkolnym 1964/65 do klasy piątej (słownie)
Szkoły Podstawowej Nr 6

im. Jana Kochanowskiego
w Krakowie powiat

i uchwałą Rady Pedagogicznej otrzymał promocję
do klasy szóstej (słownie)

Kraków dnia 11 czerwca 1965 r.

Nr 11

KIEROWNIK SZKOŁY
(pieczęć)

1000 PŁK

Symbol Min. Ośw. II.1/2 PW-HDA Poznań. Zam. nr 201/P2
SZ 0200F 263 12 T 05 4.161.000+10+10 A5 D. D. Sat. kl. III 30 g

Dok. nr 2. Moje świadectwo z klasy piątej (rok 1964-65) z podpisem dyrektora Fidelusa.

Tak na marginesie muszę dodać, że egzamin z polskiego zdawałem u samej dr Cecylii Szarzyńskiej, która „ciąła” wszystkich równo, a mnie poszło całkiem dobrze. Ciągotki do tego przedmiotu, do którego zawsze czułem sentyment, miałem potem przez cały okres nauki w tej szkole. Pod wpływem jej unikalnej osobowości zacząłem wkrótce pisywać i to bez zapamiętania, różnego rodzaju poezję: liryki, sonety, a zwłaszcza satyry, w których objawiał się mój cięty i dowcipny język.

Leszek Grabowski
(imię i nazwisko)

otrzymał w klasie *piątej* następujące oceny roczne:
(słownie)

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
język polski	<i>bardzo dobry</i>
język rosyjski	<i>bardzo dobry</i>
historia	<i>bardzo dobry</i>
wychowanie obywatelskie	
wiedomości o przyrodzie	
biologia	<i>bardzo dobry</i>
geografia	<i>bardzo dobry</i>
matematyka	<i>bardzo dobry</i>
fizyka	
chemia	
zajęcia praktyczno-techniczne	<i>bardzo dobry</i>
wychowanie plastyczne	<i>bardzo dobry</i>
wychowanie muzyczne	<i>bardzo dobry</i>
wychowanie fizyczne	<i>bardzo dobry</i>

Opuścił w roku szkolnym *23* dni nauki,
w tym nie usprawiedliwiono *-*

WYCHOWAWCA KLASY
Helena Dziewońska

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Dok. nr 2a. Moje świadectwo z klasy piątej (rok 1964-65) – druga strona, z podpisem Heleny Dziewońskiej, piły nad piły.

Czasy „podstawówki” wspominam jako wyjątkowo miły okres w moim życiu, bo miałem wtedy mnóstwo ciekawych zajęć, fajnych kolegów i nigdy nie przemęczałem się nauką, choć wyniki miałem lepiej niż przyzwoite. Może dlatego tak nostalgicznie wracam do tych czasów, niełatwych dla mnie życiowo, ale jakże bez trosk i szczęśliwych.



□ Zbigniew H. – „Haj”

Miał dwójkę braci: Leszka i Bogdana (on sam był pośrodku) i mieszkał na ulicy Pawlikowskiego tam, gdzie K. i B.. Chodził ze mną przez całą „podstawówkę”, ale nie był nazbyt lubianym chłopakiem, bo z nikim nie utrzymywał bliższych stosunków. Z postury był niezwykle masywny, może z braku wystarczającej ilości ruchu, wszak był chowany w domu na wojskowy sposób z pełnymi wymogami posłuszeństwa, a wynikało to z faktu, że jego ojciec był jakimś oficerem WP i wyznawał zasadę, że najlepszym sposobem na dobre wychowywanie synów jest trzymanie ich w domu, pod stałym nadzorem matki. Moje spostrzeżenia w pełni potwierdził ostatnio Zbyszek Targosz, który chodził do klasy z najstarszym z braci. To co opowiedział o strachu jego brata przed karą, gdy po jakiejś drobnej rozróbce w szkole nauczyciel chciał wezwać jego ojca, po prostu poraziło, ale nie będę się bawił w szczegóły.

Jego matka, blondyna stylizowana jakby na styl niemiecki, nie pracowała i prowadziła dom, ale jak się wydaje i ona musiała poddawać się dyktatowi męża, który na forum szkoły nigdy nie ujawnił swojego wizerunku. Zbyszek wymawiał nosowe „r” i może ten fakt, dodatkowo w połączeniu z nazwiskiem o niemieckim brzmieniu sprawił, że gdzieś od siódmej klasy przylgnęło do niego niezbyt elegancko przezwisko: „Haj”, pewnie od niemieckiego słowa „heil”, co wywoływało u niego, pewnie i słusznie, wybuchy wściekłości, ale to jeszcze bardziej niektórych z nas rozbawiało. Uczył się dobrze, ale tylko dobrze, zważywszy na styl jego życia i ogromną ilość wolnego czasu spędzanego w domowym zaciszu. Po ukończeniu podstawówki już nigdy go nie spotkałem. Ostatnio przez jakiś czas był aktywny się na Naszej Klasie. Chyba mieszka poza Krakowem.

□ Waclaw H.

Podobnie jak G. i P. zaczynał edukację z moim bratem, ale wyraźnie nie miał daru do nauki. Ten niewielki „chudzielec” przyszedł do naszej klasy jako repitent chyba w siódmej klasie i jakoś razem z nami „wymordował” podstawówkę. Mieszkał na terenie AGH w jakiejś służbówce, bo jego rodzice tam stróżowali, razem z młodszym o trzy lata bratem, który o dziwo uczył się bardzo dobrze. Był sympatycznym i usportowionym chłopakiem, stąd jego przyjście wzmocniło naszą klasową drużynę piłkarską.

□ Marek J.

Ten niewielki chłopak, mieszkający na ulicy Rajskiej 6, niedaleko kościoła Karmelitów, był synem kapitana Milicji Drogowej. Jego matka, elegancka i urokliwa kobieta, nie pracowała i zajmowała się wychowywaniem dzieci, wszak Marek miał jeszcze młodszą siostrę, która wyrosła na piękną dziewczynę, a w wychowywaniu dzieci dodatkowo pomagała jej teściowa. Marek uczył się przeciętnie, ale był wielkim marzycielem i lubił wyprawy w tajemnicze miejsca wokół Krakowa, gdzie zaczynała działać jego wyobraźnia. Czytywał książki przygodowe Alfreda Szklarskiego (różne „Tomki”), co czasami oddalało go od ziemskich spraw. Przyjaźnił się głównie ze Józkiem Z., do którego i mnie w pewnych okresach też było blisko, a potem też ze „Spytkiem” K. i stąd nieraz zdarzało się nam wspólnie wypuszczać na różne tajemnicze wyprawy, np.: penetrowanie ruin fortu na Kopcu Kościuszki czy lustrowanie podziemi willi Hansa Franka w Przegorzałach. Mimo, że powodziło mu się dobrze był fajnym kolegą i nigdy nie nosił głowy za wysoko. Jego rodzice byli bardzo towarzyscy i przystępni, szczególnie matka, choć ojciec też sporadycznie wygłaszał jakieś pogadanki o zasadach ruchu drogowego i robił to w sposób bardzo luzacki i przystępny. Potem widywałem go sporadycznie, ale po wyprowadzce gdzieś do Huty zniknął mi z pola widzenia.



□ Piotr K. – „Kanior”

Był jednym z najbardziej oryginalnych chłopaków w naszej klasie, z którym przyjaźniłem się najpierw na początku edukacji, a potem ze dwa lata pod koniec szkoły, zwłaszcza w szóstej i siódmej klasie. Mieszkał w nowej przybudówce (na trzecim piętrze) do narożnej kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 29, róg z Garncarską 8, gdzie wprowadził się w 1960 roku, więc tuż przed rozpoczęciem szkoły, w dwóch pokojach z kuchnią, razem z rodzicami i ze trzy lata młodszą siostrą Kaśką. Jego ojciec, niezwykle miły i zapracowany człowiek, był nauczycielem akademickim WF na AGH i w czasie, kiedy ja uczęszczałem na tę uczelnię pełnił funkcję kierownika studium WF, które mieściło się w charakterystycznym budynku przy ulicy Reymonta 7, naprzeciw nowopowstałych budynków UJ.

Jego ojciec był totalnym luzakiem, podobnie jak i matka, może okresowo nigdzie niepracująca, a oboje nie interesowali się zbytnio postęпами syna w nauce ani jego pozadomowymi zajęciami. „Kanior” nigdy nie był orłem w nauce, po prostu nie miał na to czasu, był natomiast bardzo usportowionym chłopakiem. Ponieważ jego ojciec miał na studium wiele obowiązków służbowych i sporo roboty papierkowej, nieraz zmuszony był chodzić do pracy w niedzielę i wtedy zabierał nas tam ze sobą. Tu mieliśmy pełną swobodę: otwierał nam salę gimnastyczną, dawał piłki, a my mogliśmy się tam wyszaleć do woli.

„Kanior” miał w sobie cechy przywódcze i garnęły się do niego całe zastępy klasowych kolegów, wszak był chłopakiem z „jajem”, o dużym poczuciu humoru i szelmowskiej żyłce; przy nim nikt nie miał prawa się nudzić. Miał za sprawą zawodu ojca dostęp do piłek i zawsze razem organizowaliśmy „kopaninę” na Błoniach. W lecie dużo jeździliśmy na rowerze, poznając najdalsze zakątki Krakowa, z Tyńcem i Skałą Kmity. Lubił plątać ludziom psikusa i tu jego inwencja była niewyczerpana. W większości było to drobne śmieszności, w sumie mało dolegliwe dla pokrzywdzonych, że wspomnę tylko o obsikiwaniu po nogach studentek z UJ, ale tylko wodą z cytrynki czy rzucaniu w ich kierunku prochu wydłubanego z naboju do korkowca, tzw. „korka”, który wybuchając pod nogami wywoływał ich przerażenie i kwik, choć czasem delikatnie uszkodził też pończochę. Najczęściej działo się to na Plantach w pobliżu Collegium Novum, a potem, już po udanej operacji, wśród rehotu dawaliśmy dyla w ulicę Gołębia, bo obaj byliśmy wysportowani biegowo. A czymże innym, jak nie drobną tylko łobuzerią było rozbijanie zepsutych świetlówek na śmietniku koło hali Wisły, tak dla zwykłego huk i dla jaj.



?

W zimie z kolei regularnie chodziliśmy pod Kopiec na narty i sanki, zwłaszcza w czasie ostrych zim w latach 1965/66 i 1966/67, kiedy z powodu mrozów zamykano szkoły, a nam to jakoś nie przeszkadzało. Podczas ferii zaciągał nas, „swoją pakę”, do domów kultury: Pod Baranami i na ulicę Reymonta, gdzie było mnóstwo ciekawych prelekcji i filmów. Ale to co najwięcej mu zawdzięczam to jego ciąg do muzeów i galerii krakowskich, gdzie w każdy piątek wstęp był wolny. On tam chodził dla „jaj”, coś narozrabiać, komuś dokuczyć, a we mnie już wtedy zaczęło kiełkować zainteresowanie sztuką i dziejami Krakowa. Jajcarz był z niego nie lada, a chwile wspólnie z nim spędzone: na psotach, podchodach i skutecznych ucieczkach, trudno zapomnieć.

Oprócz mnie przyjaźnił się głównie: z „Cycem” (Markiem C.), „Syrym” (Heńkiem S.) i jego bratem Ryśkiem oraz okresowo z Bogdanem K., Markiem Sz. i „Sójką” (Markiem S.), a wcześniej także z „Jajkiem” - Bogdanem B..

□ Czesław K. – „Cesiek”

Chodził z nami od początku edukacji gdzieś do końca 5-tej klasy, w której to klasie kiblował. Był to korpulentny chłopak, niskiego wzrostu, któremu nauka nijak nie chciała wchodzić do głowy, chociaż był pod ciągłym dozorem matki, pulchniutkiej kobiety, która nie pracowała, a jedynie poświęcała czas na wychowanie dzieci: Ceśka i o dwa lata młodszego syna, też nie orła. Jego ojciec był jakimś rzemieślnikiem, który całymi dniami tyrał na utrzymanie domu. Mieszkali na ulicy Karmelickiej 40 lub 42, gdzieś w okolicy późniejszej „kawiarni” Centuś.



Pani Karniowa

Matka nie odstępowała swoich dzieci ani na krok i aktywnie uczestniczyła we wszelkiego rodzaju wycieczkach klasowych. Dzięki takiej aktywnej postawie pani Rynduchowa nie robiła mu kłopotu z przejściem do następnych klas, choć poziom jego wiedzy był mizerniutki. Cesiek nie utrzymywał bliższych stosunków koleżeńskich, bo był izolowany przez matkę, a ponadto był totalnym antytalentem sportowym. W piątej klasie wiodło mu już znacznie gorzej i nie pomogły lamenty i prośby matki. „Uziemiła” go bodaj Dziewońska z polskiego. Po skończeniu podstawówki został pewnie jakimś rzemieślnikiem, bo głowy do nauki nie miał za grosz.



□ Krzysztof K.

Podobnie jak Karnia chodził z nami gdzieś piątej czy szóstej klasy, a potem przeniósł się do Warszawy, gdzie mieszkali jego rodzice. Do tej pory opiekował się nim dziadek, kulturalny, starszy pan z laską, ale jego nadzór nie był nazbyt rygorystyczny, stąd Krzysiek często wałęsał się po lekcjach i nie przykładał się zbytnio do nauki, choć nie uczył się źle. Mieszkał na ulicy Karmelickiej, gdzieś niedaleko starego ratusza Garbar, chyba pod nr 8 lub 10 i był aktywnym chłopakiem, który chodził z całą klasą grywać w „piłę” na Błonia, ale większego talentu do piłki nie miał, a jedynie ambicje. Po przeprowadzce do rodziców już go więcej nie widziałem, a jego dobry i kochający dziadek chyba niebawem zmarł.



□ Tadeusz K.

„Kłobuchy”, jak ich tu powszechnie zwano, to cała legenda kwartału Piasku wydzielonego z ulic: Kochanowskiego, alei Mickiewicza, Karmelickiej i Grabowskiego. Mieszkali w kamienicy na rogu ulicy Kochanowskiego 25 i alei Mickiewicza. Matka Tadka, podwójnego repetenta, który wytrwał w naszej klasie ledwie ze dwa lata, może w czwartej i piątej klasie, prowadziła słynny „nocny interes” alkoholowy. Tadek miał jeszcze dwie starsze siostry, które „pomagały” matce i dwójkę młodszych braci: Zbyszka i Wieśka. „Starzy K.” byli charakterystycznymi postaciami w okolicy i wszyscy świetnie ich znali. Oboje byli niskiego wzrostu: on czerwony na twarzy i notorycznie podpity, ona z wielkim zezem, charakterystycznie kołysząca się na nogach. Z Tadkiem K. i jego braćmi nie łączyło mnie wiele, bo jedynie czasem kopaliśmy w piłkę na Błoniach. O wiele lepiej znał ich wszystkich Marek Pstrós - „Łysy”, mój późniejszy serdeczny przyjaciel. Była to jedna z najbarwniejszych i najbardziej charakterystycznych rodzin w okolicy, paradoksalnie bardzo z sobą zżyta, która na długo wrosła w scenerie tego fragmentu dawnej dzielnicy Piasek, gdzie była nawet darzona autentyczną sympatią.

□ Zbigniew K. – „Spycisław”, „Spytek”

Ze „Spytkiem” los złączył mnie zarówno w podstawówce jak i później, w szkole średniej, gdzie również chodziliśmy do tej samej klasy, podobnie zresztą jak z Józkiem Z. - „Zubem”. Przez lata podstawówki i szkoły średniej „Spytek” przyjaźnił się właśnie z „Zubem, Markiem J., Zenkiem T. - „Turem” oraz Romkiem B. - „Bochenem”, sąsiadem z ulicy. Mieszkał na końcu ulicy Pawlikowskiego, może pod nr 9 i pochodził z dość dobrze sytuowanej rodziny. Miał jeszcze młodszą ze dwa lata siostrę Krystynę, którą nazywaliśmy „Spytkówną”. Skąd się wziął ten Spytek już dokładnie nie pamiętam, ale miałem w tym przezwisku swój udział, jak i w wielu innych w naszej klasie. Był inteligentnym chłopakiem, choć nie przemęczał się nauką. Spędziliśmy razem obóz rowerowy w 1971 roku, już w Technikum Energetycznym. W podstawówce nie mieliśmy wiele kontaktu, bo Spytek w tym okresie stronił od sportu. Później w Technikum zajął się siatkówką i grał na tyle dobrze, że razem grywaliśmy w reprezentacji szkoły i wspólnie chodziliśmy na mecze. Potem, już chyba w trakcie pracy w biurze projektów, ukończył Wydział Elektryczny na AGH, przeniósł się do innej części Krakowa i kontakt między nami się urwał.

□ Henryk K. – „Kostek”

Przyszedł do nas gdzieś w 1965 roku jako repetent i dotrwał do końca nauki w 1968 roku. Mieszkał na ulicy Kochanowskiego, może pod 21, niedaleko nocnej „przystani” u K. Był niezwykle silnym chłopakiem, wspaniale umięśnionym, ale rzadko używał siły, bo miał łagodny charakter i nawet przez jakiś czas darzyliśmy się wzajemną sympatią. Pochodził z biednej, wielodzietnej rodziny i uczył się marnie, ale nie sprawiał nauczycielom większych kłopotów wychowawczych, choć aniołem na pewno nie był. Jego ojciec był chyba milicjantem.

□ Piotr K. – „Księżyc”

Więcej piszę o nim w części wspomnień dotyczących mojej kamienicy, w której do wiosny 1963 roku mieszkał z rodzicami i młodszą siostrą „Bobą”. Przez ten czas zdążyliśmy przeżyć wspólne, niepowtarzalne dla mnie wakacje u jego babki w Dobrej koło Limanowej, co miało miejsce w 1962 roku i nagrać się do woli w hali Sokoła w trampkarzach Cracovii, dokąd mnie i brata zaciągnął jego ojciec Ignacy, legendarny działacz tego klubu.

Ich przeprowadzka na nowopowstałe osiedle Olsza II była więc dla mnie wielką stratą, ale doprawdy trudno było im pozazdrościć spartańskich warunków w jakich mieszkali, nawet gorszych od moich. Wspaniałe, przyjacielskie stosunki, jakie zaczynały się tworzyć między nami, z czasem całkowicie zamarły. Piotrek był niezwykle wysportowanym chłopakiem: świetnie grał w szczypiorniaka, wszak wyrósł na wielkiego dryblasa, nie gorzej w piłkę nożną, choć mimo mocnej pozycji ojca w klubie kariery tam nie zrobił.

Jego rodziców do dziś wspominam z najwyższym sentymentem i szacunkiem, zwłaszcza jego matkę, wiecznie szyjąca chałupniczo na maszynie, gdyż byli sprawdzonymi przyjaciółmi mojej matki w trudnych dla niej czasach po śmierci ojca, kiedy od swojej rodziny nie zaznała krzty pomocy.



□ Kazimierz K.

Mieszkał w kamienicy z lat 50-tych przy ulicy Krupniczej 32, naprzeciw skwerku, chyba na trzecim piętrze. Miał dwóch starszych braci: średniego – Jacka, był rówieśnikiem mego brata i jeszcze o rok starszego Wieśka, choć ten był zwany w rodzinie Maćkiem. Przyszedł do nas z klasy B gdzieś w piątej klasie i dotrwał z nami do końca. Ten niski, lecz korpulentny chłopak nosił silne okulary i miał wyjątkowo wojowniczy charakter. Był czupurny i nieraz wdawał się w bójkę z silniejszymi chłopakami, w których czasem dobrze oberwał, z uszkodzeniem nosa i okularów włącznie, ale nigdy nie robiło to na nim wrażenia. Jaki był w życiu taki i w sporcie, gdzie też był bardzo ambitny i zadziorny; nie lubił przegrywać i nie mogąc pogodzić się z faulami czy porażkami nieraz skakał przeciwnikowi do oczu. Uczył się nieźle i przyjaźnił się z Bogdanem K., sąsiadem z I piętra, który miał równie zaczepny charakter i od którego nieraz dobrze oberwał, wszak najczęściej był to dla nich jedyny sposób wyjaśnienia spornych racji. Po skończeniu szkoły Kazek znikł mi z pola widzenia, podobnie jak jego brat Wiesiek, natomiast nadal często widywałem Jacka, który ponoć nadal tu mieszka. Ten ostatni przyjaźnił się z Mikołajem Korneckim, swoim kolegą szkolnym, bratankiem Mariana, powszechnie znanego historyka sztuki, specjalisty od budownictwa drewnianego. Mikołaj, z którym ostatnio nawiązałem intensywny kontakt, sam jest dziś znanym architektem i konserwatorem zabytków. Skończył Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej i do niedawna pełnił funkcję Przewodniczącego Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa.

□ Bogdan K. – „Kuba”

Mieszkał w kamienicy przy ulicy Krupniczej 32 w małym mieszkaniu (pokój ze ślepą kuchnią), wraz z rodzicami i sporo młodszą siostrą. Okno jego pokoju wychodziło na skwerek. Jego ojciec był starszym bileterem w kinie Młoda Gwardia, matka zaś, młoda blondynka, nie pracowała i zajmowała się dziećmi. W tej sytuacji nie powodziło się im najlepiej. Bogdan, z którym okresowo się przyjaźniłem, miał niełatwy charakter, bowiem wszystko usiłował tłumaczyć na pięści i z tego tytułu niezbyt do mnie pasował. Ja zawsze stroniłem od walk, do których byłem nazbyt chudy i za niski. W klasie nieraz dobrze narozrabiał i dobrze naprzykrzył się wielu nauczycielom. Gdy matka nie dawała sobie nim rady, a starała się go trzymać w miarę krótko, do akcji wkraczał ojciec, a ten miał wyjątkowo ciężką rękę i gruby pas, który budził w nim postrach. Uczył się przeciętnie, ale bez problemów przechodził z klasy do klasy. Marzyło mu się pójście do wojska na zawodowego oficera i tak się chyba stało. Widywałem go potem parę razy na osiedlu Krowodrza, gdzie chyba mieszkał.

□ Zbigniew L. – „Lany”

Oj niemały był to oryginał. Zaczynał z nami od pierwszej klasy, choć był dwa lata starszy. Był przybranym synem małżeństwa portierów z Technikum Chemicznego przy ulicy Krupniczej 42. Matka nie opuszczała go na krok, również na szkolnych wycieczkach, ale rozpieściła go ponad miarę i ten momentami traktował ją nader ostro i niesympatycznie. Matka bała się poskarżyć ojcu, bo ten miał z kolei gwałtowny charakter, a jej samej było żal Zbysia. Jak w tej sytuacji miał się dobrze uczyć?

Dzięki stałej obecności matki w szkole jakoś przemordował pierwsze cztery klasy, w czym była duża „zasługa” Rynduchowej, a potem zaczęły się już schody. Odpadł od nas chyba w piątej klasie, wszak nauka totalnie mu „zwisła”. W połowie lat 60-tych zaprzyjaźnił się z moim bratem, który nawet jeździł z nim na Mazury, do rodziny jego ojca. Często, razem z bratem i Bruzdami, z którymi też się przyjaźnił, chodziliśmy do niego z towarzyskimi wizytami, by na podwórku szkolnym Technikum Chemicznego w dni wolne od zajęć szkolnych pograć w „nogę”, kosza czy hokeja, wszak on sam też był bardzo usportowionym chłopakiem. Ja osobiście nigdy się z nim bliżej nie zaprzyjaźniłem, bo drażniły mnie jego momentami mało eleganckie, a czasem wręcz ordynarne odzywki pod adresem własnej matki, których nie byłem w stanie zrozumieć, gdy spoglądało się na bezgraniczne oddanie i poświęcenie tej jakże dobrotliwej kobiety.



Jego rodzice chyba rychło zmarli, może gdzieś na początku lat 70-tych. Potem świetnie radził sobie w życiu jako znany „waluciarz”, urzędując pod PEWEX-em na ulicy 18-Stycznia. Ostatnio przestałem go widywać.



□ Janusz M. – „Macał”

Ten szczupły i niewielki, rudawy chłopak przyszedł do nas gdzieś w czwartej klasie i chodził z nami do końca edukacji. Mieszkał na parterze kamienicy przy ulicy Ambrożego Grabowskiego 3, na i miał młodszego brata, bardzo do siebie podobnego. Jego matka raczej nie pracowała, bo często pojawiała się pod szkołą. Nie był orłem ani w nauce, ani w sporcie, ale miał dużo wolnego czasu i nieraz wypuszczał się z aktywną sportowo częścią klasy na Błonia, do Parku Jordana czy nawet na Kopiec, ale był za cichym marzycielem. Po latach, w 1981 roku, pobierałem u niego lekcje na kursie prawa jazdy, gdzie był instruktorem.

□ Zbigniew M. – „Metys”

Przyszedł w piątej klasie gdzieś ze Śląska. Nosił grube okulary i był trochę przygarbiony. Miał kościstą i niezbyt urokliwą twarz i może dlatego nazbyt często mu dokuczano, zdecydowanie niezasłużenie, choć znosił to z dużym spokojem. Po słynnym podstawianiu mu koślawego krzesła, co działo się na początku ósmej klasy i jego licznych upadkach na początku lekcji, do klasy przyszedł nawet jego ojciec i w obecności wychowawczynie prosił o litość dla syna, co poskutkowało. Był mądrym chłopakiem, który dał się lubić. Mieszkał na ulicy Krupniczej 9 i miał młodszego brata o bardzo podobnym wyglądzie. Obaj byli zresztą podobni do ojca, jak dwie krople wody.

□ Zbigniew M.

Był wychowywany tylko przez matkę, bo nie miał ojca. Mieszkał na ulicy Garncarskiej 8, na pierwszym piętrze kamienicy. Jego niezwykle kościsty wygląd i sposób poruszania się oraz mówienia, niczym panienka, sprawiły, że z czasem, jakże niesłusznie, został wykreowany na klasowego niezdarę, któremu co rusz dokuczano, na co nie była w stanie wpłynąć ani pani Dzięwońska, ani pani Wohn. Efekt był taki, że chyba siódmej klasie w przypiływie desperacji jego matka, do której był bardzo podobny, przeniosła go innej szkoły, chyba „czwórki”, a strata była to wielka, bo była ona przewodniczką turystyczną po Krakowie i kilkakrotnie zabierała klasę na zwiedzanie starego miasta, co zaowocowało we mnie wielkim zainteresowaniem się tym tematem i stało się początkiem trwającej do dzisiaj pasji, jaką było poznawanie historii Krakowa i dziejów jego sztuki.

Zbyszek, który niedawno odnalazł się na Naszej Klasie, jest informatykiem i mieszka dziś w Australii, ale na urlop powraca do Krakowa, więc może się jeszcze kiedyś spotkamy.



□ Janusz M.

Przyszedł do nas z klasy B, gdzieś w trzeciej klasie, za swoim sąsiadem Kazkiem W., z którym dzielił wielkie mieszkanie o wspólnym przedpokoju na ostatnim, trzecim piętrze kamienicy na rogu ulic: Podwale 4 i Świerczewskiego 1. Był jedynakiem, a jego ojciec był inteligentem, jakimś inżynierem, a matka pochodziła raczej z „niższej półki” i ten dystans między nimi dawało się wyraźnie wyczuwać. Jego ojciec zawsze przeceniał własną osobowość i w związku z tym nie był w klasie lubiany, choć po panu A. dobił się do stanowiska przewodniczącego komitetu rodzicielskiego.

Jego matka była przystępną osobą i nawet polubiła się z moją mamą, więc i ja przez jakiś czas bywałem w jego domu zabawiając się do woli, bo ciekawych zabawek było tu pod dostatkiem. Ponieważ jego mieszkanie było duże, więc na podłodze jednego z pokoiów rozkładaliśmy tory kolejowe z licznymi rozjazdami oraz budynkami stacyjnymi i zabawialiśmy się elektryczną kolejką wraz z dołączonymi do niej przeróżnymi wagonami, a taka zabawa zwykle trwała pół dnia. Była ona tym ciekawsza, że prędkość kolejki była regulowana, a i różnych rozjazdów też było tu pod dostatkiem. Janusz Ignął do mnie przez jakiś czas, bo byłem cichy i spokojny, ale bliższa przyjaźń jakoś nigdy się między nami nie nawiązała. Generalnie nie miał on w klasie przyjaciół, a dla mnie był on jakoś dziwnie odizolowany od świata, może jak przystało na wypieszczonego jedynaka. Dobrze grał w piłkę i z tego tytułu często spotykaliśmy się na boisku w Parku Jordana.

□ Marian M. – „Maryś”, „Maruś”.

Był czołowym przedstawicielem śmietanki klasowej, elity uczniów, która rzadko zadawała się z „pospółstwem”, a zawsze z sobą. Do tej ścisłej elity należeli jeszcze: Tomek S., Tadek T., Andrzej W., Piotrek Ś. czy Zbyszek Adamski. Był synem Jana M., znanego ginekologa, mocno starszawego już pana, który posiadał prywatny gabinet. Dr Jan M. „ordynował”, jak było napisane na tabliczce powieszanej przy wejściu do bramy, dwa razy w tygodniu, bodaj we wtorek i piątek, między godzinami „3 i 5”. Gabinet ten stanowił część ogromnego apartamentu mieszkalnego (cały parter po lewej stronie od wejścia), który mieścił się po lewej kamienicy przy ulicy Krupniczej 8, graniczącej z cukiernią Michałka.

Matka Marysia, młodsza ze dwadzieścia lat od jego ojca, w przeciwieństwie do swego męża, który wydawał się być normalnym, wielce kulturalnym człowiekiem, aczkolwiek wiecznie zajęтым i w związku z tym niepoświęcającym swym dzieciom nazbyt wiele czasu, była osobą napuszoną i zarozumiałą. Widać było, że pozycja „pani doktorowej” była spełnieniem jej aspiracji życiowych, więc z lubością dawała się adorować przesadnie ugrzecznionej wychowawczyni i rodzicom z uczniowskiej elity. Każde jej zachcianki odnośnie „Marysia” lub „Marusia”, bo tylko tak wolno było nazywać jej niepospolitego dzieciaka, musiały być rychło spełnione przez spolegliwą do bólu Rynduchową. Nas normalnych uczniów cały ten cyrk bardzo śmieszył, więc tych elitarnych krezusów zaczęliśmy nazywać, nieco sarkastycznie, pupilkami, starając się nie wchodzić im zbyt w drogę. Trzeba jednak przyznać, że Maryś był naprawdę zdolnym uczniem i dziś jest profesorem matematyki na UJ. Nieraz potem widywałem go w Tatrach, gdzie oddawał się turystyce górskiej, a raz nawet w Krakowie, pospołu z siostrą, niebawem po śmierci papieża Polaka, ale on mnie nigdy nie poznawał. Może po prostu mnie zapomniał?

Cała śmietanka trzymała się razem, to grywając w szachy, to w badmintona. Raz nawet miałem „zaszczyt” uczestniczyć w turnieju szachowym, który odbywał się w domu Marysia, gdzie byłem wtedy jedyny raz w życiu. Do kompletu brakowało im wtedy jednego uczestnika, a ja, choć w szachy grałem bardzo słabo, dałem się uprosić. Dostałem wtedy od Marysia tęgie lanie i z hukiem odpadłem, ale nie była to dla mnie wielka plama, bo on sam był już wtedy naprawdę dobrym szachistą.

Nie wiem dokładnie co było przyczyną desperackiego kroku jego matki, kiedy gdzieś w siódmej klasie przeniosta swego syna do Szkoły Podstawowej nr 2 na ulicę Łobzowską. Może wynikało to z jej przekonania, że w naszej szkole jest zbyt niski poziom, a może po prostu nie zaakceptowała ona naszej nowej wychowawczyni, pani Wohnerowej, która zaczęła rządzić klasą w sposób w pełni demokratyczny, zgodny z duchem nowych czasów, a więc odmiennie niż to miało miejsce w czasach pań: Rynduchowej czy nawet Dziewońskiej.

Jego ojciec nie żył za długo, a później na rodzinę przyszły ciężkie czasy. Wkrótce też wielkie mieszkanie na ulicy Krupniczej 8 zostało przez nich opuszczone i dziś jest w nim sklep.



Wracając jednak do lat szkolnych, panią M. zapamiętałem jako nadmiernie nadętą matronę, która dla zachcianek własnych i swego syna Marysia skłonna była wyrzucić szkołę do góry nogami. Wraz z nią krok w krok podążała jej mała córeczka, swoista papużka nierozłączka, którą i później zawsze widywałem w jej towarzystwie, a nigdy pośród rówieśników. Maryś z kolei pozostał w mojej pamięci jako nazbyt zarozumiały i pewny siebie chłopak, pewnie zanadto zadufany we własną mądrość, który fruwał wysoko w obłokach, jakby z dala od ziemskich problemów. A może tak właśnie zachowują się wybitne indywidualności, którą na pewno był „Maryś”?

□ Paweł M. (Mrowiński?) – „Mrówa”

Był moim pierwszym kolegą, z którym siedziałem w ławce. Nie chodził z nami chyba nawet rok, bo potem przeprowadził się do Warszawy, gdzie mieszkali jego rodzice. W Krakowie jak oka w głowie strzegła go babcia, która nie odstępowała go ani na krok. Pochodził z dobrze sytuowanej, inteligentnej rodziny, ale w przeciwieństwie do klasowej śmietanki był miłym i uprzejmym kolegą, z którym zdążyłem się nawet polubić. Ale to babcia dobierała mu towarzystwo, z którym zabawiał się w swym mieszkaniu, gdzieś na ulicy Karmelickiej, wszak był on jedynakiem. Jak mi się wydaje jego babcia nie za bardzo chciała się pogodzić z jego utratą, ale on tęsknił za rodzicami i dlatego ostatecznie wyjechał z Krakowa.

□ Eugeniusz N. – „Gienek”

Gienek pochodził z prostej, robotniczej rodziny i mieszkał w budynku naprzeciw szkoły, przy ulicy Szujskiego 1. Miał kilka lat starszego brata, ale obaj nie grzeszyli inteligencją i uczyli się bardzo źle. Jego brat repetował chyba ze dwa razy i uchodził w szkole za synonim nieuka. Ale było to potężne chłopisko i gdy ktoś tylko dokuczał jego młodszemu bratu potrafił pogrozić, a nawet wytarosić za uszy. Gienek miał śmiesznie wysoki głosik i z tego tytułu nieraz się z niego prześmiewano. Chodził z nami gdzieś do szóstej klasy, potem chyba repetował. Skończył tragicznie, bowiem niedługo po ukończeniu podstawówki zatruł się tlenkiem węgla podczas kąpieli w łazience.



□ Witold N. – „Kawon”

Chodził ze mną przez całą podstawówkę, bo choć uczył się nie najlepiej, to zawsze jakoś się prześlizgiwał się z klasy do klasy. Mieszkał tam, gdzie słynne „Kłobuchy”, na rogu Kochanowskiego 25 i alei Mickiewicza i miał młodszego brata. Jego wujkiem był jakiś znaczący oficer milicji i działacz Wisły, który przepchnął go do piłkarskiej drużyny juniorów, gdzie przez jakiś czas grał nawet na prawej obronie, ale kariery piłkarskiej nie zrobił, bo jak mi się wydaje był nazbyt masywny, a przez to za mało zwrotny. Przed szkołę często przychodziła po niego matka, która chyba nie pracowała, zwykle w towarzystwie małego synka. Nie zmienia to faktu, że grał w piłkę naprawdę dobrze i nieraz wspólnie, zwłaszcza na Błoniach, straciliśmy sporo zdrowia przy kopaniu futbolówki. To on w drugiej klasie zdobył drugiego gola w wygranym przez naszą klasę (2:1) meczu z klasą II B, z Nenką, Gabrysiem i Jagłą na czele, gdy ja strzeliłem wtedy pierwszą bramkę. Był fajnym kolegą, z którym zawsze darzyliśmy się wzajemną sympatią. Pomimo swej masywnej postury nigdy nie wykazywał agresji, a wręcz przeciwnie był chłopakiem o łagodnym charakterze i dlatego dał się lubić. Nie miał głowy do nauki, a jego hobby zawsze był sport. Również jego ojciec był namiętnym kibicem sportowym, którego potem nieraz widywałem na różnych meczach. Witka też później spotykałem i rozpoznawałem, bo choć szybko wyłysiał nie za wiele zmienił się w wyglądzie. O ile dobrze pamiętam pracował potem jako kierowca.

□ Waldemar O. – „Olej”

Waldek przyszedł do naszej klasy jako repetent gdzieś w piątej klasie i chyba dociągnął z nami do końca, choć uczył się kiepsko. Mieszkał na ulicy Dolnych Młynów 11, w budynku dawnego lazaretu, naprzeciw Zakładów Tytoniowych, na tyłach jednostki wojskowej z ulicy Rajskiej 1-3 (dom ten niedawno został wyburzony) i był średnim z trójki braci (młodszy był Leszek). Nieraz go potem widywałem, gdy siedział w oknie swojego mieszkania na pierwszym piętrze z rękami na parapecie, jakby obserwowanie świata z tej wysokości było jego ulubionym zajęciem.

□ Wiesław O.

Ten masywnie zbudowany blondynek chodził do naszej „budy” gdzieś do końca trzeciej klasy i wtedy mieszkał w budynku Izby Skarbowej od strony ulicy Krupniczej 27, tuż obok skwerku, w małym mieszkanku na wysokim parterze, a jego niewielkie okienko wychodziło na pobliski kiosk Ruchu, który długo jeszcze stał na rogu ulic: Krupniczej 32 i Garncarskiej 1. Miał młodszą siostrę, podobną do niego. Uczył się dobrze, ale był mało ruchliwy, pewnie z uwagi na swoją posturę.

Ponieważ jego mieszkanie było ciasne i ciemne niebawem wyprowadził się, chyba gdzieś na Olszę, ale potem widywałem go jeszcze od czasu do czasu, bo przyjaźnił się z Andrzejem W. – „Waniołką”, którego czasem odwiedzał. Chłopak był mądry i ambitny, ukończył medycynę i dziś jest znanym chirurgiem naczyniowym.

Tadeusz P. (rocznik 1951)

Był dwukrotnym repetentem, może z uwagi na problemy zdrowotne. Zaczynał szkołę z moim bratem, a kończył ze mną i razem chodziliśmy ze trzy lata. Mieszkał w nowym bloku na ulicy Humberta (2-4) i miał dwie siostry: starszą i młodszą. Nie był orłem w nauce, ale miłym i usportowionym kolegą. Nasze mamy dobrze się znały jeszcze z czasów, gdy był kolegą klasowym brata.

Andrzej P.

Krótko gościł w naszej klasie, może przez rok w piątej klasie, bo potem przeniósł się do klasy B, gdzie widać bardziej pasowało mu towarzystwo. Przyszedł ze Śląska, może z Katowic, chyba tylko z matką i zamieszkał przy ulicy Garncarskiej 14. Potem zasymilował się ze starszym, niezbyt ambitnym, ale zadziornym towarzystwem z okolic styku ulic: Garncarskiej i Cybulskiego, jak: starszy z braci Krzyżanowskich (Tadek), Rysiek Nalepski, Władek – Niuniek Siemiński czy Marek Legierski, kolegami z klasy mego brata. Przez jakiś czas uprawiał floret w Cracovii. Był typem chłopaka pewnego siebie i lekkoducha, więc jakoś nie zawarliśmy bliższej znajomości.

Jerzy P.

Chodził z nami krótko, zaraz na początku mojej edukacji, gdyż był nieco upośledzony umysłowo. Nosił silne okulary, wolno mówił i od czasu do czasu się ślinił. Chyba gdzieś w II klasie z uwagi na odstawanie w nauce został przeniesiony do szkoły specjalnej nr 44 na ulicę Rajską 14, która mieściła się naprzeciw dawnych koszar wojskowych, dziś budynku Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Mieszkał w piętrowym budynku wojskowym przy ulicy Krupniczej 33, naprzeciw wylotu ul. Wenecja, a jego ojciec był chyba oficerem WP.

Stanisław P. – „Siasiu”

Bez wahania mogę powiedzieć, że był moim przyjacielem ze szkolnej ławy. W czasach nauki w podstawówce mieszkał w Przegorzałach, w domu z charakterystyczną wieżyczką. Do naszej „budy” trafił z prostej przyczyny, że jego ojciec pracował, jako inspektor w gmachu Izby Skarbowej na ulicy Skarbowej i wydawało się mu się, że tu, pod jego okiem, będzie czuł się bezpieczniej.

Miał starszego brata, który od dziecka miał problemy ze zdrowiem, a on sam był późnym dzieckiem, wszak na jego ojcu, który często bywał pod szkołą, znać już było wiek. Był on postacią dobrze rozpoznawalną, gdyż charakterystycznie zaczesywał swoją łysinę resztką włosów aż spod ucha. Matka „Siasia” też była dla nas tajemniczą postacią, gdyż nigdy nie pokazywała się pod szkołą, a na wywiadówki zawsze chodził jego ojciec. Nieraz siedziałem z nim w jednej ławce, a łączyła nas pasja kibicowania Wiśle Kraków. Spotykaliśmy się na jej meczach jeszcze w latach 70-tych, kiedy przeprowadził się już na Azory.

Chętnie kopał w piłkę i był niezłym klasowym bramkarzem. Dodatkowo zbliżył nas fakt, że później razem chodziliśmy do Technikum Energetycznego, niestety nie do jednej klasy. Po roku osiemdziesiątym nasze kontakty rozmyły się, choć z oddali widywałem go z dwójką małych dzieci. Ten „blondasek” był lubianym chłopakiem i raz nawet, w szerszym gronie klasowym zapuściliśmy się z nim do Przegorzał, by pobuszować w okolicy byłej willi Hansa Franka, które to tereny znał jak nikt inny.

Ostatnio znów nawiązaliśmy kontakt dzięki Naszej Klasie.

Zbigniew P.

Smutna postać. Chłopak bez matki, mieszkał z ojcem na ulicy Czarnowiejskiej. Jego ojciec był kierowcą, wiecznie nieobecnym w domu. Zbyszek przyszedł do naszej klasy gdzieś w 1963 roku, by po roku lub dwóch opuścić nas, gdyż jego ojciec przeniósł się gdzieś dalej w Polskę. Ojciec nie interesował się nim zbyt i widać było, że był zaniedbany. Dużo czasu spędzał na ulicy i może dlatego był zanadto zadziorny, bo jakoś musiał sobie dawać w życiu radę. W jego usposobieniu widać było smutek, który zapewne wynikał z beznadziejnej sytuacji rodzinnej, wszak, jak się wydaje, był on tylko ciężarem dla swego ojca, który nieraz wyładowywał na nim swoją złość.

Zbigniew Prz.

Dziś już nie pamiętam jakie były przyczyny jego krótkotrwałego przejścia do naszej klasy z klasy B, co miało miejsce gdzieś w 1965 roku. Był to chłopak zadziorny i rozrabiaka, co zapewne wynikało z faktu, że pochodził z biednej rodziny, może nawet był pólsierotą i nikt się nim specjalnie nie interesował. Mieszkał na ulicy Loretańskiej 4 lub 6, naprzeciw Mańka B.. Czy później się gdzieś przeprowadził czy repetował, już nie pamiętam, bo jego pobyt w naszej klasie był dość krótki.

□ Józef P.

Kolejna smutna postać. Prawdopodobnie porzucony przez rodziców, wychowywał się u dziadków, którzy sami żyli w biedzie. Mieszkał w suterenie domu przy ulicy Świerczewskiego 15, naprzeciw ogrodów Kapucynów, który przylegał do budynku Szkoły Podstawowej nr 13. Jego postęпами w nauce nikt się nie interesował, stąd uczył się kiepsko. Ale trzeba przyznać, że dziadek dbał o wnuka jak tylko mógł, często odprowadzając go do szkoły, ale w nauce nie był go w stanie dopilnować, więc gdzieś w piątej klasie repetował, a potem może jeszcze raz (nie wiem czy w ogóle skończył podstawówkę). Józek zawsze chodził smutny, bez naturalnej u dziecka w tym wieku radości.

Jego dziadkowie nie żyli za długo i zmarli gdzieś pod koniec lat 60-tych, a on sam stał się wkrótce znanym w okolicy kloszardem, choć dalej mieszkał w „lochu” po dziadkach. Widywałem go jeszcze w latach 70-tych, nędznie ubranego, kiedy zapewne żył z żebraniny. Nie wiem jak dalej potoczyły się jego losy, bo później już go nie widywałem, gdy zmieniłem miejsce zamieszkania i na zawsze opuściłem centrum miasta.

□ Wojciech R. – „Rylu”

Ciekawa postać. Był najniższym uczniem naszej klasy, niższym nawet ode mnie. Pochodził z rodziny, której żyło się nieźle. Co ciekawe zarówno jego ojciec jak i matka też byli niskiego wzrostu, podobnie zresztą jak i jego młodszy brat. Chłopak był z niego niewielki, ale za to rozwinięty ponad wiek. Już w siódmej klasie sypnął mu się zarost na brodzie i zaczął mu się zmieniać głos. Mieszkał na alejach Mickiewicza, może nawet w narożnym domu pod nr 25, gdzie była „nocna przystań” u K.

Był miłym kolegą, ale do sportu się nie garnał, stąd nigdy nie łączyły nas bliższe stosunki. Potem wyprowadził się gdzieś w okolice Skawiny, gdzie się ożenił. Nieraz widywałem go potem na przystanku koło Bonarki, gdzie przesiadał się z pociągu jadącego ze Skawiny do miejskiego autobusu.



□ Andrzej S. – „Syry”

Kolejna postać ze szkolnego wykazu dzieci pokrzywdzonych przez los. „Syremu” przyszło żyć w biednej, na dodatek dziwnej rodzinie. Jego ojciec, kuriozalna postać: nigdzie niepracujący, marnie ubrany i zawsze zarośnięty, spędzał czas na spacerach w bliskie okolice Krakowa. Wielokroć widywałem go maszerującego przez Kopiec Kościuszki, potem Słoneczną Promenadą w kierunku Lasu Wolskiego, gdzie spotykałem go jeszcze pod koniec lat 70-tych. W zimie regularnie chodził na różne darmowe imprezy kulturalne organizowane przez domy kultury, a w darmowe piątki regularnie odwiedzał muzea i wystawy. Można powiedzieć, że jak na jego status materialny wiódł całkiem ciekawe życie, ale wszędzie chodził sam, bo dzieci go widać specjalnie nie interesowały. Jego żona też nigdzie nie pracowała, prawie nie pokazywała się na ulicy i mówiło się, że ma problemy psychiczne, bo rzeczywiście wyglądała jakoś dziwnie, zawsze licho ubrana, dodatkowo z mocno rozwichrzonymi włosami na głowie.

Z czego żyli? Pewnie z jakichś zasiłków, wszak mieli trójkę małych dzieci i dorosłego już syna. „Syry” był drugi w kolejności, ale nie miał głowy do nauki i był nawet jakiś lekko upośledzony, bo po piątej klasie został przeniesiony do szkoły nr 44 na ulicę Rajską 14, która była wtedy szkołą specjalną. Wśród większości uczniów „szóstki” o szkole tej, jakże niesłusznie, zawsze mówiono z drwinami, nazywając ją „szkołą dla matołów”. Jego sporo starszy brat trybem życia przypominał „niebieskiego ptaka”, niczym ojciec.

Młodszym natomiast bratem „Syrego” był Ryszard, rocznik 1955, silnie zbudowany blondynek, który był dla odmiany bardzo dobrym uczniem, ale nieraz pięścią musiał bronić i siebie i brata, chłopaka o cherlawej budowie, przed kpinami i igraszkami ze strony innych kolegów, bo jak to w życiu bywa z biednego i bezbronno go zawsze łatwiej szydzić. Mieli jeszcze sporo młodszą siostrę, taką samą cichą „sierotkę” jak „Syry”. Wszyscy mieszkali na poddaszu budynku przy ulicy Krupniczej 36, naprzeciw Teatru Rapsodycznego. Jakie były dalsze losy Sewerynów, nie wiem.

□ Zbigniew S. - „Seta”

Dołączył do nas gdzieś w szóstej czy siódmej klasie jako repetent i chyba skończył szkołę razem z nami. Miał młodszego, bardziej uzdolnionego od siebie brata, który chodził rok niżej i należał do lepszych uczniów. „Seta” nie był głupim chłopakiem, ale nie przykładął się zbytnio do nauki, a jego rodzice, prości ludzie, widać go to tego nie dopingowali. Był chłopakiem uzdolnionym sportowo, a przy tym dobrze zbudowanym. Dobrze grał w piłkę, więc nieraz dobrze nagraliśmy się razem na Błoniach. Mieszkał na ulicy Michałowskiego, ale po skończeniu szkoły znikł z pola widzenia, więc zapewne wyprowadził się z tej okolicy.

□ Ryszard (?) S.

Chodził z nami gdzieś do trzeciej, może czwartej klasy, a potem gdzieś się wyprowadził. Nikt specjalnie się nim nie zajmował, najczęściej dziadek, choć pochodził chyba z inteligenckiej rodziny. Mieszkał na ulicy Karmelickiej 6 lub 8 i uczył się nieźle. Jego postać już mi się rozmyła i nawet nie jestem pewny jego imienia. Z tego co pamiętam był lubianym kolegą.

□ Mieczysław S.

Też miał krótki staż w naszej klasie. Chodził ze mną może do drugiej klasy, a później, głównie uwagi na duże trudności w przyswajaniu wiedzy, został przeniesiony do źle kojarzonej szkoły nr 44, na ulicę Rajską. Mieszkał na ulicy Wenecja 6 i miał starszego brata, który był rówieśnikiem mojego brata, ale ten był uzdolnionym chłopakiem.

□ Marek S. – „Sowa”, „Sójka”



Nieźły był z niego aparat. Był najmłodszym dzieckiem i jedynym chłopakiem w rodzinie, wszak miał trzy starsze siostry i pewnie dlatego był nadmiernie rozpieszczony. W pierwszych klasach opiekowała się nim babcia, której nigdy nie słuchał. Mieszkał na ulicy Krupniczej 32, naprzeciw placu Hanki Sawickiej i Izby Skarbowej. Uczył się kiepsko i „kiblował” chyba w siódmej klasie. Zawsze miał niesamowite plany, m.in. chciał zostać marynarzem, które chyba zrealizował, bo na ochotnika zgłosił się do marynarki, gdzie później został „zawodowcem”. Odsłużył swoje bodaj w marynarce wojennej, potem chyba wcześniej przeszedł na emeryturę i powrócił do Krakowa, bo go potem dość często widywałem, wszak przez jakiś czas zamieszkał niedaleko mnie, na osiedlu Piaski Nowe. Był czas, gdzieś w szóstej klasie, że byliśmy bliskimi kolegami. Oryginał był z niego i rozrabiaka jakich mało i nigdy nie było wiadomo, co mu wpadnie do głowy. O niektórych jego psotach i niesamowitych pomysłach nie przystoi nawet pisać. Długo kolegował się z Markiem Sz. i choć obaj byli chłopakami skromnej postury, wszędzie było ich pełno. Dobrze dawali w kość zwłaszcza zakonnikom na terenie klasztoru Kapucynów, gdzie ten drugi mieszkał, ale też i w szkole niejednemu z nauczycieli, m.in. biednemu „Wujowi”, nieraz dobrze zależli za skórę.

□ Tomasz S. – „Tomuś”

Był drugim obok Marysia M. sztandarowym przedstawicielem „najwyższych sfer” w naszej klasie. Był jedynakiem, a jego rodzice byli znanymi lekarzami: ojciec specjalistą od chorób zakaźnych, w późniejszym czasie profesorem i krajowym konsultantem w tej dziedzinie, matka zaś lekarzem pediatrą i pracowała w szpitalu dziecięcym w Prokocimiu. Trzeba oddać sprawiedliwość, że obydwój rodzice, jak przystało na ludzi na poziomie, zachowywali się z klasą i bynajmniej nie starali się okazywać swojej wyższości. To babcia „Tomusia”, chyba matka ojca, pewnie jakaś matrona z dobrego galicyjskiego rodu, zachowywała się tak, jakby żyła pięćdziesiąt lat temu i to ona kształtowała osobowość jedyne wnuka, bo jego rodzice byli wiecznie zajęci.

Tomuś był jej „oczkiem w głowie”, a ona nie odstępowała go ani na krok i tolerowała tylko wybraną śmietankę klasową, dokładnie zawsze wypytyjąc wychowawczynię, z kim to ma do czynienia jej ukochany wnuczek. Było dla niej nie do pomyślenia, by mógł się on zadawać z pospółstwem, do którego czuła wyraźny dystans i nabierać „złych manier”.

Gdzieś w 1965 roku Tomek uległ ciężkiemu wypadkowi samochodowemu, w którym odniósł poważne obrażenia, a nie mniej od niego ucierpiała też jego matka i przez jakiś czas miała nogę na wyciągu. Długo nie było go w szkole, a ja całkiem niespodziewanie zostałem zakwalifikowany do grupy uczniów, która odwiedziła go w domu po powrocie ze szpitala. I tym razem była to inicjatywa mamy Andrzeja W.. Jego babcia nie mogła wtedy za nic w świecie skojarzyć kim ja jestem i jakim cudem się tam znalazłem, w końcu razem ze znanymi jej krezusami, których witała bardzo serdecznie. Mnie było bardzo głupio i bardzo potem żałowałem, że dałem się namówić na tę wizytę. Czy można się dziwić, że chłopak tak izolowany od otoczenia i całkowicie oderwany od problemów życia codziennego miał trudności ze zintegrowaniem się większością klasy i wyrastał na klasowego egoistę?

Rodzina S. mieszkała na ulicy Straszewskiego, w początkowym jej odcinku między ulicami: Świerczewskiego, a Kapucyńską, a ich apartamenty były ogromne. Pamiętam, że zostaliśmy przyjęci w wielkim przedpokoju urządzonym w dawnym stylu, a po mieszkaniu wolno fruwały dwa kanarki.

Nie mam już pewności czy Tomuś skończył z nami podstawówkę czy podobnie jak: Marysia Mrozka i Zbyszka Adamskiego rodzice przenieśli do innej szkoły. Na pewno był wybitnie zdolnym chłopakiem i aktualnie jest profesorem na Wydziale Elektrycznym AGH, a więc, o dziwo, nie poszedł w ślady rodziców. Potem widziałem go tylko raz w życiu, gdzieś pod koniec lat 90-tych, gdy niespodziewanie dla mnie paradował na Rynku Głównym pośród działaczy Unii Wolności.

□ Marek Sz. – „Szymon”

Było to największe „chucherko” w naszej klasie. Nie chodził z nami od początku, lecz przyszedł gdzieś w trzeciej klasie jako repetent, po jakiejś skomplikowanej operacji na oczy i długiej rehabilitacji. Miał bardzo słaby wzrok, zwłaszcza jedno oko i nosił niezwykle silne okulary, a jedną z soczewek przez jakiś czas przysłaniała mu biała blenda. Żywiół był z niego i rozrabiaka nie lada. Uczyć mu się za grosz nie chciało i tylko psocił bez liku.

Mieszkał w klasztorze Kapucynów przy ulicy Loretańskiej 11, gdzie jego rodzice pewnie pracowali u księży. Miał starszego brata Felka, rówieśnika mojego brata, ale ten był zaprzeczeniem Marka: solidnej postury i dobrze się uczył. Nie zadawałem się z nim jakoś szczególnie, bo on kumpłował z takimi rozrabiakami, jak: „Sójka” czy Bogdan K., czasem z „Kaniorem”.

Ale nigdy nie zapomnę, jak raz zabrał mnie ze sobą do zabudowań klasztornych, które znał na pamięć, gdzie buszowaliśmy ze dwie godziny. Nigdy tam wcześniej nie byłem, więc zaglądaliśmy wszędzie. Byliśmy na chórze, w sali modłów zakonników, która mieściła się w ambicie ołtarza, we wszystkich zakamarkach kościelnych i klasztornych: z furcą i zakrystią włącznie, nie pomijając nawet wyjścia na kazalnicę czy wtargnięcia do kościelnych konfesjonałów. Poznałem wtedy wszystkie sekrety klasztorne, o których inni mogli tylko pomarzyć. Goniliśmy i tłukliśmy się po korytarzach i wypucowanych schodach klasztornych jak szaleni, ale na szczęście nikt nas tam nie zauważył, choć i on sam miał dobrego „pietra”, że ktoś z księży nas namierzy i będzie kolejna chryja w jego „karierze”. Tak więc całe te harce zakończyły się dla nas wyjątkowo szczęśliwie, a ja pamiętam je po dziś dzień. Nawet już nie kojarzę czy „Szymon” skończył z nami podstawówkę, czy raz jeszcze kiblował. Później już go nie widywałem. Zresztą nie wiem, czy bym go poznał.

□ Roman Sz. – „Szyja”

Ten potężnie zbudowany chłopak mieszkał tylko z matką podobnej jak on postury na ulicy Wenecja 4. Choć w pierwszych klasach matka nie opuszczała go ani na krok, on sam nie wykazywał większych chęci do nauki i pewnie w szóstej klasie kiblował. Nie pomagały lamenty i załamywanie rąk przez jego matkę, bo „Szyja” za grosz się tym nie przejmował.

Do dziś mieszka w tym samym mieszkaniu i jak słyszałem od Andrzeja Kowalika, jego późniejszego kolegi klasowego i sąsiada z ulicy, geodety do niedawna pracującego w Kopalni Soli w Wieliczce, jest on znanym gitarzystą basowym. Skąd więc przy takich subtelnych zainteresowaniach muzycznych miała się brać u niego chęć do nauki fizyki i matematyki czy potrzeba ruchu?

□ Piotr Ś.

Piotrek, a nie Maciek – pomyłkę wskazał mi niedawno Staszek P. i to błędne imię może się jeszcze gdzieś przewijać we wspomnieniach. Maciek miał na imię mój znajomy z pracy i to był powód zmyłki. Ciekawa to była postać. Pochodził z inteligenckiej rodziny, wszak oboje rodzice posiadali wyższe wykształcenie i prezentowali nienaganne maniery. Cała rodzina mieszkała na drugim piętrze nowego budynku z lat pięćdziesiątych przy ulicy Rajskiej 10, który został wybudowany obok dawnej rekwizytorni teatralnej. Ale ich synem jedynakiem zajmowała się „niania”, starsza pani traktowana w ich domu jak babcia, która najwyraźniej miała dziwne prerosty ambicji. To ona próbowała ustawiać Piotrusia w klasie, dobierała mu towarzystwo do zabawy i bacznie pilnowała, by siedział w dobrym otoczeniu. Momentami wyglądało komicznie, gdy Piotrek się od niej odganiał i jej odburkiwał, ale ona nic sobie z tego nie robiła.

W przeciwieństwie do większości klasowej śmietanki Piotrek garnął się do sportu i ku niezadowoleniu niani wyrwał się spod jej opieki, chodząc grywać z całością klasy na Błonia. Był równym chłopakiem, z którym przez pewien okres czasu nawet się przyjaźniłem i byłem nawet parę razy w jego domu, choć niania nie patrzyła na mnie nazbyt przyjaźnie, ale musiała spełniać jego kaprysy. Mnie wtedy bardzo irytowało, gdy w stosunku do niej nieraz zachowywał się niewłaściwie i czułem się wtedy nieswojo.

Uczył się dobrze, ale nigdy nie był orłem na jakiego próbowano go kreować za czasów Rynduchowej, gdy miał oceny podciągane do poziomu reszty krezusów. Zresztą zawsze sprawiał wrażenie, jakby mu na wynikach w nauce specjalnie nie zależało i potem skończył tylko jakiś mało ambitny kierunek na „Wysrołu”, by łatwo zdobyć wyższe wykształcenie. Innej, lepszej uczelni widać się bał lub, co bardziej prawdopodobne, po prostu nie chciało mu się zbytnio wysilać.

Ale w czasach szkolnych nieraz potrafił być dobrym „jajcarzem” i dowcipnisiem jakby chcąc pokazać, że jest normalnym, a nie przesadnie zagłaskanym chłopakiem. W ostatnich klasach był naszym przewodniczącym i, jak już wspominałem, na lekcjach „Wuja” nieraz miał odprowadzać uczniów do dyrektora, ale oczywiście zawsze blefował. Sceny te odgrywał po mistrzowsku, zawsze ze stoickim spokojem oraz z powagą na twarzy i biedny „Wujo” chyba mu wierzył. W tych drobnych kłamstewkach był tak przekonujący i pewny siebie, że chyba każdego by przekonał i swoją postawą zyskiwał wtedy autentyczny autorytet wśród zdecydowanej większości klasowych kolegów. Już jako uczeń ostatnich klas zaczął się udzielać w harcerstwie, któremu z czasem poświęcił się bez reszty, będąc m. in. jakimś druhem w drużynie Grześka Miecugowa, znanego dziennikarza TVN, który w rozmowie ze mną też go wspominał bardzo serdecznie.

W późniejszych latach wielokrotnie go widywałem i zawsze odnosił się do mnie bardzo serdecznie. Przez krótki okres czasu, gdzieś na początku lat 90-tych, był nawet dziennikarzem w Polsacie, bo tupetu i pewności siebie nigdy mu w życiu nie brakowało. Ale przygoda ta trwała krótko, a potem już go nie widziałem. Nie ukrywam jednak, że Piotrka wspominam bardzo sympatycznie.



Czy to Piotrek?

Ryszard Ś.

Był chłopakiem pochodzącym z biednej, wielodzietnej rodziny i chodził ze mną bodaj do końca trzeciej lub czwartej klasy kiedy został repetentem, co działo się jeszcze za czasów pani Rynduchowej. Był marnym uczniem, ale trudno się temu dziwić, wszak jego postęпами w nauce nikt się nie interesował. Miał na pewno starszego brata (Staszka) i sporo młodszego rodzeństwa, w tym chyba kilku braci. Jego matka czasami przychodziła pod szkołę z gromadką małych dzieci i widać było, że ich los nie jest lekki, wszak ojciec był robotnikiem w MPO. Pamiętam jej zapłakaną twarz, kiedy dowiedziała się, że Rysiek został repetentem, co naszej wychowawczyni najwyraźniej nie wystawiało najlepszego świadectwa, bo był to naprawdę spokojny chłopak.

O ile dobrze pamiętam Rysiek ukończył podstawówkę z niższą klasą. Ślusarczykowie mieszkali na ulicy Karmelickiej, gdzieś w pobliżu późniejszego „Centusia”, a potem znikli z tej okolicy.

Tadeusz T.

Ten czarny, krępy chłopak, jakby cygańskiej urodzie, podobnej jak i u jego rodziców, był kolejnym przedstawicielem klasowej śmietanki. Jego rodzice byli niczym niewybijającymi się ponad przeciętność ludźmi: ojciec drukarzem, a matka prowadziła dom i opiekowała się dziećmi, wszak Tadek miał jeszcze starszą siostrę, taką samą jak on czarnulę. Odnosiło się wrażenia, że jego matka była nadmiernie opiekuńcza, zawsze go pilnie strzegła czy to pod szkołą, czy nawet na wszelkich szkolnych wycieczkach i była przesadnie wyczulona na potrzebę przebywania syna w jak najlepszym towarzystwie. Nie było mowy, by Tadzik poszedł z klasą pograć na Błonia, bo widać uważała, że z tego nic dobrego nie wyniknie; wołała, by ślęczał on nad książkami i wkuwał wiedzę. I efekt był taki, że na polu wiedzy Tadzik był jednym z prymusów, natomiast sylwetkę miał przygarbioną i był ruchowym sztywniakiem.

To jej stały nadzór nad synem sprawił, że z czasem wkomponował się on w elitarne grono uczniów, które razem urządzało sobie pozaszkolną rozrywkę. Niewątpliwy wpływ na taki stan rzeczy miały też jego wyniki w nauce, wszak był on z pewnością zdolnym chłopakiem, a przy tym niezwykle pracowitym i grzecznym. Pamiętam sytuację, gdy w siódmej klasie dostał dwóje na lekcji polskiego i normalnie się rozryczał, a potem kuł polski jeszcze bardziej, by zmyć plamę. Był chłopakiem bez większego poczucia humoru i uczniowskiej ikry, który nie akceptował żadnych psikusów ani w stosunku do kolegów szkolnych, ani do nauczycieli, zawsze będąc wzorem poprawnego ucznia.

T. mieszkali na ulicy Karmelickiej 38 lub 40, niedaleko późniejszego Centusia. Nigdy nie byłem u niego w domu i wiem, że inni też raczej rzadko tam bywali. Jego rodzice byli ludźmi bardzo religijnymi, może nawet przesadnie, ale bardzo przyzwoitymi. Muszę też przyznać, że nasze mamy bardzo się polubiły, pewnie też i dlatego, że i w tej rodzinie nigdy się nie przelewało, ale na kurtuazji na ogół się kończyło. Po skończeniu podstawówki Tadziu znikł bez śladu.

□ Zenon T. – „Tur”

Zdolny, spokojny i inteligentny chłopak, choć pochodził z biednej rodziny. Jego matka, potężnej postury kobieta, z ogromnymi żyłakami i stale spuchniętymi nogami (cukrzyca?) była kucharką i chyba mieszkała na wsi.

„Turem” zajmowała się dużo starsza siostra, zamężna i dzieciata, z którą mieszkał w niewielkim mieszkanku na ulicy Karmelickiej 46, bo ojca nie miał. Choć jego sytuacja rodzinna nie była nazbyt różowa, on sam był żywym chłopakiem i nie stronił od klasowego towarzystwa, z rzadka udzielając się sportowo, będąc nawet przez jakiś czas klasowym bramkarzem. Dobrze grał w szachy, przez co był mile widziany wśród członków „elity klasowej”, z którą też czasem się zadawał. Ale najbardziej przyjaźnił się ze „Spytkiem” K., które to stosunki pozostały chyba na całe życie oraz „Zubem” - Józkiem Z. i w tym towarzystwie czuł się najlepiej. Początkowo jego najlepszym kompanem był Bogdan W., jego sąsiad z ulicy Michałowskiego 1. Choć nie przykładał się specjalnie do nauki zawsze należał do klasowej czołówki. Skończył studia naftowe w Azerbejdżanie, a potem powrócił do kraju i tu się ożenił, bo widywałem go później z małymi dziećmi.



□ Kazimierz W.

Był jednym z moich serdeczniejszych kolegów, z którym nieraz siedziałem w jednej ławce. Wychował się w „babińcu”, jak sam nazywał swoją rodzinę, pośród trzech sióstr, z których dwie były od niego młodsze. Może przez taką babską atmosferę domową lubił czasem pohisteryzować i popłakać, choć potrafił też być zadziornym. Jego rodzice byli prostymi, ale sympatycznymi ludźmi. Matka szła na maszynie w Spółdzielni Dąbrowskiego i często nie było jej w domu, a on musiał się zajmować młodszymi siostrami (taki to już był jego niewdzięczny los, na co się uskarżał), bo starsza była panienką na wydaniu. Z tego tytułu nie miał zbyt dużo wolnego czasu, ale mimo wszystko często się urywał, by pograć w piłkę, którą to grę bardzo lubił. Miał wielkie zacięcie do gry i był niezwykle skuteczny zwłaszcza w obronie, gdzie operując wślizgami był doprawdy trudny do przejścia. Obok mnie był czołowym graczem klasowym i ostoją obrony. Świetnie też grał w „zoškę”, gdzie był arcymistrzem w „kapkowaniu”.



Mieszkał razem z Januszem M., w wielkim mieszkaniu ze wspólnym przedpokojem na trzecim piętrze narożnej kamienicy przy ulicy Świerczewskiego 1, naprzeciw Plant. Uczył się nieźle, a jego pozycje dodatkowo wzmacniała okoliczność, że jego siostra posiadała zdolności plastyczne i robiła piękne okolicznościowe gazetki, którymi zachwycała się Rynduchowa, m.in. z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej czy święta 1-Maja. Ten chłopak wychowany trochę na babską modłę dał się lubić, bo był grzecznym, bardzo bezpośrednim i sympatycznym kolegą, choć czasem może nieco nadwrażliwym i płaczkliwym, niczym dziewczyna. Nie wiem co robił potem, bo przestałem go widywać.

Robert W.

Nigdy nie chodził do naszej szkoły, ale jego nazwisko było zgłoszone do naszej pierwszej klasy i regularnie wyczytywane przez miesiąc od rozpoczęcia zajęć w 1960 roku. Robert, którego znałem z widzenia, chodził do „czwórki” na ulicę Smoleńsk i mieszkał w narożnej kamienicy u zbiegu ulic Garncarskiej 1 i Krupniczej 30. Uczył się gry na wiolonczeli w szkole muzycznej na ulicy Basztowej i został chyba muzykiem.

Andrzej W.

Chodził z nami gdzieś przez trzy lata. Mieszkał na ulicy Czarnowiejskiej, a odcinku powyżej ulicy Michałowskiego, a potem gdzieś wyprowadził się. Dziwna to była rodzina; obydwój jego rodzice byli głuchoniemi, a na dodatek mieli jeszcze młodszego syna. Porozumiewali się ze sobą językiem migowym, a Andrzej był ich tłumaczem, dzięki czemu łatwiej im się było kontaktować się z otoczeniem i wychowawczynią. Andrzej nie był orłem, ale trudno się dziwić biorąc pod uwagę jego specyficzną sytuację życiową.



Andrzej W. – „Waniołka”

Piszę o nim z wielkim sentymentem, bo zarówno on sam, jak i jego matka wyjątkowo dobrze zapisali się w mojej pamięci. Dom „Waniołki” był ciekawym domem, bo był to typowy matriarchat. Jego matka, kobieta już niemłoda, ale o nienaganych manierach, pewnie wychowana w jakiejś ziemiańskiej rodzinie, próbowała przeszczepić na swoje dzieci przedwojenny jeszcze klimat. Zwłaszcza Andrzej był jej wielką nadzieją, wszak starsza córka – „Dziunia” miała lekki niedowład lewej części ciała, pewnie następstwo jakiegoś porażenia mózgowego. Ojciec „Waniołki” był hydraulikiem, który pracował w Zakładach Tytoniowych na ulicy Dolnych Młynów, wiecznie dodatkowo zapracowanym, by zarobić na cały dom, który twardą ręką, ale z wielką dozą ciepła rodzinnego prowadziła jego niepracująca żona. Zapewne było to małżeństwo z rozsądku, ale naprawdę bardzo udane i przykładowe. Matka Andrzeja była naprawdę dobrą i wrażliwą osobą i nieraz współczuła mojej matce jej garbatego losu. Bardzo ją ceniła za jej trud i determinację, a mnie w klasie zawsze próbowała na swój sposób dowartościować, za co ją bardzo lubiłem i do dziś mile wspominam.

Nieraz bywałem w domu u „Waniołki”, na pierwszym piętrze w oficynie kamienicy przy ulicy Krupniczej 28 i zawsze byłem tam mile widziany, a i nieraz obdarowany obiadem. Było to skromne mieszkanie, bodaj dwa pokoje z kuchnią, gdzie z klatki schodowej wchodziło się do kuchni, a potem z kuchni przez przejściowy pokój do ostatniego w ciągu. A kto wie czy to nie był tylko pokój z kuchnią? Jego matka miała jednak swoje zasady, pewnie staroświeckie i twardo je przestrzegała. Uważała, może i słusznie, że miejsce jej syna jest pośród śmietanki klasowej, chłopaków o nienagannych manierach, pochodzących z dobrych, inteligentnych domów. Od początku nauki bardzo zabiegała, by stworzyć takie elitarne kółko, a nie było to trudne z racji jej bliskiego obcowania: z matką Marysia, babcią Tomusia, nianią Piotrka czy mamą Tadzia.

Zgodnie z ziemiańską tradycją wychowania Andrzej uczył się gry na pianinie, chodził też na nauki języków: francuskiego i angielskiego, gdzie ten pierwszy był traktowany jako ważniejszy. Lekcje gry na fortepianie, a może i francuskiego, Andrzej pobierał u babci Pawła Pyrkosza, który był synem Witolda, znanego aktora. Waniołka uczył się też na lekcjach religii i w kościele, gdzie wspaniale recytował okolicznościowe wiersze, zawsze doskonale przygotowany przez mamę. Oczywiście uczył się dużo i z wielkim zacięciem, ale, co trzeba przyznać, był on na pewno wielce uzdolnionym, nadto sympatycznym chłopakiem, czym nie pasował do najbardziej nadętych pupilków, z którymi musiał się zadawać.

Aż dziw bierze, skąd ten nadmiernie zagłaskany i trzymany z dala od „niepotrzebnego” ruchu chłopak miał tyle talentu sportowego. Najszybciej w klasie biegał i dobrze grał w piłkę, na co w ostateczności, na jego i moje prośby, pozwalała mu czasem jego matka. Zdarzało się również, że pokazywał się na skwerku, ale były to incydenty, bo tam nic dobrego nie mogło go czekać poza obcowaniem z chuliganami i nauką brzydkich słów. Najbardziej brzydkimi słowami wypowiedzianymi przez „Waniołkę”, które to przezwisko przylepiłem mu osobiście, od aktualnego wicepremiera o tymże nazwisku, była zawołanie: „kuchnia, felek”.

Przez niemal cztery lata chodziłem z nim na prywatne lekcje z języka angielskiego, których uczył pan Matusiak, emerytowany dyrektor jakiejś przedwojennej szkoły z Bielska, ale on w przeciwieństwie do mnie zawsze błyszczał świetnym przygotowaniem, pewnie też dlatego, że po szkole prawie nie opuszczał domu. Lubiłem „Waniołkę” mimo jego nieco odmiennego podejścia do życia i myślę, że z wzajemnością. Ukończył V Liceum na Świerczewskiego, a potem Metalurgię na AGH i dziś pewnie jest jakimś naukowcem, bo zawsze cechowała go ambicja. Ostatni raz spotkaliśmy się na AGH, jeszcze w trakcie studiów. Jego matka chyba zmarła pod koniec XX wieku, bo jej nazwisko przestało figurować na spisie lokatorów kamienicy na Krupniczej 28. Jaka szkoda, że stosunki między nami uległy przerwaniu, bo mielibyśmy wiele do powspominania.

□ Bogusław W.

Pochodził z inteligenckiej, choć raczej niezbyt zamożnej rodziny i mieszkał w skromnym mieszkanku na ostatnim piętrze narożnej kamienicy przy ulicy Michałowskiego 1; miał jeszcze kilka lat młodszego brata. Był to zdolny chłopak, który należał do klasowej czołówki i w późniejszym okresie też zbliżył się do klasowej śmietanki, z Marysiem M. na czele. Wcześniej przyjaźnił się z Zenkiem T., sąsiadem z Karmelickiej 46. Pieczę nad nim sprawowała matka, która widać niezbyt chętnie zezwalała mu na bliższe kontakty z pozostałymi kolegami klasowymi.

Osobiście nie miałem z nim zbyt wiele kontaktu, wszak był on typem intelektualisty i totalnym antytalentem ruchowym, więc nie udzielał sportowo. Po skończeniu podstawówki widać gdzieś się przeprowadził, bo przestałem go widywać.

□ Piotrek (Rysiek?) W. – „Wory”

„Wory” też był niezwykłym oryginałem. Mieszkał w tej samej kamienicy, co Maniek B., na ulicy Loretańskiej 5, a opiekę nad nim sprawowała babcia, która miała z nim niemałe kłopoty, gdyż „żywiół” był z niego okrutny. Był wątlej postury i mocno seplenił niczym małe dziecko, a do tego miał wielkiego zęza i nosił silne okulary. Ale jego nadpobudliwość ruchowa i zacierzowanie sprawiały, że wszędzie było go pełno, wiecznie uczestniczył w bójkach, w których nieraz dobrze oberwał, bo „chucherko” było z niego wielkie: skóra i kości. Nieraz rozbito mu okulary i podbito oczy. On sam bywał wyjątkowym psotnikiem i często sprawiał psikusy na lekcjach, nieraz dobrze załaząc za skórę i Rynduchowej i kolegom. Na nic zdawał się ścisły dozór i lamenty babci, która nie potrafiła go poskromić, bo była dla niego niezbyt tolerancyjna, widać podobnie jak rodzice, którzy pewnie nie wiedzieli o jego wszystkich wyczynach. Z jakąż więc ulgą Rynduchowa przyjęła jego przeprowadzkę w inny zakątek Krakowa, w trzeciej czy czwartej klasie, gdy nagle z jej horyzontu ten drobny i sympatyczny, ale jakże dokuczliwy szkolny rozrabiaka.



□ Krzysztof W.

Pochodził z inteligentnej rodziny i mieszkał wraz rodzicami oraz młodszą siostrą przy ulicy Karmelickiej 7 lub 9, w okolicy dawnych delikatesów z czasem nazwanych Lukullus i restauracji Ermitage. Nosił silne okulary i posiadał zadziwiająco niski głos, przynajmniej jak na swój wiek. Był inteligentnym, choć mało ruchliwym uczniem, pewnie z uwagi na kiepski wzrok. Chodził do naszej szkoły gdzieś do czwartej klasy i w tym czasie należał do czołówki uczniowskiej. Potem gdzieś się wyprowadził i ślad po nim zaginął.



?

□ Zygmunt Z.

Przyszedł do naszej klasy jako repetent chyba w piątej klasie i albo chodził z nami do końca, a może jeszcze raz „kiblował” w siódmej klasie. Był potężnie zbudowanym chłopakiem, ciemnym jak Cygan, który nieraz pięściami udowydniał swoje racje, nie dając sobie „w kaszę dmuchać”. Do nauki zupełnie nie miał głowy, był natomiast uzdolniony ruchowo pomimo masywnej budowy ciała. W trakcie bojów piłkarskich, toczonych na Błoniach czy w Parku Jordana, nieraz dobrze zalaż za skórę, bo potrafił grać bardzo ostro.

Jego rodzice byli prostymi ludźmi: matka chyba prała, a ojciec był dozorcą i mieli jeszcze młodszą córkę, taką samą jak on czarnulkę. Mieszkali na parterze bądź w suterenie kamienicy przy ulicy Karmelickiej 52 czy 54.

□ Józef Z. – „Zub”

Józek był w czasach mojego dzieciństwa i młodości jednym z najserdeczniejszych kolegów, gdyż potem chodziliśmy również do jednej klasy w Technikum Energetycznym, a więc do 1973 roku.

Mieszkał w dużym mieszkaniu na drugim piętrze w kamienicy przy ulicy Michałowskiego 15, naprzeciw zakładu fryzjerskiego „Jasia” Pilniakowskiego. Miał trzy sporo starsze siostry, wtedy stare panny i dwóch młodszych braci: o rok młodszego Krzyśka i ze cztery lata młodszego Marka. Jego ojciec, niski i małomówny, był listonoszem i musiał utrzymać liczną rodzinę, bowiem jego żona, pochodząca z Iwkowej koło Nowego Sącza, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Od pierwszej klasy bardzo się też polubiły nasze mamy i nieraz: przy okazji wywiadówek czy spotkań na Kleparzu, gdzie często obie robiły zakupy bądź po kościele, ucinają sobie dłuższe rozmowy o swoich rodzinach i ich problemach.

Wbrew pozorom „Zub” i jego bracia uczyli się lepiej niż poprawnie, a i jedna z sióstr, najmłodsza, kończyła w latach 70-tych wyższe studia, bodaj biologię. Jego rodzice byli ludźmi niezwykle pobożnymi, a ich centrum religijnym był kościół Karmelitów, gdzie Józek i jego bracia od najmłodszych lat udzielali się jako ministranci. Jego gorliwość religijna stała się z czasem przedmiotem licznych, choć pewnie niezbyt eleganckich kpin ze strony klasy.

W szkole średniej Józek bardzo się zmienił, może pod wpływem kolegów i zaczął żyć na pełnym luzie, nie stroniąc nawet od ostrych imprez. Ale w SP nr 6 był niemal „świętym”, regularnie służąc do mszy i defilując na przedzie wszelkich procesji kościelnych. Bywały okresy i w podstawówce, i w szkole średniej, że był jednym z moich najbliższych kolegów. Lubił też kopać w piłkę, a pod moim okiem wyraźnie się w tej sztuce podciągnął, gdy ambicją nadrabiał pewne braki talentu. Mimo to zawsze był nazbyt „toporny” do sportu i często bywał tylko zawodnikiem rezerwowym, choć bardzo garnął się do rozgrywek klasowych. Kiedyś, na początku nauki w TE, tak nieco z przekąsem scharakteryzowałem jego postawę sportową:

Józek klasą jest dla siebie
Bo gdy gra myśli o niebie
Świetna gra mu sławę niesie
Lecz na meczach siedzi w dresie.

Był zawsze spokojnym i jowialnym chłopakiem, może podobnie jak ja nieco zagubionym. On jednak w przeciwieństwie do mnie był praktycznie pozbawiony opieki ze strony matki, która miała zbyt wiele zajęć, by się bliżej zajmować gromadką dzieci, więc sam musiał dawać sobie w życiu radę. W jego rodzinie nigdy się nie przelewało, choć Józek zawsze chodził schludnie i czysto ubrany.

Początkowo przyjaźnił się z Markiem J., a pod koniec podstawówki bliżej związał się ze „Spytkiem” i „Turem” i była to przyjaźń na lata. Już w średniej szkole w swojej piwnicy urządził siłownię, gdzie on i moi koledzy z technikum: Jacek Zaraska, Janusz Buczyński czy Marek Pstrós, nabijali bicepsy, by poszpanować przed dziewczynami. Nawet i ja podnosiłem tam niezłe ciężary, około 65 kilo w podrzucie, zaledwie z dziesięć kilo mniej niż Zaraska, największy „byk” w klasie. Ale te schadzki w piwnicach i głośnie hałasowanie, nieraz przy piwku, wkrótce przestały się podobać sąsiadom i Józka przegnano z tego lokalu. A taka to była przytulna oaza do spotkań towarzyskich.

„Zub” nie ukończył studiów na AGH, gdzie dostał się na trudny Wydział Elektryczny. Potem się ożenił i ma chyba dwoje dzieci. Potem widywałem go od czasu do czasu i jego postać zawsze przypominała mi cudowne szkolne lata, które są już tak odległe. Choć jakiś czas temu nawiązaliśmy kontakt telefoniczny to jakoś nie możemy się spotkać, bo on jakoś unika naszego towarzystwa z TE, choć był zapraszany na niejedno spotkanie.



Fot. nr 402. Moja klasa w Parku Jordana we wrześniu 1961 roku, cenna pamiątka szkolna. Stoją od lewej: Anna Rynduchowa, matka Zbyszka Lamkowskiego, matka Ceśka Karni. Od lewej: pierwszy - Maciek Ścigalski?, drugi - Rysiek Worytkiewicz, trzeci - Zenek Turek, czwarty - Piotrek Książek, kuca Marek Jarosz, piąty - (obok Jarosza) nierozpoznany, szósty - Bogdan Bruzda, siódmy - Gienek Nelka, ósmy nierozpoznany, dziewiąty - Kazek Walczyk, dziesiąty - Krzysiek Klimczyk?, jedenasty - blisko aparatu NN, może Piotrek Kaniewski?, w głębi koło Karniowej jej syn Cesiek, blisko aparatu - Bogdan Białko i Marek Cyran, w głębi Zbyszek Merwart (z literą M na koszulce), Zbyszek Lamkowski, nierozpoznany z tyłu (Andrzej Bednarczyk?), ja w ładnej czapeczce z daszkiem (byłem wtedy ogolony na łyso po eksperymentach czynionych na moich włosach przez mojego brata na wakacjach spędzonych na Klęczanej w 1961 roku), Zbyszek Feluś?, NN z tyłu (wysoki Szywalski?)

Z uwagi na nieunikniony w rzeczy samej subiektywizm i powstające z upływem czasu bariery pamięciowe nie jest łatwo pisać o dawnych czasach i dawnych postaciach, bo każda próba opisanie ówczesnej rzeczywistości może przysporzyć autorowi tyluż przyjaciół, co wrogów. Ja jeszcze raz chciałbym podkreślić, że zawarta powyżej charakterystyka moich kolegów szkolnych stanowi mój osobisty odprysk z czasów dzieciństwa, co chciałbym raz jeszcze podkreślić, którego to okresu nie chciałbym ani upiększać, ani modyfikować, bo cóżby to był za dokument.

Już całkiem na koniec chciałbym dodać, że gdy z lekka krytykowałem działania jednej z firm, w której nie tak dawno pracowałem, „Sylwuś”, jej szef, nieraz mi powtarzał bez żadnych ogródek: „Lesiu, jak ci się u nas nie podoba, załóż sobie własną firmę”, więc i ja w tym przypadku mógłbym powiedzieć: „jeśli opisywane czasy widziałeś inaczej, napisz własne wspomnienia”, ale ten wywód proszę potraktować jako żart bądź raczej jako zachętę do zakasania rękawów i uwiecznienia własnych dziejów. Swoją drogą ciekawe byłoby przeczytanie takich wspomnień napisanych przez kogoś innego, bo w końcu „punkt widzenia zależy (ponoć) od miejsca siedzenia” i pewnie sporo jest w tym sloganie prawdy.



Fot. nr 403. „Babiniec” z początku lat 60-tych, czyli SP nr 13 z ulicy Świerczewskiego 13 (obecnie Studenckiej).

Kończąc temat szkolny warto może wymienić najbliższe „podstawówki” w okolicy „szóstki”: „trzynastka”, żeńska do roku 1964 SP nr 13, potem już koedukacyjna, słynny „babiniec” z naroża ulic Świerczewskiego 13 (dziś Studencka) i Loretańskiej 7, który zawsze elektryzował młokosów, SP nr 94 w narożu ulic Kochanowskiego 7 i Michałowskiego 12, „dwunastka,, (SP nr 12), obiekt szkoleniowy dla studentów ówczesnej WSP przy ulicy Krupniczej (dziś Ingardena 4) – róg z Oleandry, „czwórka” (SP nr 4), przy ulicy Smoleńsk 5-7, „dwójka” (SP nr 2, potem SP nr 7) przy ulicy Spasowskiego 8, przecznicy z ulicy Łobzowskiej (do przełomu lat 50/60 zajęcia szkolne odbywały się w baraku przy placu Biskupim, zlokalizowanym na styku z ulicą Krowoderską; druga taka szkoła barakowa z czasów galicyjskich przynajmniej do początku lat 60-tych istniała jeszcze przy ulicy Wygoda), „piątka” (SP nr 5) z ulicy Chocimskiej (dziś Aleja Kijowska 8), SP nr 33 z ulicy Konarskiego 2, SP nr 31 z ulicy Prusa 18 i SP nr 32 z ulicy Królowej Jadwigi 78. Do tego dochodziła szkoła specjalna (nr 44) dla dzieci lekko upośledzonych umysłowo, z ulicy Rajskiej 14, która niestety często stawała się ze strony uczniów przedmiotem drwin, a ze strony niektórych nauczycieli orężem do siania gróźb pod adresem niegrzecznych bądź notorycznie niedouczonej uczniów.

XV. Zakończenie

Przeprowadzka na ulicę Czystą 21 do dużego, dwupokojowego mieszkania z używalności kuchni, co miało miejsce w marcu 1970-go roku i było efektem długotrwałych i heroicznym bojom mojej matki we wszelkich możliwych urzędach, zamyka okres mego dzieciństwa i wczesnej młodości, który wspominam z wielkim sentymentem, wręcz nostalgią, a jego dzieje same wylewają mi się spod ręki, a może spod serca. Był to jedyny okres w moim życiu, do którego nie mam dziś większych zastrzeżeń, bo jak mi się przynajmniej wydaje został on przeze mnie przeżyty najlepiej jak tylko mogłem, mając oczywiście na względzie istniejące uwarunkowania i możliwości. Można powiedzieć najpiękniejszy w życiu, bo beztrudny, wszak wszelkie problemy spadały na barki mojej matki i płynęły jakby obok mnie; na pewno niełatwy, choć może częściowo wyidealizowany przez bezlitośnie upływający czas. W tym czasie z pewnością brakowało mi takich cech jak: śmiałość czy życiowa odwaga, co miało ścisły związek z niełatwymi warunkami bytowymi w jakich dorastałem i koniecznością ustępowania miejsca ludziom lepiej sytuowanym i bardziej przebojowym. Na pewno brakowało mi też wzorców do naśladowania, bo w obu rodzinach, zarówno ojca jak i matki, takich z pewnością nie uświadczylem. Swoje obiektywne braki w wychowaniu i dobrych manierach sam musiałem uzupełniać w późniejszym życiu, nieraz niemałym kosztem, choć ludzi życzliwych na pewno na mojej drodze życiowej nie brakło.

Wśród swoich byłych przełożonych, a nie miałem ich za wielu, zdecydowanie najwyżej muszę ocenić osobę zmarłego już mgr Macieja Michalskiego, mojego pierwszego szefa w OBRGSCHEM CHEMKOP w Krakowie, człowieka o wysokiej kulturze osobistej, który bez przesady zmienił charakter mojej osobowości, a mój system wartości podniósł na wyższy poziom. To on nauczył mnie dostrzegać potrzeby innych, również ludzi młodych i nie przeć do stanowisk i laurów za wszelką cenę, wbrew własnym przekonaniom i sumieniu. Nie jest to postawa na dzisiejsze czasy, ale kiedyś była ona dość powszechna. Mam nadzieję, że taki system wartości kiedyś u nas powróci, gdy zakończy się trwający obecnie w Polsce etap drapieżnego i bezwzględnego w swej formie kapitalizmu.

Trafiałem też w swoim życiu na ludzi totalnie mi nieżyczliwych, a przy tym w wielu sprawach skrajnie niekompetentnych, że wymienię tylko szefową mojej ostatniej firmy, firmy handlowej z Wieliczki. Otóż ta absolwentka wydziału ogrodniczego na AR w Krakowie, by użyć potocznej jej nazwy: „Wysrol”, miała tak wielkie przerosty własnej osobowości, że fachowcowi z 30-letnim stażem w górnictwie wielokrotnie próbowała „wciskać kit” w problematyce, o której nie miała najzwyklejszego pojęcia, używając przy tym argumentacji, że zna się na wszystkim, bo jest po „technicznych studiach”, a ponadto jest „dyrektorką wielkiej firmy” (są to cytaty z jej wypowiedzi). Rozmowa z nią, którą trudno nazwać dyskusją, przypominała walenie głową w beton, stąd mój jej prywatny przydomek: „betonowa lady”.

I choć dziś mówi się, że „partyjny beton” czy „twardogłowi towarzysze”, byli tylko w okresie realnego socjalizmu, to ja z własnego doświadczenia wiem, że wielu dzisiejszych menadżerów i to nie tylko tych młodych, którzy gwałtownie i często w niezbyt czysty sposób dorobili się fortun często szermując wcześniej solidarnościowymi hasłami, wykazuje niemal „żelbetowe” skostnienie na potrzeby swoich współpracowników. Jakże daleko im do moich dawnych przełożonych, którzy wykazywali się naprawdę dużą fachowością, a przy tym posiadali sporo ludzkich cech, których brak większości dzisiejszych „oligarchów”. Mimo „zgniłych czasów” człowiek człowiekowi był wtedy jakiś bliższy, ludzie byli względem siebie bardziej uczynni i życzliwi, nie tak drapieżni i bezwzględni jak to miejsce dzisiaj. Niestety we współczesnych czasach wielu jest takich dorobkiewiczów, ludzi z klapkami na oczach, którzy rozpychają się przez życie łokciami, faulując z lewa i prawa, często brutalnie, a przy tym nie oglądają się wstecz na efekty swojego postępowania jakby nie zdając sobie sprawy, że ta niechlubna przeszłość i wyrządzona ludziom krzywda kiedyś ich dopadnie, choćby w ich własnych sumieniach.

Ocena historyczna pewnego okresu dziejowego wymaga oczywiście dystansu czasowego, ale zwykle jest bezlitosna. Pewnie i tak będzie w tym przypadku, choć ja sam nie mam wątpliwości, że ten dziki kapitalizm przyoblecze kiedyś ludzką twarz. Ja jestem w tej dobrej sytuacji, że mam już za sobą półwiekowy dystans czasowy, ponadto przez trzydzieści siedem lat żyłem w komunistycznej Polsce, więc teraz staram się patrzeć na świat bez zbędnych uprzedzeń i zaciętrzewienia światopoglądowego. W latach 80-tych zostałem członkiem Solidarności i przez jedenaście lat byłem piewą jej ideałów, ale jej etos szybko okazał się wyblakły i pusty. Odszedłem ze związku, gdy na zjeździe mazowieckiej Solidarności nie dopuszczono do głosu Zbigniewa Bujaka, jej byłego przewodniczącego. Nie taka krzykacka i wiecowa Polska mi się marzyła. Dziś mogę się tylko podpisać obydwoma rękami pod stwierdzeniem Lecha Wałęsy: „Nie o takie Polskie myśmy walczyli”, choć samego wodza za całokształt jego dokonań oceniam dziś krytycznie. W dzisiejszej Polsce, kraju kontrastów społecznych, nikt już nie pamięta o „ludzkiej twarzy” systemu, a wielu karierowiczów ciągle usiłuje się podszywać pod sztandary „Solidarności” i bije czołami przed ołtarzami, a przy tym „płynie z prądem” i bezkrytycznie pluje na „komuchów” i ich czasy, choć przecież był to okres bardzo zróżnicowany, a podobnie niejednolici byli i ludzie z tego systemu. Trudno wrzucać do jednego worka tragiczne czasy stalinowskie, odwilż gomułkowską czy epokę Gierka, kiedy zapachniało już Europą. Ci młodzi, którzy dziś najczęściej szydzą z komunistów, m.in. dziennikarze z TVN i urządzają sobie igrzyska, nie zdają sobie sprawy jak mało wiedzą o tych skomplikowanych czasach. Więcej pokory panowie! Czyż nie chichotem historii stał się fakt, że stoczniovcy, którzy toczyli twarde boje o wspólne ideały i wywalczyli demokratyczne przemiany, po dwudziestu latach utracili miejsca pracy, co dzisiaj usiłuje się przemilczać, bo przecież w zamian mamy wolność, tylko gdzie ten chleb i chrześcijańska wrażliwość, o której tak wiele się tokuje? Ktoś bezwzględnie wykorzystał ich naiwność i znane mi z PRL-u fałszywe uwielbienie „Zachodu”.

Nigdy w tej „zgniłej” Polsce nie było tak drastycznych trudności w dostępie do służby zdrowia, w tym do bezpłatnych dentystów, choć mam pełną świadomość ze skali wad i anomalii tego systemu, ale dzisiejsza degrengolada woła o pomstę do nieba i żadna współczesna propaganda, a ta wbrew pozorom w tych z pozoru demokratycznych czasach staje się ona jeszcze bardziej nachalna i zakłamana od „sławiącej” czasy Gierka „propagandy sukcesu”. Dziś to „pijar” próbuje brutalnie kształtować rzeczywistość i robić młodym ludziom wodę z mózgu, co skutecznie osiąga się m.in. przez totalną krytykę całości okresu PRL.

Czy zatem wszystko, co funkcjonowało w PRL było złe jak to się dziś usiłuje przedstawiać? A poziom i dostępność do kultury? A dostęp młodzieży do sportu, tego masowego? A system i poziom kształcenia? A sytuacja emerytów i rencistów? A ogólna dostępność i przystępność cenowa wszelkich form spędzania wolnego czasu, z urlopami włącznie? A powszechny dostęp do pracy i korzystne dla ludzi prawa pracownicze? Myślę, że wiele z tych tematów przewija się w moich wspomnieniach, bo życie zawsze się toczy w pewnych realiach.

Chciałbym raz jeszcze podkreślić, że nigdy nie byłem zwolennikiem tego systemu, w którym przyszło mi żyć, ale totalna, często niemerytoryczna jego krytyka musi wywoływać mój sprzeciw, gdy trąci to zwykłą propagandą i demagogią, na które to anomalie jestem szczególnie wyczulony i gdy są to typowe działania „pod publiczność”. Tyle, by zamknąć temat PRL.

Dodam jeszcze, że powyższy akapit pisałem w realiach sprzed około pięciu lat, a więc około roku 2013 i nie chcę się odnosić do aktualnie panującej sytuacji, kiedy rządy przejął PIS, bo do obiektywnej oceny potrzebny jest przynajmniej kilkuletni dystans czasowy. Wiele spraw bytowych, zwłaszcza dotyczących tej biedniejszej części społeczeństwa, poszło w dobrą stronę, ale z kolei uaktywniły się dyktatorskie zapędy rządzących o zabarwieniu narodowo-chrześcijańskim.

Jednak większość sukcesów jakie udało mi się osiągnąć w dojrzałym życiu osobistym zawdzięczam żonie Cecylii oraz córce Annie. Żona wykazała dużą cierpliwość, by okiełzać mój ciągle jeszcze nieopierzony charakter i nigdy nie sprzeciwiała się oddawaniu się przede mną wielu pasjom życiowym, swoistym dziwactwom, że wymienię tylko: studiowanie dawnych dziejów oraz historii sztuki Krakowa ze szczególnym uwzględnieniem historii wczesnego Średniowiecza (czasy wiślańskie i wczesnopiastowskie) oraz dziejów Twierdzy Kraków, zbieranie miniatur malarskich czy odsłuchiwanie muzyki klasycznej, której kolekcja rozrasta się od prawie 20 lat.

Najbardziej cenię sobie późnoromantyczną muzykę rosyjską: z Czajkowskim na czele, którego uważam za najwybitniejszego kompozytora wszechczasów, Rachmaninowem i Rimskim Korsakowem. Z mozołem zdobywam też płyty innych wybitnych kompozytorów rosyjskich z tego okresu, częściowo lub całkowicie zapomnianych przez współczesnych: Głazunowa - mojego kompozytora nr 2, Skriabina, Taniejewa, Bałakiriewa, Borodina, Gliera, Areńskiego, Greczaninowa, Kalinnikowa, Medtnera czy Ippolitowa- Iwanowa.

Bardzo cenię sobie polską muzykę z tego okresu z Karłowiczem na czele oraz niemal całkowicie zapomnianymi: Żeleńskim, Stojowskim, Fitelbergiem, Melcerem, Feliksem Młynarskim, Szelutą, Różyckim, Noskowskim, Nowowiejskim, Maliszewskim czy Gablenczem. Jeśli doda się do tego jakże bogatą kolekcję książek o Krakowie, to wszystko to sprawia, że moje mieszkanie, przynajmniej mój pokój, trąci archaizmem. Co dziś są warte poóółkłe i podniszczone stare książki i mocne już przegrane płyty CD z klasyką.

Moja żona zaakceptowała też mój nietypowy styl życia codziennego, z częstymi wyprawami za miasto i delektowaniem się ciszą na łonie natury, w czym do niedawna towarzyszyła nam niezapomniana suka o imieniu Gucia, dawna pensjonariuszka azylu, potem swoisty Kopciuszek, a teraz niemniej sympatyczna i uroczą Kropka.

Przez ostatnie kilkanaście lat jestem też pochłonięty opracowywaniem drzew genealogicznych rodzin moich przodków: Grabowskich z Bilczyc (przodkowie mojego ojca) oraz Chanków i Kędrynów z Podolan (przodkowie mojej matki) i po trzynastu wizytach w parafii w Gdowie u wyrozumiałego księdza proboszcza Stanisława Jarguza oraz dzięki pomocy Romana Markota, dziejopisa Bilczyc, odkryłem wiele dawnych sensacji rodzinnych oraz poznałem wielu nieznanymi mi dotąd jej członków. Efekty moich dociekań, przetworzone w sagi rodzinne i albumy z obiektami odchodzącego świata, głównie starymi chałupami, są dostępne w MBC.



Fot. nr 404. Z Antonim Łapajerskim z lewej i Adamem Gryczyńskim przed wyjazdem na rekonosans po zachodnich obrzeżach Krakowa zorganizowanym przez UMK. (06.09.2018)



Fot. nr 405. Przed najcenniejszą chyba chałupą z obrzeży Krakowa, która trwa na terenie Bronowic Wielkich.

W ostatnim czasie aktywnie angażuję się w kwestie utworzenia z Krakowie skansenu etnograficznego i wchodzę w skład zespołu powstałego w UMK, który próbuje tę kwestię w jakiś sposób rozwiązać. W tym celu w opracowanym przez mnie społecznie raporcie z moich fotograficznych zbiorów wytypowałem około czterdzieści chałup, które są najcenniejsze bądź znajdują się w najlepszym stanie. W tej kwestii staram się doradzać Pani Małgorzacie Jantos, której ta kwestia jest bliska, a przy okazji współpracuję z tak znakomitymi dokumentalistami: Adamem Gryczyńskim czy Antoni Łapajerskim.

Ale to, że tak ciepło mogę pisać o najwcześniejszym okresie mego życia zawdzięczam jednej osobie: mojej ukochanej matce, która wykrzeszała z siebie maksimum ludzkich sił i uczuć, by jej dzieci mogły żyć szczęśliwie, choć bez dostatku. To pamięć o niej była dla mnie główną siłą napędową dla przypomnienia tych wspaniałych chwil, które nie zasługują na zniknięcie w mrokach zapomnienia.

Dziwne są koleje ludzkiego umysłu. W mojej pamięci świetnie utkwilo wiele szczegółów z dzieciństwa, a z późniejszym okresem było już znacznie gorzej. Dokładnie pamiętam ceny artykułów i produktów z czasów gomułkowskich oraz trasy kursowania większości tramwajów i autobusów, a dalej takich szczegółów już aż tak dobrze nie pamiętam. Może to wynikać z faktu, że za Gomułki ceny stały w miejscu, a za Gierka zaczęła się już spirala inflacyjna. Tak czy owak zdecydowana większość podawanych tutaj informacji pochodzi z mojej własnej głowy.

I na końcu jeszcze jedna uwaga. Mam pełną świadomość, że mój język zapewne nie jest idealny, jednak na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, w którym to czasie powstawały kolejne wersje wspomnień i inne moje opracowania, z pewnością ewoluował w dobrym kierunku. No cóż, przez ponad trzydzieści aktywności zawodowej lat oddawałem się jedynie tworzeniu urzędowych pism i opracowań o charakterze technicznym: suchych i niewymagających precyzji stylistycznej, co początkowo mogło się odbijać na moim sposobie i stylu pisania oraz na nie zawsze trafnej interpunkcji. Dlatego proszę o wyrozumiałość i przymknięcie oczu na pewne niedociągnięcia stylistyczne, a także cierpliwość przy czytaniu czasem może nazbyt szczegółowych opisów, wszak moją intencją było przede wszystkim możliwe wierne oddanie realiów i klimatu Krakowa lat 60-tych, a zwłaszcza niepowtarzalnej scenerii dawnej dzielnicy Piasek widzianej bardzo osobiście, bo na tle moich osobistych przeżyć i zmiennych losów jej mieszkańców. Opisałem to wszystko jak potrafiłem najlepiej, choć z pewnością nie jest to próba doskonała. Gdyby moje opisy w jakichś fragmentach rozmijały się z rzeczywistością bądź moje oceny były nazbyt radykalne czy krzywdzące, uprzejmie proszę o kontakt na mój e-mail: leszek.grabowski@interia.pl.

Niestety pamiętniki zawsze noszą w sobie pewne znamiona subiektywizmu, ale pisanie ich okrężną, często zawołowaną drogą i nadmierne lukrowanie pewnych faktów bądź postaci z pewnością obniża ich wartość archiwalną. Mam nadzieję, że w swoim opracowaniu nie przekraczam granic przyzwoitości, wszak nad treścią wielu fragmentów, zwłaszcza tych dotyczących wątków rodzinnych i czasów szkolnych wielokrotnie się zastanawiałem, a wiele z nich kilkakrotnie przerabiałem. Jak mi się wydaje nie wlałem w tekst nazbyt wiele lukru, ale też starałem się z niego odsączyć zbyt wiele goryczki.

Nie wstydzę się własnej przeszłości, choć może nie była ona nazbyt chwalebna i wiele spraw przedstawiam w sposób bardzo naturalistyczny, bez zafałszowań. Może w niektórych opisach jestem nazbyt szczegółowy, ale tak sobie myślę, że może kiedyś będzie to jedno z niewielu autentycznych świadectw tych czasów, wszak nieuchronnie zmieniają się i ludzie, i sam Kraków, i jego okolice. W paru miejscach pozwoliłem sobie na własną ocenę rzeczywistości, do czego jako stary Krakus mam moralne prawo i po prostu pewne porównania same się nasuwały. Przy czytaniu tej płynącej z głębi serca opowieści, bo napisanej z potrzeby ducha, miłości do Krakowa i nostalgii za minionym czasem, proszę zatem o wyrozumiałość i lekkie przymrużenie oka.

Zamiast nazwisk większości dawnych mieszkańców mojej kamienicy i członków ich rodzin, a także wielu sąsiadów z ulicy Czystej, zdecydowałem się podać jedynie pierwszą ich literę, by nie naruszyć ich prywatności, wszak niektóre z tych osób być może jeszcze żyją. Nie mogłem jednak pominąć tych postaci, by nie zafałszować przeszłości, choć zdaję sobie sprawę, że w niektórych przypadkach moje oceny mogą być nazbyt subiektywne, a pewnie i za surowe, może też i dlatego, że jest to tylko moja własna wizja przeszłości, która została zapamiętana i opisana z pozycji chłopaka wychowanego „na podwórku” i „na ulicy”. Taki obraz ówczesnej rzeczywistości noszę w sobie od dziecka i lepiej nie pokrywać jej lukrem poprawności.



Fot. nr 406. Z żoną Cecylią – 21.12.2009.



Fot. nr 406a. Z żoną i wnukami: Nataszą i Wojtkiem.



Fot. nr 407. Pamiątkowy medal z okazji 650-lecia utworzenia Prokocimia, przyznany mi za zasługi w dokumentowaniu jego dawnej zabudowy. (10.11.2017)



Fot. nr 407a. Podczas uroczystości wręczenia mi odznaki Honoris Gratia za pracę społeczną na rzecz miasta Krakowa. od lewej: radna Grażyna Fijałkowska i Prezydent Jacek Majchrowski. (09.10.2018)



Fot. nr 407b. Przed kościołem w Jawiszowicach w dniu 19.05.2019 wkrótce po odbiorze wyróżnienia w ramach Nagrody Województwa Małopolskiego „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony nad zabytkami architektury drewnianej Małopolski”.

I na koniec winny jestem jeszcze jedną uwagę, która dotyczy uzupełnień do kolejnych edycji. Otóż kilka lat temu zupełnie dla mnie niespodziewanie uwagi do mojej pracy i to dwukrotnie, przekazał mi mój brat, który dodatkowo załączył archiwalne, niezwykle cenne zdjęcia rodzinne. Tak się złożyło, że po śmierci matki nasze drogi w zasadzie się rozeszły, choć był to rozwód pokojowy. Jego przekazy dotyczące kilku merytorycznych kwestii posiadają dużą wartość faktograficzną, bo pewne czasy pamięta on lepiej, za co jestem mu wdzięczny. W swoim poprzednich opracowaniach przekręciłem pewne imiona, pewne fakty zaś przesunąłem w czasie, co wynikało li tylko z ułomności ludzkiej pamięci, a niektóre zdarzenia zapamiętałem inaczej niż on i tych wersji nie zamierzam zmieniać. Mam nadzieję, że został on przynajmniej po części usatysfakcjonowany wprowadzonymi zmianami, bo może pewne opisy były wcześniej z mojej strony nazbyt emocjonalne. Powstrzymam się natomiast od odniesienia się do jego niecenzuralnych komentarzy wypowiedianych pod moim i nie tylko adresem, co mnie szczególnie dotknęło, które zawarł w długim monologu przesłanym mi na taśmie video, a następnie w nieco krótszym liście, by w dyskusji nie zejść do poziomu magła. Do tego typu jego zachowań zdążyłem się już w życiu przyzwyczaić, bo zawsze był człowiekiem porywczym i nieprzebierającym w słowach, choć generalnie nie żywię już do niego żalu i dobrze mu życzę, zwłaszcza odnośnie zdrowia. Moneta zawsze będzie mieć dwie strony.....

Załączniki

Załącznik nr 1

Ważniejsze zmiany w dzisiejszym Krakowie

W swoim opracowaniu często używam dawnych nazw ulic, bo przecież tak one się wtedy nazywały. Tak więc dawna ulica Świerczewskiego to dzisiejsza Studencka (jest to nazwa tej ulicy używana przed II wojną). Ulica Manifestu Lipcowego to dzisiejsza Piłsudskiego, choć do śmierci Marszałka była to ulica Wolska. Plac Hanki Sawickiej, konspiracyjnej działaczki komunistycznej, poległej w czasie wojny, został okrojony i dziś ostała jego część nosi nazwę księdza Mieczysława Kuznowicza, a na jego drugiej połowie został dobudowany fragment szpitala im. Józefa Dietla. Aleja Puszkina, przy której stoi stadion Cracovii, jest dzisiaj Aleją Focha, jak przed wojną (czy słusznie?), a ulica Jaracza, w której pobliżu stoi gmach Młodzieżowego Domu Kultury, powróciła do nazwiska jego fundatora - Sereno Fenna. Oczywiście ulica Bohaterów Stalingradu powróciła do dawnej nazwy - Starowiślna, jakże pięknej, a ulica Bitwy pod Lenino do dawnego jej patrona - Mikołaja Zyblikiewicza, jak przed wojną. Z innych zmian, ulica Solskiego powróciła do dawnej nazwy św. Tomasza, Mikołaja Reja do Radziwiłłowskiej, 1-Maja do Albina Dunajewskiego, znanego bankiera, a Dzierżyńskiego do Juliusza Lea, wybitnego prezydenta Krakowa. Ulicy Wybickiego przywrócono dawną nazwę: Pomorska, ulica Wincentego Pstrowskiego powróciła do starej nazwy - Kalwaryjska, a bliską mi ulicę Marchlewskiego na Osiedlu Oficerskim, wszak tu mieszkała tu moja ciotka Karolka, przemianowano na Beliny - Prażmowskiego. Ulicę 18-Stycznia ochrzczono Królewską, choć nie jest to jej historyczna nazwa, a plac Wolności ze znanym kiedyś „Kominem” - pomnikiem ku czci żołnierzy radzieckich, wyzwolicieli Krakowa, na powrót przemianowano plac Inwalidów. Sam „Komin” wyburzono, a wiele innych pomników przypominających radzieckie „wyzwolenie”, m.in.: grób-pomnik żołnierzy radzieckich poległych przy oswobodzeniu Krakowa, który był zlokalizowany na Plantach, naprzeciw Barbakanu czy marszałka Iwana Koniewa wystawiony na Widoku, rozebrano bądź przeniesiono w inne miejsce. I wreszcie sztandarową drogę z czasów budowy Nowej Huty, trakt łączący „zgniłe” miasto z siedliskiem „proletariuszy” - aleję Planu Sześcioletniego, przemianowano na Aleję Jana Pawła II, ale czy tym przypadku postąpiono słusznie? Historii nie da się przecież zafałszować, a o pewnych czasach i wydarzeniach nie sposób zapomnieć, bez względu na charakter skojarzenia. Ta dawna nazwa przecież jednoznacznie określała czasy, w których powstawała ta magistrała, co by nie powiedzieć ważna dla rozwoju Krakowa, a Papież zasłużył na inną formę pamięci.

Zlikwidowano szereg „ekskluzywnych” kiedyś kin, jak: Warszawa (przy ulicy Stradom 15), kiedyś, przed wybudowaniem kina Kijów, którego nazwy nie zmieniono, najbardziej reprezentacyjne kino w Krakowie, Wolność (przy dawnej ulicy 18-Stycznia 7), Uciecha (przy dawnej ulicy Bohaterów Stalingradu 16), Apollo (przy byłej ulicy Solskiego 11) czy Sztuka (na ulicy św. Jana 6), Młoda Gwardia z ulicy Lubicz 15 i mnóstwo mniejszych. Ostały jedynie niedobitki jak: Mikro na dawnej ulicy Dzierżyńskiego 5 (dziś Lea) - koło Parku Krakowskiego, bo budynek kina Wrzos na ulicy Zamojskiego 50 w Podgórzu został niedawno wyburzony.

Z centrum Krakowa pozniwały też wszystkie „mordownie” i może tylko nieliczne z nich ostały się jeszcze gdzieś na peryferiach miasta. Niepostrzeżenie przestały istnieć tak popularne kiedyś lokale, jak: restauracja Ermitage z ulicy Karmelickiej 3 i Kawiarnia Kopciuszek usytuowana nieco dalej, pod nr 13, kiedyś naprzeciw sklepu rybnego. Nie istnieje też Warszawianka, niezwykle popularny dawniej, dwupoziomowy lokal z ulicy 1-Maja 4.

Jakże niewiele dawnych sklepów pozostało na swych starych miejscach. W okolicach Czystej jakimś cudem do niedawna istniał stary warsztatik szewski Franciszka Chytrego przy ulicy Dolnych Młynów 3, ale i on poległ, natomiast nadal funkcjonuje dawny sklep spożywczy Zofii Łakomskiej przy ulicy Rajskiej 20, jeszcze do niedawna zarządzany przez jej córkę Zofię Biernat, a teraz przez jej wnuka Janusza Biernata i jego żonę Halinę. Gdy ostatnio tędy przechodziłem zauważyłem tam „drzewo w kółkach”, rozłożone na tych samych półkach co dawniej. Pozostał też lokal po sklepie Serafina na rogu ulic: Garncarskiej i Świerczewskiego (Studenckiej), ale już bez dawnej duszy, bo nie ma już tu sklepu. Na rogu ulic: Czystej i Dolnych Młynów dalej funkcjonuje bar mleczny Górnik, dawna oaza taniego i smacznego jedzenia. Na ulicy Rajskiej 22 w miejscu dawnej, państwowej działka dziś piekarnia Buczka, choć sam lokal nie przypomina już starego. Do dziś przetrwał kiosk „Garlejki” naprzeciw budynku Sokoła, a dawne Delikatesy u Hawełki w Rynku Głównym 34 są dziś sklepem Biedronki. Niedawno z lokalu przy ulicy Karmelickiej 16 znikł znany sklep rybny, który ustąpił miejsca piekarni Awitex. Nadal działa też zakład zegarmistrzowski Płonki ze Szewskiej 12, ale już bez zabytkowego wnętrza i znane cukiernie: Michałka z ulicy Krupniczej 6, Pietruszki z ulicy Jagiellońskiej 5 oraz Galganka z ulicy Karmelickiej 25 czy Pochopienia spod nr 21. Niewiele tego pozostało, ale jakże dobrze, że przynajmniej tyle. Dzięki tym obiektom mogę sobie jeszcze czasem pomarzyć, że dalej jestem małym chłopcem i że trzeba się śpieszyć na obiad do domu, bo czeka z nim mama.

W ostatnich latach ruszyła wreszcie akcja rewaloryzacji Kazimierza, który przez lata był dzielnicą całkowicie zapomnianą i przez to bardzo zaniedbaną, może na szczęście, bo nikt tu nie dokonywał jakichś rażących przeróbek. Wielu zabytkom, zwłaszcza wokół ulicy Szerokiej i w jej bezpośrednim sąsiedztwie, przynajmniej po części przywraca się ich dawny, historyczny wygląd, ale ostatnio zbyt często niestety i ten obszar staje się areną nazbyt nowatorskich pomysłów budowlanych, które zaburzają specyficzny klimat tego miejsca, nie mówiąc już o zniekształcających dawne fasady dobudówkach. Chodziłem tu przez lata, tak z historycznej ciekawości, gdy ta stara, żydowska dzielnica: brudna, śmierdząca i odrapana, była jeszcze miejscem zamieszkiwania głównie miejskiej biedoty, różnego rodzaju: lumpów, złodziejaszków i andrów, przez co posiadała ona swoją specyficzną aurę, która została tu wytworzona w latach powojennych, gdy zabrakło jej dawnych mieszkańców i trwała ona do początku lat 90-tych XX wieku. Trzeba się cieszyć, że szybko powraca tu bodaj namiastka klimatu z lat przedwojennych, który nieraz opisywała mi moja mama i że dzielnica ta staje się miejscem pielgrzymowania Żydów z całego świata, ale scenerię tych małych sklepików i warsztatów rzemieślniczych, widocznych choćby na dawnych zdjęciach, ciężko będzie przywrócić, jeśli ich otoczenie będzie nazbyt nowatorskie.

Do pozytywów trzeba też zaliczyć nadal kontynuowany remont fortu Kościuszko, ostatnio połączony z rekonstrukcjami wielu fragmentów. W moim dzieciństwie był on w stanie daleko posuniętej ruiny i dosłownie straszyl swoim wyglądem. W odremontowanym już fragmencie dawnych koszar i bastionu nr V jakże sensownie zlokalizowano siedzibę Radia RMF i muzeum. Na pełne uporządkowanie czekają wały ziemne na tyłach fortu, a wtedy byłby to zabytek najwyższej klasy. Cały czas coś się tam dzieje: zrekonstruowano kurtynę I-V, a ostatnio odtworzone zostały fragmenty bastionu nr II (ściana wewnętrzna) i ukończono w formie niskiego murku narys kurtyny I-II. Prace przebiegają w wolnym tempie, pewnie z uwagi na brak środków finansowych, ale cały ten projekt podąża jednak w dobrym kierunku.

Niestety wiele innych fortów niszczeje na moich oczach, nie mogąc się doczekać na sensownych sponsorów. Gdy w 1976 roku przeprowadziłem się na „Kozłówek” zacząłem penetrować okoliczny teren: Prokocimia, Kosocic, Rajska i Swoszowic, prawdziwą galerię dzieł sztuki obronnej z okresu czterdziestolecia poprzedzającego I wojnę światową. Na tej południowej rubieży twierdzy są zlokalizowane przeróżne obiekty obronne: szańce i wały ziemne, podziemne kawerny, forty artyleryjskie i pancerne czy dawne drogi forteczne i chroniące je bunkry przydrożne. Dziś po 30 latach z przerażeniem spoglądam na stan większości z tych ciągle niedocenianych zabytków. W latach 70-tych obiekty te posiadały jakichś gospodarzy, nie idealnych, ale przynajmniej nikt świadomie ich nie dewastował, a dziś porzucone i zapomniane są areną działań lokalnych chuliganów, którzy niszczą wszystko co wpadnie im pod rękę; książkowym wręcz przykładem jest tu Fort nr 50 - Prokocim.

Gdy dziś porównuję jego obecny stan z tym z lat 80-tych, gdy zapuszczałem się tutaj jeszcze ze swoją córką, można tylko załamać ręce. Skradziono pancerną osłonę na karabin maszynowy, która ważyła z dobre kilka ton, powypalano wszystkie futryny okienne, poniszczono ceramikę ubikacji i instalacji elektrycznych i nawet próbuję się rozbijać kawałki muru, tak dla sportu, a przy tym wszystkim fosy wypełniają się tonami śmieci, wszak w okolicy powstaje coraz więcej domów „nowobogackich”, którzy w ten sposób oszczędzają na ich wywozie. Jak więc widać nowe czasy nie zawsze przynoszą lepsze rozwiązania, choć sądząc po projektach i gołosłownych deklaracjach jest teraz niemal idealnie.



Fot. nr 408. Wejście do fortu nr 50 Prokocim wg stanu z roku 1988. Z prawej jest jeszcze widoczna osłona pancerna dla ckm.

Ale i tu ostatnio coś drgnęło w dobrym kierunku, bo np. do końca zbliża się remont bardzo zniszczonego fortu nr 52a – Łapianka.

Pozytywne zmiany zaszły w otoczeniu Kopca Piłsudskiego, w czasach mojego dzieciństwa zwanego Kopcem na Sowińcu. Jeszcze w latach 70-tych był on totalnie zaniedbany, bo jego patron nie był oblubieńcem władzy ludowej. Jego zbocza były częściowo zalesione, a czubek ledwo widoczny. W latach 80-tych starzy zwolennicy Marszałka, których mu nigdy w Krakowie nie brakowało, w większości w czynie społecznym powoli zaczęli przywracać mu dawny wygląd, ale nie robili tego nazbyt fachowo, bo na początku lat 90-tych po jakiejś gwałtownej ulewie kopiec ten w fragmentach po prostu „spłynął”. Nastąpił już jednak inny czas i na jego odbudowę, tym razem już fachową, znalazły się państwowe pieniądze, więc zarówno sam obiekt, ale też i jego otoczenie lśnią dziś jak nigdy przedtem. Ale co by się stało z tym miejscem, gdyby nie garstka zapaleńców, nie wiadomo.

Zgrozę budzą zarastające zbocza i stoki wokół Kopca Kościuszki, Sikornika i Lasu Wolskiego, kiedyś ulubione trasy zjazdowe dla narciarzy, co jest wątpliwą zasługą ostatnich 25 lat. Podobnie dramatycznie zarasta otoczenie Skał Twardowskiego, w tym tzw. Modraszkowa Łąka, obszar zlokalizowany pomiędzy ulicami: Wyłom i św. Jacka, o której przyłączenie do parku zacięte walki toczył „Modraszek Kolektyw”, także teren byłego KL Płaszów, gdzie dopiero od kilku lat, pewnie też z uwagi na zagranicznych turystów licznie odwiedzających to miejsce, przystąpiono do akcji częściowego odchaszczania. Niestety takich przykładów jest więcej, że wymienię jeszcze zbocze pod Kopcem Kościuszki na tzw. „dworskim”, gdzie mamy dżunglę ciernistych krzewów. Udane, choć nie idealne są więc próby zakładania winnic na świeżo oczyszczonych z zarośli zboczach jak choćby na stokach: Srebrnej Góry czy w północnym fragmencie Sikornika, gdzie jego stok opada ku Przegorzałom.

Odkąd ZZM, miejskie przedsiębiorstwo funkcjonujące w strukturach UMK, przejął Piotr Kempf wiele z zarastających dawnych uroczysk i zboczy jest stopniowo odkrzaczanych, ale by usunąć zaniedbania z ostatnich 20 lat trzeba będzie poczekać jeszcze dobre kilka lat. Wiele miejsc rekreacyjnych, jak choćby Park Bagry Wielkie czy końcowy fragment Słonecznej Promenady na Sikorniku, zmienia się na korzyść, czasem nie do poznania. Piękny teren rekreacyjny ma powstać na Skałach Twardowskiego, gdzie Miasto niedawno odkupiło sporo gruntów. Jeden człowiek, a jak wiele w dziedzinie miejskiej zieleni był w stanie zmienić.

Niektóre współczesne projekty budziły jednak zgrozę i przerażenie. W książce Witolda Chrzanowskiego: „Kronika Słowian”, wyczytałem o barbarzyńskim projekcie zabudowy błonia przed fortem św. Benedykta, które kiedyś było być może siedliskiem plemienia Wiślan. Teren ten do tej pory nie został przebadany archeologicznie i decyzje niektórych władz miejskich wywoływały zdecydowany sprzeciw. Autor zadawał tam pytania: jak to możliwe, by w XXI wieku w majestacie prawa dokonywano takich spustoszeń i czy więcej warta jest jakaś nowoczesna, nieciekawa zabudowa niż ponad tysiącletnia historia tego miejsca, ciągle tak mało znana? Na szczęście pomysł upadł, podobnie jak inny, dotyczący dobudowania do samego fortu szklanej kopuły, w czym duża była zasługa lokalnych działaczy ze Stowarzyszenia Podgórze.pl z Pawłem Kubisztalem.

W lutym 1973 roku zburzony został piękny stadion Garbarni przy ulicy Barskiej, obiekt typowo angielski, bez bieżni, gdzie widownię od murawy oddzielała tylko siatka, z potężną drewnianą trybuną. W miejscu tym dopiero po wielu latach, gdzieś pod koniec lat 80-tych, ukończono budowę ekskluzywnego jak na te czasy Hotelu Forum, który funkcjonował jedynie przez 15 lat. Po zamknięciu hotelu w roku 2003 istniały plany jego zburzenia i wybudowania w tym miejscu wielkiego osiedla. Na szczęście z czasem i ten paranoiálny pomysł, kolejny z pierwszych dwóch dekad III RP też upadł.

Przez wiele lat Garbarnia była zmuszona grać na stadionie Korony, bowiem jej nowy stadion, który ślamazarnie budowano przy ulicy Rydlówka, w sąsiedztwie Wilgi i Krakowskiego Uzdrowiska, wbrew wielu wcześniejszym obietnicom został oddany do użytku dopiero na początku lat 90-tych. W tym czasie klub ten niestety zatracił swój dawny, regionalny, ludwinowski koloryt oraz związaną z tym przedmieściem bazą ludzką i od tej pory następował stopniowy jego upadek. Dzisiejsza Garbarnia bez dawnego zaplecza nie ma już wiele wspólnego z dawnymi „chłopcami z Ludwinowa” i długo plątała się po niższych klasach. Niedługo być może całkowicie zniknie też sam przysiółek, przykład typowo podmiejskiej zabudowy, który funkcjonował głównie wokół ulic: Ludwinowskiej, Tureckiej i Zatorskiej, bo intensywnie powstaje tu blokowa zabudowa mieszkalna, tzw. apartamentowce, a stare domki odchodzą w otchłań zapomnienia. Z dawnego, prawobrzeżnego Ludwinowa w zasadzie pozostały już tylko ulice: Spiska i Turecka, obie zlokalizowana w bezpośrednim sąsiedztwie Wilgi. Po tej stronie Wilgi było zbyt wiele wolnych terenów, w tym dawnych ogrodów i ogródków działkowych, więc i tu, wokół początkowego fragmentu ulicy Przedwiośnie powstało wielkie blokowisko, a po dawnych sadach pozostały tylko wspomnienia.

Na moich oczach po latach całkowitego zaniedbania i dewastacji zniknął też stadion lekkoatletyczny Cracovii, kiedyś miejsce wielu mityngów i spotkań międzypaństwowych z udziałem wybitnych lekkoatletów, w tym ze słynnego polskiego „wunderteamu”. W niwecz zostały obrócone budynki dawnych szatni: żeńskiej i męskiej na jego zapleczu, zdobione szeregiem cennych detali, w tym płaskorzeźb nad ich drzwiami, podobnie jak zrównane z ziemią zostały: dawna trybuna, amfiteatralne boisko i ceglaste korty. Na tym wybitnie sportowo-rekreacyjnym gruncie, który w ostatnim okresie XXI wieku podlegał różnym spekulacjom własnościowym, by nie powiedzieć przekrętom, do czego pretekstem stała się możliwość wykorzystania Krakowa jako jednej z aren piłkarskich mistrzostw Europy w roku 2016 (Kraków oczywiście nie zaznał tego zaszczytu, ale o ponownej zmianie PZP dla terenu Cichego Kąca jakoś dziwnie zapomniano), szybko powstało wielkie blokowisko pod nazwą Błonia Park, choć pierwotnie miał tu powstać jedynie hotel o przekrętnej nazwie „aparthotel”, lecz tej zmiany przeznaczenia też dziwnym trafem nikt nie dostrzegł.

Nieco lepszy los spotkał sąsiedni obiekt, przedwojenne kąpielisko, bo choć baseny zasypano, to przynajmniej nie wyburzono części ich dawnej infrastruktury, a ponadto ma tu powstać jakiś kompleks o rekreacyjnym charakterze. Oba te obiekty zostały wybudowane w okresie międzywojennym właśnie przez władze miasta Krakowa, by dawać wypoczynek i relaks jego mieszkańcom, a zastosowane tu rozwiązania mogły stanowić wzór dla obecnych projektantów. Niestety żyjemy dziś w czasach, w których bezwzględnie rządzi pieniądz i nikt nie patrzy w przeszłość, choćby była ona nie wiem, jak była chlubna oraz na interes mieszkańców. Lepiej nie myśleć jaki tu, w sąsiedztwie Błoni, będzie „magiel” i „czad”, gdy Błonia Park zostanie zaludniony, a w zielonej kiedyś okolicy będą dodatkowo przejeżdżać setki samochodów.



Fot. nr 409. Miejski stadion lekkoatletyczny w Cichym Kąciku - niemal nówka. (1937)



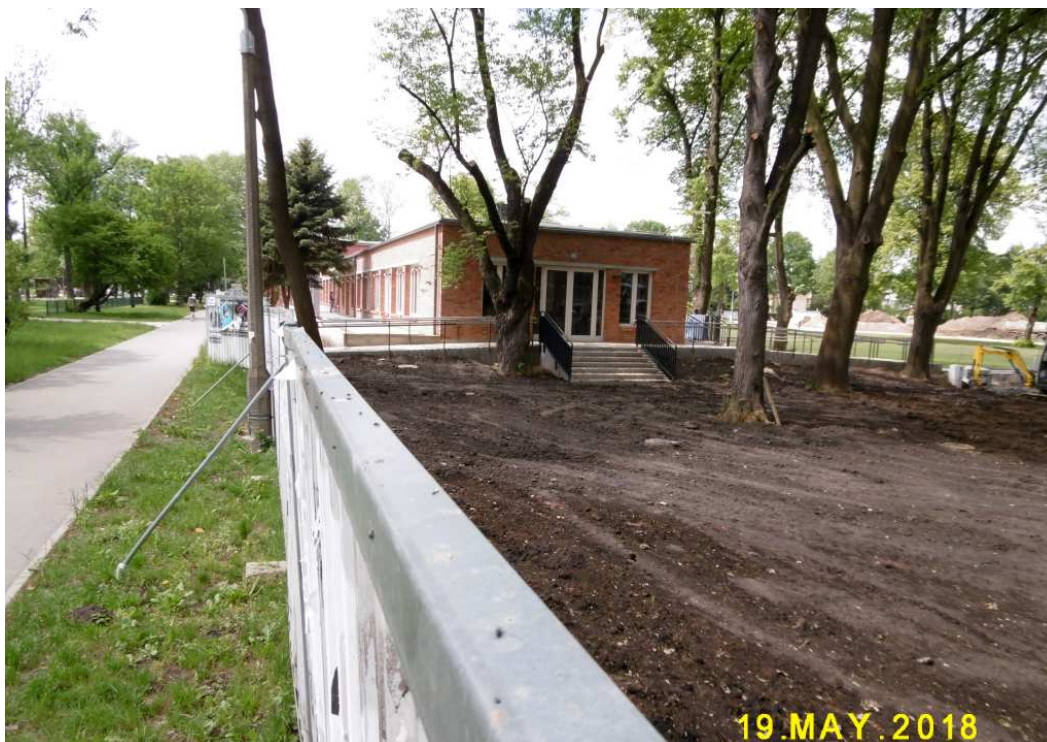
Fot. nr 410 (410-411). Sześciopiętrowy, dwuskrzydłowy moloch mieszkalny pod nazwą Błonia Park, który wyrósł na terenie dawnego stadionu I.a. Widok od strony dawnego wejścia na stadion z alei 3-Maja.



Fot. nr 411. Blokowisko w ujęciu od strony stadionu Wisły.



Fot. nr 412. Splantowany teren kompleksu basenów.



Fot. nr 413. Odnowiony budynek basenowej szatni, co wyraźnie odróżnia tę inwestycję od sąsiedniej, bo tu przynajmniej zostanie zachowane dawne przeznaczenie tego terenu, a ponadto po części przetrwa jego oryginalna zabudowa, w tym przylegający do szatni od strony Cichego Kąca budynek mieszkalny.

Wierzyć się nie chce, ale na początku XIX wieku dokonuje się wielu mniej lub bardziej zakamuflowanych nadbudówek zabytkowych kamienic w centrum Krakowa, nawet w obrębie samego Rynku (kamienica nr 32), który powinien stanowić nietykalną świętość, co dzieje się przy akceptacji odpowiedzialnych za to instytucji (WKZ, MKZ), a na co dawniej, w tych wydawałoby się „zgniłych czasach”, nikt by takich zezwoleń nie wydał. Można tylko zażartować, że przy takiej filozofii, ciągłego równania do najwyższych obiektów, pierzeje Rynku wkrótce staną się krakowskim Manhattanem.

W samym sercu miasta powstają swoiste „straszydła” czy dziwolągi, na razie na szczęście nieliczne: nowy budynek na rogu ulicy Grodzkiej i placu Wszystkich Świętych – tzw. Pawilon Wyspiański 2000, nomen omen w sąsiedztwie Magistratu czy karykaturalnie odrestaurowane kamienice w Rynku Głównym 12 i 13, gdzie zniszczeniu uległo piękne podwórko, które w swoim wnętrzu eksponują głównie mix betonu, żelastwa i szkła. Mój Boże, by zapewnić tam ludziom transport na pierwsze czy drugie piętro, widać zdaniem miejskich decydentów na niebotyczną wysokość, wykonuje się na dziedzińcu budynku ruchome schody, które totalnie zaburzają dawny, niemal pałacowy układ i skutecznie kamuflują wygląd zabytkowego wnętrza. Przecież Wawel też ma dwa piętra i duży dziedziniec, więc kto wie czy w przyszłości i tam nie przeszczepi się tych „genialnych”, jakże nowatorskich, żeby nie powiedzieć „wybitnie twórczych” pomysłów.



Fot. nr 414. Przykład drapieżnej nadbudowy pięter w zabytkowym centrum Krakowa. Przy ulicy Szewskiej dobudowano już piętra w kamienicach pod nr: 3 i 7, a szykuje się nadbudówka pod nr 9.



Fot. nr 415. Nadbudowane czwarte piętro do kamienicy w Rynku Głównym 32. Mury szybko mkną do góry.

Już wcześniej zdecydowany sprzeciw wzbudziła komiczna kompilacja bryły Hotelu Sheraton na ulicy Powiśle oraz z założenia podziemna realizacja centrum obsługi ruchu turystycznego (CORT) u stóp samego Wawelu, wszak obiektu tego skutecznie nie dało się ukryć. W tym pierwszym przypadku w nowoczesną bryłę próbowano na siłę wkomponować atrapę fasady zabytkowego budynku dawnego, parterowego browaru, a raczej pod pretekstem zachowania w pamięci o tej zabytkowej budowli najnormalniej w świecie wybudowano tu nowy obiekt, który zupełnie nie pasuje do otoczenia Wawelu.

Kompletnie nieudana i budząca powszechne żarty jest też tzw. „kryształowa latarnia”, czyli nowy, nazbyt nowatorski wodotrysk powstały w sąsiedztwie Sukiennic w miejscu starej fontanny autorstwa Wiktora Zina, za którą ciągle tęskni wielu starej daty krakusów.



Fot. nr 416. Mnie przynajmniej trudno to skomentować. Pawilon Wyspiański 2000 jest w moim przekonaniu typowym przykładem arogancji decyzyjnej i prowokacji artystycznej. Ale, co trzeba przyznać, ma też swoich zwolenników.

Wielu przeciwników ma też przebudowa placu Szczepańskiego, gdzie nie kierowano się historycznymi przesłankami i stworzono całkowicie nową koncepcję, nawiązującą do secesji, która jednak dominuje w otoczeniu tego placu. Mnie osobiście to rozwiązanie się podoba.

Dla ambitnych twórców, którzy chcą się twórczo „zrealizować”, są przecież do wykorzystania nowe dzielnice miasta, w wielu przypadkach szare i nieciekawe, gdzie ani nadmiar żelaza, ani szkła czy betonu nikomu nie będzie przeszkadzał, a wielu zapewne się spodoba. Nowe rozwiązania architektoniczne, w wielu przypadkach naprawdę interesujące, powinno się tworzyć poza linią Plant.



Fot. nr 417. Kamienica przy Rynku Głównym 13. Zamiast zabytkowych detali, na dziedzińcu tego dawnego założenia pałacowego eksponuje się sterty: betonu, żelastwa i szkła. W poprzek zniszczonego dziedzińca zamontowano ruchome schody.



Fot. nr 418. Kuriozalny przykład powiązania pozornej tradycji ze współczesnością – budynek Hotelu Sheraton przy ulicy Powiśle.



Fot nr 419. Prowokujące wyglądem centrum obsługi ruchu turystycznego pod Wawelem, które zostało wybudowane pomimo druzgocącej krytyki.



Fot. nr 420. Powszechnie krytykowana tzw. kryształowa fontanna z Rynku Głównego. Gdzie jej do marmurowego oryginału prof. Wiktora Zina.



Fot. nr 421. Plac Szczepański po kontrowersyjnej przebudowie. Mnie akurat ta zmiana przypadła do gustu.

Ostatnio przy pobliskim placu na Groblach wybudowano nowy podziemny parking, ale na szczęście miejsce to nie zmieniło swego dawnego, sportowego oblicza, wszak zachowano tu kompleks sportowy. Sama koncepcja, jak i jego realizacja jest w moim przekonaniu przykładem pozytywnego myślenia.

Możne jeszcze w wielkim skrócie wymienię najważniejsze inwestycje powstałe w naszym mieście w XXI wieku. Na pierwszym miejscu trzeba wymienić Tauron Arenę, ogromną halę sportową, jakże miastu potrzebną, która powstała w Czyżynach i została otwarta w roku 2014. Niemniej potrzebną inwestycją, uruchomioną w tym samym roku, było Centrum Kongresowe, kulturalne okno Krakowa na świat, które powstało przy Rondzie Grunwaldzkim. Nie sposób nie wspomnieć o nowym gmachu Opery powstałym w sąsiedztwie Ronda Mogilskiego w latach 2004-2008, przy ulicy Lubicz 48, do którego dość nieciekawie pod względem architektonicznym zaadaptowano budynek dawnej Operetki, a wcześniej Domu Żołnierza. Lokalizacja gmachu Opery jest niefortunna, bo trudno w tym miejscu o miejsca parkingowe. W bliskości Ronda Mogilskiego, po ponad czterech dekadach od powstania konstrukcji, wreszcie coś się dzieje ze słynnym „szkieletorem”, który w roku 2018 został ogołocony ze ścian, a wokół niego rozrasta się nowy gigant - Unity Centre i to jego skład wejdzie ten wrośnięty już w pejzaż Krakowa, podobnie jak „błękitek” PKO z alei Pokoju, lokalny „drapacz chmur”. Z nowych inwestycji oddanych do użytku w czasach prezydentury Jacka Majchrowskiego trzeba jeszcze dodać ukończenie ciągnącej przez wiele lat budowy kompleksu dworców: kolejowego i autobusowego. Stary gmach Dworca Głównego, póki co stoi bezużyteczny.



Fot. nr 422. Tauron Arena, pośrodku w tle, w ujęciu z Kopca Kraka.



Fot. nr 423. Centrum Kongresowe przy Rondzie Grunwaldzkim i nowa wizja Zakrzówka.



Fot. nr 424. Nowy gmach Opery Krakowskiej (z prawej) wciśnięty w zabudowę ulicy Lubicz. (23.12.2011)



Fot. nr 425. Budowa Unity Centre przy Rondzie Mogilskim, a pośrodku autentyczny już „szkieletor.

W XXI wieku zabudowuje się wszystkie wolne place na styku z zabytkowym centrum, zatykając zbawienne lufty, które przynajmniej po części wentylują zanieczyszczone ponad wszelkie dopuszczalne normy centrum Krakowa. O zablokowaniu ciągu z Mydlnik poprzez zabudowę dawnego stadionu I.a., co dodatkowo pociągnie wzrost emisji spalin na obrzeżu Błoń, już wyżej wspominałem, a teraz na zielonym do niedawna cypelku na styku ulic: Konopnickiej, Monte Cassino i Kilińskiego, powstaje kolejny moloch, który dodatkowo przysłoni panoramę Wawelu od strony Skał Twardowskiego. Pospołu z równie gigantycznym Centrum Kongresowym ma on utworzyć tzw. „bramę dębnicką”, co jest kolejnym ukłonem w stronę deweloperów, dla których, jak się powszechnie mówi, Kraków jest rajem. Przy okazji zniszczy się galicyjski klimat jednego z ostatnich fragmentów niemal oryginalnej, podmiejskiej zabudowy Dębnik z przełomu XIX i XX wieku, trwającej wzdłuż ulicy Kilińskiego.



Fot. nr 426 (426-427). Beton wkracza na skraj Dębnik w sąsiedztwie Ronda Grunwaldzkiego.



Fot. nr 427. Co pozostanie z galicyjskiego klimatu ulicy Kilińskiego?

Stare bruki, wykonane z kruszonego wapienia bądź kostki bazaltowej, które funkcjonowały przez wieki, zastępuje się dziś szklącą, nowoczesną kostką, zwykle granitową, przez co zabytkowe centrum zatracą swój niepowtarzalny klimat: miasta o średniowiecznej metryce. Może na tych „kocich łbach”, które znikły przy „remontach” nawierzchni: Rynku Głównego w 1963 roku, placu Szczepańskiego w roku 1948, a ostatnio i placu Mariackiego, stłukło się czasem kolano, ale od tego nikt nie umarł. Wapienny bruk wyszlifowany przez ludzi i czas, który nie przeszkadzał galicyjskim „paniusiom” i „centusiom”, lokalnym handlarzom oraz podmiejskim przekupom i ich drabiniastym wozom, dziś usuwa się bezceremonialnie, bez szacunku dla jego historycznej wartości, zastępując go z pewnością trwalszym granitowym substytutem, ale o jakże innej kolorystyce. Można powiedzieć: coś za coś, ale trzeba pamiętać o granicach wyboru i kompromisu.

Przy remoncie rynku w Starym Sączu „kocie łby” potraktowano z należnym im ceremoniałem, pozostawiając je do powtórnego ułożenia, zaś w Krakowie w wielu miejscach usuwa się je zbyt lekko i bezboleśnie. Kostki wykonane z granitu czy niepraktycznego tureckiego wapienia, bo te drugie szybko pękają na mrozie, z pewnością nie rażą w nowoczesnym otoczeniu, a więc poza historycznym centrum, choćby w bliskości Galerii Krakowskiej czy Galerii Kazimierz, ale Rynek i jego okolice powinny zachować swój historyczny wygląd jak przystało na światowej klasy zabytek, przynajmniej w sporych fragmentach.



Fot. nr 428. Rynek Główny w latach 30-tych, z jego oryginalnym, wapiennym brukiem.



Fot. nr 429. Przykład dawnego, wapiennego bruku wokół kościoła św. Wojciecha.



Fot. nr 430. Przykład stosowania różnego wyłożenia płyty Rynku (od lewej): współczesna kostka wapienna, która się nie sprawdziła, oryginalna kostka wapienna i kostka granitowa, dziś powszechna.



Fot. nr 431. Chaos fasad kamienic na odcinku między ul.: Bracką i Wiślną. Dziś jest tu już lepiej, choć kamienica pod nr 22 nadal straszy swym wyglądem.



Fot. nr 432. Chaotyczne i przypadkowe fasady kamienic w odcinku ulicy Grodzkiej o nr: 26-32. Dziś, po niedawnej odnowie kamienicy Podelwie (z prawej) jest już trochę lepiej, choć obiekty o nr: 28 i 30 nadal straszą.

Jeszcze do niedawna swym niechlujstwem i zaniedbaniem raziły fasady kilku kamienic w Rynku Głównym i na szlaku królewskim, zwłaszcza na początku ulicy Grodzkiej, które w wielu przypadkach eksponowały prowincjonalną pstrokaciznę i chaos, z różnymi typami okien nawet na tym samym piętrze. Na szczęście dziś to już w większości tylko złe wspomnienie, ale np. na właściciela kamienicy z Rynku Głównego 22 nadal nie ma siły. W tym przypadku warto porównywać nasze miasto z Pragą, z którą Kraków dumnie walczy o miano najbardziej atrakcyjnego turystycznie miasta Środkowo-Wschodniej Europy. Wiem, że sprawa nie jest prosta, bo jest to w większości własność prywatna, więc trzeba też oddać sprawiedliwość, że ostatnio wiele się zmienia na korzyść, choć problemów ciągle nie brakuje.

Na szczęście nie brak i wielu przykładów pozytywnych działań. Bardzo udanie został zrewaloryzowany Mały Rynek, ale uczyniono to na przełomie lat 60-tych i 70-tych. Ja pamiętam jeszcze odrapane kamienice, o chaotycznych i przypadkowych elewacjach. Przywrócenie tej zabudowie jednolitego charakteru jest godne powielenia w dzisiejszych czasach.

Pod płytą Rynku Głównego została otwarta trasa turystyczna, z wyeksponowaniem szczątków dawnych bruków i nieistniejących już budowli, choćby: starych Sukiennic, kramów bogatych czy budynku Wagi Miejskiej, co jest przedsięwzięciem i atrakcją na skalę europejską. Warstwa kulturowa sięga tu do sześciu metrów i w „podziemnym” Krakowie zachowało się też wiele innych detali, nawet z czasów lokacji miasta w XIII wieku. Ja popieram ten pomysł i realizację, choć, jak to w Krakowie, ma on wielu krytyków z uwagi na bezpowrotne zniszczenie archeologicznego „archiwum” naszego miasta.

Można być też dumnym ze sposobu rewaloryzacji ulicy Kanoniczej, kiedyś zaniedbanej jak sam Kazimierz. Dziś jest to prawdziwa wizytówka Krakowa, gdzie odstąpiono od eksperymentalnych sposobów ekspozycji zabytkowych elementów, pewnie też dlatego, że jest to w większości własność kościelna. Przechodząc tym dawnym traktem królewskim po wiekowych, autentycznych brukach i w sąsiedztwie stylowych domów oraz pałaców z pięknie wyeksponowanymi kamiennymi portalami i obramieniami okiennymi, zza których wyglądają polichromowane ściany i drewniane stropy, często kasetonowe, można sobie przez chwilę wyobrazić, jak wyglądało życie elit kilka wieków temu. Może dobrze, że są to obiekty prywatne, w większości podległe Kościołowi Katolickiemu, wszak z tego względu są one lepiej chronione przed niekiedy nazbyt twórczymi projektami rewaloryzacyjnymi rodem z Europy Zachodniej, które czasem próbuje się na siłę wdrażać w zabytkowym centrum miasta.



Fot. nr 433. Początkowy fragment ulicy Kanoniczej, z ciekawie dobudowaną o piętro i poddasze kamienicą (w tle) – widok z okolic Placu Św. Marii Magdaleny.

Bardzo pozytywne zmiany zaszły w wystroju Plant, za czasów mojego dzieciństwa bardzo zaniedbanych, gdzie zielone trawniki, zarośnięte i zakrzaczone, były ogrodzone przy pomocy drewnianych kołków i drutu, ławki nie zachwycały swym wyglądem, a alejki często bywały błotniste i dziurawe. Takie Planty zostawili nam Niemcy, którzy całe ich dawne, metalowe wyposażenie przeznaczyci na armaty. Akcja ich rewaloryzacji, z wyeksponowaniem zarysu dawnych murów obronnych, o których istnieniu i przebiegu wielu współczesnych Krakusów często miało jedynie wątkę pojęcie, o czym nieraz miałem się okazję przekonać, okazała się jednym z bardziej udanych współczesnych przedsięwzięć.

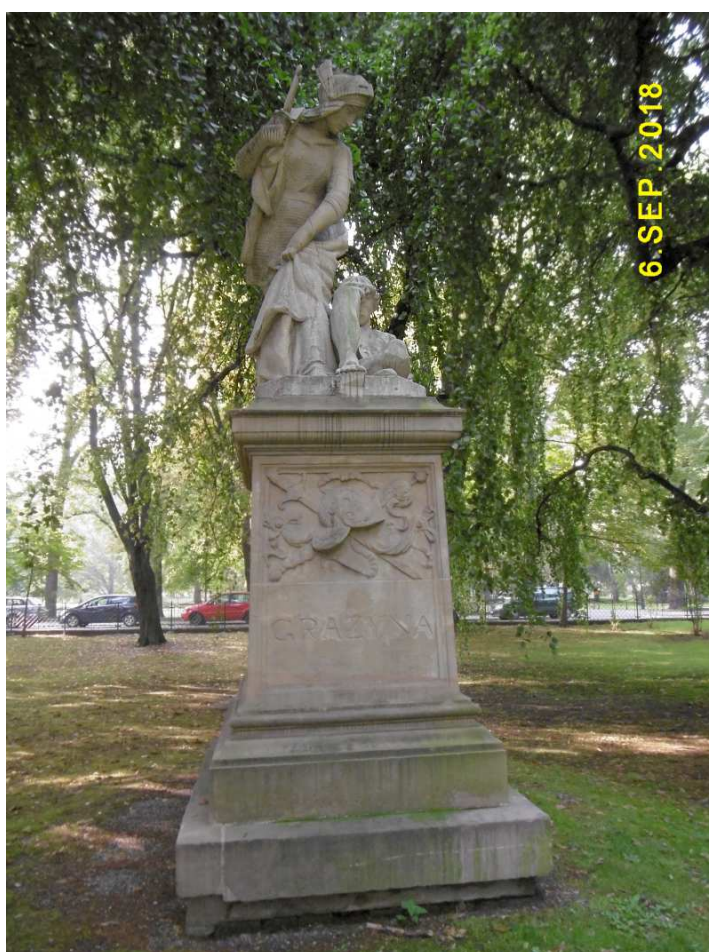
Nie tylko mnie drażniło, że jeszcze do niedawna, bo do roku 2016, przez ćwierć wieku w stanie uszkodzonym stał pomnik Grażyny i Litawora autorstwa Alfreda Dauna, który niemal sąsiaduje na Magistratem. Grażyna miała oderwaną rękojeść miecza i można było odnieść wrażenie, że chce swego męża zdzielić w głowę pięścią, więc pomnik ten był taką małą groteską.



Fot. nr 434 (434-436). Pomnik Grażyny i Litawora na krakowskich Plantach został uszkodzony w roku 1989, ale do jego naprawy trzeba było ćwierć wieku. Miałem swój mały udział w finalizacji tego przedsięwzięcia, bo uporczywie przypominałem o tym w różnych mediach.



Fot. nr 435. Uszkodzony fragment – ubita rękojeść miecza Grażyny, który nie został uzupełniony podczas renowacji w roku 2014. Stan z września 2015.



Fot. nr 436. I w końcu kompletny już pomnik. Do miecza Grażyny została dorobiona rękojeść.

Żadne tłumaczenia odpowiedzialnych służb miejskich nie wytrzymały tu krytyki. Dorobienie tego elementu nie stanowiło problemu w roku 1989, kiedy pod patronatem Echa Krakowa dokonywano odnowy pomników na Plantach. Wówczas wykonawca odnalazł archiwalne zdjęcie i nie miał problemów z rekonstrukcją rękojeści miecza, który to detal niestety niebawem znów uległ zniszczeniu. Dzięki m.in. mojemu stałemu nagłaśnianiu tej sprawy w prasie, m.in. dzięki aktywności Pauliny Polak z Dziennika Polskiego i w TVP Kraków, sprawą zainteresował się m.in. pan przew. Bogusław Kośmider i w końcu detal został dorobiony, a pomnik ten znów jest ozdobą Plant.

Na szczególne uznanie i szacunek zasługuje też akcja rewaloryzacji i odnowy zabytkowych nagrobków Cmentarza Rakowickiego, tego krakowskiego Panteonu, na którym każdy prawdziwy Krakus powinien uczyć się historii miasta i poznawać wybitne postacie z jego przeszłości, niestety często przez współczesnych już zapomniane, bo cóż jest wart naród bez historii. Gdyby nie akcja odnowy wiele napisów na tabliczkach cmentarnych byłoby już nieczytelnych, a niektóre zabytkowe nagrobki i kapliczki, często stanowiące prawdziwe arcydzieła małej architektury i sztuki rzeźbiarskiej z okresów: XIX i XX wieku, mogłyby pójść bezpowrotnie w rozsypkę. Ten trud włożony w odnowę starej części Cmentarza Rakowickiego widać na każdym kroku, podobnie jak coroczny postęp robót rewaloryzacyjnych. Naprawdę warto powłóczyć się po starej części cmentarza, bo co rusz czyha tu jakaś niespodzianka. Potrzeby w tym zakresie są jednak ogromne i nie wystarczają środki przeznaczane na ten cel przez SFOZK ani uzyskiwane przez OKRK w czasie kwest podczas Święta Zmarłych. Sam też staram się dołożyć do dzieła popularyzacji akcji odnowy swoją cegiełką i na MBC opublikowałem już trzy albumy z serii: „W klimacie Cmentarza Rakowickiego”. Długoletnim organizatorem kwest był Mikołaj Kornecki, przez lata przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa.

Sam Wawel przez pół wieku nie ulegał większym zmianom, choć dziś jest zdecydowanie bardziej zadbane i lepiej wyeksponowany. Ostatnio dość luźno w stosunku do historycznego oryginału przebudowano fragmenty zabudowy dawnych kuchni i stajni królewskich, zszpecone przez Niemców w czasie okupacji, a ja ciągle wierzę, że uda mi się jeszcze doczekać chwili, gdy zostaną odtworzone brakujące fragmenty muru obronnego na odcinku od baszty Złodziejskiej do baszty Sandomierskiej i dalej w kierunku baszty Senatorskiej i to w sposób nie mniej udany jak w sąsiedztwie Smoczej Jamy, co uczyniono na początku lat 50-tych. Mówi się o tym od pół wieku, ale ciągle na słowach i projektach się kończy, z wielką szkodą dla sylwety Wawelu, którą ciągle szpeci budynek dawnego austriackiego szpitala. Wiele mówiło się też o konieczności budowy podziemnej trasy turystycznej, z wyeksponowaniem reliktów dawnych budowli, głównie kościelnych, które licznie tu powstawały już od końca X wieku, kiedy na Wawelu swoją siedzibę mieli jeszcze Czesi, ale z braku funduszy zaniechano realizacji tego jakże atrakcyjnego projektu, który byłby unikalny na skalę europejską i dziś nie ma już ku temu klimatu ani widoków.

Niebawem, m.in. o tej najstarszej zabudowie Wawelu, powinna się ukazać książką Tomasza Gwiazdy, będącą ekstraktem z jego pracy magisterskiej: „Tempus edax rerum. Utracone kościoły Krakowa wzniesione w okresie od X do XVIII wieku w świetle badań archeologicznych”, gdzie ten świetnie zapowiadający się naukowiec z wielką starannością i znanstwem podsumowuje najnowszy stan wiedzy w tym temacie.



Fot. nr 437. Gotycki Wawel – widok od strony ulicy Grodzkiej.

Przez dwadzieścia lat III RP było wydawanych bardzo mało wartościowych, popularnonaukowych książek o historii Krakowa. Kiedy zamilkli: Stefan Świszczowski, Janusz Bogdanowski i Jan Adamczewski, ci na zawsze oraz Zbigniew Pianowski, że wspomnę tylko kilku z tych najbardziej znanych popularyzatorów z tej dziedziny, bardziej ambitne i ciekawe opracowania, dodatkowo pisane przystępnym językiem, wychodziły tylko spod piór takich autorów, jak: Michał Rożek, Jacek Purchla czy Jerzy Rajman (takie przynajmniej jest moje skromne zdanie). Ostatnio jednak i w tej materii wiele zmieniło się na lepsze i np. na rynku wydawniczym pojawiło się wiele cennych albumów z archiwalnymi fotografiami Krakowa.

Patrząc z perspektywy pół wieku na rynek wydawniczy cracovianów nietrudno było dostrzec, że pozycje współczesnych autorów były do niedawna jedynie kroplą w morzu otaczającej nas (przynajmniej w wielu przypadkach) tandety kolorowych przewodników, może o pięknych szatach graficznych, ale o mało ambitnej treści historycznej, często bezkrytycznie kopiowanej. Jakby problemów było mało, niedawno zmarł prof. Michał Rożek, który wydawał najwięcej popularnonaukowych pozycji, więc jest to strata dla Krakowa niepowetowana. Kraków ciągle czeka na współczesne opracowanie i wydanie historii sztuki miasta, bo ta napisana pół wieku temu przez Tadeusza Dobrowolskiego, choć znakomita, w pewnych kwestiach wymaga już innego spojrzenia, a w innych uzupełnienia. Jakby przełomem w tej złej passie z pierwszych dwóch dekad III RP stała się niekonwencjonalna książka o dawnym Krakowie, takim bardziej prowincjonalnym i spoza historycznego Śródmieścia: „Nieznany portret Krakowa”, napisana przez Barbarę Zbroję i Konrada Myślika, wydana nakładem wydawnictwa WAM, z ekspozycją wielu nieznanych dotąd zdjęć z obrzeży naszego miasta, która była ambitną próbą dotarcia do współczesnego czytelnika.

Jako „stary Krakus” i człowiek, któremu wygląd tego miasta leży w sposób szczególny na sercu, mam moralne prawo do umiarkowanej krytyki niektórych poczynań władz miasta i osób odpowiedzialnych za jego wygląd, choć mam pełną świadomość, że w wielu kwestiach mogę nie znać całej prawdy i złożoności problemów. Nie jest to krytyka dla krytyki, ale jedynie próba zwrócenia uwagi na pewne złe czy tylko budzące poważne wątpliwości rozwiązania. Nie ukrywam, że niektóre ze zmian dokonywanych we współczesnym Krakowie nie mogą budzić entuzjazmu, bo rozmijają się one z moimi marzeniami, które snułem jako: dzieciak, młodzieniec, a później wielki miłośnik jego zabytków i kultury. Można by rzec: „A miało być tak pięknie” i „pięknie” z pewnością jest, mam jednak często wątpliwości czy przy tym często zbyt pośpiesznym „polerowaniu” i „lukrowaniu” nie ulega zatraceniu dawny klimat tego miasta, który tak dobrze utkwiał mi w pamięci, a ponadto dobrze mi znany choćby ze zdjęć Ignacego Kriegera, mego mistrza i fachowca do naśladowania.

Trudno nie dostrzec, że oferta kulturalna z każdym rokiem staje się coraz bardziej urozmaicona, jak przystało na wielkie, europejskie centrum kultury, choć czasem jest ona przesadzona i nazbyt kosztowna. Tu od razu przypomina mi się mało zrozumiały dla przeciętnego śmiertelnika projekt byłej v-ce prezydent Magdaleny Sroki, kiedy dla uczczenia pamięci nieznanych artystów planowano naciągnąć wielką prezerwatywę na szczyt Kopiec Krakusa, a potem Wandy, co jednak spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem społecznym. Kraków zasługuje na to, by pozostał miastem szczególnym, które nie musi szokować przesadną ekstrawagancją, wszak drugiego takiego nie uświadczysz w tej części Europy. Władze miejskie i osoby odpowiedzialne za stan zabytków muszą też pamiętać, że kiedyś będą ich rozliczać potomni i nie przesadzać w ingerencji w pozostawioną spuściznę, zwłaszcza na polu architektury.



Fot. nr 438. Esplanada, czyli popularny Droberion, secesyjna kawiarnia Romana Drobnera ok. roku 1930. Ostatecznie znikła pod koniec lat 50, by dać miejsce pod „Bunkier Sztuki”.



Fot. nr 439. Socrealistyczna ingerencja w zabytkową substancję Krakowa – tzw. „bunkier sztuki” z naroża Plant i ulicy Szczepańskiej. Dominacja betonu, żelastwa i szkła przy samych Plantach musi porażać.

Dziś ludzi odpowiedzialnych za wyburzenie starych murów obronnych nazywa się „burzymurkami”, najczęściej z zażenowaniem wypowiada się o twórcach „bunkra” zwanego dziś „Bunkrem Sztuki” i osobach odpowiedzialnych za lokalizację w obrębie Plant choćby Hotelu Royal. Patrząc na niektóre rozwiązania współczesne nie można wykluczyć, że nasi potomkowie mogą kiedyś nazywać osoby odpowiadające za przekształcenia centrum miasta nazbyt radykalnymi metodami „budowniczymi szklanych domów”. Mam jednak nadzieję, że wizja szklanych domów (patrz „Pasaż 13” w Rynku Głównym 12 i 13), powstających w sercu Krakowa, w większej skali nigdy się nie ziści i pozostanie jedynie równie utopijnym wymysłem jak podobne urojenia ze znanej powieści Stefana Żeromskiego - „Ludzie bezdomni”.

Czas szybko ucieka, a miasto na przestrzeni ostatniego ćwierć wieku podlegało w wielu jego fragmentach gwałtownym przemianom. Mam satysfakcję osobistą, że od roku 2008 te przeobrażenia intensywnie dokumentuję, a swoje fotografie prezentuję w zbiorach powszechnie dostępnych w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (patrz wykaz na końcu opracowania), m.in. w albumach: „Kraków i jego okolice w fotografii z lat 1987-1992” oraz „Kraków i jego okolice na rodzinnych slajdach z lat 1983-1992”. Nie ukrywam, że głównie dzięki przychylności kierownictwa tej instytucji mogę szerzej zaprezentować swój dorobek z ostatnich dziesięciu lat.



Fot. nr 440 (440-441). Kolejny przykład niekorzystnych przemian, tym razem z terenu Piasku. Na zdjęciu widoczny jest budynek „Zakładu św. Józefa dla osieroconych chłopców założony w r. 1848” z ulicy Karmelickiej 66 i przylegająca do niego oranżeria. Fundatorem tej dobroczynnej instytucji był Piotr Michałowski, znany polski malarz. Tu stan z roku 1928, z oryginalną jeszcze fasadą, gdzie dominantą był inskrypcja.

A poniżej smutny obraz budynku z czasów współczesnych.



Fot. nr 441. W latach 90. zeszłego wieku została nadbudowana fasada budynku spod nr 66, który powstał w roku 1821 i dobrze, że przynajmniej w oryginale przetrwała oranżeria spod nr 66a, która została wybudowana w roku 1848. Niby oba budynki są w rejestrze zabytków, ale można zadać pytanie: jaką wartość przedstawia teraz obiekt dawnego zakładu dobroczynnego, gdzie nie zachowały się praktycznie żadne dawne detale? Zdjęcie z początku roku 2018.

Prezentowane w tym rozdziale moje fotografie powstały głównie w latach 2009-2013 i wiele z nich też ma już wartość archiwalną. Dopiero w ostatniej, XX. edycji, dokonałem dalszych uzupełnień dokumentacyjnych głównie własnego autorstwa. Tyle moich refleksji na temat współczesnego Krakowa anno domini 2019.

Załącznik nr 2

Listy kolegów szkolnych z innych klas - próba odtworzenia z pamięci stanu z lat 60-tych

Niestety po tylu latach w większości zatarły mi się już podziały na klasy, umknęły mi się też z pamięci imiona niektórych z zapamiętanych jeszcze kolegów, a mnogości innych nazwisk nie jestem już w stanie odtworzyć, wreszcie pewne postacie uległy po prostu wymazaniu, zwłaszcza związane z rocznikami poniżej 1950. roku. Pomocna w tych poszukiwaniach okazała mi się zwykła książka telefoniczna, gdy w trakcie jej wertowanie niejednokrotnie doznawałem „olśnienia”, co pozwoliło mi znacznie rozszerzyć poniższe wykazy. Część nazwisk udało mi się odtworzyć dzięki pomocy dawnych kolegów szkolnych, z którymi udało mi się nawiązać bliższy kontakt: Mikołaja Korneckiego czy Janusza Klimasa, a także dzięki portalowi Nasza Klasa, gdzie pojawiają się pewne znane mi z przeszłości, choć pierwotnie zapomniane nazwiska, a także dawne zdjęcia klasowe.

Zdecydowana większość z wymienionych poniżej postaci już dawno zmieniła swoje miejsca zamieszkania, opuszczając „stare śmieci”, a tych, którzy pozostali na dawnym Piasku można dosłownie policzyć na palcach jednej ręki. Wszystkie cytowane poniżej adresy dają więc jedynie wyobrażenie o dawnych miejscach zamieszkania braci szkolnej z „szóstki” i dotyczą głębokiej przeszłości sprzed prawie 50 lat. A może ktoś pomoże mi jeszcze w skompletowaniu tych dawnych list?

Roczniki 1943-1948 (z pamięci)

Daty urodzenia i dawne miejsca zamieszkania w wielu przypadkach jedynie przybliżone, z możliwością popętnienia błędu

Jerzy Kątniak (1948), Antoni Halberda (1948) – obaj z ul. Czystej 19, Zbigniew? Połtowicz (1948), brat Jana – Garncarska 5, Zbigniew Kociołek-„Komin” (1947) – ul Garncarska 7?, Wacław Mytar (1947) ul. Garncarska 14 lub 16, Tadeusz Brzezicki - „Brzoza” (1947) – ul. Garncarska?, Zbigniew Rozwadowski (1947) – ul. Garncarska 16?, Lucjan Reubenbauer (1947) – Wydz. Chemii UJ ul. Krupnicza, Marian Ostasz -„YETI” (1946?) – ul. Krupnicza 8 lub 10, Wojciech Pach (1949?) – ul. Kochanowskiego 15 (willa narożna z Grabowskiego 12), Krzysztof Gędek (1947) – ul. Czysta 8, Adam Puchta (1947) – ul. Garncarska 2, Bogdan Sokulski - ulica Garncarska 14?, (?) Kozłowski (1947) – ul. Czysta?, Janusz Nanowski, ksiądz Kapucyn (1946)– ul. Czysta 1, Jerzy Lorens (1947), Krzysztof Chorąży (1947) – ul. Czysta 1?, Jan Czajkowski (1946) – ul. Krupnicza 12, Jerzy Chodacki (1947)– ul. Czarnowiejska 1, (?) Nelka (1947) – brat Eugeniusza – ul. Szujskiego 1, bracia Wyrobkowie: Marek (1945) i Adam (1948) – parter ulicy Krupniczej 28 (Adam początkowo chodził do SP nr 12, potem do SP nr 2), Leszek Wilk (1947) – ul. Garncarska 6 i jego brat Henryk (1949), Jan Nowiński (1948)– ul Czysta 1, Jan Szczurek (1947)– ul. Dolnych Młynów 10-12, Żelechowscy: dwóch braci (Iwo – 1944, zm. 2018? i Miłosz-1947)– Krupnicza 11a, Krzysztof Wojtyca (1946) – ul. Czysta 9 (nieistniejący już piętrowy budynek), Andrzej Faber (1946), Mariusz Szelerewicz (1948?) – obaj Czysta 11, Czesław Szymacha (1947)– ul. Dolnych Młynów 9, (?) Kaim (1947) – ul. Karmelicka 12, brat Kazimierza (1954), Marian Michalik (1947 lub 48), brat Krzyśka (1953) – stary gmach WSR na Alei Mickiewicza 21, Zbigniew Gugniewicz (1949) – ul. Garncarska 16?, dwie, a ponoć nawet trzy siostry Pióreckie z Garncarskiej 5 (1946-50?), Tadeusz Michałowski (1945)– ul. Świerczewskiego 14, Zbigniew Opolski – „Opolak” (1943) – Czysta 8, (?) Mazurkiewicz – „Mazur” (1943), Stanisław Kuciel (1948?) – budynek TM przy Alei Mickiewicza 5, brat Tadeusza (1951), Włodzimierz Wcisło (1947-48?), brat Bogdana (1953) – ul. Czysta 14, bracia Dziekiewiczowie: Bolesław (1946) i Bogdan (1949) – ul. Czysta 8, Tadeusz Huk (1948) – ul. Czysta 8, bracia Rogowie - piątka (1945-54), bracia Kazimierza (1954), synowie tercjanów z Technikum Energetycznego- ul. Loretańska 16, (?) Seweryn (1947?), brat „Syrego”, mego szkolnego kolegi – ul. Krupnicza 36, dwóch braci Sochów: Andrzej (1946?) i Janusz? (1949?) - ul. Krupnicza 28, Tomasz Danek (1943?) – ul. Garncarska 14?, Marek Ostrowski (1947) – zmarł na białaczkę w roku 1960, Jerzy Skwarczyński (1944), Marek Postawka (1947), Krzysztof Saloni (1948).

**Rocznik 1949 (lata nauki 1956-63).
Klasa Krzysztofa Niewiary (uzupełnienia Marek Lovell)**

(?) Biliński (ul. Szujskiego), Zbigniew Fedyczkowski, Andrzej Hunia (Czysta 19), Paweł Kadziola, Jerzy Kostrz, Marek Lovell (Krupnicza 22), bracia Mistrzów, Stanisław Oleksy-Banasik, Andrzej Marculanis (ul. Garncarska), Stanisław Mróz (ul. Krupnicza), Krzysztof Niewiara – ul. Podwale (prawnik uzdolniony muzycznie), Bogdan Przysiecki – ul. Humberta 2-4, Piotr Szczurek (ul. Dolnych Młynów 10-12), Andrzej Trudzik (ul. Garncarska), Janusz Walas (ul. Garncarska), Krzysztof Wenda (ul. Karmelicka).

Inne klasy:

Leszek Ignatowicz – ulica Czysta 19, Jerzy Pająk (1949 lub 1950) – Czysta 17, Zygmunt Moskała - inż. elektronik (ur. 1949, zm. 2016) - (ul. Krupnicza 22), Krzysztof Ożóg – dzinnikarz PAP (ur. 1949) - (ul. Krupnicza 22), Adam Ficek (ur. 1950?) - (ul. Krupnicza 22), Henryk Wolff-Zdzienicki (ur. 1948), Łukasz Płonka.

Rocznik 1950 - lata nauki 1957-64

(z pamięci oraz z wydatną pomocy Zbigniewa Twardosza)

(?) Czerwiński, Wiesław Figiel, Jacek Gędek (potem szkoła podst. nr 4) – ul. Czysta 8, młodszy z dwójki braci, Leszek Herman (najstarszy z trójki braci) – ul. Pawlikowskiego, Ryszard Jaroszewski – „Kogut”, ulica Czysta 5, Ryszard Kosarz (może rocznik 49), ul. Dolnych Młynów 3, Tadeusz Kostecki (ul. Kochanowskiego?), Wiesław (Maciek) Krupa, brat Jacka (1951) – ul. Krupnicza 32, Jerzy Kuciara – ul. Krupnicza 3?, Andrzej Kwiatuszewski („Kwiatek”) – ul. Garncarska 14 lub 16, Lucjan Lautsch – al. Mickiewicza, Kazimierz Lisowicz – starszy z braci Lisowiczów - ul. Czarnowiejska 1, (?) Łuciuk, Ryszard Maciuszek – ul. Rajska 4 lub 6, Mieczysław Matuła („Matoł”) – ul. Krupnicza 20, Andrzej Matuszyk, starszy z dwójki braci z ul. Karmelicka 5, Edward Milcz – ul. Dolnych Młynów 3, Tomasz Morawski - okolice Ronda Mogilskiego (ul. Zalewskiego), Edward Niewiara – ul. Podwale (zmarł w III klasie), (?) Olejniczak – najstarszy z trójki braci – ul. Dolnych Młynów 11 (budynek dziś nieistniejący, kiedyś naprzeciw Zakładów Tytoniowych), Marek? Paślawski (może rocznik 1949?) – ul. Karmelicka 8 lub 10, (?) Piasecki (długoletni ministrant w Kościele Kapucynów), Henryk Pietkiewicz - ul. Garncarska 7, Jacek Piwowarczyk – Rynek Główny, Jan Połtowicz („Tasia”) - ul. Garncarska 5, młodszy z dwójki braci, Marek Popławski – ul. Karmelicka 44, Andrzej Priwsek, Marek Sewiński – Rynek Główny 44, Wiesław Smrek, Jacek Sznajder (Schneider?) – ul. Karmelicka 46, (?) Sroczyński, Andrzej Tabak – ul. Czarnowiejska, Jerzy Turski – ul. Rajska 20, Zbigniew Twardosz – ul. Krupnicza 35 (teren wojskowy), Henryk Wilk z ul. Garncarskiej 6 (raczej rocznik 49), Tadeusz? Wszółek z ul. Karmelickiej 46 – najstarszy z czwórki braci z ul. Karmelickiej 46, (?) Zawada (Zawadzki) – ul. Garncarska 1 (Krupnicza 32?).

Klasy umownego rocznika 1951 - lata nauki 1958-65

(z wydatną pomocą Mikołaja Korneckiego i Tadeusza Kuciela)

Wykaz kolegów szkolnych mego brata z trzech równoległych początkowo klas: A, B i C.

Wg Mikołaja Korneckiego od 1962 roku (piąta klasa) klasę B podzielono na dwie części i po połowie dołączono do klas A i C tworząc dwie nowe klasy A i B. Przez te kombinacje podział na klasy uległ znacznemu zatarciu.

Był to rocznik niezwykle liczny (120 osób), który wraz z późniejszymi repetentami tworzyli (klasy tylko przybliżone):

Janusz Banaś - kl. B, Marian Bednarz - kl. B, Wojciech Biernacki (kl. B), Tadeusz Bogacz - kl. A (rocznik 1950) - Czysa 21, Wojciech Borek - kl. B - ul. Karmelicka 46, Adam Bruzda - kl. B - Al. Mickiewicza 15, Ryszard Cabaj - kl. B - ul. Karmelicka, Marek Capiński - kl. A, Jerzy Ćwiertnia - kl. B - ul. Krupnicza 32, Mariusz Ciążyński („Cięża”) kl. A (dzisiaj znany chirurg) - ul. Pawlikowskiego, Janusz Dechnik - kl. B, Wiesław Feldman - kl. A lub B - Czysa 11, Stanisław Gancarczyk - kl. B - ul. Michałowskiego 15?, Marek Gebel - kl. B - Cybulskiego 7, Jacek Godfryd - kl. A - ul. Wenecja 17 (róg z Cybulskiego), Tadeusz Grabowski (mój brat) - kl. A - ul. Czysa 8, Piotr Grabowski - kl. B. ul. Zwierzyniecka 10, Waclaw Huchla - kl. A - budynek AGH, (?) Kaim - kl. B? - ul. Karmelicka, Zbigniew Karchut - kl. A - Kochanowskiego 29, róg z Aleją Mickiewicza, Tadeusz Kędryna - kl. B - ul. Szewska?, Leszek Kieniewicz - kl. A - ul. Krupnicza 10?, Jan Klimas - ul. Rajska 20 - kl. A, Marek Kłyś - kl. B - plac Mariacki 8, Marek Onopka (kl. B), Kazimierz Kopeć (rocznik 1950) - kl. A - ul. Czysa 8, Zygmunt Koper (rocznik 1949?) - kl. B - ul. Krupnicza 6, Marek Koralewski - kl. A lub C - budynek Technikum Mechanicznego na alejach Mickiewicza 5, Kazimierz Korcala (rocznik 1950) - kl. A - ul. Krupnicza 8 lub 10, Mikołaj Kornecki - kl. B - ul. Loretańska 12, , Leszek Kot - kl. A, Ryszard Kot - kl. A (nie żyje), Zygmunt Kozaczek - kl. B, Bogdan Kubicki - kl. B, Marek Krupa - kl. B - ul. Krupnicza 32, Tadeusz i Andrzej (rocznik 1950) Krzyżanowscy - kl. A - ul. Cybulskiego 6?, Andrzej Kubacki (kl. B), Tadeusz Kuciel - kl. B - budynek Technikum Mechanicznego przy alei Mickiewicza 5 (zm. 09.2020), Andrzej Kuliński („Kulas”) - kl. A - ul. Michałowskiego, Mariusz Kurowski (kl. A) - ul. Karmelicka, Zbigniew Lachman - kl. B (nie żyje) - ul. Loretańska 10?, róg ze Świerczewskiego 10?, Marek Lasek - kl. A lub B - ul. Karmelicka 46, Marek Legierski - kl. A - ul. Garncarska 14 lub 16, Stanisław Lisowicz - kl. B - ul. Czarnowiejska 1, Waldemar Łytek (późniejszy repetent) - kl. B - ul. Czarnowiejska 4, Waldemar Łudzicki (1949?-50?) - Karmelicka 46, Jacek Makarewicz - kl. A - ul. Loretańska 5 (nie żyje, zmarł jeszcze w czasie nauki w TE lub niedługo później), Janusz Matuszyk - kl. A - ul. Karmelicka 5, Zdzisław Mazur - kl. B (późniejszy ksiądz), (?) Michalec, Wiesław Możdżeń - kl. A - ul. Szujskiego 1 (pierwsze piętro) - zmarł w 2007 roku, Ryszard Nalepski - kl. B - ul. Garncarska 14, Andrzej Nawrocki - kl. A - ul. Krupnicza 20 (aktywny ministrant u Kapucynów), Tadeusz Nenko - kl. A - budynek TE, ul. Loretańska 16, (?) Niżnik - kl. B, Marek Oziębło - kl. B,

Waldemar Ostasz – kl. B, ul. Krupnicza 8 (mieszka w USA), Marek Paszkiewicz (rocznik 1950) – kl. A lub B – al. Mickiewicza 15, Jan Pach – kl. B – willa przy ulicy Kochanowskiego 15, narożna z Grabowskiego, Tadeusz Pacuła – kl. A, dwukrotny repetent, późniejszy mój kolega klasowy – ulica Humberta 2, Marek Pająk – kl. A – ul. Karmelicka?, Józef Paluch – kl. B – ul. Karmelicka, Marek Paluch (1950) – kl. B? – ul. Michałowskiego, Zdzisław Paluch – kl. B – ul. Szujskiego 7?, Janusz Pytel – kl. A – ul. Pawlikowskiego, Tadeusz Rachwał (1950?) – kl. A – ul. Grabowskiego, Andrzej Rak (kl. A?), starszy brat Adama (1955) – ulica Rajska 6 (już nie żyje), Zdzisław Ryndziewicz – kl. B – ulica Czysta 16, Janusz Szarek – kl. A – ul. Michałowskiego 1?, Władysław Siemiński („Niuniek”) – kl. A – ul. Garncarska 14 lub 16, Zbigniew Sierakowski (kl. B) – ul. Garncarska, (?) Sobesto (kl. A lub B) – ul. Wenecja 4, Janusz Stechnij (rocznik 1950) – kl. B – ul. Czysta 14, Andrzej Strycharski – kl. B, Bogdan Stryszowski – kl. B, Jacek Suder – ul. Szujskiego 6 – kl. A lub B, Jerzy Syrek (kl. A) – ul. Michałowskiego 13, Janusz Szelerewicz – kl. A – ul. Czysta 11, Feliks Szymański – kl. B – klasztor Kapucynów (ul. Kapucyńska 11), Stanisław Ślusarczyk – kl. B, ul. Karmelicka(?), Krzysztof Słowikowski – kl. A, - Świerczewskiego 11, Adam Walaszek – kl. A – ul. Smoleńsk 16?, Janusz? Wodzyński – kl. B?, Wiesław Wilk – kl. B, ul. Dolnych Młynów 4, Marek Włodarz – kl. B? – ul. Kochanowskiego 19 lub 21, Andrzej Wojas – kl. A – ul. Karmelicka 4, Mariusz Wojdyła – kl. B, (?) Woźniak, Krzysztof Zduleczyński – kl. B – ul. Krupnicza 32, Jan Zemła – kl. A – ul. Garncarska, potem przeniesiony do szkoły nr 44.

Koledzy ze skwerku, którzy chodzili do „czwórki”: Maciej Gabriel (Garbiel?), zwany Krzyśkiem – ul. Bracka 6 (późniejszy kloszard, może już nie żyje), Józef Nowosielski – późniejszy antykwariusz, współwłaściciel antykwariatu (do niedawna na ul. Brackiej 10?), Jacek Radwanowski – ul. Czysta 3.



Fot. nr 442. Klasa BC z panią Ireną Rączką (1960 lub 61) – zdjęcie M. Korneckiego.

Rozpoznanie Mikołaja Korneckiego i Tadeka Kuciela:

Pierwszy rząd (od lewej): 1. Czopek 2. Bogdan Stryszowski, 3. Piotr Grabowski, 4. Adam Bruzda;

Drugi rząd: 5. Zdzisław Mazur?, 6. Mikołaj Kornecki, 7. Wojciech Borek, 8. Krzysztof Zduleczny, 9. Tadek Kuciel, 10. Jacek Krupa;

Trzeci rząd: 11. Zdzisław Ryndziewicz, 12. Janusz? Wodzyński? z ul. Michałowskiego lub Kochanowskiego. 13. Marek Gebel, 14. Stanisław Lisowicz, 15. Janusz Stechnij, 16. Janusz Szelerewicz (pół twarzy);

Czwarty rząd: 17. Janusz Henryk Dechnik, 18. Jan Pach, 19. Wiesław Wilk, 20. Tadeusz Kędryna (mieszkał na Szewskiej, 21). Waldemar Łytek, 22. Zygmunt Kozaczek, 23. NN

Piąty rząd: 24. Stanisław Ślusarczyk, 25. Mariusz Wojdyła, 26. Stanisław Gancarczyk, 27. Zbigniew Lachman, 28. Marian Bednarz, 29. Rysiek Nalepski, 30. Zdzisław Paluch;

Szósty rząd: 31. Waldemar Ostasz, 32. Zygmunt Koper, 33. p. Zofia Rączka, 34. Józef Paluch, 35. Jerzy Ćwiertnia, 36. Janusz Banach, 37. Bogdan Kubicki, 38. Tadeusz Przedpolski.



Fot. nr 443. I Komunia św. Klasy BC (1960). Pośrodku ksiądz Wenanty (Stanisław Padewski). Zdjęcie przekazane przez Mikołaja Korneckiego (bez opisu). Z prawej obok księdza siedzi Zdzisław Ryndziewicz, a drugi z lewej obok niego Mikołaj Kornecki.



Fot. nr 444. Zdjęcie komunijne z 1960-go roku - klasa A z księdzem Wenantym.



Fot. nr 445. Mikołaj Kornecki i Bogdan Kubicki, z tyłu Zbigniew Lachman. (29 maj 1960)



Fot. nr 446. Tadeusz Kuciel, którym nieraz graliśmy w piłkę do upadłego. (1960)



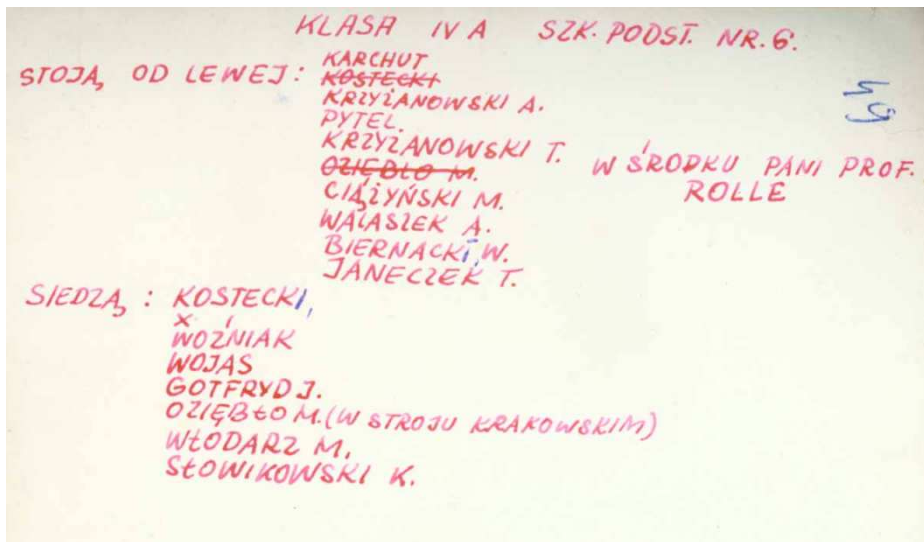
Fot. nr 447. Klasa B (BC) - rocznik 1951, po zakończeniu I klasy (1959) – zdjęcie T. Kuciela z portalu Nasza Klasa; pani Irenę Rączką pierwsza z prawej.



Fot. nr 448. Bal szkolny (raczej) z 1961 roku. Pośrodku dyrektor Jaros, pani Jadwiga Rolle z prawej, a pozostałe postacie to rodzice.



Fot. nr 449 (449-449a). Klasa IV A. Bal szkolny z 1961 roku, z panią Rolle pośrodku.



Fot. nr 449a. Wykaz uczestników balu na odwrocie powyższego zdjęcia.



Fot. nr 450. Klasa II c (1959-60) na wycieczce z panią Liskową pod Kopcem Kościuszki. Drugi z prawej siedzi Mikołaj Kornecki.



Fot. nr 451. Zakończenie szkoły – czerwiec 1965. Pod bramą szkoły stoją od prawej: Marek Paszkiewicz, Jacek Godfryd, Wiesław Wilk, Mikołaj Kornecki, Zbigniew Lachman

Klasy rocznika 1952 - lata nauki 1959-67

Klasa A (z własnej pamięci)

Jacek Dycyan („Dycek”) – Czysta 11, Leszek Grabiański – ul. Garncarska 7, Janusz Grudnik – ul. Cybulskiego 5, Jan Guśpiel – ul. Karmelicka, Kazimierz Hajos – ul. Czysta 16, Zbigniew Hynał – ul. Garncarska 9, Zbigniew Karez, Stanisław Lisowicz? (repetent) – ul. Czarnowiejska 1, Waław Maziarz – ul. Szujskiego 6, Ryszard? Periy – ul. Dolnych Młynów 7, Wojciech Werndl (wówczas nieużywający dodatku rodowego - de Lehenstein), Roman Węgierski – ul. Cybulskiego 6, Jerzy Wilk („Wilu”) – ul. Garncarska 6, najmłodszy z trójki braci, Andrzej Wszółek, drugi z czwórki braci Wszółków z ulicy Karmelickiej 46, Władysław Zięba - ul. Karmelicka 12.

Klasa B (z pomocą Jana Skwarczyńskiego)

Marcin Boroń, Władysław Borowiec – obaj ul. Dolnych Młynów 11, Leszek Filipowski („Filip”) – ul. Czysta 16, Janusz Galowitz – ul. Karmelicka 46, Marek Gebel (repetent) – ul. Garncarska 7, Zbigniew Gębała – ul. Grabowskiego, Andrzej Gołąb – ul. Karmelicka 18, Józef Halberda – ul. Czysta 19, Janusz Kaniecki, Maciej Kłyszewski („Kłysik”) – al. Mickiewicza, Wojciech Knorr – ul. Rajska, Jerzy Krężolek, Jacek Kullanda, Ryszard Maciuszek – ul. Rajska 8, Tadeusz Marek – dom dozorczy w Parku Jordana od strony alei 3-Maja, Robert Marzec – ul. Loretańska 12, Paweł Michałkiewicz – ul. Michałowskiego 13?, Adam Możdżeń („Dziadek”) – ul. Szujskiego 1, Ryszard Pająk – ul. Humberta 4a, Jerzy Pajdak, Andrzej Przybyszewski – początkowo ul. Czysta 21, potem Wola Justowska, Andrzej Rak (repetent?) – ul. Rajska 4 lub 6, jeden z kilku braci, Jan Skwarczyński – ul. Czysta 16, młodszy z dwójki braci, Ryszard Sroka – ul. Karmelicka, Paweł Stempski – ul. Krupnicza 21, Bogdan Suder ul. Karmelicka 46?, Jerzy Szymacha („Szmata”) – ul. Dolnych Młynów 9, młodszy z dwójki braci, Marek Szymański – klasztor Kapucynów, Wojciech Turlejski – al. Mickiewicza, Jerzy Urbankowski, Janusz Węgrzyn – ul. Czysta 21, Jerzy Wilk z ulicy Dolnych Młynów 4, średni z trójki braci, Maciej Włoczewski – ul. Grabowskiego, Stanisław Wojnowski – ul. Dolnych Młynów 7, Janusz Wojtycza – ul. Czysta 9, młodszy z dwójki braci, Andrzej Wyżga – ul. Szujskiego.



Fot. nr 452. Podopieczni przedszkola z ulicy Szujskiego 4, które prowadziły zakonnice, z księdzem Pawłem Kochańskim? - zdjęcie raczej z 1957 roku, przekazane przez Adama Możdżenia.

Opis (niekompletny) Adama Możdżenia, z pomocą Mikołaja Korneckiego.
 Drugi z lewej w górnym szeregu Jan Klimas, pośrodku (z chorągwią) Waldemar Ostasz,
 czwarty z prawej Adam Możdżeń, a trzeci jego brat Wiesław, ostatni z prawej Zdzisław
 Mazur, a ciut poniżej Adam Nenko.

Dla małego Adasia pobyt w tym miejscu był „tak wspaniały”, że wolał się przenieść pod opiekę dziadków do Małego Wiśnicza.

Klasa B rocznika 1953 – nauka w latach 1960-68

(wg Marka Jagły, z mojej pamięci, a także z pomocą Marka Pstrósia, Janusza Habera).

Moi rówieśnicy z równoległej klasy

Krzysztof Bryła – Karmelicka 46, Jerzy Babecki, Andrzej (?) Bilski, Janusz Blitek – Smoleńsk, dziś Dunin Wąsowicz 10?), Piotr Buczek - Michałowskiego 3, Jan Bugaj – Garncarska 9, Jerzy Chwastek (od trzeciej? klasy) – Karmelicka 40?, Adam Chynał – Garncarska 9, Piotr Cymanów, Zbigniew Czajkowski (może w czwartej i piątej klasie) – Krupnicza 12, Jacek Czosnowski, Janusz Domagała, Waldek Gabryś – Garncarska 7, Waław Gębica – Krupnicza 28, Jerzy Godfryd – Wenecja 17, Andrzej Gogól, Wojciech Gonek, Jerzy Gorczyński (repetent) – Wenecja 11, Marek, Jagła – Syrokomli 26, Janusz Haber, Józef Halberda – Czysta 19, Waław Kalina - Grabowskiego, Tadek Kłobuch – Kochanowskiego 29, Janusz Koechle – Czysta 10, Janusz Konieczny – Krupnicza 26, Kazek Krupa – Krupnicza 32, Jacek Lasek – Karmelicka 46, Jan Lech, Janusz Marchewka – Grabowskiego 3?, Krzysztof Michalik („Misiek”) – al. Mickiewicza 21, Mieczysław Motty (od piątej? klasy) – Karmelicka 46, Adam Nenko – Loretańska 16, Staszek Nowak – Karmelicka 46, Jurek Noworyta („Nora”) – Krupnicza 11, Jacek Paluch – Kochanowskiego 21, Andrzej Pawłowski, Andrzej Prządka – Loretańska 4, Jerzy Przysiężny – Czarnowiejska 4, Marek Pstruś (od trzeciej klasy) – Karmelicka 46, Andrzej Sałacki – Kochanowskiego 21, Wojciech Szott – Karmelicka, Janusz Wałas, Kazimierz Wapiennik, Bogdan Wcisło – Czysta 14, Ryszard Węgrzyn – Grabowskiego 9, Jan Wiecheć – Michałowskiego 2, Jan Wszółek Karmelicka 46, Stanisław Zabiegaj, Wojciech Ziemba, Janusz Zilli.



Fot. nr 453. Klasa B, rocznik 1960-1968; jej wychowawcą od piątej klasy był Józef Czekajowski. Zdjęcie z ok. 1963-64 roku, przekazane przez Janusza Habera. Opis Marka Jagły. Rzędy od lewej od dołu do góry.

Rząd pierwszy: Staszek Nowak, Jan Lech, Krzysztof Bryła.

Rząd drugi: Adam Chynał (Hynał?), Jerzy Babecki, Kazimierz Wapiennik, Jurek Noworyta („Nora”), Bogdan Wcisło, Janusz Haber.

Rząd trzeci: Janusz Domagała, Janusz Marchewka, Andrzej Prządka, Marek Jagła, Wojciech Ziemba, Janusz Zilli, Jan Wiecheć, Jacek Lasek.

Rząd czwarty: Wojciech Szott, Adam Nenko, Wojciech Gonek, Janusz Blitek, Jacek Paluch, Tadek Kłobuch, Krzysztof Michalik, Waldek Gabryś.

Rząd piąty: Andrzej Pawłowski, Jacek Czosnowski, Jan Bugaj, Jerzy Godfryd, Piotr Cymanów, Andrzej (?) Bilski.

Rząd szósty: Kazek Krupa, Waclaw Gębica, Janusz Konieczny, Andrzej Gogól, Piotr Buczek, Waclaw Kalina, Stanisław Zabiegaj.

Brak kilku kolegów (patrz wykaz klasowy powyżej).



Fot. nr 454. Ta sama klasa podczas komunii św. w maju 1962 z księdzem Waldemarem z lewej i Salezym pośrodku.



Fot. nr 455. Od lewej: Janusz Blitek, ksiądz Salezy i Marek Jagła. (1962)



Fot. nr 456. W Parku Jordana około 1963. Od prawej Janusz Blitek, Wojciech Szot, Jan Bugaj (z lewej na drzewie) i chyba pani Liskowa.

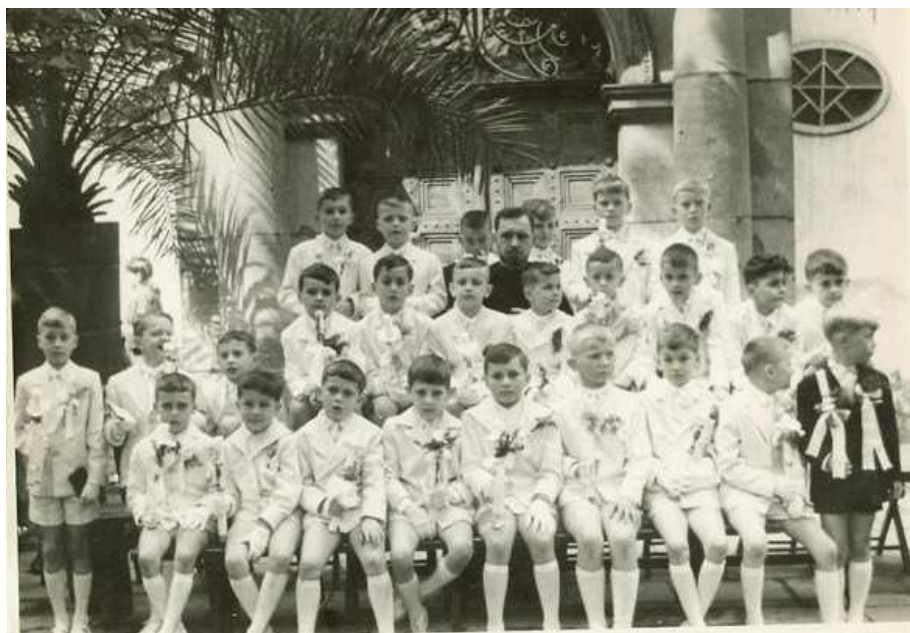


Fot. nr 457. Z prof. Wiesławem Krawczykiem w Tyńcu na wycieczce. Od przodu: Jerzy Przysiężny, Marek Pstróż, Janusz Blitek, Marek Gębica, Jan Michalik, Jan Bugaj.
(ok. 1965)

Rocznik umowny 1954 - nauka w latach 1961-69

Klasa A (z pomocą portalu Nasza Klasa)

Andrzej Adamek, Tadeusz Bronikowski - ul. Rajska 20 (nad piekarnią Buczka), Bogdan Bohosiewicz, Antoni Ćwierz?, Janusz Czernechowski - „Czerna”? - repetent (ul. Szujskiego 3), Marek Domżał, (repetent) - u. Świerczewskiego 9, Jerzy Druzgała (repetent) - ul. Dolnych Młynów 7, Bogusław Feldman - ul. Czysta 11, Piotr Gołąb - ul. Karmelicka 18, Wiesław Grelecki, Andrzej Grudzień - ul. Michałowskiego?, Jerzy Jawor, Zbigniew Kaim (późniejszy bokser w Wiśle) - ul. Karmelicka 12, Zbigniew Kasperczyk, (?) Kieniewicz, młodszy z braci - ul. Krupnicza 10, Zbigniew Kłobuch - ul. Kochanowskiego 29 (kamienica narożna z al. Mickiewicza 39), Janusz Kotarba, Andrzej Kowalik - ul. Humberta 4a, (?) Kulon, Andrzej Lubertowicz, Marek Michałek - ul. Humberta 4a, Jan Motty - ul. Karmelicka 46, Stanisław Nenko - ul. Loretańska 16, (?) Pająk, brat Marka (1951) - ul. Karmelicka?, Ryszard Paluch, młodszy brat Zdzisława (1951), - ul. Szujskiego 7, Władysław Piotrowski, Bogusław Pyrek, Kazimierz Róg - Loretańska 16, Bogdan Ryndziejewicz - ul. Czysta 16, Marek Saniternik - ul. Karmelicka, Marcin Sirzistie - ul. Wenecja 4?, Adam Siedlecki - ul. Czysta 8, Maciej Szaj, Stanisław Szwarnóg - ul. Garncarska 5, Roman Szywalski - „Szyja”, (repetent) - ul. Wenecja 4?, Adam Tomczyk - ul. Cybulskiego 10, Wojciech Turski, Antoni Tylek (dziś Tony Tyler - przebywa na stałe w USA) - ul. Garncarska 1, Andrzej Witek, Andrzej Żbik.



Fot. nr 358. I komunія św. w 1963 roku - klasa z księdzem Salezym pośrodku.

Klasa B (z pamięci, z pomocą Jana Śliwy)

(?) Banaś – ul. Pawlikowskiego?, Jerzy Biera (kl. A?) – ul. Karmelicka 46, (?) Cieciński – ul. Kochanowskiego?, (?) Czarnota – ul. Czysta 5, (?) Daniel – ul. Cybulskiego 5, Marian Derus – ul. Garncarska, Tomasz Fijałkowski – ulica Kochanowskiego 3, (?) Domagała – repetent, Ryszard Gasiński – ul. Cybulskiego 2, Adam Górski – ul. Świerczewskiego 3, Marek Januszkiewicz (Jarnuszkiewicz?) – ulica Świerczewskiego 29, Stanisław Hajos – ul. Czysta 16, Stanisław? Huchla (kl. A?), brat Wacława – budynek A-1 AGH, Jan Kapela, Maciej Kaszyński – plac Sikorskiego, Janusz Kita – ul. Loretańska 10 (róg ze Świerczewskiego 10), Janusz Kolbek – ul. Krupnicza 9, Marek Kusto – ul. Pawlikowskiego, Krzysztof Kwiatkowski – ul. Krupnicza, Zbigniew Lankamer – ul. Krupnicza 35 (dawny piętrowy barak na terenie wojskowym), Andrzej Lisowski – ul. Loretańska 6?, Adam Malec – ul. Pawlikowskiego, Andrzej Mikulski – ul. Dolnych Młynów 10-12 (KZT), (?) Nabielec – ul. Karmelicka, (?) Nalepski, młodszy brat Ryszarda z ul. Garncarskiej 14, Wojciech? Okarmus?, Marek? Palczewski (kl. A?) starszy z braci z bloku przy ulicy Humberta 4a, Zbigniew Prządo – Czysta 19, Sławomir Przybyszewski – ul. Czysta 21, (?) Siemiński, brat Władka (1951) - ul. Garncarska 14, Stanisław? Setkowicz (brat Zbyszka) – ul. Michałowskiego(?), Jan Śliwa – „Śliwka”, ul. Cybulskiego 8, Stefan Wierzchowski – ul. Czarnowiejska, Krzysztof Zubel (kl. B) – ul. Michałowskiego 15, „średni” brat Józefa (1953) i Marka (1956).



Fot. nr 459. Modernistyczna kamienica z ulicy Czarnowiejskiej 15, wybudowana w 1912 roku, wg projektu Józefa Berety. Tu na pierwszym piętrze (okna z balkonem) mieszkał Adam Zięba (rocznik 1955), utalentowany piłkarz i mój dobry kolega, który zginął pod kołami tramwaju na wiosnę 1968-go roku. (10.01.2012)

Rocznik 1955 (klasy A i B) – nauka w latach 1962-70

(z pomocą Grzegorza Miecugowa)

Ryszard Bałys – ul. Garncarska 1, Iwo Birkenmajer – ul. Cybulskiego 12, Bogdan (?) Borowiec – „Borówa”, jeden z czwórki braci z ulicy Dolnych Młynów 11 (a może chodził on klasę niżej?), Jerzy Chrząszcz – „Pciół” z ul. Kochanowskiego 22, Leszek Czerwiński – ul. Czysta 12, Bogdan Czudiak – ul. Michałowskiego 5?, Jerzy Decowski – ul. Świerczewskiego 1, (?) Dreger, Krzysztof Faber – ul. Czysta 11, Ryszard Filipkiewicz – ul. Krupnicza 32, brat „Filipa”, Janusz Garduła, Krzysztof Hajos (a może klasa niżej?) – ul. Czysta 16, najmłodszy z trójki braci, Andrzej Hanus, (?) Karnia, młodszy brat Ceśka (1953) – ul. Karmelicka, 40?, Paweł Kornecki - brat Mikołaja (1951) – ul. Loretańska 12, Bogusław Kawiak – „Kawka” – ul. Krupnicza 38, Wiesław Kwarciak, (?) Marchewka, brat Janusza (1953) - ul. Grabowskiego, (?) Michałek, brat Marka (1954) – ulica Humberta 4a, Grzegorz Miecugow – Dom Literatów, ul. Krupnicza 22, (?) Palczewski – ul. Humberta 2, Janusz Peliwo, Marek Pieżga, (?) Przepiórka – ul. Kochanowskiego, Paweł Pyrkosz, syn Witolda, znanego aktora – Dolnych Młynów 7, Andrzej? Piskorz?, Adam Rak - „Raczek” – ul. Rajska 6?, Paweł Ryś, Ryszard Seweryn – „Syry” – ul. Krupnicza 36, najmłodszy z trójki braci, Jacek Siedlecki – ul. Czysta 8, brat Adama (1954), Ryszard? Skowron – ul. Czarnowiejska, Marek? Słysz, Witold Szarlit, Ryszard Szelerewicz – ul. Czysta 11, brat Janusza (1951), Andrzej Szewczyk - ul. Świerczewskiego 29, Bogdan Szumiec – ul. Karmelicka, Maciej Udziela, Jerzy Wiecheć, młodszy brat Jana (1953) – ul. Michałowskiego 2, Tadeusz? Wilk z ulicy Dolnych Młynów 4, najmłodszy z trójki braci, Czesław Włodarz – ul. Kochanowskiego 21?, brat Marka (1951), Wiesław Wszolek, najmłodszy z czwórki braci z Karmelickiej 46, Roman Zając, repetent (rocznik 1953) – ul. Świerczewskiego 19, Jan Zieleniewski - (w „szóstce” do 5 klasy, potem w szkole nr 34) – ul. Kochanowskiego 24, Adam Zięba – „Kanarek”, ul. Czarnowiejskiej 15 (zginął tragicznie w 1968 roku pod kołami tramwaju na przejściu z Parku Jordana na Błonia w pobliżu „okrągłaka” i „Płachty” bądź pod Żaczkim, bo taką wersję też ostatnio słyszałem), Ryszard Ziętkiewicz – ul. Świerczewskiego 3.

Rocznik 1956 – lata nauki 1963-71 i niższe roczniki (z pamięci i z pomocą Naszej Klasy)

Jarosław? Błędowski („Błęda”) – rocznik 1957 – SP nr 13, Piotr Chmieliński- ul. Czysta 8, Zbigniew Ciempka – ul. Czarnowiejska, Ryszard Ćwięka – „Kondon” – dawny jednopiętrowy barak w głębi posesji przy ul. Krupniczej 35, dziś nie istniejący, dawniej teren wojskowy, Bogdan Herman, najmłodszy z trójki braci z ul. Pawlikowskiego, Ryszard Gogulski, Jacek Gryga z ul. Czarnowiejskiej?, (?) Jeziorski, Wojciech Konopek, Janusz Kossek - ul. Cybulskiego?, Wiesław Kłobuch, najmłodszy ze „słynnej” trójki braci z rogu ulicy Kochanowskiego 29, Bogdan Kowalski – ul. Garncarska 7, Jerzy Krzywda (1960) z Czystej 21 (SP nr 13), Janusz? Maligłówka – ul. Karmelicka(?), Witold Nenko, najmłodszy z czwórki braci – Loretańska 16, Bogdan Nikielski – „Nikuś” - z ul. Czystej 13 i jego może dwa lata młodszy brat Marek, Marek? Pietkiewicz, młodszy brat Henryka (1950) – ul. Garncarska 7 (Cybulskiego 1), Henryk Pstruś, środkowy z braci (1957), ul. Karmelicka 46 i najmłodszy Adam (1958) – uczęszczali do SP nr 13 na rogu ulic Loretańskiej i Świerczewskiego (13?), od 1964 roku koedukacyjnej, wcześniej żeńskiej – obaj nie żyją, Andrzej Skaba – ul. Wenecja 17, Andrzej Suski - ul. Kochanowskiego 7 (SP nr 94) – syn tercjanów z tej szkoły, Marian Skoczeń - ul. Krupnicza 32, Andrzej Syrek- ul. Michałowskiego 13, brat Jerzego (1951) – nie żyje, Janusz Śmigielski, Wiesław Wiecheć (1956) – najmłodszy z tercetu braci z ulicy Michałowskiego 2 (zginął tragicznie 22 lipca 1979 roku w Przegorzałach, jadąc na rowerze- tandemie - razem Kazkiem Piszczkiem, kolegą z ulicy Czarnowiejskiej, który też zginął, Marek Ziemiański – „Ziemniak”, ul. Świerczewskiego 15, Marek Zubel, najmłodszy z trójki braci Zubłów – ul. Michałowskiego 15.

Koleżanki ze skwerku

Krystyna Gibas (1953), krótkotrwała sympatia „Grubego”, późniejsza żona Zygmunta Kopera, siostry Bronikowskie: Bogda (1954) i Wieśka (1955) – wszystkie trzy zamieszkałe na I piętrze kamienicy przy ul. Garncarskiej 1 i Bożena (?) – (1953) z ul. Krupniczej 32, w pewnym okresie sympatia Jacka Radwanowskiego z ulicy Czystej 3. Zwłaszcza siostry Bronikowskie były urokliwymi dziewczynami, prawdziwymi ikonami „skwerku”, gdzie miały liczne grono wielbicieli. Potem wyrosły na piękne panny.

Załącznik nr 3

Rocznik 1944 – lata nauki w S.P. nr 6: 1951-58

Informacje na temat tego rocznika i zdjęcie z 1958 roku oraz 2008 roku otrzymałem od pana arch. Wojciecha Śliwińskiego, kiedyś zamieszkałego na ulicy Podwale 2, który siódmego czerwca 2008 roku zorganizował okolicznościowe spotkanie swoich dawnych kolegów szkolnych i innych absolwentów „szóstki” z okazji pięćdziesiątej rocznicy ukończenia szkoły.

Z tej okazji na fasadzie budynku szkoły przy ulicy Szujskiego 2, dawnej Szkoły Podstawowej nr 6, została wbudowana okolicznościowa tablica, gdzie został też wypisana jej historia. Na tę uroczystość pan Wojciech napisał okolicznościowy wiersz, zamieszczony poniżej.



Fot. nr 460. Klasa VII-ma, kończąca w r. szk. 1957/58 Szkołę Podstawową nr 6 im. Jana Kochanowskiego w Krakowie, przy ul. Szujskiego 2;
fotografia z czerwca 1958 roku

1. rząd, siedzą od lewej: P. Jadwiga Rolle (geografia), P. Rynduch, P. Sawczuk, P. Janina Walewska, P. Rutecki (dyrektor, jęz. Rosyjski), P. dr Stanisława Uszyńska (wychowawczyni klasy, język polski, historia), P. Jaros (wicedyrektor), P. Józef Czekajowski (matematyka, fizyka), P. Maria Mastalerz (wg Jana Skwarczyńskiego, na podstawie podpisu na świadectwie szkolnym: **Karolina** – przypis L.G.), P. Maria Kozak.

2. rząd stoją od lewej: Stanisław Czarnuchowski, Jan Gorzelany, P. ? (prace ręczne), Henryk Figiel, Marek Żerucha, Ks. Paweł Kochański (religia), Włodzimierz Czapliński, Zbigniew Duczmal, Andrzej Samborski, Jerzy Szwenk, Andrzej Kłysik, Aleksander Kozij;

3. rząd stoją od lewej: Jan Fichtel, Jan Balon, Jerzy Kaczorowski, Andrzej Maciej Rymar, Tadeusz Górski, Adam Surówka, Józef Wątor, Andrzej Kurdziel, Maciej Gała, P. (?) (sekretarka), Marian Glica, Łukasz Więclaw;

4. rząd, stoją od lewej: Jan Fichtel, Jerzy Bahr, Andrzej Bąba, Janusz Markocki, Walerian Lichoń, Jan Bryl, Jacek Markiewicz, Andrzej Paluch;

5. rząd stoją od lewej: Stanisław Sroka, Julian Nowak, Wojciech Makarski, Jerzy Bobula, Mikołaj Ogniewski, Wojciech Śliwiński, Stanisław Oczko, Zygmunt Sienko, Jacek Dunaj, Henryk Mollo.

Nieobecni: P. Leon Izdebski (śpiew), P. Bolesław Czajkowski (tercjant), uczniowie: Stanisław Czyż, Jan Jasiński, Jacek Turnau, Iwo Żelechowski

„Pół wieku?”

(Wstęp, wiersz i jego układ w oryginalnym przekazie pana Wojciecha Śliwińskiego)

(Kolegom z podstawówki, na 50-lecie ukończenia nieistniejącej dzisiaj Szkoły Podstawowej nr 6, im. Jana Kochanowskiego w Krakowie, przy ul. Szujskiego 2, oraz Pamięci naszej niezapomnianej Wychowawczynie, zarazem nauczycielki języka polskiego i historii, Pani dr Stanisławy Uszyńskiej)

PÓŁ WIEKU?

**Pół wieku minęło? Cóż, takie jest życie,
 czas biegnie do przodu, raz wolniej, raz szybciej,
 lecz nigdy nie wraca ? i dobrze to przecież
 odkrywać na nowo, co jest na tym świecie?**

Pół wieku minęło, jak dzionek zleciało?

Dziś ? znów tu jesteśmy, choć trochę nas mało?

?Czy warto oglądać się w przeszłość ?? ? spytacie,

gdy ? ?dalej iść trzeba, nie stać, jak na warcie !?

**A przecież coś drgnęło, gdy wici nadeszły
 i serca, choć w bliznach, zabiły pospieszniej?
 Wszak kielki, by rosły, podlewać ktoś musiał;
 wspomnijmy, że przecież ? nie tylko Mamusia?
 Wspomnijmy tę szkołę w krakowskim śródmieściu,
 odciętą od życia, przez czasów złych brzeszczot,
 Pań, Panów postacie, co prośbą i groźbą
 wpajali nam do głów i serc wiedzę nową?**

**Oddajmy im honor, niech wiedzą potomni,
 że mamy szacunek dla wszystkich ogromny,
 nie tylko gdy w żyłach krew jeszcze przepływa,
 bo pamięć na murach zostanie tu żywa?**

**Pół wieku minęło: to dużo i mało,
 choć więcej i lepiej wszak żyć by się chciało?
 I jedni na wozie, a drudzy pod wozem,
 i mniej nas na półce ? by kuć życia prozę?**

**Pół wieku minęło. ?MIEĆ? dużo ? nie warto,
 zaś ?BYĆ? coraz bardziej ? zakrytą jest kartą?
 Pogodnej jesieni niech będzie zwiastunem
 czerwcowe południe? Nie ? kiru całunem?**

(Wojtek Ś. Z klasy VII-mej w roku szkolnym 1957/58).



Fot. nr 461. Koledzy z klasy Pana Wojciecha Śliwińskiego i inni, młodszy oraz starsi, pod tym samym murem przy ulicy Szujskiego 1, co 50 lat wcześniej (7 czerwca 2008 roku)

Stoją od lewej: Stanisław Czarnuchowski, Jerzy Kaczorowski, Mikołaj Ogniewski (Frisch), (NN – rocznik młodszy), Wojciech Śliwiński, Andrzej Kurdziel, Jan Gorzelany, Wojciech Makarski, (Mikołaj Kornecki - rocznik młodszy), Henryk Figiel, Andrzej Bomba (Białobrzęski), (NN – rocznik młodszy), Andrzej Maciej Rymar, Maciej Gała, Tadeusz Górski, (Krzysztof Fijałkowski - rocznik starszy), Jacek Dunaj, Andrzej Kłysik (Kłyszewski), Łukasz Więclaw, (NN – rocznik młodszy), Jacek Markiewicz, (Zbigniew Fedyczkowski – rocznik młodszy), (NN – rocznik młodszy). Ten ostatni to Wiesław Feldman (przypis L.G.).



Fot. nr 462. Pamiątkowe zdjęcie pod dawną Szkołą Podstawową nr 6 w dniu 07.06.2008 na tle wmurowanej tablicy (zdjęcie o kiepskiej rozdzielczości z portalu Nasza Klasa).



Fot. nr 463. Tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę Szkoły Podstawowej nr 6 w 2008 roku, która upamiętnia postacie zasłużonych dla „szóstki” pedagogów: Stanisławy Uszyńskiej i Józefa Czekajowskiego. Została wmurowana dla upamiętnienia 50 rocznicy ukończenia nauki w tej szkole przez rocznik 1944 oraz półwiecza pierwszego przekroczenia jej progów przez rocznik 1951. (16.10.2008)

Załącznik nr 4

Przekaz Pana Ryszarda Manna, ucznia S.P. nr 6 w latach 1941-1945.



Fot. nr 464 a i b. Pan Ryszard Mann

Pan Ryszard Mann, rocznik 1934, z którym kilka lat temu nawiązałem kontakt za pośrednictwem portalu Nasza Klasa, mieszkał w Krakowie w kamienicy przy ulicy Dunajewskiego 3, w której sąsiedztwie (pod nr 4) w czasie okupacji znajdowała się kawiarnia Jana Bisanza (później Restauracja Warszawianka). Ojciec Pana Ryszarda pochodził z Lubelszczyzny, z miejscowości Syrokomla w powiecie Łuków, gdzie pomagał w kuźni swemu ojcu. Po przeprowadzce do Krakowa pracował jako dozorca i palacz we wspomnianej powyżej kamienicy. W czasie okupacji w lokalu kawiarni Bisanza na ulicy Dunajewskiego pod numerem 1 znajdowała się restauracja dla żołnierzy niemieckich – Soldaten Heim.

Pan Ryszard chodził do naszej „budy”, zwanej wtedy Szkołą Powszechną, w czasie okupacji niemieckiej w latach 1941-1945 i tu ukończył cztery klasy. Jego wychowawcami byli: mgr Jan? Jakubiec (klasa I: 1941-42) Włodzimierz Dutkiewicz (klasa II i III: 1941-42 i 1942-43) i Gabriela Rokita (klasa IV: 1944-45), a dyrektorami szkoły byli w tym czasie: (?) Barańkiewicz? (klasa I i II: 1941-43), Jan Gałczyński (klasa III: 1943-44) oraz Franciszek Głębowicz (klasa IV: 1944-45).

Ze starszych kolegów szkolnych pamięta: Tadeusza Mleczkę, sąsiada z ulicy Dunajewskiego 2, Jana Okrutniewicza z ulicy Karmelickiej 8 oraz Zygmunta Szynala z ulicy Szczepańskiej. Na lekcje religii uczęszczał do kościoła Karmelitów na Piaskach. W sąsiedztwie szkoły, w parterowym budynku przy Szujskiego 4 czynne było przedszkole, które wtedy prowadziły zakonnice, a w koszarach na ulicy Rajskiej 1-3 urzędowali Niemcy.

W czasie okupacji, wraz ze swoim starszym bratem i w/w kolegami tworzyli grupę, która na Plantach, w pobliżu pomnika Artura Grottgera, urządziła „wypady” na powracających wieczorem ze szkoły członków Hitler Jugend, co było wielce niebezpieczną, ale fascynującą zabawą. Panu Ryszardowi dobrze zapadła w pamięci Kawiarnia Esplanada, dawny Drobnerion, gdzie dziś stoi bunkier sztuki, bo tam został dotkliwie pobity przez żołnierza niemieckiego po próbie przywłaszczenia sobie paru owoców – granatów, ze stojącego tu wózka.

Po wojnie, w sierpniu 1945 roku Pan Ryszard wraz z rodziną wyjechał na stałe do Gdańska, ale w Krakowie pozostali jego kuzyni, których do dzisiaj corocznie odwiedza.

Za zgodą Pana Ryszarda Manna poniżej publikuję jego świadectwa z lat szkolnych: 1943-44 oraz 1944-45.

**GENERAL GOVERNMENT
GENERALNE GUBERNATORSTWO**

in Polska *Lublin* -klassige polnische Volksschule
Krakau -klasowa szkoła powszechna Nr. *6*

in *Krakau* Kreis *Krakau - Stadt*
w powiat:

**SCHULZEUGNIS
ŚWIADECTWO SZKOLNE**

Mann Ryszard

geboren am *28 Juni* 19*34* in *Krakau*
urazony... dnia w

Kreis *Krakau* Konfession *röm. kath.*
powiat wyznania

Schüler(in) der Klasse *III* Abteilung erhält für das Schuljahr 19*43/44*.
uczeń... klasy oddziału otrzymuje za rok szkolny

nachstehendes Zeugnis:
siopnie następujące:

Betragen <i>sehr gut</i>	ze sprawowania się <i>bardzo dobrze</i>
Schulbesuch <i>!</i>	z uczęszczania do szkoły <i>!</i>
Religion <i>ausreichend</i>	z nauki religii <i>dostatecznie</i>
Polnisch <i>ausreichend</i>	- języka polskiego <i>dostatecznie</i>
Rechnen <i>ausreichend</i>	- rachunków <i>dostatecznie</i>
Raumlehre <i>!</i>	- geometrii <i>!</i>
Naturkunde <i>ausreichend</i>	- przyrody <i>dostatecznie</i>
Prakt. Beschäftigung <i>ausreichend</i>	- zajęć prakt. <i>dostatecznie</i>
Erdkunde <i>!</i>	- geografii <i>!</i>
Leibesübungen <i>!</i>	- ćwiczeń cielesnych <i>!</i>
...nen <i>ausreichend</i>	- rysunku <i>dostatecznie</i>
Gesang <i>ausreichend</i>	- śpiewu <i>dostatecznie</i>
<i>!</i>	<i>!</i>

Anzahl der versäumten Unterrichtsstunden *18*, davon
Liczba opuszczonych godzin szkolnych, z czego

unentschuldigend
nieusprawiedliwiono

Bemerkungen
Uwagi *Promocja*

Krakau den *4* *1944*
Klassenlehrer - opiekun klasy *...*
Schulleiter - kierownik szkoły *...*

Staatsdruckerei Warschau - Nr. 97114/44. V. 1

Dok. nr 4. Świadectwo szkolne Pana Ryszarda Manna za rok szkolny 1943-44

ŚWIADECTWO SZKOŁY POWSZECHNEJ

Manna Ryszard
(nazwisko i imię)

urodzony dnia *28 czerwca* 19*34* r. w *Krakowie*
powiatu *Kraków-miasto* religii (wyznania) *rzymskokat.*
uczęszczał do klasy *czwartej* i otrzymał
za rok szkolny 19*44/45* oceny następujące:

sprawowanie	<i>dobry</i>
religia	<i>dostateczny</i>
język polski	<i>dostateczny</i>
język	
historia	
geografia	<i>dobry</i>
nauka o przyrodzie	
arytmetyka z geometrią	<i>dostateczny</i>
rysunki	<i>dostateczny</i>
zajęcia praktyczne	<i>dostateczny</i>
śpiew	<i>dobry</i>
ćwiczenia cielesne	<i>dobry</i>

Opuścił dni szkolnych *18*, w tym nie usprawiedliwiono *6*
Na tej podstawie *przechodzi do klasy piątej*

Publiczna Szkoła Powszechna stopnia III
Nr *6* im. *Jana Kochanowskiego*
w *Krakowie* (powiat *Kraków-miasto*)
dnia *30 czerwca* 19*45* r.
Nr *25*

Robert Gubich
Opiekun *K* klasy


Władysław Jędrzejewski
Kierownik *S* Szkoły

SKALA OCEN: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Dok. nr 5. Świadectwo szkolne Pana Ryszarda Manna za rok szkolny 1944/45

BEURTEILUNGEN
SKALA STOPNI

<p>Im Betragen ze sprawowania się</p> <p>sehr gut = bardzo dobry gut = dobry entsprechend = odpowiedni nichtsprechend = nieodpowiedni</p>	<p>des Schulbesuchs z uczęszczania do szkoły</p> <p>regelmässig = regularny unregelmässig = nieregularny</p>
<p>der unterrichtlichen Leistungen z nauki przedmiotów</p> <p>sehr gut = bardzo dobry, gut = dobry befriedigend = zadawalający, ausreichend = dostateczny mangelhaft = mierny, ungenügend = niedostateczny</p>	

Dok. nr 6. Pouczenie do świadectwa szkolnego.

Załącznik nr 5

**Moje wakacyjne eskapady
w czasach nauki w szkole podstawowej**

17.12.2008

I. Bilczyce koło Gdowa (cała dekada lat 60-tych)

Bilczyce były ulubionym miejscem moich letnich wakacji. Stara chałupa mojej Babci i panująca tam niepowtarzalna, wiejska atmosfera sprawiały, że zawsze z utęsknieniem tutaj wracaliśmy. Tu spędziłem cały wiek szczenięcy, od urodzenia po rok 1959, a potem całe wakacje w 1963 roku, by powracać tu najczęściej na miesiąc bądź przynajmniej kilkanaście dni w pozostałych latach, w tym na dłużej w 1968 roku.

Swoje impresje na temat letnich pobytów w Bilczycach: „Bilczyce z lat mojego dzieciństwa, lat 60-tych XX wieku” zawarłem w rozdziale nr 3 mojego opracowania: „Saga rodu Grabowskich z Bilczyc i Liplasa koło Gdowa”, opublikowanego w zasobach Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej (www.mbc.malopolska.pl/publication/8610)

II. Klęczana koło Gdowa (1960, 1961, 1967)

Na Klęczanej, właściwie w Klęczanie (do dzisiaj w okolicy powszechnie używa się tej pierwszej, potocznej nazwy) spędziłem niemiernie piękne, niemal pełne letnie wakacje w latach: 1960 i 1961, a także ferie zimowe w 1960 roku. Moje tak częste tutaj pobyty na początku lat 60-tych brały się z chwilowego ochłodzenia stosunków między moją matką, a rodziną ojca. Potem byłem tu jeszcze tydzień w lecie 1967 roku, a potem już epizodycznie zaglądaliśmy tu do roku 1978 roku, kiedy ciotka zmarła.

Moje wspomnienia o Klęczanie: „Moja przygoda z Klęczaną” stanowią rozdział VI (aneks nr 2) innego mojego opracowania, również dostępnego w zasobach MBC, pt.: „Saga rodu Chanków i Kędrynów z Podolan i okolic Gdowa” (www.mbc.malopolska.pl/publication/10372).

III. Dobra koło Limanowej (1962)

Pamięci Zofii i Ignacego Książków, wypróbowanych przyjaciół mojej matki.

Moja letnia przygoda z Dobrą miała miejsce w letnie wakacje 1962 roku i być może były to moje najpiękniejsze wakacje w moim życiu, wszak przez pełne dwa miesiące wypoczywaliśmy tam z dala od miejskiego skwaru i nie zawsze nam życzliwych mieszkańców kamienicy, w otoczeniu przepięknych gór Beskidu Wyspowego: Łopienia, Śnieżnicy i Ćwilina.

Ten wyjazd był trochę niespodziewany. Chodziłem do jednej klasy, w Szkole Podstawowej nr 6 na ulicy Szujskiego 2 z Piotrkiem Książkiem, kolegą z kamienicy przy ulicy Czystej 8. Jak już wspominałem w rozdziale II tego opracowania, Książkowie byli małżeństwem z dwójką dzieci, wspomnianym powyżej Piotrkiem, moim rówieśnikiem oraz młodszą o trzy lata córką Bogusławą, nazywaną Bobą. Na początku lat 60-tych nie mieli oni jeszcze własnego lokum i mieszkali kątem u Gędków, na pierwszym piętrze kamienicy przy ulicy Czystej 8, gdzie zajmowali mały, frontowy pokój bez bezpośredniego dojścia z klatki schodowej.

Pan Ignacy i Irena Gędkowa pochodzili z tej samej wsi: Tłuczani Dolnej bądź Górnej koło Wadowic i byli chyba kuzynami, na dodatek Książek był zapalonym działaczem Cracovii, w której kiedyś grał nieżyjący już wtedy mąż Gędkowej, słynny, powojenny piłkarz tego klubu i stąd chyba pani Irena, właścicielka dużego mieszkania, chwilowo przygarnęła tę rodzinę. Ta męczarnia rodziny Książków nie trwała na szczęście dla niej zbyt długo, bo na wiosnę 1963 roku doczekali się wreszcie nowego mieszkania i przenieśli się na nowobudowane osiedle Olsza II. Nasza znajomość zaczęła wtedy wygasać, aż po paru latach całkowicie zanikła. Z racji chodzenia z Piotrkim do tej samej klasy zaprzyjaźniliśmy się z tą rodziną, wszak my często chodziliśmy się tam bawić, a pani Zofia, bardzo przyzwoita kobieta, darzyła moją matkę wyraźnym szacunkiem i sympatią, jak mało kto dostrzegając jej ciężki los. Tyle wstępu.

Matka Książkowej, „stara Rapaczowa”, której imienia już nie pamiętam, mieszkała w Dobrej koło Limanowej. Zofia była jej najstarszą córką, oprócz której miała jeszcze dwóch synów: Krystiana, chrzestnego Piotrka oraz Leszka, piłkarza Cracovii, wtedy studenta AWF, a później trenera piłkarskiej młodzieży w tym klubie. Jak mi się wydaje miała ona trzech mężów: pani Zofia była dzieckiem z pierwszego małżeństwa, a jej bracia z drugiego, a już na pewno Leszek, młodszy o niej o 13 lat i jej nazwisko „Rapaczowa”, będące w obiegu, pozostało jej zapewne po drugim, a nie trzecim mężu, z którym związała się w późnym wieku. Pani Książkowa widząc trudną sytuację naszej rodziny zaproponowała mamie spędzenie wspólnych wakacji w domu jej matki. Ona sama, wiecznie zapracowana na maszynie do szycia, nie miała czasu na wyjazd, a jej mąż też zawsze pochłonięty był „piłką” i nie nadawał się na niańkę. Padła propozycja, by moja mama niejako przy okazji wspólnego wyjazdu zaopiekowała się ich dziećmi i tak doszło do wyprawy do Dobrej tuż po rozpoczęciu się wakacji. Ja z mamą, bratem i Bobą pojechaliśmy autobusem, zaś Piotrek, cierpiący na chorobę lokomocyjną, miał niebawem dojechać pociągiem, z dwoma przesiadkami: w Suchej i Chabówce.

Jazda przetłoczonym ponad miarę autobusem do Nowego Sącza, który na długo zatrzymywał się na każdym przystanku, gdzie był szturmowany przez kotłujących się ludzi, trwała ze trzy godziny, choć od Krakowa było do Dobrej jest tylko z 70 km. Książkowa ostrzegała mamę, by wykazywała czujność już od Gruszowca, bo odtąd były tylko dwa przystanki i ostry zjazd w dół. Przetłoczony ponad miarę Jelcz z najwyższym trudem wytaszczył się na przełęcz na Gruszowcu, pięknie usytuowaną między szczytami Ćwilina i Śnieżnicy. Potem już był tylko długi zjazd do Dobrej, gdzie przy rozwidleniu drogi do Jurkowa znajdował się pierwszy przystanek na terenie Dobrej, ale my mieliśmy wysiąść na następnym pod nazwą „Dobra Rola”. Z wielkim trudem precyzyjnie się przez tłum pasażerów i nie bez trudu wytargaliśmy liczne manele z bagażnika autobusu.

Już po wyjściu z autobusu ukazał się piękny widok na trzy okoliczne góry: Łopień, Ćwilin i Snieżnicę. Zwłaszcza te dwie ostatnie pokazywały swoje wyjątkowe piękno: Ćwilin wysoki i płaski stożek, zaś Snieżnica trzy garby. Z dala szumiała Łososina, niewielka, ale głośna rzeczka. Powiew świeżego powietrza ocknął nas z letargu spowodowanego długą jazdą.

Dom, gdzie przyszło nam mieszkać znajdował się ze niedaleko przystanku. Była to stara, wiejska, drewniana chałupa, przedzielona na dwie części, z których każda miała oddzielne wejście. „Stara Rapaczowa” mieszkała w tylnej jego części, a do sieni domu wchodziło się po kilku schodkach. Sam dom stał poprzecznie w stosunku do drogi, która wiodła od przystanku do centrum wsi i był oddalony od niej o jakieś 30 metrów, a do wspomnianego wyżej przystanku i głównej drogi w Mszany Dolnej do Limanowej było stąd zaledwie 200 metrów. Do kuchni mieszkania Rapaczowej wchodziło się na prawo, zaraz po wejściu do sieni przecinającej dom, a dalej było jeszcze wejście do dużego pokoju, z dwoma niewielkimi okienkami wychodzącymi na duży ogród, a ten był dobrze zacieniony starymi drzewami owocowymi, zaś wyjście do ogrodu prowadziło przez ganek na kształt portyku. Wewnętrzne drzwi mieszkania łączyły niewielką kuchenką i spory pokój. Przed wejściem do domu znajdowało się obszerne podwórze, a w poprzek domu, blisko jego końca była posadowiona drewniana stodoła, do której z boku była dobudowana wygodką. Wysokiej czystości woda była wyciągana z krytej drewnianą obudową studni.

Właściciele tego domu, który (co dziś wiem) miał numer 393, byli Maludowie, a babka Piotrka mieszkała tu chyba tylko jako sublokatorka. Rapaczowa była dobrą i pogodną kobietą, o charakterze podobnym do mojej mamy. Miała pewnie około 60 lat, choć z perspektywy dziecka wyglądała znacznie poważniej. Z moją mamą szybko znalazły wspólny język, a przez cały okres naszego pobytu panowała tu serdeczna atmosfera. Gotowały na zmianę, a mama robiła codziennie zakupy. Dziwne, ale nie zapamiętałem żadnych nazwisk dawnych mieszkańców Dobrej, z wyjątkiem Stokłosów, sąsiadów z drugiej strony ulicy.

Po śmierci swojego męża, może nawet drugiego, babka Piotrka znowu wyszła za mąż, może w latach 50-tych, ale jej mąż pracował zarobkowo w Czechosłowacji i nie był obecny w czasie naszego pobytu. Budował w tym czasie nowy dom, który znajdował się jeszcze w stanie surowym przy samym gościńcu. Jeszcze do niedawna w tym wykończonym dopiero znacznie później domu, usytuowanym przy drodze z Mszany Dolnej do Limanowej, znajdował się posterunek Milicji, a potem Policji. Od starej chałupy było do niego ledwie z pięć minut spaceru miedzą między polami. Ów plac budowy był naszym ulubionym miejscem zabaw i harców, zwłaszcza przy gorszej pogodzie. Nie było w nim wówczas jeszcze wszystkich schodów, a część z nich zastępowały ułożone pod górkę deski bądź drabinki od rusztowania i aż dziw bierze, że podczas tych harców, nieraz nocnych, nigdy nie wyrządziliśmy żadnej sobie krzywdy.



Fot. nr 464 (464-464h). Dom Maludowej spod nr 393 wg stanu z roku 2020. Niezwykła jest historia tego zdjęcia. W sierpniu 2020 ten dom pokazał na swojej stronie FB Antoni Łapajerski, wielki hobbysta oraz fotograf umykającej architektury drewnianej i mnie od razu mnie skojarzył się on z owym miejscem wakacyjnego wypoczynku z roku 1962, co napisałem w komentarzach i wtedy po podaniu pewnych zapamiętanych szczegółów definitywnie pomógł mi go zidentyfikować i opisać Pan Adrian Cieślik, animator kultury w Dobrej, który był znajomym Antoniego. W tle współcześnie powstały dom pod nr 884.



Fot. nr 464a. Ścian szczytowa domu, który powstał w roku 1924 o czym informuje napis na stragarzu. Szkoda, że nic nie widać od strony ogrodu. (2020)



Fot. nr 464b. Fasada domu od strony podwórka. Fot. nr: 464b-464h Antoni Łapajerski (2021)



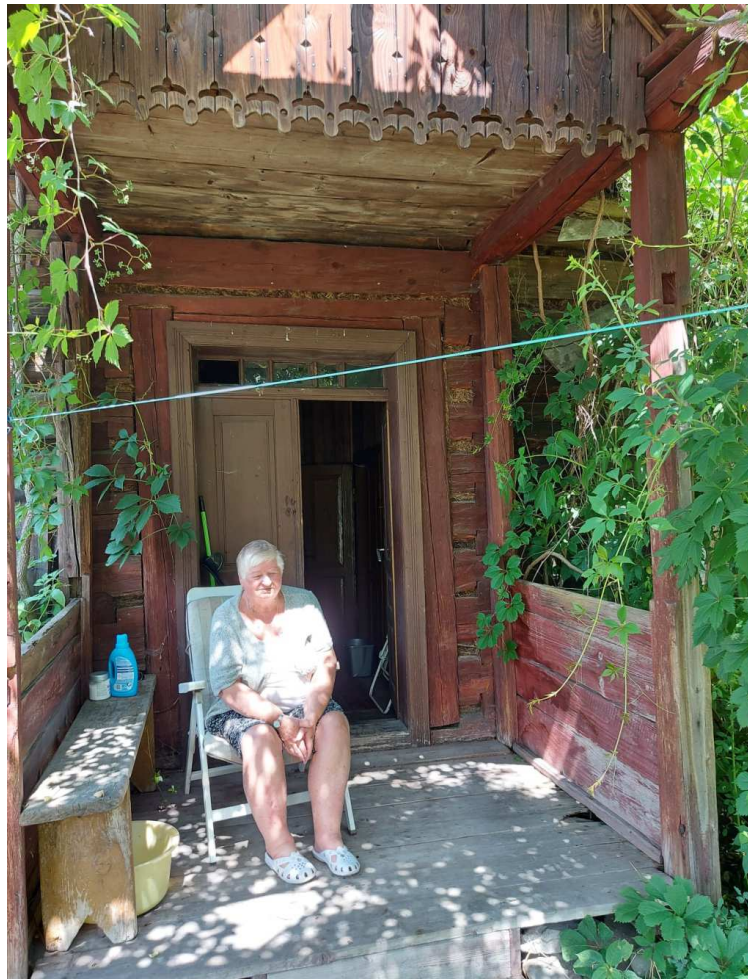
Fot. nr 464c. oryginalne drzwi od strony podwórka.



Fot. nr 464d. Data budowy domu wryta na belce dźwigara.



Fot. nr 465e. Oryginalne okna typu ościeżnicowego w ścianie od strony ogrodu.



Fot. nr 464f. Ganek od strony ogrodu, a w nim wiekowa dziś gospodyni



Fot. nr 464g. Zwieńczenie ganku.



Fot. nr 464h.



Fot. nr 465. Zapewne przedwojenny dom z Dobrej pod nr 31. Fot. A Łapajerski (2021)

Jak się okazuje w roku 2021 nadal stoi stara chałupa Maludowej, a raczej jej lewy fragment. Dawna gospodyni, która jeszcze żyje, ciągle tu na lato przyjeżdża, choć mieszka w Krakowie. W roku 1984, kiedy odwiedziłem Dobrą razem z żoną, a to z racji urlopowego pobytu w nieodległej Mszanie Górnej, stał jeszcze cały dom, choć połówka Rapaczowej, wtedy już dawno zmarłej, była w stanie daleko posuniętej ruiny, z zapadniętym dachem. W 2003 roku, przy kolejnej mojej wizycie, wówczas z okazji pierwszej w życiu wyprawy na Ćwilin, stała już tylko połówka domu, bo druga widać w międzyczasie została rozebrana. W 2007 roku, kiedy znowu tędy przejeżdżałem, przy okazji kolejnej górskiej włóczęgi, połówka starego domu stała nadal, ale na terenie dawnego ogrodu Rapaczowej budowany był już nowy dom. Po jej śmierci, zapewne gdzieś pod koniec lat 60-tych, a może nieco później, jej drugi mąż, ponoć sporo młodszy, z którym raczej nigdy nie układało się jej najlepiej, przestał utrzymywać stosunki z rodziną swojej zmarłej żony, za którą już wcześniej nie przepadał i Książkowie przestali jeździć do Dobrej, a przecież to miejsce tak kochali. Może już niedługo sprzedał on swój niewykończony dom, może nawet w stanie surowym, który potem był posterunkiem miejscowej Milicji?

Z ogrodu domu, który od otaczających go pól był ogrodzony drewnianym płotkiem, zbudowanym ze zbitych kołków, przechodziło się na niewielką łączkę, położoną w sąsiedztwie stodoły, która stanowiła najczęstsze miejsce naszych zabaw. Było to nasze boisko piłkarskie, gdzie za bramkę służył nam fragment wspomnianego płotka. Ja najczęściej byłem bramkarzem, gdyż w tym czasie właśnie ta pozycja najbardziej mnie fascynowała i wówczas byłem zwinny niczym kot i giętki jakbym nie posiadał kości. W zimie na przełomie lat 62/63, kiedy Ignacy Książek zaciągnął mnie wraz z bratem do trampkarzy Cracovii, trenujących w budynku Sokoła, zachwycano się moją postawą w bramce, chociaż byłem dużo mniejszy i młodszy od pozostałych „piłkarzy”. Po jakimś turnieju wyróżniono mnie nawet nagrodą książkową, dla najlepszego bramkarza i wrócono mi dużą karierę. Ale, jak na złość, na wiosnę 1963 roku po przeprowadzce Książków z naszej kamienicy stosunki między nami szybko się urwały i wkrótce przestałem już chodzić na treningi trampkarzy, a szkoda było tej straconej szansy.

W trakcie swego urlopu lekcji gry w piłkę, głównie świetnego dryblowania, udzielał nam wtedy Leszek Rapacz, młodszy brat pani Zofii, piłkarz rezerw Cracovii, a potem trener młodzieży w tym klubie. Raz, po jakimś ostrym strzale mego brata, piłka wylądowała na gwoździu w płocie i uszło z niej powietrze. Baliśmy się do tego przyznać ojcu Piotrkowi, bo była to skórzana piłka, spory w owym czasie rarytas i dopiero „Leszek”, jako go Piotrek nazywał, domyślając się po jakimś czasie co się stało przywiózł nam z Krakowa nową futbolówkę. Później, na przełomie lat 60/70, gdy trenowałem przez jakiś czas w Cracovii już jako junior, pan Leszek był nawet przez krótki czas moim trenerem i był on zawsze postacią bardzo lubianą przez młodzież, nieraz łobuzerską i niełatwą. My również mieliśmy dużo radości, gdy na dłużej przyjeżdżał do Dobrej, bo zawsze był tu dobrym duchem, uśmiechniętym i pogodnym. Chyba tylko raz odwiedzili nas wiecznie zajęci Książkowie, bo mieli pełne zaufanie do mojej matki.

Wszyscy z wyjątkiem babci, która swoje „wyrko” miała w kuchni, spaliśmy w pokoju, sporym pomieszczeniu, gdzie pod ścianami stały ze trzy łóżka. Nigdy nie zapomnę piekielnej burzy z piorunami, która przeszła pewnej letniej nocy nad Dobrą. Od częstych i gwałtownych uderzeń błyskawic niebo raz za razem rozbłyskało i wokół robiło się jasno jak w dzień, a huk piorunów uderzających gdzieś w pobliżu dosłownie wstrząsał chałupą. Wszyscy bardzo przeżywaliśmy ten nocny dreszczowiec, zakończony dla nas happy endem, może też i dlatego, że w oknie stała zapalona gromnica, w której moc nasza mama zawsze mocno wierzyła, a my wraz z nią.

Z ogrodu za domem roztaczał się przepiękny widok na pobliskie góry: majestatyczną, trzygarbną Śnieżnicę, stożkowaty Ćwilin oraz dostojny i bardzo rozległy Łopień. Byłem zauroczony ich widokiem, choć wtedy było jeszcze za wcześnie na ich zdobywanie, ale już wówczas o tym marzyłem. Teraz już wiem, że z wierzchołek Ćwilina ma charakter rozległej łąki, a z jego szczytu rozciągają się niepowtarzalne widoki na okoliczne góry, czasem nawet widać stąd Tatry.

Jakieś dwieście metrów w dół od domu płynęła rzeczka Łososina, nad którą rozciągała się rozległa, kamienista plaża. Schodziło się na nią prosto z głównej drogi tuż przed mostem, a do samej rzeczki, rozgałęzionej wtedy na dwie odnogi, prowadziła niewielka polna ścieżyna w bok od nasypu drogi. W jej dolinie zalegało spore popowodziowe rozlewisko, które podchodziło pod sam nasyp trasy kolejowej Chabówka – Limanowa, a ten biegł nad doliną rzeki. Nieraz, gdy buszowaliśmy w rzece, po pobliskim torze majestatycznie przetaczała się ciuchcia. Pociągi osobowe rozpoznawało się z oddali, gdy ciuchcia ciężko sapiąc ruszała ze stacji kolejowej w Dobrej. Częściej przejeżdżały, a raczej tylko wolno przetaczały się nad rzeką pociągi towarowe, a wówczas naszym ulubionym zajęciem było liczenie wagonów, bo czasem było ich nawet ze 40, kiedy wracały puste, bez ładunku. Z rzadka podchodziliśmy na nasyp kolejowy, lekkomyślnie przykładali uszy do torów i nasłuchiwali czy nie usłyszymy stukotu zbliżającego się pociągu, bo jego sapanie słychać było z daleka. Zauroczenie zaobserwowaną wówczas potęgą tych machin pozostało mi na całe życie. Zawsze marzyło mi się posiadanie miniaturowej kolejki do zabawy, ale niestety była to za droga przyjemność jak na możliwości mojej mamy. Ale swoje marzenia przynajmniej po części realizowałem u Janusza Morawskiego, kolegi z podstawówki, który posiadał cały zestaw kolejowy: z lokomotywą, w której można było regulować prędkość jazdy, przeróżnymi wagonami, licznymi zwrotnicami, rozjazdami i budynkami stacyjnymi. Na rozłożenie całego majdanu potrzebne było pół pokoju, a zabawa często wypełniała całe popołudnie i wspaniałe było to dla mnie wielkie przeżycie.

Na mniejszej odnodze rzeczki, która wręcz idealnie pasowała dla naszych potrzeb, była ułożona niewielka tama z rzecznych kamieni i spiętrzała ona jej słaby nurt. Było tu na tyle głęboko i szeroko, że można było sobie dobrze popływać pieskiem i tylko Boba pływała przy brzegu „po warszawsku, brzuchem po piasku”. Oj napływał się tu człowiek bez liku stale doskonaląc swoje umiejętności pływackie, wtedy jeszcze nie najwyższe, bo zdobyte nie tak dawno na Wiśle pod Wawelem. Pod brzegiem rzeczki, w konarach wiklinowych zarośli jakiś miejscowy młodzieniec łowił ryby „na rękę”, a na rozległej, kamienistej plaży, zawsze nieco wilgotnej, królowały pająki z charakterystycznymi białymi odwłokami. Nadrzeczna sceneria, z przejeżdżającymi pociągami, szumiącym nurtem rzeki, piskiem ptactwa osiadłego na rozlewisku i górskim otoczeniem, mogła każdego zauroczyć. Niepowtarzalną atmosferę tego miejsca wypełniała obecność mojej matki, która nie opuszczała nas ani na chwilę. Zawsze emanował od niej niepowtarzalny urok i ciepło, ponadto posiadała niezwykłą łatwość nawiązywania kontaktu i z dziećmi, i ze starszymi ludźmi, więc szybko znalazła sobie tutaj przyjaciół, letników z Krakowa zamieszkałych przy ulicy Grabowskiego, z którymi później jeszcze długo utrzymywała przyjazne kontakty. Tu, nad brzegami cichej Łososiny, spędzaliśmy większość słonecznych dni, których tego lata nie brakowało. Gdy przejeżdżałem tędy w 2003 roku ze zdumieniem dostrzegłem, że owa plaża, dawniej obszerna i kamienista, całkowicie zarosła „ispinami”.

Droga do centrum tej letniskowej wsi, która zaczynała się przy przystanku autobusowym „Dobra Rola”, była wysypana drobnym żwirem rzeczny i w zależności od pogody unosił się z niej kurz bądź pokrywały ją niemałe kałuże. Biegła lekko w dół, by wkrótce minąć most na rzeczce Łososince. Tuż za mostkiem, po prawej stronie drogi stał tartak i stąd unosił żywiczny zapach ciętego drzewa, a także dolatywał metaliczny zgrzyt pił. Istniał jeszcze w 1984 roku, ale potem nie ma już po nim śladu; nie do poznania zmieniło się też nadbrzeże rzeki.

Niedaleko za tartakiem znajdowało się skrzyżowanie dróg. Główny szlak wiódł prosto pod górę w kierunku Szczyrzyca i tędy po krótkiej wspinaczkę można nim było dojść do stacji kolejowej, której wygląd ciągle przypominał dawne czasy galicyjskie. Sama trasa kolejowa z Mszany Dolnej, po minięciu upiornego dla ciuchci podjazdu pod szczyt Skrzydlnej, biegła dalej przez Dobrą w kierunku Tymbarku i Limanowej, podążając po niezbyt wysokim nasypie cały czas nad doliną Łososiny i omijając z boku po drodze mniejsze lub większe wzniesienia Beskidu Wyspowego

Po prawej stronie głównej drogi, biegnącej w kierunku stacji kolejowej, znajdował się rozległy, solidnie ogrodzony park, a w jego środku stał rozległy budynek szkoły, gdzie w wakacje urzędowali koloniści. Na rogu, po przeciwnej stronie skrzyżowania, znajdowała się piekarnia, a obok niej, o ile dobrze pamiętam knajpa o nazwie „Łososinka”. Piekarnia słynęła ze świetnego pieczywa i zwłaszcza rożki oraz małe bułeczki były tu wymienite. W świeże pieczywo regularnie zaopatrywała nas moja mama, która wczesnym rankiem umykała do wsi na zakupy, kiedy my spaliśmy jeszcze słodko.

W lewo od skrzyżowania, w kierunku centrum wsi wiodła lokalna odnoga w kształcie ulicówki, a jej koniec dochodził do podnóża Śnieżnicy, łącząc się z główną trasą: Mszana Dolna – Limanowa, zaś jej przedłużenie z kolei wiodło wzdłuż zboczy Ćwilina prosto do Jurkowa. W centrum wsi, po lewej stronie drogi, mieścił się wiejski dom towarowy, chyba niedawno wybudowany, a dalej, nieco na uboczu drogi rzucał się w oczy stary, drewniany kościół, gdzie przystąpiliśmy do komunii św. w dniu 15-go sierpnia, w święto Matki Boskiej Śnieżnej, co dobrze utkwilo mi w pamięci.

W górę od przystanku autobusowego, a więc w kierunku zalesionego podnóża rozległego Łopienia, pośród pól uprawnych prowadziła niewielka, wiejska droga. Tą dróżką, fragmentami wyboistą, posiadającą tu i ówdzie głębokie koleiny i wiodącą sporadycznie płytkimi jarami, miejscowi rolnicy transportowali płodu rolne z okolicznych pól, a te podchodziły pod sam las. W lecie na jej brzegach rosły soczyste ostrężnice, którymi nieraz zapychaliśmy się do syta. Od gościńca do lasu było z pół godziny drogi, ale czas nigdy się nie dłużył, bo okolica była wyjątkowo piękna, a zapachy płynące z łąk i pól odurzające. Sam las był niezwykle rozległy, różnorodny i wydawał się nie mieć końca. W lewo od wejścia znajdowało się obniżenie, gdzie w dole płynął potok, a na jego łagodnych zboczach dominował gęsty, borówkowy podszyt. Z kolei w górę, w kierunku szczytu Łopienia wiodła początkowo zawijasta, potem dość stroma, kamienista droga. Raz nawet próbowaliśmy osiągnąć szczyt, ale Bobie, wówczas pięcioletce, nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa i musieliśmy zawrócić spod leśnej polany, skąd było już nie tak daleko do celu. Na kamienistym podłożu drogi stworzonym z rzecznych otoczków, nie łatwym do pokonywania, lubiły się wygrzewać żmije i pewnego razu mój brat, będąc poza zasięgiem matczynych oczu, która akurat zbierała wtedy borówki, stoczył walkę z jedną z nich, zabijając ją z bliska kijem. Tym razem mu się udało, ale nieszczęście było blisko, bo żmija, nieopatrznie przez nas, młokosów podrażniona kamieniami, mogła być naprawdę groźna.

Oj nazbieraliśmy się różnych grzybów w tym lesie. Było ich tu niemało: podgrzybki, różne gołąbki, kozaki i maślaki, te ostatnie licznie rosnące w wilgotnych jarach, a selekcji grzybów dokonywała babcia Rapaczowa. Moja mama, chociaż wychowana w pobliżu lasu, wbrew pozorom nie znała się za dobrze na grzybach i nieraz pozwalała nam zbierać różne dziwne grzyby: czarne cholewy, wszelkich kolorów gołąbki czy ociekające mlekiem krówki i aż dziw bierze, że nigdy nie potruliśmy się poważniej. Pamiętam, że żółte, lekko obślizgnięte gołąbki często uważała za maślaki, ale te na szczęście nie są trujące, choć gołąbków o takim kolorze raczej się nie zbiera, bo nie są one zbyt smaczne, a ponadto posiadają bardzo kruchą konsystencję. Na tych cudownych i niepowtarzalnych wakacjach las pochłaniał nam mnóstwo czasu i do domu wracało się zmęczonym i głodnym, choć mama, jak przystało na wytrawną turystkę, zawsze zabierała ze sobą jakiś podróży prowiant i picie.

Dziś, po upływie sporo ponad pół wieku, ten dwumiesięczny pobyt wspominam z niezwykłym sentymentem. Myślę, że i moja mama naprawdę tam odpoczęła, choć różnych zajęć nigdy jej tam nie brakowało. Bardzo zadowoleni też byli też Piotrek i Boba, którzy nigdy dotąd nie mieli tak ciekawych wakacji, a pochwał mamie nie szczędzili też ich rodzice, bo mama zawsze wносиła dobry klimat, starała się maksymalnie wykorzystać czas i urozmaicić zajęcia. Na dodatek panował tu naprawdę przychylny, rodzinny klimat, który tak bardzo był jej potrzebny po śmierci męża, a przepiękne, górskie otoczenie działało kojąco na jej psychikę.

Wkrótce po przyjeździe do Krakowa od razu zaczęliśmy snuć plany na następne wakacje, ale do ponownego wyjazdu nigdy już nie doszło, bo niebawem powrócił mąż babci Rapaczowej i nie życzył już sobie obcego towarzystwa, a z czasem zaczęły też wygasać nasze stosunki z samymi Książkami. O wspaniałych wakacjach w Dobrej przypomina mi dzisiaj blizna na palcu wskazującym prawej ręki, pamiątka po zacięciu się nożem przy odcinaniu gałęzi wiklinowej przeznaczonej na łuk, bo i takiej zabawy nie mogło tu zabraknąć. I tylko pozostaje żal, że nikt nam wówczas nie robił żadnych zdjęć.

IV. Rajcza (1964)

Letnie wakacje w lipcu 1964 roku spędziłem na kolonii w Rajczy koło Żywca. W tym czasie właśnie ukończyłem czwartą klasę „podstawówki”, ale na kolonię pojechałem po raz pierwszy w życiu. Była to moja pierwsza tak długa rozłąka z matką, do której byłem niezwykle przywiązany, więc pierwszy tydzień tego miesięcznego pobytu znosiłem bardzo źle, ale nie było wyjścia. Matka była zbyt zapracowana, by móc sobie pozwolić na pełno wakacyjny wyjazd na wieś, więc zafundowała nam niespodziankę. Ja osobiście wolałbym spędzać wolny czas na zatęchłym podwórku, wśród znajomych kolegów, ale mojemu bratu pomysł mamy spodobał się i tym sposobem zostałem postawiony pod murem.

Ale od początku. Mama przynajmniej teoretycznie była pracownicą w pewnej Spółdzielni Pracy, której siedziba mieściła się w pięknej, narożnej kamienicy „Pod Śpiewającą Żabą” na rogu ulic Retoryka i Manifestu Lipcowego. Ona była figurantką i za to dostawała jakieś 200 zł, a ktoś wykonując prace na maszynie zgarniał z tego tytułu pod jej szyldem niemałe profity. W ten mechanizm, który miał też pewne zalety, w tym czasie zostało wciągniętych wiele kobiet mocno przypartych do muru przez biedę. Zaletą tej fikcji była możliwość wysłania dzieci na kolonie letnią oraz obdarowanie ich paczkami świątecznymi i to dwa razy w roku. Z tej pierwszej dogodności przyszło mi po raz pierwszy skorzystać w roku 1964.

I tak ciężko wystraszony całkiem nowym wyzwaniem jakim był pierwszy w życiu wyjazd na kolonię wstawiłem się razem z bratem na placu Szczepańskim, skąd nastąpił wyjazd. Na liczną gromadkę dzieci, obowiązkowo odprowadzaną przez rodziców, oczekiwały tam autobusy. Jazda trwała dość długo, pamiętam jakieś trzy godziny, a trasa prowadziła przez: Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice, Kęty, Andrychów, brzegami jeziora Międzybrodzkiego i Żywieckiego, Żywiec i Milówkę aż do Rajczy. Trasą tą jechałem pierwszy raz w życiu i pozostawiła ona w mojej pamięci trwałe ślady: majestatyczny klasztor wraz z kościołem w Kalwarii Zebrzydowskiej oraz zapory na Sole w Międzybrodziu Bialskim i Tresnej.

Zostaliśmy zakwaterowani w szkole podstawowej w Rajczy, ogromnym, jak mi się przynajmniej wtedy wydawało, piętrowym budynku, tuż przy drodze wiodącej z Żywca w kierunku granicy z Czechosłowacją. I tu mała dygresja. Jak oczy dziecka mogą wyolbrzymić rzeczywistość przekonałem się w 1994 roku, kiedy trzydzieści lat po owym pobycie przejeżdżałem przez Rajczę, jadąc w odwiedziny do córki, która właśnie przebywała na obozie harcerskim w pobliskiej Danielce. Otóż wówczas ów budynek szkoły wydał mi się całkiem niewielkim, choć od lat 60-tych nie uległ żadnej zmianie.

Mieszkaliśmy w salach lekcyjnych, trzydziestoosobowych „hangarach”. Na pierwszym piętrze, może w szkolnej świetlicy znajdowała się stołówka, do której jedzenie za pomocą śmiesznej windy, chyba elektrycznej, a może nawet ręcznej, dostarczano z kuchni mieszczącej się na parterze. Trzeba przyznać, że jedzenie było tu znakomite. Harmonogram dnia, zawsze sztywny i monotony, był podporządkowany potrzebom żywieniowym. Rano, chyba o siódmej bądź o w pół do ósmej, pobudka, potem o ósmej śniadanie z obowiązkową zupą mleczną, której nie cierpiałem. O dziesiątej podawano drugie śniadanie, na które składały się głównie owoce. Obiad zjadaliśmy o godzinie drugiej, a po nim nastawała obowiązkowa „cisza”, chyba z półtorej godziny beznadziejnego leżenia w łóżkach. Po nudnej i zniechęcającej powszechnie ciszy dostawaliśmy lekki podwieczorek, złożony głównie z jakichś słodyczy i wreszcie, chyba o siódmej, była kolacja. Cisza nocna obowiązywała bodaj od dziewiątej. Przed spaniem poddawano nas jeszcze kontroli czystości, zwłaszcza nóg. Za stan czystości ciała, kontrolowany wieczorem oraz za jakość siania łóżek, sprawdzaną o poranku, takie „małe wojsko”, otrzymywało się jakieś punkty znaczone na kartach różnymi kolorami. Kolor czerwony oznaczał bardzo dobrze i trzy punkty, niebieski – dobrze i dwa punkty, czarny zaś źle i zero punktów. Kolor czarny owocował dodatkową skrupulatnością przy następnych kontrolach. I mnie raz przytrafiła się taka wpadka za brudne nogi, ale niektórym z nas zdarzało się to częściej, więc wstydu z tej wpadki specjalnie nie odczułem, a jedynie kilka żartobliwych docinków. I jak taki rygor mógł przypaść do gustu?

Rano i wieczór chodziliśmy do mycia nad pobliską Sołę, oczywiście o ile tylko pozwalała na to pogoda. Wystarczyło tylko przejść przez szkolne boisko i pobliski, sosnowy las, a za nim znajdowała się już kamienista plaża, zlokalizowana w pobliżu mostku czy raczej tylko kładki na Sole, a w jej pobliżu znajdował się dobry dostęp do wody. Obowiązkowo trzeba było myć zęby do czego służyła niezbyt smaczna, ale jedynie dostępna, miętowa pasta „Lechia”, która w zimnej, rzecznej wodzie nie za bardzo chciała się spłukiwać. Za mostkiem, po drugiej stronie rzeki zlokalizowana była rozległa łąka, miejsce częstych gier i zabaw kolonistów, a jeszcze dalej, na niewielkim wzgórzu porastał rozległy las, rzadziej już penetrowany w trakcie nielicznych wycieczek, bo wymagający od wychowawców odrobiny wysiłku fizycznego, do czego widać nie przejawiali ochoty.

Jak pamiętam, że naszym wychowawcą był ok. 35-letni blondynek, do którego przyłgnęło przezwisko Mikołaj i był to dość sympatyczny facet, bo zezwalał na stosunkowo dużo swobody. Wprawdzie niezbyt chętnie chodził z nami na dalsze wycieczki, za to czasem grywał z nami w piłkę, choć nie był tu orłem. W ogóle młodzież była podzielona na kilka grup wg kryteriów wiekowych. Ja byłem wyjątkiem, bo trafiłem do jednej grupy razem z bratem, za stanowczym jego wstawiennictwem. Ta grupa „starszaków”, przedostatnia w hierarchii, odpowiadała wiekiem mojemu bratu, więc ja byłem w niej smarkulem, ale może dlatego starsi koledzy traktowali mnie z pobłażliwością jako swoistego rodzyńka. Każda z grup miała oczywiście osobnego wychowawcę bądź wychowawczynię oraz grupowego, jednego z nas, który w czasie zbiórki, obowiązkowo odbywającej się w dwuszeregu, wydawał różne głupawe rozkazy i komendy.

Może kilka słów o Rajczy. Była już wtedy znaną letniskową wsią, bo jeszcze nie miastem, zlokalizowaną u podnóża Beskidu Żywieckiego, doskonałym punktem wypadowym do dalszych górskich eskapad. Daleko od centrum Rajczy, bo z dobre pół godziny drogi, zlokalizowana była stacja kolejowa, będąca przystankiem na trasie Bielsko-Żywiec-Zwardoń. Pamiętam, że gdzieś w połowie pobytu odwiedziła nas mama, razem z babcią Piotrka Pietruszki, kolegi z kolonii, którą wcześniej poznała w Krakowie. Akurat w tym czasie, gdzieś w połowie lipca, w Rajczy odbywał się przykościelny odpust. Byłem przeszczęśliwy z racji jej przyjazdu, a ona widząc jak źle znoszę rozłąkę dla pokrzepienia serca zafundowała mi piękny kowbojski, słomkowy kapelusz oraz pistolet na „korki”. Pamiętam do dziś, że w smutku i płaczu odprowadzałem ją do pociągu i ta długa droga wydawała mi się wtedy niezwykle krótką. Ale po pocieszeniach, że to jeszcze tylko dwa tygodnie jakoś do siebie doszedłem i mamie łatwiej było odjechać. Tu muszę zaznaczyć, że od samego dzieciństwa byłem jej przylepką i wszędzie z nią chodziłem, więc brat, może przez zazdrość, nazywał mnie „maminym cycusiem”. Nie ukrywam też, że w dzieciństwie ciężko przeżywałem każde dłuższe z nią rozstanie, ale dziś z perspektywy pół wieku stwierdzam, że warto było być tak blisko matki, bo jej życie tak szybko uciekło, choć było długie, bo trwało 86 lat.

Główna droga prowadząca przez Rajcę, ta od strony Żywca i Milówki, biegła tuż obok naszej szkoły, a potem w centrum wsi zbaczała w lewo w kierunku Ujsołów, granicznej wsi z Czechosłowacją. Tu oddzielała się od niej boczna droga w kierunku Zwardonia: przez Sól, Rycerkę Dolną i Górną. Po minięciu zabudowań droga ta biegła przez niewielki most na Sole, bodaj następny w stosunku do kładki, w której sąsiedztwie chodziliśmy z codzienną toaletą, a potem już za rzeką skręcała w lewo. Posiadała szutrową nawierzchnię, więc o jej jakości lepiej nie wspominać. Centrum wsi stanowił placyk zlokalizowany naprzeciw kościoła, po przeciwnej stronie głównego traktu. W kierunku Zwardonia znajdowały się zabudowania w formie ulicówki, a nad samą rzeką, tuż przy wspomnianym mostku znajdowało się boisko sportowe, na którym toczyliśmy międzygrupowe boje. Choć w stosunku do starszych kolegów byłem jeszcze „małym mikrusem”, to z racji swoich nieprzeciętnych umiejętności zostałem wybrany do reprezentacji kolonii i rozegrałem w niej międzykolonijny mecz. Swoimi „kiwkami” wzbudzałem podziw, kiedy z dziecinną łatwością ogrywałem starszych dryblasów. Z racji swoich umiejętności piłkarskich byłem znany na całej kolonii.

Kolonia stanowiła więc namiastkę wojska, gdzie ściśle były przestrzegane wszelkie terminy dotyczące: żywienia, toalety, snu jak i obowiązkowego wypoczynku. Zajęcia ruchowe zawsze były wkomponowane w sztywną ramówkę czasową i pewnie dlatego nigdy nie było czasu na jakąś większą improwizację i dalsze wyprawy. Rano pomiędzy pierwszym i drugim śniadaniem był wolny czas, który dla mnie najczęściej upływał na grze w piłkę na szkolnym podwórku, a inni w tym czasie przeżywali nudy. Potem do obiadu była jakaś niedaleka wyprawa, czy to nad rzekę, czy na wspomnianą łąkę pod lasem, rzadko gdzie indziej. Soła nie była tu za głęboka, ale pod mostkiem można się w niej było co nieco zanurzyć i popływać pod baczynym okiem wychowawcy, oczywiście na komendę. Tych zbiorowych kąpiei nie było niestety za wiele, bo wychowawcy najwyraźniej woleli unikać dodatkowej odpowiedzialności.

Zorganizowano nam tylko dwie piesze wycieczki: do Ujsoł oraz do Rycerki Dolnej, co nie było zbyt dużo jak na miesiąc pobytu. Przemarsz zawsze odbywał się w woskowym dwuszeregu. Pierwsza z nich była totalnie nieciekawa, bo całą drogę szliśmy wzdłuż asfaltowej drogi, druga nieco bardziej interesująca, bo wiodąca wzdłuż bocznej drogi do Zwardonia. Tu w Rycerce odwiedziliśmy innych kolonistów, rodem ze Śląska, ale brakło jakichś atrakcji, by zachować ją na dłużej w pamięci. Była też jedyna dłuższa, bo całodzienna wyprawa na Halę Boraczą, ale ja akurat w niej nie uczestniczyłem, bo dzień wcześniej zatrąłem się i w nocy musiałem łykać olej rycynowy, a później pomęczyć się przez godzinę w ubikacji.

Na pewno zabrakło wypraw typowo górskich, a przecież tak niedaleko znajdowały się nie aż tak niebotyczne szczyty Beskidu Żywieckiego: Mała i Wielka Racza czy Węgierska Górka, znane letnisko, a wtedy o ileż więcej byłoby wspomnień, jednak leniwym wychowawcom brakło dobrej woli i swoistej iskry bożej. Odnosiło się czasem wrażenie jakby odrabiali oni pańszczyznę, wykonując tylko niezbędne minimum, by broń Boże nie narazić młodzieży na jakieś niepotrzebne niebezpieczeństwo, a samym zbytnio się nie przemęczyć.

Po obiedzie była obowiązkowa i zniechęcająca cisza, a potem znowu jakaś wycieczka w najbliższą okolicę bądź znowu indywidualne zajęcia na boisku szkolnym. Na wieczór toaleta nad Sołą, kolacja i spanie. Tak w kółko przez miesiąc i mnie, wolnemu ptakowi, z czasem trudno się było z tym pogodzić, ale cóż miałem począć – wyczekiwałem tylko końca.

Czasem przy zapadającym zmroku organizowane były „wieczorki” kulturalno-oświatowe, zwane „capszczykami”, gdzie grupa starszych kolonistów, zwłaszcza bracia Jakowlewowie, zabawnie wyglądający Krakusi z zapadłymi nad oczami czołami, nad płonącym ogniskiem rozśmieszali kolonijne towarzystwo skeczami i kawałami. Potem, na ogół na koniec imprezy odbywały się grupowe śpiewy aż do zapadnięcia nocy i były to nieliczne przyjemne chwile w tym kolonijnym maglu. W niedzielę kto tylko chciał mógł iść na mszę do pobliskiego kościoła na własne życzenia, ale chętnych nie było za wielu i szli tam głównie chłopaki ze wsi, bo takie to były czasy. Pamiętam, że podczas mojego pobytu na kolonii zmarł Aleksander Zawadzki, ówczesny Przewodniczący Rady Państwa. Niedzielne uroczystości pogrzebowe były relacjonowane przez głośniki specjalnie umieszczone na ulicy i ich odgłosy dolatywały do naszej szkoły, a w tym czasie mieliśmy akurat poobiednią ciszę, zniechęcającą przez kolonistów.

W trakcie pobytu zdążyłem się zaprzyjaźnić z kilkoma starszymi kolegami, gdyż była to kolonia chłopięca, w tym na dłużej z: Markiem Boguszeńskim, Jurkiem Pietruszką czy Wojtkiem Szymańskim. Przypominam sobie Adama Nenckę, kawalarza i dowcipnisia, który był utrapieniem dla wychowawcy, Marka Pastuszkę, a może Pastuszka, naszego grupowego oraz (?) Lelka. Z tym pierwszym Markiem, niezwykle miłym kolegą, byłem też na kolonii w Muszynie w następnym roku. Sporo było dzieciarni ze wsi, której rodzice pozwolili się wyrwać od żniw, najczęściej cichej i nieśmiałej, ale za to bardzo grzecznej.

Z upływem czasu z utęsknieniem liczyłem dni pozostałe do odjazdu z nadzieją, która podtrzymywała mnie na duchu, że po przyjeździe do Krakowa na cały sierpień pojedziemy do babki do Bilczyc i tu odbijemy sobie tą nudę. Na szczęście czas, który początkowo płynął niezwykle wolno, po połowie pobytu i wizycie mamy jakoś zaczął szybciej uciekać i w końcu te dni niewoli dobiegły końca. Nastął radosny dzień odjazdu, niestety z poczuciem straconego miesiąca wakacji.

Wcześniej, jak to dawniej bywało na koloniach i różnego rodzaju obozach, w ostatnią noc, która zwana była „zieloną”, robiło się współtowarzyszom różnego rodzaju psikusy. Do bogatego repertuaru drobnych złośliwości należały: „kocowa”, czyli uderzanie w tyłek uśpionego kolegi po przykryciu mu głowy kocem, by nie wiedział kto to zrobił, malowanie twarzy bądź ciała pastą do zębów czy zamiana bądź nawet wymieszanie ubrań.

Pobył w tym pięknym miejscu, które z tego punktu widzenia wspominam z wielkim sentymentem, był dla mnie ważną życiową lekcją. Z dala od domu i matki sam musiałem sobie jakoś radzić i choć nie było to łatwe, to na pewno zaprocentowało w przyszłości, kiedy przy wyjazdach nie sprawiałem już większych problemów. A kolonie w owych czasach, praktycznie bezpłatne wyjazdy do ciekawych miejsc na terenie całego kraju, były dla wielu dzieci lubianą, bo jedyną możliwością wypoczynku i poznawania świata. Ale dla mnie była to raczej katorga niż wypoczynek. Wyjazd do Bilczyc, który nastąpił niebawem po przyjeździe do Krakowa, pozwolił mi jednak szybko zapomnieć o tych nieciekawych dla mnie przeżyciach wakacyjnych. Niemniej dziś, po pół wieku, pomny innych doświadczeń, oceniłbym ten pobyt jako udany i dobrze zorganizowany.

V. Muszyna (1965)

Była to moja druga kolonijna wyprawa, podobnie jak poprzednia zorganizowana przez chałupniczą s-pnie pracy, w której „pracowała” moja mama. Tym razem była to wyjazd do Muszyny, a podróż odbyła się koleją. Przy pożegnaniu na dworcu kolejowym, bogatszy już o zeszłoroczne doświadczenia trzymałem się już twardo, nie dając odczuć niezadowolenia z tej formy spędzania wakacji. Nie odpowiadała mi zwłaszcza ta wojskowa dyscyplina, masowe spędzanie czasu i brak jakiegokolwiek intymności, choć na pewno plusem była możliwość zwiedzenia ciekawego, nowego zakątka kraju, ale mimo wszystko memu wyjazdowi kolonijnemu zawsze towarzyszył jakiś wewnętrzny smutek i przekonanie o straconym czasie. Na duchu podtrzymywała mnie tylko świadomość, że jakoś to minie, a później, na resztę wakacji, znowu już razem z mamą pojedziemy do ukochanych Bilczyc, gdzie czekają na nas wypróbowani wiejscy koledzy i przepoczcziwa Babcia. Rozumiałem już wtedy, że pochłonięta pracą matka nie może sobie pozwolić na dłuższe niż miesięczne wakacje.

Jazda pociągiem zawsze mnie pociągała, wszak w trakcie podróży tyle ciekawego można było zobaczyć. Należało tylko uważać, by z okna wagonu nie wychylać się za głęboko, bo wtedy do oka mógł wpaść kawałeczek żużla z komina „ciuchci”, bo były one wtedy jeszcze w powszechnym użytku, zwłaszcza na peryferyjnych trasach. Podstawą dobrego samopoczucia było jednak zajęcie dobrego miejsca przy oknie, najlepiej w kierunku jazdy pociągu. Podróż kolonijnym pociągiem trwała z siedem godzin.

Do Tarnowa mknął po szynach elektrowóz, a później: przez Stróżę, Grybów, Nowy i Stary Sącz oraz Piwniczną, skład ciągnęła pocziwa ciuchcia, ciężko sapiąc na podjazdach. Dodatkowego uroku tej podróży dodawał fakt, że ciuchcią jechałem pierwszy raz w życiu i to od razu tak długo, a do tego widoki za oknem były wyjątkowo ciekawe i zmieniały się jak w kalejdoskopie: Puszcza Niepołomska, Raba, Dunajec, dolina Białej i Pogórze Ciężkowickie, dolina Popradu i wreszcie prawdziwe góry Beskidu Sądeckiego.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Muszynie, która pamiętała jeszcze stare, galicyjskie czasy. Od razu dał się odczuć przyjemny zapach pomidorów dolatujący ze składów pociągów towarowych, które stały na bocznicach. Towarzyszył on nam później codziennie w naszych kolonijnych przemarszach, bo tak się złożyło, że nasza kwatery znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie stacji. Muszyna była graniczną stacją przeładunkową, więc przez nią przebiegały transporty kolejowe od strony Słowacji, w tym wspomniane składy wagonów z pomidorami z Rumunii. Lato tego roku było wyjątkowo chłodne oraz mokre i krajowych pomidorów było na rynku niewiele, więc w sklepach warzywnych dominowały te z Rumunii, bardzo czerwone, choć nie tak smaczne jak choćby krajowe malinówki.

Po podróży chwilowo zatrzymaliśmy się w nieodległym domu wczasowym „Bristol”, zlokalizowanym niedaleko mostu na Popradzie, który stał się bazą kolonii, zarówno gastronomiczną jak i hotelową. Z dworca prowadziła do niego nierówna droga, wyłożona archaiczną kostką, pewnie też pamiętającą czasy Babci Austrii. Ponieważ jednak budynek „Bristolu” nie był stanie pomieścić tak dużej ilości młodzieży, stąd część została oddelegowana do willi zwanej wówczas „Szczęsną”. Willa ta później zmieniła swą nazwę na „Radość, co stwierdziłem w 1990 roku, kiedy tu pojawiłem się tutaj raz jeszcze, niejako na swoistym rekonesansie, tym razem przy okazji uroczych wakacji spędzanych w nieodległym Rytrze razem z żoną i córką, po raz pierwszy w życiu korzystając z usług własnego samochodu – „malucha”.

Drogę z „Bristolu”, gdzie znajdowało się zaplecze gastronomiczne kolonii, do „Szczęsnej” pokonywaliśmy codziennie, co najmniej kilka razy, ale tu przynajmniej taki ścisły dwuszereg nie obowiązywał. Trasa biegła wspomnianym powyżej brukiem w kierunku budynku stacji, przed którym skręcało się w lewo, by po pokonaniu kilkudziesięciu schodków sforsować długi mostek nad torami, gdzie pod nami znajdowało się mnóstwo torów i rozjazdów, bo była tu ważna stacja przeładunkowa, na dodatek graniczna. Już za torami skręcało się w prawo, w kierunku nieodległej już granicy i tu droga gruntowa, równoległa do torów, prowadziła prosto do willi „Szczęsna”, którą osiągało się po jakichś 300 metrach marszu. Ta nieco zdezelowana w tym czasie willa, na której jednak znać było dawną świetność, stała na skraju drogi, na zboczu dość ostrego wzniesienia, w otoczeniu jakichś dawno nieużywanych budynków gospodarczych, w tym stodoły. Od początku sprawiała na mnie przygnębiające wrażenie, w odróżnieniu od „Bristolu”, który był pensjonatem wybudowaną w starym, kurortowym stylu, do tego w miarę zadbanym. Z „Bristolu” do „Szczęsnej” było z jakiś kilometr drogi.



Fot. nr 465 (466-466a). Wspomnienia z Muszyny z roku 1990. Tu na Górze Zamkowej.



Fot. nr 466a. Na Rynku w Muszynie. (1990)

Niestety właśnie wspólnie z bratem pechowo znaleźliśmy się w grupie młodzieży, drugiej pod względem wieku, której przyszło zamieszkać na tych peryferiach. Mój brat, choć wiekowo przynależał do starszej grupy, zdecydował się zostać ze mną w tej młodszej, co pewnie było błędem, bo mogło być odwrotnie, do czego zresztą namawiał nas Marek Boguszewski, znajomy z poprzedniej kolonii. Razem z nami wypoczywał też Zygmunt Kozaczek, jego szkolny kolega brata z równoległej klasy. Nie był to szczęśliwy wybór, bowiem warunki w „Bristolu” były bez porównania lepsze, a ponadto trzeba było codziennie dochodzić na stołówkę na każdy posiłek, co zajmowało ze dwadzieścia minut w jedną stronę, a pogoda tego lata była pod psem. Zmoczoną w strugach deszczu odzież nie było potem, gdzie dosuszyć. W przeciwieństwie do kolonii w Rajczy były podawane tylko trzy posiłki na dzień, choć dla nas może to i dobrze. Na szczęście tak lubię pomidory, że nawet ich codzienny, intensywny zapach płynący ze stojących na torach składów, zwłaszcza przy przechodzeniu przez kładkę ponad wiaduktem, nie był mi w stanie ich obrzydzić, choć u wielu wywoływał z czasem obrzydzenie.

Niestety kolonia ta była o wiele gorzej zorganizowana niż ta w Rajczy w poprzednim roku, którą jakoś łatwiej dało się przeżyć; bez porównania gorsze było tu zwłaszcza wyżywienie, a i wychowawcy nie przykładali się nadmiernie do swych obowiązków. Naszym opiekunem był młody, gdzieś trzydziestoletni blondynek z Krakowa, może Julian i tak na odwal się nazbyt często dawał nam wolny czas, a my nudziliśmy się potwornie na dziedzińcu willi. Co można było robić kilka godzin w tak nieciekawym miejscu, na dodatek przy złej pogodzie. Totalna karramba.

Skromne pocieszenie stanowił fakt, że kierownikiem kolonii był Józef Czekajowski, mój nauczyciel matematyki z podstawówki, mocno już starszawy profesor, ale za to niezwykle miły i łagodny człowiek. Przebywał tu razem ze swoją żoną, mocno przygrubawą panią, też nauczycielką i takimż samym pieskiem, ledwo toczącym się po ziemi. On z kolei, może dla odmiany, był chudy jak patyk, więc cała ta „rodzinka”, skądinąd bardzo przykładowa, wyglądała trochę komicznie.

Willa „Szczęsna”, jak już wspominałem, w porównaniu z okazałym „Bristolem”, drewnianym ośrodkiem w stylu przedwojennego pensjonatu, była niemal ruderą. Ciasne kilkuosobowe pokoje, od dawna nieodnawiane, żelazne prycze do spania, tynki odpadające z sufitów, obskurne kible czy brak ciepłej wody, wszystko to dodatkowo przygnębiało. Na niezbyt rozległym podwórku willi stała stara stodoła, która w ramach tzw. „wolnego czasu” z konieczności musiała służyć za miejsce zabaw, ale nadmiar młodzieży sprawiał, że wszyscy przeszkadzali sobie na wzajem i często dochodziło do niepotrzebnych utarczek. W sumie był to naprawdę nieudany wyjazd i nie pozostawało nic innego jak tylko z niecierpliwością odliczać upływające dni, choć czasem wydawało mi się, że ten koszmar nigdy się nie skończy.

Ta kolonia tak zniechęciła mnie do tego typu wypoczynku, że w następnym roku, mimo że byłem już wpisany na listę do Starego Sącza, tym razem już bez brata, który przekroczył limit wiekowy, kategorycznie matce odmówiłem. Wolałem spędzać czas w Krakowie, z kolegami z kamienicy: braćmi Siedleckimi czy Jackiem Gędłkiem i razem z nimi błąkać się po Parku Jordana czy chodzić na baseny: Wisły lub Cracovii, jeździć na rowerze w okolice Krakowa lub nawet zbijać „bąki” na zatęchłym podwórku.

Na szczęście w naszej grupie znalazło się kilku fajnych kolegów, przez co czas szybciej uciekał. Wspomniany już Zygmunt Kozaczek został naszym grupowym i bliżej zaprzyjaźnił się z bratem, ja natomiast darzyłem sympatią głównie Jasia Banasia, dobrego piłkarza, z którym później, już w Krakowie, wielokrotnie rozgrywałem mecze, bo chodził on do SP nr 31 na ulicy Prusa i często bywał na Błoniach, ale też Jaśka Madeję, z kolei zacieklego kibicą, z którym potem często spotykałem się na meczach koszykówki w hali Wisły. Sympatyczny, bo wesoły, był też Jurek Stobierski, chłopak z Azorów, ale on często, tak z nudów, stawał się przedmiotem żartów, gdyż miał trzy siostry i opowiadał jak musiał im w domu ulegać. Na szczęście znosił to ze stoickim spokojem i tylko rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi.

Za sprawą nudy czas upływał bardzo monotennie: ciągle przemarsze do Bristolu i tylko od czasu do czasu wyjścia na miasto bądź w najbliższą okolicę. Dla mnie jednak jedyną prawdziwą rozrywką była gra w ulubioną piłkę nożną. Nasz wychowawca czasem zabierał nas na nieodległy plac zabaw i tam rżnęliśmy w piłkę do upadłości. Był on usytuowany po drugiej stronie Popradu, jakieś dziesięć minut drogi od „Bristolu” i należało tylko pokonać most na Popradzie, który w tym czasie często był bardzo wzburzony i brudny, bo lato tego roku było wyjątkowo deszczowe. Czasem grywaliśmy też w siatkówkę na boisku przylegającym do budynku Bristolu, ale to było zwykle zajęte przez starszą grupę. Pewnym urozmaiceniem czasu stał się turniej siatkówki rozgrywany w centrum Muszyny, chyba na boisku obok szkoły, na który nasza kolonia wystawiła swój zespół oparty głównie o młodych wychowawców, w tym naszego i najlepszych kolonistów. Miejscowi wystawili niezwykle silną drużynę, złożoną z bardzo wysokich i wysportowanych młodzieńców, może nawet jakichś ligowców i ta dosłownie zmiotła z boiska naszą reprezentację, a potem inne drużyny. Ja tylko kibicowałem, choć na podwórku szkolnym sam dobrze już grałem w „siatkę”; np. potrafiłem świetnie zaserwować, ale generalnie byłem zbyt niski do tej dyscypliny, przynajmniej wtedy. Widać tradycje siatkarskie już wtedy były zakorzenione w tym miasteczku, bo już w III RP „Muszynianka” była mistrzem kraju w rozgrywkach żeńskich.

Kiedy latem 1990 roku podczas wycieczki z Rytra, gdzie spędzałem wakacje, „wizytowałem” tereny z czasów mego dzieciństwa, ze smutkiem stwierdziłem, że „Bristol” jest już zamkniętym obiektem, w stanie krytycznym, może do remontu, a może już tylko do likwidacji. Plac zabaw za Popradem trwał bez zmian, ten sam był też mostek nad torami, a i „wiekowa” kostka na ulicy dojazdowej do dworca nie uległa wymianie. Rynek, z charakterystyczną figurą św. Floriana pośrodku, jak dawniej był czysty i zadbane, teraz pewnie jeszcze bardziej niż w połowie latach 60-tych.

Z przyjemniejszych momentów muszę też odnotować ze trzy grupowe kąpiele w Muszynie, na łące u podnóża Góry Zamkowej. Kąpiel w Popradzie była zabroniona, a w rzeczce tej można się było jedynie popluskować. Drażniła mnie, wolnego dotąd ptaka, ta przesadna dyscyplina: nakazy, zakazy, przemarsze, czasem w dwuszeregu i totalny brak luzu, do czego za nic w świecie nie mogłem przywyknąć. To wszystko powodowało, że coraz bardziej zaczynałem tęsknić za wakacyjnymi wyjazdami do Bilczyc, których wcześniej jakby nie w pełni doceniałem. Marzył mi się Gdów, z cudowną Rabą pełną kamienistych plaż, zielonych wodnych głębi i nadrzecznych łąk oraz zabawy na strychu babcynej chałupy, w stodole czy na rozległym ogrodzie.

Może jedynie raz byliśmy w lesie w okolicy Góry Zamkowej, choć nie przypominam sobie byśmy zwiedzali ruiny zamku, a raz, co było wielkim wyjątkiem, wychowawca zabrał nas na dalszą wycieczkę w nadgraniczne góry. Tutaj szliśmy graniczną ścieżką, widać wydeptaną przez przemytników, a potem wszyscy na moment przekroczyliśmy granicę państwa, może z 50 metrów w głąb Czechosłowacji, co wywołało w nas wszystkich spory dreszczyk emocji; była to zresztą moja pierwsza w życiu „zagraniczna” wyprawa. Na szczęście nikt tego nie zauważył, choć „wopiści” kręcili się w tej okolicy. Wszędzie chodziliśmy „kupa”, razem z młodszą grupą, której wychowawcą był Andrzej z Zakopanego, kolega i „anioł stróż” naszego wychowawcy, też człowiek bez jakiegokolwiek inwencji.

Ale największą frajdę sprawiła mi kolejowa wycieczka do pobliskiej Krynicy, „perły wód”. Choć z Muszyny do Krynicy jest blisko, pewnie ze 20 km, to podróż „sapiącą ciuchcią” trwała z pół godziny, a efektowna trasa wiodła wzdłuż doliny Muszynki, pośród pięknych górskich krajobrazów. Ówczesna Krynica zauroczyła mnie całkowicie. Nadal było to piękne uzdrowisko z przedwojenną duszą, pełne przepięknych, drewnianych pensjonatów, choć wtedy po części już podniszczonych, które były zlokalizowane wzdłuż niewielkiego potoku bądź na stokach Jaworzyny. Oj nachleptaliśmy się tu różnych wód mineralnych w starej i nowej pijalni, wtedy jeszcze bezpłatnie. Była też obowiązkowa wizyta na Górze Parkowej, na której szczyt jechało się kolejką linową. Na jej stokach, w sąsiedztwie torów kolejki wił się jeszcze słynny tor saneczkowy, a raczej jego drewniany „stelaż”.

Ale mnie najbardziej zauroczyła willa w kształcie okrągłej baszty, tkwiącej na górskim zboczu gdzieś naprzeciw pijalni. Wydawała mi się wtedy ogromnie wysoką, sięgającą prawie do nieba, lecz kiedy po raz kolejny byłem tutaj już na studiach w 1975 roku, a potem na wczasach w 1981 roku, razem z żoną, stwierdziłem z niedowierzaniem, że ta willa - baszta nie jest wcale aż taka niebotyczna. Tak to jeszcze raz przekonałem się, że spojrzenie dziecka często wyolbrzymia rzeczywiste rozmiary. Wtedy, w latach 70-tych i 80-tych, był to czas totalnego upadku tego kurortu i znacznej części stylowych, drewnianych budynków groziło zawalenie, a niemało z nich znajdowało się w stanie totalnej ruiny. Dobrze się zatem stało, że dziś to słynne polskie uzdrowisko znów wygląda pięknie i nie błyszczący swym wyglądem.

Jak już wspomniałem, jedzenie było dużo gorsze niż w Rajczy. Prawie w ogóle nie dawano nam owoców, a na śniadanie dominowały zupy mleczne tak przeze mnie i nie tylko znienawidzone. Pomidorów też praktycznie nie jadaliśmy, choć całe ich wagony przetaczano przez stacje w Muszynie i niestety musieliśmy się nasycić tylko ich zapachem. W niedzielę na śniadanie podawano tylko kakao i kawałek ciasta, toteż czasem człek chodził nawet głodny, a przy tym zły. Jedynym plusem tej kolonii było zlekceważenie przez wychowawcę nakazu poddawania się ciszy poobiedniej, co było powszechnie znienawidzoną przez kolonistów praktyką.

Najważniejszą jednak dla mnie lekcją z tego pobytu było uświadomienie sobie raz jeszcze, co znaczy pobyt wśród najbliższych i kolegów, w przyjaznym otoczeniu bez nakazów i zakazów. Wyjeżdżałem stąd z poczuciem wielkiej ulgi, bez najmniejszego żalu. Nawiasem mówiąc nie mogłem się doczekać tego momentu i powrotna podróż była chyba, oprócz niezapomnianego, bo pierwszego w życiu pobytu w Krynicy, najprzyjemniejszym momentem jaki zapamiętałem z tej kolonii. A potem po przyjeździe do Krakowa od razu wyjechaliśmy do Bilczyc i były to kolejne, cudowne wakacje, które szybko zabiły kolonijne rany. Ten jakże nieudany kolonijny wyjazd, bo i pogoda była fatalna, był moim ostatnim.

VI. Trzciana koło Żegociny (1966)

Pamięci Krzyśka i Jacka Gędków, moich kolegów z kamienicy

Pomny niemiłych wspomnień kolonijnych z Muszyny z 1965 roku, w następne wakacje kategorycznie odmówiłem matce wyjazdu na kolonie do Starego Sącza i w związku z powyższym przez jakiś czas zbijałem bąki z kolegami na podwórku, głównie z braćmi Siedleckimi, chodząc na basen, jeżdżąc na rowerze i kopiąc w piłkę. W tym czasie Jacek Gędłek, mój starszy kolega z pierwszego piętra kamienicy, w której mieszkałem, właśnie wyjeżdżał na wakacje do Trzciany i z ust jego wiecznie zapracowanej matki niespodziewanie padła propozycja wspólnego wyjazdu z jej młodszym synem. Ze Trzciany pochodziła pracownica jej zakładu krawieckiego i stąd wzięła się rekomendacja tej miejscowości, gdzie Jacek wypoczywał już zeszłego roku, a aktualnie był tam już Krzysiek, jej starszy syn i on miał mieć nas, smarkaczy, na oku.

Mama nie mogła patrzeć jak marnotrawię czas na zakurczonym i śmierdzącym podwórku, więc przystała na tą propozycję, chcąc mnie nieco przewietrzyć w wiejskim otoczeniu. Ja sam nie za bardzo chciałem wyjeżdżać, bo właśnie w decydującą fazę wkraczały mistrzostwa świata w piłce nożnej w Anglii i z tego tytułu byłem „przyklejony” do telewizora, ale Jacek obiecał, że będziemy je oglądać na plebani, za wstawiennictwem jego znajomego, syna organisty. Ów facet, chyba Franek, niemłody już kawaler, czasem przyjeżdżał do Krakowa i tu zawsze wypijał jakąś flaszkę z jego wujkiem, Tadeuszem Pamulą, bezrobotnym alkoholikiem, magistrem na utrzymaniu swojej starej i schorowanej na Parkinsona matki, a babki mojego kolegi. Przez jakiś czas ten proceder odbywał się nawet w naszym małym mieszkaniu, bo na górze matka Jacka szybko przeganiała towarzystwo, ale w końcu moja mama też pozbyła się intruzów, bo zaczęli nabierać coraz większej ochoty do wspólnych popijaw.

Wyjechaliśmy z Jackiem w upalny, letni dzień z dworca PKS autobusem do Kamionnej. Trasa prowadziła przez Gdów, a następnie, w Nieznanowicach pojazd skręcał w prawo na Łapanów i Żegocinę. Jazda do Trzciany trwała niewiele ponad godzinę, gdy autobus w końcu zatrzymywał się w centrum wsi, na placu na skrzyżowaniu dróg wiodących: prosto przez wieś w kierunku kościoła, a dalej przez łąkę do Żegociny i w prawo, w górę przez most na Stradomce do Kamionnej. Na horyzoncie dobrze widoczny był rozległy szczyt nieodległej góry Kamionnej, u której podnóża zlokalizowana była wieś o takiej samej nazwie, a dokąd ze Trzciany było z 8 kilometrów. Po prawej stronie przystanku stała knajpa, gdzie można też było kupić kanapki z szynką, konserwy, jakieś słodkie oraz papierosy, które w tym czasie próbowałem podpałać, czując się w towarzystwie o trzy lata starszego Jacka prawie jak „dorosły człowiek”, a dorośli ludzie palili przecież papierosy. On palił już nałogowo i zachęcał mnie jak tylko potrafił bym i ja zaczął się „machać”, ale ja tylko pociągałem i wydmuchiwałem dym. Pamiętam, że najbardziej pasowały mi papierosy z ustnikiem o nazwie „Dukaty”, raczej tylko z uwagi na ich egzotyczną nazwę, bo na pewno nie ze względu na „smak”, który był wstrętny: piekący i mdlący. Tak więc na moje szczęście w nałóg nie wpadłem, pewnie też dlatego, że przy intensywnym uprawianiu sportu podpalanie jakoś nie pasowało.

Po wysiadce z autobusu poszliśmy głównym traktem w kierunku kościoła i tu gdzieś w połowie drogi, jakieś 300 metrów od przystanku, po prawej jej stronie stała niepozorna, drewniana chałupa „starej Mąkowej”, a jej fasada na całej długości była osłonięta artystycznie oszklona weranda. Znać już było na niej ząb czasu, ale od zewnątrz wyglądała na zadbaną. Jej właścicielka była starszą już, wiejską kobietą, może niespełna siedemdziesięcioletnią, a jej chałupa znajdowała się naprzeciw domu rodzinnego pomocnicy matki Jacka, której imienia ani nazwiska już nie pamiętam i pewnie tak po sąsiedzku pani Mąkowa udzieliła nam gościny. Dom młodej adeptki krawiectwa, stojący na niewielkiej skarpie, był wtedy nadmiernie przeludniony, wszak oprócz rodziców mieszkały w nim jeszcze chyba ze dwie jej młodsze siostry, na dodatek panny na wydaniu.

Niestety chałupy Mąkowej dziś już nie ma, choć na własne oczy widziałem ją jeszcze w 2003 roku, ale potem w jej miejscu powstał jakiś nowoczesny budynek, gdzie mieścił się oddział banku, co sprawdziłem osobiście 18 listopada 2006 roku. Dawna zabudowa wokół tej ulicówki, a więc odcinka szutrowej kiedyś drogi pomiędzy skrzyżowaniem i kościołem, zmieniła się nie do poznania od czasów mojego tu pobytu sprzed czterdziestu lat, a senny klimat powojennej Trzciany prysł jak bańka mydlana.

Przez drzwi werandy, również ciekawie i artystycznie zaszkłone, a następnie nie mniej ozdobne drzwi domu, wchodziło się do sieni, która przecinała cały dom na pół. Na prawo znajdowało się wejście do kuchni, która była przechodnia, a dalej do pokoiku pani domu, usytuowanego z tyłu domu, z lewej zaś strony sieni przez podobne drzwi wchodziło się do drugiej połowy domu. I tu znajdowały się dwa przejściowe pokoje: okna pierwszego wychodziły na werandę, a drugi znajdował się od tyłu domu i posiadał bodaj dwa okna wychodzące na podwórze. My mieliśmy spać w tym drugim pokoju, od tyłu posesji, z którego okien roztaczał się malowniczy widok na nieodległą górę Kamionną. Oba pokoje w „naszej” części domu były puste i nieumeblowane, bo widać „stara” Mąkowa ich nie wynajmowała, a tylko dla nas zrobiła wyjątek. W naszym „apartamencie” nie było nawet łóżek, więc przyszło nam spać na podłodze, na jakiejś kapie. Na szczęście pościeli nie brakowało, ale od spodu było bardzo twardo.

Razem z nami mieszkał też Krzysiek, dziewiętnastolatek, który miał sprawować nad nami pieczę, ale on rzadko tu sypiał, bo często w nocy wypuszczał się na jakieś pijackie libacje. Miał akurat jakieś problemy miłosne, bo porzuciła go miejscowa, zeszłoroczna narzeczona, córka miejscowego sołtysa (Domagały?) i tak łagodził własne rozterki. W nocy urządził pod jej domem akty zazdrości i próbował ją zastraszać, ale bez skutku. Trwało to może z tydzień, dopóki Jasiu Burek, jego starszy kolega, student AGH, który właśnie przyjechał tu na wakacje, nie wyperswadował mu, że jego postępowanie jest szczeniackie i że takim sposobem nie zdobywa się miłości. Po tej reprimendzie widać było mu wstyd swojej postawy, bo tłumaczył się, że chodzi mu tylko o zwrot jakichś wspólnych zdjęć, na co ten się tylko uśmiechnął. Reprimenda jednak poskutkowała i Krzysiek na jakiś czas się uspokoił, przez następny tydzień mego pobytu już nie pił i wtedy często grywaliśmy w piłkę na łące za mostkiem nad Stradomką.

Krzysiek od dziecka był zawodnikiem Cracovii i potem grywał w pierwszym zespole juniorów, więc posiadał spore umiejętności, o czym osobiście mogłem się przekonać, ale przy takim trybie życia nie miał szans na karierę piłkarską. Chyba w tym właśnie czasie dobiegła ona końca i stąd brały jego dodatkowe frustracje. Krzysiek żył w glorii sławy swego ojca, słynnego Władysława Gędłka, ale talentu mu nie starczyło, a pewnie i cierpliwości, choć bardzo mu chciał dorównać. Był dobry, ale tylko dobry i źle znosił uszczypliwe porównania z ojcem.

Jak mi się wydaje był on źle ustawiany w drużynie, bo grywał na pozycji lewoskrzydłowego, a on przy swoim wzroście, ponad 180 cm, pasował jak ulał na obrońcę, podobnie jak jego ojciec. Sława ojca, ciągle aktualna, nieraz zaburzała mu umysł i na tym tle można było u niego wyczuć wyraźne przerosty własnej osobowości, co w praktyce przekreśliło jego dalszą karierę i wkrótce doprowadziło do tragicznego końca, niestety podobnego jak w przypadku jego ojca (więcej o tym piszę w drugim rozdziale wspomnień). Nie mniej jednak jako starszego kolegę, a w pewnym czasie mego sportowego idola, wspominam go ciepło i mile, bo w sumie dał się lubić.

Po prawej stronie domu razem z Mąkową wakacje spędzała nastolatka, może rówieśniczka Jacka, ale jej „cnoty” z niezwykłą starannością strzegła gospodyni, widać stara dewotka. Widywaliśmy się codziennie, bo w kuchni wspólnie jadaliliśmy obiady. Oj dostało się tej dziewczynie, kiedy raz przyszła do nas na chwilę, a więc do drugiej połowy domu. Później już się bała, choć nudziło się jej okrutnie, wszak była tu sama i nie miała żadnych koleżanek. Ale moralność musiała być respektowana i pozostawało jej tylko towarzystwo gospodyni domu, a ta najchętniej zaciągałaby ją regularnie do kościoła. Pamiętam, że nosiła ona na sobie płaszcz ze sztucznego ortalionu (włoski oryginał tego szeleszczącego materiału był w tym czasie hitem), zwany przez nią „szeleściakiem”. Jednak na deszczu szybko przemakał i dotkliwie farbował, czym różnił się od oryginału z importu, dostępnego jedynie w sklepach PEWEX, ale dla samego szpanu warto go było na sobie nosić, bo nie każdy był w stanie to odróżnić.

I tu kolejna dygresja. Wtedy wydało mi się, że placyk w centrum wsi od kościoła na jej skraju dzielił kawał drogi. Iecz kiedy ostatnio jechałem tędy do Żegociny ten dystans okazał się niewielki, może 500 metrowy. Tak to widać u dziecka zawsze wydłuża się i czas, i dystans. Miejscowy kościół, obiekt o cechach neogotyckich, znajdował się przy końcu wsi i wtedy znajdował się na etapie rozbudowy, bo o ile dobrze pamiętam nie posiadał jeszcze wież. Dziś, już z wieżami, jest on niejednorodnym tworem, znacznie zmienionym w stosunku do znanego mi z 1966 roku oryginału.

Obok kościoła droga na Żegocinę skręcała zygzakiem w prawo, a potem w lewo i wiodła doliną Stradomki w kierunku Łątki. Tu w połowie zakrętu, zaraz za domem wspomnianego już sołtysa i dawnej dziewczyny Krzyśka, bodaj Domagałów, odchodziła ścieżyna w kierunku rzeczki i niewielkiego drewnianego mostku. Na jej drugim brzegu z zarośli wyłaniała się spora łąka skrupulatnie strzyżona kosą, na której grywaliśmy w piłkę. Ja byłem bramkarzem i jak na swoje lata dysponowałem naprawdę nieprzeciętnymi umiejętnościami i czasem podziwiał mnie nawet sam Krzysiek, choć on nigdy nie był nazbyt skory do pochwał, gdyż chciał, by to jego się chwaliło i podziwiano. Od czasu do czasu w przerwach między piwkami grywał też z nami wspomniany Franek, syn organisty, gdzieś 35-latek, leser na utrzymaniu ojca, który z racji pełnionej przez ojca funkcji biedy tu nie cierpiał. Starał się też nam pomagać Jacek, ale ten z kolei był totalnym antytalentem piłkarskim, więc Krzysiek notorycznie na niego wrzeszczał, więc nieraz z płaczem nas opuszczał.

Nagraliśmy się sporo na tej łączce, bo było to w sumie najciekawsza dla mnie rozrywka. Woda w rzeczce, choć ładnej i dzikiej, z uroczymi wokół niej zaroślami i kamiennymi nadbrzeżami, była szeroko rozlana i okropnie płytka, więc kapać się w niej nijak nie dało, a jedynie potaplać dla ochłody. Zamiast kąpienia się w rzece wymyśliliśmy więc zabawę w łuczników, wykonując z Jackiem łuki i strzały z nadbrzeżnych, wiklinowych gałęzi, których grube fragmenty napinało się na końcach dratwą i tak przez jakiś czas, zanim patyk nie wysechł, można było sobie postrzelać, bo za strzały zaś służyły drobne gałązki wikliny z końcami zaostrzonymi nożem. Zabawa w łuczników była fajna, ale rychło się znudziła, bo te prymitywne łuki zbyt szybko się psuły.

W lewo od starego kościoła, koło starej, ale stylowej plebani, która posiadała werandę i czteropolowe okna, prowadziła wiejska droga w kierunku Kociej Góry, niewielkiego częściowo zarośniętego wzniesienia, które zainteresowało mnie z uwagi jego na egzotyczną nazwę, a dalej w kierunku Leszczyny. Udaliśmy się tam z Jackiem, który podobnie jak jego starszy brat lubił być blagierem, by na jego kamienistych i porośniętych przez laszek zboczach szukać skarbów, bo te gdzieś tam miały być ukryte, ponoć w trudnodostępnych jaskiniach. Pomimo naszych szczerych chęci nic ciekawego nie udało nam się tam odnaleźć poza stertami kamieni pokrywającymi zbocze. Jednak jeszcze przez jakiś czas mocno na mnie działała wyobraźnia, a Jacek tylko dyskretnie się uśmiechał z zadowolenia, że mnie młokosa wpuszcza w przysłowiowe maliny. Z czasem dobrze znałem już ten jego szelmowski uśmieszek i potrafiłem wyczuć intencje kolegi.

Jednej nocy, chcąc starszym kolegom udowodnić swoją dorosłość, wybrałem się z trójka kompanów: Jackiem, Krzyśkiem i Jasiem Kołodziejczykiem, starszym, wakacyjnym kolegą Krzyśka, w nocną trasę w kierunku Nieznanowic. Długo włóczyliśmy się po tej drodze, tak bez ładu, składu i sensu, kopiąc przy tym papierosy i dopiero o czwartej nad ranem, gdy już świtało, wróciliśmy wreszcie zmęczeni do domu, co wywołało wielkie zgorszenie spanikowanej Mąkowej. Wbrew pozorom to pierwsze smakowanie nocnego życia szczególnie mnie nie zachwyciło, bo później spałem do drugiej godziny i straciłem praktycznie cały następny dzień. Od wspólnego palenia papierosów w gronie dorosłych kolegów długo było mi niedobrze i tak ostatecznie ten nawyk zbrzydł mi do reszty. W zasadzie był to jedyny pozytywny aspekt tej eskapady, choć tak wiele sobie po niej obiecywałem. Na „dorosłość”, z urokami nocnego życia, trzeba było jeszcze trochę poczekać.

Jak już wspomniałem czasem kupowaliśmy coś z doskoku w miejscowej gospodzie, która jednocześnie pełniła funkcję miejscowej speluny i kawiarni. Tu ogniskowało się życie towarzyskie wsi, ale najludniej było tu oczywiście w niedzielne południe, zaraz po zakończeniu mszalnej sumy. W tym czasie miejscowi „pątnicy”, którzy odtrąbili tradycyjny obowiązek, wyznaczali tu sobie pokościelne spotkanie: na piwie, jaboliku bądź gorzałce, by potem ze śpiewem na ustach wytaczać się po schodkach, często na dobrze miękkich nogach. Można tu było kupić też słodczyce, lody czy konserwy, nie mówiąc oczywiście o papierosach, które tak namiętnie palili bracia Gędkowie i ich koledzy. W dni powszednie tylko wieczorem panował tu odór i hałas nie do wytrzymania.

Wracając do odbywających się wtedy mistrzostw świata w piłce nożnej muszę przyznać, że ów Franek rzeczywiście załatwił nam oglądanie półfinałowego meczu: Anglia - Portugalia, zakończonego zwycięstwem Anglików 2:1, w ładnej plebani koło kościoła. Ksiądz, grubawy i starszy jegomość, który przysypiał na tym meczu, niezbyt widać zainteresowany sportem, jakoś przeżył wtedy naszą obecność, ale na oglądanie finału: Anglia - Niemcy, który odbywał się w niedzielę, już się nie zgodził, wykręcając się obecnością jakichś gości. Franek mimo to jakoś się tam wkręcił, ale dla nas brakło już miejsca. Tak na marginesie, w roku 2006 ciekawa pod względem architektonicznym plebania była już mocno zaniedbana, chyba nawet już niezamieszkała.

I tak oto musiałem się obyć smakiem, przeżyć jakoś wielki zawód i zadowolić się słuchaniem meczu w radiu, z czym jako zagorzały kibic piłkarski długo nie mogłem się pogodzić, choć po Jacku wszystko to spłynęło. On nigdy nie interesował się sportem i był całkowitym przeciwieństwem swojego starszego brata. W ogóle bracia Gędkowie żyli z sobą jak pies z kotem, w wiecznych sporach i konfliktach, gdzie górą zawsze był silniejszy Krzysiek, czym do złudzenia przypominali moje stosunki ze starszym bratem. Jacek był bez przerwy zapłakany i cały czas skarżył się matce na swego starszego brata, który rzeczywiście go nie oszczędzał, ale ona niewiele mogła zdziałać w jego obronie poza donośnym, ale całkowicie nieskutecznym donośnym strofowaniem.

Pod koniec mego niemal dwutygodniowego pobytu zaczęły się pewne perturbacje. W naszej sypialni rozplenili się pchły i to w tak niewyobrażalnej skali, że zupełnie nie dało się sypiać. Pani Mąkowa niezbyt dbała o czystość pokoju i efekty tego zaniechania szybko dały o sobie znać. Poinformowana o tym problemie gospodyniomal się na nas nie obraziła, odburkując jedynie, że u niej w domu pcheł nie ma i nigdy nie było. Jakby na złość dodatkowo zaczął mi dokuczać ból nadpsutego zęba, podrażnionego pomidorem, który za nic nie chciał ustąpić i męczył mnie już przez następne kilka dni, bo za nic nie pomagały tabletki przeciwbólowe. Nie wiedziałem, co z sobą począć, bo pobyt w tym miejscu stawał się dla mnie prawdziwym koszmarem.

I jak na wybawienie niespodziewanie zjawiała się moja mama. Na początku jednak musiała wysłuchać uzaleń gospodyni, jak to niewłaściwie się prowadzę, włączę się po nocach, nie dojadam obiadów, a na dodatek nie słucham jej poleceń i nie chodzę do kościoła, ale moja matka widząc panujący w pokoju brud, czując pchły na nogach i wyczuwając niewłaściwą dla mnie sytuację, od razu zabrała mnie do Krakowa, mając przy tym uprzejmy pretekst w stosunku do gospodyni, że pilnie muszę leczyć zepsuty ząb.

Rzeczywiście z zębem było źle. Po przyjeździe do Krakowa, najpierw autobusem do Bochni i stamtąd pociągiem, musiałem go usunąć, ale ponieważ stan zapalny był już dalece posunięty i powstała opuchlizna, rwanie odbyło się niemal na żywca, tylko po lekkim zmrożeniu. Jakiś młody dentysta nie za bardzo dawał sobie z tym radę, więc nacieriałem się bez liku i zapamiętałem ten zabieg do dzisiaj. Później jeszcze przez kilka dni chodziłem ze spuchniętą gębą i aż strach było pomyśleć, co by się stało, gdyby nie niespodziewany przyjazd matki i natychmiastowa wizyta u dentysty, jeszcze późnym popołudniem w dniu mego przyjazdu do Krakowa.

Wróciłem więc z ulgą, bo miałem dość pcheł, twardego wyrka, papierosów i nocnego życia. Jak pokazało życie, ten, który miał się nami opiekować, dorosły Krzysiek, wówczas 19-latek, sam wtedy potrzebował opieki, bo przeżywał wielkie frustracje i może gdyby jej wówczas doświadczył, a nie został porzucony samopas przez wiecznie zapracowaną matkę, być może jego życie ułożyłoby się inaczej i nie miałyby tak tragicznego końca. Pewnie i mnie, gdybym jeszcze dłużej tam „wypoczywał”, mógł sprowadzić na przysłowiowe manowce, dając liczne przykłady swego nagannego zachowania i złych nawyków, lecz na szczęście Jacek wtedy jeszcze nie popijał, więc i ja nie byłem do tego przymuszany.

Moja mama widząc jakie zafundowała mi wakacje zaraz po wyleczeniu zęba zabrała mnie ze sobą do Bilczyc, gdzie byliśmy jeszcze przez tydzień. Byłem tu razem z „Grubym”, moim przyjacielem z klasy, wszak mój brat, wtedy już „dorosły” uczeń Technikum Mechanicznego, spędzał je na Mazurach, z dala od domu, razem ze swoimi kolegami. Dlatego ten wyjazd był podwójnie udany i szybko pozwolił mi zapomnieć o pewnych niedogodnościach „wypoczynku” w Trzcianie. Ale ta życiowa nauka na pewno była mi potrzebna i z pewnością nie poszła w las.

Po wyprowadzce z malutkiego mieszkania w kamienicy przy ulicy Czystej 8/7 do większego w najbliższe sąsiedztwo, pod numer 21, co miało miejsce w marcu 1970 roku, moje stosunki z Jackiem, kiedyś bardzo bliskie i przyjacielskie, nie wytrzymały próby czasu i zaczęły stopniowo wygasać, by po następnej mojej wyprowadzce na Kozłówek w sierpniu 1976 roku całkowicie zamrzeć. Jeszcze do niedawna, kiedy przechodziłem ulicą Czystą, czasem spotykałem tu Jacka, nieraz lekko zachwianego, ale on mnie jakby nie poznawał, a i ja do niego jakoś dziwnie nie Ignąłem. Spotkaliśmy się dopiero na pogrzebie mojej matki w marcu 2000 roku i wtedy zamieniliśmy parę pobieżnych zdań. Pozostał potem na Czystej sam, jak słyszałem z drugą żoną i synem, w wielkim mieszkaniu po swej wiecznie zapracowanej kiedyś matce, która zmarła na raka trzustki gdzieś w połowie lat 80-tych. Potem widywałem go jeszcze przelotnie, m.in. gdy pod kamienicą naprawiał swego zdezelowanego malucha, jednak nikt przypuszczał, że Jacek odejdzie z tego świata tak niespodziewanie i tak szybko. W lecie 2007 roku zadzwonił do mnie Wiesiek Feldman, dawny kolega z Czystej 11 i powiadomił mnie o tym przykrym zdarzeniu. Jacek od jakiegoś czasu mieszkał już na osiedlu Nowy Prokocim, a nie na osiedlu Ruczaj Zaborze jak zostałem wcześniej poinformowany przez znajomego taksówkarza. Został zmuszony do opuszczenia Czystej, jego ukochanego rewiru, gdzie czuł się tak dobrze, bo miał tu tak wielu znajomków, wszak nowy właściciel już się szykował do przebudowy kamienicy i on mu tu zawadzał.

Nigdy go nie zapomnę, wszak był moim serdecznym przyjacielem z czasów dzieciństwa, a potem jedną z ostatnich ikon mojej dawnej ulicy. Na trwałe zostanie też w mojej duszy pamięć o jego matce, babce i starszym bracie, wszak kiedyś byliśmy niemal rodziną.

Myślenice (1968)

Mój pierwszy w życiu pobyt w Myślenicach był krótki, bo tygodniowy, na dodatek pechowy, bo niemal przez cały ten czas padał tu deszcz. Wakacje tego roku (1968) spędzaliśmy w Bilczycach, razem z „Grubym” i były to mój ostatni tak cudowny pobyt w tym miejscu. W połowie sierpnia mama zachęciła „Grubego”, by wraz z moim bratem odwiedzili w Myślenicach naszego kuzyna, Jaśka Stawarza, który po niedawno zawartym ślubie właśnie tu mieszkał na Osiedlu Tysiąclecia i niezwykle aktywnie pracował w miejscowym Domu Kultury. A że był lubiany przez nas ten wyjazd i chęć jego odwiedzin wydały nam się całkiem naturalne.

Ich wyjazd był w pełni udany, bo pogoda im dopisywała i dość wypławili się na słynnym Zarabiu. Po tygodniu powrócili do Bilczyc, gdzie ich opowieści brzmiały tak ekscytująco, że matka raz jeszcze postanowiła wysłać tam nas wysłać, tym razem w trójkę. Jak mi się dziś wydaje było to spore „przeziębienie” w stosunku do kuzyna, którego żona znajdowała się w zaawansowanej ciąży, a ponadto ich mieszkanie było wtedy ciasną kawalerką. Jak na złość, zaraz po ponownym przyjeździe pogoda uległa gwałtownemu załamaniu i praktycznie przez cały tydzień nie opuszczaliśmy mieszkania, cały czas będąc na głowie gospodarzy, którym dziś mogę tylko współczuć. Oczywiście Jasiek nie dawał tego po sobie odczuć i nawet organizował dla nas spotkania towarzyskie z dwoma dziewczynami: koleżanką z pracy Ani, jego żony i Wiesią, chyba o rok ode mnie starszą tej pierwszej kuzynką, która akurat skończyła I klasę TE w Krakowie, do której ja właśnie się dostałem.

Przez ten pechowy tydzień tylko przez jedno popołudnie nieco się rozjaśniło i wtedy zdążyłem zobaczyć słynne Zarabie, dokąd na piechotę, na skróty przez górkę było ze dwadzieścia minut, ale kąpieli w Rabie już nie zażyłem, bo woda była akurat wielka i mętna. Potem pogoda wróciła do deszczowej normy i nie pozostawało nic innego, jak powrócić do Krakowa, bo zbliżał się początek roku szkolnego. Czułem się już podekscytowany, bo wkrótce miałem przekroczyć progi wspomnianego powyżej Technikum Energetycznego, wielce szanowanej w Krakowie szkoły średniej, przed czym odczuwałem wielką treść. Tak się w życiu złożyło, że od tej pory już nigdy nie miałem okazji kąpać się na słynnym Zarabiu, bo zawsze wybieram znane mi okolice Gdowa, mniej ludne i bardziej malownicze.

Kuzyn nie dał potem poznać po sobie jakiegoś niezadowolenia, ale chyba potem jeszcze długo musiał ten pobyt odreagowywać, podobnie jak jego dobrze już ciężarna żona.

Załącznik nr 6 Spotkania po latach.

(31.01.2009)



Fot. nr 467. Od lewej: Wiesław Feldman (51). Mikołaj Kornecki (51), nad nim Jacek Godfryd (51), Kazimierz Lisowicz (50), Leszek Grabowski (53), Marian Bednarz (51), Wojciech Borek (51).



Fot. nr 467a. Dodatkowo pierwszy z prawej stoi Jan Klimas (51).



Fot. nr 468. Od lewej: Mikołaj Kornecki – organizator spotkania, Kazimierz Lisowicz, Marian Bednarz, Leszek Grabowski, Wojciech Borek.



Fot. nr 469. Od lewej: M. Kornecki. K. Lisowicz, M. Bednarz, J. Klimas, L. Grabowski.

(28.08.2010)



Fot. nr 470. Od lewej: Leszek Grabowski, Kazek Lisowicz, Mikołaj Kornecki i Janusz Klimas.



Fot. nr 471. Kazek Lisowicz, Mikołaj Kornecki i Janusz Klimas.

Załącznik nr 7

**Moje opracowania dostępne w zasobach
Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej www.mbc.malopolska.pl
i Europeany www.europeana.eu
oraz publikacje prasowe i audycje radiowe z moim
udziałem**

LESZEK GRABOWSKI

e-mail: leszek.grabowski@interia.pl

Facebook: <http://pl-pl.facebook.com/people/Leszek-Grabowski/100000321665908>



Przed kościołem w Jawiszowicach w dniu 19.05.2019 ze statuetką i dyplomem wyróżnienia w ramach Nagrody Województwa Małopolskiego im. Mariana Korneckiego, przyznaną mi „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony i opieki nad zabytkami architektury drewnianej Małopolski”.

A. Opracowania dotyczące Krakowa

A.1. Wspomnienia

1. Obraz Krakowa lat 60-tych we wspomnieniach z dzieciństwa. Edycja XXII.
www.mbc.malopolska.pl/publication/9505
2. Moja przygoda z Technikum Energetycznym w Krakowie w latach 1968-73. Edycja VIII uzup.
www.mbc.malopolska.pl/publication/11376

A.II. Fotografie archiwalne

1. Kraków i jego okolice w fotografii z lat 1987-1992
www.mbc.malopolska.pl/publication/14924
2. Kraków i Małopolska w fotografii z końca XX-go wieku.
www.mbc.malopolska.pl/publication/15759

A.III. Albumy o Krakowie

A.III.1. Współczesny Kraków w klimacie z fotografii Ignacego Kriegera.

1. Część I. Zabytkowe Śródmieście.
www.mbc.malopolska.pl/publication/67812
2. Część II. Kazimierz, Stradom i Podgórze.
www.mbc.malopolska.pl/publication/67991
3. Część III. Obrzeża Starego Miasta i dawne przedmieścia. Kleparz, Biały Prądnik, Krowodrza, Piasek, Nowy Świat, Zwierzyniec i Półwsie, Dębniki, Wesoła, Grzegórzki, Wola Duchacka, Prokocim.
www.mbc.malopolska.pl/publication/68137
4. Część IV. Uzupełnienia. Śródmieście, Piasek, Wesoła, Stradom, Kazimierz i Podgórze. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/70812
5. Część V. Uzupełnienia- krakowski kalejdoskop. Śródmieście, Kleparz, Wesoła, Piasek, Nowy Świat, Półwsie i Zwierzyniec, Stradom, Kazimierz, Podgórze.
www.mbc.malopolska.pl/publication/73718

A.III.2. Kraków i jego okolice na rodzinnych slajdach z lat 1983-1992.

1. Część I. Lata 1983-1988
www.mbc.malopolska.pl/publication/97893
2. Część II. Kraków - lata 1989-1992.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97894
3. Część III. Okolice Krakowa - lata 1989-1992. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97895

A.III.3. Podglądanie starego Krakowa.

1. Część I. Zabytkowe Śródmieście. Wokół Rynku Głównego.
Kwiecień 2009 – lipiec 2011
www.mbc.malopolska.pl/publication/85312
2. Część II. Zabytkowe Śródmieście. Dawny Okół i jego przedpole.
Kwiecień 2009 – lipiec 2011
www.mbc.malopolska.pl/publication/85468
3. Część III. Wawel i jego okolice, Stradom i Kazimierz.
Kwiecień 2009 – sierpień 2011.
www.mbc.malopolska.pl/publication/85469
4. Część IV. Podgórze. Przekrój przez rok 2009.
www.mbc.malopolska.pl/publication/85470
5. Część V. Podgórze. Sierpień 2010 – czerwiec 2013. Kamieniołom Libana w marcu 2003.
www.mbc.malopolska.pl/publication/87313
6. Część VI. Dawna IV dzielnica Piasek.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99083
7. Część VII. Dawna IV dzielnica Piasek (c.d.)
www.mbc.malopolska.pl/publication/99084
8. Część VIII. Dawna VI dzielnica Wesoła.
www.mbc.malopolska.pl/publication/101513
9. Część IX. Dawna III dzielnica Nowy Świat.
www.mbc.malopolska.pl/publication/101514
10. Część X. Kleparz – dawna V. dzielnica
www.mbc.malopolska.pl/publication/102152
11. Część XI. Zabytkowe Śródmieście. Wokół Rynku Głównego.
Październik 2011 – grudzień 2012
www.mbc.malopolska.pl/publication/104006
12. Część XII. Zabytkowe Śródmieście. Wokół Rynku Głównego.
Rok 2013.
www.mbc.malopolska.pl/publication/104008
13. Część XIII. Zabytkowe Śródmieście. Dawny Okół i jego przedpole.
Wawel i jego otoczenie.
Sierpień 2011 – grudzień 2013.
www.mbc.malopolska.pl/publication/104010
14. Część XIV. Stradom i Kazimierz.
Sierpień 2011 – grudzień 2013
www.mbc.malopolska.pl/publication/104011
15. Część XV. Dawna IV. dzielnica Piasek. Zdjęcia od 15.04.2014 do 13.12.2015)
www.mbc.malopolska.pl/publication/116548
16. Część XVI. Zabytkowe Śródmieście, Wawel i jego otoczenie, Stradom i Kazimierz. Zdjęcia od 16.01.2014 do 02.05.2015.
www.mbc.malopolska.pl/publication/116549

17. Część XVII. Zabytkowe Śródmieście, Planty, Wawel, widoki wokół Wisły. Zdjęcia wykonane od maja 2016 do lutego 2019.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134776
18. Część XVIII. Zabytkowe Śródmieście, dawny Okół, Planty, Wawel, widoki wokół Wisły. Zdjęcia od marca 2019 do sierpnia 08.2021.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134778
19. Część XIX. Stradom i Kazimierz. C.d.
Zdjęcia wykonane od stycznia 2015 do sierpnia 2021.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134782
20. Część XX. Piasek. C.d.
Zdjęcia wykonane od lutego 2016 do października 2019)
www.mbc.malopolska.pl/publication/134785
21. Część XXI. Piasek i Nowy Świat - c.d.
Piasek – zdjęcia wykonane od stycznia 2020 do sierpnia 2021, Nowy Świat od listopada 2017 do sierpnia 2021.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134789
22. Część XXII. Kleparz i Wesoła - c.d.
Zdjęcia wykonane od listopada 2017 do sierpnia 2021)
www.mbc.malopolska.pl/publication/134871
23. Część XXIII. Podgórze - c.d.
Zdjęcia wykonane od października 2013 do marca 2022)
www.mbc.malopolska.pl/publication/138497
24. Część XXIV. Podgórze – c.d. uzupełnienia.
Zdjęcia wykonane od kwietnia 2022 do maja 2022.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140510

A.III.4. Dawne przedmieścia Krakowa - ulatująca przeszłość.

1. Część I. Bieżanów, Prokocim, Wola Duchacka. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17690
2. Część II. Piaski Wielkie, Kurdwanów, Jugowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17691
3. Część III. Zakrzówek, Dębniki, Ludwinów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17692
4. Część IV. Zwierzyniec i Półwieś, Przegorzały, Wola Justowska, Czarna Wieś i Kawiory.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17693
5. Część V. Łęg, Mogiła, Krzesławice, Bieńczyce. Edycja II
www.mbc.malopolska.pl/publication/17694
6. Część VI. Uzupełnienia: Prokocim, Wola Duchacka, Rząka, Piaski Wielkie, Ludwinów, Zakrzówek, Dębniki i Mogiła. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/18158
7. Część VII. Bronowice Małe i Wielkie, Krowodrza i Biały Prądnik. Edycja II
www.mbc.malopolska.pl/publication/18408
8. Część VIII. Płaszów, Kosocice i Rajsko.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21255

9. Część IX. Uzupełnienia (cd): Bieńczyce, Mogiła, Łęg, Prokocim, Wola Duchacka i Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21256
10. Część X. Kobierzyn i Skotniki, Tyniec i Pychowice
www.mbc.malopolska.pl/publication/19616
11. Część XI. Spacer po południowych i zachodnich obrzeżach Krakowa. Mogiła, Bieżanów, Prokocim i Piaski Wielkie, Wola Duchacka i Kurdwanów, Swoszowice i Jugowice, Łagiewniki, Zakrzówek, Czarna Wieś i Bronowice Małe, Nowa Wieś i Krowodrza.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21229
12. Część XII. Biały Prądnik (c.d.), Czerwony Prądnik, Czyżyny, Rakowice, Mistrzejowice, Zesławice, Grębałów, Bieńczyce (c.d.), Krzesławice (c.d.) i Piaski Wielkie (c.d.).
www.mbc.malopolska.pl/publication/21261
13. Część XIII. Uzupełnienia: Bieżanów, Rajsko, Swoszowice, Łagiewniki i Pychowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21479
14. Część XIV. Uzupełnienia: Mogiła, Krzesławice, Rakowice (Wieczysta) i Prokocim
www.mbc.malopolska.pl/publication/22312
15. Część XV. Czarna Wieś i Kawiory, Wola Justowska i Las Wolski, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec oraz Dębniaki i Zakrzówek w zimowej szacie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/29478
16. Część XVI. Mogiła (cd), Bronowice Małe (cd), Łobzów, Zakrzówek (c.d.) i Skotniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/45001
17. Część XVII. Górka Narodowa, Witkowice i Biały Prądnik. Mini dodatek- przykłady dawnego budownictwa wiejskiego z terenu Ziemi Krakowskiej i Polski Południowej.
www.mbc.malopolska.pl/publication/45002
18. Część XVIII. Zwierzyniec (Salwator), Wola Duchacka, Pychowice, Bodzów i Kostrze, Rząka. Krakowskie i podkrakowskie krajobrazy.
www.mbc.malopolska.pl/publication/45003
19. Część XIX. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy: Bonarka, Płaszów i Podgórze, Prokocim Stary i Nowy, Rząka, Krzyszkowice, Kosocice i Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/40795
20. Dawne przedmieścia Krakowa – ulatująca przeszłość (część XX). Stara Mogiła, Mydlniki, Chełm i Wola Justowska.
www.mbc.malopolska.pl/publication/40794
21. Część XXI. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy (c.d.). Łęg, Dębniaki, Zakrzówek.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56790
22. Część XXII. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy (c.d.). Wola Duchacka, Piaski Wielkie, Rząka i Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56791

23. Część XXIII. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy (c.d.). Zwierzyniec (Salwator i Sikornik) i Las Wolski.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56792
24. Część XXIV. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy (c.d.). Rybitwy, Płaszów, Rząka, Piaski Wielkie, Wola Duchacka i Zakrzówek.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56962
25. Część XXV. Wola Duchacka, Płaszów, Łagiewniki i Małe Bronowice (c.d.)
www.mbc.malopolska.pl/publication/57115
26. Część XXVI. Wola Duchacka, Prokocim, Zwierzyniec, Czarna Wieś i Wola Justowska. Umykające krakowskie i podkrakowskie krajobrazy (c.d.).
www.mbc.malopolska.pl/publication/58236
27. Część XXVII. Grzegórzki, Dąbie, Płaszów, Jugowice i Swoszowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/58645
28. Część XXVIII. Jesienny rekonesans po południowych przedmieściach Krakowa – Płaszów, Wola Duchacka, Prokocim, Rząka i Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/59327
29. Część XXIX. Jesienny rekonesans po ginącym świecie: Ludwinowa, Zakrzówka i Dębnik.
www.mbc.malopolska.pl/publication/59513
30. Część XXX. Zimowa sceneria dawnych przedmieść Krakowa: Krowodrza, Nowa i Czarna Wieś, Zwierzyniec, Bielany, Dębniki i Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/60647
31. Część XXXI. Łobzów, Krowodrza, Zakrzówek, Pychowice, Łagiewniki i Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/60781
32. Część XXXII. Zwierzyniec, Czarna i Nowa Wieś oraz Łobzów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/61316
33. Część XXXIII. Sikornik, Las Wolski, Bielany i Przegorzały.
www.mbc.malopolska.pl/publication/61317
34. Część XXXIV. Stary Prokocim, Piaski Wielkie (Świątniki, Podedworze i Podlesie), Wola Duchacka, Rząka, obrzeże Płaszowa i Podgórze
www.mbc.malopolska.pl/publication/61318
35. Część XXXV. Wola Duchacka, Kosocice i Barycz, Płaszów, Rybitwy, Bieńczyce i Olsza.
www.mbc.malopolska.pl/publication/61336
36. Część XXXVI. Wiosenny rekonesans po południowych obrzeżach miasta. Płaszów (Bagry), Stary Prokocim, Wola Duchacka, Piaski Wielkie, Kurdwanów, Kosocice, Łagiewniki, Zakrzówek, Dębniki, Półwsie i Zwierzyniec.
www.mbc.malopolska.pl/publication/64127
37. Część XXXVII. Wola Justowska i Las Wolski, Półwsie i Zwierzyniec, Łagiewniki, Jugowice, Rajsko i Kosocice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/66308
38. Część XXXVIII. Wola Duchacka, Piaski Wielkie i Prokocim.
www.mbc.malopolska.pl/publication/66767

39. Część XXXIX. Borek Fałęcki, Bonarka, Dębniaki, Zakrzówek, Półwie i Zwierzyniec, były Obóz Koncentracyjny Płaszów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/66868
40. Część XL. Czyżyny, Rybitwy i Ludwinów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/68644
41. Część XLI. Warszawskie, Krowodrza, Nowa Wieś, Czarna Wieś, Półwie i Zwierzyniec, Kurdwanów i Borek Fałęcki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/70183
42. Część XLII. W zimowej scenerii Pleszowa i Mogiły.
www.mbc.malopolska.pl/publication/70187
43. Część XLIII. W jesiennej i zimowej scenerii: Woli Duchackiej, Piasków Wielkich i Rząki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/71271
44. Część XLIV. W jesiennym i zimowym klimacie Prokocimia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/71272
45. Część XLV. Płaszów, Olsza i Rakowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/71485
46. Część XLVI. Raz jeszcze Zwierzyniec.
www.mbc.malopolska.pl/publication/72226
47. Część XLVII. Wzdłuż tradycyjnego Zakrzówka i wokół Skał Twardowskiego.
www.mbc.malopolska.pl/publication/72227
48. Część XLVIII. Krowodrza, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec i Sikornik, Wola Justowska i Las Wolski, Dębniaki, Zakrzówek, Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/74740
49. Część XLIX. Podgórze – okolice Bonarki i kamieniołom Libana, teren KL Płaszów na skraju Woli Duchackiej, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Jugowice, Kurdwanów, Kosocice, Rajsko i Barycz.
www.mbc.malopolska.pl/publication/74741
50. Część L. Borek Fałęcki, Kobierzyn, Skotniki i Pychowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/75164
51. Część LI. Stary Płaszów i Bagry, Prokocim, Biezanów, Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/75857
52. Część LII. Zakrzówek i Skały Twardowskiego, Wola Duchacka, teren dawnego KL Płaszów i jego obrzeże, Podgórze – Kopiec Krakusa, Mały Płaszów i Rybitwy, Biezanów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/75587
53. Część LIII. Krakowski kalejdoskop: Zakrzówek, Borek Fałęcki, Łagiewniki, Kurdwanów, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Kosocice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/77977
54. Część LIV. Krowodrza, Łobzów, Nowa Wieś, Czarna Wieś i Zwierzyniec
www.mbc.malopolska.pl/publication/79758
55. Część LV. Zakrzówek, Ludwinów, Wola Duchacka, Piaski Wielkie i Prokocim
www.mbc.malopolska.pl/publication/79759

56. Część LVI. Krowodrza, Czarna Wieś, Zwierzyniec, Półwie Zwierzynieckie, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rajsko
www.mbc.malopolska.pl/publication/87312
57. Część LVII. Krzesławice, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów
www.mbc.malopolska.pl/publication/88010
58. Część LVIII. Łagiewniki, Płaszów, (Przedmieście) Warszawskie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/88763
59. Część LIX. Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Rajsko
www.mbc.malopolska.pl/publication/88764
60. Część LX. Wola Justowska, Zwierzyniec, Półwie Zwierzynieckie (Błonia), Czarna Wieś, Nowy Świat (Kossakówka), Dębniaki, Zakrzówek, Bodzów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/89855
61. Część LXI. Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/89856
62. Część LXII. Mogiła, Rakowice, Grzegórzki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/90406
63. Część LXIII. Przegorzały, Podgórze, Kosocice, Rajsko i Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/90405
64. Część LXIV. Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Łagiewniki, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/92610
65. Część LXV. Łobzów, Bronowice Wielkie, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Nowy Świat, Dębniaki, Zakrzówek, Kobierzyn.
www.mbc.malopolska.pl/publication/92611
66. Część LXVI. Krakowski kalejdoskop: Olsza, Krowodrza, Nowa Wieś, Czarna Wieś, Zwierzyniec, Dębniaki, Zakrzówek, Kobierzyn i Borek Fałęcki, Kostrze, Tyniec, Prokocim.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94618
67. Część LXVII. Zachodnie i południowe rubieże Krakowa. Piasek, Zwierzyniec, Wola Justowska, Przegorzały, Bielany i ich obrzeże, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Kurdwanów, Borek Fałęcki i Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/95591
68. Część LXVIII. Warszawskie (Przedmieście), Olsza, Piasek, Czarna Wieś, Wola Justowska, Zwierzyniec, Przegorzały, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka i Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96206
69. Część LXIX. Dębniaki, Zakrzówek, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Rząka, Piaski Wielkie, Kosocice, Rajsko, Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97749
70. Część LXX. Piasek, Czarna Wieś i Półwie Zwierzynieckie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97750
71. Część LXXI. Zwierzyniec, Wola Justowska, Przegorzały i Bielany. Dodatkowo - wizyta u „Hansa”, rzeźbiarza, na Zwierzyńcu.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97751

72. Część LXXII. Piasek, Zwierzyniec, Wola Justowska, Olszanica, Zakrzówek, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Łagiewniki, Borek Fałęcki, Rakowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99107
73. Część LXXIII. Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Bielany, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze, Płaszów Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice, Grzegórzki, Olsza, Bieńczyce, Batowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99108
74. Część LXXIV. Bronowice, Piasek, Czarna Wieś, Krowodrza, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Przegorzały, Bielany, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Tyniec, Stradom, Wesoła, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Przewóz.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102164
75. Część LXXV. Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102165
76. Część LXXVI. Piasek, Wesoła, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Grzegórzki, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Kosocice, Bieńczyce, Krzesławice, Mogiła.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102181
77. Część LXXVII. Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Bielany, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze, Płaszów Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice, Grzegórzki, Olsza, Bieńczyce, Batowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102189
78. Część LXXVIII. Grębałów, Lubocza, Wadów, Pleszów, Branice i Przewóz.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102190
79. Część LXXIX. Skotniki, Kleszczów, Chełm, Mydlniki, Bronowice Wielkie i Pleszów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102196
80. Część LXXX. Kleparz, Wesoła, Krowodrza, Biały Prądnik, Bronowice Wielkie, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce, Piasek, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Zakrzówek, Dębniaki, Ludwinów, Podgórze, Płaszów, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Kurdwanów, Łagiewniki, Jugowice, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/115529
81. Część LXXXI. Wesoła, Piasek, Nowy Świat, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce, Dębniaki, Ludwinów, Kostrze, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131174
82. Część LXXXII. Wola Justowska, Chełm, Czarna Wieś, Mydlniki, Bronowice Małe i Wielkie i Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131258

83. Część LXXXIII. Dębniki, Zakrzówek, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Bieżanów, Piaski Wielkie, Rząka i Swoszowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131259
84. Część LXXXIV. Wesoła, Warszawskie, Olsza, Grzegórzki, Czerwony Prądnik, Piasek, Nowy Świat, Kleparz, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bronowice Małe, Mydlniki, Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/138494
85. Część LXXXV. Dębniki, Zakrzówek, Pychowice, Podgórze, Płaszów, Prokocim, Łagiewniki, Kurdwanów, Piaski Wielkie, Rząka, Rajsko, Kosocice, Bieżanów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/138495

A.III.5.1

Raport dla Urzędu Miasta Krakowa. Przegląd chałup z terenu Krakowa i jego obrzeży pod kątem możliwości ich zakupu i przeniesienia do skansenu (14.09.2018).

Ten dokument roboczy, bez zdjęć opisywanych obiektów, został udostępniony w części 3 (tom II) publikacji z cyklu „Czas zatrzymany” pod redakcją Adama Gryczyńskiego na stronach: 339-344 (wyd. Nowohuckie Centrum Kultury 2019).

A.III.5. Krakowskie panoramy i widoki

1. Część I. Wiosna 2011
www.mbc.malopolska.pl/publication/64522
2. Część II. Lato 2011
www.mbc.malopolska.pl/publication/67475
3. Część III. Jesień 2011.
www.mbc.malopolska.pl/publication/68255
4. Część IV. Zima 2011/2012
www.mbc.malopolska.pl/publication/71731
5. Część V. Wiosna 2012
www.mbc.malopolska.pl/publication/74742
6. Część VI. Lato 2012.
www.mbc.malopolska.pl/publication/76541
7. Część VII. Jesień 2012.
www.mbc.malopolska.pl/publication/78459
8. Część VIII. Ostatnia zima rząckiego uroczyska, czyli przykład symbiozy człowieka i przyrody po krakowsku.
www.mbc.malopolska.pl/publication/78947
9. Część IX. Zima 2012/13. Krowodrza, Łobzów, Nowa Wieś, Czarna Wieś, Zwierzyniec, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze (Kopiec Krakusa), Wola Duchacka, Piaski Wielkie, Rajsko, Prokocim i Płaszów (Bagry).
www.mbc.malopolska.pl/publication/80638

10. Część X. Przedwiośnie 2013. Edycja II. Krowodrza, Nowa i Czarna Wieś, Zwierzyniec, Podgórze, Wola Duchacka, Borek Fałęcki, Płaszów, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/82506
11. Część XI. Wiosna 2013. Rondo Mogiłskie, wokół Wisły, Zwierzyniec, Półwie Zwierzynieckie, Zakrzówek – Skały Twardowskiego, Podgórze– Kopiec Krakusa, Las Bonarka, Płaszów - Bagry, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, rząckie ugory, Rajsko, Krzyszkowice
www.mbc.malopolska.pl/publication/85310
12. Część XII. Lato 2013. Kopiec Piłsudskiego, Las Wolski, podnóże Kopca Kościuszki, Skały Twardowskiego, dębnicki brzeg Wisły, Krzesławice, Płaszów – Bagry, Wola Duchacka (teren dawnego KL Płaszów i Park Duchacki), Piaski Wielkie, rząckie ugory, Kosocice, Krzyszkowice
www.mbc.malopolska.pl/publication/87314
13. Część XIII. Jesień 2013. Rondo Mogiłskie, Las Wolski i Wola Justowska, Czarna Wieś, Zwierzyniec (Sikornik i Kopiec Kościuszki), Półwie Zwierzynieckie (Błonia), Nowy Świat (Kossakówka), Dębniki, Zakrzówek (okolice Ronda Grunwaldzkiego; Krakowski Fiord), Pychowice, Kostrze i Bodzów, Podgórze (Wzgórze Lasoty; Kopiec Krakusa).
www.mbc.malopolska.pl/publication/89214
14. Część XIV. Jesień 2013 c.d. Wola Duchacka (teren dawnego KL Płaszów; Park Duchacki i jego okolice), Prokocim, Płaszów – Bagry, Piaski Wielkie, Rząka, Rajsko, Kosocice, Krzyszkowice – Chabrowe Wzgórze. Dodatek– Migawki z Cmentarza Rakowickiego (2009-2013)
www.mbc.malopolska.pl/publication/89215
15. Część XV. Zima i przedwiośnie 2013-2014. Planty, Wola Justowska i Las Wolski, Przegorzały, Zwierzyniec (Sikornik i Kopiec Kościuszki), Dębniki, Zakrzówek, Pychowice, Krowodrza, Grzegórzki, Rakowice – Czyżyny i Mogiła.
www.mbc.malopolska.pl/publication/90758
16. Część XVI. Zima i przedwiośnie 2013-2014 c.d. Podgórze (Zabłocie i Kopiec Krakusa), Płaszów (Bagry), Wola Duchacka (KL Płaszów i Park Duchacki), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice. Dodatek – Migawki z Cmentarza Rakowickiego (c.d.).
www.mbc.malopolska.pl/publication/90759
17. Część XVII. Wiosna 2014. Wawel, Kossakówka, Czarna Wieś, Zwierzyniec (Sikornik), Wola Justowska – Las Wolski Półwie Zwierzynieckie (Błonia), Dębniki, Zakrzówek, Czyżyny-Rakowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/92612
18. Część XVIII. Wiosna 2014 c.d. Płaszów - Bagry, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Łagiewniki, Borek Fałęcki, Kosocice, Barycz, Krzyszkowice, Wieliczka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/92613
19. Część XIX. Lato 2014. Śródmieście - Planty, Piasek, Czarna Wieś, Kazimierz, Zakrzówek, Pychowice, Kobierzyn.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94204

20. Część XX. Lato 2014 c.d. Podgórze, Płaszów - Bagry, Wola Duchacka, Wieliczka. Migawki z Cmentarza Rakowickiego i jego okolic.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94205
21. Część XXI. Lato 2014 c.d. Wisła i jej sąsiedztwo, Rudawa i jej okolice, Wola Justowska (Las Wolski), Pychowice i Kobierzyn, Kostrze i Bodzów, Tyniec, Piekary, Płaszów (Bagry), Rząka, Wieliczka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94326
22. Część XXII. Jesień 2014. Wzdłuż Wisły, Kossakówka, Śródmieście, Kazimierz, Piasek, Czarna Wieś (Park Jordana), Półwsie Zwierzynieckie (Błonia), Zwierzyniec (Sikornik), Wola Justowska, obrzeżem Lasu Wolskiego.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96156
23. Część XXIII. Jesień 2014 c.d. Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96168
24. Część XXIV. Jesień 2014 c.d. Podgórze, Płaszów (Bagry), Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Borek Fałęcki i Łagiewniki, Wieliczka, Puszcza Niepołomska.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96171
25. Część XXV. Przedzimy 2014. Wola Justowska, Zwierzyniec(Sikornik), Półwsie Zwierzynieckie(Błonia), Kazimierz, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Rząka, Piaski Wielkie, Kurdwanów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96186
26. Część XXVI. Zima 2014/2015. Śródmieście, Kazimierz, Piasek, Czarna Wieś (Park Jordana), Półwsie Zwierzynieckie (Błonia), Zwierzyniec (Sikornik), Dębniki, Zakrzówek (Skały Twardowskiego), Podgórze (Kopiec Krakusa), Wola Duchacka (dawny KL Płaszów i Park Duchacki), Płaszów (Bagry) Prokocim, Rząka, Kosocice, Wieliczka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96191
27. Część XXVII. Przedwiośnie 2015. Śródmieście, Piasek, wzdłuż Rudawy, Zwierzyniec wzdłuż Wisły, Przegorzały, Bielany, Kryspinów, Aleksandrowice, Dębniki, Zakrzówek, Podgórze, Płaszów (Bagry), Wola Duchacka, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96197
28. Część XXVIII. Wiosna 2015. Zabytkowe Śródmieście, Piasek, Półwsie Zwierzynieckie (Błonia), Wzdłuż Rudawy, Zwierzyniec (Sikornik), Wola Justowska i Las Wolski, Wzdłuż Wisły, Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96211
29. Część XXIX. Wiosna 2015(c.d.) Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Łagiewniki, Borek Fałęcki, Kosocice, Krzyszkowice, Wieliczka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96215
30. Część XXX. Lato 2015 Śródmieście, Wesoła, Piasek, Półwsie Zwierzynieckie (Błonia), Zwierzyniec, Wola Justowska i Las Wolski, Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Rząka, Łagiewniki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97188

31. Część XXXI. Jesień 2015. Śródmieście i Wawel, Kleparz, Piasek, Półwie Zwierzynieckie (Błonia), Czarna Wieś, Zwierzyniec, Wola Justowska i Las Wolski, Bielany, Kryspinów i Olszanica.
www.mbc.malopolska.pl/publication/97189
32. Część XXXII. Jesień 2015 (c.d.). Zakrzówek, Pychowice i okolica, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Rząka, Krzyszkowice, Wieliczka..
www.mbc.malopolska.pl/publication/97190
33. Część XXXIII. Przedzimie i zima 2015/2016. Zabytkowe Śródmieście, Kleparz, Piasek, Stradom i Kazimierz, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska i Las Wolski, Przegorzały, Bielany, Kryspinów, Dębniaki, Zakrzówek, Pychowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98196
34. Część XXXIV. Przedzimie i zima 2015/2016. c.d. Podgórze (kamieniołom Libana), Wola Duchacka (Park Duchacki i KL Płaszów), Bagry i stary Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Kosocice, Rajsko, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98197
35. Część XXXV. Wiosna 2016. Zabytkowe Śródmieście, Wesoła, Stradom, Wzdłuż Wisły od Ludwinowa do Dębniaki, Piasek, Półwie Zwierzynieckie (Błonia), Zwierzyniec, Bielany, Cmentarz Rakowicki, Czyżyny.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98198
36. Część XXXVI. Wiosna 2016 (c.d.) Podgórze, Na styku Ludwinowa i Zakrzówka, Dębniaki, Pychowice, Łagiewniki, Wola Duchacka, Płaszowskie Bagry, Prokocim, Rząka, Kosocice, Barycz, Krzyszkowice, Wieliczka, Kłaj, Marszowice, Wola Zręczycka, Zagórzany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98199
37. Część XXXVII. Lato 2016. Piasek, Kazimierz, Zwierzyniec, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Rząka, Łagiewniki, Borek Fałęcki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98540
38. Część XXXVIII. Jesień 2016. Planty, Wesoła, Piasek, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bielany, Kryspinów, Olszanica, Cmentarz Rakowicki.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99085
39. Część XXXIX. Jesień 2016 (c.d.). Dębniaki, Zakrzówek, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Rajsko.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99086
40. Część XL. Zima 2016/2017. Śródmieście, Piasek, Wesoła, Zwierzyniec, Wola Justowska, Kazimierz, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Borek Fałęcki, Olsza, Czyżyny-Rakowice. Edycja II.
41. Część XLI. Wiosna 2017. Śródmieście, Wawel i jego otoczenie, Kazimierz, Piasek, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Las Wolski (Sowiniec), Bielany, Grzegórzki, Cmentarz Rakowicki, Mistrzejowice, Batowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/101506

42. Część XLII. Wiosna 2017 c.d. Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/101509
43. Część XLIII. Lato 2017 c.d. Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102151
44. Część XLIV. Jesień 2017. Śródmieście, Wzdłuż Wisły, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Bielany, Kryspinów, Stradom, Kleparz, Krowodrza, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Tyniec.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102184
45. Część XLV. Jesień 2017 c.d. Podgórze, KL Płaszów, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102185
46. Część XLVI. Zima 2017/18. Śródmieście, Piasek, Krowodrza, Zwierzyniec, Przegorzały, Bielany, Balice i Olszanica, Stradom, Kazimierz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102192
47. Część XLVII. Wiosna 2018. Śródmieście, Wesoła, Wzdłuż Wisły, Kazimierz, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Podgórze, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Czyżyny.
www.mbc.malopolska.pl/publication/104457
48. Część XLVIII. Wiosna 2018. C.d. Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Piaski Wielkie, Rząka, Borek Fałęcki, Rajsko, Kosocice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/104458
49. Część XLIX. Lato 2018. Planty, Śródmieście, Piasek, Nowy Świat, Wesoła, Olsza, Kazimierz, Jugowice, Skotniki, Kleszczów, Chełm, Mydlniki, Bronowice Wielkie, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Piaski Wielkie, Rząka, Czyżyny, Grębałów, Bieńczyce, Krzesławice, Lubocza, Wadów, Mogiła, Pleszów, Branice, Przewóz.
www.mbc.malopolska.pl/publication/104012
50. Część L. Jesień 2018. Śródmieście, Wzdłuż Wisły, Kleparz, Piasek, Nowa Wieś, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bronowice Wielkie, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113128
51. Część LI. Jesień c.d. Dębniki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Kazimierz, Stradom, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Kurdwanów, Łagiewniki, Jugowice i Kosocice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113129

52. Część LII. Zima 2018/2019. Śródmieście, Kleparz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce, Piasek, Nowy Świat, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Zakrzówek, Ludwinów, Kazimierz, Stradom, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie i Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113130
53. Część LIII. Przedwiośnie i wiosna 2019. Śródmieście, wzdłuż Wisły, Kleparz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Piasek, Krowodrza, Biały Prądnik, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bielany, Kryspinów, Olszanica.
www.mbc.malopolska.pl/publication/114436
54. Część LIV. Przedwiośnie i wiosna 2019. C.d. Kazimierz, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Rajska, Kosocice, Krzyszkowice, Zagórzany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/114437
55. Część LV. Lato 2019. Śródmieście, Kleparz, Wesoła, Piasek, Bronowice Wielkie, Zwierzyniec, Kazimierz, Zakrzówek, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/115524
56. Część LVI. Jesień 2019. Śródmieście, Wzdłuż Wisły, Kleparz, Piasek, Nowa Wieś, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bronowice Wielkie, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce.
www.mbc.malopolska.pl/publication/119041
57. Część LVII. Zima 2019/2020. Planty, Śródmieście, Piasek, Zwierzyniec, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Zakrzówek, Dębniaki, Pychowice, Kostrze, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131157
58. Część LVIII. Przedwiośnie i wiosna 2020. Śródmieście, Kleparz, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Bielany i Las Wolski, Olsza, Grzegórzki, Dębniaki, Zakrzówek, Pychowice, Podgórze, Wola Duchacka (KL Płaszów), Płaszów (Bagry), Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131175
59. Część LIX. Lato 2020. Śródmieście, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwie Zwierzynieckie, Kleparz, Wesoła, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów.
60. Część LX. Jesień 2020. Planty, Śródmieście, Wesoła, Piasek, Czarna Wieś, Krowodrza, Bronowice Wielkie, Dębniaki, Zakrzówek, Podgórze, Łagiewniki, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Jugowice i Swoszowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131380

61. Część LXI. Zima 2020/2021. Półwsie Zwierzynieckie, Czarna Wieś, Bronowice Małe, Bronowice Wielkie, Mydlniki, Bieńczyce, Nad Wisłą i wokół Wawelu, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze, Wola Duchacka, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131381
62. Część LXII. Wiosna 2021. Planty, Wawel, Śródmieście wokół Rynku Głównego, dawny Okół i jego otoczenie, Stradom, Kazimierz, Kleparz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki
www.mbc.malopolska.pl/publication/132349
63. Część 63. Wiosna 2021 c.d. Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwsie Zwierzynieckie, Zwierzyniec.
www.mbc.malopolska.pl/publication/132350
64. Część 64. Wiosna 2021 c.d. 2. Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Rząka, Kurdwanów, Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/132351
65. Część 65. Lato 2021. Śródmieście, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Półwsie Zwierzynieckie, Wola Justowska, Kleparz, Wesoła, Grzegórzki, Dąbie, Prądnik Czerwony, Dębniaki, Zakrzówek, Ludwinów, Kazimierz, Podgórze, Płaszów, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134873
66. Część 66. Lato 2021. Śródmieście, Piasek, Czarna Wieś, Półwsie Zwierzynieckie, wzdłuż Rudawy, Zwierzyniec, Wola Justowska, Bronowice Małe, Mydlniki, Kleparz, Warszawskie, Wesoła, Grzegórzki, Olsza, Kazimierz.
www.mbc.malopolska.pl/publication/138496
67. Część 67. Jesień 2021. C.d. Pychowice, Stradom, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Łagiewniki, Piaski Wielkie, Rząka, Rajska, Kosocice, Barycz, Krzyszkowice, Bilczyce i Jawczyce, Gdów, Liplas, Zagórzany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/134873
68. Część 68. Zima 2021/2022. Śródmieście, Krowodrza, Warszawskie, Kleparz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Bieńczyce, Kazimierz, Podgórze, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka, Kosocice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140507
69. Część 69. Wiosna 2022. Śródmieście, Piasek, Nowy Świat, Półwsie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Kleparz, Wesoła, Olsza, Grzegórzki, Dąbie, Kazimierz, Biały i Czerwony Prądnik.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140508
70. Część 70. Wiosna 2022. C.d. Zakrzówek, Dębniaki, Pychowice, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140509
71. Część 71. Lato 2022. Zakrzówek, Dębniaki, Pychowice, Wola Duchacka, Płaszów, Prokocim, Piaski Wielkie, Rząka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140560

V. Drzwi krakowskich kamienic czynszowych i domów podmiejskich

1. Część I. Piasek i Nowy Świat.
www.mbc.malopolska.pl/publication/69109
2. Część II. Śródmieście, Stradom, Kazimierz, Wesoła, Dębnyki i Podgórze
www.mbc.malopolska.pl/publication/69110
3. Część III. Śródmieście (c.d.), Piasek (c.d.), podmiejski Kraków.
www.mbc.malopolska.pl/publication/69430
4. Część IV. Śródmieście (c.d.), Kleparz, Wesoła (c.d.).
www.mbc.malopolska.pl/publication/71803
5. Część V. Śródmieście, Piasek, Kleparz i Wesoła – uzupełnienia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/72474
6. Część VI. Wesoła, Stradom i Kazimierz (c.d.) oraz podmiejska Krowodrza.
www.mbc.malopolska.pl/publication/730887
7. Część VII. Piasek, Wesoła, Kazimierz i Podgórze – uzupełnienia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/73088
8. Część VIII. Piasek – uzupełnienia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/73717

VI. Detale krakowskich czynszówek i domów. Wybrane drzwi i portale, klamki, okna i obramienia, witraże i figury naścienne.

1. Część I. Zabytkowe Śródmieście.
www.mbc.malopolska.pl/publication/88307
2. Część II. Kleparz, Stradom, Kazimierz, Wesoła, Piasek i Nowy Świat.
www.mbc.malopolska.pl/publication/88308
3. Część III. Kalejdoskop krakowski i Kraków podmiejski.
www.mbc.malopolska.pl/publication/89316
4. Część IV. Śródmieście, Wesoła, Kleparz, Piasek, Stradom, Podgórze, podmiejska Mogiła.
www.mbc.malopolska.pl/publication/90757
5. Część V. Śródmieście, Wesoła, Piasek, Nowy Świat, Czarna Wieś, Podgórze. Podmiejski Kraków: Zakrzówek i Wola Duchacka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94203
6. Część VI. Uzupełnienia: Śródmieście, Kleparz, Piasek i Podgórze. Podmiejski Kraków: Krowodrza, Nowa Wieś, Wola Justowska, Zwierzyniec, Zakrzówek, Ludwinów i Tynec.
www.mbc.malopolska.pl/publication/96154
7. Część VII. Śródmieście, Piasek, Kazimierz i Podgórze.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102182
8. Część VIII. Kraków podmiejski. Czarna Wieś, Półwieś Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Przegorzały, Warszawskie, Grzegórzki, Dąbie, Bieńczyce, Krzesławice i Mogiła, Dębnyki, Zakrzówek, Ludwinów, Płaszów i Prokocim.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102183

9. Część IX. Wesoła i Kraków podmiejski: Jugowice, Łęg, Bieńczyce, Krzesławice, Mogiła, Grębałów, Lubocza, Wadów, Pleszów, Branice, Przewóz
www.mbc.malopolska.pl/publication/102191
10. Część X. Kalejdoskop Krakowski. Śródmieście, Kleparz, Wesoła, Grzegórzki, Dąbie, Piasek, Bronowice Wielkie, Zwierzyniec, Wola Justowska, Kazimierz, Podgórze, Prokocim, Wola Duchacka, Jugowice, „Chałupa u Szpinaka”.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113131
11. Część XI. Zdjęcia i wspomnienia Stanisławy Markowskiej dotyczące kamienicy Louisów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113132

A.III.8. Migawki z Cmentarza Rakowickiego

1. Część I. 21.02.2009 – 14.04.2017
www.mbc.malopolska.pl/publication/102198
2. Część II. 18.10.2017 – 13.04.2018
www.mbc.malopolska.pl/publication/102200
3. Część III. 16.10.2018 – 23.12.2018
www.mbc.malopolska.pl/publication/1044590
4. Część IV. Uzupełnienia z lat 2007-2013; zdjęcia od 17.04.2019-01.11.2019
www.mbc.malopolska.pl/publication/116550
5. Część V. Zdjęcia od 25.12.2009 do 10.06.2020
www.mbc.malopolska.pl/publication/131177
6. Część VI. Zdjęcia od 22.10.2020 do 01.11.2021
www.mbc.malopolska.pl/publication/134872
7. Część VII. Zdjęcia od 24.12.2021 do 05.04.2022
www.mbc.malopolska.pl/publication/140561

VIII. Krakowskie i podkrakowskie jeziora, stawy, rozlewiska i mokradła

1. Część I. Dawna plaża pod Wawelem, Planty, Bronowice Wielkie, Czarna Wieś, Błonia, Zwierzyniec, Mydlniki i Kryspinów, Zakrzówek, Ludwinów, pogranicze Pychowic i Bodzowa, pychowickie łąki, Przegorzały i Bielany, posolvay'owskie stawy w Borku Fałęckim, okolice Bonarki, kamieniołom Libana, teren KL Płaszów, Bagry, nabrzeże Wisły w Rybitwach i Płaszowie, Dąbie, łąki mogiłskie, Bieńczyce i Olsza.
www.mbc.malopolska.pl/publication/74564
2. Część II. Parki: w Nowym i Starym Prokocimiu, Wola Duchacka, Piaski Wielkie, Rząka, Krzyszkowice, Rajska, Kosocice, Barycz i Wieliczka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/74567

IX. Liczne albumy o Krakowie i jego okolicach opublikowane na mojej stronie serwisu społecznościowego Facebook:
<http://pl-pl.facebook.com/people/Leszek-Grabowski/100000321665908>

A.III.10. Liczne albumy o Krakowie i jego okolicach opublikowane na mojej stronie serwisu społecznościowego Facebook:
<http://pl-pl.facebook.com/people/Leszek-Grabowski/100000321665908>

B. Opracowania dotyczące Ziemi Gdowskiej

B.1. Sagi i historie rodzinne

1. Saga rodu Grabowskich z Bilczyc i Liplasa koło Gdowa. Edycja XVIII uzup.
www.mbc.malopolska.pl/publication/8610
2. Saga rodu Chanków i Kędrynów z Podolan i okolic Gdowa. Edycja VI uzup.
www.mbc.malopolska.pl/publication/10372
3. Szkic do historii badań nad drzewem genealogicznym rodu Chanków z Podolan i okolic Gdowa.
www.mbc.malopolska.pl/publication/14677
4. Notka o rodach: Kaletów – „Wójcioków”, Augustynków – „Frysiów” i Mrozowskich z Bilczyc koło Gdowa. Edycja X uzup.
www.mbc.malopolska.pl/publication/13924

B.2 Albumy o Ziemi Gdowskiej

I. Gdów i jego okolice – odchodzący świat

1. Część I. Gdów, Bilczyce, Liplas, Podolany, Wola Zręczycka, Jaroszkówka, Lipnica Murowana. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/15443
2. Część II. Gdów, Przebieczany, Marszowice, Jaroszkówka, Kobylec, Klęczana, Wola Zręczycka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/15730
3. Część III. Wiatowice, Niegowić, Marszowice, Bilczyce, Gdów, Grzybowa, Zręczyce, Wola Zręczycka, Klęczana, Łapanów, Szlak Papieski - odcinek od Klęczany do Łapanowa. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/15731
4. Część IV. Bilczyce, Gdów, Podolany, Wola Zręczycka i Zręczyce. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17022
5. Część V. Bilczyce, Liplas, Niegowić, Gdów i Grzybowa.
www.mbc.malopolska.pl/publication/17844
6. Część VI. Zagórzany, Gdów, Podolany, Jaroszkówka, Wieniec, Nieznanowice, Marszowice, Bilczyce i Łazany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21257
7. Część VII. Lednica Górna, Trąbki, Łazany Bilczyce, Gdów, Marszowice, Wola Zręczycka i Zagórzany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/24065
8. Część VIII. Łazany, Gdów, Niegowić, Krakuszowice, Grodkowice, Klęczana, Kobylec i Łapanów
www.mbc.malopolska.pl/publication/56953
9. Część IX. Nieznanowice, Pierzchów, Cichawa. Szlak Papieski – odcinek od Niegowici do granic Klęczany.
www.mbc.malopolska.pl/publication/58646

10. Część X. Łazany, Bilczyce, Gdów, Pierzchów, Niegowić i Wiatowice. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/61319
11. Część XI. Jawczyce, Liplas, Gdów, Wola Zręczycka, Kobylec; wybrane archiwalia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/77982
12. Część XII. Gdów, Marszowice, Jaroszkówka, Kobylec; kilka wyburzonych już chałup z Gdowa, Marszowic i Kobylca. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/85467
13. Część XIII. Rekonesans po Gdowie a.d. 2015, Bilczyce, Jawczyce, Podolany, Wola Zręczycka, Marszowice. Edycja IV.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94401
14. Część XIV. Muzeum Dwór Feillów w Woli Zręczyckiej koło Gdowa, jego historia, otoczenie i okolica. Zagórzany. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/98706
15. Część XV. Podolany i ich otoczenie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/119043

II. Budownictwo ludowe, małomiasteczkowe i dworskie oraz kapliczki i inne pamiątki Ziemi Krakowskiej

1. Część I. Gdów. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94399
2. Część II. Bilczyce, Jawczyce, Grzybowa. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/94400
3. Część III. Dobczyce i ich okolice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/99109
4. Część IV. Bochnia i jej okolice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/102150
5. Lanckorona i jej okolice: Izdebnik i Krzywaczka. Ed. II uzup.
www.mbc.malopolska.pl/publication/113133
6. Część VI. Orawski Park Etnograficzny w Zubrzycy Górnej.
www.mbc.malopolska.pl/publication/114434
7. Część VII. Nadwiślański Park Etnograficzny w Wygielzowie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/114435
8. Część VIII. Lipnica Murowana, Lipnica Dolna i Górna.
www.mbc.malopolska.pl/publication/115508
9. Część IX. Łapanów i jego okolice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/119042
10. Część X. Ojców.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131155
11. Część XI. Niegowić i jej okolica: Liplas, Wiatowice, Krakuszowice, Cichawa, Grodkowice, Pierzchów, Nieznanowice i Marszowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131156

12. Część XII. Obrzeże i okolice Wieliczki. Kraków Bieżanów, Czarnochowice, Śledziejowice, Kokotów, Zabawa, Lednica Górna, Szczygłów, Zabłocie Surówki, Przebieczany, Biskupice, Trąbki, Rożnowa, Pawlikowice
www.mbc.malopolska.pl/publication/138492
13. Część XIII. Wielickie Krzyszkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/138493
14. Część XIV. Prywatny skansen (zagroda) Elżbiety Graboś Apolonia - w Zakrzowie oraz dawna zabudowa Niepołomic i ich okolice: Zakrzowa, Podłęża, Staniątek, Woli Batorskiej i Zabierzowa Bocheńskiego
www.mbc.malopolska.pl/publication/141449
15. Część XV. Wieliczka z lat 2009-2012
www.mbc.malopolska.pl/publication/142232

C. Opracowania dotyczące Ziemi Krakowskiej.

C.1. Albumy o Ziemi Krakowskiej

I. Dawny świat okolic Krakowa

1. Część I. Dobczyce i Dziekanowice. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/19619
2. Część II. Wieliczka i Rożnowa.
www.mbc.malopolska.pl/publication/19620
3. Część III. Wieliczka i jej okolice (c.d.). Wieliczka, Czarnochowice, Lednica Górna, Przebieczany, Biskupice, Szczygłów, Surówki – Zabłocie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21938
4. Część IV. Wieliczka i jej okolice (cd). Wieliczka, Krzyszkowice, Lednica Górna, Czarnochowice i Śledziejowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56793
5. Część V. Łapanów i jego okolice. Łapanów, Kobylec, Jaroszówka, Szlak Papieski – odcinek od Łapanowa do Kobylca.
www.mbc.malopolska.pl/publication/56794
6. Część VI. Dobczyce i ich okolice (c.d.). Dobczyce i Kornatka. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/57409
7. Część VII. Mozaika podkrakowska. Edycja III.
Puszcza Niepołomicka i jej okolice, Brzesko Nowe, Pleszów, Kościelniki i Górka Kościelnicza, Zielonki, Korzkiew i ich okolice, Rudawa i jej okolice, Wola Zręczycka i Zagórzany, wokół Dobczyc i Podchybie koło Lanckorony. Dodatek – Podkarpacie, okolice Rzeszowa: Świlcza, Mrowla i Bratkowice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/59373
8. Część VIII. Bochnia i jej okolice. Ziemia Tarnowska. Bochnia, Łapczyca, Lipnica Murowana, Jasień Brzeski, Tarnów i Ładna. Cmentarze wojenne o okresie I-ej wojny światowej z okolic Tarnowa. Edycja IV.
www.mbc.malopolska.pl/publication/59639

9. Część IX. Wieliczka i jej okolice (c.d.). Wokół centrum Wieliczki, Krzyszkowice oraz panoramy z Chabrowego Wzgórza, Śledziejowice i Kokotów.
www.mbc.malopolska.pl/publication/62561
10. Część X. Wieliczka i jej okolice (c.d.). Lednica Górna, wokół centrum Wieliczki, Krzyszkowice oraz panoramy z Chabrowego Wzgórza, krajobrazy wokół Baryczy. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/69387
11. Część XI. Bochnia i jej okolice (c.d.). Bochnia i Łapczyca. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/70813
12. Część XII. Wieliczka i jej okolice (c.d.). Rekonesans wokół wzgórza Pod Baranem.
www.mbc.malopolska.pl/publication/71484
13. Część XIII. Wieliczka i jej okolice (c.d.). Migawki z Wieliczki. Jeszcze jeden spacer po dawnych Krzyszkowicach.
www.mbc.malopolska.pl/publication/724743
14. Część XIV. Wieliczka i jej okolice c.d. Galicyjskiej Wieliczki ciąg dalszy, Wzgórze Kaim. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/76407
15. Część XV. Migawki z trasy: Staniątki, Niepołomice, Wola Batorska, Uście Solne, Szczurowa, Żabno, Ujście Jezuickie, Opatowiec, Gręboszów. Cmentarze wojenne i pomniki z okresu I-ej wojny światowej (c.d.): Wola Batorska - Sitowiec, Biskupice Radłowskie, Otfinów, Ujście Jezuickie, Gręboszów. Okolice Brzeska i Tarnowa – uzupełnienia. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/77197
16. Część XVI. Wieliczka (c.d.) i kalejdoskop podkrakowski. Wielickich widoków ciąg dalszy, Krzyszkowice, Bilczyce, Staniątki, Niepołomice, Podłęże, Zakrzów, Świątyniki Górne, Kryspinów, Aleksandrowice i Kleszczów. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/96911
17. Część XVII. Cholerzyn, Liszki, Kaszów, Nowa Wieś Szlachecka, Rybna, Przeginia Duchowna, Brodła, Babice, Wygietłów, Marcyporeba, Jawiszowice, Gdów, Marszowice, Podolany, Wola Zręczycka, Zagórzany, Kobylec, Lipnica Górna. Edycja II.
www.mbc.malopolska.pl/publication/115523
18. Część XVIII. Wieliczka, Gdów, Wola Zręczycka, Zagórzany, Kobylec, Piekary i Tyniec, Liszki, Mników i Wyciąże.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131260
19. Część XIX. Bronowice Małe i Wielkie, Mydlniki, Kobylany, Balice, Aleksandrowice, Morawica, Olszanica, Chełm, Kryspinów, Cholerzyn, Kaszów, Mników, Czernichów, Jeziorzany, Piekary, Tyniec, Skawina, Radziszów, Biertowice, Kalwaria Zebrzydowska, Bugaj, Świątyniki, Iwanowice, Uście Solne, Niedary, Świniary, Targoszów, Zawoja, Czaniec, Roczyny, Rzyki, Brzeźnica.
www.mbc.malopolska.pl/publication/131261

20. Część XX. Gdów, Podolany, Marszowice, Wola Zręczycka, Zagórzany, Szarów, Wieliczka
www.mbc.malopolska.pl/publication/132352
21. Część XXI. Modlnica, Dębik, Czatkowice, Tenczynek, Szczyglice, Balice, Aleksandrowice, Morawica, Cholerzyn, Liszki, Kaszów, Mników, Nowa Wieś Szlachecka, Czernichów, Skawina, Jurczyce, Krzęcin, Radziszów, Wola Radziszowska, Głogoczów, Krzyszkowice, Świątniki Górne, Krzywaczka, Biertowice, Sułkowice, Lubień, Pcim, Dobczyce, Lanckorona.
Zbiór zawiera fotografie: Przemysława Wesołowskiego
www.mbc.malopolska.pl/publication/132353
22. Część XXII. Wokół Wieliczki, Łazany, Jawczyce, Bilczyce, Liplas, Gdów, Marszowice, Wola Zręczycka i Zagórzany, Niżowa, Hucisko, Wiśniowa, Raciechowice, Kasinka Mała, Makocice, Karniowice, na Roztoczu. Zdjęcia autora oraz uzupełniająco: Benedykta Dzięcielskiego, Justyny Cwajnej, Karola Grabowskiego, Ewy Skoplak i Łukasza Opałka.
www.mbc.malopolska.pl/publication/140511

D. Przydrożne zabytki sztuki sakralnej z rejonów: Krakowa, jego okolic i Ziemi Krakowskiej

I. Zabytkowe figury, kapliczki i krzyże przydrożne z rejonu Krakowa i jego okolic.

1. Część I. Dawne przedmieścia Krakowa i podkrakowskie wsie.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21231
2. Część II. Centrum Krakowa w obrębie dawnego rdzenia austriackiej twierdzy.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21258
3. Część III. Ziemia Krakowska. Wieliczka, Gdów, Dobczyce i ich okolice.
www.mbc.malopolska.pl/publication/21259
4. Część IV. Centrum Krakowa w obrębie dawnego rdzenia austriackiej twierdzy – uzupełnienia.
www.mbc.malopolska.pl/publication/74586
5. Część V. Ziemia Krakowska cd.
Wieliczka i jej okolice, Trąbki, Łazany, Gdów i jego okolice, Szlak Papieski: Niegowić – Marszowice – Klęczana - Kobylec - Łapanów, Łapanów i jego okolice, Niepołomice i ich okolice, Dołęga koło Szczerowej, Kościelniki, Bochnia i jej okolice, Dębno Tarnowskie, Żabno i jego okolice, Wola Pogórska.
www.mbc.malopolska.pl/publication/77198

F. Opracowania dotyczące Podkarpacia

F.1. Zarys dziejów rodzin Lubasów i Kokoszków ze Świlczy koło Rzeszowa.
Ed. II.

www.mbc.malopolska.pl/publication/131173

F.2. Budownictwo ludowe, małomiasteczkowe i dworskie oraz umykające krajobrazy Podkarpacia

1. Część I. Świlcza i jej okolice: Rudna Wielka i Rudna Mała, Mrowla, Trzciana i Bratkowice.

www.mbc.malopolska.pl/publication/131171

2. Część II. Tyczyn i Budziwój.

www.mbc.malopolska.pl/publication/131172

E. Artykuły w Głosie Wielickim

www.wielicki.glos24.pl

1. Nr 1 (styczeń 2009) – „Odchodzący świat”.
2. Nr 2 (luty 2009) – „Negatyw na szklanej płytce”.
3. Nr 10 (październik 2009) – „Zapomniany mieszkaniec Bilczyc”;
o Franciszku Augustynku – „Antonim Wichurze” - w setną rocznicę
jego narodzin.
4. Nr 12 (grudzień 2009) – „Bilczyce z lat mego dzieciństwa”
5. Nr 1 (styczeń 2010) – „Bajeczna chałupa mojej babki z Bilczyc”.
Część 1.
6. Nr 2 (luty 2010) – „Bajeczna chałupa mojej babki z Bilczyc”.
Część 2.
7. Nr 3 (marzec 2010) – „Bajeczna chałupa mojej babki z Bilczyc”.
Część 3.
8. Nr 4 (kwiecień 2010) – „Gdów z lat mego dzieciństwa - początku lat
60-tych XX-go wieku”. Część 1.
9. Nr 5 (maj 2010) – „Gdów z lat mego dzieciństwa - początku lat
60-tych XX-go wieku”. Część 2.
10. Nr 6 (czerwiec 2010)– „Tradycja nazw i przezwisk z dawnych Bilczyc”.
Część 1.
11. Nr 7 (lipiec 2010) – „Tradycja nazw i przezwisk z dawnych Bilczyc”.
Część 2”.
12. Nr 8 (sierpień 2010) – „Moja prababka „Magdusia”. Część 1.
13. Nr 10 (październik 2010) – „Moja prababka „Magdusia”. Część 2.
14. Nr 1 (styczeń 2011). „Wspomnienie Marcina Ciężarka”.
15. Nr 2 (luty 2011). „Jan Kaczmarczyk – zapomniana ofiara zbrodni
katyńskiej”.
16. Nr 3 (marzec 2012). „Moja Babcia Bogdzina”.
17. Nr 9 (wrzesień 2012). „Z dziejów dworu w Bilczycach”.

Artykuł z Wiadomości (10.2011)www.wiadomosci.krakow.pl

O mnie. Barbara Bączek. „Dokumentalista z sercem”

Dziennik Polski (19-20.01.2013)

O mnie. Paulina Polak. „Fotografuje taki Kraków, który powoli przechodzi do przeszłości”.

<http://www.dziennikpolski24.pl/artykul/3214128,fotografuje-krakow-ktory-powoli-odchodzi-do-przeszlosci,id,t.html>

Gazeta Gdowianin

Artykuły i notki na temat Ziemi Gdowskiej, publikowane na internetowej stronie w/w gazety – www.gazetagdowianin.pl, w tym wywiad sprzed wielu lat, udzielony Panu Marcinowi Chytkowskiemu z Fundacji Stryszowianin, opublikowany w internetowej wersji Gazety Gdowianin w październiku roku 2020.

<https://www.gazetagdowianin.pl/wiadomosci-z-gminy-gdow/wywiad-z-leszkciem-grabowskim/>

Krowoderska.pl

Wywiad ze mną Andrzeja Śledzia: „Coś było piękne powinno trwać”, z dnia 14.01.2016

<http://www.radiokrakow.pl/wiadomosci/krakow/kapielsko-na-zakrzowku-darmowe-dla-posiadaczy-krakowskiej-karty-miejskiej/>

Dziennik Polski i Dziennik Polski 24 z dnia 29.01.2018

Artykuł Małgorzaty Mrowiec z moimi sugestiami i zdjęciami: „Kraków pilnie potrzebuje skansenu! To ostatni moment na ratowanie ginącej dawnej zabudowy”

http://www.dziennikpolski24.pl/region/kronika-krakowska/a/krakow-pilnie-potrzebuje-skansenu-to-ostatni-moment-na-ratowanie-ginacej-dawnej-zabudowy,12887902/?utm_source=social-media-facebook&utm_medium=przycisk-gora

Dziennik Polski 24 z dnia 14.03.2018.

Artykuł Małgorzaty Mrowiec, ilustrowany moimi zdjęciami: „Piękne stare chałupy znikają z krajobrazu Krakowa. Ktoś zadba o stworzenie skansenu?”

<http://www.dziennikpolski24.pl/region/wiadomosci-krakow/a/piekne-stare-chalupy-znikaja-z-krajobrazu-krakowa-ktos-zadba-o-stworzenie-skansenu,13005674/>

Polskie Radio Kraków

Rozmowa z red. Grzegorzem Krzywakiem o dawnych kąpieliskach w Krakowie (28.06.2017)

<http://www.radiokrakow.pl/wiadomosci/krakow/kapielsko-na-zakrzowku-darmowe-dla-posiadaczy-krakowskiej-karty-miejskiej/>

Polskie Radio Kraków

Moje opowieści o krakowskim Piasku w rozmowie z red. Marzeną Florkowską (05.02-09.02.2018) w programie Pod Lupą

<http://www.radiokrakow.pl/audycje/pod-lupa/pod-lupa-na-krakowskim-piasku/>

Polskie Radio Kraków

Reportaż Grzegorza Krzywaka o fontannach krakowskich – tych dawnych i tych współczesnych (27.02.2018)

<http://www.radiokrakow.pl/wiadomosci/krakow/gdzie-sie-podzialy-krakowskie-fontanny/>

Rajski Piasek – spotkanie w Artotece WBP w Krakowie w dniu 06.03.2018



Relacja na żywo w Youtube

<https://www.youtube.com/watch?v=rG1kpe-cepM&feature=share>

Polskie Radio Kraków – reportaż Magdaleny Zbylut z dnia 28.06.2018.

„Czy powstanie krakowski skansen – pomysł wraca po raz trzeci”.

<http://www.radiokrakow.pl/wiadomosci/krakow/czy-powstanie-krakowski-skansen-pomysl-wraca-po-raz-trzeci-zdjecia/>

TVP Kraków – Kronika Krakowska z dnia 08.07.2008

Reportaż Moniki Dziury: CZY W KRAKOWIE POWSTANIE SKANSEN? TO OSTATNIA SZANSA NA RATUNEK DLA STARYCH CHAŁUP.

<http://krakow.tvp.pl/37999421/czy-w-krakowie-powstanie-skansen-to-ostatnia-szansa-na-ratunek-dla-starych-chalup>

Dziennik Polski z dnia 17.09.2018

Artykuł Magdaleny Mrowiec (z moimi zdjęciami w wersji internetowej)

Skansen: chałupy, karczma, krowy....

<https://dziennikpolski24.pl/skansen-chalupy-karczma-krowy-nowe-muzeum-mogloby-powstac-w-nowej-hucie-za-dwa-lata/ar/13498315>

Radio Kraków – „Urok starych chałup” - reportaż Marzeny Florkowskiej w programie Pod Lupą w dniu 06.05.2019

<http://www.radiokrakow.pl/audycje/pod-lupa/urok-starych-chalup/?fbclid=IwAR1Tdcd8v83PGNOJU8I7vIQyVonK-ZodQc18o8CFZXXq0Lk1YsprHGDeYds/>

Reportaż Moniki Dziury z Kroniki Krakowskiej w TVP 3 z dnia 11.11.2019

„Krakowski skansen powstanie w Nowej Hucie”

https://krakow.tvp.pl/45289207/krakowski-skansen-powstanie-w-nowej-hucie?fbclid=IwAR0n9XtOmfXwjGouGJRQPpoZDdC65FmzZMMkFRVYCOaYc_kpxEzRhC16MBok

Artykuł Małgorzaty Mrowiec z moimi zdjęciami i tekstem w Dzienniku Polskim: „Na tropie Krakowa, którego już.... nie ma. Zobacz, jak zmienił się krajobraz miasta w zaledwie kilkadziesiąt lat”.

https://dziennikpolski24.pl/na-tropie-krakowa-ktorego-juz-nie-ma-zobacz-jak-zmienil-sie-krajobraz-miasta-w-zaledwie-kilkadziesiat-lat-zdjecia/ar/c15-14849361?fbclid=IwAR38luUMHWDjA8AQFWfWRx-1PbVPDJFzChw_0NAN1X53Glxfegtcyk6Vjr0

O fontannie prof. Zina w Radio Eska

https://www.eska.pl/krakow/koniec-poniewierki-fontanny-zina-zabytek-stanal-w-parku-jerzmanowskich-aa-MFY1-ZadL-a1qq.html?fbclid=IwAR1a4g-8Srf8xLB_PiOaJJsfVhD694lf3eTCDwE43yDiCz-ONP5dXIA7VEK

**O dramatycznej zabudowie Półwsia Zwierzynieckiego
Kronika Krakowska z dnia 01.06.2020**

https://www.facebook.com/tvp3krakow/videos/689062808542333/UzpfST_EwMDAwMDMyMTY2NTkwODozMTc5NjY0NjgyMDU0MjIz/

„Spacer po Garbarach”. Moje opowieści o Piasku sprzed 60 lat – pięcioczęściowy film, który powstał na zamówienie Muzeum Krakowa w ramach projektu realizowanego przez Dom Zwierzyniecki: „Zwierzyniec zaprasza Garbary”.

Część I.

<https://www.facebook.com/watch/?v=294634634941344>

Część II

<https://www.facebook.com/watch/?v=350540442612113>

Część III

<https://www.facebook.com/watch/?v=791311341611557>

Część IV

<https://www.facebook.com/watch/?v=988264891624351>

Część V

<https://www.facebook.com/watch/?v=3116460041801936>

„Coraz bliżej skansenu” reportaż Moniki Dziury w Kronice Krakowskiej na antenie TVP 3 Kraków w dniu 01.09.2020

<https://krakow.tvp.pl/49665568/coraz-blizej-powstania-skansenu-w-krakowie?fbclid=IwAR0jE0W0GHAY8uUZYI8DTkc1BweyL1veZIMJzyQVZjCBsVbjtr1mIyDRKmg>

„Przedświąteczny Kraków”, rozmowa z redaktor Marzeną Florkowską z Radio Kraków o realiach Piasku z lat 60.

Audycja Przed Hejnałem z dnia 21.12.2020.

<https://www.radiokrakow.pl/audycje/przy-okazji/przedswiateczny-krakow/>

„Co stanie w krakowskim skansenie?” – reportaż red. Moniki Dziury w Kronice Krakowskiej w TVP 3 Kraków w dniu 22.03.2021

https://krakow.tvp.pl/52916082/co-stanie-w-krakowskim-skansenie?fbclid=IwAR2y6YI504NHbIMXpOXxscGKQ3NQNmkBxXZPHGD_AYHBQrSwm8dyWhcudV8

„Trwa rewitalizacja Parku Jordana w Krakowie – reportaż red. Moniki Dziury w Kronice Krakowskiej w dniu 10.04.2021,

gdzie wyrażam swoje zdanie na temat przyszłości Jordanówki

https://krakow.tvp.pl/53243325/trwa-rewitalizacja-parku-jordana-w-krakowie?fbclid=IwAR3csSwGbxOFoLumuP-y2jIGis5rHV_6OSHIIVWI2oyKUialZzbXLvMVM4g

Wspomnienie Bagrów Ludwinowskich w rozmowie z Jakubem Kusym na antenie Radio Eska (15.11.2021)

<https://www.eska.pl/krakow/zm-sprzata-bagry-ludwinowskie-co-czekaten-urokliwy-zakatek-aa-515R-7dSL-HdZQ.html>

Kronika Krakowska z dnia 04.12.2021 - reportaż red. Moniki Dziury o przyszłości „okrągłaka” w Parku Jordana

krakow.tvp.pl/57280771/nie-chca-muzeum-sportu-w-jordanowce

Gazeta Krakowska.pl z dnia 18.01.2023 – artykuł red. Małgorzaty Mrowiec: „Kraków. Skansen w Branicach miał ratować piękne stare chałupy. Wciąż nie zaczął. Czy w ogóle zdąży?”

<https://gazetakrakowska.pl/krakow-skansen-w-branicach-mial-ratowac-piekne-stare-chalupy-wciaz-nie-zaczal-czy-w-ogole-zdazy/ar/c1-17213619>

Radio RMF 24 Regiony z dnia 21.01.2023

Reportaż red. Marka Wiosło. „Zabytkowe, drewniane chałupy czekają na przenosiny. Z roku na roku niszczeją”

https://www.rmfm24.pl/regiony/krakow/news-zabytkowe-drewniane-chalupy-czekaja-na-przenosiny-z-roku-na-,nId,6547007#crp_state=1

Kronika Krakowska z dnia 05.02.2023 – kolejny reportaż red. Moniki Dziury o skansenie

<https://krakow.tvp.pl/66060253/05022023-1830>

Przyznane wyróżnienia

- 2017. Medal 650-lecia Prokocimia przyznany przez Komitet Organizacyjny Obchodów 650-lecia Prokocimia
- 2018. Odznaka Honoris Gratia przyznana przez Prezydenta Jacka Majchrowskiego za pracę społeczną na rzecz Krakowa
- 2019. Wyróżnienie w ramach Nagrody Województwa Małopolskiego im. Mariana Korneckiego "za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony i opieki nad zabytkami architektury drewnianej Małopolski w roku 2019"
- 2020. Powołanie przez Prezydenta miasta Krakowa Jacka Majchrowskiego na członka Rady Konsultacyjnej d.s. Parku Edukacyjnego Branice